

Neal Stephenson

PEANATEMA

Przełożył Wojciech Szypuła



Wydawnictwo Mag

2009

Tytuł oryginału: *Anathem*
Copyright © 2008 by Neal Stephenson
Copyright for the Polish translation © 2009 by Wydawnictwo
MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta: Urszula Okrzeja
Ilustracja i opracowanie graficzne okładki: Irek Konior
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-126-3
Wydanie I
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax (0-22) 8134743
e-mail: kurz@mag.com.pl
<http://www.mag.com.pl>

Wydanie elektroniczne:
by lille, 2010
Formaty pliku: rtf/pdf

Moim rodzicom

Spis treści

Do czytelnika

Część 1 : CERTYFIK

Część 2 : APERT

Część 3 : KWALIFIK

Część 4 : PEANATEMA

Część 5 : VOCO

Część 6 : PIELGRZYMKA

Część 7 : DZIKUS

Część 8 : ORITHENA

Część 9 : PRZYGARNIĘCIE

Część 10: MESSAL

Część 11: ZSTĄPIENIE

Część 12: REQUIEM

Część 13: REKONSTRUKCJA

Dodatki Glosariusz

Calca 1: Krojenie ciasta

Calca 2: Przestrzeń Hemna

Calca 3: Protyzm prosty i złożony

Peanatema (1) W protorthyjskim: poetycka lub muzyczna inwokacja do Naszej Matki Hylaei, która od czasów Adrakhonesa jest szczytowym momentem codziennej liturgii (stąd skrócona forma fluksyjska *pean*, oznaczająca pieśń o wielkim ładunku emocjonalnym, zwłaszcza taką, która zachęca słuchaczy do wspólnego śpiewania). *Uwaga:* W tym znaczeniu *p.* jest słowem przestarzałym i używanym wyłącznie w kontekście rytualnym, kiedy nie zachodzi ryzyko pomylenia ze znacznie powszechniejszym znaczeniem 2. (2) W noworthyjskim: ryt, w którym niereformowalny fraa lub niereformowalna suur zostają usunięci z matemu, a ich prace trafiają do spisu ksiąg zakazanych (stąd skrócona forma fluksyjska *anatema*, oznaczająca potępienie poglądów i idei uważanych za niemożliwe do zaakceptowania). Patrz także: **Odrzucenie.**- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Do czytelnika

Jeżeli lubisz czytać fantastykę i samodzielnie rozgryzać wszystkie zagadki, pominiń ten wstęp. W przeciwnym razie powinieneś wiedzieć, że akcja książki toczy się nie na Ziemi, lecz na planecie o nazwie Arbre, która pod wieloma względami jest do Ziemi podobna.

Wskazówki odnoszące się do wymowy: *Arbre* wymawia się *Arb* z małym dodatkiem na końcu; zapytaj kogoś, kto zna francuski, na pewno coś ci doradzi, ale dla uproszczenia wystarczy samo *Arb*. Dwie kropki nad samogłoską to tak zwana diereza, oznaczająca, że samogłoska zasłużyła na swoją własną sylabę. I tak na przykład *Deät* wymawia się *De-at*, a nie *Diit*.

Miary stosowane na Arbre zostały przełożone na ich ziemskie odpowiedniki. Opowiedziana w książce historia toczy się blisko cztery tysiące lat po tym, jak mieszkańcy Arbre ustalili wspólny system miar, który dziś wydaje im się stary i zużyty - dlatego w przekładzie zastosowany został stary układ ziemski (stopy, mile itd.) zamiast bardziej nowoczesnego metrycznego.

We wszystkich tych wypadkach, gdy kultura orthyjska przyswoiła słownictwo swoich dawniejszych poprzedniczek, starałem się ukuć nowe słowa w oparciu o stare języki ziemskie. Pierwszym i najbardziej oczywistym przykładem takiego zabiegu jest *peanatema*, połączenie słów *pean* i *anatema*, wywodzących się ze starożytnej greki i łaciny. Orthyjski, który na Arbre jest językiem klasycznym, ma inną leksykę, w której słowa *pean*, *anatema* i *peanatema* brzmią zupełnie inaczej, nadal jednak są powiązane podobnym ciągiem skojarzeń. Zamiast uciekać się do słowa orthyjskiego, które dla ziemskich czytelników byłoby pozbawione znaczenia i z niczym by się nie kojarzyło, wolałem wymyślić jego przybliżony odpowiednik, który pozwoliłby zachować chociaż część orthyjskiego charakteru oryginału. Ten sam zabieg, *mutatis mutandis*, zastosowałem w wielu innych sytuacjach.

Niektóre arbryjskie rośliny i zwierzęta zostały

przedstawione jako ich ziemskie odpowiedniki, dlatego postaci występujące w książce mówią o marchewce, ziemniakach, psach, kotach i tak dalej - co jednak wcale nie oznacza, że na Arbre występują dokładnie te same gatunki. Arbre ma własną faunę i florę, a ziemskie ekwiwalenty pozwoliły mi uniknąć dygresji, w których musiałbym na przykład szczegółowo opisywać fenotyp arbryjskiej marchwi.

Załączam skrócony chronologiczny spis najważniejszych wydarzeń z historii Arbre. Dopóki nie wczytasz się choć trochę w książkę, będzie on dla ciebie bezużyteczny, potem jednak może okazać się przydatny jako dodatkowe źródło porządkujące informacje.

-3400 do -3300: W przybliżeniu - era Cnoüsa oraz jego córek: Deät i Hylaei.

-2850: Adrakhones, ojciec geometrii, buduje świątynię nazwaną Oritheną.

-2700: Diax przepędza entuzjastów, tworzy aksjomatyczne podwaliny teoryki i nadaje jej tę nazwę.

-2621: Erupcja wulkanu niszczy Orithenę. Rozpoczyna się okres Peregrynacji. Wielu teorów ocalałych z katastrofy gromadzi się w Ethras.

-2600 do -2300: Złoty Wiek Ethras.

-2396: Egzekucja Thelenesa.

-2415 do -2335: Życie Protasa.

-2272: Ethras zostaje przemocą wcielone do Cesarstwa Bazyjskiego.

-2204: Założenie Arki Bazyjskiej.

-2037: Arka Bazyjska staje się religią państwową Cesarstwa Bazyjskiego.

-1800: Szczyt potęgi Cesarstwa Bazyjskiego.

-1600 do -1500: Liczne porażki militarne powodują dramatyczne skurczenie się Cesarstwa Bazyjskiego. Teorowie wycofują się z życia publicznego. Saunta Cartas pisze *Saeculum*, zapoczątkowując w ten sposób Starą Epokę Matematyczną.

- 1472: Upadek Bazu. Spalenie biblioteki bazyjskiej. Piśmienni obywatele cesarstwa chronią się w klasztorach bazyjskich i cartaskich matemach.
- 1150: Pojawienie się mistagogów.
- 600: Odrodzenie. Czystka mistagogiczna. Otwarcie Ksiąg.
- 500: Rozwiązanie matemów. Epoka eksploracji, odkrycie praw dynamiki, stworzenie nowoczesnej teoryki stosowanej. Początek Epoki Praksis.
- 74: Pierwszy Zwiastun.
- 52: Drugi Zwiastun.
- 43: Proc zakłada Krąg.
- 38: Halikaarn odrzuca dokonania Proca.
- 12: Trzeci Zwiastun.
- 5: Straszliwe Wypadki.
- 0: Rekonstrukcja. Pierwszy konwoks. Stworzenie nowego systemu matemowego. Wprowadzenie Księgi Dyscypliny. Publikacja pierwszego wydania Słownika.
- +121: Deklaranci z Koncentu Saunta Mucostera dzielą się na dwie grupy, syntaktyków i semantyków, które zakładają zakony - odpowiednio - proceński i halikaarnijski. Liczba dalszych zakonów szybko rośnie.
- +190 do +210: Deklaranci z Saunty Baritoe dokonują za pomocą wyrafinowanych technik syntaktycznych znaczących postępów w dziedzinie nukleosyntezy. Powstaje nowomateria.
- +211 do +213: Pierwsza Łupież.
- +214: Zwołany po Łupieży konwoks zakazuje stosowania większości form nowomaterii. Wprowadzenie Poprawionej Księgi Dyscypliny. Z łona proceńczyków wyodrębnia się zakon faanów. Od halikaarnijczyków oddziela się zakon evenedryków.
- +297: Saunt Edhar zakłada własny zakon, wybierając jego członków spośród evenedryków.
- +300: Podczas apertu okazuje się, że od roku dwusetnego niektóre stuletnie matemy popadły w obłęd („dostały setki”).
- +308: Saunt Edhar zakłada koncent nazwany jego imieniem.
- +320 do +360: Postępy w praksis manipulacji genetycznych w

licznych koncentach, często wynikające z owocnej współpracy faanów i halikaarnijczyków.

+360 do +366: Druga Łupież.

+367: Konwoks po Łupieży. Zakaz manipulacji genetycznych. Wytyczenie ostrzejszej granicy między zakonami syntaktycznymi i semantycznymi. Rozwiązanie zakonu faanów. Wprowadzenie Nowej Poprawionej Księgi Dyscypliny. Usunięcie urządzeń syntaktycznych ze świata matematycznego. Powołanie instytucji itów, do których dołączyło wielu eks-faanów. Powołanie Inkwizycji mającej nadzorować przestrzeganie nowych praw. Wprowadzenie Regulatorów do wszystkich koncentów. Stworzenie nowoczesnego systemu hierarchów, który w niezmienionej postaci przetrwa co najmniej trzy kolejne tysiąclecia.

+1000: Pierwszy konwoks milenijny.

+ 1107 do+1115: Odkrycie niebezpiecznej asteroidy (zwanej „Wielką Bryłą”) zmusza państwo sekularne do zwołania nadzwyczajnego konwoksu.

+2000: Drugi konwoks milenijny.

+2700: Nasilająca się rywalizacja proceńczyków z halikaarnijczykami doprowadza do powstania i rozpowszechnienia się podań o retorach i inkanterach.

+2780: Podczas apertu państwo sekularne odkrywa niezwykle wytwory praksis, będące dziełem retorów i inkanterów.

+2787 do +2856: Trzecia Łupież prowadzi do wyludnienia wszystkich koncentów. Tylko Trzy Nieskalane pozostają nienaruszone.

+2857: Konwoks po Łupieży przeprowadza reorganizację koncentów. Zakaz posiadania fund. Podjęcie różnych środków mających na celu ograniczenie rzekomych luksusów matematycznego życia. Zmniejszenie liczby zakonów i rozproszenie pozostałych w celu ustanowienia „równowagi” poparcia dla proceńczyków i halikaarnijczyków. Wprowadzenie Drugiej Nowej Poprawionej Księgi Dyscypliny.

+3000: Trzeci konwoks milenijny.

+3689: Początek naszej opowieści.

Część 1

CERTYFIK

Extramuros: (1) W starorthyjskim: dosłownie „poza murami”. Często używane w kontekście otoczonych murami miast-państw z tego okresu. (2) W średniorthyjskim: świat nie-matemowy, niestabilna rzeczywistość po upadku Bazu. (3) W Epoce Praksis: rejony geograficzne i klasy społeczne, które nie zaznały jeszcze dobrodziejstwa mądrości świata matematycznego. (4) W noworthyjskim: znaczenie podobne do (2), ale często używane w odniesieniu do osiedli bezpośrednio otaczających mury matemu, stosunkowo zamożnych, stabilnych itd.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Czy wasi sąsiedzi mają w zwyczaju palić swoich wrogów żywcem? W ten sposób fraa Orolo zaczął rozmowę z mistrzem Flekiem. Wprawił mnie w zakłopotanie. Zakłopotanie odczuwam bardzo namacalnie, jak zaschnięte błoto ściągające mi skórę pod włosami.

- Czy wasi szamani chodzą na szczudłach? - Fraa Orolo czytał z arkusza, który, sądząc po stopniu zbrązowienia, musiał liczyć sobie co najmniej pięć stuleci. Podniósł wzrok i dodał tytułem wyjaśnienia: - Nie wiem, może nazywacie ich pastorami albo czarownikami...

Moje zmieszanie doznało gwałtownego przyspieszenia i szerzej rozlało mi się po głowie.

- Czy modlicie się, kiedy zachoruje wam dziecko? Składacie ofiary malowanym słupom? Zwalacie winę na starą kobietę?

Zawstydzenie spłynęło mi na twarz ciepłą falą, przytknęło uszy, sypnęło piaskiem w oczy. Ledwie usłyszałem następne pytanie:

- Czy wierzycie, że w przyszłym życiu spotkacie swoje

zdechłe psy i koty?

Orolo poprosił mnie, abym towarzyszył mu w roli koncypienta. Brzmiało to imponująco, więc się zgodziłem.

Dowiedział się skądś, że do nowej biblioteki wpuszczono cieślę z extramuros, aby wymienił nadpróchniałą belkę stropową, której my z naszych przykrótkich drabin nie mogliśmy dosięgnąć, a ponieważ dopiero niedawno ją zauważyliśmy, nie zdążylibyśmy wybudować porządnego rusztowania przed apertem. Orolo zamierzał porozmawiać z rzemieślnikiem i chciał, żebym spisał relację z tego spotkania.

Zażawionymi oczami patrzyłem na leżący przede mną arkusz. Był równie pusty jak moja głowa. Nie szło mi najlepiej.

Powinienem jednak notować przede wszystkim słowa cieśli, który na razie jeszcze się nie odezwał. Kiedy go zagadaliśmy, przeciągał niedostatecznie ostrym przedmiotem po płaskim kamieniu; teraz gapił się bez słowa na Orolo.

- Czy znasz kogoś, kto został rytualnie okaleczony, ponieważ przyłapano go na czytaniu książki?

Flec zamknął usta - pierwszy raz od dłuższej chwili. Widziałem po nim, że kiedy znów je otworzy, będzie miał coś do powiedzenia. Skrobnąłem mały bohomasz na marginesie, żeby sprawdzić, czy pióro mi nie wyszło. Fraa Orolo milczał, wpatrując się w rzemieślnika jak w okular teleskopu, po którego drugiej stronie znajduje się nowo odkryta mgławica.

- Nie moglibyście po prostu zaszpilować? - zapytał mistrz Flec.

- Zaszpilować... - powtórzył Orolo, żebym zdążył zanotować. Próbowałem jednocześnie pisać i mówić, więc artykułowałem pakietami:

- Kiedy zjawiłem się... to znaczy, kiedy zostałem kolektantem, mieliśmy... właściwie oni mieli tutaj... coś takiego, co nazywali szpilem... ale nie mówiliśmy o szpilowaniu, tylko o wycieczce na szpil. - Przez wzgląd na cieślę mówiłem po fluksyjsku, dlatego moje na wpół pijane niby-zdanie nie brzmiało nawet w połowie tak beznadziejnie, jak musiałyby zabrzmieć,

gdybym sformułował je po orthyjsku. - To były takie...

- Ruchome obrazy - dokończył Orolo po orthyjsku. Przeniósł wzrok na Fleca i przeszedł na fluksyjski: - Domyślamy się, że szpilowanie oznacza obcowanie z jakimś powszechnym wytworem praksis, czyli po waszemu „techniki”, umożliwiającym oglądanie ruchomych obrazów.

- Ruchome obrazy... - powtórzył Flec. - Śmiesznie brzmi.

Wyjrzał przez okno, jakby miał przed sobą szpilowy dokument historyczny, i zaśmiał się bezgłośnie.

- To praksysyczny orth, dlatego cię śmieszysz - powiedział fraa Orolo.

- Dlaczego nie nazwiecie rzeczy po imieniu?

- Masz na myśli szpilowanie?

- No przecież.

- Dlatego, że kiedy stojący obok mnie fraa Erasmus przed dziesięcioma laty przybył do naszego matemu, nazywaliśmy to wycieczką na szpil, a kiedy ja się zjawiłem trzydzieści lat temu, mówiliśmy o długoskierkach. Deklaranci, którzy żyją po drugiej stronie tego muru i obchodzą apert raz na sto lat, znają ruchome obrazy pod jeszcze inną nazwą. Nie mógłbym się z nimi porozumieć.

Mistrz Flec przestał słuchać, odkąd usłyszał o długoskierce.

- Długoskierka to zupełnie co innego! Nie da się oglądać długoskierek na szpilu, trzeba je skonwertować, zreformatować...

Fraa Orolo był tymi wyjaśnieniami tak samo znudzony jak Flec opowieściami o setnikach, toteż konwersacja wyhamowała z łoskotem, co dało mi czas na jej zapisanie. Moje zakłopotanie ulotniło się niepostrzeżenie jak czkawka. Flec uznał rozmowę za zakończoną i przeniósł wzrok na rusztowanie, które jego pomocnicy wybudowali pod osłabioną belką.

- Wracając do twojego pytania... - odezwał się Orolo.

- Jakiego pytania?

- Tego, które przed minutą zadałeś: dlaczego, jeśli interesuje mnie życie extramuros, po prostu nie zaszpiluję?

- Ach tak...

Flec był wyraźnie zaskoczony pamiętliwością Orola. Ja mniej, bo Orolo z upodobaniem mawiał, że cierpi na „zespół nadmiaru uwagi”, tak jakby było w tym coś zabawnego.

- Przede wszystkim nie mamy urządzenia do szpilowania.

- Urządzenia do szpilowania?

Orolo zamachał niecierpliwie rękami, jakby rozganiał chmury lingwistycznego pomieszania.

- Nie wiem, jak nazywacie taką maszynę.

- Wystarczyłby stary rezonator długoskierkowy. Mógłbym wam przynieść nieużywany konwerter, który marnuje się u mnie w graciarni...

- Rezonatora też nie mamy.

- No to sobie kupcie.

Orolo się zawahał. Instynktownie wyczuwałem, że w głowie kłębią mu się następne krępujące pytania: „Myślisz, że mamy pieniądze? Że państwo sekularne chroni nas, ponieważ siedzimy na górze skarbów? Że nasi milenaryści umieją przemieniać pospolity metal w złoto?”. Opanował jednak żądę ich zadania i odparł:

- Dopóki przestrzegamy Dyscypliny Cartaskiej, mamy do dyspozycji tylko kredę, atrament i kamień. Ale jest i inny powód.

- Tak? Niby jaki? - spytał mistrz Flec, rozdrażniony dziwaczną manierą fraa Orola, który miał w zwyczaju obwieszczać, co za chwilę powie, zamiast po prostu powiedzieć.

- Trochę trudno to wyjaśnić, ale moim zdaniem samo nakierowanie urządzenia rejestrującego, komory długoskierkowej czy jak wy to tam nazywacie...

- Szpilołap.

- ...na jakiś obiekt nie wystarczy, aby utrwalić to, co dla mnie jest najważniejsze. Potrzebuję kogoś, kto będzie chłonał interesujące mnie zjawisko wszystkimi zmysłami, przemienił to doświadczenie w głowie, a następnie przekuje w słowa.

- Słowa... - powtórzył cieśla jak echo i powiódł niechętnym wzrokiem po półkach z książkami. - Jutro nie przyjdę, przyślę

Quina - oznajmił i dodał tytułem wyjaśnienia: - Muszę skontrafazować nowe rekompensatory claneksu. Moim zdaniem drzewo warkoczowe zaczyna się brzydko sklejać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - przyznał Orolo.

- Nieważne. Quin odpowie na wszystkie wasze pytania. Ma gadane.

Trzeci raz w ciągu trzech minut Flec zerknął na wyświetlacz swojego piszczałki. Uparliśmy się, żeby wyłączył wszystkie funkcje komunikacyjne urządzenia, ale nadal służyło mu jako zegarek. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że z okna doskonale widać wysoką na sto pięćdziesiąt metrów wieżę z zegarem.

Postawiłem kropkę na końcu zdania i odwróciłem się w stronę regału, bałem się bowiem, że na mojej twarzy maluje się rozbawienie. Powiedział „Jutro nie przyjdę, przyślę Quina” w taki sposób, jakby zdecydował o tym w ułamku sekundy. Fraa Orolo z pewnością też to zauważył. Gdybym popełnił błąd i spojrział na niego, ja bym parsknął śmiechem, a on nie.

Zegar zaczął wybijać certyfik.

- Czas na mnie - powiedziałem i zwróciłem się do rzemieślnika: - Przepraszam, muszę nakręcić zegar.

- Tak się zastanawiałem, czy...

Ze skrzynki z narzędziami wyjął polioplastową torbę, zdmuchnął z niej opiłki, otworzył zapięcie (nigdy takiego nie widziałem) i wyciągnął ze środka srebrną rurkę rozmiarów męskiego palca. Spojrzał wyczekująco na fraa Orola.

- Nie wiem co to jest i nie mam pojęcia czego ode mnie chcesz - zastrzegł się Orolo.

- Szpilołap!

- Aha. Słyszałeś o certyfiku i korzystając z okazji, chciałbyś go zobaczyć i zarejestrować ruchome obrazy?

Rzemieślnik pokiwał głową.

- To się da zrobić, pod warunkiem, że staniesz, gdzie ci każą. Nie, nie włączaj go jeszcze! - Fraa Orolo zasłonił się rękami.

- Jeśli Regulatorka się o tym dowie, wyznaczy mi pokutę.

Zaprowadzę cię do itów. Oni ci wskażą miejsce.

Ciągnął jeszcze przez chwilę w podobnym duchu, ponieważ na Dyscyplinę składa się wiele reguł, a my zamęciliśmy Flecowi w głowie już wtedy, gdy pozwoliliśmy mu wejść na teren matemu dziesięcioletniego.

Klauzura: (1) W starorthyjskim: każda zamknięta przestrzeń (Thelenes przed egzekucją był przetrzymywany w klauzurze, która jednak - ku utrapieniu młodych fidów - nie miała jeszcze wtedy poniższych konotacji matemowych). (2) We wczesnym średniorthyjskim: całość matemu. (3) W późnym średniorthyjskim: ogród lub dziedziniec otoczony zabudowaniami i postrzegany jako serce matemu. (4) W noworthyjskim: każda cicha, spokojna przestrzeń, wolna od zgiełku i sprzyjająca kontemplacji.-
SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Do tej pory siedziałem na swojej sferze jak na stołku. Teraz wstałem i powiodłem po niej czubkami palców, kreśląc kręgi w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zaczęła się kurczyć, aż zmalala tak bardzo, że mogłem zamknąć ją w dłoni. Przez ten czas zawój mi się wymiał, więc teraz podciągnąłem go i wyrównałem fałdy, klucząc wśród stołów, krzeseł, globusów i wolno przemieszczających się fraa. Przemknąłem pod kamiennym łukiem i znalazłem się w skryptorium. Pachniało tu atramentem - prawdopodobnie dlatego, że jakiś wiekowy fraa z fidami byli zajęci kopiowaniem ksiąg, ja jednak zastanawiałem się, jak długo zapach unosiłby się w powietrzu, gdyby nikt ze skryptorium nie korzystał. Przelano w nim tyle atramentu, że wilgotna woń z pewnością wgrzyła się w sprzęty i ściany.

W przeciwległym końcu sali znajdowały się drzwi do starej biblioteki, jednego z tych wiekowych budynków, które pierwotnie stały na klauzurze. Kamienna posadzka, o dwa tysiące trzysta lat starsza od podłóg nowej biblioteki, była tak wygładzona stopami

deklarantów, że prawie nie czułem, jak po niej stąpam. Mógłbym się po niej poruszać z zamkniętymi oczami: moje stopy same odczytywałyby drogę z utrwalonych w niej wspomnień poprzedników.

Klauzura miała kształt prostokątnego ogrodu otoczonego krużgankiem. Od wewnętrznej strony krużganek był wystawiony na kaprysy aury: od ogrodu dzieliły go tylko kolumny, na których wspierał się dach. Od zewnątrz okalał go mur, w którym wykuto przejścia prowadzące do innych budynków, takich jak stara biblioteka, refektarz i kredownie.

Wszystkie przedmioty, które mijalem po drodze - rzeźbione regały, ściśle dopasowane płyty posadzki, ramy okien, kute zawiasy, ręcznie robione ćwieki mocujące je do drzwi, kapitele kolumnienek klauzury, ogrodowe ścieżki i rabaty - zawdzięczały swoją formę dawno zmarłym mistrzom rzemiosła. Stworzenie niektórych z nich, na przykład drzwi starej biblioteki, zajmowało rzemieślnikom całe życie; inne wyglądały jak zrobione na chybcika, w jedno wolne popołudnie, ale zarazem tak przemyślnie, że setki czy tysiące lat później wciąż cieszyły oko użytkowników. Jedne były wzorowane na prostych i czystych formach geometrycznych, inne porażały swoją złożonością i kazały się zastanowić, czy ich kształtem rządzą w ogóle jakiegokolwiek reguły; niektóre przedstawiały prawdziwych ludzi, którzy żyli w takim czy innym wycinku przeszłości i snuli arcyciekawe rozmyślenia, jeszcze inne ilustrowały ogólne typy ludzkie: deolatrę, fizjologa, miastowego, sloga. Gdyby ktoś mnie o to poprosił, potrafiłbym objaśnić znaczenie może co czwartej z tych ozdób. Ale kiedyś poznam je wszystkie.

Promienie słońca wpadały z impetem do klauzurowego ogrodu, gdzie trawiaste i wysypane żwirem ścieżki wiły się wśród grządek ziół, krzewów i rzadko rosnących drzew. Sięgnąłem ponad ramieniem do tyłu, złapałem obszuty rąbek zawoju i narzuciłem go sobie na głowę. Obciągnąłem tę połowę zawoju, która zwisała się od sznura w dół, żeby osłoniła mi stopy i zamiotła ziemię. Wcisnąłem dłonie w fałdy na wysokości talii, tuż

powyżej sznura, i szedłem na trawę - bladą i kłującą po ostatnich upałach. Spojrzałem na południową tarczę zegara. Dziesięć minut.

- Fraa Lio? - odezwałem się. - Kolcojagoda nie należy chyba do Stu Sześćdziesięciu Czterech.

Miałem na myśli spis roślin dopuszczonych do uprawy w Drugiej Nowej Poprawionej Księdze Dyscypliny.

Lio był bardziej krępy niż ja. Za młodu musiał być pulchnym grubaskiem, z czasem stał się po prostu korpulentny. Przykucnął na wzruszonej grządce pod jabłonką i wpatrywał się w ziemię jak zahipnotyzowany. Podwinął zawój, przewiązał się nim w talii, tworząc przepaskę biodrową, a resztę ciasno zrolował, obwiązał na obu końcach sznurem i przerzucił skośnie przez plecy, jak koc. Sam wymyślił ten sposób wiązania. Nikt inny nie brał z niego przykładu, ja jednak musiałem przyznać, że w taki upalny dzień może to być całkiem wygodne rozwiązanie, nawet jeśli głupio wygląda. Jego pośladki znajdowały się dziesięć cali nad ziemią: nadał swojej sferze wielkość ludzkiej głowy i przysiadł na niej, balansując ciałem.

- Fraa Lio! - powtórzyłem. Umysł Lio miał taką śmieszna właściwość, że czasem nie reagował na słowa.

Ścieżkę przegradzała mi wygięta w łuk łodyga kolcojagody. Znalazłem kawałek wolny od cierni, zacisnąłem na nim dłoń i wyrwałem roślinę z korzeniami. Odwróciłem ją w dłoni w taki sposób, aby małe kwiatki połaskotały fraa Lio w porośnięty krótką szczecina czerep.

- Ostogłowy! - zawołałem.

Lio przewrócił się na plecy jak uderzony kosturem. Pięty pofrunęły mu w powietrze, zaraz jednak znalazł oparcie wśród korzeni jabłonki i wstał. Stał na ugiętych nogach, wyprostowany, z głową przyciągniętą do piersi; grudki ziemi osypywały mu się ze spoconych pleców. Sfera odturlała się i utknęła w stercie wyplenionych chwastów.

- Nie słyszałeś mnie?

- Kolcojagody rzeczywiście nie ma wśród Stu Sześćdziesięciu Czterech - przyznał. - Ale nie należy także do

Jedenastki. Dlatego nie muszę jej natychmiast spalić i odnotować tego faktu w kronice. Może poczekać.

- Na co? Co właściwie robisz?

Pokazał na ziemię. Schyliłem się i spojrzałem z bliska. Nie każdy podjąłby takie ryzyko: mając na głowie kaptur, nie widziałem fraa Lio nawet kątem oka, powszechnie zaś uważano, że zawsze należy mieć baczenie na fraa Lio, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie mu ochota na zapasy. Wycierpiałem z jego rąk aż nadto dźwigni, chwytów, duszeń i ucisków; nieraz miałem skórę otartą po kontakcie z jego szorstką czupryną. Wiedziałem jednak, że teraz mnie nie zaatakuję: okazałem szacunek dla czegoś, co go zafascynowało.

Lio i ja pochodziliśmy z jednej koletki, do której dziesięć lat temu przyjęto trzydzieścioro dwoje ośmiolatków. Przez pierwsze dwa lata przyglądaliśmy się, jak czterech starszych fraa codziennie nakręca zegar, a osiem suur dzwoni w dzwony. Później obaj zostaliśmy wybrani (z dwoma innymi nad wiek wyrosniętymi chłopcami) do nowego kwartetu nakręcaczy - podobnie jak osiem dziewcząt z naszej koletki zaczęło się uczyć bicia w dzwony, co wymagało mniejszej siły, ale pod pewnymi względami było zadaniem bardziej żmudnym, ponieważ niektóre dyżury ciągnęły się godzinami i wymagały nieustannej koncentracji. I tak oto już od siedmiu lat we czterech codziennie nakręcaliśmy zegar - z wyjątkiem tych dni, kiedy fraa Lio zapominał o swoich obowiązkach i zostawała nas trójka. Po tym, jak zapomniał dwa tygodnie temu, suur Trestanas, Regulatorka, wyznaczyła mu pokutę: musiał w największy skwar pieścić grządki z ziołami.

Osiem minut.

Wiedziałem jednak, że przypominanie Lio, jak mało czasu nam zostało, donikąd mnie nie zaprowadzi - musiałem po prostu obgadać z nim to, co akurat go zainteresowało.

- Mrówki - stwierdziłem, po czym, znając Lio, dodałem pospiesznie: - Mrówczy dron?

Słyszałem uśmiech w jego głosie, kiedy odparł:

- Tu są mrówki w dwóch różnych kolorach, fraa Ras.

Toczą wojnę. Trochę mi przykro, że z mojego powodu.

Szturchnął stertę wyrwanych pędów kolcojagód.

- Naprawdę uważasz, że to wojna, a nie tylko chaotyczne miotanie się na wszystkie strony?

- To właśnie próbuję rozstrzygnąć. W wojnie opracowuje się strategię, stosuje taktykę... Na przykład manewry oskrzydłające. Czy mrówki potrafią flankować przeciwnika?

Tylko z grubsza wiedziałem, o co mu chodzi: o atak z boku. Lio miał zwyczaj wywlekać taką terminologię ze starych ksiąg traktujących o drodze dzwoneczków, jakby wyrывał zęby ze szczęk skamieniałego smoka.

- Myślę, że tak - odparłem, chociaż przeczuwałem, że pytanie jest podchwytliwe i Lio flankuje mnie słowami. - Czemu nie?

- Oczywiście mogą to zrobić przez przypadek. Patrzysz na nie z góry i stwierdzasz: o, to mi wygląda na manewr oskrzydłający. Ale jeśli nie mają dowódcy, który widziałby całe pole walki i kierował ruchami wojsk, czy można mówić o skoordynowanych manewrach?

- To mi przypomina pytanie saunta Taungi - zauważyłem. - Czy dostatecznie duże pole automatów komórkowych jest zdolne do myślenia?

- No właśnie. Jest czy nie jest?

- Widziałem, jak mrówki współpracowały przy podbieraniu mi obiadu, stąd wiem, że umieją podejmować wspólne działania.

- Zgoda. Tylko że kiedy jestem jedną z setki mrówek, które razem popychają jeden rodzynek, to czuję, jak ten rodzynek się porusza, prawda? I sam rodzynek staje się dla mnie medium łączności z innymi mrówkami. A kiedy jestem samotną mrówką na polu bitwy...

- Ostogłowy, czas na kwalifik.

- W porządku.

Odwrócił się do mnie plecami i zaczął iść. To właśnie przez taki dar do przerywania rozmów w pół słowa (a także przez inne dziwactwa) mówiło się, że Lio ma coś nie w porządku z

głową. Znowu zapomniał zabrać sferę. Podniosłem ją i rzuciłem za nim: trafiła go w tył głowy i odbiła się pionowo do góry. Nie podnosząc wzroku, wyciągnął rękę i złapał ją w locie. Ostrożnie okrążyłem pole bitwy, aby nie nagarnąć sobie na stopy wojowników (żywych lub umarłych), i pobiegłem za nim.

Ze sporą przewagą nade mną dotarł do rogu klauzury, gdzie natknął się na dużą grupę wolno przemieszczających się suur. Przeciął im drogę w sposób bezczelny, ale zarazem tak beznadziejnie głupkowaty, że suur skwitowały to śmiechem i natychmiast o nim zapomniały - a kiedy stłoczyły się w łukowato sklepionym przejściu, zostałem uwięziony za ich plecami. Zawiadomiłem fraa Lio, który dzięki mnie się nie spóźni - a w nagrodę sam przyjdę ostatni, i to na mnie wszyscy będą patrzyli spoje łba.

Ryt: (1) W proto - i starorthyjskim: czyn, umyślne działanie podejmowane przez jakiś byt, najczęściej człowieka. (2) W średniorthyjskim i później: sformalizowany rytuał, zazwyczaj odprawiany przez grupę deklarantów, w którym matem lub koncent podejmuje jakieś wspólne działanie. Towarzyszą mu zwykle uroczyste śpiewy, rytualne gesty i inne ceremonialne zachowania.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Można powiedzieć, że zegar i tum stanowiły jedno: zegar zajmował cały tum wraz z piwnicą. Kiedy jednak ludzie mówili o „zegarze”, mieli raczej na myśli cztery tarcze zawieszono wysoko na ścianach praesidium, głównej wieży tumu. Zostały wykonane w różnych epokach i każda pokazywała czas w nieco inny sposób, ale wszystkie były połączone z tym samym mechanizmem. Każda podawała godzinę, dzień tygodnia, miesiąc, fazę księżyca, rok oraz mnóstwo innych informacji kosmograficznych przeznaczonych dla tych, którzy umieli je odczytać.

Wsparte na czterech kolumnach praesidium miało przekrój

kwadratowy - ale tylko do wysokości tarcz. Ponad nimi narożniki stawały się ścięte i kwadrat przechodził w ośmiokąt, nieco wyżej w szesnastokąt, aż w końcu rzut budowli stawał się okrągły. Dach praesidium miał kształt soczewkowatego dysku, który - widziany od krawędzi ku środkowi - był lekko wypukły, dzięki czemu deszcz ściekał po nim bez przeszkód. Na nim z kolei wspierały się megality, kopuły, penthouse'y i wieżyczki gwiazdznego kręgu, napędzającego (i napędzanego przez) ten sam mechanizm, który sterował zegarem.

Pod tarczami mieściły się dzwonnice, ukryte za maswerkowymi przepierzeniami. Pod nimi wieża wypuszczała na boki stabilizujące ją kamienne łuki nazywane przyporami. Łuki opadały w dół, gdzie znajdowały oparcie wśród iglic sąsiednich wieżyczek, niższych i bardziej przysadzistych niż praesidium, ale zbudowanych na podobnym planie. Wieże były połączone pajęczyną ozdobnych filigranowych łuków i przęsł, która pochłaniała całą dolną połowę praesidium i dopełniała skomplikowanego rysunku tumu.

Sam tum miał kamienne sklepienie, stromo wypiętrzone, od góry zwieńczone płaskim dachem, na którym mieściła się napowietrzna twierdza Protektora. Jej wewnętrzny dziedziniec, otaczający praesidium, był zadaszony i pocięty przepierzeniami na magazyny, składziki i pokoje urzędowe. Od zewnątrz okalała ją otwarta galeria, po której krążyli wartownicy, mając z niej widok na cztery strony świata (z rzadka tylko przesłonięty jakąś przyporą, przęsłem albo iglicą lub innym zwieńczeniem). Obejście tumu po galeryjce zajmowało im dosłownie kilka minut. Tworząca galerię półka wspierała się na dziesiątkach gęsto rozmieszczonych podpór, odginających się na zewnątrz od ścian i zakończonych pełniącymi wieczną straż chimerami. Połowa bestii (chimery protektorskie) była zwrócona na zewnątrz, druga połowa (chimery regulatorские) wyciągała łuskowate szyje, strzygła szpiczastymi uszami i spoglądała wąskimi jak szparki ślepiami do środka, w głąb rozpościerającego się w dole koncentu. W cieniu pod galerijką znajdowały się wciśnięte między podpory toporne

matemowe łuki okien siedziby Regulatorki. Niewiele było miejsc na terenie koncentu, których nie dałoby się dostrzec z tych okien. Wszystkie takie miejsca znaleźmy, rzecz jasna, na pamięć.

Saunta, saunt: (1) W noworthyjskim: określenie wyrażające najwyższy szacunek, stosowane w odniesieniu do wielkich myślicieli (niemal zawsze pośmiertnie). *Uwaga:* zaakceptowane dopiero na konwoksie milenijnym w roku 3000 p.r. Wcześniej uważane za zniekształconą formę słowa „sawantka” i od niej się wywodzące. W napisach ritych w kamieniu, gdzie używa się wyłącznie wersalików, zapisywane SAVANT (a także skracane do postaci ST, gdy artyście zabraknie miejsca). W okresie po Trzeciej Łupieży, kiedy wszelkie standardy mocno podupadły, litery U i V coraz powszechniej mylono i utożsamiano ze sobą (jest to tzw. „problem leniwego kamieniarza”), na skutek czego rozpowszechniła się forma SAUANT, wkrótce uproszczona do formy *saunt* (dziś powszechnie akceptowanej), a nawet *sant* (nadal uważanej za błędną). W piśmie dopuszcza się użycie skrótu *St*. W niektórych bardziej tradycyjnych zakonach (a także z pewnością wśród milenarystów) do dziś stosuje się wymowę *sawant*, *sawantka*.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Tum wyrastał ze spłaszczonego kikuta skalnej ostrogi, stanowiącej zakończenie potężnego łańcucha górskiego. Od wschodu górowały nad nim poszczerbione skały matemu milenaryjnego, na wschodzie i południu rozpościerały się zabudowania innych matemów. Ten, w którym mieszkałem wraz z innymi dziesiętnikami, od tumu dzieliło ćwierć mili. Zadaszona galeria, złożona z siedmiu odcinków schodów spiętych podestami, łączyła nasz matem z kamiennym patio przed portalem, przez który dostawaliśmy się do tumu. Tą drogą podążała większość dziesiętników.

Zamiast jednak czekać, aż gromada starych suur przeciśnie

się przez wąskie gardło, zawróciłem do kapitulacza (będącego w rzeczywistości tylko rozszerzeniem okalającego klauzurę krużganka), skąd tylne wyjście prowadziło do zadaszonego przejścia oddzielającego kredownie od warsztatów. W znajdujących się w jego ścianach niszach upychaliśmy nasze niegotowe dzieła; zewsząd wystawały różki i skraje niedokończonych manuskryptów, z wolna żółknących i kurczących się na powietrzu, przez co korytarz zdawał się węższy niż w rzeczywistości.

Pokonałem go truchtem, schyliłem głowę pod niskim nadprożem i znalazłem się na łące rozpościerającej się u stóp skalnego występu, na którym zbudowano tum, i pełniące rolę bufora oddzielającego nas od matemu centenarystów. Kamienny mur o wysokości szesnastu stóp dzielił łąkę na dwoje. Setnicy hodowali na swojej połowie żywy inwentarz.

W czasach mojej kolekty my na swojej połowce po prostu kosiliśmy siano, ale kilka lat później, któregoś lata, fraa Lio i fraa Jesry'emu kazano wziąć motyki i szukać na łące roślin z Jedenastki. W jednym miejscu znaleźli trochę zielska, które przypominało błogoń. Wykopali je z korzeniami, zrzucili na stos na środku łąki i podpalili.

O zmierzchu nasza łąka zmieniła się w połać zwęglonej szczeci, a odgłosy z drugiej strony muru sugerowały, że sporo iskier przeskoczyło górą do setników. Nasi fraa i suur utworzyli kordon ochronny na granicy oddzielającej łąkę od kłębów, z których czerpaliśmy większość naszego pożywienia. Ta ostatnia linia obrony sięgała aż do rzeki. Podawaliśmy sobie z rąk do rąk kubły - pełne (znad rzeki) lub puste (z powrotem) - i obficie polewaliśmy wodą te kłęby, które wydawały się najbardziej zagrożone płomieniami. Nie powinno to dziwić nikogo, kto widział zadbane kłęby pod koniec lata: zalega na nich ogromna ilość biomasy, o tej porze roku tak suchej, że z łatwością mogła zająć się ogniem.

Zastępca Regulatorki, pełniący wtedy służbę, zeznał w śledztwie, że w początkowej fazie pożaru gęsty dym

uniemożliwił ocenę sytuacji, przez co nie mógł się zorientować w rozmiarach szkód wywołanych przez Lio i Jesry'ego. Zdarzenie zapisano więc w kronice jako nieszczęśliwy wypadek, a fraa wykpił się pokutą. Ja jednak wiem - bo Jesry później mi powiedział - że kiedy ogień ze sterty błogonia zaczął się rozprzestrzeniać na trawę, Lio, zamiast próbować go zdeptać, zaproponował zastosowanie dronu ognia i rozpalenie przeciwognia. Niestety, w ten sposób tylko pogorszył sprawę i Jesry musiał odciągnąć go w bezpieczne miejsce, zanim Lio zaczął rozpalać przeciw-przeciwogień, aby powstrzymać pożar, który miał zdusić pierwotny pożar, ale wymknął się spod kontroli. Zajmując się Lio, zmuszony był porzucić swoją sferę, która z jednej strony stwardniała od gorąca, zmętniała i nigdy już nie odzyskała pełnej przejrzystości. Tak czy inaczej, pożar dał nam pretekst do wcielenia w życie planów, o których wcześniej tylko dyskutowaliśmy, czyli obsiania ziemi koniczyną i innymi kwiatami i rozpoczęcia hodowli pszczół. Dopóki extramuros funkcjonowała normalna gospodarka, mogliśmy sprzedawać miód na straganie przy Bramie Diennej, a za uzyskane w ten sposób pieniądze kupować towary trudno dostępne w koncencie. Gdyby zaś świat extramuros przeszedł w stadium postapokaliptyczne, moglibyśmy tenże miód po prostu zjeść.

Kiedy biegłem w stronę tumu, mur dzielący nas od setników miałem po prawej ręce. Nasze kłęby - równie wybujałe jak podczas tamtego pożaru - zostawiłem z tyłu, z lewej strony. Z przodu, nieco powyżej mnie, ciągnęły się Siedmiokrotne Schody, na których kłębili się deklaranci. W tłumie opatulonych zawojami fraa półnagi, szybko przemieszczający się Lio wyglądał jak mrówka niewłaściwego koloru.

Prezbiterium, serce tumu, było zbudowane na planie ośmiokąta (albo, jak najchętniej wyraziliby to teorowie, jego grupa symetrii była grupą zespolonych pierwiastków stopnia ósmego z jedyńki). Jego ściany wypełniał gęsty maswerk - w niektórych miejscach kamienny, w innych drewniany. Nazywaliśmy te ściany ekranami, co było nazwą nieco mylącą dla mieszkańców

extramuros, oglądających na ekranach szpile albo grających w gry. Dla nas ekran był po prostu ścianą z mnóstwem otworów; ażurową przegrodą, przez którą swobodnie przenikały dźwięki, światło i zapachy.

Z centrum tumu cztery nawy rozbiegały się w cztery strony świata. Jeśli widzieliście kiedyś ślub albo pogrzeb w arce deolatrów, nawa mogłaby być tą przestronną częścią wnętrza arki, w której goście stoją, klęczą, biczują się, tarzają po podłodze czy co tam akurat wypada im robić. Prezbiterium odpowiadałoby wówczas miejscu, w którym kapłan stoi przy ołtarzu. To właśnie te cztery nawy sprawiają, że widziany z daleka tum jest niezwykle szeroki u podstawy.

Przybyszów z extramuros, takich jak mistrz Flec, wpuszczano do koncentu przez Bramę Dzienną i pozwalano im obserwować przebieg rytów z północnej nawy, pod warunkiem, że nie przenosili żadnych zaraźliwych świństw i umieli się zachować. Tak to przynajmniej wyglądało przez ostatnie półtora stulecia. Gdybyście weszli Bramą Dzienną, trafilibyście wprost do wejścia w północnej fasadzie tumu i środkiem północnej nawy doszlibyście do ekranu oddzielającego ją od prezbiterium. Można by wam wybaczyć, gdybyście pomyśleli, że cały tum składa się tylko z tej jednej nawy i ośmiokątnego pomieszczenia za przepierzeniem. Gość, który znalazłby się w nawie wschodniej, zachodniej lub południowej, popełniłby taki sam błąd. Ekran miał ciemne barwy od strony naw i jasne od strony prezbiterium, przez co wewnątrz prezbiterium było doskonale widoczne, ale wzrok nie sięgał przez nie na wskroś. W ten sposób w nawie powstawało złudzenie, że istnieje tylko ona i ma całe prezbiterium dla siebie.

Pusta wschodnia nawa była rzadko używana. Pytaliśmy starszych fraa i suur, dlaczego tak jest, ale zbywali nas machnięciem ręki i „tłumaczyli”, że to oficjalne wejście do tumu. Najwyraźniej było do tego stopnia oficjalne, że nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Dawniej stały tam organy, ale podczas Drugiej Łupieży zostały zdemontowane i wywiezione, a późniejsza,

udoskonalona wersja Dyscypliny zakazała używania wszelkich instrumentów muzycznych. Kiedy byliśmy młodszy, Orolo przez kilka lat wmawiał nam, że chodzą słuchy, jakoby wschodnia nawa miała zostać przeznaczona dla decemilenarystów, gdyby Koncern Saunta Edhara zdecydował się założyć taki matem.

- Sześćset osiemdziesiąt dziewięć lat temu złożono milenarystom taką właśnie propozycję - mówił Orolo. - Za trzysta jedenaście lat dowiemy się, co postanowili.

Nawa południowa należała do centenarystów, dochodzących do niej przez swoją połowę łąki. Była dla nich o wiele za duża. Nas, dziesiętników, tłoczących się po sąsiedzku w znacznie mniejszej przestrzeni, fakt ten drażnił od ponad trzech tysięcy lat.

Zachodnia nawa miała najładniejsze witraże i najpiękniejsze rzeźbienia, ponieważ korzystali z niej unaryści, których matem był zdecydowanie najzamożniejszy. Nie zazdrościliśmy im jednak przestrzeni, ponieważ było ich dostatecznie dużo, aby zapełnić nawę.

Prezbiterium miało jeszcze cztery ażurowe ściany (północno-wschodnią, południowo-wschodnią, południowo-zachodnią i północno-zachodnią), tego samego kształtu i tych samych rozmiarów co ekrany wyznaczające główne kierunki, ale nie połączone z nawami z prawdziwego zdarzenia. Po ciemnej stronie tych czterech ekranów znajdowały się narożniki tumu, zagracone elementami konstrukcyjnymi, które dla ludzi były może niezbyt wygodne, ale konieczne, aby budowla się nie przewróciła. Nasz narożnik, południowo-zachodni, był zawsze najbardziej zatłoczony, ponieważ liczba dziesiętników zwykle sięgała trzech setek. Dlatego w celu powiększenia przestrzeni użytkowej dobudowano od tej strony pękate wieżyczki, wyraźnie zakłócające symetrię budynku.

Narożnik północno-zachodni przechodził w kompleks zabudowań należących do Prymasa i korzystali z niego tylko jego goście, on, strażnicy oraz inni hierarchowie; nie było tam tłoku. Południowo-wschodni róg zajmowali tysięcznicy: łączył się

bezpośrednio z ich fantastycznie rzeźbionymi kamiennymi schodami, które wiły się, pięły i zygzakowały po skalnej ścianie, prowadząc do ich skalnego gniazda.

Ostatni narożnik, północno-wschodni, znajdujący się naprzeciw naszego, był zarezerwowany dla itów. Wychodziło się zeń wprost do ich zadaszzonego slumsu wypełniającego przestrzeń między ścianą tumu i naturalnym urwiskiem, stanowiących w tym miejscu graniczny mur koncentu. Podobno wydrążonym w ziemi tunelem dostawali się wprost do maszynerii zegara, którą mieli konserwować - ale ta informacja, podobnie jak większość naszej wiedzy o itach, nie zasługiwała na większy szacunek niż bajanie staruszek.

Gdyby więc policzyć tylko oficjalne wejścia, do wnętrza tumu prowadziło osiem dróg. Wytwory architektury matematycznej sływały jednak ze swojej złożoności, toteż w gmachu nie brakowało innych, mniejszych drzwiczek, rzadko używanych i znanych tylko wścibskim fidom.

Brnąłem przez pole koniczyny, szurając nogami i starając się nie rozdeptać żadnych pszczół, ale udało mi się wyprzedzić tłumek na Siedmiokrotnych Schodach. Dotarłem do Łąkowych Wrót, wstawionych w łuk wyrzeźbiony w litej skale. Po kamiennych schodkach dostałem się na poziom parteru tumu, przemknąłem przez stare, nędzne schowki, w których trzymano nieużywane szaty i naczynia ceremonialne, i znalazłem się w architektonicznym miszmaszu południowo-zachodniego narożnika, nam, dziesiętnikom, służącego za nawę. Tłoczący się fraa i suur co rusz wchodzili mi w drogę, ale wszędzie tam, gdzie jakaś przypora zasłaniała widok, zawsze zostawało trochę wolnego miejsca. W jednym z takich pustych zakątków znajdowała się nasza szafa, której zawartość w większości leżała w tej chwili na podłodze. Fraa Jesry i fraa Arsibalt stali obok, już odziani w szkarłaty i wyraźnie zirytowani. Fraa Lio pławił się w jedwabiach, szukając swojej ulubionej szaty, a ja przyklęknąłem na kolano i wybrałem jedną z tych, które mu się nie podobały. Narzuciłem ją, przewiązałem, sprawdziłem, czy nie będzie mi się plątała pod

nogami, i stanąłem za Jesrym i Arsibaltem. Chwilę później Lio zajął miejsce za moimi plecami. Wyszliśmy z cienia kolumny i klucząc w tłumie, ruszyliśmy w stronę ekranu. Prowadził Jesry, który nie bał się używać łokci, ale nie było aż tak tłoczno, żeby musiał się do tego posuwać: przybyła najwyżej połowa dziesiętników, reszta szykowała się do apertu. Nasi fraa i suur zasiedli w równych rzędach: ci najbliżej ekranu na podłodze, a następni na swoich sferach - najpierw powiększonych do rozmiarów ludzkiej głowy, potem coraz większych, aż siedzący w ostatnim rzędzie mieli sfery wyższe niż oni sami, rozciągnięte jak błoniaste balony, które nie przetaczały się i nie zrzucały właścicieli na kamienną posadzkę tylko dlatego, że były upakowane między ścianami ciasno jak jajka w pudełku.

Pra-fraa Mentaxenes otworzył małe drzwiczki w naszym ekranie. Mentaxenes był bardzo stary i naszym zdaniem tylko codzienne otwieranie i zamykanie tych drzwiczek utrzymywało go jeszcze przy życiu. Po kolei wstąpiliśmy w tacę sproszkowanej żywicy, żeby stopy nie ślizgały się nam później na posadzce.

Przeszliśmy gęsiego przez drzwi i - jak kryształki cukru wrzucone do kubka z herbatą - rozpuściliśmy się w rozległej przestrzeni. Coś w budowie prezbiterium upodabniało je do zbiornika, w którym zbiera się całe światło, jakie kiedykolwiek padło na jego zawartość.

Gdybyście, stojąc przy ażurowej przegrodzie, podnieśli wzrok, waszym oczom ukazałby się wysklepiony strop tumu, wznoszący się blisko dwieście stóp nad waszymi głowami i rozjaśniany światłem wlewającym się przez umieszczone w latarni witraże. Powódź blasku na jasnych wewnętrznych powierzchniach ekranów nie pozwalała za nie zajrzeć i stwarzała złudzenie, że mamy cały tum dla siebie. Tysięcznicy, którzy przybyli na kwalifik po obudowanych murem i zadaszonych schodach, oglądali nas w tej chwili zza swojej ażurowej przegrody. Nie widzieli jednak mistrza Fleca, on bowiem, w żółtej koszulce i ze szpilołapem w ręce, zajął miejsce w północnej nawie. Flec także ich nie widział, ale zarówno oni, jak i on mogli bez przeszkód

śledzić przebieg certyfiku, który miał zostać odprawiony w prezbiterium w takiej samej formie jak przed jednym, dwoma czy trzema tysiącami lat.

Praesidium wspierało się na czterech kamiennych, ozdobnie żłobkowanych nogach, przebijających na wylot prezbiterium oraz - jak sobie wyobrażałem - leżącą pod nim kryptę, w której itowie doglądali mechanizmu zegara. Wychodząc na środek pomieszczenia, mijaliśmy jeden z tych filarów. Nie miał okrągłego przekroju, lecz kanciasty, lekko wydłużony po przekątnej, jak stateczniki dawnych rakiet, chociaż nie był aż tak smukły, jak to porównanie mogłoby sugerować. Wyminąwszy go, znaleźliśmy się w samym środku prezbiterium, gdzie wzrok sięgał dwakroć wyżej, pod sam szczyt praesidium, na którym zbudowano gwiazdny krąg. Stanęliśmy w zabarwionych żywicą zagłębieniach w posadzce.

W ekranie Prymasa otworzyły się drzwi i wyszedł przez nie mężczyzna w szacie bardziej ozdobnej niż nasze i fioletowej - kolor ów oznaczał hierarchę. Najwidoczniej Prymas był zajęty (zapewne przygotowaniami do apertu) i przysłał jednego ze swoich asystentów. Wraz z nim przybyli inni hierarchowie. Fraa Delrakhones, Protektor, zajął miejsce na krześle na lewo od tronu Prymasa. Suur Trestanas, Regulatorka, usiadła po jego prawej stronie.

Za przepierzenia unarystów wynurzyło się piętnaścioro odzianych w zieleń fraa i suur - po troje śpiewających sopranem, altem, tenorem, barytonem i basem. Prowadzenie śpiewów przypadało po kolei różnym zakonom; po unarystach nie należało się spodziewać wybitnego występu, mimo że na ćwiczenia mieli prawie rok.

Hierarcha wypowiedział słowa rozpoczynające ryt i przestawił dźwignię uruchamiającą kwalifik.

Gdybyście umieli czytać z tarcz zegara, powiedziałyby wam, że jeszcze przez dwa dni obowiązuje czas zwykły. Oznaczało to, że nie ma żadnego święta, nie trwa żaden festiwal i liturgia nie jest poświęcona żadnemu wyróżnionemu tematowi,

lecz koncentruje się na niespiesznym i nieregularnym przedstawianiu naszej historii, żebyśmy nie zapomnieli, w jaki sposób posiadliśmy całą naszą wiedzę. W pierwszej połowie roku traktowała o wydarzeniach przed Rekonstrukcją, w drugiej - o wszystkim, co wydarzyło się później. Dzisiaj miała być poświęcona pracom z teorii grup skończonych, których autor, saunt Bly, został trzynastcie wieków temu odrzucony przez Regulatora i zmuszony dożyć swoich dni na skalnym występie, otoczony przez sługów, czczących go jak boga. Zdołał ich nawet przekonać, żeby przestali zażywać błogoń, ale wtedy się na niego zdenerwowali, zabili go i zjedli jego wątrobę, błędnie mniemając, że to ona była u niego organem odpowiedzialnym za myślenie. Jeśli żyjecie w koncencie, z kronik dowiedziecie się więcej na temat saunta Bly'a; jeśli nie, to mogę was zapewnić, że znamy tyle podobnych historii, że można by przez całe życie codziennie uczestniczyć w kwalifikach i nie usłyszeć dwa razy tej samej opowieści.

O czterech filarach praesidium już wspomniałem. Na samym środku prezbiterium, na centralnej osi całego tumu, zwieszał się łańcuch z obciążnikiem. Sięgał tak wysoko w górę, w przestrzeń nad naszymi głowami, że jego punkt zaczepienia niknął w półmroku i pokładach kurzu.

Obciążnikiem była gruda szarego metalu o dziobatej powierzchni, jakby przeżarta przez robaki: żelazowo-niklowy meteoryt, liczący sobie cztery miliardy lat i zbudowany z tego samego materiału co jądro Arbre. Przez blisko dwadzieścia cztery godziny, jakie upłynęły od poprzedniego kwalifiku, zdążył zjechać tak nisko, że, wyciągnąwszy rękę, prawie można by go dotknąć. Zwykle obniżał się regularnie, w stałym tempie, ponieważ napędzał zegar, ale dwa razy na dobę - o świcie i o zachodzie słońca, kiedy dostarczał energii niezbędnej do otwarcia i zamknięcia Bramy Diennej - opadał na tyle gwałtownie, że przypadkowi gapie rozbiegali się w popłochu.

Były jeszcze cztery inne, niezależnie poruszające się łańcuchy z obciążnikami. Mniej rzucały się w oczy, ponieważ nie

zwisły w samym środku prezbiterium i wolniej się przemieszczały. Poruszały się po metalowych szynach przymocowanych do filarów. Ich obciążniki miały regularne kształty brył foremnych: sześcianu, ośmiościanu, dwunastościanu i dwudziestościanu. Zostały wykute z czarnego wulkanicznego kamienia, który pozyskano z klifów Ecbu i przewieziono pociągiem lodowym przez biegun północny. Podnosiły się odrobinę przy każdym nakręceniu zegara. Sześcian opadał raz w roku i otwierał Bramę Roku, a ośmiościan raz na dziesięć lat i napędzał Bramę Dekady, oba więc znajdowały się w tej chwili dość wysoko na swoich przewodnicach. Dwunastościan i dwudziestościan dostarczały energii - odpowiednio - Bramom Stulecia i Milenium. Pierwszy z nich znajdował się w dziewięciu dziesiątych wysokości, drugi w około siedmiu dziesiątych. Wystarczyło więc rzucić na nie okiem, aby stwierdzić, że jest rok mniej więcej trzy tysiące sześćset osiemdziesiąty dziewięty.

Znacznie wyżej w praesidium, w górnych obszarach chronotchlani (obszernej przestrzeni za tarczami, gdzie łączyły się wszystkie mechanizmy), znajdowała się hermetyczna kamienna komora, w której był zamknięty szósty obciążnik: kula szarego metalu, poruszająca się w górę i w dół po nagwintowanym pręcie. Kula napędzała zegar w tym czasie, kiedy my go nakręciliśmy, poza tym zaś ruszyłaby z miejsca tylko wówczas, gdyby meteoryt opadł aż na posadzkę - czyli gdybyśmy nie odprawili certyfiku. Wówczas zegar powinien dla zaoszczędzenia energii odłączyć się od mechanizmu i przejść w stan hibernacji, w którym napędzany byłby tylko powolnym ruchem metalowej kuli - do czasu, aż znowu zostanie nakręcony. W przeszłości zdarzyło się to zaledwie kilkakrotnie - podczas każdej z trzech Łupieży oraz przy kilku wyjątkowych okazjach, kiedy wszyscy mieszkańcy koncentu ciężko zachorowali i nie byli w stanie odprawić certyfiku. Nikt nie wiedział, jak długo zegar działałby w takim trybie awaryjnym, ale powszechnie przypuszczano, że w grę wchodzi okres rzędu stu lat. Wiedzieliśmy, że funkcjonował w ten sposób po Trzeciej Łupieży, kiedy tysięcznicy zabarykadowali się w swoim skalnym gnieździe,

a reszta koncentu przez siedem dziesięcioleci pozostawała niezamieszкана.

Wszystkie łańcuchy bieły w górę, w głąb chronotchlani, gdzie były zaczepione do obrotowych trzpieni połączonych przekładniami i wychwykami, za których czyszczenie i konserwację odpowiadali itowie. Główny łańcuch napędowy (ten biegnący pośrodku i obciążony meteorytem) łączył się ze skomplikowanym systemem przekładni i mechanizmów, sprytnie ukrytym we wnętrzu filarów i sięgającym aż do krypty pod naszymi nogami. Jedynym jego elementem widocznym dla nie-itów była szeroka, okrągła piasta, wyrastająca z podłogi prezbiterium i przywodząca na myśl ołtarz. Na wysokości barków dorosłego człowieka sterczały z niej cztery poziome kołki, każdy o długości około ośmiu stóp. W stosownym momencie nabożeństwa Jesry, Arsibalt, Lio i ja stanęliśmy przy końcach tych drągów i położyliśmy na nich ręce, po czym, gdy rozbrzmiał odpowiedni takt peanatemy, naparliśmy na nie całym ciężarem, jak marynarze, którzy obracając kabestan, podnoszą kotwicę. Kłopot w tym, że jedyną rzeczą, jaka się poruszyła, była moja prawa stopa: oderwała się od podłogi i ześliznęła kilka cali wstecz, zanim znalazła oparcie. Połączone siły naszej czwórki nie wystarczyły, żeby pokonać tarcie statyczne łożysk i kół zębatach dzielących nas od trzpienia setki stóp nad naszymi głowami, z którego zwisał łańcuch z meteorytem. Gdyby udało się go odblokować, utrzymalibyśmy go w ruchu, ale pierwsze poruszenie wymagało albo potężnego szarpnięcia (gdybyśmy chcieli posłużyć się tylko siłą fizyczną), albo (gdybyśmy woleli wykazać się sprytem) delikatnego potrząśnięcia, lekkiej wibracji. Różni praksyny rozwiązałyby ten problem na różne sposoby. My w Sauncie Edharze używaliśmy do tego naszych głosów.

Dawno, dawno temu, kiedy z czarnych skał Echy wyrastały marmurowe kolumny Oritheny, codziennie przed południem wszyscy teorowie świata zbierali się pod wielką kopułą. Ich przywódca (najpierw Adrakhones, później Diax lub któryś z jego fidów) stawał na analemie i czekał, aż snop światła z oculusa

padnie prosto na niego, co następowało w samo południe. Dla uczczenia tej chwili teorowie śpiewali peanatemę ku czci Naszej Matki Hylaei, która przyniosła nam światło swojego ojca, Cnoüsa. Po zniszczeniu Oritheny ryt ten poszedł w zapomnienie, a ocalali teorowie rozproszyli się w Peregrynacji. Dopiero znacznie później, kiedy teorowie wycofali się do matemów, Saunta Cartas oparła na nim liturgię, praktykowaną później przez całą Starą Epokę Matemową. Podczas Rozproszenia do Nowych Peryklinów i następującej po nim Epoki Praksis ryt znowu wyszedł z użycia - ale tylko po to, by po Straszliwych Wypadkach i Rekonstrukcji wrócić do łask w nowej formie, w której jego osią stało się nakręcanie zegara.

Peanatema Hylaejska doczekała się tysięcy różnych wersji, gdyż każdy deklarant z zacięciem kompozytorskim musiał przynajmniej raz w życiu się do niej przymierzyć. Wszystkie wykorzystywały te same słowa i strukturę, ale między sobą różniły się tak bardzo, jak potrafią się różnić chmury. Najstarsze warianty były monofoniczne - czyli każdy głos śpiewał w nich tę samą nutę. W Sauncie Edharze śpiewaliśmy odmianę polifoniczną: rozpisaną na głosy prowadzące różne melodie, które splatając się i nakładając, tworzyły harmonijną całość. Jednorazowcy w zielonych szatach śpiewali tylko niektóre fragmenty; reszta głosów dobiegała zza ekranów. Zgodnie z tradycją najniższe tony wyśpiewywali tysięcznicy; mówiło się, że znają specjalne techniki rozluźniania strun głosowych - i ja w to wierzyłem, ponieważ w naszym matemie nikt nie umiał wydobyć z siebie takich basów, jakie podczas certyfiku płynęły zza przepierzenia milenarystów.

Peanatema zaczynała się bardzo prosto, ale później komplikowała się tak bardzo, że z trudem dawało się za nią nadażyć. Kiedy jeszcze mieliśmy organy, ich obsługa wymagała czterech organistów, którzy musieli grać jednocześnie rękami i nogami. W dawnych czasach ta część peanatemy symbolizowała poprzedzający Cnoüsa chaos nieuporządkowanej myśli. Kompozytor aż nadto dobrze zdawał sobie z tego sprawę, gdyż w tej fazie utworu ucho ludzkie gubiło się w kakofonii. A potem

nagle na przestrzeni paru taktów wszystkie głosy łączyły się w jeden czysty ton (przypominało to trochę oglądanie jakiejś bryły geometrycznej, mającej na pierwszy rzut oka kompletnie przypadkowy kształt; wystarczyło ją jednak minimalnie obrócić, aby wszystkie płaszczyzny i wierzchołki ustawiły się we właściwy sposób i pozwoliły nam docenić, co naprawdę tworzą), który, rezonując w świetlistej studni, wprawiał cały tum w drzenie.

Czy to za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności, czy dzięki kunsztowi praksyków wibracja wystarczyła, by złamać wiążącą trzpień pieczęć tarcia statycznego. Lio, Arsibalt, Jesry i ja omal się nie przewróciliśmy, kiedy piasta zaczęła się obracać - mimo że się tego spodziewaliśmy. Chwilę później luz na przekładniach został wybrany, a zawieszony nad naszymi głowami meteoryt zaczął się pomalutku wznosić. My zaś wiedzieliśmy, że po kolejnych dwudziestu taktach możemy się spodziewać spadającego z wysokości kilkuset stóp deszczu kurzu i nietoperzowego guana, które przez ostatnią dobę zebrały się na górze.

W starożytnej liturgii następny fragment przedstawiał chwilę, w której na Cnoüsa spłynęło oświecenie. Pieśń rozszczepiła się na dwa konkurencyjne tony: jeden reprezentował Deät, drugi Hylaeę - córki Cnoüsa. Drepcząc po prezbiterium w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, zrównaliśmy nasz krok z rytmem peanatemy. Meteoryt wznosił się w tempie około dwóch cali na sekundę i miał się zatrzymać dopiero przy górnym ograniczniku, za mniej więcej dwadzieścia minut. Obracały się również - choć znacznie wolniej - zębatki czterech pozostałych łańcuchów. Podczas całego certyfiku sześcian podniesie się o stopę, ośmiościan o cal i tak dalej. A nad sklepieniem prezbiterium metalowa kula osuwała się powoli po nagwintowanym pręcie, napędzając zegar przez czas potrzebny nam do nakręcenia go.

Powinienem w tym miejscu zaznaczyć, że do napędzania zegara (choćby nawet największego) przez dwadzieścia cztery godziny nie trzeba aż tyle energii. Większość siły, którą

wkładaliśmy w kręcenie kabestanem, szła na zasilanie przeróżnych dodatków, takich jak kuranty, bramy, Wielkie Planetarium przy Bramie Diennej, inne mniejsze planetaria oraz teleskopy w gwiazdnym kręgu.

O żadnej z tych rzeczy nie myślałem, popychając wetknięty w piastę drąg. Owszem, spojrzałem na prezbiterium świeżym okiem, ponieważ wiedziałem, że obserwuje nas mistrz Flec, i próbowałem sobie wyobrazić, jak mam mu objaśnić przebieg rytu, gdyby przyszło mu do głowy zapytać. Zanim jednak znaleźliśmy właściwy rytm kroków, moje serce zaczęło regularnie łomotać w piersi, a z czubka nosa skapywał mi pot, i zapomniałem o Flecu. Śpiew jednorazowców brzmiał lepiej, niż się spodziewałem - z pewnością nie aż tak źle, żeby zwracać na siebie uwagę. Przez minutę lub dwie dumałem nad historią saunta Bly'a. Potem zamyśliłem się nad sobą i swoją rolą w świecie. Wiem, że był to z mojej strony przejaw egoizmu i że nie takie sprawy powinny mnie zaprzątać podczas rytu, ale zawsze najtrudniej jest wyzbyć się myśli nieproszonych i niepożądanych. Może poczytacie mi to za przejaw złego gustu, że dzielę się z wami swoimi przemyśleniami; uznacie za zbędny akcent osobisty, uczynek wręcz nieprzyzwoity, zły przykład dla innych fidów, którzy mogą w przyszłości znaleźć moją relację porzuconą w którejsz z nisz. Ale to też jest część mojej opowieści.

Tamtego dnia, nakręcając zegar, zastanawiałem się, jak by to było wspiać się na galeryjkę w siedzibie Protektora i skoczyć z niej w dół.

Jeżeli wydaje się wam to niepojęte, prawdopodobnie nie jesteście deklarantami. Spożywane przez was jedzenie pochodzi z roślin, część genów których wzięto z sekwencji jestokeju albo może nawet jakiegoś mocniejszego specyfiku. Nie powinniście miewać melancholijnych refleksji, a jeśli nawet jakieś się wam przytrafią, możecie je z łatwością rozproszyć. Ja nie miałem tej możliwości, za to zaczynałem mieć dość towarzystwa takich myśli. Aby je uciszyć, mogłem za tydzień wyjść przez Bramę Dekady, zamieszkać z moją rodziną (o ile zechciałaby mnie

przyjąć) i zacząć odżywiać się tak jak ona - albo wejść po schodach, które z naszego narożnika wspinały się spiralą pod szczyt tumu.

Mistagog: (1) We wczesnym średniorthyjskim: teoryk specjalizujący się w rozważaniu nierozwiązanych problemów, zwłaszcza taki, który wprowadza w tę dziedzinę fidów. (2) W późnym średniorthyjskim: przedstawiciel szkoły, która zdominowała matemy w okresie od dwunastego wieku ujemnego do Odrodzenia. Mistagodzy utrzymywali, że nierozstrzygnięte do tej pory problemy teoretyczne są nierozwiązywalne, zniechęcali do prowadzenia prac teoretycznych, zamykali biblioteki oraz fetyszyzowali tajemnice i zagadki. (3) W orthyjskim Epoki Praksis i późniejszym: pejoratywne określenie każdego człowieka, który przypomina tych z punktu (2).- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Czy ludzie umierają z głodu? Czy raczej chorują, bo są nadmiernie otyli?

Mistrz Quin zamyślił się i podrapał po brodzie.

- Rozumiem, że masz na myśli slogów? - zapytał.

Fraa Orolo wzruszył ramionami.

Quin uznał, że to zabawne, a w odróżnieniu od mistrza Fleca nie bał się głośno śmiać.

- Można by powiedzieć, że jedno i drugie jednocześnie - odparł w końcu.

- Doskonale - oznajmił fraa Orolo takim tonem, jakby chciał powiedzieć „nareszcie do czegoś dochodzimy”, i spojrzął na mnie, by się upewnić, że wszystko zapisuję.

Po spotkaniu z Flekiem odbyłem rozmowę z Orolem.

- Po co ci ten pięćsetletni kwestionariusz, ojcze? To trochę dziwne.

- To osiemsetlenia kopia kwestionariusza sprzed tysiąca stu lat - poprawił mnie.

- Co innego, gdybyś był setnikiem, ale dlaczego świat miałby się tak dramatycznie zmienić przez ostatnie dziesięć lat?

Fraa Orolo wyjaśnił mi, że od czasu Rekonstrukcji zanotowano czterdzieści osiem przypadków gwałtownych zmian w obrębie dekady i że dwie z tych zmian doprowadziły do Łupieży, toteż można chyba uznać, że zmiany zachodzące szybko są najważniejsze. Z drugiej strony - dziesięć lat było dla zanurzonego w codzienności mieszkańca extramuros dostatecznie długim okresem, aby zmiany uszły jego uwagi. Dlatego dziesiętnik odczytujący rzemieślnikowi pytania z liczącego jedenaście stuleci kwestionariusza mógł w istocie wyświadczać przysługę extramuros (zakładając, że ktoś stamtąd w ogóle zwróciłby na to uwagę). To by tłumaczyło, dlaczego państwo sekularne nie tylko nas tolerowało, ale także chroniło (z wyjątkiem tych okresów, kiedy tego nie robiło).

- Człowiek, który codziennie przy goleniu ogląda znamię na swoim czole, może nie zauważyć zmiany w jego wyglądzie. Lekarz, który widzi je raz na rok, z łatwością rozpozna raka.

- Pięknie - powiedziałem. - Ale nigdy wcześniej nie przejmowałeś się państwem sekularnym. Jakie są twoje prawdziwe intencje?

Udał zaskoczonego moim pytaniem, ale widząc, że nie dam się łatwo zbyć, wzruszył ramionami.

- Rutynowy test ODP.

- Co to jest ODP?

- Odłączenie dziedziny przyczynowej.

To był ostateczny dowód, że Orolo mnie nabiera. Ale kiedy ze mnie żartował, czasem miał odrobinę racji.

Nie, poprawka: zawsze miał rację, a ja tylko czasem to dostrzegałem. Podparłem więc brodę dłońmi i mruknąłem:

- W porządku. Otwórz śluzy.
- Zaczniemy od tego, że dziedzina przyczynowa to zbiór obiektów połączonych więzami przyczynowo-skutkowymi.
- Przecież wszystko we wszechświecie jest w ten sposób połączone, prawda?
 - To zależy od ułożenia stożków świetlnych. Nie mamy na przykład wpływu na to, co wydarzyło się w przeszłości. Niektóre obiekty są z kolei zbyt daleko, by oddziaływać na nas w jakikolwiek znaczący sposób.
 - Mimo wszystko nie da się nakreślić wyraźnej granicy oddzielającej dziedzinę przyczynową.
 - W sensie ogólnym rzeczywiście nie. Jednakże więzi przyczyn i skutków łączą cię ze mną znacznie ściślej niż z obcym z jakiejś odległej galaktyki. A zatem z dokładnością do stopnia precyzji, jaki jesteśmy skłonni zaakceptować, można powiedzieć, że ty i ja należymy do jednej dziedziny przyczynowej, a obcy należy do innej.
 - No dobrze: jaki stopień precyzji jest dla ciebie do przyjęcia, ojcze Orolo?
 - Zgodzisz się, że głównym celem życia w zamkniętym matemie jest ograniczenie do minimum związków przyczynowo-skutkowych łączących nas ze światem extramuros?
 - Społecznych. Kulturalnych. Nawet ekologicznych, zgoda. Ale przecież oddychamy tym samym powietrzem, słyszymy przejeżdżające za murem moby... Na czysto teoretycznym poziomie nie może być mowy o separacji przyczynowej!
 - Orolo mówił dalej, jakby w ogóle mnie nie słyszał:
 - Gdyby istniał inny wszechświat, całkowicie odcięty od naszego... Dwa wszechświaty, A i B, niepołączone absolutnie żadnymi więziami przyczyny i skutku. Czy czas w nich płynąłby tak samo?
 - To pytanie nie ma sensu - odparłem po chwili zastanowienia.
 - Zabawne... - mruknął lekko zirytowany Orolo. - Mnie się wydaje całkiem sensowne.

- To zależy od tego, jak chcesz mierzyć czas.

Fraa Orolo milczał.

- A właściwie od tego, czym jest czas.

Następne kilka minut zajęło mi podążanie ścieżkami kolejnych wyjaśnień, ale wszystkie kończyły się ślepo.

- Chyba muszę się odwołać do Bezmianu - powiedziałem w końcu. - Wybieram najprostszą odpowiedź, dla której nie znajduję kontrargumentów. A najprostszą odpowiedź brzmi: czas we wszechświatach A i B płynie niezależnie.

- Dlatego że są osobnymi dziedzinami przyczynowymi.

- Właśnie.

- A gdyby te dwa wszechświaty, równie wielkie, stare i złożone jak nasz, były całkowicie rozłączne poza jednym jedynym fotonem, który jakimś cudem pokonał dzielącą je pustkę? Czy to by wystarczyło, aby na wieczność zsynchronizować czas w A i B?

Westchnąłem ciężko, jak zawsze, kiedy zatrzaskiwała się na mnie któraś z zastawionych przez Oroła pułapek.

- Albo inaczej... - ciągnął. - Czy jest możliwe, żeby między dwiema luźno połączonymi domenami istniało lekkie przesunięcie w czasie?

- Chcesz powiedzieć, że w rozmowie z mistrzem Flekiem próbowałeś ustalić, czy, kiedy po naszej stronie muru minęło dziesięć lat, extramuros nie upłynęło na przykład całe milenium?!

- Pytaniami nie mogłem chyba nikomu zaszkodzić - odparł.

Miałem wrażenie, że Orolo chce powiedzieć coś jeszcze, że ma na końcu języka jakąś krotchwilę. Uprzedziłem go:

- A ma to coś wspólnego z twoimi niesamowitymi historiami o wędrownym matemie dziesięciotysiącletnim?

Kiedy byliśmy jeszcze nieopierzonymi fidami, Orolo powiedział nam kiedyś, że znalazł w kronikach wzmiankę o tym, jak to gdzieś otworzyła się ze zgrzytem prastara brama i wyszli zza niej deklaranci, którzy twierdzili, że są obchodzącymi apert dziesięciotysięcznikami. Było to o tyle niedorzeczne, że deklaranci w znanej nam dziś formie istnieli wówczas dopiero od 3682 lat. Uznaliśmy więc, że opowiastka miała po prostu sprawdzić, czy

przyswoiliśmy sobie lekcje historii. Ale mogła przecież mieć jakiś głębszy, ukryty sens.

- Przez dziesięć tysięcy można sporo osiągnąć, jeśli człowiek się przyłoży do pracy - zauważył Orolu. - Na przykład znaleźć sposób na odcięcie wszystkich więzi przyczynowo-skutkowych ze światem extramuros.

- Bzdura. Przypisujesz decemilenarystom moce godne inkanterów.

- Ale gdyby ktoś faktycznie tego dokonał, jego matem stałby się odrębnym wszechświatem i czas płynąłby w nim innym rytmem. Odłączenie dziedziny przyczynowej stałoby się możliwe...

- Zgrabny eksperyment myślowy - przyznałem. - Doceniam to. I dziękuję za calcę. Proszę cię jednak, ojcze Orolu, powiedz, że nie spodziewasz się po otwarciu bram zobaczyć dowodów ODP.

- Najpilniej należy wypatrywać tego co niespodziewane.

- Czy w swoich wigwamach, namiotach, wysokościowcach czy gdzie tam mieszkacie...

- W przyczepach bez kół - wtrącił mistrz Quin. - Zazwyczaj.

- Doskonale. Czy macie w nich przedmioty, które myślą, choć nie są ludźmi?

- Mieliliśmy, ale wyrzuciliśmy je, kiedy przestały działać.

- Umiesz czytać? Nie chodzi mi o odcyfrowywanie logotypu...

- Nikt już nie używa logotypu. Masz na myśli takie symbole jak na metce od bielizny, żeby nie używać wybielacza? Coś w tym guście?

- Nie mamy tu bielizny ani wybielaczy - odparł fraa Orolu. - Tylko zawoje, sznury i sfery.

Poklepał okrywający go zwój materiału, sznur, którym był przepasany, i kulę, na której siedział.

Quin wstał i wstrząsnął całym ciałem w taki sposób, że sfrunęła z niego kurtka. Nie był zbyt muskularny, ale za to żyłasty od ciężkiej pracy. Wywrócił kurtkę na lewą stronę i pokazał nam wszyty przy kołnierzu pęk metek. Rozpoznałem logo firmy odzieżowej, zapamiętane sprzed dziesięciu lat, chociaż przez ten czas zostało trochę uproszczone. Pod spodem znajdowała się szachownica małych ruchomych obrazków.

- To są kinagramy - wyjaśnił Quin. - Wyparły logotyp.

Orolo, początkowo zaintrygowany, był wyraźnie rozczarowany widokiem kinagramów.

- Aha - powiedział uprzejmie. - Zwykle pyerdy.

Ja się zawstydziłem, a Quin zdębiał i zaczął stopniowo czerwienieć, jakby celowo próbował się rozżłościć.

- Fraa Orolo miał co innego na myśli! - zapewniłem go pospiesznie. Próbowałem podkreślić swoje słowa chichotem, ale wyszło mi tylko zdławione prychnięcie. - To starorthyjskie słowo.

- Podejrzanie podobne do...

- Wiem! Fraa Orolo zapomniał o tym, jakie budzi skojarzenia. Chodziło mu o coś zupełnie innego.

- Niby o co?

Fraa Orolo był zafascynowany naszą wymianą zdań: rozmawialiśmy o nim w taki sposób, jakby wcale go tam nie było.

- Że kinagramy w gruncie rzeczy nie różnią się od logotypu.

- Ależ różnią się! Są niekompatybilne. - Quin nie był już taki czerwony jak przed chwilą. Odetchnął głęboko, zamyślił się na moment, w końcu wzruszył ramionami. - Ale rozumiem, o co ci chodzi. Równie dobrze mogliśmy zostać przy logotypie.

- Jak sądzisz, dlaczego w takim razie został wyparty? - zainteresował się Orolo.

- Chodziło o to, żeby ludzie, którzy wprowadzili kinagramy, mogli zwiększyć swój udział w rynku.

Orolo zmarszczył brwi, przetrawiając te słowa.

- To też brzmi jak pyerd.
- Żeby mogli na tym zarobić - wyjaśnił Quin.
- Rozumiem. Jak im się to udało?
- Utrudniali stosowanie logotypu i na każdym kroku promowali kinagramy.
- To irytujące. Dlaczego się nie zbuntowaliście?
- Bo z czasem daliśmy sobie wmówić, że kinagramy naprawdę są lepsze. Tak że w gruncie rzeczy chyba masz rację, to wszystko pyer...
- Mów śmiało. To nie jest złe słowo.
- Nie powiem. Nie wypada tak mówić tutaj, w takim miejscu.
- Jak sobie życzysz, mistrzu Quin.
- Na czym stanęliśmy? - spytał Quin i sam sobie odpowiedział: - Pytałeś, czy umiem czytać te zamrożone litery, którymi zapisuje się orthyjski.
- Ruchem głowy wskazał mój arkusz, pomału ciemniejący od takiego właśnie pisma.
- Właśnie.
- Przeczytałbym je, gdybym musiał, bo rodzice kazali mi się ich uczyć. Ale na co dzień nie czytam, bo nie muszę. Co innego mój syn.
- Ojciec kazał mu się ich nauczyć? - domyślił się Orolo.
- Quin uśmiechnął się.
- Otóż to.
- I teraz czyta książki?
- Bez przerwy.
- Ile ma lat?
- To nie było pytanie z kwestionariusza.
- Jedenaście. I jeszcze nie spalili go na stosie - dodał Quin śmiertelnie poważnym tonem.
- Nie byłem pewien, czy Orolo rozpozna żart. Kpinę. Nie dał nic po sobie poznać.
- Macie tam przestępców?
- Oczywiście.

Słyszając tę odpowiedź, Orolo przeskoczył do następnego arkusza.

- Skąd wiesz?

- Słucham?!

- Powiedziałeś, że to oczywiste, ale kiedy na kogoś patrzysz, skąd wiesz, czy jest albo nie jest złoczyńcą? Piętnujecie przestępców? Robicie im tatuaże? Zamykacie ich? Kto decyduje o tym, kto jest, a kto nie jest przestępcą? Kobieta ze zgolonymi brwiami stwierdza „jesteś przestępcą” i dzwoni srebrnym dzwoneczkiem? A może jest to mężczyzna w peruce, który uderza młotkiem w klocek drewna? Przekładacie oskarżonych przez magnes w kształcie pączka z dziurką? Używacie rozwidłonego patyka, który wibruje w obecności zła? Czy cesarz wydaje werdykt z wysokości tronu, spisuje go szkarłatnym atramentem i pieczętuje czarnym woskiem? Czy oskarżony musi boso przejść po rozpalonej blasze? Może rozpowszechnione wytwory praksis ruchomych obrazów, przez was nazywane szpilołapami, wiedzą wszystko, ale ich sekrety może poznać tylko sąd złożony z eunuchów, z których każdy zapamiętał część długiego ciągu cyfr? A może tłum gromadzi się i obrzuca podejrzanego kamieniami, aż ten umrze?

- Nie mogę cię traktować poważnie - powiedział Quin. - Jak długo jesteś w koncencie, trzydzieści lat?

Fraa Orolo spojrzał na mnie z westchnieniem.

- Dwadzieścia dziewięć lat, jedenaście miesięcy, trzy tygodnie i sześć dni.

- Widać, że zakuwasz do apertu, ale nie wierzysz chyba, że świat extramuros aż tak bardzo się zmienił?!

Orolo znów posłał mi jedno z tych swoich spojrzeń.

- Mistrzu Quin... - powiedział po krótkiej pauzie, która miała przydać mocy jego słowom. - Mamy anno trzy tysiące sześćset osiemdziesiąty dziewięty po Rekonstrukcji.

- Mój kalendarz mówi mi to samo.

- Jutro zacznie się trzy tysiące sześćset dziewięćdziesiąty. Nie tylko unaryści będą obchodzić apert; my, decenaryści,

również. Zgodnie z odwiecznym zwyczajem otworzymy bramy naszego matemu, przez dziesięć dni będziemy mogli swobodnie opuszczać jego teren i przyjmować gości takich jak ty. Za dziesięć lat brama koncentu centenarystów otworzy się po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w moim życiu.

- A kiedy się zamknie... po której będziesz stronie?

Znów poczułem się zakłopotany, bo sam nigdy nie odważyłem się zadać takiego pytania, ale w duchu nie posiadałem się z zachwyty, że Quin mnie wyręczył.

- Jeżeli zostanę uznany za godnego tego zaszczytu, wolalbym znaleźć się w środku. - Fraa Orolo spojrział na mnie z lekkim uśmiechem, jakby czytał mi w myślach. - Jedno jest pewne: za mniej więcej dziewięć lat zostanę najprawdopodobniej wezwany do górnego labiryntu, oddzielającego mój matem od matemu centenarystów. Przejdę przez niego do ciemnego pomieszczenia z kratą. Za nią będzie czekał jeden z setników (chyba że wcześniej wszyscy wymrą, znikną albo zmienią się w coś innego), gotowy zadać mi pytania, które wydadzą mi się równie dziwaczne jak tobie moje. Oni także muszą przygotować się do apertu, tak jak my. Mają w swoich księgach odnotowane wszystkie praktyki sądowe, o jakich oni sami lub ich towarzysze z matemów słyszeli przez ostatnie trzy tysiące siedemset lat. Lista, którą przed chwilą ci wyrecytowałem, to zaledwie jeden akapit zaczerpnięty z księgi grubej jak moja ręka. A zatem nawet jeśli uważasz tę rozmowę za nedorzeczną, byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś mi po prostu opowiedział, w jaki sposób rozpoznajecie przestępców.

- Czy moja odpowiedź również trafi do takiej księgi?

- Jeżeli będzie w niej coś nowego, owszem.

- No cóż, nadal mamy sędziów, którzy przy pełni księżyca podróżują po świecie w opieczętowanych fioletowych pudłach...

- Pamiętam ich.

- Ostatnio jednak przybywają zbyt rzadko. Najwyżsi niezbyt dobrze ich chronili i wiele pudeł stoczyło się ze wzgór. Wtedy zainstalowano dodatkowe szpilolapy.

Fraa Orolo przełożył arkusze kwestionariusza.

- Kto ma do nich dostęp?

- Nie wiemy.

Orolo zaczął już odwracać stronicę, ale zanim znalazł tę właściwą, Quin dodał:

- Jeżeli ktoś popełni wyjątkowo ohydne przestępstwo, Najwyżsi wszczepiają mu na kręgosłupie taki przyrząd, który go w jakiś sposób okalecza. Czasowo. Później odpada i można normalnie żyć.

- To boli?

- Nie.

Nowy arkusz.

- Czy kiedy widzisz człowieka z takim urządzeniem na grzbiecie, umiesz stwierdzić, jakiej zbrodni się dopuścił?

- Tak, to jest tam napisane. W kinagramach.

- Kradzież? Napaść? Wymuszenie?

- Zdarzają się.

- Działalność wywrotowa?

- Nigdy kogoś takiego nie widziałem - przyznał Quin po długim namyśle.

- Herezja?

- Tym zajęłyby się chyba Niebiański Strażnik.

Fraa Orolo wznosił ręce do nieba ruchem tak gwałtownym, że zawój zsunął mu się z głowy, a nawet obnażył jedną pachę, po czym równie szybko opuścił je i ukrył twarz w dłoniach. Był to teatralnie sarkastyczny gest, którym chętnie posługiwał się w kredowni, kiedy któryś z fidów okazał się wyjątkowo tępy. Quin najwidoczniej doskonale go zrozumiał, bo na jego twarzy odbiło się zakłopotanie. Poruszył się niespokojnie na krześle, zadął głowę, opuścił ją i wyrzwał przez okno, które miał naprawić. Gest Orola był jednak nieodparcie zabawny i Quin doszedł do wniosku, że nic złego się nie stało.

- No dobrze... - powiedział w końcu. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale wychodzi na to, że mamy trzy systemy...

- Facetów w fioletowych pudłach, klamry na kręgosłup i

tego całego Niebiańskiego Strażnika, nowinę, o której ani ja, ani fraa Erasmus jeszcze nie słyszeliśmy - potwierdził Orolo i zaczął przerzucać kolejne stronicie kwestionariusza, drażąc coraz głębiej.

Quin doznał olśnienia.

- Nie wspomniałem o Strażniku, bo myślałem, że o nim wiecie!

Orolo znalazł właściwy arkusz i pospiesznie przejrzał jego treść.

- Bo twierdził, że przybywa z koncertu, przynosząc matemowe objawienie tym nielicznym, którzy są go warci.

- Otóż to. A to nieprawda?

- Nieprawda. Nie przybył z koncertu. - Orolo spojrział na Quina i widząc jego zaskoczoną minę, mówił dalej: - To się zdarza regularnie, co kilkaset lat: pojawia się jakiś szarlatan i przekonuje państwo sekularne do swoich racji, powołując się na swoje rzekome powiązania ze światem matemowym.

- Czy mistrz Flec... Czy on... jest adeptem, uczniem Niebiańskiego Strażnika? - wypaliłem, chociaż wiedziałem już, jak brzmi odpowiedź.

Quin i Orolo jednocześnie spojrzeli na mnie, obaj podekscytowani, chociaż z różnych powodów.

- Owszem - przytaknął Quin. - Kiedy pracuje, słucha jego wystąpień.

- To dlatego rejestrował szpil z certyfiku - domyśliłem się.

- Dlatego że Niebiański Strażnik twierdzi, że jest jednym z nas. Jeżeli będzie można powiedzieć, że nasz matem otacza aura tajemnicy albo... cudowności, to tym lepiej dla Strażnika: wyda się jeszcze potężniejszy. A skoro mistrz Flec jest jego uczniem, to wydaje mu się, że część tej chwały spłynie także na niego.

Orolo milczał, czym zrazu przyprowadził mnie o zakłopotanie, ale kiedy później analizowałem jego zachowanie, doszedłem do wniosku, że po prostu nie musiał nic dodawać, bo wszystko, co powiedziałem, było prawdą.

Za to Quin był wyraźnie skonsternowany.

- Flec nie zrobił szpilu.

- Jak to? - zdziwiłem się.

Fraa Orolo słuchał nas jednym uchem, rozmyślając o Niebiańskim Strażniku.

- Nie pozwolili mu - wyjaśnił Quin. - Miał za dobry szpilołap.

Fraa Orolo - stary i mądry - zaniepokoił się, zeszywniał i odął usta. Ja zaś, nie będąc ani starym, ani mądrym, zapytałem wprost:

- A co to ma niby znaczyć?

Dłoń Orola zacisnęła się na moim nadgarstku, uniemożliwiając mi notowanie. Miałem wrażenie, że drugą ręką najchętniej zatkałby Quinowi usta. Na razie jednak rzemieślnik mówił dalej:

- Megamatryca, redukcja drgań, dynazoom... Szpilołap z takimi funkcjami mógłby zajrzeć w każdy zakamarek tumu, nawet na drugą stronę ekranów. Tak w każdym razie twierdzą...

- Mistrzu Quin! - zagrzemiał fraa Orolo tubalnie, przyciągając uwagę wszystkich gości w bibliotece. Zniżył głos. - Obawiam się, że za chwilę powiesz nam coś, czego twój przyjaciel Flec dowiedział się od itów. Dlatego czuję się w obowiązku przypomnieć ci, że nasza Dyscyplina tego zakazuje.

- Przepraszam. Łatwo się w tym pogubić.

- Istotnie.

- No dobrze, zapomnijcie o szpilołapie. Jeszcze raz przepraszam. O czym mówiliśmy?

- O Niebiańskim Strażniku. - Fraa Orolo wyraźnie się odprężył i wreszcie puścił mój nadgarstek. - Ja ze swojej strony chciałbym tylko ustalić, czy jest odrzuconym, który z czasem został mistagogiem, czy tylko zwykłym potrząsaczem butelek. Ci pierwsi potrafią być niebezpieczni.

Kefedokhles: (1) Fid z Oritheny, który przeżył erupcję Ecby i

został jednym z Czterdziestu Pomniejszych Pielgrzymów. W podeszłym wieku zaczął bywać na peryklinie, chociaż niektórzy uczeni uważają, że musiał to być jego syn lub po prostu imiennik. Pojawia się jako postać drugoplanowa w licznych klasycznych dialogach, z których najsylniejszy jest *Uraloabus*, gdzie jego wtrącona w odpowiednim momencie przydługa dygresja pozwala Thelenesowi (*Uraloabus* swoim bezlitosnym sarkazmem rzucił go na kolana) odzyskać równowagę, zmienić temat i rozpocząć systematyczne unicestwienie myśli sfenickiej, które zajmuje trzecią część dialogu i kończy się publicznym samobójstwem tytułowego bohatera. Z pielgrzymiego etapu życia Kefedokhlesa do naszych czasów przetrwały trzy dialogi, z okresu jego kariery na peryklinie - osiem. Nie można odmówić mu talentu, sprawia jednak wrażenie nieznośnie zarozumiałego i pedantycznego (stąd też znaczenie 2). (2) Nieznośnie zarozumiały i pedantyczny interlokutor.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Rozumiem, o co chodzi z tymi odrzuconymi-mistagogami - powiedziałem później fraa Orolowi. Siedzieliśmy w kuchni przy refektarzu; ja kroilem marchewkę, on ją zjadał. - Domyślałem się również, dlaczego mogą być niebezpieczni: kipią gniewem, chcą wrócić do miejsca, gdzie obłożono ich peanatem, i wyrównać rachunki.

- Zgadza się. Właśnie dlatego ja i Quin spędziliśmy całe popołudnie u Protektora.

- Ale kto to jest potrzęsacz butelek?

- Wyobraź sobie szamana w społeczności, która nie umie wytwarzać szkła. Morze wyrzuca na brzeg szklaną butelkę i okazuje się, że ma ona zdumiewające właściwości. Szaman zatyka ją na kiju i wymachując nią, przekonuje współplemieńców, że część tych cech spłynęła na niego.

- Potrzęsacze nie są niebezpieczni?

- Nie. Zbyt łatwo można im zaimponować.

- A co ze slogami, którzy zjedli wątrobę saunta Bly'a? Im jakoś nie zaimponował.

Chcąc ukryć uśmiech, fraa Orolu udał, że zaintrygował go

jeden z ziemniaków.

- Celna uwaga, ale nie zapominaj, że saunt Bly mieszkał na odosobnionym wzgórzu. Sam fakt odrzucenia odseparował go od artefaktów i rytów, które najbardziej imponują społeczeństwu wytwarzającym potrzęsaczy.

- Co z Protektorem postanowiliście?

Po sposobie, w jaki fraa Orolo rozejrzał się po kuchni, zorientowałem się, że powinienem być bardziej dyskretny.

- Podczas apertu należy się spodziewać dodatkowych środków ostrożności.

- Państwo sekularne przyśle...? - Zniżyłem głos. - Sam nie wiem...

- Roboty z paralizatorami? Szwadrony konnych łuczników? Pojemniki z gazem usypiającym?

- Coś w tym rodzaju.

- To zależy od tego, jak bardzo Niebiańska Straż upodobniła się do gryzpiórków. - Fraa Orolo lubił nazywać przedstawicieli państwa sekularnego gryzpiórkami. - A to bardzo trudno stwierdzić. Ja w ogóle się na tym nie znam, ale to właśnie do rozwiązywania takich problemów powołano urząd Protektora. Jestem pewien, że fraa Delrakhones w tej chwili łamie sobie nad tym głowę.

- Czy to się może skończyć... no wiesz...

- Łupieżą? Lokalną albo powszechną? Gdyby miało dojść do Czwartej Powszechnej, do fraa Delrakhonesa na pewno dotarłyby jakieś plotki od innych Protektorów. Nawet lokalna Łupież wydaje się mało prawdopodobna. Nie zdziwiłbym się, gdyby w Dziesiątą Noc wybuchło małe zamieszanie, ale to właśnie dlatego przed apertem wynosimy wszystkie ważne rzeczy do labiryntów.

- W rozmowie z Quinem wspomniałeś, że radykalne zmiany extramuros dwukrotnie doprowadziły do Łupieży - zauważyłem.

Orolo zwlekał z odpowiedzią.

- Tak? - powiedział w końcu, ale zanim zdążyłem

zareagować, zrobił wesołą minę, jaką zawsze próbował rozweselić znudzonych fidów w kredowni. - Chyba nie przejmujesz się na serio groźbą Czwartej Powszechnej, co?

Zamordowałem kolejną marchewkę i trzy razy wymamrotałem pod nosem Grabie Diaksa.

- Trzy Łupieże Powszechne przez trzy tysiące siedemset lat to niezły wynik - ciągnął Orolo. - W świecie sekularnym statystyki wyglądają znacznie gorzej.

- Trochę się przejmuję - przyznałem. - Ale nie o to chciałem zapytać, zanim naskoczyłeś na mnie jak Kefedokhles.

Orolo nie odpowiedział - być może dlatego, że ściszałem w garści duży nóż. Byłem zmęczony i rozdrażniony. Nieco wcześniej zrobiłem w swojej sferze wgniecenie, przez co upodobniła się do kosza, i wyszedłem z nią na kłęby przy klauzurze - tylko po to, by stwierdzić, że zostały do czysta oskubane z warzyw. W poszukiwaniu produktów do gulaszu musiałem przejść na drugą stronę rzeczki i złupić kłęby rozciągające się między nią i murem.

Wziąłem do ręki marchewkę, której zdobycie kosztowało mnie tyle zachodu, i wycelowałem nią w niebo.

- Ty opowiadałeś mi tylko o gwiazdach - powiedziałem. - Historii uczyłem się od innych, głównie od fraa Corlandina.

- Pewnie powiedział ci, że to my byliśmy winni Łupieży - dodał Orolo, kładąc na „my” specyficzny akcent, którym sugerował, że ma na myśli wszystkich deklarantów w historii, począwszy od Matki Cartas.

Zdarzało się czasem, że kiedy pogadywałem sobie z Ostogłowym, wyciągał przed siebie rękę i szturchał mnie od niechcienia w obojczyk, a ja zaczynałem rozpaczliwie machać rękami, łapiąc równowagę; wiedziałem, że jeszcze jedno takie pchnięcie i wyrznię jak długi. W taki ujmujący sposób Lio dawał mi do zrozumienia, że przyjąłem złą postawę, niezalecaną w jego księgach opisujących dron. Zawsze uważałem, że to bzdura, ale moje ciało swoją przesadną reakcją potwierdzało jego spostrzeżenia. Kiedyś podczas takiego wymachiwania rękami naciągałem sobie mięsień grzbietu. Bolał mnie potem przez trzy

tygodnie.

Zdanie wypowiedziane przez Orola w podobny sposób wytrąciło z równowagi mój umysł - a ja w podobnie przesadny sposób zareagowałem. Poczerwieniałem na twarzy, serce zaczęło mi bić szybciej. Czuję się jak uczestnik dialogu, którego Thelenes właśnie sprowokował do palnięcia jakiejś głupoty i zaraz zacznie go szatkować jak marchewkę na desce do krojenia.

- Przecież po każdej Łupieży następowały reformy, prawda? - spytałem.

- Pozwól, że potraktuję twoje słowa Grabiami i powiem tak: każda Łupież doprowadzała do zmian, które do dziś utrzymują się w matemach.

Styl wypowiedzi Orola zdradzał, że faktycznie weszliśmy w dialog. Inni fraa przestali obierać ziemniaki i siekać zioła i otoczyli nas kręgiem, żeby być świadkami mojego splantowania.

- Nazywaj je jak chcesz - odparłem.

Prychnąłem z niedowierzaniem, gdyż nagle zdałem sobie sprawę, że dałem się podejść jak dzieciak; zupełnie jakbym klapnął na tyłek po pierwszym szturchnięciu fraa Lio. Nie powinienem był przywoływać Kefedokhlesa. Teraz za to zapłacę.

Nie mogłem się powstrzymać od wyrzżenia przez okno. Wychodziło na południe, na ogródek ziołowy wypełniający przestrzeń między kuchnią i najbliższymi kłębami, uprawianymi przez najstarszych fraa i suur, którzy dzięki temu nie musieli daleko chodzić. Dach miał z tej strony nisko zwieszający się okap, dzięki czemu słońce nie zaglądało do kuchni i niepotrzebnie jej nie nagrzewało. Suur Tulia i suur Ala siedziały pod oknem, w cieniu okapu, i cięły opony na podeszwy do sandałów. Nie chciałem, żeby słyszały, jak jestem plantowany, chociaż z różnych powodów: w Tulii się podkochałem, a Ala miałyby z tego ogromną uciechę. Na szczęście były - jak zwykle - zagadane i nie miały pojęcia, co się dzieje w kuchni.

- Nazywaj je jak chcesz? Ciekawie powiedziane, fidzie Erasmiasie. To znaczy, że mogę je nazwać marchewkami? Albo kafelkami?

Śmiechy zafurkotały w powietrzu jak wypłoszone z dzwonnicy wróble.

- Nie, ojciec Orolu, nie miałyby sensu twierdzenie, że po każdej Łupieży następowała marchewka.

- Dlaczegoż to, Erasmie?

- Ponieważ słowo *marchewka* znaczy co innego niż *reforma* albo *zmiana w matemach*.

- Zatem słowa mają zdumiewającą własność posiadania znaczeń, tak? A my powinniśmy pewnie uważać i starać się używać tych właściwych? Taki jest sens twojej wypowiedzi, czy coś pokręciłem?

- Dobrze to podsumowałeś, fraa Orolu.

- Może któryś ze słuchaczy, obeznany z naukami Nowego Kręgu i Zreformowanych Faanów Starych, dostrzegł błąd w tym rozumowaniu i chciałby nas poprawić?

Fraa Orolu powiódł po zebranych wokół nas fidach spokojnym wzrokiem żmii, która językiem sonduje powietrze. Nikt się nie poruszył.

- Świetnie. Widzę, że nikt nie chce przytoczyć nowatorskiej hipotezy saunta Proca, możemy zatem kontynuować, oparłszy się na założeniu, że słowa mają znaczenie. Jaka jest różnica między stwierdzeniami, że po Łupieżach następowały reformy i że po Łupieżach następowały zmiany w matemach?

- Przypuszczam, że chodzi o konotacje słowa *reforma* - zauważyłem.

Poddałem się już i przygotowałem na splantowanie - nie dlatego, że to lubiłem, ale dlatego, że niezwykle rzadko zdarzało mi się usłyszeć opinię fraa Orola na temat inny niż gwiazdy i planety.

- Zechciałbyś rozwinąć swoją wypowiedź? Nie mam takiej jak ty łatwości w posługiwaniu się słowami, fidzie, a nie chcę się pogubić w twoim wywodzie.

- Jak sobie życzysz, ojciec. Określenie *zmiany* wydaje mi się bardziej diaksowskie z ducha, odarte Grabiami z subiektywnych ocen emocjonalnych. Kiedy zaś mówimy o

reformach, powstaje wrażenie, że wcześniej coś było nie tak z zarządzaniem matematami i dlatego...

- Chcesz powiedzieć, że zasłużyliśmy sobie na Łupieżę? Że gryziپیórki nie miały innego wyjścia, jak nawiedzić nas i naprowadzić na właściwą drogę?

- Kiedy używasz takich słów, ojczyste Orolo, i wypowiadasz je takim tonem, najwyraźniej sugerujesz, że zmiany wcale nie były konieczne; że państwo sekularne niesłusznie je nam narzuciło.

Język płał mi się z emocji: dostrzegłem swoją szansę na zapędzenie Oroła w kozi róg. Rzecz w tym, że te reformy - czy zmiany - miały dla matematów znaczenie równie fundamentalne jak codzienny certyfik. Nie mógł opowiedzieć się przeciwko nim. On jednak spochmurniał i zrobił taką minę, jakby nie mieściło mu się w głowie, że dostajemy do jedzenia taką rzadką owsiankę.

- Powinieneś sobie przypomnieć *Saeculum* saunta Cartas.

Deklaranci, którzy dużo czasu spędzali, gapiąc się w teleskopy, słynęli z ekscentrycznego podejścia do nauki historii, więc się nie roześmiałem, ale inni fidowie wymienili porozumiewawcze uśmieški.

- Czytałem w zeszłym roku, ojczyste.

- Czytałeś zapewne wyjątki z jakiegoś przekładu na średniorhtyjski. Wiele takich przekładów powstało pod wpływem pre-proceńskiej mentalności, która zdominowała Starą Epokę Matematową na krótko przed pojawieniem się mistagogów. Możesz sobie chichotać, ale kiedy raz zwróci się na to uwagę, jest to oczywiste. Niektóre fragmenty są słabo przełożone, ponieważ tłumacz nie był pewny, co dokładnie znaczą. Później, kiedy musiał dokonać wyboru, te właśnie kawałki odrzucił w pierwszej kolejności, bo się ich wstydził. Dlatego lepiej zrobisz, czytając Cartas w oryginale. Starorhtyjski nie jest wcale taki trudny, jak niektórzy twierdzą.

- Czego się dowiem?

- W tym dziele, stanowiącym fundament świata matematowego, Saunta Cartas podkreśla, że matematy nie są wyrazem dostosowania się do *Saeculum*, lecz stoją w opozycji do niego.

Stanowią przeciwwagę.

- Czy to czasem nie jest przejaw syndromu obłądzonej twierdzy? - wtrącił jeden ze słuchaczy, usiłując sprowokować Orola.

- Nie przepadam za tym określeniem, ale jeśli zacznę się na ten temat rozwódzić, gulasz nigdy się nie ugotuje, a dwustu dziewięćdziesięciu pięciu głodnych deklarantów zażąda naszych głów. Dlatego musi ci wystarczyć, fidzie Erasmasie, kiedy powiem, że Saunta Cartas nigdy nie zgodziłyby się ze stwierdzeniem, że państwo sekularne może lub powinno reformować matemy. Co innego, gdyby powiedzieć, że ma moc oddziaływania wymuszającego zmiany.

Proc: Metateoryk żyjący u schyłku Epoki Praksis, który najprawdopodobniej zginął podczas Straszliwych Wypadków. W krótkim okresie stabilizacji między Drugim i Trzecim Zwiastunem skupił wokół siebie grupę zwolenników, którzy nazwali się Kręgiem i utrzymywali, że symbole są pozbawione wszelkiego znaczenia, a wszelki dyskurs udający, że niesie jakąś treść semantyczną, jest tylko grą prowadzoną przy użyciu reguł syntaktycznych rządzących łączeniem symboli. Po Rekonstrukcji patron referatu syntaktycznego koncentu saunta Muncostera, później postrzegany jako prekursor wszystkich zakonów wywodzących się z tego referatu - w przeciwieństwie do spadkobierców referatu semantycznego, którego patronem był saunt Halikaarn.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Słyszałem, że w kuchni doszło do jakiegoś plantowania?

- Możesz mi wierzyć, ojcze, że nie było warte atramentu ani nawet kredy.

Fraa Corlandin, pewuer (Pierwszy Wśród Równych) Zakonu Nowego Kręgu, siedział naprzeciwko mnie przy stole.

Przez pierwsze dziewięć i trzy czwarte roku mojego pobytu

w koncencie kompletnie mnie ignorował (poza momentami, kiedy spotykaliśmy się w kredowni i nie mógł mnie nie zauważyć), ostatnio jednak zaczął mnie traktować jak dobrego znajomego. Można się było tego spodziewać. Jeśli dopisze nam szczęście, podczas apertu dołączy do nas trzydziestu, może czterdziestu nowych deklarantów. Mimo że byli jeszcze nieobecni, czuliśmy się już tak, jakby nam towarzyszyli, otaczając nas niczym duchy. Na ich tle wydawałem się starszy.

Jeżeli wszystko przebiegnie zgodnie z ustalonym obyczajem, wkrótce dzwony obwieszczą kwalifik i wszyscy dziesiętnicy zgromadzą się, żeby być świadkami mojej przysięgi wiążącej mnie z wybranym zakonem.

W moim poborze było jedenastu deklarantów przyjętych do matemu podczas kolekty, wprost z extramuros. Pozostałych dwudziestu jeden wcześniej terminowało u unarystów i oswajało się z ich Dyscypliną, zanim zostali promowani do matemu decenarystów; średnia wieku była wśród nich nieco wyższa niż u nas, kolektantów. Kolekta i większość przypadków promocji przypadły na czas apertu. Tylko wyjątkowo obiecujący jednorazowcy mogli wcześniej dostąpić zaszczytu promocji i pokonać labirynt łączący matem jednoroczny z dziesięcioletnim. W czasie mojej bytności w matemie zdarzyło się to tylko trzy razy. Model przepływu deklarantów, uwzględniający przyjmowanie nowicjuszy z extramuros oraz migrację z okolicznych mniejszych matemów, był skomplikowany i niewart objaśniania - liczył się efekt końcowy: aby utrzymać względnie stały stan liczbowy, oscylujący wokół trzech setek, my, dziesiętnicy, musieliśmy podczas każdego apertu przyjmować około czterdziestu nowych członków. Pewna ich liczba (nie wiedzieliśmy, jak duża) dołączy wskutek promocji z matemu jednorocznego, a braki uzupełni kolekta oraz przeczesanie szpitali i przytułków dla porzuconych noworodków. Kiedy te sprawy zostaną załatwione, będę musiał dokonać wyboru, i fraa Corlandin próbował mnie wysondować albo nawet zwerbować do Nowego Kręgu.

Zawsze byłem postrzegany jako fid Orola i jego edharskich

współpracowników. Spędzali razem całe dni w maleńkich kredowniach, a kiedy stamtąd wychodzili, zakradałem się czasem do środka i oglądałem pozostawione przez nich zapiski na tablicach: szczerzące zęby stada równań i diagramów, z których rozumiałem najwyżej co dwudziesty symbol. W tej akurat chwili powinienem był rozwiązywać wyznaczone przez Orola zadanie. Dał mi tabliczkę fotomnemoniczną z zarejestrowanym obrazem Mgławicy Saunta Tancreda, ja zaś na podstawie jej oględzin miałem odpowiedzieć na pytania na temat powstawania ciężkich jąder atomowych w jądrach gwiazd. Tego rodzaju ćwiczenie nie miało wiele wspólnego z filozofią Nowego Kręgu. Dlaczego w takim razie komuś w Nowym Kręgu strzeliło do głowy, że podczas apertu mógłbym ich wybrać?

- Orolu ma imponujący dorobek teoretyczny - przyznał fraa Corlandin. - Żałuję, że nie może mnie częściej suwinować.

Sprzeczność w jego słowach była oczywista: skoro wszystko wskazywało na to, że on i Orolu spędzą najbliższe sześćdziesiąt lat w jednym matemie, co powstrzymywało go przed tym, żeby zabrać swoją miseczkę z gulaszem, przejść na drugą stronę refektarza i przysiąc się do stolika Orola?

Miał szczęście, że pochłaniałem akurat porcję chleba i nie mogłem go poddać druzgocącemu huraganowi analizy thelenejskiej. Przeżuwanie jedzenia dało mi natomiast dość czasu, żebym sobie uświadomił, iż Corlandin wygłasza nic nieznaczące błahostki. Edharczycy tak nie mówili, a ja obracałem się wśród nich od tak dawna, że zapomniałem, jak to się robi.

Spróbowałem więc spuścić ze smyczy te obszary mojego umysłu, które odpowiadały za uprzejmą konwersację - co w przededniu apertu tak czy inaczej wydawało się niezłym pomysłem.

- Na pewno mógłbyś sprowokować Orola, żeby cię ponauczał, gdybyś przysiadł się do niego i powiedział coś niewłaściwego.

Corlandin parsknął śmiechem.

- Obawiam się, że za mało wiem o gwiazdach, żeby

powiedzieć cokolwiek. Nawet coś niewłaściwego.

- No, dzisiaj zdarzyło mu się wypowiedzieć na temat niezwiązany z gwiazdami.

- Tak słyszałem. Kto by pomyślał, że nasz kosmograf jest takim entuzjastą martwych języków?

To pytanie prześliznęło się obok mnie gładko i obojętnie - trochę jak kęs owocu z puszki, który wpada człowiekowi do gardła i zsuwa się do przełyku, zanim zdąży się go pogryźć i posmakować. Ponieważ zaczynałem odświeżać sobie tajniki zdawkowej pogawędki, skwitowałem jego słowa uprzejmym śmiechem, zanim jednak zdążyłem je przemyśleć, zauważyłem Lio i Jesry'ego, podążających do kuchni z miskami w rękach. Dwóch innych fidów zerwało się od stołów, jakby porwanych wzburzonym przez tamtych prądem powietrza, i ruszyło za nimi.

Powiodłem za nimi wzrokiem i zobaczyłem pra-suur Tamurę stojącą przy wyjściu ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Zareagowała jak po trafieniu papierową kulką w zatłoczonej kredowni: odwróciła głowę i spiorunowała mnie wzrokiem. Nadal nie rozumiałem, co się dzieje, ale wymówiłem się od dalszej rozmowy z fraa Corlandinem, zabrałem swoją miskę i poszedłem do kuchni. Zostałem tam siedmiu innych fidów, myjących w pośpiechu miseczki. Wiedzieli tyle samo co ja.

Inkanter: Postać legendarna, wśród sekularów powszechnie kojarzona ze światem matelowym. Przypisuje się jej zdolność manipulowania rzeczywistością materialną za pomocą zaszyfrowanych słów i fraz. Idea inkantery wywodzi się z prac prowadzonych w matemach w okresie poprzedzającym Trzecią Łupież. Rozpowszechniła się w kulturze popularnej, gdzie fikcyjni inkanterzy (wywodzący się rzekomo z tradycji halikaarnijskiej) toczyli mniej lub bardziej widowiskowe pojedynki ze swoimi śmiertelnymi wrogami, retorami (kojarzonymi z proceńczykami).

Popularna wśród historyków teoria głosi, że Trzecia Łupież została w głównej mierze spowodowana powszechną wśród sekularów nieumiejętnością odróżnienia inkanterskiej fikcji od rzeczywistości.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Parę minut później trzydzieścioro dwoje fidów i pra-suur Tamura stłoczyli się w kredowni saunta Groda, nominalnie przeznaczonej dla osiemnastu osób.

- Może przeniesiemy się do saunta Venstera? - zaproponowała suur Ala. - Będzie więcej miejsca.

Była samozwańczą przełożoną dzwonniczek - oraz wszystkich innych deklarantów, którzy znaleźli się w zasięgu jej przeszywających jak szperacze oczu. Za jej plecami szeptało się, że z całego naszego poboru ona ma największe szanse na objęcie w przyszłości stanowiska Regulatora.

Pra-suur Tamura udała, że jej nie słyszy. Mieszkała w matemie od siedemdziesięciu pięciu lat i doskonale znała pojemność wszystkich sal, zatem nie bez powodu wybrała właśnie tę. Domyślałem się, że mogło jej chodzić o to, że w takim ścisku trudniej będzie nam ukryć naszą niewiedzę lub znudzenie. Nie mieliśmy dość miejsca, żeby usiąść na sferach; musieliśmy je maksymalnie pomniejszyć i schować w fałdach zawojów.

Zauważyłem, że niektóre suur zbijają się w jeszcze ciaśniejsze grupki, niżby tego wymagała ograniczona powierzchnia sali, i zgodnie pociągają nosami. Jedną z nich była Tulia, która bardzo mi się podobała. Miałem osiemnaście lat, ona była nieco młodsza. Śniłem niedawno o tym, że mógłbym mieć z nią romans, kiedy już będzie pełnoletnia. Często się za nią oglądałem (na pewno częściej, niż było to konieczne), a ona czasem zerknęła w moją stronę, ale kiedy teraz próbowałem spojrzeć jej w oczy, z rozmysłem odwróciła głowę i utkwiała spojrzenie zaczerwienionych i opuchniętych oczu w ogromnym witrażu nad tablicą. Biorąc pod uwagę, że (a) na dworze było ciemno, (b) witraż przedstawiał saunta Groda z asystentami, okładanych gumowymi wężami w podziemiach jakiejś agencji szpiegowskiej z Epoki Praksis, oraz (c) Tulia spędziła w tej sali

mniej więcej ćwierć życia, domyślałem się, że podziwianie witraża stanowi tylko pretekst.

Nie jestem szczególnie bystry, ale w końcu dotarło do mnie, że po raz ostatni w życiu spotykamy się w tym gronie - trzydziścioro dwoje fidów z naszego poboru. Dziewczęta, obdarzone nadnaturalną zdolnością dostrzegania takich faktów, już na to zareagowały; chłopcy, wykazujący w tym względzie równie nadnaturalną tępotę, przejęli się tym tylko z tego względu, że dziewczęta, które wpadły im w oko, płakały.

Jednakże pra-suur Tamura nie zebrała nas w tej sali z powodów sentymentalnych.

- Porozmawiamy o ikonografiach i ich pochodzeniu - obwieściła. - Jeżeli uznam, że wiecie na ten temat dostatecznie dużo i rozumiecie wagę swojej wiedzy, pozwolę wam przez dziesięć dni apertu swobodnie krążyć extramuros. W przeciwnym razie dla własnego bezpieczeństwa będziecie musieli pozostać w kłauzurze. Fidzie Erasmasie, co to są ikonografie i dlaczego w ogóle się nimi interesujemy?

Dlaczego akurat mnie zadała pierwsze pytanie? Pewnie wiedziała, że protokołuję rozmowy fraa Orola, co dawało mi przewagę nad innymi. Postanowiłem więc ubrać odpowiedź w stosowne do sytuacji słowa:

- No więc statyści...

- Sekularowie - poprawiła mnie.

- Sekularowie zdają sobie sprawę z naszego istnienia, ale nie bardzo wiedzą, co o nas myśleć. Prawda jest dla nich zbyt skomplikowana, nie mieści im się w głowach, zamiast niej stosują więc uproszczone przedstawienia, karykatury, pojawiające się, znikające i zmieniające od czasów Thelenesa. Kiedy jednak ogląda się je z dystansu, można wychwycić pewne regularne cechy, które stale się powtarzają, jak... jak atraktory w układzie chaotycznym.

- Oszczędź nam tej poezji - wtrąciła pra-suur Tamura, przewracając oczami.

Odpowiedziały jej chichoty. Niespojrzenie na Tulię kosztowało mnie sporo wysiłku.

- Oczywiście. Dawno temu te prawidłowości zostały rozpoznane i opisane w sposób systematyczny przez pewnego deklaraanta, który zajmował się badaniem extramuros. Te właśnie opisy nazywamy ikonografiami. Ich znaczenie jest nie do przecenienia, ponieważ wiedząc, jaka ikonografia tkwi w głowie napotkanego statysty... przepraszam, sekulara, możemy domniemywać, co o nas myśli, i przewidywać, jak zareaguje na nasz widok.

Pra-suur Tamura nie dała po sobie poznać, czy uważa moją odpowiedź za satysfakcjonującą, ale przynajmniej przestała mnie przyszpilać spojrzeniem. Na więcej nie śmiałem liczyć.

- Fidzie Ostabonie? - zwróciła się do dwudziestojednolatka z wystrzępioną brodą. - Co to jest ikonografia temnistryjska?

- Jest najstarsza - powiedział Ostabon.

- Nie pytałam o jej wiek.

- Wywodzi się ze starożytnej komedii.

- Nie pytałam o jej pochodzenie.

- Ikonografia temnistryjska...

- Znam jej nazwę. Pytałam, czym jest?

- Przedstawia nas jako klaunów - odparł Ostabon nieco szorstkim tonem. - Ale takich... złowieszczych. Wyróżniamy w niej dwie fazy. Najpierw pokazuje jak na przykład hasamy po łące z siatkami na motyle, gapimy się na chmury...

- Albo gadamy z pajakami - wtrącił ktoś.

Kiedy ten wtręt nie doczekał się reprimendy ze strony pra-suur, odezwał się ktoś inny:

- Czytamy książki do góry nogami.

I kolejny:

- Zbieramy mocz do próbek.

- Pierwsze wrażenie jest zatem komiczne - podsumował fraa Ostabon. - Za to potem, w fazie drugiej, objawia się nasza ciemna strona: naiwny młodzik zostaje uwiedziony, sumienna matka ulega pokusie i schodzi na drogę obłędu, polityk podejmuje za naszym podszeptem bzdurną decyzję.

- W ten sposób próbuje się obarczyć nas winą za

degenerację społeczeństwa - wyjaśniła pra-suur. - Pokazać nas jako źródło degeneracji. Skąd wywodzi się ta ikonografia? Dulien?

- Z *Tkacza chmur*, satyrycznej sztuki Temnestrzy, ethraskiej dramatopisarki. Drwi z Thelenesa, co zostało wykorzystane podczas jego procesu.

- Po czym poznać, czy spotkany przez nas człowiek hołduje tej ikonografii? Fidzie Olphie?

- Należy się spodziewać, że będzie się zachowywał uprzejmie, dopóki rozmowa nie zejdzie na tematy, których nie rozumie. Wzmianka o abstrakcjach wywoła jednak jego wrogość...

- O abstrakcjach?

- No... O wszystkim, co pochodzi od Naszej Matki Hylaei.

- Poziom zagrożenia z ich strony w skali od jednego do dziesięciu?

- Biorąc pod uwagę to, co się stało z Thelenesem? Dziesięć.

Pra-suur Tamura nie była zachwycona tą odpowiedzią.

- Nie powinnam mieć do ciebie pretensji o to, że przeceniasz niebezpieczeństwo...

- Thelenes został stracony w wyniku oficjalnej procedury sądowej, a nie linczu - wtrącił Lio. - Działania tłumu trudniej przewidzieć, a przez to trudniej się przed nimi bronić.

- Doskonale - przytaknęła pra-suur, wyraźnie zaskoczona faktem, że to właśnie Lio udzielił tak spójnej odpowiedzi. - Dlatego proponuję poprzestać na ósemce. Fidzie Halaku, z czego wywodzi się ikonografia doksyjska?

- Z serialu przygodowego z Epoki Praksis. Statek kosmiczny zostaje wysłany w odległy zakątek galaktyki, aby przeciwstawić się rosnącym w siłę obcym, trafia w pułapkę i doznaje uszkodzenia hipernapędu. Kapitan tego statku był strasznym narwańcem, a jego zastępca, Dox, teorykiem - wybitnym, ale niezwykle powściągliwym.

- Fidzie Jesry, co ikonografia doksyjska mówi na nasz temat?

- Że jesteśmy narzędziem w rękach państwa sekularnego.

Że nasze talenty należy szanować. Tyle że okaleczają nas... oślepiają, jeśli wolisz, te same... te same...

- Te same cechy, które sprawiają, że jesteśmy użyteczni - powiedziała fida Tulia.

Właśnie dlatego tyle o niej myślałem: potrafiła w mgnieniu oka zmienić się z płaczki w najmądrzejszą osobę w sali.

- Jak rozpoznać sekulara, który jest pod wpływem tej ikonografii? Fido Tulio, kontynuuj.

- Jest ciekawy naszej wiedzy, imponujemy mu, ale jednocześnie traktuje nas protekcyjnie, ponieważ jest przekonany, że musimy podlegać mądrym, rozsądnym przywódcom.

- Poziom zagrożenia? Fidzie Branchu?

- Moim zdaniem bardzo niski. Ta ikonografia całkiem nieźle opisuje stan faktyczny.

Odpowiedzią był wybuch śmiechu, który nie przypadł prasuur do gustu.

- Fido Alu, co łączy ikonografię doksyjską z yorrańską?

Suur Ala musiała się dłuższą chwilę zastanowić, zanim zaryzykowała odpowiedź:

- Obie wywodzą się z seriali rozrywkowych z Epoki Praksis? Nie, zaraz, przecież yorrańską jest oparta na ilustrowanej książce...

- Z której później zrobili ruchome obrazy - wtrącił fraa Lio. Ktoś podpowiedział coś Ali i nagle wszystko sobie przypomniała.

- Już wiem. Yorr jest nazywany teorykiem, ale kiedy przyjrzeć mu się bliżej, o wiele bardziej przypomina praksyka. Pozieleniał cały od pracy chemikaliami, z tyłu głowy wyrosła mu macka. Zawsze chodzi w białym fartuchu laboratoryjnym. Jest obłąkanym łotrem i nieustannie snuje plany zapanowania nad światem.

- Fraa Arsibalcie, co ikonografia mówi na temat retorów? Arsibałt tylko czekał, żeby go o coś zapytano.

- Mają diabelski talent do manipulowania słowami i siania zamętu wśród sekularów; potrafią manipulować ludźmi tak

subtelnie, że ci z niczego nie zdają sobie sprawy. W matemach jednorocznych werbują i szkolą swoje sługi, które następnie wysyłają do Saeculum, by tam zajmowali wpływowe stanowiska wśród miastowych, pozostając marionetkami na usługach retorskiego spisku.

- No, to przynajmniej brzmi sensownie - przyznał Olph. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na niego, ciekawi, czy żartuje. Zdziwił się.

- Chyba już wiemy, do którego zakonu się wybierasz! - oznajmiła poirytowana jedna z suur, o której wszyscy wiedzieliśmy, że wybierze Nowy Krag.

- Dlaczego? - spytała jedna z jej towarzyszek ściszym, ale i tak doskonale słyszalnym głosem. - Bo nie lubi Proca? Czy po prostu jest nieprzystosowany społecznie?

- Dość tego! - uciszyła towarzystwo pra-suur Tamura. - Sekularowie nie rozróżniają naszych zakonów, dlatego wszyscy, nie tylko proceńczycy, jesteśmy tak samo zagrożeni ikonografią, o której opowiedział nam fraa Arsibalt. Przejdźmy dalej.

I poleciało po kolei. Ikonografia muncosterska: teor jest ekscentryczny, sympatyczny, niechlujny, trochę roztargniony, ale chce dobrze; pendarthańska: fraa jako porywczy, nerwowy, wścibscy mądrale, którzy nie mają pojęcia o prawdziwym życiu, są tchórzami i nie mają szans z niezwykle męskimi sekularami; klewańska: teor jako mędrzec i mąż stanu, zdolny rozwiązać wszystkie problemy świata sekularnego; baudyjska: jesteśmy cynicznymi oszustami, którzy pławią się w luksusie na koszt szarego człowieka; penthabryjska: jesteśmy strażnikami prastarych tajemnic wszechświata, przekazanych nam osobiście przez Cnoüsa, a całe to nasze gadanie o teoryce to tylko zasłona dymna, skrywająca naszą prawdziwą moc przed niedomytymi masami.

Liczba ikonografii, które Tamura chciała z nami omówić, wyniosła tuzin. Słyszałem o nich wszystkich, ale nie zdawałem sobie sprawy, że jest ich aż tyle, dopóki nie kazała nam ich omawiać jedna po drugiej. Najciekawsza wydała mi się ocena związanej z nimi zagrożenia. Po długich przepychankach

zgodziliśmy się, że najniebezpieczniejsza nie jest yorrańska, jak można by się spodziewać, lecz moshyjska - hybryda klewańskiej i penthabryjskiej. Według niej mieliśmy opuścić koncenty, niosąc światu oświecenie i sprowadzając nań nową erę. Przeżywała szczyty popularności w odstępach stu - i tysiącletnich, kiedy centenaryści i milenaryści obchodzili aperty. Była niebezpieczna, ponieważ wprawiała ludzi w stan oczekiwania graniczący z delirium, przyciągała wielu pielgrzymów i zwracała powszechną uwagę.

Dzięki współpracy z fraa Orolelem wiedziałem, że ikonografia moshyjska przeżywa obecnie wzrost popularności, a jej odbiciem jest instytucja tak zwanego Niebiańskiego Strażnika. Kiedy nasi hierarchowie sobie to uświadomili, Protektor poprosił pra-suur Tamurę o zorganizowanie tego rodzaju dyskusji.

Skończyło się na tym, że wszyscy, cały nasz pobór, otrzymaliśmy pozwolenie wyjścia extramuros podczas aperty, czym nikt nie był zaskoczony. Groźba zamknięcia w murach koncentu miała nas tylko zdyscyplinować.

Dyskusja rozwinęła się w bardzo ciekawy sposób i zakończył ją dopiero dzwon wybijający godzinę spoczynku. Zgodnie z regułami Dyscypliny deklaranci z naszego matemu nie mogli spać dwa razy z rzędu w tej samej celi. Co wieczór na tablicy w refektarzu przydzielano pokoje na nadchodzącą noc. Musieliśmy więc tam wrócić, żeby sprawdzić, gdzie przyjdzie nam spędzić noc i z kim będziemy się kumpłować. Całą grupą wyszliśmy z kredowni i obeszliliśmy klauzurę, rozprawiając i naśmiewając się z Yorra, Doksa i innych zabawnych postaci, które wymyślili sobie statyści, żeby nas zrozumieć. Starsi fraa i suur siedzieli na ławkach zwróconych ku wnętrzu klauzury, robiąc sandały (czym zwykle my się zajmowaliśmy) i zerkając na nas spođe łba.

Nie chciałem patrzeć im w oczy, więc podniosłem wzrok i zobaczyłem fraa Orola wychodzącego z innej kredowni z plikiem papierów (gęsto pokrytych obliczeniami) pod pachą. Na widok naszej gromady skręcił do ogrodu, kierując się w stronę tumu.

Trochę mnie to zabolalo, bo pewna tabliczka fotomnemoniczna kurzyła się właśnie na stole w pracowni w gwiezdny kręgu, przyciskając dwie stronicie upstrzone moimi bezproduktywnymi gryzmołami. Orolu zauważył ten kurz i domyśli się, że od dawna się nią nie zajmowałem.

Po chwili wyłądownałem w celi, którą miałem dzielić przez noc z dwoma innymi fraa. Owinąłem się zawojem i uformowałem sferę w poduszkę. Można by pomyśleć, że leżąc i czekając na sen, rozmyślałem o zbliżającym się apercie albo o ikonografiach - ale widok Orola w klauzurze przypomniał mi pewne śliskie zdanie, które fraa Corlandin wypowiedział przy kolacji. Wtedy przełknąłem je, nie czując jego smaku. Teraz zaś stało się jedną z tych natarczywych myśli, których nie wiadomo jak się pozbyć.

Tak myślałem, powiedział fraa Corlandin. Mój dialog z Orole miał miejsce zaledwie godzinę wcześniej. Który z widzów popędził do Nowego Kręgu, aby tam rozpowiedzieć o przebiegu tej rozmowy? I dlaczego ktokolwiek miałby się nią interesować?

Jeszcze w ubiegłym roku Corlandin miał romans z suur Trestanas, również należąca do Nowego Kręgu. Pewnego dnia dzwony obwieściły pozał, ryt, którym żegnamy deklarantów wycofujących się z czynnego życia matemu. Zebraliśmy się w tumie i Prymas ogłosił nazwisko odchodzącego: był nim nasz Regulator. Mimo wszystkich kar i pokut, jakie wyznaczał nam na przestrzeni lat, było nam smutno, kiedy śpiewaliśmy ceremonialne hymny, ponieważ Regulator był człowiekiem rozumnym i rozsądnym.

Statho - tak się nazywał nasz Prymas - wyznaczył następnie suur Trestanas na stanowisko Regulatora. Wywołało to lekką konsternację, gdyż suur Trestanas była młoda, ale obeszło się bez kontrowersji, ponieważ wszyscy wiedzieli, że jest bystra i inteligentna. Przeprowadziła się do apartamentów Prymasa, gdzie dostała własną celę, i zaczęła spożywać posiłki z innymi hierarchami. Plotka niosła jednak, że jej romans z Corlandinem trwał. Co bardziej podejrzliwi deklaranci podejrzewali, że hierarchowie rozmieścili na terenie koncentu dyskretne

urządzenia, które pozwalają im nas podsłuchiwać. Wiara w istnienie tych urządzeń była swoistą modą - przychodziła i odchodziła w zależności od tego, co w danym momencie ludzie sądzili na temat hierarchów. Od czasu mianowania suur Trestanas Regulatorką coraz częściej słyszało się o podsłuchu, było więc naturalne, że w tej chwili też o tym pomyślałem. Może to właśnie ona usłyszała, o czym rozmawiam z Orolem, i doniosła o tym Corlandinowi.

Z drugiej strony (odezwała się ta część mojego umysłu, która błagała myśli o podsłuchach, żeby poszły sobie precz) musiałem przyznać, że sam się zdziwiłem, kiedy Orolo przejawiał nagle zainteresowanie uchybieniami w przekładach ze starorthyjskiego.

Kto by pomyślał, że nasz kosmograf jest takim entuzjastą martwych języków?

No cóż, określenie *entuzjasta* było jednym z tych nieśmiertelnych słów, które praktycznie niezmiennie przetrwały od czasów języka protorthyjskiego i weszły do fluksyjskiego. Po fluksyjsku (początkowo uważałem, że w takim właśnie znaczeniu użył go Corlandin) oznaczało po prostu miłośnika czegoś. Sens protorthyjski był jednak niespecjalnie pochlebny dla fraa, a tym bardziej dla teoryka. No i jeszcze *martwy język*: ciekawy dobór słów. Czy naprawdę był martwy, skoro Orolo umiał w nim czytać? A jeżeli Orolo słusznie zarzucał tłumaczeniom przekłamania, to czy Corlandin, nazywając oryginał *martwym*, w pewnym sensie nie wytknął mu błędu? W pokrętny sposób, niewymagający mozolnego dowodu?

Przeleżałem chyba kilka godzin, nie śpiąc i zmagając się z takimi myślami, aż doznałem iluminacji: cokolwiek mówił mi fraa Orolo (nawet jeśli mnie w ten sposób zawstydział lub sprawiał mi przykrość), nigdy nie przyprowadził mnie swoimi słowami o bezsenność. Co innego fraa Corlandin. Zacząłem myśleć o tym, żeby jednak przystąpić do edharczyków.

Oczywiście pod warunkiem, że mnie zechcą. A wcale nie miałem pewności, że tak się stanie. Nie byłem przesadnie lotny w

kwestiach czystej teoryki; wielu fidów przerastało mnie o głowę i na pewno zostało to zauważone. Dlaczego pra-suur Tamura zadała mi pierwsze - i najłatwiejsze - pytanie? Bała się, że z trudniejszym sobie nie poradzę? Dlaczego Orolo wolał zrobić ze mnie koncypianta, zamiast zagonić mnie do studiowania teoryki? Dlaczego Corlandin chciał mnie zwerbować? Poskładawszy w całość elementy tej układanki, doszedłem do wniosku, że wszyscy doskonale wiedzą, że nie nadają się do Saunta Edhara, i niektórzy starają się złagodzić moje rozczarowanie.

Część 2

APERT

Ita: (1) U schyłku Epoki Praksis: skrótowiec (w związku z tym w starszych tekstach zapisywany czasem ITA), którego dokładne pochodzenie poszło w zapomnienie w okresie Zwiastunów i Straszliwych Wypadków, wraz z utratą niedbale przechowywanych informacji. Większość uczonych jest zgodna, że pierwsze dwie litery pochodzą od słów *Information Technology*, pyerdu stosowanego pod koniec Epoki Praksis na określenie urządzeń syntaktycznych. Pochodzenie trzeciej litery pozostaje kwestią sporną; według różnych hipotez może ona oznaczać autorytet, alians, archiwum, agregację, amalgamat, analityka, agencję lub asystenta. Naturalnie każda z tych możliwości inaczej tłumaczy rolę itów w okresie przed Rekonstrukcją; każda też ma swoich zwolenników i przeciwników w suwinach. (2) We wczesnym noworthyjskim (do czasów Drugiej Łupieży): referat w koncencie zajmujący się praksis urządzeń syntaktycznych. (3) W późnym noworthyjskim: wyklęta kasta rzemieślnicza, tolerowana w trzydziestu siedmiu koncentach zbudowanych wokół Wielkich Zegarów, które stanowią zaprzeczenie reform Drugiej Łupieży, ponieważ ich mechanizmy oparto na podzespołach wykorzystujących urządzenia syntaktyczne. Itowie żyją w ścisłej separacji od deklarantów i są odpowiedzialni za obsługę i konserwację tych podzespołów.- SŁOWNIK, wydanie czwarte,

W ostatnią noc 3689 roku śniło mi się, że coś trapi fraa Orola. Wszyscy to widzieli, ale pod żadnym pozorem nie chcieli o tym otwarcie rozmawiać. Była to więc tajemnica - lecz tajemnica znana każdemu: planety zbaczały z trajektorii i zegar zaczynał się mylić. Jednym z elementów zegara było bowiem planetarium: mechaniczny model Układu Słonecznego ilustrujący wzajemne ułożenie planet i wielu ich księżyców. Znajdowało się w narteksie, pomiędzy Bramą Dzienną i północną nawą. Przez trzydzieści cztery stulecia spisywało się bez zarzutu, po czym nagle się rozjechało. Marmurowe, kryształowe, stalowe i lazurytowe kule przedstawiające planety znalazły się w takich pozycjach, które nijak nie pasowały do tego, co fraa Orola obserwował nawet przez najmniejsze ze swoich teleskopów. We śnie nie było o tym mowy, ja jednak wyczuwałem instynktownie, że problem ma coś wspólnego z itami, ponieważ planetarium należało do urządzeń napędzanych mechanizmami, którymi opiekowali się w sklepionym lochu pod tumem.

Chodziły słuchy, że mechanizm planetarium ma również wpływ na rytm pracy głównego zegara. Jeżeli itowie nie skorygują nawarstwiającego się odchylenia, wkrótce stanie się ono oczywiste dla wszystkich, kiedy na przykład dzwony rozzdzwonią się o innej porze niż w południe, a Brama Dzienna otworzy się przed świtem - lub po nim.

W normalnym wszechświecie błędy w pracy zegara stałyby się widoczne znacznie później niż brak synchronizacji pomiędzy planetarium i prawdziwymi ciałami niebieskimi, ale w świecie rządzonego logiką snu jedno i drugie wydarzyło się równocześnie. Kiedy więc zastanawiałem się, co dręczy fraa Orola, widziałem, jak planetarium błędnie podaje aktualną fazę księżyca, a miastowi o północy wchodzi do koncentu przez Bramę Dzienną. Nie wiedzieć czemu, żaden z tych problemów nie martwił mnie tak bardzo, jak dźwięki dobiegające z dzwonnicy: dzwony wygrywały niewłaściwe zmiany...

Otworzyłem oczy i usłyszałem dzwon obwieszcząjący

początek apertu - tak w każdym razie domyślali się moi towarzysze z celi, bo nie sposób było to stwierdzić, nie wsłuchawszy się w dzwony przez kilka minut. Mechanizm dzwonnicy na co dzień wygrywał standardowe kuranty, takie jak przy kolejnych pełnych godzinach, ale podczas rytów i innych ważnych wydarzeń odłączaliśmy go i wydzwanialiśmy zmiany, czyli permutacje dźwięków. Zmiany rządziły się specyficznym kodem, który musieliśmy umieć rozszyfrować. Dzięki temu mogliśmy rozpowszechnić informacje po całym rozległym terenie koncentu, a mieszkańcy extramuros nie mieli pojęcia, o co chodzi.

Nie dlatego, że okazja do apertu była utajniona: mieliśmy pierwszy dzień 3690 roku, więc o świcie miała się otworzyć nie tylko Brama Dzienna, ale także Bramy Roku i Dekady; wiedzieliśmy o tym my, wiedział także każdy statysta, który zerknął do kalendarza. Jednakże z jakiegoś powodu żaden z nas nie zamierzał nawet wstawać, dopóki nie usłyszy odpowiedniej sekwencji dźwięków z dzwonnicy: melodii zagranej wstecz, przewróconej do góry nogami, zapętłonej w specyficzny sposób.

Trzech nagich fraa siedziało więc w celi na siennikach, a obok nich wały się zmięte zawoje, zwinięte sznury i sfery zamiast poduszek. Taki szczególny dzień wymagał uroczystego stroju, do włożenia którego trzeba było mieć pomocnika. Stopy fraa Holbane'a pierwsze dotknęły posadzki, sięgnąłem więc na jego siennik, namacałem wystrzępiony skraj jeszcze ciepłego zawoju i pociągnąłem go do siebie. Fraa Arsibalt, trzeci z nas, obudził się ostatni. Ostro zrugany przeze mnie i Holbane'a, złapał za drugi, obrębiony koniec zawoju, po czym wyszliśmy na korytarz i rozciągnęliśmy go na całą długość. Fraa Holbane skrócił go, pogrubiał i zmechaniał, żeby dawał więcej ciepła.

Złożyliśmy z Arsibaltem zawój na pół, po czym znów oddaliliśmy się od siebie, gdy pod wpływem zabiegów Holbane'a wydłużył się trzykrotnie i stał znacznie cieńszy. Trzymając w garści zwinięty w kłębek sznur, Holbane wszedł pod zawój i wstał, przez co materiał oparł się na jego lewym barku i napiął jak

namiot. Potem musiał już tylko obracać się to w jedną, to w drugą stronę i w odpowiednich momentach podnosić lub opuszczać ręce, a my z Arsibaltem uwijaliśmy się wokół niego jak planety w planetarium, owijając go i w miarę potrzeb zagęszczając lub rozrzedzając fałdy. Gotowy zawój sływał z tego, że łatwo się rozsnuwał, odczekaliśmy więc dłuższą chwilę, aż Holbane owinie się sznurem w kluczowych miejscach i zawiąże kilka bardzo ważnych węzłów. Potem obaj z Arsibaltem pomogli mi się ubrać. Arsibalt lubił być ostatni, bo przy trzecim zawoju uzyskiwało się zwykle najlepszy rezultat - co wcale nie znaczy, że był z natury próżny, przeciwnie: z całego naszego poboru właśnie on najlepiej nadawał się do życia w matemie. Był wysoki, korpulentny i nieustannie próbował wyhodować bródkę, która upodobniłaby go do starszych fraa, zanim naprawdę stanie się jednym z nich. W przeciwieństwie do takiego fraa Lio, który co rusz układał zawój w jakiś nowy strój, Arsibalt trzymał się jednego wzoru, za to chciał, żeby był zrobiony jak należy.

Kiedy już wszyscy trzej byliśmy ubrani, poświęciliśmy jeszcze chwilę na sporządzenie paru dodatkowych pętli ze sznura i uformowanie fałd kapturew-jedynego elementu oficjalnego zawoju, przez który można było wyrazić chociaż odrobinę indywidualizmu.

Przy wyjściu z budynku czekała na nas sterta gotowych sandałów. Przegrzebałem ją nogą, szukając pary odpowiedniej dla moich dużych stóp. Dyscyplina była dziełem mieszkańców ciepłych krajów, dlatego stwierdzała, że każdy deklarant ma mieć własny zawój, sznur i sferę, nie wspominała jednak ani słowem o obuwiu. W lecie nam to nie przeszkadzało, ale teraz zbliżała się pora chłódów, a podczas apertu mieliśmy wyjść extramuros, gdzie na ulicach walało się potłuczone szkło i czyhały inne zasadzki. Naciągaliśmy więc trochę przepisy Dyscypliny, wkładając na czas apertu sandały z opon, a zimą mokasyny na miękkiej podeszwie. Deklaranci z Saunta Edhara czynili tak od dawna i Inkwizycja się ich nie czepiała, wyglądało więc na to, że nic nam nie grozi. Przywłaszczyłem sobie parę sandałów i przywiązałem je do nóg.

Niespiesznie ruszyliśmy w stronę tumu. Zmniejszyliśmy nasze sfery do wielkości pięści, opleliśmy je sznurami, po czym powiększyliśmy w taki sposób, żeby napięły wiążące je sieci, i sprawiliśmy, że emanowały miękkie, czerwone światło. Dzięki temu mogliśmy sobie nimi przyświecać po drodze, a kolor identyfikował nas jako dziesiętników - co było koniecznością w sytuacji, gdy za chwilę mieliśmy się przemieszać z jednorazowcami.

Po zakończeniu tych przygotowań sfery zwisały nam u bioder z prawej strony i objęły się o uda. Był to niezwykły widok, kiedy w ciemnościach dwie setki deklarantów zmierzały ze wszystkich stron do tumu. Jeśli któryś z nas chciał wyglądać jak prawdziwy saunt, brał sferę do jednej ręki i głaszcząc ją drugą dłonią, wpatrywał się w dal, jakby właśnie spłynęła na niego światłość Cnoüsa.

Czterdziestu deklarantów wstało wcześniej i zebrało się w prezbiterium. Kiedy weszliśmy do tumu, śpiewali już hymn procesjonalny apertu dziesięcioletniego. Wplecionej węń melodii nie słyszałem od dziesięciu lat - odkąd o wschodzie słońca stałem przed Bramą Dekady i patrzyłem, jak jej kamiennie-stalowe odrzwia zatrząskują się ze zgrzytem, odcinając mnie od wszystkiego, co dotąd znałem. Melodia ta przeniknęła w głębi mojego mózgu z taką siłą, że dosłownie wytrąciła mnie z równowagi. Musiałem oprzeć się o idącego obok mnie fraa - trafiło na Lio, który wyjątkowo nie wykorzystał tego do zademonstrowania rzutu przez biodro, tylko pomógł mi stanąć prosto, jakbym był przekrzywioną ikoną, i znów skupił się na rycie.

Cała muzyka była zsynchronizowana z zegarem, który pełnił rolę metronomu i dyrygenta, i trwała przez następny kwadrans: żadnych czytań, żadnych homilii - tylko śpiew.

Niebo było bezchmurne, toteż o wschodzie słońca światło padło prosto na kwarcowy pryzmat w gwiazdnym kręgu i spłynęło w dół prezbiterium. Muzyka umilkła. Ściemniliśmy sfery. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że światło padające z pryzmatu

ma szmaragdowy odcień - ale może to tylko wzrok spletał mi figła, bo gdy zamrugałem, przybrało taki kolor jak prześwietlona lampą w ciemnej celi skóra dłoni. Zapanowała nieznośna chwila ciszy i bezruchu, w której ogarnął nas lęk, że - tak jak w moim śnie - zegar się rozregulował i nic się nie wydarzy.

A potem główny obciążnik zaczął opadać. Czynił to codziennie o świcie, kiedy otwierała się Brama Dzienna, ale dzisiaj był dla nas wszystkich sygnałem, żebyśmy zadarli głowy i spojrzeli do góry, tam gdzie kolumny praesidium przebijały kopułę tumu. Najpierw usłyszeliśmy, a potem zobaczyliśmy ruch. To się działo naprawdę! Dwa obciążniki sunęły w dół po prowadnicach, powodując otwarcie Bram Roku i Dekady.

Najpierw zaparło nam dech w piersiach, potem zaczęliśmy pokrzykiwać i wiwatować; wielu ocierało łzy. Sądząc po dochodzących zza ekranu głosach, także tysięcznicy byli poruszeni. Sześcian i ośmiościan zjechały na tyle nisko, że było je wyraźnie widać. Tłum zagrział triumfalnie. Oklaskiwaliśmy ciężarki zegara jak światowej sławy artystów na ceremonii rozdania nagród, ale w miarę jak opadały ku ziemi, zgiełk cichł, jakbyśmy obawiali się, że roztrzaskają się o posadzkę. Poruszały się jednak coraz wolniej i wolniej, aż znieruchomiały, znalazłszy się na szerokość dłoni nad podłogą. Wybuchnęliśmy śmiechem.

W pewnym sensie było to niedorzeczne. Zegar był zwyczajnym mechanizmem, nie miał innego wyjścia, jak w określonym momencie opuścić ciężarki. A mimo to ich widok wywoływał w nas uczucia, jakie trudno objaśnić komuś, kto ich nie doświadczył. Chór, mający teraz podjąć melodię polifoniczną, ledwie dał sobie z nią radę. Chrypa w głosach śpiewaków sama w sobie była muzyką.

Z zewnątrz dobiegł szum płynącej wody, którego śpiew nie był w stanie zagłuszyć.

Deklarant: Osoba, która przysięgła poddać się nakazom Dyscypliny Cartaskiej na okres jednego roku lub dłuższy; fraa lub suur.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Nie ma dobrego sposobu na skonstruowanie zegara - mawiał fraa Corlandin, ucząc nas historii nowoczesnej (po Rekonstrukcji). W ten oględny sposób dawał nam do zrozumienia, że praksyny z Saunta Edhara mają trochę źle w głowach.

Nasz koncent leżał w zakolu rzeki, opływającej w tym miejscu pasmo skalistych pagórków, zakończenie łańcucha górskiego, który ciągnął się setki mil na północny wschód i z którego lodowców i pól śnieżnych rzeka brała swój początek. Nieco powyżej matemu znajdowały się katarakty; nocą, jeśli slogowie za bardzo nie hałasowali, czasem było słyszeć szum przelewającej się przez nie wody. Poniżej progów rzeka płynęła spokojnie i gładko, jakby wypoczywała po pełnej napięcia przeprawie, okrążając dobrze odwodnioną łąkę. W obrębie naszych murów zamknęliśmy część tej łąki i półtoramilowy fragment samej rzeki.

Na wysokości katarakty nad wąską w tym miejscu rzeką bez trudu dało się przerzucić most, toteż zazwyczaj znajdowało się tam mniejsze lub większe miasto. W niektórych epokach rosło w siłę i urzędnicy pracujący w wieżowcach spoglądali z góry na nasze twierdze; kiedy indziej podupadało i kurczyło się do rozmiarów samotnej stacji paliw albo baterii dział strzegących przeprawy. Na dnie naszego odcinka rzeki zalegały liczne zardzewiałe dźwigary i bryły omszałego sztucznego kamienia - pozostałości mostów, które w przeszłości najpierw spięły brzegi katarakty, a następnie zawaliły się i zostały zniesione na nizinę.

Większość naszej ziemi i prawie wszystkie zabudowania mieściły się po wewnętrznej stronie zakola, ale udało nam się zająć także skrawek terenu na drugim brzegu i tam zbudowaliśmy fortyfikacje: nasz mur biegł równoległe do rzeki tam, gdzie płynęła prosto, i łamał się bastionami w tych miejscach, gdzie zakręcała. W trzech z tych bastionów znajdowały się dwuskrzydłowe bramy matemów: jednorocznego,

dziesięcioletniego i stuletniego (brama milenarystów była ulokowana wysoko na zboczu wzgórza i funkcjonowała nieco inaczej). Miały w określonych momentach otwierać się i zamykać, co przedstawiało pewien problem natury praktycznej - a to z tego powodu, że znajdowały się dość daleko od zegara, który z drugiego brzegu rzeki miał nimi sterować.

Praktycy postanowili wykorzystać energię wody. Daleko za murami koncentu, powyżej katarakty (czyli wysoko ponad naszymi głowami) wykuli w skalnym korycie zbiornik, a wodę z niego skierowali akweduktem na południe, prosto do tumu, omijając kataraktę, most i zakręt rzeki. Woda pokonywała krótki tunel, przez pół mili otwartego terenu skakała po kamieniach, a potem zapadała się pod ziemię i wpływała do rury zakopanej w gruncie pod okolicą, w której później wyrosły domy miastowych. Ściśnięta pod wpływem siły grawitacji, tryskała z dwóch fontann w stawie przy Bramie Diennej. Przecinająca staw (i przechodząca między fontannami) grobla łączyła bramę z północnym skrajem głównego placu miasta.

Staw był wyniesiony powyżej poziomu rzeki i okolicznej równiny. Do jego dna dochodziły rury, zamykane potężnymi zaworami kulowymi z polerowanego granitu. Jedna z nich zasiliała ciąg stawów, kanałów i fontann ozdabiających apartamenty Prymasa, a dalej na krótkim odcinku stanowiła granicę między matem jednorocznym i dziesięcioletnim. Trzy dalsze drewniane łączą się z systemami przewodów, syfonów i akweduktów połączonych z trzema bramami i poza okresem apertów pozostawały całkowicie suche. Dopiero teraz opadające obciążniki zegara otworzyły dwa zawory, a te wpuściły wodę do systemów Bram Roku i Dekady.

Można powiedzieć, że było to rozwiązanie toporne i dalekie od doskonałości, ale miało jedną zaletę, z której nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. System napełniał się dosyć wolno, dzięki czemu po zakończeniu ceremonii mogliśmy wylec z tumu i żwawym krokiem podążyć śladem wody, niespiesznie wypełniającej akwedukt poprowadzony wzdłuż Siedmiokrotnych

Schodów, dookoła klauzury, w stronę rzeki.

Nad rzeką był w tym miejscu przerzucony kamienny most, po naszej stronie kończący się okrągłą basztą, na drugim brzegu zaś bastionem w zewnętrzny murze koncentu. W baszcie znajdował się zbiornik, w tej chwili napełniany dostarczaną akweduktem wodą i zaopatrzony w dzióbkiowaty odpływ, ulokowany nad płatkami koła wodnego. Większość z nas dotarła tam w samą porę, żeby zobaczyć, jak zbiornik się przepelnia i koło zaczyna się obracać, przejmując energię wody, zanim zwróci ją rzece. Za pośrednictwem przekładni z nierdzewnej stali koło wprawilo w ruch wał gruby jak moje udo, biegnący na drugą stronę mostu (gdybym nie wiedział, do czego służy, mógłbym go wziąć za przesadnie solidną poręcz). Po drugiej stronie rzeki, w bastionie, wał uruchomił drugą przekładnię, połączoną już bezpośrednio z zawiasami skrzydeł bramy.

Słyszac ich zgrzyt, pobieglismy w tamtym kierunku, ale znalazlismy sie blizej, zwolnilismy. Nikt nie wiedzial, co sie teraz stanie.

Chociaz... No, mielismy pewne wyobrazenie, bylem jednak wciaz dostatecznie mlody, zeby zapomniec o Grabiach Diaksa, gdy jakaś idea bez reszty mnie zauroczyła. Opowiec Orola o matemie unoszacym sie swobodnie na morzu czasu, o odlaczonej dziedzinie przyczynowej, dzialala mi na wyobrazenie, puszcilem wiec wodze fantazji i udalem, ze zyje w takim wlasnie matemie i nie mam zielonego pojecia, co zastane za jego brame, kiedy wreszcie sie otworzy: tłum podekscytowanych slogow, ktorzy rzuca sie na nas z widlami i butelkami z benzyna. Wyglodniatych nieszczesnikow, ktorzy przeczolgaja sie przez próg, gotowi rekami wygrzebywac kartofle z ziemi. Moshyjskich pielgrzymow, spodziejajacych sie ujrzec oblicze bostwa. Ciagnace sie po horyzont morze trupow. Dziewicza dzicz.

Najciekawiej zapowiadala sie moment, kiedy szpara miedzy skrzydlami bramy poszerzy sie na tyle, zeby do srodka zdolal sie precisnac pierwszy czlowiek. Kto nim bedzie? Meczyczna czy kobieta? Stary czy mlody? I co bedzie mial przy sobie - karabin?

Niemowlę? Skrzynię złota? Bombę w plecaku?

Kiedy brama zaczęła się otwierać, naszym oczom ukazała się grupa około trzydziestu gapiów. Część stała na wprost wrót, znieruchomiała w takiej samej dziwacznej pozie - dopiero po chwili zorientowałem się, że trzymają w rękach wycelowane w nas szpilołapy albo piszczyki, którymi przesyłają obraz obserwatorom znajdującym się gdzieś daleko. Mała dziewczynka siedziała ojcu na barana i coś sobie pogryzała, wyraźnie znudzona. Wierciła się i marudziła, żeby tata postawił ją na ziemi. Schylił się i skręcił w biodrach, umożliwiając jej zejście, ale wycodził przez zęby, żeby jeszcze chwilę wytrzymała. Obok stało w rzędzie ośmioro dzieci w identycznych ubrankach, pod opieką jakiejś kobiety. Przybyły zapewne z któregoś z miejskich suwinów. Samotna kobieta, z beznadziejnie smutnym wyrazem twarzy, jakby doświadczył ją kataklizm, który oszczędził wszystkich dookoła, powoli szła w stronę bramy, niosąc zawiniątko. Jak się domyślałem, znajdowało się w nim niemowlę. Pół tuzina kobiet i mężczyzn zgromadziło się wokół czegoś dymiącego. Dymiący obiekt otaczały luźne fortyfikacje z wielkich pudeł w jaskrawych kolorach; niektórzy z tej szóstki przysiedli na nich, żeby wygodniej jadło im się wielgachne, ociekające czymś kanapki. Przyszły mi do głowy na wpół zapomniane fluksyjskie słowa: *barbecue, cooler, cheeseburg*.

Jeden z mężczyzn stał dumnie w pustym kręgu (być może dlatego, że inni starannie go unikali) i przyjąwszy triumfalną, chełpliwą pozę, wymachiwał zatkniętą na kiju flagą państwa sekularnego. Inny człowiek pokrzykiwał coś przez urządzenie nagłaśniające; przypuszczałem, że jest deolatrą i namawia nas, żebyśmy przystąpili do jego arki.

Pierwsi przez bramę przeszli mężczyzna i kobieta w strojach, jakie mieszkańcy extramuros przywdziewają z okazji

ślubów i przy zawieraniu ważnych transakcji handlowych. Towarzyszyło im troje dzieci w takich samych, tylko pomniejszych ubrankach. Mężczyzna ciągnął czerwony wóz, na którym jechała donica z sadzonką drzewa. Dzieci przytrzymywały brzegi donicy, żeby się nie przewróciła, kiedy koła wozu wymacały sobie drogę na kocich łbach. Kobieta (która niczego nie ciągnęła) szła szybciej, ale jej krok wydawał mi się jakiś dziwny, dopóki nie przypomniałem sobie, że kobiety extramuros noszą buty, w których nie da się chodzić inaczej. Uśmiechała się i jednocześnie ocierała łzy z oczu. Podeszła wprost do prasuur Ylmy, którą najwyraźniej rozpoznała, i zaczęła tłumaczyć, że jej zmarły przed trzema laty ojciec był wielkim mecenasem naszego koncentu i chętnie go odwiedzał; przechodził przez Bramę Dzienną, słuchał wykładów, czytał książki. Kiedy zmarł, jego wnuki zasadziły to drzewko, teraz zaś chciały prosić o przesadzenie go w jakieś godne miejsce na terenie koncentu. Ylma odparła, że nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem, że drzewko należy do Stu Sześćdziesięciu Czterech. Kobieta z miasta zapewniła ją, że wnuki, świadome panujących w koncencie reguł, dołożyły wszelkich starań, aby wybrać odpowiednią roślinę. Przez ten czas jej mąż kręcił się w pobliżu i rejestrował całą rozmowę na piszczeniu.

Widząc, że nie zmasakrowaliśmy mieszczan ani nie próbowaliśmy im wtykać sond we wszystkie możliwe otwory w ciałach, młody asystent człowieka z urządzeniem wzmacniającym dźwięk wszedł przez bramę i podchodząc do nas po kolei, zaczął nam wręczać zapisane stronice. Nie umieliśmy wprawdzie czytać kinagramów, ale uprzedzano nas, że tego rodzaju prezenty należy przyjmować uprzejmie i wyjaśniać, że przeczytamy je później, zamiast wciągać darczyńców w thelenejski dialog.

Asystent zwrócił uwagę na samotną kobietę i, domyślając się, że zamierza nam zostawić swoje dziecko, zaczął ją od tego odwozić, tłumacząc jej coś potocznym fluksyjskim. W pierwszej chwili odskoczyła jak oparzona, po czym, gdy uświadomiła sobie, że nic jej nie grozi, zaczęła go wyklinać. Pół tuzina suur otoczyło

ją kręgiem, asystent zaś wpadł w szal i zanosilo się na to, że zaraz kogoś uderzy. Fraa Delrakhones miał go na oku i teraz spojrzął porozumiewawczo na kilku muskularnych fraa, którzy pomału zacieśniali krąg wokół awanturnika. W tej samej chwili starszy deolatra zaświergotał jakieś słowo - zapewne imię swojego młodszego towarzysza - i zwróciwszy w ten sposób na siebie jego uwagę, najpierw spojrzął w niebo (*Najwyżsi patrzą, durniu!*), a potem spiorunował go wzrokiem (*Uspokój się i rozdawaj literaturę. To jest najważniejsze!*).

Jakiś wysoki mężczyzna szedł w moją stronę: mistrz Quin. Towarzyszyła mu niższa, pozbawiona brody kopia.

- Bon apert, fraa Erasmus - powiedział Quin.

- Bon apert, mistrzu Quin - odpowiedziałem i spojrziałem na jego syna.

Syn wpatrywał się w moją lewą stopę. Szybko powiódł wzrokiem w górę, aż po czubek kaptura, nie zatrzymał się jednak bynajmniej na mojej twarzy, jakby była równie mało interesująca jak fałdy zawoju.

- Bon... - zacząłem, ale nie dał mi skończyć.

- Ten most zbudowano w oparciu o regułę łuku - zauważył.

- Barb, fraa chciał ci życzyć miłego apertu - zauważył Quin, wskazując na mnie.

Barb złapał go za wyciągniętą rękę i pociągnął w dół - zasłaniała mu most.

- Rozkład sił nadaje mu kształt krzywej łańcuchowej - powiedział.

- Krzywej łańcuchowej... - powtórzyłem.

- Właśnie. Taką linię tworzy zwisający swobodnie łańcuch, tylko że tutaj została odwrócona do góry nogami. Ale wał otwierający bramę musi biec prosto. Nie musiałyby, gdyby był zrobiony z nowomaterii. - Przeniósł wzrok na moją sferę i przez chwilę bacznie się jej przyglądał. - Ale to nie wchodzi w grę, ponieważ Koncent Saunta Edhara powstał po Pierwszej Łupieży, więc most musi być zbudowany ze starej, zwykłej materii. - Teraz spojrzął na wał, który zakrzywiał się podobnie jak most,

przechodząc po drodze przez otwory w rzeźbionych kamiennych blokach. - W tych klocach muszą być ukryte przeguby.

- Zgadza się. Wał...

- Wał składa się z ośmiu prostych odcinków, połączonych uniwersalnymi przegubami schowanymi w postumentach posągów. Taki postument nazywa się cokołem.

Barb ruszył z kopyta. Był pierwszym statystą, który przeszedł przez most i znalazł się w naszym matemie. Quin posłał mi spojrzenie - nie potrafiłem go zinterpretować - i pospieszył za synem.

Między samotną kobietą i naszymi suur wywiązała się kłótnia. Wyglądało na to, że jakiś niedoinformowany osobnik obiecał, że zapłacimy jej za oddanie dziecka. Suur najdelikatniej jak umiały wyprowadziły ją z błędu.

Przybywali nowi statyści. Sześciuosobowa grupa, złożona w większości z mężczyzn w eleganckich, ale nie przesadnie drogich szatach, zagadnęła grupkę starszych deklarantów. Przewodzący sekularom mężczyzna był obwieszony grubym powrozem w krzykliwych barwach, na końcu którego zwieszała się kula. Domyśliłem się, że jest kapłanem jednej z nowomodnych ark antybazyjskich. Wdał się w rozmowę z fraa Haligastreme: wysokim, bezwłosym, barczystym i brodatym, sprawiającym wrażenie, jakby przed chwilą zszedł z peryklinu, gdzie dyskutował sobie z Thelenesem na temat ontologii. Był teorykiem-geologiem i pewnerem edharskiej kapituły. Słuchał uprzejmie, ale cały czas spoglądał znacząco na stojących obok niego odzianych w fioletry hierarchów: Delrakhonesa (Protektora) oraz Statha (Prymasa).

Kiedy ich wymijałem, doleciał mnie fragment innej rozmowy: jedna z przybyłych kobiet zagadnęła o coś fraa Jesry'ego. Na oko oceniałem ją na jakieś trzydzieści lat, ale ponieważ w przypadku kobiet z extramuros, które miały zwyczaj robić dziwne rzeczy z włosami i twarzą, trudniej było określić wiek... po namyśle dałem jej dwadzieścia pięć. Ze skupioną miną wypytywała Jesry'ego o życie w matemie.

Długo trwało, zanim udało mi się zwrócić na siebie jego

uwagę, ale w końcu wyjaśnił uprzejmie swojej rozmówczyni, że umówił się ze mną na wspólne wyjście extramuros. Kobieta spojrzała na mnie, co sprawiło mi przyjemność, a potem jej piszczyk eksplodował ciągiem nutek i musiała wymówić się od dalszej rozmowy, żeby odebrać.

Slog: (1) We fluksyjskim u schyłku Epoki Praksis i w początkach Rekonstrukcji: określenie slangowe utworzone przez skrócenie słowa *slogan*, będącego elementem praksyicznego pyperdu handlowego. Z czasem rzeczownik wykształcił się także w przymiotnik *slogowy* o znaczeniu „pospolity” lub „powszechny”. (2) Określenie mieszkańca extramuros pozbawionego wykształcenia, umiejętności, aspiracji i nadziei na zdobycie tychże. (3) Pejoratywne określenie człowieka głupiego lub nieokrzesanego, zwłaszcza takiego, który z dumą obnosi się z tymi cechami. *Uwaga:* To znaczenie nie jest powszechnie aprobowane, ponieważ sugeruje, że slog jest slogiem z powodu wrodzonej niedoskonałości lub niewłaściwych decyzji życiowych. Preferuje się zatem używanie tego słowa w znaczeniu (2), pozbawionym takich konotacji.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Wyszliśmy z Jesrym z koncentu pierwszy raz od dziesięciu lat.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to mnóstwo wszelakiego śmiecia pod murami. Część musiała być zgromadzona także przy bramie, ale przed apertem ktoś je stamtąd uprzął.

W tamtych czasach w okolicy Bramy Dekady znajdowały się warsztaty rzemieślnicze, toteż przy murze piętrzyły się głównie drewno, rury, zwoje drutu i narzędzia z długimi uchwytami. Jakiś czas szliśmy w milczeniu, ale szybciej niżby się można spodziewać oswoiliśmy się z tym widokiem i zapomnieliśmy, że jesteśmy fraa.

- Myślisz, że ta kobieta chciała mieć z tobą romans? - zapytałem.

- Taki... Jak to się nazywa?

- Atłański - odparłem.

Romans atłański nazwano tak na cześć pewnego decenarysty z siedemnastego wieku p.r., który widywał swoją ukochaną raz na dziesięć lat przez dziesięć dni, a resztę czasu spędzał na pisaniu dla niej wierszy miłosnych i przemycaniu ich za mury matemu. To były naprawdę piękne wiersze. Niektóre wykłuł w kamieniu.

- Jak myślisz, dlaczego miałyby tego chcieć?

- No wiesz, kiedy masz fraa za partnera, nie musisz się bać, że zajdziesz w ciążę.

- Zgoda, dla niektórych może to być zaleta, ale podejrzewam, że w dzisiejszych czasach nie mają problemów z antykoncepcją.

- Wiesz, ja... żartowałem.

- Aha... Przepraszam. Może w takim razie interesuje ją mój umysł?

- Albo walory duchowe.

- Że co? Myślisz, że należy do deolatrów?

- Nie widziałeś, z kim przyszła?

- Z jakimiś mężczyznami... Oni to chyba nazywają „kontyngentem”.

- Założę się, że przysłał ich Niebiański Strażnik. Ich przywódca miał na sobie imitację sznura.

Oddaliliśmy się już od Bramy Dekady i za zakrętem straciliśmy ją z oczu. Spojrzałem na praesidium. Megality na obwodzie gwiazdznego kręgu służyły mi za punkty orientacyjne. Doszliśmy do innej, szerszej drogi, biegnącej równolegle do rzeki. Gdybyśmy się przez nią przeprawili i wspięli wyżej, dotarlibyśmy do dzielnicy wysokich domów mieszkalnych. Idąc wzdłuż niej w prawo, znaleźlibyśmy się w dzielnicy handlowej, zatoczyli pętlę i wrócili do koncentu przez Bramę Dzienną. W lewo droga wprowadzała na pseudmieścia, gdzie spędziłem pierwsze osiem

lat życia.

- Załatwmy to - powiedziałem i skrzyłem w lewo.

- Jeszcze raz - odezwał się po paru krokach Jesry. Miał irytujący zwyczaj domagania się wyjaśnień w taki właśnie sposób.

- Niebiański Strażnik?

- Ikonografia moshyjska - odparłem i streściłem mu pokrótce rozmowy fraa Orola z Flekiem i Quinem.

Okolica się zmieniała: ubywało warsztatów, przybywało magazynów. Na tym odcinku rzeka była żeglowna dla barek, toteż ludzie chętnie składowali tu towary. Widzieliśmy zresztą coraz więcej pojazdów - przede wszystkim mnóstwo drumonów, które mogły mieć nawet po dwanaście kół i służyły do przewozu dużych i ciężkich ładunków. Wyglądały tak samo, jak je zapamiętałem. Nieliczne aporty śmigały po tracie z mniejszymi ładunkami; były bardziej kolorowe niż za moich czasów. Większość z nich należała do rzemieślników, którzy musieli poświęcać sporo czasu i energii na modyfikowanie ich kształtów i kolorów - przy czym robili to chyba tylko dla rozrywki. A może był to rodzaj rywalizacji, jak wśród kolorowo upierzonych ptaków. Tak czy inaczej, wygląd aportów znacznie się zmienił i co chwila przerywaliśmy z Jesrym rozmowę, żeby przystanąć i pogapić się na jakiś wyjątkowo dziwny lub jarmarcznie kolorowy egzemplarz. Kierowcy również się na nas gapili.

- Nie miałem pojęcia o tym całym Niebiańskim Strażniku - przyznał Jesry. - Ostatnio pochłaniały mnie obliczenia, które wykonywałem na zlecenie grupy Orola.

- A co sobie pomyślałeś, kiedy Tamura tak nas wczoraj maglowała?

- Nic. A teraz mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, że mam cię pod ręką, a ty wiesz coś na ten temat. Nie zastanawiałaś się nad...

- Nad przystąpieniem do Nowego Kręgu? I w przyszłości zostaniem hierarchą?

- No właśnie.

- Nie. Nie muszę się nad tym zastanawiać, bo mam

wrażenie, że wszyscy mnie w tym wyręczają.

- Przykro mi, Ras - powiedział.

Wcale nie było mu przykro, za to zirytował się bardziej niż ja. Trudno się z nim rozmawiało. Zdarzało się, że całymi miesiącami go unikałem, ale z czasem nauczyłem się, że warto trochę pocierpieć.

- Nieważne - powiedziałem. - Czym zajmuje się grupa Orola?

- Nie wiem, wykonuję tylko obliczenia. Mechanika orbitalna.

- Teoryczna czy...

- Całkowicie praktyczna.

- Może odkryli planetę krążącą wokół innej gwiazdy?

- To niemożliwe. Musieliby zestawić informacje ze wszystkich teleskopów, a my przecież przez dziesięć lat nic ciekawego nie zaobserwowaliśmy.

- W takim razie chodzi o coś bliższego. Coś, do czego teleskopy nie są potrzebne.

- Asteroida - wyjaśnił Jesry, zdeglustowany moimi powolnymi postępami w rozwiązywaniu zagadki.

- Wielka Gruda?

- Orola byłby znacznie bardziej podekscytowany.

Ten żart miał bardzo długą brodę. Gryzpiórki uważały nas za kompletnie bezużytecznych. Jedną z niewielu rzeczy, mogących zmienić ich opinię na nasz temat, byłoby odkrycie ogromnej asteroidy, która w nieodległej przyszłości ma uderzyć w Arbre. W roku tysiąc sto siódmym niewiele brakowało. Tysiące deklarantów zebrały się na konwoksie, aby zbudować statek kosmiczny, mający zepchnąć asteroidę z kursu. Zanim jednak statek wystartował (co stało się w roku tysiąc sto piętnastym), kosmografowie wyliczyli, że asteroida jednak minie nas o włos, i misja ratunkowa zmieniła się w naukową. Wokół laboratorium, w którym zbudowano statek, powstał Koncent Saunta Raba, nazwany tak na pamiątkę kosmografa, który odkrył asteroidę.

Z prawej strony wzgórze zamieszkałe przez miastowych

skończyło się i dopływ rzeki przeciął nam drogę. Trakt przekraczał go po wiekowym talowym moście, dawno temu wybudowanym, przerdzewiałym, zawalonym, potępionym i połatany nowomaterią. Wytarta, ledwie widoczna linia przerywana sugerowała kierowcom, że mogliby ewentualnie okazać odrobinę uprzejmości pieszym poruszającym się między prawym pasem i barierką. Zaszliśmy za daleko, żeby w tym momencie zawrócić, a z przeciwka zbliżał się już inny przechodzień, pchający wózek wyładowany torbami z polioplastu. Przyspieszyliśmy więc kroku, licząc na to, że drumony, aporty i moby nie będą chciały nas rozjechać. Na lewo od mostu dopływ kluczył po równinie zalewowej, zdążając do odległej o milę rzeki. W czasach mojego dzieciństwa trójkątny skrawek łądu przy jego ujściu był podmokły i porośnięty drzewami. Wyglądało jednak na to, że od tamtej pory koryto dopływu zostało uregulowane i wzmocnione, a trójkąt gęsto zabudowany. W zabudowie wyróżniała się ogromna, niezadaszona arena z tysiącami miejsc na trybunach.

- Pójdziemy obejrzeć mecz? - zapytał fraa Jesry.

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy się ze mnie nabija. Z nas wszystkich on najbardziej nadawał się na sportowca, i chociaż rzadko brał udział w jakichś zawodach, to kiedy już do nich przystąpił, dzięki determinacji i woli walki wypadał całkiem niezłe - nawet jeśli brakowało mu talentu i umiejętności.

- Nie mamy pieniędzy, żeby zapłacić za wstęp.

- Może uda nam się sprzedać miód.

- Miodu też nie mamy. Może pod koniec tygodnia.

Moja odpowiedź nie przypadła Jesry'emu do gustu.

- I tak jest za wcześnie - dodałem. - Tak rano nie grają.

Po chwili wyskoczył z nową propozycją:

- Chodź, wdamy się w bójkę z jakimiś slogami.

Doszliśmy już prawie do końca mostu. Ledwie uskoczyliśmy przed aportem kierowanym przez mężczyznę, który mógł być naszym rówieśnikiem i prowadził pojazd w taki sposób, jakby najadł się fikochwastu: jedną rękę trzymał na przyrządach, drugą przyciskał do ucha piszczek. Byliśmy więc podeksycytowani,

zdenerwowani, zdyszani i pomysł bijatyki wydał mi się odrobinę mniej idiotyczny niż w innych okolicznościach. Uśmiechnąłem się. Obaj mieliśmy krzepę od nakręcania zegara, a wielu statystów prezentowało się wręcz żałośnie. Zaczynałem rozumieć, co miał na myśli Quin, mówiąc, że umierają z głodu i przejedzenia jednocześnie.

Kiedy jednak spojrzałem na Jesry'ego, skrzywił się i odwrócił wzrok. Wcale nie chciał się bić ze sloganami.

Weszliśmy na pseudmieścia, gdzie się wychowałem. Cały jeden kwartał zajmował budynek, który z wyglądu przypominał olbrzymi dom towarowy, a w rzeczywistości był chyba nową arką antybazyjską. Na rozpościerającym się przed nim trawniku stał biały posąg, wysoki na pięćdziesiąt stóp i przedstawiający brodatego proroka z latarnią i szpadlem w rękach.

W przydrożnych rowach pieniały się fikochwast i kolcojagoda, przebijając się przez kozuch śmieci. Pod szarą warstwą zgęstniałych spalin wyblakłe kinagramy na porzuconych opakowaniach wiły się jak robaki uwięzione w worku z odpadkami. Kinagramy, znaki firmowe, nazwy przekąsek - wszystko to było dla mnie nowe, ale w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

Zrozumiałem, dlaczego Jesry jest taki marudny.

- Jesteś zawiedziony - powiedziałem.

- Ano jestem.

- Tyle lat, tyle przeczytanych kronik i niesamowitych historii opowiadanych w czasie certyfiku... To wszystko nas...

- Spodziewaliśmy się czegoś więcej.

- Właśnie - przytaknąłem i tknięty przecuciem, zapytałem:

- Czy Orolo opowiadał ci kiedyś o dziesięciotysięcznikach?

- Odłączanie dziedziny przyczynowej i tak dalej? - Jesry posłał mi dziwne spojrzenie, zaskoczony, że Orolo mi zaufał.

Pokiwałem głową.

- To typowy przykład tego badziewia, którym nas karmią, żeby intramuros wydawało nam się ciekawsze niż w rzeczywistości - powiedział Jesry.

Wyczułem intuicyjnie, że dopiero przed chwilą doszedł do takiego wniosku: skoro Orolo rozmawiał o tym ze wszystkimi fidami, to co to za atrakcja?

- Nie karmią nas badziewiem. Po prostu żyjemy w nudnych czasach.

- To strategia werbunkowa - tłumaczył Jesry. - A właściwie retencyjna.

- To znaczy?

- Naszą jedyną rozrywką jest czekanie na apert, bo wtedy bramy się otwierają i możemy zobaczyć, jak jest na zewnątrz. A kiedy się okazuje, że jest tak samo jak zawsze, tylko brzydziej i brudniej, nie pozostaje nam nic innego jak zamknąć się w matemie na kolejne dziesięć lat i czekać, z nadzieją, że może następnym razem będzie lepiej.

- Można wejść głębiej.

- I zostać setnikiem? Nie zauważyłeś, że w naszym wypadku to nie ma sensu?

- Bo następny apert będą obchodzili razem z nami.

- A zanim nadejdzie kolejny, pomrzemy.

- Niektórzy ludzie dożywają stu trzydziestu lat - zaoponowałem.

Co tylko dowodziło, że przeprowadziłem w myślach takie same obliczenia jak Jesry - i wyciągnąłem takie same wnioski. Prychnął lekceważąco.

- Urodziliśmy się za wcześnie na setników i za późno na tysięczników. Parę lat wcześniej i nadawalibyśmy się w sam raz na znajdy, które trafiłyby do skalnego gniazda.

- I nie dożyłyby nawet pierwszego apertu. Poza tym ja może i mógłbym być znajdą, ale ty raczej nie, sądząc po tym, co opowiadałeś o swojej rodzinie.

- Niedługo się przekonamy.

Następną miłą przebyliśmy w milczeniu, ale mimo że się nie odzywaliśmy, cały czas toczyliśmy dialog - dialog pielgrzymi, w którym dwóch równych sobie interlokutorów wyklada swoje racje podczas wędrówki (w odróżnieniu od dialogu suwińskiego,

w którym mentor naucza fida, oraz peryklińskiego, będącego w istocie pojedynkiem). Nasza droga dołączyła pod ostrym kątem do innej, szerszej, obstawionej identycznie wyglądającymi przybytkami, w których slogowie kupowali jedzenie i inne towary. Ciąg sklepów urozmaicały kasyna - industrialne sześciany bez okien, otulone kolorowym światłem. Dawniej, kiedy po traktach kursowało więcej pojazdów, całą szerokość jezdni zajmowały wytyczone białymi liniami pasy ruchu. W naszych czasach większość użytkowników drogi stanowili piesi, skuterzyści, ludzie na deskach zaopatrzonych w koła i pasażerowie jakichś wynalazków napędzanych pedałami. Zamiast jednak poruszać się po liniach prostych, woleli - tak jak i my - tak układać swoją trasę, by zahaczała o wyspy chodnika, otaczające sklepy w taki sam sposób, jak morze oblewa łańcuch wysp. Chodniki były pocięte meandrującymi szczelinami, znaczone cienkimi jak ostrze noża żywopłotami z fikochwastu, na których od dawna odcedzały się niesione wiatrem śmieci i kurz.

Krótko po świcie słońce schowało się za chmury, ale teraz znów wyszło. Przystanęliśmy w cieniu sklepu sprzedającego różnokolorowe opony młodym ludziom, pragnącym upiększyć swoje aparty i podrasowane moby. Poprawiliśmy na sobie zawoje, układając ich fałdy w taki sposób, żeby osłaniały nam głowy.

- Ty czegoś chcesz - stwierdziłem. - I jesteś marudny, bo jeszcze tego nie dostałeś. Wątpię, żeby chodziło ci o jakieś zwykłe towary, bo w ogóle nie zwracasz na nie uwagi.

Ruchem głowy wskazałem stopy opalizujących opon z nowomaterii. Na bocznych ścianach kół pojawiały się i znikwały ruchome obrazy kobiet z rozdętymi piersiami. Jesry zapatrzył się na jedną z nich i wzruszył ramionami.

- Mógłbym chyba odejść z matemu i nauczyć się lubić takie rzeczy - stwierdził. - Ale szczerze mówiąc, wydaje mi się to głupie. Może gdybym jadł to co oni, byłoby łatwiej.

Przeszliśmy kawałek po chodniku.

- Posłuchaj - odezwałem się. - Co najmniej od Epoki Praksis wiadomo, że jeśli człowiek ma w krwiobiegu dostatecznie

dużo jestokeju, mózg będzie mu na tysiące sposobów powtarzał, że wszystko jest w porządku...

- A jeśli nie ma, kończy tak jak my.

Próbowałem się na niego rozzłościć, ale poddałem się i parsnąłem śmiechem.

- Niech ci będzie. Przed chwilą minęliśmy kępę błogonia...

- Widziałem. To już druga, poprzednia była przy sklepie z używaną pornografią.

- Ale ten tutaj wyglądał bardziej świeżo. Moglibyśmy go nazrywać, najeść się i podskoczyłby nam poziom jestokeju. Moglibyśmy zostać tutaj, albo gdziekolwiek indziej, i żyć szczęśliwie, albo wrócić do koncentu i próbować uczciwie osiągnąć szczęście.

- Jaki ty jesteś łatwowierny...

- To ty masz być edharskim złotym dzieckiem. To ty powinieneś we wszystko wierzyć bez zastrzeżeń. Powiem szczerze: zdumiewasz mnie.

- A to co znowu? Odezwał się w tobie cyniczny proceńczyk?

= Niektórzy tak chyba uważają.

Jesry westchnął.

- Widzę, jak starsi deklaranci ciężko pracują. Ci, którzy doznali iluminacji... - Przybrał drwiący ton. Był tak sfrustrowany, że z każdą nową myślą zataczał się i potykał. - Czyli ci, na których spłynęła światłość Cnoüsa, zajmują się teorią. Mniej utalentowani zajmują się kamieniarstwem i hodowlą pszczół. Największe miernoty odchodzą albo skaczą z tumu. Ci, którzy zostaną, są szczęśliwi, cokolwiek miałyby to znaczyć.

- Na pewno szczęśliwsi od ludzi mieszkających tutaj.

- Nie zgodzę się z tobą. Ci tutaj są równie szczęśliwi jak, powiedzmy, fraa Orolo. Dostają to, czego chcą: nagie kobiety na kołach pojazdów. Orolo również dostaje to, czego chce: wgląd w tajemnice wszechświata.

- No to przejdźmy do rzeczy: czego ty chcesz?

- Żeby coś się wydarzyło. I jest mi prawie obojętne, co to

będzie.

- Czy gdybyś dokonał przełomu w teoryce, to by się liczyło?

- Pewnie. Ale jakie mam na to szanse?

- To zależy od danych z obserwacji.

- Na które nie mam wpływu. Czym się mam zająć w tej chwili?

- Studiuj teorię, jesteś w tym dobry. Pij piwo. Romansuj ze wszystkimi suur, które będą tego chciały. Co w tym złego?

Jesry poświęcał stanowczo zbyt wiele uwagi kopaniu znalezionej kamyka i obserwowaniu, jak podskakuje na chodniku.

- Często patrzę na tych małych ludzików na witrażach - przyznał.

- Słucham?

- No wiesz. Witraże przedstawiają sauntów. Sami sauntowie zawsze są na nich duzi, wypełniają większość okna. Ale z bliska widać obok nich takie maciupęńkie postaci w zawojach i sznurach...

- Tłoczą się wokół ich nóg - przytaknąłem. - Na wysokości kolan.

- No właśnie. Patrzą na sauntów z podziwem. To są tacy pomagierzy. Fidowie. Drugorzędni asystenci, którzy gdzieś tam po drodze podsuną użyteczny temat albo przeczytają wstępną wersję pracy. Nikt nie zna ich imion, może poza starym zrzędą od czyszczenia okien.

- Nie chcesz skończyć jako pomagier.

- Otóż to. Jak to działa? Dlaczego jedni mogą, a inni nie?

- Chcesz mieć cały witraż dla siebie?

- To by znaczyło, że przytrafiło mi się coś interesującego. Coś ciekawszego niż to.

- A gdybyś musiał wybierać: albo witraż, albo dużo jestokeju we krwi?

Jesry się zamyślił. Przystanęliśmy, czekając, aż ogromny przegubowy drumon wycofa się i przestanie nam zagrażać drogę.

- Nareszcie zadałeś jakieś ciekawe pytanie - powiedział.
Od tego momentu stał się przemiłym kompanem wędrowni.

Pół godziny później stwierdziłem, że zabłądziliśmy. Jesry przyjął moje oświadczenie z zadowoleniem, jakby zabłądzenie było czymś bardziej satysfakcjonującym od znalezienia drogi.

Obok nas przeturkotał pudełkowaty autokar.

- To już trzeci autokar z dziećmi, jaki nas mija - zauważył Jesry. - Czy w okolicy, w której mieszkałeś, jest jakiś suwin?

- W takich miejscach nie ma suwinów, tylko stabile.

- Rzeczywiście. To od jakiegoś starego fluksyjskiego słowa, kulturalne coś tam...

- Ośrodki stabilizacyjne. Ale od trzech tysięcy lat nikt tak o nich nie mówi.

- Jasne. Stabile.

Skreśliśmy w tę samą przecnicę co wszystkie trzy autokary. Przez następną minutę rozmowa się nie kleiła. W matemie nikt nie przejmował się tym, że Jesry wywodzi się z miastowych, a ja jestem slogiem. Kiedy jednak wyszliśmy za Bramę Dekady, fakt ten nagle wypłynął na powierzchnię, jak bąbel bagienego gazu z czarnej wody. Od tamtej pory bańka cały czas niepostrzeżenie rosła i pęczniała, aby teraz eksplodować z ogłuszającym, cuchnącym beknięciem.

Mój stary stabil wydał mi się dwukrotnie pomniejszoną kopią oryginału, ulepioną przez niechlujnego modelarza. Część sal, które za moich czasów tętniły życiem, została zabita deskami, co potwierdzało pogłoski o kurczeniu się populacji. Może zanim zostanę pra-fraa, wyrośnie tu młody lasek.

Pusty autokar odjechał przed stabilu. Zanim następny wtoczył się na jego miejsce, zobaczyłem tłum dzieci, uginających się pod ciężarem olbrzymich plecaków, brnących przez środek

wąwozu zalewanego oślepiająco jaskrawymi kolorami: zadaszonego przejścia obstawionego z obu stron automatami, które, wydając intrygujące odgłosy, sprzedawały przekąski i napoje. Dzieci - już ze śniadaniem w rękach - docierały do klas. Mogliśmy do nich z Jesrym zajrzeć przez okna: w niektórych wszystkie maluchy oglądały te same obrazy na wielkim ekranie, w innych każde miało własny, mniejszy ekranik. Na jednym końcu kompleksu ślepa ściana sali gimnastycznej tętniła basowym rytmem programu sportowego. Rozpoznałem ten rytm: za moich czasów też się do niego ćwiczyło.

Od dziesięciu lat nie widzieliśmy ruchomych obrazów, więc przez długą chwilę staliśmy przy oknie jak zahipnotyzowani. W końcu jednak się otrząsałem, szturchnąłem Jesry'ego pod żebro i poprowadziłem go ulicami, po których wałęsałem się jako dzieciak. Tutejsi mieszkańcy równie chętnie jak pojazdy upiększali swoje domy, kiedy więc udawało mi się rozpoznać jakiś budynek, zwykle miał dobudowaną wiatę na dachu albo nowe moduły doklejone do starych, które widywałem w swoich snach. Pomagał mi fakt, że dzielnica wydawała mi się dwa razy mniejsza, niż ją zapamiętałem.

Znaleźliśmy miejsce, gdzie mieszkałem, zanim zostałem kolektantem: dwa moduły mieszkalne połączone pod kątem na kształt litery L. Drugie L, wykonane z drucianej siatki, dopełniało zamknięcia zachwaszczonej prostokątnej klauzury, w której stały dwa zdechłe aporty i martwy mob; starszy z aportów osobiście pomagałem stawiać na klockach. Bramę zdobiły cztery tabliczki (w różnym wieku) grożące intruzom śmiercią; na mój gust jedna dawałaby lepszy efekt. Długa jak moja ręka samosiejka rosła w zatkaney rynnie; nasionko musiał tam zanieść jakiś ptak albo podmuch wiatru. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim drzewko urośnie tak bardzo, że zerwie rynnę.

W domu głośno nastawiony szpilomat odtwarzał jakieś ruchome obrazy, musieliśmy więc długo krzyżeć i szarpać bramą, zanim ktoś do nas wyszedł: kobieta, mniej więcej dwudziestoletnia. Kiedy miałem osiem lat, musiała być którąś z

moich starszych koligatek. Spróbowałem sobie przypomnieć ich imiona.

- Leeya?

- Wyprowadziła się razem z tamtymi - odparła kobieta.

Zachowywała się całkiem zwyczajnie, jakby codziennie widywała przed drzwiami zakapturzonych ludzi, którzy wypytyują ją o dawno zapomnianych krewnych. Obejrzała się przez ramię: na szpilu doszło właśnie do jakiejś ognistej eksplozji. Kiedy dźwięki wybuchu przycichły, usłyszeliśmy pytający męski głos. Kobieta wyjaśniła, co ją zatrzymało. Mężczyzna chyba nie do końca ją zrozumiał, więc powtórzyła to samo, tylko głośniejsze.

- Domniemywam, że pod twoją nieobecność w rodzinie doszło do rozłamu na jakieś frakcje - zauważył Jesry.

Miałem ochotę dać mu po gębie, ale kiedy na niego spojrzałem, stwierdziłem, że wcale ze mnie nie drwi.

Kobieta znów odwróciła się w naszą stronę. Patrzyłem na nią przez szczelinę między dwiema tabliczkami grożącymi mi śmiercią i nie byłem pewien, czy widzi moją twarz.

- Dawniej miałem na imię Vit - powiedziałem.

- Chłopak, który poszedł do zegara. Pamiętam cię. Co słychać?

- W porządku. A u ciebie?

- Obleci. Twojej mamy nie ma. Wyprowadziła się.

- Daleko?

Przewróciła oczami, poirytowana, że każe jej dokonywać takich szacunków.

- Dalej niżbyś doszedł na piechotę.

Z domu znowu dobiegł męski podniesiony głos. Kobieta posłusznie odwróciła się do nas plecami i streściła swoje poczynania.

- Nie jest zwolenniczką ikonografii dravikularnej - mruknął Jesry.

- Jak na to wpadłeś?

- Powiedziała, że poszedłeś do zegara. Poszedłeś dobrowolnie. A nie że deklaranci cię porwali.

Znowu na nas spojrzała.

- Miałem tu starszą koligatkę, Cord - powiedziałem. Skinieniem głowy wskazałem starszy z zepsutych apartów. - To jej. Pomogłem jej go tu wprowadzić.

Opinia kobiety na temat Cord była niejednoznaczna, co poznaliśmy po falach sprzecznych uczuć, jakie prześliznęły się po jej twarzy jak zmarszczki wodzie. Na koniec westchnęła ciężko, zgarbiła się, zadarła podbródek i uśmiechnęła się w taki sposób, żebyśmy nie mieli wątpliwości, że uśmiech jest wymuszony.

- Cord jest zajęta swoimi sprawami.

- Jakimi sprawami?

To pytanie rozdrażniło ją jeszcze bardziej niż moje poprzednie „Daleko?”. Spojrzała znacząco na ruchome obrazy.

- Gdzie ją znajdę?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie przechodziliście obok - odparła i opisała miejsce, które rzeczywiście minęliśmy, niedaleko bramy, po czym cofnęła się o krok w głąb domu, ponieważ znajdujący się w nim mężczyzna znów dopominał się o aktualizację raportu. - Trzymaj się - rzuciła na odchodnym.

Pomachała mi i zniknęła nam z oczu.

- Teraz naprawdę chcę poznać Cord - stwierdził Jesry.

- Ja też. Spadajmy stąd.

Odwróciłem się plecami do swojego domu - zapewne po raz ostatni, wątpiłem bowiem, żebym chciał tu wracać podczas następnych apartów. No, może kiedy będę miał siedemdziesiąt osiem lat. Zalesianie potrafi postępować zdumiewająco szybko.

- Kto to jest koligatka? Dlaczego użyłeś akurat tego słowa?

- W niektórych rodzinach więzi pokrewieństwa nie są wcale oczywiste.

Szybciej szliśmy, mniej rozmawialiśmy i wkrótce znaleźliśmy się znów po naszej stronie mostu. Ponieważ miejsce pracy Cord znajdowało się blisko koncentu, najpierw poszliśmy do dzielnicy miastowych i odszukaliśmy dom Jesry'ego.

Z początku, zaraz po tym, jak wyszliśmy przez Bramę Dekady, Jesry niewiele mówił i nie dało się z nim porozmawiać. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, o co chodziło: spodziewał się, że przy bramie zobaczy czekającą na niego rodzinę. Kiedy więc zbliżaliśmy się do jego dawnego domu, odczuwałem większe podenerwowanie niż w swojej rodzinnej okolicy. Odźwierny wpuścił nas główną bramą. Zaraz za nią zżuliśmy sandały, żeby wilgotna trawa obmyła nasze obolałe stopy i przyniosła im ulgę. W cieniu drzew okalających rezydencję z przyjemnością odrzuciliśmy kaptury, żeby nacieszyć się chłodnym powietrzem.

W domu zastaliśmy tylko służącą, mówiącą po fluksyjsku z takim akcentem, że ledwie ją rozumieliśmy. Wyglądało jednak na to, że się nas spodziewała. Wręczyła nam arkusz; nie pochodził z drzewa arkuszowego, takiego jakie rosną w koncencie, tylko został zrobiony przez maszynę. W nagłówku miał wczorajszą datę i wyglądał mi na oficjalny dokument odbity pod prasą albo wygenerowany przez urządzenie syntaktyczne. Okazał się listem adresowanym do Jesry'ego i napisanym przez jego matkę za pomocą maszyny, która wyprodukowała równiutkie rządki liter. Matka napisała go po orthyjsku, robiąc nawet niedużo błędów (nie umiała używać trybu przypuszczającego). Nie rozumieliśmy niektórych użytych przez nią słów, ale sens listu był z grubsza taki, że ojciec Jesry'ego haruje daleko od domu, na rzecz jakiegoś bytu, którego naturę trudno było objaśnić; sądząc po tym, w jakiej części świata się znajdował, musiał być jednym z organów państwa sekularnego. Dzień wcześniej matka - z wielką niechęcią i płaczem - pojechała go odwiedzić, ponieważ przyszłość jego kariery zależała od tego, czy małżonka będzie mu towarzyszyć podczas jakiejś uroczystości (której charakter również trudno było wytłumaczyć). Oboje mieli szczerzy zamiar wrócić na bankiet wydawany w Dziesiątą Noc, a także dołożyć wszelkich starań, aby sprowadzić na tę okazję trzech starszych braci i dwie starsze

siostry Jesry'ego. Tymczasem zaś matka na pociechę upiekła mu ciasteczka (o czym dowiedzieliśmy się już wcześniej, ponieważ służąca od razu nam je podała).

Jesry oprowadził mnie po domu przypominającym matem, tyle że zamieszkały przez mniejszą liczbę ludzi. Był w nim nawet ozdobny zegar, który z wielkim zaciekawieniem obejrzelśmy. Wybraliśmy kilka książek z regałów i zagłębiliśmy się w lekturze, gdy nagle zaczęły bić dzwony w bazyjskiej katedrze po drugiej stronie ulicy, po czym dołączył do nich kurant ozdobnego zegara. Zdaliśmy sobie sprawę, że książki możemy czytać przecież codziennie, i zawstydzeni odstawiliśmy je na miejsce. Usiedliśmy na werandzie, dojadając ciasteczka, i patrzyliśmy na katedrę. Architektura bazyjska była daleką kuzynką matemowej - szeroką i zaokrągloną wszędzie tam, gdzie nasza była wąska i szpiczasta. To miasto miało jednak niewielkie znaczenie w Saeculum w porównaniu z rolą odgrywaną przez Koncent Saunta Edhara w świecie matemowym, toteż przy naszym tumie katedra wydawała się maleńka.

- Czujesz się już szczęśliwy? - zapytał Jesry, spoglądając na ciastka.

- Do osiągnięcia szczęścia potrzebne są dwa tygodnie - odparłem. - To dlatego apert trwa tylko dziesięć dni.

Wyszliśmy na trawnik, cofnęliśmy się do bramy i zeszliliśmy ze wzgórza.

Cord pracowała w kompleksie zabudowań wykonanych całkowicie ze stali - co oznaczało, że są bardzo stare. Nie tak może stare jak budowle kamienne, ale pochodzące zapewne z połowy Epoki Praksis, kiedy to stal potaniała i pojazdy napędzane silnikami cieplnymi zaczęły jeździć po szynach. Kompleks znajdował się ćwierć mili od Bramy Stulecia, przy końcu ślepo kończącego się kanału, połączonego z rzeką i umożliwiającego

barkom wpłynięcie w głąb ładu, gdzie dochodziły drogi i tory. Był w fatalnym stanie, ale budził respekt swoim majestatem i panującą w nim ciszą. Ogrodzenie z pospawanych arkuszy blachy falistej zakotwiczonych w betonie dwukrotnie przewyższało mój wzrost. Dla ochrony przed wiatrem było wzmocnione starymi, zużytymi szynami kolejowymi, które jak na zwykłe podpórki wydały się nam zbyt solidne - do tego stopnia, że na wyścigi próbowaliśmy to wytknąć i posprzeczaaliśmy się o znaczenie tego faktu. W innych miejscach wejście na teren kompleksu tarasowały stalowe skrzynie, jakich u schyłku Epoki Praksis używano do przewozu towarów na statkach i w pociągach. Niektóre zostały wypełnione ziemią, inne złomem; kawałki metalu były tak poplątane i miały tak nieregularne kształty, że do złudzenia przypominały twór organiczny. Zresztą część ogrodzenia naprawdę stała się organiczna - po tym, jak kolcojagody objęły ją w posiadanie. W ogóle na obrzeżach kompleksu było sporo zielska, za to na środku rozściierało się zbite klepisko.

Główny budynek był właściwie wiatą stojącą okrakiem nad ostatnim, dwustustopowym odcinkiem kanału. Wzmocniona kratownicą konstrukcja wiaty podtrzymywała przesuwający się po szynie dźwig z olbrzymim hakiem na zardzewiałym łańcuchu, którego ogniwa były wielkości mojej głowy. Widywaliśmy tę konstrukcję z tumu, ale nigdy nie poświęciliśmy jej większej uwagi. W połowie długości przylegała do niej pod kątem prostym wysoka hala, zbudowana z cegieł (w dolnej części) i blachy falistej (w górnej). Do niej z kolei był przyklejony niski moduł mieszkalny, ozdobiony różnymi umilającymi życie drobiazgami, takimi jak drzwi z drewnianą okleiną czy rustykalny wiatrowskaz na dachu, który w tym miejscu wyglądał trochę od rzeczy.

Zapukaliśmy, odczekaliśmy chwilę, a potem pchnęliśmy drzwi i weszliśmy do środka. Robiliśmy sporo hałasu - na wypadek, gdyby się okazało, że jest to kolejne z tych miejsc, gdzie goście są karani śmiercią. Nikogo nie zastaliśmy.

Moduł został zaprojektowany jako dom mieszkalny, tutaj jednak wyposażono go w taki sposób, aby pełnił rolę kantorku.

Zamiast kabiny prysznicowej wstawiono wysoką szafkę na akta. W ścianie został wypilowany otwór, przez który wpuszczono przewody podłączone do automatu z gorącymi napojami. W sypialni znalazło się miejsce na wolno stojący pisuar. Jedyne dekorację - poza niepasującymi do całości wiejskimi motywami, wbudowanymi w moduł od nowości - stanowiły dziwnie powyginate kawałki metalu (zapewne części jakichś maszyn), zdeformowane i popękane w następstwie traumatycznych wydarzeń, jakie mogliśmy sobie tylko wyobrażać.

Oleiste ślady butów zaprowadziły nas do tylnych drzwi, przez które wchodziło się wprost do ogromnej hali. Odruchowo się zgarbiliśmy, przestępując próg, i tuż za nim przystanęliśmy. Wnętrze było zbyt wielkie, żeby je skutecznie rozjaśnić sztucznym światłem, toteż konstruktorzy postawili na oświetlenie naturalne: dzienne światło wpadało do środka przez wysoko umieszczone przezroczyste panele, otoczone lśniącą mgiełką. Ściany i podłoga pociemniały od wieku, zgęszczonego dymu i olejów. Z belek nad naszymi głowami zwieszały się kolejne zakończone hakami łańcuchy; w blasku dnia wydawały się cienkie i kruche, jakby zerodowane. Posadzka rozpyłała się w oddali w mgłach i cieniach. Pod ścianami przycupnęły ciemne kształty - niektóre nie większe od człowieka, inne wielkie jak biblioteka. W centrum każdego z nich znajdował się pagórek z metalu: widziany z daleka wydawał się wygładzony i zaokrąglony, a oglądany z bliska był szorstki i kanciasty, co kazało mi się domyślać, że powstały w starożytnym procesie tworzenia form z piasku i zalewania ich stopionym żelazem. W istotnych miejscach surowe żelazo zostało spilowane i obrobione, aby powstały płaszczyzny, otwory i kąty proste: niezgrabne nóżki umożliwiające przykręcenie odlewów do podłogi, albo długie rynny w kształcie litery V, po których odlewy mogły się przesuwają, poruszane masywnymi śrubami. Przytulone do tych sylwetek lub przycupnięte u ich stóp znajdowały się jakieś twory splecione z drutu miedzianego, regularne, symetryczne i - co z bliska było doskonale widać - mieniące się lazurowym połyskiem. Macki z drutu i artystycznie powyginate rurki

obrasały maszynierię jak bluszcz czepiający się glazu. Śledząc je wzrokiem, wypatrywałem ich skupisk, gdzie często ze zdumieniem dostrzegałem ludzkie sylwetki w ciemnych roboczych kombinezonach. Niektórzy z tych ludzi robili coś, co można by nazwać pracą, ale większość po prostu rozmyślała. Maszyny czasem wydawały jakieś dźwięki, lecz działa się to rzadko i po hali niosło się głównie basowe buczenie rezonujących skrzyń, porozstawianych wszędzie dookoła, ciepłych w dotyku i zasilanych kablami (lub zasilających kable) grubości mojej nogi w kostce.

W całej hali naliczyliśmy około tuzina ludzi. Było w ich sylwetkach coś takiego, że baliśmy się do nich zbliżyć, ale jeden z mężczyzn podszedł do nas, popychając zardzewiały wózek, z którego we wszystkie strony eksplodowały helisy zestruganego metalu.

- Przepraszam... - zagaiłem. - Zastaliśmy Cord?

Odwrócił się i wskazał coś dużego i skomplikowanego, stojącego na środku hali. Zawieszane w górze tumany mgły i posłuszna racjonalnej geometrii adrahonejskiej sieć dźwigarów wydawały się większe niż w rzeczywistości, kiedy padało na nie migotliwe niebieskie światło trzeszczącego łuku elektrycznego. Gdybym zobaczył przez teleskop gwiazdę w takim kolorze, rozpoznałbym w niej błękitnego karła i mógłbym się pokusić o określenie jej temperatury: musiałaby być znacznie gorętsza niż nasze słońce, dostatecznie gorąca, by większość energii emitować w postaci ultrafioletu i promieni gamma. Tymczasem - o dziwo - wielki jak dom obiekt, stanowiący w tym wypadku źródło energii, był pomarańczowoczerwony i tylko na krawędziach ociekał zabójczym promieniowaniem.

Podszedłszy bliżej, stwierdziliśmy, że mamy przed sobą gigantyczny sześcian, przypominający bryłę czerwonego bursztynu, w którym uwięzione zostały dwie sylwetki - nie owadzie jednak, lecz ludzkie. Od czasu do czasu sylwetki się poruszały, a ich krawędzie drżały wtedy i rozplływały się na moment.

Okazało się, że maszyna jest osłonięta czerwoną kurtyną z jakiejś galaretowatej materii, zawieszoną na biegnącej w górze szynie. Niebieskie światło swobodnie strzelało pod sufit i zabijało zarazki na dźwigarach, ale nie mogło rozchodzić się poziomo nad podłogą i oślepiac ludzi. Dla mnie i Jesry'ego było oczywiste, że kurtyna musi być czerwona, aby przepuszczać tylko światło o niskiej energii, przez nas postrzegane jako czerwone. Dla światła wysokoenergetycznego (które my widzimy jako niebieskie, jeśli w ogóle jest widzialne) była nieprzezroczysta jak stalowa płyta.

Obeszliśmy sześcian - wielki jak dwa zestawione razem moduły mieszkalne. Przez czerwoną galaretowatą zasłonę trudno było rozeznac szczegóły maszynierii, ale wyglądało na to, że w środku znajduje się masywna płyta, na której pomieściłoby się dziesięciu śpiących ludzi. Ślizgała się na wszystkie strony jak kostka masła na patelni. Na jej środku umieszczono mniejszą, okrągłą płytę, wykonującą krótkie, miarowe obroty i przechyły. Nad tym wszystkim unosił się potężny mechanizm, zawieszony na żeliwnym pomoście, poruszający się w górę i w dół i zaopatrzony w iskiernik, w którym rodziło się błękitne światło.

Rurowate stalowe ramię sięgało z pomostu na platformę, na której stały dwie osoby. Z jej krawędzi zwieszała się skrzynia z giętej blachy, zupełnie niepasująca do tego miejsca; należała do zdecydowanie innej kategorii niż odlewy z piaskowych form. Na jej zewnętrznych powierzchniach wyświetlały się jakieś liczby. Domyślałem się, że jest wypełniona procesorami syntaktycznymi, dokonującymi pomiarów podczas działania maszynierii albo nią sterującymi. Albo jedno i drugie naraz, bo prawdziwy procesor syntaktyczny powinien umieć podejmować decyzje na podstawie uzyskanych wyników.

Naturalnie w pierwszym odruchu miałem ochotę okrzęcić się na pięcie i wyjść z hali, ale Jesry stał jak urzeczony.

- Nie przejmuj się - powiedział, łapiąc mnie za rękę. - Jest apert.

Jeden z dwóch ludzi za kurtyną powiedział coś o „osi X”. Spojrzeliśmy z Jesrym po sobie, kompletnie zaskoczeni, że

naprawdę to usłyszeliśmy. To tak jakby kucharz ze smaźalni zaczął mówić po średniorthyjsku.

Przez trzaski maszynerii dolatywały nas dalsze strzępy rozmowy:

- Sześcienny wypust. Ewoluta. Interpolacja pylanejska.

Nasz wzrok przykuły rzędy czerwonych cyfr na przedniej ścianie procesora. Stale się zmieniały. Zegar odliczał czas wstecz z dokładnością do setnych części sekundy. Domyśliliśmy się również, że inne wskaźniki pokazują pozycję płyt: współrzędne x i y , kąty obrotu i pochylenia mniejszej, okrągłej płyty, wysokość skwierczącego iskiernika. Czasem zamierały wszystkie oprócz jednego: mieliśmy do czynienia z ruchem jednostajnym po linii prostej. Kiedy indziej zmieniały się wszystkie jednocześnie, odwzorowując układ równań parametrycznych.

Obserwowaliśmy to z Jesrym przez pół godziny, bez słowa. Staralem się przede wszystkim rozszyfrować cykl zmian cyfr na wyświetlaczach, ale rozmyślałem też o tym, jak bardzo ta hala przypomina tum z umieszczonym na środku, skąpanym w świetle świętym zegarem.

I jak na zawołanie - zagrał kurant zegara. Odliczanie doszło do zera i się skończyło. Światło zgasło.

Cord odsunęła kurtynę, ściągnęła z twarzy czarne okulary ochronne i otarła przedramieniem pot z czoła. Stojący obok niej mężczyzna (klient, jak się domyślałem) miał na sobie luźne czarne spodnie, czarny sweter z długimi rękawami i myckę w tym samym kolorze. Ja i Jesry natychmiast zrozumieliśmy, kim jest. Zamurowało nas.

Ita również się zorientował, kim jesteśmy, i odruchowo cofnął się o krok. Długa czarna broda opadła mu na pierś jak lawina, gdy rozdziawił usta. Potem jednak zachował się w sposób godny podziwu: powstrzymał wpajaną mu od urodzenia chęć ucieczki przed nami i zaszycia się w jakimś ciemnym kącie, wrócił na swoje miejsce obok Cord i (trudno w to uwierzyć, ale kiedy później rozmawiałem o tym z Jesrym, byliśmy zgodni) spiorunował nas wzrokiem!

Nie wiedząc, jak się zachować, cofnęliśmy się poza zasięg głosu. Cord zajęła się rutynowym rytym wyłączenia maszyny i szykowania jej do ponownego użycia. Ita zdjął myckę (nosili je zwykle tylko w swoim gronie) i rozciągnął ją, nadając jej wydłużony, grzybkowaty kształt (po takich nakryciach głowy rozpoznawaliśmy ich z daleka, kiedy pokazywali się publicznie), po czym założył ją z powrotem i posłał nam kolejne wyzywające spojrzenie.

Tak jak my nigdy nie wpuścilibyśmy ity do prezbiterium, tak dla niego nasza obecność tutaj równała się świętokradztwu. Tak jakbyśmy sprofanowali święte miejsce.

Jesry i ja, chyba pod wpływem podobnego impulsu, narzuciliśmy kaptury.

Miało się wrażenie, że ten ita nie tylko nie jest udreńczony stereotypem podstępnego, zdradzieckiego intryganta, ale zwyczajnie go akceptuje. Ba - że jest z niego dumny i sprawdza, na ile może sobie pozwolić, nie posuwając się do rozmowy z nami.

Kiedy tak czekaliśmy, aż Cord i ita zakończą swoje sprawy, cały czas porównywałem w myślach halę do tumu. Przypomniałem sobie, jak zaraz za progiem hali uderzyły mnie kontrasty światła i cieni. Wewnętrzny głos (należący do proceńskiego pedanta) skarcił mnie za halikaarnijski sposób myślenia. W gruncie rzeczy miałem przed sobą zbiór zabytkowych maszyn, które same w sobie były pozbawione wszelkiego znaczenia: czysta syntaktyka, zero semantyki. Próbowałem się upierać, że dostrzegam w nich jakiś sens - ale ten sens nabierał rzeczywistych kształtów wyłącznie w moim umyśle. Przyniosłem go ze sobą, w głowie, a teraz bawiłem się w semantyczne gierki, żeby dokleić go do tych monumentalnych żelaznych kształtów.

Im dłużej jednak o tym myślałem, tym bardziej oczywiste się stawało, że doświadczam autentycznej iluminacji.

Protas, najgenialniejszy fid Thelenesa, wspiął się kiedyś na szczyt góry wznoszącej się nad Ethras i spojrzął na równinę karmiącą to ogromne miasto-państwo. Zobaczył na niej cienie chmur, zaczął porównywać ich kształty i doznał sławnej

iluminacji, że wprawdzie cienie odpowiadają kształtem chmurom, które je rzucają, ale same chmury są nieskończenie bardziej złożone i o wiele doskonalsze, ponieważ cienie deformuje nie tylko brak trzeciego wymiaru, lecz także fakt, że padają na nieregularną powierzchnię. Podczas drogi powrotnej rozwinął tę myśl, zauważył bowiem, że góra zmienia nieco kształt za każdym razem, kiedy on odwraca się, żeby na nią spojrzeć - mimo że oczywiście miała pewien stały, absolutny kształt, a rzekome deformacje wynikały wyłącznie ze zmian jego punktu widzenia. Na podstawie tych spostrzeżeń doszedł do swojej najsłynniejszej iluminacji: że oba te spostrzeżenia - to dotyczące cieni chmur i to odnoszące się do zmiennokształtnej góry - są zaledwie cieniami rzucanymi na jego umysł przez jedną wielką, wspólną ideę. Wróciwszy na peryklin, ogłosił swoją nową doktrynę, w myśl której wszystko, co, jak nam się wydaje, wiemy i znamy, to tylko cienie innych, doskonalszych bytów, istniejących w innym, doskonalszym świecie. To stwierdzenie wyraża istotę protyzmu. Skoro zatem Protas zasłużył nim sobie na wieczne poważanie, cóż złego mogło być w skojarzeniu, że nasz tum i ta hala maszyn są odbiciami jednego tworu, który istnieje gdzie indziej; świętego miejsca, którego cieniami są nie tylko one, ale także bazyjskie arki i zagajniki wiekowych drzew?

Jesry nie odrywał oczu od maszynerii. Cord cały czas majstrowała przy przyrządach i na skutek jej manewrów głowica z piorunami wycofała się na najwyższą możliwą wysokość, a płyta przysunęła się bliżej. Cord wskoczyła na nią i drobiąc w skupieniu, zbliżyła się do tej jej części, która cały czas wirowała i wychylała się na boki (i sama w sobie też miała imponujące rozmiary). Za każdym razem robiąc krok, stawiała stopę lekko na ziemi i, nie przenosząc na nią jeszcze ciężaru ciała, poruszała nią na boki, roztrzaskując srebrzyste metalowe wióry. Lśnić i chrzęszczać, melodyjnie spadały na podłogę, ciągnąc za sobą delikatne korkociągi dymu. Sprzątacze ze szczotką, szuflą i pustym wózkiem zaczęły zmiatać je na stos.

- Ta maszyna rzeźbi kształty w bloku metalu - stwierdził

Jesry. - Tylko że zamiast wycinać je ostrzem, wytapia je wyładowaniami elektrycznymi...

- To nie jest takie zwykłe wytapianie - przerwałem mu. - Pamiętasz, jaki kolor miało światło? Metal zmienia się w...

- Plazmę - zawtórował mi Jesry i dodał: - Niepotrzebne kawałki zostają odrzucone.

Pojawiało się pytanie: które kawałki są w takim razie potrzebne? Odpowiedź znajdowała się na obrotowej płycie: rzeźba ze srebrnego metalu, powyginana i porozgałęziana łagodnie jak jeleni róg i wzbierająca zgrubieniami, w których widniały idealnie cylindryczne otwory. Cord sięgnęła po klucz nastawny; wyjęła go z kieszeni stroju, przypominającego raczej uprząż niż ubranie, ponieważ jego główną funkcją było obwieszenie jej narzędziami. Poluzowała trzy imadła i schowała klucz na miejsce. Wypięła pierś, przykucnęła, przeciągnęła się i wyciągnawszy ręce wysoko do góry, chwyciła dwa odgałęzienia rzeźby. Ostrożnie zestawiała ją z maszyny - obchodziła się z nią tak delikatnie, jakby zdejmowała z drzewa kota - i postawiła na metalowym wózku, z wyglądu starym jak świat. Ita dotknął rzeźby. Wysoka czapeczka chwiała mu się na boki, kiedy się pochylił, żeby z bliska obejrzeć detale. W końcu skinął głową, zamienił dwa zdania z Cord i popychając przed sobą wózek, zniknął w dymie i ciszy.

- To element zegara! - powiedział Jesry. - Coś się zepsuło albo zużyło w piwnicy!

Musiałem mu przyznać rację, gdyż rzeźba przypominała z kształtu niektóre części zegara, ale kazałem mu siedzieć cicho, bo chwilowo bardziej niż zegar interesowała mnie Cord. Szła właśnie w naszą stronę, wycierając ręce w szmatę i prawie - ale nie całkiem - deptając po rozsypanych wszędzie strużynach. Miała krótkie włosy. W pierwszej chwili wydała mi się wysoka, ale chyba głównie dlatego, że tak ją zapamiętałem, bo w rzeczywistości nie była wcale wyższa ode mnie. Obwieszona sprzętem, wydawała się przysadzista, ale szyję i przedramiona miała szczupłe i muskularne. Kiedy dzieliły nas dwa kroki, zatrzymała się (żelastwo, którym była obwieszona, zadzwoniło) i

stanęła w lekkim rozkroku. Stała w niewzruszonej, stanowczej pozie; miało się wrażenie, że mogłaby spać na stojąco, jak koń.

- Chyba wiem, kim jesteś - powiedziała do mnie. - Jak się nazywasz?

- Teraz? Erasmus.

- Tak jak ten dawny saunt?

- Tak samo.

- Nigdy nie udało mi się uruchomić tego starego aportu.

- Wiem. Widziałem go.

- Przyniosłam tu parę kawałków, żeby się nimi zająć, ale jakoś się nie złożyło.

Spuściła wzrok na swoją prawą dłoń, potem spojrzała na mnie. Zrozumiałem, co chce mi powiedzieć: „Mam brudną rękę, ale jeśli chcesz, mogę ci ją podać na powitanie”.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Do hali przeniknął dźwięk dzwonów.

- Dziękujemy, że pozwoliłaś nam obejrzeć swoją maszynę - powiedziałem. - Może chciałabyś zobaczyć naszą? Zbliży się certyfik. Musimy iść z Jesrym nakręcić zegar.

- Byłam kiedyś na certyfiku.

- Dzisiaj mogłabyś go śledzić z tego samego miejsca co my. Bon apert.

- Bon apert. Co mi szkodzi, przejdę się z wami.

Musieliśmy biec. Cord zdjęła uprząż z narzędziami i zostawiła ją w hali, odsłaniając noszoną pod spodem kamizelkę. Jak się domyślałem, nosiła w niej sprzęt, z którym nie rozstawiała się w żadnych okolicznościach. Kiedy puściliśmy się biegiem przez łąkę, kamizelka z początku podskakiwała i podzwaniała metalicznie, dopóki Cord nie dociągnęła paru pasków. Potem już z łatwością dotrzymywała nam kroku, gdy pędziliśmy przez koniczynę. Naszą łąkę skolonizowali sekularowic: wylegli na nią

tłumnie i urządzili sobie piknik; niektórzy przynieśli nawet grille. Patrzyli na nas z takimi minami, jakby nasze spóźnienie i rozpaczliwy bieg były przedstawieniem urządzonym dla ich rozrywki. Dorośli wypychali dzieci do przodu, żeby lepiej widziały, a sami celowali w nas ze szpilołapów i naśmiewali się, że jesteśmy tacy przejęci.

Weszliśmy przez Łąkowe Wrota, wbiegliśmy po schodach do strażnicy, gdzie pod ścianami piętrzyły się zakurzone ławki i ołtarze, i prawie zderzyliśmy się z Lio i Arsibaltem. Lio siedział na podłodze na podkulonych nogach, Arsibalt zaś na krześle, z szeroko rozstawionymi kolanami, dzięki czemu krew płynąca mu z nosa tworzyła na podłodze zgrabną kałużę.

Lio miał spuchniętą wargę - z niej też ciekła krew - a okolice jego lewego oka przybrały ochrowy odcień, który następnego dnia z pewnością miał przejść w czerń. Wpatrywał się w ciemny kąt pomieszczenia.

Arsibalt wydał z siebie roztrzęsiony jęk, jakby przed chwilą płakał i opanowanie szloch przyszło mu z najwyższym trudem.

- Bójka? - zapytałem.

Lio pokiwał głową.

- Wy dwaj się pobiliście, czy...

Lio pokręcił głową.

- Zostaliśmy napadnięci! - krzyknął Arsibalt, patrząc na kałużę krwi.

- Intra czy extra? - zainteresował się Jesry.

- Extramuros. Poszliśmy do bazyliki mojego staruszka; chciałem tylko sprawdzić, czy w ogóle zechce ze mną rozmawiać. Przejechał koło nas jakiś pojazd: raz, drugi, trzeci... Krążył jak drapieżny ptak, coraz bliżej, aż wyskoczyło z niego czterech ludzi. Jeden miał rękę na temblaku, więc tylko się przyglądał i dopingował tamtych trzech.

Jak jeden mąż spojrzeliśmy z Jesry na Lio, który w lot zrozumiał, o co idzie.

- Jest do niczego - odparł. - Do niczego.

- Co jest do niczego? - spytała Cord.

Na dźwięk jej głosu Arsibałt podniósł głowę.

Lio nie należał do ludzi, którzy przejęliby się obecnością niespodziewanego gościa, ale przynajmniej odpowiedział na pytanie:

- Mój dron. Tyle czasu studiuję drogę dzwoneczków i nic.

- Na pewno nie było aż tak źle! - pocieszył go Jesry.

Zabrzmiało to zabawnie, bo przez ostatnie lata nie miał sobie równych we wmawianiu Lio, że jego dron jest kompletnie bezużyteczny.

Zamiast odpowiedzieć, Lio podniósł się z podłogi, błyskawicznie zbliżył się do niego, złapał go za skraj kaptura i ściągnął mu go na twarz. Nie dość, że Jesry chwilowo oślepl, to jeszcze udrapowany wokół ciała zawój kępował mu ruchy i okazało się, że niezwykle trudno będzie mu odsłonić oczy. Kiedy Lio leciuteńko go pchnął, Jesry stracił równowagę i musiałem go łapać w locie, żeby nie runął na ziemię.

- To ci właśnie zrobili? - domyśliłem się.

Lio skinął głową.

- Nie pochylaj się, tylko odchyl głowę do tyłu - poradziła Arsibałtowi Cord. Pokazała na nasadę nosa. - Tu jest żyła. Ściśnij ją palcami. O tak, dobrze. Nazywam się Cord. Jestem koligatką... Erasmasa.

- Miło mi - mruknął Arsibałt. Głos miał stłumiony, bo za radą Cord zacisnął palce na nosie. - Ja jestem Arsibałt, bękart bazyjskiego arcyprałata, chociaż trudno uwierzyć w coś takiego.

- Krwotok już chyba słabnie - zauważyła Cord.

Wyjęła z kieszeni dwa fioletowe zwitki, które po rozwinięciu okazały się rękawiczkami z jakiejś rozciągliwej błony. Włożyła je, a ja przyglądałem się jej zaskoczony, dopóki nie uświadomiłem sobie, że w ten sposób chce zmniejszyć prawdopodobieństwo infekcji. Mnie by to nie przyszło do głowy.

- Całe szczęście, że ze względu na słuszną posturę mam spory zapas krwi - zauważył Arsibałt. - W przeciwnym razie bałbym się, że się wykrwawię.

Niektóre kieszenie w kamizelce Cord miały wąski, podłużny kształt i były naszyte w równych rzędkach. Z dwóch z nich wyciągnęła teraz tępo zakończone zatyczki z jakiegoś białego włóknistego materiału. Były wielkości jej małego palca i każdy kończył się cienką niteczką.

- A to co takiego? - zdziwił się Arsibalt.

- Tamponiki - odparła Cord. - Po jednym na każdą dziurkę w nosie. Oczywiście jeśli chcesz...

Położyła je Arsibaltowi na zakrwawionych dłoniach i z mieszaniną niepokoju i fascynacji przyglądała się, jak ostrożnie wtyka je sobie do nosa. Lio, Jesry i ja patrzyliśmy jak urzeczeni.

Suur Ala przyniosła naręczę gałąńców i większość z nich rzuciła na podłogę w kałużę krwi, a resztą wytarła krew z twarzy i brody Arsibalta. Cord jej pomogła. Przez cały czas taksowały się wzrokiem, jakby rywalizowały o to, która jest naukowcem, a która badanym okazem. Zanim otrząsnąłem się na tyle, żeby je sobie przedstawić, wiedziały już tak dużo na swój temat, że imiona stały się nieistotne.

Z jeszcze innej kieszeni Cord wyjęła jakiś skomplikowany składany przyrząd. Rozwinęła go do postaci miniaturowych nożyczek, którymi odcięła nitki zwisające Arsibaltowi z nosa.

Suur Ala była z natury tak wyniosła i surowa, że właściwie tylko czekałem, aż rzuca się sobie z Cord do gardeł jak dwa koty zaszyte w poszewce. Kiedy jednak zobaczyła tamponiki, spojrzała na Cord z radosnym błyskiem w oku, a Cord odpowiedziała jej tym samym.

Wyprowadziliśmy Arsibalta na zewnątrz, ukrywając jatkę pod obszerną szkarłatną szatą, i spóźniliśmy się na certyfik zaledwie o parę minut. Przywitały nas chichoty wszystkich tych, którzy przypuszczali, że wyszliśmy extramuros, żeby się upić. Większość dowcipnisiów stanowili apertowi goście, ale słyszałem, że nawet wśród tysięczników jest wesoło. Spodziewałem się, że większość pracy spadnie na mnie i Jesry'ego, ale stało się wprost przeciwnie: Lio i Arsibalt napanarli na drągi znacznie mocniej niż zwykle.

Po certyfiku Protektor wyszedł z prezbiterium przez drzwi w naszym ekranie, żeby spotkać się z Lio i Arsibaltem. My z Jesrym stanęliśmy z boku.

Cord również przysłuchiwała się rozmowie. Przez wzgląd na nią Lio dużo mówił po fluksyjku, czym irytował fraa Delrakhonesa. Natomiast Arsibalt zachowywał się dokładnie odwrotnie i nieustannie wtrącał do dyskusji staromodne słowa w rodzaju „szubrawca”, „psubrata” i „swołoczy”.

Słuchając opisu napastników i pojazdu, którym się poruszali, Cord zorientowała się, o kim mowa.

- To taki miejscowy... - Zawahała się.

- Gang? - podsunął jej Delrakhones.

Wzruszyła ramionami.

- W swojej siedzibie wieszają obrazy fikcyjnych gangów ze starych szpilów.

- Fascynujące! - wykrzyknął Arsibalt.

Fraa Delrakhones skoncentrował się tymczasem na szczegółach.

- Można by w takim razie powiedzieć, że jest to taki metagang...

- Ale poza tym robią wszystko to, co prawdziwe gangi - zauważyła Cord. - Czego nie muszę wam mówić.

Z pytań zadawanych przez Delrakhonesa wywnioskowałem, że próbuje ustalić, jakiej ikonografii hołdują członkowie gangu, ale umykało mu chyba coś, co dla mnie i Cord było oczywiste: niektórzy statyści byli gotowi sponiewierać deklaranta tylko dlatego, że pobicie go było lepszą rozrywką od niepobicia, i nie miało to nic wspólnego z niedorzecznymi teoriami, które miałyby opisywać ich stosunek do nas. Protektor niepotrzebnie zakładał, że szubrawcy w ogóle mają jakieś teorie.

I tak oto najpierw ogarnęła nas z Cord frustracja, a chwilę

później nuda (jak lubił powtarzać Oroló: nuda jest maską, którą przywdziewa frustracja). Spojrzałem na nią znacząco i usunęliśmy się na bok, a kiedy nikt nie zaprotestował, czmychnęliśmy.

Jak wspomniałem, my, dziesiętnicy, zamiast nawy z prawdziwego zdarzenia musieliśmy zadowolić się zlepkim wieżyczek. W najchudszej z nich mieściły się spiralne schody prowadzące do triforium, czyli rodzaju galeryjki obiegającej prezbiterium od środka powyżej ekranów i poniżej ogromnych okien w latarni. Z jednego końca triforium kolejne schodki prowadziły do miejsca pracy dzwonniczek. Cord była wyraźnie zaintrygowana: kiedy patrzyłem, jak wodzi wzrokiem wzdłuż sznurów, do góry, gdzie ginęły w przepastnej otchłani praesidium, wiedziałem, że nie spocznie, póki nie zobaczy, co znajduje się na ich drugim końcu. Przeszliśmy więc na drugi koniuszek triforium i zaczęliśmy się wspinać po jeszcze innych schodach - tym razem biegnących zygzakiem w górę wieży w południowo-zachodnim narożniku tumu. Matematycy architektów nie radzili sobie ze ścianami. Kolumny ich nie przerażały; na łukach się znali; o sklepieniach, które w gruncie rzeczy były trójwymiarowymi łukami, wiedzieli dosłownie wszystko. Ale kiedy prosiło się ich o postawienie zwykłego muru, byli bezradni. Zamiast - jak każdy przeciętny człowiek na ich miejscu - po prostu wymurować kawał ściany, wypełniali przestrzeń łukami i maswerkami. Kiedy ktoś im się skarżył na wiatr, robactwo czy inne niewygody, które z normalnych budynków eliminowano za pomocą ścian właśnie, oni ostatecznie mogli się zgodzić na wypełnienie pustki witrażem. Tylko że jakoś nigdy nie mogliśmy się zebrać, żeby wreszcie wstawić wszystkie witraże na swoje miejsca, i w słotne dni życia w takim gmachu jak ten było udręką. Za to w dni pogodne, takie jak dzisiejszy, nikomu to nie przeszkadzało, bo przynajmniej wzrok sięgał daleko. Kiedy wchodziliśmy po schodach południowo-zachodniej wieży, przed naszymi oczami rozpościerało się całe wnętrze tumu i większość koncertu.

Górna część wieży - poziom, na którym rozszczepiała się na filary i pinakle, czyli, inaczej mówiąc, rejon, z którego nie dało

się już wejść wyżej bez drabin i sprzętu wspinaczkowego - znajdowała się mniej więcej na tej samej wysokości co apartamenty Regulatora, mogące się poszczyścić chyba najbardziej wyrafinowaną kamienną ozdobą w całym koncencie; połączeniem ażurowej kopuły, wieży i posągu, przedstawiającym planety, ich księżyce i niektórych dawnych kosmografów. W samym jej środku znajdowała się żelazna krata, zawieszona na łańcuchach i podnoszona lub opuszczana za pomocą mechanizmu korbowego. W tej chwili była na wpół uniesiona, mogliśmy więc swobodnie przypuścić szturm na kolejne schody - wcięte w łuk przyporowy i zakrzywiające się do wewnątrz, w stronę praesidium. Gdyby krata była spuszczone, znaleźlibyśmy się w ślepym zaułku, skąd moglibyśmy ewentualnie przejść po kamiennym moście do kwatery Regulatora.

Przeszliśmy pod kopułą, nie śpiesząc się, żeby Cord mogła nasycić wzrok ozdobami i widokiem mechanizmu, i zaczęliśmy wchodzić wyżej. Puściłem ją przodem, żeby nie zasłaniać jej widoku i móc ją podtrzymać, gdyby zakreśliło się jej w głowie. Znajdowaliśmy się wysoko nad powierzchnią gruntu i pięliśmy się po krzywiźnie kamiennego łuku, który - widziany z ziemi - wydawał się cienki i kruchy jak ptasia kość. Cord czepiała się obiema rękami żelaznych poręczy, szła powoli i chyba jej się podobało. W końcu przeszliśmy przez ambrazurę (rodzaj niezwykle skomplikowanego matematycznego portalu) w narożniku praesidium, mniej więcej na wysokości dzwonnicy.

Dalej do góry prowadziła już tylko jedna droga: ciąg spiralnych schodów, przyklejonych od wewnątrz do maswerkowych ścian budowli. Niewielu turystów pokusiłoby się o taką wspinaczkę, a wielu deklarantów wyszło extramuros, więc mieliśmy całe praesidium dla siebie. Cord napawała się widokiem w dół, w głąb prezbiterium. Znajdujące się bezpośrednio pod nami dziedzińce Protektora i Regulatora przypominały z kształtu klauzury: składały się z kwadratowej dziury, przez którą przechodziło praesidium, i otaczających je po kwadracie chodników, skąd rozpościerał się widok zarówno w dół, do

prezbiterium, jak i do góry, na gwiazdny krąg.

Cord prześledziła wzrokiem liny biegnące z galerii do góry i z zadowoleniem stwierdziła, że naprawdę dochodzą do karylionu. Stało się też oczywiste, że nie one jedne: z dzwonów zwieszały się także łańcuchy i wały prowadzące w głąb chronotchlani, gdzie zautomatyzowany kurant sterował wybijaniem godzin. Tak jak było to do przewidzenia, Cord nie mogła sobie tego odpuścić. Ruszyliśmy więc jeszcze wyżej, po spirali, jak mrówki w studni, przystając od czasu do czasu, kiedy musieliśmy odsapnąć; Cord zapragnęła dokładniej obejrzyć mechanizm albo zaintrygowało ją ściśle spasowanie kamieni w murze. Ta część budowli była stosunkowo prosta, nie wymagała przypór i architekci mogli do woli szaleć z maswerkami: ściany przypominały fraktalową pianę z ręcznie rzeźbionego kamienia. Cord była zafascynowana, ja zaś nie mogłem na nie patrzeć. Ile czasu spędziłem jako fid na oskrobywaniu tych ażurów i samego zegara z ptasich odchodów...

- Poza apertem nie wolno wam tu wchodzić - stwierdziła w pewnym momencie.

- Skąd ten pomysł?

- Macie przecież zakaz kontaktowania się z ludźmi spoza swojego matemu, prawda? Gdyby wszyscy: jednorazowcy, dziesiętnicy, setnicy i tysięcznicy, mogli się tu wdrapywać kiedy tylko przyjdzie im na to ochota, co rusz wpadalibyście na siebie.

- Spójrz, jak są zbudowane te schody. Z każdego punktu widać je praktycznie w całości. Wystarczy, żeby zachować bezpieczny dystans.

- Po ciemku też? Albo co by się stało, gdybyś napatoczył się na kogoś w gwiazdnym kręgu?

- Pamiętasz tę kratę, pod którą przeszliśmy?

- Na szczycie wieży?

- Tak. Nie zapominaj, że są jeszcze trzy wieże. I w każdej jest taka kratka.

- Po jednej na matem?

- Otóż to. Po zmroku Klucznik zamyka wszystkie oprócz jednej. Klucznik jest hierarchą, zastępcą Regulatora. I tak w jedną

noc dziesiętnicy mają schody i gwiazdny krąg tylko dla siebie, w następną setnicy i tak dalej.

Kiedy dotarliśmy na wysokość zawieszzonego na prowadnicy obciążnika Bramy Stulecia, zatrzymaliśmy się na dłużej, żeby Cord mogła go dokładnie obejrzeć. Wyrzeliśmy także przez ażurową ścianę na południe, gdzie było widać halę maszyn, w której pracowała. Przebiegłem wzrokiem trasę porannego spaceru i odszukałem rodzinny dom Jesry'ego na wzgórzu.

Cord wyszukiwała tymczasem nowe niedoskonałości naszej Dyscypliny.

- Ci Protektorzy, Regulatorzy i tak dalej...

- Hierarchowie.

- Rozumiem, że kontaktują się ze wszystkimi matemami?

- A także z itami, ze światem sekularnym oraz innymi koncentami.

- Czyli kiedy z nimi rozmawiasz...

- Posłuchaj. Panuje powszechne przekonanie, że matemy powinny być całkowicie odcięte od świata. Hermetyczne. Ale to nieprawda; nie taki był zamysł ich twórców. Wyjątki, o które mnie wypytujesz, załatwia zwyczajna dyscyplina: po prostu staramy się nie zbliżać do ludzi nienależących do naszego matemu. Kiedy trzeba, nosimy kaptury i milczymy, żeby zapobiec przeciekom informacji. A jeśli już koniecznie i bezwarunkowo musimy skontaktować się z kimś z innego matemu, robimy to za pośrednictwem hierarchów, są oni bowiem odpowiednio przeszkoleni i mogą bezpiecznie rozmawiać na przykład z tysięcynikami w taki sposób, żeby nie przekazać im żadnych informacji sekularnych. To dlatego hierarchowie wyróżniają się strojem i fryzurą, które nie zmieniły się ani na jotę przez trzy tysiące siedemset lat. Posługują się bardzo konserwatywną odmianą starorthyjskiego. Poza tym umiemy się porozumiewać także bez słów. Kiedy więc, na przykład, fraa Orolo chce przez pięć nocy z rzędu obserwować jakąś wybraną gwiazdę, przedstawia swój zamiar Prymasowi. Jeśli ten uzna jego racje,

polecą Klucznikowi otworzyć naszą kratę na pięć dni i zamknąć na ten okres wszystkie pozostałe. Bramy są dobrze widoczne z matemów, wystarczy więc, że kosmograf-milenarysta rzuci okiem na dół i już wie, że tej nocy nie może wyjść do gwiazdznego kręgu. Także labirynty łączące matemy służą nam czasem do komunikacji: przekazujemy sobie w nich przedmioty i ludzi. Nie możemy jednak nic poradzić na przelatujące nad koncentem aeroplany albo dobiegającą zza muru głośnie muzykę. Zresztą w przeszłości bywało już, że przez dwieście lat można nas było oglądać z góry, z drapaczy chmur!

Ten ostatni szczegół zaintrygował Cord.

- Widziałeś te stare dwuteowniki w hali maszyn?

- Widziałem... To szkielety tych wieżowców?

- Trudno sobie wyobrazić, czym innym mogłyby być.

Mamy całe pudełko starych fototypów, na których widać, jak niewolnicy przenoszą te dźwigary do nas.

- Te fototypy są datowane?

- A i owszem. Mają siedemset lat.

- Jak wygląda na nich okolica? Zrujnowane miasto czy...

Pokręciła głową.

- Las, wielkie drzewa. Na niektórych fototypach widać, jak ludzie przetaczają dźwigary po kłodach.

- Wiadomo, że około dwa tysiące osiemsetnego nastąpiła cywilizacyjna zapaść. To by się zgadzało.

Chronotchłań była gęsto pocięta tłokami i łańcuchami, zbiegającymi się w pęki i łączącymi z mechanizmami zegara. Łańcuchy, na których zawieszono obciążniki, kończyły się w skupiskach łożysk i zębatek.

Już od dłuższej chwili Cord czymś się gryzła. W końcu nie wytrzymała:

- Nie powinno się tego robić w taki sposób!

- O czym mówisz?

- O budowaniu zegara, który ma działać tysiące lat!

- Co jest z nim nie tak?

- Weźmy chociażby te łańcuchy, sworznie, łożyska,

ogniwa. To są słabe punkty; każdy może pęknąć, zużyć się, zabrudzić, skorodować... Co właściwie myśleli sobie projektanci?

- Że zawsze będzie pod ręką mnóstwo deklarantów, którzy zajmą się konserwacją mechanizmu - odparłem. - Ale rozumiem, do czego zmierzasz. Niektóre zegary milenijne bardziej odpowiadałyby twojej wizji: mogą działać tysiące lat bez doglądania. Chyba wszystko zależy od projektanta; od tego, jaki efekt chciał osiągnąć.

To jej dało do myślenia i przez chwilę wspinaliśmy się w milczeniu. Teraz szedłem przodem, ponieważ od pewnego miejsca dalsza droga nie była już oczywista. Musieliśmy kluczyć po pomostach, chodnikach i schodach, poutykanych w taki sposób, żeby dawały dostęp do poszczególnych elementów mechanizmu. Cord nie miała nic przeciwko temu; ba, rozgryzanie mechanizmu tak ją zaabsorbowało, że zacząłem się niecierpliwić, zwłaszcza kiedy sobie uświadomiłem, że w refektarzu właśnie wydają posiłek. Zaraz potem przypomniałem sobie, że przecież jest apert, mogę wyjść extramuros i wyżebrać gdzieś cheeseburga. Cord, przyzwyczajona, że może jeść kiedy chce, kompletnie się tym nie przejmowała. Oglądała właśnie zespół dźwigni, przypominających długie kości i wyglądających tak, jakby siłowały się ze sobą nawzajem.

- Przypomniał mi się ten element, który zrobiłam dziś rano dla Sammanna - powiedziała.

Podniosłem rękę.

- Nie mów mi tylko, jak się nazywa. Nic mi nie mów.

- Dlaczego nie wolno wam rozmawiać z itami? - zirytowała się. - To głupie. Niektórzy z nich są bardzo inteligentni.

Dzień wcześniej wyśmiałybym zarozumialca, który odważyłby się wypowiadać o intelekcie mieszkańców koncentu (także itów), ale Cord była przecież moją koligatką. Mieliśmy wspólną znaczną część sekwencji i podobny poziom wrodzonej inteligencji. Dodatki do jedzenia podawanego w koncentach sprawiały, że fraa byli bezpłodni; nie mogliśmy się rozmnażać i myśleć o stworzeniu nowej, ponadprzeciętnie inteligentnej rasy

ludzi, jednakże pod względem genetycznym wszyscy byliśmy tacy sami.

- To kwestia higieny - odparłem.

- Uważacie, że itowie są brudni?

- W higienie nie chodzi właściwie o brud jako taki, tylko o zarazki. Należy ograniczać rozprzestrzenianie się sekwencji, które mogłyby być niebezpieczne. Nie uważamy itów za brudnych w tym sensie, że się nie myją. Rzecz w tym, że mają stały kontakt ze swobodnie rozchodzącymi się informacjami.

- Ale po co ten zakaz? Kto w ogóle wymyślił te wszystkie głupie reguły? Czego się bał?

Cord mówiła bardzo głośno. Gdybyśmy tak rozmawiali w refektarzu, miałbym pewnie duszę na ramieniu, ale tutaj, w przestrzeni pełnej cierpliwych i głuchych maszyn, słuchałem jej z przyjemnością. Ruszyliśmy dalej, a ja cały czas szukałem wytłumaczenia, jakie byłaby skłonna przyjąć. Minęliśmy już najbardziej złożoną część mechanizmu, odpowiedzialną za ruch wskazówek, i zostało nam do obejrzenia pół tuzina pionowych wałów, wychodzących przez dziury w dachu i łączących się z elementami gwiazdowego kręgu: napędem biegunowym teleskopów i synchronizatorem zenitalnym, który korygował wskazania zegara codziennie w południe (przynajmniej w pogodne dni). Ostatni odcinek drogi do gwiazdowego kręgu stanowiły spiralne schody, okręcające się dookoła największego z wałów, napędzającego ogromny Teleskop Mithry i Mylaksa.

- Ta ogromna machina do cięcia metalu...

- Pięcioosiowy elektryczny frez łukowy.

- Zauważyłem, że ma takie dźwignie, dostosowane do ludzkiej ręki. Po skończonej pracy za ich pomocą sterowałaś ruchami płyty. Na pewno mogłabyś też w ten sposób pokierować wycinaniemżądanego kształtu?

- Pewnie. - Wzruszyła ramionami. - Tylko musiałby to być bardzo prosty profil.

- Kiedy wypuszczasz dźwignie z rąk i urządzenie syntaktyczne przejmuje kontrolę, frez ma o wiele większe

możliwości, prawda?

- Nieskończenie większe. Właściwie nie ma chyba kształtu, którego nie dałoby się wyciąć na maszynie sterowanej syntaktem.

- Z kieszeni na biodrze Cord wyjęła zegarek na srebrzystym łańcuszku z drobnuteńkich, idealnie gładkich ogniwek. - Ten łańcuszek zrobiłam na swoim egzaminie czeladniczym. Wycięłam go z litego bloku tytanu.

Dotknąłem go. Miałem wrażenie, jakby po palcach pocięła mi strużka lodowatej wody.

- Syntakty usprawniają działanie wielu urządzeń, na przykład tych do odczytu i zapisu sekwencji genetycznych, korygowania protein, programowanej nukleosyntezy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - przyznałem.

- To dlatego, że nikt już się tym nie zajmuje.

- A ty skąd tyle o tym wiesz?

- Uczymy się o tym przy okazji poznawania historii Pierwszej i Drugiej Łupieży.

- Nie znam się na tym, dlatego muszę cię prosić, żebyś po prostu przeszła do rzeczy.

Zatrzymaliśmy się u szczytu schodów do gwieźdnego kręgu. Popchnąłem drzwi i wyszliśmy na zewnątrz, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem dnia. Widziałem, że Cord jest nieco rozdrażniona. Po spotkaniach Orola z Flekiem i Quinem wiedziałem już, że rzemieślnicy potrafią się szybko zniecierpliwic naszym - jak to postrzegają - pokrętnym sposobem wystawiania się. Dlatego na chwilę po prostu się zamknąłem i dałem jej się spokojnie rozejrzeć.

Znajdowaliśmy się na dachu praesidium: olbrzymim kamiennym dysku podpartym kopułą sklepienia. Powierzchnia dysku była prawie płaska, tylko na środku wybrzuszała się lekko, co miało ułatwić spływanie deszczówki. Kamień pokrywały wyrte lub inkrustowane symbole kosmograficzne. Na obwodzie dysku ustawiono megality oznaczające miejsca, w których wybrane ciała niebieskie wschodziły i zachodziły w różnych porach roku. Wewnątrz ich kręgu znajdowało się kilka wolno

stojących budowli. Na samym środku dysku znajdował się Pinakiel, owinięty podwójną helisą wiecznych schodów. Jego czubek stanowił najwyższy punkt całego tumu.

Największymi konstrukcjami były dwie kopuły wielkiego teleskopu. Dookoła znajdowało się całkiem sporo mniejszych kopulek, pozbawione okien laboratorium, w którym pracowaliśmy z tabliczkami fotomnemonicznymi, oraz ogrzewana kaplica, gdzie Orolu najchętniej pracował i nauczał swoich fidów. Poprowadziłem Cord w tym właśnie kierunku. Przeszliśmy przez dwoje drzwi z okutego żelazem twardego drewna (tu, na górze, pogoda bywała naprawdę paskudna) i znaleźliśmy się w małym, zacisznym pokoiku, który - ozdobiony łukowatymi oknami i witrażowymi rozetami - przypominał budowlę ze Starej Epoki Matematycznej. Na stole, tam gdzie ją zostawiłem, leżała tabliczka fotomnemoniczna, którą dał mi Orolu. Miała kształt dysku, wielkość dwóch złożonych dłoni, grubość trzech palców i była wykonana z ciemnego szklatego tworzywa. Utrwalono na niej obraz Mgławicy Saunta Tancreda, matowy i słabo widoczny, dopóki nie przesunąłem go na bok, dalej od wpadających przez okno promieni słońca.

- W życiu nie widziałam takiego pękatego fototypu - stwierdziła Cord. - To jakiś zabytek techniki?

- To coś lepszego. Fototyp rejestruje jedną wybraną chwilę, nie uwzględnia wymiaru czasu. A tu widzisz? Obraz jest bardzo blisko górnej powierzchni...

- Widzę.

Przytknąłem palec do bocznej powierzchni tabliczki i przesunąłem nim w dół. Obraz mgławicy skurczył się i cofnął w głąb szkła, ale rozrzucone po niebie gwiazdy nie zmieniły położenia. Kiedy czubek mojego palca dojechał do krawędzi tabliczki, mgławica stała się jedną oślepiająco jasną gwiazdą.

- W dolnej warstwie tabliczki widzimy Gwiazdę Tancreda w noc eksplozji, w roku czterysta dziewięćdziesiątym. Praktycznie w tej samej chwili, gdy jej światło przedarło się przez naszą atmosferę, saunt Tancred spojrział w niebo i ją zauważył.

Natychmiast wstawił tabliczkę fotomnemoniczną, taką jak ta, do największego teleskopu w swoim koncencie, i wycelował go w tę supernową. Tabliczka tkwiła w teleskopie i w pogodnej nocy fotografowała mgławicę aż do roku dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, kiedy to wyjęto ją i powielono, aby rozdystrybuować obraz wśród tysięcy widzów.

- Takie obrazki stale się przewijają gdzieś w tle w szpilkach fantastycznych - stwierdziła Cord. - Nie wiedziałam, że to eksplozja. - Przesunęła palcem po skraju tabliczki, w sekundę przemierzając tysiąclecia. - Ale to przecież oczywiste.

- Tabliczka ma więcej funkcji.

Pokazałem jej, jak przybliżać wybrany fragment obrazu. Powiększenie ograniczała tylko rozdzielczość tabliczki.

Nagle Cord zrozumiała, do czego zmierzam.

- Musi mieć wbudowany jakiś syntakt - stwierdziła.

- Właśnie. Dzięki temu ma znacznie większe możliwości niż fototyp. Tak samo twój pięćosiowy frez jest potężniejszy, bo ma mózg.

- Czy to nie jest czasem naruszenie Dyscypliny?

- Niektóre zdobycze praksis zostały wkomponowane w Dyscyplinę: nowomateria w naszych zawodach i sferach albo właśnie takie tabliczki.

- Zostały wkomponowane... Kiedy? Kiedy zapadły te wszystkie decyzje?

- Na konwoksach po Pierwszej i Drugiej Łupieży. Widzisz, nawet po zakończeniu Epoki Praksis koncerty zachowały ogromne wpływy, ponieważ mogły sprzęgać procesory wynalezione w ich referatach syntaktycznych z innymi urządzeniami. Niektóre z tych urządzeń wytwarzały nowomaterię, inne pozwalały manipulować sekwencjami. To się ludziom skojarzyło ze Straszliwymi Wypadkami i doprowadziło do Pierwszej, a potem Drugiej Łupieży. Przepisy ograniczające nasze kontakty z itami oraz określające dozwolone i zakazane wytwory praksis pochodzą właśnie z tego okresu.

Nadal wyrażałem się zbyt niekonkretnie jak na gust Cord,

ale teraz zobaczyłem w jej oczach błysk zrozumienia.

- Masz na myśli inkanterów?

Powodowany głupim odruchem, odwróciłem się i wyjrzałem przez okno w stronę matemu milenarystów: kamienny zamek na skalnej ostrodze znajdował się na naszej wysokości, ale okalający go mur zasłaniał go przed naszym wzrokiem. Cord patrzyła na mnie badawczo. Co więcej, miałem wrażenie, że spodziewała się takiej właśnie reakcji.

- Mit o inkanterach narodził się w okresie poprzedzającym Trzecią Łupież - zauważyłem.

- A ci ich wrogowie... Jak wy ich nazywacie?

- Retorzy.

- No właśnie. Czym oni się właściwie od siebie różnią?

Posłała mi wyczekujące, niewinne spojrzenie, okręcając łańcuszek wokół palca. Nie potrafiłem zdobyć się na szczerą i powiedzieć jej wprost, jak głupie zadaje pytania.

- Wiesz... Jeśli oglądasz takie różne szpile, to wiesz na ten temat więcej ode mnie - odparłem. - Ale słyszałem kiedyś takie gładkie wytłumaczenie, że retorzy potrafią zmieniać przeszłość i czynią to chętnie, natomiast inkanterzy mogą zmienić przyszłość... tylko że wcale się do tego nie palą.

Pokiwała głową, z taką miną, jakbym wygadywał bzdury.

- Chyba że zmuszą ich do tego uczynki retorów.

Wzruszyłem ramionami.

- To znowu zależy od tego, jaką rozrywką wypełniasz sobie akurat czas...

- Ale tamci to przecież muszą być inkanterzy - stwierdziła, ruchem głowy wskazując skalne gniazdo.

Teraz ja również zaczynałem się niecierpliwić, wyprowadziłem ją więc z powrotem na zewnątrz, gdzie od razu spojrzała w kierunku matemu tysiącletniego, ja zaś zrozumiałem w końcu, że przez cały czas próbuje się po prostu upewnić, że dziwni mieszkańcy górującej nad miastem kamiennej fortecy nie są dla niej niebezpieczni. Ucieszyłem się, że mogę jej pomóc, zwłaszcza gdyby później poniosła tę dobrą nowinę w świat. O to właśnie

chodziło w apertach - żeby zasypywać takie przepaści dzielące nas od sekularów.

Nie chciałem jej jednak okłamywać.

- Nasi tysięcynicy są trochę inni - powiedziałem. - Tutaj, na dole, we wszystkich matemach, także w moim, zakony są przemieszane. Tam, na górze, wszyscy należą do jednego zakonu: Saunta Edhara. Wywodzą się w prostej linii od Halikaarna. I jeżeli w ludzkim bajaniu jest jakieś ziarenko prawdy, to ten fakt rzeczywiście przybliży ich do inkanterów.

Ta odpowiedź chyba w satysfakcjonujący dla niej sposób zamknęła kwestię wojen retorsko-inkanerskich. Kiedy tak spacerowaliśmy po gwiazdnym kręgu, musiałem w pewnym momencie wyminąć szerokim łukiem itę, który wynurzył się z jednej z szop serwisowych ze zwojem czerwonego drutu na ramieniu. Nie uszło to uwagi Cord.

- Po co trzymać itów pod ręką, skoro robicie wszystko co w waszej mocy, żeby się z nimi nie spotkać? Nie prościej byłoby ich pogonić precz?

- Bez nich niektóre mechanizmy zegara przestałyby działać...

- Ja też mogłabym je konserwować. To nie takie trudne.

- No cóż... Szczerze mówiąc, my też zadajemy sobie to pytanie.

- I jak was znam, macie na nie tuzin różnych odpowiedzi.

- Jest takie... ugruntowane tradycją przekonanie, że szpiegują nas na zlecenie państwa sekularnego.

- Ach tak. Dlatego nimi pogardzacie.

- No właśnie.

- A skąd ten pomysł?

- Voco. Ryt, w którym fraa lub suur zostaje wezwany z matemu, aby na zlecenie gryzipiórków zająć się jakimiś praksyncznymi sprawami. Tacy nigdy nie wracają.

- Tylko co? Znikają bez śladu?

- Odśpiewujemy peanatemę, pieśń żałobno-pożegnalną, kiedy wychodzą z tumu, wsiadają na konia, do helikoptera albo

coś w tym guście i... no tak, znikają.

- A co itowie mają z tym wspólnego?

- Powiedzmy, że sekularom zależy na wyleczeniu jakiejś choroby. Skąd mieliby wiedzieć, kto z nas, który fraa lub która suur, jest specjalistą w tej dziedzinie?

Cord przetrawiała moje słowa, kiedy pieliśmy się po spirali wokół Pinakla. Stopnie miały postać kamiennych płyt: wmurowanych wprost w zewnętrzną ścianę budowli: był to projekt śmiały i wymagający odwagi od każdego, kto by chciał tu wejść, ponieważ schody nie miały poręczy.

- Wszystko to wydaje się wielce wygodne dla Najwyższych - stwierdziła Cord. - Nie przyszło ci do głowy, że te okropne historie o Straszliwych Wypadkach i inkanterach to tylko straszak, którym zmuszają was do posłuszeństwa?

- Tak brzmi Twierdzenie Sauntury Patagar - poinformowałem ją. - Sformułowane w dwudziestym dziewiątym wieku.

Prychnęła.

- A niech mnie... Co się stało z sauntą Patagar?

- Przez pewien czas była sławna, założyła nawet własny zakon. Całkiem możliwe, że gdzieś jeszcze przetrwały jakieś jego kapituły.

- Rozmowa z tobą jest diabelnie frustrująca. Każdy pomysł, jaki zrodzi się w moim maciupieńkim mózdzku, ktoś już kiedyś wymyślił, jakiś saunt sprzed dwóch tysięcy lat, i zdążył go zadyskutować na śmierć.

- Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że się wymądrzam... ale to z kolei jest Postulat Sauntury Lory. Szesnasty wiek.

Parsknęła śmiechem.

- Coś podobnego!

- Ale to prawda.

- Dwa tysiące lat temu pewna saunta przedstawiła koncepcję, w myśl której...

- ...wszystkie pomysły, jakie człowiek jest w stanie sformułować, zostały już w przeszłości sformułowane. Ta idea

zdobyła ogromną popularność...

- Zaczekaj no chwilę. A czy pomysł saunty Lory sam w sobie nie był nowy?

- Ortodoksyjni paleolorycy utrzymują, że to była Ostatnia Idea.

- Aha. W takim razie muszę zapytać...

- Co my wszyscy robimy w tych naszych matemach, skoro ostatnią ideę przedstawiono dwa tysiące sto lat temu?

- No... właściwie to tak.

- Nie wszystkim podoba się Postulat Lory. Nazywa się ją czasem odgrzewanym mistagogiem, czasem jeszcze gorzej, ale warto mieć lorytów pod ręką, nawet jeśli nikt ich nie lubi.

- Po co?

- Kiedy tylko ktoś wpadnie na jakiś pomysł, który wydaje mu się oryginalny, lorycy osaczają go jak szakale i próbują mu udowodnić, że ta jego nowa idea ma co najmniej pięć tysięcy lat. I zwykle mają rację. Jest to irytujące i upokarzające, ale przynajmniej ludzie nie zajmują się bezproduktywnymi starociami. Lorycy zaś muszą być mistrzami w swoim fachu.

- Z tego wnoszę, że nie jesteś lorytą.

- Nie, ale jeśli tak lubisz ironię, docenisz pewnie informację, że po śmierci Lory jeden z jej fidów stwierdził, że wszystkie jej koncepcje zostały już przewidziane przez pewnego pielgrzyma-filozofa cztery tysiące lat wcześniej.

- To rzeczywiście zabawne... Ale w gruncie rzeczy potwierdza słuszność jej postulat. Tak sobie próbuję wykonypować, co ty właściwie z tego masz... Dlaczego tkwisz w matemie?

- Zawsze warto mieć jakieś pomysły, nawet te stare. Zrozumienie zaawansowanej teoryki wymaga całego życia pilnej nauki, ale podtrzymanie zbioru istniejących gotowych idei wymaga... tego wszystkiego.

Szerokim gestem ogarnąłem cały rozpościerający się pod nami koncent.

- Czyli jesteście takimi jakby... ogrodnikami, tak?

Doglądacie rzadkich okazów kwiatów, a to jest wasza cieplarnia. Jeżeli ją zaniedbacie, kwiaty wyginą. Tylko że wy nigdy...

- Prawie nigdy. Rzadko. Rzadko tworzymy nowe odmiany kwiatów - przyznałem. - Czasem jednak się zdarza, że kosmiczny promień trafi, wywoła mutację i powstanie coś nowego. I dlatego chciałem porozmawiać z tobą o tym, co się tutaj znajduje.

- No właśnie, co to jest? Od dziecka przyglądam się temu szpikulcowi i wyobrażam sobie, że na czubku ma zamontowany teleskop, w który gapi się stary, pomarszczony fraa.

Dotarliśmy do wierzchołka „szpikulca”, czyli Pinakla. Jego dach stanowiła kamienna płyta o średnicy dwukrotnie przewyższającej mój wzrost. Znajdowało się na niej parę dziwnie wyglądających przyrządów, żaden jednak nie był teleskopem.

- Teleskopy są zamknięte w tych kopułach - odparłem. - Pewnie byś ich nawet nie rozpoznała.

Zamierzałem wdać się w wyjaśnienia działania zwierciadeł z nowomaterii, które za pomocą laserów naprowadzających badały fluktuacje gęstości atmosfery, a potem zmieniały kształt w taki sposób, by wyeliminować wywołane nimi zniekształcenia, zbierały światło i kierowały je na tabliczkę fotomnemoniczną. Cord zainteresowała się jednak przedmiotami znajdującymi się bezpośrednio przed nią. Jednym z nich był kwarcowy pryzmat, większy niż moja głowa, osadzony w dłoni muskularnego saunta z marmuru i skierowany na południe. Nie potrzebowała moich wyjaśnień, żeby się zorientować, w jaki sposób padające na pryzmat światło odbija się w dół i przez otwór w dachu oświetla znajdujący się w środku metaliczny przedmiot.

- O tym już słyszałam - powiedziała. - Codziennie w południe koryguje wskazania zegara, prawda?

- Przy dobrej pogodzie - uzupełniłem. - Ale nawet podczas zimy atomowej, kiedy niebo może być zachmurzone przez sto lat bez przerwy, zegar bardzo by się nie rozstroił.

- A to co? - Wskazała szklaną kulę wielkości mojej pięści, wycelowaną w niebo i umieszczoną na rzeźbionym kamiennym piedestale, dorównującym wysokością posągowi saunta. - Jakiś

rodzaj teleskopu? To pewnie szczelina na tabliczkę fotomnemoniczną. - Dotknęła otworu w piedestale, tuż poniżej obiektywu. - Tylko że nie bardzo widzę, jak miałby się poruszać? Jak go skierować w wybranym kierunku?

- Nie porusza się i nie musi. To rybie oko, obiektyw, który widzi całe niebo. Nazywamy go Okiem Clesthyry.

- Clesthyra... Mitologiczna bestia, patrząca we wszystkie strony jednocześnie?

- Właśnie.

- Do czego wam służy? Zawsze myślałam, że zaletą teleskopu jest możliwość zogniskowania go na wybranym obiekcie, a nie oglądanie wszystkiego naraz.

- Rybie oczy zainstalowano w gwiazdnych kręgach na całym świecie w czasach zagrożenia Wielką Grudą, kiedy wszyscy interesowali się asteroidami. Masz rację, mówiąc, że są bezużyteczne dla kogoś, kto chce się skoncentrować na jednym ciele niebieskim, pozwalają natomiast śledzić ruch szybkich obiektów na tle nieba. Takich jak meteoryty wlokące za sobą świetlisty ślad. Rejestrując je i mierząc, możemy wyciągać pewne wnioski na temat spadających z nieba kamieni: skąd pochodzą, jak są duże, jaki jest ich skład.

Ponieważ Oko Clesthyry nie miało żadnych ruchomych części, Cord szybko przestała się nim interesować. Weszliśmy najwyżej jak się dało i osiągnęliśmy górną granicę jej kosmograficznej ciekawości. Sprawdziła godzinę na zegarku z przelewającym się przez palce łańcuszkiem. Zauważyłem na głos, że zachowuje się cokolwiek zabawnie, jeśli wziąć pod uwagę, że stoi na szczycie wielkiego zegara. Nie podzielała mojego rozbawienia. Zaproponowałem, że nauczę ją odczytywać godzinę z położenia słońca względem megalitów, ale odparła, że może innym razem.

Zeszliśmy na ziemię. Cord bała się, że się spóźni, nie zdąży z pracą, nie załatwi wszystkiego co powinna - zamartwiała się wszystkim tym, czym mieszkańcy extramuros zamartwiają się przez całe życie. Dopiero kiedy znaleźliśmy się na łące i

zobaczyliśmy Bramę Dekady, rozluźniła się trochę i wróciła myślami do naszej dyskusji.

- Co sądzisz o Twierdzeniu Saunty... jak jej tam było?

- Saunty Patagar? O gryziopiórkach, które rozdmuchały legendę inkanterów, żeby nas kontrolować?

- No właśnie. Patagar.

- Widzisz, problem polega na tym, że państwo sekularne zmienia się z epoki na epokę.

- Ostatnio to raczej z roku na rok - mruknęła Cord.

Nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi serio.

- Dlatego strasznie trudno jest uwierzyć, że miałyby przez cztery milenia stosować spójną strategię. Z naszego punktu widzenia zmiany są na tyle częste, że nawet nie staramy się ich śledzić, może poza okresem, kiedy zbliża się apert. Można powiedzieć, że koncent to taki ogród zoologiczny dla ludzi, którzy mają tych zmian powyżej uszu.

Podejrzewam, że w moim głosie zabrzmiała nutka dumy, może też odrobina rezerwy.

Pożegnaliśmy się przy bramie, umówiwszy się, że spotkamy się jeszcze w tym samym tygodniu. Wracając przez most, doszedłem do wniosku, że ze wszystkich ludzi, których w ciągu dnia spotkałem, jestem chyba najbardziej niezadowolony ze swojej sytuacji. Kiedy jednak usłyszałem, jak Jesry i Cord kwestionują fundamenty systemu matemowego, bez chwili namysłu zacząłem go bronić i wyjaśniać, dlaczego jest dobry. Z pozoru - czysty obłąd.

Nowomateria: Ciało stałe, ciecz lub gaz wykazujący właściwości niespotykane u naturalnie występujących pierwiastków i ich związków. Źródłem tych szczególnych cech są jądra atomowe. Proces powstawania jąder z mniejszych cząstek jest nazywany nukleosyntezą i najczęściej zachodzi we wnętrzu starych gwiazd.

Podlega przy tym prawom fizycznym, które - jeśli można się tak wyrazić - wykryły w swojej obecnej formie wkrótce po powstaniu kosmosu. W ciągu dwóch stuleci po Rekonstrukcji prawa te zostały na tyle dobrze opisane i zrozumiane, że niektórzy deklaranci pokusili się o przeprowadzenie nukleosyntezy w warunkach laboratoryjnych, rządzących się jednak nieco odmienną fizyką niż fizyka głębokiego kosmosu. Okazało się, że większość nowomaterii nie miała żadnego praktycznego zastosowania, udało się jednak odkryć - i mozolnie udoskonalić - kilka użytecznych jej odmian, które, posłużyły następnie do wyprodukowania materiałów cechujących się niezwykłą wytrzymałością lub elastycznością, oraz takich, których własnościami można sterować za pomocą urządzeń syntaktycznych. W ramach reform Pierwszej Łupieży deklarantom zakazano dalszych badań nad nowomaterią, ale w świecie matemowym nadal wytwarza się ją w niewielkich ilościach i zużywa do produkcji zawojów, sznurów i sfer. Extramuros jest stosowana powszechnie.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Fraa Lio dopracował do perfekcji nowy sposób wiązania zawoju, który wprowadził upodabniał go do paczki zgubionej z wagonu towarowego, ale całkowicie uniemożliwiał przeciwnikowi ściągnięcie mu kaptura na oczy. Co zresztą udowodniliśmy, mocując się z nim przez kwadrans. Lio był coraz bardziej zadowolony z siebie, dopóki Jesry nie zepsuł mu frajdy pytaniem, czy nowy kaptur zatrzyma kulę.

Cord wróciła do matemu w towarzystwie niejakiego Roska, młodego mężczyzny, z którym łączyło ją coś na kształt romansu. Zjedli z nami kolację w refektarzu. Miała na sobie mniej narzędzi, a więcej biżuterii, wykonanej przez nią z tytanu.

Arsibaltowi udało się bez przeszkód dotrzeć do bazyliki, ale ojciec nie chciał z nim rozmawiać, dopóki nie ukorzy się i nie zechce przyjąć bazyjskiej religii.

Lio wędrował po pseudmieściach z nadzieją, że napadnie go banda zbójów, tymczasem wszyscy napotkani ludzie chcieli albo gdzieś go podwieźć, albo postawić mu drinka.

Krewni Jesry'ego pomału wrócili do domu, a on zaczął ich odwiedzać. Któregoś razu postanowiłem mu towarzyszyć i byłem pod wrażeniem ich inteligencji, ogłady i (jak zwykle) ilości posiadanych przez nich dóbr. Tylko że ziało od nich pustką: dużo wiedzieli, ale nie mieli pojęcia, po co im ta wiedza. I - o dziwo - fakt ten zamiast podkopywać ich pewność siebie, dodatkowo ją umacniał.

Zraniony wcześniejszymi uwagami Jesry'ego, Lio namówił swoich nowych przyjaciół, żeby zabrali go do opuszczonego kamieniołomu u podnóży gór, gdzie ludzie dla rozrywki ostrzeliwali z rozmaitej broni różne nieruchome przedmioty, i wziął na cel swój zawój i sferę. Wzniósł broń przeciw dwóm z trzech posiadanych na własność przedmiotów, zasypał je gradem pocisków i strzał z szerokim grotem. Kule przesywały tkaninę na wskroś: nowomateria rozciągała się i przepuszczała je, a pozostałe po ich przejściu dziury dawało się później rozmasować i scalić zawój. Co innego ostre jak brzytwy groty strzał: te cięły włókna i zostawiały w materiale wyrwy nie do naprawienia. Za to sfera odkształcała się i rozciągała bez ograniczeń, jak błona z karmelu, kiedy próbuje się ją przebić palcem. Kule dziurawiły ją prawie na wylot i deformowały jak okładany kijem balon. Lio orzekł, że sfera może stanowić osłonę przed pociskami z broni palnej: kula przebije wprawdzie ciało, ale pociągnie za sobą długi, ciągliwy paluch materii, z której zrobiona jest sfera. Paluch zapobiegnie rozprysnięciu i koziołkowaniu kuli, a potem umożliwi jej wyjęcie. Było to dla nas ogromne pocieszenie.

Cord zjawiała się jeszcze raz, tym razem bez Roska. Wybraliśmy się na sympatyczny spacer wokół matemu, zapuściliśmy się nawet do górnego labiryntu. Najpierw rozmawialiśmy o tym, jak potoczyły się losy różnych członków naszej rodziny, a później o tym, gdzie chciałyby się znaleźć w porze następnego apertu.

Ósmego dnia apertu chciało mi się już nim rzygać. Miałem mętlik w głowie. Zadurzyłem się w swojej koligatce, co nie najlepiej o mnie świadczyło, ale im dłużej się nad tym

zastanawiałem, tym bardziej rozumiałem, że nie jest to ten rodzaj zauroczenia, jaki chciałbym zwięńczyć romansem.

Myślałem o niej od rana do wieczora, nadmiernie przejmowałem się tym, co o mnie pomyśli, i marzyłem o tym, żeby przychodziła jak najczęściej i poświęcała mi więcej uwagi. Potem sobie przypominałem, że za parę dni brama matemu się zatrzaśnie i na dziesięć lat stracę wszelki kontakt z Cord. Ona ani przez chwilę o tym nie zapomniała i trzymała mnie na dystans. Zresztą miałem wrażenie, że najbardziej interesują ją te części koncertu, gdzie mogła spotkać itów, a do nich i tak miała stały dostęp, bo przecież wytwarzała dla nich różne rzeczy.

Każdego dnia apertu mógłbym zapełnić całą książkę opisami swoich uczuć i myśli - i byłaby to książka całkiem inna od tej z dnia poprzedniego. Jednakże pod koniec ósmego dnia wydarzenia potoczyły się w taki sposób, że mogę je ująć znacznie zwięźlej.

Romans: (1) W starorthyjskim i późniejszym: bliski związek (najczęściej o charakterze seksualnym) łączący pewną liczbę fraa i suur. Liczba ta prawie zawsze jest równa dwa, a najczęściej spotykanym układem jest para mieszana - fraa i suur w zbliżonym wieku. Wyróżnia się kilka rodzajów romansów; Matka Cartas w Dyscyplinie wymieniła cztery i wszystkie określiła jako zakazane. W późniejszym okresie, w Starej Epoce Matemowej, słynny stał się romans saunta Pera z sauntą Elith, kiedy po ich śmierci odkryto ogromną liczbę wymienionych przez nich listów miłosnych. Niedługo przed Odrodzeniem wiele matemów podjęło niezwykłą decyzję o zmodyfikowaniu Dyscypliny w taki sposób, aby usankcjonować romans perelithyjski - czyli trwały związek łączący jednego fraa z jedną suur. Poprawiona Księga Dyscypliny, przyjęta w okresie Rekonstrukcji, opisywała osiem rodzajów romansów i legalizowała dwa z nich. Druga Nowa Poprawiona

Księga Dyscypliny opisuje siedemnaście romansów, legalizuje cztery i przymyka oko na dwa kolejne. Każdy z dopuszczalnych romansów podlega określonym regułom, a jego zawarcie potwierdza uroczysty ryt, w którym uczestnicy zgadzają się, w obecności co najmniej trzech świadków, przestrzegać tych reguł. Zakony i koncenty, które sprzeciwiają się Dyscyplinie, sankcjonując inne typy romansów, narażają się na działania dyscyplinujące ze strony Inkwizycji. Dopuszczalna jest jednak sytuacja, w jakiej zakon lub koncent uznaje za legalną mniejszą od zalecanej liczbę romansów. W tych, w których zakazane są wszelkie romanse, w praktyce obowiązuje celibat. (2) Pyerd ze schyłkowej Epoki Praksis, z samej swojej natury niepodlegający precyzyjnej definicji, ale opisujący kontakty i relacje pomiędzy różnymi istotami.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Fraa Orolu zauważył moje rozkojarzenie i przed zachodem słońca wezwał mnie do gwiazdznego kręgu. Zarezerwował na tę noc Teleskop Mithry i Mylaksa. Niebo było pochmurne, ale licząc na to, że później się roz pogodzi, udał się na górę jeszcze po południu, wycelował przyrząd i założył czystą tabliczkę fotomnemoniczną. Zastałem go przy M&M, kiedy właśnie kończył te przygotowania. Wyszliśmy na przechadzkę po obwodzie kręgu megalitów. Trochę trudno mi było się rozluźnić i mówić szczerze, ale w końcu powiedziałem Orolowi, co myślę o Cord i co do niej czuję. Zadał mi mnóstwo pytań, które mnie nigdy nie przyszłyby do głowy, i z uwagą wysłuchał moich odpowiedzi, które zdaje się potwierdzały jego przecucie, że w naszej znajomości nie ma niczego niestosownego dla związku dwojga koligatów.

Przypomniał mi, że Cord jest jedyną przedstawicielką mojej biologicznej rodziny, nie mówiąc o tym, że także jedyną znaną mi osobą z extramuros, wobec czego w tym, że dużo o niej myślę, nie ma niczego niezwykłego ani niezdrowego.

Kiedy zwierzyłem mu się z prowadzonych w ostatnim czasie rozmów, które podważały sens Dyscypliny i Rekonstrukcji, zapewnił mnie, że takie dyskusje stanowią niepisaną tradycję apertu. Deklaranci mają wtedy okazję wyzbyć się takich

wątpliwości, aby nie zadrećzać się nimi przez kolejne dziesięć lat.

Dotarliśmy do północno-wschodniego skraju kamiennego dysku, kiedy Orolo się zatrzymał.

- Wiesz, że mieszkamy w pięknym miejscu? - zagadnął.

- Jak mógłbym nie zdawać sobie z tego sprawy? Codziennie bywam w tumie, oglądam prezbiterium, śpiewamy peanatemę...

- Twoje słowa przytakują, twój niepewny ton zaprzecza. A tego jeszcze nawet nie widziałeś.

Wyciągniętą ręką wskazał na północny wschód.

Ciągnące się w tym kierunku pasmo gór zimą przesłaniały chmury, latem zaś mgiełka i tumany kurzu, ale teraz akurat lato mieliśmy już za sobą, a zima jeszcze nie nadeszła. Poprzedni tydzień był upalny, lecz drugiego dnia apertu temperatura gwałtownie spadła i musieliśmy pogrubić zawoje, żeby grzały jak w zimie. Gdy przed paroma godzinami wchodziłem do praesidium, szalała burza, kiedy jednak szedłem po schodach, szum deszczu i łoskot gradu słabły, a kiedy stanąłem z Orolem w gwiazdnym kręgu, z burzy zostały pojedyncze kropelki, pędzące na wietrze jak kamienne odłamki koziołkujące w kosmosie, i piana drobnych kryształków lodu pod nogami. Staliśmy prawie w chmurach. Niebo uderzyło w górski mur jak fala przyboju w przybrzeżne urwisko - i w pół godziny wyczerpało cały swój lodowaty impet. Chmury wprawdzie powoli się rozplływały, ale niebo wcale nie stało się jaśniejsze, bo przez ten czas słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Tymczasem Orolo wprawnym okiem kosmografa wypatrył na stoku gór wyraźnie jaśniejszą plamę. W pierwszej chwili pomyślałem, że to grad posrebrzył drzewa w którejś z odległych dolin, ale na naszych oczach plama światła nabierała coraz cieplejszych barw, rosła, pełzła po zboczu coraz wyżej, zapalając drzewa, które w tym roku wcześniej zmieniły kolor: samotny promień przedarł się przez dziurę w chmurach daleko na zachodzie, i kiedy słońce opadało w stronę widnokręgu, on przesuwiał się ku górze.

- Taki właśnie rodzaj piękna chciałem ci pokazać -

powiedział Orolo. - Dostrzeżenie i pokochanie piękna spotykanego na każdym kroku to rzecz wielkiej wagi. To nasza jedyna obrona przed brzydota, która przy pierwszej okazji opadnie cię ze wszystkich stron.

Było to niezwykle sentymentalne i zdumiewająco poetyckie stwierdzenie - zwłaszcza w ustach Orola. Tak mnie tym zaskoczył, że nie przyszło mi nawet do głowy zastanowić się, co może mieć na myśli, mówiąc o brzydocie.

Przynajmniej otworzył mi oczy na to, co chciał mi pokazać. Światło na zboczu góry przybierało intensywne barwy: szkarłatną, złotą, gruszkową, łososiową. W kilka sekund oblało mury i wieże matemu tysiącletniego poświęcą tak precudną, że gdybym był deolatrą, nazwałbym ją świętą i uznał za dowód istnienia boga.

- Piękno przeszywa świat tak jak ten promień chmury - ciągnął Orolo. - Twoje oko kieruje się ku miejscom, w których znajduje się coś, co może go odbić, ale twój umysł wie, że to nie wieże i skały są źródłem światła. Umysł ma tę świadomość, że coś przenika z innego świata do naszego. Nie słuchaj tych, którzy twierdzą, że piękno jest w oku patrzącego.

Miał na myśli fraa z Nowego Kręgu i Zreformowanych Faanów Starych - ale równie dobrze mógł być w tej chwili Thelenesem, który przestrzega swojego fida, aby nie dał się zwieść sfenickim demagogom.

Światło przez minutę balansowało na najwyższym parapecie murów, a potem zbladło, ściemniało i nagle cała sceneria pograżyła się w głębokich zieleniach, błękitach i fioletach.

- Dziś w nocy będą dobre warunki do obserwacji - stwierdził Orolo.

- Zostajesz tu?

- Nie. Musimy zejść. I tak już naraziliśmy się Klucznikowi. Wezmę tylko notatki.

Oddalił się pospiesznie, zostawiając mnie samego. Zdumiał mnie widok odrobiny dziennego światła, jaka nadal wisiała nad

górami: przeczesujący puste niebo promień natrafił na dwie postrzępione chmurki i podświetlił je jak rzucone w płomień kłębki włóczki. Spojrzałem w dół, na pogrążony w mroku koncert, i tym razem wcale nie miałem ochoty skoczyć. Piękno miało mi ocalić życie. Pomyślałem o Cord i o jej pięknie zaklętym w przedmiotach, które wytwarzała, w jej powierzchowności, w emocjach malujących się na jej twarzy w chwilach zadumy. My, deklarami, najczęściej odkrywaliśmy piękno w jakimś dowodzie teorycznym; w koncencie dominował taki rodzaj estetyki, do którego się dąży i który się doskonalili wszechobecny (choć zwykle niedoceniany) w naszej muzyce i naszych budowlach. Orolo miał rację. Dzięki kontaktowi z pięknem czułem, że żyję - nie w taki sposób, jak przy uderzeniu młotkiem w palec, ale w sensie współuczestniczenia w czymś wielkim, czymś, co mnie przenikało i czego w naturalny sposób byłem nieodłączną częścią. Był to doskonały powód do trwania przy życiu - i zarazem subtelna wskazówka, że być może śmierć to nie wszystko. Wiedziałem, że zapuszczam się niebezpiecznie blisko terytorium deolatrów, ale skoro ludzie potrafili być tacy piękni, łatwo było dojść do wniosku, że musi w nich być jakiś pierwiastek pochodzący z tego innego świata, który Cnoüs dostrzegł za chmurami.

Spotkaliśmy się przy schodach; Orolo niósł pod pachą plik notatek. Spojrzał jeszcze na wschodzące gwiazdy i planety jak lokaj przeliczający sztuce, a potem zeszedł po schodach, przyświecając sobie sferami.

Zgodnie z przewidywaniami Orola fraa Gredick, Klucznik, czekał na nas przy opuszczanej kracie. Towarzyszyła mu druga, drobniejsza postać. Znalazłszy się bliżej, rozpoznaliśmy przełożoną Gredicka, suur Trestanas.

- No, chyba czeka nas pokuta - mruknąłem. - Co dowodzi, że miałaś rację.

- Z czym?

- Brzydota napiera ze wszystkich stron.

- Chyba nie o to chodzi. To wyjątkowa sytuacja.

Weszliśmy pod kamienną kopułę, przekroczyliśmy próg i

Gredick z przesadnym animuszem zatrzasnął nam kratę za plecami. Spojrzałem na niego, przypuszczając, że złości się, bo się spóźniliśmy, ale wcale nie o to mu chodziło. Był wyraźnie zaniepokojony i chciał jak najszybciej zakończyć swoje obowiązki. Przez chwilę niezdarnie mocował się z kluczami, zamykając kratę. Przeniosłem wzrok na północ, na kopułę unarystów, a potem na wschód, na tę należącą do centenarystów. Obie kraty były zamknięte. Gwiazdny krąg został odcięty od reszty budowli. Czyżby zabezpieczenie na czas apertu?

Spodziewałem się, że Gredick sobie pójdzie, żeby suur Trestanas mogła bez świadków zmyć nam głowy, ale on spojrzał mi w oczy i powiedział:

- Chodź ze mną, fidge Erasmiasie.

- Dokąd? - zdziwiłem się. Klucznik nie miał zwykle takich żądań. Nie na tym polegała jego praca.

- Dokądkolwiek.

Ruchem głowy wskazał schody na dół.

Spojrzałem pytająco na Orola, który wzruszył ramionami i w podobny sposób skinął głową. Zerknąłem na suur Trestanas, ale niczego nie wyczytałem z jej twarzy. Cierpliwie czekała, aż zniknę jej z oczu. Niedawno wkroczyła w czwartą dekadę życia i była całkiem atrakcyjna, a przy tym żwawa, systematyczna i pewna siebie. W świecie sekularnym znalazłaby pewnie zatrudnienie w handlu i szybko pięłaby się do góry w firmowej hierarchii. Przez pierwsze miesiące służby w roli Regulatorki często i chętnie wyznaczała pokutę za drobne przewinienia, jakie jej poprzednik puściłby płazem. Starsi deklaranci zapewniali mnie, że jest to zachowanie typowe dla każdego nowego Regulatora. Byłem do tego stopnia przekonany, że zamierza ukarać mnie i Orola za spóźnienie, że bałem się oddalić, dopóki mi nie pozwoli. Wyglądało jednak na to, że przybyła w zupełnie innym celu. Zostawiłem więc Trestanas i Orola samych i ruszyłem po schodach za fraa Gredickiem.

Kiedy Trestanas uznała, że dostatecznie się oddaliliśmy, zaczęła coś tłumaczyć Orolowi. Mówiła ściszym głosem, bez

przerwy przez dobrą minutę, jakby wygłaszała przygotowaną mowę. Kiedy Orolu jej odpowiedział - a uczynił to po długiej chwili milczenia - po jego głosie poznałem, że jest przejęty. Coś go poruszyło. Wywnioskowałem, że suur Trestanas nie wyznaczyła mu pokuty, bo taki werdykt zaakceptowałby potulnie, zamiast się z nią spierać i ryzykować podwojenie albo potrojenie kary. Najwidoczniej rozmawiali o czymś znacznie ważniejszym. Trestanas kazała Gredickowi mnie zabrać, żeby porozmawiać z Orole w cztery oczy.

Było to wielce niesatysfakcjonujące zakończenie rozmowy, którą prowadziliśmy w gwiazdnym kręgu! Dowodziło jednak słuszności słów Orola i nakazywało mi wcielić ideę w czyn.

Pochwyć to i trzymaj. W przeciwnym razie umrzesz.

Obudziwszy się następnego ranka, nie umiałem stwierdzić, czy tak właśnie ujął to fraa Orolu, czy też to mój umysł w taki sposób przetworzył jego słowa, ale z całą pewnością obudziłem się pełen zapału i determinacji.

W refektarzu wypatrzyłem siedzącego samotnie Orola. Uśmiechnął się do mnie przelotnie i natychmiast odwrócił wzrok. Nie chciał mi opowiadać o swoim sporze z suur Trestanas. Zjadł szybko, wstał i skierował się do Bramy Dekady, aby spędzić kolejny dzień w mieście.

Ważniejsza jednak od jego rozmowy z Trestanas była nasza wcześniejsza konwersacja. Wiedziałem, że nie mogę o niej dyskutować w refektarzu: nie przetrzymałaby Grabi Diaksa, żaden deklarant nie potraktowałby jej poważnie, a proceńcy uznałoby mnie za rodzaj deolatry. Na swoją obronę musiałbym przywoływać idee, które dla nich brzmiałyby niedorzecznie - a przecież wiedziałem, że tak właśnie robili to sauntowie: oceniali dowody teoretyczne nie w kategoriach logicznych, lecz estetycznych.

Nie ja jeden miałem mętlik w głowie. Arsibalt siedział sam, prawie nie jadł, a potem wymknął się cichaczem z sali. Jakiś czas potem Tulia wzięła swoją miskę i przysiadła się do mnie. Ucieszyłem się, ale zaraz zorientowałem się, że zrobiła to tylko po to, żeby porozmawiać właśnie o nim. Arsibalt ostatnio dużo rozmyślał, i to najczęściej na widoku, jakby się dopominał, żeby go zapytać, co się dzieje. Nie zamierzałem tego robić, ponieważ obrana przez niego taktyka okropnie mnie drażniła, jednak suur Tulia od czasu do czasu próbowała go zagadywać, i teraz też dała mi do zrozumienia, że powinienem z nim porozmawiać. Zgodziłem się - ale tylko dlatego, że to ona mnie o to poprosiła.

Po Rekonstrukcji pierwsi fraa i suur z Zakonu Saunta Edhara przybyli w to miejsce, gdzie rzeka opływa kamienny występ, zaatakowali go ładunkami wybuchowymi i przecinakami strumieniowymi, i tak długo splukiwali luźny żwir i zwietrzały materiał skalny (później przenieśli je na obrzeża swojej siedziby i zbudowali z nich mury koncentru), aż dokopali się do litej skały w sercu góry. Pocięli ją na bloki i płyty i zwalili na dno doliny; niektóre odłamki dotoczyły się aż do murów i dopiero tam znieruchomiały. Występ stał się pagórkem, pagórek wyostrzył się w iglicę. Pierwsi tysięcznicy wycięli w jej zboczach wąskie i kręte schody, pewnego dnia wspięli się po nich i już nie wrócili, bo rozbili obóz na wierzchołku i zaczęli budować własne mury i wieże. Dolina jeszcze przez stulecia przypominała gruzowisko. Deklaranci na każdym kroku natykali się na rozrzucone złomy i w końcu wyrzeźbili z nich elementy składowe tumu. Większość kamieni zniknęła i pozostała po nich naga, gładka, jałowa ziemia, ale trochę tych największych nadal tkwiło na łące. Zostawiono je po części dla ozdoby, a po części jako surowiec dla naszych kamieniarzy, którzy w dalszym ciągu dopieszczali chimery, maskarony i inne cuda.

Arsibalt siedział na jednym z takich głazów, w otoczeniu rozrzuconych przez srogów pojemników po napojach. Wszędzie dookoła goście matemu leżeli w wysokiej trawie i odsypiali dzień. Po drugiej stronie łąki Lio płażał wokół posągu saunty Frogi, na

przemian zarzucając mu na głowę rąbek zawoju i ściągając go gwałtownie, jakby strzelał z bata. Gdyby nie apert, w ogóle bym się nim nie zainteresował, ale Lio przyciągnął gromadę gapiów, którzy przyglądali mu się, wytykali go palcami, śmiali się i rejestrowali szpile. Oto kolejna użyteczna cecha apertu: przypominał nam, jak dziwaczni bywamy i jakie mamy szczęście, że możemy mieszkać w miejscu, gdzie uchodzi nam to na sucho.

Dowód rzeczowy A: fraa Arsibalt. W zgrabnych akapitach, włącznie ze zdaniem wprowadzającymi, w doskonałym średniorthyjskim, z przypisami w staro- i protorthyjskim, wyjaśnił mi, że zasmuciła go niechęć ojca do spotkania się z nim, ponieważ w swoim mniemaniu nie tyle odrzucał wiarę ojca, ile raczej próbował przerzucić pomost między nią i światem matemowym.

Wydało mi się to zamiarem nadzwyczaj ambitnym jak na dziewiętnastolatka, i to siedem tysięcy lat po tym, jak córki Cnoüsa przestały ze sobą rozmawiać. Niemniej jednak wysłuchałem go do końca - z kilku powodów: pragnąłem móc później zaimponować Tulii, jaki to porządny ze mnie facet; nie chciałem wyjść na lorytę; słowa Arsibalta były niewiele mniej zwariowane niż moja wieczorna dyskusja z Orolem. Liczyłem na to, że kiedy go wysłucham, sam będę mógł mu się zwierzyć, ale w miarę jak nasza konwersacja (jeśli można tak nazwać arsibaltowy monolog) postępowała, moje nadzieje się kurczyły. Nie przyszło mu do głowy, że ja też chciałbym z nim o czymś porozmawiać - może nie o sprawach tak ważkich i nowatorskich, jak te, które nie dawały mu spokoju, ale dla mnie ważnych. Czekałem więc cierpliwie, lecz kiedy już dostrzegłem swoją szansę, kompletnie zmienił temat i zaskoczył mnie poematem o „niesamowitej Cord”. Tak oto zamiast porozmawiać o tym, o czym chciałem, musiałem zmagać się z ideą niesamowitości Cord. Arsibalt zastanawiał się na głos, czy byłaby skłonna wdać się w romans atlański. Ja uważałem, że nie, ale kimże byłem, żeby to oceniać? Chłopak, który był (a) bezpłodny oraz (b) wypuszczany na wolność tylko raz na dziesięć lat, nie stanowił poważnego zagrożenia, więc tylko wzruszyłem ramionami i stwierdziłem, że wszystko jest możliwe.

A potem wróciłem do suor Tulii, żeby złożyć jej sprawozdanie.

Siedemnaście lat temu Tulia została znaleziona przy Bramie Diennej, zawinięta w gazety i upchnięta w przenośnej lodówce do piwa z oderwaną pokrywą. Pępowina już odpadła, co oznaczało, że jest za stara i miała zbyt długi kontakt z Saeculum, żeby tysiącnicy mogli ją przyjąć, była zresztą chorowita i na początku i tak trafiła do unarystów, których matem był najłatwiej dostępny dla medyków z Kolegium Lekarskiego. Tam została wychowana (tak to sobie przynajmniej wyobrażałem) przez zamieszkujące matem córki i żony miastowych, gotowe przychylić jej nieba. Trwało to do czasu, gdy w wieku sześciu lat dostała promocji i przeszła labirynt: sama jedna wyszła z niego i ze śmiertelnie poważną miną przedstawiła się pierwszej spotkanej suor. Nie mając rodziny w świecie sekularnym i obserwując podczas apertu, jak my męczymy się z naszymi rodzinami, zaczęła doceniać, że w gruncie rzeczy chyba ma szczęście. Była zbyt sprytna, żeby powiedzieć coś głośno, ale dla mnie nie ulegało wątpliwości, że przez cały apert obserwuje nas i próbuje coś z tego zrozumieć. Widząc, jak spaceruję po matemie i rozmawiam z koligatką, doszła do wniosku, że dla mnie apert nie stanowi problemu. Doszedłem do wniosku, że relacjonowanie jej mojej dyskusji z Orole nic mi nie da.

Zamiast tego więc wdawałem się w rozmowy z obcymi, którzy przyszli na wycieczkę do unarystów.

Mój matem był mały, zwyczajny, cichy. Co innego matem jednoroczny, celowo zbudowany w taki sposób, by oszałamiał: co roku przez dziesięć dni miał imponować turystom z extramuros, a przez pozostały czas wszystkim tym, którzy przysięgli spędzić co najmniej rok w jego murach. Niewielu z nich awansowało do nas, decenarystów. „Żona miastowego, która koniecznie chce coś poczuć” - tak brzmiało szczególnie okrutne określenie przeciętnej unarystki, zasłyszane od pewnego starego fraa. Najczęściej byli to ludzie młodzi, wolnego stanu, poszukujący ostatniego szlif, odrobiny dodatkowej ogłady i prestżu, niezbędnych podczas

poszukiwać partnera w dorosłym świecie. Niektórzy uczyli się pod okiem halikaarnijczyków i zostawali praksykami lub rzemieślnikami; inni trafiali pod skrzydła proceńczyków i kończyli jako prawnicy lub politycy. Matka Jesry'ego po ukończeniu dwudziestego roku życia spędziła w matemie dwa lata, a niedługo potem wyszła za ojca Jesry'ego, mężczyznę nieco od niej starszego. Wykorzystał on trzyletni staż matemowy do rozkręcenia kariery, o której nie miałem pojęcia.

Płaszczyzna: (1) W teoryce diaksyjskiej - dwuwymiarowa rozmaitość w przestrzeni trójwymiarowej, z metryką płaską. (2) Analogiczna rozmaitość w przestrzeni o większej liczbie wymiarów. (3) Otwarty, płaski teren na peryklinie w starożytnym Ethras, pierwotnie wykorzystywany przez teoryków jako miejsce szkicowania dowodów (bezpośrednio na ziemi), później także jako miejsce prowadzenia różnego rodzaju dialogów. Z takim rozumieniem płaszczyzny wiąże się pojęcie *splantowania*, oznaczające całkowite unicestwienie stanowiska zajmowanego przez przeciwnika w dialogu.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Przed świtem dziesiątego dnia apertu suur Randa, jedna z pszczelarek, odkryła, że w nocy złodzieje zakradli się do szopy pszczelarzy, natłukli naczyń i uciekli z dwiema bańkami miodu. Od wieków nie wydarzyło się nic równie ekscytującego, i kiedy zszedłem do refektarza zakończyć post, wszyscy rozmawiali o kradzieży. Rozmawiali o niej nadal, kiedy wychodziłem, czyli około siódmej. O dziewiątej miałem być przy Bramie Roku. Najłatwiej byłoby wyjść Bramą Dekady, przemaszerować na północ przez miasto i od zewnątrz podejść do matemu unarystów, ale wczorajsze wspominki o Tulii podsunęły mi inny pomysł: postanowiłem dostać się tam przez dolny labirynt, pokonując w przeciwnym kierunku trasę, którą ona przebyła, mając sześć lat.

Wtedy zajęło jej to pół dnia; miałem nadzieję, że ja stracę na to nie więcej niż godzinę, ale na wszelki wypadek dałem sobie dwie. Skończyło się na tym, że przeszedłem labirynt w półtorej godziny.

Kiedy zegar wybijał dziewiątą, stałem - w oficjalnie udrapowanym zawoju z kapturem - za mostem prowadzącym do Bramy Roku, a jej blankowany bastion wznosił się na wprost mnie. Most i brama przypominały te znane mi z matemu dziesięcioletniego, były jednak dwa razy większe i o wiele bardziej ozdobne. W pierwszym dniu apertu na placu, który widziałem teraz po drugiej stronie, czterystu ludzi przywitało wiwatami swoich przyjaciół i krewnych, kiedy ci o świcie wybiegli z matemu po rocznym odosobnieniu.

Tego ranka grupa liczyła jakieś dwa tuziny turystów. Jedną trzecią stanowiły dziesięciolatki w mundurkach religijnego suwinu bazyjskiego - tak przynajmniej zakładałem, widząc, że ich nauczycielka nosi zakonny habit. Poza tym stała się typowa mieszanka miastowych, rzemieślników i slogów. Tych ostatnich rozpoznawałem z daleka. Byli ogromni. Niektórzy rzemieślnicy i miastowi też byli wysocy i barczyści, ale próbowali to maskować ubiorem. Bieżąca moda kazała slogom nosić sportowe bluzy (w jasnych kolorach, z numerem na plecach), nadmiernie obszerne - tak żeby szwy, które powinny znaleźć się na ramionach, wypadały na wysokości łokci - i bardzo długie, bo sięgające aż do kolan. Spodnie mieli za długie na szorty i za krótkie na prawdziwe spodnie: wystawały na szerokość dłoni spod bluzy, odsłaniając kilka cali masywnej łydki ginącej w ogromnych, grubo wатовanych buciorach. Na głowach nosili ozdobione logo różnych napitków kaptury, których luźne końce zwisały im na plecach. Ciemnych okularów nie zdejmowali nawet w zamkniętych pomieszczeniach.

Ale wyróżniało ich nie tylko ubranie. Moda dyktowała im także sposób poruszania się (chodzili kolebiącym się, niespiesznym krokiem), a nawet stania bez ruchu (przyjmowali przesadnie wyluzowaną pozę, która mnie wydawała się w dziwny sposób nieprzyjazna). Z daleka więc zorientowałem się, że w

dzisiejszej grupie mam czterech slogów. Nie przejąłem się tym, bo przez poprzednie dziewięć dni goście nie sprawiali najmniejszych problemów, a fraa Delrakhones uznał, że trafiliśmy na okres, w jakim slogowie wyznają całkiem nieszkodliwą ikonografię. Byli znacznie mniej groźni niż przybierane przez nich pozy.

Cofnąłem się na szczyt przęśła, żeby znaleźć się nieco powyżej nich, i kiedy uformowali się w grupę, przywitałem wszystkich i się przedstawiłem. Dzieci z suwinu stanęły z przodu, w równym szeregu. Slogowie trzymali się z tyłu, nieco na uboczu, jakby chcieli w ten sposób dodatkowo podkreślić swoje nieprzeciętne wyluzowanie; bawili się piszczkami i popijali wodę z cukrem z wielkich jak wiadra kubków. Dwóch spóźniałskich dopiero szło przez plac, zacząłem więc powoli, żeby za dużo nie stracili.

Nauczyłem się nie oczekiwać przesadnie wielkiej koncentracji ze strony słuchaczy, toteż po pokazaniu im sadu drzew arkuszowych oraz rozciągających się za rzeką kłębow przeprowadziłem ich przez most do wnętrza matemu unarystów. Obeszliśmy trójkątny blok czerwonego kamienia, pokryty wyrytymi imionami fraa i suur, których szczątki pod nim pochowano. Nie rozmawialiśmy o nim, dopóki ktoś z gości nie zapytał wprost - taką przyjęliśmy politykę. Dzisiaj nikt nie zainteresował się kamieniem, więc udało mi się uniknąć niezręcznego tematu.

Trzecia Łupież rozpoczęła się od tygodniowego oblężenia koncentu. Mury były stanowczo za długie, żeby mogła ich bronić tak nieliczna obsada, toteż trzeciego dnia decenaryści i centenaryści złamali Dyscyplinę i wycofali się do matemu jednorocznego, w którym łatwiej było odpierać ataki: miał mniejszy obwód, a gdzieniegdzie przystępu do niego broniły przeszkody wodne. Tysięcznicy, rzecz jasna, byli bezpieczni w swoim skalnym gnieździe.

Po dwóch tygodniach stało się jasne, że państwo sekularne nie zamierza przyjść koncentowi z odsieczą. Pewnego dnia, przed świtem, większość obrońców zgromadziła się przy Bramie Roku,

otworzyła ją i w formacji klina wypadła na plac, spychając zaskoczonych napastników w głąb miasta. Przez godzinę deklaranci łupili składy i magazyny, zabierając lekarstwa, witaminy, amunicję oraz wszelkie minerały i chemikalia niedostępne w koncencie. Potem zrobili coś, co jeszcze bardziej zdumiało oblegających: zamiast po prostu uciec, sformowali kolejny klin (teraz już znacznie mniejszy), przebili się przez plac i schronili z powrotem za bramą matemu. Zatrzymali się dopiero po drugiej stronie mostu, który natychmiast wysadzono w powietrze. Tam porzucili całą zdobycz i osunęli się na ziemię. Pięcuset rozpoczęło tę wycieczkę. Trzystu wróciło, z czego dwustu zmarło natychmiast po powrocie na skutek odniesionych ran. Ten granitowy klin był ich kurhanem. Wszystko, co przynieśli, posłano tysięcznikom. Reszta koncentu padła następnego dnia, a tysięcznicy przetrwali samotnie w swoim gnieździe następne siedemdziesiąt lat. Na całym świecie jeszcze tylko dwa matemy tysiącletnie wyszły cało z Trzeciej Łupieży, nietknięte i nie splądrowane. Było natomiast sporo takich, z których ostrzeżeni w porę deklaranci zdążyli uciec, zabierając tyle książek, ile tylko zdołali unieść, i przeżyli następne dziesięciolecia w różnych odludnych miejscach.

Pomnik miał kształt klina skierowanego nie na zewnątrz, w stronę miasta, lecz do środka, gdzie znajdował się zegar. W ten sposób podkreślono, że ci, którzy pod nim spoczywają, wrócili.

Pięćdziesiąt kroków od jego wierzchołka rozpoczynała się Droga Hylaejska, druga (obok tumu) architektoniczna dominanta koncentu. Wybudowano ją bardziej w stylu bazyjskim niż matemowym, budynki raczej rozpościerały się w poziomie, zamiast strzelać pod niebo, co upodabniało je do bazyjskich ark, tradycyjnie szerokich i rozległych, żeby wszystkich przygarnąć.

Przytrzymałem drzwi dwójce spóźnialskich i zamknąłem je za nimi, zadowolony - nawet bardzo - że w grupie nie ma Barba. Przez pierwsze dwa dni apertu syn Quina uczestniczył prawie we wszystkich możliwych wycieczkach. Najpierw zapamiętywał słowo w słowo wszystko, co powiedzieli przewodnicy, potem

zadawał otepiającą liczbę pytań, aż w końcu zaczynał pouczać i poprawiać fraa i suur, którzy się w czymś pomylili, oraz rozwijać te ich wypowiedzi, które uznał za zbyt lakoniczne. Co sprytniejsi przewodnicy wyszukiwali mu przeróżne zajęcia, ale nie był w stanie na niczym dłużej się skupić i od czasu do czasu wyrывał się z kolejnymi uwagami. Quin i jego eks-żona nie mieli chyba nic przeciwko temu, że przez cały dzień przesiaduje w koncencie, czym niedwuznacznie dawali nam do zrozumienia, że chcieliby, żeby został kolektantem.

Architekci Drogi Hylaejskiej trochę zagrali gościom na nosie: majestatyczny portal prowadził do wnętrza, które było zdumiewająco małe i ciemne; przypominało trochę labirynt, z tą różnicą, że nie było nawet w przybliżeniu tak skomplikowane. Ściany i podłogi wyłożono płytami zielonobrunatnego łupku, wydobywanego w kamieniołomie fascynującym naturalistów ze względu na niezwykłą liczbę znajdujących w nim skamielin. O tym właśnie opowiadałem swoim gościom, kiedy czekaliśmy, aż wzrok przyzwyczai nam się do półmroku, a kiedy zaczęły rozeznawać kształty, zachęciłem ich do obejrzenia wmurowanych w ściany okazów. Ci, którzy zapobiegliwie przynieśli jakieś źródła światła - głównie dzieci z suwinu i emerytowani miastowi - rozproszyli się po komnacie. Zakonnica miała ze sobą plan pomieszczenia, podpowiadający jej, gdzie szukać najbardziej niezwykłych skamieniałości. Ja zaś wziąłem koszyk z latarkami i zacząłem je rozdawać wszystkim chętnym. Niektórzy zbywali mnie machnięciem ręki; najprawdopodobniej byli antybazyjskimi fundamentalistami, wierzącymi, że Arbre została stworzona od razu w obecnym kształcie niedługo przed narodzinami Cnoüsa, i tę część wycieczki postanowili demonstracyjnie zignorować, aby w ten sposób wyrazić swój sprzeciw. Kilka osób miało w uszach słuchopaki i słuchało nagranych na pischczku komentarzy. Słownie patrzyli na mnie obojętnie i nie reagowali na propozycję wypożyczenia latarek. Zauważyłem, że jeden z nich ma rękę na temblaku, ale dopiero po chwili skojarzyłem, co to znaczy, i wyciągnąłem oczywisty wniosek: to oni napadli Lio i Arsibalta. W

oficjalnie udrapowanym zawoju (który z łatwością można mi było ściągnąć na oczy) czułem się bezradny jak dziecko. Zacząłem żałować, że nie zapoznałem się lepiej z eksperymentami Lio.

Odsunąłem się od nich i zacząłem mówić:

- Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, pełni dwojaką funkcję. Jest galerią skamielin, głównie dziwacznych i zabawnych istot, które nie przekształciły się do żadnej znanej nam współcześnie postaci, lecz skończyły jako ślepe zaułki ewolucji. Ale jest także symbolem świata myśli, istniejącego przed Cnoüsem. W owych czasach panował prawdziwy galimatias pomysłów, koncepcji i idei, z których większość wydałaby się nam dzisiaj niedorzeczna. To również były ślepe zaułki ewolucji, skazane na wyginięcie. Przetrwały tylko wśród ludów prymitywnych, w najodleglejszych zakątkach naszej planety. - Mówiąc, prowadziłem ich krętym korytarzem do innej sali, znacznie większej i jaśniejszej. - Wyginęły, ponieważ siedem tysięcy lat temu coś przydarzyło się temu oto człowiekowi, kiedy spacerował nad rzeką.

Wszedłem do rotundy, przyspieszając kroku, żeby wszyscy jak najszybciej się w niej znaleźli.

Tym razem dla lepszego efektu zawiesiłem głos na dłużej. Stojący na środku komnaty posąg miał ponad sześć tysięcy lat i od prawie równie dawna cieszył się opinią arcydzieła najwyższej klasy. Jego dzieje, które sprawiły, że trafił na ten kontynent i do tej rotundy, same w sobie stanowiły długą, fascynującą historię. Był wykuty z białego marmuru, w skali dwa do jednego, a po postawieniu na kamiennym postumencie wydawał się jeszcze większy. Przedstawiał Cnoüsa, niemłodego już, ale muskularnego, z długimi włosami i długą, falującą brodą, opartego plecami o powykęcane korzenie drzewa i z zadartą głową patrzącego - z zadziwieniem i nabożną czcią - w niebo. Jedną ręką zasłaniał twarz, jakby się lękał oszałamiającej wizji, ale pokusa była zbyt silna i zerkał do góry ponad przedramieniem. W drugiej dłoni ścisnął rylec. U jego stóp walały się porzucone linijka, cyrkiel i tabliczka pokryta precyzyjnie wykreślonymi kołami i wielokątami.

Podczas pierwszej wizyty Barb nie spojrział na sufit - wszystko przez to, że jego w najwyższym stopniu systematyczny umysł pozostawał ślepy na ludzką mimikę. Ale wszyscy inni - nawet ja, który przecież widziałem posąg wielokrotnie - zadzierali głowę, by się przekonać, co tak zdumiało biednego, starego Cnoüsa. Odpowiedzią (przynajmniej od czasu zainstalowania posągu w rotundzie) był oculus, czyli świetlik w kopule, mający kształt trójkąta równoramiennego i przepuszczający promień światła.

- Cnoüs był znakomitym kamieniarzem - zacząłem. - Na jednej ze starożytnych tabliczek, wykutych jeszcze, zanim doświadczył swojej wizji, określany jest przymiotnikiem, który dosłownie znaczy „tego, który został wywyższony”, co oznacza, że albo był mistrzem w swoim rzemiośle, albo w ówczesnej religii uznawano go za człowieka świętego. Na zlecenie króla budował świątynię jednemu z bogów. Kamień do niej czerpał z kamieniołomu w górze rzeki i przewoził na miejsce budowy na tratwach.

Jeden ze słogów przerwał mi w tym momencie pytaniem i musiałem mu wyjaśnić, że wszystko to zdarzyło się daleko stąd, a ja nie mam na myśli naszej rzeki i naszych kamieniołomów. Któryś piszczyk zaczął wygrywać idiotyczną melodyjkę. Poczekalem, aż właściciel go wyłączy, i mówiłem dalej:

- Cnoüs rysował plany i prowadził obliczenia na pokrytej woskiem tabliczce, szedł z nią do kamieniołomu i tam udzielał robotnikom szczegółowych wskazówek. Pewnego dnia zmagął się ze szczególnie trudnym problemem geometrycznym, związanym z kamiennym blokiem potrzebnym mu do budowy. Usiadł w cieniu drzewa nad rzeką, żeby to przemyśleć, i doświadczył wizji, która zmieniła jego umysł i całe jego życie. Suchych faktów nikt nie podważa, sam opis wizji znamy jednak z drugiej ręki, gdyż dotarł do nas za pośrednictwem tych dwóch kobiet. - Wskazałem dwie mniejsze rzeźby, w połączeniu z Cnoüsem tworzące trójkąt równoramienny. - Oto jego córki, Hylaea i Deät. Uważa się, że były bliźniaczkami, choć nie jednojajowymi.

Antybazyjczycy mnie uprzedzili: zdążyli już uklęknąć przed posągiem Deät i zaczęli się modlić; niektórzy grzebali w torbach w poszukiwaniu świec, inni trzaskali piszczkami fototypy, potykając się przy tym i wpadając na siebie nawzajem. Deät, klęcząca na postumencie, połą płaszcza osłaniała oczy przed światłem z oculusu.

W przeciwieństwie do niej Nasza Matka Hylaea stała wyprostowana, jedną dłonią odrzucała kaptur z głowy i patrzyła prosto w światło. Drugą ręką wskazywała oculus. Usta miała półotwarte, jakby właśnie zamierzała uczynić jakieś spostrzeżenie.

Wyrecytowałem legendę związaną z posągami. Zamówił je w roku minus dwa tysiące dwieście siedemdziesiątym Tantus, cesarz Bazu, jako uzupełnienie dla znacznie starszej rzeźby Cnoüsa, którą niewiele wcześniej zdobył, złupiwszy zgliszcza Ethras. Zajął również kamieniołom, skąd pochodził marmur użyty na posąg Cnoüsa, kazał więc wyciąć dalsze dwa ogromne bloki i przewieźć je do Bazu na specjalnie w tym celu zbudowanych barkach. Wyrzeźbienie figur sióstr zajęło najznamienitszemu z ówczesnych artystów pięć lat.

Podczas oficjalnego odsłonięcia pomnika wyraz twarzy Hylaei do tego stopnia zaintrygował Tantusa, że cesarz wezwał do siebie rzeźbiarza i zapytał go, co córka Cnoüsa chciała powiedzieć. Artysta odmówił odpowiedzi, a kiedy Tantus nie ustępował, odparł, że cały zamysł artystyczny i cała wartość rzeźby tkwi właśnie w tym niedopowiedzeniu. Zafascynowany Tantus zasypał go pytaniami, wysłuchał odpowiedzi, a potem dobył cesarskiego miecza i przeszył nim serce rzeźbiarza, aby ten już nigdy nie zniweczył wartości swojego dzieła odpowiedzią wyjaśniającą wątpliwości. Późniejsi badacze podważali prawdziwość tej historii (podobnie jak wszystkich ciekawych opowieści), ale przytoczenie jej w tym momencie stanowiło obowiązkowy punkt programu i widziałem, że slogom się podobała.

Mnie osobiście obie te rzeźby wprawiały w zakłopotanie jako beczelnie ewidentny przejaw propagandy prohyalejskiej (i antydeackiej). Deolatrzy byli jednak odmiennego zdania i podczas

apertu postument figury Deät został tak gęsto ozdobiony świecami, medalikami, kwiatami, wypchanymi zwierzętami, fetyszami, fototypami zmarłych i kawałkami papieru, że jednorazowcy mieli go doprowadzać do porządku jeszcze długie tygodnie po zamknięciu bram matemu.

- Deät i Hylaea udały się na poszukiwanie ojca i znalazły go pod drzewem, pogrążonego w rozmyślaniach. Zwróciły uwagę na tabliczkę, na której notował swoje wrażenia, i wysłuchały jego relacji. Niedługo potem Cnoüs ubliżył królowi tak dotkliwie, że został skazany na wygnanie i wkrótce zmarł. Jego córki zaś zaczęły rozpowiadać dwie różne historie. Deät twierdziła, że kiedy spojrzał w niebo, chmury się rozstały, odsłaniając świetlistą piramidę, na co dzień zakrytą przed ludzkim wzrokiem. Dane mu było zajrzeć do innego świata, Królestwa Niebieskiego, gdzie wszystko jest jasne i doskonałe. Według niej Cnoüs zrozumiał, że błędem jest oddawanie czci fizycznym wizerunkom bóstw, które dotychczas tworzył, ponieważ są one tylko prymitywnym odzwierciedleniem prawdziwych bogów żyjących w niebie. Powinniśmy czcić ich samych, a nie dzieło naszych rąk. Hylaea utrzymywała natomiast, że olśnienie Cnoüsa odnosiło się w rzeczywistości do geometrii. To, co jej siostra Deät mylnie zinterpretowała jako niebiańską piramidę, było wizją trójkąta równoramiennego; nie topornym i niedoskonałym jego przedstawieniem, jakie Cnoüs szkicował na tabliczce za pomocą cyrkla i linijki, ale obiektem czysto teoretycznym, o którym można formułować stwierdzenia o charakterze absolutnym. Trójkąty, jakie rysujemy i mierzymy tutaj, w świecie fizycznym, są tylko mniej lub bardziej wiernymi przedstawieniami trójkątów idealnych, istniejących w tym drugim królestwie. Dlatego musimy nauczyć się je odróżniać i poświęcić się badaniu czystych form geometrycznych.

- Zauważyliście pewnie, że ta sala ma dwa wyjścia - ciągnąłem. - Jedno po lewej stronie, obok posągu Deät, drugie po prawej, bliżej Hylaei. Taka konstrukcja symbolizuje rozbrat między kontynuatorami idei Deät, nazywanymi deolatrami, i

zwolennikami Hylaei, którzy z początku nosili miano fizjologików. Jeżeli wyjdziecie lewymi drzwiami, znajdziecie się na zewnątrz i bez trudu traficie z powrotem do Bramy Roku; wielu naszych gości wybiera tę drogę, ponieważ uważają, że dalej w głąbi matemu nie ma dla nich nic interesującego. Jeśli jednak razem ze mną wybierzeć drugie drzwi, wkroczyć na Drogę Hylaejską.

Dałem im kilka minut, żeby mogli swobodnie pokręcić się po komnacie i porobić fototypy, a potem przeszedłem przez drzwi po stronie Hylaei i wprowadziłem tych gości, którzy nie przybyli z pielgrzymką do Deät, do galerii. Zebrano w niej obrazy i inne dzieła sztuki powstałe w ciągu wieków, jakie upłynęły od śmierci Cnoüsa.

Galeria prowadziła do Komnaty Dioramy, prostokątnej, z kopulastym sufitem i latarnią z przezroczami, przez które wpadało mnóstwo światła i wyławiało z mroku freski. Naczelne miejsce w sali zajmowała makieta Oritheny. Wyjaśniłem, że ufundował ją Adrakhones, odkrywca Twierdzenia Adrakhonesa, w myśl którego kwadrat długości przeciwprostokątnej w trójkącie prostokątnym równy jest sumie kwadratów długości przyprostokątnych. Dla uczczenia jego pamięci posadzkę komnaty pokrywały liczne geometryczne dowody prawdziwości Twierdzenia. Każdy z nich dawało się rozgryźć, gdyby odpowiednio długo nad nim postać i się weń popatrywać.

- Znajdujemy się w czasie obejmującym okres od roku dwa tysiące dziewięćsetnego do około dwa tysiące sześćsetnego przed Rekonstrukcją. Adrakhones uczynił z Oritheny ośrodek badań nad HST, Hylaejskim Światem Teorycznym, czyli tym wymiarem egzystencji, który objawił się Cnoüsovi. Na Ecbę napływali ludzie z całego świata. Jak widzicie, znajdują się tu jeszcze jedne drzwi wejściowe, prowadzące do sali wprost z zewnątrz. Symbolizują one tych, którzy wcześniej podążyli za Deät i przez jakiś czas obracali się wyłącznie wśród deolatrów, potem zaś zaczęli próbować pogodzić idee Deät z pomysłami adeptów Oritheny. Jednym udawało się to lepiej, innym gorzej.

Spojrzałem na slogów. W rotundzie zaprzątęła ich najpierw dyskusja o rozmiarach pewnych szczegółów anatomicznych Cnoüsa (ukrytych zresztą pod fałdą szaty), a potem spór o to, która z kobiet bardziej im się podoba: Deät, klęcząca już w dogodnej pozycji, czy Hylaea, która właśnie zaczyna się rozbierać. Teraz zgromadzili się pod największym freskiem, przedstawiającym rozeźlonego mężczyznę z ciemną brodą, pędzącego po świątynnych schodach z grabiami w rękach, napawającego przerażeniem grupkę graczy w kości, w popłochu rozglądających się na wszystkie strony. Slogowie byli tym obrazem zachwyceni, a ponieważ do tej pory wydawali mi się raczej potulni i nieszkodliwi, podszedłem do nich i zacząłem tłumaczyć:

- To Diax. Słynął z dyscypliny umysłowej. Z biegiem czasu coraz bardziej niepokoił go napływ zalewających Orithenę entuzjastów, czyli ludzi, którzy inaczej od oritheńczyków pojmowali istotę liczb i próbowali nawet oddawać im cześć, co zakrawało na wariactwo. Pewnego dnia Diax wychodził akurat ze świątyni po odśpiewaniu peanatemy i zobaczył tych ludzi zajętych wróceniem z kości. Tak się rozzłościł, że wyrwał ogrodnikowi grabie i wymachując nimi, przepędził entuzjastów ze świątyni. Od tamtej pory osobiście kierował Oritheną. Ukuł termin „teoryka”, a jego uczniowie i zwolennicy nazwali siebie „teorami”, aby odróżnić się od entuzjastów. Diax powiedział coś, co dla nas ma niezwykłą wagę: mianowicie że nie powinniśmy w coś wierzyć wyłącznie dlatego, że tego chcemy. Stwierdzenie to nazywamy dziś „Grabiami Diaksa” i często powtarzamy sobie w duchu, żeby uchronić się przed wpływem subiektywnych emocji na rozumowanie.

Moje wyjaśnienia okazały się zbyt długie dla slogów: stracili zainteresowanie po bójce na grabie i odwrócili się do mnie plecami. Zauważyłem, że jeden z nich - ten z ręką na temblaku - ma na plecach dziwną, jakby kościaną narośl, biegnącą wzdłuż kręgosłupa i wystającą kilka cali ponad kołnierz bluzy. Zwykle zakrywała ją odrzucona na plecy końcówka kaptura, ale kiedy się

odwracał, zobaczyłem ją wyraźnie. Wyglądała jak element dodatkowego egzozskieletu, doczepiony do tego prawdziwego. Na górze kończył się prostokątną płytką, mniejszą niż moja dłoń i ozdobioną kinagramem przedstawiającym schematycznie narysowaną dużą figurkę, która okłada pięścią drugą, mniejszą. Była to klamra rdzeniowa; Quin opowiadał o takich mnie i Orolowi. Domyślałem się, że to ona unieruchamia mu prawą rękę.

Fresk na suficie w głębi sali przedstawiał wybuch Ecby i zniszczenie świątyni. W kolejnych galeriach pomieszczono dzieła z okresu Peregrynacji; wydzielone wnęki poświęcono czterdziestu Pomniejszym Pielgrzymom i siedmiu Wielkim.

Trafiliśmy następnie do owalnej komnaty, przedstawiającej - w rzeźbach i freskach - Złoty Wiek Ethras. Na jednym końcu sali stał Protas, wpatrzony w namalowane na sklepieniu chmury. Drugim skrajem rządził jego nauczyciel Thelenes, przechadzający się po Płaszczyźnie w towarzystwie dyskutantów będących w różnym stopniu wzburzenia, upokorzenia, zauroczenia i oniemienia; dwaj ostatni trzymali się razem i pochylali głowy ku sobie, spiskując - to była zapowiedź procesu i rytualnej egzekucji Thelenesa. Na dużym fresku przedstawiającym miasto łatwo mi było wskazać świątynie deolatrów, wybudowane na najwyższym wzgórzu, w miejscu stracenia Thelenesa; peryklin - czyli tulący się do stóp wzgórza rynek; płaski teren na środku peryklinu, nazywany Płaszczyzną, na którym geometrzy kreślili w piasku rysunki i wdawali się w publiczne dysputy; porośnięte dzikim winem altanki na obrzeżach, w których cieniu teorowie nauczali fidów i od których wywodziła się nazwa *suwin*, oznaczająca „pod winoroślą”. Dla zakonnicy ten jeden moment wart był wszelkich związanych z wycieczką trudów.

Zmierzając ku drugiemu końcowi sali, mijaliśmy teorów stojących po prawicy generałów i cesarzy i w naturalny sposób zbliżyliśmy się do ostatniej z wielkich komnat Drogi Hylaejskiej, poświęconej chwale i wspaniałości Bazu, jego świątyń, kapitolu, murów, dróg, armii, biblioteki oraz (im bliżej podchodziliśmy, tym bardziej stawało się to oczywiste) jego arki. Od któregoś momentu

miejsce doradców generalów i cesarza na freskach coraz częściej zajmowali kapłani Arki Bazyjskiej, teorów zaś trzeba było szukać jako malutkich postaci daleko w tle, odpoczywających na schodach biblioteki albo wchodzących do kapitolu, by tam sączyć swoje mądrości do głuchych na nie uszu dostojników.

Freski przedstawiające Złupienie Bazu i spalenie biblioteki namalowano po dwóch stronach wyjścia: wąskiego, surowego łuku, który nie pasował do tego wnętrza i na dobrą sprawę mógłby ująć uwagi gości, gdyby nie stojący przy nim posąg saunty Cartas. Podtrzymała ona w zgięciu łokcia kilka sfatygowanych, osmolonych książek, i oglądając się przez ramię, drugą ręką wskazywała drzwi. Za nimi znajdowała się wysoka sala o kamiennych ścianach, pozbawiona wszelkich ozdób i zawierająca tylko powietrze. Symbolizowała wycofanie się deklarantów do matemów i nadejście Starej Epoki Matemowej, której rozpoczęcie przypadło na rok minus tysiąc pięćset dwunasty.

Droga Hylaejska okrążyła następnie klauzurę unarystów i kończyła się pomieszczeniem, w którym w przyszłości mogłyby się znaleźć eksponaty ilustrujące pojawienie się mistagogów, Odrodzenie, Epokę Praksis, może nawet Zwiastuny i Straszliwe Wypadki, ale najciekawszą część wystawy mieliśmy już za sobą i zwyczajowo w tym właśnie miejscu kończyło się zwiedzanie. Podziękowałem moim podopiecznym za przybycie, powiedziałem, że jeśli czują niedosyt i chcą się cofnąć do którejś sal, to mogą wrócić tą samą drogą, przypomniałem, że będą mile widzianymi gośćmi na uroczystej kolacji w Dziesiątą Noc, i obiecałem, że chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

Słogom chwilowo wystarczyło podziwianie obrazów w galerii bazyjskiej, przedstawiających bitwy i palenie biblioteki. Emerytowany miastowy podszedł do mnie i podziękował mi za poświęcony im czas. Dzieci z suwinu wypytywały mnie o moje ostatnie badania. Dwoje spóźnialskich czekało spokojnie, aż wyłuszczę dzieciakom pewne teoretyczne zawilości, o których nie miały pojęcia, aż w końcu zakonnica zlitowała się nade mną (albo nad dziećmi) i wyprowadziła swoich podopiecznych.

Spóźnialscy - mężczyzna i kobieta - byli oboje w piątej dekadzie życia. Nie miałem wrażenia, żeby łączył ich romans. Oboje byli ubrani jak kupcy, mogli więc być współnikami w interesach. Na szyjach nosili smycze z identyfikatorami, jakie extramuros służą do potwierdzania tożsamości i upoważniają do wstępu w miejsca dla innych zakazane. Ponieważ u nas ich nie potrzebowali, włożyli je do kieszeni na piersi. Stanowili wdzięczną parę turystów: trzymali się grupy, wymieniali uwagami, wskazywali sobie nawzajem co ciekawsze detale.

- Zaintrygowało mnie to, co powiedziałaś o córkach Cnoüsa - odezwał się mężczyzna.

Po akcencie poznawałem, że pochodzi z innej części kontynentu, z okolic, w których miasta są większe i gęściej rozmieszczone, a jeden koncent może mieścić nawet tuzin kapituł, zamiast - jak u nas - trzy.

- Spodziewałbym się raczej, że deklarant będzie się starał podkreślać dzielące je różnice - mówił dalej. - Tymczasem odniosłem wrażenie, jakbyś doszukiwał się...

Zawahał się, jakby nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa we fluksyjskim.

- Analogii między nimi? - podsunęła kobieta. - Paraleli?

Jej akcent, a także rysy twarzy i odcień skóry dowodziły, że przybyła z innego kontynentu - z kontynentu, który w naszych czasach był siedzibą państwa sekularnego. Na podstawie tych spostrzeżeń wypracowałem sobie już w głowie rozsądną teorię na temat tej dwójki: mieszkali w dużych miastach daleko stąd, byli zatrudnieni u tego samego pracodawcy, w firmie o globalnym zasięgu, i w jakimś sobie tylko znanym celu odwiedzali jej lokalny oddział, gdy dowiedzieli się, że u nas właśnie kończy się apert, i postanowili poświęcić parę godzin na obejrzenie matemu. Przypuszczałem, że w młodości oboje spędzili trochę czasu wśród unarystów. A że mówili po fluksyjsku? Może po prostu mężczyzna czuł, że jego orthyjski trochę zardzewiał, i wołał się do niego nie odwoływać.

- Większość uczonych zgodziłaby się chyba z

twierdzeniem, że zarówno Deät, jak i Hylaea przestrzegają nas przed myleniem symbolu z obiektem symbolizowanym - odparłem.

Mężczyzna posłał mi takie spojrzenie, jakbym dźgnął go palcem w oko.

- A cóż to ma być za stwierdzenie? „Większość uczonych zgodziłaby się chyba...”. Dlaczego nie powiesz wprost, o co ci chodzi?

- W porządku. Zarówno Deät, jak i Hylaea przestrzegają nas przed myleniem symbolu z obiektem symbolizowanym.

- Tak lepiej.

- Dla Deät symbolem jest idol, dla Hylaei trójkąt nakreślony na tabliczce. Idol symbolizuje prawdziwego boga, który mieszka w niebie, a trójkąt jest przedstawieniem teorycznego trójkąta z HŚT. Rozumiecie teraz, dlaczego można powiedzieć, że coś łączy poglądy sióstr?

- Owszem - przyznał niechętnie mężczyzna. - Ale mało który deklarant przedstawiłby tak rozbudowany wywód tylko po to, żeby w tym miejscu go zakończyć. Dlatego nadal czekam, aż przedstawiś mi dalsze argumenty, tak jak to się robi w dialogach.

- Doskonale to rozumiem, jednak wtedy nie byłem w dialogu.

- Ale teraz jesteś!

Potraktowałem to jak żart i zaśmiałem się w sposób, który - miałem nadzieję - zostanie uznany za uprzejmy. Przez twarz mężczyzny przemknął cień rozbawienia, ale nie trwało to długo. Kobieta sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

- Wtedy nie byłem, a miałem do opowiedzenia historię, która musiała brzmieć sensownie. I będzie tak brzmiała, jeśli przyjmiemy, że Deät i Hylaea podjęły tę samą ideę, tylko postanowiły ją rzutować na dwie różne dziedziny. Gdybym stwierdził, że opisały ojcowską wizję na dwa sprzeczne sposoby, naprawdę nie miałyby to sensu.

- Miałyby, gdybyś przedstawił Deät jako obłąkaną - zaoponował.

- Rzeczywiście. Może jednak nie chciałem być taki bezpośredni, mając w grupie tylu deolatrów.

- Czyli powiedziałaś coś, w co nie wierzysz, tylko dlatego, że chciałaś być uprzejmy?

- To raczej kwestia rozłożenia akcentów: ja naprawdę wierzę w to, co powiedziałem o zgodności ich poglądów... Ty zresztą również, bo do tego miejsca się zgadzaliśmy.

- Jak ci się wydaje, czy taka mentalność jest bardzo rozpowszechniona w tym koncencie?

Słyszając to pytanie, kobieta skrzywiła się, jakby zaleciał ją jakiś wyjątkowo ohydny zapach. Zniżyła głos, zwracając się do mężczyzny:

- „Mentalność” ma w tym wypadku negatywny wydźwięk, nie uważasz?

- No dobrze. - Mężczyzna nie spuszczał mnie z oka. - Ilu z was tutaj zgodziłoby się z tobą?

- To typowy spór proceńczyka z halikaarnijczykiem. Deklaranci ze szkoły Halikaarna, Evenedryka i Edhara poszukują prawdy w czystej teoryce. Proceńczycy i faanowie podejrzliwie traktują ideę prawdy absolutnej i mają skłonność do wkładania historii Cnoüsa między bajki. Owszem, oficjalnie szanują Hylaeę za to, co symbolizuje, i w porównaniu z Deät uważają ją za mniejsze zło, ale wątpię, żeby naprawdę wierzyli w istnienie HŚT. Nie bardziej niż w istnienie nieba.

- Co innego edharczycy, tak? Oni wierzą? - upewnił się mężczyzna, po czym, widząc znaczące spojrzenie kobiety, dodał: - Wspomniałem o edharczykach tylko dlatego, że, jakkolwiek by na to patrzeć, znajdujemy się przecież w Koncencie Saunta Edhara.

Gdyby był moim fraa, może rozmawiałbym z nim bardziej otwarcie. Był jednak sekularem, miał zdumiewającą wiedzę i sprawiał wrażenie ważnej osobistości. Może gdybyśmy się spotkali w pierwszym dniu apertu, coś by mi się jeszcze wymysknęło - ale nasze bramy stały otworem już od dziesięciu dni, wystarczająco długo, żebym wyrobił w sobie prymitywne odruchy polityczne. Odpowiadałem nie tylko w swoim imieniu, ale także w

imieniu koncentu, a dokładniej - w imieniu zakonu saunta Edhara. Wszystkie edharskie kapituły na całym świecie traktowały naszą kapitułę jak matkę i w kapitułach wieszaly sobie obrazki przedstawiające nasz tum.

- Jeżeli spytasz o to edharczyka wprost, nie będzie chciał odpowiedzieć.

- Ale dlaczego? Przecież to jest Koncern Saunta Edhara.

- Po Trzeciej Łupieży koncent został podzielony. Dwie trzecie edharczyków przeniesiono gdzie indziej, żeby zrobić miejsce dla Nowego Kręgu i kapituły Zreformowanych Faanów Starych.

- Ach tak, rozumiem... Najwyżsi wstawili wam tu garść proceńczyków, żeby mieli na was oko?

Kobieta nie wytrzymała i złapała swojego towarzysza za rękę.

- Zakładasz, że sam jestem edharczykiem - zauważyłem. - Tymczasem nie przeszedłem jeszcze kwalifiku. Nawet nie wiem, czy Zakon Saunta Edhara mnie zechce.

- Oby zechciał. Dla ciebie tak będzie lepiej.

Nasza rozmowa toczyła się coraz dziwniejszym torem, aż dotarliśmy do momentu, w którym nie widziałem sposobu jej kontynuowania. Na szczęście kobieta przysłała nam z odsieczą:

- Idąc tutaj, zastanawialiśmy się, czy w związku z ostatnimi posunięciami Niebiańskiego Strażnika deklaranci nie czują presji, żeby zmienić swoje poglądy. I przyszło nam do głowy, że sposób, w jaki potraktowałeś kwestię Deät i Hylaei, może być odbiciem wpływów sekularnych.

- Ach tak... Ciekawe zagadnienie - przyznałem. - Tak się składa, że pierwszy raz usłyszałem o Niebiańskim Strażniku zaledwie kilka dni temu, więc jeśli moje traktowanie Deät i Hylaei cokolwiek odzwierciedla, to chyba tylko moje własne przemyślenia.

- Świetnie - stwierdził mężczyzna i okręcił się na pięcie.

Kobieta ułożyła usta w bezgłośnie „dziękuję” i oboje oddalili się w stronę klauzury.

Niedługo potem rozdzwoniły się dzwony zapowiadające certyfik. Przeszedłem przez kampus unarystów, który został wywrócony na nice: deklaranci i liczni pracownicy najęci extramuros sprząтали dormitoria i przygotowywali je na użytek nowego narybku, następnego dnia mającego zacząć swój rok w matemie.

Chociaż raz dotarłem do tumu sporo przed czasem. Odszukałem Arsibalta i ostrzegłem go, żeby miał się na baczności przed czwórką znajomych slogów. Lio podsłuchał końcówkę naszej rozmowy, musiałem więc powtórzyć swoje ostrzeżenie, kiedy wkładaliśmy szaty. Jesry przyszedł ostatni, pijany jak bela. Rodzina wyprawiła na jego cześć ucztę w domu.

Kiedy przed rozpoczęciem ceremonii Prymas wszedł do prezbiterium, towarzyszyło mu dwóch ludzi w fioletowych szatach. Nie zwróciłem na nich specjalnej uwagi, ponieważ zdarzało się już w przeszłości, że hierarchowie z innych koncentów brali udział w naszych uroczystościach. Zdziwił mnie tylko trochę nietypowy kształt ich nakryć głowy, ale to Arsibalt pierwszy ich rozpoznał.

- Wygląda na to, że mamy czcigodnych gości z Inkwizycji - mruknął. Podniosłem wzrok i rozpoznałem mężczyznę i kobietę, z którymi wcześniej rozmawiałem.

Popołudnie spędziłem na zastawianiu łąki stołami. Miałem szczęście, że pomagał mi Arsibalt - może czasem zbyt łatwo się irtował, ale po latach nakręcania zegara miał posturę i mięśnie byka.

Od trzech tysięcy lat koncent miał w zwyczaju przygarniać i gromadzić wszystkie trafiające do niego składane krzesła i stoliki i nie rozstawać się z nimi pod żadnym pozorem. Tylko raz polityka ta naprawdę mu się opłaciła: podczas apertu tysiącletniego w roku trzytysięcznym, kiedy to dwadzieścia

siedem i pół tysiąca pielgrzymów stłoczyło się u bram koncentu, żeby wziąć udział w uczcie i na własne oczy zobaczyć koniec świata. Mieliliśmy składane krzeselka wykonane z bambusa, maszynowo obrabianego aluminium, kompozytów lotniczych, poliplastu formowanego we wtryskarkach, złomowanych prętów zbrojeniowych, ręcznie rzeźbionego drewna, giętych gałązek, nowomaterii, pniaków drzew, pęków witek, spawanych metalowych odpadów. Błaty stołów były zrobione z desek, płyty wiórowej, tytanu z odzysku, papieru z makulatury, szkła, ratanu oraz innych substancji, nad których naturą wolałem się nie zastanawiać. Miały od dwóch do dwudziestu czterech stóp długości; jedne ważyły mniej niż suszony kwiat, inne tyle co dorosły bawół.

- Myślałby kto, że po upływie tylu wieków ktoś powinien już wynaleźć... koło, powiedzmy - zauważył w pewnym momencie Arsibalt.

Zmagaliśmy się właśnie z dwudziestostopowym potworem, który w Starej Epoce Matemowej mógłby chyba stanowić element fortyfikacji i zatrzymywać włócznie wroga. Wyciąganie tych wszystkich sprzętów z piwnic i ze strychów było zajęciem kompletnie idiotycznym. Nie trzeba było długo namawiać Arsibalta, żeby zaczął opowiadać o Inkwizycji i inkwizytorach.

Jego zdaniem przybycie inkwizytorów samo w sobie nie było jeszcze niczym nadzwyczajnym - chyba że chodziło o sytuację wyjątkową. Inkwizycja dawno już stała się „instytucją w miarę normalną, a nawet wręcz zbiurokratyzowaną”. Najlepiej dowodził tego fakt, że widywaliśmy Regulatorkę i jej ludzi prawie bez przerwy, nawet kiedy nikomu się nie naraziliśmy. U nas podlegała wprawdzie Prymasowi, ale w oficjalnej hierarchii była funkcjonariuszką Inkwizycji. W pewnych okolicznościach miała nawet prawo usunąć Prymasa z urzędu (Arsibalt, który powoli zaczynał się rozkręcać, zacytował mi w tym miejscu kilka precedensów z Prymasami-szaleńcami i Prymasami-przestępcami w rolach głównych). Wszystkie koncenty musiały spełniać pewne wspólne standardy; w przeciwnym razie cała idea Rekonstrukcji

straciłaby sens. W jaki zaś inny sposób można było pilnować ich przestrzegania, jeśli nie przez utworzenie elitarniej klasy hierarchów (najczęściej Regulatorów, którzy ponakładali tyle pokut na swoich cierpiących fraa i suur, że zostali zauważeni i awansowani), wędrujących od koncentu do koncentu, wszędzie wściubiających nos i mających wszystkich na oku? Zawsze tak było. Po prostu ja nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

- Wiesz, jestem trochę poruszony wydarzeniami sprzed certyfiku - przyznałem.

Obstawialiśmy właśnie stołami drugi akr łąki. Suur i młodszy fraa uwijali się wokół nas, dostawiając krzesła i przykrywając blaty papierem. Starsi i mądrzejsi fraa ciągnęli za liny, stawiając nad naszymi głowami rusztowanie z prawie nic nieważących belek, na którym później miał się wspierać namiot. Na środku łąki, w kuchni pod gołym niebem, starsze suur znęcały się nad nami smakowitymi zapachami potraw, od podania których dzieliły nas jeszcze długie godziny. Dziesięć minut zmagaliśmy się z Arsibaltem z mechanizmem blokującym nogi pewnego szczególnie przekombinowanego stołu - wojskowej zabawki z demobilu, z piątego stulecia, z okresu wojny światowej: należało ponaciskać pewną liczbę guzików i pociągnąć pewną liczbę dźwigni w ściśle określonej kolejności, bo inaczej nogi za nic nie chciały się rozłożyć. W mechanizm stołu był wetknięty zbrązowiały, wielokrotnie złożony arkusz: nadzwyczaj pomocna instrukcja obsługi, spisana w roku dziewięćset czterdziestym przez niejakiego fraa Bolo, który po tym, jak udało mu się rozłożyć stół, postanowił się tym pochwalić przyszłym pokoleniom deklarantów. Problem z instrukcją obsługi był jednak dwojakiej natury: nie dość, że fraa Bolo zastosował wyjątkowo abstrakcyjną terminologię do opisu elementów mebla, to jeszcze później arkusz padł łupem myszy. Już, już mieliśmy na dobre stracić cierpliwość, cisnąć stołem o mur praesidium, stracić bezsensowne rady fraa Bolo do piekła i wybiec przez Bramę Dekady w poszukiwaniu czegoś mocniejszego do wypicia, ale zamiast tego postanowiliśmy chwilę odsapnąć i spokojnie pomyśleć. Wtedy

właśnie opowiedziałem mu o rozmowie z Varaksem i Onali, bo tak ponoć nazywali się inkwizytorzy.

- Hm, inkwizytorzy w przebraniu... - mruknął. - Pierwsze słyszę. - Spojrzał na mnie z troską. - Co jeszcze o niczym nie świadczy. Inkwizytorzy, których nie da się wyróżnić z tłumu, naturalną koleją rzeczy pozostają niezauważeni i nikt o nich nie mówi.

Niezbyt mnie to pocieszyło.

- Jakoś muszą się poruszać - ciągnął tymczasem Arsibalt. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale przecież mało prawdopodobne jest, żeby mieli własne aeroplany i pociągi, prawda? Lepiej po prostu włożyć zwykłe ciuchy i kupić bilet, tak jak to robią inni ludzie. Przypuszczam, że ci dwoje dotarli do koncentru z aerodromu akurat wtedy, kiedy rozpoczynałeś oprowadzanie swojej grupy, i pod wpływem impulsu postanowili do was dołączyć. Każdy przecież chciałby zobaczyć posągi w rotundzie.

- To, co mówisz, brzmi sensownie, ale ja i tak czuję się... jak przypalony ogniem.

- Dlaczego?

- Varax mnie sprowokował. Powiedziałem mu rzeczy, jakich nie powinienem mówić inkwizytorowi.

- To dlaczego powiedziałeś je obcemu człowiekowi?

Nie pomagał mi. Spojrzałem na niego z ukosa.

- Co takiego strasznego chlapnąłeś? - zapytał.

- Nic - odparłem po namyśle. - Ale tak sobie myślę, że mówiłem jak edharczyk. Żargonem HST. Jeżeli Varax jest proceńczykiem, na pewno mnie znienawidził.

- Ale to jeszcze nic złego. Od tysięcy lat istnieją przecież zakony, które głoszą gorsze bzdury, i Inkwizycja się ich nie czepia.

- Wiem.

Rozejrzałem się. Corlandin i kilkunastu jego towarzyszy z Nowego Kręgu szykowało się właśnie do próbnego wykonania pieśni, którą mieli odśpiewać wieczorem. Widziałem, jak

uśmiechają się i wymieniają uściski dłoni. Z odległości stu stóp wyczuwałem ich pewność siebie, jak wyczulony na zapachy pies. Chciałem być taki jak oni - a nie jak zgryźliwi edharczycy, rozprawiający o sumach wektorów kopulastych sklepień.

- Może kiedy powiedziałem, że czuję się, jakby mnie przypalono, miałem na myśli to, że spaliłem za sobą mosty. Varax powtórzy moje słowa suur Trestanas, a ona swoim ludziom.

- Boisz się, że Nowy Krąg nie zechce cię dopuścić do kwalifikacji?

- Otóż to.

- Przynajmniej unikniesz smrodu. I dobrze.

- Jakiego smrodu?

- Smrodu, jaki rozejdzie się po matemie, kiedy większość naszego rocznika dołączy do edharczyków. Nowemu Kręgowi i Zreformowanym Faanom Starym zostaną same zmiotki.

Rozejrzałem się dyskretnie, czy w zasięgu głosu nie ma przypadkiem fidów, których Arsibałt zakwalifikował do zmiotków, ale dostrzegłem tylko wiekowego pra-fraa Mentaxenesa, który szurając nogami, kręcił się w pobliżu; szukał sobie jakiegoś zajęcia, ale był zbyt dumny na to, żeby o nie poprosić. Podałem mu wymiętoszoną instrukcję obsługi stołu i poprosiłem, żeby nam ją przetłumaczył. Z wielkim zapałem zabrał się do pracy, a my z Arsibałtem wróciliśmy do tumu po następny stół.

- Dlaczego myślisz, że tak się stanie? - zapytałem.

- Orolo rozmawiał z wieloma z nas, nie tylko z tobą.

- Werbuje nas?

- Od werbowania jest Corlandin, dlatego mu nie ufamy.

Orolo po prostu z nami rozmawia i pozwala nam wyciągać wnioski.

Pyerd: (1) We fluksyjskim u schyłku Epoki Praksis i w

początkach Rekonstrukcji: pejoratywne określenie wszelkiego fałszu, w szczególności celowych kłamstw i prób zaciemniania obrazu spraw. (2) W orthyjskim: formalne, bezstronne określenie przemówienia (najczęściej, choć nie zawsze, o charakterze handlowym lub politycznym) obfitującego w eufemizmy, użyteczne niedopowiedzenia, otepiające powtórzenia i inne fortele retoryczne mające na celu wytworzenie wrażenia, że coś naprawdę zostało powiedziane. (3) Według Rycerzy Saunta Halikaarna (zakonu radykałów utworzonego w drugim tysiącleciu p.r.): wszelkie przemowy i pisma dawnych sfeników, mistagogów ze Starej Epoki Matemowej, instytucji politycznych i handlowych Epoki Praksis, a po Rekonstrukcji także wszystkich tych, którzy (zdaniem Rycerzy) skalali się rozumowaniem proceńskim. Chętne i głośne posługiwanie się tym określeniem dla przerywania wykładów, dialogów, a nawet prywatnych rozmów, pogłębiło rozdźwięk między proceńczykami i halikaarnijczykami, charakteryzujący świat matemowy w okresie przed Trzecią Łupieżą. Na krótko przed samą Łupieżą Rycerze Saunta Halikaarna zostali odrzuceni, przez co niewiele dziś o nich wiadomo (fakt, że ich postaci nierzadko przewijają się w spektaklach rozrywkowych w Saeculum, wynika z częstego mylenia ich z Inkanterami). *Uwaga dotycząca stosowania:* Kiedy słowo to zostaje głośno wykrzyknięte w kredowni lub refektarzu, wywołuje skojarzenia ze znaczeniem (3) i związanymi z nim wydarzeniami, wobec czego nie należy go w ten sposób używać. Wypowiedziane spokojnym tonem (w świecie matemowym), najczęściej przyjmuje znaczenie (2), które dawno już utraciło wszelkie wulgarne konotacje. W Saeculum słowo to w znaczeniu (2) bywa często mylone z (1) i uważane jest za niegrzeczne bądź nawet wulgarne. Mentalność posługujących się pyerdem mieszkańców extramuros sprawia, że są bardziej niż inni skłonni do obrażania się (lub udawania obrażonych), kiedy ktoś wytknie im nadużywanie pyerdu. Dla obserwatora wywodzącego się ze świata matemowego jest to sytuacja bez wyjścia: może albo użyć tego „obelżywego” określenia bez ogródek, narażając się na

otrzymanie etykiety osoby opryskliwej i wykluczenie z uprzejmej konwersacji, albo wyrazić swoją opinię nie wprost, czyli samemu posłużyć się pyerdem i w ten sposób wzmocnić przeciwnika. Najprawdopodobniej właśnie ta ostatnia właściwość pyerdu tłumaczy jego trwałość i niepodatność na zmiany, ale rozstrzygnięcie tej kwestii wykracza poza ramy przyjęte dla Słownika i lepiej zostawić je hierarchom na co dzień stykającym się z Saeculum i jego problemami.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Udało się postawić namiot. Wykonane z nowomaterii wsporniki, pochodzące z czasów założenia koncentu, o zmierzchu zaczęły emanować łagodne światło, które płynęło zewsząd jednocześnie. Nawet fraa Mentaxenes wyglądał w nim dobrze i zdrowo. A pod tym zadaszeniem tysiąc dwustu gości, trzystu decenarystów i pięciuset unarystów świętowało Dziesiątą Noc.

Uroczystość ta wywodziła się z festiwalu dożynkowego, przypadającego pod koniec roku kalendarzowego. Dzięki specjalistom od manipulowania sekwencjami już przed Drugą Łupieżą doczekaliśmy się roślin, które można było uprawiać przez okrągły rok; w cieplarniach mniej odporne odmiany owocowały nawet w środku zimy - ale nie umywały się do naturalnych płodów pochodzących z kłębów.

Ideę kłębów wymyślili (na długo przed Cnoüsem) ludzie zamieszkujący drugi kraniec świata, daleko od Ethras i Bazu. Pod koniec lata wyrastająca wprost z ziemi kukurydza sięgała na wysokość głowy dorosłego człowieka, ciężka od różnokolorowych ziaren. Zanim jednak osiągnęła ten stan, pełniła rolę tyczki dla pnących się po niej pędów fasoli, która dawała nam białko, a przy okazji wiązała w ziemi azot, na czym korzystała także kukurydza. W sieci fasolowych pnączy rosły trzy dalsze odmiany warzyw. Najwyżej, niedostępne dla robaków, dojrzewały czerwone, żółte i pomarańczowe toматы - źródło witamin i znakomite uzupełnienie sałatek, gulaszów i sosów. Po ziemi wiły się lodygi różnych odmian tykw, a pośrodku zwieszały się puste w środku owoce papryki. Pod ziemią rosły dwa gatunki bulw, a warzywa liściaste

zbierały każdą odrobinę światła. Pierwotne kłęby obejmowały osiem rodzajów roślin; na przestrzeni mileniów ich właściciele udoskonalili ich uprawę najbardziej jak tylko się dało bez ingerencji w ich sekwencje. Nasze kłęby, współczesne, były jeszcze wydajniejsze i bogatsze o dalsze cztery gatunki, z których dwa dodano tylko po to, żeby wzbogacały glebę. O tej porze roku kłęby, pielęgnowane od czasu wiosennej odwilży, prezentowały się najwspanialej; o podobnej różnorodności kolorów i aromatów mieszkańcy extramuros mogli tylko pomarzyć. Właśnie dlatego był to czas apertu: mieszkańcy matemu chcieli podzielić się swoją pomyslnością z braćmi z extramuros, a przy okazji odciążyć ich od dzieci, które mogłyby nie przetrwać zimy.

Zająłem miejsca Cord i jej przyjacielowi, Roskowi. Cord przyprowadziła dodatkowo naszego kuzyna, Datha, który miał piętnaście lat. Słabo go pamiętałem, ale utkwiło mi w pamięci, że regularnie trafiał do Kolegium Lekarskiego na leczenie przeróżnych niewiarygodnych urazów. Najwidoczniej cudem przeżył dzieciństwo, a teraz z okazji apertu przywdział nawet jakieś znośne ubranie. Gąszcz kręconych brązowych włosów skrywał blizny i ślady ran głowy.

Arsibalt postarał się o miejsce naprzeciwko „niesamowitej” Cord i najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z roli, jaką odgrywał towarzyszący jej Rosk. Jesry wraz z całą rodziną usadowił się przy sąsiednim stole, przez co siedzieliśmy plecami do siebie, a potem zawołał Orola i namówił go, żeby dosiadł się do nas. Orola przyciągnął z kolei uwagę Lio i innych samotników, i nasz stół pomału się zappełnił.

Dath był uroczo bezpośrednim dzieciakiem i miał cudowną zdolność zadawania nawet najbardziej podstawowych pytań bez cienia zażenowania. Próbowałem udzielać mu odpowiedzi w podobnym duchu.

- Wiesz, że sam jestem slogiem, kuzynie - powiedziałem. - Różnica między nami i slogami nie polega na tym, że my jesteśmy mądrzejsi. To nie ulega wątpliwości.

Ten temat wypłynął w naszej dyskusji, kiedy ludzie przy

stole jedli, pili, rozmawiali i śpiewali już dostatecznie długo, aby ten brak różnic rzeczywiście stał się oczywisty. Dath, którego rozum szczęśliwie przetrwał nieszczęścia wieku dziecięcego, zdążył już to zaobserwować; widziałem to po jego minie. Zadał więc pytanie, po co budujemy mury i tworzymy podział na intramuros i extramuros?

Orolo musiał coś usłyszeć, bo odwrócił się i spojrzął na niego ciekawie.

- Byłoby ci łatwiej to zrozumieć, gdybyś zobaczył matem punktowy - zauważył.

- A co to takiego?

- Są takie matemy, które mieszczą się w jednopokojowym mieszkaniu a całe ich wyposażenie stanowi elektryczny zegar wiszący i dobrze zaopatrzona biblioteczka. Mieszka w nim jeden deklarant, całkiem sam, bez szpilu i bez piszczałki. Raz na kilka lat odwiedza go inkwizytor, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Jaki to ma sens? - spytał Dath.

- To jest właśnie pytanie, nad którym chciałbym, żebyś się zastanowił - odparł Orolo i wrócił do przerwanej rozmowy z Jesrym.

Zniecierpliwiony Dath rozłożył ręce, a my z Arsibaltem parsknęliśmy śmiechem - chociaż wcale nie śmialiśmy się z niego.

- Właśnie w taki sposób ojciec Orolo odwała czarną robotę - wyjaśniłem.

- Dziś w nocy, zamiast spać, będziesz się przewracał z boku na bok i zastanawiał, co miał na myśli - uzupełnił Arsibalt.

- Może byście mi pomogli? - poprosił Dath. - Nie jestem przecież fraa!

- Co sprawia, że ktoś chce siedzieć zamknięty w pokoju i medytować? - zapytał Arsibalt. - Jakie trzeba mieć cechy charakteru, żeby uznać, że w ten sposób warto przeżyć życie?

- Nie wiem. Może oni są nieśmiali? Albo się boją otwartej przestrzeni?

- Agorafobia to nie jest dobra odpowiedź - burknął

Arsibalt.

- Pomyśl, co by było, gdyby miejsca, które odwiedzasz pracując, i problemy, z którymi się stykasz, okazały się ciekawsze od otaczającego cię świata? - podsunąłem.

- Nooo...

- Można powiedzieć, że różnica między nami i wami polega na tym, że my zostaliśmy zarażeni wizją... innego świata.

Chciałem początkowo powiedzieć „wyższego” lub „lepszego”, ale ostatecznie poprzestałem na „innym”.

- Nie podoba mi się ta metafora z zarażeniem - zaczął Arsibalt po orthyjsku, ale szturchnąłem go kolaniem pod stołem.

- Tak jakby... innej planety? - spytał Dath.

- Ciekawe porównanie - przyznałem. - Większość z nas nie nazwałaby go „inną planetą” w takim sensie, jak przedstawiają to szpile fantastyczne. To może być przyszłość naszego świata. Albo wszechświat równoległy, do którego nie możemy się przedostać. Albo po prostu fantasmagoria. Ale bez względu na to, co to jest, żyje w naszych sercach i ze wszystkich sił staramy się tam dotrzeć.

- Jak ten świat wygląda?

Zza moich pleców doleciała melodyjka z czyjegoś piszczka. Nie była specjalnie głośna, ale miała w sobie coś takiego, że przez chwilę nie byłem w stanie myśleć o niczym innym.

- Tego na pewno w nim nie ma - odparłem.

Sygnal rozbrzmiewał już dłuższą chwilę, zanim obejrzałem się przez ramię. W promieniu dwudziestu stóp wszyscy wpatrywali się w starszego brata Jesry'ego, który rozpaczliwie obmacywał ubranie w poszukiwaniu kieszeni zawierającej piszczek, aż w końcu wyjął go i uciszył, po czym wstał (jakby do tej pory nie dość zwrócił na siebie uwagę) i głośno się przedstawił.

- Tak, doktorze Grane? - ciągnął, wpatrując się w przestrzeń niczym jakiś święty mąż. - Rozumiem... Tak, rozumiem. Czy mogą się przenosić na ludzi? Naprawdę?! Ja tylko żartowałem, doktorze. Po czym można poznać, że do tego doszło?

Ludzie wrócili do jedzenia, ale rozmowa się nie kleiła:

głośne wypowiedzi brata Jesry'ego poważnie utrudniały konwersację.

Arsibalt odchrząknął - w taki sposób, jak tylko Arsibalt potrafił: brzmiało to, jakby nadchodził koniec świata.

- Zaraz przemówi Prymas - obwieścił.

Spojrzałem na Jesry'ego, który zorientował się już w sytuacji i wymachując rozpaczliwie rękami, usiłował uciszyć brata, ten jednak patrzył przez niego na wylot, jakby Jesry w ogóle nie istniał; negocjował właśnie cenę hurtową tkanek z biopsji, a był naprawdę twardym negocjatorem. Siedzące obok kobiety (siostry i szwagierki Jesry'ego) zawstydzily się i zaczęły go ciągnąć za rękaw. Odwrócił się i odszedł od stołu.

- Może pan powtórzyć, doktorze? Nie zrozumiałem tego ostatniego zdania... Coś o larwach...

Na jego obronę trzeba przyznać, że kiedy rozejrzałem się dookoła, stwierdziłem, że jest jednym z wielu gości, którzy w takim czy innym celu korzystali akurat z piszczków.

Statho przemawiał już dwukrotnie. Pierwszy raz zabrał głos niby po to, żeby wszystkich powitać, ale w rzeczywistości chciał nas ponaglić do szybszego zajęcia miejsc. Za drugim zaintonował Inwokację, napisaną osobiście przez Diaksa, zanim jeszcze zagoiły mu się pęcherze od grabi na rękach.

Gdyby usłyszał ją sentymentalny entuzjasta, wielbiący liczby i władający protorthyjskim, mógłby się poczuć niechcianym gościem, ale zdaniem wszystkich innych Inwokacja dodawała splendoru całej uroczystości.

Tym razem Prymas poinformował wszystkich zebranych, że za chwilę zabawi nas kontyngent edharczyków. Nie najlepiej mówił po fluksyjsku i użył takiego sformułowania, jakby nakazywał się nam bawić, co wywołało salwę śmiechu. Zdumiony Statho musiał poprosić inkwizytorów (którzy siedzieli obok niego przy głównym stole) o wyjaśnienie.

Trzech fraa i dwie suur odśpiewali pięcioczęściowy motet, a dalszy tuzin deklarantów kłębił się przed nimi; w rzeczywistości wcale się nie kłębił, ale tak to wyglądało z miejsca, gdzie

siedziałem. Każde z nich reprezentowało indeks górny lub dolny w teorycznym równaniu uwzględniającym tensory i pewną metrykę. Biegając w tę i z powrotem, spotykając się, przecinając sobie nawzajem drogę i zamieniając się miejscami, odtwarzali wyliczenie krzywizny czterowymiarowej rozmaitości, z uwzględnieniem kolejnych etapów symetryzacji, antysymetryzacji oraz podnoszenia i obniżania indeksów. Dla człowieka nieobeznanego z teorią ich zachowanie musiało przypominać wiejskie pląsy. Muzyka brzmiała cudownie - nawet przerywana co kilka sekund trelami piszczków.

Wróciliśmy do jedzenia i picia. Fraa z Nowego Kręgu odśpiewali swój przygotowany hymn i spotkał się on ze znacznie cieplejszym przyjęciem niż taniec tensorowy. Znowu pojedliśmy i popiliśmy. Statho precyzyjnie kierował przebiegiem uroczystości, tak jak Cord sterowała swoim pięcioosiowym frezem. Zwykle nie widzieliśmy, żeby specjalnie się wysilał, ale tego wieczoru naprawdę zapracował na swoje piwo. Dla gości była to po prostu darmowa wyżerka z atrakcjami, tymczasem byliśmy świadkami rytuału równie starego i ważnego jak certyfik, który wymagał odhaczenia pewnych obowiązkowych pozycji, jeśli nie chcieliśmy narazić się na krytykę ze strony Inkwizycji. Zresztą Statho należał do ludzi, którzy odprawiliby Dziesiątą Noc jak należy nawet, gdyby Varax i Onali nie siedzieli tuż obok i nie prosili, żeby podał im sól.

Prymas przedstawił fraa Haligastreme, który wystąpił naprzód, żeby powiedzieć parę słów w imieniu kapituły edharczyków. Próbował poruszyć temat, który wyjaśniałem wcześniej Dathowi, i wyłożył się na nim gorzej ode mnie. Kiedy zapytało się go o coś znieuważającego, potrafił być najzabawniejszym człowiekiem na świecie, ale jeśli miał czas przygotować się do wystąpienia, musiało się ono skończyć katastrofą, zwłaszcza gdy dzwonki piszczków co rusz go dekoncentrowały. Z całej jego przemowy utkwiła mi w pamięci tylko końcówka:

- Pewnie wydaje się wam to wszystko trochę niejasne, ale taka właśnie jest prawda. Jeżeli komuś to przeszkadza, nie będzie

się tu dobrze czuł, ale jeśli słuchając mnie, poczuliście ulgę, to chyba znaleźliście się we właściwym miejscu i warto byłoby się zastanowić, czy nie chcecie u nas zostać.

Następny był Corlandin z kapituły Nowego Kręgu.

- Ostatnie dziesięć dni spędziłem z rodziną - zaczął, uśmiechając się do gromadki miastowych, którzy odpowiedzieli mu uśmiechami. - Moi bliscy byli tak mili, że podczas apertu urządzili zjazd rodzinny. Wszyscy prowadzą intensywne życie w swoim świecie, tak jak ja tutaj, ale na te dziesięć dni odłożyliśmy na bok obowiązki, zapomnieliśmy o karierach, porzuciliśmy inne zobowiązania, żeby po prostu pobyć razem.

- Ja głównie oglądałem szpile - mruknął Orolo. Usłyszało go najwyżej pięciu z nas. - Takie z mnóstwem wybuchów. Przy niektórych całkiem nieźle się bawiłem.

- Przyrządzenie kolacji, czyli całkiem zwyczajna czynność, którą rutynowo wykonujemy po to, by nie umrzeć z głodu, nabrało nagle nowego wymiaru. Nacięcia wykonane przez ciotkę Prin na przypieczonej skórce ciasta stały się czymś więcej niż otworami wentylacyjnymi, przez które ze środka uchodził nadmiar powietrza. Były częścią rytuału sięgającego wiele pokoleń wstecz, inwokacją, jeśli można się tak wyrazić, do naszych przodków, którzy postępowali tak samo. Opowieść o tym, jak dziadek Myrt czyścił rynnę i spadł z dachu nad gankiem, nie była zwyczajnym sprawozdaniem z remontu domu i przestrogą przed związanymi z nim niebezpieczeństwami, lecz wyrazem naszej wzajemnej miłości, pełnym śmiechu, łez, a czasem jednego i drugiego jednocześnie. Można by więc powiedzieć, że nic nie było takie, jakim się na pozór wydawało. W innym kontekście mogłoby to zabrzmieć złowrogo, ale w tym wypadku nie mogło być mowy o takiej pomyłce i wszyscy to rozumieliśmy. Wy też byście to zrozumieli. I właśnie tak to wygląda u nas w koncencie. Dziękuję.

Corlandin usiadł.

Pomruk obruszonych deklarantów, którzy wcale nie byli przekonani, że się z nim zgadzają, został zagłuszony oklaskami większości słuchaczy. Biedna suur Frandling była następną w

kolejności: wstała i zaczęła opowiadać o Zreformowanych Faanach Starych, ale równie dobrze mogłaby w tej chwili cytować wyimki z ekonomicznej bazy danych. Elokwencja jej przedmówcy (albo gładkość jego wypowiedzi) zirytowała większość deklarantów, wśród nich Orola, który jednak uczciwie przyznał, że Corlandin załagodził niezręczną sytuację i z pewnością zaskarbił nam trochę współczucia extramuros.

- Po czym poznać, że ktoś jest naprawdę wyszczekany? - zagadnął mnie półgłosem Jesry.

- No dobrze, zagałęś mnie. Po czym?

- Po tym, że nie przyjdzie ci do głowy tak pomyśleć, dopóki nie wytknie tego ktoś starszy i mądrzejszy. A wtedy czerwienisz się ze wstydu.

Znowu zabrzmiała muzyka i większość z nas, deklarantów, zerwała się z miejsc, żeby sprzątnąć ze stołów i podać deser. Rozrywki, wcześniej trochę deprymujące, stały się przystępniejsze dla gości. Wiele pieśni świątecznych, odtwarzanych o tej porze roku w sklepach i windach, wywodziło się ze skomponowanej w matemach muzyki liturgicznej, przy okazji apertów przesączającej się extramuros, toteż goście byli mile zaskoczeni, słysząc znajome dźwięki dobywające się z ust zakutanych w zawoje dziwaków.

Na deser podaliśmy płaskie torty, pieczone i serwowane na szerokich blachach. Jeden z nich nieprzypadkowo wylądował przed Arsibalem, który od razu sięgnął po podaną wraz z ciastem łopatkę - płaski metalowy sztuciec wielkości dziecięcej dłoni. Zanim jednak zaczął kroić tort, powstrzymałem go. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Niech Dath go pokroi - powiedziałem.

- Jesteśmy gospodarzami - odmruknął Arsibalt. - Powinniśmy obsługiwać gości...

- Dobrze, podamy im porcje tortu, ale niech Dath go pokroi - uparłem się.

Wyrwałem mu łopatkę z ręki i wcisnąłem ją w dłoń Datha, który spojrział na mnie z powątpiewaniem. Pomogłem mu, ale kazałem pokroić tort w pewien bardzo konkretny sposób,

zilustrowany starym dowodem geometrycznym*, którego Orolo nauczył mnie, gdy dopiero co zostałem fidem i przeplakałem całą noc z tęsknoty za dawnym życiem. Zajęło nam to dłuższą chwilę, ale kiedy uporaliśmy się z tym zadaniem, po twarzy Datha poznałem, że zrozumiał lekcję, i mogłem mu pogratulować.

- Doskonale - powiedziałem. - Właśnie odtworzyliśmy dowód geometryczny, który liczy sobie tysiące lat.

- To wtedy już znali takie ciasta?

- Nie, ale mieli ziemię i inne rzeczy, które musieli mierzyć i dzielić. Ta sama sztuczka sprawdza się także w innych sytuacjach.

- Mhm. - Dath pochłonął wierzchołek swojego kawałka tortu.

- Mówisz „mhm”, jakby to była błahostka, ale dla nas to wielka rzecz. Dlaczego sposób podzielenia tortu nadaje się do zastosowania przy podziale działki? Przecież ciasto i ziemia to dwie zupełnie różne rzeczy.

Trochę zamieszaliśmy w głowie Dathowi, który chciał po prostu zjeść kawałek ciasta, ale Cord szybko zorientowała się w sytuacji.

- Mam nad Dathem pewną przewagę - wtrąciła. - W pracy często rozważam różne problemy geometryczne. Ale odpowiedź jest taka, że geometria to... geometria. W czystej postaci. Nie ma znaczenia, do czego w praktyce zechcesz ją zastosować.

- Co ciekawe, podobne stwierdzenie odnosi się nie tylko do geometrii, ale także do innych dziedzin teorii - powiedziałem. - Powiedzmy, że udowodnisz jakieś twierdzenie. Później ktoś inny może je udowodnić w zupełnie inny sposób, ale uzyska dokładnie ten sam wynik. I bez względu na to, kto i w której epoce będzie o tych dowodach dyskutował, obojętne, czy będzie je odnosił do tortu, czy pastwiska, zawsze uzyska tę samą odpowiedź. Wydaje się, że takie uniwersalne prawdy pochodzą z innego świata, z innego wymiaru egzystencji. To naturalne, że wierzymy w to, że ten inny świat naprawdę istnieje i jest czymś więcej niż tylko wytworem naszej wyobraźni. Chcielibyśmy się do niego przenieść.

- Najlepiej nie umierając po drodze - wtrącił Arsibalt.

- Kiedy wycinam jakiś element, bywa, że nie mogę przestać o nim myśleć - przyznała Cord. - Nie śpię, tylko cały czas wyobrażam sobie jego kształt. Czujecie coś podobnego, kiedy myślicie o swoich pracach?

- Naturalnie, czemu mielibyśmy nie czuć? Fascynację geometrią nosisz cały czas w głowie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko układ neuronów w mózgu, które w taki a nie inny sposób zostały połączone przez impulsy elektryczne, co nie zmieni faktu, że jest to niezależna rzeczywistość. I rozmyślanie o niej stanowi dla ciebie interesujący i satysfakcjonujący sposób spędzania czasu.

Rosk był terapeutą manualnym: nakładał ręce na ludzi i w ten sposób ich naprawiał.

- Miałem kiedyś pacjenta, który cierpiał z powodu ucisku na nerw, wywołanego niewłaściwą postawą - wtrącił. - Rozmawiałem o tym z moim nauczycielem przez piszczyk: bez obrazu, tylko sam dźwięk. Odbyliśmy długą dyskusję o tym nerwie, o otaczających go mięśniach i ścięgnach, o tym, jak powinienem nimi manipulować, żeby zmniejszyć dolegliwość... I nagle uświadomiłem sobie, jakie to dziwne: obaj odnosiliśmy się do obrazu ciała tego człowieka, do modelu, który istniał w naszych głowach, ale także...

- Ale także w jeszcze innym miejscu - odpowiedziałem. - Wspólnym.

- Takie miałem wrażenie. W pierwszej chwili trochę się zląkłem, ale później przestałem o tym myśleć, żeby nie wyjść na dziwaka.

- Ten pomysł napawa ludzi lękiem od czasów Cnoüsa, a my tutaj mamy przytułek dla wszystkich tych, którzy nie mogą się od takich myśli opędzić - stwierdziłem. - Nie każdy się tu odnajdzie, ale to nieszkodliwe miejsce.

- Przynajmniej od czasu Trzeciej Łupieży - zauważył Rosk.

Stwierdzenie to samo w sobie było nad wyraz nieuprzejme, a bez troski ton Roska wzmocnił to wrażenie dziesięciokrotnie. Cord poczerwieniała na twarzy; domyślałem się, że po kolacji

będą sobie mieli co nieco do powiedzenia. Nikt nie wiedział, czy Rosk zdaje sobie sprawę, jak potworną rzecz powiedział.

Ludzie zaczęli nas uciszać, ponieważ zbliżała się ta chwila rytu, w której przy głównym stole przedstawiano nowo przyjętych deklarantów. Kolekta objęła ośmioro podrzutek. Jedna z dziewczynek była chorowita i miała zostać w matemie jednorocznym, gdzie lekarze mogli się nią swobodnie zaopiekować. Dwójka zachowała jeszcze pępowiny, co oznaczało, że trafią do milenarystów, z krótkim przystankiem po drodze: mieliśmy je przenieść przez labirynt i oddać setnikom. Pozostała piątka - minimalnie starsza, bez pępowin - miała trafić do setników.

Doczekaliśmy się także trzydziestu sześciu starszych kolektantów, z których siedemnastu (wśród nich Barb) miało trafić bezpośrednio do naszego matemu, a pozostałych czekał najpierw roczny pobyt u jednorazowców; przy odrobinie szczęścia mogli w przyszłości awansować.

Tuzin jednorazowców z poprzedniego roku awansował do naszego matemu. Dalsza dziewiątka przybyła do nas z innego koncentu, położonego w górach i tradycyjnie zasilającego nas świeżą krwią.

Wszystkich tych nowicjuszy zgromadzono przy głównym stole, powitano i nagrodzono oklaskami. Następnego dnia, po zamknięciu bramy, czekała ich druga, bardziej monotonna ceremonia powitalna, ale tego wieczoru to władze Saeculum zabawiały nas swoją specyficzną odmianą monotonii. Zgodnie z wielowiekową tradycją najwyższy rangą gryziپیórek obecny na kolacji powinien wstać i oficjalnie przekazać nam dzieci, które z tą chwilą opuszczały świat sekularny i przechodziły pod jurysdykcję matemową. Od tej pory to my mieliśmy zapewnić im dach nad głową, karmić je, opiekować się nimi w chorobie, urządzić im pogrzeb, gdyby zmarły, i wymierzyć karę, gdyby zachowywały się niewłaściwie. Ich sytuację można by porównać do zrzeczenia się obywatelstwa jednego kraju i przyjęcia drugiego - czyli z formalnego punktu widzenia był to akt niezwyklej wagi, który

należało potwierdzić stosownie uroczystymi formułami i biciem w dzwon. Na mocy niemal równie wiekowej tradycji wzmiankowany wyżej urzędnik korzystał z nadarzającej się okazji, żeby „wygłosić krótki komentarz”.

W tym wypadku najważniejszym gryziipiórkiem był przybrany sznurem dziwołag, który w pierwszym dniu apertu zameldował się o świcie przy Bramie Dekady wraz z towarzyszącym mu kontyngentem. Okazało się, że jest burmistrzem miasteczka.

Zaczął od tego, że podziękował dosłownie wszystkim - od samej góry (od Boga) do samego dołu i z powrotem do góry, na wszelki wypadek dorzucił ogólnikowe podziękowanie dla wszystkich pominiętych ludzi oraz istot nadnaturalnych, po czym przeszedł do rzeczy:

- Nawet ci z was, którzy mieszkają w Sauncie Edharze, z pewnością słyszeli już o tym, że nadzwyczajna korekta granic prefektur, zarządzona przez Jedenasty Krąg Arcymagistrów, zmieniła krajobraz polityczny, i to w sensie jak najbardziej dosłownym. Rada Plenarna Odzyskanych Satrapii podjęła decyzję bez precedensu i ulokowała pięć z ośmiu tetrarchii w zasięgu nowego pokolenia przywódców, którzy, co mogę wam uroczyście obiecać, będą znacznie bardziej niż ich poprzednicy wyczuleni na wartości hołubione przez wyborców należących do Nowego Antybaz, a także obywateli należących do innych ark lub nienależących do żadnej, a dzielających nasze zatroskanie...

- Skoro jest ich osiem, to dlaczego nazywa się je tetrarchiami? - zapytał Orolo.

Ojciec Jesry'ego posłał mu zirytowane spojrzenie. Bardzo uważnie słuchał burmistrza; ba, robił notatki z jego wystąpienia.

- Pierwotnie były cztery - odparł Arsibalt. - Nazwa została.

Ojciec Jesry'ego rozluźnił się trochę, myśląc, że nieprzewidziana przerwa na tym się zakończy - ale ona dopiero się zaczynała.

- Co to jest Nowy Antybaz? - zainteresował się Lio.

Brat Jesry'ego próbował go uciszyć, ale ku mojemu

zdumieniu sam Jesry się za nim wstawił:

- My nie kazaliśmy ci siedzieć cicho, kiedy pokrzykiwałeś o tych waszych larwach.

- Właśnie że kazaliśmy.

- To pewnie eufemistyczne określenie jakiegoś nowego pomysłu Niebiańskiego Strażnika - powiedziałem, zwracając się do Lio i ściągając na siebie prawdziwą lawinę gniewnych szeptów.

Ojciec Jesry'ego westchnął, jakby w ten sposób mógł się wznieść ponad nasze spory, i przyłożył stuloną dłoń do ucha. Ale było już za późno: zdążyliśmy zasadzić szybko rozgałęziające się drzewo argumentów i kontrargumentów. Burmistrz rozwodził się nad urodą naszego zegara, majestatycznością tumu, cudownym śpiewem naszych fraa i suur. Nie powiedziałby nic, co nie ociekałoby słodyczą, ale mnie i tak ciarki przechodziły po plecach, jakby właśnie namawiał wszystkich swoich wyborców, żeby zgromadzili się pod bramą naszego matemu z butelkami benzyny w rękach. Spór Jesry'ego z bratem przerodził się w sporadyczną wymianę ognia nad stołem, powstrzymywaną przez gniewne spojrzenia i łapanie za łokcie ze strony rozdrażnionych kobiet, które bez słowa sformowały siły rozjemcze. Brat Jesry'ego uznał, że wdając się w rozważania o liczbie tetrarchii i dzieląc włos na czworo, wyszliśmy na marnych pedantów, na co Jesry poinformował go, że przedstawiona przez niego ikonografia narodziła się przed powstaniem miasta-państwa Ethras.

Lio gdzieś zniknął - dyskretnie i po cichu; musiał się tej sztuczki nauczyć z któregoś podręcznika drogi dzwoneczków. Nie znosił wszelkich konfliktów, co było zdumiewające u człowieka, który tyle czasu poświęcał na naukę walki.

Odczekałem, aż zabrmi dzwon zapowiadający powitanie kolektantów, po czym wstałem od stołu i odszedłem, kiedy wszyscy zaczęli klaskać. Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Zgodnie z tradycją wraz ze zbliżaniem się świtu i chwili zamknięcia bram mała animusz bawiących się gości, rosło zaś tempo sprzątanania ze stołów, nie musiałem się więc obawiać, że przegapię coś ważnego.

Łakę oświetlał jesienny księżyc w pełni. Jego promienie przenikały przez poły namiotu, który - kiedy odwróciłem się i spojrzałem na niego od zewnątrz - sam przywodził na myśl olbrzymi księżyc koloru słomy, na wpół zatopiony w mrocznym morzu. Na jego tle rozpoznałem sylwetkę Lio, poruszającego się dziwnym, jakby tanecznym krokiem, niebędącym u niego niczym niezwykłym. Jednym końcem zawoju owinał sobie skromnie lędźwie, za to z drugim wyczyniał prawdziwe cuda: wystrzeliwał go do przodu jak mydliny z kubła, czekał, aż powoli opadnie na ziemię, a po chwili ścigał go i zbierał w dłoni; to samo ćwiczył wcześniej przed posągiem saunty Frogi. Widok był dziwnie fascynujący, a ja nie byłem jedynym widzem: wokół Lio zebrało się już paru gości. Czterech. Barczyści mężczyźni w identycznych bluzach. Z numerami na plecach.

Lio zarzucił zawój na głowę numeru 86, upodabniając go do ducha. Materiał miotał się i falował gwałtownie, gdy ofiara próbowała się z niego wyplątać, ale owinięta tkaniną głowa tkwiła nieruchomo, stanowiąc doskonały cel. Stopa Lio trafiła w nią bezbłędnie po perfekcyjnie wykonanym kopnięciu z wyskoku.

Zacząłem biec w ich stronę.

86 przewrócił się na plecy. Rozpędzony Lio spadł w tym samym miejscu: lądując na torsie przeciwnika, zamortyzował upadek i sprytnie odturlał się na bok. Przykucnął nisko jak pajak i wyszarpnął zawój. 79 skoczył na niego, ale Lio zszedł z linii ciosu, oplótł mu zawojem nogi i wstał gwałtownie, zabierając ze sobą kolana przeciwnika. 79 zanurkował głową w dół, nie zdążył podnieść - a właściwie opuścić - rąk na czas i zarył twarzą w ziemię. Przez ułamek sekundy po tym, jak Lio wyswobodził zawój, 79 trwał nieruchomo w pozycji do góry nogami, w rozkroku - dopóki Lio nie wyrzwał go łokciem w krocze i nie odwrócił się na spotkanie następnego wroga.

A był nim numer 23, który właśnie szarżował. Lio odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać - ale niezbyt szybko, tak że 23 go doganiał. Pech chciał, że stąpnął na zawój, ciągnący się za Lio po trawie. Zachwiał się i zgubił rytm i tak już niezbyt równego

biegu. Lio wyczuł, co się dzieje (nie mogło być inaczej, skoro drugim końcem zawoju miał obwiązane krocze), okręcił się i szarpnął. 23 cudem nie stracił równowagi, ale słono za to zapłacił: potknął się i zgięty w pół poleciał naprzód, jakby chciał uderzyć Lio z byka. Lio wystawił nogę, położył mu rękę na potylicy i wykorzystując jego impet, przerzucił go przez kolano. 23 nie umiał upadać: wyrznął barkiem o ziemię, odbił się i wylądował ciężko na grzbiecie. Wiedziałem, co go teraz czeka: Lio szykował się do zadania „śmiertelnego ciosu” prosto w odsłoniętą szyję - i wyprowadził go, ale w ostatniej chwili zatrzymał rękę (tak jak zawsze to robił, bawiąc się ze mną), zamiast zmiażdżyć przeciwnikowi tchawicę.

Został jeszcze jeden - dosłownie „jeden”, bo z ogromną jedynką na plecach. I z ręką na temblaku. Drugą, sprawną ręką grzebał gorączkowo w kieszeniach leżącego na ziemi 86. Kiedy w końcu znalazł to, czego szukał, wstał i wycelował w naszą stronę coś, co moim zdaniem wyglądało jak pistolet.

Klamra na jego kręgosłupie eksplodowała światłem, błyskając na przemian czerwono i niebiesko. Z jego ust dobyło się pospolite przekleństwo. Wypuścił broń z ręki i osunął się na ziemię: wszystkie mięśnie w jego ciele zwiotczały w tym samym momencie, kiedy impuls z klamry zakłócił ich funkcjonowanie. Czterej napastnicy leżeli na ziemi, na łące panowała cisza zakłócana tylko żalobnym zawodzeniem ich piszczków.

Niedaleko od nas ktoś zaczął klaskać. Jeden człowiek. Domyśliłem się, że to jakiś slog, który za dużo wypił, ale spojrzawszy w jego kierunku, ze zdumieniem stwierdziłem, że ma na sobie regularny zawój z kapturem. Pokrzykiwał starorthyjskie słowo oznaczające „hurra!”, „dobra robota!”, „świetnie!”.

Zacząłem pomału przesuwając się w jego stronę.

- Mam nadzieję, że jesteś zalany w pestkę! - zawołałem. - Bo jeśli nie, to musisz być po prostu głupi. Mogłeś zginąć. Zresztą nawet jeśli taki z ciebie tuman, to nie mogłeś chyba nie zauważyć, że kręci się tu dwójka inkwizytorów.

Nieznajomy odrzucił kaptur. Rozpoznałem Varaksa z

Inkwizycji.

Nie wiem, jaką miałem minę, ale wydaje mi się pewne, że Varax dawno już nie widział czegoś równie zabawnego - chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Wyobrażenia ludzi na nasz temat nigdy nie przestają mnie zdumiewać - powiedział. - Podobnie jak ich pomysły na to, co nas sprowadza. Ale to nieważne, zapomnijmy o tym. - Przeniósł wzrok na wierzchołek praesidium. - Są ważniejsze sprawy niż młody fraa z odległej pustelni saunta Edhara, ćwiczący dron na miejscowych opryszkach. Na Boga...

Śmiesznie to zabrzmiało, bo mało kto z nas wierzył w Boga, a Varax z pewnością na takiego wierzącego nie wyglądał. Nie mogłem jednak wykluczyć, że w ten właśnie sposób przeklinają mieszkańcy kosmopolitycznych ośrodków, dla których nasz koncent jest „odległą pustelnią”.

- Na Boga - powtórzył. - Podnieś głowę. Spójrz w dal. Nie bój się myśleć, tak jak nie bałeś się dziś rano. I tak jak nie bał się twój przyjaciel, kiedy postanowił zaatakować czterech silniejszych od siebie przeciwników.

Po tych słowach zarzucił sobie kaptur na głowę i wycofał się w stronę namiotu. Napotkał biegnących w naszym kierunku Protektora i Regulatorkę, którzy rozstąpili się, robiąc mu przejście. Skinęli głowami i wymamrotali jakieś pełne szacunku powitanie, którego nikt nie raczył mnie nawet nauczyć. Oboje sprawiali wrażenie spiętych. W zwyczajnych okolicznościach granica ich wpływów była jasno określona: wytyczał ją mur. Podczas apertu sytuacja się komplikowała, bo na dziesięć dni mur przestawał istnieć.

Suur Trestanas chciała rzucić w Lio Księgą, ale fraa Delrakhones był zadowolony z obrotu spraw, miał tylko jedno zastrzeżenie: kiedy Lio zobaczył czterech sługów wymykających się z namiotu, powinien był zawiadomić kogo trzeba, zamiast w pojedynkę stawiać im czoło.

- Ale czy to jest wykroczenie? - spytała suur Trestanas. - Czy może jednak nie?

- Dla mnie jest to wykroczenie, na które można przytknąć oko - odparł Delrakhones. - Ale nie jestem Regulatorem.

- A ja jestem - przypomniała mu niepotrzebnie Trestanas. - I dla mnie bójka podczas apertu, kiedy nasi fraa mają zabawiać gości i usługiwać im przy stole, jest czymś nie do przyjęcia i powinna prowadzić do odrzucenia.

To stwierdzenie było do tego stopnia oburzające, że natychmiast wtrąciłem się do rozmowy, jakby udzieliła mi się impulsywność Lio:

- Na waszym miejscu zapytałbym najpierw o zdanie inkwizytora Varaksa.

Trestanas zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. Co wcale nie było takie nieprawdopodobne.

- Ilość czasu, jaki spędzasz w towarzystwie naszych szacownych gości, jest doprawdy zdumiewająca i w najwyższym stopniu niezwykła - odparła.

- To przypadek, zapewniam - próbowałem się bronić.

Kłopot w tym, że - jak uświadomiłem sobie poniewczasie - suur Trestanas była zazdrosna o inkwizytorów. Można by pomyśleć, że marzy o romansie z Varaksem i Onali, a oni wolą mnie. Nie mogło być mowy, żeby uwierzyła w przypadkowy charakter naszych spotkań; Regulatorzy nie wierzą w przypadki.

- Jest dla mnie całkiem oczywiste, że nie zdajesz sobie sprawy z władzy, jaką ma nad nami Inkwizycja.

- To nie tak... Wiem, że mają prawo obłożyć koncent kwarantanną, która może trwać nawet sto lat. W tym czasie nasza dieta byłaby ograniczona do najbardziej podstawowych produktów; wystarczająca do przeżycia, ale monotonna. Jeżeli po stuleciu nie nawrócilibyśmy się na właściwą drogę, wróciliby i zrobili czystkę od góry do dołu. Mają też prawo wyrzucić każdego hierarchę i zastąpić go... lub ją... innym, wybranym przez siebie...

Zawahałem się, bo umysł zaczynał (z opóźnieniem) analizować implikacje mojej wypowiedzi. Ja oczywiście tylko powtarzałem zasłyszane wcześniej słowa Arsibalta, ale dla

Trestanas musiało to zabrzmieć jak prowokacja.

- Czyżbyś uważał, że obecni hierarchowie Saunta Edhara nie wywiązują się należycie ze swoich obowiązków? - spytała spokojnie. Zbyt spokojnie. - Może należałoby pozbyć się Delrakhonesa? Albo Statha? Albo mnie?

- Wcale tak nie pomyślałem! - zarzekłem się i ugryzłem się w język, żeby nie dodać „Aż do teraz”.

- Skąd zatem te potajemne konszachty z inkwizytorami? Jesteś jedynym nie-hierarchą, z którym w ogóle rozmawiali, w dodatku teraz już dwukrotnie, i to w wybitnie prywatnych okolicznościach.

- To szaleństwo - wykrztusiłem. - Jakiś obłęd...

- Gra toczy się o stawkę, jakiej chłopiec w twoim wieku nie jest w stanie ogarnąć rozumem. Twoja naiwność, w połączeniu z niechęcią do przyznania się do niej, naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Skazuję cię na karę Księgi.

- Nie! - Nie wierzyłem własnym uszom.

- Rozdziały od pierwszego do... do... piątego.

- To jakiś żart?!

- Wiesz, co robić. - Trestanas spojrzała znacząco w stronę tumu.

- Wiem, wiem. W porządku. Rozdziały od pierwszego do piątego.

Ruszyłem w stronę namiotu.

- Stój - powstrzymała mnie suur Trestanas.

Zatrzymałem się.

- Tum jest tam - powiedziała z rozbawieniem. - Idziesz nie w tę stronę.

- Przy stole siedzą moja koligatka i kuzyn. Wyjaśnię im, dlaczego muszę ich zostawić.

- Tum jest tam - powtórzyła.

- I tak nie zdążę z pięcioma rozdziałami przed wschodem słońca - zauważyłem. - Zanim wyjdę z celi, brama zostanie zamknięta, a ja muszę się jeszcze pożegnać z rodziną.

- Musisz? Ciekawy dobór słów. Pozwól, że przypomnę ci

podstawy semantyki; wy, wyznawcy Hylaei, uwielbiacie takie wykłady. *Musisz* iść do tumu, a *chcesz* pożegnać się z rodziną. Cały sens bycia fraa polega na uwolnieniu się od pragnień, które zniewalają mieszkańców extramuros. Wyświadczam ci przysługę, zmuszając cię do dokonania wyboru teraz, w tej chwili. Jeżeli naprawdę tak bardzo chcesz zobaczyć się z rodziną, idź: wyjdź przez bramę i nie wracaj. Ale jeśli chcesz zostać, musisz udać się prosto do tumu.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Lio - mógłbym go poprosić o przekazanie wiadomości Cord i Dathowi - ale stał w tej chwili dość daleko ode mnie i relacjonował Delrakhonesowi przebieg bójki. Zresztą nie chciałem dawać suur Trestanas dodatkowej satysfakcji płynącej z wydania mi kolejnego zakazu.

Odwróciłem się więc plecami do resztek mojej rodziny i ruszyłem w stronę tumu.

Część 3

KWALIFIK

Nuda jest maską, którą przywdziewa frustracja. Gdzież mógłbym się bardziej napawać prawdziwością słów fraa Orola niż w jednej z regulatorских cel pokutnych? Jakiś sprytny architekt w taki sposób zaprojektował te pomieszczenia, żeby w stosunku do frustracji pełniły taką samą rolę jak soczewka wobec światła. Moja cela nie miała drzwi. Od wolności oddzielał mnie wąski ostrołuk, typowy dla Starej Epoki Matemowej, wbudowany pomiędzy masywne bloki kamienia pokryte gryzmołami poprzednich więźniów. Nie wolno mi było przekroczyć go ani przyjmować gości, dopóki nie odprawię pokuty. Przez łuk wychodziło się na krużganek, w którym stale panował ruch: pomniejsi hierarchowie spieszyli w tę i z powrotem, zajęci swoimi sprawami. Krużganek okalał dziedziniec, którego środek przebijano prezbiterium; mogłem bez przeszkód zajrzeć do wnętrza i obejrzeć kopułę od środka, ale wysoki parapet zasłaniał mi widok w dół, gdzie na skrzyżowaniu naw (dwieście stóp niżej) odprawiano certyfik.

Słyszałem jednak muzykę, a patrząc na wprost, widziałem łańcuch poruszany przez moich kompanów przy nakręcaniu zegara i rozkołysane sznury prowadzące do dzwonów, na których Tulia i jej towarzyszki wygrywały zmiany.

Z drugiej strony celi rozpościerał się ciekawszy widok: tutaj w matemowy ostrołuk wprawiono okno wychodzące na łąkę. Ono również służyło nasileniu frustracji i (w konsekwencji) wzmożeniu nudy, ponieważ gdybym tylko chciał, mógłbym przez cały dzień obserwować swoich braci i siostry chodzących swobodnie po terenie koncertu i (jak zakładałem) dyskutujących o niezwykle interesujących sprawach - albo przynajmniej opowiadających sobie zabawne historie. Zewnętrzny chodnik okalający siedzibę Protektora przesłaniał mi większość nieba, ale widziałem je bez przeszkód do wysokości około dwudziestu stopni nad horyzontem. Okno wychodziło w przybliżeniu na Bramę Stulecia; przytykając twarz do szyby, daleko z prawej strony widziałem także Bramę Dekady. Kiedy po Dziesiątej Nocy weszło słońce, mogłem wysłuchać nabożeństwa na zakończenie apertu. Wyglądając przez łuk wejściowy, widziałem, jak poruszają się łańcuchy uruchamiające zawory, a kiedy przeszedłem do okna, mogłem podziwiać, jak srebrna niteczka wody płynie akweduktem do Bramy Dekady, której skrzydła z chrzęstem się zamykają. Extramuros zebrała się tylko garstka gapiów. Przez chwilę zadreślałem się myślą, że Cord stoi wśród nich, sama jak palec, i czeka, żebym w ostatniej chwili wybiegł i przytulił ją na pożegnanie, ale gdy tylko brama się zatrzasnęła, wszystkie takie pomysły wywietrzały mi z głowy. Patrzyłem, jak deklarami zwijają namiot i składają stoły. Zjadłem kawałek chleba i wypłem mleko, przyniesione mi przez służbę suur Trestanas.

I zająłem się Księgą.

Biorąc pod uwagę, że jedynym celem jej istnienia było karanie czytelników, im mniej o niej powiem, tym lepiej. Czytanie jej, kopiowanie i uczenie się na pamięć było wyrafinowaną torturą.

W koncencie - jak w każdym ludzkim osiedlu - nie brakowało zmuśnionych i niewdzięcznych obowiązków: ktoś musiał

plewić chwasty, grzebać się w ściekach, obierać ziemniaki, zarzynać zwierzęta. W społeczeństwie doskonałym robilibyśmy wszystko na zmianę; w praktyce podziałem pracy rządził określony kodeks postępowania, za którego złamanie Regulatorka przydzielala najpaskudniejsze zajęcia. Ten system sprawdzał się całkiem nieźle. Kiedy człowiekowi przyszło przepychać zatkaną latrynę, bo wcześniej za dużo wypił w refektarzu, miał zepsuty dzień - ale fakty były bezlitosne: latryny były nam potrzebne, czasem się zapychały, a wtedy jakiś fraa lub jakaś suur musieli je wyczyścić, bo przecież nie mogliśmy wezwać hydraulika z extramuros. Z takiej kary można więc było od biedy czerpać satysfakcję, bo nie ulegało wątpliwości, że jest potrzebna.

Za to Księga nie miała za grosz sensu - i dlatego uchodziła za najgorszą, najbardziej przerażającą formę pokuty. Zawierała dwanaście rozdziałów, ułożonych w podobny sposób jak skala używana do mierzenia siły trzęsień ziemi, czyli w porządku wykładczym: na przykład rozdział szósty był dziesięć razy gorszy od piątego i tak dalej. Pierwszy rozdział to była kaszka z mleczkiem; na studiowanie go skazywano nieposłuszne dzieciaki, którym zajmowało to zwykle nie więcej niż godzinę albo dwie. Rozdział drugi groził całą dobą odsiadki, chociaż szanujący się awanturnik powinien się z nim uwinąć w ciągu dnia i noc mieć wolną. Pięć rozdziałów oznaczało kilka tygodni wyjętych z życiorysu. Od każdego wyroku skazującego na rozdział szósty i dalsze przysługiwało odwołanie do Prymasa, a następnie do Inkwizycji. Pełne dwanaście rozdziałów oznaczało dożywocie w odosobnieniu. Przez trzy tysiące sześćset dziewięćdziesiąt lat tylko trzech deklarantów przeczytało całą Księgę. Wszyscy trzej przypłacili to nieuleczalnym obłędem.

Począwszy od szóstego rozdziału, kara mogła trwać całe lata i wielu wołało odejść z koncentu niż się jej poddać. Ci, którzy zostali, po wyroku stawali się inni: wyciszeni, zgaszeni, jakby się skurczyli. Może to się wydać niewiarygodne, jeśli wziąć pod uwagę, że kara polegała po prostu na przepisaniu wskazanych rozdziałów, nauczeniu się ich na pamięć, a następnie

odpowiedzeniu na pytania zadawane przez grono hierarchów. Kłopot w tym, że zawartość Księgi uzupełniano i doskonalono na przestrzeni dziejów w taki sposób, aby była kompletnie nielogiczna, otumaniająca i pozbawiona sensu. Na początku lektury było to oczywiste, w miarę pokonywania kolejnych rozdziałów efekt ten uzyskiwano w coraz subtelniejszy sposób. Księga była jak labirynt bez wyjścia, jak równanie, które po tygodniach mitręgi redukuje się do postaci $2 = 3$. Rozdział pierwszy miał jedną stronę i zawierał wierszyki dla dzieci, przetykane wymyślonymi słowami, prawie się rymującymi - ale tylko prawie. W rozdziale czwartym pięć bitych stron zajmowały kolejne cyfry liczby pi. Później nie było już w Księdze żadnej przypadkowości, ponieważ nauczanie się na pamięć naprawdę przypadkowej treści nie jest niczym trudnym, wystarczy znać parę sztuczek - a każdy, kto przebrnął przez czwarty rozdział, miał te sztuczki w małym palcu. Znacznie więcej kłopotów sprawiały teksty, które wydawały się w miarę sensowne, ale takimi nie były; cechowała je pewna wewnętrzna logika, rozmywająca się gdzieś po drodze. W świecie matelowym takie opracowania same od czasu do czasu wypływały, a przecież nie każdy ich autor mógł uchodzić za saunta. Ich twórców upokarzano i odrzucano, a same teksty padały łupem Inkwizycji. Jeżeli okazały się wystarczająco okropne, inkwizytorzy szlifowali je, dopracowywali i włączali do nowych wydań Księgi. Chcąc zasłużyć na wypuszczenie z celi, należało sobie przyswoić zalecone rozdziały równie gruntownie, jak student mechaniki kwantowej opanowuje teorię grup. Największą karą była świadomość, że cały włożony w studiowanie Księgi wysiłek idzie na podtruwanie organizmu intelektualnym jadem, który sączy się w głąb mózgu. Trudno sobie wyobrazić podobne upokorzenie. Po dwóch tygodniach spędzonych nad rozdziałem piątym doskonale rozumiałem, że skazaniec odsiadujący karę na przykład dziewięciu rozdziałów nie miał prawa zachować pełni władz umysłowych.

Dość jednak o Księdze. Zadawałem sobie inne pytanie, ciekawsze: dlaczego się tu znalazłem? Wyglądało na to, że suur

Trestanas chciała mnie usunąć ze społeczności do czasu, aż inkwizytorzy sobie pójdą. Trzy rozdziały by nie wystarczyły; cztery może tak, ale na wszelki wypadek zadała mi pięć, gdybym okazał się jednym z tych szczęściarzy, którzy mają dryg do zapamiętywania cyfr.

Codziennie rano budził mnie poranny ryt, w którym brała udział tylko garstka deklarantów, największych miłośników wszelkich uroczystości. Wstawałem, ściągałem zawój z siennika (jedynego sprzętu w całej celi) i ubierałem się. Sikałem do dziury w podłodze, myłem się w kamiennej misie z zimną wodą, jadłem chleb, piłem mleko, wystawiałem puste naczynia obok drzwi, siadałem na posadzce i układałem na sienniku Księgę, pióro, butelkę atramentu i kilka arkuszy. Sfery używałem jako podpórki pod łokieć. Pracowałem trzy godziny, a potem aż do certyfiku znajdowałem sobie inne zajęcia, żeby odświeżyć umysł. Przez cały czas, kiedy Lio, Jesry i Arsibalt nakręcali zegar, robiłem pompki, przysiady i wypady. Na skutek mojej nieobecności zespół pracował ciężiej i moi towarzysze nabierali sił; nie chciałem pozostać w tyle.

Musieli się jakoś wywiedzieć, w której celi siedzę, bo po certyfiku przychodzili zjeść drugie śniadanie na łące pod moim oknem. Nie ważyli się spojrzeć w moją stronę ani mi pomachać (Trestanas pewnie cały czas czyhała na taki błąd), ale zawsze zaczynali posiłek od spełnienia toastu piwem. Rozumiałem, o co chodzi.

Atramentu i arkuszy miałem pod dostatkiem, więc zabrałem się do spisywania relacji, którą w tej chwili czytałem. Zaczęła mnie prześladować myśl o tym, że wydarzenia ostatnich kilku tygodni przenika jakiś wspólny wątek, na razie uchodzący mojej uwadze, ale złożyłem to na karb zmian w moim umyśle wywołanych samotnością i obcowaniem z Księgą.

Któregoś dnia, mniej więcej dwa tygodnie po rozpoczęciu pokuty, moją poranną rutynę zburzyły niecodzienne dźwięki dzwonów. Przez wejściowy ostrołuk widziałem pęk sznurów biegnący z balkonu dzwonniczek do karylionu. Przeszedłem na

drugą stronę siennika i stanąłem plecami do okna, aby swobodnie obserwować ruchy sznurów. Wszyscy deklaranci powinni umieć rozszyfrować zmiany, ale ja nigdy nie byłem w tym najlepszy: dźwięki mi się zlewały, nie potrafiłem wyłowić w nich żadnego porządku i z doświadczenia wiedziałem, że do dekodowania zmian bardziej przydadzą mi się oczy niż uszy. Śledziłem ruchy sznurów, obserwowałem ich współzależności i po minucie czy dwóch bez niczyjej pomocy rozpoznałem wezwanie na kwalifik. Ktoś z mojego rocznika miał zostać przyjęty do zakonu.

Od wydzwonienia zmian do rozpoczęcia rytu upłynęło pół godziny, a dopiero po dalszej półgodzinie (wypełnionej śpiewami) usłyszałem, jak Statho wypowiada imię Jesry'ego. Następnie został odśpiewany Kantyk Przygarnięcia; głosy były mocne i pełne energii, ale harmonia trochę szwankowała, po czym poznałem, że o Jesry'ego upomnieli się edharczycy. Przez cały ten czas nie bardzo mogłem się skoncentrować na Księdze, a i potem niewiele zrobiłem, zanim przyszła pora certyfiku.

Następnego dnia znowu usłyszałem te same zmiany: dwie osoby dołączyły do edharczyków, jedna - Ala - do Nowego Kręgu. Nie była to żadna niespodzianka, zawsze obstawialiśmy, że w przyszłości Ala zostanie hierarchą, ale nie wiedzieć czemu ta wiadomość nie dawała mi spokoju i długo nie mogłem zasnąć. Czuję się tak, jakby odfrunęła do jakiegoś odległego koncernu i już nigdy jej nie spotkam, nigdy się z nią nie pokłócę, nigdy nie będę się z nią ścigał w rozwiązywaniu problemów teoretycznych - co było niedorzeczne, bo przecież zostawała w Edharze i mieliśmy się codziennie spotykać na kolacji w refektarzu. Jakaś częśćka mojego mózgu uparła się jednak, aby decyzję Ali postrzegać w kategoriach osobistej straty, i za karę nie dawała mi zasnąć.

Ze sposobu, w jaki odcyfrowałem zmiany z ruchu sznurów, płynęła dla mnie pewna nauka. Opisuując wydarzenia z ubiegłych tygodni (nadal dręczony przecuciem, że coś mi umyka), dotarłem właśnie do mojej rozmowy z fraa Orole w gwieźdny kręgu i jego przyciszonej konwersacji z suur Trestanas, do której doszło chwilę później przy kracie. Pisząc o tym, wyjrzałem przez okno,

wypatrując miejsca, w którym się wtedy spotkaliśmy - i stwierdziłem, że krata jest zamknięta, chociaż przecież był dzień. Ze swojej celi widziałem także kratę centenarystów: ona również była opuszczona. Z każdym upływającym dniem utwierdzałem się w przekonaniu, że gwiazdny krąg został całkowicie odcięty od reszty koncentu i że nastąpiło to właśnie wtedy, w ósmym dniu apertu, kiedy Klucznik zatrzaskał kratę za plecami moimi i Orola. To właśnie zamknięcie gwiazdznego kręgu (wydarzenie bez precedensu w dziejach Koncentu Saunta Edhara) musiało się stać tematem sporu Orola z Trestanas.

Czy naprawdę trzeba bardzo wysilać wyobraźnię, żeby zacząć podejrzewać, że kiedy dwa dni później w koncencie zjawili się inkwizytorzy, ich wizyta nie była dziełem przypadku? Nasz gwiazdny krąg znajdował się pod tym samym niebem co wszystkie inne na świecie. Jeżeli nasz został zamknięty (czyżby na niebie znajdowało się coś, czego nie powinniśmy oglądać?), inne musiały spotkać podobny los. Polecenie rozeszło się po Retikulum w ósmym dniu apertu; itowie przekazali je suur Trestanas. Dokładnie w tym samym czasie Varax i Onali wyruszyli w podróż do „odległej pustelni saunta Edhara”.

Wytłumaczenie brzmiało sensownie, ale nie przybliżyło mnie do odpowiedzi na najważniejsze dręczące mnie pytanie: po co w ogóle zamykać gwiazdny krąg? Był to naprawdę ostatni zakątek koncentu, którym na co dzień interesowali się hierarchowie. Mieli dbać o przestrzeganie Dyscypliny i w tym celu usiłowali nie dopuścić do sytuacji, w której wieści ze świata sekularnego mogłyby wpływać na życie deklarantów. Tymczasem informacje pochodzące z gwiazdnego kręgu były z natury ponadczasowe i nierzadko pochodziły sprzed miliardów lat. Zresztą nawet wydarzenia, postrzegane przez nas jako współczesne, sprowadzały się do burz piaskowych na jakiejś skalistej planecie albo fluktuacji wirów na gazowym olbrzymie. Co takiego można było dostrzec z gwiazdnego kręgu, co można by uznać za informację sekularną?

Niczym fraa, który obudziwszy się w swojej celi przed

świtem, czuje dym i wie, że ogień musiał się tlić i narastać przez długie godziny, spędzone przez niego w słodkim zapomnieniu, czułem nie tylko niepokój, ale także wstyd z powodu swojej opieszałości.

Fakt, że prawie codziennie odprawiano kwalifik, wcale mi nie pomagał. Od mniej więcej roku czułem, że nie nadażam za innymi fidami, że wyprzedzają mnie w teoryce i kosmografii. Całkiem poważnie myślałem o przystąpieniu do jakiegoś nie-edharskiego zakonu i zostaniu hierarchą, po czym dość niespodziewanie (niedługo przed tym, jak Trestanas skazała mnie na karę Księgi) postanowiłem jednak zawalczyć o miejsce wśród edharczyków i poświęcić się zgłębianiu tajników Hylaejskiego Świata Teorycznego. A zamiast tego utknąłem w celi, zmuszony czytać bzdury, i dawałem się jeszcze bardziej wyprzedzić konkurentom, którzy pomału zapełniali wolne miejsca w edharskiej kapitule. Nie było oficjalnego limitu przyjęć, ale gdyby edharczycy przyjęli więcej niż dziesięciu, dwunastu nowych deklarantów, inne zgromadzenia by ucierpiały i zrobiłoby się nieprzyjemnie. Kiedy trzydzieści lat temu przystępował do nich Orolo, przyjęli łącznie czternaście osób - i ludzie do dziś o tym rozprawiali.

Pewnego popołudnia, tuż po certyfiku, rozzwoniły się dzwony. Spodziewałem się usłyszeć kolejne wezwanie na kwalifik - do tej pory pięcioro moich przyjaciół dołączyło do edharczyków, troje do Nowego Kręgu i jeden do Zreformowanych Faanów Starych - ale w głębi serca coś mi podpowiadało, że tak brzmiających zmian jeszcze nie słyszałem.

Znowu odłożyłem pióro (nie pierwszy raz żałowałem, że pokuta nie przytrafiła mi się w jakimś mniej interesującym okresie) i usiadłem w miejscu, z którego widziałem sznury. Po kilkuminutowej obserwacji wiedziałem już na pewno, że karylion nie zapowiada kwalifiku. Coś ścisnęło mnie w piersi na myśl o tym, że szykuje się peanatema, ale zanim na dobre rozeznałem się w zmianach, skończyły się. Następne pół godziny przesiadzałem więc w bezruchu, słuchając, jak nawy się zapełniają. Zebrał się

tłum: deklaranci ze wszystkich matemów przerwali swoje zajęcia i spotkali się w tumie. I wszyscy mówili jednocześnie. Nic nie rozumiałem, ale w tonie ich głosów wyczuwałem ogólne podniecenie i wyczekiwanie na jakieś niecodzienne wydarzenie. Mimo trawiącego mnie lęku zdołałem sobie wytłumaczyć, że na pewno nie będzie to peanatem: gdyby deklaranci wiedzieli, że mają być świadkami odrzucenia, nie rozprawialiby z takim ożywieniem.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Bez muzyki. Słyszałem, jak Prymas wypowiada znajome starorthyjskie frazy (oficjalne wezwanie dla wszystkich mieszkańców koncentu), po czym przechodzi na noworthyjski i odczytuje formułę, która musiała powstać w początkach Rekonstrukcji. Na zakończenie podniósł głos, tak że usłyszałem wyraźnie:

- Voco fraa Paphlagon z kapituły centenarystów z Zakonu Saunta Edhara.

A zatem voco. Byłem świadkiem tego rytu zaledwie po raz trzeci, przy czym dwa poprzednie odprawiano, kiedy miałem około dziesięciu lat.

Kiedy ja oswajałem się z tą myślą, z głębi prezbiterium dobiegło mnie najpierw zbiorowe westchnienie, a potem głęboki jęk. Westchnienie wyrwało się z piersi większości deklarantów, jęk zaś wydali setnicy, którzy na zawsze tracili jednego z braci.

W następnej chwili zrobiłem coś szalonego - ale wiedziałem, że ujdzie mi to płazem: wyszedłem z celi. Przeszedłem przez krużganek i spojrzałem ponad balustradą w dół.

W prezbiterium było tylko troje ludzi: Statho w fioletowych szatach oraz Varax i Onali, których rozpoznałem po nakryciach głowy. Poza tym w tumie - w oddzielonych ekranami nawach - zapanował taki tumult, że ryt musiał zostać przerwany.

Zamierzałem tylko rzucić okiem, zorientować się w sytuacji i wracać do celi. Ale nie poraził mnie piorun. Nie zabrzmiał alarm. Na górze nikogo nie było! Nic dziwnego, uświadomiłem sobie poniewczasie: dzwony wybiły przecież voco, a wtedy w tumie zbierali się dosłownie wszyscy. Nie mogło być

inaczej, bo nikt nie wiedział, czyje imię zostanie wyczytane.

Właśnie, skoro już o tym mowa... Ja chyba też powinienem być na dole! Voco na pewno jest jedną z tych wyjątkowych okazji, kiedy nawet skazańcy mają prawo opuścić celę. Dlaczego w takim razie nikt od Regulatorki po mnie nie przyszedł? Na pewno przez zwykłe niedopatrzenie; nie mieli pewnie ustalonych procedur na takie okazje. Zresztą ja nie rozpoznałem zmian, więc i oni mogli nie zorientować się, że biorą udział w voco, dopóki ryt się nie rozpoczął - a wtedy było już za późno, żeby po mnie biec. Musieli tkwić na dole do końca...

Właśnie. Musieli tkwić na dole do końca.

Ja zaś miałem swobodę ruchu, przynajmniej przez krótki czas - bylebym przed powrotem Regulatorki i jej ludzi wrócił do celi. I tak będę miał kłopoty, ponieważ opuściłem voco, więc może już lepiej narazić się czymś, o czym będzie się mówić w refektarzu przez następne pięćdziesiąt lat?

Ćwiczenia, które uprawiałem w trosce o swoją formę, miały mi się teraz opłacić. Przeskakując po trzy stopnie, wbiegłem po schodach, prowadzących przez dziedziniec kwatery Protektora do dolnej części chronotchlani. Tu musiałem zwolnić, żeby nie hałasować na metalowych schodkach, ale miałem przynajmniej widok na dół i mogłem bez przeszkód śledzić rozwój wydarzeń. Nie zauważyłem żadnej zmiany, ale z głębi prezbiterium płynęły nowe dźwięki: to setnicy śpiewali odchodzącemu bratu hymn żałobno-pożegnalny. Długo się rozkręcali, bo nikt nie znał hymnu na pamięć i musieli sięgnąć do rzadko używanych psalterzy, znaleźć stosowny fragment i wciągnąć się w pięciogłosową harmonię pieśni. Zanim głosy zaczęły współbrzmieć jak należy i hymn nabrał kształtów, znalazłem się już w połowie drogi do gwiazdznego kręgu: wgramoliłem się za tarcze zegara, starając się zachować zimną krew i naśladować ruchy Lio, żeby nie plątać się w zawoju. Hymn przyprawiał mnie o gęsią skórkę; niósł większy ładunek emocjonalny niż pieśni, które śpiewaliśmy na pogrzebach. Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, kim jest fraa Paphlagon, jak wygląda i czym się zajmuje - ale śpiewacy go znali i siła ich

muzyki polegała także na tym, że udzielały mi się ich uczucia. Biorąc zaś pod uwagę, że obaj z fraa Paphlagonem zapuszczaliśmy się - w pewnym sensie - na nieznaną terytorium, może nawet czułem się trochę podobnie jak on?

Tuż nad głową miałem w tej chwili podłogę gwiazdowego kręgu: znalazłem się pod samą kopułą przykrywającą praesidium i podpierającą wszystko, co zbudowano na górze. Przebijało ją kilka wałów napędzających teleskopy. Wokół największego z nich wiły się spiralne schody. Wbiegłem po nich i położyłem dłoń na klamce drzwi. Jeszcze raz zerknąłem w dół, żeby sprawdzić, jak przebiega ryt. Otworzyły się drzwi w ekranie oddzielającym prezbiterium od nawy centenarystów, a kiedy fraa Paphlagon przez nie przeszedł, zamknęły się za jego plecami.

W tej samej chwili ja otworzyłem drzwi gwiazdowego kręgu - i aż się skuliłem, oślepiiony powodzią dziennego światła. Na pewno ktoś to zauważy!

Spokojnie, upomniałem się w duchu. W prezbiterium były tylko cztery osoby, które mogły zwrócić na to uwagę, a wszystkie spojrzenia i tak spoczywały na fraa Paphlagonie.

Ostatni raz spojrzałem w dół i nagle dostrzegłem lukę w swoim rozumowaniu. Wszystkie oczy były zwrócone na Paphlagona - oprócz oczu samego Paphlagona! On akurat w tym momencie postanowił zadrzeć głowę i spojrzeć do góry. Właściwie czemu nie? Oglądał to ostatni raz. Na jego miejscu zachowałbym się tak samo.

Z tej odległości nie widziałem wyrazu jego twarzy, ale on z pewnością zobaczył snop światła wpadający przez uchylone drzwi. Zamarł, jakby się zamyślił, a potem opuścił głowę i przeniósł wzrok na Statha.

- Ja, fraa Paphlagon, odpowiadam na wezwanie - powiedział.

Był to pierwszy wers litanii, która miała potrwać następną minutę, może dwie.

Wymknąłem się do gwiazdowego kręgu i bezszelestnie zamknąłem za sobą drzwi.

Spodziewałem się zobaczyć na przyrządach warstewkę kurzu i ptasich odchodów; kiedy krąg był otwarty, fidowie Orola poświęcali sporo czasu na czyszczenie i polerowanie instrumentów. Ale wcale nie było tak źle, jak się obawiałem. Ktoś musiał dbać o sprzęt.

Wszedłem do laboratorium przez potrójne drzwi odcinające dopływ światła do wnętrza i zabrałem stamtąd tabliczkę fotomnemoniczną, wyczyszczoną i zapakowaną w ochronną koszulkę.

Jaki obraz powinienem na niej zarejestrować? Nie miałem pojęcia, co hierarchowie próbują ukryć przed naszym wzrokiem, nie wiedziałem więc, w którą stronę wycelować teleskop.

No, niezupełnie. Miałem pewne wyobrażenie o tym, czego mogę się spodziewać: ogromnej asteroidy pędzącej nam na spotkanie. Nie przychodziło mi do głowy nic innego, co usprawiedliwiłoby objęcie gwiazdnego kręgu kwarantanną, ale też niewiele mi to pomogło. Nie rejestruję obrazu pędzącego przez kosmos kawałka skały, jeżeli nie skieruję Mithry i Mylaksa wprost na niego, tego zaś nie mogłem zrobić, nie znając dokładnych parametrów jego orbity. Nie mówiąc już o tym, że samo manipulowanie ogromnym teleskopem zwróciłoby w obecnej sytuacji powszechną uwagę.

Był jednak przyrząd, którego nie musiałem w żaden sposób naprawiać: nieruchome Oko Clesthyry. Ledwie sobie o nim przypomniałem, puściłem się truchtem w stronę Pinakla.

Wspinając się po kręconych schodach, miałem aż nadto czasu na rozważenie wszelkich potencjalnych przyczyn niepowodzenia mojego planu. Prawdą było, że Oko Clesthyry widzi pół wszechświata, od horyzontu po horyzont. Oglądane przez nie pozornie nieruchome gwiazdy zakreślały łuki na tabliczkach mnemonicznych, ponieważ Arbre obracała się wokół osi. Szybko poruszające się obiekty kreśliły linie proste, ale ślad nawet dużej asteroidy byłby bardzo błady i niezbyt długi.

Zanim dotarłem na szczyt Pinakla, odsunąłem od siebie te wątpliwości. Nie miałem innego narzędzia niż Oko Clesthyry,

musiałem po prostu spróbować. Później zanalizuję wyniki i zobaczymy.

Pod obiektywem znajdowała się szczelina, do której przyniesiona przeze mnie tabliczka idealnie pasowała. Złamałem pieczęć na ochronnej koszulce, wsunąłem palce do środka, podłożyłem je pod nieprzezroczysty spód tabliczki i ją wyjąłem. Wiatr wyrwał mi koszulkę z ręki i przylepił do ściany, na tyle wysoko, że nie mogłem jej dosięgnąć. Tabliczka była okrągła i jednolicie gładka, jak szklana płytka do szlifowania zwierciadeł teleskopu, tylko ciemniejsza, jakby odlana z obsydianu. Włączyłem funkcję zapisu. Najgłębsza warstwa tabliczki przybrała barwę słońca, czyli głównego w tej chwili źródła światła. Dopóki żaden obiektyw ani zwierciadło nie porządkowały padającego na nią światła, tabliczka nie była w stanie uformować i zarejestrować żadnego obrazu - ani bladego zimowego słońca na południowym niebie, ani wysokich lodowatych chmur na południu, ani mojej twarzy.

To się jednak miało za chwilę zmienić, dlatego zanim przeszedłem do następnego etapu, naciągnąłem zawój na głowę i uformowałem go w wydłużony tunel przed twarzą. Gdyby to zabezpieczenie naprawdę okazało się konieczne - czyli gdyby tabliczka miała kiedyś trafić w ręce Regulatorki - prawdopodobnie i tak odkryto by moją tożsamość, ale skoro już zamierzałem dopuścić się zabronionego czynu, czułem się zobowiązany zrobić to jak należy.

Wsunąłem tabliczkę w szczelinę pod Okiem, pchnąłem ją do oporu i zamknąłem klappę zabezpieczającą przed kurzem. Od tego momentu miała rejestrować wszystko, co znajdzie się w polu widzenia rybiego oka, nie wyłączając mojej umykającej postaci w zawoju, dopóki się nie zapełni, co przy jej obecnych ustawieniach powinno potrwać około dwóch miesięcy.

Po tym czasie powinienem po nią wrócić - ale to już był drobiazg, którym nie zamierzałem się w tej chwili przejmować.

Kiedy pogrążony w takich myślach schodziłem z Pinakla, coś dużego, szybkiego i głośno terkoczącego zamajaczyło mi na

tle skalnego gniazda milenarystów. Śmiertelnie mnie przeraziło. Znajdowało się w odległości tysiąca stóp ode mnie, ale zaskoczyło mnie jak niespodziewanie wymierzony policzek. Śledząc wzrokiem ruch nieznanego obiektu, straciłem równowagę i musiałem przykucnąć, żeby nie spaść z pozbawionych poręczy schodów. Był to aeroplan z zainstalowanymi na skrzydłach obrotowymi silnikami, które pozwalały mu się zmienić w dwuwirnikowy helikopter. Zbliżając się, obniżył lot po łuku, jakby kierował się na tum, i wszedł w stromy ślizg, mający go zaprowadzić na plac przed Bramą Dzienną. Nie widziałem jej z miejsca, w którym się zatrzymałem, wstałem więc ostrożnie, zbiegłem do stóp Pinakla i puściłem się biegiem na drugą stronę gwiazdznego kręgu. Kiedy dotarło do mnie, że za chwilę rzucę się z dachu praesidium w dół, na co nie miałem już ochoty, dałem po hamulcach, wykręciłem w stronę jednego z megalitów i zaparłem się o niego rękami, przyjmując na nie impet zderzenia. Wyjrzawszy zza rogu megalitu, zdażyłem jeszcze dostrzec aeroplan lądujący na placu. Wirniki miał obrócone ku górze. Podmuch powietrza kreślił wzory na powierzchni stawu i rozchlaprywał strugi wody z fontann.

Chwilę później dwie postaci w fioletowych szatach wyszły przez Bramę Dzienną: Varax i Onali zdjęli kapelusze, żeby wzbudzony śmigłami pęd powietrza nie zrobił tego za nich. Dwa kroki za nimi szedł fraa Paphlagon, mocno pochylony, łapiąc garściami nieposłuszny zawój, który groził mu obnażeniem całego ciała. Inkwizytorzy zatrzymali się przy drzwiach aeroplanu, podali Paphlagonowi ręce i pomogli mu wgramolić się do środka, po czym sami wcisnęli się za nim. Jakiś mechanizm automatycznie zamknął właz, wirniki przyspieszyły i aeroplan zaczął się odrywać od ziemi, a kiedy pilot otworzył przepustnice do oporu, w mgnieniu oka wyskoczył na pięćdziesiąt stóp w górę. Skrzydła się przechyliły, aeroplan zaczął się rozpędzać w poziomie, wleciał ponad staw i nad miastem wykręcił na zachód.

Był to chyba najbardziej odjazdowy widok w moim życiu. Zacząłem już snuć plany opowiedzenia o tym chłopakom w

refektarzu.

I wtedy sobie przypomniałem, że jestem zbiegłym więźniem.

Zanim dotarłem do chronotchlani, voco dawno się skończyło. Z dołu nadal niósł się gwar głosów, stawał się jednak coraz cichszy, gdyż nawy szybko pustoszały. Większość deklarantów wychodziła z tumu, ale niektórzy wchodzili po schodach w narożnych wieżach i wracali do swoich obowiązków w kwaterach Protektora i Regulatorki. Popędziłem więc na złamanie karku, hałasując niemiłosiernie, ale kiedy znalazłem się niżej, musiałem zwolnić kroku i zachować ostrożność, mimo obaw, że najszybsi wspinacze z dołu mnie uprzedzą.

Pierwsi zjawili się na górze dwaj młodzi hierarchowie podlegający Protektorowi; chcieli jak najszybciej wdrapać się na galerię, licząc na to, że zdążą jeszcze zobaczyć oddalający się aeroplan. Dotarłem na dziedziniec Protektora (od góry) na chwilę przed tym, zanim oni dobiegli z dołu, i zacząłem się rozglądać za kryjówką w krużganku. Cała ta kondygnacja tumu była wręcz zavalona przedmiotami, które tylko Protektor mógł uznać za ozdoby - czyli głównie popiersiami i posągami nieżyjących bohaterów. Najpaskudniejsza ze wszystkich była odlana z brązu figura Amnectrusa, Protektora z czasów Trzeciej Łupieży. Przedstawiono go w naturalnej wielkości pozie, w jakiej spędził ostatnie dwadzieścia godzin życia: klęczącego przy otworze strzelniczym i patrzącego przez lunetę długiego karabinu. Protektor był z brązu, ale broń i otaczające go morze łusek były prawdziwymi relikwiami. Stał na autentycznym sarkofagu Amnectrusa.

Schowałem się za nim. Dwaj szybkobiegacze minęli mnie pędem, kierując się ku zachodniej galerijce. Kiedy przebiegli tuż obok, odczekałem jeszcze chwilę i rzuciłem się w stronę schodów prowadzących do apartamentów Regulatorki - okrężną drogą, żeby nie napatoczyć się na dalszych sprinterów. Przypadłem do ziemi za niską ścianą okalającą krużganek, podniosłem się ostrożnie i na czworakach okrążyłem część dziedzińca, aż dotarłem do swojej

celi. Nigdy nie myślałem, że tak się ucieszę na jej widok.

Pozostał jeszcze tylko jeden mały problem: ociekałem potem, dyszałem jak zgoniony koń, serce łomotało mi jak wirniki aeroplanu, miałem otarcia na rękach i kolanach i cały dygotałem z nerwów i wyczerpania. Na to jednak nic już nie mogłem poradzić. Czystymi arkuszami otarłem pot z twarzy, otuliłem się zawojem najszczelniej jak się dało i przysiadłem na sferze przy oknie, plecami do drzwi, jakbym podziwiał widoki. Pozostało mi jeszcze tylko uspokoić oddech i czekać, aż ktoś od Regulatorki do mnie zajrzy.

- Fraa Erasmus?

Odwróciłem się: to była suur Trestanas, również trochę zaczerwiona po wspinaczce.

Weszła do celi. Od Dziesiątej Nocy nie rozmawialiśmy, ale teraz wydała mi się dziwnie zwyczajna i ludzka, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi, którzy umówili się na pogawędkę.

- Mhm? - mruknąłem. Wołałem nie mówić nic więcej; bałem się, że mój głos dziwnie zabrzmiał.

- Wiesz, co się stało?

- Trochę trudno powiedzieć, jak człowiek siedzi zamknięty w celi. Ale brzmiało to jak voco.

- Bo to było voco. A ty powinieneś być na dole, w tumie.

Udałem sparaliżowanego grozą - co wcale nie było takie trudne, biorąc pod uwagę mój stan. Może zresztą Trestanas chciała wywołać właśnie taki efekt i tym łatwiej dała się nabrać. W każdym razie odczekała chwilę, żeby dodatkowo mnie pognać, zanim oznajmiła:

- Tym razem nie rzucę w ciebie Księgą, chociaż dopuściłeś się poważnego wykroczenia.

Musiałabyś mi zadać rozdział szósty, pomyślałem. Ale wtedy mógłbym się odwołać, a ty wolałabyś nie bronić swojej decyzji.

- Dziękuję, suur Trestanas. To mało prawdopodobne, ale gdyby zdarzyło się tak, że następne voco wypadnie jeszcze

podczas mojej tu obecności, mam zejść na dół?

- Owszem. Obejrzyj go zza ekranu Prymasa, po czym bezzwłocznie wrócisz tutaj.

- Chyba że to moje imię zostanie wywołane.

Nie miała ochoty na żarty, więc moja uwaga tylko ją zmieszała. A zmieszanie ją rozdrażniło.

- Jak ci idzie rozdział piąty? - zapytała.

- Za tydzień lub dwa powinienem być gotowy do egzaminu.

Zacząłem się zastanawiać, jak mam przez ten czas wykraść tabliczkę z Oka Clesthyry.

Suur Trestanas prawie, prawie się do mnie uśmiechnęła, zanim wyszła. Może miało to coś wspólnego z faktem, że inkwizytorzy sobie poszli, a wraz z nimi ulotniły się nieznane mi motywy, które kazały jej rzucić we mnie Księgą. Tak czy inaczej, odniosłem wrażenie, że w sensie praktycznym moja pokuta dobiegła końca i zamknięcie jej jest już czystą formalnością. Z tym większym zapałem zabrałem się do studiowania Księgi i do wieczora poczyniłem w rozdziale piątym większe postępy niż przez cały poprzedni tydzień.

Następnego dnia znowu ogłoszono kwalifik: dwóch z nas przystąpiło do edharczyków i dwóch do Nowego Kręgu. Zreformowani Faanowie Starzy jak zwykle musieli się obejść smakiem.

Jednym z fidów wybranych do Nowego Kręgu był Lio. Zaskoczyło mnie to do tego stopnia, że przez pewien czas zastanawiałem się nawet, czy na pewno dobrze usłyszałem imię. Lio był dla mnie oczywistym kandydatem na Protektora; sposób, w jaki rozprawił się ze slogami w Dziesiątą Noc, z pewnością zrobił ogromne wrażenie na Delrakhonesie. Zatrudnienie u Protektora oznaczało funkcję hierarchy, a tę z jakiegoś powodu tradycyjnie łączono z Nowym Kręgiem. Skąd zatem moje zdziwienie? Stąd, że (jak uświadomiłem sobie, leżąc nocą na sienniku i gapiąc się w sufit) należeliśmy do jednego zespołu i od tak dawna razem obsługiwaliśmy certyfiki, że po prostu się do

niego przyzwyczailem i zakładałem, że razem z Jesrym i Arsibaltem zawsze już będziemy razem. Wydawało mi się również, że moi towarzysze podzielają moje poglądy i nadzieje. Ale emocje się zmieniają i zaczynałem rozumieć, że odkąd trafiłem do celi, zmiany te przybrały na intensywności.

Dwa dni później Arsibalt dołączył do Zreformowanych Faanów Starych i tylko ślepemu trafowi zawdzięczam fakt, że nikt w prezbiterium nie usłyszał mojego zdumionego wrzasku:

- Co takiego?!

Mogłem się przewracać na sienniku z boku na bok do białego rana, ale żadna iluminacja by mi tego nie wytłumaczyła. Zreformowani Faanowie Starzy byli na wymarcu, i to od zawsze, od początku istnienia zakonu.

Musiałem jak najszybciej wyrwać się z celi. Zarzuciłem codzienne ćwiczenia, przestałem pisać dziennik i skoncentrowałem się wyłącznie na rozdziale piątym. Zanim dałem znać, że jestem gotowy do egzaminu, łącznie jedenastu fidów trafiło do Zakonu Saunta Edhara, dziewięciu do Nowego Kręgu i sześciu do Zreformowanych Faanów Starych. Moje możliwości wyboru - o ile jeszcze jakieś mi pozostały - kurczyły się z godziny na godzinę. W chwilach szczególnego przygnębienia zastanawiałem się, czy kara Księgi nie była ze strony suur Trestanas zabiegiem werbunkowym, sposobem skazania mnie na jakiś nie-edharski zakon i zepchnięcia na ścieżkę, która zaprowadziłaby mnie do kompleksu Prymasa, gdzie jako pomniejszy hierarcha zawsze już byłbym czymś podwładnym. Zwyczajni fraa i suur podlegali tylko i wyłącznie Dyscyplinie, a hierarchowie tworzyli piętrową strukturę władzy - taka była cena, jaką płacili za posiadane wpływy.

Następnego dnia przystąpiłem do egzaminu - po kwalifiku, w którym kolejny fid przeszedł do Nowego Kręgu, a trzech innych do faanów; dwóch z tej trójki Arsibalt wcześniej nazwał „zmiotkami”, trzeci zaś był nieprzeciętnie bystry. Z mojego rocznika zostałem tylko ja i jeszcze jedna osoba. Nie notowałem imion przyjętych, więc pewnie dawno bym się pogubił w

rachubach, gdyby nie fakt, że tą drugą osobą była Tulia.

W liczącej trzech egzaminatorów komisji nie było suur Trestanas. W pierwszej chwili ucieszyłem się z tego, ale zaraz potem odczułem irytację. Właśnie zmarnowałem miesiąc życia na zadaną przez nią pokutę i zaprzepaściłem szansę na wstąpienie do Zakonu Świętego Edhara, a jej nawet nie chciało się przyjść.

Zaczęli od podchwytliwych pytań na temat rozdziału drugiego, licząc na to, że przekartkowałem go pośpiesznie w pierwszym dniu kary i zdążyłem wszystko zapomnieć. Ja jednak spodziewałem się takiego wybiegu z ich strony i poprzedniego dnia w kilka godzin powtórzyłem sobie pierwsze trzy rozdziały.

Kiedy wyrecytowałem cyfry pi od sto dwudziestej siódmej do dwieście osiemdziesiątej trzeciej, stracili resztki zapachu. Na rozdział piąty poświęcili zaledwie dwie godziny, czyli potraktowali mnie niezwykle pobłażliwie. Z powodu kwalifiku cały rozkład dnia był opóźniony, a że zbliżało się zimowe przesilenie i wczesnie robiło się ciemno, miało się wrażenie, że jest jeszcze później niż w rzeczywistości. Słyszałem, jak egzaminatorom burczy w brzuchach. Komisji przewodniczył fraa Spelikon, hierarcha w siódmej dekadzie życia, pominięty przy wyborze Regulatora na rzecz suur Trestanas. W ostatniej chwili doszedł chyba do wniosku, że nie dość mnie wymęczyli, i próbował walczyć. Wystarczyło jednak, że krótko i konkretnie odpowiedziałem na pierwsze z jego pytań; postawa i ton głosu pozostałej dwójki nie pozostawiały wątpliwości: egzamin dobiegł końca. Spelikon wziął do ręki leżące przed nim na stole okulary, przytrzymał je na wysokości nosa i z wiekowego arkusza odczytał formułę stwierdzającą zakończenie pokuty. Byłem wolny.

Mimo odczuwalnie późnej pory, do kolacji została jeszcze godzina. Zapytałem, czy mogę wrócić do celi po notatki, i Spelikon wystawił mi przepustkę, która pozwalała mi zostać na dziedzińcu apartamentów Regulatorki aż do pory kolacji.

Podziękowałem i wyszedłem na dziedziniec, okazując przepustkę napotkanym po drodze hierarchom. Przez czas, jakiego potrzebowałem na dotarcie do celi i wygrzebanie wciśniętego pod

siennik dziennika, w mojej głowie dojrzała idea, o istnieniu której nie miałem pojęcia jeszcze pół minuty wcześniej, żegnając się z egzaminatorami. Bez reszty zawładnęła moim umysłem.

Może to dobry moment, żeby zakraść się do gwiazdznego kręgu i zabrać tabliczkę?

Oczywiście zdrowy rozsądek zwyciężył. Zawinałem dziennik w luźny koniec zawoju i wyszedłem z celi - miałem nadzieję, że raz na zawsze. Pięćdziesiąt kroków po krużganku zaprowadziło mnie na południowo-zachodni skraj tarasu, gdzie zaczynały się schody w dół, do wieży dziesiętników. Przemierzali je nieliczni fraa i suur, szykując się do zmiany warty na dziedzińcu Protektora. Przepuściłem jednego z nich, idącego na górę. Odsłonił twarz połą zawoju i nie patrzył, gdzie idzie, ale poznałem go po stopach, zanim odrzucił kaptur i odsłonił świeżo wygoloną głowę. To był Lio.

Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, że żaden nie wiedział, od czego zacząć, i przez chwilę obaj wydawaliśmy jakieś nieartykułowane dźwięki. Co chyba wyszło nam na dobre, bo na dziedzińcu Regulatorki wołałem nic nie mówić.

- Pójdę z tobą - zaproponowałem w końcu i zrównałem krok z Lio.

- Musisz pogadać z Tulią - wymruczał, kiedy weszliśmy na schody. - I z Orole. Ze wszystkimi musisz pogadać.

- A ty co, idziesz do nowej roboty?

- Delrakhones wysłał mnie na staż. Zaraz, a ty dokąd?

- Do gwiazdznego kręgu.

- Ale... - Lio złapał mnie za rękę. - Przecież za to mogą cię odrzucić, durniu!

- To, co robię, jest ważniejsze niż możliwość odrzucenia - odparłem trochę głupio, ale miałem buntowniczy nastrój i nie myślałem za wiele. - Później ci to wyjaśnię.

Zepchnąłem Lio z wewnętrznego chodnika, zbyt zatłoczonego, żeby wygodnie się nim szło, i pociągnąłem go w stronę skraju dziedzińca, jakbyśmy zamierzali wyjść na galerijkę. Po drodze musieliśmy pokonać wąskie, łukowate przejście. Lio

puścił mnie przodem. Wśliznąłem się przed niego - i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że odwracam się doń plecami. Zanim ta myśl dotarła do mojego mózgu, Lio wykręcił mi rękę i miałem wybór: poruszyć się i przez następne dwa miesiące nosić rękę na temblaku albo się nie ruszać. Znieruchomiałem.

Ale językiem mogłem ruszać swobodnie.

- Miło cię znowu widzieć, ostogłowy. Najpierw pakujesz mnie w kłopoty, a teraz to.

- Sam się wpakowałeś w kłopoty. Ja tylko pilnuję, żeby się to nie powtórzyło.

- Tak się to załatwia w Nowym Kręgu?

- Nie powinieneś wypowiadać się o wynikach kwalifików, bo nie masz pojęcia, co się dzieje.

- Puść mnie, z łaski swojej. Zajrzę do gwiazdznego kręgu, a potem pójde prościutko do refektarza i nadrobię zaległości.

- Patrz.

Okręcił mnie w miejscu, tak że spojrzałem wstecz na drogę, którą przyszliśmy. Na schodach panowała cisza; trochę się bałem, że zostaliśmy zauważeni, ale po chwili minął nas zmierzający do góry pochód ubranych na czarno postaci w cylindrach. Zniknęli w chronotchłani nad naszymi głowami i zaczęli się wspinać po żelaznych stopniach.

- No tak... - mruknąłem. - Nic dziwnego, że na górze jest tak czysto.

- Byłeś na górze?! - Lio był tak poruszony, że w bolesny sposób zacisnął chwyt na moim ramieniu.

- Puść! Obiecuję, że już tam nie pójde.

Lio puścił moją rękę, a ja powoli, z namaszczeniem ułożyłem ją w znośniejszej pozycji, zanim na niego spojrzałem.

- Co tam zobaczyłeś? - zainteresował się.

- Na razie nic, ale chciałbym wyciągnąć stamtąd pewną tabliczkę fotomnemoniczną, która może, chociaż nie musi, dać nam jakąś wskazówkę.

To mu dało do myślenia.

- Nie będzie łatwo.

- To obietnica, Lio?

- Spostrzeżenie.

- Czy itowie odwiedzają gwiazdny krąg w jakimś regularnym rytmie?

Lio już otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, ale rozmyślił się i zrobił cwana minę.

- Nie powiem. - Coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Posłuchaj, jestem spóźniony.

- A od kiedy to się tym przejmujesz?

- Wiele się zmieniło. Muszę iść. Pogadamy później, dobrze?

- Lio!

Obejrzał się na mnie.

- Co?

- Kim był fraa Paphlagon?

- Nauczycielem Orola. Połowa wiedzy Orola pochodzi od niego.

- A druga połowa?

Ale Lio już zniknął. Jeszcze przez minutę słuchałem kroków itów i zastanawiałem się, czy sprawdzają tabliczki w teleskopach. I rozmyślałem o tym, skąd wziąć przebranie ity.

Nagle zaburzało mi w brzuchu i automatycznie ruszyłem do refektarza, jakby mój żołądek miał bezpośrednie połączenie ze stopami.

Minęło dziesięć lat i dwa miesiące, odkąd ostatnio oglądałem ruchome obrazy, ale doskonale zapamiętałem typową scenę z takich produkcji: astronauta wchodzi do baru w porcie kosmicznym (albo kowboj do przykurzonego saloonu) i na chwilę robi się cicho jak makiem zasiał. Tak to właśnie wyglądało, kiedy wszedłem do refektarza.

Przyszedłem przed czasem, co było błędem, ponieważ nie

miałem wpływu na to, z kim będę siedział przy stole. Kilku edharczyków również zjawilo się wcześniej, ale pozaklepywali sobie miejsca i spuszczeni wzrok, kiedy próbowałem patrzeć im w oczy. Stałem w kolejce za dwoma edharskimi kosmografami, którzy natychmiast odwrócili się do mnie plecami i z udawanym zaangażowaniem wdali się w pokazową dyskusję na temat jakiegoś nowego dowodu znalezionej w dziesięcioletnim zbiorze książek i periodyków, jaki z okazji apertury zrzucano na progu biblioteki.

W ten wieczór dyżur w kuchni pełnili członkowie Zreformowanych Faanów Starych. Arsibalt dorzucił mi dodatkową łyżkę gulaszu i uściśnił rękę; było to pierwsze serdeczne powitanie, z jakim się spotkałem. Umówiliśmy się, że porozmawiamy później. Wyglądał na szczęśliwego.

Postanowiłem usiąść przy pustym stole i zobaczyć, co się stanie. Już po chwili zaczęli się wokół mnie tłoczyć fraa i suur z Nowego Kręgu, rzucając dowcipne uwagi na temat mojego pobytu w celi.

Po kwadransie w refektarzu zjawił się fraa Corlandin, niosąc na rękach coś starego, ciemnego i kruchego, jak zmumifikowane dziecko. Postawił to coś na stole, odwinął opakowanie i odsłonił stary antałek z winem.

- Od naszej kapituły dla ciebie, fraa Erasmasie - powiedział zamiast powitania. - Ten, kto odcierpiał nadzwyczajną karę, zasługuje na nadzwyczajny trunek. Wino nie zwróci ci straconych tygodni, ale pomoże zapomnieć o Księdze!

Corlandin sprytnie to rozegrał, za co byłem mu wdzięczny. Biorąc pod uwagę jego romans z suur Trestanas (który, jak zakładałem, trwał), moment powitania mógł wypaść nader niezręcznie. Wino było zarówno miłym akcentem powitalnym, jak i sposobem obejścia tej niezręczności. Zaniepokoiłem się jednak, gdy Corlandin zaczął wyciągać korek. Czyżby chciał tym winem uczcić przyjęcie mnie do zakonu?

- Chcemy tylko opić twoją świeżo odzyskaną wolność - zastrzegł się, jakby czytał mi w myślach. - Nie zamierzamy ci jej

ograniczać.

Ktoś inny przyniósł drewnianą skrzyneczkę zawierającą komplet małych srebrnych kieliszków z godłem Nowego Kręgu. Dwoje deklarantów wyjmowało je po kolei z wykładanych aksamitem zagłębień i polerowało rąbkami zawojów. Corlandin zajął się korkiem: kruchym tworem z gliny i wosku pszczelego, który trudno było usunąć, nie łamiąc go i nie zanieczyszczając wina. Samo przyglądanie się fraa Corlandinowi sprawiało, że poczułem więz z czasem, gdy koncenty były lepsze, zamożniejsze, lepiej wyposażone i - chociaż to nie miało za grosz sensu - w jakimś sensie starsze niż obecnie.

Antałek bez wątpienia wykonano z vrońskiego dębu, co oznaczało, że wino zostało w innym koncencie wyprodukowane z soku bibliotecznych winogron i zlane do beczki, a dopiero potem trafiło do nas na leżakowanie.

Przed Drugą Łupieżą deklaranci z Koncentu Dolnego Vrone uzyskali zmodyfikowaną sekwencję winorośli bibliotecznej: w jądrze każdej jej komórki znajdował się kod genetyczny nie tylko tej jednej odmiany, ale wszystkich naturalnie występujących szczepów winogron, o jakich kiedykolwiek słyszano w Dolnym Vrone - a jeśli jego mieszkańcy o jakimś nie słyszeli, to najwidoczniej nie był wart uwagi. Co więcej, jądro zawierało także wycinki sekwencji genetycznych tysięcy rozmaitych jagód, owoców, kwiatów i ziół - tak dobrane, żeby po aktywacji przez biochemiczny *system* komunikacji komórki produkowały aromatyczne cząsteczki. Każde jądro stało się archiwum (pojemniejszym niż Wielka Biblioteka Bazyjska) zawierającym kod genetyczny większości naturalnie występujących molekuł, które mogły oddziaływać na ludzki zmysł węchu.

Żadna roślina nie mogła wyrazić w pojedynkę wszystkich tych genów na raz; nie mogła być setką odmian jednocześnie. Dlatego „decydowała”, które geny wykorzysta - czyli jaką odmianą się stanie i które aromaty zapożyczy - w oparciu o niewiarygodnie mętny i skomplikowany proces informacyjno-decyzyjny, który vrońscy deklaranci ręcznie zapisali w jej

proteinach. Winorośl biblioteczna uwzględniała wszystkie, nawet najbardziej subtelne niuanse nasłonecznienia, składu gleby, pogody i wiatru; żaden zabieg plantatora i żadne zaniedbanie z jego strony nie przechodziły niezauważone i nie pozostawały bez wpływu na ostateczny smak soku. Słyszała ze zdolności do krzyżowania szyków tym spośród hodowców, którzy w swojej arogancji sądzili, że zdołają zmusić ją do tego, żeby dwa lata z rzędu owocowała tą samą odmianą. Jedyni ludzie, którzy naprawdę ją rozumieli, zostali postawieni pod murem i rozstrzelani podczas Drugiej Łupieży. Nowocześni plantatorzy często woleli trzymać się starych, sprawdzonych, bezpiecznych odmian, a zawieranie bliższej znajomości z winoroślą biblioteczną pozostawiono fanatykom w rodzaju fraa Orola, traktującym to zajęcie jak swoje powołanie. Oczywiście w Sauncie Edharze wcale się winogronom nie podobało, tym bardziej że nie odreagowały jeszcze wypadku sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy to poprzednik Orola niewłaściwie przyciął krzewy i zatrzał glebę zakodowanymi w feromonach bolesnymi wspomnieniami. Winogrona rosły od tej pory małe, blade i gorzkie, do produkowanego z nich wina trzeba się było długo przyzwyczajać, a o sprzedawaniu go nawet nie marzyliśmy.

Bardziej nam się poszczęściło z drewnem. Kiedy vrońskich deklarantów pochłaniały prace nad sekwencją winorośli bibliotecznej, ich fraa i suur zamieszkujący sąsiedni matem, Las Górnego Vrone, położony kilka mil głębiej w dolinie, w podobny sposób zmagali się z drzewami, których drewno tradycyjnie służyło do wyrobu beczek. Komórki vrońskiego dębu (nadal na wpół żywe, mimo że drzewo dawno zostało ścięte, pocięte na klepki i ściśnięte obręczami) nieustannie wysysały i badały molekuly zamkniętego w antałku wina: niektóre uwalniały z powrotem, inne wypychały na zewnątrz, tworząc z nich aromatyczne wykwitki i skorupy. To drewno było tak samo wyczulone na warunki przechowywania, jak biblioteczna winorośl na pogodę i skład gleby; właściciel, który źle traktował beczki i nie zapewniał im ulubionych przez nie warunków, stwierdzał po

jakimś czasie, że ociekają przesączonymi na zewnątrz pożądanymi żywicami, cukrami i taninami, a w środku został mu płyn nadający się co najwyżej do mycia podłóg. Vroński dąb miał podobne upodobania jak człowiek - lubił umiarkowaną temperaturę i wilgotność, a dodatkowo był wrażliwy na drgania. Beczułki zachowywały się trochę jak instrumenty muzyczne: wpadały w wibracje od dźwięku ludzkiego głosu. Dlatego wino przechowywane w salach prób chóru smakowało inaczej niż to zgromadzone w jadalni. Klimat w Sauncie Edharze sprzyjał vrońskim dębom; co więcej, nasz koncert słychać z doskonałych technik leżakowania wina. Beczułki dobrze się czuły w naszym refektarzu i tumie i sympatycznie reagowały na nasze śpiewy i rozmowy. Konkenty, które miały mniej szczęścia, przysyłały swoje wino do nas, żeby tu leżakowało, dzięki czemu zbieraliśmy całkiem spore ilości naprawdę przyzwoitego trunku. Nie powinniśmy byli go wypijać, ale zdarzało nam się troszkę oszukiwać.

Corlandinowi udało się bezpiecznie wyłuskać korek i przelać wino do kwarcowej kolby laboratoryjnej, z której polewał do kieliszków. Pierwszy podał mnie, ale wiedziałem, że nie powinienem od razu pić. Odczekałem, aż każdy przy stole dostanie swoją porcję. Ostatni był fraa Corlandin. Podniósł kieliszek, spojrzął mi w oczy i powiedział:

- Za fraa Erasmasa i jego odzyskaną wolność: oby długo trwała, oby on umiał się nią cieszyć i oby mądrze ją wykorzystał.

Szczęknęły kieliszki. Ten kawałek o „mądrym wykorzystaniu” niezbyt mi się podobał, ale spełniłem toast.

Wino smakowało rewelacyjnie; jakby człowiek pił swoją ulubioną książkę. Wszyscy wstali do toastu i dopiero kiedy z powrotem zasiedli przy stole, mogłem ogarnąć wzrokiem resztę refektarza. Fraa i suur przy niektórych stolikach obserwowali nas i wznosili kufle, przy innych nie zwracali na nas uwagi, pograżeni w rozmowach. Na obrzeżach sali stali ci, z którymi najbardziej chciałem porozmawiać: Orolo, Jesry, Tulia i Haligastreme.

Kolacja się przeciągnęła i trudno byłoby ją nazwać

skromną. Cały czas ktoś dolewał mi wina. Czulem, że znalazłem się pod troskliwą opieką.

- Niech go ktoś zaniesie na siennik - usłyszałem w pewnym momencie. - Ma dość.

Ktoś złapał mnie pod pachy i pomógł mi wstać. Dałem się wyprowadzić do klauzury. Dopiero tam strząsałem z siebie eskortę.

Dzięki temu, że sporo czasu spędziłem w tumie, dobrze wiedziałem, których fragmentów koncentu nie widać z okien Regulatorki. Kilka razy obszedłem klauzurę, żeby trochę rozjaśniło mi się w głowie, po czym wyszedłem do ogrodu i siadłem na niewidocznej z góry ławce.

- Jesteś już istotą świadomą czy powinnam poczekać do rana? - usłyszałem.

Odwrociłem się: obok mnie stała Tulia. Wydaje mi się, że musiała mnie obudzić.

- Proszę. - Poklepałem ławkę obok siebie.

Tulia usiadła, ale niezbyt blisko. Przysiadła na podkulonym udzie, bokiem, patrząc prosto na mnie.

- Cieszę się, że już wyszedłeś - powiedziała. - Dużo się tu dzieje.

- Słyszałem. Da się to streścić w paru zdaniach?

- Oroło... Dzieje się z nim coś dziwnego. Nikt nie wie co.

- Jak to co? Zamknęli mu gwiazdny krąg! Co tu więcej trzeba wiedzieć?!

- To jasne - przytaknęła, nieco zirytowana tonem mojego głosu. - Sęk w tym, że nie wiadomo dlaczego. Oroło chyba coś wie, ale nie chce powiedzieć.

- Rozumiem. Przepraszam.

- Zamknięcie kręgu wpłynęło na kwalifik. Niektórzy z fidów, którzy mieli przystąpić do edharczyków, poszli do innych zakonów.

- To też zauważyłem. Ale dlaczego? Gdzie tu logika?

- Nie jestem pewna, czy należy się w tym doszukiwać logiki. Przed apertem wszyscy fidowie dokładnie wiedzieli, czego

chcą, a potem mnóstwo rzeczy wydarzyło się jednocześnie: inkwizytorzy, twoja pokuta, zamknięcie gwiazdznego kręgu, powołanie fraa Paphlagona... Trochę to ludźmi wstrząsnęło. Przemysłili różne rzeczy.

- W jakim sensie?

- Politycznym. Podjęli decyzje, które w innych okolicznościach nie przyszłyby im do głowy. Z pewnością cała ta sytuacja podważyła sens przystępowania do edharczyków.

- Dlatego że mają w tej chwili niewielkie wpływy polityczne?

- Nie tylko w tej chwili. Kiedy fidowie zobaczyli, co ci się przytrafiło, dotarło do nich, że nie powinni tak zupełnie lekceważyć tego aspektu koncentu.

- Już rozumiem... Taki Arsibalt na przykład, idąc do Zreformowanych Faanów Starych, którzy koniecznie chcieli go mieć u siebie...

- Może się u nich wybić, i to szybko.

- Przy kolacji serwował główne danie - przypomniałem. Ten zaszczyt był zwykle zastrzeżony dla starszych fraa.

- Mógłby zostać pewnerem. Albo hierarchą. Może nawet Prymasem. Wtedy mógłby walczyć z idiotyzmami, których się ostatnio namnożyło.

- Czyli ci, którzy ostatecznie trafili do edharczyków...

- To najlepsi z najlepszych.

- Jak Jesry.

- Otóż to.

- Będziemy was osłaniać, edharczycy, chronić w polityce, żebyście mogli swobodnie zająć się tym, co robicie najlepiej - powiedziałem.

- No... mniej więcej. Ale... kogo masz na myśli, mówiąc „my” i „wy”?

- Wszystko zmierza do tego, żebyś ty jutro poszła do Edhara, a ja do Nowego Kręgu.

- Tego właśnie wszyscy się spodziewają. Ale tak się nie stanie.

- Jak to? Trzymasz dla mnie miejsce wśród edharczyków?

- Można tak powiedzieć.

- Nie wierzę, że aż tak bardzo im na mnie zależy.

- I słusznie.

- Jak to?!

- Gdyby zorganizowali tajne głosowanie, wcale nie jest pewne, że wygrałbyś ze mną. Przykro mi, Ras; taka jest prawda. Zwłaszcza wiele suur jest po mojej stronie.

- Dlaczego oboje do nich nie dołączymy?

- To niemożliwe. Nie znam szczegółów, ale Corlandin i Haligastreme podobno się dogadali. Klamka zapadła.

- Ale jeżeli edharczycy nie chcą mnie przyjąć, to po co ta cała dyskusja? Widziałaś tę beczułkę, którą sprezentował mi Nowy Krąg? Zależy im na mnie jak diabli. Co stoi na przeszkodzie, żebym ja do nich przystał, a ty wtuliła się w stęsknione ramiona suur z edharskiej kapituły?

- Orolo jest temu przeciwny. Chce cię mieć w swoim zespole.

Tak mnie to poruszyło, że omal się nie rozpląkałem. Tym bardziej, że wino cały czas szumiało mi w głowie. Długo milczałem.

- Orolo też nie wszystko wie - powiedziałem w końcu.

- O czym ty mówisz?

Rozejrzałem się. Klauzura była za mała i zbyt cicha jak na mój gust.

- Przejdźmy się.

Nie odezwałem się ponownie, dopóki nie znaleźliśmy się na drugim brzegu rzeki, w cieniu oświetlonego księżycowym blaskiem muru. Dopiero wtedy powiedziałem Tulii, co zrobiłem podczas voco.

- To ci dopiero! - stwierdziła po dłuższej chwili. - No, ale przynajmniej jedno jest jasne.

- Niby co?

- Musisz iść do edharczyków.

- Po pierwsze, Tulio, wiecie o tym tylko ty i Lio. Po drugie,

prawdopodobnie i tak nie uda mi się zabrać stamtąd tej tabliczki. Po trzecie wreszcie, wątpię, żeby zawierała jakieś użyteczne informacje.

- Detale! - prychnęła. - Zapominasz o najważniejszym. Twoje zachowanie dowodzi, że Orolo ma rację. Powinieneś znaleźć się w jego zespole.

- A ty? Do czyjego zespołu należysz?

Nie spodobało jej się to pytanie. Musiałem zadać je drugi raz.

- To, co stało się w Dziesiątą Noc, już się nie odstanie. Wszyscy podjęliśmy decyzje, których jeszcze możemy pożałować.

- Czy to jest w jakiejś mierze moja wina?

- A kogo to obchodzi?

- Mnie. Żałuję, że nie mogłem wyjść wtedy z celi i odradzić wam niektórych pomysłów.

- Nie podoba mi się twój sposób myślenia. Zachowujesz się tak, jakbyśmy wykorzystali twoją krótką nieobecność i błyskawicznie dorośli, a ty zostałeś dzieckiem.

Zamurowało mnie. Stałem w miejscu. Tulia zrobiła jeszcze kilka kroków, zanim się do mnie odwróciła.

- Czy to jest w jakiejś mierze moja wina? - zapytała, przedrzeźniając mnie. - Kogo to obchodzi? Było, minęło. Koniec.

- Obchodzi mnie to, bo może mieć wpływ na postrzeganie mnie przez edharczyków...

- Przestań się tak tym przejmować. Albo przynajmniej tyle o tym nie mów.

- Jak chcesz. Przepraszam, po prostu zawsze miałem cię za osobę, z którą można o takich rzeczach pogadać...

- I myślisz, że do końca życia chcę pozostać taką osobą? Powiernikiem całego koncentu?

- Najwyraźniej nie chcesz.

- No właśnie. Skończmy tę rozmowę. Idź do Haligastreme, ja poszukam Corlandina; powiemy im, że jutro wступujemy do ich zakonów.

- Dobrze.

Z udawaną nonszalancją wzruszyłem ramionami i zawróciłem w kierunku mostu. Tulią dogoniła mnie i dalej poszliśmy razem. Nie odzywałem się. Zaprzętała mnie perspektywa wstąpienia do zakonu, który mnie nie chce i którego wielu członków może mieć do mnie pretensje, że zająłem miejsce przeznaczone dla Tuli.

Jakaś cząstka mnie miała ochotę ją zniechęcić za tę bezwzględność, lecz z satysfakcją muszę przyznać, że zanim dotarliśmy do końca mostu, ten głos umilkł (w przyszłości miał się jeszcze czasem odzywać, ale starałem się go wtedy ignorować). Byłem śmiertelnie przerażony, że w takich okolicznościach dołączę do Zakonu Edhara, ale wiedziałem, że najlepiej zrobię, pracując naprzód, bez wspierania się na ramieniu Tuli (czy kogokolwiek innego); czułem się trochę podobnie jak przy przeprowadzaniu dowodu teoretycznego, kiedy człowiek wie, że jest na właściwym tropie, i wszystko inne przestaje się liczyć. Promyk piękna, o którym wspomniał Orolo, sięgał ku mnie poprzez mrok. Mogłem podążyć za nim jak po wygodnej drodze.

- Chcesz porozmawiać z Orolem? - zapytał fraa Haligastreme, kiedy podzieliłem się z nim radosną nowiną.

Nie zdziwił się, nie podskakiwał z radości... Był zmęczony. Jeden rzut oka na jego twarz, widoczną w blasku świateł w Starym Kapitularku, pozwolił mi stwierdzić, że ostatnie tygodnie wiele go kosztowały.

Rozważyłem jego propozycję. Rozmowa z Orolem wydawała się oczywistym posunięciem, a ja nawet nie próbowałem się z nim spotkać. Po rozmowie z Tulią niespecjalnie miałem ochotę zarywać noc po to, żeby opowiadać ludziom o swoich uczuciach.

- Gdzie jest?

- Powinien być na łące, z Jesrym. Prowadzą obserwacje gołym okiem.

- W takim razie nie będę im przeszkadzał.

Miałem wrażenie, że Haligastreme czerpie siłę z moich słów.

Ten fid nareszcie zachowuje się jak na chłopaka w jego wieku przystało.

- Tulia uważa, że Orolo chce, żebym trafił... tutaj - dodałem.

Powiodłem wzrokiem po Starym Kapitularku, mieszczącym się w rozszerzeniu okalającego klauzurę krążganka. Rzadko z niego korzystano, tylko czasem odbywały się tu uroczystości - ale nie przestał być sercem obejmującego cały świat zakonu. To tutaj saunt Edhar opracował podwaliny swojej teoryki.

- Ma rację - odparł Haligastreme.

- W takim razie i ja chcę tu zostać, nawet jeśli przyjęcie z waszej strony będzie... letnie.

- Może tak to wygląda z twojego punktu widzenia, ale możesz mi wierzyć, to dla twojego dobra.

- Nie jestem przekonany.

- Niech ci będzie. - Haligastreme trochę się zirytował. - Może są i tacy, którzy mają swoje powody, żeby cię tu nie chcieć. Ale sam określiłeś przyjęcie jako letnie, a nie chłodne czy wrogie. Miałem na myśli tylko tych „letnich”.

- Jesteś jednym z nich?

- Tak. Nas, letnich, martwi tylko jedno...

- Czy nadążę za resztą.

- Otóż to.

- Nawet jeśli nie, zawsze możecie mnie zapytać o którąś tam cyfrę pi.

Haligastreme wyświadczył mi tę uprzejmość, że parsknął śmiechem.

- Wiem, że was to niepokoi - ciągnąłem. - Ale was nie zawiodę. Jestem to winien Arsibaltowi, Lio i Tulii.

- Jak to?

- Poświęcili się, żeby w przyszłości koncent mógł lepiej funkcjonować. Może dzięki nim nowe pokolenie hierarchów będzie lepsze od tego, które nam się trafiło. I może ci nowi dadzą edharczykom pracować w spokoju.

- Chyba że samo bycie hierarchą zmienia człowieka.

Sześć tygodni po tym, jak dołączyłem do zakonu edharskiego, zaciąłem się na problemie podsunętym mi do rozwiązania przez jednego z pomagierów Orola, który w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że nie mam pojęcia, co to znaczy, że dwie hiperpowierzchnie są styczne. Poszedłem się przejść. Nie patrząc, gdzie idę, przeszedłem na drugi brzeg zamarznętej rzeki i znalazłem się w gaju drzew arkuszowych porastających pagórek między Bramą Dekady i Bramą Stulecia.

Mimo najszczerzych wysiłków twórców tych drzew zaledwie co dziesiąty liść stanowił wartościowy materiał i nadawał się do zastosowania w typowej książce formatu *quarto*. Najczęściej liście okazywały się zbyt małe lub tak nieregularne, że po włożeniu w przycinarkę nijak nie dało się z nich zrobić prostokąta - takie wady dyskwalifikowały około czterech sztuk z dziesięciu (nieco więcej w latach suchych i zimnych, nieco mniej przy sprzyjającej aurze). Dziury wygryzione przez insekty oraz grube żyłki, które utrudniałyby pisanie po spodniej stronie, sprawiały, że liść mógł pójść co najwyżej na kompost; tego rodzaju szkazy spotykało się najczęściej u liści rosnących blisko ziemi. Najlepsze plony zbieraliśmy z gałęzi w połowie wysokości korony, niezbyt daleko od pnia. Arbotekci zadbali o to, by w środkowej części drzewa nie brakło grubych konarów, po których młodzież mogła się z łatwością wspinać. Kiedy byłem fidem, co roku jesienią spędzałem chyba z tydzień na gałęziach takich drzew, zrywając najlepsze liście, które szybując, opadały na ziemię, do starszych deklarantów, a ci układali je w koszach. Później przywiązywaliśmy je za ogonki do rozciągniętych między drzewami sznurków, żeby schły w coraz chłodniejszym powietrzu. Po pierwszym zabójczym przymrozku zabieraliśmy je pod dach, układaliśmy w stosy i przygniataliśmy tonami kamieni. Prawidłowe postarzenie arkusza wymaga około stu lat, toteż po

przygnieceniu kamieniami bieżących zbiorów odszukiwaliśmy podobne stosy sprzed mniej więcej stulecia i - jeśli wyglądały na gotowe - zdejmowaliśmy z nich ciężary i rozdzielaliśmy arkusze. Najlepsze okazy trafiały do przycinarek, skąd rozsyłaliśmy je po całym koncencie jako surowiec do produkcji ksiąg.

Poza okresem żniw rzadko zapuszczałem się do zagajnika. Teraz spacer przypomniiał mi boleśnie, że zbieramy tylko drobną część jego plonów; reszta obsychała, kurczyła się i opadała. Puste stronice czyniły wiele szumu, kiedy brnąłem wśród nich, wypatrując pewnego szczególnie okazałego drzewa, na które zawsze lubiłem się wdrapywać. Kiedy wreszcie je znalazłem, nie oparłem się pokusie i wspiąłem się na dolne gałęzie. Jako chłopiec wyobrażałem sobie w takiej chwili, że znajduję się w sercu rozległej puszczy, co było wizją znacznie bardziej romantyczną od rzeczywistości, na jaką składał się zamknięty za murami matem otoczony kasynami i warsztatami oponiarskimi. Teraz jednak, kiedy drzewa potraciły liście, widziałem doskonale, że znajduję się bardzo blisko wschodniego skraju zagajnika; zarośnięte bluszczem ruiny Fundy Shufa miałem na wyciągnięcie ręki. Poczulem się trochę głupio, kiedy pomyślałem, że Arsibalt mógł mnie zobaczyć przez okno, zszedłem więc na ziemię i ruszyłem w stronę ruin. Arsibalt spędzał tam całe dni i już od dłuższego czasu dopominał się, żebym go odwiedził, a ja ciągle się migąłem. Teraz nie mogłem się wymknąć.

Musiąłem pokonać niski żywopłot okalający zagajnik. Rozgarniając poskręcane gałązki, poczułem najpierw dotyk zimnego kamienia, a zaraz potem ból. Nie był to zwykły żywopłot, lecz kamienny murek, który posłużył za treliaż dla pokrywających go pnączy. Przeskoczyłem nad nim i poświęciłem dłuższą chwilę na wypłatanie zawoju i sznura, które pozahaczały o krzewy. Znalazłem się na czyimś kłębie, wysuszonym i zbrązowiałym. Czarna ziemia nosiła ślady rycia w miejscach, skąd niedawno wygrzebano ostatnie w tym roku ziemniaki. Przeprawa przez mur sprawiła, że poczułem się w tym miejscu jak intruz. Domyślałem się, że właśnie wywołanie takiego efektu było zamiarem Dynastii

Shufa, kiedy budowali murek, ale przy okazji wyjaśniało także, jak to się stało, że ci, którzy znaleźli się po jego niewłaściwej stronie, znudzili się nim w końcu i dynastia została przerwana. Zburzenie muru wymagałoby zbyt wiele zachodu, toteż zadanie to pozostawiono bluszczowi i mrówkom. Ostatnimi czasy Zreformowani Faanowie Starzy upodobali sobie tę okolicę, a kiedy nikt nie zaprotestował, rozgościli się w fundzie na dobre i zaczęli wygodnie urządzić.

Bezmian Gardana: Reguła, której sformułowanie przypisuje się fraa Gardanowi (ur. -1110, zm. -1063), stwierdzająca, że przy rozważaniu dwóch konkurencyjnych hipotez należy umieścić je na ramionach metaforycznego bezmianu (jest to rodzaj prymitywnej wagi, złożonej z poziomego ramienia umocowanego na centralnie umieszczonej osi) i pierwszeństwo dać tej, która „podniesie się wyżej” (w domyśle dlatego, że jest „lżejsza”). Gardan postulował, że koncepcje prostsze, a więc „lżejsze”, powinny przeważać nad „cięższymi”, czyli bardziej złożonymi. Reguła jest znana również jako „Bezmian saunta Gardana” albo po prostu „Bezmian”.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Nawet bardzo wygodnie, co stało się oczywiste, gdy wszedłem po schodach i pchnąłem drzwi (znowu zmagając się ze świadomością, że bezprawnie wkraczam na cudzy teren). Cieśle ZFS wyłożyli pustą kamienną skorupę drewnianymi podłogami i boazerią - chociaż deklarantów specjalizujących się w tej robocie zamiast cieślami należałoby chyba nazwać mistrzami stolarki precyzyjnej, bo całe wyposażenie zostało wykonane i spasowane z dokładnością, która zaimponowałaby nawet Cord. W środku znajdowała się jedna kwadratowa komnata, mierząca dziesięć na dziesięć kroków. Pod ścianami ciągnęły się regały z książkami, z prawej strony ogień płonął w kominku, a z lewej dzieńne światło północnego nieba wlewało się przez okno umieszczone w

ogromnym wykuszu, szerokim i zaokrąglonym jak sam Arsibalt, który tam siedział, czytając księgę tak starą, że jej stronicie musiały przekładać szczypcami. Czyli nie widział, jak wlażyłem na drzewo; mogłem się wymknąć. Nie żałowałem jednak, że tu przyszedłem. Ucieszyłem się na jego widok.

- Wyglądasz jak sam Shuf - powiedziałem.

- Cii! - uciszył mnie i rozejrzał się po sali. - Nie mów tak. Ludzie będą na ciebie krzywo patrzeć. Na pewno każdy zakon ma taką swoją kryjówkę, wysepkę luksusu, przez którą Saunta Cartas przewraca się w swoim chalcedonowym sarkofagu.

- To też niewąskie luksusy, taki chalcedon...

- Daj spokój, masz pojęcie, jak tam ciągnie w zimie od dołu?

- Ach tak, to stąd się wzięło powiedzenie „Zimno jak u Cartas w...”.

- Cicho bądź!

- Wiesz, co ci powiem? Jeśli edharczycy też mają gdzieś taką przytulną kanciapę, to jeszcze mi jej nie pokazali.

- Bo oni w ogóle są dziwni. - Arsibalt przewrócił oczami i zmierzył mnie wzrokiem. - Może kiedy się bardziej zasłużysz...

- A ty? Masz dziewiętnaście lat... Kim ty tu właściwie jesteś? Pewuerm Zreformowanych Faanów Starych?

- Rzeczywiście, szybko doszliśmy z kapitułą do porozumienia. Zgodzili się pomóc mi w moim dziele.

- Pojednania z deolatrami?

- Niektórzy z faanów wierzą w Boga.

- Ty też? Dobrze, już nic nie mówię - dodałem, widząc, że trzeci raz zamierza mnie uciszyć.

Ale przynajmniej wreszcie wstał z miejsca i mnie oprowadził. Pokazał mi kilka eksponatów ze złotej ery Fundy Shufa: złote filiżanki i wysadzane klejnotami okładki książek, przechowywane w oszklonych gablotach. Kiedy zarzuciłem faanom, że na pewno mają pochowane gdzieś inne skarby, z których w sekrecie popijają, Arsibalt tylko się zarumienił.

Pod wpływem naszej rozmowy zaczął myśleć o jedzeniu,

odłożył więc książkę na miejsce i udaliśmy się na obiad. Nie poszliśmy na certyfik - mogliśmy sobie pozwolić na ten luksus, ponieważ jacyś młodzi fraa przejęli nasze obowiązki i przez kilka dni w tygodniu zastępowali nas przy nakręcaniu zegara. Kiedy zupełnie przestaniemy się udzielać przy certyfikach, co powinno nastąpić za jakieś dwa, trzy lata, wolny czas będziemy przeznaczać na praktykowanie naszych profesji, czyli praktycznych umiejętności, które mogą w jakiś sposób poprawić życie całego koncentu. Na razie jednak byliśmy w tej wygodnej sytuacji, że mogliśmy mieć się różnych zajęć i sprawdzać, czy nam odpowiadają.

Weźmy na przykład fraa Orola i jego wieczne dyskusje z winoroślą biblioteczną. Koncent był położony zbyt daleko na północ od równika i krzewy nie były tym zachwycone, ale posadziliśmy je na słonecznym południowym stoku, między gajem drzew arkuszowych i murem koncentu, i tam łaskawie zgodziły się owocować.

- Pszczelarstwo - powiedział Arsibalt, kiedy zapytałem, jaka profesja najbardziej go pociąga.

Parsknąłem śmiechem, wyobraziwszy go sobie obleganego przez rój pszczół.

- Zawsze myślałem, że znajdziesz sobie zajęcie, niewymagające wychodzenia na dwór - przyznałem. - Związane z martwymi przedmiotami. Mógłbyś oprawiać książki.

- O tej porze roku pszczelarstwo nie wymaga wychodzenia na dwór i jest związane z martwymi przedmiotami - zauważył. - Może kiedy pszczoły obudzą się z hibernacji, przestanie mi się tak podobać. A ty nad czym się zastanawiasz, fraa Erasmasie?

Nie mógł wiedzieć o tym, że to dla mnie drażliwy temat. Profesja była deklarantowi potrzebna z jeszcze jednego powodu: gdyby się okazało, że do niczego się w zakonie nie nadaje, mógł sobie darować książki, kredownie i dialogi i przepracować resztę życia jako konwers. Nazywano to „wycofaniem”. Takich deklarantów było całkiem sporo: gotowali strawę, warzyli piwo, kładli bruki - i nikt nie robił tajemnicy z tego, że się wycofali.

- Ty sobie możesz wybrać jakiegoś zabawnego konika, na przykład pszczelarstwo - powiedziałem. - W twoim wypadku zawsze będzie to co najwyżej ekscentryczne hobby, bo wycofanie ci nie grozi. Chyba że ZFS nagle zwerbują tabun geniuszy. U mnie prawdopodobieństwo wycofania się jest o wiele większe. Muszę znaleźć taką profesję, którą naprawdę mógłbym wykonywać przez następne osiemdziesiąt lat i nie zwariować.

W tym momencie Arsibalt przegapił okazję zapewnienia mnie, że jestem bardzo bystry i nie będę musiał się wycofywać, ale nie przeszkadzało mi to. Po odbytej sześć tygodni wcześniej niezbyt udanej rozmowie z Tulią starałem się mniej cierpieć, a więcej czasu poświęcać na załatwianie konkretów.

- Są różne możliwości - ciągnąłem. - Ktoś na przykład musi dbać o to, żeby przyrządy w gwiezdnych kręgu funkcjonowały jak należy.

- Możliwości byłyby znacznie bardziej realne, gdybyś miał dostęp do kręgu - zauważył.

Mogliśmy rozmawiać swobodnie, ponieważ brodziliśmy w suchych arkuszach i w pobliżu nikogo nie było - chyba że suor Trestanas schowała się w kupie liści i zaciekle strzygła uszami.

Zatrzymałem się i zadarłem głowę.

- A ty co? - zdziwił się Arsibalt. - Czekasz, aż inkwizytor spadnie z drzewa?

- Nie, tak tylko patrzę.

Staliśmy na małym pagórku, skąd rozciągał się doskonały widok na tum - my zaś, schowani w zagajniku, byliśmy z niego prawie niewidoczni, mogłem więc bez przeszkód pogapić się na gwiezdny krąg. Podwójny teleskop Mithry i Mylaksa nawet nie drgnął przez te trzy miesiące, odkąd krąg został zamknięty: nadal był wycelowany w północną część nieba.

- Pomyślałem sobie, że jeśli Orolo oglądał przez M&M coś, czego nie powinien był oglądać, pewną wskazówką dla nas może być położenie teleskopu w ostatnim dniu, kiedy go używał. Może nawet zarejestrował wtedy jakieś obrazy, których na razie nie znamy.

- Widzisz, jak jest wycelowany M&M. Co możesz z tego wywnioskować?

- Tylko tyle, że Orola zainteresowało coś, co znajduje się nad biegunem.

- A co znajduje się nad biegunem? Oprócz gwiazdy polarnej...

- W tym właśnie sęk, że nic.

- Jak to nic? Coś tam musi być.

- Ale to mi psuje hipotezę.

- Powiedz mi, z łaski swojej, jakąż to hipotezę wysnułeś?

Najlepiej porozmawiajmy o tym w marszu, kierując się do miejsca, w którym jest ciepło i dają coś do jedzenia.

Ruszyłem z miejsca i puściłem Arsibalta przodem, żeby torował mi przejście wśród liści.

- Podejrzewam, że to kamień - powiedziałem do jego pleców.

- Znaczy się, asteroida.

- No tak. Ale kamienie nie nadlatują znad bieguna.

- Skąd ta pewność? Mogą przecież przylecieć skąd chcą.

- W zasadzie tak, ale prawie zawsze poruszają się w tej samej płaszczyźnie co planety, tak zwanej płaszczyźnie ekliptyki. Dlatego należy ich szukać w jej pobliżu.

- To argument czysto statystyczny. Może to po prostu jakiś niezwykle kamień.

- Bezmian to wyklucza.

- Bezmian saunta Gardana jest cennym narzędziem, ale wyklucza wiele zjawisk naturalnych - stwierdził Arsibalt. - Mnie i ciebie również.

Orolo przysiadł się do nas i pierwszy raz od niepamiętnych czasów mogłem z nim porozmawiać. Usiadł w takim miejscu, żeby mieć z okna widok na góry, i wpatrywał się w nie z podobną

miną jak ja, całkiem niedawno, w gwiazdny krąg. Dzień był pogodny i wszystkie szczyty rysowały się wyraźnie na tle nieba. Wydawały się tak bliskie, że można by w nie rzucać kamieniami.

- Ciekawe, co będzie dziś widać ze szczytu Kopca Bly'a - westchnął. - Na pewno więcej niż od nas.

- Czy to tam srogowie zjedli wątrobę saunta Bly'a? - zapytałem.

- Tak.

- A to jest gdzieś blisko? Myślałem, że na innym kontynencie...

- Ależ nie, saunt Bly był edharczykiem! Możesz sprawdzić w kronice. Gdzieś trzymamy wszystkie zakonserwowane relikwie, jakie nam po nim zostały.

- Chcesz powiedzieć, że na szczycie kopca jest obserwatorium? Nie kpisz sobie ze mnie?

Orolo wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Estemard zbudował tam teleskop po tym, jak porzucił zakon i wzburzony wybiegł przez Bramę Dzienną.

- A ten Estemard to...

- Jeden z moich dwóch nauczycieli.

- Drugim był Paphlagon?

- Tak. Obaj mniej więcej w tym samym czasie stwierdzili, że mają dość naszego zakonu. Estemard odszedł, a Paphlagon pewnego wieczoru, po kolacji, wszedł do górnego labiryntu i nie widziałem go przez następne ćwierć wieku, aż do... wiesz. A co ty robiłeś, kiedy Paphlagon został powołany? Byłeś jeszcze przecież gościem Autipete.

Autipete była postacią mitologiczną, która zasłynęła tym, że zaskoczyła ojca we śnie i wylupiła mu oczy. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak nazwał suur Trestanas. Przygryzłem wargę i pokręciłem głową. Arsibalt parsknął zupą przez nos.

- To nie fair - powiedziałem. - Ona tylko wykonuje rozkazy.

Orolo już się szykował do splantowania mnie.

- W okresie Trzeciego Zwiastuna często zdarzało się, że ludzie, którzy dopuścili się najgorszych zbrodni, utrzymywali...

- Że tylko wykonywali rozkazy. Wiem. Wszyscy o tym wiemy.

- Fraa Erasmus cierpi na Zespół Saunta Alvara - wtrącił Arsibalt.

- Tamci ludzie z Trzeciego Zwiastuna wrzucali spychaczami dzieci do pieców - odparłem. - A jeśli chodzi o saunta Alvara... Jako jedyny ocalał z zagłady swojego koncentu podczas Trzeciej Łupieży i przeżył trzy dekady w areszcie. Trudno to chyba porównać z odcięciem nas od teleskopów na kilka tygodni, nie sądzicie?

Orolo porozumiewawczym mrugnięciem przyznał mi rację.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie: co robiłeś podczas voco?

Z przyjemnością bym odpowiedział - i tak właśnie zrobiłem, tyle że obróciłem wszystko w żart:

- Kiedy nikt nie patrzył, pobiegłem na górę, do gwiazdowego kręgu. Chciałem prowadzić obserwacje, ale niestety świeciło słońce.

- Przeklęta świetlista kula! - zgodził się ze mną Orolo, ale coś mu przyszło do głowy, bo zapytał: - Wiesz chyba o tym, że nasze instrumenty mogą zarejestrować niektóre bardzo jasne obiekty nawet za dnia?

Skoro podjął grę, nie wypadało mi z niej teraz rezygnować.

- Na moje nieszczęście M&M był zwrócony w niewłaściwą stronę. A ja nie miałem dość czasu, żeby go przestawić.

- W niewłaściwą stronę... Niewłaściwą do czego?

- Do oglądania jasnych obiektów, takich jak planety albo...

- Zawahałem się.

Jesry siedział nieopodal, przy pustym stoliku, zwrócony twarzą do mnie i Oroła. Nie tknął jedzenia. Gdyby był wilkiem, postawiłby uszy i strzygł nimi w naszym kierunku.

- Czy byłoby to dla ciebie bardzo kłopotliwe, gdybym poprosił cię o jakieś przyzwoite zakończenie tego zdania? - zapytał

Orolo.

Arsibalt wyglądał na równie poruszonego, jak ja się czułem. Zaczęło się od żartu, a teraz fraa Orolo czynił jakieś całkiem poważne aluzje... Tyle że nie wiedzieliśmy do czego.

- Nie licząc supernowych, bardzo jasne obiekty znajdują się najczęściej niedaleko nas, czyli w naszym Układzie Słonecznym. Zazwyczaj więc należy ich szukać w pobliżu płaszczyzny ekliptyki. Wracając zatem do mojej nedorzecznej fantazji o wizycie w gwiazdnym kręgu, musiałbym przestawić M&M z pozycji okołobiegunowej w położenie bliższe płaszczyzny ekliptyki, żeby móc cokolwiek zaobserwować.

- Ja tylko pilnuję, żeby twoja nedorzeczna fantazja nosiła znamiona wewnętrznej spójności - wyjaśnił fraa Orolo.

- I jak? Teraz jesteś zadowolony?

Wzruszył ramionami.

- Przedstawiłeś rozsądną argumentację, ale na twoim miejscu nie lekceważyłbym biegunów. Wiele rzeczy się w nich zbiega.

- Na przykład... co? Południki? - prychnąłem.

- Wędrownie ptaki? - zadrwił Arsibalt.

- Igły kompasowe? - odezwał się Jesry.

- Orbity biegunowe - zabrzmiał czyjś piskliwy głosik.

Odwróciliśmy się jak na komendę: Barb szedł w naszą stronę, niosąc swoją tacę z jedzeniem. Musiał nas podsłuchiwać, stojąc w kolejce, a teraz udzielił nam odpowiedzi głosem niedorostka, słyszalnym chyba aż na Kopcu Bly'a. Jego słowa zwróciły powszechną uwagę.

- To wynika z definicji - mówił dalej tym melodyjnym tonem, którego używał za każdym razem, kiedy recytował wycytane w książkach mądrości. - Satelita na orbicie biegunowej Arbre musi podczas każdego okrążenia przelecieć nad oboma biegunami.

Orolo włożył do ust kęs nasączonego sosem chleba, żeby ukryć rozbawienie. Barb stanął obok mnie, z tacą kilka cali od mojego ucha, ale nie zanosilo się na to, żeby miał się do nas

dosiąść.

Poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Spojrzałem na siedzącego kilka stołów dalej fraa Corlandina - i przyłapałem go na tym, jak właśnie odwraca wzrok. Z pewnością jednak słyszał dalszy ciąg wypowiedzi Barba:

- Teleskop wycelowany na północ mógłby z dużym prawdopodobieństwem wykryć...

Pociągnąłem go za wolny koniec zawoju. Jedna jego ręka opadła niżej, całe jedzenie zjechało na skraj tacy, która przechyliła się gwałtownie, i posypało się na ziemię.

Wszyscy na nas spojrzeli. Barb stał jak oniemiały.

- Moją rękę poruszyła siła nieznanego pochodzenia! - oświadczył.

- Bardzo cię przepraszam, to moja wina - powiedziałem.

Barb nie zwracał na mnie uwagi, zafascynowany bałaganem na podłodze. Wiedząc, jak pracuje jego umysł, stanąłem przed nim i położyłem mu ręce na ramionach.

- Barb, spójrz na mnie.

Posłusznie podniósł wzrok.

- To moja wina - powtórzyłem. - Zahaczyłem o twój zawój.

- Jeżeli to twoja wina, to powinienes posprzątać - stwierdził rzeczowo.

- Zgadza się - odparłem. - To właśnie zrobię.

Zanim poszedłem po kubek, usłyszałem jeszcze, jak Jesry wypytuje Barba o przekroje stożkowe.

Calca: (1) W proto - i starorthyjskim: kreda lub inny materiał służący do stawiania znaków na twardej powierzchni. (2) W średniorthyjskim i później: wyliczenie, szczególnie takie, które wskutek znacznej złożoności i mozołu wymaga zużycia dużej ilości kredy. (3) W języku Epoki Praksis i późniejszym: objaśnienie, definicja lub lekcja niezbędna dla przedstawienia

jakiegoś obszerniejszego zagadnienia, która ze względu na swoją długość, abstrakcyjność lub nadmiernie sformalizowany charakter została wydzielona z dialogu i przedstawiona w formie przypisu lub apendyksu, aby nie odwrócić uwagi czytelnika od głównego toku rozumowania.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Jedna harówka płynnie przeszła w drugą, gdy suur Ala przypomniała mi usłudnie, że dziś przypada na mnie obowiązek posprzątania kuchni po obiedzie. Ledwie zacząłem, gdy zauważyłem, że przyplątał się do mnie Barb: chodził za mną krok w krok, nie garnąc się bynajmniej do pomocy. Z początku drażnił mnie swoim zachowaniem, którym kolejny raz dowodził kompletnego nieprzystosowania do życia w społeczeństwie, ale kiedy oswoiłem się z jego obecnością, uznałem, że taki układ nawet mi odpowiada. Czasem łatwiej jest pracować w samotności; próby porozumienia i koordynacji z innymi bywają niewarte zachodu. Wielu ludzi mimo wszystko próbowałoby mi pomóc, ponieważ uznaliby, że tak wypada albo że w ten sposób wzmacnia się więzy społeczne. Żadne takie względy nie mąciły w głowie Barbowi, który po prostu do mnie gadał. Z mojego punktu widzenia było to pożądane bardziej niż jego ewentualna „pomoc”.

- Studiowanie orbit jest tak samo nudne jak praca w kuchni
- stwierdził z powagą, patrząc, jak klękam i nurzam rękę po łokieć w zatkanym tłuszczem odpływie.

- Rozumiem, że pra-suur Ylma udziela ci lekcji - stęknąłem.

Czyszcząc odpływ, łatwiej mogłem maskować upokorzenie. Ja zacząłem się uczyć o orbitach w drugim roku pobytu w matemie; Barb był u nas dopiero drugi miesiąc!

- Mnóstwo iksów, igreków i zetów! - wykrzyknął.

Parsknąłem śmiechem.

- Owszem - zgodziłem się z nim. - Jest ich sporo.

- A powiedzieć ci, co jest w tym wszystkim najgłupsze?

- Śmiało, Barb. Wal.

Wygarnąłem garść obierek, zmagając się z ciśnieniem dwudziestu galonów przyblokowanych pomyj. W odpływie

zagulgotało i brudna woda zaczęła spływać.

- Pierwszy lepszy slog, który wyszedłby w nocy na łąkę i zobaczył najpierw satelity na orbitach biegunowych, a potem inne satelity krążące nad równikiem, zorientowałby się, że to są różne orbity. Ale jak się tak policzy te wszystkie współrzędne... to wiesz, co wychodzi?

- No co?

- Dostaje się całą masę iksów, igreków i zetów i wcale nie widać, które orbity są biegunowe, a które równikowe. A na niebie byle głab widzi różnicę!

- Mało tego - odparłem. - Kiedy masz przed sobą tylko iksy, igreki i zety, to trudno nawet poznać, że to w ogóle są jakieś orbity.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Orbita to twór stabilny. Stała trajektoria. Oczywiście satelita pozostaje w ciągłym ruchu, ale zawsze porusza się w taki sam sposób. Iksy, igreki i zety wcale tej stabilności nie pokazują.

- No właśnie! Jak tak człowiek poznaje coraz lepiej tę teorię, to tylko widzi, że się robi coraz głupszy!

Podeksytowany Barb roześmiał się głośno i obejrzał teatralnie przez ramię, jakbyśmy dopuszczali się jakiejś niewiarygodnej psoty.

- Ylma każe ci rozgryzać orbity w najtrudniejszy z możliwych sposobów - dodałem. - Przez współrzędne saunta Lespera. Później pokażę ci, jak naprawdę należy to liczyć, i wszystko wyda ci się o wiele prostsze.

Barb zaniemówił, ja zaś mówiłem dalej:

- To tak jakbyś walił się przez jakiś czas młotkiem w głowę; jak w końcu przestaniesz, będziesz zachwycony.

To był dowcip z długą brodą, ale Barb usłyszał go pierwszy raz i tak go to rozbawiło, że musiał chwilę poganiać po kuchni w tę i z powrotem, żeby dać upust rozpierającej go energii. Jeszcze niedawno zaniepokoiłbym się jego zachowaniem i próbował go uspokoić, ale przez ostatnie tygodnie zdażyłem przywyknąć i wiedziałem, że jeśli spróbuję do niego podejść, tylko

pogorszą sprawę.

- A jaki jest ten właściwy sposób?

- Elementy orbitalne. Sześć liczb, które w pełni opisują ruch satelity.

- Ale przecież ja już je znam.

- Wymień je.

- Położenie satelity na osiach X, Y i Z saunta Lespera: to trzy. Prędkość wzdłuż każdej osi: następne trzy. Razem sześć.

- Ale miałeś rację, mówiąc, że te sześć liczb nie wystarczy, żeby wyobrazić sobie orbitę. Ba, po nich nie widać nawet, że to w ogóle jest orbita. A ja zmierzałem do tego, że teoryka pozwala zastąpić je innymi sześcioma liczbami, tak zwanymi elementami orbitalnymi, na których o wiele łatwiej się pracuje, ponieważ wystarczy jeden rzut oka, żeby stwierdzić, czy mamy do czynienia z orbitą biegunową, czy równikową.

- To dlaczego pra-suur Ylma nie zaczęła od nich?

Nie mogłem mu odpowiedzieć: „Bo za szybko się uczysz”, ale gdybym przesadził z dyplomacją, przejrzałby mnie na wylot i splantował na miejscu. Nagle doznałem iluminacji: byłem nie mniej niż Ylma odpowiedzialny za to żeby uczyć fidów właściwych rzeczy we właściwym czasie.

- Jesteś gotowy do tego, żeby przestać pracować z układem współrzędnych saunta Lespera i przejść do innych rodzajów przestrzeni, tak jak to robią prawdziwi, dorośli teoretycy.

- Masz na myśli równoległe wymiary egzystencji? - spytał Barb. Najwyraźniej wychował się na tych samych szpilach co ja.

- Nie. Przestrzenie, o których mówię, to nie są przestrzenie fizyczne, namacalne, które możesz pomierzyć linijką. To twory teoretyczne, abstrakcyjne, rządzące się innymi prawami, tak zwanymi zasadami działania. Ulubiona przestrzeń kosmografów ma sześć wymiarów: po jednym na każdy element orbitalny. Ale to narzędzie specjalistyczne, używane tylko przez nich. Za to w początkach Epoki Praksis saunt Hemn opracował inne, nadające się do bardziej ogólnych zastosowań...

W tym miejscu przedstawiłem Barbowi calcę* o

przestrzeniach Hemna, czyli przestrzeniach konfiguracyjnych, które Hemn wymyślił, kiedy - tak jak Barbowi - znudziło mu się liczenie iksów, igreków i zetów.

Dostać setki: (wyrażenie potoczne, pejoratywne) Postradać zmysły, stać się niespełna rozumu, nieodwracalnie zbłądzić ze ścieżki teoryki. Genezy wyrażenia należy szukać w okresie trzeciego apertu stuletniego, kiedy po otwarciu bram kilkunastu matemów stuletnich odkryto zdumiewające rzeczy: w Sauncie Rambalfie tuż przed otwarciem bramy doszło do zbiorowego samobójstwa; w Sauncie Terramore nie znaleziono zupełnie nic, nawet ludzkich szczątków; w Sauncie Byadinie ujawniła się nieznana wcześniej religijna sekta matarrhitów (istniejąca zresztą do dzisiaj); w Sauncie Lesperze miejsce ludzi zajął nieznany gatunek nadrzewnych naczelnych; w Sauncie Phendrze w podziemnym labiryncie uruchomiono prymitywny reaktor jądrowy. Takie i inne wypadki doprowadziły do utworzenia Inkwizycji oraz instytucji hierarchów w jej nowoczesnej formie, włączając w to Regulatorów mających prawo do inspekcji i nakładania kar we wszystkich matemach.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Pod wieczór złapałem fraa Orola wychodzącego z kredowni. Przystanęliśmy przy ścianie z pełnymi arkuszy przegródkami, żeby spokojnie porozmawiać. Wiedziałem, że nie powinienem pytać, o co mu chodziło, kiedy w refektarzu sprowokował dziwną dyskusję o dziennych obserwacjach kosmograficznych: jeśli uparł się, żeby czegoś nas w ten sposób nauczyć, żadna siła nie byłaby go w stanie przekonać do udzielenia odpowiedzi wprost. Zresztą i tak bardziej martwiły mnie jego inne, wcześniejsze słowa.

- Chyba jeszcze nie wychodzisz, prawda?

Uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział.

- Zawsze się martwiłem, że postanowisz przejść labirynt i zostać setnikiem, co byłoby fatalne. Ale kiedy posłuchałem, jak mówisz o fraa Estemardzie, zacząłem się martwić, że chcesz tak jak on zostać dzikusiem.

- Co to oznacza, że zacząłeś się martwić?

To właśnie była odpowiedź w stylu Orola. Westchnąłem ciężko.

- Zdefiniuj martwienie się - nie ustępował.

- Słucham?!

- Wyobraź sobie, że jestem człowiekiem, który nigdy niczym się nie martwił. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Po prostu cię nie rozumiem. Naucz mnie martwić się.

- No dobrze... Powinieneś chyba zacząć od wyobrażenia sobie ciągu możliwych wydarzeń w przyszłości.

- Robię to nieustannie. Ale jakoś się nie martwię.

- Ten ciąg musi mieć złe zakończenie.

- Aha. Martwisz się, że różowy smok przeleci nad koncentem i pierdnie na nas gazem paralizującym?

Zachichotałem nerwowo.

- Nie.

- W takim razie nadal nie chwytam. - Orola był śmiertelnie poważny. - Przecież właśnie przedstawiłem ci ciąg wydarzeń, który źle się kończy.

- Ale to bzdura. Nie ma różowych smoków, które pierdzą gazem paralizującym.

- Niech ci będzie. W takim razie... niebieski smok.

Przechodzący obok Jesry zauważył, że wdaliśmy się z Orole w dialog, podszedł więc do nas (choć nie za blisko) i przyjął postawę widza: ręce splecione pod zawojem, głowa spuszczone, brak kontaktu wzrokowego.

- Kolor smoka nie ma nic do rzeczy - zaproponowałem. - Smoki pierdzące gazem paralizującym nie istnieją!

- Skąd wiesz?

- Nikt ich nigdy nie widział.

- Nikt również nie widział, żebym opuszczał koncent, a

jednak martwi cię taka możliwość.

- Rzeczywiście. Poprawka: cała idea takiego smoka jest niespójna. Najprawdopodobniej żaden organizm w naturze nie ma takiej przemiany materii, aby wytwarzać gaz paraliżujący. Idea latających zwierząt wielkości smoków przeczy podstawowym prawom skalowania żywych istot. I tak dalej.

- No proszę, mnóstwo wyjaśnień natury biologicznej, chemicznej, teoretycznej... Domyślam się, że dla slogów, którzy o takich rzeczach nie mają pojęcia, różowe smoki pierdzące gazem paraliżującym stanowią nieustanny powód do zmartwienia?

- Można by ich pewnie przekonać, żeby zaczęli się martwić taką perspektywą. Chociaż nie, jest chyba taki... filtr, który włącza się...

Zawahałem się i zerknąłem ukradkiem na Jesry'ego, zachęcając go, aby przyłączył się do dialogu. I rzeczywiście, po chwili namysłu wyjął ręce spod zawoju i podszedł bliżej.

- Gdyby człowiek martwił się różowymi smokami, musiałby się również martwić niebieskimi, zielonymi, czarnymi, cętkowanymi i pręgowanymi - zauważył. - W dodatku nie tylko pierdzącymi gazem, ale także zrzucającymi bomby i ziejącymi ogniem.

- A do smoków doszłyby larwy, olbrzymie żółwie, jaszczury... - dodałem.

- Nie ograniczajmy się do bytów fizycznych - ciągnął Jesry. - Są jeszcze bogowie, duchy i tak dalej. Jeśli uchylimy drzwi przed różowym smokiem, będziemy musieli wpuścić całe to tałatajstwo.

- No to może powinniśmy martwić się nimi wszystkimi? - zasugerował fraa Orolo.

- Ja się martwię! - wykrzyknął Arsibałt, który widząc, jak rozmawiamy, podszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Fraa Erasmasie... - powiedział Orolo. - Przed chwilą powiedziałeś, że dałoby się namówić slogów, żeby zaczęli się martwić nalotem różowego smoka pierdzącego gazem paraliżującym. Jak byś się do tego zabrał?

- No cóż, nie jestem proceńczykiem, ale gdybym nim był, zacząłbym chyba od przedstawienia jakiejś przekonującej genezy smoków. Wysłuchawszy mnie, slogowie załamywałyby ręce ze zmartwienia, ale gdyby wtedy wparował tam Jesry i zaczął ich straszyć prążkowanym żółwiem, ziejącym ogniem, uznaliby go za czubka i wywieźli do przytułku dla obłąkanych.

Wszyscy się roześmiali, nawet Jesry, który zwykle nie był zachwycony, kiedy ktoś z niego żartował.

- Co takiego byś zrobił, żeby twoja historia wydała się im wiarygodna? - zainteresował się Orolo.

- Przede wszystkim musiałaby być wewnętrznie spójna, a także zgodna z tym, co przeciętny slog wie o świecie.

- To znaczy?

Lio i Tulia szli właśnie do refektarza: wypadł ich dyżur w kuchni i mieli przyszykować obiad. Lio, usłyszawszy końcówkę naszej wymiany zdań, wtrącił się do rozmowy:

- Mógłbyś powiedzieć, że spadające gwiazdy to pierdnięcia smoka, które się zapaliły!

- Doskonale - przyznał Orolo. - W ten sposób, ilekroć slog spojrzalby w niebo i zobaczył spadającą gwiazdę, uzyskiwałby potwierdzenie mitu o różowym smoku.

- Co więcej, mógłby spławić Jesry'ego, mówiąc: „Ty frajerze, a co mają wspólnego prążkowane żółwie ziejące ogniem ze spadającymi gwiazdami?” - dodał Lio.

Znów wszyscy się roześmiali.

- To przykład wyjęty żywcem z późnych pism saunta Evenedryka - stwierdził Arsibalt.

Zrobiło się cicho. Do tej pory wydawało nam się, że to wszystko niewinne żarty.

- Fraa Arsibalt uprzedza fakty - skarcił go łagodnie Orolo.

- Evenedryk był teorem - powiedział Jesry. - Nie pisałby o takich sprawach.

- Przeciwnie - zaproponował Arsibalt. - U schyłku życia, po Rekonstrukcji...

- Za pozwoleniem... - wtrącił Orolo.

- Naturalnie - zmitygował się Arsibałt.

- Ograniczmy się chwilowo do pierdzących smoków. Jak sądzicie, ile kolorów potrafimy rozróżnić?

Opinie były różne: od ośmiu do stu. Tulia uważała, że rozpozna więcej, Lio - że mniej.

- Poprzestańmy na dziesięciu - zaproponował Orolo. - Dopuszczmy za to istnienie smoków prążkowanych, dwukolorowych.

- To daje sto kombinacji - stwierdziłem.

- Dziewięćdziesiąt - poprawił mnie Jesry. - Czerwone prążki na czerwonym tle się nie liczą.

- Dołóżmy jeszcze zmienną szerokość prążków - zasugerował Orolo. - Czy w ten sposób dojdziemy do tysiąca kombinacji?

Zgodziliśmy się z nim.

- Co dalej? Cętki. Kratka. Połączenie prążków, cętek i kratki.

- Setki tysięcy!

- Miliony!

Zdania były podzielone.

- A przypominam, że na razie rozważamy tylko smoki pierdzące gazem paraliżującym - nadmienił Orolo. - Zostają jeszcze jaszczury, żółwie, bogowie...

- Zaraz! - Jesry spojrział znacząco na Arsibałta. - To rzeczywiście zaczyna przypominać wywód teora.

- Czyżby, fraa Jesry? A co w nim takiego teorycznego?

- Liczby. Mnogość różnych scenariuszy.

- Objasnij nam to, z łaski swojej.

- Kiedy już dopuściłeś do rozważań hipotezy, które nie muszą spełniać kryterium wewnętrznej spójności, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby liczba możliwości do rozważenia okazała się nieskończona. Umysł odrzuca je więc jako równie niepoważne i przestaje się nimi przejmować.

- Czy umysł słoga przypomina w tym względzie umysł saunta? - spytał Arsibałt.

- Bez wątpienia.

- A zatem to filtrowanie jest wrodzoną cechą ludzkiej świadomości. Arsibalt mówił z coraz większą pewnością siebie, za to Jesry, wyczuwając podstęp, nabrał ostrożności.

- Jakie filtrowanie? - powtórzył.

- Nie wygłupiaj się, Jesry! - zawołała suur Ala, która również rozpoczynała kuchenny dyzur. - Sam przed chwilą powiedziałeś, że umysł odrzuca przytłaczającą większość hipotetycznych scenariuszy i przestaje się nimi interesować. Jeżeli to nie jest „filtrowanie”, to naprawdę nie wiem, co mogłoby nim być.

- No przepraszam bardzo! - zachnął się Jesry. Spojrzał na mnie, Lio i Arsibalta takim wzrokiem, jakby właśnie został napadnięty i szukał świadków tego zdarzenia.

- Jakimi kryteriami kieruje się nasz umysł, wybierając znikomą mniejszość hipotez, którymi może się następnie zamartwiać? - zapytał Orolo.

- Wiarygodnością.

- Prawdopodobieństwem.

Kilka osób wymamrotało podobne odpowiedzi, ale nikt nie czuł się na tyle, pewnie, żeby z przekonaniem ich bronić.

- Fraa Erasmus wspominał wcześniej coś o spójności historii.

- Ten argument odwołuje się do przestrzeni konfiguracyjnej Hemna - wypaliłem, zanim zdążyłem dobrze pomyśleć. - I na tym polega związek z teorem Evedredykiem.

- Mógłbyś nam to jakoś dokładniej wyłuszczyć? - zasugerował Orolo. Nie byłoby to wcale łatwe, gdybym całkiem niedawno nie rozmawiał o tym z Barbem.

- Z punktu w przestrzeni Hemna, w którym teraz się znajdujemy, do punktu, w którym żyją różowe smoki pierdzące gazem paraliżującym, nie prowadzi żadna droga zgodna z wiarygodną zasadą działania. Co po przełożeniu na język potoczny oznacza, że nie ma spójnej historii łączącej naszą rzeczywistość z rzeczywistością różowych smoków. Gdybyśmy pozbyli się zasad

działania, po prostu wyrzucili je przez okno, świat miałby pełną swobodę ruchu w przestrzeni Hemna, a wyzwolony z wszelkich ograniczeń mógłby osiągać dowolne stany. Straciłby wszelki sens. Ale umysł, nawet umysł sloga, wie, że istnieje zasada działania, która dyktuje ewolucję świata pomiędzy dwoma wybranymi stanami; która ogranicza jego trajektorię do punktów łączących się w spójną opowieść. Dlatego skupia się w swoich troskach na sytuacjach bardziej prawdopodobnych, takich jak twoje odejście z matemu.

- Odchodzisz?! - Tulia była przerażona.

Inni słuchacze, którzy dołączyli do nas w trakcie rozmowy, zareagowali podobnie, ale wtedy Orolo się roześmiał, a ja wyjaśniłem, jak rozpoczął się nasz dialog. Spieszyłem się, żeby nie zdążyli się rozbiec i rozsiać plotek.

- Możesz mieć rację, fraa Erasmasie - powiedział Jesry, kiedy zamieszanie przycichło. - Ale wydaje mi się również, że masz kłopot z Bezmianem. Odwołanie do przestrzeni stanów i zasad działania to chyba zbyt poważna argumentacja, kiedy dyskutujemy o tym, czy nasz umysł ma nosa i umie instynktownie ograniczać się do prawdopodobnych powodów do zmartwienia.

- Zgoda - przyznałem.

Arsibałt był niepocieszony i rozczarowany, że poddałem się bez walki.

- Nie zapominajcie, że przestrzeń Hemna wypłynęła dopiero w związku z sauntem Evenedrykiem - zauważył. - Teorem, który pół życia strawił na skomplikowanych obliczeniach opisujących zasady działania w najróżniejszych przestrzeniach konfiguracyjnych. Nie wydaje mi się, żeby przemawiał przez niego natchniony poeta, kiedy zasugerował, że ludzka świadomość może...

- Tylko nam tu nie dostań setki! - prychnął Jesry. Arsibałt zamarł z otwartymi ustami i zaczął się czerwienić.

- Na razie musi nam wystarczyć, że poruszyliśmy ten temat - wtrącił Orolo. - Nie rozstrzygniemy naszych wątpliwości tak na poczekaniu, na pewno nie z pustym żołądkiem.

Lio, Tulia i Ala pojęli aluzję i zmyli się do kuchni. Ala na odchodnym posłała jeszcze Jesry'emu lodowate spojrzenie, po czym szepnęła coś Tulii na ucho. Wiedziałem, co jej się nie podobało: to Jesry pierwszy wystąpił z argumentem o nadmiarze możliwych scenariuszy i kiedy Arsibalt próbował go rozwinąć, Jesry przestraszył się i wycofał, a nawet zaczął go przedrzeźniać. Uśmiechnąłem się do Ali, ale nie zwróciła na mnie uwagi; zbyt wiele się działo. Skończyło się na tym, że stałem jak ostatni idiota i szczyrzyłem zęby w pustą przestrzeń. Arsibalt ruszył za Jesrym przez klauzurę, Próbując dalej się z nim spierać.

- Wróćmy do naszych rozważań - zaproponował Orolo. - Co cię tak martwi, Erasmasie? Może twoje rozmyślania są równie produktywne, jak wyobrażanie sobie różowych smoków pierdzących gazem paraliżującym? Czyżbyś miał niecodzienny dar śledzenia alternatywnych wariantów przyszłości w przestrzeni Hemna, aż do ich niepokojących kulminacji?

- Mógłbyś mi pomóc odpowiedzieć na to pytanie, gdybyś powiedział, czy naprawdę myślisz o odejściu.

- Prawie cały apert spędziłem extramuros - odparł z westchnieniem Orolo, jakbym w końcu go przyszpilił. - Spodziewałem się tam zobaczyć pustkowie, kulturalną i intelektualną kostnicę. Ale znalazłem co innego. Oglądałem szpile i podobały mi się! Bywałem w barach, gdzie zdarzało mi się wdawać w ciekawe rozmowy z przypadkowymi ludźmi. Ze slogami. Polubiłem ich, niektórzy byli całkiem interesujący, i to wcale nie w takim sensie, w jakim intryguje nas insekt pod mikroskopem. Niektórzy na dobre utkwili mi w pamięci. Świat extramuros naprawdę mnie urzekł. Któregoś wieczoru prowadziłem nadzwyczaj ożywioną dyskusję z pewnym slogiem, bystrzejszym od wszystkich mieszkańców naszego koncentu, który, jak się na koniec okazało, był przekonany, że słońce krąży wokół Arbre. Przyznam ci się, że mnie zamurowało. Próbowałem mu wytłumaczyć, że się myli, ale wykpiwał moje argumenty. Uświadomiłem sobie wtedy, ile starannych obserwacji i wysiłku teoretycznego wymaga udowodnienie tak podstawowej prawdy jak

ta, że to Arbre okrąży słońce, i jak wiele zawdzięczamy naszym poprzednikom. I doszedłem do wniosku, że może jednak mieszkam po właściwej stronie muru.

Zawiesił głos i mrużąc oczy, zerknął w stronę gór, jakby się wahał, czy powinien mówić dalej. W końcu jednak dostrzegł moje wyczekujące spojrzenie i uczynił drobny zrezygnowany gest.

- Po powrocie do matemu zastałem czekającą na mnie paczkę listów od Estemarda.

- Naprawdę?!

- Wysyłał je z Kopca Bly'a mniej więcej raz do roku, wiedząc oczywiście, że będą przechwytywane i dostanę je dopiero przy okazji apertu. Opisywał mi w nich obserwacje poczynione za pomocą teleskopu, który zainstalował na Kopcu. Wszystko zrobił sam, nawet zwierciadło musiał szlifować ręcznie. Ciekawa lektura, wartościowe pomysły, ale wszystko to nie umywa się do jego prac z naszego koncentu.

- Przynajmniej mógł tam zaglądać. - Wskazałem gwiazdny krąg.

Moja skarga rozbawiła Orola.

- Naturalnie. Jestem przekonany, że i my niedługo odzyskamy dostęp do instrumentów.

- Dlaczego? Jak? Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

Musiałem zapytać, chociaż wiedziałem, że nie odpowie.

- Powiedzmy, że i ja mam talent, który pozwala mi przewidywać prawdopodobny rozwój wydarzeń.

- No dzięki...

- Nawiasem mówiąc, mogę go także wykorzystać do wyobrażenia sobie, jak wygląda los dzikusa. Z listów Estemarda jasno wynika, że ciężko mu się żyje.

- Uważasz, że dokonał właściwego wyboru?

- Nie wiem - odparł bez namysłu Orola. - To nietrywialne pytanie. Czego pożąda ludzki organizm? Oczywiście poza pożywieniem, wodą, schronieniem i reprodukcją.

- Chyba szczęścia.

- Żywność spożywana extramuros wystarcza do uzyskania

szczęścia w uproszczonej postaci, a mimo to tamtejsi ludzie nadal pragną różnych rzeczy. Nieustannie przystępują do rozmaitych ark. Po co?

Pomyślałem o rodzinie Jesry'ego. I o swojej.

- Ludzie chyba lubią sobie wyobrazać, że nie tylko żyją, ale także propagują swój sposób życia.

- Racja. Ludzie chcą czuć, że stanowią element jakiegoś długotrwałego projektu, czegoś, co przetrwa, kiedy ich już zabraknie. To daje poczucie stabilizacji. I moim zdaniem potrzeba takiej stabilizacji jest równie podstawowa i równie desperacka jak inne, bardziej oczywiste potrzeby. Za to można ją zaspokajać na różne sposoby. Na przykład subkultura slogów: nam nie imponuje, ale trudno zaprzeczyć, że jest stabilna. Albo miastowi: oni mają zupełnie inny rodzaj stabilizacji.

- My też.

- My też. Ale Estemardowi to nie wystarczyło. Może uznał, że samotne życie na szczycie pagórka bardziej mu odpowiada.

- A może po prostu nie odczuwa tej potrzeby tak silnie jak większość z nas - podsunąłem.

Zegar wybił pełną godzinę.

- Przegapisz pasjonujące wystąpienie suur Fretty - poinformował mnie Orolo.

- Czyżbyś chciał zmienić temat?

Wzruszył ramionami.

Tematy się zmieniają. Pogódź się z tym.

- No dobrze, pójdę na ten wykład - zgodziłem się. - Gdybyś jednak zdecydował się nas opuścić, nie odchodź bez pożegnania, bardzo cię proszę.

- Obiecuję ci, że gdyby miało do tego dojść, zawiadomię cię tak szybko, jak tylko będzie to możliwe - zapewnił mnie pobłażliwym tonem, jakby rozmawiał z człowiekiem niezrównoważonym.

- Dziękuję.

Poszedłem do kredowni saunta Groda i zająłem miejsce w rozległej pustej przestrzeni, która - jak zwykle - otaczała Barba.

Właściwie powinniśmy go nazywać fraa Tavenerem, ponieważ takie imię przybrał, składając śluby, ale nie wszyscy od razu kojarzyli się ze swoimi nowymi deklaranckimi imionami. Arsibalt od samego początku był Arsibaltem i nikt już nawet nie pamiętał imienia, którego używał extramuros. Za to Barba ludzie jeszcze długo mieli nazywać Barbem.

Zresztą to nieważne, jakie nosił imię: ten chłopak i tak miał się stać moim wybawieniem. Wielu rzeczy nie wiedział, ale nigdy nie bał się pytać, pytać i jeszcze raz pytać, aż wszystko dokładnie zrozumiał. Postanowiłem uczynić go swoim fidem. Ludzie dojdą do wniosku, że robię to z dobroci serca; niektórzy pomyślą nawet, że zamierzam się wycofać, a opiekę nad Barbem traktuję jako swoją profesję. I dobrze! W rzeczywistości przemawiał przede mną głównie egoizm. Przez sześć tygodni nauczyłem się więcej z teoryki niż przez sześć miesięcy poprzedzających apert; wystarczyło, że siadywałem na wykładach blisko Barba. Zaczynałem rozumieć, że w moim pragnieniu zgłębienia teoryki zdarzało mi się chadzać skrótami, choć w rzeczywistości nadkładałem drogi - tak jak często się to zdarza ze skrótami wypatrzonymi na mapie. Widząc, że Jesry robi szybsze postępy niż ja, odczytywałem równania w sposób, który, jak mi się wydawało w pierwszej chwili, upraszczał je, a w rzeczywistości utrudniał lub wręcz uniemożliwiał ich rozwiązanie. Barb nie przejmował się tym, że ktoś go wyprzedzi; ze względu na specyficzną architekturę mózgu nie umiał wyczytać takiej informacji z ludzkiej mimiki. Nie wytyczał sobie również żadnych dalekosiężnych celów: był z natury egocentryczny i krótkowzroczny. Chciał po prostu zrozumieć wypisane na tabliczce równanie teraz, zaraz, dzisiaj, i zupełnie nie przejmował się tym, co na ten temat sądzą inni. W dodatku był gotowy zadawać nurtujące go pytania do skutku, nawet kosztem kolacji.

Jak się nad tym zastanowiłem, musiałem przyznać, że Ala i Tulia dawno temu stosowały całkiem podobną metodę nauki. *Stwór o dwóch grzbietach* - tak nazywał je Jesry, kiedy godzinami sterczały pod kredownią, bez końca dyskutując o tym, co przed

chwilą usłyszały. Nie wystarczało im to, że jedna z nich zrozumiała problem; nie wystarczało im nawet, kiedy rozumiały go obie, ale na różne sposoby. Musiały go zrozumieć dokładnie tak samo. Ich zaciekle dysputy przyprawiały nas o ból głowy, do tego stopnia, że - zwłaszcza kiedy byliśmy młodszy - zakrywaliśmy demonstracyjnie uszy dłońmi i uciekaliśmy jak najdalej od stwora o dwóch grzbietach. Ale im to odpowiadało.

Gotowość Barba do ciężkiej pracy nad osiągnięciem bliskich celów sprawiała, że do tych dalszych (których na razie nie miał) zmierzał znacznie szybciej i pewniej niż ja w jego wieku - a teraz ja podążałem krok w krok za nim.

Rozważając różne profesje, próbowałem uczyć nowy rocznik śpiewu. Wszyscy mieszkańcy extramuros słuchali muzyki, ale mało który umiał ją tworzyć. Nowych fidów trzeba było uczyć wszystkiego od podstaw. To była mordęga - i dość szybko stwierdziłem, że jednak nie zamierzam poświęcać się takiej profesji. Spotykaliśmy się trzy razy w tygodniu w jednej z wnek naszej namiastki nawy.

Pewnego dnia, wychodząc z próby, napatoczyłem się na fraa Lio, który wybierał się na dziedziniec Protektora, żeby tam wypełniać swoje obowiązki.

- Chodź ze mną na górę - zaproponował. - Coś ci pokażę.

- Nowy chwyt z uciskiem na nerw?

- Nic z tych rzeczy.

- Wiesz, że nie powinienem oglądać koncertu z wyższych pięter?

- Widzisz... Nie przeszedłem jeszcze szkolenia na hierarchę, więc też nie powinienem tego robić. I wcale nie to chcę ci pokazać.

Ruszyłem za nim po schodach. Im wyżej się wspinaliśmy, tym bardziej się denerwowałem, że zamierza zrealizować plan

najazdu na gwiazdny krąg - dopóki nie przypomniałem sobie, co powiedział niedawno Orol o nadmiernym przejmowaniu się różnymi sprawami.

- Nie powinieneś wyglądać poza obręb murów - uściślił Lio. Zbliżaliśmy się do wierzchołka południowo-zachodniej wieży. - Ale wolno ci pamiętać to, co widziałeś extramuros podczas apertu, prawda?

- Chyba tak.

- No i? Widziałeś coś?

- To znaczy?

- Extramuros. Czy coś tam widziałeś?

- A co to za pytanie? Widziałem mnóstwo rzeczy.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Lio uśmiechnął się do mnie promiennie, dając mi do zrozumienia, że to tylko przejaw jego zwariowanego poczucia, humoru. Taki humorystyczny dron.

- No dobrze, co miałem widzieć?

- Jak ci się wydaje, miasto się rozrasta czy kurczy?

- Kurczy. Bez dwóch zdań.

- Skąd ta pewność? Sprawdzaleś dane ze spisu powszechnego?

Znowu ten uśmieszek.

- Oczywiście, że nie. Nie mam pewności, tylko... przecucie. Coś w wyglądzie miasta...

- Jak dokładnie wyglądało?

- Było jakby... zarośnięte. Zapuszczone.

Odwrócił się, podniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i zamarł w pozie Thelenesa na peryklinie.

- Pamiętaj o tym, kiedy znajdziemy się na terytorium wroga.

Minęliśmy zamkniętą kratę, nie komentując jej stanu, po moście przeszliśmy na dziedziniec Regulatorki i okrążyliśmy go krążankiem do następnych schodów, prowadzących dalej do góry. Kiedy znaleźliśmy się na bezpiecznym terenie (przy posągu Amnectrusa), Lio znów się odezwał:

- Myślałem o ogrodnictwie. Jako profesji.

- Biorąc pod uwagę, ile chwastów nawyrywałeś się przez lata w ramach pokuty za obijanie mi kości, trzeba przyznać, że masz kwalifikacje. Ale kompletnie nie rozumiem, dlaczego miałbyś tego chcieć.

- Pokażę ci, jak wygląda łąka - powiedział, prowadząc mnie na galerijkę Protektora.

Dwaj wartownicy w obszernych zimowych zawojach i futrzanych mokasynach pełnili na niej straż. Byliśmy z Lio zziązani i spoceni po wspinaczce, więc zimno nie robiło na nas takiego wrażenia, narzuciliśmy jednak kaptury, żeby w ten sposób okazać szacunek wobec Dyscypliny. Nasunięte na twarze zawoje ograniczały nam pole widzenia jak tunele: wychyliwszy się przez barierkę, mogliśmy oglądać koncent z góry, nie widzieliśmy jednak niczego, co działo się za murami.

Lio wskazał mi wyciągniętą ręką tylny skraj łąki, gdzie po drugiej stronie rzeki wznosiła się Funda Shufa. Cała roślinność w tej okolicy uschła i zbrązowiała, poza nielicznymi wiecznie zielonymi krzewami, i doskonale było widać, że koniczyna porastająca większość łąki w pobliżu rzeki rośnie rzadziej i jest przetykana jakimś ciemniejszym, niepokornym zielskiem: chwastami pniącymi się bujnie na piaszczystej nadrzecznej glebie. Bliżej brzegu rysowała się wyraźna granica występowania koniczyny, za którą ustępowała ona miejsca zdrewniałej płataninie kolcojagód i podobnego paskudztwa. Widoczne jeszcze dalej plamy i rozcapierzone placki zieleni były tak odporne, że ich nie wybiły nawet najsrozsze mrozy.

- Domyślam się, że dzisiaj chcesz mi powiedzieć coś o chwastach - stwierdziłem. - Nie rozumiem jednak, do czego zmierzasz.

- Na wiosnę wystawię tam inscenizację Bitwy pod Trantae - obwieścił Lio.

- Minus tysiąc czterysta siedemdziesiąty drugi - odpowiedziałem jak automat. Była to jedna z tych dat, które wszystkim fidom wtłaczano do głowy. - Chciałbyś pewnie, żebym zagrał hopleitę, który dostaje sarthyjską strzałą w ucho? Wielkie

dzięki, nie ma mowy!

Cierpliwie pokręcił głową.

- To nie będzie bitwa między ludźmi, tylko między roślinami.

- Słucham?

- Wpadłem na ten pomysł podczas apertu, kiedy zobaczyłem, jak chwasty, a nawet drzewa wdzierają się do miasta. Odbierają je ludziom, ale robią to tak powoli, że ci w ogóle tego nie zauważają. Łąka będzie reprezentowała żyzną równinę Thranie, spichlerz Cesarstwa Bazyjskiego. Nasza rzeka stanie się Chontusem oddzielającym Thranie od północnych prowincji, które w minus tysiąc czterysta siedemdziesiątym czwartym od dawna były już we władaniu Konnych Łuczników. Tylko kilka ufortyfikowanych posterunków powstrzymywało napór barbarzyńców.

- Możemy się umówić, że Funda Shufa jest jednym z takich fortów?

- Proszę uprzejmie, to i tak nie ma znaczenia. Zima siedemdziesiątego trzeciego jest bardzo mroźna. Stepowe hordy, prowadzone przez klan sarthyjski, przechodzą po zamrożonej rzece i zajmują przyczółki na thrańskim brzegu. Kiedy przychodzi odwilż i rozpoczyna się czas prowadzenia wojen, mają w Thranii trzy armie gotowe do walki. Generał Oxas dokonuje zamachu stanu, detronizuje cesarza Bazu i wyrusza ze stolicy, obiecując zmieść Sarthyjczyków do rzeki i potopić jak szczury. Po długich tygodniach manewrów armie spotykają się na równinie nieopodal Trantae. Sarthyjczycy udają, że cofają się w panice, a Oxas daje się na to złapać jak ostatni żółtodziób: szarżuje prosto w kleszcze wroga. Zostaje otoczony...

- Trzy miesiące później Baz stoi w ogniu. Ale jak ty chcesz to wszystko przedstawić na chwastach?

- Przypuścimy bliżej agresywne gatunki znad rzeki, niech wgryzą się w koniczynę. Pnącza gwiazdokwiatu wiją się i pędzą po ziemi jak lekka jazda; to wprost niewiarygodne, jak szybko potrafią się przemieszczać. Kolcojagoda jest wolniejsza, ale nie

cofa się łatwo z raz zajętych pozycji - jak piechota. Na koniec wkraczają drzewa i utrwalają istniejący stan rzeczy. Przy odpowiednim pieleniu i przycinaniu zrobimy tu prawdziwe Trantae, z tą tylko różnicą, że na rozegranie bitwy potrzeba będzie sześciu miesięcy.

- W życiu nie słyszałem o równie zwariowanym pomysłe. Ty chyba musisz być szurnięty.

- Wolisz mi pomóc czy uczyć smarkaczy, jak czysto śpiewać?

- Czy tym podstępem chcesz mnie zmusić do pielienia chwastów?

- Nie. Zapomniałeś już, że właśnie chwasty mają sobie swobodnie rosnać?

- A co będzie, jak już wygrają? Nie możemy spalić klauzury, ale może udałoby nam się złupić pasiekę i wypić cały miód?

- Ktoś już nas uprzedził - przypomniał mi Lio z grobową miną. - Podczas apertu. Myślę, że będziemy musieli po prostu posprzątać. Chyba że ludziom się spodoba, wtedy poczekamy, aż natura zrobi swoje i pole bitwy zarośnie drzewami.

- Jedno, co mi się w tym planie podoba, to fakt, że kiedy nadejdzie lato, będę mógł do woli patrzeć, jak Arsibałt ucieka przed pszczołami.

Lio wybuchnął śmiechem, ja zaś pomyślałem o tym, że jego plan ma jeszcze jedną zaletę: jest niewyobrażalnie głupi. Do tej pory miałem się różnych profesji - takich jak opieka nad Barbem czy lekcje śpiewu - które wydawały mi się rozsądne i szlachetne. Zachowywałem się w sposób typowy dla kogoś, kto zamierza się wycofać. Jeżeli jednak poświęcę lato na jakąś kosmiczną bzdurę, dla wszystkich będzie oczywiste, że wcale nie mam takich zamiarów. A wtedy ci spośród edharczyków, którym nie w smak było moje przybycie, dostaną szału.

- Zgoda - powiedziałem. - Ale na razie i tak chyba musimy jeszcze parę tygodni poczekać, zanim coś zacznie rosnać. Mam rację?

- Ty chyba całkiem nieźle rysujesz, prawda?

- Lepiej niż ty, chociaż to jeszcze nic nie znaczy. Potrafię robić szkice techniczne. Ale powiem ci, że Barb jest w tym po prostu świetny. Czasem mnie przeraża. Czemu pytasz?

- Myślałem o tym, żeby to dokumentować: rysować kolejne etapy bitwy. Tutaj mielibyśmy znakomity punkt obserwacyjny.

- Mam zapytać Barba, czy byłby zainteresowany?

Lio trochę się zaniepokoił - może dlatego, że Barb potrafił być trudny do zniesienia, a może tylko dlatego, że jako nowy fid nie powinien jeszcze mieć żadnej profesji.

- Dobra, nieważne - uspokoilem go. - Sam się tym zajmę.

- Świetnie. Kiedy możesz zacząć?

Przez następny tydzień zaczytywaliśmy się z Lio opisami Bitwy pod Trantae i oznaczaliśmy wbijanymi w ziemię palikami miejsca najważniejszych wydarzeń - takie jak punkt, w którym generał Oxas, przesyty ośmioma strzałami, nadział się na własny miecz. Zbiłem też drewnianą ramę wielkości tacy z refektarza, z rozpiętą w środku kratownicą z nitek. Zamierzałem postawić ją na parapecie okna i patrząc przez nią, szkicować pole bitwy. Jeżeli będę jej konsekwentnie używał w ten sam sposób przez całe lato, kolejne szkice powinny dać się łatwo porównać. Potem powiesimy je obok siebie, jeden za drugim, i będzie można podziwiać wojnę chwastów jak na szpilu.

Lio spędzał sporo czasu w zaroślach nad rzeką, wyszukując najbardziej agresywne odmiany zielska. Żółty gwiazdokwiat miał reprezentować kawalerię sarthyjską, a czerwony i biały - ich sprzymierzeńców.

Cały czas czekaliśmy tylko na to, jak wpakujemy się w tarapaty.

Nie musieliśmy czekać długo. Dwa tygodnie po

rozpoczęciu naszego projektu jadłem kolację, kiedy do refektarza wszedł fraa Spelikon w towarzystwie młodej hierarchini z personelu Regulatorki. Rozmowy przycichły; przypominało to moment przed całkowitym odcięciem prądu, kiedy światło na chwilę przygasa i przybiera brązowawy odcień. Spelikon rozglądał się przez chwilę, aż w końcu wypatrzył mnie. Wtedy z zadowoleniem sięgnął po tacę i odebrał swoją porcję. Hierarchowie mieli pełne prawo jadać razem z nami, ale robili to rzadko. Ponieważ musieli bardzo uważać, żeby nie zdradzić się z żadną informacją sekularną, nie mogli liczyć na miły, odprężający posiłek.

Wszyscy zauważyli, jak Spelikon na mnie patrzył, dlatego po chwili niepewnych szeptów dał się słyszeć krótki wybuch wesołości na mój koszt. Ja zaś wyjątkowo zupełnie się tym nie przejmowałem. co mogli mnie oskarżyć? O spisek mający na celu hodowlę chwastów? Pewnie źle zinterpretowali nasze zamiary. Najtrudniejsze będzie wytłumaczenie tego komuś takiemu jak Spelikon.

Młoda hierarchini (miała na imię Rotha) zjadła szybko, wstała od stołu i wyszła z refektarza z teczką pełną papierów, która poruszała się na boki, kiedy Rotha kołysała biodrami. Spelikon jadł do syta, nie chciał jednak pić piwa ani wina, a po kilku minutach otarł usta, wstał i podszedł do mnie.

- Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa - powiedział. - W kredowni saunty Zenli.

- Oczywiście - odparłem i spojrzałem na siedzącego przy innym stoliku Lio. - Życzysz sobie, żeby fraa Lio był obecny przy naszej rozmowie czy...

- To nie będzie konieczne.

Te słowa wydały mi się dziwne i sprawiły, że zacząłem odczuwać fizyczne objawy zdenerwowania (przyspieszone bicie serca, spocone dłonie), kiedy w ślad za Spelikonem szedłem do saunty Zenli.

Była to jedna z najmniejszych i najstarszych kredowni, tradycyjnie wykorzystywana przez najstarszych edharskich

teoryków do prowadzenia wspólnych prac i nauczania starszych stażem uczniów. Byłem w niej tylko dwa razy w życiu i nigdy nie odważyłbym się tak po prostu wparować tam bez zaproszenia i zagarnąć jej dla siebie. W kredowni mieścił się jeden niewielki stół, przy którym cztery osoby mogły usiąść na sferach. Rotha zdążyła go już przygotować: konstelacja światłopaków emanowała miękkie światło padające na stosik pustych arkuszy i kilka rękopisów - kompletnych lub we fragmentach. Pióra leżały równym rzędkiem obok odkorkowanego kałamarza.

- Przesłuchanie fraa Erasmasa z kapituły edharskiej matemu dziesięcioletniego w koncencie saunta Edhara - zaczął Spelikon.

Rotha nakreśliła na czystym arkuszu rząderek znaków; zamiast używać tradycyjnych bazyjskich liter, stenografowała, tak jak zwykle czynili to hierarchowie przy protokołowaniu rozmów. Spelikon podał datę i godzinę przesłuchania. Wprawa, z jaką Rotha posługiwała się piórem, była wprost hipnotyzująca: jej ręka przesuwała się od jednego skraju arkusza do drugiego w czasie krótszym, niż potrzebowałem na nabranie oddechu, pozostawiając po sobie rząd prostych symboli, które na mój gust nie miały szans przekazać całej zawartej w słowach treści. Przeniosłem wzrok na inne zgromadzone na stole manuskrypty: większość zapisano tym samym stenograficznym pismem, ale co najmniej jeden był spisany w normalnym alfabecie.

Moim charakterem pisma.

Pochyliwszy się, odczytałem kilka słów i rozpoznałem swój pamiętnik, który pisałem w celi pokutnej w tumie. Padały w nim imiona Fleca, Quina i Orola.

Moje ruchy stały się gwałtowne i szarpane. Włączył się jakiś prymitywny mechanizm reakcji na zagrożenie.

- Ej! - zawołałem. - To moje!

Spelikon kazał zaprotokołować te słowa i dodał:

- Przesłuchiwany przyznaje, że jest autorem dokumentu numer jedenaście.

- Skąd to macie? - zapytałem głosem dzieciaka w wieku

Barba.

Ręka Rothy unieśmiertelniła moje słowa na arkuszu.

- Stamtąd, gdzie się znajdowało - odparł rozbawiony Spelikon. - Wiesz chyba, gdzie trzymasz swój dziennik, co?

- Tak mi się wydawało.

Leżał w jednej z nisz przy kredowni saunta Groda, wysoko, gdzie mało kto mógł go dosięgnąć. Zabranie cudzego rękopisu było niewybaczalnym łtrostwem ze strony innego deklaranta, akceptowalnym tylko wówczas, gdy autor zmarł lub został odrzucony.

- Ale nie wolno wam...

- Pozwól, że to ja będę oceniał, co mi wolno, a czego nie - przerwał mi Spelikon. Uczynił przy tym gest, który unieruchomił dłoń Rothy, i jego słowa nie zostały zaprotokołowane, po czym następnym gestem zdjął z niej zakłęcie i zaczęła pisać dalej. - To śledztwo nie dotyczy cię bezpośrednio i, prawdę mówiąc, nie musi ci wcale zabrać wiele czasu. Na stronach twojego dziennika znaleźliśmy większość interesujących nas informacji, teraz potrzebujemy tylko ich potwierdzenia oraz pewnych wyjaśnień. Czy w dniu poprzedzającym apert pełniłeś rolę koncypienta podczas rozmowy, którą fraa Orola odbył w nowej bibliotece z niejakim Quinem, rzemieślnikiem z extramuros?

- Tak.

- Poproszę dokument numer trzy.

Rotha podała Spelikonowi kolejny rękopis mojego autorstwa: zapis spotkania Orola z Quinem. Nie chciało mi się już nawet pytać, skąd go mają - musieli myszkować także po niszach fraa Orola. Byłem oburzony, ale mimo wszystko zaczynałem się rozluźniać. W rozmowach, jakie Orola prowadził z tymi rzemieślnikami, nie było nic złego. Nawet jeśli Regulatorka nie zechce mi uwierzyć, nie byliśmy wtedy w bibliotece sami i inni świadkowie potwierdzą zgoła nieszkodliwy charakter tych spotkań. Musiało chodzić o jakieś małostkowe (i chybione) śledztwo wymierzone w Orola, które nie przyniesie żadnych owoców, a sprawi, że (jak miałem nadzieję) fraa Spelikon wyjdzie

na durnia.

Kazał mi potwierdzić, że jestem autorem dokumentu numer trzy, zanim przeszedł do rzeczy:

- Zapis rozmowy Orola z Quinem różni się od tego, jak później streściłeś tę konwersację w dzienniku.

- To prawda. Nie jestem taki jak ona. - Skinieniem głowy wskazałem Rothę. - Nie umiem stenografować. Na bieżąco zapisywałem tylko to, co miało jakiś związek z prowadzonymi przez Orola badaniami.

- Jakie badania masz na myśli?

Wydało mi się to oczywiste, ale odparłem:

- Sondowanie politycznego klimatu extramuros. Normalne przygotowanie do apertu.

- Dziękuję. Nieścisłości pojawiają się w kilkunastu punktach, ale ja chciałbym zwrócić twoją uwagę zwłaszcza na jeden z nich, pod koniec spotkania z Quinem. Rozmowa zesła wtedy na techniczne możliwości szpilołapów.

Spelikon kompletnie mnie zaskoczył. Miałem pustkę w głowie.

- Eee... Ledwie pamiętam, że o tym rozmawialiśmy.

- Pamiętałeś znacznie lepiej, pisząc w dzienniku. - Sięgnął ponad ramieniem Rothy i wziął do ręki mój pamiętnik. - Według ciebie mistrz Quin powiedział w pewnym momencie, cytując: „Flec nie zrobił szpilu”. Odświeżyłem ci pamięć?

- Rzeczywiście. Dzień wcześniej w porze certyfiku odesłaliśmy mistrza Fleca do itów, żeby zaprowadzili go do północnej nawy. Flec chciał zarejestrować szpil, ale Quin wyjaśnił nam później, że itowie pokrzyżowali mu plany. Nie pozwolili mu użyć szpilołapu w tumie.

- Dlaczego?

- Ze względu na zbyt dobrą jakość obrazu.

- Zbyt dobrą? W jakim sensie?

- Quin zarzucił nas handlowym pyerdem, który postarałem się streścić w dzienniku.

- Kiedy mówisz o streszczeniu, masz na myśli, że twój

zapis jest tylko przybliżeniem jego słów? Pozwól, że znowu zacytuje: „Megamatryca, redukcja drgań, dynazoom... Szpilołap z takimi funkcjami mógłby zajrzeć w każdy zakamarek tumu, nawet na drugą stronę ekranów”. Czy Quin użył dokładnie takich słów?

- Nie wiem. Ten zapis jest wypadkową moich wspomnień i rozsądnego domniemania.

- Wyjaśnij, co rozumiesz w tym wypadku przez rozsądne domniemanie.

- Quin zmierzał do tego, że itowie nie mogli się zgodzić na użycie szpilołapu z powodów technicznych, ponieważ ze swojego miejsca w północnej nawie Flec mógłby rejestrować nim obrazy tysięcy i setników, zasiadających po przeciwnej stronie prezbiterium. Gołym okiem nie jesteśmy w stanie zajrzeć w głąb innych naw ze względu na kontrast między ekranem, który jest jasny (kosmografowie powiedzieliby, że ma wysokie albedo), i znajdującą się za nim ciemną przestrzeń nawy. Sprawę dodatkowo komplikuje znaczna odległość i inne czynniki. Itowie zapoznali się z możliwościami szpilołapu Fleca i doszli do wniosku, że dzięki połączeniu pewnych cech pozwala on dojrzeć rzeczy niewidoczne nieuzbrojonym okiem. Oczywiście nie ma sensu rozgrywanie pyerdów handlowych, jakimi raczą nas producenci szpilołapów, ale moja wiedza kosmograficzna podpowiada mi, jakie musiałyby być właściwości takiego urządzenia: zoom, czyli obiektyw o zmiennej ogniskowej, jakiś sposób wykrywania słabo widocznych obrazów na zaszumionym tle oraz stabilizacja obrazu, korygująca drżenie rąk operatora.

- I to właśnie masz na myśli, kiedy mówisz o rozsądnym domniemaniu. Rozsądne oznacza w tym wypadku tyle, że każdy człowiek obeznany z instrumentarium kosmograficznym powinien wyciągnąć podobne wnioski odnośnie do szpilołapu Fleca.

- Zgadza się.

- Pisziesz dalej w dzienniku, że w tym momencie fraa Orolo złapał cię za przegub dłoni i przestałeś notować. Dlaczego?

- Orolo, jako starszy i mądrzejszy ode mnie, zawczasu zorientował się, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Quin

zaczęłyby za chwilę terkotać o sprawach sekularnych i o tym, co zaszło między Flekiem i itami. Z tego rodzaju wiedzą oczywiście nie powinniśmy mieć kontaktu.

- Ale przecież twoje uszy i tak byłyby na nią wystawione. Dlaczego Orolo powstrzymał twoją rękę, zamiast zatkać ci uszy?

- Nie wiem, może wydawało mu się, że to najbardziej logiczne wyjście z sytuacji. W takich chwilach ludzie nie zawsze myślą jasno.

- Poza tymi, którym jednak się to udaje. Ale mniejsza z tym, nie mam więcej wątpliwości na temat tej rozmowy. Zostało jeszcze tylko jedno pytanie.

- Słucham.

- Gdzie byłeś w dziewiątą noc apertu?

Wyteżyłem pamięć, zmarszczyłem brwi.

- To jedno z tych pozornie prostych pytań, na które normalnemu człowiekowi trudno jest odpowiedzieć.

Spelikon przytaknął mi z przesadnym zapalem i spiechem:

- Jeżeli mówiąc „normalny człowiek”, masz na myśli niehierarchę, spieszę cię zapewnić, że osobiście nie mam żadnych konkretnych wspomnień z tego akurat wieczoru.

- Rano miałem oprowadzać nową grupę zwiedzających, więc chciałem się wcześniej położyć. Zjadłem kolację, a potem prawie na pewno poszedłem spać. Dużo rozmyślałem.

- Tak? A o czym?

Musiałem zrobić bardzo dziwną minę, bo Spelikon parsknął śmiechem i dodał:

- Pytam z ciekawości, bo to chyba nic ważnego. - Wyciągnął następny arkusz. - Kronika podaje, że tamtej nocy dzieliliś cełą z fraa Branchem i fraa Ostabonem. Jeżeli ich o to zapytam, potwierdzą, że przez całą noc byliście razem?

- Nie widzę powodu, dla którego mieliby tego nie zrobić.

- Doskonale. To wszystko. Dziękuję za poświęcony mi czas, fraa Erasmasie.

Spelikon otworzył mi drzwi. Kiedy wyszedłem za próg,

dostrzegłem czekających w krąganku Brancha i Ostabona.

Mój dar imaginacji i snucia opowieści w głowie kompletnie mnie tego wieczoru zawodził, jakby wziął urlop. Nie rozumiałem sensu tego przesłuchania i złożyłem je na karb podupadającego zdrowia suur Trestanas, która wkrótce trafi do Kolegium i dopiero tam dojdzie do siebie. Oby nie za szybko.

Następnego dnia wstałem wcześniej, ponieważ miałem dyżur przy śniadaniu. Poranek spędziłem w kredowni z Barbem, wykładając mu podstawy rachunku wektorowego, które sam powinienem był opanować dawno temu, a mimo to dopiero teraz zaczynałem naprawdę je rozumieć. Zbliżałem się do granicy mojego pojmowania i zaczynałem popełniać głupie błędy, kiedy dzwony wybiły certyfik.

Był to jeden z tych dni, w które obowiązek nakręcenia zegara spoczywał na mnie i moich towarzyszach, udałem się więc prosto do tumu. Ryt zgromadził niewielu deklarantów i dosłownie garstkę hierarchów. Nie widziałem fraa Orola ani żadnego z jego starszych uczniów. Jesry również się nie pojawił i musieliśmy z Lio i Arsibaltem poradzić sobie bez niego.

Długi poranek w kredowni i trzyosobowy certyfik zaostrzyły mój apetyt i w refektarzu jadłem, aż mi się uszy trzęsły. Kończyłem już posiłek, kiedy zjawił się Orolo: wziął sobie lekkie drugie śniadanie i usiadł przy swoim ulubionym stoliku, w miejscu, z którego przy ładnej pogodzie widział ciągnące się za oknem góry. Dziś akurat było pochmurno, ale miało się wrażenie, że w ciągu dnia zimna i czysta rzeka wiatru rozproszy chmury.

Zjadłem i przysiadłem się do niego. Domyślałem się, że jemu też Spelikon naprzykrzał się ze swoimi pytaniami, ale nie chciałem poruszać tego tematu. Orolo na pewno miał go powyżej uszu.

Uśmiechnął się do mnie lekko.

- Dzięki hierarchom niedługo znów będę mógł prowadzić obserwacje.

- Otworzą gwiazdny krąg? To wspaniała nowina! - wykrzyknąłem.

Orolo znów się uśmiechnął.

Wszystko układało się w sensowną całość. Coś przeraziło hierarchów i sprawiło, że zinterpretowali zachowanie Orolo przed apertem w sposób, którego w dalszym ciągu nie rozumiałem. W końcu jednak zrozumieli swój błąd i sprawy powoli wracały do normy.

- Muszę ci się przyznać, że zostawiłem w M&M tabliczkę i nie mogę się doczekać, kiedy dostanę ją w swoje ręce - powiedział.

- A kiedy otworzą krąg?

- Nie wiem.

- Czym zamierzasz się zająć?

- Wolałbym na razie nie mówić. Niczym, do czego potrzebowałbym mocy M&M. Wystarczy mi jakiś mniejszy teleskop, a nawet najzwyklejszy szpilołap.

- Spelikon ostatnio wypytywał mnie o szpilołapy...

Orolo przytknął palec do ust.

- Wiem. Dobrze się stało, że odpowiedziałeś na jego pytania tak, jak odpowiedziałeś.

Przetrawienie tych słów wymagało ode mnie chwili skupienia. Wiadomość o otwarciu gwiazdnego kręgu sama w sobie była rzeczywiście doskonała, ale kiedy ludzie zaczną się tam kręcić, mogą odkryć tabliczkę, którą zostawiłem w Oku Clesthyry, i będę miał kłopoty. To był jednak głupi pomysł. Jak ja ją teraz stamtąd zabiorę?

Orolo wyjrzał przez inne okno, z którego było widać zegar.

- Widziałem przed chwilą Tulię. Razem z Alą zbierały swój zespół. Prosiła, żebym przekazał ci wiadomość.

- Jaka?

- Nie przyjdzie na obiad. Spotkacie się na kolacji.

- To wszystko?

- Tak. Muszą wydzwonić jakieś niezwykle zmiany, wymagające najwyższej koncentracji, zaczynają za pół godziny. Nie wiem dlaczego, ale uznała, że dla ciebie będzie to szczególnie ważna informacja.

Voco.

To musiało być następne voco, nie innego. A to oznaczało, że będę miał kolejną okazję wymknąć się do gwiazdnego kręgu - i właśnie tak brzmiała prawdziwa wiadomość, którą Tulia chciała mi przekazać.

Czy Orolo zdawał sobie z tego sprawę? Czy wiedział, co się dzieje?

Nie mogłem jednak czekać, aż zabrzmiał zmiany, i wtedy popędziłem na górę na złamanie karku, bo zderzyłbym się na schodach z wybierającymi się na ryt ludźmi Regulatorki i Protektora. Musiałem dostać się na górę wcześniej, gdzieś ukryć i dopiero tam czekać na zmiany.

Lio dostarczył mi doskonałego pretekstu.

Wstałem od stołu.

- Zobaczymy się w tumie - powiedziałem do Orola.

- Tak - przytaknął i mrugnął porozumiewawczo. - Albo i nie.

Zamarłem. Jak dużo naprawdę wiedział?

Uśmiechnął się szeroko, widząc moją minę.

- Chodziło mi tylko o to, że nigdy nie wiadomo, kto po takim rycie zostanie w tumie, a kto go opuści.

- Myślisz, że w czasie voco może paść twoje imię?

- To bardzo mało prawdopodobne, ale gdybyś to ty został powołany...

Prychnąłem. Orolo ze mnie drwił.

- Gdybyś został powołany, wiedz, że zdaję sobie sprawę z postępów, jakie poczyniłeś w ostatnich miesiącach - ciągnął. - Jestem z ciebie dumny, chociaż wcale mnie nie zaskoczyłeś. Tak trzymaj.

- Dobrze, będę tak trzymał. Nawiasem mówiąc, chciałbym ci później zadać parę pytań. Ale na razie muszę lecieć.

- Leć. Tylko nie potknij się na schodach.

Odwrociłem się na pięcie i bez pośpiechu wyszedłem z refektarza, chociaż miałem ochotę puścić się biegiem. Zabrałem ramę rysunkową i szkice z niszy, w której je trzymałem, i ruszyłem w stronę tumu najszybciej jak mogłem, starając się zarazem nie dać po sobie poznać, że się spieszę. Znalazszy się w triforium, zerknąłem na taras dzwonniczek, gdzie Ala, Tulia i reszta ich ekipy ćwiczyły zmiany (na razie na sucho, bez pociągania za sznury), mające za chwilę wydzwonić. Tulia mnie zobaczyła. Odwróciłem wzrok, żeby nie pomyślała, że się na nie gapię, zawróciłem i czym prędzej wspiałem się po schodach w południowo-zachodniej wieży.

Dziedziniec apartamentów Regulatorki był zatłoczony jak nigdy, ale panowała na nim cisza, jakby wszyscy na coś czekali. I trudno im się było dziwić, skoro za chwilę zaczynało się voco. Mignęła mi nawet sama suur Trestanas, zmierzająca z jednego biura do drugiego. Zdziwiła się chyba na mój widok, ale kiedy się zorientowała, że wchodzę z przyborami do rysowania na kolejne schody, elementy układanki ułożyły jej się w głowie w całość i natychmiast o mnie zapomniała.

Lio czekał na mnie przy posągu Amnectrusa, trochę zadyszany po wspinaczce. Dalej ruszyliśmy razem.

- Nie wychodź na galeryjkę - ostrzegł mnie. - Nie ma sensu rzucać się w oczy. Chodź ze mną.

Narzuć mi kaptur i ruszyłem za nim kruźgankiem. Ponieważ cały czas ktoś kręcił się w pobliżu, nie rozmawialiśmy, dopóki Lio nie skręcił do komnaty, do której prowadziło kilkoro masywnych drzwi. Nazywali ją pokojem odpraw; zbierali się w niej żołnierze przed rozpoczęciem zbrojnej misji.

- Zaplanowałeś to wszystko, prawda? - spytałem szeptem.

- Stworzyłem pewne możliwości, na wypadek, gdybyśmy mieli ich potrzebować.

Otworzył jedno z przesuwanych drzwi, odsłaniając schowek pełen równo poukładanych metalowych skrzynek. Chwycił mnie za zawój na piersi, wepchnął do schowka i zanim

zdażyłem złapać równowagę, zasunął drzwi powrotem. Zrobiło się ciemno. Znalazłem się w kryjówce.

Najwyżej minutę później dzwony zaczęły wygrywać niezwykle zmiany.

Moje oczy przywykły do ciemności. Podjąłem niewielkie ryzyko i lekko rozjaśniłem sferę. Otaczające mnie pudełka były opisane słowami i liczbami, które nic mi nie mówiły, ale zaczynałem nabierać przekonania, że zawierają amunicję. Chodziły różne słuchy. Żywotność amunicji mierzyło się w dekadach, później należało ją wyrzucić z tumu, załadować na wozy i wywieźć. W takich chwilach wszyscy mieszkańcy koncentu ustawiali się w żywy łańcuch na schodach i podając sobie skrzynki z ręki do ręki, przynosili do magazynu świeży zapas amunicji. Dawno już nie było takiej okazji, ale starsi deklaranci dobrze pamiętali ostatnie przezbrojenie.

Miałem przynajmniej o czym rozmyślać, czekając, aż wybrzmia zmiany i upłynie trzydzieści minut, w czasie których wszyscy mieli zebrać się w tumie. Tutaj, na górze, nikt nie potrzebował całej półgodziny: przez kwadrans, może nawet dłużej mogli spokojnie zajmować się swoimi sprawami i zbiec na dół dosłownie w ostatniej chwili. Dlatego trochę to trwało, zanim wszyscy się ulotnili. W końcu jednak usłyszałem, jak sam Delrakhones rozkazuje wszystkim schodzić: chciał być ostatni i nie zamierzał biec po schodach.

W tym momencie uznałem, że mogę bezpiecznie wyjść do pokoju odpraw. Uchyliłem drzwi schowka, odczekałem, aż dzienne światło przestanie mnie oślepiać, i wyszedłem. Przycupnąłem przy drzwiach wejściowych i przez bitą minutę nasłuchiwałem w bezruchu. Nic nie słyszałem, żaden dźwięk nie dobiegał nawet z prezbiterium i naw, które wyglądały na wyludnione.

Bąłem się trochę, że Delrakhones poluje jeszcze na spóźnialskich, więc - ponieważ właściwie nie miałem się do czego spieszyć - spokojnie odczekałem, aż głos Statha intonującego konwokację poniesie się echem po studni prezbiterium. Dopiero

wtedy wyskoczyłem z mojej kryjówki, opadłem do schodów i popędziłem na górę. Statho długo mówił, od czasu do czasu zawieszając głos, jakby przerzucał pospiesznie zrobione notatki - albo zbierał siły do dalszej przemowy.

Znajdowałem się wysoko za tarczą zegara, w połowie drogi do gwiazdnego kręgu, gdy pierwszy raz usłyszałem słowo *peanatema*. Nogi ugięły się pode mną jak pod spłoszonym zwierzęciem, kiedy coś niespodziewanie dotknie jego grzbietu. Zgubiłem rytm biegu, musiałem się zatrzymać i przykucnąć, żeby nie wpaść na jakąś przeszkodę.

To nie mogło się dzieć naprawdę. Od dwustu lat nie odprawiano u nas *peanatemy*.

Musiałem jednak przyznać, że wygrywane przez Tulię zmiany wydały mi się całkowicie obce, a na pewno różne od tych zapowiadających *voco*. W tumie przed rytym panowała cisza jak makiem zasiał, teraz zaś z dołu niósł się chrapliwy szmer, jakiego jeszcze w życiu nie słyszałem.

Wszystko, co wydarzyło się po apercie, nagle nabrało zupełnie nowego sensu, tak jakby podrzucone do góry szklane odłamki ułożyły się w powietrzu i z powrotem scaliły w lustro.

Wewnętrzny głos przypominał mi, że muszę się spieszyć, bo druga okazja do odzyskania tabliczki może mi się już nie trafić. Wprawdzie zarejestrowane na niej obrazy nagle przestały mnie interesować, ale przecież Orolo całkiem niedawno mi powiedział, że zależy mu na tabliczce z M&M. Musiałem wyciągnąć je obie. Jeśli spartaczę robotę, będę miał poważne problemy, może nawet zostanie odrzucony.

Co gorsza, zawiodę Orola.

Jak długo siedziałem skulony na pomoście, zamiast biec? Tracisz czas! Tracisz czas! Ruszaj się!

Kogo wywołają? Może mnie? Co się stanie, jeśli się nie pojawię? Dostrzegałem w takiej sytuacji czarną ironię losu, która stała się jeszcze czarniejsza, gdy przyszło mi do głowy, że mógłbym odpowiedzieć na wezwanie, skacząc w głąb studni prezbiterium. Przy odrobinie szczęścia wylądowałbym na głowie

suur Trestanas. Taka historia z pewnością przetrwałaby wieki w tradycji Saunta Edhara i całego świata matematycznego. Może nawet trafiłaby do gazet.

Nie pomogłaby mi jednak wydostać ani mojej tabliczki z Oka Clesthyry, ani tej pozostawionej przez Orola w M&M. Miałem po co ryzykować.

Wspinałem się dalej, słuchając paplaniny Statha o konieczności przestrzegania Dyscypliny. Szedłem wolniej, niżbym mógł, ponieważ wiedziałem, że zbliża się moment, w którym padnie imię tego, kto zostanie odrzucony - a ja chciałem to imię usłyszeć. Zdażyłem jednak dotrzeć na samą górę, do drzwi gwiazdznego kręgu, gdzie okazało się, że muszę jeszcze chwilę poczekać.

I w końcu usłyszałem:

- Orola.

Nie „fraa Orola”, bo z tą chwilą Orola przestał być naszym fraa.

Czy naprawdę byłem zaskoczony? Odkąd usłyszałem, że rozpoczyna się peanatema, wiedziałem, że chodzi o Orola. A mimo to wyrwało mi się głośne „Nie!”. Nikt mnie nie usłyszał, bo w tej samej chwili wszyscy powtórzyli to samo słowo: dźwięk połączonych głosów poniósł się w głąb chronotchlani jak dudnienie bębna, a kiedy ścichł, jego miejsce zajął bardzo niezwykły odgłos. Nigdy przedtem go nie słyszałem.

Ludzie na dole krzyczeli przeraźliwie.

Dlaczego właściwie zawołałem „Nie!”, skoro przewidziałem taki rozwój sytuacji? Nie był to wyraz niedowierzania, lecz sprzeciwu. Świadectwo mojego wzburzenia. Wypowiedzenie wojny.

Orola był gotowy. Natychmiast wyszedł przez drzwi w naszym ekranie i stanowczym gestem zamknął je za sobą, zanim jego byli bracia i siostry zaczęli się z nim żegnać, bo trwałyby to chyba z rok. Lepiej odejść bez pożegnania, jak człowiek przygnięciony zwałonym drzewem. Wyszedł na środek prezbiterium, rzucił sferę na ziemię i rozwiązał sznur, który osunął

się na podłogę. Orolo wystąpił z pętli sznura, schyliwszy się, złapał dolny rąbek zawoju, zrzucił go z ramion - i przez chwilę stał całkiem nagi, trzymając zwinięty zawój w rękach i spoglądając w górę prezbiterium, tak jak fraa Paphlagon podczas voco.

Otworzyłem drzwi gwiazdznego kręgu, wpuszczając do środka powódź światła. Na jej widok Orolo spuścił głowę, jak deolatra modlący się do swojego boga, ja zaś przeszedłem przez drzwi i zamknąłem je za sobą. Rozgrywająca się w tumie okropna scena zniknęła, a jej miejsce zajął opuszczony gwiazdny krąg.

Rozpląkałem się w głos. Twarz mi się ściagnęła, jakbym wymiotował, łzy płynęły mi z oczu jak krew z głębokich ran. Odczuwałem raczej smutek niż zdziwienie, bo przeczuwałem, że do tego dojdzie, gdy tylko fraa Spelikon zaczął mnie wypytywać o szpilołapy. Nie wierzyłem jednak, że wydarzenia tak się potoczą, bo bałem się w ten sposób myśleć - aż do chwili, kiedy przed faktami nie było już ucieczki. Aż do momentu, kiedy się to stało. Aż do teraz. Dzięki temu - w przeciwieństwie do tych wszystkich fraa i suur na dole - nie musiałem tracić czasu na zdumienie i od razu pograżyłem się w najgłębszym, najbardziej nieutulonym żalu w moim życiu.

Drogę do Pinakla znalazłem praktycznie po omacku; ledwie odróżniałem światło od mroku. Zanim dotarłem na szczyt, zacząłem bełkotać histerycznie. Wytarłem twarz zawojem, wzięłem kilka głębokich wdechów i uspokoiłem się na tyle, żeby wyjąć tabliczkę z Oka Clesthyry i schować ją do ochronnej koszulki. Kiedy dla pewności zawinałem ją w zawój, przed oczami stanął mi rozbierający się Orolo.

Stojąc nago w prezbiterium, miał wysłuchać gniewnej pieśni deklarantów obkładających go peanatem. Pewnie właśnie w tej chwili ją śpiewali. Należało ją wykonać na serio, z zaangażowaniem, co pewnie z łatwością przychodziło nie znającym Orola tysięcznikom i setnikom, podejrzewałem jednak, że zza ekranu dziesiętników dobiega niewiele artykułowanych dźwięków.

Wszedłem do komnaty sterowniczej M&M i sięgnąłem po

tabliczkę, którą Orolo podłożył pod obiektyw, kiedy ostatni raz odwiedziliśmy razem gwiazdny krąg, tuż przed jego zamknięciem. Niestety, nie znalazłem jej: ktoś mnie uprzedził i zdążył ją skonfiskować. Tak jak teraz ktoś przejrzy wszystkie zapiski, które Orolo trzymał w swoich niszach.

To, co zrobiłem później, było może niezbyt mądre, ale musiałem to zrobić: przeszedłem w to samo miejsce, z którego obserwowałem start aeroplanu unoszącego fraa Paphlagona i inkwizytorów, przykucnąłem u stóp tego samego megalitu i czekałem, aż Orolo wyjdzie przez Bramę Dzienną. Kiedy już wyszedł z prezbiterium i zniknął deklarantom z oczu, owinął się otrzymanym od nich workiem z szorstkiego płótna i cienką, szeleszczącą folią termoizolacyjną w kolorze pomarańczowym. Kiedy na odsłoniętym placu wiatr smagnął go po ciele, naciągnął ją na ramiona. Jego chude, blade kostki zniknęły w starych czarnych buciorach roboczych, którymi musiał szurać po ziemi, żeby ich nie zgubić. Oddalając się od koncentu, nawet się nie obejrzał, i wkrótce zniknął mi z oczu za kurtyną rozproszonej wody z jednej z fontann. W tej samej chwili odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną.

Kiedy w chronotchłani usłyszałem, że peanatema dobiega końca, ucieszyłem się, że dane mi było choć przez chwilę zobaczyć Orola extramuros. Deklaranci z tumu widzieli tylko, jak wchłonęło go nieznane, co ich przerażało (i tak właśnie miało być). Ja przynajmniej zobaczyłem, jak opuszcza koncent. Jego odejście nie stało się przez to mniej straszne ani mniej zasmucające, ale widok żywego Orola przemierzającego o własnych siłach Saeculum dawał nadzieję, że ktoś mu tam pomoże; że może przed zmierzchem znajdzie sobie jakieś używane ubranie, siądzie w jednym z barów, które odwiedzał podczas apertu, będzie sączył piwo i szukał pracy.

Resztę nabożeństwa wypełniło odnowienie ślubów i potwierdzenie wierności Dyscyplinie. Cieszyłem się, że mnie to ominęło. Zawinałem tabliczkę w arkusz papieru do rysowania i schowałem ją za skrzynkę z amunicją. Jeśli poproszę Lio,

przyniesie mi ją później.

Pozostało tylko jedno pytanie: czy dziesiętnicy zauważyli moją nieobecność? W trzystuosobowym tłumie brak mojej osoby mógł ujść niezauważony. Gdyby jednak ktoś miał mnie wypytywać, wymyśliłem historyjkę o tym, jak to Orolo dał mi do zrozumienia, czego się spodziewa (co na dobrą sprawę rzeczywiście zrobił, tylko ja byłem zbyt tępy, żeby to zauważyć), i postanowiłem nie uczestniczyć w rycie, bo bałem się, że będzie to ponad moje siły. Oczywiście w ten sposób nie uniknąłbym kłopotów, ale nic mnie to nie obchodziło. Niech mnie odrzuca. Dowiem się, dokąd udał się Orolo (najpewniej na Kopiec Bly'a), i pójdę za nim.

Okazało się jednak, że nie musiałem nikogo okłamywać. Albo nikt nie zwrócił uwagi, że mnie nie było, albo po prostu nikt się tym nie przejął.

Rekonstrukcja wydarzeń, jakie doprowadziły do odrzucenia Orola - równie mozolna jak składanie wykopanej przez archeologa czaszki z pojedynczych odłamków kości - zajęła nam kilka następnych tygodni. Zdarzało się, że podążaliśmy śladem plotki lub przekonujących (lecz błędnych) informacji i trafialiśmy na obiecujący trop, który dopiero po paru dniach okazywał się logicznym ślepym zaułkiem. Nie pomagał nam fakt, że peanatem Orola była dla nas psychicznym odpowiednikiem poparzeń trzeciego stopnia. Już na kilka dni przed apertem Orolo skądś wiedział, że szykują się kłopoty z gwiazdnym kręgiem. Kazał Jesry'emu wykonać jakieś obliczenia ale nie pozwolił mu obejrzeć tabliczek fotomnemonicznych, z których pochodziły dane. Ba, zadał sobie wiele trudu, aby ukryć naturę całego przedsięwzięcia przed Jesrym i pozostałymi uczniami - zapewne po to, żeby oszczędzić im przykrych konsekwencji.

Kiedy mistrz Quin wspomniał o technicznych

możliwościach szpilołapu Fleca, Orolo wpadł na pomysł, żeby użyć takiego urządzenia do prowadzenia obserwacji kosmograficznych. W dziewiątą noc apertu, po zamknięciu gwiazdnego kręgu, Orolo wykradł z pasieki dwie bańki miodu. Przebrał się za gościa z extramuros i wywiózł łup w zaopatrzonej w kółka lodowce do piwa. W Saeculum spotkał się z jakimś podejrzanym osobnikiem, poznanym zapewne wcześniej w jednym z barów. Podejrzewaliśmy, że specjalnie w tym celu odwiedzał takie przybytki podczas apertu: od początku chodziło mu o zwerbowanie takiego współnika, który w zamian za miód dostarczyłby mu szpilołap.

Mała winnica, w której oddawał się swojej profesji, była prawie niewidoczna z tumu. Odwiedzał ją czasem w zimie - naprawiał treliaże i przycinał winorośl. Po apercie zbudował w niej prymitywne obserwatorium. Jego głównym elementem była pionowa tyczka, nieco wyższa od dorosłego mężczyzny, obracająca się wokół pionowej osi i zaopatrzona w poprzeczkę, umieszczoną na wysokości oczu i mogącą się pochylać w górę i w dół. W poprzeczce Orolo wydrążył zagłębienie, w którym mieścił się szpilołap. Cała konstrukcja pozwalała mu unieruchomić urządzenie, kiedy śledził przez nie ruch ciał niebieskich. Mechanizm stabilizacji matrycy, duże zbliżenie i wzmocnienie sygnału przy słabym oświetleniu pozwalały uzyskać całkiem przyzwoity obraz interesujących go obiektów.

Myśl o tym, że Orolo miałby się wymknąć z koncentu, zmówić z kryminalistą podczas apertu, a potem prowadzić zakazane obserwacje, była dla nas wstrząsająca, ale takie wyjaśnienie wydawało się logiczne i pasowało do Orolo. Prędzej czy później wszyscy się z nim pogodziliśmy.

Rola, jaką ja sam odegrałem w tej historii, w oczach części edharczyków czyniła ze mnie zdrajcę, który wydał Orolo Regulatorce. Przed peanatem taki zarzut przyprawiłby mnie o bezsenność i wyrzuty sumienia; w parzyste noce zadreślałbym się tym, co wyjawilem Spelikonowi, w nieparzyste zaś kipiałbym bezsilną złością na tych członków mojej kapituły, którzy tak

kompletnie mnie nie rozumieli. Jednakże na tle późniejszych wydarzeń zamartwianie się takimi drobiazgami przywodziło na myśl próby obserwowania odległych gwiazd w biały dzień. Mimo że Orola nie był moim ojcem i wcale nie umarł, żywiłem wobec fraa Spelikona takie same uczucia, jakimi darzyłbym człowieka, który na moich oczach zabił mi ojca. Jeszcze większy żal miałem do suur Trestanas, ponieważ podejrzewałem, że w jakiś podstępny sposób to ona stała za tym całym nieszczęściem.

Co zobaczył Orola? Obliczenia, które zlecił Jesry'emu przed apertem, mogłyby stać się dla nas wskazówką, gdyby nie fakt, że Regulatorka skonfiskowała cały ich zapis i musieliśmy polegać na strzępach wspomnień Jesry'ego. Jego zdaniem Orola usiłował wyliczyć parametry orbity jednego lub więcej obiektów w naszym Układzie Słonecznym. W normalnych okolicznościach chodziłoby o asteroidę poruszającą się po orbicie heliocentrycznej (wokół słońca), zrzędzeniem losu przypominającej orbitę Arbre; krótko mówiąc, w grę wchodziłaby powtórka scenariusza z Wielką Grudą. Jesry miał jednak przecucie (poparte niektórymi z zapamiętanych liczb), że interesujący Orola obiekt krąży nie wokół słońca, lecz dookoła Arbre - co byłoby zjawiskiem w najwyższym stopniu niezwykłym. Ludzkość od tysięcy lat prowadziła obserwacje nieba i odkryła tylko jeden księżyc Arbre. Nie można było wprawdzie wykluczyć, że jakaś asteroida na orbicie okołosłonecznej przeszła w pobliżu punktu libracji, dała się przechwycić Arbre i weszła na trajektorię wokół planety, ale takie orbity były niestabilne i tego rodzaju satelity spadały w końcu na Arbre, zderzały się z księżycem albo zostawały wyrzucone z układu Arbre-księżyc.

Orola mógł obserwować punkty libracji układu Arbre-księżyc, w których znajdowały się skupiska kamieni i pyłu, widoczne jako chmury ścigające (lub ścigane przez) księżyc okrążający naszą planetę. Nie rozumieliśmy jednak, dlaczego taki projekt miałby spotkać się z tak ostrą i nieprzychylną reakcją Regulatorki. Zresztą Barb słusznie zwrócił uwagę, że z położenia M&M należy wnioskować, że Orola fotografował raczej obiekty

na orbicie biegunowej. Było mało prawdopodobne, żeby to były obiekty pochodzenia naturalnego.

Jesry pierwszy odważył się powiedzieć na głos to, co wszyscy pomyśleli już wcześniej:

- To nie jest obiekt pochodzenia naturalnego. To ludzie stworzyli go i umieścili na orbicie.

Wiosna jeszcze nie zaczęła się na dobre. Zima miała się ku końcowi, ale nadal należało się liczyć z groźbą przymrozków. Wyrastające z cebulek kiełki przebijały krystaliczną powierzchnię zmrożonego blocka. Większość popołudnia zajęło nam wycinanie zdrewniałych łodyg i zeschniętych pnączy z naszych kłębow. Przed zimą daliśmy im spokój, żeby ograniczyć erozję gleby i zapewnić schronienie drobnym zwierzętom, ale nadeszła pora, gdy musieliśmy się z nimi rozprawić i je spalić, żeby popiół użyźnił ziemię. Po kolacji poszliśmy podpalić suche zielsko wycięte za dnia. Rozpaliliśmy olbrzymie ognisko, które jednak nie mogło się długo palić. Jesry znalazł gdzieś butelkę wyrabianego przez Orola specyficznego wina i teraz podawaliśmy ją sobie w kółku.

- Może nie ludzie, tylko inna cywilizacja praktyczna - zauważył Barb.

Miał oczywiście rację, ale pod względem towarzyskim był niezmiernie irytujący. Artykułując swoje przypuszczenie, Jesry się odstąpił i naraził na ośmieszenie. Zgadając się z nim, nawet milcząc, podejmowaliśmy takie samo ryzyko. Tego tylko nam brakowało, żeby Barb zaczął snuć domysły na temat owadziokich potworów z kosmosu.

Zresztą z Barbem mieliśmy jeszcze inny problem: był synem Quina, który w pewnym sensie zainicjował cały ten ciąg wydarzeń, czyniąc nierozważne uwagi na temat nowoczesnych szpilołapów. Oczywiście Barb nie był niczemu winien, ale ich pokrewieństwo musiało wywoływać negatywne skojarzenia, które

w niezręcznych sytuacjach same wypływały. A Barb stanowił niewyczerpane źródło niezręcznych sytuacji.

- To by tłumaczyło zamknięcie gwiazdowego kręgu - stwierdził Arsibalt. - Przypuśćmy na potrzeby naszych rozważań, że państwo sekularne podzieliło się na dwie lub więcej frakcji, a te pomалу szykują się do wojny. Któraś z nich mogłaby wystrzelić satelitę zwiadowczego na orbitę biegunową.

- Nawet niejednego - wtrącił Jesry. - Wydaje mi się, że moje obliczenia odnosiły się do więcej niż jednego obiektu.

- A może do jednego, tylko takiego, który zmienia orbitę? - zasugerowała Tulia.

- Wątpię - odparł Lio. - Zmiana płaszczyzny orbity wymaga sporych nakładów energii, niewiele mniejszych niż samo wystrzelenie satelity.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

- Czytałem o satelitach szpiegowskich - wyjaśnił zakłopotany. - W książce o wojnach kosmicznych, napisanej w Epoce Praksis. Zmiana płaszczyzny orbity byłaby bardzo kosztowna!

- Satelita na orbicie biegunowej nie musiałby niczego zmieniać! - prychnął Barb. - W swoim czasie zobaczy każdy kawałek Arbre.

- Hipoteza Jesry'ego podoba mi się z jednego zasadniczego powodu - wtrąciłem.

Teraz wszyscy zwrócili się w moją stronę. Rzadko się odzywałem, ale od czasu peanatemy otaczała mnie aura eksperta od wszystkiego co orolskie.

- Zachowanie Orola przed apertem sugeruje, że spodziewał się kłopotów - ciągnąłem. - Cokolwiek zobaczył, zdawał sobie sprawę, że było to wydarzenie sekularne i hierarchowie zakażą mu dalszych obserwacji, gdy tylko się o tym dowiedzą. Gdyby chodziło o zwykłą asteroidę, nikt by się tym nie przejął.

Wyraziłem tylko powszechnie akceptowany pogląd, toteż odpowiedziało mi zgodne kiwanie głowami - tylko Arsibalt, nie wiedzieć czemu, potraktował moje słowa jak prowokację.

Odchrząknął i odparował, jakbyśmy weszli w dialog:

- Fraa Erasmasie, twoje słowa wydają się z pozoru sensowne, ale pozory mylą. Po tym, jak Orolo został obłożony peanatem, łatwo jest o nim myśleć jak o dysydencie. Ale czy ktokolwiek uznałby go za takowego przed apertem?

- Celne spostrzeżenie, fraa Arsibalcie. Nie ma sensu tracić czasu na przepytywanie wszystkich przy tym ognisku: Orolo był przeszczęśliwy, żyjąc zgodnie z nakazami Dyscypliny.

- Wystrzelenie nowego satelity zwiadowczego z pewnością jest wydarzeniem o charakterze sekularnym, prawda?

- Owszem.

- Co więcej, tego rodzaju praxisis jest znana ludziom od tysięcy lat; fraa Lio czytał o niej w starych książkach. Orolo nie mógł więc chyba liczyć na to, że obserwując satelitę, dowie się o nim czegoś nowego, nie uważasz?

- Nie mógł, o ile satelita ten nie zawiera nowych, nieznanych wcześniej wytworów praxisis.

- Taka praxisis sama w sobie byłaby faktem sekularnym, nieprawdaż? - odezwała się Tulia.

- Jak najbardziej, suur Tulio - przytaknałem. - I deklaranci nie powinni się nią interesować.

- Jeżeli zatem zgadzamy się z założeniem, że fraa Orolo jako wierny deklarant szanował Dyscyplinę, nie możemy przystać na twierdzenie, że obserwował przemierzającego niebo nowego sztucznego satelitę Arbre - podsumował Arsibalt.

- Ponieważ z łatwością rozpoznaliby w nim obiekt niebędący przedmiotem naszego zainteresowania - uzupełnił Lio.

Brzmiało to rozsądnie, ale donikąd nas nie prowadziło. Co najwyżej w rejony, w które nikt z nas nie chciał się zapuszczać. Nikt poza Barbem.

- W takim razie to musi być statek obcych - stwierdził.

Jesry westchnął głęboko.

- Fraa Tavenerze... - zaczął, używając deklarancckiego imienia Barba. - Przypomnij mi, kiedy wrócimy do biblioteki, żebym pokazał ci wyniki badań, z których jasno wynika, jak

bardzo nieprawdopodobny byłby taki zbieg okoliczności.

- „Nieprawdopodobny” nie znaczy chyba jeszcze „niemożliwy”? - odparował fraa Tavener.

Jesry znowu westchnął.

- Fraa Jesry? - Udało mi się spojrzeć mu w oczy i posłać porozumiewawcze spojrzenie: jeden z tych sygnałów, na które Barb pozostawał kompletnie ślepy. - Wydaje się, że ten temat ogromnie frapuje fraa Tavenera. Ognisko dogasa, zaraz i tak będziemy się zbierać. Może wy dwaj poszli byście przodem? Mógłbyś zapoznać go z badaniami, o których wspomniałeś. My zagasimy ognisko i posprzątamy po sobie.

Zapadła cisza. Nikt, nawet ja sam, nie wierzyłem własnym uszom: właśnie próbowałem dyrygować Jesrym. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło! Ale nie zamierzałem się tym martwić, zanadto zaprzętały mnie inne sprawy.

- Dobrze - odparł Jesry i oddalił się ciężkim krokiem, zabierając ze sobą Barba.

Odczekaliśmy, aż syk płomieni i gulgotanie rzeki zagłuszą dalsze pytania Barba.

- Chcesz porozmawiać o tabliczce - domyślił się Lio.

- Trzeba ją wreszcie przynieść i obejrzeć.

- Dziwię ci się, że nie pospieszyles się bardziej - stwierdziła Tulia. - Ja już nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

- Nie zapominajcie, jak skończył Orolo - powiedziałem. - Był nieostrożny. Albo po prostu nie przejmował się tym, że mogą go przyłapać.

- A ty? - zapytała mnie Tulia. - Przejmujesz się?

Zadany bez ogródek pytaniem wprawiła nas w zakłopotanie, ale nikt nie cofnął się od ogniska. Wszyscy czekali, co odpowiem. Smutek, jaki odczułem w chwili, gdy Statho wypowiedział imię Oroła, nadal przepełniał moje serce, zdążyłem się już jednak nauczyć, że może się w mgnieniu oka przerodzić w gniew - nie w przelotne rozdrażnienie rozkapryszonogo dzieciaka, lecz w lodowatą, nieustępliwą furję, która osiadała mi ciężko w trzewiach i sprowadzała bardzo, bardzo nieprzyjemne myśli.

Potrafiła mi także wykrzywić twarz w paskudnym grymasie, co poznawałem po młodych fidach: kiedy dawniej spotykaliśmy się w krążganku albo na łące, witali się ze mną przyjaźnie, teraz jednak najczęściej odwracali wzrok.

- Szczerze mówiąc, nie. - Skłamałem, ale dobrze się z tym czułem. - Nie obchodzi mnie, czy zostanę odrzucony, ale ponieważ jesteście w to zamieszani razem ze mną, przez wzgląd na was zachowam ostrożność. Nie zapominajcie, że tabliczka może nie zawierać żadnych użytecznych informacji. A nawet jeśli coś zarejestrowała, odkrycie tego może nam zająć całe miesiące albo nawet lata. Czeka nas długa, potajemna kampania.

- Moim zdaniem powinniśmy spróbować - stwierdziła Tulia. - Jesteśmy to winni Orolowi.

- Przyniosę ją, kiedy tylko będziecie chcieli - zaofiarował się Lio.

- W podziemiach Fundy Shufa jest takie ciemne pomieszczenie - podpowiedział Arsibalt. - Moglibyśmy ją tam spokojnie obejrzeć.

- Świetnie - zgodziłem się. - Będziecie musieli mi trochę pomóc, ale większość obowiązków biorę na siebie. Jeśli mnie złapią, powiem, że o niczym nie wiedzieliście, i wezmę na siebie całą odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzy. Dadzą mi za karę rozdział szósty albo jeszcze gorzej, a wtedy odejdę i spróbuję znaleźć Orola.

Tulia i Lio zareagowali na moje słowa wzburzeniem, które jednak przejawiało się w zupełnie różny sposób: ona miała ochotę się rozpłakać, on rwał się do walki. Arsibalt zaś zniecierpliwiał się na mnie za moją tępotę.

- Tu nie chodzi tylko o to, kto wpakuje się w tarapaty - powiedział. - Jesteś deklarantem, fraa Erasmasie. Przyrzekałeś przestrzegać Dyscypliny, to najważniejsza i najbardziej uroczysta przysięga w twoim życiu. I taka właśnie jest stawka tej gry. Grożące ci złapanie i kara to sprawy drugorzędne.

Upomnienie ze strony Arsibalta wstrząsnęło mną, ponieważ było prawdziwe. Miałem na nie gotową odpowiedź,

której jednak nie mogłem wypowiedzieć na głos: tamta przysięga nic już dla mnie nie znaczyła, a w każdym razie nie ufałem już ludziom stojącym na straży Dyscypliny, której wierność przysięgałem. Niestety, nie mogłem się do tego przyznać przed przyjaciółmi, oni bowiem nadal ją szanowali. Rozmyślałem gorączkowo nad odpowiedzią dla Arsibalta, a wszyscy stali spokojnie w kręgu, szturchali dogorywające ognisko i czekali, co powiem.

- Ufam Orolowi - odparłem w końcu. - Wierzę, że w swoim przekonaniu wcale nie naruszył Dyscypliny i został ukarany przez ludzi małych, którzy nie rozumieją, co się naprawdę dzieje. Jestem przekonany, że jest... będzie... że zostanie...

- Powiedz to! - wypaliła Tulia.

- Sauntem. Zrobię to dla saunta Orola.

Część 5

VOCO

Dynastia: (1) *{Extramuros}* Ród, w którym władza i majątek przechodzi z rodzica na dziecko. (2) *(Intramuros)* Chronologiczny ciąg deklarantów, którzy przed reformami Trzeciej Łupieży nabyli i zatrzymali własność wykraczającą poza zawój, sznur i sferę i przed śmiercią przekazywali je wybranemu dziedzicowi. Majątek (patrz: **Funda**) zgromadzony przez niektóre dynastie, oraz plotki na jego temat stworzyły podwaliny ikonografii baudijskiej. Eliminacja dynastii stanowiła jeden z elementów reform przeprowadzonych po Trzeciej Łupieży.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Cokolwiek by powiedzieć o jego zamożnych przodkach, sam fraa Shuf nie miał dużego majątku ani żadnych planów. Było to oczywiste dla każdego, kto zszedł po kamiennych schodach do piwnicy siedziby, którą Shuf zaczął budować, a jego następcy dokończyli. Napisałem „piwnicy”, ale należałoby raczej mówić o pewnej liczbie piwnic (nigdy ich nie liczyłem), posklejanych cementem i tworzącym graf, którego nikt nie ogarniał. W pewnym

sensie było to osiągnięcie godne podziwu - zmieścić taki labirynt pod tak niewielkim budynkiem. Arsibalt (oczywiście) miał gotowe wyjaśnienie: Shuf wybrał kamieniarstwo jako profesję i rozpoczął budowę około roku tysiąc dwusetnego, traktując ją jako ekscentryczną rozrywkę. Zamierzał zbudować wąską wieżę z jednym pokojem na górze, w którym samotny deklarant mógłby bez przeszkód medytować. Ukończywszy prace, przekazał budowlę swojemu fidowi, ten jednak zauważył, że wieża się przechyla, i poświęcił pół życia na wymianę fundamentów - delikatną robotę, wymagającą podkopywania istniejącej budowli i wbijania olbrzymich kamiennych bloków w tak wykopane dziury. W ten sposób fundamenty rozrosły się ponad miarę, a fid oddał wieżę swojemu następcy. Ów dołożył do niej swoją porcję wykopów, fundamentów i murów oporowych. Trwało to przez kilka pokoleń, aż dynastia zgromadziła majątek, który przestał się mieścić w wieży, i okazało się, że potrzebny jest jakiś magazyn. Wtedy stare fundamenty zostały na nowo odkryte, odkopane, podmurowane, poszerzone, zaopatrzone w prawdziwe podłogi i stropy. Jedną z paskudnych cech dynastii był fakt, że bogaci deklaranci mogli się wyręczać mniej bogatymi, pracującymi dla nich w zamian za lepsze jedzenie, lepsze picie i lepszy dach nad głową.

Zanim setki lat po Trzeciej Łupieży Zreformowani Faanowie Starzy zaczęli się zakradać do ruin Fundy Shufa, natura upomniała się o stare piwnice. Nie rozumiałem, jak to się mogło stać, że ziemia wdarła się do środka i tak grubą warstwą pokryła posadzki; przez swoją powolność był to proces niepojęty dla człowieka. ZFS, którzy z takim zaangażowaniem wyremontowali nadziemną część budowli, prawie zupełnie zignorowali piwnice. Na dole, na prawo od wejścia, przy samych schodach znajdowało się pomieszczenie, w którym trzymali wino i srebrną zastawę, używaną tylko przy wyjątkowych okazjach. Dalej podziemia pozostawały niezbadane.

Arsibalt - jakby przecząc powszechnej opinii na jego temat - stał się ich zapalonym eksploratorem. W bibliotece znalazł

wiekowe plany piwnic, zaopatrzył się w oskard i szufłę i zaczął szukać sklepionego lochu, który miał się znajdować na niższym poziomie i zawierać całe złoto zgromadzone przez dynastię Shufa. Jeżeli takie miejsce naprawdę istniało, z pewnością zostało odkryte i opróżnione podczas Trzeciej Łupieży, ale ponowne odnalezienie go byłoby interesujące. I na pewno dobrze zrobiłoby ZFS, bo w ostatnich latach wśród deklarantów z innych zakonów coraz częściej słyszało się o tym, że w podziemiach Fundy Faanowie odkryli (lub gromadzą) wielkie bogactwa. Gdyby Arsibalt odnalazł skarbiec, mógłby zaprosić wszystkich chętnych do odwiedzenia go i w ten sposób uciszyć plotki. Nie spieszył się jednak (jak zwykle) i nikt nie spodziewał się po nim żadnych konkretów, przynajmniej dopóki nie osiwieje. Od czasu do czasu wracał tylko ciężkim krokiem na naszą stronę mostu, brudny jak nieszczęście, i zostawiał w wannie gruby osad mułu - po tym poznawaliśmy, że zakończył kolejną ekspedycję badawczą.

Zdziwiłem się więc, kiedy sprowadził mnie po schodach do piwnicy, skreślił w lewo zamiast w prawo, zagłębił się w kręty korytarz, który miejscami wydawał się dla niego zbyt wąski, i pokazał mi zardzewiałą klapę w podłodze brudnego, cuchnącego wilgocią pomieszczenia. Podniósł ją, odsłaniając dziurę w ziemi i składaną aluminiową drabinę, którą podprowadził gdzieś z koncentu.

- Musiałem spiłować jej nogi... - przyznał się. - Ale tylko troszeczkę. Strop jest niski. Idź pierwszy.

Legendarny skarbiec okazał się szeroki i wysoki na szerokość rozpostartych ramion. Posadzkę stanowiło klepisko, na którym Arsibalt rozpostarł polioplastową płachtę, żeby drobiazgi („takie jak twój kościsty tyłek, Ras”) mogły bez przeszkód spocząć, nie chłonec wilgoci z ziemi. No i oczywiście nie było żadnego skarbu, tylko mnóstwo napisów wyrytych na ścianach przez rozczarowanych slogów.

Nie znałem drugiego równie paskudnego, miejsca do pracy, ale też nie mieliśmy wyboru. Nie mogłem siedzieć przez całą noc na sienniku i z zawojem narzuconym na głowę oglądać

zakazanej tabliczki. Zastosowaliśmy najstarszą sztuczkę na świecie - i to niemal dosłownie. W starej bibliotece Tulia wygrzebała grubaśną, wiekową księgę, której przez jedenaście stuleci nikt nie zdejmował z półki: zbiór artykułów z teorii cząstek elementarnych, niezwykle modnej w okresie od dwa tysiące trzysetnego do dwa tysiące sześćsetnego, zanim fraa Fenabrast udowodnił, że jest to jedno wielkie nieporozumienie. Powycinaliśmy koła w tyłu kartach księgi, aż utworzyło się zagłębienie mieszczące tabliczkę mnemoniczną. Lio zabrał ją na dziedziniec Protektora w stercie innych książek, a w porze kolacji przyniósł z powrotem, znacznie cięższą, i oddał mnie. Następnego dnia przy śniadaniu przekazałem ją Arsibaltowi, który przy kolacji poinformował mnie, że tabliczka dotarła na miejsce.

- Już ją nawet trochę obejrzałem - zdradził mi.

- I czego się dowiedziałeś?

- Że itowie bardzo przykładają się do czyszczenia Oka Clesthyry: jeden z nich codziennie je odkurza. Czasem zjada na gorze drugie śniadanie.

- To miłe miejsce na posiłek. Ale myślałem raczej o zapisie nocnych obserwacji.

- Zostawiam je tobie.

Teraz potrzebowałem już tylko pretekstu pozwalającego mi jak najczęściej odwiedzać Fundę Shufa. Przynajmniej tym razem polityka zadziałała na moją korzyść. Ci, którzy krzywo patrzyli na remont Fundy, podejrzewali, że ZFS w jakiś cwany sposób próbują uzyskać nienależne im korzyści. Gdyby ich o to zapytać wprost, Faanowie odpowiedzieliby, że każdy ma prawo tam bywać i pracować - ale nikt z Nowego Kręgu, a już zwłaszcza nikt od saunta Edhara się do tego nie kwapił. Wynikało to po części z tradycyjnej rywalizacji między zakonami, po części zaś z niedawnych wydarzeń.

- Jak traktują cię twoi nowi bracia i siostry? - zapytała mnie któregoś dnia Tulia, kiedy wychodziliśmy z tumu po certyfiku.

Ton jej głosu nie był milusi i troskliwy, lecz raczej ciekawsko-analityczny. Odwróciłem się i zacząłem iść przed nią

tyłem, żeby patrzeć jej w oczy. Zirytowana uniosła brwi. Za miesiąc miała osiągnąć pełnoletność i będzie mogła angażować się w romanse, nie naruszając Dyscypliny. Nasza znajomość stawała się trochę niezręczna.

- Czemu pytasz? Powiedz.

- Przestań robić z siebie widowisko, to ci powiem.

Nie wiedziałem, że robię z siebie widowisko. Odwróciłem się i zrównałem z nią.

- Pojawiły się nowe głosy - poinformowała mnie Tulia. - Odrzucenie Orola miałyby być odwetem za jego politykierstwo w czasie kwalifików.

- Też coś! - prychnąłem.

Chwilowo nie umiałem się zdobyć na bardziej elokwentną wypowiedź, więc przestałem się odzywać. W życiu nie słyszałem podobnej bzdury. Jeżeli kradzież miodu i wymienienie go na czarnym rynku na zakazany Dyscypliną towar nie wystarczały do odrzucenia, to co zostawało? Mimo to...

- Takie pomysły są najgorsze - stwierdziłem. - Jakaś mała, podła częśćka twojego mózgu chce w nie wierzyć, mimo że druga, większa część, w oparciu o logikę rozwala je na drobne kawałki.

- Wiesz, niektórym edharczykom nie przeszkadza, kiedy ta mała, podła częśćka bierze górę nad tą drugą, logiczną. Nie chcą wierzyć w miód i szpilołap. Podobno Orolo zawarł trójstronny pakt: Arsibalt trafił do ZFS w zamian za...

- Dość. Nie chcę tego słyszeć.

- Ty wiesz, co naprawdę zrobił Orolo, i łatwiej jest ci się z tym pogodzić. Ale inni... To nie takie proste. Wolą mówić o spisku politycznym i udawać, że sprawa miodu nie istnieje.

- Nawet ja nie zarzuciłbym suur Trestanas takiego cynizmu. - Kątem oka widziałem, jak Tulia spogląda na mnie z zaciekawieniem. - No dobrze, powiem tak: wątpię, żeby suur Trestanas brała udział w jakimś spisku. Ona jest po prostu złym człowiekiem.

To chyba Tulii wystarczyło.

- Posłuchaj - ciągnąłem. - Orolo lubił powtarzać, że

koncent tym się tylko różni od extramuros, że jest w nim mniej świecidełek. Nie rozumiałem go wtedy, ale teraz, kiedy go zabrakło, wiem, o co mu chodziło. Nasza wiedza nie sprawia, że stajemy się mądrzejsi czy lepsi; potrafimy być równie wredni jak ci slogowie, którzy dla zabawy pobili Lio i Arsibalta.

- Orolu miał na to jakąś odpowiedź?

- Tak mi się wydaje. Próbował mi to wyjaśnić podczas apertu. Powinniśmy szukać rzeczy pięknych, bo piękno to taki promień światła z... z...

- Z prawdziwego świata? Z Hylaejskiego Świata Teorycznego?

Znowu nie umiałem nic wyczytać z jej twarzy. Chciała sprawdzić, czy wierzę w takie rzeczy - a ja chciałem się dowiedzieć, czy ona w nie wierzy. Doszedłem do wniosku, że to jednak ona więcej ryzykuje: mnie, jako edharczykowi, przyznanie się mogło ująć na sucho.

- Tak - przytaknałem. - Nie wiem, czy tak by go nazwał, ale o to mu właśnie chodziło.

- Cóż... - mruknęła Tulia po chwili zastanowienia. - To chyba lepsze niż poszukiwanie coraz to nowych teorii spiskowych.

To jeszcze niewiele znaczy, pomyślałem, ale zachowałem to spostrzeżenie dla siebie. Decyzja Tulii o przystąpieniu do Nowego Kręgu była decyzją prawdziwą i miała swoje konsekwencje - między innymi taką, że musiała mieć się na baczości, wdając się w dyskusje o HŚT i podobnych ideach, które w Kręgu uznawano za przesady. Mogła sobie w nie wierzyć, ale nie powinna się z tym zdradzać, ja zaś byłbym nietaktowny, próbując z niej coś wyciągnąć.

Znalazłem jednak wymarzony pretekst do kręcenia się w pobliżu Fundy Shufa: korzystając ze stałego zaproszenia ZFS, mogłem udawać pojednawcę, chcącego doprowadzić do zgody między zakonami.

Codziennie po śniadaniu szedłem na wykład, zwykle w towarzystwie Barba, z którym potem aż do certyfiku siedziałem nad problemami i dowodami. Po obiedzie udawałem się na ławkę, w

rejon planowanej przeze mnie i Lio bitwy chwastów, i przez jakiś czas pracowałem tam - lub udawałem, że pracuję. Cały czas miałem na oku wykuszowe okno Fundy Shufa, stojącej na wzgórzu po drugiej stronie rzeki. Na parapecie tego okna Arsibalt trzymał zwykle stos książek, żeby mieć je w zasięgu ręki, kiedy zasiadał w swoim ulubionym fotelu. Jeżeli w Fundzie był ktoś jeszcze, Arsibalt odwracał książki grzbietami do okna; z łąki dobrze było widać ich pociemniałe oprawy. Kiedy zostawał sam, kładł książki w taki sposób, że widziałem jasne krawędzie stronic. Przerzywałem wtedy pracę, zabierałem ze swojej niszy zapiski teoretyczne, pokonywałem most i przechodziłem przez zagajnik drzew arkuszowych, kierując się do Fundy Shufa, jakbym tam zamierzał oddawać się nauce. Chwilę później lądowałem w lochu pod piwnicami, siadałem po turecku na płachcie i zabierałem się do pracy z tabliczką. Przed wyjściem na górę czekałem na kolejny sygnał: jeżeli ktoś obcy pojawił się w Fundzie, Arsibalt zamykał drzwi do piwnicy; dopóki siedział sam - zostawiał je uchylone.

Jedną z wielu zalet tabliczek fotomnemonicznych, które odróżniały je od zwyczajnych fototypów, był fakt, że emanowały własne światło, dzięki czemu można było je oglądać nawet po ciemku. Ta tabliczka zaczynała się i kończyła światłem słonecznym; kiedy cofnąłem zapis do samego początku, stała się jednolitą plamą białego światła z lekko błękitnym odcieniem: tak zarejestrował się na niej obraz nieba po tym, jak aktywowałem ją na szczycie Pinakla podczas *voco fraa Paphlagona*. Kiedy włączyłem odtwarzanie, najpierw zaobserwowałem krótkie, zabawne ściemnienie obrazu po włożeniu tabliczki do Oka Clesthyry, a potem wyświetlił się obraz - ostry, czysty, wyraźny, chociaż mocno zniekształcony.

Większość powierzchni dysku zajmował obraz nieba. Słońce było regularnym białym kołem, przesuniętym nieco w bok

od środka tabliczki. Na obwodzie rysował się ciemny, nierówny rąbek, jak pleśniowa skórka na krążku sera: to był widnokrag, widoczny we wszystkich kierunkach jednocześnie. W geometrii rybiego oka nasz ludzki „dół” znajdował się przy krawędzi tabliczki, „góra” zaś zajmowała jej środek. Gdyby kilka osób otoczyło kręgiem Oko Clesthyry, ich talie znalazłyby się na obwodzie okrągłego obrazu, a tułowia i głowy wyciągałyby się ku środkowi jak szprychy koła.

Na obwodzie tabliczki zapisało się tyle informacji, że chcąc je odcyfrować, musiałem co chwila powiększać i przesuwać obraz. Jasny dysk nieba był z jednej strony oszpecony ciemnym karbem, który przy bliższych oględzinach okazał się postumentem zwierciadła zenitalnego, stojącego tuż obok Oka. Podobnie jak strzałka wskazująca na mapie północ, karb ten stał się dla mnie punktem odniesienia i pozwolił mi znaleźć inne charakterystyczne obiekty. Prawie dokładnie po drugiej stronie okręgu znajdowało się drugie wcięcie, płytsze i szersze, którego z początku nie umiałem zinterpretować. Wystarczyło jednak odpowiednio się ustawić i przyzwyczać do specyficznego zniekształcenia obrazu, żebym rozpoznał w nim ludzką postać opatuloną zawojem, spod którego wystawała tylko jedna odsłonięta po łokieć ręka. Ręka sięgała na zewnątrz (czyli w dół) i nabierała groteskowo olbrzymich rozmiarów, zanim przyciął ją dolny skraj tabliczki. Tym potworem byłem ja sam: właśnie włożyłem tabliczkę do przeznaczonej na nią szczeliny pod obiektywem i zamknąłem klapkę. Widząc się po raz pierwszy, parsknąłem śmiechem: łokieć miałem wielki jak księżyc, a po powiększeniu rozpoznałem znajomy pieprzyk i mogłem policzyć sobie włoski i piegi na skórze. Próba ukrycia tożsamości przez zasłonięcie twarzy kapturem zakrawała na kiepski żart. Gdyby suur Trestanas znalazła tę tabliczkę, wystarczyłoby jej obejrzeć prawe łokiecie deklarantów, żeby znaleźć winowajcę.

Uruchomiłem odtwarzanie. Karb, będący mną, odsunął się i wtopił w ciemną krechę horyzontu. Chwilę później ciemna plama przecięła łukiem powierzchnię tabliczki, blisko krawędzi: to

aeroplan, który miał zabrać fraa Paphlagona do gryzipiórków. Zamroziłem obraz i powiększyłem, żeby dokładnie go sobie obejrzeć. Znajdował się daleko od obiektywu, więc w jego wypadku zniekształcenie było mniej dokuczliwe. Zobaczyłem wirniki i zatrzymane w kadrze smugi spalin oraz pilota, z twarzą ukrytą za czarną osłoną helmu, w której odbijało się wpadające przez przednią szybę słońce, i z lekko rozchylonymi ustami, jakby właśnie mówił coś do mikrofonu przy policzku. Przesunąłem zegar do przodu i patrzyłem, jak aeroplan leci z powrotem: tym razem w bocznym okienku mignęła mi twarz fraa Paphlagona. Patrzył na koncent takim wzrokiem, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Przesunąłem palcem po bocznej krawędzi tabliczki: słońce zakreśliło łuk na niebie i zapadło się pod widnokrąg. Tabliczka pociemniała. Z pewnością zarejestrowały się na niej gwiazdy, ale mój wzrok nie zdążył się jeszcze oswoić z ciemnością i nie widziałem ich. Na czarnym tle mignęły mi czerwone komety: światła aeroplanu. Potem krążek znowu się rozjaśnił, słońce wyskoczyło nad horyzont i zawisło na niebie. Zaczął się nowy dzień.

Kiedy przesuwałem palcem po całym obwodzie tabliczki, rozbłyskiwała jak lampa stroboskopowa: siedemdziesiąt osiem błysków, po jednym na każdy dzień spędzony w Oku Clesthyry. W ostatnich sekundach spowolniłem odtwarzanie i zobaczyłem samego siebie, jak podchodzę do Oka podczas peanatemy fraa Orola i wyjmuję tabliczkę. Nie chciałem jednak oglądać tego kawałka, nie podobała mi się moja twarz. Zerknąłem tylko dla porządku, czy tabliczka działała jak należy do momentu, kiedy ją zabrałem.

Wymazałem kilka pierwszych i kilka ostatnich sekund nagrania, żeby nie zawierało żadnego obrazu mojej osoby (na wypadek, gdyby dostała się w niepowołane ręce), a potem zacząłem je przeglądać szczegółowo i bez pośpiechu. Arsibalt wspominał, że widział na nim itów - i rzeczywiście: drugiego dnia, tuż po południu, ciemny kształt wybrzuszył się od horyzontu ku środkowi tabliczki i na dobrą minutę przesłonił większość nieba.

Cofnąłem i odtworzyłem ten fragment z normalną prędkością. Ita wszedł na górę, niosąc spryskiwacz i szmatę. Najpierw wyczyścił zwierciadło zenitalne, a potem podszedł do Oka Clesthyry (właśnie wtedy jego postać rozrosła się do monstualnych rozmiarów) i prysnął na nie płynem czyszczącym. Skuliłem się, jakby psiknął mi prosto w twarz. Porządnie wypolerował szkło, a ja mogłem do woli zaglądać mu w nozdrza i liczyć rosnące w nich włoski. Widziałem też żyłki w białkach jego oczu i poszczególne włókienka tęczówek. Z łatwością rozpoznałem więc Sammanna, na którego napatoczyliśmy się z Jesrym w hali maszyn u Cord. Sekundę później skurczył się, oddalając od Oka, ale nie zszedł od razu z Pinakla. Przez chwilę stał nieruchomo, zniknął mi z oczu, znów się pojawił, podszedł, zajrzał w obiektyw, aż wreszcie sobie poszedł.

Przybliżyłem obraz i obejrzałem jeszcze raz końcówkę. Ita wyczyścił szkło i spojrział w dół, jakby coś upuścił. Schylił się, przez co w polu widzenia Oka został tylko jego tyłek, a kiedy się wyprostował i znów wypełnił sobą większość kadru, trzymał coś w ręce: prostokątny przedmiot wielkości książki. Nie musiałem podkręcać powiększenia, żeby wiedzieć, co to jest: koszulka ochronna, którą poprzedniego dnia osobiście ściągnąłem z tej samej tabliczki. Wiatr wyrwał mi ją z ręki, a mnie tak się spieszyło na dół, że jak ostatni idiota zostawiłem ją tam, gdzie spadła.

Sammann oglądał ją chyba z minutę, obracając w rękach na wszystkie strony. W końcu chyba zrozumiał, co ma przed sobą, bo odwrócił gwałtownie głowę i spojrział prosto na mnie - a właściwie prosto w Oko Clesthyry. Podszedł i z bliska zajrzał w obiektyw. Przekrzywił głowę, sięgnął ręką gdzieś w dół i (tego się tylko domyślałem, bo widzieć nie mogłem) szturchnął palcami klapkę zabezpieczającą, zakrywającą szczelinę z tabliczką. Wyraz jego twarzy się zmienił. Gdybym chciał, mogłem powiększyć obraz i zobaczyć, co odbija mu się w źrenicach, ale nie musiałem tego robić: jego mina nie pozostawiała wątpliwości.

Niespełna dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zainstalowałem tabliczkę w Oku Clesthyry, ktoś się o tym

dowiedział.

Sammann stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, rozmyślając nad sytuacją, aż w końcu złożył koszulkę na pół, schował ją do kieszeni na piersi, odwrócił się do mnie plecami i odszedł.

Przewinałem obraz. Nastąpiła pochmurna noc i otoczyła mnie ciemność. Siedziałem w dziurze w ziemi i próbowałem poukładać sobie wszystko w głowie.

Przypominałem sobie inny wieczór, kiedy staliśmy przy ognisku, a ja zarzuciłem Orolowi nieostrożność i obiecałem przyjaciółom, że sam będę rozważniejszy. Ależ byłem durniem!

Kiedy patrzyłem, jak Sammann podnosi koszulkę i kojarzy fakty, serce waliło mi jak młotem, a na twarz wypłynął rumieniec, jakbym we własnej osobie stał obok niego na szczycie Pinakla. A to przecież był tylko zapis wydarzenia sprzed kilku miesięcy, z którego nic przez ten czas nie wynikło. Chociaż naturalnie Sammann mógł mnie wsypać w dowolnie wybranym momencie.

Zaniepokoiłem się, ale nic nie mogłem na to poradzić. Odczuwanie wstydu za błąd popełniony kilka miesięcy wcześniej byłoby stratą czasu; należało się raczej zastanowić, co dalej. Mam tu siedzieć po ciemku i się zamartwiać? Czy raczej kontynuować badanie zapisu na tabliczce? Kiedy w taki sposób przedstawiłem sprawę, odpowiedź stała się oczywista. Złości, która zagnieździła się w moich trzewiach, nie umiałbym całkiem zignorować, co nie znaczy, że musiałem reagować gwałtownie i widowiskowo.

W innym zakonie mógłbym uczynić z tej reakcji coś na kształt profesji: napędzany nią, piałbym się przez dziesięć, dwadzieścia lat po szczeblach hierarchii, starając się uprzykrzyć życie wszystkim tym, którzy skrzywdzili Orola. Fakty jednak były inne: przystałem do edharczyków, wyłączając się w ten sposób z machinacji politycznych w obrębie koncentu - i dlatego skłaniałem

się raczej ku takim pomysłom jak zamordowanie fraa Spelikona. W szponach gniewu taka idea wydawała mi się całkiem sensowna i od czasu do czasu zastanawiałem się nad sposobami jej realizacji. W kuchni nie brakowało dużych noży.

Szczęśliwie się więc złożyło, że miałem tę tabliczkę i spokojny kąt, w którym mogłem ją oglądać. Mogłem na niej wyładować swoją złość, zamiast rzucić się fraa Spelikonowi do gardła. Jeżeli przyłożę się do pracy, to przy odrobinie szczęścia będę mógł któregoś wieczoru w refektarzu pochwalić się wynikami kompromitującymi Spelikona, Trestanas i Statha. Wtedy zdążę jeszcze z niesmakiem odejść z koncentu i trzasnąć drzwiami, zanim mnie odrzucą.

A na razie studiowanie danych na tabliczce zaspokajało moją instynktowną potrzebę reakcji na krzywdę wyrządzoną Orolowi. Odkryłem, że tego rodzaju praca jest jedynym sposobem na przekucie zżerającej mnie wściekłości w żal, który - w przeciwieństwie do gniewu - nie odstraszał ode mnie młodych fidów i sprawiał, że wizje tryskających krwią tętnic Spelikona rzadziej stawały mi przed oczami.

Nie miałem więc innego wyjścia, jak po prostu zapomnieć o Sammannie i nieszczęsnej koszulce i skoncentrować się na tym, co Oko Clesthyry widziało w nocy. Przez tamte prawie trzy miesiące regularnie sprawdzałem pogodę: niebo najczęściej było zachmurzone i dobre warunki do obserwacji panowały zaledwie przez siedemnaście z siedemdziesięciu ośmiu nocy.

Kiedy moje oczy oswoiły się z ciemnością, ustalenie kierunku północnego na tabliczce okazało się banalnie proste: tam przecież znajdowała się oś obrotu całego nieboskłonu. Kiedy zatrzymywałem obraz albo odtwarzałem go z normalną prędkością, gwiazdy rysowały się na tabliczce jako nieruchome punkciki światła. Wystarczyło jednak przyspieszyć odczyt, żeby prawie wszystkie zaczęły zataczać koncentryczne łuki, odwzorowując obroty Arbre - prawie wszystkie, ponieważ wspólnym środkiem tych łuków była nieporuszona gwiazda polarna. W bardziej wyrafinowanych teleskopach mieliśmy

zainstalowany zegarowy system naprowadzania, który eliminował tę niedogodność: obracały się „do tyłu” z tą samą szybkością, z jaką Arbre wirowała „do przodu”, dzięki czemu można było odnieść wrażenie, że obserwowane przez nie gwiazdy tkwią nieruchomo na swoich miejscach. Oko Clesthyry było pozbawione tego mechanizmu.

Tabliczką dawało się sterować na „kilka różnych sposobów. Do tej pory używałem jej podobnie jak szpilołapu zaopatrzonego w przyciski startu, stopu i przewijania. Miała jednak również pewne dodatkowe cechy, których szpilołapy były pozbawione: mogła na przykład odtworzyć połączone obrazy zarejestrowane w dowolnie długim okresie. Ta funkcja stanowiła swoiste dziedzictwo Epoki Praksis, kiedy zamiast tabliczek fotomnemonicznych kosmografowie mieli do dyspozycji płytki pokryte światłoczułymi chemikaliami. Ponieważ wiele obserwowanych przez nich obiektów świeciło bardzo słabo, naświetlanie płytek potrafiło trwać godzinami. Tabliczka fotomnemoniczna mogła pracować w obu tych trybach. Kiedy odtwarzało się zapis w taki sam sposób jak na zwykłym szpilołapie, widziało się co najwyżej parę gwiazd i lekką mgiełkę, za to po włączeniu odtwarzania obrazów zintegrowanych gwiazdy mogły się ułożyć w galaktykę spiralną albo mgławicę.

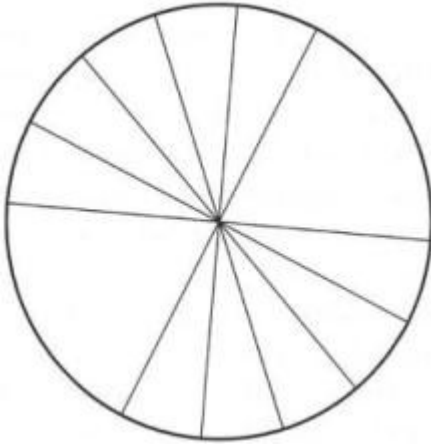
Dlatego w moim pierwszym eksperymencie wybrałem pogodną noc i kazałem tabliczce wyświetlić scalony obraz, zarejestrowany przez Oko Clesthyry między zachodem i wschodem słońca. Pierwsza próba mi się nie powiodła, ponieważ nastawiłem zbyt wczesny moment początkowy i zbyt późny końcowy i obraz rozpląnął się w jasności zmierzchu i przedświt, ale po wprowadzeniu poprawek uzyskałem żądany efekt.

Tabliczka stała się czarnym dyskiem poznaczonym tysiącami cieniutkich koncentrycznych łuków, odzwierciedlających pozorny ruch pojedynczych gwiazd i planet nad obracającą się Arbre. Obraz przecinało kilkanaście czerwonych linii przerywanych i bardzo jasnych białych pasków: były to światła przelatujących aeroplanów; te bliżej środka,

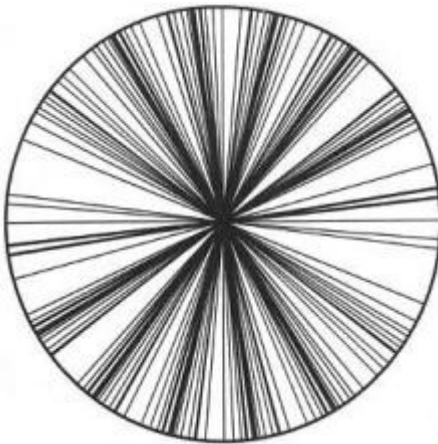
pozostawione przez wysoko lecące maszyny, biegły prawie prosto. W jednym miejscu przy brzegu płytki niebo było wręcz wypalone pękiem grubych białych pasm: w tym rejonie aeroplany lądowały w miejscowym aerodromie i wszystkie schodziły do lądowania podobnym torem.

Tylko jedna rzecz na firmamencie się nie poruszała: gwiazda polarna. Jeżeli mieliśmy rację w naszych domysłach na temat przedmiotu zainteresowań fraa Orola (wedle których miał wypatrywać czegoś na orbicie biegunowej), to jeśli interesujący go obiekt był dostatecznie jasny, żeby tabliczka w ogóle go zarejestrowała, powinien być widoczny jako kreska w pobliżu gwiazdy polarnej, prosta lub prawie prosta i przecinająca pod kątem prostym setki łuków kreślonych przez gwiazdy: on poruszałyby się w kierunku północ-południe, one zaś zdążyłyby ze wschodu na zachód.

Co więcej, taki satelita powinien przeciąć niebo więcej niż raz w ciągu nocy. Policzyliśmy to z Jesrym dokładnie. Satelita na niskiej orbicie okrężałby Arbre w czasie około półtorej godziny. Jeżeli nakreślił na tabliczce prostą krechę o godzinie, powiedzmy, dwunastej w nocy, następną powinien wyrysować około pół do drugiej, potem kolejne o trzeciej i pół do piątej, cały czas w tej samej płaszczyźnie względem gwiazd. W półtoragodzinnej przerwie między jednym i drugim jego pojawieniem się Arbre obraca się o dwadzieścia dwa i pół stopnia długości geograficznej, przez co kolejne linie kreślone przez satelitę nie nakładałyby się na siebie, lecz byłyby przesunięte względem siebie właśnie o dwadzieścia dwa i pół stopnia (albo $\pi/8$, jak teoretycy wolą określać miary kątów). Obraz przypominałby trochę pokrojony tort:



Pierwszego dnia w piwnicy kazałem tabliczce wyświetlić obraz z pierwszej pogodnej nocy, zrobiłem zbliżenie w rejon gwiazdy polarnej i zacząłem szukać czegoś, co wyglądałoby jak tort. Dopiąłem swego z tak dziecinną łatwością, że w pewnym sensie poczułem się rozczarowany. Rysunek okazał się nieco bardziej skomplikowany, ponieważ satelitów było więcej niż jeden:



Przyjrząwszy mu się dokładnie, rozpoznałem kilka nałożonych na siebie rysunków tortu.

- Jestem rozczarowany - przyznałem Jesry'emu przy kolacji.

Udało nam się jakimś cudem uniknąć towarzystwa Barba i siedliśmy we dwóch w kącie refektarza.

- Znowu?

- Chyba się spodziewałem, że jeśli w ogóle uda mi się coś zobaczyć w okolicy bieguna, będzie po wszystkim. Tajemnica rozwikłana, sprawa zamknięta. A to wcale nie tak. Jest całkiem sporo satelitów na orbitach biegunowych; podejrzewam, że krążą tak od Epoki Praksis. Kiedy jedne się zużywają i spadają, gryziپیórki wystrzeliwują następne.

- To nic nowego. Jeżeli wyjdiesz w nocy na dwór, odwrócisz się na północ i dostatecznie długo będziesz się gapił w niebo, zobaczysz je gołym okiem.

Przezuwałem kęs jedzenia i walczyłem z chęcią wyróżnienia Jesry'ego w nos - ale przecież na tym właśnie polegała teoryka. Nie tylko loryci powtarzali „to nic nowego”; ludzie cały czas na nowo wynajdowali koło i nie był to żaden powód do wstydu. Gdybyśmy wszyscy się zachwycali, wnosili pochwalne ochy i achy i powtarzali „No proszę, koło. Że też nikt wcześniej na to nie wpadł” tylko po to, żeby zrobić przyjemność wynalazcy, postęp zamarłby zupełnie. Jednakże przykro mi się robiło na myśl o tym, że całe ryzyko, jakie podjąłem, poszło na marne, a uzyskany przeze mnie wynik dało się skwitować jako „nic nowego”.

- Nie twierdzą, że to nowość - odparłem z wymuszoną cierpliwością. - Informuję cię po prostu, co się stało, kiedy pierwszy raz miałem okazję posiedzieć parę godzin nad tą tabliczką. I chyba przy okazji próbuję postawić pytanie.

- Słucham. Jak ono brzmi?

- Fraa Orolu na pewno wiedział, że na orbitach biegunowych znajduje się kilkanaście satelitów. Fakt ten sam w sobie jest dla kosmografa równie mało istotny jak przelatujące mu nad głową aeroplany.

- Mogą go co najwyżej drażnić. - Jesry pokiwał głową. - Przeszkadzać mu.

- Co takiego chciał zatem zobaczyć, że zaryzykował narażenie się na peanatemę?

- Nie tylko zaryzykował, ale...

Uciszyłem go gestem.

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie pora bawić się w Kefedokhlesa.

Jesry zapatrzył się w przestrzeń nad moim lewym ramieniem. Przeciętny rozmówca poczułby się zakłopotany albo urażony moją reakcją, ale nie Jesry. W ogóle się nie przejął! Ależ mu zazdrościłem...

- Wiemy, że potrzebował szpilołapu - zauważył. - Nie wystarczyło mu gołe oko.

- Potrzebował jakiegoś przyrządu, żeby inaczej widzieć niebo. Nie mógł rejestrować obrazu przez długi czas na tabliczce fotomnemonicznej.

- Po zamknięciu gwiazdznego kręgu nie pozostało mu nic innego, jak sterczeć po nocach w tej winnicy, odmrażając sobie tyłek, oglądać gwiazdę polarną przez szpilołap i czekać, aż coś się przy niej pokaże.

- Cokolwiek by to było, błyskawicznie przemknęłoby przez pole widzenia - zauważyłem. W tej chwili nawzajem kończyliśmy zdania rozpoczęte przez tego drugiego. - Co jeszcze? Co jeszcze by zaobserwował?

- Czas. - Jesry wbił wzrok w stół, jakby tam wyświetlał się szpil z Orolem w roli głównej. - Sprawdza i zapisuje godzinę. Dziewięćdziesiąt minut później znowu patrzy w niebo i widzi, jak ten sam ptaszek drugi raz przefruwa nad biegunem.

Lio nazywał satelity „ptaszkami”, odkąd naczytał się książek, w których tak określali je wojskowi w swoim żargonie, a my wszyscy przyswoiliśmy sobie to określenie.

- Brzmi to równie fascynująco, jak wpatrywanie się w godzinową wskazówkę zegara - mruknąłem.

- Nie zapominaj, że tych ptaszków jest więcej.

- Nie zapominam, pół dnia się im przyglądałem! - odparłem z naciskiem.

Ale Jesry podążał już tropem swojej nowej idei i nie miał czasu na moje małostkowe złośliwości.

- Na pewno nie krążą wszystkie na tej samej wysokości - powiedział. - Jedne są na wyższych orbitach, inne na niższych; tym pierwszym okążenie Arbre zajmuje więcej czasu, zamiast dziewięćdziesięciu minut na przykład dziewięćdziesiąt jeden albo... sto trzy, powiedzmy. Mierząc te czasy w dostatecznie długim okresie, fraa Orolo mógłby stworzyć coś w rodzaju...

- Spisu - dokończyłem. - Listy wszystkich ptaszków na niebie.

- A wtedy, z gotową listą w ręce, z łatwością wykrywałby ewentualne nieregularności i anomalie. Dopóki jednak nie zakończyłby tego... spisu, jak go nazwałś...

- Pracowałby po omacku, i to w więcej niż jednym sensie, prawda? Widziałby ptaszka nad biegunem, ale nie mógłby go rozpoznać ani stwierdzić, czy w jego zachowaniu jest coś niezwykłego.

- Jeżeli mamy rację, musimy pójść w jego ślady. Powinieneś zacząć od zestawienia takiej właśnie listy.

- Będzie mi łatwiej niż jemu. Wystarczy spojrzeć na trajektorie na tabliczce: jedne są bardziej zagęszczone, inne mniej. Im rzadziej rozstawione ślady, tym wyżej lata ptaszek.

- A później, kiedy nauczysz się czytać te obrazy, wystarczy ci rzut oka, żeby wychwytywać anomalie.

Łatwo mu było tak mówić, bo to nie on miał się tym zająć!

Od dłuższej chwili sprawiał wrażenie zaniepokojonego i znudzonego jednocześnie. Rozejrzał się po refektarzu, jakby szukał ciekawszego partnera do rozmowy... Ale w końcu znowu spojrzął mi w oczy.

- Zmieńmy temat - zaproponował.

- Chętnie. Zarzuć jakiś.

Jeżeli się zorientował, że z niego drwię, to nie dał tego po sobie poznać.

- Fraa Paphlagon.
- Ten setnik, który został powołany.
- Tak jest.
- Nauczyciel Orola.
- Zgadza się. Bezmian sugeruje, że jego powołanie i kłopoty Orola muszą być jakoś powiązane.
- Brzmi to rozsądnie. Sam chyba skłaniam się ku takiemu twierdzeniu.
- Zazwyczaj nie mamy pojęcia, nad czym pracują centenaryści, bo z poznaniem ich dzieł trzeba czekać do najbliższego apertu stuletniego. Jednakże zanim Paphlagon dwadzieścia dwa lata temu przeszedł przez górny labirynt, opublikował kilka prac, które poszły w świat przy okazji apertu dziesięcioletniego w sześćset siedemdziesiątym. Dziesięć lat później, a potem po kolejnych dziesięciu latach, czyli kilka miesięcy temu, nasza biblioteka odebrała przypadającą jej co dziesięć lat górę publikacji. Zacząłem w nich szukać odniesień do prac Paphlagona.
- Po co te podchody? Przecież wszystkie dzieła Paphlagona są u nas.
- To prawda, ale to nie o nie mi chodziło. Chciałem się raczej dowiedzieć, kogo tam na zewnątrz zainteresowały jego dokonania. Kto mógł przeczytać prace Paphlagona sprzed dwudziestu lat i uznać, że to ciekawa postać? Chodzi o to...
- ...że ktoś tam, w Saeculum, najwyraźniej stwierdził: „Paphlagon to nasz człowiek. Dawać go tutaj!”.
- No właśnie.
- I co znalazłeś?
- Widzisz, to jest właśnie najciekawsze. W pewnym sensie Paphlagon prowadził podwójne życie.
- To znaczy? Masz na myśli jego profesję?
- Można powiedzieć, że jego profesją była filozofia. Metateoryka. Proceńczycy nazwaliby ją nawet jakąś odmianą religii. Jest kosmografem jak się patrzy, zajmuje się podobnymi problemami co Orola, ale w wolnym czasie obmyśla i spisuje

wielkie idee. I ludzie na zewnątrz zwrócili na niego uwagę.

- Jakie to idee?
- Nie chcę teraz się w to wgłębiać.
- Do licha ciężkiego...

Uciszył mnie pojednawczym gestem.

- Sam sobie poczytaj. Ja nie o tym chciałem mówić.

Próbuję zrozumieć, kto go wybrał i dlaczego. Kosmografów nie brakuje, prawda?

- Oczywiście.
- Jeżeli zatem został powołany, aby odpowiadać na pytania natury kosmograficznej, pojawia się pytanie...
- Dlaczego właśnie on.

- Otóż to. Natomiast mało jest takich specjalistów od metateoryki jak on.

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Bezmian sugeruje, że powołano go właśnie z tego powodu, a nie względu na jego dokonania kosmograficzne.

- No właśnie. Niewielu ludzi interesuje się pracami metateorycznymi Paphlagona, tak przynajmniej wynika z materiałów, które dostaliśmy w sześćset osiemdziesiątym i dziewięćdziesiątym, ale jest taka jedna suur w Baritoe, nazywa się Aculoä, która szczerze go podziwia. Napisała dwie książki o jego pracy.

- Dziesiątniczka? Czy...
- Nie, unarystka. Od trzydziestu czterech lat.

A więc nauczycielka. Nikt inny nie tkwiłby tak długo w matematyce jednorocznym.

- Późna Evenedryczka - dodał Jesry, odpowiadając na moje następne pytanie, zanim zdążyłem je zadać.

- Niewiele wiem o tym zakonie.
- A pamiętasz, jak Orolo wspomniał, że pod koniec życia Evenedryk zmienił zainteresowania?

- To chyba był Arsibalt, nie Orolo, ale...

Jesry zbył moją poprawkę wzruszeniem ramion.

- Późnych evenedryków interesuje właśnie ten schyłkowy

okres.

- Myślisz, że to suur Aculoã go wybrała?

- Nie, na pewno nie. Jest nauczycielką filozofii, jednoroczną...

- To prawda, ale w koncencie z Wielkiej Trójki!

- Do tego właśnie zmierzam - odparł cierpko Jesry. - Wielu ważnych sekularów odsłużyło parę lat w matemach Wielkiej Trójki, a potem je opuściło i zrobiło karierę.

- Uważasz, że ta suur miała fida, dziesięć, może piętnaście lat temu, który w późniejszym czasie został gryzipiórkiem. Ale przedtem zdażyła mu naopowiadać, jakim wspaniałym i mądrym człowiekiem jest fraa Paphlagon. A teraz coś się stało...

Jesry z zapalem pokiwał głową.

- Coś, co sprawiło, że ten jej ex-fid powiedział „Miarka się przebrała. Sprowadźcie go, najlepiej na wczoraj!”.

- Co takiego mogło się wydarzyć?

Wzruszył ramionami.

- Oto jest pytanie, prawda?

- Może przejrzanie prac Paphlagona coś by nam wyjaśniło?

- To oczywiste, ale trudno to zrobić, dopóki Arsibalt używa ich jako semafora.

W pierwszej chwili zupełnie go nie zrozumiałem.

- Stos książek na parapecie...

Jesry pokiwał głową.

- Arsibalt zgarnął wszystkie dzieła Paphlagona i przeniósł je do Fundy Shufa.

Parsknąłem śmiechem.

- A co z pracami suur Aculoi?

- Tulia je przegląda. Szuka wzmianek o jakichś wyróżniających się fidach.

Dolina Dzwoneczków: (1) Dolina górską słynącą z wielkiej liczby

potoków spływających po jej skalistych ścianach ze znajdujących się powyżej lodowców. Ich dźwięk porównywany bywa do dźwięczenia dzwoneczków. Znana również (bardziej poetycko) jako Dolina Tysiąca Ruczajów. (2) Matem założony tamże w roku 17 p.r., specjalizujący się w zgłębianiu tajników sztuk walki oraz pokrewnych zagadnień. **Droga dzwoneczków:** W noworthyjskim: obszerny termin obejmujący sztuki walki bronią i bez, historię wojskowości, strategię i taktykę, ściśle związane (w świecie matemowym) z deklarantami z Doliny Dzwoneczków, którzy od czasu założenia tam matemu (17 p.r.) specjalizują się w tej problematyce. *Uwaga:* W mowie potocznej oraz w jęz. fluksyjskim używa się czasem skrótu *dron*. Skróć ten podkreśla jednak aspekt bojowy drogi dzwoneczków, pomijając bardziej akademickie i biurokratyczne jej aspekty. Extramuros *dron* jest odmianą widowiska rozrywkowego, a także (dla tych sekularów, których uda się przekonać, żeby zaczęli ćwiczyć, zamiast po prostu się przyglądać) rodzajem szkoły.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Siedzenie w dziurze w ziemi tak mnie pochłonęło, że nie miałem pojęcia, co się wokół mnie dzieje. Odkąd jednak Jesry uświadomił mi, że moi fraa i suur ciężko pracują, zdwoiłem wysiłki zmierzające do odczytania tabliczki. Miałem na niej zapisane wszystkie siedemnaście pogodnych nocy. Kiedy nabrałem trochę wprawy, wyświetlenie zapisu z całej nocy w postaci jednego obrazu zajmowało mi około pół godziny. Za pomocą kątomierza mierzyłem następnie rozstaw linii. Zgodnie z przewidywaniami Jesry'ego niektóre ptaszki pojawiały się w większych odstępach, odzwierciedlających wyższą orbitę, ale parametry orbity dla wybranego ptaszka powtarzały się regularnie: za każdym okrążeniem, noc w noc. W związku z tym obserwacje z jednej nocy z powodzeniem wystarczyłyby do sporządzenia wstępnej wersji spisu satelitów - ale ja rzetelnie przejrzałem wszystkie siedemnaście zapisów, między innymi dlatego, że nie bardzo wiedziałem, co innego mógłbym robić. Podczas każdej wizyty w piwnicy załatwiałem jedną, rzadziej dwie noce - a nie co

dzień miałem okazję tam zaglądać.

Zanim skończyłem, minęły trzy tygodnie. Na drzewach pojawiły się pąki, ptaki leciały na północ, fraa i suur zaczęli się krzątać po swoich kłębach i dyskutować o tym, czy już pora siać i sadzić. Horda barbarzyńskich chwastów zbierała się na brzegu rzeki i szykowała do inwazji na żyzne thrańskie równiny. Arsibalt przekopał się przez dwie trzecie Paphlagona. Do wiosennej równonocy zostało zaledwie kilka dni. Apert rozpoczął się w dniu równonocy jesiennej - pół roku temu! Nie miałem pojęcia, gdzie się podział taki szmat czasu.

Oczywiście tam, gdzie wszystkie wcześniejsze dni i lata. Ciężko pracowałem. Nie miało znaczenia, że robiłem to potajemnie, niezgodnie z prawem, ryzykując odrzucenie. Niektórzy by się tym przejęli, ale z punktu widzenia koncentu było to kompletnie nieistotne. Deklaranci mieli się zajmować projektami naukowymi, a skoro już znalazłem sobie jakiś projekt, stałem się częścią koncentu w sposób wcześniej mi niedostępny. Znalazłem się we właściwym miejscu.

Ponieważ Arsibalt, Jesry i Tulia mieli swoje zajęcia, nie powiedziałem im o Sammannie. O nim rozmawiałem tylko z Lio, kiedy wychodziliśmy na łąkę, żeby tam przekonywać gwiazdokwiaty do przesuwania się we właściwym kierunku - albo, ponieważ pracowałem przeciw z Lio, zajmować się czymkolwiek innym, co akurat przyszło mu do głowy.

Różnie reagowaliśmy na brak Orola. Ja snułem fantazje o krwawej zemście, ale nikomu się z nich nie zwierzałem. Lio praktykował coraz dziwniejsze odmiany dronu. Dwa tygodnie wcześniej próbował mnie zainteresować dronem z grabiami, zainspirowany, jak się domyślałem, historią o Diaksie przepędzającym entuzjastów. Odmówiłem, tłumacząc, że boję się zakażenia krwi: spotkanie z przeciwnikiem uzbrojonym w grabie groziło odniesieniem licznych ran kłutych. Po tygodniu przerzucił się na dron ze szpadlem i sporo czasu przesiedzieliśmy nad rzeką, ostrząc szpadle na kamieniach.

Kiedy któregoś dnia znów zabrał mnie nad rzekę,

spodziewałem się dalszych wariacji na ten sam temat, ale Lio cały czas oglądał się przez ramię i prowadził mnie coraz dalej. Jako fid uczestniczyłem w dostatecznie dużej liczbie potajemnych wypadów, żeby wiedzieć, czego wypatruje: sprawdzał, czy widać nas z okien Regulatorki. Stare nawyki wróciły z dawną mocą: przestałem się odzywać i przemykałem od krzaka do krzaka, aż dotarliśmy do zakrętu rzeki, gdzie woda podcięła brzeg i mogliśmy ukryć się pod przewieszką. Mieliśmy szczęście, że nikt nie wybrał sobie akurat teraz tej okolicy na romansowanie. Zresztą miejsce i tak się do tego nie nadawało: rozmiękły grunt, robactwo, wysokie prawdopodobieństwo zaskoczenia przez deklarantów, którzy przyszliznęli popływać łódkami.

Lio odwrócił się do mnie. Zaniepokoiłem się, że będzie chciał mnie poderwać.

Ale gdzie tam... To był przecież Lio.

- Walnij mnie w twarz - powiedział.

Takim tonem mógłby mnie poprosić, żebym podrapał go po plecach.

- Wiesz, od dawna o tym marzę, ale... dlaczego tego chcesz?

- Walka bez broni od wieków jest elementem żołnierskiego szkolenia - wyjaśnił mi jak przypadkowemu fidowi. - Dawno już stwierdzono, że rekrut, choćby nie wiadomo ile się nauczył, zapomina wszystko, gdy pierwszy raz dostanie w twarz.

- Pierwszy raz w życiu, tak?

- No tak. W zamożnych, spokojnych społeczeństwach, które nie pochwalają bójek, to często spotykany problem.

- Zaraz, problemem jest nie dość częste obrywanie po gębie?

- Tak, kiedy wstępujesz do armii i dochodzi do starcia z człowiekiem usiłującym cię zabić.

- Lio, ty już przecież dostałeś w twarz. Podczas apertu. Nie pamiętasz?

- Pamiętam. Próbuję wykorzystać to doświadczenie.

- To dlaczego chcesz, żebym cię uderzył? To nie będzie

twój pierwszy raz.

- Żeby sprawdzić, czy się nauczyłem.

- Ale dlaczego ja? Dlaczego nie Jesry? Lepiej by się nadawał...

- W tym rzecz.

- Rozumiem... No to czemu nie Arsibałt wobec tego?

- Bo on by nie zrobił tego na poważnie. A potem jeszcze by biadolił, że go boli ręka.

- Co powiesz znajomym przy obiedzie, jak zaczną pytać, kto cię pobił?

- Że walczyłem ze złymi ludźmi.

- Musisz się bardziej postarać.

- Że ćwiczyłem pady i mi nie wyszło.

- A może ja nie chcę sobie poharatać ręki?

Uśmiechnął się i podał mi parę grubych skórzanych rękawic roboczych.

- Jeśli naprawdę cię to martwi, napchaj sobie szmat pod knykcie - poradził, kiedy zacząłem je naciągać.

Minęły nas płynące małą łódką suur Tamura i Ylma. Dopóki mogły nas widzieć, udawaliśmy zajętych wyrywaniem chwastów.

- Posłuchaj - powiedział Lio. - Chcę cię po prostu obalić na ziemię...

- Teraz mi to mówisz?!

- Robiliśmy to przecież setki razy - odparł, jakby miało mnie to uspokoić. - Dlatego tu przyszliśmy. - Tupnął w wilgotną ziemię. - Miękkie podłoże.

- Ale dlaczego...

- Jeżeli zasłonię się rękami przed twoim ciosem, nie osiągnę swojego celu.

- Rozumiem.

Nagle Lio skoczył na mnie i razem runęliśmy na ziemię.

- Przegrałeś - powiedział, wstając.

- Jak chcesz... - westchnąłem.

Ledwie wygramoliłem się do pozycji stojącej, znowu się na

mnie rzucił - i znowu mnie przewrócił. Udałem, że uderzam go w twarz, ale byłem bardzo, bardzo spóźniony. Trzeci raz pchnął mnie znacznie silniej, tak że po upadku miałem wrażenie, że naciągałem sobie wszystkie drobne mięśnie pod skórą czaszki. Oparł się na mojej twarzy, odepchnął i wstał. Przekaz był jasny.

Następnym razem spróbowałem na serio, ale nie zdażyłem przyjąć właściwej pozycji i uderzyłem słabo. W dodatku Lio zaatakował niżej niż poprzednio.

Przy kolejnej próbie obniżyłem środek ciężkości, mocno stanąłem na nogach, wyprowadziłem cios z korpusu i grzmotnąłem go w kość policzkową.

- Świetnie! - jęknął Lio, złączając ze mną. - Spróbuj mnie spowolnić. Bo o to tutaj chodzi, nie zapominaj.

Próbowaliśmy jeszcze z dziesięć razy; ponieważ obrywałem znacznie mocniej od niego, straciłem rachubę. Wspiąwszy się na wyżyny swoich możliwości, na ułamek sekundy wytrąciłem go z równowagi - ale nie przeszkodziło mu to w przewróceniu mnie.

- Długo jeszcze? - spytałem, leżąc w błotnym kraterze w kształcie Erasmusa. Jeżeli nie wstanę, Lio nie będzie mógł mnie przewrócić.

Przykucnął nad rzeką i ochlapał twarz wodą, splukując krew z brwi i spod nosa.

- Wystarczy - stwierdził. - Wiem to, czego chciałem się dowiedzieć.

Odważyłem się usiąść.

- Czyli?

- Że się przystosowałem po tym wypadku podczas apertu.

Dźwignąłem się na kolana.

- To niewiele. Po to się tak męczyliśmy?

- Jeżeli tak chcesz na to patrzeć...

Znowu nabrał wody w dłonie.

Wiedziałem, że drugiej takiej szansy miał nie będę. Przeturlałem się, zaparłem stopami o jego tyłek i wepchnąłem go do wody.

Później, kiedy oddał się stosunkowo zwyczajnemu i spokojnemu zajęciu, jakim było ostrzenie szpadla, wróciłem do tematu tabliczki i zapisanych na niej obrazów, a zwłaszcza do powtarzających się wizyt Sammanna.

Kiedy w końcu oswoiłem się z nieprzyjemną myślą, że zostałem zdemaskowany, zaczęły mi przychodzić do głowy inne pytania. Czy to przypadek, że koszulkę z tabliczki znalazł ten sam ita, który odwiedzał Cord w hali maszyn? Doszedłem do wniosku, że albo faktycznie był to zwyczajny zbieg okoliczności, albo Sammann jest wysoko postawionym itą, odpowiedzialnym za jakieś ważne aspekty funkcjonowania gwiazdowego kręgu. Tak czy inaczej, dalsze łamanie sobie nad tym głowy nie miało sensu.

- Fy fen ita próbował fe f tobą porowumief? - spytał Lio przez opuchnięte wargi.

- To znaczy? Co miał zrobić, zakradać się nocą do matemu i podrzucać mi liściki?

Moja odpowiedź zaskoczyła Lio, który okazał to w typowy dla siebie sposób: zmienił pozycję. Chrobot kamienia o szpadel na chwilę ucichł.

- Nie, czy próbował wtedy, w czasie rzeczywistym... Na tabliczce czy... No wiesz...

- Nie, Ostogłowy, muszę ci się przyznać, że nie mam zielonego pojęcia...

- Itowie są mistrzami inwigilacji.

- Naturalnie. Jeżeli wierzysz w Twierdzenie Saunty Patagar.

Lio był chyba rozczarowany moją naiwnością: on oczywiście wierzył. Wrócił do szlifowania szpadla. Od zgrzytu kamienia o metal zęby mi wibrowały, ale doszedłem do wniosku, że powinienem raczej mieć pretensję do ewentualnych szpiegów, którzy mogliby nas podsłuchiwać.

Wyglądało na to, że mam odgrywać w Sauncie Edharze całkiem nową rolę: chronionego przez wszystkich niewiniątka.

- Powiedz mi coś - poprosiłem. - Jeżeli naprawdę inwigilują nas na każdym kroku, to chyba muszą wiedzieć

wszystko o mnie i o tabliczce, prawda?

- No, chyba tak...

- To dlaczego nic nie robią? Nie wydaje mi się, żeby Spelikon i Trestanas mieli do mnie słabość.

- Mimo to nie jestem zaskoczony. Nie ma w tym nic dziwnego.

- Jak to?

Zawahał się - dostatecznie długo, żeby móc sobie pomyśleć, że wymyśla odpowiedź na poczekaniu. Zanurzył osełkę w wodzie.

- Itowie na pewno nie mówią Regulatorce wszystkiego, co wiedzą; Trestanas musiałyby przesiadywać z nimi od rana do wieczora, żeby przyswoić tyle informacji. Sami podejmują decyzję, co przekazać dalej, a co zachować dla siebie.

Słowa Lio odkrywały przede mną mnogość niezwykle interesujących scenariuszy, których analiza zabrałaby mi sporo czasu. Nie chciałem stać nad rzeką z rozdziawionymi ustami (dość się już tak nastąpiłem), schyliłem się więc i podniosłem szpadel. Widząc, że ostrzejszy już nie będzie, rozejrzałem się w poszukiwaniu kępy kolcojagód, którą mógłbym zmasakrować. Nie szukałem długo. Kiedy ruszyłem w jej stronę, Lio podążył za mną.

- Gdyby tak było, na itach spoczywałaby ogromna odpowiedzialność - zauważyłem.

Podniosłem szpadel i z całej siły dźgnąłem nim korzenie krzewów kolcojagód. Przeciąłem kilkanaście z nich. Znakomicie.

- Możemy chyba założyć, że są nie mniej inteligentni od nas, prawda? Przecież żyją z tego, że obsługują skomplikowane urządzenia syntaktyczne! Stworzyli Retikulum. Wiedzą doskonale, że wiedza to władza. Kierując się strategią i taktyką przy wyborze tego, co powiedzieć, a co przemilczeć, osiągają zamierzone cele.

Przetrawiając jego słowa, zgładziłem jard kwadratowy kolcojagód.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje cały wielki świat polityki itów i hierarchów, o którym kompletnie nic nie wiemy.

- Z pewnością. Inaczej nie byłoby ludźmi - odparł Lio i

zaatakował mnie transkwestacją hipotrochijną, czyli zmienił temat w taki sposób, jakby kwestia sporna została rozstrzygnięta, i to na jego korzyść: - Wróćmy do mojego pytania: czy Sammann na tabliczce robi coś, żeby przekazać ci wiadomość? Czy chociaż daje ci do zrozumienia, że wie, że jego obraz jest rejestrowany?

Wyrzucił oselkę do rzeki.

Poprawna odpowiedź na transkwestację hipotrochijną brzmiała *Zaraz, nie tak prędko!*, ale Lio zadał tak interesujące pytanie, że postanowiłem mu odpuścić.

- Nie wiem - przyznałem po długiej chwili, która upłynęła mi na przyjemnym maltretowaniu kolcojagód. - Ale mierzenie wycinków tortu już mi się znudziło, a ponieważ i tak nie wiem, czego jeszcze mógłbym szukać, sprawdzę to, co mówisz.

Niestety, przez prawie tydzień nie udało mi się zajrzeć do piwnicy. Koncent przygotowywał się do obchodów równonocy i musiałem uczestniczyć w próbach śpiewu. Wojna chwastów weszła w fazę wymagającą sporządzenia co najmniej jednego szkicu. Musiałem się zająć obsadzeniem i obsianiem swojego kłębu. A kiedy wreszcie miałem chwilę dla siebie, w Fundzie Shufa zawsze kręcił się ktoś obcy. Stała się modna.

- Trzeba uważać, o co się prosi - poskarżył mi się Arsibalt pewnego popołudnia. Pomagałem mu przenosić rozmontowany ul do warsztatu. - Zaprosiłem wszystkich do korzystania z Fundy i mam za swoje: zwalili mi się na głowę i nie mam gdzie pracować.

- Ja też nie.

- A teraz jeszcze to! - Wziął do ręki szpachelkę, zupełnie nieprzydatną do tej roboty, i z roztargnieniem zaczął skubać nadpróchniały rożek ramy ula. - Katastrofa!

- Znasz się na stolarce?

- Nie.

- A na metateorycznych pracach fraa Paphlagona?

- A i owszem. Wydaje mi się, że Orolo chciał, żebyśmy się z nimi zapoznali.

- Skąd ten pomysł?

- Pamiętasz nasz ostatni dialog?

- O różowych smokach pierdzących gazem paraliżującym?

Takich rzeczy się nie zapomina.

- Zanim go spiszemy, musimy mu wymyślić jakiś dostojniejszy tytuł. - Arsibalt się skrzywił. - Ale mniejsza z tym. Moim zdaniem Orolo próbował podsunąć nam do przemyślenia pewne idee, które jego nauczyciel uważał... nadal uważa za istotne.

- W takim razie to dziwne, że nie wspomniał o samym Paphlagonie - zauważyłem. - Pamiętam, że przewinięło się imię saunta Evenedryka, coś o jego późnych pracach, ale...

- Jedno z drugim się wiąże. Orolo wiedział, że w swoim czasie dotrzemy i do Paphlagona.

- Ty dotarłeś... O czym pisze?

Wydawało mi się, że to rozsądne pytanie, ale Arsibalt pokręcił głową.

- O tym, za co proceńczycy nas nie lubią.

- To znaczy... o Hylaejskim Świecie Teorycznym?

- Oni tak by to właśnie nazwali, protekcjonalnie sugerując, że jesteście naiwni. Ale idea HST rozwija się co najmniej od czasów Protasa i metateoryka stała się niezwykle skomplikowana. Można by powiedzieć, że prace Paphlagona tak się mają do klasycznej myśli proceńskiej, jak nowoczesna teoria grup do rachowania na palcach.

- Ale nadal się z nią wiąże?

- Naturalnie.

- Przypomina mi się moja rozmowa z tym inkwizytorem...

- Varaksem?

- Mhm. Zastanawiam się, czy jego zainteresowanie tym tematem...

- Poprawka: jego interesowało tylko to, czy my się nim interesujemy.

- No tak. Czy można to uznać za potwierdzenie

autentyczności Hipotetycznego Interesującego Fida Suur Aculoi?

- Moim zdaniem powinniśmy zachować powściągliwość w domysłach na temat HIFSA, dopóki suur Tulia nie znajdzie dowodów jego istnienia. W przeciwnym razie zapijemy się w gąszcz spekulacji, które nie wytrzymałyby próby Grabi.

- A gdybyś tak przestał mi powtarzać to, co wiem i bez twoich podpowiedzi... Masz jakiś pomysł, dlaczego ktoś w Saeculum miałby uznać, że prace Paphlagona mają jakieś praktyczne znaczenie?

- Mam. I powiem ci, jeśli naprawisz mi ten ul.

- Słyszałeś o zderzaczach atomów? Akceleratorach cząstek?

- Oczywiście. To instrumenty z Epoki Praksis. Ogromne. Drogie. Pozwalały sprawdzać teorie odnoszące się do cząstek elementarnych i oddziałujących na nie sił.

- Zgadza się. Jeżeli coś jest niesprawdzalne, to wykracza poza teorię i staje się metateoryką. Gałęzią filozofii. Dlatego można powiedzieć, że nasza aparatura badawcza określa granicę między teorią a filozofią.

- Jej... Filozof rzuciłby ci się do gardła za takie gadanie. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że filozofia to taka gorsza teoria.

- I niektórzy teoretycy by się ze mną zgodzili - przyznał Arsibalt. - Z tą różnicą, że kiedy mówią o filozofii, mają na myśli coś innego niż filozofowie. Dla teorii filozofia zaczyna się w tym samym momencie, w którym kończą się możliwości aparatury używanej przez nich do testowania teorii. A filozofowie dostają szału, kiedy zrównuje się filozofię z metateoryką.

- O czym ty właściwie mówisz?

- Najpierw teoretycy zastanawiają się nad tym, jak mogłaby wyglądać nowa teoria. Następnie formułują ją i próbują na jej

podstawie wysnuć prognozy, które dałoby się sprawdzić eksperymentalnie. U schyłku Epoki Praksis te eksperymenty wymagały najczęściej wybudowania jeszcze większego i jeszcze droższego akceleratora.

- A potem nastąpiły Straszliwe Wypadki - przypomniałem.

- I skończył się czas drogich zabawek w rękach teorii. Nie ma jednak pewności, że cokolwiek to zmieniło. Ówczesne największe instrumenty i tak osiągnęły górną granicę możliwości konstruktorów dysponujących ograniczonymi funduszami.

- O tym nie wiedziałem. Zawsze mi się wydawało, że tam, na zewnątrz, mają pieniądze ile chcą.

- Nawet jeśli tak jest, to większość wydają na pornografię, wodę z cukrem i bomby. Na akceleratory zostaje niewiele.

- Czyli zwrot ku kosmografii mógł nastąpić nawet, gdyby nie było Rekonstrukcji?

- On się rozpoczął już wcześniej, kiedy pod koniec Epoki Praksis teorii zaczęli się godzić z faktem, że za ich życia nie powstanie aparatura, na której można by sprawdzić prawdziwość teorii, którym poświęcili całą karierę.

- Nie mieli innego wyjścia, jak zacząć szukać danych w kosmosie.

- Otóż to. A tymczasem pojawili się tacy ludzie jak fraa Paphlagon.

- To znaczy jacy? Teorii i filozofowie w jednym?

Arsibalt nie odpowiedział od razu.

- Staram się uszanować twoją wcześniejszą prośbę, żeby nie zwalić ci całego Paphlagona na głowę - wyjaśnił, widząc, że przyglądam mu się wyczekująco. - Ale widzę, że muszę się bardziej postarać.

- Przynajmniej szczerze... - mruknąłem, wywijając trzymaną w ręce piłą.

- Można powiedzieć, że Paphlagon, a także zapewne Orolo, są spadkobiercami takich ludzi jak Evedryk.

- Teorii, którzy zainteresowali się filozofią, kiedy teoria utknęła w martwym punkcie.

- Nie utknęła, tylko zwolniła biegu - poprawił mnie Arsibalt. - W oczekiwaniu wyników na przykład z Saunta Bunjo.

Bunjo był matmem tysiącletnim, ulokowanym w starej kopalni soli dwie mile pod ziemią. Mieszkający w nim suur i fraa pracowali w systemie zmianowym, wypatrując w absolutnej ciemności błysków światła z olbrzymiej matrycy kryształkowych detektorów cząstek, i co tysiąc lat publikowali wyniki swoich badań. Przez pierwsze milenium zaobserwowali trzy takie błyski, ale na tym koniec.

- A czekając na wyniki, zajęli się ideami, które Evenedryk i jemu podobni przedstawili, gdy osiągnęli granice teorii?

- Właśnie. W okresie Rekonstrukcji pojawiło się szczególnie dużo tych idei. Wszystkie jakoś się wiązały z koncepcją polikosmosu.

- Wedle której nasz wszechświat nie jest jedynym wszechświatem.

- I tym właśnie zajmuje się Paphlagon w chwilach wolnych od opisywania tego naszego.

- Trochę się pogubiłem - przyznałem. - Przed chwilą mówiłeś mi, że studiuje HŚT.

- Można powiedzieć, że protyzm, czyli wiara w istnienie innego wymiaru egzystencji zamieszkanego przez byty teoretyczne, jest w pewnym sensie najwcześniejszą i najprostsza teorią polikosmiczną.

- Ponieważ postuluje istnienie dwóch kosmosów. - Bardzo się starałem nadażyć za Arsibaltem. - W jednym mieszkamy my, w drugim trójkąty równoramienne.

- Tak.

- Ale znane mi teorie polikosmiczne, pochodzące z okresu Rekonstrukcji, to zupełnie inna para kaloszy. Występują w nich liczne kosmosy, które są oddzielone od naszego, ale do niego podobne. Jest w nich materia, energia, pola... Są zmienne. Nie to co wieczne trójkąty.

- Wcale nie są aż tak podobne, jak ci się wydaje. W każdym razie Paphlagon należy do zwolenników poglądu, że

klasyczny protyzm jest po prostu jedną z wielu teorii polikosmicznych.

- Skąd ty takie rzeczy...

- Nie mogę ci tego wyjaśnić, nie mówiąc wszystkiego. - Arsibalt rozłożył ręce. - Zmierzam do tego, że Paphlagon wierzy w istnienie Hylaejskiego Świata Teoretycznego w jakiejś tam postaci, a także w istnienie innych kosmosów. I tymi właśnie zagadnieniami interesuje się suur Aculoä.

- A zatem jeśli HIFSA istnieje naprawdę...

- To właśnie on powołał Paphlagona, ponieważ teorie polikosmiczne są teraz w modzie.

- A my przypuszczamy, że cokolwiek je wypromowało, doprowadziło także do zamknięcia gwiazdnej kręgi.

Arsibalt wzruszył ramionami.

- Co to może być? - zapytałem.

Odpowiedziało mi kolejne wzruszenie ramion.

- To pytanie do ciebie i Jesry'ego, ale nie zapominajcie, że gryziórkom mogło się coś po prostu pomieszać.

Wreszcie któregoś dnia udało mi się zejść do lochu pod Fundą Shufa i spędzić trzy godziny na oglądaniu Sammanna. Przychodził na górę prawie codziennie, chociaż o różnych godzinach. Jeżeli pogoda była sprzyjająca, a pora odpowiednia, rozkładał na parapecie muru ściereczkę, wykladał na nią drugie śniadanie i jedząc, rozkoszował się widokami. Czasem coś czytał. Nie byłem w stanie rozpoznać wszystkich przysmaków, ale wyglądały lepiej niż to, co my dostawaliśmy do jedzenia. (Kiedy wiatr wiał z północnego wschodu, zdarzało się, że przynosił nam zapachy z kuchni itów. Zawsze mieliśmy wrażenie, że itowie się z nami drażnią).

- Mam wyniki! - zawołałem do Lio przy następnej okazji, gdy znaleźliśmy się sami na łące. - W pewnym sensie.

- I co?

- Wygląda na to, że miałeś rację.

- Z czym?

Minęło sporo czasu i zdążył zapomnieć, że rozmawialiśmy o Sammannie. Przypomniałem mu. Nie posiadał się ze zdumienia.

- Poważna sprawa...

- Możliwe. Nie wiem jeszcze, co o tym myśleć.

- A co on właściwie robi? Przystawia do obiektywu tabliczkę z napisem? Używa języka migowego?

- Na to jest za sprytny.

- Nie przesadzaj... To brzmi tak, jakbyś opowiadał o starym kumplu.

- Właściwie trochę podobnie go traktuję. Zjedliśmy razem dużo drugich śniadań.

- W jaki sposób z tobą... rozmawia? A właściwie rozmawiał?

- Przez pierwsze sześćdziesiąt osiem dni: nudy na pudy. Ale w sześćdziesiątym dziewiątym coś się dzieje.

- Sześćdziesiąty dziewiąty... Co to był za dzień?

- Dwa tygodnie po przesileniu, dziewięć dni przed odrzuceniem Orola.

- Rozumiem. I co takiego robi Sammann w sześćdziesiątym dziewiątym dniu?

- Zwykle po wejściu na górę zdejmuje torbę z ramienia i wiesza ją na kamiennym występie parapetu. Potem przeciera obiektyw, siada na parapecie, który ma tam około stopy szerokości, wyjmuje z torby drugie śniadanie, wyklada je na ściereczkę i je.

- No dobrze. Ale co się dzieje w dniu sześćdziesiątym dziewiątym?

- Oprócz torby Sammann przynosi coś pod pachą, jakby książkę. Zaczyna od tego, że odkłada to coś na parapet i dopiero potem zajmuje się swoimi sprawami.

- Czyli to coś znajduje się w polu widzenia Oka?

- Tak.

- Możesz zrobić zbliżenie?

- No pewnie.

- A odczytać tytuł?

- Okazuje się, że to wcale nie jest książka, Lio. To następna koszulka ochronna, taka sama jak z mojej tabliczki. Z tą różnicą, że ta jest wypchana i ciężka, ponieważ...

- W środku jest druga tabliczka! - wykrzyknął Lio. Zamyślił się. - Ciekawe, co to oznacza.

- Należy się domyślać, że przed chwilą wyjął ją z jakiegoś instrumentu w gwiezdny kręgu.

- Rozumiem, że jej tam nie zostawia?

- Nie. Dojada śniadanie, zabiera tabliczkę i schodzi na dół.

- Dlaczego akurat w tym dniu postanowił wyjąć tamtą tabliczkę?

- Wydaje mi się, że mniej więcej w tym okresie wymierzone przeciwko Orolowi śledztwo Spelikona nabrało rozpędu. Pamiętasz może, że kiedy zakradłem się na górę podczas peanatemy, w siedemdziesiątym ósmym dniu, zajrzałem do M&M...

- I nic nie znalazłeś. - Lio pokiwał głową. - Wygląda na to, że w sześćdziesiątym dziewiątym dniu Spelikon kazał Sammannowi przynieść tabliczkę pozostawioną przez Orola w M&M. Sammann wykonał to polecenie. Spelikon nie miał pojęcia, że włożyłeś do Oka Clesthyry inną tabliczkę, więc o nią nie poprosił.

- Ale Sammann o niej wiedział. Od drugiego dnia.

- Postanowił nie mówić o niej Spelikonowi. Po czym, w sześćdziesiątym dziewiątym dniu, nie próbował się kryć z tym, że zabiera tabliczkę Orola. - Lio pokręcił głową. - Nie rozumiem. Po co miałyby cię o tym informować? Po co to ryzyko?

Rozłożyłem ręce.

- Może dla niego to żadne ryzyko. Już jest przecież itą, co mu mogą zrobić?

- Słusznie. Itowie na pewno nie boją się Regulatorki tak jak my.

Rozdrażnił mnie tym przypomnieniem, że my się jej boimy, ale nie bardzo mogłem się z nim spierać - nie po tym, jak ostatnio wiecznie gdzieś przemykałem się ukradkiem. Uświadomiłem sobie, że dochodzę do siebie po stracie fraa Orola. Moja złość i żal słabły, ożywiła je dopiero wzmianka Lio o Regulatorce.

Zapadła długa cisza, gdy Lio rozmyślał nad moimi słowami. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Przy chwastach, naturalnie.

- No dobrze - stwierdził w końcu. - Co dzieje się dalej?

- Dzień siedemdziesiąty: chmury. Siedemdziesiąty pierwszy: śnieg. Siedemdziesiąty drugi: śnieg; oblepia obiektyw i nic nie widać. Siedemdziesiąty trzeci: piękna pogoda; większość śniegu wytapia się przed przyjściem Sammanna, który uprzęta resztki i zjada drugie śniadanie. Ma okulary.

- Przeciwsłoneczne?

- Większe i grubsze.

- Lodowcowe?

- W pierwszej chwili tak właśnie pomyślałem, ale musiałem obejrzeć dzień siedemdziesiąty trzeci kilka razy, zanim zrozumiałem.

- Co w tym jest do rozumienia? Było jasno, wszędzie śnieg, założył ciemne okulary.

- Bardzo ciemne. To nie są zwyczajne okulary przeciwsłoneczne, Lio. Jestem tego pewny, bo widziałem je już wcześniej. Kiedy spotkałem Cord i Sammanna w hali maszyn, w czasie apertu, właśnie takimi okularami osłaniali sobie oczy przed światłem łuku. A łuk jest oślepiający, tak jak słońce.

- Po co Sammann miałby je nosić podczas czyszczenia aparatury?

- Nie zakłada ich do czyszczenia szkieł; wiszą mu na pasku na szyi. Potem zakłada je i jak zwykle zjada drugie śniadanie, tylko że kiedy je, przez cały czas wpatruje się w słońce. Sammann obserwuje słońce.

- Przed sześćdziesiątym dziewiątym dniem tego nie robił?

- Nie. Ani razu.
- To by znaczyło, że dowiedział się czegoś...
- ...z tabliczki fraa Orola. Albo Spelikon mu coś powiedział. Albo doszły go jakieś plotki od itów z innych koncentów, kiedy rozmawiali, czy co oni tam robią za pośrednictwem Retikulum.
- Ale dlaczego słońce? Przecież to nie ma nic wspólnego z twoimi obserwacjami.
- Nic. Ale to bardzo konkretna wskazówka. Prezent od Sammanna.
- I co, też zacząłeś się gapić w słońce?
- Nie mam takich okularów - przypomniałem Lio. - Ale na tabliczce mam zarejestrowane dwadzieścia kilka słonecznych dni. Od jutra zacznę je przeglądać i dowiem się, co słońce porabiało trzy i cztery miesiące temu.

Wielka Trójka: Koncenty saunta Mucostera, saunta Tredegarha i saunty Baritoe, położone w niewielkiej odległości od siebie i mające wiele wspólnego: założone w roku zerowym p.r., dość licznie zamieszkane, zamożne i cieszące się poważaniem przez wzgląd na swoje osiągnięcia.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Rano, po wykładzie z teoryki, spotkałem się z Jesrym i Tulią na łące, żeby spokojnie porozmawiać. Był pierwszy prawdziwie wiosenny dzień i wszyscy wyszli na spacer, więc nie rzucaliśmy się w oczy.

- Chyba znalazłam IFSA - obwieściła Tulia.
- To znaczy: HIFSA - poprawił ją Jesry.
- Właśnie, że nie - wtrąciłem. - Jeżeli Tulia go znalazła, przestał być hipotetyczny.
- Zgadzam się - powiedział Jesry. - Kto to taki?
- Ignetha Foral.

- Nazwisko brzmi znajomo... - mruknął Jesry.

- Rodzina od kilkuset lat ma spory majątek, co według standardów sekularnych kwalifikuje ją do grona starych i szanowanych rodów. Mają liczne związki ze światem matematycznym, zwłaszcza z Baritoe.

Saunta Baritoe sąsiadowała z formami terenu, które tworzyły duży i gościnny naturalny port, kiedy morze było grzeczne i wolne od paku lodowego, a uchodząca do niego rzeka nie wyschła ani nie została skierowana w inne koryto. Przez mniej więcej trzecią część czasu, jaki upłynął od Rekonstrukcji, wokół murów Saunty Baritoe rozpościerało się spore miasto (a właściwie różne miasta), koncentrowało się więc reputacją cywilizowanego i wielkoświatowego i nikogo nie dziwiły powiązania z zamieszkującymi miasto rodami - takimi jak Foralowie. Największe wpływy mieli w nim proceńczycy, a matem jednoroczny wypuszczał wielu młodych sekularów, którzy później robili kariery w handlu, polityce i zawodach prawniczych.

- Co wolno nam o niej wiedzieć? - zainteresował się Jesry.

Bardzo celnie sformułował pytanie. Podczas apertu rocznego nasi unaryści zapoznawali się ze skróconym opisem wydarzeń, które przez ten rok zaszły w świecie sekularnym. Raz na dekadę, na krótko przed apertem dziesięcioletnim, przeglądali zebrane dziesięć raportów i sporządzali z nich wyciąg, który trafiał do naszej biblioteki. O zamieszczeniu w wyciągu decydowało tylko jedno kryterium: czy informacja nadal była interesująca - w ten sposób eliminowano wszystkie codzienne błahostki. Jesry pytał Tulię, co takiego zrobiła Ignetha Foral, żeby trafić do najnowszego wyciągu.

- Zajmowała ważne stanowisko w rządzie, była jedną z tuzina najbardziej wpływowych osobistości. Kiedy wystąpiła przeciwko Niebiańskiemu Strażnikowi, pozbył się jej.

- Zabił ją?

- Nie.

- Wtrącił do lochu?

- Nie, po prostu ją wyrzucił. Domyślam się, że na swojej

nowej posadzie zachowała dość wpływów, żeby doprowadzić do powołania kogoś takiego jak Paphlagon.

- Była fiłą suur Aculoi?

- Spędziła sześć lat w Baritoe, w matemie jednorocznym. Napisała traktat, w którym porównuje prace Paphlagona do innych...

- Specjalistów z tej samej dziedziny. - Jesry się niecierpliwił.

- Tak, z przeszłości.

- Czytałaś go?

- Nie dostaliśmy go. Może za następne dziesięć lat. Byłam już w dolnym labiryncie, wrzuciłam prośbę przez kratę.

Ktoś w Baritoe, pewnie jakiś fid-jednorazowiec, będzie musiał przepisać traktat Ignethy i nam go przysłać. Gdyby dzieło było popularne, fidowie kopiowałiby je z własnej inicjatywy i egzemplarze rozeszłyby się po wszystkich matemach.

- Można by się spodziewać, że jeśli rodzina ma pieniądze, każą powielić traktat mechanicznie - powiedział Jesry.

- To zbyt pospolite - zauważyła Tulia. - Ale przynajmniej znam tytuł: *Mnogość światów: Studium porównawcze halikaarnijskich idei polikosmicznych*.

- Kiedy słyszę coś takiego, czuję się jak insekt pod lupą proceńczyka - poskarżyłem się.

- Wiesz, w Baritoe dominują proceńczycy - przypomniała mi Tulia. - Daleko by nie zaszła z tytułem *Dlaczego halikaarnijczycy są od nas o wiele mądrzejsi?*

Poniewczasie uświadomiłem sobie, że ona również należy do zakonu proceńskiego.

- Interesował ją polikosmos - wtrącił się Jesry, zanim zdążyliśmy się pokłócić. - Jakie wydarzenie związane z polikosmosem można by obserwować z gwiazdznego kręgu?

Było to jedno z tych pytań, których na pewno by nie zadał, gdyby już nie znał na nie odpowiedzi. I rzeczywiście, nie kazał nam długo czekać:

- Założę się, że coś niedobrego dzieje się ze słońcem.

Już, już miałem go wyśmiać, gdy nagle przypomniałem sobie, że przecież Sammann wpatrywał się właśnie w słońce.

- Coś, co widać gołym okiem?

- Plamy na słońcu. I wybuchy. Mogą mieć wpływ na pogodę, i w ogóle. A od Epoki Praksis atmosfera już nie przed wszystkim nas chroni.

- Pięknie... Ale czego w takim razie szukał Orolo na biegunie północnym?

- Zorzy polarnej - odparł Jesry takim tonem, jakby naprawdę wiedział, co mówi. - Zorza reaguje na zmiany na słońcu.

- Przez cały ten czas ani razu nie mieliśmy tu porządnej zorzy - wytknęła mu Tulia z miną zadowoloną jak u najedzonego kota.

- Widocznej gołym okiem - uzupełnił Jesry. - Za to nasza tabliczka doskonale nadaje się do oglądania i zórz, i samego słońca.

- Widzę, że stała się „naszą” tabliczką, odkąd okazało się, że może na niej być coś ciekawego - powiedziałem z przekąsem.

- A kiedy suur Trestanas ją znajdzie, znowu będzie „twoją” tabliczką - dodała Tulia i wybuchnęła śmiechem.

Jesry uparł się, że nie da się rozbawić.

- A tak serio... - ciągnęła Tulia. - To nadal nie wyjaśnia powołania Paphlagona. Pierwszy lepszy kosmograf może obserwować plamy na słońcu.

- Pytasz o związek wybuchów z polikosmosem - domyślił się Jesry.

- Właśnie.

- Może wcale go nie ma? - zasugerowałem. - Może Ignetha Foral potrzebowała kosmografa, a imię Paphlagona przypadkowo zapadło jej w pamięć?

- Albo jest prześladowana za herezję i wyciągnęli od nas Paphlagona, żeby go przy okazji ukarać - odpalił Jesry.

Rozważyliśmy tę i kilka innych idei w podobnym stylu, ale w końcu odrzuciliśmy je wszystkie, uznawszy, że musiał istnieć jakiś dobry, sensowny powód powołania Paphlagona.

- Zanim dawni terowie zaczęli rozważać koncepcję polikosmosu, patrzyli w gwiazdy - powiedział Jesry. - Zastanawiali się, jak się narodziły i co się dzieje w ich wnętrzu.

- Powstają nowe jądra atomowe - podsunęła Tulia.

- Interesowało ich też, jak to się dzieje, że kiedy gwiazda umiera, te jądra zostają wystrzelone w kosmos, gdzie tworzą planety i...

- I nas - dokończyłem.

- I nas - powtórzył Jesry. - Stąd już krótka droga do pytania, dlaczego te wszystkie procesy są tak precyzyjnie zestrojone, że prowadzą do powstania życia? To śliskie pytanie. Deolatrze wystarczy przekonanie, że Bóg stworzył kosmos specjalnie dla nas. Ale odpowiedź polikosmiczna brzmi inaczej: istnieje wiele kosmosów; jedne sprzyjają rozwojowi życia, inne nie, a my widzimy tylko ten, w którym możemy istnieć. Stąd właśnie bierze się cała ta filozofia, którą upodobała sobie suur Aculoä.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego podejrzewasz problemy ze słońcem - powiedziałem. - Niewykluczone, że z obserwacji wynikły jakieś nowe fakty, które zaprzeczają naszym teorycznym koncepcjom procesów zachodzących we wnętrzach gwiazd. I może konsekwencje tych nowych faktów są tak dalekosiężne, że mają wpływ na teorie polikosmiczne, w których specjalizuje się Paphlagon.

- Bardziej prawdopodobne jest, że to Ignetha Foral tak właśnie sądzi, i choć jest w błędzie, ściągnęła do siebie Paphlagona, żeby zlecić mu szukanie wiatru w polu - dodał Jesry.

- Moim zdaniem Ignetha jest całkiem bystra - zaoponowała Tulia, ale Jesry jej nie słuchał, ponieważ w jego głowie dojrzewała decyzja.

- Zejdę z tobą do lochu - stwierdził stanowczo. - Chcę zobaczyć tabliczkę. Mogę zresztą iść sam, jeśli jesteś zajęty.

Pomysł ten nie podobał mi się co najmniej z dwunastu różnych powodów, ale nie mogłem tego powiedzieć, żeby nie wyjść na prosiaka, który chce mieć monopol na tabliczkę.

- Dobrze - odparłem.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytała Tulia. Wiedziałem, że się ze mną nie zgadza, ale zanim spór rozgorzał na dobre, zauważyliśmy idącą w naszą stronę suur Alę.

- Oho... - mruknął Jesry.

Suur Ala zawsze miała w sobie coś niezwykłego, ale nigdy nie umiałem powiedzieć, o co właściwie mi chodzi. Podczas wykładów i certyfików łapałem się czasem na tym, że przyglądam się jej i próbuję coś wyczytać z twarzy. Jej okrągła głowa była osadzona na szczupłej szyi, ostatnio podkreślonej jeszcze krótką fryzurą; podczas apertu ścięła włosy i od tamtej pory jedna z suur pomagała jej zachować ten stan. Miała ogromne oczy, delikatny orli nos i szerokie usta. Była drobna i koścista, w przeciwieństwie do szczodrze zaokrąglonej Tulii, i jej powierzchowność w pewnym sensie odzwierciedlała jej duszę.

Nie traciła czasu na powitania.

- No proszę, po raz osiemsetny w ostatnich trzech miesiącach fraa Erasmus bierze udział w jakiejś ożywionej dyskusji - zaczęła. - Poza zasięgiem słuchu osób niepowołanych. I oczywiście znacząco spogląda a to w niebo, a to na Fundę Shufa. Nawet nie próbujcie się tłumaczyć, i tak wiem, że coś knujecie. Od tygodni.

Długą chwilę staliśmy w milczeniu. Serce waliło mi jak młotem, gdy suur Ala wpatrywała się w nas swymi oczami jak reflektory.

- W porządku - zgodził się Jesry. - Nie będziemy próbowali.

Więcej jednak nie odważył się powiedzieć. Cisza się przeciągała. Spodziewałem się, że Ala się wścieknie, że postraszy nas Inkwizycją, ale jej twarz straciła wszelki wyraz - i kiedy przez moment spodziewałem się, że odmaluje się na niej jakieś inne uczucie, Ala po prostu odwróciła się do nas plecami i zaczęła oddalać. Tulia ruszyła za nią i zostaliśmy z Jesrym sami.

- To było dziwne - mruknął Jesry.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Znowu ogarnęła mnie

żałość, którą poczułem w celi w ten wieczór, gdy Ala dołączyła do Nowego Kręgu.

- Myślisz, że nas wsypie? - zapytałem.

Miałem nadzieję, że w moim głosie słyhać niedowierzanie, jakbym pytał „Czy jesteś aż takim durniem, żeby myśleć, że ona nas wsypie?”, ale Jesry potraktował moje pytanie dosłownie.

- To świetny pretekst, żeby się podlizać Regulatorce - odparł.

- Ale wybrała taki moment, żeby nikt inny jej nie słyszał - zauważyłem.

- Może liczyła na to, że dobije z nami targu?

- A co takiego moglibyśmy jej zaoferować?! - prychnąłem.

Jesry pomyślał chwilę i wzruszył ramionami.

- Nasze ciała?

- Nie bądź obrzydliwy. Jeżeli już chcesz żartować w taki sposób, mogłeś powiedzieć „Naszą sympatię”.

- Nie darzę jej szczególną sympatią. Ona mnie chyba też nie.

- Daj spokój, nie jest wcale taka zła.

- Jak możesz tak mówić po tej szopce, którą właśnie odstawiła?

- Może chciała nas ostrzec, że za bardzo rzucamy się w oczy?

- Całkiem słusznie. Powinniśmy przestać się spotykać na łące, gdzie widzi nas pół matemu.

- Znasz lepsze miejsce?

- Owszem. Podziemia Fundy Shufa. Musimy tylko poczekać na sygnał od Arsibalta.

Czekaliśmy zaledwie cztery godziny. Poszło jak z płatka, przynajmniej na pozór: Arsibalt dał sygnał, Jesry i ja

zauważyliśmy go z dwóch różnych miejsc i spotkaliśmy się przy Fundzie, gdzie nie było nikogo prócz Arsibalta. Zeszliśmy pod ziemię i wzięliśmy się do pracy.

Jednakże pod wieloma innymi względami nic nie układało się tak, jak powinno. Zawsze kiedy wybierałem się do Fundy Shufa, nadkładałem drogi i szedłem przez zagajnik drzew arkuszowych; nigdy nie wybierałem dwa razy tej samej ścieżki. Co innego Jesry: on po prostu przeszedł przez most i najkrótszą drogą skierował się prosto do Fundy. Nie twierdzę, że wybrał gorszy wariant niż ja, bo akurat w tym pogodnym dniu aż czterokrotnie spotykałem po drodze spacerowiczów - pojedynczych i w grupkach. Znajdowałem się o rzut kamieniem od Fundy, gdy napatoczyłem się jeszcze na suur Tary i fraa Brancha, otulonych zawojami i cieszących się chwilą prywatności.

Kiedy więc dotarłem na miejsce, miałem zamiar odwołać spotkanie, ale Jesry nie chciał o tym słyszeć. Przekonał mnie, żebyśmy zeszli do piwnicy, zostawiając na straży ciężko przerażonego Arsibalta, nerwowo strzelającego oczami na boki: okno, drzwi, okno, drzwi... Wcisnęliśmy się więc we dwóch do ciasnej klitki, w której tyle godzin spędziłem w samotności. Teraz, kiedy nie byłem sam, wszystko wyglądało inaczej. Ja już się przyzwyczałem do wprowadzanych przez rybie oko aberracji, ale Jesry nie i mnóstwo czasu zajmowało mu powiększanie fragmentów obrazu, żeby zobaczyć, jak naprawdę wyglądają. Oczywiście z początku zachowywałem się identycznie, ale teraz chciało mi się wyc; Jesry chyba nie rozumiał, że nie mamy czasu na takie zabawy. A kiedy coś go zaintrygowało, zaczynał mówić - za dużo i za głośno. Obaj musieliśmy też na chwilę wyjść za potrzebą, należało więc zapoznać go z sygnałem „droga wolna”, którym były uchylone drzwi do piwnicy.

W sumie upłynęły chyba ze dwie (jeśli nie trzy) godziny, zanim naprawdę zajęliśmy się oglądaniem słońca. Tabliczka nadawała się do tego równie dobrze jak do obserwacji odległych gwiazd. Nie mogła generować zbyt dużo światła, dzięki czemu zamiast oślepiającej kuli termonuklearnego ognia widzieliśmy

ostro zarysowany dysk, z pewnością najjaśniejszy na całym obrazie, ale nie aż tak jasny, żeby nie dało się na niego patrzeć. Po przyciemnieniu i przybliżeniu obrazu można było swobodnie oglądać plamy na słońcu. Nie umiałbym powiedzieć, czy naprawdę jest ich więcej niż zwykle; Jesry też nie potrafił tego ocenić. Przyciemniony sam dysk, mogliśmy także obserwować jego koronę i wypatrywać wybuchów, ale nie dostrzegaliśmy niczego nadzwyczajnego. Nie byliśmy, rzecz jasna, specjalistami w tej dziedzinie; nigdy wcześniej nie interesowaliśmy się słońcem, uważając je za kapryśnego natręta, który tylko utrudnia obserwację innych gwiazd.

Kiedy zniechęceni doszliśmy do wniosku, że nasza hipoteza o Sammannie w okularach ochronnych była błędna i straciliśmy popołudnie na darmo, postanowiliśmy wyjść z lochu, ale okazało się, że drzwi prowadzące na górę są zamknięte. Ktoś obcy był w budynku. Nie mogliśmy się narażać.

Oczekaliśmy pół godziny. Może Arsibalt przypadkiem przymknął drzwi? Podkradłem się i przyłożyłem do nich ucho: Arsibalt z kimś rozmawiał, im dłużej przysłuchiwałem się rozbrzmiewającym w Fundzie głosom, tym większej pewności nabierałem, że jego rozmówcą jest suur Ala. Wytropiła nas!

Kiedy zszedłem do Jesry'ego i przekazałem mu nowinę, wypowiedział się o Ali w nader nieprzychylnych słowach. Minęło kolejne pół godziny, a ona nadal była na gorze. Umieraliśmy z głodu, a Arsibalt - zapewne - ze strachu.

Wyglądało na to, że co najmniej jedna osoba wkrótce pozna nasz sekret (jeśli już go nie poznała). Kuląc się w ciemnościach jak szczury w pułapce, mieliśmy aż nadto czasu, żeby przeanalizować implikacje tego faktu. Nie było sensu udawać, że nic się nie stało. Nie mając nic lepszego do roboty, ściągnęliśmy z klepiska polioplastową płachtę i zawinęliśmy w nią tabliczkę. Klucząc i błędząc, dotarliśmy w najdalsze miejsce podziemi, na zewnętrzną granicę eksploratorskich poczynań Arsibalta, i tam zakopaliśmy płachtę cztery stopy pod ziemią. Kiedy z nią skończyliśmy, umorusani ziemią od stóp do głów

wróciliśmy do lochu i znów poszedłem ponasłuchiwać. Niczego nie usłyszałem, ale drzwi nadal były zamknięte.

- Podejrzewam, że w głowie Arsibalta przegraliśmy z kolacją - powiedziałem Jesry'emu. - Ale założę się, że ona nadal tam jest.

- To nie w jej stylu odpuścić w takim momencie - zgodził się ze mną.

- Wiesz co? To chyba twoja najmiłsza wypowiedź na jej temat.

- Jak uważasz, co powinniśmy zrobić, Ras?

Dziwnie się czułem, słysząc, jak Jesry próbuje zasięgnąć mojej rady w jakiejś sprawie, i przez chwilę napawałem się tym nieznanym mi dotąd uczuciem.

- Jeżeli zamierza nas wydać, jestem trupem i nic tego nie zmieni - odparłem. - Ale ty jeszcze masz szansę. Dlatego proponuję, żebyśmy razem wyszli na górę. Ty naciągniesz kaptur na twarz i wymkniesz się tylnym wyjściem, a ja pójdę porozmawiać z Alą. Zajmę ją, żebyś zdążył zniknąć. Jest ciemno, uda ci się.

- Umowa stoi. Dzięki, Ras. Tylko pamiętaj: jeśli chodzi jej o twoje ciało...

- Zamknij się.

- Dobrze. Zróbmy tak. - Jesry naciągnął zawój na głowę, ale widziałem, że coś mu się nie podoba. - Uwierzyłbyś, że coś takiego uchodzi tutaj za ekscytujące wydarzenie?

- Może jeszcze twoje życzenie się spełni i coś ciekawego wydarzy się na świecie.

- Myślałem, że może to. - Ruchem głowy wskazał w głąb podziemi. - Ale na razie mamy tylko plamy na słońcu.

Drzwi się otworzyły. Padł na nas promień światła.

- Cześć, chłopaki - powiedziała suur Ala. - Zabłądziliście?

Jesry, którego osłonięta kapturem twarz była niewidoczna, postanowił kontynuować nasz plan mimo drobnych komplikacji w początkowej fazie jego realizacji: wbiegł po schodach, odepchnął Alę i rzucił się do tylnego wyjścia. Deptałem mu po piętach.

Mijałem właśnie suur Alę, gdy z głębi pomieszczenia dobiegł mnie okrutny łoskot. Jesry wyrznął za progiem i nakrył się zawojem - od pasa w górę.

- Nie chowaj się, Jesry! - zawołała Ala. - Twój uśmiech zawsze poznam.

Jesry pozbierał się z podłogi, spuścił sobie zawój na tyłek i uciekł. Kiedy moje oczy przywykły do światła, zobaczyłem, że Ala rozciągnęła swój sznur w poprzek wyjścia na wysokości kostek i przywiązała go do krzesel po dwóch stronach drzwi. Owinęła się luźno opadającym zawojem i przytrzymała go jedną ręką. Teraz odwróciła się do mnie plecami i szurając nogami, poszła po sznur.

- Arsibalt wyszedł przed godziną - poinformowała mnie. - Tak się spocił, że schudł chyba o połowę.

Nie byłem rozbawiony, zwłaszcza że Ala mogła przecież w identyczny sposób zażartować ze mnie albo z Jesry'ego, gdyby tylko chciała.

- Co jest, połknąłeś język? - zapytała, gdy milczenie się przeciągało.

- Ile jeszcze osób wie?

- To znaczy, ilu powiedziałam? Czy kto się domyślił bez mojej pomocy?

- Eee... Jedno i drugie.

- Nikomu nie powiedziałam. A co się tyczy drugiego pytania, odpowiedź brzmi: wszyscy, którzy interesują się tobą tak jak ja. Czyli chyba nikt więcej.

- A dlaczego ty się mną interesujesz?

Przewróciła oczami.

- Świetne pytanie!

- Posłuchaj, Ala, o co ci chodzi? Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Nie mogę ci powiedzieć. Takie są zasady.

- Jeżeli zależy ci na tym, żeby zostać taką mini-Regulatorką, ulubienicą Trestanas, to załatw sprawę i skończmy z tym raz na zawsze! Idź, powiedz jej, a ja o wschodzie słońca

wyjde przez Bramę Dzienną i pójdę szukać Orola.

Okrecała się właśnie sznurem, kiedy nagle otulający ją zawój wydał mi się dwa razy obszerniejszy, jakby w jednej chwili uszło z niej całe powietrze. Oklapła, spuściła głowę, na chwilę zamknęła swoje olbrzymie oczy. Na jej miejscu każda dziewczyna w jej wieku miałaby prawo się rozsypać.

Trudno mi wprost opisać, jak potwornie się poczułem. Oparłem się plecami o ścianę i wyrznięłem w nią potylicą, jakbym chciał uciec z własnego ciała, które nagle wydało mi się odrażająco głupie. Ale nie mogło być o tym mowy.

Otworzyła oczy. Błyszczały, a jej spojrzenie przenikało mnie na wylot.

„Wszyscy, którzy interesują się tobą tak jak ja. Czyli nikt więcej”.

Ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

- Powinieneś się wykapać. To błoto całkiem cię zamuliło.

Chociaż raz w życiu udało mi się zrozumieć skierowaną do mnie aluzję, ale zanim zdążyłem zareagować, Ala już wyszła.

Jedenastka: Lista roślin zakazanych intramuros, zwykle ze względu na niepożądane właściwości farmakologiczne. Dyscyplina stanowi, że każdy okaz któregoś z przedstawicieli Jedenastki znaleziony w obrębie matemu należy bezzwłocznie wyrwać z korzeniami i spalić, a fakt ten odnotować w kronice. Pierwotna lista, sporządzona przez sauntę Cartas, liczyła zaledwie trzy pozycje, ale z biegiem czasu, w miarę poznawania Arbre i odkrywania nowych gatunków, została rozszerzona.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Zostałbym deolatrą i udał się w dowolnie długą pielgrzymkę, gdybym tylko wiedział, że na jej końcu znajdę magiczną balię z wodą, która spłucze cały bałagan, jaki zrobiłem. Trudy podróży wydałyby mi się luksusami w porównaniu z tym,

co czekało mnie w matemie przez najbliższy tydzień. Nie, Ala nikomu nie powiedziała, co się wydarzyło; nie pozwalała jej na to duma. Jednakże wszystkie suur, poczynając od Tulii, zorientowały się, że cierpi, a zanim nastał nowy ranek i nadeszła pora śniadania, doszły do wniosku, że to ja jestem przyczyną jej cierpienia. Zastanawiałem się jak to możliwe. Moja pierwsza hipoteza była całkowicie chybiona: pomyślałem, że Ala biegiem wróciła do domu i opowiedziała całą historię w kredowni pełnej wstrząśniętych suur. Druga hipoteza zakładała, że ktoś zwrócił uwagę, jak wróciła markotna do siebie po przegapionej kolacji, ja zaś przemknąłem do siebie cichaczem niewiele później - ergo, skrzywdziłem ją. Dopiero później dotarła do mnie oczywista prawda: suur zwróciły uwagę, że wpadłem jej w oko, więc kiedy posmutniała, oznaczało to, że zrobiłem coś (nieważne co) bardzo złego.

W mgnieniu oka zostałem odrzucony przez wszystkie młode kobiety w całym matemie. Wydawało mi się, że nieustannie są czymś ciężko przerażone, bo na mój widok wszystkie robiły taką właśnie minę.

Z upływem czasu było coraz gorzej. Wolałbym już, żeby Ala spisała przebieg wydarzeń i przyczepiła mi taki opis zszywaczem do piersi. Dopóki nikt nie wiedział dosłownie nic o tym, jak się zachowałem, ludzie puszczaali swobodnie wodze wyobraźni. Młode suur mnie unikały, starsze przez całą kolację patrzyły na mnie spode łba. Nie ma znaczenia, co zrobiłeś, młody człowieku... Wystarczy, że wiemy, że coś przeskrobałeś.

Przez następne cztery dni ani razu nie spotkałem Ali, co zaprzeczało statystyce i sugerowało, że inne suur służą jej za zwiad i na bieżąco ją informują, gdzie nie powinna się pojawiać.

Arsibalt był tak wstrząśnięty, że dopiero trzy dni później udało mi się z nim porozmawiać, kiedy przyszedł na kolację brudny jak nieszczęście i szeptem zdradził mi, że „z zenującą łatwością” znalazł zakopaną przeze mnie i Jesry’ego tabliczkę i przeniósł ją w nowe, „znacznie bezpieczniejsze” miejsce.

Wiedzieliśmy, że nie ma sensu szukać przedmiotu, który

Arsibalt uznał za bezpiecznie ukryty. Pozostało nam czekać, aż się uspokoi.

Dowiedziałem się również, dlaczego nie widuję Ali: razem z Tulią spędzały mnóstwo czasu w tumie, zajęte konserwacją dzwonów, ćwiczeniem najdziwniejszych zmian i przekazywaniem wiedzy młodszym deklarantkom, które w przyszłości miały je zastąpić.

Coraz częściej za to trafiały się słoneczne dni. Zdarzało się czasem, że spoglądając na szczyt wieży, widziałem Sammanna, który siedział tam w ciemnych okularach, zjadał drugie śniadanie i wpatrywał się w słońce. Myśleliśmy z Jesrym o tym, żeby oglądać słońce przez przydymioną szybkę, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy od tego oślepnąć. Wpadłem na pomysł, że mógłbym się wymknąć za mur i pożyczyć od Cord maskę spawalniczą - ale w gruncie rzeczy wszystkie te zabiegi miały mi tylko pomóc zapomnieć o problemie z Alą. Z początku uważałem, że w tej grze chodzi głównie o moją reputację, ale kiedy po jakimś czasie wszystko gruntownie przemyślałem, dotarło do mnie, co naprawdę się stało: nabałaganilem drugiemu człowiekowi w duszy, i to w chwili, kiedy tę duszę całkowicie przede mną otworzył. A teraz zatrzaskał ją na głucho. Tylko ja mogłem naprawić to, co spałałem, ale najpierw musiałem znów się do niej dostać - tylko że nie miałem pojęcia, jak to zrobić, zwłaszcza że chodziło o Alę, a więc osobę wyjątkowo zawziętą.

Aż w końcu pewnego dnia, kiedy wraz z Lio doglądaliśmy wojny chwastów, doszedłem do wniosku, że w przypadku kogoś takiego jak Ala sensownym rozwiązaniem może się okazać jednostronne zawieszenie broni. Podczas pracy nad brzegiem rzeki miałem regularny dostęp do licznych wiosennych kwiatów. Dziewczyny pracowały w tumie, w dzwonnicy, a mnie nagle wydało się oczywiste, co powinienem zrobić. Wprowadziłem swój plan w czyn, zanim zdążyłem go do końca przemyśleć, i dziesięć minut później wspinałem się jak lunatyk po schodach tumu, niosąc w zgięciu łokcia bukiet kwiatów. Musiałem go ukryć pod fałdą zawoju, ponieważ jedna z roślin należała do Jedenastki, a ja

zamierzałem przenieść ją przez podwórko Regulatorki.

Krata nadal była zamknięta, schody prowadzące w górę łuku niedostępne, górna część praesidium odcięta od reszty koncentu. Nasz karylion znajdował się w dolnej części chronotchlani i można się było do niego dostać po drabinie z dziedzińca Protektora. Droga ta kończyła się tuż poniżej karylionu, w czymś w rodzaju maszynowni. Ponieważ nie dało się tamtędy przedostać w wyższe rejony praesidium, mogłem wejść na drabinę, nie budząc podejrzeń, że będę chciał spojrzeć w zakazane niebo.

Same dzwony nie były osłonięte przed kaprysmi pogody. W szopie, o której wspomniałem, mieściła się część poruszającej je maszinerii; słyszałem dobiegające z niej głosy pogrążonych w rozmowie Tulii i Ali. Drabina kończyła się klapą w podłodze szopy. Kiedy wspinałem się na górę, serce waliło mi jak dzwon, musiałem z całej siły ścisnąć szczękę, żeby nie spaść. Chcąc mieć wolne obie ręce, schowałem bukiet głębiej pod zawój i teraz zaczynałem się na niego pocić. Ohydztwo. Ala roześmiała się z jakiegoś żartu Tulii. Ucieszyłem się, że ma już ochotę się śmiać, a potem poczułem dziwne upokorzenie na myśl o tym, że tak szybko przeboleła stratę.

Nie miałem co liczyć na dyskretne wejście, więc po prostu zdecydowanym ruchem popchnąłem klapę. Dziewczyny umilkły. Wepchnąłem bukiet przez otwór i rzuciłem go na podłogę, dochodząc do wniosku, że dzięki niemu zrobię lepsze pierwsze wrażenie, niż gdybym najpierw pokazał twarz, na widok której młode suur ostatnio prawie uciekały z krzykiem. Ale w ten sposób tylko odwlekałem nieuniknione: moja twarz była przymocowana do reszty mnie i tak czy inaczej musieliśmy razem pojawić się na górze. Wystawiłem więc ten żaloszny twór ponad podłogę, rozejrzałem się dookoła - i kompletnie nic nie zobaczyłem. Szopa miała wprawdzie okna, ale zostały szczelnie zasłonięte. Dziewczęta, oswojone z panującym w niej półmrokiem, rozpoznały mnie bez trudu i ucichły jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Wciagnałem przez otwór resztę swojej osoby.

Tulia rozświetliła swoją sferę. Siedziały z Alą na podłodze, oparte plecami o ścianę. Zdziwiło mnie to, ale nie bardzo miałem ochotę otwierać usta w innej sprawie niż ta, która mnie tu sprowadzała. Przykleknąłem więc obok dziury i pozbierałem kwiaty. Przy tej okazji uświadomiłem sobie, że nie mam żadnego planu i nic do powiedzenia. Ponieważ jednak znałem suur Alę nie od dziś i wiedziałem, czego mogę się po niej spodziewać, uznałem, że prosząc o pozwolenie, nie popełnię większego błędu.

- Alu? Chciałbym ci je dać, jeśli to przeżyjesz.

Co najmniej jedna z dziewczyn zaczerpnęła tchu. Żadna nie zgłosiła sprzeciwu. Szopa w środku była większa, niż się spodziewałem, ale krzyżujące się w niej dźwigary i tłoki zajmowały tyle miejsca, że nie miałem pewności, czy uda mi się wyprostować. Podeszedłem więc do nich na kolanach. Coś się o mnie otarło. Pomyślałem, że to pewnie nietoperz, ale kiedy następny raz policzyłem obecnych w maszynowni ludzi, zostaliśmy tylko we dwoje, więc musiałem minąć Tulię, która teleportowała się ze swojego miejsca jak kapitan statku kosmicznego w dobrym szpilu.

- Dziękuję - powiedziała z rezerwą Ala. - Przeniosłeś je przez dziedziniec Regulatorki? Domyślam się, że tak.

- Tak. A czemu pytasz? - spytałem, chociaż domyślałem się, co odpowie.

- To chyba zguba saunty Chandery, prawda?

- O tej porze roku zguba Chandery wydaje dość osobliwie wyglądające kwiaty - odparłem. - Moim zdaniem piękne.

Miałem na końcu języka porównanie zguby Chandery do urody Ali, ale nabrałem wątpliwości, czy „osobliwy wygląd” na pewno dobrze zabrzmiał w tym kontekście.

- Ale należy do Jedenastki!

- Jestem tego świadomy. - Spiałem się trochę. Nie dość, że zakłóciła mi komponowanie analogii, to jeszcze chciała się kłócić.

- Właśnie dlatego ją wybrałem: jest zakazana. To, co nas połączyło... zamieszanie, które spowodowałem, również wiąże się z czymś zakazanym.

- Nie mogę uwierzyć, że wniosłeś ją po schodach jakby nigdy nic, pod nosem Inkwizycji.

- No dobrze. Kiedy tak o tym mówisz, przyznaję, że była to z mojej strony głupota.

- Nie tego słowa chciałam użyć. Dziękuję.

- Proszę.

- Jeśli koło mnie usiądziesz, pokażę ci coś, czego na pewno się nie spodziewałeś - zaproponowała.

W tym wypadku byłem absolutnie pewien, że w jej słowach nie ma żadnej dwuznaczności. Zanim usiadłem na miejscu do niedawna zajmowanym przez Tulię, Ala wstała (ona przynajmniej mogła się tu wyprostować), podeszła do kłapy, którą Tulia zostawiła podniesioną, i ją zamknęła. Potem usiadła obok mnie i przyciemniła swoją sferę. Zrobiło się całkowicie ciemno - to znaczy, prawie całkowicie, bo plama białego światła, wielkości mniej więcej dłoni Ali, wydawała się jak gdyby zawieszona przed nami w powietrzu. Nie mógł to być zbieg okoliczności: byłem przekonany, że to właśnie ta plama światła zwabiła dziewczyny do szopy. Wyciągnąłem prawą rękę, żeby jej dotknąć (lewa, o dziwo, stała się zupełnie bezużyteczna, gdyż w jakiś tajemniczy sposób oplotła ramiona Ali). O ścianę była oparta deska, do której ktoś przypiął czysty arkusz. Światło padało dokładnie na niego. Przywykłem do ciemności na tyle, żeby się zorientować, że arkusz jest okrągły. Idealnie okrągły.

- Pamiętasz całkowite zaćmienie słońca w trzy tysiące sześćset osiemdziesiątym, kiedy zrobiliśmy camera obscura, żeby móc je obserwować i nie oślepnąć?

- Pudełko z dziurką w jednej ścianie i arkuszem białego papieru na drugiej, przeciwnie.

- Robiliśmy tu z Tulią wiosenne porządki i zauważyliśmy, że po ścianach i podłodze przesuwają się takie plamy światła. Słońce wpadało przez dziurę w ścianie, o tam. - Nie widziałem, jak Ala wyciąga rękę w ciemności, ale przy okazji poruszyła się i nie wiedzieć kiedy przysunęła do mnie. - Wydaje nam się, że to stary otwór wentylacyjny, który później został zabity deskami,

żeby nie wlatywały nietoperze. Słońce przeciskało się przez szparę między deskami, ale ją załatałyśmy. No, prawie.

- To „prawie” to pewnie mały, zgrabny otworek?

- Otóż to. Na dole zainstalowałyśmy ekran. Oczywiście trzeba go przesuwac w miare, jak słońce przemieszcza się po niebie.

Ala jak nikt inny potrafiła wstawić słówko „oczywiście” w sam środek dowolnego, nawet najbardziej niewinnego zdania, czym od czasu do czasu irytowała mnie przez ponad połowę mojego życia. Tym razem jednak musiałem jej odpuścić, ponieważ bez reszty pochłaniało mnie podziwianie jej pomysłowości. Żałowałem, że sam na coś takiego nie wpadłem. Do oglądania odległych obiektów nie potrzeba obiektywu ani zwierciadła z polerowanego szkła: wystarcza zwykły otworek. Problem polega tylko na tym, że otworek daje bardzo wąty obraz, przez co trzeba go oglądać w zaciemnionym pomieszczeniu: camera obscura.

Wyglądało na to, że Tulia opowiedziała Ali wszystko o tabliczce, Sammannie i moich obserwacjach. Miałem jednak wrażenie, że upłynęły całe wieki od czasu, gdy zależało mi na nich równie mocno, jak teraz na naprawieniu stosunków z Alą. Powiem więcej: kiedy siedzieliśmy tak we dwoje w ciemności, z najwyższym trudem przychodziło mi wykrzesanie choć odrobiny zainteresowania słońcem. Świeciło jak zawsze, fotosyntezie nic nie groziło, nie było żadnych dużych wybuchów i tylko kilka plam. Czym tu się przejmować?

Jeszcze trudniej było mi się nim przejąć chwilę później. W kredowniach nikt nie wykladał nam sztuki całowania, więc musieliśmy ją zgłębiać metodą prób i błędów - a nawet błędy były całkiem przyjemne.

- Iskra przeskoczyła - powiedziała Ala trochę stłumionym głosem.

- No, ja myślę...

- Nie, naprawdę widziałam iskierkę.

- Słyszałem, że w takich chwilach często widzi się nawet gwiazdy...

- Nie pochlebiaj sobie. - Odepchnęła mnie. - O, następna.
- Gdzie?
- Na ekranie.

Przeniosłem niezborny wzrok na okrągły arkusz, ale zobaczyłem na nim tylko znajomy biały krąg.

I...

...iskierkę. Punktik światła, jaśniejszy niż słońce, zniknął, zanim na dobre uwierzyłem w jego istnienie.

- Chyba...

- Jest! - wykrzyknęła Ala. - Znowu. Trochę się przesunęła.

Miała rację. Razem obejrzelśmy jeszcze kilka. Wszystkie pojawiały się poniżej kręgu światła, trochę z prawej, za każdym razem coraz wyżej i coraz dalej na lewo. Gdyby nanieść je na arkusz, utworzyłyby linię mierzącą w sam środek słońca.

Co zrobiłby Orolo?

- Potrzebne nam pióro - powiedziałem.

- Nie mam pióra. Pojawiają się co sekundę, może nawet częściej.

- Masz coś ostrego?

- Szpilki!

Ala i Tulia przypięły arkusz do deski czterema szpilkami. Poluzowałem jedną z nich. Stoczyła się w podstawioną dłoń Ali.

- Ja przytrzymam deskę, a ty rób dziurki wszędzie tam, gdzie zobaczysz iskry.

Kilka jeszcze przegapiliśmy, zajmując właściwe pozycje: ja przyklęknąłem z boku, docisnąłem ręką deskę do ściany, a kolanem do podłogi. Ala położyła się na brzuchu, podparła na łokciach i przysunęła twarz do deski tak blisko, że w słabym odbitym świetle widziałem jej oczy i zarys kości policzkowej. Była najpiękniejszą dziewczyną w całym koncencie.

Następna iskra odbiła się w jej oku. Ala wyciągnęła rękę i dziabnęła szpilką w deskę.

- Dobrze by było wiedzieć, która jest godzina - zauważyłem.

Dziab.

- Za parę minut... - *dziab* - ...wyjdą poza arkusz. - *Dziab.* -
Wtedy pójdziemy... - *dziab* - ...spojrzeć na zegar.

Dziab.

- Widzisz w nich coś ciekawego?

Dziab.

- Nie gasną od razu. - *Dziab.* - Zapalają się szybko... -
dziab - ...a potem wolniej znikają.

Dziab.

- Miałem na myśli kolor.

Dziab.

- Takie... - *dziab* - ...niebieskawe?

Dziab.

Niespodziewany zgrzyt i chrzęst omal nie przyprawiły
mnie o zawal: uruchomił się mechanizm karylionu. Zegar wybijał
drugą. W innej sytuacji zatkałbym uszy, ale teraz się nie
odważyłem: Ala na pewno rzuciłaby się na mnie z tą szpilką.

Dziab... dziab... dziab.

- Przynajmniej wiemy, która godzina - powiedziałem,
kiedy uznałem, że powinna znów móc mnie usłyszeć.

- Przy tej iskierce, która zapaliła się najbliższej godziny
drugiej, zrobiłam potrójne nakłucie.

- Świetnie.

- Chyba się zakrzywia.

- Zakrzywia?

- Nie wiem, co wytwarza te iskry, ale najwyraźniej nie
porusza się po linii prostej. Zmienia kurs. Znajduje się pomiędzy
nami i słońcem, w tej chwili przecina tarczę słoneczną, tyle że
linia nakłuć nie wydaje mi się prosta.

- To dosyć dziwne, jeżeli obiekt znajduje się na orbicie
Arbre. Powinien lecieć prosto.

- Chyba że akurat zmienia kurs - powtórzyła Ala. - Może te
iskierki to jakiś ślad działania układu napędowego.

- Już wiem, skąd znam ten odcień niebieskiego.

- Skąd?

- Z warsztatu Cord. Mają tam taką maszynę, która tnie

metal plazmą. Plazma ma właśnie taki kolor. Jak bardzo gorąca gwiazda.

- Dobra, zaraz pojawią się z drugiej strony słońca - stwierdziła Ala. - Hola!

- Co hola?

- Skończyły się.

- Iskry?

- Tak, iskry. Zniknęły.

- Wiesz co? Zanim przesunę deskę, oznacz nakłuciami krawędź tarczy słonecznej, żebyśmy wiedzieli, jak to wszystko wyglądało. Znamy godzinę, więc będziemy mogli znaleźć ten obiekt!

- Niby jak?

- Ustalimy, w którym punkcie nieba znajdowało się słońce o drugiej po południu dzisiaj, w konkretnym dniu roku. Dowiemy się dzięki temu, przed którą z tak zwanych stałych gwiazd przechodziło. Te plazmowe błyski były w tym samym miejscu. Jeżeli to, co je wytwarza, nie zmieni orbity, za każdym razem będzie przechodzić na tle tych samych gwiazd. A je znajdziemy bez trudu.

- Nie wydaje mi się, żeby miało jakiś kłopot ze zmianą orbity - zauważyła Ala, metodycznie znakując obwód słońca gęstymi ukłuciami szpilki.

- Ale teraz zrozumieliśmy coś, co do tej pory nam umykało: możliwe, że zmienia orbitę tylko wtedy, kiedy znajduje się w pobliżu słońca. A dopóki mamy tę camera obscura, będziemy o tym wiedzieli.

- Co ma do tego położenie słońca?

- Moim zdaniem to „coś” się ukrywa. Gdyby zachowało się tak jak przed chwilą w środku nocy, byłoby widzialne gołym okiem i każdy by się zorientował.

- Nam wystarczyła dziura w ścianie i kawałek papieru, żeby znaleźć to „coś”! Słabo się ukrywa.

- Sammann obserwuje je przez okulary spawalnicze - dodałem. - Rzecz w tym, że ty, ja czy Sammann jesteśmy...

- Jacy? Mądrzejsi?

- Właśnie. Czymkolwiek albo kimkolwiek jest to coś, nie przeszkadza mu, że mądrzy ludzie o nim wiedzą. Ujawniło się nam...

- Państwo sekularne nie jest tym zachwycone.

- Dlatego Orolo został odrzucony za przyglądanie mu się.

Zebranie się zajęło nam dłuższą chwilę. Za dużo działało się naraz. Odepnąłem arkusz od deski, zwinąłem i schowałem w fałdach szaty. Ala podniosła bukiet. To mi przypomniało, po co w ogóle przyszedłem na górę i czym się zajmowaliśmy, nim zaczęła widzieć iskry; na myśl, że o tym zapomniałem, czułem się jak ostatni matole. Ala tymczasem przypomniała sobie o zgubie Chandery i zastanawiała się, co z nią zrobić. Zamieniliśmy się: ja jej dałem arkusz z dziurkami, a ona mi kwiaty, żebym mógł wziąć na siebie ryzyko odtransportowania ich z powrotem na dół.

- Co teraz zrobimy? - pomyślałem na głos.

- Z czym?

Podnieśliśmy klapę. Światło zalało wnętrze szopy. Chciałem odpowiedzieć „Z tym, co widzieliśmy”, ale zobaczyłem jej minę, zobaczyłem, jak przygotowuje się na kolejny cios z mojej strony - i powstrzymałem się chyba w ostatniej chwili.

- Chcesz... Powinniśmy może... - Zamknąłem oczy i powiedziałem wprost: - Chyba nie powinniśmy się z tym kryć.

- Mnie to pasuje - odparła.

- W takim razie jutro - zaproponowałem. - Po certyfiku.

- Powiem Tulii - rzekła, a ja po tonie jej głosu poznałem, że wie o wszystkim, także o tym, że podkochałem się kiedyś w jej najlepszej przyjaciółce. - Kogo weźmiesz na świadka?

Miałem zaproponować Lio, ale ponieważ Jesry zachował się w tej sytuacji jak ostatni dupek, uznałem, że mu się należy.

- Wolnym świadkiem może być ktokolwiek, kto się napatoczy. Haligastreme?

- Jakiego rodzaju romans podamy do publicznej wiadomości?

To nie było trudne pytanie. Należało ogłosić początek i

rozwiązanie romansu, aby ukrócić plotki i ograniczyć możliwości knucia intryg, które w matemie mogły łatwo wymknąć się spod kontroli. W Konkencie Saunta Edhara uznawano kilka rodzajów romansów, od tiviańskiego, najmniej zobowiązującego, po perelithyjski, najpoważniejszy, bo równoważny małżeństwu. Perelithyjski był wykluczony w wypadku dwojga dzieciaków, które jeszcze trzy kwadransy temu szczerze się nie znosiły. Gdybym jednak zaproponował tiviański, Ala zepchnęłaby mnie do dziury w podłodze i w ostatnich czterech sekundach życia, lecąc na spotkanie śmierci, żałowałbym, że nie powiedziałem „etrevaneński”.

- Pogodzisz się z tym, że ludzie się dowiedzą, że nawiązałaś romans etrevaneński z tym nierozgarniętym fraa Erasmem?

Uśmiechnęła się.

- Tak.

- W porządku.

Sytuacja zrobiła się ciut niezręczna, by wypadało, żebym znowu ją pocałował, ale ostatecznie poszło mi całkiem niezłe.

- Druga sprawa: czy zamierzamy ujawnić fakt odkrycia statku kosmicznego obcych na orbicie Arbre? - zapytała Ala półgłosem.

Nie była tak jak ja przyzwyczajona do pakowania się w kłopoty i chyba w trudniejszych sprawach wołała się zdać na zatwardziałego recydywistę.

- Tylko paru osobom. Lio pewnie jest na dziedzińcu Protektora. Wpadnę tam i z nim pogadam...

- W porządku. I tak nie powinniśmy się prowadzić razem, dopóki nie poinformujemy o naszym romansie.

Zręczność, z jaką od miłości przechodziła do kwestii statku obcych i z powrotem, przyprawiała mnie o zawrót głowy. I to wcale nie w tej najprzyjemniejszej wersji.

- Spotkamy się później, a jak się nadarzy okazja, powiemy wszystkim - zaproponowałem.

- To na razie. Nie zapomnij zabrać zakazanego kwiatka.

- Będę pamiętał.

I po prostu zbiegła po drabinie.

Minutę później podążyłem za nią i odszukałem Lio w czytelni przy dziedzińcu Protektora. Ślęczał nad opisem bitwy z Epoki Praksis, stoczonyj w opuszczonych tunelach pod miastem przez dwie armie, którym zabrakło amunicji i których jedyną bronią stały się z konieczności zaostrome szpadle. Spojrzał na mnie tępo (musiałem mieć jeszcze głupszą minę), a ja dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wcale nie mam najnowszych wydarzeń wypisanych na twarzy. Będę musiał się z nim porozumieć.

- Przez ostatnią godzinę wydarzyły się niesamowite rzeczy - oznajmiłem.

- Na przykład?

Nie byłem pewny, od czego zacząć, ale uznałem, że statek obcych będzie stosowniejszym tematem do rozmowy w protektorskiej czytelni. Zrelacjonowałem więc Lio całą sprawę, on zaś słuchał mnie jednym uchem, dopóki nie wspomniałem o zakrzywiającej się trajektorii iskierek i o plazmie. Wtedy coś w jego twarzy trzasnęło jak migawka aparatu.

- Wiem, co to jest - powiedział.

Był tak pewny siebie, że nie przyszło mi do głowy mu się sprzeciwiać. Nie rozumiałem tylko, skąd to wie.

- Jak...

- Wiem, co to jest.

- No dobrze. Mów.

Dopiero teraz odwrócił wzrok i rozejrzał się po czytelni.

- Może jest tutaj... a może w starej bibliotece. Poszukam i później ci pokażę.

- Dlaczego po prostu mi nie powiesz?

- Bo nie uwierzysz mi, dopóki nie pokażę ci tego w książce napisanej przez kogoś innego. Takie to niesamowite.

- W porządku - zgodziłem się i dodałem: - Moje gratulacje! Wydawało mi się, że wypada coś takiego powiedzieć.

Lio zatrzasnęła księgę, nad którą siedział, odwrócił się do

mnie plecami i skierował w stronę regałów.

Wróciwszy do klauzury, uświadomiłem sobie, że sytuacja będzie się rozwijała znacznie wolniej, niżbym sobie tego życzył. Miałem dyżur przy kolacji, więc czas do wieczora spędziłem w kuchni. Ala i Tulia nie gotowały, ale musiały podawać jedzenie. Wrzucając gorącego ziemniaka do mojej miski, Ala posłała mi takie spojrzenie, że nie będę w tym miejscu opisywał, jak się poczułem. Tulia zaś, zalewając ziemniaka gulaszem, spojrzała na mnie w taki sposób, że wiedziałem już, że Ala wszystko jej opowiedziała.

- Camera obscura - mruknąłem do niej. - Świetna sprawa.

Fraa Mentaxenes, który szturchał mnie ponaglająco miską pod zebro, nie miał pojęcia, o co mi chodzi, i tylko dodatkowo się zirytował.

Lio nie zjawił się na kolacji. Jesry przyszedł, ale nie mogłem z nim porozmawiać, bo siedzieliśmy przy stoliku w towarzystwie Barba i innych. Arsibałt trzymał się od nas z daleka (ostatnio weszło mu to w krew), a po kolacji wypadła jego kolej na zmywaku. Jesry szybko się ulotnił, żeby w którejś kredowni pracować z innymi edharczykami nad jakimś nowym dowodem, i było całkiem prawdopodobne, że będą nad nim siedzieli do świtu. Zresztą i tak bym z nim nie pogadał, bo musiałem porozmawiać z fraa Haligastreme na osobności i zorganizować cichy ryt, w którym następnego dnia mój romans z Alą zostanie ujawniony i zarejestrowany w kronice.

Znalazłem jednak chwilę czasu, żeby sprawdzić, w którym miejscu nieba znajdowało się słońce o drugiej po południu. Późnym wieczorem, kiedy fidowie pokładli się spać, wyszedłem na łąkę, usiadłem na ławeczce i przez bitą godzinę wpatrywałem się w ten punkt nieboskłonu, licząc na to, że szczęście mi dopisze i zobaczą przelatującego satelitę. Była to z mojej strony całkiem

irracjonalna nadzieja, bo przecież gdyby statek był widoczny gołym okiem, nie byłoby całego tego zamieszania. Ale najwidoczniej był zbyt mały, zbyt ciemny i/lub krążył zbyt wysoko, żeby odbijać światło w ilości wystarczającej dla naszego wzroku. Tak czy inaczej, musiałem chwilę posiedzieć sam i pogapić się w ciemność, żeby spokojnie poukładać sobie myśli. Przez godzinę mój umysł miotał się między dwoma tematami, zanim całkowicie wyczerpany zwlokłem się z ławki, znalazłem sobie pustą celę i zasnąłem kamiennym snem.

Na Lio natknąłem się rano w refektarzu. Kiedy nasze oczy się spotkały, spojrział znacząco na wygrzebaną skądś wielgachną księgę: *Broń egzoatmosferyczna w Epoce Praksis*.

Rozkoszne.

Jesry nie przyszedł na śniadanie, a my z Alą spędziliśmy większość poranka na przygotowaniach do popołudniowej uroczystości. Romans tiviański można było ogłosić w dowolnym momencie, bez zbędnych ceregieli, ale w wypadku etrevaneńskiego obie zawierające go strony powinny najpierw omówić sprawę ze starszym fraa lub starszą suur. Gdy kończyłem właśnie tę rozmowę, dzwony wydzwoniły certyfik - a był to jeden z tych coraz rzadszych dni, kiedy to moja ekipa była odpowiedzialna za nakręcenie zegara. Znalazłem celę Jesry'ego, który jeszcze spał; ściągnąłem go z siennika i pogoniłem do roboty. Skończyło się na tym, że biegliśmy na wyścigi do tumu, jak zwykle spóźnieni, ale miło było spotkać się w starym sprawdzonym składzie, zwłaszcza po tym wszystkim, co się ostatnio działo. Wysilek fizyczny związany z nakręceniem zegara sprawił mi większą frajdę niż zwykle.

Potem poszliśmy do refektarza na obiad, ale nie było mowy o tym, żebyśmy mogli swobodnie pogadać o statku kosmicznym, i rozmowa zeszała na popołudniowy ryt. Z całej naszej czwórki ja pierwszy posunąłem się do tego, żeby wejść w formalny romans, toteż nasze spotkanie kojarzyło mi się z próbą wieczoru kawalerskiego. Byliśmy tak głośni i zabawni (przynajmniej naszym zdaniem), że dwukrotnie proszono nas o

ciszę i grozono nam ciężką pokutą, co tylko dodatkowo nas rozbawiło.

W pewnej chwili zdobyłem się na odrobinę dystansu, żeby spokojnie nacieszyć się radością moich przyjaciół i cofnąć pamięcią do wszystkich niedawnych wydarzeń. Przy tej okazji przypominałem sobie, że Orolo został odrzucony i teraz błąkał się extramuros, szukając nowej drogi przez życie. Takie myśli zasmuciły mnie i na nowo roznieciły przygasłą już iskierkę gniewu, lecz nie przeszkodziły mi cieszyć się razem z przyjaciółmi. Z pewnością mój entuzjazm po części wynikał z rozwoju znajomości z Alą, ale po części także ze świadomości, że Ala, Tulia i ja wygraliśmy małą bitwę z ludźmi pokroju Spelikona i Trestanas, którzy zamknęli przed nami gwiazdny krąg, próbując w ten sposób wpłynąć na naszą wiedzę i nasze myśli. Nie myślałem już o opuszczeniu koncentu - nie, dopóki Ala w nim mieszkała.

Ani jej, ani Tulii nigdzie nie widziałem, ale wkrótce ich nieobecność stała się jasna: miały do wypełnienia obowiązki w tumie. Ledwie zdążyliśmy zjeść, rozdzwoniły się dzwony. Przez dwie minuty siedzieliśmy bez słowa, próbując rozpoznać zmiany, aż wreszcie odezwał się Barb, który zdążył je już wykuć na pamięć.

- Voco - oznajmił. - Państwo sekularne powoła kogoś z nas.

- Najwidoczniej fraa Paphlagon sobie nie radzi - mruknął Jesry, sącząc piwo.

- Może wzywa posiłki - zasugerował Lio.

- Albo miał zawał - dodał Arsibalt.

Ostatnio co chwila wyskakiwał z takim smętными pomysłami, więc spiorunowaliśmy go wzrokiem i tak długo patrzyliśmy na niego spode łba, aż przeprosił.

Bez pośpiechu ruszyliśmy przez łąkę w stronę tumu, ale i tak dotarliśmy tam ze sporym zapasem i zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie, przy samym ekranie. Dzwony nie milkły jeszcze przez długą chwilę, w końcu jednak osiem dzwoniczek

zeszło z balkonu i zajęło miejsca na tyłach. Chór setników zaintonował monofoniczny hymn. Miałem ochotę usiąść z tyłu, obok Ali, ale Dyscyplina stwierdzała jasno, że nie należy się publicznie obściskować, dopóki informacja o romansie nie zostanie podana do powszechnej wiadomości, więc musieliśmy jeszcze te parę godzin zaczekać.

Tym razem - w przeciwieństwie do voco Paphlagona - Statho wszedł do prezbiterium sam, bez inkwizytorów. Tak jak poprzednio wyrecytował formułę otwarcia - a do mnie wreszcie dotarło, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ciekaw byłem, z którym deklarantem przyjdzie się nam pożegnać; czy będzie to któryś z dziesiętników, czy może raczej ktoś w rodzaju fraa Paphlagona, kompletnie nam nieznan, bo pochodzący z innego matemu.

Zanim Prymas doszedł do momentu, w którym miał ogłosić imię powołanego, zacząłem się denerwować. W tłumie panowała cisza jak w lochach Fundy Shufa, a ja miałem ochotę krzyknąć, kiedy Statho, zamiast przejść do rzeczy, zaczął szukać czegoś w fałdach szaty. W końcu wyjął arkusz złożony na dwoje i opieczętowany kroplą pszczelego wosku; otwarcie go zajęło mu całą wieczność. Rozłożył go, podniósł do oczu - i bardzo się zdziwił.

Sytuacja była na tyle niezręczna, że sam poczuł, że należy się nam jakieś wyjaśnienie.

- Mam tu sześć imion - oznajmił.

„Pandemonium” nie jest może najlepszym słowem na określenie kilkuset stojących nieruchomo i szepczących deklarantów, ale budzi właściwe skojarzenia. Nawet pojedyncze powołania należały do rzadkości, ale voco sześciorga deklarantów jednocześnie nie zdarzyło się jeszcze nigdy... Czy aby na pewno? Zerknąłem na Arsibalta, który chyba czytał mi w myślach.

- Nie - szepnął. - Nawet przy Wielkiej Grudzie.

Spojrzałem na Jesry’ego.

- To jest właśnie to! - powiedział, mając na myśli wyczekiwaną zmianę.

Statho odchrząknął i odczekał, aż szmer ucichnie.

- Sześć imion - powtórzył. W tłumie znów zrobiło się cicho, tylko z daleka, zza bramy dobiegało stłumione wycie policyjnych syren i warkot silników. - Jednego z nich nie ma już wśród nas.

- Orolu - pomyślałem na głos.

Ze sto głosów wypowiedziało to imię razem ze mną. Statho poczerwieniał.

- Voco...! - zawołał, ale głos mu się załamał. Przełknął i spróbował jeszcze raz: - Voco fraa Jesry z kapituły edharskiej matemu dziesięcioletniego.

Jesry szturchnął mnie w ramię, wystarczająco mocno, żeby nabici mi siniaka, który miał mnie boleć przez następne trzy dni. Na pamiątkę. Potem odwrócił się do nas plecami i zniknął z naszego życia.

- Suur Bethula z kapituły edharskiej matemu stuletniego... Fraa Athaphrax, jak wyżej... Fraa Goradon z kapituły edharskiej matemu dziesięcioletniego... Suur Ala z decenarystów Nowego Kręgu.

Zanim odzyskałem świadomość, Ala - nie mniej wstrząśnięta ode mnie - stała już na progu drzwi prowadzących do prezbiterium. Zawahała się i spojrzała w moją stronę. Miała łzy w oczach.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej patrzyłem, jak fraa Paphlagon wychodzi zza ekranu, rozumiałem doskonale i bez cienia wątpliwości, że nikt z nas go więcej nie zobaczy. Teraz to samo działo się z Alą, ale jakoś to do mnie nie docierało. Widziałem tylko jej twarz.

Mówili mi później, że próbując się do niej przepchnąć, potrąciłem i przewróciłem dwie osoby.

Zarzuciła mi rękę na szyję, pocałowała mnie w usta i na sekundę przycisnęła swój mokry od łez policzek do mojego.

Kiedy fraa Mentaxenes zamknął dzielące nas drzwi, spuściłem wzrok: za sznur miałem wetknięty zrolowany arkusz, podziurawiony maleńkimi otworkami. Zanim zrozumiałem, co widzę, otrząsałem się i przycisnąłem twarz do ażurowego ekranu,

Jesry, Bethula, Athaphrax, Goradon i Ala wyszli już z prezbiterium tą samą drogą, którą przed nimi podążyli Paphlagon i Orolo. Wszyscy śpiewali. Oprócz mnie.

Strasliwe Wypadki: Katastrofa o zasięgu ogólnoświatowym, słabo opisana, ale na ogół uznawana za skutek działań człowieka, która zakończyła Epokę Praksis i doprowadziła do Rekonstrukcji.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Sam widzisz - powiedział Lio. - Nie uwierzyłyś mi, gdybym nie pokazał ci tej książki.

On, ja, Arsibalt, Tulia i Barb siedzieliśmy przy dużym stole w Fundzie Shufa, na którym *Broń egzoatmosferyczna w Epoce Praksis* leżała rozpostarta jak zwłoki przed sekcją. Wpatrywaliśmy się w podwójnie rozkładaną planszę. Strawiliśmy kwadrans na jej rozłożenie w taki sposób, żeby nie uszkodzić wiekowych arkuszy najprawdziwszego, fabrycznie wytworzonego papieru, i teraz mieliśmy przed sobą olbrzymi, niezwykle szczegółowy rysunek statku kosmicznego. Miał regularny stożkowaty dziób jak każda przyzwoita rakietą, ale poza tym wszystko w nim wyglądało dziwnie. Nie miał silników z prawdziwego zdarzenia: na rufie, gdzie rakietą miałyby dysze wylotowe, znajdował się płaski, szeroki dysk, jak piedestał, na którym dałoby się postawić całą maszynę pionowo. Kilka masywnych słupów łączyło go z właściwym statkiem: skupiskiem zaokrąglonych hermetycznych kapsułek ukrytych pod stożkową osłoną dzioba.

- Te słupy to amortyzatory - wyjaśnił Lio. - Duże amortyzatory. - Wskazał małeńki otwór w samym środku dysku na rufie. - A tędy wypływał bomby atomowe, jedna za drugą.

- To jest ten kawałek, którego jakoś nie potrafię ogarnąć.

- A słyszałeś o deolatrach, którzy chodzą boso po rozżarzonych węglach, żeby pokazać, że posiadli nadnaturalną moc?

Lio spojrział w stronę kominka, w którym rozpaliliśmy ogień, chociaż wcale nie był nam potrzebny. Przez dwa uchylone okna zawiewała do środka świeża, pachnąca zielenią bryza, omiatająca młodą koniczynę na łące i niosąca smutne pieśni. Większość deklarantów była tak wstrząśnięta sześciokrotnym voco, że mogli co najwyżej o nim śpiewać. My, zebrani w Fundzie, mieliśmy swój własny sposób na pogodzenie się ze stratą - ale tylko dlatego, że wiedzieliśmy więcej od innych. Rozpaliliśmy w kominku zaraz po przyjściu, nie po to, żeby się ogrzać, lecz żeby czerpać z niego prostą, prymitywną pociechę. Ludzie zawsze tak robili, na długo przed Cnoüsem, na długo nawet przed językiem; wrywali skrawek przestrzeni mrocznemu wszechświatowi, którego nie rozumieli, a który chętnie i bez uprzedzenia zabierał im rodziny i przyjaciół.

Lio podszedł do kominka i zaatakował jedno z polan pogrzebaczem, strącając z niego kilka żarzących się odłamków. Wygarnął jeden na kamienną posadzkę. Rozpalony do czerwoności węgielek miał wielkość orzecha.

Zaczynałem się niepokoić.

- Powiedz mi, Ras... - odezwał się Lio. - Włożyłbyś go do kieszeni?

- Nie mam kieszeni - odparłem półzartem.

Nikt się nie roześmiał.

- Przepraszam. Nie, gdybym miał kieszeń, nie włożyłbym go do niej.

Lio napluł sobie w lewą dłoń, zamoczył w ślinie opuszki palców prawej ręki i podniósł węgielek z podłogi. Zaskwierczało. Skrzywiliśmy się, a Lio spokojnie wrzucił węgielek do kominka i kilkakrotnie strzepnął palce o udo.

- Drobną nieprzyjemność - oznajmił. - Żadnych trwałych obrażeń. Dźwięk, który słyszeliście, wydawała ślina parująca w zetknięciu z ciepłym węgielka. Wyobraźcie sobie teraz, że okrągła płyta na rufie statku została pokryta materiałem spełniającym tę samą rolę.

- Tę samą rolę co ślina? - upewnił się Barb.

- Tak. Plazma z bomb atomowych odparowywała go, a on, rozszerzając się, gwałtownie napierał na płytę. Amortyzatory łagodziły impet uderzenia i zmieniały go w równomierny ciąg, który ludzie na dziobie odbierali jako miłe, równe przyspieszenie.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się znaleźć tak blisko eksplodującej bomby atomowej - powiedziała Tulia. - I to nie jednej, tylko całej serii.

Miała zdarty, chrapliwy głos, podobnie jak my wszyscy - oprócz Barba. Nawiasem mówiąc, Barb już wcześniej przejrzał książkę.

- To były takie specjalne bomby - wyjaśnił. - Maciupęńkie - dodał, tworząc okrąg z ramion, żeby pokazać, co ma na myśli. - Zaprojektowane w taki sposób, żeby większość plazmy wypływała w ściśle określonym kierunku, w stronę statku.

- Mnie też nie mieści się to w głowie - przyznał Arsibalt. - Proponuję jednak zawiesić na chwilę nasze niedowierzanie i przejść dalej. Dowody mamy jak na dłoni tutaj... - Wskazał książkę. - I tutaj.

Położył rękę na arkuszu, który poprzedniego dnia Ala podziurawiła szpilka, i nagle zmarkotniał. Chyba sprawił to wyraz twarzy Tulii albo mojej: oboje traktowaliśmy okrągły arkusz podobnie jak pamiątki po sauntach, które deklaranci umieszczali z czcią w relikwiarzach.

- Może jeszcze za wcześnie na tę dyskusję - powiedział. - Może...

- A może za późno! - przerwałem mu.

Tulia spojrzała na mnie z wdzięcznością. Nikt nie zaprotestował.

- Jestem mile zaskoczony, Arsibalcie, że w ogóle jesteś tu z nami - dodałem.

- Pijesz do... hmm... płochliwości, jaką przejawiałem w ostatnich tygodniach.

- To ty to powiedziałeś - odparłem, powstrzymując się od śmiechu.

Arsibalt uniósł brwi.

- Ja sobie nie przypominam żadnego dyktatu hierarchów, który zakazywałby dziurkowania papieru albo oświetlania go światłem słońca. A ty? Nic nie można nam zarzucić.

- Nie pomyślałem o tym w ten sposób. Szczerze mówiąc, jestem nawet odrobinę rozczarowany, że już nie łamiemy przepisów.

- Rozumiem, że dla ciebie może to być nowe i obce uczucie, fraa Erasmasie, ale zapewniam cię, że z czasem się przyzwyczaisz.

Barb nie zrozumiał żartu, nawet kiedy mu go wytłumaczyliśmy.

- Tak się zastanawiam... - odezwała się Tulia. - Może jeden z takich statków zaginął?

- Jak to zaginął? - zdziwił się Lio.

- Powiedzmy, że... załoga się zbuntowała, przejęła statek i wyruszyła w nieznane. A teraz, tysiące lat później, ich potomkowie wrócili.

- Nawet niekoniecznie potomkowie - wytknął jej Arsibalt.

- Względność! - wykrzyknął Barb.

- Otóż to - przytaknałem. - Pomyślcie: jeżeli statek może poruszać się z prędkością relatywistyczną, podróż tam i z powrotem mogła zająć załozde kilka dekad, podczas gdy u nas upłynęły tysiące lat.

Ta hipoteza tak bardzo przypadła wszystkim do gustu, że z miejsca uznaliśmy ją za prawdziwą. Pozostał tylko jeden problem.

- Żaden taki statek nie został zbudowany - poinformował nas Lio.

- Co?!

Spojrzał na nas takim wzrokiem, jakbyśmy mieli o to pretensje do niego.

- To tylko propozycja. Studium projektowe z końca Epoki Praksis.

- Sprzed Straszliwych Wypadków - dopowiedział Barb.

Zapadła cisza. Obalenie i odłożenie na półkę idei, która jeszcze niedawno wydawała się niezwykle ekscytująca, wymaga

czasu.

- Poza tym ten statek był przeznaczony wyłącznie do działań wojskowych w obrębie Układu Słonecznego - ciągnął Lio.
- Powstawały projekty maszyn, które mogłyby osiągać prędkości relatywistyczne, ale były o wiele większe i wyglądały inaczej.

- Nie musiały mieć szpiczastego dzioba! - wtrącił Barb.
Dla niego był to dowcip miesiąca.

- Jeżeli w takim razie zgadzamy się, że to, co z Alą widzieliśmy, ten... iskrownik, to był statek z takim właśnie napędem na orbicie Arbre... - Ruchem głowy wskazałem rysunek.

- To musi być wytworem cywilizacji obcych - dokończył Arsibalt.

- Fraa Jesry uważa, że wysoko rozwinięte formy życia są we wszechświecie niezwykle rzadkością - poinformował nas Barb.

- Jesry podzielał Supozycję Saunta Mandarasta. - Arsibalt pokiwał głową. - Miliardy planet z jednokomórkową galareta i bardzo niewiele światów, na których wykształciły się organizmy wielokomórkowe, nie mówiąc już o cywilizacjach.

- Powinniśmy o nim mówić w czasie teraźniejszym - odezwała się Tulia. - Przecież nie umarł.

- To prawda - przyznał bez przekonania Arsibalt.

- Barb? Czy kiedy rozmawialiście o tym z Jesrym, miał jeszcze jakąś alternatywną koncepcję? - zainteresowała się Tulia.

- Jak najbardziej: alternatywną koncepcję alternatywnego wszechświata!

Tulia zmierzwiła Barbowi włosy i dała mu kuksańca, co było błędem, bo zachęcony Barb robił się hałaśliwy. Musieliśmy go postraszyć peanatem i przegonić pięć razy dookoła Fundy Shufa, żeby się uspokoił.

- Kwestia pochodzenia statku to sprawa drugorzędna - zauważył Lio.

- Fakt - stwierdził Arsibalt tak autorytatywnie, że z miejsca się z nim zgodziliśmy.

- Skądś przybył, nieważne skąd. Kogo to obchodzi? Wszedł na orbitę biegunową i przez jakiś czas okrążył Arbre -

podsumowałem. - Po co?

- Zwiad - podsunął Lio. - Orbita biegunowa doskonale się do tego nadaje.

- Chcieli się o nas jak najwięcej dowiedzieć. Poznawali Arbre. Podsluchiwali nasze transmisje.

- Uczyli się języka - dodała Tulia.

- I Orolo jakoś się o tym dowiedział - ciągnąłem. - Na przykład zauważył jęzor ognia z silników, kiedy statek hamował i sadowił się na orbicie.

Może nie on jeden to widział. Gryzpiórki też się zwiedziały o sprawie i dały znać hierarchom: „To sprawa sekularna, nic wam do tego, nie mieszajcie się”. Posłuszni hierarchowie kazali pozamykać gwiazdne kręgi.

- A inkwizytorzy mieli tego dopilnować - uzupełnił Lio.

- Potem fraa Paphlagon został powołany, żeby zbadać problem - dodała Tulia.

- A razem z nim być może inni specjaliści z innych koncentów - zauważył Arsibalt.

- Statek tkwił na orbicie. Od czasu do czasu korygował trajektorię, odpalając silniki manewrowe, ale robił to tylko wtedy, gdy oglądany z Arbre znajdował się na tle słońca. Zacierał ślady.

- Jak zbieg, który wchodzi do rzeki, żeby zgubić pościg - wtrącił się Barb.

- Wczoraj coś się zmieniło. Coś ważnego.

- Bezmian Gardana sugeruje, że coś łączy obserwowane przez ciebie i Alę zmiany kursu oraz bezprecedensowe sześciokrotne voco z następnego dnia - stwierdził Arsibalt.

Do tej pory unikałem poruszania tematu relikwii, ale dłużej nie mogłem tego robić. Ala nie bez powodu mi ją zostawiła. Rozwinęliśmy arkusz na stole i przycisnęliśmy brzegi książkami.

- Nic się nie dowiemy, bo nie znamy geometrii całego układu! - poskarżył się Barb.

- Chodzi ci o otworek i położenie ekranu w praesidium. - Pokiwałem głową. - Gdzie jest góra, gdzie dół; gdzie północ, a gdzie południe. Zgoda, musimy to wszystko pomierzyć.

Barb ruszył do wyjścia. Był gotowy natychmiast(!) przystąpić do pomiarów.

Ja jednak zwlekałem. Było mi równie spieszo jak jemu, ale w tym punkcie dyskusji Orola na pewno zaproponowałby jakieś genialnie proste rozwiązanie; coś, co sprawiłoby, że poczułbym się jak idiota, który tylko niepotrzebnie komplikuje sprawę.

Nic takiego nie przychodziło mi do głowy.

- Zmierzymy chociaż kąt - zaproponowałem. - Obiekt nadlatuje z określonego kierunku, z orbity początkowej. Odpalając bomby, zmienia kurs, zmienia kierunek lotu i wchodzi na orbitę docelową. Możemy zmierzyć kąt między kursami.

Zmierzyliśmy. Wyszło nam około jednej czwartej pi, czyli czterdziestu pięciu stopni.

- Jeżeli zakładamy, że początkowa orbita była orbitą biegunową, to po zakończeniu tego manewru statek znalazł się na nowej orbicie mniej więcej w pół drogi między biegunem i równikiem - skonstatował Lio.

- Jak myślisz, po co? - zapytałem go, bo najlepiej z nas wszystkich znał się na broni egzoatmosferycznej.

- Gdyby rzutować jego trajektorię na globus albo mapę świata, zobaczylibyście, że na takiej orbicie nie wykracza poza czterdziesty piąty równoleżnik. Oscyluje między czterdziestym piątym stopniem szerokości północnej i południowej.

- A na takim obszarze mieszka dziewięćdziesiąt pięć procent populacji Arbre - zauważyła Tulia.

- O czym doskonale już wiedzą, bo mieli aż nadto czasu, żeby wykreślić szczegółowe mapy planety - przypomniał nam Arsibalt.

- Zakończyli fazę pierwszą operacji, czyli zwiad - podsumował Lio. - Wczoraj rozpoczęli fazę drugą, czyli... Kto wie?

- Teraz robią coś konkretnego - podsunął Barb.

- Gryzypiórki o tym wiedzą - powiedziałem. - I martwią się. Od miesiący mają gotowy plan awaryjny, o czym świadczy

nazwisko Orola na liście powołanych. Lista musiała zostać stworzona i zabezpieczona przed jego peanatem.

- Założę się, że Varax i Onali wręczyli ją prymasowi przy okazji apertu - stwierdziła Tulia. - Statho się z nią nie rozstawał i czekał na umówiony sygnał, żeby złamać pieczęć i wyczytać imiona. - Jej twarz przybrała nieobecny wyraz. - Niepokoi mnie, że wybrali Alę...

- Dopiero niedawno zrozumiałem, jak bardzo się zżyłyście - przyznałem, ale ona nie chciała o tym słyszeć.

- Nie o to chodzi. To znaczy, o to też. Kocham ją. Trudno mi znieść rozłąkę. Ale dlaczego właśnie ona? Paphlagon, Orolu, Jesry - w porządku, rozumiem. Powiedzcie, wy byście wybrali Alę? Po co?

- Żeby zwerbować więcej ludzi - odparł bez namysłu Arsibalt.

- To mnie właśnie niepokoi.

Na Boga. Podnieś głowę. Spójrz w dal.

Wzmianka o inkwizytorach przypomniała mi rozmowę z Varaksem w Dziesiątą Noc apertu. Prędko o niej zapomniałem, bo wydarzenia toczyły się w szybkim tempie, ale pamiętałem, jak stał i patrzył na gwiazdny krąg... A może wcale nie, może po prostu podnosił głowę i spoglądał w dal, w przestrzeń. Jak się tak zastanowić... patrzył na północ.

Są ważniejsze sprawy niż młody fraa z odległej pustelni saunta Edhara, ćwiczący dron na miejscowych opryskach... Nie bój się myśleć, tak jak nie bał się twój przyjaciel, kiedy postanowił zaatakować czterech silniejszych od siebie przeciwników.

Co to miało znaczyć, u licha? Że statek obcych był zagrożeniem? Że niedługo będziemy musieli się z nimi zmierzyć, nawet jeśli mamy marne szanse na zwycięstwo? A może przesadzałem z tymi domysłami? Dlaczego podczas naszej

pierwszej rozmowy Varax tak mnie wypytywał o moje poglądy na temat Hylaejskiego Świata Teorycznego? Jak na inkwizytora, znalazł sobie wyjątkowo dziwny moment, żeby zgłębiać metateorykę.

Nie, chyba jednak za bardzo się przejąłem. A Varax po prostu lubi myśleć na głos.

Ale sens tego *Podnieś głowę, spójrz w dal* wydawał mi się oczywisty.

Nie potrzebowałem dalszej zachęty. Po peanatemie Orola tylko praca z tabliczką fotomnemoniczną pozwalała mi zachować zdrowe zmysły. Strata Ali mniej mnie przerażała (ona przynajmniej nie została odrzucona), za to - w przeciwieństwie do odejścia Orola - kompletnie mnie zaskoczyła. Nadal źle się z tym czułem, że stałem tam w tumie jak otumanione zwierzę, podczas gdy ona tak po prostu wyszła z mojego życia. Stracić ją w takiej chwili, kiedy ledwie coś zaczęliśmy... Powiem tak: rozpaczliwie potrzebowałem jakiegoś zajęcia.

Najechaliśmy na maszynownię dzwonnicy zaopatrzeni we wszystkie przyrządy pomiarowe, jakie wpadły nam w ręce. Arsibalt wygrzebał skądś stare, czternastowieczne szkice tumu. Na trzy różne sposoby policzyliśmy geometrię camera obscura i tak długo porównywaliśmy wyniki, aż wszystko się nam zgodziło. Doprecyzowaliśmy także pomiary z Fundy Shufa: nowa orbita miała nachylenie około pięćdziesięciu jeden stopni w stosunku do równika, co w praktyce oznaczało, że statek przelatuje nad wszystkimi zamieszkanymi obszarami. Kiedy po Straszliwych Wypadkach klimat stał się suchy i gorący, ludzie migrowali w okolice podbiegunowe. Ostatnio jednak malejąca ilość dwutlenku węgla w atmosferze złagodziła klimat i mieszkańcy Arbre zaczęli wycofywać się w stronę równika, chroniąc się przed promieniowaniem słonecznym, które najsilniej dawało się we znaki właśnie przy biegunach. Prawdę mówiąc, pięćdziesiąt jeden stopni to i tak było ciut za wysoko, jeżeli jedynym celem statku miała być obserwacja mieszkańców planety.

Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, dopóki Arsibalt nie

zwrócił nam uwagi na fakt, że najbardziej oddalony od równika koncent (z tych najważniejszych, czyli posiadających zegary milenijne i dających schronienie setkom lub tysiącom deklarantów) znajduje się pięćdziesiąt jeden i trzy dziesiąte stopnia na północ od równika.

Tak się złożyło, że była to „odległa pustelnia saunta Edhara”.

Wieść się rozeszła. Miesiąc po voco cały matem dziesięcioletni wiedział o statku prawie tyle samo, co nasza piątka. Hierarchowie byli bezradni, ale w dalszym ciągu nie chcieli otworzyć gwiazdnej kręgu. Coraz częściej bywałem zapraszany na nocne spotkania w kredowniach. Studiowaliśmy znalezione przez Lio szkic statku, opracowywaliśmy teoretyczne założenia jego funkcjonowania, dyskutowaliśmy o tym, jak duży musiałby być, żeby zapuścić się w przestrzeń międzygwiazdną. Czasem nasza praca sprowadzała się do prostych obliczeń praktycznych, tak jak w wypadku działania amortyzatorów, kiedy indziej okazywała się niezwykle skomplikowana - tak jak kiedy próbowaliśmy przewidzieć zachowanie plazmy w zderzeniu z płytą na rufie. Dla mnie ta teoryka była za trudna, za to miałem wrażenie, że na każdym kroku zaprzeczamy lorytom, bo co rusz jacyś inni deklaranci, niewiele starsi ode mnie, przeprowadzali dowody, na które chyba nikt wcześniej nie wpadł. W każdym razie nikt na Arbre.

- Tak się zastanawiam, jak to się ma do Hylaejskiego Świata Teoretycznego? - zapytał Arsibalt pewnego letniego wieczoru, jakieś osiem tygodni po pamiętnym voco.

Przez cały ten okres on udawał, że dogląda pszczół, a ja, że opiekuję się swoimi chwastami. Sarthyjska kawaleria zapuściła się daleko w głąb Thranii i wbiła klinem pomiędzy dwa legiony generała Oxasa: czwarty i trzydziesty trzeci. Nic więc dziwnego,

że wpadliśmy na siebie z Arsibaltem. Na naszej szerokości geograficznej noc o tej porze roku zapadała bardzo późno, i mimo że od kolacji upłynęło już kilka godzin, nadal mogliśmy pracować przy dziennym świetle.

- Co masz na myśli? - zdziwiłem się.

- Ty i inni edharczycy harujecie w kredowniach nad rozpracowaniem teoryki statku obcych. Oni musieli ją zgłębić dawno temu, żeby go zbudować i polecieć do gwiazd, ale nasuwa się pytanie: czy to jest ta sama teoryka?

- To znaczy... nasza i obcych?

- No tak. Zawój masz ubrudzony kredą, fraa Erasmasie, bo nawet już po kolacji zajmowałeś się jakimiś równaniami. A ja pytam, czy przed tysiącem lat jakiś dwugłowy i ośmiórki obcy, na innej planecie, wypisywał te same równania na jakimś odpowiedniku naszej tablicy?

- Jestem przekonany, że obcy stosują inną notację...

- To oczywiste!

- Mówisz jak Ala.

- Pewnie zamiast znaku mnożenia rysują kwadracik, a zamiast dzielenia kółeczko. - Zirytowany Arsibalt przewrócił oczami i poruszył niecierpliwie rękami, dając mi do zrozumienia, że nasza rozmowa toczy się w zbyt wolnym tempie.

- Może wcale nie wypisują równań - powiedziałem. - Może przeprowadzają dowody za pomocą muzyki.

Nie było to wcale takie niedorzeczne przypuszczenie: my sami robiliśmy coś podobnego w naszych hymnach, a poza tym istniały zakony deklaranckie, które w ten sposób załatwiały całą teorykę.

- Nareszcie do czegoś dochodzimy! - Arsibalt był tak podekscytowany moją sugestią, że zaczynałem żałować, że się z nią wyrwałem. - Przypuśćmy, że jest tak jak powiedziałeś i obcy stosują w pracy teorycznej system oparty na muzyce. Powiedzmy także, że kiedy uda im się uzyskać harmonijny akord albo miły dla ucha dźwięk, oznacza to, że udowodnili prawdziwość jakiegoś twierdzenia.

- Nie przeginaj, Arsibalcie.

- Bądź tolerancyjny dla przyjaciół i fraa. Jak sądzisz, czy każdy dowód opisany przez edharczyków na tablicy ma swój muzyczny odpowiednik w systemie teorycznym obcych? Że oba stwierdzają ten sam fakt, wyrażają tę samą prawdę?

- Gdybyśmy uważali inaczej, w ogóle nie moglibyśmy zajmować się teorią. Posłuchaj: taka rozmowa to cofanie się w przeszłość. Już Cnoüs pojął, że tak musi być. Hylaea to zrozumiała, Protas sformalizował, a Paphlagon dużo o tym myślał i dlatego został powołany. Po co do tego wracać? Jestem zmęczony; niech się jeszcze trochę ściemni, to się położę.

- Jak mamy się porozumieć z obcymi?

- Nie wiem, ale nie zapominaj, że prawdopodobnie uczą się naszego języka.

- A jeśli nie mogą mówić?

- Przed chwilą kazałeś im śpiewać!

- Nie kpj, Erasmasie. Wiesz, o co mi chodzi.

- Chyba wiem, ale jest już późno. Wczoraj do trzeciej rano dyskutowałem o plazmie i naprawdę wydaje mi się, że ściemniło się wystarczająco, żebym mógł iść spać.

- Wysłuchaj mnie. Zmierzałem do tego, że komunikacja z obcymi może być możliwa za pośrednictwem form protyjskich, prawd teorycznych w HŚT.

- Mam wrażenie, że szukasz pretekstu, żeby zabarykadować się w Fundzie Shufa ze stosem starych ksiąg i posiedzieć nad tą swoją koncepcją. Czego ode mnie oczekujesz? Pozwolenia? Aprobaty?

Arsibalt wzruszył ramionami.

- Jesteś dyżurnym ekspertem od statku obcych.

- Dobra, w porządku. Pracuj nad tym. Ja cię poprę, powiem wszystkim, że wcale nie zwariowałeś...

- Doskonale!

- Pod warunkiem, że mi w czymś pomożesz. Mam zagwozdkę.

- Jaka, fraa Erasmasie?

- Dlaczego matem milenarystów się świeci?
- Słucham?
- Sam zobacz.

Odwrócił się i zadarł głowę. Skalne gniazdo pałało rubinową czerwienią. Zwykle tego nie robiło.

Rzecz jasna, regularnie widywaliśmy tam światła, a przy ładnej pogodzie mury matemu odbijały czasem blask zachodzącego słońca; tak było, kiedy podczas apertu oglądaliśmy go z Orole. Przez ostatnie kilka minut zmierzch się pogłębiał, a gniazdo okalała czerwona poświata, doszedłem więc do wniosku, że znowu jestem świadkiem tego zjawiska - tyle że przez ten czas słońce zaszło już na dobre, a w dodatku poświata miała zupełnie niesłoneczny odcień i migotliwą, jakby ziarnistą fakturę.

Nie zgadzały się nawet kierunki: słońce podświetliłoby zachodni mur matemu i zachodnią część urwiska, tymczasem rubinowa światłość padała na dachy, blanki i szczyty wież, a wszystko poniżej tonęło w cieniu. Można by pomyśleć, że jakiś aeroplan zawisł nad matemem i włączył czerwony reflektor - jeśli jednak tak było, znajdował się zbyt wysoko, żebyśmy mogli go zobaczyć albo usłyszeć.

Na łące zaroilo się od fraa i suur, którzy wyszli popatrzeć na skalne gniazdo. Prawie nie rozmawiali, zachowywali się jak deolatry na widok niebiańskiego omenu, ale jedna grupka teoryków, całkiem niedaleko od nas, prowadziła ożywiony spór, obfitujący w takie słowa jak „laser”, „kolor” i „długość fali”, które podziały ożywczo na moją pamięć. Już wiedziałem, że gdzieś widziałem takie światło: w laserach naprowadzających M&M.

To był klucz do zagadki. Wiązka lasera rozchodziła się na duże odległości, niewiele się przy tym rozpraszając. Cokolwiek oświetlało matem tysiącletni, nie musiało wcale znajdować się w pobliżu, lecz tysiące mil od nas. To mógł... to musiał być statek obcych.

Na łące rozległy się okrzyki, nawet trochę oklasków. Zza murów matemu milenarystów wznosił się słup dymu. Z wysiłkiem przełknąłem ślinę i przez chwilę zaniepokoiłem się nie na żarty.

Laser wznicił pożar w skalnym gnieździe! Promień śmierci! Ale po chwili rozsądek zwyciężył: do podpalenia czegokolwiek potrzebna byłaby wiązka podczerwieni, która rozgrzewa materię. A ten laser z definicji nie emitował podczerwieni, ponieważ widzieliśmy jego światło. Dym nie pochodził więc z płonących budynków, lecz był dziełem tysięcy. Wrzucali do ognia trawę albo coś w tym guście, żeby nad matem kłębiła się para i dym.

Promień lasera pozostawał niewidoczny, dopóki rozchodził się w próżni albo czystym powietrzu, kiedy jednak na jego drodze znalazł się dym albo kurz, światło rozprasało się na ich drobkach na wszystkie strony i promień stawał się świetlistą krechą w ciemności.

Sposób okazał się skuteczny; promień lasera mierzył chyba tysiące mil i większa jego część - ta przecinająca pustą przestrzeń powyżej atmosfery - musiała pozostać dla nas niewidoczna, ale postawiona przez tysięcy zasłona dymna ujawniła ostatnie kilkaset stóp, co pozwalało w przybliżeniu określić, gdzie znajduje się jego źródło.

Ja poza tym miałem dodatkową przewagę nad innymi, ponieważ znałem płaszczyznę orbity statku i wiedziałem, na tle których gwiazd powinien być widoczny. Zasłoniłem oczy ręką, żeby nie przeszkadzała mi bijąca z matemu czerwona poświata, i spojrzałem w gwiazdy.

I zobaczyłem, jak zatacza łuk na niebie, dokładnie w tym miejscu, gdzie spodziewałem się go znaleźć: czerwony punkcik otoczony watawatą aureolą w miejscu, gdzie światło przechodziło przez atmosferę. Pokazałem go wyciągniętą ręką. Inni na ten widok spojrzeli we wskazanym kierunku i sami wypatrzyli źródło światła. Na łące zapadła cisza jak w tumie podczas peanatemy.

Gwiazdka zamrugnęła i wtopiła się w czerń, czerwona poświata zgasła. Na łące rozległy się pierwsze oklaski i wiwaty - ale nieśmiało, niepewnie i nerwowo. Ucichły, zanim zdążyły się na dobre rozwinąć.

- Czuję się jak dureń - przyznał Arsibalt. Odwrócił się i

spojrzał na mnie. - Kiedy pomyślę o wszystkim, czego się w życiu bałem i czym się przejmowałem, okazuje się, że zamartwiałem się niewłaściwymi rzeczami.

Wydzwonili voco o trzeciej nad ranem.

Wczesna pora nikomu nie przeszkadzała, i tak nie spaliśmy. Ludzie schodzili się do tumu długo i powoli, ponieważ większość zabrała ze sobą książki i inne drobiazgi, które mogły im być potrzebne, gdyby wyczytano ich imiona.

Statho powołał siedemnaścioro deklarantów.

- Lio.

- Tulia.

- Erasmus.

- Arsibalt.

- Tavener...

Wszedłem do prezbiterium; zrobiłem krok, który robiłem tysiące razy, idąc nakręcać zegar - tyle że wtedy zawsze miałem świadomość, że po paru minutach fraa Mentaxenes znów otworzy przede mną drzwi i będę mógł wrócić. A teraz odwróciłem się plecami do trzystu twarzy, których miałem nigdy więcej nie zobaczyć - chyba że i ci ludzie zostaną powołani i posłani... gdziekolwiek ja miałem się udać.

Znalazłem się w towarzystwie kilkorga znajomych oraz kilku obcych mi setników.

Wyliczenie imion dobiegło końca. Straciłem rachubę i pomyślałem, że to koniec listy. Spojrzałem wyczekująco na Statha, spodziewając się rozpoczęcia następnej fazy rytu, ale Prymas wpatrywał się w trzymany w ręce spis. Trudno było coś wyczytać z jego twarzy: była tak samo nieruchoma jak całe jego ciało. Zamrugał i przysunął listę do najbliższej świecy, jakby miał kłopot z jej odczytaniem. Wydawało mi się, że raz za razem odczytuje ten sam wers. W końcu podniósł wzrok i spojrzął na drugą stronę

prezbiterium, w kierunku ekranu milenarystów.

- Voco... - wychrypiał i odchrząknął. - Voco fraa Jaad z matemu tysiącletniego.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. A może to tylko dudniąca mi w uszach krew zagłuszyła wszelkie dźwięki.

Długo czekaliśmy, zanim drzwi w ażurowej przegrodzie uchyliły się, odsłaniając sylwetkę fraa w podeszłym wieku, który jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, czekając, aż kurz opadnie (te drzwi rzadko otwierano), i dopiero wtedy wszedł do prezbiterium. Ktoś zamknął za nim drzwi.

Statho wypowiedział oficjalną formułę powołania, my daliśmy wymaganą przez ryt odpowiedź, deklaranci za przepierzeniami podjęli pożegnialno-żałobną peanatemę. Włożyli w ten śpiew całe serce. Od chrypliwego basu milenarystów zatrząsał się tum; bardziej czuliśmy go w kościach, niż słyszeliśmy uszami. Przyprawiał mnie - nawet w większym stopniu niż śpiew mojej decenarskiej rodziny - o gęsią skórkę i łzawienie oczu. Tysięcznicy będą tęsknić za fraa Jaadem i chcieli mieć pewność, że to odczuje.

Podniosłem wzrok, tak jak przede mną robili to Paphlagon i Orolo. Światło świec nie sięgało daleko w górę prezbiterium, ale też ja nie próbowałem tam niczego zobaczyć. Chciałem po prostu powstrzymać potop z oczu i nosa.

Wokół mnie zaczął się jakiś ruch. Spuściłem głowę: młody hierarcha wyprowadzał nas z prezbiterium.

- Wiesz, jest taka hipoteza, że teraz zabiorą nas po prostu do komory gazowej - odezwał się Arsibalt.

- Zamknij się.

Nie miałem ochoty słuchać jego pomysłów, więc zwlekałem, żeby zdążył mnie wyprzedzić - co trochę trwało, bo z połowy zawoju zrobił torbę na książki i taszczył ze sobą pół biblioteki.

Hierarchowie - wszyscy w oficjalnych fioletach - poprowadzili nas środkiem północnej nawy i dalej, do narteksu za Bramą Dzienną. Zebraliśmy się pod Wielkim Planetarium. Brama

Dzienna stała otworem, ale plac był pusty. Nie czekał na nas żaden aeroplan, autokar, nic; nie było nawet rolek.

Młodszy hierarchowie krążyli w naszej grupie i rozdawali różne przydatne drobiazgi: dostałem torbę na zakupy z miejscowego domu towarowego, a w niej dzinsy, koszulę, kalesony, skarpetki i buty, do których dokopałem się na samym końcu. Za chwilę dostałem także plecak z manierką na wodę, poliplastową torbę z przyborami toaletowymi i kartą płatniczą.

Dostałem również zegarek naręczny, chociaż dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, do czego będzie mi potrzebny: kiedy oddalimy się od Saunta Edhara bardziej niż na kilka mil, nie będziemy mogli w inny sposób określić godziny.

- Udacie się do Koncentu Saunta Tredegarha - oznajmiła suur Trestanas.

- Szykuje się konwoks? - zapytał ktoś.

- Teraz już tak.

Te słowa suur Trestanas uciszyły nas na dobrą minutę, zanim uświadomiliśmy sobie, co to znaczy.

- Jak się tam dostaniemy? - spytała Tulia.

- To wasza sprawa.

- Co?!

To i inne, podobne słowa wyrwały się z piersi wszystkich powołanych. Częścią romantycznego nimbu otaczającego voco (mającą chociaż trochę wynagrodzić rozłąkę ze wszystkimi, których się znało) był transport jakimś pojazdem, tak jak to się odbyło w wypadku fraa Paphlagona. Zamiast tego dostaliśmy po prostu solidne buty.

- Nie wolno wam nosić zawoju i sznura pod gołym niebem, w dzień ani w nocy - ciągnęła Trestanas. - Sfery macie zmniejszyć do rozmiarów pięści lub mniejszych. Nie przyświecajcie sobie nimi. Nie możecie również wyjść przez bramę wszyscy na raz: opuścicie koncent parami i trójkami. Później, jeśli chcecie, możecie się spotkać, z dala od koncentu i najlepiej pod jakąś osłoną.

- Jaką rozdzielczość ma ich aparatura inwigilacyjna? -

zainteresował się Lio.

- Nie mamy pojęcia.

- Saunt Tredegarh jest dwa tysiące mil stąd - zauważył

Barb.

Tak jakby to kogoś interesowało.

Owszem, interesowało.

- Pewne lokalne organizacje powiązane z arkami postarają się wam załatwić transport: pojazdy i kierowców.

- Ludzie Niebiańskiego Strażnika? - domyślił się Arsibalt.

Uprzedził mnie o włos.

- Niektórzy - przytaknęła Trestanas.

- To ja pięknie dziękuję! - odezwał się ktoś. - Podczas apertu jedna taka próbowała mnie nawracać, ale używała żalosnych argumentów.

- Ho, ho, ho, ho... - usłyszałem gdzieś bardzo blisko.

Odwróciłem się: fraa Jaad stał tuż za mną, z torbą na zakupy w ręce i plecakiem na ramieniu. Nie śmiał się zbyt głośno, toteż nikt inny nie zwrócił na niego uwagi. Pachniał dymem. Nie chciało mu się jeszcze zajrzeć do torby. Widząc, że się do niego odwracam, spojrzał mi w oczy. Był ogromnie rozbawiony.

- Najwyżsi sikają już pewnie w gacie - powiedział. - Czy co tam się teraz nosi...

Ludzie byli tak oszołomieni, że odebrało im mowę - a ja miałem nad nimi przewagę: przywykłem do stanu oszołomienia. Tak jak Lio przyzwyczał się, że obrywa po głowie.

Wskoczyłem na kamienną ławkę, z której goście mogli podziwiać planetarium.

- Na południe od koncentu, niedaleko Bramy Stulecia, po zachodniej stronie rzeki znajduje się zbudowana nad kanałem wiata. To blisko hali maszyn, nie sposób jej nie zauważyć, tym bardziej że w okolicy nie ma drugiej równie dużej budowli. Możemy się tam spotkać. Pod dachem. Tylko idźcie tam małymi grupami, tak jak mówi suur Trestanas. Spotkamy się i obmyślimy jakiś plan.

- O której? - zapytał któryś z setników.

Zastanowiłem się.

- Powiedzmy, że w porze, kiedy będziemy... to znaczy: kiedy będą wydzwaniać certyfik.

Część 6

PIELGRZYMKA

Pielgrzym: (1) Teor, który przeżył zagładę Oritheny i udał się na tułaczkę po świecie antycznym, sam lub w towarzystwie podobnych sobie osób. (2) W nowoczesnym użyciu: deklarant, który pod pewnymi warunkami w drodze wyjątku opuszcza mury matemu i wędruje po Saeculum, starając się przestrzegać ducha, choć nie zawsze litery, Dyscypliny. **Pielgrzymka (Peregrynacja):** (1) Dawniej: epoka zapoczątkowana zniszczeniem Oritheny (-2621) i zakończona po kilkudziesięciu latach rozkwitem i Złotym Wiekiem Ethras. (2) Forma dialogu wywodząca się najprawdopodobniej z tego okresu. Wiele takich dialogów zostało następnie spisanych i włączonych do tradycji literackiej świata matematycznego.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Podzieliliśmy się i w kilku turach przebraliśmy w cywilne ubrania, korzystając z męskiej i damskiej toalety. Buty natychmiast zaczęły mnie doprowadzać do szału: zrzuciłem je i wstawiłem pod ławkę, a potem znalazłem kawałek czystej podłogi w narteksie, rozpostarłem na nim zawój i go złożyłem. Wymagało to sporo schylania się i kucania, co w dżinsach wcale nie było takie proste. Nie mogłem uwierzyć, że są ludzie, którzy chodzą w nich przez całe życie!

Złożyłem zawój w kostkę wielkości książki, przewiązałem go sznurem, wrzuciłem do torby razem z pomniejszoną sferą i upchnąłem na dnie plecaka. Po drugiej stronie narteksu Lio ćwiczył ruchy dronu w nowym ubraniu: poruszał się jak człowiek z porażeniem nerwowym. Na Tulię nowy strój w ogóle nie pasował i próbowała się zamienić z jedną z centenarystek.

Szykuje się konwoks?

Teraz już tak.

W historii było zaledwie osiem konwoksów. Pierwszy zbiegł się z Rekonstrukcją. Następne zwoływano na zakończenie każdego milenium i poświęcano redagowaniu Słownika, który miał obowiązywać przez następne tysiąc lat, oraz innym sprawom dotyczącym tysięcy. Dodatkowe konwoksy odbyły się z okazji pojawienia się Wielkiej Grudy oraz po zakończeniu każdej Łupieży.

Barb najpierw zrobił się nerwowy, potem narowisty, na koniec zaczął wariować. Hierarchowie nie wiedzieli, co z nim począć.

- Nie lubi zmian - przypomniała mi Tulia.

Niewypowiedziana na głos wiadomość brzmiała: twój kumpel - twój problem.

Barb nie lubił również tłumu, więc napaarliśmy z Lio na niego i zapędziliśmy go do kąta, w którym Arsibalt obozował w towarzystwie swoich książek.

- Voco przełamuje Dyscyplinę, ponieważ powołany wyrusza w drogę sam i zanurza się w świecie sekularnym - zaczął Arsibalt. - Dlatego nie ma dla niego powrotu. Co innego konwoks. Zostaliśmy powołani w tak licznej grupie, że podróżując wspólnie, możemy podczas naszej pielgrzymki podporządkować się Dyscyplinie.

- Pielgrzymka zaczyna się i kończy w matemie - powiedział Barb, nagle całkiem spokojny.

- To prawda, fraa Tavener.

- Więc kiedy dotrzemy do Saunta Tredegarha...

- Urządzą nam przysmak - odpowiedział Arsibalt. - A potem...

- Spotkamy się z innymi deklarantami na konwoksie - domyślił się Barb.

- I...?

- I kiedy skończymy to, co mamy tam do zrobienia, udamy się na pielgrzymkę z powrotem do Saunta Edhara.

- Doskonale, fraa Tavenerze - pochwalił Barba Arsibalt. Widziałem, że zmaga się z pokusą dodania „Chyba że wcześniej

obcy spalą nas promieniem śmierci albo Niebiański Strażnik postanowi nas zagazować”.

Barb się uspokoił, ale wiedziałem, że długo to nie potrwa. Po wyjściu za bramę mieliśmy nieustannie zmagać się z drobnymi naruszeniami Dyscypliny, a on z całą pewnością będzie je zauważał i wytykał. Dlaczego, ach, dlaczego został powołany?! Przecież dopiero niedawno został fidem! A teraz będę musiał mu matkować przez cały konwoks.

Upływały poranne godziny, lazurowa kula przedstawiająca w planetarium Arbre przesuwiała się po swojej orbicie, a ja w końcu trochę się uspokoiłem. Połowę swojej wiedzy teoretycznej zawdzięczałem Barbowi. Gdybym go odepchnął, jakie wystawiłbym sobie świadectwo?

Zaczynało świtać. Połowa powołanych już opuściła koncent. Hierarchowie dobierali w pary dziesiętników z setnikami, mając na uwadze to, że ci ostatni będą potrzebowali pomocy w Saeculum, chociażby z tego powodu, że słabiej znali współczesny fluksyjski. Lio wyruszył w drogę z parą setników. Arsibalt i Tulia szykowali się do wyjścia.

Nie mogłem wyjść bosy. Buty zostawiłem na ławce przy planetarium, na której teraz rozsiadł się fraa Jaad. Siedział z pochyloną głową, ręce złożył na podolku... Pogrążył się w jakiejś głębokiej, typowej dla tysięcy medytacji. Gdybym mu przeszkodził tylko po to, żeby wziąć buty, zamieniłby mnie pewnie w kijankę.

Zresztą nikt się nie odważył mu przeszkadzać. Tulia i Arsibalt wyszli, zabierając ze sobą setników, i została nas trójka: Barb, Jaad i ja. Jaad jeszcze się nawet nie przebrał.

Barb ruszył w jego kierunku. Puściłem się biegiem i dopadłem go tuż przed tym, jak doskoczył do Jaada.

- Fraa Jaad musi zmienić ubranie - oznajmił, tak niemiłosiernie kalecząc swój pierwszoroczniacki orthyjski, że ten wyzionął ducha.

Fraa Jaad podniósł wzrok. Do tej pory myślałem, że po prostu trzyma ręce na kolanach, ale z bliska zobaczyłem, że obraca

w palcach maszynkę do golenia, jednorazówkę w kolorowym opakowaniu. Też miałem taką w torbie, to była maszynka popularnej marki. Fraa Jaad czytał etykietkę. Duże znaki były kinagramami, jakich nigdy w życiu nie widział, ale w drobnym druku pod spodem użyto tego samego alfabetu, którym posługiwaliśmy się w koncencie.

- Z tego dokumentu nie wynika, jak działa ten pasek nawilżający Dynaglide - stwierdził. - Jest trwały czy się ściera?

- Ściera się - odpowiedziałem.

- Nie powinienes tego czytać - wtrącił się Barb. - To naruszenie Dyscypliny.

- Zamknij się - powiedział Jaad.

- Nie chciałbym, żebyś wziął moje słowa za oznakę braku szacunku, ale... - zagałem po długim, krępującym milczeniu.

- Czas na nas? - Fraa Jaad spojrzął na planetarium jak na zegarek.

- Właśnie.

Wstał i płynnym ruchem ściągnął zawój przez głowę. Niektórzy hierarchowie, ci najbardziej zaskoczeni, odwrócili się do nas plecami. Przez chwilę nic się nie działo, a ja szukałem w torbie Jaada kalesonów. W końcu znalazłem je i mu podałem.

- Muszę to tłumaczyć? - zapytałem, wskazując rozporek.

Wziął ode mnie bieliznę i sam zapoznał się z zasadą działania rozporka.

- Topologia to przeznaczenie - powiedział.

Włożył kalesony: po kolei - najpierw jedna nogawka, potem druga. Trudno było mi ocenić jego wiek. Skórę miał obwisłą i pokrytą plamami, ale bez wysiłku balansował na jednej nodze.

Dalsze doprowadzanie fraa Jaada do przyzwoitego stanu przebiegło już bez przygód. Wyjąłem spod ławki buty i wysilając pamięć, spróbowałem je zawiązać. Barb przyjął polecenie zamknięcia się z takim spokojem i zadowoleniem, że zacząłem sobie płuć w brode, że wcześniej nie spróbowałem tej metody.

Potyając się, szurając butami i podciągając spodnie, wyszliśmy przez Bramę Dzienną. Plac był pusty. Przeszliśmy groblą między fontannami i znaleźliśmy się na terenie zamieszkanym przez miastowych. W tym miejscu znajdował się dawniej targ, który władze nazwały Starym Targiem i wyburzyły (miałem wtedy sześć lat), a na jego miejscu postawiły całkiem nowy targ, na którym handlowano koszulkami i innymi pamiątkami z wizerunkiem Starego Targu. Przez ten czas kupcy ze Starego Targu przenieśli się w inne miejsce, na obrzeża miasta, i tam znów rozstawili swoje kramiki, tworząc tak zwany Nowy Targ, chociaż w istocie był to stary targ. Stary Targ obrósł kasynami nastawionymi na zarabianie na jego klientach oraz gościach koncentu, nikt jednak nie chciał odwiedzać Starego Targu otoczonego kasynami, a koncent nie prezentował się szczególnie atrakcyjnie, toteż kasyna popadły w nędzę i zapomnienie. Czasem w nocy słyszeliśmy muzykę z sal tanecznych w ich piwnicach, ale w tej chwili były okropnie ciche.

- Możemy tam zjeść śniadanie - zaproponował Barb.

- Restauracje w kasynach są drogie - zaproponowałem.

- Mają śniadanie w formie bufetu, za darmo. Czasem jadaliśmy tam z ojcem.

Posmutniałem, ale z taką logiką nie mogłem się spierać, więc poszedłem za Barbem, a Jaad poszedł za mną. Kasyno było labiryntem identycznie wyglądających korytarzy. Z oszczędności przygasili światła i nie prali dywanów; od zapachu pleśni kręciło nas w nosie. Wylądowaliśmy w pozbawionym okien pomieszczeniu pod ziemią. Pachnący mydłem pulchni mężczyźni siedzieli przy stolikach, pojedynczo i w parach. Nie było nic do czytania. Na ścianie wisiał wyświetlacz do szpilów, przez który przewijały się wiadomości, prognoza pogody i serwis sportowy. Dla fraa Jaada był to pierwszy wytwór praksis ruchomych obrazów, jaki zobaczył w życiu, i oswojenie się z nim zajęło mu

chwilę: zostawiłem go zapatrzony w wyświetlacz i razem z Barbem podszedłem do bufetu. Dopiero kiedy postawiliśmy pełne tace na wybranym stoliku, wróciłem po Jaada, który śledził skrót meczu piłkarskiego. Siedzący obok mężczyzna próbował go wciągnąć w rozmowę na temat jednego z zespołów: koszulka fraa Jaada była ozdobiona herbem tej właśnie drużyny, co popchnęło obcego człowieka do wyciągnięcia zupełnie błędnych wniosków. Stałem między Jaadem i wyświetlaczem, udało mi się zwrócić uwagę fraa i zaprowadzić go do bufetu. Tysięcznicy rzadko jadal mięso, bo w matemie nie bardzo mieli gdzie trzymać żywy inwentarz, i Jaad zamierzał chyba nadrobić wieloletnie zaległości. Próbowałem podsuwać mu produkty zbożowe, ale on dobrze wiedział, czego chce.

Jedliśmy, kiedy w serwisie informacyjnym pojawił się szpil przedstawiający matemową kamienną wieżę, widzianą w nocy, z daleka, oświetloną z góry ziarnistą czerwoną poświatą. Scena do złudzenia przypominała widok, który znałem z ubiegłej nocy, z tą tylko różnicą, że sam budynek widziałem pierwszy raz w życiu.

- Wieża milenarystów w Konkencie Saunta Rambalfa - stwierdził fraa Jaad. - Widziałem ją na rysunkach.

Saunt Rambalf znajdował się na innym kontynencie. Niewiele o nim wiedzieliśmy, ponieważ zamieszkujący go deklaranci należeli do zupełnie innych zakonów. Sama nazwa niedawno oblała mi się o uszy, ale nie mogłem skojarzyć, przy jakiej okazji...

- Jeden z trzech Nieskalanych - powiedział Barb.

- Tak nas nazywacie? - Jaad się uśmiechnął.

Barb miał rację. Na Lotnym Klinie, pomniku za Bramą Roku, znajdowała się tabliczka z opisem Trzeciej Łupieży, wymieniająca jedyne trzy matemy tysiącletnie, które nie zostały zdobyte i splądrowane: Saunt Edhar, Saunt Rambalf i...

- Trzeci jest Saunt Tredegarh - dodał Barb.

Szpil jakby zareagował na jego słowa: obraz się zmienił i przedstawiał teraz inny matem, jak wyrzeźbiony w litej skale. On

również był oświetlony czerwoną poświatą.

- Dziwne... - powiedziałem. - Po co obcy mieliby oświetlać trzy Niepokalane Koncerny? Przecież to zamierzchła przeszłość...

- Chcą nam w ten sposób coś powiedzieć - zasugerował fraa Jaad.

- Ale co? Że naprawdę interesuje ich historia Trzeciej Łupieży?

- Nie. Po prostu chyba już odkryli, że w Edharze, Rambalfie i Tredegarhu państwo sekularne składa się z odpadów radioaktywnych.

Cieszyłem się, że rozmawiamy po orthyjsku.

Poszliśmy na stację paliw przy drodze wylotowej i kupiliśmy sobie mapomat. Mogliśmy przebierać w wielu stylach i formatach. Wybrałem taki, który miał wielkość książki oraz zdobienia - na rogach i krawędziach - w postaci zgrubień mających przypominać opony pojazdów terenowych. Oznaczało to, że jest przeznaczony dla użytkowników takich właśnie maszyn i zawiera mapy topograficzne. Zwyczajne mapomaty były inaczej oznakowane i wyświetlały tylko drogi, ulice i centra handlowe.

Włączyłem go zaraz po wyjściu ze stacji. Po paru sekundach wyświetlił komunikat o błędzie i przełączył się na ustawienia awaryjne, pokazując mapę całego kontynentu. Nie wskazał naszej pozycji, chociaż powinien.

- Halo! - zawołałem do sprzedawcy, wróciwszy do sklepu.

- Ten mapomat jest zepsuty.

- Nie, proszę pana.

- Właśnie, że tak. Nie pokazuje naszego położenia.

- Dzisiaj żaden nie pokazuje. Proszę mi wierzyć, mapomatowi nic nie dolega. Wyświetlił mapę, prawda?

- Mapę tak, ale...

- Facet ma rację - wtrącił się klient: kierowca, który przed

chwilą zajechał na stację dalekobieżnym drumonem. - Chyba satelity wysiadły. Ja nie mogę się namierzyć, nikt nie może. - Parsknął śmiechem. - To po prostu kiepski dzień na zakup mapomatu.

- To znaczy, że to się stało dziś w nocy?

- Mniej więcej o trzeciej nad ranem. Ale nie ma się co przejmować, Najwyżsi są od nich całkowicie uzależnieni. Zwłaszcza wojsko. Naprawią to w trymiga.

- Tak się zastanawiam, czy to może mieć coś wspólnego z tym czerwonym światłem, które w nocy świeciło na... na zegary. Widziałem na szpilu.

- Nie, tamci po prostu mają teraz swój festiwal - odparł sprzedawca. - To światło to część rytuału, tak słyszałem.

Kierowca drumonu wyraźnie się zdziwił, zapytałem więc sprzedawcę, skąd to wie. Postukał w zawieszony na szyi piszczyk.

- Z porannej transmisji z mojej arki.

Nasuwało się pytanie: „Od Niebiańskiego Strażnika?”, ale nadmierna ciekawość mogłaby mnie zdradzić jako zbiega z koncertu. Dlatego tylko pokiwałem głową, wyszedłem na dwór i poprowadziłem Barba i Jaada w stronę hali maszyn.

- Obcy zakłócają sygnał satelitów nawigacyjnych - poinformowałem ich.

- Może po prostu je zestrzelili? - zasugerował Barb.

- Kupmy sobie sekstans - zaproponował fraa Jaad.

- Od czterech tysięcy lat nie produkuje się już sekstansów - odparłem.

- No to sami go sobie zrobimy.

- Nie wiem jak. Nie znam tych wszystkich części i w ogóle...

- Ja też nie. - Jaad był wyraźnie rozbawiony. - Zakładam, że damy radę to zrobić w oparciu o prawa podstawowe.

- Pewnie! - prychnął Barb. - Przecież to czysta geometria, Ras.

- W czasach współczesnych cały kontynent pokrywa gęsta sieć utwardzonych dróg, obfitujących w drogowskazy i inne

pomoce nawigacyjne - zauważyłem.

- Aha... - mruknął fraa Jaad.

- Dysponując mapomatem i wspomagając się drogowskazami, znajdziemy drogę do Saunta Tredegarha. Nie ma potrzeby odwoływać się do praw podstawowych.

Fraa Jaad nie był chyba zachwycony, ale kiedy kawałek dalej mijaliśmy sklep z artykułami biurowymi, kupiłem w nim kątomierz i wręczyłem Jaadowi jako pierwszy element przyszłego sekstansu. Był pod wrażeniem, a ja uświadomiłem sobie, że kątomierz jest dla niego pierwszym zrozumiałym przedmiotem pochodzącym z extramuros.

- Czy to świątynia Adrakhonesa? - zapytał z podziwem, patrząc na sklep.

- Nie. - Odwróciłem się plecami do sklepu i ruszyłem dalej.

- To wytwór praksis. Ludzie potrzebują prostej trygonometrii do budowy prostych konstrukcji, takich jak podjazdy dla wózków.

Fraa Jaad dołączył do mnie, ale cały czas oglądał się tęsknie na sklep.

- Na pewno mają jakiś dostęp do...

- Fraa Jaadzie, zapewniam cię, że nie mają pojęcia o istnieniu Hylaejskiego Świata Teorycznego.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jeżeli ktoś tutaj zaczyna mieć wizje HŚT, wypiera je, wariuje albo trafia do Saunta Edhara. - Zatrzymałem się i spojrzałem na niego. - Jak ci się wydaje, skąd wzięliśmy się ja i Barb?

Kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, Barb i Jaad z przyjemnością poszli ze mną, dyskutując o sekstansach. Szerokim łukiem okrążyliśmy Saunta Edhara od zachodu, zmierzając do hali maszyn.

- Trzeba ci przyznać, że pojawiaasz się i znikasz w

ciekawych momentach.

Tak przywitała mnie Cord.

Zastaliśmy ją i jej współpracowników w trakcie jakiejś konwokacji. Wszyscy wytrzeszczyli oczy na nasz widok; pewien starszy mężczyzna przyglądał się nam ze szczególnym zaciekawieniem.

- Co to za facet? - zapytałem. - I dlaczego mnie nienawidzi?

- To szef - odparła Cord. Miała wilgotną twarz.

- No jasne. Nie przyszło mi do głowy, że musisz mieć szefa.

- Tutaj prawie każdy ma szefa, Ras. I kiedy szef tak na ciebie patrzy, nie wypada się na niego gapić w taki sposób, jak ty to robisz.

- Czy to jest jakiś wyraz społecznej dominacji?

- Tak. Podobnie zresztą nie należy bez zaproszenia wpadać na prywatne spotkanie w miejscu pracy drugiej osoby.

- Wiesz co? Korzystając z tego, że twój szef tak mi się przygląda, powinienem go chyba uprzedzić...

- Że zwołaliście tu dzisiaj większe spotkanie?

- No właśnie.

- Z jego punktu widzenia wygląda to inaczej: ty, obcy człowiek, zaprosiłeś masę innych obcych ludzi na jego teren, do czynnego zakładu przemysłowego, gdzie jest mnóstwo niebezpiecznego sprzętu, i nie raczyłeś go nawet zapytać o zdanie.

- Posłuchaj, Cord, to naprawdę ważne spotkanie i nie potrwa długo. A wy zebraliście się z naszego powodu?

- Taki miał być pierwszy punkt porządku obrad.

- Myślisz, że wasz szef będzie chciał się na mnie rzucić?

Bo wiesz, ja trochę znam dron, może nie tak dobrze jak Lio, ale...

- Byłby to raczej niecodzienny sposób załatwienia sprawy. U nas takie rzeczy rozstrzyga się na gruncie prawnym, ale wy macie swoje własne prawa i tutaj jesteście nietykalni. Zresztą wszystko wskazują na to, że Najwyżsi naciskają na niego, żeby się zgodził. Szef będzie z nimi później negocjował odszkodowanie.

Rozmawia również ze swoim ubezpieczycielem, bo chce mieć pewność, że godząc się na wasze spotkanie, nie naruszy warunków polisy.

- No proszę... Ależ wy tu macie skomplikowane życie.

Cord spojrzała w stronę praesidium. Pociągnęła nosem.

- A ty... Dlaczego nie jesteś u siebie?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią.

- Moje zniknięcie w Dziesiątą Noc musiało być dla ciebie równie dziwne, jak dla mnie kwestia polisy ubezpieczeniowej twojego szefa.

- Nie da się ukryć.

- To nie była sprawa osobista, zapewniam cię. I bardzo cierpiałem, kto wie, czy nie tak samo jak ty teraz, w tym zamieszaniu.

- To mało prawdopodobne. Dziesięć sekund przed tym, jak weszliście do hali, zostałam wylana z pracy.

- To chyba wysoce irracjonalna reakcja? Nawet według standardów extramuros!

- I tak, i nie. Tak, ponieważ nie powinno się mnie zwalniać za decyzję, którą podjąłeś ty, w dodatku bez mojej wiedzy. Ale pod pewnymi względami nie ma w tym nic niezwykłego, bo ja sama jestem tu dziwadłem: jestem dziewczyną, wykorzystuję maszyny do robienia biżuterii, produkuję części zamienne dla itów i pobieram za nie zapłatę w miodzie.

- Strasznie cię przepraszam...

- Przestań.

- Jeżeli mógłbym ci jakoś pomóc... Może chciałabyś wstąpić do matemu...

- Tego, z którego właśnie cię wyrzucili?

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeżeli mógłbym ci to jakoś wynagrodzić...

- Podaruj mi przygodę.

W następnej chwili Cord zdała sobie sprawę, że musiało to dziwnie zabrzmieć, i jej pewność siebie gdzieś się ulotniła.

- Nie chodzi mi o żadną wielką przygodę - zastrzegła się. -

Po prostu coś, przy czym wylanie z pracy wydałoby mi się mało ważne. Coś, co mogłabym zapamiętać na starość.

Cofnąłem się pamięcią o pół doby i wszystkie ostatnie wydarzenia stanęły mi przed oczami. Zakreśliło mi się w głowie.

- Ras? - spytała zaniepokojona Cord.

- Nie mogę przewidzieć przyszłości, ale opierając się na mojej dotychczasowej wiedzy, mogę ci zaproponować tylko i wyłącznie wielką przygodę.

- To świetnie!

- Przygodę, która może się zakończyć zbiorowym pochówkiem.

To ją trochę zgasiło, ale nie zniechęciła się całkowicie.

- Czego potrzebujecie: środka transportu? Narzędzi? Jakiegoś sprzętu?

- Naszym wrogiem jest obcy statek kosmiczny wyładowany bombami atomowymi - odparłem. - A my mamy kątomicz.

- W porządku. Poszukam w domu, może uda mi się znaleźć linijkę i kawałek sznurka.

- Byłoby świetnie.

- Spotkamy się tutaj w południe. Pod warunkiem, że mnie tu jeszcze wpuszczą.

- Wpuszczą, załatwię to. Cord...?

- Słucham?

- To pewnie nie jest najlepszy moment, ale... chciałbym cię prosić o przysługę.

Wszedłem w cień dachu nad kanałem, przysiadłem na stosie drewnianych palet, wyjąłem mapomat i zacząłem się uczyć go obsługiwać. Zajęło mi to więcej czasu, niż się spodziewałem - wszystko przez to, że zaprojektowano go z myślą o analfabetach. Nie potrafiłem nawet skorzystać z wyszukiwarki, która

nieporadnie i całkiem bez sensu próbowała mi się narzucać z pomocą.

- Gdzie jest Kopiec Bly'a, do licha? - zapytałem Arsibalta.

Zjawił się pół godziny przed południem. Do tego czasu zdążyła już przybyć mniej więcej połowa powołanych i przed wiatą formowała się flotylla aportów i mobów: nie miałem pojęcia, czy zostały ukradzione, wypożyczone, czy może otrzymane w prezencie.

- Przewidziałem to - powiedział Arsibalt.

- Relikwie Bly'a są w Sauncie Edharze - przypomniałem mu.

- Były - poprawił mnie.

- No pięknie! Co ukradłeś?

- Rysunek kopca sprzed tysiąca trzystu lat.

- I notatki kosmograficzne? - spytałem błagalnym tonem.

Ale nie miałem aż tyle szczęścia: na twarzy Arsibalta odmalowało się bezbrzeżne zaniepokojenie.

- Po co ci notatki kosmograficzne saunta Bly'a?

- Spodziewam się, że podałeś w nich długość i szerokość geograficzną miejsca, z którego prowadził obserwację.

W tym momencie przypomniałem sobie, że i tak nie mamy jak określić swojej długości i szerokości geograficznej. Chyba że udałoby się to jakoś wyczytać z mapomatu.

Arsibalt westchnął.

- Może dobrze się stało z tymi notatkami.

- Jak to?!

- Mamy udać się prosto do Saunta Tredegarha. Kopiec Bly'a nie leży po drodze.

- Ale niedaleko.

- Tylko mi się wydawało, czy przed chwilą powiedziałeś, że nie wiesz, gdzie jest?

- Mam zgrubne pojęcie...

- Nawet nie wiesz, czy Orolo faktycznie tam poszedł. Jak zamierzasz namówić siedemnaścioro deklarantów, żeby wbrew oficjalnym zaleceniom zgodzili się pójść okrężną drogą, bo ty

chcesz odszukać człowieka, któremu parę miesięcy temu odśpiewali peanatemę?

- Nie rozumiem cię, Arsibalcie. Po co kradłeś relikwie Bly'a, jeżeli nie zamierzasz szukać Orola?

- Kiedy je kradłem, nie wiedziałem jeszcze, że idziemy na konwoks.

Jego logika wcale nie była dla mnie oczywista.

- Nie wiedziałeś, że wrócimy...

- No właśnie.

- I myślałeś, że kiedy już załatwimy, co mamy do załatwienia, moglibyśmy...

- Znaleźć Orola i żyć jak dzikusy.

Bardzo to było wszystko ciekawe, powiedziałbym nawet: poruszające, ale w żaden sposób nie przybliżało mnie do rozwiązania bieżącego problemu.

- Arsibalcie? Zauważyłeś pewną prawidłowość w żywotach sauntów?

- Niejedną. Na którą konkretnie chciałbyś zwrócić moją uwagę?

- Wielu z nich zostało odrzuconych, zanim zorientowano się, że są sauntami.

- Nawet jeśli masz rację, Orola nie jest sauntem i jego kanonizacja wydaje się bardzo odległa.

- Przepraszam... - wtrącił mężczyzna, który od dłuższej chwili kręcił się w pobliżu z rękami w kieszeniach. - Ty tu rządzisz?

Patrzył na mnie, ja zaś - naturalnie - rozejrzałem się dookoła, pełen najgorszych przeczuc, w co też tym razem wpakowali się Barb z Jaadem. Barb stał nieopodal i obserwował ptaki, które uwiły sobie gniazda wśród dźwigarów. Robił to od godziny. Jaad przykucnął na skrawku piaszczystego gruntu i ułamaną końcówką gwintownika rysował na nim jakieś diagramy. Niedługo po naszym przybyciu zabląkał się w hali maszyn i przypadkiem uruchomił tokarkę (przez co były szef Cord omal się na mnie nie rzucił), ale od tamtej pory obaj z Barbem zachowywali

się przyzwolicie. Dlaczego w takim razie ten statysta wziął mnie za przywódcę grupy? Nie złościł się, nie był chyba przestraszony, raczej... zagubiony.

Doszedłem do wniosku, że udając przywódcę, zdołam załatwić parę spraw po swojej myśli - przynajmniej na krótką metę, dopóki się nie zorientują, że ich oszukałem.

- Tak - odparłem. - Jestem fraa Erasmus.

- Miło poznać. Ferman Beller. - Z wahaniem podał mi rękę, jakby nie był pewny, czy znamy ten rodzaj powitania, ale kiedy mocno uściśnałem jego dłoń, wyraźnie się odprężył. Był korpulentnym człowiekiem w piątej dekadzie życia. - Ładny mapomat - dodał.

Ta uwaga wydała mi się niezwykle dziwaczna, dopóki nie przypomniałem sobie, że statystom wolno posiadać na własność więcej niż trzy przedmioty i że często stanowią one punkt wyjścia do grzecznościowej konwersacji.

- Dzięki - odparłem na próbę. - Szkoda tylko, że nie działa.

- Nie przejmuj się. - Zaśmiał się. - Dowieziemy was na miejsce. - Domyśliłem się, że jest jednym z naszych kierowców-ochotników. - Posłuchaj, taki jeden gość chciałby z tobą porozmawiać, ale... nie wiedzieliśmy, czy mamy go... no wiesz... wpuścić.

Spojrzałem we wskazanym kierunku, gdzie na słońcu, poza obrębem wiaty, stał mężczyzna z kominem na głowie.

- Znam Sammanna - powiedziałem. - Niech podejdzie.

- Chyba żartujesz! - wysyczał Arsibalt, kiedy Ferman nie mógł nas usłyszeć.

- Posłałem po niego.

- Niby jak? Jak mogłeś posłać po itę?!

- Poprosiłem Cord, żeby go przyprowadziła.

- To ona tu jest? - spytał Arsibalt zupełnie innym tonem.

- Zaraz powinna przyjść - odparłem. - Razem ze swoim chłopakiem - dodałem z naciskiem. Zeskoczyłem ze sterty palet. - Masz. - Podałem mu mapomat. - Znajdź Kopiec Bly'a.

Na dźwięk dzwonów certyfiku coś przeskoczyło mi w głowie, jakbym był jednym z tych nieszczęsnych psów, które dawni sauntowie podłączali do aparatury, żeby prowadzić na nich doświadczenia psychologiczne. Najpierw poczułem wyrzuty sumienia: znów się spóźnię! Potem przyszło rwanie w rękach i nogach, obolałych od nakręcania zegara. Następnie zaczął mi dokuczać przedobiedni głód. Na koniec zrobiło mi się przykro, że udało im się nakręcić zegar bez naszej pomocy.

- Będziemy rozmawiać głównie po orthyjsku, ponieważ nie wszyscy znają fluksyjski - zapowiedziałem.

Stojąc na podwyższeniu z palet, przemawiałem do całej grupy - siedemnaściorga deklarantów, jednego ity oraz gromady mieszkańców extramuros - której liczebność oscylowała wokół tuzina, dyktowana rytmem przyływów i odpływów ich koncentracji oraz dzwonekami piszczków.

- Suur Tulia będzie tłumaczyła część naszych słów na fluksyjski, ale uprzedzam, że rozmowa ma w znacznej mierze dotyczyć spraw interesujących wyłącznie z punktu widzenia deklarantów. Dlatego nie krępujcie się, jeśli chcecie porozmawiać na inny temat albo po prostu zjeść drugie śniadanie.

Arsibalt pokiwał głową, a ja przeszedłem na orthyjski. Nie spieszo mi było do zagajenia, ponieważ czekałem, aż ktoś mi wytknie, że wcale nie jestem ich przywódcą, ale - jakkolwiek by na to patrzeć - to ja zwołałem to spotkanie i to ja wlałem na podwyższenie.

W dodatku byłem dziesiętnikiem. Na przywódcę najlepiej nadawał się dziesiętnik, który zna fluksyjski i będzie mógł wchodzić w interakcje ze światem extramuros. Co prawda, nie byłem w tych kwestiach ekspertem, ale setnik wypadłby w tej roli jeszcze gorzej. Fraa Jaad i setnicy nie bardzo mogli wybierać, który z nas, dziesiętników, powinien przewodzić, ponieważ znali nas dopiero od paru godzin, ale od lat widzieli mój zespół w akcji

podczas nakręcania zegara: Lio, Arsibalta i mnie znali przynajmniej z widzenia. Jesry'ego, naturalnego przywódcy, nie było. Wzmianka o drugim śniadaniu zapewniła mi dozwonną wdzięczność Arsibalta, Lio zachowywał się zbyt dziwnie - i w ten sposób, w drodze niezbyt racjonalnego procesu eliminacji, zostałem przywódcą grupy. Nie miałem pojęcia, co im powiem.

- Musimy się podzielić - zacząłem, próbując zyskać na czasie. - Nie pomieścimy się w jednym pojeździe. Na razie będziemy się trzymać podziału ustalonego nad ranem w narteksie. To dobry system, prosty - dodałem, widząc, że fraa Wyburt, jeden z dziesiętników, ale starszy ode mnie, zamierza zaprotestować. - Później będziecie się mogli pozamieniać, ale na razie każdy dziesiętnik jest odpowiedzialny za to, żeby jego podopieczni, setnicy, nie trafili do pojazdu, w którym nie będzie poza nimi nikogo, kto by mówił po orthyjsku.

Spojrzałem fraa Wyburtowi w oczy. Chyba miał ochotę mnie splantować, ale z siebie tylko wiadomych powodów postanowił mi dać spokój.

- Jak się podzielimy? - ciągnąłem. - Moja koligatka, Cord, ta młoda kobieta w kamizelce obwieszanej narzędziami, zabierze kilku z nas do swojego „aportu”. To fluksyjska nazwa: oznacza ten oto industrialny pojazd, wyglądający jak skrzynia na kołach. Cord chce wziąć mnie i Roska; to jej partner, ten barczysty, z długimi włosami. Fraa Jaad i Barb pójda ze mną. Zaprosiłem także Sammanna, itę. Wiem, że nie wszystkim podoba się jego obecność... - Niektórzy już zaczęli się krzywić. - Dlatego ita pojedzie ze mną.

- Ita nie powinien jechać z tysięcznikiem - zaproponowała suur Rethlett, dziesiętniczka. - To by była zniewaga.

- Fraa Jaadzie, wybac, proszę, że rozmawiamy o tobie w taki sposób, jakby nie było cię tu z nami. Możesz oczywiście dowolnie wybrać pojazd, którym ruszysz w dalszą drogę.

- Podczas pielgrzymki mamy przestrzegać Dyscypliny - podsunął usłużnie Barb.

- Nie straszcie statystów - zażartowałem.

Patrząc ponad głowami moich fraa i suur, widziałem mieszkańców extramuros, którzy popatrywali nerwowo po sobie, zaniepokojeni naszym sporem. Tulia przełożyła moje słowa. Statyści się roześmiali, deklaranci zachowali powagę, ale przynajmniej emocje trochę opadły.

- Fraa Erasmasie, pozwolisz...? - zapytał Arsibalt.

Skinąłem głową. Arsibalt zwrócił się do Barba, ale mówił głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

- Otrzymaliśmy dwa sprzeczne zalecenia. Pierwszym jest odwieczny nakaz przestrzegania Dyscypliny podczas pielgrzymki, drugim zupełnie nowy wymóg dotarcia do Saunta Tredegarha za pomocą wszelkich dostępnych środków. Nie dostaliśmy opieczętowanego wagonu kolejowego ani innego środka transportu, który mógłby stać się naszą ruchomą klauzurą. Nie mamy wyboru: musimy skorzystać z małych prywatnych pojazdów. Których nie umiemy prowadzić. Twierdzą, że nowe polecenie unieważnia stare i każe nam podróżować w towarzystwie statystów. Podróż w towarzystwie ity na pewno nie jest od tego gorsza, a nawet, powiedziałbym, lepsza, ponieważ itowie nie gorzej od nas rozumieją wymogi Dyscypliny.

- Sammann pojedzie ze mną - powiedziałem, zanim Barb wystrzelił kolejny protest z tych, które pracowicie gromadził w kołczanie podczas wystąpienia Arsibalta. - W aporcie Cord. Fraa Jaad ma wolną rękę.

- Posłucham twojej sugestii i pojedę z tobą - powiedział fraa Jaad. - Jeśli później uznam, że ten układ mi nie odpowiada, zmienię środek transportu.

Tymi słowami uciszył większość naszej siedemnastki - chociażby dlatego, że mało kto słyszał wcześniej jego głos.

- To może nastąpić bardzo szybko - uprzedziłem go. - Aport Cord uda się najpierw na Kopiec Bly'a, gdzie zamierzam odszukać Orola.

Po tych słowach statyści mieli prawo się zaniepokoić, ponieważ deklaranci wyraźnie się wkurzyli i zaczęli hałasować, a moja krótkotrwała kadencja na stanowisku przywódcy

prawdopodobnie miała się ku końcowi. Zanim jednak ściągnęli mnie z podium i obłożyli peanatem, skinałem głową na Sammanna, a ten podszedł bliżej. Podałem mu rękę i pomogłem wspiąć się na stos palet. Nieznany wcześniej widok deklaranta dotyczącego ity na chwilę uspokoił towarzystwo - a potem Sammann zabrał głos, co było tak niezwykle, że jego pierwsze słowa padły w absolutnej ciszy. Dwie centenarystki demonstracyjnie zatkały sobie uszy i zamknęły oczy w niemym proteście; trzech innych setników odwróciło się do ity plecami.

- Fraa Spelikon kazał mi wyjąć z Teleskopu Mithry i Mylaksa tabliczkę fotomnemoniczną, pozostawioną tam przez fraa Orolo na kilka godzin przed tym, zanim Regulatorka kazała zamknąć gwiazdny krąg - oznajmił Sammann po orthyjsku. Mówił poprawnie, chociaż z dziwnym akcentem. - Posłuchałem go. Spelikon nie wydał mi żadnych zaleceń odnoszących się do poufności zawartych na tabliczce informacji. Dlatego przed oddaniem mu jej sporządziłem kopię. - Z przerzuconej przez ramię torby wyjął tabliczkę fotomnemoniczną. - Zawiera obraz, który fraa Orolo zarejestrował, ale którego nie zdążył już obejrzeć. Wywołał go teraz... - Zaczął manipulować interfejsem tabliczki. - Pokazałem go już fraa Erasmowski, reszta z was również może go zobaczyć.

Podał tabliczkę stojącemu najbliżej deklarantowi, wokół którego zebrało się paru kolejnych. Nadal jednak byli tacy, którzy udawali, że Sammann nie istnieje.

- Proszę o dyskrecję - przypomniałem. - Statyści nie powinni tego oglądać. Wątpię, żeby mieli chociaż przybliżone pojęcie, co może nas czekać.

Mówiąc „nas”, miałem na myśli wszystkich mieszkańców Arbre. Nikt mnie jednak nie słuchał. Wszyscy wpatrywali się w tabliczkę. Zarejestrowany na niej obraz nie musiał nikogo przekonać do moich racji, z pewnością jednak odciągnął powszechną uwagę od zagrażającej nam przed chwilą kłótni. Ci, którzy się ze mną zgadzali, mogli utwierdzić się w swoim przekonaniu; ci, którzy byli przeciw, stracili animusz.

Ustalenie, kto z kim i czym pojedzie, zajęło nam godzinę. Nie pomyślałbym, że okaże się to takie skomplikowane. Ludzie co chwila zmieniali zdanie; sojusze zawiązywały się, kruszyły i rozpadały; koalicje sojuszów pojawiały się i znikwały równie nagle jak wirtualne cząstki elementarne. Pudełkowaty aport Cord, zaopatrzony w trzy rzędy siedzeń, miał zabrać ją, Roska, mnie, Barba, Jaada i Sammanna. Ferman Beller miał duży mob, przystosowany do jazdy po nierównej powierzchni. Zabierał Lio, Arsibalta i trzech setników, którzy postanowili zaryzykować i pojechać z nami. W ten sposób całkiem efektywnie wypełniliśmy dwa największe pojazdy, ale w końcu jeszcze jeden statysta, do tej pory zajęty głównie wydzwanianiem przez piszczyk, oznajmił, że dołączy do naszej karawany. Nazywał się Ganelial Crade i wyglądał mi na deolatrę z jakiejś antybazyjskiej arki, może od Niebiańskiego Strażnika, ale tego na razie nie mogliśmy być pewni. Miał duży aport z otwartą skrzynią ładunkową, którą prawie w całości zajmował trycykl na grubych, gruzłowatych oponach. W szoferce było miejsce tylko dla trzech osób. Nikt nie chciał jechać z Crade'em. Zrobiło mi się trochę głupio, chociaż nie aż tak, żeby się do niego przesiąść. W ostatniej chwili zjawił się jakiś jego młody towarzysz, wrzucił na tył pojazdu torbę z rzeczami i wskoczył do kabiny. W ten sposób skompletowaliśmy ekipę wyruszającą do Kopca Bly'a.

Kontyngent udający się prosto do Saunta Tredegarha miał do dyspozycji cztery moby. W każdym jechał właściciel/kierowca oraz jeden dziesiętnik: Tulia, Wyburt, Rethlett i Ostabon. Pozostałe miejsca zajęli setnicy, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z ekspedycją poszukującą Orola, oraz statyści, którzy na ochotnika zgłosili się do udziału w podróży.

Nie licząc Cord i Roska, wszyscy statyści należeli do jakichś ugrupowań religijnych, co deklarantów napawało

mniejszym lub większym niepokojem. Wyobrażałem sobie, że gdyby w pobliżu znajdowała się jakaś baza wojskowa, państwo sekularne mogłoby kazać paru żołnierzom przebrać się w cywilne ubrania i ofiarować nam swoje usługi w charakterze kierowców. Ponieważ jednak żadnej takiej bazy nie było, postanowiono się oprzeć na innych organizacjach, którym można było zaufać na podobnej zasadzie: w tym czasie i miejscu oznaczało to arki. Kiedy w ten sposób przedstawiłem sprawę, deklaranci trochę się uspokoili; dziesiątnicy dobrze mnie rozumieli i tylko setnicy, nie bardzo mogący się z tą ideą pogodzić, zadawali pytania o wyznawane przez kierowców deologie. Nie muszę chyba dodawać, że nie skróciło to bynajmniej procesu zajmowania miejsc w pojazdach.

Ganielal Crade rozpoczął już chyba czwartą dekadę życia, ale wyglądał młodziej; był szczupły i nie nosił zarostu. Powiedział, że wie, gdzie znajduje się Kopiec Bly'a, i zaoferował się, że nas tam zaprowadzi; mieliśmy po prostu jechać za nim. Wsiadł do swojego aportu i uruchomił silnik, kiedy Ferman Beller podszedł do niego i tak długo szczyrzył zęby w uśmiechu, aż Crade uchylił okno. Zaczęli rozmawiać. Dość szybko stało się dla mnie oczywiste, że w czymś się nie zgadzają - głównie dzięki temu, że widziałem pasażera Crade'a, który patrzył na Bellera spode łba.

Zakłopotanie znów dało mi się odczuć jako wysychające błoto na głowie. Ganielal Crade zaproponował swoją pomoc z taką pewnością siebie, jakby dawno już uzgodnił swój plan z Fermanem Bellerem - tymczasem wyglądało na to, że żadne takie ustalenia nie nastąpiły. Ja byłem gotowy jechać za Crade'em.

Zaczynałem rozumieć, że przywództwo to dokuczliwy obowiązek: wszyscy chcą, żebym albo robił niewłaściwe rzeczy, albo jak najszybciej ustąpił.

- Też mi przywódca... - mruknąłem pod nosem.
- Że co? - zainteresował się Lio.
- Nie pozwól mi robić więcej głupstw - poprosiłem go.

Lio zrobił zdumioną minę, a ja ruszyłem w stronę aportu Crade'a. Lio i Arsibalt szli za mną w pewnej odległości. Crade i

Beller wdali się już w regularną kłótnię. Naprawdę nie miałem ochoty się wtrącać, ale coś musiałem zrobić.

Crade twierdził, że w przeciwieństwie do nas wie, gdzie znajduje się Kopiec Bly'a. To była moja wina; nie powinienem był się przyznawać, że nie znam jego położenia. W koncencie przyznanie się do niewiedzy nie było niczym nagannym, gdyż stanowiło pierwszy krok na drodze do prawdy. Tutaj, extramuros, dawało ludziom pokroju Crade'a okazję do przejęcia władzy.

- Przepraszam! - zawołałem. Beller i Crade przestali się kłócić i spojrzeli na mnie. - Jeden z moich braci zabrał z koncentu starożytny dokument zawierający wskazówki, jak trafić do Kopca Bly'a. Ta wiedza, w połączeniu z umiejętnościami naszego ity oraz mapami z mapomatu, wystarczy, żebyśmy znaleźli drogę.

- Ale ja dokładnie wiem, dokąd udał się wasz przyjaciel... - zaczął Crade.

- My tego nie wiemy - przyznałem. - Jak już jednak wspominałem, ustalimy to na długo przed dotarciem na miejsce.

- Po prostu jedźcie za mną i...

- To kiepski pomysł. Jeżeli zgubimy cię w tłoku, zabłądzimy.

- Jeżeli mnie zgubicie, możecie do mnie zadzwonić. Mam piszczek.

To był bolesny cios: Crade zachowywał się bardziej racjonalnie ode mnie. Ale nie mogłem się teraz wycofać.

- Panie Crade, może pan jechać przodem, jeśli taka pańska wola, i mieć satysfakcję z faktu, że nas pan uprzedzi. Jeżeli jednak w którymś momencie przestanie nas pan widzieć w lusterku wstecznym, będzie to oznaczało, że postanowiliśmy dotrzeć na miejsce na własną rękę.

Crade i jego pasażer zniechęcili mnie na zawsze, ale przynajmniej jedną sprawę miałem z głowy.

Mój plan wymagał jednak przetasowania, po którym ja i Sammann wylądowaliśmy w pojeździe Bellera, obok Arsibalta: we trzech mieliśmy zająć się nawigacją. Lio i jeden z setników przesiedli się do aportu Cord, żeby zrównoważyć obciążenie

pojazdów; mieli jechać za nami. Ganelial Crade obryzgał nas żwirem, ruszając z piskiem opon.

- Ten człowiek do tego stopnia przypomina mi czarne charaktery z beletrystyki, że aż wydaje mi się śmieszny - przyznał Arsibalt.

- To prawda - przytaknął jeden z setników. - Jakby nigdy nie słyszał o zwiastunach w literaturze.

- Pewnie nie słyszał - zauważyłem. - Nie zapominajcie, proszę, że nasz kierowca jest jedynym statystą w tym pojeździe i uprzejmość wymaga, żebyśmy przynajmniej część rozmów prowadzili po fluksyjsku.

- Śmiało, spróbujcie - zaproponował setnik. - Zobaczą, ile uda mi się rozgryźć.

Fraa Carmolathu, bo tak się nazywał, zachowywał się czasem jak dureń, ale skoro zgłosił się na ochotnika do misji poszukiwawczej, nie mógł być taki całkiem zły. Był o pięć, może dziesięć lat starszy od Orola; podejrzewałem, że przyjaźnił się z Paphlagonem.

- Ile dróg prowadzi na północny wschód, równoległe do gór? - spytałem Bellera, licząc na to, że odpowie „jedna”.

- Kilka - odparł. - Którą chcesz jechać, szefie?

- Kopiec jest z definicji odosobnioną formą terenu... - wtrącił po orthyjsku Arsibalt. - Nie wchodzi w skład pasma gór, więc...

- Wznosi się na równinie na południe od gór - dokończyłem po fluksyjsku. - Nie musimy wcale jechać drogą wzdłuż gór.

Beller wrzucił bieg i ruszyliśmy. Pomachałem Tulii na pożegnanie: odprowadzała nas wzrokiem, wyraźnie poruszona. Zgoda, odjechaliśmy bez uprzedzenia, ale bałem się, że jeśli będziemy zwlekać jeszcze chociaż minutę, wybuchnie nowy kryzys. Ona postanowiła jechać prosto do Tredegarha, żeby jak najszybciej odszukać Alę. Może i ja powinienem był tak zrobić - ale nie była to łatwa decyzja i uważałem, że dokonałem właściwego wyboru. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, do

Tredegarha dotrzemy dwa dni później niż kontyngent Tulii, która świetnie poradzi sobie z rolą przewodniczki.

Przed opuszczeniem miasta zatrzymaliśmy się (a właściwie zwolniliśmy) w miejscu, gdzie bez zbędnej straty czasu mogliśmy kupić coś do jedzenia. Ja pamiętałem tego rodzaju restauracje z czasów mojego dzieciństwa, dla setników było to jednak zupełnie nowe doświadczenie. Wyobraziłem sobie, jak to wygląda z ich punktu widzenia: mętna rozmowa z niewidoczną kelnerką, wpadające przez okno torebki z potrawami, woń gorącego tłuszczu, paczuski z przyprawami, jedzenie w pędzącym pojeździe, tony śmieci wypełniających niemal całą wolną przestrzeń we wnętrzu mobu, zapach unoszący się w powietrzu długo po tym, jak przestał być przyjemny.

Ortodoksja bazyjska: Religia państwowa Cesarstwa Bazyjskiego, która przetrwała upadek Bazu, w następnej erze stworzyła system matematyczny równoległy i niezależny od systemu Cartas i przetrwała jako jedna z najstarszych religii na Arbre. **Antybaz:** Religia wyrosła w oparciu o te same pisma i uznająca tych samych proroków co ortodoksja bazyjska, ale odrzucająca wprost niektóre jej nauki i władzę zwierzchników ortodoksji.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Zanim skończyliśmy jeść, praesidium zniknęło nam z oczu. Zostawiliśmy za sobą także większość domów slogów i znaleźliśmy się w czymś w rodzaju strefy pływów, która stawała się częścią miasta, kiedy się rozrastało, i przestawała nią być, kiedy się kurczyło. Tam, gdzie na nadmorskiej plaży wałałyby się kawałki drewna, śnięte ryby i kawałki wodorostów, tutaj znajdowaliśmy rachityczne drzewa, rozjechane zwierzęta i splątane kłęby fikochwastu; miejsce pustych butelek i rozbitych łodzi zajęły puste butelki i rozbite aporty. Jediną godną uwagi budowlą był kompleks przemysłowy, w którym przetwarzano

spławiane z gór drzewa paliwowe: na kilka minut utknęliśmy tam w korku drumonów-tankowców. Niewiele z nich jechało jednak w tym samym co my kierunku, toteż szybko je wyprzedziliśmy i trafiliśmy do rozciągającej się dalej dzielnicy sadów i warzywników.

W naszym mobie oprócz mnie i Fermana Bellera znaleźli się Arsibalt, Sammann i dwóch setników - Carmolathu i Harbret. Aportem podróżowali Cord, Rosk, Lio, Barb, Jaad i trzeci edharczyk z matemu stuletniego, fraa Criscan. Zauważyłem pewną ciekawostkę statystyczną: była wśród nas tylko jedna kobieta, moja koligatka, która - jak na kobietę - była osobą raczej niekonwencjonalną. Intramuros rzadko się zdarzało, żeby proporcje płci były do tego stopnia zakłócone; extramuros wszystko zależało od dominujących w danym okresie norm religijnych i społecznych. Zacząłem się oczywiście zastanawiać, jak do tego doszło, i wróciłem pamięcią do godzinnego zamieszania, jakie towarzyszyło rozlokowaniu ludzi w pojazdach. Głównym czynnikiem determinującym podział na grupy był - naturalnie - stosunek do Orola i pomysłu odnalezienia go. Może właśnie ta wyprawa miała w sobie coś, co przyciągało mężczyzn, ale odpychało kobiety.

Nie licząc Ganeliala Crade'a, było nas dwanaścioro - czyli tyle, ile w drużynie sportowej albo małym oddziale wojska. Przez długi czas utrzymywano, że taką właśnie naturalną liczebność miały wyprawy myśliwskie w epoce kamiennej i że człowiek w grupie tej wielkości czuje się naturalnie i bezpiecznie. Tak czy inaczej, był nas tuzin - bez względu na to, czy zdecydowała o tym anomalia statystyczna, czy prymitywny odruch zakodowany w naszych sekwencjach. Zastanawiałem się jeszcze przez chwilę, czy Tulia i inne suur, jadące z nią prosto do Tredegarha, mają mi za złe taki podział grupy, ale szybko o tym zapomniałem, bo musiałem się skoncentrować na nawigacji.

Opierając się na dostarczonym przez Arsibalta rysunku (na którym w tle było widać łańcuch górski), znanych nam faktach z zapisanej w kronikach historii saunta Bly'a oraz dodatkowych

informacjach, jakie Sammann wydobyl ze swojego superpiszcza, udało nam się wytypować w mapomacie trzy szczyty i każdy z nich mógł być Kopcem Bly'a. Tworzyły trójkąt o boku około dwudziestu mil, położony mniej więcej dwieście mil od miejsca, w którym się obecnie znajdowaliśmy. Wydawało nam się, że to całkiem blisko, ale kiedy przedstawiliśmy sytuację Fermanowi, zapowiedział, że dotrzemy tam dopiero następnego dnia: drogi w tamtej okolicy to w większości (jak to ujął) „nowe szutry” i nie da się po nich szybko jechać. Moglibyśmy od biedy dojechać jeszcze tego samego dnia, ale już po zmroku, więc i tak nic byśmy nie wskórali. Lepiej było znaleźć miejsce na nocleg i następnego dnia wyruszyć z samego rana.

Nie rozumiałem, o co chodzi z tym „nowym szutrem”, dopóki parę godzin później nie zjechaliśmy z głównej drogi na inną, boczną, która kiedyś była utwardzona. Miałem wrażenie, że szybciej byłoby jechać obok niej, niż wyszukiwać drogę w układance splekanych płyt.

Arsibalt czuł się nieswojo w towarzystwie Sammanna, co poznawałem po tym, że zachowywał się wobec niego niezwykle uprzejmie. Udał więc chorobę lokomocyjną, żeby przesiąść się na miejsce obok Fermana, i wdał się z nim w rozmowę po fluksyjsku. Ja usiadłem za nim i próbowałem się zdrzemnąć. Od czasu do czasu powieki same mi się podnosiły, gdy wpadaliśmy w dziurę w nawierzchni, i przed oczami migał mi rozhuśtany fetysz zawieszony na desce rozdzielczej. Nie znałem się na arkach, ale byłem przekonany, że Ferman należy do ortodoksji bazyjskiej. Jego wiara wydawała mi się w pewnym sensie równie niedorzeczna jak przekonania Ganeliala Crade'a - tyle że była to niedorzeczność znacznie bardziej tradycyjna i przewidywalna.

Mimo to, gdyby grupa fanatyków religijnych postanowiła wprowadzić kilka pojazdów z deklarantami, nie mogła wymyślić lepszego sposobu. Dlatego kiedy usłyszałem, jak Ferman Beller mówi o Bogu, natychmiast się obudziłem.

Wcześniej unikał tego słowa, a ja nie rozumiałem dlaczego. Jeżeli ktoś szczerze wierzył w Boga, jak mógł

sformułować jakąkolwiek myśl, wypowiedzieć choćby jedno zdanie bez wspomnienia o Nim? Tymczasem deolatrzy w rodzaju Bellera potrafili całymi godzinami nie mieszać Boga do rozmowy. Może jego Bóg był zbyt odległy? Albo - co bardziej prawdopodobne - Jego obecność była tak oczywista, że Ferman nie czuł potrzeby mówienia o Nim, tak jak ja nie wspominałem na każdym kroku o tym, że oddycham powietrzem.

W głosie Bellera słyszałem frustrację - nie złość, nie gorycz, tylko łagodną, ciepłą frustrację stryja, który usiłuje wbić coś bratankowi do głowy. Tacy jesteśmy mądrzy... To dlaczego nie wierzymy w Boga?

- Przestrzegamy Dyscypliny Krakerskiej - tłumaczył mu Arsibalt, zadowolony i odprężony, że ma okazję wyjaśnić tę sprawę. Jeżeli liczył na to, że przekona Bellera, to moim zdaniem okazywał nadmierny optymizm. - To jeszcze nie to samo, co niewiara w Boga... chociaż rozumiem, że ktoś nieobeznany z myślą krakerską może tak to postrześć.

- Myślałem, że to Saunta Cartas wymyśliła Dyscyplinę - przyznał Beller.

- Bo tak właśnie było. Wiele naszych praktyk wywodzi się bezpośrednio z reguł cartaskich, wprowadzonych w Starej Epoce Matematycznej, z tym że sporo do nich dodano i trochę wykreślono.

- Krakery był jednym z tych sauntów, którzy postanowili coś dodać?

- Nie. Krakery to takie ciasteczko.

Beller roześmiał się - z wysiłkiem i niezręcznie, jak to zwykle robili statyści, kiedy ktoś opowiedział nieśmieszny dowcip.

- To nie żart - ciągnął Arsibalt. - Nazwa „krakeryzm” pochodzi od krakersów podawanych do herbaty i określa system pojęciowy stworzony pomiędzy Odrodzeniem i Straszliwymi Wypadkami. Dwieście lat wcześniej otworzyły się bramy starych matematyków i deklarami mieszały się z sekularami, głównie zamożnymi i wysoko postawionymi. Lordami i damami. Świat został już do tego czasu poznany i obrysowany przez kartografów,

odkryto też prawa dynamiki i zaczęto wprowadzać je w życie.

- Epoka Mechaniczna... - strzelił Beller, wyławiając z otchłani niepamięci słowo, którego kazano mu się nauczyć dawno temu w jakimś suwinie.

- Otóż to. Człowiek sprytny mógł w tamtych czasach żyć z tego, że odwiedzał odpowiednie salony, dyskutował o metateoryce, pisał książki, uczył dzieci arystokratów i przemysłowców. Był to okres najbardziej harmonijnej współpracy... hmm...

- Nas i was? - podsunął Beller.

- No właśnie. Najbardziej harmonijnej od czasu Złotego Wieku Ethras. Żyła wtedy pewna dama imieniem Baritoe. Jej mąż był flirtiarzem i idiotą, ale mniejsza o niego: korzystając z jego nieobecności, Baritoe prowadziła w domu salon, w którym najlepsi metateorycy spotykali się codziennie o określonej porze, kiedy to z piekarnika wyjmowano świeżutkie krakersy. Czas płynął, ludzie się zmieniali, a pani Baritoe była w tym środowisku jedyną stałą. Pisała książki, ale, jak sama zawsze podkreślała, zawartych w nich idei nie można przypisywać żadnej pojedynczej osobie. Ktoś nazwał całokształt jej dzieł „myślą krakerską” i to określenie się przyjęło.

- I potem... dwieście lat później myśl krakerska stała się częścią waszej Dyscypliny?

- Tak, chociaż niezbyt oficjalnie. Przyjęliśmy ją raczej jak zestaw nawyków myślowych, które wielu nowym deklarantom i tak już były znane.

- Takich jak niewiara w Boga? - spytał Beller.

W tym momencie - mimo że jechaliśmy po płaskim terenie - poczułem się tak, jakbyśmy znaleźli się na górskiej drożynie nad tysiącstopową przepaścią, w którą Beller może nas zrzucić jednym ruchem sterów. Zdumiewała mnie tylko zrelaksowana poza Arsibalta, który potrafił się denerwować w znacznie mniej niebezpiecznych sytuacjach.

- Badanie tych spraw to jak jedzenie ciastek na czas - zaczął Arsibalt.

Było to fluksyjskie wyrażenie, przez Lio, Jesry'ego, Arsibalta i mnie używane na określenie długiego i niewdzięcznego przekopywania się przez stertę książek. Zupełnie zmyliło Beller, który myślał, że nadal mówimy o ciasteczkach, i Arsibalt musiał poświęcić dłuższą chwilę na rozplątanie tego cukierniczopiekarskiego nieporozumienia.

- Spróbuję ci to pokrótce wyjaśnić - ciągnął, kończąc dygresję. - Myśl krakerska miała być „trzecią drogą”, próbą pogodzenia dwóch możliwości, które były nie do przyjęcia. Jedna zakładała, że całe myślenie odbywa się tutaj, w mózgu. - Postukał się w skroń. - Mózg otrzymuje informacje od oczu, uszu i innych narządów zmysłów. Można nieco naiwnie założyć, że oddziałuje bezpośrednio ze światem materialnym. Patrząc na ten przycisk na desce rozdzielczej, wyciągam rękę, dotykam go...

- Nie dotykaj go! - ostrzegł Beller.

- Widzę, że ty go widzisz, że o nim myślisz, i dochodzę do wniosku, że naprawdę istnieje. Oczy i palce podsuwają mi jego obraz. Kiedy o nim myślę, myślę o materialnym, rzeczywistym obiekcie.

- To dosyć oczywiste - mruknął Beller.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał dopiero Beller pogodnym wyjaśnieniem:

- Pewnie dlatego powiedziałeś, że to naiwny pogląd.

- Na drugim biegunie znajdowali się ci, którzy twierdzili, że wszystko, co wiemy o świecie na zewnątrz naszych głów, jest złudzeniem.

- Takie myślenie wydaje mi się trochę... impertynenckie - stwierdził Beller po chwili zastanowienia.

- Krakersi też za nim nie przepadali i, jak wspomniałem, wypracowali trzeci model. Mówili tak: kiedy myślimy o świecie, właściwie kiedy myślimy o czymkolwiek, w rzeczywistości rozważamy zbiór danych dostarczonych do naszych mózgów za pośrednictwem oczu, uszu i tak dalej. Wracając do mojego przykładu: mój mózg otrzymuje obraz tego przycisku oraz wspomnienie jego dotyku - i na tym koniec, więcej danych nie

będzie. Mózg nie może analizować prawdziwego, materialnego przycisku, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie ma do niego dostępu. Dysponuje tylko i wyłącznie wrażeniami zmysłu wzroku i dotyku, które mój układ nerwowy przekazuje mu jako dane.

- Chyba rozumiem... Wizja krakersów wydaje mi się mniej zarozumiała niż ta poprzednia, ale... mam wrażenie, że to rozróżnienie nie ma żadnego praktycznego znaczenia.

- Mylisz się. A gdybyś chciał zrozumieć, dlaczego nie masz racji, w tym właśnie miejscu powinien się zacząć wyścig w jedzeniu ciastek. Wychodząc z założenia, jakie przed chwilą ci przedstawiłem, krakersi opracowali cały system metateoryczny, który okazał się ogromnie wpływowy, do tego stopnia, że cała późniejsza metateoryka sprowadza się do podważania go, poprawiania i rozszerzania. Gdybyś dotrwał do końca konkursu jedzenia ciastek, jedną z głównych konkluzji byłoby...

- Przekonanie o nieistnieniu Boga?

- Nie. Coś innego, bardziej złożonego, co trudniej ująć w paru słowach. W skrócie: chodzi o to, że niektórych spraw nie da się w ten sposób rozstrzygnąć. Jedną z nich jest istnienie Boga.

- Jak to nie da się rozstrzygnąć?

- Kiedy przeprowadza się rozumowanie logiczne w zgodzie z systemem krakerskim, dochodzi się do konkluzji, że nasze mózgi nie są w stanie myśleć o Bogu w żaden sensowny, użyteczny sposób... Przez Boga rozumiemy tu Boga ortodoksji bazyjskiej, który z całą pewnością nie jest czasoprzestrzenny, czyli nie istnieje fizycznie w czasie i przestrzeni.

- Bóg istnieje zawsze i wszędzie! - zaperzył się Beller.

- Ale co to naprawdę znaczy? Twój Bóg jest czymś więcej niż ta droga, ta góra i wszystkie inne materialne elementy wszechświata, prawda?

- No jasne. Pewnie, że tak. Gdyby było inaczej, czcilibyśmy po prostu naturę.

- Czyli kluczowym elementem twojej definicji Boga jest przekonanie, że jest On czymś więcej niż wielki stos różnych przedmiotów.

- Naturalnie.

- Widzisz, to „coś więcej” z definicji wykracza poza granice czasu i przestrzeni. Krakersi wykazali, że nie jesteśmy w stanie snuć żadnych użytecznych rozważań na temat czegoś, czego z założenia nie możemy doświadczyć zmysłami. Ale po twojej minie widzę już, że się ze mną nie zgadzasz?

- Tak, nie zgadzam się!

- To w tej chwili nie ma znaczenia. Zmierzałem do tego, że od czasów krakersów ludzie zajmujący się teorią i metateorią przestali rozprawiać o Bogu i pokrewnych tematach, takich jak wolna wola albo co było, zanim powstał wszechświat. To właśnie mam na myśli, mówiąc o Dyscyplinie Krakerskiej. Do czasu Rekonstrukcji weszła nam w krew i została włączona do naszej Dyscypliny nie tylko bez większej dyskusji, ale chyba wręcz bez świadomego zastanowienia.

- Ale przecież macie tyle wolnego czasu, siedzicie w tych swoich koncentrach od czterech tysięcy lat, i co? Nie znalazł się nikt, kto by chciał się nad tym zastanowić? Podyskutować?

- Mamy mniej czasu, niż ci się wydaje - odparł spokojnie Arsibalt. - Co nie zmienia faktu, że deklaranci oczywiście rozważali te kwestie, zakładali zakony wierzące w Boga lub zaprzeczające Jego istnieniu, jedne poglądy zyskiwały na popularności, inne traciły... Nic jednak nie skłoniło nas do odrzucenia podstawowych założeń krakersów.

- Wierzysz w Boga? - zapytał Beller bez ogródek.

Pochyliłem się, zafascynowany.

- Dużo ostatnio czytam o rzeczach, które nie mają natury czasoprzestrzennej, a jednak uważa się, że istnieją - powiedział Arsibalt.

Domyśliłem się, że ma na myśli obiekty matematyczne z Hylaejskiego Świata Teorycznego.

- Nie jest to czasem zaprzeczenie Dyscypliny Krakerskiej?
- zainteresował się Beller.

- Jest, ale w zaprzeczaniu jej nie ma nic złego, o ile nie robi się tego w sposób naiwny, tak jakby nie istniały żadne pisma pani

Baritoe. Często zarzuca się krakersom, że mieli mizerne pojęcie o czystej teoryce. Wielu teoryków na widok prac Baritoe mówi: „Zaraz, chwileczkę, tu czegoś brakuje: możemy przecież odnosić się bezpośrednio do bytów nie-czasoprzestrzennych, kiedy na przykład dowodzimy twierdzeń i tak dalej”. Właśnie na ten temat czytam najwięcej.

- Widzisz Boga w uprawianiu teoryki?

- Nie Boga. Nie takiego, którego jakaś arka byłaby skłonna uznać.

Po tych słowach Arsibaltowi udało się zmienić temat. Podobnie jak ja, zastanawiał się, co takiego powiedziało państwo sekularne swoim podwładnym, ogłaszając zapotrzebowanie na ochotników.

Odpowiedź brzmiała: niewiele. Państwo miało kłopot, zagwozdkę, zagadkę do rozwiązania - a deklaranci byli dobrzy w te klocki. Pewnych fraa i suur należało przetransportować z punktu A do punktu B, żeby tam mogli się zająć tą sprawą. Sekularowie (tacy jak Ferman Beller) byli nas ciekawi, co było oczywiste. W suwinach uczyli się o Rekonstrukcji i rozumieli, że my również mamy swoją rolę do odegrania (choć nie zdarza się to często), jeżeli cywilizacja ma funkcjonować bez zarzutu. Z fascynacją obserwowali funkcjonowanie tego mechanizmu, które przytrafiało im się raz w życiu, i z dumą angażowali się w jego działanie, nawet jeśli kompletnie go nie rozumieli.

Kiedy popołudniowy upał stał się nie do zniesienia, zjechaliśmy w cień drzew, dawniej osłaniających przed wiatrem zabudowania farmy, która od tego czasu legła w gruzach. Crade'a dawno już nie widzieliśmy, za to prowadzony przez Cord aport był tuż za nami. Korzystając z przerwy, niektórzy wyszli na spacer, a inni ucieli sobie drzemkę. Góry przyciemniały północno-zachodni horyzont, chociaż ktoś, kto nie wiedziałby o ich istnieniu, mógłby je wziąć za chmury burzowe. Na ich przeciwległe zbocza spadała większość skroplonej wilgoci znad oceanu, która później, już pod postacią rzeki, przepływała przez nasz koncent, ale oglądane przez nas w tej chwili stoki były suche jak wiór. Z własnej woli rosła na

nich tylko kępiasta trawa i niskie aromatyczne krzewinki. W pewnych okresach historii państwo sekularne nawadniało je i osiedlało tam ludzi, którzy zajmowali się uprawą zbóż i roślin strączkowych, teraz jednak znajdowaliśmy się w dołku takiego cyklu, czego dowodził stan dróg, farm oraz kompleksów zabudowań, które według mapomatu miały uchodzić za miasta. Rowy irygacyjne pozarastały zielskiem, ciernistym i obfitującym w rzepy. Przeszliśmy się z Lio skrajem jednego z nich, ale nie rozmawialiśmy za wiele, zajęci wypatrywaniem węży.

Miałem wrażenie, że Sammann chce mi coś powiedzieć. Zrobiliśmy więc kolejne przetasowanie i znalazłem się razem z nim w aporcie Cord, a Lio i Barb przesiedli się do mobu Bellera. Barb nie chciał się rozstać z Jaadem, ale domyślaliśmy się, że tysięcznik może mieć już dość jego towarzystwa, i postawiliśmy na swoim. Rosk zastąpił zmęczoną prowadzeniem aportu Cord.

- Ferman Beller komunikuje się z jakąś bazyjską placówką w pobliskich górach - poinformował mnie Sammann.

Te słowa zabrzmiały dość dziwnie, biorąc pod uwagę, że od upadku i złupienia Bazu upłynęło pięć tysięcy dwieście lat.

- Bazyjska placówka... - powtórzyłem. - Jak w ortodoksji bazyjskiej?

Sammann wznosił oczy ku niebu.

- No tak.

- Co to może być? Instytucja religijna?

- Albo coś w tym rodzaju.

- Skąd o tym wiesz?

- To nieistotne. Po prostu pomyślałem, że zainteresuje cię fakt, że nie tylko Ganelial Crade ma jakieś ukryte zamiary.

Przyszło mi do głowy, żeby Sammanna także zapytać o jego ukryte zamiary, ale mu odpuściłem. Teraz pewnie zastanawiał się nad tym, jak bazyjscy kapłani przyjmą i tę.

Ja zamierzałem obejrzeć sobie w spokoju tabliczkę fotomnemoniczną, z którą wszyscy pasażerowie tego pojazdu (poza Cord, zajęta prowadzeniem) dawno już zdążyli się zapoznać. Wcześniej widziałem ją tylko przelotnie. Usiedliśmy z Cord z tyłu,

nakryliśmy się kocem i skuliliśmy pod nim jak dwójka dzieciaków, które rozbiły „namiot” pod stołem w jadalni.

Ten obiekt, który Orola tak bardzo chciał sfotografować: czy rozpoznamy w nim statek? Dopóki Sammann parę godzin temu nie pokazał mi tabliczki, wiedziałem tylko tyle, że „statek” zmienia kurs, strzelając impulsami plazmy, i może oświetlać różne rzeczy czerwonym laserem, ale nie miałem pojęcia, jak wygląda. Mógł być wydrążoną asteroidą; mógł być obcą formą życia, przystosowaną do życia w próżni i wyrzucającą bomby atomowe przez zwieracz. Mógł zostać zbudowany z surowca, w którym nie rozpoznamy nawet materii. Mógł znajdować się jedną połową w naszym wszechświecie, a drugą w jakimś innym. Dlatego starałem się wyzbyć uprzedzeń i oczekiwań; pogodziłem się z tym, że zobaczę coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiem. Od długiego czasu „statek” był dla mnie zagadką, chociaż niezupełnie taką, jakiej się spodziewałem. Nie miałem dotąd czasu zastanowić się nad nim - ale teraz wreszcie mogłem go spokojnie obejrzeć.

Obraz był rozmazany zgodnie z kierunkiem ruchu pojazdu. Fraa Orola nastawił teleskop w taki sposób, żeby automatycznie śledził ruch statku po niebie, ale jego kierunek i prędkość mógł tylko oszacować w przybliżeniu - i stąd rozmycie. Przypuszczałem, że mam przed sobą ostatni z serii obrazów rejestrowanych przez Orola w okresie poprzedzającym apert; każdy następny musiał być lepszy od poprzedniego, w miarę jak Orola korygował ustawienia teleskopu i zmieniał ekspozycję. Sammann zastosował już jakiś proces syntaktyczny, który poprawił obraz, wyostrzył go i uwypuklił słabo widoczne szczegóły.

Tabliczka zarejestrowała dwudziestościan foremny, o ścianach w kształcie trójkątów równobocznych. Ale to wiedziałem już wcześniej, kiedy Sammann pierwszy raz mi ją pokazał. I to już była pierwsza zagadka, ponieważ obiekt w takim kształcie mógł być tworem sztucznym, ale wcale nie musiał. Geometryzy uwielbiali dwudziestościany, lecz natura też je kochała: wirusy, zarodniki, pyłki - wszystkie przyjmowały czasem taką postać.

Dlatego to naprawdę mogła być obca forma życia albo kryształ wyrosły w chmurze gazów.

- Nie może być hermetycznie zamknięty - stwierdziłem.

- Dlatego że wszystkie powierzchnie są płaskie? - odezwała się Cord.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Na co dzień stykała się w pracy ze sprężonymi gazami i instynktownie wyczuwała, że pojemnik pod ciśnieniem musi mieć zaokrąglony kształt cylindra, kuli lub torusa.

- Patrzcie uważnie - poradził nam Sammann.

- Narożniki... - powiedziała Cord. - Te... Jak to się nazywa...

- Wierzchołki.

Dwadzieścia trójkątnych ścian zbiegało się w dwunastu wierzchołkach; każdy z nich łączył po pięć trójkątów. Wierzchołki wydały mi się lekko wybrzuszone. W pierwszej chwili wziąłem to za efekt słabej jakości obrazu, ale przyjrząwszy się im bliżej, stwierdziłem, że każdy ma w istocie sferyczny kształt. Przeniosłem wzrok na krawędzie: dwanaście wierzchołków łączyła sieć trzydziestu krawędzi i one również były zaokrąglone, lekko pękate...

- Są! - stwierdziła Cord.

Wiedziałem, co ma na myśli.

- Amortyzatory - powiedziałem.

Teraz było to już oczywiste: każda z trzydziestu krawędzi dwudziestościanu była długim, smukłym amortyzatorem - przypominającym te w zawieszeniu aportu Cord, tylko znacznie większym. Szkielet statku stanowiła kratownica trzydziestu amortyzatorów, łączących się w dwunastu kulistych wierzchołkach. Mieliśmy przed sobą jeden wielki system amortyzacji wstrząsów.

- Jeśli to ma działać, w wierzchołkach muszą być przeguby kulowe - zauważyła Cord.

- W przeciwnym razie rama nie byłaby elastyczna. Ale czegoś tu nie rozumiem...

- Z czego zrobione są płaskie powierzchnie? - podsunęła Cord. - Te trójkąty?

- No właśnie. Nie byłoby sensu robić krawędzi z elastycznego materiału, gdyby same ściany miały być sztywne. Muszą mieć możliwość odkształcenia, kiedy amortyzatory pracują.

Głowiliśmy się więc nad dwudziestką trójkątów tworzących powłokę statku. Wydały mi się trochę zabawne: nie były idealnie gładkie, lecz chropowate, jakby z czegoś pozlepiane.

- Głowę bym sobie dał uciąć, że to gips.

- Ja pomyślałam o betonie - przyznała Cord.

- A co powiecie na żwir? - zasugerował Sammann.

- Zgoda - przytaknęła Cord. - Żwir może być bardziej elastyczny niż beton. Ale co go trzyma?

- W przestrzeni unosi się mnóstwo kamyczków - zauważyłem. - W pewnym sensie żwir to najpowszechniejsze ciało stałe w kosmosie.

- Tak, ale...

- Ale to nie jest odpowiedź na twoje pytanie - przyznałem.

- Nie wiem, jak to zrobili. Może oplekli go jakąś siatką?

Cord pokiwała głową.

- Ograniczenie erozji.

- Słucham?

- Taki sposób stosuje się nad rzekami, żeby zmniejszyć erozję brzegów: wrzuca się kamienie do sześciennych drucianych klatki, potem klatki stawia się jedna na drugiej i łączy ze sobą.

- Niezła analogia - przyznałem. - Ograniczenie erozji w kosmosie też może się przydać.

- Dlaczego?

- Mikrometeority i promieniowanie kosmiczne nieustannie bombardują taki statek ze wszystkich stron. Jeżeli otulisz go powłoką z jakiegoś taniego materiału, na przykład żwiru, ich wpływ zostanie znacznie ograniczony.

- Zaraz, zaczekaj. Ta jest inna.

Cord wskazała jedną ze ścian statku, na której widniało nakreślone koło. Wcześniej nie zwróciliśmy na nią uwagi,

ponieważ znajdowała się z boku i widzieliśmy ją w silnym skrócie perspektywicznym. Koło było chyba wykonane z innego materiału: wydało mi się twarde, gładkie i sztywne.

- Patrz. - Teraz ja pokazałem coś palcem. - Nie ma też...

- Amortyzatorów.

Trzy krawędzie tego trójkąta były wąskie, proste, ostre.

- Wiem! - stwierdziłem. - To płyta napędowa!

- Co takiego?

Wyjaśniłem Cord ideę napędzania statku bombami jądrowymi. Zaakceptowała ją znacznie chętniej niż którykolwiek z nas. Statek, który Lio pokazał nam na obrazku, był zbudowany jak stos: płyta napędowa, amortyzatory, część mieszkalna. Tutaj mieliśmy do czynienia z czymś w rodzaju koperty: zewnętrzna powłoka pełniła jednocześnie rolę osłony i rozproszonego amortyzatora. A także, co teraz sobie uświadomiłem, całunu, skutecznie ukrywającego zawartość statku.

Kiedy już rozpoznaliśmy płytę napędową, a więc (co za tym idzie) rufę statku, nasz wzrok naturalną koleją rzeczy podążył ku dziobowi, który jednak pozostawał dla nas niewidoczny. Widzieliśmy tylko jeden z dziobowych amortyzatorów... było na nim coś napisane: rząd znaków musiał być napisem w nieznanym nam języku. Niektóre z nich - okręgi i nieskomplikowane kombinacje linii prostych - do złudzenia przypominały litery naszego pisma bazyjskiego, ale inne były niepodobne do żadnego znanego mi alfabetu.

A zarazem wyglądały tak znajomo, że oba te systemy pisma musiało coś łączyć. Niektóre zostały wręcz zaczerpnięte z alfabetu Bazu, tyle że odwrócone do góry nogami albo odbite w lustrze.

Odrzuciłem koc.

- Ej! - poskarżyła się Cord, mrużąc powieki.

Fraa Jaad odwrócił się i spojrzał mi w oczy. Wydał mi się odrobinę rozbawiony.

- Ci ludzie... - Celowo nie użyłem określenia „obcy”. - Ci ludzie są z nami spokrewnieni!

- Zaczęliśmy ich już nazywać Kuzynami - przyznał fraa Criscan, setnik siedzący obok Jaada.

- Jak to wyjaśnić?! - zapytałem, tak jakby naprawdę mogli mi to wytłumaczyć.

- Nie ma sensu łamać sobie nad tym głowy - powiedział fraa Jaad. - To i tak tylko hipoteza, nic więcej.

- Jak duży jest ten statek? - zainteresowałem się. - Czy ktoś próbował oszacować jego rozmiary?

- Z ustawień teleskopu i tabliczki fotomnemonicznej można wnioskować, że ma około trzech mil średnicy - odparł Sammann.

- Pozwól, że oszczędzę ci dalszych przeliczeń - wtrącił fraa Criscan, obserwując mnie z rozbawieniem. - Jeżeli chciałbyś wytworzyć sztuczne ciężenie poprzez obrót części statku...

- Jak w stacjach kosmicznych ze starych szpilów fantastycznych? - zapytałem. - Miały kształt pączka z dziurką i obracały się wokół pionowej osi.

- Nigdy nie widziałem żadnego szpilu. - Twarz Criscana niczego nie wyrażała. - Ale wydaje mi się, że mówimy o tym samym.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Gdybyś chciał na takim statku wytworzyć ciężenie porównywalne z tym na powierzchni Arbre, to zakładając, że taki statek rzeczywiście jest ukryty we wnętrzu tego dwudziestościanu...

- Tak to sobie wyobrażam.

- Przypuśćmy, że ma dwie mile średnicy. Czyli promień długości mili. Musiałby wykonywać jeden pełny obrót w ciągu osiemdziesięciu sekund, żeby w środku zapewnić grawitację zbliżoną do naszej, planetarnej.

- Brzmi rozsądnie - przyznałem. - Dałoby się to zrobić.

- O czym ty mówisz? - zainteresowała się Cord.

- Mogłabyś żyć na karuzeli, której jeden obrót trwa półtorej minuty?

Wzruszyła ramionami.

- No pewnie.

- Rozmawiacie o pochodzeniu Kuzynów? - rzucił Rosk przez ramię. Nie mówił po orthyjsku, ale wychwytywał pojedyncze słowa i próbował coś wywnioskować z tonu naszych głosów.

- Na razie rozmawiamy o tym, czy taka dyskusja w ogóle ma sens! - odparłem.

Moje słowa - wykrzywane z tyłu pojazdu - nie przebiły się chyba przez drogowy zgiełk i nie dotarły do adresata.

- W książkach i szpilach pokazują czasem takie fikcyjne wszechświaty, w których starożytna rasa dawno temu zasiedliła ileś tam układów gwiazdnych, a one potem potraciły ze sobą kontakt - mówił dalej Rosk.

Miałem wrażenie, że *wszyscy* deklaranci w pojeździe musieli się desperacko ugryźć w język, żeby się nie odezwać.

- Widzisz, Rosk, problem polega na tym, że znamy skamieliny...

- Sprzed milionów lat, wiem. To rzeczywiście kłopot.

Domyśliłem się, że inni już rozszarpali tę jego fantazję na strzępy, ale on był do niej po prostu bardzo przywiązany, a nikt nigdy nie wyłożył mu idei Grabi Diaksa.

Cord zdążyła już z powrotem nakryć głowę kocem, ale teraz znowu się odezwała:

- Nie zapominaj, że mówiliśmy też o koncepcji wszechświatów równoległych. Dopóki fraa Jaad nie wytknął nam, że ten statek z całą pewnością znajduje się w *naszym kosmosie*.

- I wszystko popsuł - odparłem. Po fluksyjsku, naturalnie.

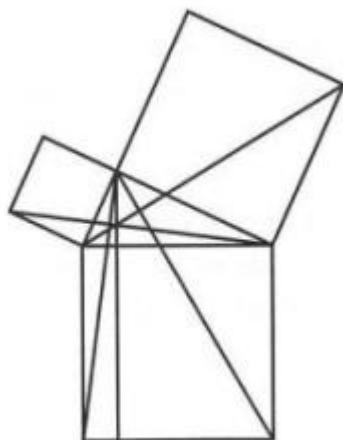
- Fakt. Czasem naprawdę ciężko z wami wytrzymać, jesteście tacy logiczni... Ale, ale, widziałeś ten dowód geometryczny?

- Słucham?

- Wcześniej bez przerwy o tym gadali.

Zanurkowałem do niej pod koc. Nauczyła się już powiększać i przesuwac obraz, ustawiła więc w kadrze wybraną ścianę statku i powiększyła go, aż ekran wypełnił taki oto diagram,

tyle tylko że rozmyty i znacznie mniej wyrazisty:



- Żeby coś takiego namalować na statku... - mruknąłem. -
Dziwne, bardzo dziwne.

Zmniejszyłem obraz, zaintrygowany, w którym miejscu umieszczono ten diagram. Znajdował się na samym środku jednej ze ścian dwudziestościanu, przylegającej (od tyłu) do tej, którą uznaliśmy za dziób. Jeżeli powłoka statku rzeczywiście została wykonana ze żwiru utwardzonego jakimś rodzajem sieci, diagram musiał zostać w nią wbudowany na podobieństwo mozaiki, tak jakby ktoś wybrał same ciemne kamyki i starannie ułożył z nich żądany wzór. Wymagało to mnóstwa zachodu.

- To ich herb - stwierdziłem.

To był tylko mój domysł, ale nikt mu się nie sprzeciwił. Podkreśliłem powiększenie i zacząłem oglądać linie z bliska. Bez wątplenia była to ilustracja dowodu jakiegoś geometrycznego pewnika, najprawdopodobniej Twierdzenia Adrakhonesa. Fidowie regularnie ćwiczyli rozwiązywanie podobnych problemów. Poczuję się, jakbym znów znalazł się w kredowni i ścigał się z Jesrym, kto pierwszy znajdzie odpowiedź. Zacząłem rozbijać rysunek na trójkąty, wyszukiwać kąty proste i inne elementy, na których mógłbym oprzeć dowód. Pierwszy lepszy fid z Oritheny

poradziłby sobie szybciej ode mnie, tak dawno nie bawiłem się już w geometrię płaską...

Zaczekaj! Nie spiesz się tak! - powtarzał mi jakiś wewnętrzny głos.

Wystawiłem głowę spod koca, uważając tym razem, żeby nie oślepić Cord.

- Ciarki przechodzą mi po plecach. - Wzdrygnąłem się.

- Lio też tak powiedział! - odkrzyknął Rosk.

- Co w tym takiego niesamowitego? - spytała Cord.

- Zdefiniuj, z łaski swojej, powtarzające się fluksyjskie określenie „ciarek na plecach” - poprosił fraa Jaad.

Spróbowałem mu to wyjaśnić, ale orthyjski niespecjalnie nadaje się do opisywania prostych stanów emocjonalnych.

- Intuicyjne odczucie lęku... - stwierdził Jaad. - O charakterze nadnaturalnym.

- „Lęk” to mocne słowo, ale blisko...

Musiałem jeszcze odpowiedzieć na pytanie Cord. Zrobiłem kilka falstartów, dopóki widok ity nie podsunął mi pewnego pomysłu.

- Sammann jest ekspertem od wszelakiej informacji - powiedziałem. - Dla niego „komunikacja” oznacza przesłanie ciągu znaków.

- Takich jak te litery na amortyzatorze?

- Właśnie takich. Z tym że Kuzyni używają innego alfabetu i mówią innym językiem, więc wiadomość od nich wydałaby się nam zaszyfrowana; musielibyśmy ją rozkodować i przełożyć na zrozumiały dla nas język. Zamiast tego kuzyni postanowili... postanowili...

- Pominąć język - podsunął mi Sammann, zniecierpliwiony moją bezradnością.

- Tak jest! I dlatego posłużyli się rysunkiem.

- Myślisz, że narysowali go po to, żebyśmy mogli go zobaczyć? - spytała Cord.

- Po cóż innego mieliby zadawać sobie trud rysowania czegokolwiek na zewnętrznej powierzchni statku? Chcieli go

oznakować w sposób, który byłby dla nas zrozumiały. I to właśnie przyprawia mnie o ciarki na plecach: fakt, że wiedzieli, co narysować, żebyśmy ich zrozumieli.

- Ja nie rozumiem - powiedziała Cord.

- Nie rozumiesz dowodu, ale wiesz, co przedstawia rysunek. A my możemy ci go objaśnić znacznie szybciej, niż bylibyśmy w stanie rozgryźć język obcych. Wydaje mi się, że fraa Jaad już wszystko wie.

Spojrzałem na leżący na kolanach Jaada arkusz z przerysowanym diagramem, opatrzony jakimiś znaczkami i dopiskami pomocnymi przy śledzeniu logiki dowodu.

Logika. Dowód.

Kuzyni je znają. To nas z nimi łączy.

Nas - mieszkańców koncentów, rzecz jasna.

Deklaranci uzbrojeni w atomówki!

Wędrują od jednego układu gwiazdowego do drugiego, nawiązują kontakt z osiadłymi na planetach braćmi...

- Wykrztuś to, Ras! - mruknąłem.

- No właśnie. - Fraa Jaad obserwował mnie uważnie. - Chętnie posłuchamy.

- Przybyli - powiedziałem. - Kuzyni przybyli. Państwo sekularne wypatrzyło ich na radarze, namierzyło, zaczęło się martwić, robić zdjęcia... aż zobaczyło to. - Wskazałem arkusz Jaada. - Ciekawostkę dla deklarantów. Zaniepokoiło się jeszcze bardziej. Domyśliło się, że co najmniej jeden fraa również wypatrzył statek: Orolu.

- Sam mu o nim powiedziałem - wtrącił Sammann.

- Co takiego?!

Sammann trochę się zaniepokoił, ale ja zrozumiałem go tak zupełnie opacznie, że nie pozostało mu nic innego, jak wyjaśnić sprawę do końca.

- Otrzymaliśmy wiadomość od państwa sekularnego.

- „My”, czyli itowie?

- Retikula trzeciego rzędu.

- Że co?

- Nieważne. Kazano nam potajemnie, z pominięciem hierarchów, nawiązać kontakt z najwybitniejszym kosmografem w całym koncencie i powiedzieć mu o statku.

- Co potem?

- Nie otrzymaliśmy dalszych instrukcji.

- Wybraliście Orola.

Sammann wzruszył ramionami.

- Poszedłem do niego którejs nocy, kiedy siedział sam w swojej winnicy, i powiedziałem mu, że... że natrafiłem na tę informację podczas rutynowego przeglądania zarchiwizowanych połączeń w protokole pocztowym.

Nie zrozumiałem tego itowskiego bełkotu, ale sens całej wypowiedzi wydał mi się jasny.

- Czyli państwo sekularne kazało wam stworzyć pozory, że informacja wyszła od was i że z własnej woli postanowiliście...

- Tak, żeby później, w razie jakiejś wpadki, mogli się wszystkiego wyprzeć.

- Nie podejrzewałbym ich aż o takie wyrafinowanie - wtrącił fraa Jaad spokojnym tonem, kontrastującym z naszym zaogniającym się sporem. - Sięgnijmy po Grabie - zaproponował. - Państwo znało odczyty radarów, nie miało jednak obrazów. Do tego potrzebne mu były teleskopy oraz ludzie umiejący je obsługiwać. Nie chcąc wtajemniczać w sprawę hierarchów, jego przedstawiciele obmyślili strategię, którą Sammann był nam łaskaw przed chwilą wyłuszczyć. Chodziło o to, żeby jak najszybciej i najdyskretniej zdobyć jakiś obraz statku. Tylko że wtedy zobaczyli również to.

Przykrył dłonią trzymany na kolanach arkusz.

- I zrozumieli, że popełnili poważny błąd - ciągnąłem, już znacznie spokojniej. - Ujawnili istnienie i charakter Kuzynów ludziom, którym najchętniej w ogóle by o nich nie wspominali.

- Skończyło się to zamknięciem gwiazdznego kręgu i odrzuceniem Orola - dodał Sammann. - Ja zaś wylądowałem z wami w tym aporcie, ponieważ nie mam pojęcia, co chcieliby zrobić ze mną.

Do tej pory zakładałem, że pozwolono mu udać się z nami w podróż, teraz zaś pierwszy raz zacząłem podejrzewać, że to nie takie proste. Dziwnie się czułem, słysząc, jak ita martwi się, że może mieć kłopoty; zazwyczaj to my martwiliśmy się podstępami itów - takimi jak ten, którym usidlili Orola. Zmieniłem diametralnie punkt widzenia i spojrzałem na sprawę z perspektywy Sammanna. Właśnie dlatego, że ludzie mieli ugruntowane poglądy na itów, nikt by mu nie uwierzył; nikt by się za nim nie wstał, gdyby sprawa wyszła na jaw.

- Skopiowałeś tabliczkę i postanowiłeś zatrzymać kopię, żeby mieć...

- Cokolwiek na swoją obronę.

- Pokazałeś się w Oku Clesthyry. Zasygnalizowałeś - w sposób, którego mógłbyś się wyprzeć - że coś wiesz. Że masz informację.

- To było takie moje... ogłoszenie - odparł Sammann. Zarys jego twarzy zmienił się lekko, a zarost jakby się przemieszczał. W ten sposób ita dawał do zrozumienia, że prawie, prawie się uśmiecha.

- Poskutkowało - przyznałem. - I wylądowałeś tutaj, w jednym pojeździe z bandą deolatrów, pędząc w nieznaną.

Cord znudziła się naszym orthyjskim i przesiadła do przodu, obok Roska. Zrobiło mi się jej żal, ale o niektórych sprawach naprawdę nie dało się rozmawiać po fluksyjsku.

Kusiło mnie, żeby zapytać fraa Jaada o odpady radioaktywne, ale nie chciałem poruszać tego tematu przy Sammannie. Sięgnąłem więc po swoją kopię przedstawionego przez Kuzynów dowodu i zacząłem nad nią pracować. Wciągnęła mnie po uszy. Cord i Rosk puścili jakąś muzykę z aparatury aportu - z początku cicho, potem, kiedy nikt nie zaprotestował, nieco głośniej. Fraa Jaad chyba pierwszy raz usłyszał muzykę popularną. Skuliłem się w sobie tak bardzo, że niewiele brakowało, a dorobiłbym się obrażeń wewnętrznych, ale on zareagował na nią z takim samym spokojem jak wcześniej na pasek nawilżający Dynaglide. Darowałem sobie geometrię; gapilem się przez okno i

śluchałem muzyki. Mimo uprzedzeń, jakie żywiłem do kultury extramuros, co rusz zaskakiwały mnie piękne fragmenty ich muzyki. Większość piosenek nie była warta zapamiętania, ale mniej więcej w co dziesiątej zdarzały się przejścia i zmiany linii melodycznych, świadczące o tym, że ich twórca doświadczył czegoś na kształt iluminacji. Że przez chwilę naprawdę osiągnął ideału. Zastanawiałem się, czy słucham jakiejś reprezentatywnej próbki, czy też Cord ma po prostu nosa do pięknych piosenek i tylko takie przegrywa na swój piszczek.

Muzyka, upał, podskakujący aport, niewyspanie i wstrząs związany z opuszczeniem koncentu... Nic dziwnego, że nie mogłem się skoncentrować na przeprowadzeniu dowodu. Jednakże w miarę jak dzień miał się ku końcowi, słońce opadało coraz niżej, coraz rzadziej napotykaliliśmy umierające miasta i zniszczone systemy nawadniające, a krajobraz oczyszczał się i przechodził w pustynię z rzadka upstrzoną kamiennymi ruinami, docierało do mnie, że jeszcze jeden czynnik wywiera na mnie przemożny wpływ.

Pogodziłem się już z myślą, że Orolo nie żyje. Nie dosłownie, oczywiście, nie w takim sensie, że zmarł i został pochowany - ale dla mnie naprawdę był jak martwy. Tak właśnie działała peanatema: zabijała deklaranta, nie naruszając jego ciała. Teraz zaś miałem go zobaczyć ponownie, całego i zdrowego, i zostało mi zaledwie kilka godzin na oswojenie się z tym faktem. Właściwie w każdej chwili mogliśmy go wypatrzeć na którejś z tych samotnych skał, jak wspina się na górę i przygotowuje do nocnej obserwacji nieba. Równie dobrze jego wychudzone zwłoki mogły czekać na nas pod kamiennym kopczykiem, usypanym przez potomków slogów, którzy zjedli wątrobę saunta Bly'a - ale tak czy inaczej, w obliczu bliskiego spotkania z Orolem nie mogłem myśleć o niczym innym.

Cord patrzyła na mnie z błyskiem w oku. Ściszyła muzykę i powtórzyła swoje słowa. Musiałem wpaść w jakiś trans, z którego wytrąciło mnie dopiero poruszenie się.

- Mam Fermana na piszczku - wyjaśniła. - Chce się

zatrzymać na siku i rozmowę.

Jedno i drugie mi odpowiadało, zatrzymaliśmy się więc w miejscu, gdzie droga rozszerzała się na zakręcie, w jednej trzeciej zjazdu, który za następne pół godziny miał się zakończyć na dnie płaskiej, zlewającej się z widnokregiem doliny. Nie była to dolina z rodzaju tych wilgotnych i zielonych, lecz dziura w ziemi, do której wysychające strumyki przyływały umierać, i dopiero ulewne deszcze zmywały zalegający ją brud. Bazaltowe wieże i palisady rzucały cienie dalece przekraczające ich wysokość. W odległości dwudziestu, może trzydziestu mil wznosiły się dwie samotne góry. Pochyleni nad mapomatem, wzmówiliśmy sobie, że są to dwie z trzech wybranych wcześniej kandydatek na Kopiec Bly'a. Jeśli zaś chodzi o trzecią... Hmm, chyba właśnie objechaliśmy ją dookoła i znajdowaliśmy się w dolnej partii jej zbocza.

Ferman chciał ze mną porozmawiać o mojej roli przywódcy. Otrząsnąłem się z resztek śpiączki, w którą omal nie zapadłem, i wyprężyłem pierś.

- Wiem, że nie wierzycie w Boga - zaczął. - Ale biorąc pod uwagę wasz styl życia, pomyślałem, że będziecie się dobrze czuli wśród...

- Bazyjskich mnichów? - strzeliłem.

- Właśnie.

Zdziwił się trochę, że tak szybko go przejrzałem, a ja po prostu miałem szczęście. Kiedy Sammann wspomniał mi, że Ferman nawiązał kontakt z „bazyjską placówką”, wyobraziłem sobie katedrę lub coś równie przepysznego. Wtedy jednak nie widziałem jeszcze tutejszego krajobrazu.

- Czy ten... klasztor... znajduje się na którejś z tych gór?

- Na tej bliższej. Widać go w połowie wysokości, na północnym stoku.

Z pomocą Fermana wypatrzyłem na zboczu góry szczyrbę, jak gdyby naturalny taras w cieniu zielonego półksiężyca - utworzonego, jak się domyślałem, przez drzewa.

- Zaglądam czasem do ich azyłu, żeby się wyciszyć - dodał

Ferman. - Kiedyś co roku latem posyłałem tam dzieci.

Idea „azyłu” nie od razu do mnie trafiła - dopóki nie uświadomiłem sobie, że ja w ten sposób przeżyłem całe życie.

Ferman źle zrozumiał moje milczenie. Odwrócił się do mnie, podnosząc ręce w obronnym geście.

- Jeżeli wolałbyś tego nie robić, mamy dość wody, jedzenia, posłań i innego sprzętu biwakowego, żeby zatrzymać się na noc w dowolnym miejscu. Pomyślałem po prostu...

- Nie, to dobry pomysł. Nie wiem tylko, czy zgodzą się przyjąć kobiety...

- Mnisi mają własny klasztor, niepołączony z obozowiskiem, w którym cały czas są jakieś kobiety; wchodzi w skład personelu.

Długi dzień dobiegał końca, słońce zachodziło, ja byłem zmęczony. Wzruszyłem ramionami.

- Przynajmniej będziemy mieli co opowiadać, jak już dotrzemy do Saunta Tredegarha - powiedziałem.

Lio i Arsibalt, już od jakiegoś czasu kręcący się w pobliżu, dopadli mnie, gdy tylko Ferman Beller zaczął się oddalać. Obaj byli wymęczeni i podenerwowani, jak każdy, kto spędził kilka godzin w towarzystwie Barba.

- Bądź realistą, fraa Erasmasie - zaczął Arsibalt. - Rozejrzyj się! W takim krajobrazie człowiek w pojedynkę nie ma żadnych szans! Skąd miałby brać wodę, jedzenie, lekarstwa...

- Na stoku góry w jednym miejscu rosną drzewa - odparłem. - Pewnie jest tam woda. Ferman i inni posyłają tam dzieci na letni wypoczynek... Nie może być aż tak źle.

- To oaza! - zawołał Lio, zachwycony, że może błysnąć egzotycznym słówkiem.

- Tak, oaza. Jeśli na bliższym kopcu jest oaza dostatecznie duża, żeby wyżywić klasztor i obóz letni, dlaczego na tym dalszym nie miałyby się znajdować miejsce, w którym dzikusy w rodzaju Bly'a, Estemarda i Orola wylegiwałyby się w cieniu drzew i popijały wodę źródlaną?

- Nadal pozostaje kwestia jedzenia - wytknął mi Arsibalt.

- Ale i tak jest lepiej, niż wcześniej myślałem.

Nie musiałem wchodzić w szczegóły, bo obaj doskonale wiedzieli, co mam na myśli: wizję pustelników-desperatów żyjących na szczycie góry i żywiących się porostami.

- Na pewno jest jakiś sposób - dodałem. - Bazyjscy mnisi jakoś sobie radzą.

- Tworzą dużą społeczność - przypomniał Arsibalt. - I utrzymują się z jałmużny.

- Orolo mówił mi, że Estemard przez całe lata pisywał do niego listy z Kopca Bly'a. Sam Bly również chwilę tam pożył...

- Bo slogowie oddawali mu cześć - wtrącił Lio.

- Kto wie, może zastaniemy tam bandę slogów bijących pokłony przed Orolem? Nie wiem, jak to działa. Może mają rozwinięty przemysł turystyczny.

- To ma być żart? - spytał Arsibalt.

- Spójrz tutaj, na to szerokie pobocze, gdzie się zatrzymaliśmy.

- Widzę. I co?

- Jak myślisz, dlaczego znalazło się w tym miejscu?

- Nie mam pojęcia, nie jestem praksykiem.

- Żeby pojazdy mogły się łatwiej wymijać? - zasugerował

Lio.

Wyciągnąłem przed siebie rękę, pokazując rozległą panoramę.

- Oto powód.

- To znaczy? Że tu jest tak ładnie?

- Tak.

Ruszyłem za oddalającym się Lio. Arsibalt podziwiał widoki, jakby dostatecznie długie wpatrywanie się w nie miało mu pomóc odkryć lukę w moim rozumowaniu.

- Widziałeś dwudziestościan? - zapytał Lio.

- Widziałem. I jeszcze ten dowód geometryczny.

- Myślisz, że są do nas podobni. Że dzielają nasz punkt widzenia i rozumieją oddanie Naszej Matce Hylaei - mówił, jakby przymierzał do mnie kolejne sformułowania.

Zwęszyłem próbę oskrzydlenia i przeszedłem do obrony:

- Na pewno nieprzypadkowo wpisali w swoje godło
Twierdzenie Adrakhonesa...

- Statek jest uzbrojony.

- Ależ oczywiście!

Ale Lio już kręcił głową.

- Nie chodzi mi o bomby używane do napędzania go, bo one są praktycznie nieprzydatne jako broń. Mam na myśli inne elementy, które są całkowicie oczywiste, jeśli się wie, czego szukać.

- Nie zauważyłem niczego, co chociaż w przybliżeniu przypominałoby broń.

- W amortyzatorze o długości mili można schować masę sprzętu. Poza tym nie wiemy, co się kryje pod tym całym żwirem.

- Jakiś przykład?

- Na ścianach widać rozmieszczone w regularnych odstępach przedmioty. Moim zdaniem są to anteny.

- Co z tego? Muszą przecież mieć anteny.

- To macierze fazowe. Wojskowe zabawki, niezbędne do wycelowania lasera albo pocisku kinetycznego. Musiałbym pogrzebać w książkach, żeby powiedzieć coś więcej. Nie podobają mi się też te planety na dziobie.

- O czym ty mówisz?

- Na przednim amortyzatorze są namalowane cztery koła. Moim zdaniem przedstawiają planety, a kojarzą mi się z rysunkami na wojskowych aeroplanach z Epoki Praksis.

Chwila namysłu - i rozszyfrowałem nawiązanie.

- Zaraz... Sugerujesz, że to są... zestrzelenia?!

Lio wzruszył ramionami.

- Nie, no, zaczekaj... Przecież mogą oznaczać coś zupełnie niewinnego. Może to ojczyste planety Kuzynów?

- Wydaje mi się, że z nadmiernym entuzjazmem doszukujemy się wesołych, pogodnych interpretacji...

- A ty jako przyszyły Protektor musisz zachować czujność. Świetnie ci idzie.

- Dzięki.

Spacerowaliśmy w milczeniu po szerokim poboczu, mijając innych pasażerów, którzy również wyszli rozprostować nogi, aż natknęliśmy się na samotnego fraa Jaada. Uznałem, że to doskonały moment.

- Fraa Lio? Fraa Jaad powiedział mi, że w matemie tysiącletnim w Sauncie Edharze znajduje się jedno z trzech składowisk, na których państwo sekularne w okresie Rekonstrukcji zgromadziło odpady promieniotwórcze. Dwa pozostałe mieszczą się w Sauncie Rambalfie i Sauncie Tredegarhu. Oba te matemy zostały wczoraj w nocy oświetlone laserem przez Kuzynów.

Lio nie był moimi słowami aż tak zaskoczony, jak na to liczyłem.

- W gronie przyszłych Protektorów chodzą słuchy, że nie bez powodu Trzy Nieskalane Matemy uszły cało z Łupieży. Mówi się na przykład, że składa się w nich megazabójców i inne niebezpieczne pozostałości Epoki Praksis.

- Proszę cię, mówisz o moim domu, nie o jakimś wysypisku śmieci - odparł fraa Jaad, bardziej jednak rozbawiony niż urażony. Nie wiem, czy można tak powiedzieć o tysięczniku, ale sprawiał wrażenie figlarnego.

- Widziałeś jakieś takie rzeczy? - zainteresował się Lio.

- Naturalnie. Trzymamy je w jaskini, zamknięte w cylindrach, i oglądamy codziennie.

- Po co?

- Z różnych powodów. Ja na przykład jestem strzecharzem.

- Nie znam tego słowa - odezwałem się.

- To bardzo stara profesja: zajmuję się układaniem dachów z trawy.

- Jakie ma zastosowanie w składzie odpadów radioaktywnych?

- Woda skrapla się od środka na sklepieniu jaskini i kapie na cylindry. Dzieje się tak od tysięcy lat i cylindry mogłyby dawno skorodować albo obrosnąć stalagmitami, których ciężar w końcu by je zgniółł. Żeby tego uniknąć, osłaniamy je strzechą.

Wszystko to wydało mi się tak niezwykle, że nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o podtrzymaniu uprzejmej pogawędki.

- Rozumiem... A skąd bierzecie trawę? Nie bardzo macie ją tam gdzie uprawiać...

- Niewiele nam trzeba. Dobrze zrobiona strzecha przetrwa wieki. Nie wymieniłem jeszcze tej, którą moja fida, suur Avradale, zrobiła sto lat temu.

Przeszliśmy z Lio jeszcze kilka kroków, zanim słowa Jaada w pełni do nas dotarły. Spojrzeliśmy po sobie i bez słowa porozumieliśmy się, że lepiej będzie tego nie komentować.

- Zakpił z nas - powiedziałem, kiedy mieliśmy z Lio okazję porozmawiać w cztery oczy: w azylu, gdy przenieśliśmy bagaże do wspólnej celi. - Chciał się odegrać za to, że nazwaliśmy jego matem wysypiskiem.

Lio nie odpowiedział.

- Lio, daj spokój! Nie może być przecież taki stary!

Lio postawił torbę na ziemi, wyprostował się na całą wysokość i poruszył barkami: w dół, do przodu, do tyłu. W ten sposób się uspokajał. Tak jakby mógł pokonać przeciwnika samą doskonałą posturą.

- Proponuję nie przejmować się jego wiekiem.

- Ty myślisz, że on naprawdę ma tyle lat...

- Powiedziałem, żebyśmy się tym nie przejmowali...

- Nie zamierzam się tym przejmować, po prostu jestem ciekawy.

- Ciekawy? - Lio znów zrobił tę sztuczkę z barkami. - Posłuchaj, wdaliśmy się w pyerdy, zgodzisz się ze mną?

- Bez dwóch zdań.

- Darujmy to sobie i rozmawiajmy otwarcie, póki możemy. Bo za takie gadanie można trafić na stos.

- Mówisz jak rasowy Protektor. Ale w porządku, rozumiem twój punkt widzenia.

- Cieszę się. W takim razie obaj wiemy, o czym naprawdę rozmawiamy.

- O tym, że nie można przeżyć tak długo bez odtwarzania sekwencji w jądrach komórkowych.

- Zwłaszcza kiedy jest się narażonym na promieniowanie.

- O tym nie pomyślałem. - Cofnąłem się pamięcią do mojej poprzedniej rozmowy z Jaadem. - Jak Jaad mógł się tak sygnąć? Musi przecież wiedzieć, jakie to niebezpieczne przyznawać się, że jest... że potrafi regenerować komórki swojego ciała.

- Żartujesz? On się z niczym nie sygnął. On to zrobił celowo, Ras.

- Dawał nam do zrozumienia...

- Zawierzył nam swoje życie. Nie zauważyłeś, jak przez cały dzień taksował wszystkich wzrokiem? Jaad nas wybrał, mój fraa.

- No, jeśli to prawda, to czuję się zaszczycony.

- Ciesz się, dopóki możesz, bo takie zaszczyty zawsze wiążą się z obowiązkami.

- Jakie obowiązki masz na myśli?

- Skąd miałbym wiedzieć? Chodzi mi tylko o to, że nie bez powodu został powołany. Ma jakąś rolę do odegrania, zaczyna sobie opracowywać strategię i my staliśmy się jej częścią. Jego żołnierzami. Jego pionkami.

Zaniemówiłem. Miałem mętlik w głowie.

Nagle przypomniałem sobie coś, co ułatwiło mi życie.

- Już wcześniej byliśmy pionkami - powiedziałem.

- To prawda. Ale mając wybór, wolę być pionkiem kogoś, kogo przynajmniej widzę.

Pierwszy raz od poprzedniej nocy Lio posłał mi swój stary, znajomy uśmiech. Przez cały dzień był poważny jak nigdy przedtem - ale namalowane na kadłubie statku zniszczone planety (jeśli nie mylił się w interpretacji rysunku) z pewnością nie dawały mu powodów do radości.

My, deklaranci, lubiliśmy sobie wmawiać, że żyjemy prosto i skromnie, w odróżnieniu od bazyjskich prałatów, którzy paradowali w jedwabnych szatach, otuleni chmurami kadzidlanego dymu. Ale przynajmniej nasze siedziby budowaliśmy z kamienia, dzięki czemu nie wymagały szczególnych zabiegów konserwacyjnych. Ten klasztor był cały drewniany: na stoku góry stała mała arka, otoczona pierścieniem domów mieszkalnych, tworzących coś w rodzaju klauzury, w środku której biło źródło. Niżej, bliżej drogi, znajdowały się dwa rzędy domków mieszczących cele z piętrowymi pryzcami oraz spory gmach z jadalnią i paroma świetlicami. Budynki były zadbane, nie ulegało jednak wątpliwości, że ich rozkład postępuje, i gdyby ludzie je opuścili, najdalej po kilku dekadach z klasztoru zostałby stosik drewna na opał.

Nie udało nam się zobaczyć, jak mieszkają mnisi. Do naszej dyspozycji oddano schludne, czyste cele o ścianach i pryzkach upstrzonych graffiti pozostawionymi przez dzieci, które w lecie zwały się tu całymi autokarami. Właściwie mieliśmy szczęście, że się na nie nie napatoczyliśmy: poprzednia grupa wyjechała zaledwie dwa dni wcześniej, a następna, chociaż już zapowiedziana, jeszcze się nie zjawiała. Z liczącego pół tuzina personelu cztery osoby wróciły na okres tej przerwy do miasta; pozostała dwójka (razem z bazyjskim kapłanem opiekującym się azylem) przygotowała nam niewyszukaną kolację. Zostawiliśmy bagaże w celach, odświeżyliśmy się w zbiorowych łazienkach i spotkaliśmy w jadalni, gdzie zasiedliśmy przy składanych stolikach - całkiem podobnych do tych, które podczas apertu wystawialiśmy przed bramę koncentu. Pachniało jak w sklepie malarskim.

Powiedziano nam, że w klasztorze mieszka czterdziestu trzech mnichów - niewielu, z punktu widzenia deklarantów, u

których liczebność pojedynczych kapituł sięgała setki. Czterech z nich dołączyło do nas przy kolacji. Nie byliśmy pewni, czy mają jakiś szczególny status, jak u nas hierarchowie, czy po prostu tylko tę czwórkę zaintrygowali niezapowiedziani goście. Wszyscy mieli siwe brody i koniecznie chcieli poznać fraa Jaada. Rytualna bazyjska odmiana orthyjskiego zgadzała się z naszą mniej więcej w siedemdziesięciu procentach.

Po rozmowie, jaką niedawno odbyłem z Lio, można by się spodziewać, że obaj będziemy chcieli siedzieć jak najbliżej fraa Jaada, tymczasem woleliśmy trzymać się od niego z daleka - jak tajni agenci ze szpilu, którzy zgrywają twardzieli i nie chcą się zdradzić. Tuż przed rozpoczęciem kolacji do jadalni wparował Arsibałt w towarzystwie setników; do ostatniej chwili siedzieli nad jakąś calcą w jednym z domków gościnnych. Arsibałt miał obłęd w oczach; było widać, że koniecznie chciałby z kimś pogadać. Dopiero pod wieczór udało mu się obejrzeć naszą tabliczkę fotomnemoniczną: zobaczył dowód geometryczny wyrysowany na kadłubie statku Kuzynów i teraz sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał eksplodować. Zrobiło mi się go żal, kiedy w jadalni stanął przed wyborem: usiąść ze mną i Lio czy z fraa Jaadem i bazyjskimi mnichami. Widząc jego wahanie, Ferman Beller wstał i przywołał go skinieniem ręki. Nie chcąc go urazić, Arsibałt dołączył do niego przy stole.

Zawsze rozpoczynaliśmy posiłki inwokacją do saunty Cartas. Z grubsza rzecz biorąc, idea tego hołdu przedstawiała się następująco: nasze umysły karmią się ideami wielkich myślicieli, wywodzących się od Cnoüsa, ale w kwestii strawy fizycznej dla naszych ciał jesteśmy uzależnieni od siebie nawzajem i połączeni Dyscypliną Cartaską. Co innego deolatrzy - u nich każdy odłam miał własne rytuały związane z posiłkami. Ortodoksja bazyjska była religią postagrarną, w której symboliczna ofiara zastąpiła prawdziwą: siadając do stołu, odgrywali najpierw ilustrującą to krótką scenkę, a następnie przez chwilę wysławiali swojego Boga, prosząc Go o różne dobra i usługi. Opiekun azylu odruchowo rozpoczął odprawianie ofiary, ale w połowie stracił pewność

siebie, widząc, że deklaranci, zamiast pochylić kornie głowy, przyglądają mu się z zaciekawieniem. Wątpię, żeby się przejął naszą niewiarą w jego Boga (do tego musiał być przyzwyczajony); podejrzewam raczej, że odczuł zakłopotanie na myśl o tym, że popełnia *faux pas*. Dlatego, kiedy skończył, poprosił nas o tradycyjne matemowe błogosławieństwo. Brakowało nam altów i sopranów, zdołaliśmy jednak zebrać dość tenorów, barytonów i basów, żeby odśpiewać wiekową, prostą inwokację do Cartas. Fraa Jaad dudnił takim burdonem, że - mógłbym przysiąc! - zastawa wibrowała na stołach.

Mnisi byli zachwyceni i po naszej inwokacji zaśpiewali we czterech swoją własną, równie starą modlitwę. Musiała się wywodzić z początków ich tradycji monastycznej, niedługo po upadku Bazu, ponieważ użyty w niej starorthyjski niczym nie różnił się od naszego. Zresztą melodia również zdradzała, że skomponowano ją, zanim muzyczne drogi matemów i klasztorów na dobre się rozeszły. Gdybym nie wsłuchał się w słowa, mógłbym wziąć modlitwę za jedną z naszych kompozycji.

Rozmowy przy kolacji musiały brzmieć miałko i nieciekawie w porównaniu z wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin - szczególnie że musieliśmy mówić po fluksyjsku i unikać wszelkich wzmianek o statku, które mogłyby dojść do uszu naszych gospodarzy. Siedziałem sfrustrowany, znudzony i senny; prawie się nie odzywałem. Cord i Rosk rozmawiali bez przerwy. Nie byli religijni i było po nich widać, że czują się w takim miejscu niezręcznie. Jedna z młodych kobiet z personelu nie szczędziła wysiłków, żeby okazać im gościnność, ale jej trud przynosił skutek odwrotny do zamierzonego. Sammann bawił się swoim piszczkiem, który w jakiś sposób udało mu się podłączyć do systemu łączności w azylu. Barb wyszperał gdzieś regulamin obozowiska i uczył się go na pamięć. Nasi trzej setnicy usiedli razem i rozmawiali między sobą; nie znali fluksyjskiego i nie roztaczali uroku tysięcznika, który fraa Jaadowi zapewnił zainteresowanie mnichów. Arsibałt dyskutował o czymś z Fermanem. Widząc, że Cord i Rosk przysuwają się do nich i

strzygą uszami, również podszedłem bliżej. Ferman najwyraźniej rozmyślał o krakersach i chciał się dowiedzieć o nich jak najwięcej. Z braku innej rozrywki Arsibalt postanowił przedstawić mu tradycyjną calcę nazywaną „Mucha, nietoperz i dżdżownica”, która służyła zapoznaniu fidów z krakerską koncepcją czasu i przestrzeni.

- Widzisz tę muchę łązącą po stole? - zapytał. - Nie, nie płosz jej. Przyjrzyj jej się. Zobacz, jakie ma wielkie oczy.

Ferman Beller posłusznie zerknął na muchę, po czym znów wlepił wzrok w talerz.

- Wyglądają, jakby stanowiły połowę jej ciała - przyznał.

- Składają się z tysięcy osobnych oczu - mówił dalej Arsibalt. - Na dobrą sprawę nie powinny działać. - Wziął zamach, omal nie trafiając mnie przy tym w twarz. - Kiedy zamacham ręką tutaj, w dużej odległości, mucha się tym nie przejmie. Wie, że nic jej nie grozi. Dopiero kiedy przysunę rękę...

Przeniósł dłoń nad stół. Mucha odleciała.

- ...jej mikroskopijny muszy mózg odbiera sygnały od tysięcy oddzielnych prymitywnych oczu i w jakiś sposób scala je w poprawny obraz, który nie jest po prostu przestrzenny, lecz czasoprzestrzenny. Mucha wie, gdzie znajduje się moja ręka, i ma świadomość, że jeśli dalej będzie się poruszać tym torem, zgniecie ją. Dlatego postanawia zmienić miejsce pobytu.

- Myślisz, że Kuzyni też mają takie oczy? - spytał Beller.

Arsibalt zrobił unik:

- Może są jak nietoperze? Nietoperz wykryłby moją rękę, nasłuchując echa.

- Niech ci będzie. - Beller wzruszył ramionami. - Może Kuzyni piszczą jak nietoperze.

- Weźmy pod uwagę także to, że kiedy poruszam się, żeby zgnieść muchę, moje ciało wprawia stół w wibracje, które jakaś żywa istota, nawet głucha i ślepa, jak dżdżownica, mogłaby poczuć...

- Do czego zmierzasz?

- Proponuję ci mały eksperyment myślowy. Rozważmy

protyjską muchę, muchę w postaci czystej. Muchę doskonałą.

- Czyli?

- Złożoną z samych oczu. Żadnych innych organów zmysłów.

- W porządku - zgodził się dobrodusznie Beller. -
Rozważam ją.

- Dalej: protyjski nietoperz.

- Same uszy?

- Właśnie. I protyjska dżdżownica.

- Sam... zmysł dotyku?

- Tak. Nie ma oczu, nie ma uszu, tylko skórę.

- Chcesz w ten sposób obkoczyć wszystkie pięć zmysłów?

- Nie, to by było nudne. Trzy wystarczą. Umieszczamy muchę, nietoperza i dżdżownicę w jednym pomieszczeniu, razem z jakimś przedmiotem. Powiedzmy... z zapaloną świecą. Mucha widzi światło. Nietoperz piszczy i słyszy odbity dźwięk. Dżdżownica wyczuwa ciepło, a jeśli podpełźnie bliżej i dotknie świecy, pozna jej kształt.

- Przypomina mi to starą przypowieść o sześciu ślepcach i...

- Właśnie że nie! To zupełnie co innego. Ślepcy mają te same narządy zmysłów...

Beller pokiwał głową, dostrzegając swoją pomyłkę.

- To prawda. Mucha, nietoperz i dżdżownica mają różne.

- Ślepcy nie mogą się dogadać, czym jest przedmiot, który wyczuli dotykiem...

- A mucha, nietoperz i dżdżownica się dogadają? - Beller uniósł brwi.

- Słyszę w twoim głosie powątpiewanie - i słusznie. Ale cała trójka bada ten sam przedmiot, prawda?

- Naturalnie. Nie rozumiem jednak, co chcesz powiedzieć przez to, że się dogadają.

- Fascynujące pytanie... Zbadajmy je dokładniej. Tylko proponuję najpierw zmienić nieco reguły gry. Podnieść stawkę. Umówmy się, że przedmiot na środku pokoju nie jest już świecą,

lecz pułapką.

- Pułapką?! - Beller parsknął śmiechem.

Arsibalt spojrział na niego z dumą.

- Po co nam pułapka? - zdziwił się Beller.

- Stanowi zagrożenie. Jeżeli mucha, nietoperz i dżdżownica nie zdołają się porozumieć, zginą.

- Dlaczego pułapka, a nie po prostu czyjaś ręka, która zamierza je złapać?

- Myślałem o tym, ale musimy dać fory nieszczęsnej dżdżownicy, która w porównaniu z pozostałą dwójką bardzo wolno odbiera bodźce.

- No dobrze. Spodziewam się, że prędzej czy później cała trójka wpadnie w pułapkę.

- Są bardzo inteligentne.

- Mimo to...

- No dobrze, powiedzmy w takim razie, że znajdują się w olbrzymiej jaskini, w której roi się od much, nietoperzy i dżdżownic. Są ich miliony, a po całej jaskini ktoś porzrzucał tysiące pułapek. Kiedy jakaś ofiara wpada w pułapkę i ginie, reszta to widzi i się uczy.

Beller przetrwał słowa Arsibalta, biorąc dokładkę jarzyn.

- Wydaje mi się, że rozumiem, do czego zmierzasz. Po upływie dostatecznie długiego czasu, kiedy śmierć zbierze wystarczająco obfite żniwo, muchy nauczą się rozpoznawać pułapki po wyglądzie, nietoperze po echu, a dżdżownice po dotyku.

- Powiedzmy, że pułapki podkładają bezlitośni eksterminatorzy, którym zależy na wybiciu szkodników do nogi. Co rusz wymyślają nowe albo zmieniają coś w starych.

- Muchy, nietoperze i dżdżownice muszą być w takim razie bardzo cwane, żeby rozpoznawać zmieniające się pułapki.

- Ale taka pułapka może wyglądać zupełnie dowolnie! Muszą obserwować wszystko, co pojawia się w ich otoczeniu, i decydować na bieżąco, czy jeden albo drugi obiekt może się okazać pułapką.

- Rozumiem.

- Niektóre pułapki są zawieszane na sznurkach. Dżdżownice nie mogą ich dosięgnąć ani wyczuć ich drgań.

- No to mają pecha.

- Muchy nie widzą po ciemku.

- Szkoda mi ich.

- A w niektórych rejonach jaskini panuje taki zgiełk, że nietoperze nic nie słyszą.

- Czyli, jeśli chcą żyć, muszą się nauczyć współpracować.

- Jak? - To był dźwięk potrzasku Arsibalta zatraskującego się na nodze Beller.

- Chyba... powinny się porozumieć.

- No dobrze... Co dokładnie ma powiedzieć dżdżownica nietoperzowi?

- A co to ma wspólnego z Kuzynami?

- Wszystko!

- Myślisz, że Kuzyni są hybrydą muchy, nietoperza i dżdżownicy?

- Oni nie. My tak.

- No, ja nie mogę... - poskarżył się Beller.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Arsibalt rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć „Przecież prościej już się nie da!”.

- Wyjaśnij mi to, proszę - powiedział Beller. - Nie jestem przyzwyczajony do takich rozważań, szybko się męczę.

- Nie, ty mi to wyjaśnij. Co powie dżdżownica do nietoperza?

- Przecież dżdżownice nie mówią!

- To kwestia drugorzędna. Z czasem mogły się nauczyć układania ciała w różne kształty rozpoznawalne dla much i nietoperzy.

- W porządku, niech pomyślę... Mucha może zlecieć na dół, przysiąść na ciele dżdżownicy i łąząc po niej w umówiony sposób, coś jej przekazać. Każde z nich mogłoby chyba wymyślić sygnały wykrywalne dla pozostałych, w parach: dżdżownica-

nietoperz, nietoperz-mucha i mucha-dżdżownica.

- Zgadza się. Wróćmy do mojego pytania: co sobie powiedzą?

- Zaraz, Arsibalcie, nie tak prędko. Zgadzamy się, że dżdżownica może ułożyć się na ziemi w kształt C albo S, rozpoznawalny dla obserwującej ją z góry muchy. Ale to tylko alfabet, nie język.

Arsibalt wzruszył ramionami.

- Języki wykształcają się z czasem. Pokrzykujące na siebie nawzajem mały wypracowują prymitywny kod, żeby powiedzieć „Pod kamieniem siedzi wąż” czy coś w tym guście.

- Wszystko pięknie, dopóki twój świat ogranicza się do węży i kamieni.

- Świat w naszym eksperymencie myślowym składa się z ogromnej jaskini o nieregularnym kształcie, w której porzucane są pułapki: niektóre świeżutkie i wciąż niebezpieczne, inne stare, zużyte i niegroźne.

- Usilnie próbujesz dać mi do zrozumienia, że te pułapki to urządzenia mechaniczne. Chcesz przez to powiedzieć, że są przewidywalne?

- Gdybyśmy ty albo ja je obejrzeni, moglibyśmy się domyślić, jak działają.

- Wobec tego wszystko sprowadza się do opracowania mechanizmu: ta zębatka zahacza tę, ta z kolei uruchamia tłok połączony ze sprężyną...

- Owszem. - Arsibalt skinął głową. - Tego rodzaju informacje muszą sobie przekazywać muchy, nietoperze i dżdżownice, żeby odróżnić pułapki od nie-pułapek.

- Skoro mały na drzewach dogadały się, który wyraz ma oznaczać kamień, a który węża, one również wypracują symbole lub słowa na określenie tłoków, przekładni i tak dalej.

- Czy to wystarczy?

- Nie, jeśli mechanizm będzie skomplikowany. Powiedzmy, że są w nim dwa koła zębate. Znajdują się blisko siebie, ale nie na tyle, żeby ich zęby mogły o siebie zaczepić.

- Bliskość. Odległość. Miara. Jak dżdżownica ma zmierzyć odległość między dwoma tłokami?

- Wyciągając maksymalnie ciało.

- A jeśli to nie wystarczy?

- Może pomierzyć większą odległość, jeśli zapamięta, ile razy musiała się wyciągnąć.

- A nietoperz?

- Porówna odstęp między usłyszeniem echa odbitego od jednego i drugiego tłoka.

- Mucha?

- To proste: wystarczy, że porówna wielkość obrazów przekazywanych z oczu do mózgu.

- Pięknie. Powiedzmy zatem, że cała trójka pomierzyła odległość między dwoma tłokami. Każde po swojemu. Jak mogą porównać swoje notatki?

- Dżdżownica przełoży wynik pomiaru na ten swój cielesny alfabet.

- A co powie jedna mucha do drugiej, kiedy zobaczy taką dżdżownicę?

- Nie wiem.

- Powie tak: „Dżdżownica próbuje nam chyba zakomunikować jakieś swoje dżdżownicowe przemyślenia, ale ponieważ nie pełzam po ziemi i nie wyobrażam sobie, jak to jest być ślepym, nie mam zielonego pojęcia, co właściwie chce nam w ten sposób przekazać!”.

- No przecież dawno o tym mówiłem - poskarżył się Beller.

- Muszą wypracować wspólny język, bo sam alfabet nie wystarczy.

- Jaki to musiałby być język?

Beller się zamyślił.

- Co próbują sobie przekazać? - odpowiedział mu Arsibalt.

- Geometria trójwymiarowa - odparł Beller. - Plus informacja o czasie, ponieważ elementy mechanizmu się poruszają.

- Cokolwiek dżdżownica powie musze, mucha nietoperzowi, a nietoperz dżdżownicy, zabrzmie jak bełkot - mówił dalej Arsibalt, naprowadzając Bellerę na właściwe skojarzenia.

- Tak jakby ślepcowi opowiadać o kolorze niebieskim.

- Otóż to. Wszystko będzie dla nich bez znaczenia, poza opisem geometrii i czasu. To ich jedyny potencjalnie wspólny język.

- Przypomniał mi się dowód geometryczny narysowany na burcie statku Kuzynów - powiedział Beller. - Chcesz powiedzieć, że my i oni jesteśmy jak dżdżownice i nietoperze? Że możemy się porozumieć wyłącznie za pośrednictwem geometrii?

- Nie, wcale nie o to mi chodziło.

- A o co w takim razie?

- Wiesz, w jaki sposób wyewoluowały organizmy wielokomórkowe?

- No... jednokomórkowce łączyły się w większe skupiska, żeby czerpać z tego korzyści?

- Tak. Zdarzało się też, że jedno z nich wchłaniały inne.

- Słyszałem o tym.

- Tak właśnie działa nasz mózg.

- Co takiego?!

- Nasz mózg to takie muchy, dżdżownice i nietoperze, które zebrały się do kupy, bo uznały, że tak będzie dla nich lepiej. I te różne części naszego mózgu nieustannie się porozumiewają; przekładają to, co postrzegają, na wspólny język geometrii. Tak funkcjonuje mózg. Na tym polega świadomość.

Beller najpierw pohamował chęć panicznej ucieczki z krzykiem (co zajęło mu parę sekund), a potem zamyślił się nad słowami Arsibalta (co trwało kilka dobrych minut). Arsibalt nie spuszczał go z oka.

- Nie mówisz chyba dosłownie? - upewnił się Beller.

- Oczywiście, że nie.

- Ulżyło mi.

- Twierdzą jednak, że pod względem funkcjonalnym nasz mózg byłby nie do odróżnienia od mózgu, który ewoluował w

przedstawiony przeze mnie sposób.

- Ponieważ musi cały czas przetwarzać informacje, tylko po to...

- Żebyśmy byli istotami rozumnymi. Świadomymi. Musimy nieustannie analizować nasze wrażenia zmysłowe i tworzyć z nich spójny model nas samych i naszego otoczenia.

- To o tym mówiłeś wcześniej? Przy krakersach?

- W pewnym przybliżeniu... - Arsibalt pokiwał głową. - Można powiedzieć, że to koncepcja postkrakerska. Metateorycy, którzy znaleźli się pod silnym wpływem krakersów, zaczęli posługiwać się taką argumentacją w późniejszym okresie, mniej więcej w czasie Pierwszego Zwiastuna.

Beller nie potrzebował chyba tak szczegółowych objaśnień, ale porozumiewawcze spojrzenie Arsibalta potwierdziło moje wcześniejsze podejrzenia: czytał o tym przy okazji analizowania późnych prac Evenedryka. Odczekałem jeszcze chwilę, aż jego dialog z Bellerem zacznie tracić impet, po czym udałem się prosto do swojej celi, gdzie planowałem długi, pokrępiący sen. Tymczasem Arsibalt, poruszając się z niezwykłą u niego prędkością, dopadł mnie zaraz po wyjściu z jadalni.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytałem.

- Przed kolacją setnicy zrobili taką małą calcę...

- Zauważyłem.

- Liczby się nie zgadzają.

- Jakie liczby?

- Statek jest za mały, żeby w rozsądnym czasie przemieszczać się między gwiazdami. Nie pomieściłby tylu bomb atomowych, żeby rozpedzić się do prędkości relatywistycznej.

- Hmm... Może odłączył się od statku-matki, którego jeszcze nie widzieliśmy i który jest wystarczająco duży?

- Nie wygląda na tego rodzaju pojazd. Sam w sobie jest ogromny, mógłby pomieścić dziesiątki tysięcy ludzi.

- Za duży na wahadłowiec, za mały na statek międzygwiazdny...

- Otóż to.

- Ale coś mi się widzi, że ci setnicy oparli się na licznych aksjomatach, nie próbując ich weryfikować.

- To celny zarzut - przyznał Arsibalt, wzruszając ramionami. Widziałem po nim, że ma w zanadrzu jeszcze jakąś inną hipotezę.

- No dobrze - powiedziałem. - A co ty o tym sądzisz?

- Że statek przybył z innego wszechświata. I że to dlatego powołali fraa Paphlagona.

Stanęliśmy przed drzwiami mojej celi.

- Ja się gubię już w naszym kosmosie - przyznałem. - Nie wiem, czy o tej porze powinienem w ogóle rozważać istnienie innych wszechświatów.

- W takim razie dobranoc, fraa Erasmasie.

- Dobranoc, fraa Arsibalcie.

Obudziły mnie dzwony. Nie rozumiałem ich kadencji, ale po chwili przypomniałem sobie, gdzie jestem, i zrozumiałem, że nie są to dzwony koncertowe, tylko klasztorne, bezlitośnie budzące mnichów do jakiegoś porannego rytuału.

Przez noc w mojej głowie zapanował połowiczny ład. Wiele nowych idei, zdarzeń, ludzi i obrazów, napierających na mnie dzień wcześniej, udało mi się uporządkować - jak zapisane arkusze, które zostały zrolowane i upchnięte do właściwych przegródek. Chociaż tak naprawdę nic przecież nie zostało rozstrzygnięte; wszystkie pytania, dręczące mnie, gdy przykładałem głowę do poduszki, nadal czekały na odpowiedź. Ale potem, kiedy zapadłem w sen, mój mózg intensywnie zmieniał się w taki sposób, żeby dostosować się do nowego kształtu mojego świata. To chyba dlatego, kiedy śpimy, nie robimy nic innego: praca wre.

Dzwony ucichły i po jakimś czasie nie wiedziałem już, czy nadal je słyszę, czy tylko po prostu dzwoni mi w uszach. Trwał

tylko jeden niski ton, mocny, niewzruszony, przytłumiony odległością. Wiedziałem, że słyszę go od wielu godzin; że w tych na wpół sennych chwilach, gdy przewracałem się na drugi bok albo podciągałem wyżej koc, słyszałem go, zastanawiałem się nad nim i znów zapadałem w sen. Pierwszym i najbardziej oczywistym podejrzanym był jakiś nocny ptak, ale tak basowy dźwięk nie mógł się wydobywać z ptasiego gardła: miałem wrażenie, jakby ktoś grał na dziesięciometrowym flecie w połowie wypełnionym wodą i kamieniami. Zresztą ptaki rzadko siedzą w jednym miejscu i hałasują przez pół nocy. W takim razie jeśli nie ptak, to jakiś spory płaz, stęskniony partnerki, przycupnięty na kamieniu obok źródła i wydmuchujący powietrze z rozedrganego rezonatora. Ale nie, dźwięk był zbyt regularny. Powtarzalny. Jak pomruk generatora; rechot pompy nawadniającej pracującej gdzieś w dolinie; wizg pneumatycznych hamulców ciężarówki na stromym zjeździe.

Ciekawość i pełny pęcherz nie dały mi już zasnąć. W końcu wstałem (po cichu, żeby nie obudzić Lio) i ściągnąłem koc z koi. Zamierzałem się nim owinać, ale zawahałem się, kiedy przypomniałem sobie, że powinienem ubierać się jak mieszkańcy extramuros. W półmroku przedświtę nawet nie widziałem stosu, na który wieczorem zrzuciłem spodnie, bieliznę i całą resztę, wróciłem więc do planu A: ściągnąłem koc z pryczy, owinałem się nim i wyszedłem.

Wydawało mi się, że dźwięk dobiega ze wszystkich kierunków jednocześnie. Zanim skorzystałem z latryny, wyszedłem z niej i dałem się owionąć rześkiemu powietrzu poranka, wtedy zorientowałem się, skąd naprawdę dochodzi: od strony muru oporowego, który mnisi wybudowali na stromiznie, żeby zapobiec osunięciu się drogi. Ruszyłem w jego kierunku, gdy nagle pojaśniało mi w głowie i nie pojmowałem już, jak mogłem sobie wyobrażać, że słyszę płaza albo ciężarówkę. To był ludzki głos. Ktoś śpiewał - a właściwie zawodził basem, utrzymując tę samą nutę, odkąd się obudziłem.

Melodia minimalnie się zmieniła - więc jednak nie był to po prostu burdonowy ton, tylko prawdziwa pieśń. Chociaż

śpiewana w bardzo, bardzo wolnym tempie.

Nie chcąc przstraszyć fraa Jaada ani - tym bardziej - mu przeszkadzać, zatoczyłem łuk po miękkiej, wilgotnej trawie, przeszedłem przez strzelnicę i w ten sposób zobaczyłem go z odległości kilkuset stóp. Proste odcinki muru oporowego były połączone pękatymi basztami o płaskich szczytach, mierzących około czterech stóp średnicy. Fraa Jaad wyratował z bagażu swój zawój, napuszył go do zimowej grubości, otulił się nim i wspiął się na basztę, skąd miał piękny widok na południową pustynię. Klęczał tam w tej chwili, siedząc na piętach, z rozłożonymi rękami. Po lewej stronie niebo miało świetlisty odcień fioleto, który zmył z niego gwiazdy. Po prawej nadal świeciły najjaśniejsze gwiazdy i jedna planeta, zmagając się ze światłem nadchodzącego dnia i poddając mu się po kolei w miarę upływu czasu.

Mógłbym tak stać i patrzeć godzinami. Przyszło mi do głowy coś, co mogło być wyłącznie moim złudzeniem: że fraa Jaad śpiewa pieśń kosmograficzną, requiem dla pożeranych przez świt gwiazd. Z całą pewnością tempo tej muzyki było prawdziwie kosmograficzne; niektóre nuty trwały dłużej, niż ja potrafiłem wstrzymać oddech. Fraa Jaad musiał opanować jakąś sztuczkę, która pozwalała mu jednocześnie śpiewać i oddychać.

W klasztorze (za moimi plecami, nieco powyżej mnie) zabrzmiał pojedynczy dzwon i śpiewana przez samotnego kapłana starorthyjska inwokacja. Odpowiedział jej chór głosów. Musiało to być wezwanie na jakiś poranny ryt. Byłem niepokieszony, że ceremonia mnichów zakłóca śpiew fraa Jaada, ale musiałem przyznać, że gdyby Cord zbudziła się i przyszła posłuchać, miałyby problem z odróżnieniem ich. Wiedziałem, że śpiew fraa Jaada wywodzi się z tysiącletnich badań teoretycznych, zespolonych z równie wiekową tradycją muzyczną. Ale po co w ogóle mieszać teorię do muzyki? Po co zarywać noc, przesiadywać do rana w pięknym miejscu i śpiewać takie pieśni? Istnieją przecież łatwiejsze sposoby na dodanie dwóch do dwóch.

Śpiewałem basem od pamiętnej wiosny sprzed sześciu lat,

kiedy to spadłem z sopranów jak po schodach. W mojej okolicy śpiewanie basem zwykle oznaczało długotrwałe podtrzymywanie burdonowych tonów. Kiedy człowiek przez trzy godziny trzyma jedną i tę samą nutę, coś się dzieje z jego mózgiem - zwłaszcza kiedy wpadnie w rezonans z otaczającymi go śpiewakami i razem dostroją się do naturalnej częstotliwości drgań tumbu (nie mówiąc już o tysiącach beczek ustawionych pod ścianami). Całkiem poważnie myślę, że drgania mózgu wywołane falami akustycznymi prowadzą do zmian w jego funkcjonowaniu. I gdybym był starym, szczerbatym tysięcznikiem (a nie dziewiętnastoletnim dziesiętnikiem), może wystarczyłoby mi pewności siebie, żeby twierdzić, że w takim stanie mózg może snuć rozważania, do których w innej sytuacji nie byłby zdolny. Chodzi mi o to, że fraa Jaad nie zarwał całej nocy po prostu dlatego, że lubił muzykę - ale dlatego, że coś robił.

Zostawiłem go i poszedłem się przejść. Wschodziło słońce. Dobiegający z jadalni szcęk zastawy świadczył o tym, że personel azylu przygotowuje śniadanie. Wróciłem więc do celi, przebrałem się i poszedłem pomóc. Pod pewnymi względami byłem extramuros bezradny jak dziecko, ale gotować umiałem. Fraa Jaad i pozostali pomału, pojedynczo przesączała się do kuchni i również próbowali pomagać, dopóki ich nie wygoniono do jedzenia.

Poza czwórką mnichów, którzy poprzedniego wieczoru zjedli z nami kolację, na śniadaniu pojawiło się jeszcze trzech nowych - w tym jeden staruszek, który koniecznie chciał rozmawiać z fraa Jaadem, chociaż mocno niedosłyszał. Reszta deklarantów zostawiła ich w spokoju: skoro mnisi najwyraźniej czuli się zaszczytzeni, mogąc porozmawiać z tysięcznikiem, czemu mielibyśmy im w tym przeszkadzać? Drugiej szansy nie będą mieli.

Na zakończenie śniadania podarowali nam książki. Pozwoliłem Arsibaltowi przyjąć je w naszym imieniu i wygłosić zgrabne podziękowanie. Jego słowa tak bardzo przypadły im do gustu, że aż poczułem się nieswojo, ponieważ Arsibalt zachęcał

ich usilnie do doszukiwania się naturalnych podobieństw między nami i nimi - ale nic złego z tego nie wynikło. Mnisi byli dla nas dobrzy, przyjęli nas z otwartymi ramionami i nie oczekiwali niczego w zamian (dałbym sobie głowę uciąć, że państwo sekularne wynagrodzi im wszelkie trudy), i właśnie dlatego przemowa Arsibalta tak mnie zaniepokoiła: zdawało się, że podkreśla w niej możliwość rewanżu z naszej strony - w postaci przyszłych kontaktów. Na szczęście, kiedy kopnąłem go w kostkę, chyba zrozumiał aluzję. Parę minut później schodziliśmy po zboczu góry. Otrzymane od mnichów księgi uzupełniły przenośną biblioteczkę Arsibalta.

Erasmus: Fraa ze Saunty Baritoe z czternastego wieku p.r., który wspólnie z Uthentine stworzył gałąź metateoryki nazwaną protyzmem złożonym.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Pomiędzy klasztorem i Kopcem Bly'a bardzo mała rzeczka ciurkała w bardzo dużym wąwozie, którego brzegi spinał tylko jeden zdatny do przeprawy most. Dopóki przez niego nie przejechaliśmy i nie dotarliśmy do rozwidlenia dróg, nie musieliśmy się specjalnie zastanawiać, jak jechać. Teraz jednak droga prowadząca w lewo zataczała szeroki łuk i omijała górę, ta po prawej zaś biegła w górę dopływu rzeki, w kierunku osady opisaney w mapomacie jako Sambie. Pojechaliśmy w stronę Sambie i nieco ponad godzinę od opuszczenia klasztoru zobaczyliśmy w oddali coś, co z tej odległości wyglądało jak myjka do szorowania naczyń ciśnięta na gładki południowy stok Kopca Bly'a. Był to kobierzec karłowatych drzewek. Z bliska dostrzegliśmy, że jest cały pocięty murkami, płotami i dachami domów. Wyższe drzewa - pielęgnowane przez pokolenia wielbicieli zachwyconych ich urodą albo rzucanym przez nie cieniem - otaczały prostokątny spłachetek trawy, na którego jednym końcu wznosiła się szpiczasta sylwetka drewnianej arki

antybazyjskiej. Nie musieliśmy się nawet kontaktować z drugim pojazdem: i oni, i my znaleźliśmy drogę na zielony placyk i wysiedliśmy z wozów. Usłyszeliśmy dobiegający z arki śpiew, nigdzie jednak nie widać było ludzi. Wszyscy - włącznie z Ganelialem Crade'em, którego aport stał zaparkowany na placyku obok arki - musieli znajdować się w środku.

Miasteczko nie wyglądało zbyt obiecująco jako potencjalne miejsce pobytu Oroła albo (gdyby jeszcze żył) Estemarda, ale dało nam pewne pojęcie o tym, jak dzikus mógłby przeżyć na odludziu: w takim Sambie z powodzeniem zaopatrzyliby się w żywność i lekarstwa; pozostawała jeszcze kwestia zapłaty za nie, ale fraa Carmolathu zwrócił uwagę, że istnienie Sambie i tak nie ma sensu z ekonomicznego punktu widzenia (brak innych miast w okolicy, jałowa ziemia, brak poważniejszego przemysłu), i wysnuł przypuszczenie, że osada jest tylko wspólnotą religijną, dokładnie tak samo jak klasztor, w którym zanocowaliśmy. Gdyby rzeczywiście tak było, Oroło i Estemard nie musieliby płacić za towary pieniędzmi. Wystarczyłoby, żeby odwdzięczyli się mieszkańcom w inny, użyteczny dla nich sposób.

- A może po prostu zebrają? - zasugerował fraa Jaad. - Jak mnisi z niektórych dawnych zakonów...

Większości z nas idea żebractwa wydała się bardziej atrakcyjna niż sugestia, że Oroło i Estemard mieliby się wysługiwać slogom, co wywołało ożywioną dyskusję. Nasze próby wzajemnego plantowania się z pewnością zakłóciłyby nabożeństwo w arce, gdyby miało ono cichy, kontemplacyjny charakter, ale wierni czynili zgiełk, o jakim nasza grupka mogłaby co najwyżej pomarzyć, a ich śpiew w wielu momentach przypominał krzyki. Paru z nas oddzieliło się od reszty i przez długą chwilę porównywało wskazania mapomatu z panoramą kopca. Według mapy Sambie (fraa Carmolathu domniemywał, że może to być zniekształcona i skrócona forma zbitki „Sawant Bly”) leżało na początku bitego traktu, który spiralą prowadził na szczyt góry. W końcu udało nam się znaleźć miejsce, gdzie zaczynał się trakt: placyk na tyłach arki. Chwilowo nie mogło być mowy o tym,

żeby dało się przez niego przejechać, ponieważ był dokumentnie zastawiony parkującymi na nim pojazdami. Kilka błyszczących mobów należało zapewne do elity uchodzącej w Sambie za miastowych, znacznie więcej było jednak przykurzonych aportów z szerokimi oponami. Przez środek placyku prowadził swobodny przejazd, ale aport Crade'a skutecznie blokował wjazd na trakt.

Mapomat wskazywał, że od wierzchołka dzielą nas zaledwie cztery mile. Spieszno mi było dotrzeć na górę, więc napełniłem manierkę wodą z pompy na środku trawnika i ruszyłem pieszo. Lio przyłączył się do mnie, podobnie jak fraa Criscan, najmłodszy z setników. Trochę dziwnie się czułem, klucząc wśród nieruchomych pojazdów wiernych z Sambie, ale w końcu precyzyjnie się obok wozu Crade'a i weszliśmy na trakt, który kawałek dalej zakręcał zgodnie z krzywizną stoku. Mieścina zniknęła nam z oczu, a po minucie przestaliśmy także słyszeć dobiegające z arki wrzaski i został tylko suchy wiatr znad pustyni, niosący aromat rosnących na niej twardych, żywicznych roślin. Systematycznie zdobywaliśmy wysokość i rozgrzewaliśmy się w marszu, mimo że temperatura powietrza szybko spadała. Kiedy znaleźliśmy się po przeciwnej stronie góry niż Sambie, zobaczyliśmy szczyt, na którym majaczyły jakieś zabudowania, szkielety starych wież z antenami i wielościenne kopuły. Domyślaliśmy się, że są to resztki jakiejś instalacji wojskowej, co kompletnie nas nie interesowało, ponieważ człowiek zamieszkiwał tę okolicę od kilku tysięcy lat i takie pozostałości można było znaleźć dosłownie wszędzie.

Znowu zatoczyliśmy półokrąg, pnąc się w górę po spirali, i stanęliśmy dokładnie nad Sambie; mogliśmy pomachać naszym towarzyszom. Nabożeństwo trwało w najlepsze. Spodziewaliśmy się, że nasze pojazdy szybko nas dogonią, a spacer traktowaliśmy jako zdrowotną przechadzkę, ale zanosilo się na to, że dotrzemy na górę przed nimi. Nie wiedzieć czemu, pobudziło to nasz instynkt rywalizacji i przyspieszyliśmy kroku. Znaleźliśmy skrót używany przez innych piechurów i wspieliśmy się nim kilkaset stóp prosto do góry, oszczędzając sobie jednego pełnego obejścia góry.

- Znałeś fraa Paphlagona? - zagadnąłem Criscana, kiedy przystanęliśmy na końcu skrótu, żeby się napić wody i ponapawać przebytą drogą. Widok był wart paru minut zachwytu.

- Byłem jego fidem - odparł. - A ciebie uczył Orolu?

Skiąłem głową.

- Wiedziałeś o tym, że Orolu był fidem Paphlagona, zanim Paphlagon przeszedł labirynt i trafił do was? - zapytałem.

Fraa Criscan nie odpowiedział. Gdyby Paphlagon wspomniał o Orolu (albo o dowolnym innym aspekcie życia wśród dziesiętników), dla Criscana byłoby to naruszenie Dyscypliny, ale takie rzeczy często same wypływały, kiedy dyskutowało się o pracy naukowej.

- Paphlagon współpracował z innym dziesiętnikiem, Estemardem - mówiłem dalej. - Razem uczyli Orola i w tym samym okresie odeszli z naszego matemu: Paphlagon przez labirynt, Estemard przez Bramę Dzienną.

- Jaką opinią cieszył się Orolu? - zainteresował się Criscan.

- Przed peanatemą, naturalnie.

- Był najlepszy z nas - odparłem, zaskoczony tym pytaniem. - Czemu pytasz? Co wy sądziliście o Paphlagonie?

- Mniej więcej to samo.

- Ale...? - Wyczułem, że będzie jakieś „ale”.

- Miał dziwną profesję. Zamiast robić coś zwyczajnego, jak większość z nas, studiował...

- Polikosmos, wiemy. Albo Hylaejski Świat Teoryczny. Albo jedno i drugie.

- Znaie jego pisma...

- Sprzed dwudziestu lat. Nie mamy pojęcia, czym ostatnio się zajmował.

Criscan milczał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że to może być ważne na konwoksie, więc chyba powinniśmy o tym porozmawiać.

- My nie naskarżymy - zapewnił go Lio.

Criscan nie docenił żartu.

- Zauważyliście, że ilekroć ludzie zaczynają dyskutować o Hylaejskim Świecie Teorycznym, zawsze kończy się to takim samym rysunkiem?

- Właściwie... jak się nad tym zastanowić, to rzeczywiście, masz rację - przyznałem.

- Dwa koła albo prostokąty - dodał Lio. - Połączone strzałką.

- Jedno koło albo prostokąt reprezentuje Hylaejski Świat Teoryczny - powiedziałem. - Strzałka prowadzi od niego do tego drugiego, przedstawiającego nasz świat.

- Nasz wszechświat - poprawił mnie Criscan. - Dziedzinę przyczynową, jeśli wolicie. A strzałka...?

- Przepływ informacji - odparł Lio. - Wiedza o trójkątach, która trafia do naszych mózgów.

- Związek przyczynowo-skutkowy - zaproponowałem, wspomniawszy wykład Orola o odłączeniu dziedziny przyczynowej.

- To w gruncie rzeczy jedno i to samo - stwierdził setnik. - Ten diagram stwierdza po prostu, że informacja na temat form teorycznych może przenikać z HST do naszego wszechświata i powodować tutaj mierzalne efekty.

- Zaraz, jak to „mierzalne”? - zdziwił się Lio. - O jakiej mierzalności mówimy? Nie da się przecież zważyć trójkąta. Tak jak nie da się wbić gwoźdźcia Twierdzeniem Adrakhonesa.

- Ale możesz o nich myśleć. A myślenie to proces fizyczny zachodzący w twojej tkance nerwowej.

- Mógłbyś wetknąć sobie sondy w mózg i wszystko pomierzyć - dodałem.

- Otóż to. Idea protyżmu polega na tym, że te sondy w mózgu dawałyby zupełnie inne wyniki, gdyby nie było przepływu informacji z HST do naszego świata.

- Pewnie masz rację - zgodził się Lio. - Ale kiedy tak o tym mówisz, brzmi to jakoś... mało konkretnie.

- Mniejsza z tym - powiedział Criscan. Nie chciał tracić energii na zbędne wyjaśnienia, dopóki szliśmy stromo pod górę,

dyszac ciężko i spływając potem. - Wróćmy na razie do tego diagramu z dwoma prostokątami. Paphlagon kontynuował tradycję zapoczątkowaną w czternastym wieku p.r. przez suur Uthentine z Saunty Baritoe i dającą się streścić w trzech słowach: „Dlaczego tylko dwa?”. Podobno Uthentine zareagowała w ten sposób na widok standardowego dwuelementowego diagramu, nakreślonego na tablicy przez fraa Erasmasa.

Lio spojrział na mnie pytająco.

- Tak - przytaknałem. - Mój imiennik.

- I powiedziała do Erasmasa: „Widzę, że tłumaczysz swoim fidom ideę skierowanych grafów acyklicznych” - ciągnął Criscan. - „Kiedy przejdziesz do czegoś bardziej interesującego?”. „Za przeproszeniem”, odparł Erasmus, „to nie jest SGA, ale coś zupełnie innego”. Suur Uthentine poczuła się urażona; była przecież teorką i całe życie poświęciła badaniu takich zagadnień. „Chyba umiem rozpoznać SGA”, zachnęła się, czym rozdrażniła Erasmasa, który jednak doszedł do wniosku, że może warto byłoby podążać śladem jej iluminacji. W ten sposób Uthentine i Erasmus opracowali założenia protyzmu złożonego.

- W odróżnieniu od prostego, tak? - spytałem.

- Tak. Protyzm prosty to graf z dwoma prostokątami; w złożonym liczba prostokątów i strzałek jest dowolna, pod warunkiem, że podążając za strzałkami, nie wróci się do punktu wyjścia.

Obeszliśmy zacienioną stronę kopca i wyszliśmy na odcinek drogi, który podczas okresowych deszczów był zalewany mułem, przez co wyśmienicie nadawał się do rysowania. Przysiedliśmy dla złapania tchu i popijaliśmy wodę, a Criscan skorzystał z okazji i wyłożył nam calcę* objaśniającą ideę protyzmu złożonego. Główne jej przesłanie było takie, że nasz wszechświat - choć na pewno nie jest jedyną dziedziną przyczynową, do której spływają informacje z jedyne go i niepowtarzalnego Hylaejskiego Świata Teorycznego - może być jedynym węzłem w sieci kosmosów, przez który przepływa informacja; zawsze w tym samym kierunku, jak oliwa ściekająca

po knocie lampy. Inne kosmosy, może całkiem do naszego podobne, znajdują się wyżej na Knocie i przekazują informacje do nas; jeszcze inne leżą niżej i to my dostarczamy im informacji. Wszystko to brzmiało dosyć abstrakcyjnie, ale przynajmniej pomogło mi zrozumieć, dlaczego Paphlagon został powołany.

- Mam pytanie do was jako dziesiętników - powiedział Criscan, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. - Co wiecie o Estemardzie?

- Opuścił koncent przed naszą kolektą - odparłem. - Nie mieliśmy okazji go poznać.

- Nic nie szkodzi - uspokoił nas Criscan. - Niedługo i tak się wszystkiego dowiemy.

Uzśliśmy jeszcze zaledwie kilka kroków, kiedy Lio zerknął bojaźliwie na bliski już szczyt kopca i odezwał się:

- Ja się trochę interesowałem Estemardem. Może lepiej powiem wam, co o nim wiem, zanim wpakujemy się mu nieproszeni do domu.

- Świetnie! - ucieszyłem się. - Czego się dowiedziałeś?

- Prawdopodobnie był to jeden z tych wypadków, kiedy deklarant zdecydował się odejść sam, zanim zostanie odrzucony.

- Serio?! Za co?

- Wybrał sobie profesję kafelkarza. Ozdobne płytki w nowej pralni to jego dzieło.

- Geometryczne wzory... - mruknąłem.

- Owszem. Wygląda jednak na to, że traktując kafelki jako hobby, maskował w ten sposób zainteresowanie starym problemem geometrycznym, tak zwanym teglonem. To zagadnienie z dziedziny tesselacji, datujące się z czasów Oritheny.

- Czy ten teglon nie wpędził przypadkiem paru ludzi w obłąd? - zapytałem.

- Metekoranes stał na Dziesięciokącie przed Oritheną, zajęty rozważaniem teglonu, kiedy pochłonał go popiół wulkaniczny - przypomniał Criscan.

- A Rabemekes rozmyślał o nim na plaży, kiedy bazyjski żołnierz przeszył go włócznią - dodałem.

- Suur Charla, jedna z Cór Hylaei, uważała, że znalazła rozwiązanie - powiedział Lio. - Wyrysowała je na pylistej drodze do Górnego Colbonu, a wtedy przemaszerowała po niej armia króla Roody, zmierzająca ku nieuchronnej rzezi. Suur Charla postradała zmysły. Próby rozwikłania teglonu doprowadziły do powstania całych nowych działów teoryki. Nie brakuje i nigdy nie brakowało ludzi, którzy poświęcali mu zbyt dużo uwagi, kosztem własnego zdrowia. Obsesja przechodzi z pokolenia na pokolenie.

- Masz na myśli Dynastię - stwierdził Criscan.

- Zgadza się - przytaknął Lio, znów spoglądając nerwowo w górę.

- Którą? - zaciekawilem się.

- Czasem nazywa się ją Starą Dynastią - wyjaśnił Criscan. - Albo po prostu „Dynastią”, przez duże D.

- Aha... Przypomnij jeszcze, bardzo cię proszę, z którymi koncentrami jest związana?

Setnik pokręcił głową.

- Traktujesz Dynastię jak jakiś zakon. Tymczasem ona sięga wstecz do czasów przed Rekonstrukcją, nawet przed sauntą Cartas. Podobno została założona w okresie Peregrynacji przez teorów, którzy wcześniej współpracowali z Metekoranese.

- I którzy w przeciwieństwie do niego nie skończyli przykryci trzystustopową warstwą pumeksu - dorzucił Lio.

- To zupełnie zmienia postać rzeczy - stwierdziłem. - Jeżeli to, co mówicie, jest prawdą, to Dynastia w ogóle nie należy do świata matemowego.

- W tym cały problem - odparł Lio. - Istniała już od wieków, kiedy pojawiła się idea matemów, fraa i suur. Dlatego nie można oczekiwać, że będzie funkcjonować w zgodzie z zasadami, jakie zwykle kojarzą nam się z zakonami.

- Mówisz o niej w czasie terażniejszym zauważyłem.

Criscan zaniepokoił się, ale nic nie powiedział. Lio zadarł głowę i zwolnił kroku.

- O co chodzi? - zapytałem. - Czym się tak denerwujecie?

- Niektórzy podejrzewają, że Estemard też do niej należał -

wyjaśnił Lio.

- Przecież Estemard był edharczykiem!
- To dodatkowa komplikacja.
- Komplikacja? Dla kogo?
- Dla ciebie i dla mnie na pewno - odparł Criscan.
- Czemu? Bo też jesteśmy edharczykami?
- Właśnie.

Criscan spojrział znacząco na Lio.

- Ufam mu całkowicie - zapewniłem go. - Możesz przy nim powiedzieć wszystko, co chciałbyś powiedzieć mnie jak edharczyk edharczykowi.

- Dobrze. Nie dziwię się, że o tym nie słyszałeś, bo jesteś w zakonie dopiero od paru miesięcy i w dodatku jesteś tylko... no...

- Zwykłym dziesiętnikiem? - podsunąłem. - Śmiało, nie obrażę się.

Ale poczułem się urażony. Za plecami Criscana Lio zrobił zabawną minę, która pomogła mi znieść upokorzenie.

- Gdyby nie to, na pewno słyszałbyś jakieś plotki. Pogłoski.

- Jakie pogłoski?

- Przede wszystkim takie, że edharczycy są z natury trochę... szurnięci. Tajemniczy.

- To prawda, znam ludzi, którzy mogliby tak powiedzieć.

- No właśnie. W takim razie zdajesz sobie również sprawę, że jednym z powodów, dla których na edharczyków krzywo się patrzy, jest obawa, że zamiłowanie do Hylaejskiego Świata Teorycznego mogłoby okazać się dla nas ważniejsze niż wierność wobec Dyscypliny i zasad Rekonstrukcji.

- To nie fair, ale chyba rozumiem, dlaczego niektórzy tak myślą.

- Albo udają, że tak myślą, jeśli dzięki temu mogą pogrozić edharczykom - dodał Lio.

- Wyobraź sobie teraz, że kiedyś istniała dynastia... powiedzmy, ultraedharczyków. A jeśli nawet tak naprawdę nie istniała, to wszyscy myśleli, że istnieje.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie podejrzewają jakiś związek między Dynastią i naszym zakonem?

Criscan skinął głową.

- Niektórzy posuwają się wręcz do oskarżeń, że Zakon Saunta Edhara to pic na wodę, przykrywka dla wyznawców teglonu.

Biorąc pod uwagę wkład edharczyków w rozwój teoryki na przestrzeni dziejów, z łatwością odrzuciłem tę niedorzeczną tezę, ale jedno słowo obudziło moje zainteresowanie.

- Wyznawców... - powtórzyłem.

Setnik westchnął.

- Ci, którzy rozpowszechniają takie plotki...

- Uważają także, że nasza wiara w HŚT niczym się nie różni od religii - dokończyłem. - Poza tym jest im na rękę rozprowadanie wszem wobec, że w samym sercu edharskiego zakonu funkcjonuje potajemny kult.

Criscan pokiwał głową.

- A funkcjonuje? - zainteresował się Lio.

Wyrznąłbym go w ucho, gdybym tylko miał pewność, że ujdzie mi to płazem. Criscan, który nie znał jego poczucia humoru, bardzo się przejął tym pytaniem.

- Co dokładnie robił Estemard, kiedy zajmował się swoją profesją? - zapytałem Lio. - Czytał książki? Próbował rozwiązać teglon? Palił świece i recytował zaklęcia?

- Głównie czytał książki. Bardzo stare. Pozostawione przez ludzi, których w swoim czasie również podejrzewano o przynależność do Dynastii.

- Interesujące, ale chyba nieszkodliwe hobby.

- Rzuciło się też w oczy, że bardziej niż inni interesuje się milenarystami. Słuchając ich śpiewów podczas rytów, sporządzał notatki.

- Jak inaczej można je zrozumieć?

- W dodatku często bywał w górnym labiryncie.

- No, to rzeczywiście jest trochę niezwykle... - przyznałem.

- Czy jednym z elementów nimbu tajemniczości otaczającego

Dynastię jest domniemanie, że jej członkowie naruszają Dyscyplinę? Że porozumiewają się ponad granicami matemów?

- Tak. To się wpisuje w tę całą teorię spiskową. Edharczykom zarzuca się najczęściej, że uważają swoje prace za głębsze i ważniejsze od dokonań innych; że pogoń za prawdami Hylaejskiego Świata Teorycznego przesłania im Dyscyplinę. Dlatego jeśli dążenie do tych prawd miałoby od nich wymagać porozumiewania się z deklarantami z innych matemów - albo wręcz ze statystami! - nie wahają się tego zrobić.

Im dłużej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej nedorzecznie brzmiały dla mnie słowa Criscana; zaczynałem podejrzewać, że jest po prostu jednym z wielu szurniętych setników. Nic jednak nie powiedziałem: przed oczami miałem obraz Orola i Sammanna, prowadzących zakazane obserwacje i spotykających się w winnicy.

- Ze statystami?! - prychnął Lio. - Jakich statystów miałby interesować problem teoryczny sprzed sześciu tysięcy lat?

- Na przykład takich, wśród których od dwóch dni się obracamy - odparł Criscan.

Podczas tej rozmowy zatrzymaliśmy się i dopiero teraz zrobiłem zdecydowany krok do przodu.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, nie pomagamy sobie, kręcąc się tutaj.

Criscan w lot pojął znaczenie moich słów, Lio zaś spojrział na mnie pytająco. Mówiłem więc dalej:

- Do Saunta Tredegarha ściągają deklaranci z całego świata. Hierarchowie z pewnością pilnują, kto już dotarł na miejsce i z którego koncentu. A my, grupa złożona w większości z edharczyków i pochodząca, nomen omen, z koncentu Saunta Edhara, na pewno się spóźnimy...

- Ponieważ naginamy reguły Dyscypliny i włóczymy się wśród deolatrów... - Teraz i Lio zaczynał rozumieć.

- Szukając dwóch zbłąkanych fraa, którzy idealnie wpisują się w cytowany przez Criscana stereotyp.

Parę minut później stanęliśmy z Lio na szczycie,

zostawiwszy zasapanego Criscana w tyle. Cała ta dziwaczna rozmowa bardzo nas rozstroiła i końcowy odcinek wspinaczki praktycznie przebiegliśmy - nie dlatego, że jakoś nam się szczególnie spieszyło, chcieliśmy po prostu spalić nadmiar rozpierającej nas energii.

Wierzchołek Kopca Bly'a mógł wyglądać naprawdę uroczo w czasach, gdy siadywał na nim saunt Bly. Swoje istnienie zawdzięczał twardemu ostańcowi skalnemu, który oparł się erozji i osłonił przed nią bardziej miękki materiał pod spodem, podczas gdy wszystko inne w promieniu wielu mil zostało zdarte przez wiatr i zmyte przez wodę. Na szczycie zmieściłby się spory dom, taki na przykład jak rodzinny dom Jesry'ego, ale w ciągu tysięcy lat wcisnięto tam mnóstwo różnych budowli. Dolną warstwę stanowiła podmurówka, kamienna lub ceglana, przytwierdzona zaprawą bezpośrednio do twardej skały macierzystej. Późniejsze pokolenia oblały ją syntetycznym kamieniem, tworząc bastiony, koszary, szańce, zagrody na sprzęt oraz fundamenty pod wszelkiej maści anteny i wieże. Te z kolei modyfikowano i łączono ze sobą, połączenia z czasem zużywały się, rdzewiały, niszczyły - wówczas odnawiano je lub grzebano pod warstwą nowych konstrukcji. Kamień (naturalny i syntetyczny) upstrzyły brunatne plamy rdzy ze wszystkich metalowych struktur, które przewinęły się przez kopiec na przestrzeni wieków. Jak na tak niewielką przestrzeń, płatanina była zdumiewająco skomplikowana - nadawałaby się dla dzieci, które buszowałyby wśród ruin całymi godzinami. Lio i ja nie wyrosiliśmy z wieku dziecięcego tak znowu daleko, żeby zupełnie nie odczuwać tej pokusy, ale mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie. Zaczęliśmy wypatrywać oznak zamieszkania. Naszą uwagę przyciągnął przede wszystkim teleskop, zbudowany na wysokiej platformie, w przeszłości stanowiącej fundament obwieszanej antenami wieży. Zlepek metalowych części i skrawków przywodził na myśl dzieło sztuki stworzone przez Cord lub któregoś z jej znajomych w warsztacie spawalniczym. Zajrzawszy do środka, dostrzegliśmy jednak doskonałe, ręcznie szlifowane zwierciadło, mierzące dobrze ponad dwanaście cali

średnicy. Domyślaliśmy się, że teleskop ma wbudowany napęd biegunowy sklecony z silniczków, przekładni i łożysk niewiadomego pochodzenia. Podążając tropem kolejnych dowodów rzeczowych, przeszliśmy przez platformę do zewnętrznych schodów, które doprowadziły nas do drugiego podestu, niższego, od południowej strony. Wyposażony został w grill do mięsa, krzesła i stół z nieprzemakalnego poliplastu i olbrzymi parasol. Ktoś poukładał dziecięce zabawki w poliplastowym pudełku ze zgołą niedziecięcą schludnością - tak jakby dzieci wpadały tu czasem się pobawić, ale nie robiły tego codziennie. Drzwi prowadziły z platformy do labiryntu pomieszczeń niewiele większych niż schowki na szczotki, przerobionego na dom mieszkalny. Ktokolwiek w nim mieszkał, nie był to Orolo: sądząc po wiszących na ścianach fototypach, dom należał do jakiegoś starszego mężczyzny z młodą żoną i co najmniej dwoma pokoleniami potomków. Liczba ikon prawie dorównywała liczbie fototypów, z czego wnioskowałem, że znaleźliśmy się w mieszkaniu deolatrów.

Te wrażenia spłynęły na nas dosłownie w kilka sekund, zanim na dobre sobie uświadomiliśmy, że bez pozwolenia weszliśmy komuś do domu. Zrobiło nam się głupio, tym bardziej że popełniliśmy uchybienie typowe dla deklarantów, i wycofaliśmy się tak pospiesznie, że omal się nawzajem nie poprzewracaliśmy.

Patio przed domem było jednolitą, gładką płytą syntetycznego kamienia. Biorąc pod uwagę, że Estemard był zapalonym kafelkarzem, wydało mi się dziwne, że nie spróbował go ozdobić. Znaleźliśmy następne schody - tym razem prowadzące do góry, na półkę, na której wybudował piec z palonej cegły. Wokoło wałały się pozostałości wieloletniej pracy: glina, formy, glazurowane garnki, a także tysiące płytek i odłamków zaczerpniętych z tego samego repertuaru prostych form geometrycznych, który zdobił nową pralnię w koncencie. Estemard nie zdążył wyłożyć patio kafelkami, ponieważ nie opracował jeszcze perfekcyjnego układu płytek. Nie rozwiązał

teglonu.

- Zwariował? - spytałem Lio. - Czy po prostu robił swoje?

Criscan przyszedł z innej strony i poinformował nas, że znalazł drugi, mniejszy dom. Poszliśmy za nim wzdłuż południowej krawędzi kompleksu.

Od razu poznaliśmy, co mamy przed sobą: modelowy wręcz przykład matemu punktowego. Stał w kącie platformy, prowadziła do niego tylko jedna droga, długa, niełatwa, zakończona zaporą (w gruncie rzeczy symboliczną, bo skleconą prowizorycznie z poliplastowych płacht i arkuszy sklejk) i furtką. Przeszliśmy przez furtkę - i poczuliśmy się jak w domu. Stanęliśmy na kolejnej litej kamiennej płycie, pod gołym niebem. Agent handlujący nieruchomościami mógłby ją nazwać patio, ale my widzieliśmy w niej miniaturową klauzurę, z której starannie usunięto wszelkie sekularne ślady i wpływy. Został tylko wiekowy poplamiony kamień i kilka niezbędnych, ręcznie wykonanych drobiazgow: stół i krzesło pod baldachimem z płótna rozpiętego na drewnianej, wiązanej sznurkiem ramie. Z boku stało rdzewiejące wiadro, z przykrywką przyciśniętą kamieniem. Lio zajrzał do środka, skrzywił się i oznajmił, że właśnie znalazł nocnik Orola - pusty i suchy. Popiół na dnie koksownika dawno wystygł. Pusty był także dzbanek na wodę, a w drewnianej szafce, w której dawniej znajdowało się jedzenie, zostały tylko przyprawy, sztuce i zapalki.

Sfatygowane drewniane drzwi prowadziły do celi Orola, urządzonej w podobnym stylu - z jednym wszakże nowoczesnym dodatkiem: zegarem zaopatrzonym w cyfrowy wyświetlacz i podającym czas z dokładnością do setnych części sekundy. Na regałach (zbudowanych z desek, które Orola wyjął ze starych schodów i oparł na kamiennych blokach) zostało trochę maszynowo drukowanych książek i ręcznie zapisanych arkuszy. Całą jedną ścianę pokrywały arkusze z rysunkami i notatkami, przybite przez Orola pinezkami. Druga ściana była obwieszona fototypami przedstawiającymi obrazy statku Kuzynów, uzyskiwane (jak się domyślaliśmy) za pośrednictwem teleskopu,

który widzieliśmy na górze. Najczęściej przedstawiały grubą białą krechę na tle innych kresek, cieńszych: trajektorii gwiazd. W narożniku Orolo powiesił jednak kilkanaście fototypów na pozór zupełnie niezwiązanych z obserwacjami, które prowadził, i przedstawiających - tak nam się przynajmniej wydawało - ogromną dziurę w ziemi. Mogłaby to być na przykład kopalnia odkrywkowa.

Mozaika arkuszy była połączona całą siecią linii odwzorowujących gęste drzewo wzajemnych powiązań. Najwyżej znajdował się arkusz podpisany ORITHENA, na którym u góry wypisano imię Adrakhonesa. Pionowa strzałka prowadziła w dół do Diaksa, ale był to ślepy zaułek. Druga strzałka, biegnąca w dół i nieco w bok, kończyła się Metekoranesem, od którego drzewo rozgałęziało się na wszystkie strony, a jego gałęzie zawierały wiele imion z różnych miejsc i epok.

- Hmm... - mruknął zaniepokojony Lio.

- Mnie też się to nie podoba - przyznałem.

- Pachnie Dynastią - dodał Criscan.

Drzwi się otworzyły i rozpętała się przemoc. Nie trwała długo (najwyżej sekundę) i nie zagroziła nam zbyt, ale wstrząsnęła nami do tego stopnia, że w najbliższym czasie nie mogło być mowy o powrocie do niedawnych rozmyślań.

Mówiąc wprost: jakiś mężczyzna wparował do celi i Lio musiał go powalić. Kiedy było po wszystkim, Lio siedział mu na piersi i z niekłamaną satysfakcją oglądał broń miotającą pociski, którą wyjął mu z olstra na biodrze.

- Masz może nóż albo coś w tym guście? - zapytał, zerkając w stronę drzwi.

Zbliżało się więcej ludzi. Pierwszy szedł Barb.

- Złaż ze mnie! - wrzasnął intruz. Nie od razu dotarło do nas, że mówi po orthyjsku. - I oddaj mi to!

Miał swoje lata, ale kiedy wpadł przez drzwi, poruszał się z wigorem młodzieniaszka.

- Estemard ma pistolet - oznajmił Barb. - To taka miejscowa tradycja. Nie uważają broni palnej za zagrożenie.

- W takim razie Estemard na pewno nie będzie się czuł zagrożony, kiedy mu ją zabiorę - stwierdził Lio.

Sturlał się z jeńca w tył, przekoziółkował i stanął na nogach, celując z pistoletu w sufit.

- Nic tu po was! - żachnął się Estemard. - A co się tyczy mojego pistoletu... albo mnie zastrzel, albo mi go oddaj.

Lio nie miał najmniejszego zamiaru mu go oddawać.

Byłem najpierw wstrząśnięty, a potem tak zagubiony, że śledziłem rozwój wydarzeń, stojąc nieruchomo jak kołek. Sparaliżował mnie strach przed popełnieniem błędu. Dopiero widok znajomych twarzy za progiem popchnął mnie do działania: nie chciałem, żeby pomyśleli, że zapomniałem języka w gębie i nie wiem, co robić.

- Skoro twierdzisz, że nic tu po nas... - zacząłem. - Nawiasem mówiąc, nie zgadzamy się z tą opinią. Ale skoro tak mówisz, nie mamy chyba powodu cię uzbrajać, nie uważasz?

Na patio zebrała się tymczasem reszta towarzyszących mi pielgrzymów. Fraa Jaad wszedł do celi, odepchnął zagradzającego mu drogę Estemarda, obrzucił wewnątrz jednym spojrzeniem i zaczął oglądać arkusze i fototypy rozwieszane przez Orola na ścianach. To chyba dobitnie - bardziej niż porażka z Lio, bardziej nawet niż splantowanie przeze mnie - dało Estemardowi do zrozumienia, że nie ma szans. Skurczył się i spuścił wzrok. W przeciwieństwie do nas nie miał wiele czasu na oswojenie się z towarzystwem tysięcy.

- Lio... - Tym razem odezwała się Cord. - Mnóstwo ludzi tutaj nosi broń. Rozumiem, skąd to nieporozumienie, ale uwierz mi, Estemard nie zamierzał do was strzelać.

Nikt się nie odezwał.

- Dajcie spokój, smutasy... - ciągnęła Cord. - Czas na piknik.

- Piknik? - zdziwiłem się.

- Po zakończeniu nabożeństwa urządzamy wspólne gotowanie na placu przed arką - wyjaśnił Estemard. - Jeśli tylko pogoda dopisze.

Interwencja Cord wyraźnie podniosła go na duchu.

Wyjrzałem na dwór i napotkałem spojrzenie stojącego na patio Arsibalta. Uniósł brwi.

Tak. Estemard został deolatą.

Mieszkając w koncencie, wyobrażaliśmy sobie dzikusów jako długowłosych nieokrzesańców. Estemard wyglądał jak emerytowany chemik, który wybrał się na jednodniową wycieczkę za miasto.

Otaksował mnie wzrokiem.

- Ty musisz być Erasmus - stwierdził, jakby to coś wyjaśniało.

Odetchnął głęboko i otrząsnął się z resztek szoku, jakiego doznał, gdy Lio pomógł mu się wyciągnąć na podłozę.

- Dobrze. Zapraszam wszystkich na piknik. Musicie mi tylko obiecać, że nie będziecie nikogo napastować. - Widząc, jak sprzeciw pomalutku toruje sobie drogę z mojego mózgu do twarzy i ust, uśmiechnął się i dodał: - Przynajmniej dopóki sami nie zostaniecie napadnięci, ale to wydaje mi się mało prawdopodobne. Tutejsi ludzie są bardziej tolerancyjni wobec deklarantów niż deklaranci wobec nich.

- Gdzie jest Orolo?

Fraa Jaad, cały czas zwrócony do nas plecami i w tej chwili oglądający z bliska zdjęcia kopalni odkrywkowej, zaskoczył nas wszystkich swoim głębokim, wpadającym w infradźwięki basem:

- Udał się na północ.

Na twarzy Estemarda odmalowało się zdumienie, ale po chwili znów się uśmiechnął, gdy dotarło do niego, jak tysięcznik się tego domyślił.

- Fraa Jaad ma rację.

- Weźmiemy udział w tym... pikniku - oznajmił fraa Jaad, wymawiając fluksyjskie słowo ostrożnie, jakby chwytając je pęsetą.
- Lio, Erasmus i ja pojedziemy na końcu, z Ganelialem Crade'em.

Polecenie Jaada przeciekło na patio i ludzie zawrócili do pojazdów. Lio wyjął magazynek z pistoletu i oddał jedno i drugie - osobno - Estemardowi, który zawahał się, ale w końcu wyszedł

razem z Criscanem. Gdy tylko zniknęli za furtką, fraa Jaad zaczął zdejmować poprzypinane do ścian arkusze. Lio i ja pospieszyliśmy z pomocą, oddając mu cały plon. Większość fototypów zostawił w spokoju: zebrał tylko te przedstawiające dziurę w ziemi i podał je mnie.

Następnie wyszedł do klauzury, upchnął wszystkie arkusze w koksowniku i wyjął z szafki zapalki.

- Z napisu na etykietce wnoszę, że to wytwór praksis służący do rozpalania ognia - powiedział.

Pokazaliśmy mu, jak używać zapalek, a wtedy on podpalił arkusze Orola. Staliśmy nad koksownikiem do samego końca, aż wszystkie spłonęły. Fraa Jaad rozgarnął popiół patykiem.

- Czas na piknik - stwierdził.

Zjeżdżając spiralą z kopca (i telepiąc się na skrzyni pojazdu Crade'a jak butelki w skrzynce), od czasu do czasu spoglądaliśmy w dół, gdzie na zielonym placyku w środku osady przygotowania szły pełną parą. Wyglądało na to, że mieszkańcy Sambie traktują swoje pikniki równie poważnie jak nabożeństwa.

Fraa Jaad siedział pogrążony w myślach i nie odzywał się prawie przez całą drogę. Dojeżdżaliśmy do Sambie, kiedy zabębnił pięścią w dach szoferki i po orthyjsku poprosił Crade'a o krótki postój. Crade odparł (łamanym, naprawdę barbarzyńsko brzmiącym orthyjskim), że chętnie zaczeka.

Nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś taki jak Crade może znać nasz język - ale miało to sens. Antybazyjczycy nie ufali kapłanom i innym pośrednikom; uważali, że każdy powinien sam studiować święte pisma. Najczęściej ograniczali się do czytania fluksyjskich przekładów, ale nietrudno było sobie wyobrazić, że jakaś wyjątkowo zagorzała i odosobniona sekta - taka jak mieszkańcy Sambie - zgłębiła klasyczny orthyjski specjalnie w tym celu, żeby nie składać swoich nieśmiertelnych dusz w ręce tłumaczy.

Fraa Jaad kazał mi wsiąść. Zeskoczyłem z tyłu i pomogłem mu zejść ze skrzyni - głównie po to, żeby okazać mu szacunek, bo wcale nie potrzebował mojej pomocy. Przeszliśmy

może ze sto kroków, do zakrętu, skąd roztaczał się wyjątkowo piękny widok na pustynny płaskowyż i piętrzące się za nim, na północy, góry, nadal upstrzone płatami śniegu i plamami cienia rzucanego przez chmury.

- Tak musiał się czuć Protas, spoglądając z góry na Ethras - powiedział fraa Jaad.

Uśmiechnąłem się, ale nie roześmiałem. Wielu uważało prace Protasa za naiwne, wzmianki o nich zwykle brzmiały kpiąco i ironicznie, ale moda na całkowite ich odrzucenie przychodziła i odchodziła już chyba ze sto razy i nie sposób było powiedzieć, co myśli o nich fraa, którego matem przez ostatnie sześćset dziewięćdziesiąt lat był zamknięty na cztery spusty. Im dłużej tak stałem, przyglądałem mu się i podążając za jego spojrzeniem, podziwiałem grę światła i cienia na górskich zboczach, tym bardziej się cieszyłem, że udało mi się powstrzymać niemądry chichot.

- Jak sądzisz, co widział Orolo, kiedy patrzył stąd na góry?
- zapytał fraa Jaad.

- Umiał docenić piękno - odparłem. - Uwielbiał oglądać panoramę z gwiazdznego kręgu.

- I myślisz, że widział w niej piękno? To bezpieczna odpowiedź, bo widok rzeczywiście jest urokliwy. Ale o czym myślał? Jakie związki dostrzegał dzięki pięknu?

- Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Nie odpowiadaj. Zapytaj.

- A tak konkretnie... co chcesz, żebym zrobił?

- Idź na północ. Pójdź za Orolem i go znajdź.

- Tredegarh znajduje się na południowy wschód stąd.

- Tredegarh... - powtórzył takim głosem, jakbym obudził go ze snu o tamtym miejscu. - Tam pojedziemy po pikniku, ja i cała reszta.

- Wystarczająco nagiąłem reguły, upierając się przy dotarciu tutaj - przypomniałem mu. - Straciliśmy cały dzień...

- Cały dzień. Cały jeden dzień!

Tysięcznikowi musiało się wydać zabawne, że tak się

przejmuję stratą jednego dnia.

- Gonitwa za Orolem może potrwać miesiące - mówiłem dalej. - Za takie spóźnienie do Tredegarhu mogę zostać odrzucony. A na pewno każą mi przeczytać dalsze rozdziały.

- Do którego doszedłeś?

- Do piątego.

- Do dziewiątego.

Najpierw pomyślałem, że mnie poprawia. Potem zląkłem się, że wydaje na mnie wyrok. Aż w końcu dotarło do mnie, że to on przeczytał dziewięć rozdziałów.

Musiałoby mu to zająć lata.

Ale dlaczego? W co takiego się wpackował?

Czy przez Księgę postradał zmysły?

Jeśli jednak był szalony albo niereformowalny, to dlaczego został powołany? Dlaczego właśnie on, a nie jakiś inny tysięcznik? I dlaczego po woc jego bracia i siostry śpiewali mu na pożegnanie tak, jakby ktoś wyrwał im serce z piersi?

- Mam mnóstwo pytań - powiedziałem.

- Najskuteczniejszym sposobem na znalezienie odpowiedzi będzie wędrówka na północ.

Otworzyłem usta, żeby powtórzyć swój wcześniejszy sprzeciw, ale uciszył mnie gestem.

- Dołożę wszelkich starań, żebyś nie został ukarany.

Nie rozumiałem, jak to możliwe, żeby miał takie wpływy na konwoksie, ale zabrakło mi odwagi, żeby powiedzieć mu to prosto w oczy. A skoro stchórzyłem, mogłem zakończyć tę rozmowę tylko w jeden sposób.

- Dobrze - zgodziłem się. - Po pikniku wyruszę na północ. Chociaż nie rozumiem, co to właściwie znaczy...

- Idź na północ tak długo, aż zrozumiesz.

Część 7

DZIKUS

Retikula: (1) W proto-, staro - i średniorthyjskim: mała pleciona

torba lub kosz, przypominające konstrukcją sieć. (2) W praksyjskim z początków Epoki Praksis: kwadratowa siatka linek lub drucików w urządzeniu optycznym. (3) W późnym praksyjskim i noworthyjskim: dwa lub więcej połączonych urządzeń syntaktycznych, które mogą się ze sobą komunikować.

Retikulum: (1) Pisane małą literą: retikula utworzona przez połączenie dwóch lub więcej mniejszych retikuli. (2) Pisane wielką literą: największe retikulum, łączące w całość wszystkie retikule na świecie. Czasem używa się formy skróconej *Ret.-SŁOWNIK*, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Nie było sensu przekonywać Cord, że nie powinna mi towarzyszyć. Po zakończeniu pikniku najzwyczajniej w świecie wsiedliśmy do jej aportu i ruszyliśmy w drogę. Musieliśmy cofnąć się trzydzieści mil, żeby znaleźć prowadzącą na północ drogę, która nie skończy się przed górami. W pierwszym miasteczku na tej drodze zużyłem całą swoją kartę płatniczą na opłaty za paliwo, jedzenie i ciepłe ubrania. Później używałem karty fraa Jaada.

Ładowaliśmy właśnie zakupy do aportu, kiedy zatrzymał się przy nas Ganelial Crade. Obok niego w szoferce siedział Sammann i obaj szeroko się uśmiechali, co było dla mnie widokiem całkiem nowym. Nie musieli ogłaszać, że wybierają się z nami; i tak nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia. Zrobili podobne zakupy jak my; Crade miał pudełko po nabojach pełne pieniędzy, a Sammann zarejestrowane w piszczku informacje, których używał zamiast pieniędzy. Miałem wrażenie, że każdy dostał fundusze od swojej społeczności.

Widok Crade'a wcale mnie nie ucieszył. Jeżeli mieszkańcy Sambie naprawdę płacili mu za tę podróż, nasuwały się nieuniknione pytania o prawdziwy cel jego działań.

Trójkołowiec Crade'a znów zajmował większość skrzyni ładunkowej jego aportu, toteż największe bagaże trafiły do naszego wozu. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd jedziemy i czego powinniśmy się spodziewać, ale byliśmy z grubsza zgodni co do tego, że Orolo z jakiegoś powodu udał się w góry. W górach mogło być chłodno i musieliśmy przygotować się na zimne biwaki

- stąd w naszym bagażu pojawiły się takie rzeczy jak zimowe koce, namioty, kuchenki i paliwo. Sammann miał nadzieję, że uda mu się wytropić Orola za pomocą piszczałki. Crade zamierzał wypytywać o niego napotkanych po drodze współwyznawców.

Wsiadliśmy więc do swoich pojazdów i ruszyliśmy na północ. Czekala nas dwugodzinna przejażdżka do podnóża wzgórz, gdzie Crade znalazł dogodne miejsce na nocleg. Pozwoliłem mu prowadzić: koniecznie chciał to zrobić, ja nie miałem siły z nim walczyć, a Cord z przyjemnością jechała jego śladem. Wyprostowany Crade przy sterach i Sammann skulony nad wyświetlaczem swojego superpiszczałki robili dobre wrażenie. Nie pojechałbym za żadnym z nich z osobna, ale ponieważ prawie w żadnej sprawie nie potrafili się porozumieć, uznałem, że możemy się na nich zdać.

Żałowałem rozstania z Lio i Arsibalem, z którymi mogłem o wszystkim porozmawiać, kiedy jednak skręciliśmy na północ, w stronę gór, żal po ich stracie ustąpił miejsca uldze. W ciągu ostatniej doby tyle się dowiedziałem - nie tylko o statku Kuzynów, ale przede wszystkim o świecie, w którym przeżyłem ostatnie dziesięć i pół roku - że nie potrafiłem wszystkiego ogarnąć za jednym zamachem. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: gdybym w koncencie usłyszał o słomianym dachu nad cylindrami zawierającymi odpady radioaktywne, musiałbym przetrwać tę wiadomość i spokojnie się z nią oswoić. Czułem się znacznie lepiej, kiedy mogłem po prostu siedzieć obok mojej koligatki i gapić się przez przednią szybę apartu ze świadomością, że moim jedynym zadaniem jest pogoń przez pustkowia za zwariowanym fraa. Poprzedniej nocy, w bazyjskim klasztorze, przyswoiłem sobie pewne nowe fakty przez sen. Liczyłem po cichu na to, że i teraz zadziała podobny mechanizm: jeżeli przez kilka najbliższych dni zajmę umysł innymi sprawami, może uda mi się zrozumieć więcej, niż gdybym przez tydzień klęczał w celi i do upojenia dyskutował w kredowniach.

A gdyby nawet nie, to i tak nic mnie to nie obchodziło. Musiałem po prostu odpocząć.

Cord dużo rozmawiała z Roskiem przez piszczek. Pożegnali się w Sambie, bo Rosk musiał wracać do domu i pracy, a teraz okazało się, że muszą jeszcze pozatłatwiać różne sprawy. Zamiast jednak odbyć jedną długą i produktywną rozmowę, nawiązywali i przerywali kontakt chyba z dziesięć razy. Trochę mi to działało na nerwy i zaczynałem już myśleć z nadzieją o chwili, gdy znajdziemy się w jakiejś dziczy, gdzie piszczek nie będzie działał. W końcu jednak się przyzwyczailem i zacząłem zastanawiać: jeżeli oni mieli sobie tyle do powiedzenia, mając w perspektywie zaledwie kilkudniową rozłąkę, to co powiedzieć o mnie i Ali? Ciągle miałem przed oczami malujący się na twarzy Tulii wyraz zaskoczenia, kiedy rozdzielaliśmy się poprzedniego dnia po południu. Część tego zaskoczenia na pewno była spowodowana przekonaniem Tulii, że zachowuję się wobec Ali jak potwór.

- Funkcjonuje teraz jakiś mechanizm przesyłania listów? - zapytałem Cord podczas jednej z przerw między jej mikro rozmowami z Roskiem.

- Stąd nie byłoby łatwo wysłać listu... ale tak, można to zrobić. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Chcesz napisać do dziewczyny, Ras?

Nigdy nie wspominałem jej o Ali, a pytanie przed chwilą zadałem zupełnie neutralnym tonem, dlatego byłem poruszony, a potem także zirytowany faktem, że z taką łatwością mnie rozgryzła. Nadal cieszyła się z mojej miny, kiedy piszczek zakwilił i dał mi chwilę na dojście do siebie.

- Opowiedz mi o niej - zaproponowała Cord, kiedy się rozłączyła.

- To Ala. Poznałaś ją. To ta...

- Pamiętam Alę. Polubiłam ją!

- Poważnie? Wtedy wcale nie wydało mi się to takie oczywiste.

- Podobnie jak wiele innych rzeczy - odparła Cord.

Powiedziała to tak lekko i niewinnie, że prawie przegapiłem sens tych słów. Na szczęście tak się nie stało i przez

następną minutę mogłem siedzieć cicho i unosić się dumą.

- Praktycznie przez całe życie szczerze się nie znosiliśmy - przyznałem. - Zwłaszcza ostatnio. Ale potem zaokrążyło. Całkiem niespodziewanie. To było coś fantastycznego.

Cord posłała mi wdzięczny uśmiech. Mało nie zjechała przy tym z drogi.

- Następnego dnia została powołana. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że szykuje się konwoks, więc dla mnie równie dobrze mogła po prostu umrzeć. Bardzo mnie to zasmuciło... tak sądzę. Staralem się o niej nie myśleć, dużo pracowałem. A potem, kiedy ja też zostałem powołany... Nawiasem mówiąc, to było wczoraj, a ja mam wrażenie, że minęło dziesięć lat. W każdym razie okazało się, że kiedyś jeszcze się może z Alą spotkamy. Tylko że parę godzin później postanowiłem pojechać okrężną drogą, która od tamtej pory stała się jeszcze bardziej okrężna. Na dobrą sprawę jestem teraz dzikusiem i znowu muszę się liczyć z tym, że już nigdy nie zobaczę Ali. A wszystko przez to, że dałem się zmanipulować fraa Jaadowi. Można powiedzieć, że sprawy mocno się skomplikowały. Nawet sobie nie wyobrażam, ile musiałbym z nią wisieć na puszczku, żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili.

Cord odebrała akurat następne połączenie od Roska. Zanim skończyła, byłem już gotowy z dalszym ciągiem:

- Słuchaj, ja się wcale nie skarżę. Po prostu wszystko się pomieszało. Takiego zamętu na świecie nie było od czasu Trzeciej Łupieży. Dzieje się tyle dziwnych rzeczy... że to zakrawa na kpinę z Dyscypliny.

- Nie możesz się ograniczać do przestrzegania reguł. Jesteś im posłuszny, ale tylko dlatego, że prowadzą cię do wyższych celów. Wystarczy, że pozostaniesz wierny temu przeświadczeniu, a cały zamęt, o którym mówisz, z czasem sam się poukłada.

I to by mi w zupełności wystarczyło, gdyby nie jedna sprawa: zapewnienia Cord zanadto kojarzyły mi się z mentalnością, o jaką edharczyków oskarżali ludzie wierzący w Dynastię i tym podobne bzdury, o których opowiadał Criscan.

Dlatego instykt kazał mi milczeć.

A Cord uruchomiła zastawioną wcześniej pułapkę:

- Mógłbyś analizować swój związek z Alą i do upojenia roztrząsać wszystkie jego możliwe aspekty, ale jeśli chcesz jej wysłać list, co jest świetnym pomysłem, nie wdawaj się w takie szczegóły. Opuść je sobie.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Napisz jej po prostu, co czujesz.

- Czuję się pomiatany, ot co. Tak mam jej napisać?

- Nie, nie o to mi chodziło. Napisz jej, co czujesz do niej.

Spuściłem wzrok na leżący między siedzeniami piszczyk.

Chociaż przez chwilę był cicho.

- Na pewno nie rozmawiałaś z Tulią? Mam wrażenie, że wy, dziewczyny, macie jakąś prywatną retikulę, jak...

- Jak itowie?

W moich ustach zabrzmiałoby to obraźliwie, ale Cord była szczerze ubawiona. Oboje spojrzeliśmy do przodu, na widoczny obok Crade'a zarys głowy Sammanna i jego piszczyk.

- Masz rację. Jesteśmy dziewczynskimi itami i jeśli nie będziesz nam posłuszny, rzucimy w ciebie Księgą!

Cord zabrała ze sobą notes, w którym zapisywała uwagi z eksploatacji aportu. Znalazłem czystą kartkę i zacząłem pisać list do Ali. Szło mi jak po grudzie, więc wyrwałem stronę i zacząłem jeszcze raz. Nie mogłem się przyzwyczaić do jednorazowego poliplastowego pióra srającego mazistym tuszem na gładki maszynowy papier. Wyrwałem drugą kartkę i zacząłem od nowa.

Musiałem przerwać pracę nad czwartym brudnopisem, ponieważ Ganelial Crade zjechał z utwardzonej drogi na bity trakt, z którym jego aport radził sobie lepiej niż wóz Cord. Na łagodnych południowych stokach gór ciągnęły się plantacje drzew paliwowych, pocięte pylistymi drogami takimi jak ta, na której się znaleźliśmy. Pędziły po nich ciężarówki z drewnem, które w tumanach kurzu stanowiły spore niebezpieczeństwo. Pokonanie tej nieprzyjemnej strefy zajęło nam pół godziny, zanim wspięliśmy się na wysokość, gdzie sezon trwał zbyt krótko, a zbocza stawały

się zbyt strome dla tego rodzaju upraw - a właściwie dla każdej rozsądnej działalności poza rekreacyjną.

Crade zaprowadził nas na piękne miejsce biwakowe nad górskim stawem. Podobno jesienią ludzie często przyjeżdżali tam polować, ale tego dnia okolica była pusta. Cały nasz sprzęt był nowiuteńki: musieliśmy go powymyć z pudełek, poddwiąć z papierów i pozbyć się metek, zanim do czegoś się będzie nadawał. Rozpaliliśmy ze śmieci ognisko i podsycaliśmy je znalezionym drewnem, aż w porze zachodu słońca zebrało się dość żaru, żebyśmy mogli na nim upiec cheeseburgi. Cord umościła sobie posłanie w aporcie, a my we trzech rozbiliśmy namiot. Siedziałem do późna, kończąc - przy świetle ogniska - list do Ali. To był dobry pomysł: wersja siódma wyszła mi krótka i nieskomplikowana. Cały czas zadawałem sobie pytanie: gdyby los miał nas nigdy więcej nie zetknąć, co powinienem jej powiedzieć?

Poranek następnego dnia był orzeźwiająco wolny od ważnych wydarzeń, nowych znajomości i zaskakujących objawień. Wstaliśmy bez pośpiechu (było zimno), rozpaliliśmy kuchenkę, podgrzaliśmy jedzenie, zjedliśmy i zaczęliśmy się zbierać do drogi.

Crade był szczęśliwy. Nie był szczęśliwy tak ogólnie, z natury, ale tu i teraz - jak najbardziej. Przechadzał się po obozowisku, doradzał nam, jak najlepiej się spakować, pilnował kuchenki, jakby to był co najmniej reaktor jądrowy. Trzeba przyznać, że w takich warunkach był całkiem znośnym towarzyszem podróży - kiedy miał coś do roboty i mógł dać upust rozpierającej go energii. Pomyślałem nawet, że jest nieprzeciętnie inteligentny i minął się z powołaniem, nie zostając deklaratorem. Gdyby urodził się wśród slogów, wyładowałby w koncencie, a tak skończył w sekcie, dla której był tak cenny, że nie zamierzała go wypuścić. Kłopot w tym, że jego intelekt się w niej marnował. Tak czy inaczej, przyzwyczaił się, że jest jedynym inteligentnym człowiekiem w promieniu stu mil, i teraz, gdy znalazł się w towarzystwie innych inteligentnych ludzi, nie wiedział, jak się zachować.

Sammann został rzucony na głęboką wodę (nie mógł złapać żadnego sygnału na swoim piszczku), ale radził sobie całkiem nieźle, tak jakby umiejętność znoszenia długotrwałych mąk wchodziła w skład standardowego wyposażenia itów. Miał torbę na ramię, która była dla niego tym samym, czym kamizelka dla Cord; co rusz wyjmował z niej jakieś przydatne narzędzia i gadzety. Tak to przynajmniej wyglądało z punktu widzenia człowieka nieprzyzwyczajonego do posiadania zbyt wielu rzeczy osobistych.

Cord milczała - dopóki na nią nie spojrzałem, bo wtedy szybko się irtowała. Ja sam byłem znudzony i zniecierpliwiony; zanim wreszcie ruszyliśmy w drogę, miałem wrażenie, że dochodzi południe. I tylko zegar w aporcie wskazywał, że do południa zostały jeszcze trzy godziny.

Wjechaliśmy w góry. To było dla mnie nowe doświadczenie. No dobrze, każda podróż byłaby dla mnie nowym doświadczeniem. W dzieciństwie, przed kolektą, kilka razy wyjeżdżałem z miasta: podczepiałem się pod starszych koligatów, którzy jechali odwiedzić mieszkających gdzieś niedaleko krewnych lub przyjaciół. Oczywiście po wstąpieniu do koncentu nie ruszałem się z miejsca - i wcale nie tęskniłem za podróżami. Nie wiedziałem, co tracę. Dopiero tutaj, wśród wzgórz, leśnych polan, jasnozielonych łąk, starych dróg do transportu drewna, porzuconych twierdz, rozpadających się chat i popadających w ruinę pałaców zacząłem myśleć o tym, że mógłbym obejrzeć je wszystkie z bliska, gdybym tylko miał czas wysiąść z aportu i przejść się na spacer. Pod tym względem okolica różniła się od koncentu, w którym wszystkie dróżki były przeddeptane od tysięcy lat, a idąc do Fundy Shufa, czułem się jak nieustraszony poszukiwacz przygód. Zastanawiałem się, gdzie zbłądzi mój umysł i dokąd zaprowadzi mnie rozwój wydarzeń, skoro już zmusił mnie do opuszczenia koncentu i rzucił w takie miejsce.

Cord zmieniała muzykę. Popularne piosenki z poprzednich dni jakoś przestały pasować do krajobrazu: nawet ich najpiękniejsze fragmenty nie wytrzymały porównania z

widokami za oknem, a słabsze kawałki po prostu przykro zgrzytały. Miała nagranie muzyki z naszego koncertu; sprzedawaliśmy je na targu przy Bramie Diennej, razem z miodem. Zaczęła puszczać przypadkowo wybrane fragmenty i na początek wybrała *Lament po Trzeciej Łupieży*. Dla niej był to po prostu utwór numer trzydzieści siedem, dla mnie chyba najbardziej poruszająca pieśń, jaką znałem. Śpiewaliśmy ją tylko raz w roku, na zakończenie tygodnia wypełnionego postem, recytowaniem imion zabitych i tytułów spalonych ksiąg. W pewnym sensie pieśń pasowała do okoliczności: jeżeli Kuzyni okażą się naszymi wrogami, mogą złupić cały świat.

Wyjechaliśmy z za zakrętu i zobaczyliśmy ścianę fioletowego kamienia, która wypiętrzała się pionowo w górę i milę nad naszymi głowami ginęła w chmurach. Musiała tak trwać od miliona lat. Widząc ją i mając jeszcze w uszach *Lament*, poczułem coś, co mogę opisać chyba tylko jako patriotyzm wobec mojej planety. Do tej pory nie miałem potrzeby odczuwania takich emocji, ponieważ poza Arbre nie istniało nic, były tylko punkciki światła na niebie. To się jednak zmieniło i zamiast myśleć o sobie jak o członku zespołu obsługującego certyfiki, decenaryście i edharczyku, poczułem się jak obywatel świata i rozpierała mnie duma, że dokładam swoją cegielkę do dzieła jego ochrony. Odpowiadało mi życie dzikusa.

Nowe doświadczenia extramuros nie ograniczały się do kasyn i szpilów. Nawet gdybym podróżował sam, unikał ludzi, nigdy nie widział centrum handlowego, nie słyszał ani słowa po fluksyjsku, i tak pozyskiwałem nowe informacje, nie o Saeculum, lecz o świecie je poprzedzającym, podwalinach kultur i cywilizacji, które na nich wyrastały i na nich obracały się w gruzy; o pochodzeniu świata sekularnego - i matelowego. I o tym, jak przed siedmioma tysiącami lat te dwa światy się rozdzieliły.

Morze Mórz: Stosunkowo niewielki słony akwen o skomplikowanej linii brzegowej, w trzech punktach połączony poprzez cieśniny z wielkimi oceanami Arbre, uważany za kolebkę współczesnej cywilizacji.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Wspięliśmy się na przełęcz i zjechaliśmy do miasteczka Norslof. Byłem kompletnie zaskoczony. Zgoda, widziałem mapomat, ale na mojej prywatnej, wyimaginowanej mapie świata, którą nosiłem w głowie, góry ciągnęły się o wiele, wiele dalej.

Nie znaleźliśmy Orola, ale przynajmniej rozejrzeliśmy się po okolicy i zanotowałem w pamięci kilka miejsc, do których mógł się udać. Najbardziej obiecującym z nich był (moim zdaniem) mały, zdezelowany matem wybudowany przy wieży obserwacyjnej, która pierwotnie służyła do wypatrywania pożarów. Znajdował się kilka mil w bok od drogi i kilka tysięcy stóp nad jej poziomem; zauważyliśmy go krótko po pokonaniu przełęczy. Gdyby to był regularny, duży koncent, nikt nie chciałby tam rozmawiać z Orole, ale niewielki matem na uboczu z otwartymi ramionami przyjąłby wędrowca, który zna orthyjski i może być źródłem nowych pomysłów.

Zatrzymaliśmy się na dużej stacji paliw kilka mil od centrum Norslofu, żeby coś zjeść i skorzystać z toalety. Można w niej było wynająć pokój, nikt też nie bronił kierowcom i pasażerom spać w pojazdach. Pomyślałem, że moglibyśmy założyć w tym miejscu bazę do eksploracji pobliskich gór w poszukiwaniu Orola, ale zmieniłem zdanie, kiedy weszliśmy do jadalni (zaparowanej i pachnącej smakowicie mięsem) i wszyscy kierowcy drumonów spojrzeli w naszą stronę. Było oczywiste, że rzadko widywali tu takich klientów jak my i że ten stan rzeczy bardzo im odpowiadał. Na pewno przeszkadzało im to, że podróżowaliśmy we czwórkę, a tu siedzieli sami kawalerowie, ale nawet gdybyśmy weszli pojedynczo, zwrócilibyśmy powszechną uwagę. Sammann miał na sobie normalne ubranie mieszkańca extramuros, lecz jego długie włosy i broda wykraczały daleko poza normę, a rysy twarzy zdradzały obce pochodzenie. Kierowcy drumonów nie rozpoznaliby w nim ity (nawet gdyby wiedzieli,

kim są itowie), ale zorientowaliby się, że jest inny. Cord ubierała się i poruszała inaczej niż ich kobiety; jej repertuar gestów i min miał się nijak do oczekiwań kierowców. Ganelial - jako statysta - powinien móc się wtopić w tłum, ale jakoś mu się to nie udawało. Należał do społeczności religijnej, która za wszelką cenę starała się zachować swoją odrębność kulturalną, i dawał to do zrozumienia każdym swoim krokiem i każdym spojrzeniem. No i ja... Nie miałem pojęcia, jak wyglądam. Odkąd opuściłem koncert, większość czasu spędzałem wśród statystów, którzy wiedzieli, że jestem pielgrzymującym deklarantem. Tutaj zaś próbowałem udawać kogoś, kim nie byłem, i najbezpieczniej było zakładać, że jestem w tej roli beznadziejny.

Ściągnęlibyśmy pewnie na siebie jeszcze więcej zaciekawionych spojrzeń, gdyby nie fakt, że wszędzie znajdowały się ekrany - przymocowane do sufitu i pochylone w dół, żeby dało się oglądać szpile, siedząc przy stolikach. Wszystkie odtwarzały to samo nagranie, idealnie zsynchronizowane. Kiedy przeszliśmy przez próg, wyświetlały akurat obraz domu płonącego w ciemnościach. Otaczali go pracownicy służb ratowniczych. Na zbliżeniu pokazano kobietę wychyloną z okna na piętrze, z którego buchały kłęby czarnego dymu. Twarz miała owiniętą ręcznikiem. Upuściła trzymane na rękach dziecko. Nie odrywałem wzroku od ekranu, zaciekawiony, co będzie dalej, ale szpil cofnął się i pokazał upadek dziecka jeszcze dwa razy, w zwolnionym tempie. Potem scena się urwała i na ekranie pojawił się sportowiec robiący sztuczki z piłką, a chwilę później ten sam piłkarz łamiący sobie nogę podczas meczu. Tę scenę również powtórzono kilkakrotnie w zwolnionym tempie, żebyśmy mogli wyraźnie zobaczyć, jak noga się wygina i kość pęka z trzaskiem. Kiedy siadaliśmy przy stoliku, miejsce piłkarza zajął niezwykle urodziwy i elegancki mężczyzna, na oczach widzów aresztowany przez policję. Moi towarzysze zerkali na ekrany od czasu do czasu, ale szybko tracili zainteresowanie nimi; najwidoczniej wykształcili jakiś rodzaj odporności na ruchome obrazy. Ja nie mogłem oderwać od nich wzroku, postarałem się więc zająć takie miejsce przy stole, żeby

nie mieć bezpośredniego widoku na żaden ekran - ale i tak, kiedy obraz na szpilu zmieniał się gwałtownie, moje oczy uciekały w bok. Czułem się jak nadrzewna małpa, która reaguje na każdy szybko poruszający się obiekt.

Usiedliśmy w kacie, zamówiliśmy jedzenie i rozmawialiśmy przyciszonymi głosami. Jadalnia, która po naszym wejściu ucichła, powoli tajała i znów dał się słyszeć szmer rozmów. Przyszło mi do głowy, że niepotrzebnie wybraliśmy stolik w kacie, bo w razie kłopotów nie uda nam się szybko wyjść.

Okropnie brakowało mi Lio. Fachowym okiem oceniłby sytuację, wykrył ewentualne zagrożenie i podjął kroki zapobiegawcze. Całkiem możliwe, że pomyliłby się przy tym dramatycznie, tak jak to miało miejsce z Estemardem, ale przynajmniej ja miałbym tę sprawę z głowy i mógłbym zająć się czymś innym.

Taki Sammann, na przykład. Kiedy się do nas przyłączył, ucieszyłem się, bo zna się na wielu rzeczach, o których ja nie mam pojęcia. I wszystko było w porządku, dopóki obozowaliśmy w górach nad jeziorem. Teraz jednak, gdy zagłębiliśmy się w świat sekularny, przypomniałem sobie obowiązujący deklarantów i itów odwieczny zakaz kontaktów; nie można go chyba było złamać w sposób bardziej ewidentny, niż my to zrobiliśmy. Czy otaczający nas ludzie wiedzieli o tym zakazie? A jeżeli tak, to czy wiedzieli, po co został wprowadzony? I czy przebywając wśród nich, nie budziliśmy czasem jakichś starych lęków? Przykrych wspomnień? Czy ich policja ochroniłaby nas przed linczem, czy raczej przyłączyła się do tłuszczy?

Ganelial Crade zaczął obdzwaniać znajomych w okolicy. Drażniło nas to, więc kiedy się zorientował, że wszyscy spoglądamy na niego wilkiem, wstał i przesiadł się do innego stolika. Poprosiłem Sammanna, żeby poszukał informacji na temat matemu przy wieży obserwacyjnej. Zaczął przeglądać na piszczku mapy i zdjęcia satelitarne, znacznie lepsze i dokładniejsze niż te zapisane w mapomacie. Rzadko zdarzało mi się oglądać takie obrazy - a pewnie tak właśnie widzieli Arbre Kuzyni ze swojego

statku na orbicie. To naprowadziło mnie na odpowiedź na pytanie, które od poprzedniego ranka kołatało mi się po głowie.

- Zaraz! - odezwałem się. - Orolo też oglądał takie zdjęcia. Nawet niektóre powiesił sobie na ścianie w celi.

- Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałeś - stwierdził oschle Sammamn.

Nie pierwszy raz odniosłem wrażenie, że my, deklaranci, jesteśmy tylko dziećmi, a itowie wcale nie należą do niższej kasty, lecz pełnią rolę naszych opiekunów. W pierwszym odruchu chciałem go przeprosić, ale w porę zdałem sobie sprawę, że jeśli raz zacznę przeproszać, nie będę umiał przestać. Jakimś cudem udało mi się opanować ogarniające mnie zakłopotanie, zanim weszło w fazę błota pod włosami.

(Na szpilu: stary dom wylatuje w powietrze; ludzie wiwatują).

- Skoro już o tym mowa... Fraa Jaad dopilnował, żeby trafiły w moje ręce - przyznałem.

Z kieszeni na piersi wyjąłem poskładane fototypy przedstawiające wielką dziurę w ziemi i rozłożyłem je na stole. Trzy głowy pochyliły się nad nimi. Nawet Ganelial Crade, który debatując przez piszczyk, spacerował w tę i z powrotem, zwolnił na chwilę i zerknął z zaciekawieniem.

- Wygląda jak kopalnia - stwierdził, żeby zaznaczyć swoją obecność. Nie sprawiał wrażenia, jakby rozpoznawał miejsce przedstawione na fototypach. - Gdzieś w tundrze.

- Słońce świeci prawie pionowo w dół - zauważyłem.

- Co z tego?

- To nie może być zbyt daleko od równika.

Teraz to Crade się zawstydził. Odwrócił się do nas plecami, udając bez reszty pochłoniętego rozmową przez piszczyk.

(Na szpilu: fototypy uprowadzonego dziecka, niewyraźne ujęcia przedstawiające moment wyprowadzenia dzieciaka z kasyna przez mężczyznę w kapeluszu z szerokim rondem).

- Tak się zastanawiałem... - Zwróciłem się do Sammanna. - Czy mógłbyś rozejrzeć się po świecie za pomocą swojego piszczyka

i poszukać podobnego miejsca? Wiem, że to jak szukanie igły w stogu siana, ale gdybyśmy podeszli do sprawy systematycznie, pracowali w systemie zmianowym i poświęcili dostatecznie dużo czasu...

Ita zareagował na moją propozycję z podobnym entuzjazmem, jak ja na sugestię Crade'a, że dziura w ziemi znajduje się w tundrze. Przeniósł piszczyk nad leżący na stole obraz i zrobił fototyp fototypu. Przez chwilę bawił się piszczykiem, a potem pokazał mi, co urządzenie wyświetliło: inny obraz tej samej dziury w ziemi, z tą tylko różnicą, że przekazywany na żywo przez Retikulum.

- Znalazłeś... - stwierdziłem.

Zależało mi na tym, żeby się nie spieszyć i dobrze zrozumieć, co się właściwie dzieje.

- Nie ja, tylko dostępny w Retikulum program syntaktyczny - poprawił mnie Sammann. - To daleko stąd. Na wyspie na Morzu Mórz.

- Możesz mi powiedzieć, jak nazywa się ta wyspa?

- Ecba.

- Ecba?! - wykrzyknąłem.

- A można się zorientować, co to właściwie jest? - zainteresowała się Cord.

Sammann zrobił zbliżenie, ale ja go właściwie nie potrzebowałem. Wiedząc, że chodzi o Ecbę, przestałem widzieć na fototypach kopalnię odkrywkową. Nie dało się wprawdzie ukryć, że jest to wykop, otoczony wałem usypanym z wybranej ze środka ziemi, że spiralna rampa schodzi po jego ścianie na samo dno, okolica jednak był zbyt schludna jak na kopalnię. W dodatku płaskie dno wykopu było pocięte równą siatką prostopadłych linii.

- Stanowisko archeologiczne - odparłem. - Bardzo duże.

- Czego można szukać na Ecbie? - spytała Cord.

- Mogę sprawdzić - zaproponował Sammann.

- Nie, zaczekaj... - poprosiłem. - Cofnij. Zmniejsz powiększenie. Jeszcze...

Stanowisko rysowało się jasną blizną kilka mil na

południowy wschód od ogromnej samotnej góry wyrastającej wprost z pomarszczonego morza. W jej górnych partiach zalegały płaty śniegu, ale na samym wierzchołku ziało wgłębienie, jakby ktoś wybrał szczyt wielką łychą. Kaldera.

- Orithena - stwierdziłem.

- Ta góra? - spytała Cord.

- Nie, wykopaliska. Ktoś chce odkopać Orithenę, świątynię pogrzebaną przez wybuch wulkanu w minus dwa tysiące sześćset dwudziestym pierwszym.

- Kto i po co miałby to robić?

Sammann powiększył obraz. Wiedziałem, czego szukać, więc tym razem bez trudu rozpoznałem otaczający stanowisko mur, w którym w jednym miejscu znajdowała się brama. Za murem przy prostokątnym dziedzińcu - klauzurze - stało kilkanaście budynków. Jeden z nich był zwieńczony wieżą.

- To matem - powiedziałem. - Teraz sobie przypominam... Ktoś mi kiedyś opowiadał, pewnie Arsibalt, że jakiś zakon przeniósł się na Ecbę i postanowił dokopać się do Oritheny. Wtedy myślałem, że chodzi o grupkę nieszkodliwych dziwaków z łopatami i taczkami.

- Nie widzę tam ciężkiego sprzętu - zauważył Crade. - Ale nawet paru zapaleńców ze szpadlami mogłoby coś takiego wykopać. To tylko kwestia czasu.

Rozdrażnił mnie, bo sam powinienem był na to wpaść: jakkolwiek by na to patrzeć, nasz tum został zbudowany w taki właśnie sposób. Crade miał rację, a mnie nie pozostało nic innego, jak z zapalem mu przytaknąć, żeby nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia.

- Bardzo to wszystko interesujące... - przyznał Sammann. - Ale to najpewniej ślepy zaułek.

- Zgadzam się - przytaknąłem.

Ecba znajdowała się na innym kontynencie - a dokładniej na wyspie na Morzu Mórz, otoczonym przez cztery kontynenty i położonym na drugim końcu świata.

- Orola nie ma w tych górach - obwieścił Ganelial Crade,

chowając piszczek do kieszeni. - Był tutaj, ale się nie zatrzymał.

(Na szpilu: dwoje pięknych ludzi bierze ślub).

- Skąd wiesz? - zapytał Sammann.

Ucieszyłem się. Crade był tak pewny siebie, że zadawanie mu nawet najprostszych pytań kosztowało mnie wiele wysiłku. Co innego Sammann: on zdaje się czerpał z tego perwersyjną przyjemność.

Crade połknął haczyk.

- Ktoś z Sambie podrzucił go tutaj. Przedostatnią noc Orolo spędził w aporcie mojego kuzyna, parę mil stąd.

- W aporcie? - zdziwił się Sammann. - Twój kuzyn nie ma wolnego łóżka?

- Yulassetar dużo podróżuje. Aport ma przytulniejszy niż dom.

- Powiedziałeś, że to było dwie noce temu? - upewniłem się. - Nie wiedziałem, że depczemy mu po piętach!

- Ale ucieka nam z każdą chwilą... Wczoraj rano Yulassetar pomógł mi zrobić zakupy, a potem Orolo złapał jakiś jadący na północ drumon.

- Jakie zakupy? - wtrąciła Cord.

- Ciepłe ubrania. Jak najcieplejsze. A na tym Yul świetnie się zna, bo z tego żyje. Jestem pewien, że właśnie dlatego Orolo odszukał go w Norslofie.

- Ale dlaczego pojechał na północ? - Nie rozumiałem. - Przecież tam nic nie ma, prawda?

Sammann zabrał mi mapomat (miał większy ekran niż jego piszczek), zmniejszył powiększenie i przesunął obraz na północ i wschód.

- Prawie nic... Tajga, tundra, a dalej lód aż do samego bieguna. Gospodarka... Plantacje drzew paliwowych przez pierwsze dwieście mil, a dalej już tylko nieliczne placówki ekstrakcji zasobów.

Obraz na wyświetlaczu mapomatu przeczył jego słowom: okolice podbiegunowe pokrywała gęsta sieć dróg zbiegających się w nazwanych węzłach, z których wiele było okolonnych

koncentrycznymi kęgami obwodnic. Wszystko to jednak narysowano bladobrazowym kolorem, zarezerwowanym na mapach dla ruin.

(Na szpilu: wystrzelenie rakiety, która w chmurze ognia wzbija się nad równikowym bagnem).

- Orolo wybiera się na Ecbę! - stwierdziła Cord.

- Co ty wygadujesz? - zdziwił się Crade.

- Ecba to inny kontynent - zawtórowałem mu. - Musiałby polecieć.

- Chce przejechać przez biegun - wyjaśniła Cord. - Jedzie do portu kolei lodowej w Osiemdziesiątym Trzecim Północnym.

Przyzwyczajiliśmy się myśleć o państwie sekularnym w taki sposób, jakby na przestrzeni dziejów nie ulegało żadnym zmianom. Niektórym statystom mogłoby się to wydać nadmiernym uproszczeniem, może nawet uwłaczającym ich inteligencji, chociaż postępowali dokładnie tak samo, kiedy mówili o „Najwyższych”. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę z tego uproszczenia, ale było dla nas wygodne i użyteczne. Bez względu na to, jakie cesarstwo, republika, tyrania, papieństwo, anarchia czy wyludnione pustkowie rozciągało się w danym momencie za murami matemu, nadawaliśmy mu etykietkę i mogliśmy o nim dyskutować.

Nie zamierzam opisywać tutaj funkcjonowania współczesnego mi państwa sekularnego; tego rodzaju informacje są dostępne w wielu źródłach i mogą być ewentualnie interesujące dla kogoś, kto nie zna historii świata przed Straszliwymi Wypadkami. Jeżeli jednak jesteś z nią obeznany, zauważysz z pewnością, że późniejsze wydarzenia powtarzają tylko utarty schemat, a szczegółowy opis państwa z moich czasów przypomni ci jakiegoś jego poprzednika, mniej lub bardziej odległego w czasie, lecz pozbawionego dawnego majestatu i klarowności,

typowych dla dzieł naszych przodków, którzy wszystko robili pierwszy raz i wierzyli, że osiągną coś wielkiego.

Jednakże w tym momencie muszę się w te szczegóły nieco wgłębić. Państwo sekularne w moich czasach było federacją podzieloną na jednostki polityczne, których granice w przybliżeniu pokrywały się z konturami kontynentów na Arbre. W ich obrębie można było podróżować swobodnie, ale do przekraczania granic niezbędne były dokumenty. Zdobycie ich nie przedstawiało większego problemu, pod warunkiem, że nie było się deklarantem.

Od czasów Rekonstrukcji świat matemowy istniał w całkowitym oderwaniu od systemu prawnego państwa sekularnego: państwo nie miało nad nami żadnej władzy, w żaden sposób za nas nie odpowiadało, nie prowadziło żadnej ewidencji deklarantów; nie miało prawa powoływać nas do wojska, nakładać na nas podatków, nawet przekraczać bram koncentów inaczej niż w czasie apertu. Nie mogliśmy też liczyć na jego pomoc w żadnej sprawie - poza ochroną w wypadku bezpośredniego zagrożenia najazdem tłuszczy lub wojska, a i ta forma opieki była uzależniona od jego dobrej woli. Nie zapewniało nam emerytur ani opieki zdrowotnej. I z całą pewnością nie wydawało nam żadnych dokumentów.

Spisując tę relację, uświadomiłem sobie w którymś momencie, że nie jest wykluczone, iż pewnego dnia trafi ona do rąk mieszkańców innych światów. Dlatego wyjaśnię, że my, mieszkańcy Arbre, uważaliśmy, że mamy dziesięć kontynentów, natomiast Kuzyni (czy dowolni inni goście przybywający z daleka i pierwszy raz oglądający naszą planetę) stwierdziliby zapewne, że jest ich tylko siedem - i mieliby rację. My doliczyliśmy się dziesięciu, ponieważ pierwsi nasi rachmistrzowie wyruszyli znad Morza Mórz i mogli tylko zgadywać, co znajduje się dalej niż o kilka dni drogi od jego dziwacznie ukształtowanych brzegów. Niejednokrotnie zdarzało się więc, że nadawali różne nazwy pociętym przez cieśniny i zatoki krainom, które dopiero przy dalszej (i znacznie późniejszej) eksploracji okazywały się fragmentami jednego wielkiego lądu, dochodzącego do Morza

Mórz ze wszystkich stron. Zanim jednak do tego doszło, kraje te zadomowiły się w mitach i historiach pod swoimi starożytnymi nazwami i próby wyrugowania ich z kultury miały takie same szanse powodzenia, jak próba wyjęcia jednego ze słupów, na których wspierał się tum.

Z kolei w okresie Odrodzenia odkryto łąd po drugiej stronie Arbre, na antypodach Morza Mórz, i okrzyknięto go nowym kontynentem. Setki lat później okazało się jednak, że najdalej na północ wysunięte macki tego kontynentu sięgają za biegun północny i dalej na południe, aż do Morza Mórz. Nie był to więc wcale nowy łąd, lecz po prostu odgałęzienie najstarszego i najlepiej znanego kontynentu, o czym nikt nie miał pojęcia, ponieważ nawet prymitywni tubylcy zamieszkujący domy z lodu nie zapuszczali się zbyt daleko poza osiemdziesiąty równoleżnik. Chcąc zaś udowodnić, że „stary” i „nowy” łąd to jedno i to samo, należałoby dotrzeć aż na dziewięćdziesiąty stopień, do bieguna, a następnie zejść mniej więcej do osiemdziesiątego równoleżnika po drugiej stronie. Udało się tego dokonać dopiero w ostatnim stuleciu przed Straszliwymi Wypadkami, ale nic nie mogło już zmienić zakorzenionych nawyków. Dlatego łąd, na którym się w tej chwili znajdowaliśmy z Cord, Sammannem i Crade'em, oraz ziemia stanowiąca północną granicę Morza Mórz nadal były traktowane jak osobne kontynenty. Czapa lodowa dzieliła je skuteczniej niż ocean. Żaden normalny człowiek nie podróżował z jednego kontynentu na drugi łądem, przez biegun: latało się aeroplanem albo płynęło statkiem.

Tylko że, chcąc wsiąść do aeroplanu albo dostać się na statek, należało przejść przez posterunek w porcie i okazać dokumenty. Orolo, który nie miał ani dokumentów, ani nadziei na ich zdobycie, podjął jedyną logiczną decyzję: postanowił skorzystać z tego, że dwa kontynenty są w rzeczywistości jednym. Cord pierwsza skojarzyła fakty.

Nie, nie pierwsza. Druga. Pierwszy był fraa Jaad.

- Pociąg lodowy! - powiedział Sammann. - To mi zalatuje bajką dla dzieci. One naprawdę kursują?

- Przez pewien czas połączenia były zawieszane, ale ostatnio je wznowiono - odparł Crade. - Ceny metali poszły w górę. Ludzie znów przynoszą złom z Głębokich Ruin.

- W moim zakładzie produkowaliśmy kiedyś części do takich lokomotyw - powiedziała Cord. - Byliśmy najdalej na północ wysuniętą dużą halą maszyn, więc podsyłali nam sporo zleceń. Przez ponad tysiąc lat robiliśmy z nimi interesy. Musieliśmy opracować specjalne stopy metali, które nie pękałyby na mrozie.

Mówiła tak jeszcze przez minutę albo dwie; o metalach potrafiła opowiadać z takim samym zapałem jak inne dziewczyny o butach. Im dłużej Crade i Sammann jej słuchali, tym szybciej tracili zainteresowanie ideą pociągu lodowego, która w pierwszej chwili autentycznie ich zafascynowała.

Przypomniał mi się fraa Jaad w celi Orola. Obejrzał fototypy na ścianie i w pół minuty wszystko zrozumiał. Zaimponowałby każdemu, nawet człowiekowi skłonnemu przypisywać tysięcznikom zdolności nadprzyrodzone.

Musiał wiedzieć coś wcześniej.

- Te wykopaliska... - Wskazałem leżący na stole fototyp.

Wszyscy dziwnie na mnie spojrzeli. Dotarło do mnie, że musiałem przerwać Cord wywód o metalach.

(Na szpilu: ofiary krwawej jatki; ich żony, drące na sobie ubrania i tarzające się po ziemi).

- Założę się o mój ostatni batonik energetyczny, że jeśli sprawdzicie datę, okaże się, że rozpoczęto je sześćset dziewięćdziesiąt lat temu - powiedziałem.

- Czyli w roku trzytysięcznym... - powiedział Crade. - Skąd ten pomysł? Lubisz okrągle daty?

Był to jeden z tych niezwykle rzadkich momentów, kiedy Ganelial Crade próbował zażartować, więc kierując się etykietą, uśmiechnąłem się półgębkiem, zanim mu odpowiedziałem:

- Jestem przekonany, że fraa Jaad wiedział, co jest grane; od razu rozpoznał to miejsce. Dlatego myślę, że wykopaliska zostały rozpoczęte podczas ostatniego konwoksu milenijnego.

Matem tysiącletni w Sauncie Edharze na pewno wysłał na konwojs swoich delegatów, którzy usłyszeli o wykopaliskach i przynieśli nowinę z powrotem do matemu. W ten sposób dotarła w końcu do fraa Jaada.

Sammann jak zwykle chętnie wszedł w rolę adwokata diabła:

- Nie myśl, że się z tobą nie zgadzam, ale nawet jeśli masz rację, nadal wydaje mi się wątpliwe, żeby fraa Jaad po jednym spojrzeniu rozpoznał wykopaliska w Orithenie. Przecież to by mogła być dowolna dziura w ziemi. Nic nie wskazuje na Ecbę.

Do tej pory Sammann koncentrował się głównie na jednym fototypie, obejmującym całe stanowisko. Pozostałe przedstawiały zbliżenia wybranych fragmentów wykopu i wcześniej niewiele z nich wynikało. Dopiero teraz, przyglądając im się uważniej, zacząłem rozróżniać zarysy fundamentów, kikuty kolumn, fragmenty mozaik. Na jednym z kawałków podłogi kafelki układały się w taki wzór:



- To jest analemma - powiedziałem. - Orithena była ogromną camera obscura. W jej dachu znajdował się mały otvorek, przez który słońce świeciło na posadzkę. Na przestrzeni roku obraz słońca podczas odprawianego w południe rytuału

(celebrowanego do dziś jako certyfik) minimalnie się przesuwiał, kreśląc na podłodze taki właśnie wzór.

- I myślisz, że fraa Jaad rozpoznał analemę na fototypie i od razu pomyślał o Orithenie? - spytała z powątpiewaniem Cord. - Bardzo sprytnie.

- To inteligentny człowiek - odparłem.

Nie była to najuprzejmniejsza odpowiedź; Jesry na pewno by mnie za nią splantował. Cord miała rację ze swoim sceptycyzmem, ja jednak nie zamierzałem teraz w to brnąć. Szybkość reakcji fraa Jaada sugerowała, że on i inni milenaryści sporo wiedzieli na temat wykopalisk w Orithenie. Bałem się trochę, że jeśli zaczniemy drążyć temat, niebezpiecznie zbliżymy się do Dynastii i tematów pokrewnych.

- No proszę... - Sammann spojrział na wyświetlacz piszczałki. - Erasmus wygrałby zakład. Przedstawione na fototypach wykopaliska rzeczywiście rozpoczęto w roku trzytyśięcznym p.r. - Odczytał następną informację i uśmiechnął się do mnie. - Prace zainicjowali edharczycy.

- Świetnie... - mruknąłem. Miałem ochotę wyrzucić mu piszczałki do sedesu.

- I to od was, z Saunta Edhara - ciągnął ita. - Chociaż inne edharskie matemy też przysyłały tu swoich fraa i suur.

- Ilu deklarantów tam mieszka? - spytała Cord.

Domyślałem się, co przelicza w myślach: jeżeli na jednego deklaranta przypada dwadzieścia tacek ziemi dziennie, to jak dużą dziurę wykopią przez sześćset dziewięćdziesiąt lat?

- Tak od razu to wam nie powiem - uprzedził Sammann, krzywiąc się. - Większość informacji na ten temat to jakiś szajs.

- Jak to? - zdziwił się Crade. Jak na komendę spojrzeliśmy na niego, bo to pytanie zabrzmiało dziwnie asekurancko.

Sammann też podniósł wzrok znad piszczałki i z zainteresowaniem popatrzył na Crade'a. Chwilę go przetrzymał, po czym odparł beznamiętnie:

- Każdy może zamieszczać w Retikulum informacje na dowolny temat, więc nic dziwnego, że jego zawartość jest w

znacznej mierze bezwartościowa. Trzeba ją filtrować, ale systemy filtrujące mają swoje lata. Od czasu Rekonstrukcji próbujemy je modernizować i ulepszać ich interfejsy. Są dla nas tym, czym tum dla fraa Erasmasa i jego kompanów. Kiedy poszukuję informacji na wybrany temat, nie znajduję ich bezpośrednio: piszczyk wyświetla mi metainformacje, z których mogę wnioskować, czego dowiedział się system filtrujący, kiedy zadał moje pytanie. Weźmy na przykład „analemę”: system filtrujący uprzedza mnie, że informacje na jej temat pochodzą z nielicznych źródeł, ale tymi źródłami są deklaranci, a więc można im zaufać. Gdybym jednak wpisał nazwisko popularnej gwiazdki muzycznej, która właśnie zerwała ze swoim chłopakiem... - ruchem głowy wskazał zapłakaną kobietę na szpilu - dowiedziałbym się, że ostatnio do Retikulum trafiło bardzo dużo informacji na jej temat i że większość z nich jest nic niewarta. Kiedy zaś wpisuję do systemu filtrującego „wykopaliska w Orithenie na Ecbie”, dowiaduję się, że od siedmiuset lat pisują o nich bardzo różni ludzie: jedni bardzo wiarygodni, inni zupełnie przypadkowi.

Jeżeli zamiarem Sammanna było uspokojenie Crade’a, to zupełnie mu się nie udało.

- Kto jest dla ciebie człowiekiem wiarygodnym? Fraa z jakiegoś koncernu?

- Owszem.

- A niegodnym zaufania?

- Miłośnik teorii spiskowych. Oraz każdy, kto produkuje dużo długich i mętnych artykułów, które czytają tylko tacy jak on.

- Deolatrzy?

- To zależy od tego, o czym taki deolatra pisze.

- A gdyby pisał o Ecbie? O Orithenie? O teglonie? - pytał Crade, dźgając palcem widoczny na fototypie dziesięciokątny plac przed starożytną świątynią.

- System filtrujący twierdzi, że pojawia się bardzo dużo takich tekstów - przyznał Sammann. - Ale o tym najwyraźniej wiesz lepiej ode mnie. Trudno jednak odsiać ziarno od plew. Kiedy widzę wyłaniającą się z filtra prawidłowość, instynkt

podpowiada mi, że to najprawdopodobniej szajs. Jest to ocena pospieszna i powierzchowna, a w związku z tym niekoniecznie słuszna. Przepraszam, jeżeli uraziłem cię niefortunnym doborem słów.

- Wybaczam ci - burknął Crade.

- No, to było wprost fascynujące! - przerwałem milczenie, kiedy zaczęło się krępująco przedłużać. - Cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy, zamiast tracić czas na przeczesywanie okolicy. Oczywiście w tej sytuacji cała moja idea poszukiwań Orola się zmienia: nikt z was nie mógł się spodziewać, że przyjdzie mu jechać na kraj świata. Dlatego powinniście teraz zawrócić na południe.

Spojrzeni na mnie. Z ich twarzy nic nie umiałem wyczytać.

- Tak mi się przynajmniej wydaje - dodałem.

- To nic nie zmienia - stwierdził Sammann.

- Nie zostawię koligata w takim bagnie - zaperzyła się

Cord.

- Potrzebne ci będą dwa pojazdy - zauważył rzeczowo Ganelial Crade. - Na wypadek, gdyby jeden się zepsuł.

Z taką logiką nie mogłem się kłócić, ale nie dałem się zwieść: to nie był prawdziwy powód, dla którego Crade chciał mi towarzyszyć. Nie po tym, jak wymknęło mu się słówko „teglon”.

- Do Osiemdziesiątego Trzeciego Północnego są dwa tysiące mil w linii prostej - powiedział Sammann, odczytując informacje z piszczałki. - Drogą wyjdzie dwa i pół tysiąca z hakiem.

- Ras, gdybyście ty i Sammann nauczyli się prowadzić, moglibyśmy się zmieniać i w trzy, cztery dni dojechalibyśmy na miejsce - zaproponował Crade.

- Im dalej na północ, tym droga będzie gorsza - ostrzegła Cord. - Bezpieczniej byłoby założyć, że potrzebujemy tygodnia.

Crade miał wyraźną chęć podyskutować z nią o tym, ale nie dała mu dojść do słowa:

- Musimy też trochę zmodyfikować aporty.

Rozgościliśmy się na tylnym parkingu stacji i wzięliśmy do roboty. Kiedy do właścicieli dotarło, że robimy sobie u nich tylko

krótki postój przed wyprawą na daleką północ, oswoili się z naszą obecnością i nasze kontakty wyraźnie się ociepliły. Doszli do wniosku, że jesteśmy jedną z wielu grup wagabundów, którzy jeździli grzebać w ruinach - tylko po prostu lepiej wyposażoną i zamożniejszą od przeciętnej.

Następnego dnia pojechaliśmy aportem Cord po nowe opony do wozu Crade'a, a potem wzięliśmy jego aport i przywieźliśmy opony dla niej. Nowe gumy miały głęboki bieżnik i sterzące guzki na powierzchni. Cord i Gnel (Ganelial Crade uparł się, żebyśmy tak go nazywali) wspólnie zajęli się skomplikowanym i wymagającym wielu narzędzi procesem wymiany płynów chłodzących i smarów w obu pojazdach na takie, które nie będą zamarzały. Ani ja, ani Sammann nie znaleźliśmy się na tym, więc po prostu staliśmy w pobliżu i staraliśmy się być przydatni. Sammann sprawdzał na piszczku drogę na północ i przeglądał notki podróżnych, którzy w ostatnim czasie nią podróżowali.

- Posłuchaj... - zagadnąłem go w pewnym momencie. - Cały czas chodzi mi po głowie takie ujęcie z wczorajszego szpilu.

- Płonący bibliotekarz?

- Nie.

- Lawina błotna druzgocąca szkołę?

- Nie.

- Chłopiec z porażeniem mózgowym bawiący się ze szczeniakami?

- Nie.

- No dobrze, poddają się.

- Start rakiety.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Start rakiety... i co potem? Rakieta eksploduje? Trafia w sierociniec?

- Nie, właśnie w tym rzecz. Po prostu startuje i koniec.

- Byli na pokładzie jacyś sławni ludzie...

- Nikogo nie widziałem. Pokazaliby ich, prawda?

- W takim razie nie rozumiem, po co w ogóle ją

pokazywali. Cały czas gdzieś startują jakieś rakiety.

- Wiesz, ja się na tym nie znam, ale ta wydała mi się wyjątkowo duża.

Dopiero teraz Sammann zrozumiał aluzję.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć.

Energiczna starsza pani - współwyznawczyni Gnela - przyniosła nam ciasto i wciągnęła Gnela w długą rozmowę. Przez ten czas na stację wtoczył się z łoskotem duży, zbryzgany błotem apart, zatoczył dwa kółka wokół nas i zajął cztery miejsca parkingowe. Pani od ciasta skrzywiła się i sobie poszła. Barczysty brodacz wysiadł z apartu i z rękami w kieszeniach podszedł do Gnela, rozglądając się z zaciekawieniem. Znalazłszy się naprawdę blisko, nagle rozpromienił się w uśmiechu i wyciągnął rękę na powitanie. Gnel z wahaniem podał mu rękę i odczekał, aż ten chwilę nią poszarpie w górę i w dół. Porozmawiali dosłownie kilka sekund, po czym brodacz zaczął spacerować wokół naszego obozowiska, przyglądać się, co w nim mamy, i na tej podstawie domniemywać, co robimy. Po zakończeniu rekonesansu wysunął składany blat z burty swojego domu na kołach, postawił na nim maszynkę i zaczął nam przyrządzać gorące napoje.

- To Yulassetar Crade, mój kuzyn - powiedział Gnel.

Patrzyliśmy, jak rozstawia kuchenkę, odkurza kubki i wyjętą z kieszeni szmatką poleruje garnki.

- Co się stało? - spytałem.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Gnel.

- Sądząc po tym, jak ty i ta starsza pani zareagowaliście na jego pojawienie się, coś między wami zaszło. Jakieś kłopoty?

- Yul jest here... - Gnel ugryzł się w język. - Apostata.

„Ale poza tym wszystko z nim w porządku?” - chciałem zapytać, ale sobie darowałem.

Yul nie próbował się przedstawić, ale kiedy podszedłem, odwrócił się, uśmiechnął i podał mi rękę, po czym wrócił do swojej pracy.

- Wyciągnij ręce - polecił, a kiedy posłuchałem, wręczył mi tacę, na której postawił kubki z gorącym pićciem. - To dla twoich

kolegów.

Uparłem się, żeby poszedł ze mną. Pierwszy kubek podaliśmy Gnelowi. Podeszliśmy do Sammanna i dokonałem prezentacji. Namówilem Cord, żeby wyczołgała się spod apartu; wstała, otrzepała się z kurzu i podała Yulowi rękę. Spojrzeli na siebie w taki sposób, jakby spotykali się nie pierwszy raz, ale nie skomentowali tego w żaden sposób. Cord wzięła swój kubek i odwrócili się z Yulem plecami, jakby czymś zakłopotani.

Yulassetar Crade podwiózł mnie do miasta, gdzie miałem załatwić sprawunki. Zacząłem od wysłania listu do Ali, na adres Koncentu Saunta Tredegarha. Kobieta na poczcie bardzo się krzywiła, ponieważ list był źle zaadresowany: koncenty nie miały adresów z tych samych powodów, dla których ja nie miałem paszportu. Wiedziałem, że błędem było nieprzekazanie listu przez Lio albo Arsibalta, kiedy rozstawaliśmy się po pikniku w Sambie: przeszmygłowałiby go bezpośrednio do Ali. A tak musiałem wysłać go do koncentu, gdzie hierarchowie przechwycą go i - jeżeli będą chcieli przestrzegać Dyscypliny - oddadzą Ali dopiero podczas następnego apartu, czyli za ponad dziewięć lat. Mogłem co najwyżej zgadywać, co będzie wtedy o mnie myślała, odczytując poźółkły dokument, dzieło niespełna dwudziestoletniego młokosa.

Następny przystanek zrobiłem sobie w miejscu, gdzie mogłem kupić kombiwory: obszerne pomarańczowe skafandry, które po spięciu nogawek suwakiem zmieniały się w śpiwory. Produkowano je z myślą o myśliwych i poszukiwaczach przemierzających daleką północ. Miały wbudowane zasilacze katalityczne: wystarczyła odrobina paliwa w pęcherzu paliwowym, żeby skromna strużka energii przesączała się w głąb nogawek i rękawów, do wkładek grzewczych w podeszwach butów i na wewnętrznej powierzchni rękawic. Nowe kombiwory były dość drogie, ale Yul pomógł Orolowi kupić tańszy, używany. Znał kilka miejsc, gdzie można było dostać stare kombiwory, po renowacji, i wiedział, co należy zrobić, żeby wygodniej się je nosiło.

Po załatwieniu sprawy kombiworów ruszyliśmy na

poszukiwanie reszty niezbędnego sprzętu i zapasów. Ilekroć proponowałem udać się do sklepu ze sprzętem wycieczkowym, Yul krzywił się i marudził, po czym tłumaczył mi, że lepszy ekwipunek można kupić za jedną dziesiątą ceny w sklepach przemysłowych i spożywczych, jeśli tylko wie się, czego szukać. I zawsze miał rację, rzecz jasna. Z zawodu był przewodnikiem i wynajmował się urlopowiczom wybierającym się na wycieczki w góry. Chwilowo musiał być chyba bez pracy, bo przez cały dzień obwoził mnie po Norslofie, pomagając kupić lub sprokurować na poczekaniu wszystko, czego mogliśmy potrzebować. Kiedy się okazywało, że jakiegoś absolutnie niezbędnego drobiazgu nie dostaniemy w żadnym sklepie, obiecywał dostarczyć go ze swoich prywatnych zapasów.

Jeżdżenie po mieście pochłaniało niewyobrażalną ilość czasu. Wszędzie panował ogromny ruch, takie przynajmniej miałem wrażenie, ale nie byłem przyzwyczajony do życia w mieście. Kiedy ruch zamierał całkowicie, pasażerowie pobliskich pojazdów zerkali ciekawie na rozklekotany wehikuł Yula. Dorośli prędko odwracali wzrok, ale dzieci chętnie wytykały go palcami i parskały śmiechem. Stanowiliśmy z Yulem dziwną parę, zwłaszcza w tłumie ludzi spieszących do szkoły i pracy.

Z początku Yul poczuwał się chyba do roli dobrego gospodarza i próbował zapewnić mi rozrywkę, kiedy tkwiliśmy w korkach.

- Muzyka? - spytał obojętnie, jakby muzyka była czymś, o czym słyszał raz w życiu, dawno temu.

Kiedy nie zaprotestowałem, zaczął się mocować z systemem nagłaśniającym w taki sposób, jakby zamierzał mu poobrywać pokrętła i guziki, aż w końcu nastawił jakąś zupełnie przypadkową transmisję. Później, kiedy zaczął mówić, wyłączyłem muzykę, a on nawet tego nie zauważył.

Domyślałem się, że do jego obowiązków należy zabawianie klientów, żeby dobrze się czuli w jego towarzystwie. Efekt ten uzyskiwał, opowiadając historie - i był w tym niezły. Próbowałem naciągnąć go na opowieści o Orolu, ale niewiele miał

o nim do powiedzenia. Bez względu na to, ile Orolo znaczył dla mnie, dla Yula był po prostu kolejnym żółtodziobem, który potrzebował rady i pomocy, żeby przetrwać na pustkowiu. W ten sposób przeszliśmy jednak do podróżowania po dalekiej północy, a na tym Yul naprawdę się znał.

Później zapytałem go, czy zawsze wyprawia się na północ. Zachnął się i odparł, że nie, skądże, pracował wiele lat jako flisak na rzekach na południe od Sambie, gdzie ziemia była pocięta głębokimi wąwozami wyrzeźbionymi w piaskowcu i pełnymi efektownych formacji skalnych. Trochę mi jeszcze poopowiadał o tamtych wycieczkach, ale w którymś momencie poczuł się nieswojo i umilkł. Wyglądało na to, że gawędziarstwo pozwalało przełamać lody i miło spędzić czas, ale tak naprawdę brakowało mu jakiegoś konkretnego wyzwania, w które mógłby zainwestować swój intelekt i niespożyte siły.

Jakoś tak wyszło, że od któregoś momentu przestał używać zaimka „wy” i mówić na przykład „Będziecie potrzebowali paliwa na zapas, żebyście w razie konieczności mogli topić śnieg na wodę do picia”, i płynnie przeszedł na „my”: „Powinniśmy się liczyć z tym, że co najmniej cztery razy złapiemy gumę”.

Jego dom był w gruncie rzeczy składowiskiem zbędnych przedmiotów, które nie zmieściły się w aporcie: sprzętu biwakowego, części zapasowych, pustych butelek, broni, książek. Książki piętrzyły się w stertach sięgających mi do bioder; Yul najwyraźniej nie miał regałów. Przeważała beletrystyka, ale znalazłem też kilka stosów czysto geologicznych. Na ścianach wisiały powiększone fototypy kolorowych skał osadowych, wyrzeźbionych przez wiatr i wodę. W piwnicy, dokąd zeszedliśmy po dodatkowy ekwipunek, znajdowały się całe stosy piaskowcowych skamielin.

Kiedy załadowaliśmy do wozu wszystko, co wydawało się Yulowi niezbędne, i w drodze powrotnej do stacji paliw utknęliśmy w następnym korku, zagadnąłem go:

- Domyślasz się, że świat jest bardzo stary, prawda?
- Pewnie - odparł bez namysłu. - Długo pływałem tratwami

po tamtych rzekach. Całe lata. Tam wszędzie na brzegach leżą kamienie, wielkie jak domy. Odrywają się od ścian wąwozów i spadają. Jest ich mnóstwo, tak jakby spadały bez przerwy.

- A nie spadają?

- Popatrz tutaj: jedziesz tą drogą i widzisz na jezdni ślady hamowania, tak jak w tym miejscu. Nic wielkiego, każdy głupi wie, że można wpaść w poślizg. Ale kiedy zaczynasz widzieć dużo tych śladów, dochodzisz do wniosku, że poślizgi zdarzają się często. Zatem kiedy widzisz dużo kamieni w wąwozie, to myślisz, że często spadają. Więc ja też czekałem, aż zobaczą taki spadający głaz: spływałem sobie na tratwie z klientami, rozumiesz, oni szli spać albo o czymś tam sobie gadali, a ja zerkąłem na ściany wąwozu i czekałem.

- I się nie doczekałeś.

- Nie, ani razu.

- Z czego wywnioskowałeś, że w grę wchodzi zupełnie inna skala czasu.

- No właśnie, kiedyś próbowałem to sobie nawet porachować. My tu nie mamy teoryki, ale przez pięć lat obserwowałem taką jedną rzekę i przez pięć lat nic do niej nie spadło, ani jeden kamulec. Gdyby Arbre miała tylko pięć tysięcy lat, wszystkie kamienie zalegające dno wąwozu musiałyby pospadać w tym właśnie czasie, nie? No to i ja powinienem coś zobaczyć.

- Ludziom z twojej arki nie spodobało się, kiedy im o tym opowiedziałeś.

- Nie bez powodu wyjechałem z Sambie.

Na tym rozmowa się skończyła. Natrafiliśmy na wieczorne godziny szczytu, jechaliśmy długo, powoli i w milczeniu. Fascynowały mnie oglądane przez szyby mobów migawki z życia innych ludzi i nagle uderzyło mnie, jak bardzo życie Yula różni się od tego, które oni prowadzą.

Zdziwił mnie trochę sposób, w jaki dołączył do naszej wyprawy. Nie zauważyłem oznak żadnego racjonalnego procesu: nie było gromadzenia faktów, porównywania różnych opcji... Ale

Yul tak właśnie żył. Zdałem sobie sprawę, że Gnel wcale nie zaprosił go do nas na stację: Yul po prostu przyjechał. Codziennie robił coś nowego, codziennie w nowym towarzystwie, i z tego powodu tak samo jak ja nie pasował do tłumu stojącego w korku.

Patrzyłem na pasażerów mobów i zastanawiałem się, jak żyją. Przed tysiącami lat ludzka praca została podzielona na zawody i stanowiska, w których i na których wszystkie dni wyglądały tak samo; odbywała się w ramach organizacji, gdzie człowiek był elementem wymiennym. I gdzieś po drodze ludzie zagubili swoje historie. Tak się musiało stać, w taki sposób uzyskiwało się wydajną gospodarkę - lecz nietrudno było dostrzec w tym machinacje świadomej woli, może nie do końca złej, ale z pewnością samolubnej. Ci, którzy stworzyli ten system, zazdrościli innym nie pieniędzy i nie władzy, tylko właśnie historii. Jeżeli ich pracownicy, wracając do domu po ciężkim dniu, mieli coś ciekawego do opowiedzenia, znaczyło to, że coś poszło nie tak: była przerwa w dostawie prądu, wybuchł strajk, szalenciec urządził rzeź. Najwyżsi nie zamierzali dopuścić do tego, żeby inni ludzie mieli własne historie do opowiedzenia - chyba że będą to fałszywe, fikcyjne opowieści, motywujące ich do cięższej pracy. Ci, którzy nie potrafili żyć bez historii, trafili do koncentrów albo do takich zawodów jak Yul, a reszta musiała poza miejscem pracy szukać poczucia przynależności do jakiejś historii - stąd chyba brało się u sekularów powszechne zainteresowanie sportem i religią. Jak inaczej można było stać się elementem przygody, częścią czegoś, co ma początek, środek i koniec i w czym odgrywa się znaczącą rolę? My, deklarami, mieliśmy łatwiej, bo z założenia byliśmy częścią procesu, w którym chodziło o uczenie się nowych rzeczy. I jeśli nawet ten proces dla niektórych z nas toczył się zbyt wolno (tak jak dla Jesry'ego), to jednak posuwał się naprzód; każdy z nas mógł powiedzieć, na jakim jest etapie i jaką ma rolę do odegrania. Yul dostawał to samo za pół darmo, ponieważ codziennie przeżywał swoje historie; ceną, jaką za to płacił, była niewielka waga, jaką cały świat przywiązywał do jego opowieści. Może właśnie dlatego czuł potrzebę opowiadania - nie tylko o

swoich dokonaniach w dzikich krainach, ale także o przygodach klientów.

Dojechaliśmy wreszcie na stację. Yul wypakował przenośną kuchnię i zaczął pichcić kolację. Nie ogłosił oficjalnie, że do nas dołączy, ale jego słowa nie pozostawiały co do tego wątpliwości, więc po jakimś czasie Gnel poszedł do właściciela stacji i dogadał się z nim, żeby Cord mogła zostawić swój aport na parkingu na jakieś dwa tygodnie. Cord zaczęła przenosić rzeczy do wozu Yula, który przyglądał się temu znad kuchenki i wkrótce zaczął biadolić - w żartach - nad masą zbędnych, jego zdaniem, gratów, które usiłowała wepchnąć do jego domu na kołach. Cord nie pozostała mu dłużna i odpysknęła coś raz, potem drugi... Po minucie przerzucali się takimi bluzgami, że uszy wędły. Nie mogłem wtrącić się do ich sprzeczki (tak jak nie mógłbym im przerwać, gdyby się bili lub całowali), podszedłem więc do Sammanna.

- Znalazłem ten szpil z rakieta - poinformował mnie. - Miałaś rację, naprawdę była ogromna. Jedna z największych, jakie się dziś wystrzelują.

- Coś jeszcze?

- Ciekawy ładunek. Kształtem i wielkością pasuje do pojazdu, którym zwykle wywozi się ludzi w kosmos.

- Ilu?

- Maksymalnie ośmiu.

- Wiadomo, kto jest na pokładzie albo po co poleciecieli?

Sammann pokręcił głową.

- Nie, chyba żeby sam brak informacji uznać za informację.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Najwyżsi twierdzą, że to pojazd bezzałogowy, sterowany przez syntakt. Podobno chcą przetestować jakiś nowy układ.

Spojrzałem na niego znacząco, na co uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- No wiem, wiem... Popytałem w kilku znanych mi retikulach; może za parę dni coś będziemy mieli.

- Za parę dni to my będziemy na biegunie.

- Za parę dni biegun może być najrozsądniejszym miejscem pobytu.

Następnego dnia rano, po obfitym śniadaniu przyrządzonym przez Yula i Cord, wyruszyliśmy na północ. Aport Cord został na parkingu i nasza karawana składała się z pojazdów Crade'ów: aport Yulassetara wiół większość sprzętu, aport Ganeliala - wstawiony na skrzynię trójkołowiec.

Pierwszy odcinek trasy prowadził na północ i w dół, na nadbrzeżną równinę, gdzie należało skrócić w prawo i łagodnym lewym łukiem objechać zatokę północnego oceanu. W głębi zatoki leżał dawniej - przez dwa stulecia pierwszego milenium p.r., kiedy zatoka nie zamarała przez cały rok - największy port świata. Ze względu na swoje położenie szczątki portu stały się później „najpłytszymi” - a więc także najłatwiej dostępnymi - ze wszystkich ruin. Większość arcydzieł inżynierii portowej (wiadukty, falochrony, mosty) została połupana na kawałki przez złomiarzy, którzy wrywali zalane syntetycznym kamieniem zbrojenia i wywozili je w inne okolice, gdzie istniało zapotrzebowanie na metal. Na kopcach gruzów wyrosły olbrzymie drzewa, a jedyną ocalałą konstrukcją sprzed wieków był most wiszący, przerzucony nad uchodzącą do zatoki olbrzymią rzeką. Znajdował się na takiej wysokości, że nie zagrażały mu fale paku lodowego. O tej porze roku lodu nie było nigdzie widać, ale pozostały po nim wyraźne blizny na usłanych gruzem brzegach. Zrujnowany port pełnił rolę wioski rybackiej i przystanku drumonów. Zamieszkiwało go - latem - kilkaset osób. Po tym, jak go minęliśmy i odbiliśmy w głąb lądu, prawie dokładnie na północ, napotykaliliśmy już tylko małe, rzadko rozsiane osady, których ubywało w miarę, jak wspinaliśmy się na zalesione wzgórza. Po ich drugiej stronie powitał nas zupełnie inny krajobraz, zimny i suchy - tutaj mało które drzewo sięgało wyżej

niż na wysokość głowy dorosłego człowieka. Ruch prawie zamarł: przez godzinę nie napotkaliśmy żadnego pojazdu, w końcu zatrzymaliśmy się na kamienistym brzegu rzeki, ustawiliśmy aporty w taki sposób, żeby nie było ich widać z drogi, i spędziliśmy noc w kombiworach.

Z samego rana okazało się, że nowiutka kuchenka, kupiona przez nas po opuszczeniu Sambie, nie działa. Gdyby nie Yul, do końca podróży żywilibyśmy się już tylko zimnymi batonikami energetycznymi, ale on z dyskretnie triumfującą miną zaprzął do pracy swoją huczącą baterię palników przemysłowych i przyrządził ogromniaste śniadanie. Gnel, mimo że rozdrażniony, przyglądał mu się z niekłamaną dumą, jakby chciał powiedzieć: *No proszę, patrzcie, jakie wspaniałe jednostki potrafimy wydać, jeśli tylko przestaną wierzyć w naszą religię.*

Korzystając z pustki na drodze, poszedłem do Yula na lekcję prowadzenia aportu. Przez ten czas Cord rozebrała kuchenkę, zdiagnozowała problem (zatkana dysza) i doszła do wniosku, że winę za usterkę ponosi lepka frakcja paliwa, która wytrąciła się z niego w mroźną noc.

- Dąszasz się - powiedziała chwilę później.

Zdałem sobie sprawę, że faktycznie trzymam się na uboczu. Ona i Yul rozmawiali, a ja nie miałem pojęcia o czym.

- O co chodzi? - zapytała.

- Po prostu nie mieści mi się w głowie, że w naszych czasach ciągle są problemy z paliwem chemicznym.

- Przepraszam, powinniśmy byli kupić lepsze.

- Nie w tym rzecz. Nie masz za co przeproszać. Chodziło mi o to, że ta kuchenka jest wytworem praksis, która liczy sobie cztery tysiące lat!

- Tak jak ten aport i wszystko, co się w nim znajduje... - odparła zaskoczona Cord.

- Zaraz, zaraz! - przerwał jej Yul z udawaną pretensją.

Cord prychnęła, przewróciła oczami i znów spojrzała na mnie.

- Wszystko poza twoją sferą - poprawiła się. - Co z tego?

- Rzadko o tym myślę, pewnie dlatego, że tam, gdzie mieszkam, w zasadzie nie stykam się z praksis, ale w takich chwilach jak teraz absurdalność sytuacji wali mnie jak obuchem w łeb. Nie rozumiem, po co męczymy się z takim złomem: kuchenka na niebezpieczne i niepewne paliwo chemiczne, z dyszą, która może się zatkać. Przez cztery tysiąclecia nie wymyśliliśmy nic lepszego?

- A czy taką lepszą kuchenkę też umiałabym rozłożyć i naprawić?

- Nie musiałabyś, bo ona by się nie psuła.

- Pytam, czy rozumiałabym, jak działa.

- Jesteś taką osobą, że gdybyś się uparła, zrozumiałabyś każde urządzenie.

- Pochlebiasz mi, Ras, ale już drugi raz nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- No dobrze, rozumiem. Pytasz, czy przeciętny człowiek potrafiłby zrozumieć funkcjonowanie takiej...

- Nie wiem, kto to jest „przeciętny człowiek”, ale spójrz na Yula. Sam zrobił swoją kuchenkę. Prawda, Yul?

Yul nie był zachwycony, że dzięki Cord rozmowa nagle zeszyła na niego, ale nie zaprotestował. Spuścił wzrok i skinął głową.

- Ano prawda. Kupiłem palniki od złomiarzy. Zespawałem ramę.

- I działa - dodała Cord.

- Wiem. - Poklepałem się po brzuchu.

- System działa! - zachnęła się Cord.

- Jaki system?

Zaczynała tracić cierpliwość.

- No... ten...

- Antysystem - odparł Yul. - Brak systemu.

- Yul wie, że takie kuchenki są zawodne. - Cord ruchem głowy wskazała zepsutą maszynkę. - Wie z doświadczenia.

- Gorzkiego doświadczenia, moja panno! - wtrącił Yul.

- Spotkał złomiarzy, którzy z ruin na dalekiej północy

przywieźli lepsze palniki. Potargował się, kupił, palniki podrasował... I od tamtej pory pewnie stale coś w nich ulepsza.

- Dwa lata trwało, zanim zaczęły chodzić tak jak powinny - przyznał Yul.

- Wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby trafił na technologię, której nie rozumie nikt poza deklarantami - dodała Cord.

- W porządku, niech wam będzie - odpuściłem.

Nie było sensu kontynuować tego sporu. My, teorowie, którzy przy Rekonstrukcji wycofaliśmy się (lub, w zależności od preferowanej wizji historii, zostaliśmy zapędzeni) do matemów, posiadliśmy moc zmieniania świata fizycznego za pomocą praksis. Zwykłym ludziom nasze zmiany się podobały, ale tylko do pewnego momentu. Im bardziej skomplikowana stawała się nasza praksis, tym słabiej ją rozumieli i tym bardziej uzależniali się od nas - a to im wcale nie odpowiadało.

Cord dość długo wykladała Yulowi, co wie o Kuzynach, i relacjonowała mu naszą podróż z Saunta Edhara przez Sambie do Norslofu. Yul słuchał jej całkiem spokojnie, co działało mi na nerwy. Miałem ochotę złapać go za ramiona, potrząsnąć i sprawić, żeby zobaczył, że ma do czynienia z faktem wagi kosmicznej, najważniejszym wydarzeniem w historii. Tymczasem on słuchał słów Cord z taką miną, jakby opowiadała o wymianie przebitej opony w drodze do pracy. Może przewodnicy górscy mieli po prostu taki zwyczaj: kiedy ludzie przybiegali do nich z niepokojącymi wieściami, zachowywali udawany, nienaturalny spokój.

Tak czy inaczej, dało mi to okazję do pociągnięcia tematu kuchenki w sposób, który nie zirytuje Cord. Poczekałem na chwilę przerwy w rozmowie i wtrąciłem się:

- Rozumiem, dlaczego komuś może bardziej odpowiadać

kuchenka, którą potrafi rozebrać na części i zrozumieć. I zazwyczaj mi to nie przeszkadza. Zazwyczaj. Tylko że teraz sytuacja nie jest zwyczajna. Jeżeli okaże się, że Kuzyni mają wrogie zamiary, jak im się przeciwstawimy? Wygląda na to, że przybywają ze świata, w którym nie było Rekonstrukcji.

- Z dyktatury teorów - powiedział Yul.

- To nie musi być dyktatura! Gdybyś znał teorów osobiście, wiedziałbyś, że nie potrafiliby się tak zorganizować.

Ale Cord przyznała rację Yulowi.

- Kiedy jakaś nacja buduje takie statki, to nazywaj ją jak chcesz, ale faktycznie jest dyktaturą. Sam powiedziałeś, że do tego potrzeba zasobów całej planety. Jak myślisz, w jaki sposób budowniczo wie zdobyli te zasoby?

Cord i ja mieliśmy zwykle zbliżone poglądy na większość spraw i rzadko przeszkadzał nam fakt, że ona jest statystką, a ja deklaratorem. Dlatego kiedy teraz wystąpiła przeciwko mnie, zasmuciło mnie to bardziej, niż się spodziewałem. Nie kontynuowałem dyskusji. Podczas niekończących się przejazdów jedno - czy dwugodzinne przerwy w rozmowach nie były niczym nadzwyczajnym.

Zresztą co innego zwróciło moją uwagę: Cord zachowywała się zupełnie inaczej, odkąd pojawił się Yul. Rozumieli się bez słów. Cokolwiek się między nimi działo, nie byłem tego częścią - i byłem zazdrosny.

Przejechaliśmy przez kolejne ruiny miasta, podobnie „płytkie” jak te z poprzedniego dnia i podobnie ogołocone.

- Praksis, jaką dysponują Kuzyni, nie jest taka znowu nadzwyczajna - stwierdziłem. - Nie widzieliśmy na tym statku nic, co nie mogłoby powstać w naszej własnej Epoce Praksis. Dlatego wydaje mi się, że potrafilibyśmy zbudować broń, która mogłaby go unieszkodliwić.

Cord uśmiechnęła się i napięcie zelżało.

- Mówisz jak fraa Jaad! - stwierdziła z oczywistym rozculeniem. Nade mną.

- Naprawdę? - Słyszałem, jak słabnie zboląła nuta w moim

głosie. - Co takiego powiedział?

Całkiem niezłe naśladowała burkliwy głos fraa Jaada:

- „Układy elektryczne ich statku można by unieszkodliwić za pomocą impulsu superhipercośtam”. Na co Lio wtrącił: „Wybacz, fraa Jaad, ale nie wiemy, jak go wygenerować”. „To proste”, powiedział fraa Jaad. „Wystarczy zbudować matrycę induktorów jakiegoś tam pola”. „Za przeproszeniem, fraa Jaad, dziś nikt już nie interesuje się tą teorią. Nadrobienie zaległości w tej dziedzinie wymagałoby trzydziestu lat studiów”. I tak dalej.

Parsknąłem śmiechem, ale dokonawszy pospiesznych rachunków w pamięci, stwierdziłem:

- Pewnie właśnie dojeżdżają do Tredegarha. Może już nawet zaczęli dyskutować o budowie tych induktorów.

- Mam nadzieję!

- Podejrzewam, że państwo sekularne dysponuje mnóstwem informacji na temat Kuzynów, które dotychczas przed nami ukrywało. Nie zdziwiłbym się, gdyby wysłali już na orbitę kogoś, kto z nimi rozmawiał! I założę się, że przekażą te informacje fraa i suur zgromadzonym na konwoksie. Żałuję, że nie mogę tam być, mam już dość tego, że nic nie wiem. Zamiast jechać na konwoks, pomagam fraa Jaadowi zrozumieć, po co odrzutek postanowił odwiedzić siedemsetletnie wykopaliska.

W geście bezradności uderzyłem pięścią w deskę rozdzielczą.

- Ej! - zawołał Yul z udawanym oburzeniem. Zamachnął się, udając, że chce mi dać kuksańca.

- Chyba tak to już jest, jeśli jest się pionkiem - dodałem.

- Twoja wizja konwoksu wydaje mi się bardzo romantyczna - powiedziała Cord. - I nadmiernie optymistyczna. Pamiętasz pierwszy dzień podróży, kiedy przy hali maszyn próbowaliśmy rozsadzić siedemnaście osób w sześciu pojazdach?

- Jakby to było dzisiaj.

- Konwoks wygląda podobnie, tylko tysiąc razy gorzej.

- Chyba że mają tam kogoś takiego jak ja - wtrącił Yul. - Powinniście zobaczyć, jak upycham siedemnastu turystów na

czterech tratwach.

- Ponieważ Yula nie ma w Tredegarhu, nic nie tracisz - zapewniła mnie Cord. - Wyluzuj i ciesz się jazdą.

- No dobrze. - Roześmiałem się. - Wygląda na to, że jesteś lepszą znawczynią charakterów niż ja.

- Tak? - zdziwił się Yul. - To czego ode mnie chce?

Podczas podróży często wymienialiśmy się miejscami w pojazdach - wszyscy poza Gnelem, który nie ruszał się ze swojego aportu. Czasem tylko pozwalał Sammannowi go prowadzić. Kiedy następnego dnia przez dłuższy czas jechaliśmy z Cord sami, tylko we dwoje, poinformowała mnie, że Yul jest jej chłopakiem, a ona jego dziewczyną.

- Aha... - mruknąłem. - Teraz rozumiem, czemu tyle czasu zajmuje wam wspólne „zbieranie drewna”.

Nie chciałem być nieprzyjemny, starałem się po prostu naśladować cięte uwagi, którymi Cord i Yul przerzucali się z taką swobodą. Cord się jednak zawstydziła, a ja zrozumiałem, że posunąłem się za daleko.

- Wiesz co? - zagadnąłem, po omacku szukając czegoś mądrego do powiedzenia. - Teraz, jak mi o tym powiedziałaś, mam wrażenie, że to wam było pisane. A ja nie od razu się zorientowałem, bo wydawało mi się, że chodzisz z Roskiem.

Cord powiedziała, że to głupie.

- Pamiętasz, jak z nim rozmawiałam przez piszczyk?

- Pamiętam...

- No więc wtedy właśnie zrywaliśmy ze sobą.

- Wybacz, Cord, nie lubię wchodzić w rolę pedantycznego deklaranta, ale, chcąc nie chcąc, słyszałem twoją połowę tych rozmów i nie przypominam sobie, żeby padło tam chociaż jedno słowo na temat zerwania.

Spojrzała na mnie jak na wariata.

Podniosłem ręce w pojednawczym geście.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie miałem pojęcia, co się dzieje.

- Ja też.

- Myślisz, że...

Zamierzałem zapytać, czy myśli, że Rosk wie, ale w przeblysku geniuszu zdałem sobie sprawę, że to by było samobójstwo. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Cord w dość niestandardowy sposób traktuje ważne związki międzyludzkie, ale kiedy przypomniałem sobie, jak ułożyło mi się z Alą, doszedłem do wniosku, że nie mam prawa jej krytykować.

Zdumiewająco rzadko rozmawialiśmy o naszej rodzinie, którą dzieliliśmy przed moim „pójściem do zegara”. Jednakże nawet po zdawkowych wymianach zdań na jej temat nie mogłem się nadziwić, jak obrotni potrafią być ludzie w uprzykrzaniu sobie nawzajem życia - obojętne, czy chodziło o bliskich, czy o gromadę obcych, z którymi zostali zamknięci w koncencie. Czasem, kiedy słuchałem Cord, miałem wrażenie, że wiedzą, doświadczeniem i cynizmem w tych kwestiach dorównuje osiemdziesięcioletnim staruchom. Nie mogłem się opędnąć od myśli, że w którymś momencie po prostu się poddała i postanowiła poświęcić resztę życia na zgłębianie tajników rzeczy dających się zrozumieć i naprawić - takich jak maszyny. Przestałem się też dziwić, że nie łamię sobie zbyt długo głowy nad sprawami, których nie jest w stanie pojąć - tak jak to, dlaczego nagle stała się dziewczyną Yula.

Dopóki klimat był cieplejszy, cywilizacje przez kilka tysięcy lat przelewały się po tej polodowcowej równinie w tę i z powrotem, jak muł na sicie poszukiwacza złota, tworząc zasypy zabudowań, które trwały jeszcze długo po odejściu budowniczych. Przez milenia w każdym dowolnie wybranym momencie mieszkał tu miliard ludzi, dziś jednak liczba ta skurczyła się do kilkudziesięciu tysięcy. Ile ciał zostało tu pogrzebanych? Ile prochów rozsypanych? Dziesięć miliardów? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? Biorąc pod uwagę, że wszyscy używali elektryczności - ile mil drutu miedzianego wpleciono w mury ich

domów i przeprowadzono pod ulicami? Ile roboczogodzin zużyto na przeciągnięcie i umocowanie tych przewodów? Jeżeli co tysięczny mieszkaniec był elektrykiem, rozpięcie sieci elektrycznej wymagało miliarda roboczolat. Potem, gdy nadeszło ochłodzenie i cywilizacje w ciągu kilkuset lat - poruszając się z szybkością lodowców - wycofały się na południe, poczęły napływać złomiarze, gotowi cofnąć dorobek miliarda roboczolat godzina po godzinie, wyszarpać niezliczone mile drutów jard po jardzie. Zawodowi odzyskiwacze, działający na skalę przemysłową, szybko uporali się z wydobyciem dziewięćdziesięciu procent miedzi. Widziałem zdjęcia fabryczek, które - osadzone na czołgowych gąsienicach - przewalały się po dalekiej północy, pochłaniając całe kwartały domów naraz. Traktowały zrujnowaną tkankę miejską w taki sam sposób, jak zrobotyzowany kombajn górniczy traktuje zasobne w rudę pagórki: miażdżyły budynki i sortowały szczątki według grubości. Pierwsze ruiny, które zobaczyliśmy na naszej drodze, były po prostu odchodami tych wielkich maszyn.

Ręczny odzysk był o wiele bardziej kosztowny. Ze słów innych ludzi wnioskowałem, że jego intensywność zależała od warunków na światowych rynkach. Kiedy jakaś kraina przeżywała okres prosperity, zapotrzebowanie na metale i ich ceny rosło tak bardzo, że górnikom opłacało się zapuszczać do głębokich ruin - daleko rozsianych starych miast, do których fabryki na gąsienicach nigdy nie dotarły - i wydobywać z nich to co najcenniejsze: miedziany drut, stalowe dźwigary, instalacje hydrauliczne i co tam jeszcze było w cenie. Łup zmierzał ku drodze, którą przemierzaliśmy nerwowymi skokami, od jednego miasteczka w tundrze do drugiego. Burze śnieżne i bandy arktycznych piratów spowalniały czasem jego ruch, ale w końcu docierał do drogi, gdzie ładowano go na rozklekotane drumony, składające się w siedemdziesięciu pięciu procentach z rdzy spojonej lodem i kostropatą otuliną brudnego śniegu, i dla bezpieczeństwa łączące się w karawany. Nie mieliśmy szans ich wyprzedzić, ale poruszały się wystarczająco szybko dla naszych celów, a kiedy się

orientowały, że jesteśmy pielgrzymami, a nie piratami, dodatkowo mogliśmy się przy nich czuć bezpieczniej, jak zwierzęta w stadzie. Zachowywaliśmy bezpieczny dystans, żeby mieć możliwość manewru, kiedy jakaś powyginana rura albo kłęb drutu zwał się nagle na jezdnię, ale przednia szyba i tak z czasem zarastała tryskającym spod ich kół zmrożonym blokiem. Musieliśmy otwierać boczne okna i przecierać ją szmatami na kijach - do czasu, aż trzeciego dnia szmaty zamarzyły na kamień. Nauczyliśmy się więc trzymać włączoną kuchenkę i grzać na niej wodę w garnku, żeby na bieżąco je rozmrażać. Przez otwarte okna patrzyliśmy na mijane ruiny. Nauczyliśmy się rozpoznawać ich wiek po rodzaju zastosowanych fortyfikacji: silosy raketowe, trzymilowe pasy startowe, mury kurtynowe, kamienne szańce, akry zasieków z drutu kolczastego, zapory z modyfikowanych genetycznie ciernistych drzew, a wszystko w mniejszym lub większym stopniu poniszczone przez złomiarzy.

Im dalej na północ się posuwaliśmy, tym szybciej te konstrukcje ginęły pod lodem: warstewka szronu, z początku delikatna, stawała się coraz grubsza i coraz cięższa, upodabniała się do lodowej polewy, dławiała je, miażdżyła, spłaszczala, unicestwiała. Aż w końcu jedynym dziełem ręki ludzkiej pozostały szczątki dawnych stacji pociągów lodowych, które - bezbronne na skutek fluktuacji pogody lub ekonomii - w którymś momencie poddały się i poumierzały. Milę od drogi okolica była biała i gładka, za to przy samej drodze napotykaliliśmy najgorsze obrzydlistwa, jakie widziałem w czasie całej naszej podróży. Zaspasy stawały się coraz wyższe i coraz bardziej czerniały, aż w końcu jechaliśmy dnem czarnego jak węgiel okopu o głębokości dwudziestu stóp, zatłoczonego drumonami poruszającymi się w tempie zdrowego piechura. Nie mieliśmy dokąd uciec. Moglibyśmy wyłączyć silniki naszych dwóch aportów, a wtedy jadący za nami drumon przepchałby nas przez cały ten odcinek. Kierowcy wystawili z szoferek długie rury, przez które ciągnęli z góry świeże powietrze; my, jako mniej przezorni i niezaopatrzeni w taki sprzęt, przez ostatni dzień oddychaliśmy oleistym, sinym

dymem spalin. Kiedy któreś z nas zaczynało mieć mdłości, zmienialiśmy się przy kierownicy i ten, kto akurat był wolny, wdrapywał się na górę (na szczyt śniegowych ścian okopu prowadziły czasem wygodne pochylnie) i przez jakiś czas szedł spacerkiem (na jednym z mijanych targów kupiliśmy zmontowane z materiałów z odzysku rakiety śnieżne) albo jechał trójkołowcem Gnela.

Właśnie podczas jednego z takich mozolnych odcinków, pod sam koniec podróży, Yul w końcu zapytał mnie o dinozaura z parkingu.

Od pierwszego dnia, od naszego spotkania w Norslofie, widziałem, że coś go gryzie. Kiedy zbliżyli się do siebie z Cord, przez kilka dni mnie unikał i starał się nie zostawać ze mną sam na sam, ale kiedy stało się dla niego jasne, że nie zachowam się nieliniowo, zaczął dyskretnie szukać okazji do rozmowy w cztery oczy. Spodziewałem się, że chce porozmawiać o Cord, tymczasem jak zwykle mnie zaskoczył.

- Jedni mówią, że to był dinozaur, inni, że smok - odparłem. - Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej uczymy się o tym wydarzeniu, jest zastrzeżenie, że nic nie jest pewne...

- Dlatego że inkanterzy zatarli wszystkie ślady?

- Podobno. Nawiasem mówiąc, drugą rzeczą, jaką przekazuje się w tej sprawie deklarantom, jest zakaz dyskusji na ten temat z sekularami.

Yul zrobił zawiedzioną minę.

- Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda - ciągnąłem. - Większość relacji jest zgodna, że jedna grupa, nazwijmy ją Grupą A, zainicjowała całe wydarzenie, a druga grupa, Grupa B, je zakończyła. W popularnej mitologii A oznacza tak zwanych retorów, a B tak zwanych inkanterów. Wszystko to zdarzyło się na trzy miesiące przed rozpoczęciem Trzeciej Łupieży.

- Ale ten dinozaur... czy smok, co to tam było... on naprawdę pojawił się na parkingu.

Rozmawialiśmy, idąc po ubitym śniegu, rzut kamieniem od prawej krawędzi zatkanego drumonami okopu. Woleliśmy się nie

zbliżać za bardzo do śnieżnego rowu, ponieważ wielu ludzi, często nabuzowanych, jeździło tamtędy pojazdami śnieżnymi. Ścieżka, którą szliśmy, wyglądała na ubitą przez jedną z takich maszyn najdalej przed dwoma dniami. Wiedzieliśmy, gdzie znajdują się nasze aporty, ponieważ nauczyliśmy się rozpoznawać rury oddechowe sąsiednich drumonów. Wyglądało na to, że pojazdy w rowie przyspieszają, więc i my powinniśmy zacząć szybciej miesić śnieg, jeśli chcemy za nimi nadążyć. Prawdopodobnym powodem przyspieszenia była bliskość portu kolei lodowej: w odległości dwóch mil widzieliśmy już anteny, słupy dymu i snopy światła, więc nawet gdyby aporty nas wyprzedziły, dotarlibyśmy na miejsce pieszo. Nie musieliśmy się spieszyć.

- Wszystko rozegrało się dwa tysiące stóp od Muncostera - powiedziałem. - Było tam wtedy miasto... Nadal zresztą jest. Poziom zamożności i zaawansowania praksis... powiedzmy: dziewięć w skali od jednego do dziesięciu.

- A dzisiaj? Gdzie jesteśmy w tej skali?

- Osiem, w przybliżeniu. Społeczeństwo w pobliżu Muncostera właśnie osiągnęło szczyt swojej potęgi, chociaż wtedy nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Deolatryzy zyskiwali coraz większe wpływy polityczne.

- Z której arki?

- Nie wiem. Jednej z tych, które agresywnie dążą do władzy. Mieli taką ikonografię...

- Co mieli?

- Inaczej... Czuli się zagrożeni przez niektóre przekonania deklarantów.

- Takie jak to, że świat jest stary.

- Na przykład. Wynikły z tego problemy przy kilku rocznych apertach, później większe zamieszki przy okazji apertu dziesięcioletniego w dwa tysiące siedemset osiemdziesiątym: w Dziesiątą Noc matem dziesiętników został lekko złupiony. Ale potem się uspokoiło, apert się skończył, sprawa przyschła. W mieście budowano wtedy parking, część nowego centrum handlowego. Deklaranci mieli go na wyciągnięcie ręki:

wystarczyło się wychylić przez okno którejś wieży (w Muncosterze ich nie brakowało), żeby go zobaczyć. Parę miesięcy później parking był gotowy; sekularowie codziennie zostawiali na nim samochody. Wszystko pięknie. Minęło sześć lat. Centrum handlowe się rozrosło. Robotnicy wrócili na parking, bo trzeba było wzmocnić jego konstrukcję, żeby dobudować nowe skrzydło. Jeden z nich znajdował się na czwartej kondygnacji i młotem pneumatycznym rozkuwał posadzkę, kiedy zauważył jakiś przedmiot tkwiący w syntetycznym kamieniu. Wyglądał jak szpon. Zaintrygowani robotnicy skuwali coraz więcej kamienia. Problem był poważny, bo gdyby w elementach nośnych znalazło się więcej takich rzeczy jak szpony czy kości, osłabiłyby całą konstrukcję. Wkrótce musieli zacząć wzmacniać parking, podpierać go stemplami, bo słabł i osuwał się na ich oczach, a im więcej kamienia skuwali, tym gorzej miały się sprawy. W końcu okazało się, że odkryli kompletny szkielet stustopowego gada zatopiony w syntetycznym kamieniu, który wylano zaledwie kilka lat wcześniej! Deolatrzy nie wiedzieli, co o tym myśleć. W mieście przy koncencie wybuchły niepokoje i zamieszki, aż nagle, pewnej nocy, z wieży tysięczników dobiegł śpiew. Śpiewali całą noc. A następnego dnia parking wyglądał całkiem zwyczajnie. Oto cała historia.

- Wierzysz w nią?

- Coś na pewno się tam wydarzyło. Były przecież dowody.

Nadal są.

- Jakie dowody? Fototypy szkieletu?

- Nie, raczej wspomnienia świadków. Stosy drewna na stemple. Dokumentacja z tartaku. Mocniej zużyte opony drumonów, które przewiozły drewno na parking.

- Jak fale rozchodzące się na wodzie.

- Mniej więcej. Jeżeli taki szkielet nagle znika i nie ma żadnych namacalnych dowodów, że kiedykolwiek istniał, co zostaje?

- Tylko ślady. - Yul z zapalem kiwał głową, jakby rozumiał to lepiej ode mnie. - Same fale na wodzie, bez plusku.

- Opony drumonów z drewnem nie mogły się nagle odzużyć. Dokumentacja w tartacznym archiwum nie wyparowała. I nastąpił konflikt. Świat przestał być spójny. Pojawiła się sprzeczność logiczna.

- Olbrzymia sterta drewna do wzmocnienia parkingu, który wcale wzmocnienia nie wymagał.

- Otóż to. Nie chodzi o to, że są to rzeczy fizycznie niemożliwe. Nic przecież nie stoi na przeszkodzie, żeby przed parkingiem zwalić stos drewna, a w szafce na akta trzymać plik papierów. Problem polega na tym, że elementy składowe tej sytuacji nie tworzą już sensownej całości.

Przypomniał mi się dialog na temat różowego smoka, w który wciągnął mnie Orolo. Dopiero teraz, po wielu miesiącach, dotarło do mnie, że nieprzypadkowo wybrał smoka do zilustrowania tamtej kwestii. Próbował przywołać z przeszłości wydarzenie, które teraz wyciągnął Yul.

Słyszac za plecami ryk silnika, odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Ganeliala Crade'a na trójkołowcu. Wymieniliśmy z Yulem porozumiewawcze spojrzenia (*przy nim lepiej o tym nie rozmawiać*), a potem Yul schylił się, nagarnął dwie garście śniegu i zaczął ugniatać je w kulę, którą mógłby rzucić w kuzyna. Zmrożony śnieg za nic nie chciał się lepić.

Do portu kolei lodowej w Osiemdziesiątym Trzecim Północnym dotarliśmy o drugiej w nocy - co oznaczało tylko tyle, że słońce wisiało na niebie trochę niżej niż zwykle. Droga wylała się z okopu na płaskowyż zbitego paku lodowego o szerokości mili albo dwóch, położony nieco niżej niż otaczający go teren, przez co miałem wrażenie, że wylądowaliśmy na dnie wybitego przez meteoryt olbrzymiego krateru. W paru miejscach dostrzeżliśmy moduły mieszkalne postawione na palach, które można było przesuwac, skracać i wydłużać, kiedy dołem

przeplęwała kra. Drumony skupiały się wokół nich. W modułach mieściły się skupy złomu i kierowcy przemieszczali się od jednego do drugiego, próbując uzyskać najlepszą cenę za swój towar. Inne budowle pełniły funkcję moteli, stołówek i burdeli.

Ale dominującym elementem krajobrazu był pociąg lodowy. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, pod słońce, wziąłem go za fabrykę. Lokomotywa wyglądała jak jedna z tych pożerających miasta przetwórci gruzów: mała elektrownia i wioska z modułów mieszkalnych zostały zbudowane na moście spinającym przestrzeń między gigantycznymi gąsienicami. Za nią stało pół tuzina połączonych w pociąg sań zaopatrzonych w płozy, posuwających się po śladzie z ubitego śniegu i lodu pozostawionym przez gąsienice lokomotywy. Konstrukcja pierwszych sań umożliwiała przewożenie kontenerów, załadowanych na nie już w czterech warstwach, a niezgrabny żuraw na kołach dostawiał z mozołem kolejną, piątą. Dalsze sanie były po prostu ogromnymi otwartymi skrzyniami na płozach. Drugi dźwig, wyposażony w szczypce, którymi bez trudu mógłby złapać oba nasze aporty naraz, wyszarpywał kawały złomu z usypanej na śniegu sterty i przerzucał je do skrzyń z takim łoskotem, że serce zamierało mi w piersi. Ostatnie sanie były płaską platformą - a właściwie ruchomym parkingiem, prawie w połowie zapelnionym wyładowanymi drumonami.

Chwilę błędzieliśmy bez celu, ale od spotkanych po drodze kierowców wiedzieliśmy z grubsza, jak port funkcjonuje, i mieliśmy pewne pojęcie o tym, jak nie należy się w nim zachowywać. Sammann sprawdził już, że poprzedni pociąg odjechał dwa dni wcześniej, natomiast załadunek tego, który widzieliśmy przed sobą, miał potrwać jeszcze kilka dni.

Kręcenie się po okolicy było o tyle ryzykowne, że nie obowiązywały żadne wyraźne przepisy określające pierwszeństwo przejazdu. Drumony i aporty poruszały się po liniach prostych, zmierzając wprost do celów interesujących ich nabuzowanych kierowców. Dlatego woleliśmy przemieszczać się pojazdami nawet na krótkie odległości. Znaleźliśmy biuro na palach, w

którym można było zarezerwować miejsce na platformie, i wykupiliśmy miejsce dla obu naszych aportów. Dopłaciliśmy ekstra za ustawienie pojazdu Gnela na skraju platformy zamiast w środku, dzięki czemu mogliśmy swobodnie korzystać z trójkołowca, przystawiając do skraju platformy deski, po których dało się nim zjechać i wjechać z powrotem. Trycykl stał się naszym głównym środkiem transportu w porcie, mimo że miał tylko dwa miejsca, więc za każdym razem troje z nas pozostawało uziemionych. Wynajęliśmy moduł mieszkalny na lokomotywie i tam zakotwiczyliśmy. Było tanio. Rolę toalety pełniła dziura w podłodze zasłaniana klapą, przyciśniętą paroma kawałkami złomu, żeby nie poderwał jej arktyczny huragan. Po kilku kursach trójkołowcem zaopatrzyliśmy nasz nowy domek w racje żywnościowe i inne przywiezione w aportach rzeczy, w tym także zdumiewająco obszerny arsenał broni białej i strzeleckiej. Yulassetar i Ganelial Crade'owie mogli się nie zgadzać w kwestiach religijnych, ale jeśli chodzi o stosunek do broni, byli jak jeden umysł podzielony między dwa ciała. Używali nawet takich samych pokrowców na pistolety i pudełek na amunicję. W porcie wielu ludzi obnosiło się z bronią, a na skraju „miasta” było wyznaczone miejsce, gdzie można było dla zabicia czasu postrzelać sobie w okalającą je lodową ścianę. Musiałem jednak przyznać, że port jest w sumie bardziej uporządkowany i przewidywalny niż kraj, który przemierzaliśmy przez ostatni tydzień. Zaczynałem pomału rozumieć, że tak muszą wyglądać wszystkie miejsca, w których ma się odbywać handel.

Rozgościwszy się, wzięliśmy z Sammannem trójkołowiec i objechaliśmy wszystkie bary i burdele, żeby się upewnić, że nie ma w nich Orola. Cord łąziła po lokomotywie, podziwiając jej konstrukcję. Yul jej towarzyszył. Twierdził, że nie mniej niż ona interesuje się inżynierią, ale na mój gust zwyczajnie bał się, że zostanie zgwałcona, jeśli będzie się włóczył bez opieki.

Objaliśmy się tak przez parę dni. Próbowiałem czytać zabrane z matemu książki teoretyczne, ale nie mogłem się skupić i skończyło się na tym, że przesyślałem jakieś niewiarygodne ilości

czasu. Sammann znalazł miejsce nieopodal biura, w którym mógł się łączyć z Retikulum. Połączenie było kapryśne, ale chodził tam codziennie, a po powrocie analizował uzyskane informacje. Yul i Cord w chwilach wolnych od „zbierania drewna” oglądali filmy na małym ekraniku piszcza. Ganielial Crade czytał swoje starobazyjskie święte księgi i zaczynał pomału sygnalizować zainteresowanie tematem, którego do tej pory on uprzejmiem unikał, a ja ogromnie się obawiałem: religią.

Za którymś razem Sammann uratował mnie przed wejściem w bliższy kontakt z Gnelem: podniósł głowę nad piszcza, spojrzał mi w oczy (siedziałem po drugiej stronie pokoju) i znów spuścił wzrok na ekran. Wrócił właśnie z jednej ze swoich wypraw po informacje, w jego brodzie nadal tkwiły kryształki lodu.

Podszedłem i przykucnąłem przy jego krześle.

- Po wyjeździe z Sambie cały czas próbuję dostać się do pewnych retikuli - zaczął. - Powinny być przede mną zamknięte, ale pomyślałem, że jeśli wytłumaczę, o co mi chodzi, może uda mi się uzyskać do nich dostęp. Trochę to trwało, zanim właściciele przeanalizowali moją prośbę. Podejrzewam, że przez ten czas szukali w Retikulum potwierdzenia moich słów.

- Jak to się odbywa?

Nie był zachwycony moim pytaniem. Może nużyło go już wyjaśnianie mi takich spraw, a może po prostu chciał zachować chociaż odrobinę szacunku dla Dyscypliny, bezlitośnie przez nas łamanej.

- Pamiętasz tę miejscinę, w której kupiliśmy opony śniegowe? Była tam stołówka. Wyobraź sobie, że w tej stołówce jest szpilołap.

- Mówisz o Norslofie.

- Tak, ale to nieważne. Szpilołap został tam zainstalowany ze względów bezpieczeństwa. Widzi, jak podchodzimy do kasy, żeby zapłacić za to ich wstrętne żarcie. Ta informacja trafia do jakiejś retikuli. Ktoś, kto przejrzy nagranie, dowie się, że byłem tam w takim a takim dniu, w towarzystwie trojga innych ludzi. W

podobny sposób można ustalić, kim są ci ludzie. Okazuje się, że jednym z nich jest fraa Erasmus z Saunta Edhara. W ten sposób moja historyjka zostaje potwierdzona.

- No dobrze, ale jak...

- To nieważne... - zaczął Sammann, ale chyba znudził mu się ten zwrot, bo zawiesił głos, zamknął oczy i odparł: - Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, przypuszczam, że zrobili mi adamap.

- Co to jest adamap?

- Asynchroniczna dwustronnie anonimizowana moderowana analiza porównawcza. Nawet nie próbuj tego zdekonstruować, to wiekowy skrótowiec. Prawdziwych adamapów nie robi się od trzech tysięcy sześciuset lat; my robimy coś, co spełnia podobną funkcję, tylko używamy starej nazwy. Zwykle czeka się kilka dni na jednokierunkowe przejście fazowe w rezonatorze rewerencyjnym... Mniejsza z tym. Potem jeszcze dzień, żeby się upewnić, że nie jest to incydentalna nukleacja stochastyczna... No, a wszystko sprowadza się do tego, że dopiero niedawno odblokowali mi dostęp. - Sammann uśmiechnął się i kawałek lodu spadł mu z wąsów na piszczyk. - Chciałem powiedzieć „dopiero dzisiaj”, ale tutaj dzień nie ma końca.

- W porządku. Nie rozumiałem ani słowa z tego, co powiedziałaś, ale to chyba może poczekać.

- Tak by było najlepiej. Próbowałem dowiedzieć się czegoś o tej rakiecie, której start widziałeś na szpilu.

- Aha. I co, udało ci się?

- Ja bym powiedział, że tak. Ty mógłbyś się ze mną nie zgodzić, bo wy, deklaranci, lubicie informacje schludnie podane w książkach i sprawdzone przez innych deklarantów. Informacje, z którymi itowie mają do czynienia, bywają mętne, zaszumione, nieobiektywne. Często zamiast słów opieramy się na obrazach i śladach akustycznych.

- Przyjmuję twoją krytykę do wiadomości. Co masz?

- W rakiecie było osiem osób.

- Czyli zgodnie z naszym przypuszczeniem oficjalne oświadczenie było kłamstwem.

- Zgadza się.
- Co to za ludzie?

- Nie wiem. W tym właśnie miejscu informacje stają się mętne i zaszumione. Cała sprawa w ogóle jest mocno szemrana: wojsko, ściśle tajne i tak dalej. Nie znalazłem oficjalnej listy pasażerów, którą mógłbym ci odczytać; nie mam teczek z ich danymi. Mam tylko dziesięć sekund bardzo kiepskiego nagrania ze szpilołapu wbudowanego w czujnik parkowania pojazdu, którego kierowca próbował wjechać między dwie inne maszyny, ćwierć mili od miejsca wydarzeń. Poprawiłem obraz i usunąłem artefakty, na ile się dało.

Sammann uruchomił na puszczku odtwarzanie króciutkiego fragmentu naprawdę fatalnego nagrania. Przedstawiało autokar na wojskowych numerach zaparkowany obok jakiejś ogromnej budowli. W ścianie budynku otworzyły się drzwi. Wyszło przez nie ośmioro ludzi w białych kombinezonach. Wsiedli do autokaru. Za nimi wsiadło jeszcze kilku, którzy wyglądali na lekarzy i techników. Autokar stał jakieś dwadzieścia stóp od budynku, widzieliśmy więc, jak pokonują tę odległość. Sammann zapętlił nagranie. Najpierw - przez kilkanaście kolejnych pętli - koncentrowaliśmy się na pierwszej czwórce w białych strojach. Nie dało się rozpoznać twarzy, ale byłem zdumiony, że tak dużo można wyczytać z ruchów człowieka. Trzech ludzi w bieli poruszało się po obwodzie stale zmieniającego się trójkąta, dookoła czwartego, który był z nich wszystkich najwyższy i miał imponującą, obfitą fryzurę. Chodził wyprostowany, pewny swego, po prostej; trzej pozostali przemykali i kluczyli. Jego kombinezon trochę się wyróżniał: pokrywał go wzór z przecinających się prążków, tak jakby był owinięty kilkoma jardami...

- Powróż - powiedziałem na głos. Zrobiłem stop-klatkę i pokazałem, co mam na myśli. - Widziałem już coś takiego, podczas apertu. Jeden ze statystów przyszedł do nas tak ubrany. Był kapłanem Niebiańskiego Strażnika. Tak wyglądają ich szaty rytualne.

Tymczasem dołączyła do nas Cord: stanęła za krzesłem

Sammana i zerkała mu przez ramię.

- Ci czterej z tyłu... - odezwała się teraz. - To deklaranci.

Do tej pory patrzyliśmy tylko na kapłana i jego trzech akolitów, tym bardziej że druga czwórka niewiele robiła: po prostu wyszli gęsiego z budynku i wsiedli do autokaru.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytałem. - Nic ich nie wyróżnia jako deklarantów. Może poza tym, że kompletnie nie interesuje ich ten gość z powrozem.

- Właśnie, że wyróżnia - odparła. - Zobaczcie, jak chodzą.

- O co ci chodzi? Wszyscy mamy po dwie nogi i chodzimy tak samo! - zaprotestowałem.

Sammann okręcił się na krześle, uśmiechnął do niej szeroko i z zapałem pokiwał głową.

- Oboje jesteście szurnięci - stwierdziłem.

- Cord ma rację - powiedział Sammann.

- Podczas apertu było to doskonale widać - wyjaśniła Cord.

- Statyści przechadzają się leniwie, trochę niezgrabnie, ale zarazem w taki sposób, jakby byli panami świata. - Przeszła przez pokój rozkołysanym, swobodnym krokiem. - A deklaranci... Itowie zresztą też, są tacy... sztywniejsi.

Wyprostowała się i podeszła do nas - szybko, zdecydowanie, nie wywołując żadnego ruchu powietrza.

Brzmiało to niedorzecznie, ale musiałem jej przyznać rację: podczas apertu sam potrafiłem na odległość odróżnić fraa i suur od statystów - między innymi dlatego, że inaczej się poruszali. Przeniosłem wzrok na ekran.

- Masz rację - przyznałem. - Im dłużej się im przyglądam, tym bardziej znajomi mi się wydają. Zwłaszcza ten wysoki, na samym końcu. Do złudzenia przypomina mi...

Zamurowało mnie. Sammann i Cord spojrzeli na mnie podejrzliwie, zaniepokojeni, że coś mi się stało. Nie mogłem oderwać oczu od szpilu. Przeleciał jeszcze cztery razy, a ja za każdym razem coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mam rację.

- To Jesry - wykrztusiłem.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Cord.
- Niech nas błogosławi i zmiłuje się nad nami - zasyczał Ganelial Crade, jak zwykle, kiedy ktoś przy nim wzywał imię boże.
- Rzeczywiście, to twój przyjaciel - dodała Cord.
- Fraa Jesry poleciał w kosmos z Niebiańskim Strażnikiem - powiedziałem, chcąc usłyszeć brzmienie tych słów.
- I teraz z pewnością toczą tam fascynujące dyskusje - mruknął Sammann.

Dwie godziny później, kiedy, zasłoniwszy okna, próbowaliśmy zasnąć, cały moduł mieszkalny zaczął buczeć i dudnić, a potem szarpnęło nim z taką siłą, że połowa rzeczy pospadała na podłogę. Gnel i ja rozpięliśmy od dołu kombiwozy i wybiegliśmy na pomost, żeby zobaczyć, jak lodowa skorupa rozbrzguje się miriadami skrzących się odłamków, miażdżona niezauważalnymi na razie poruszeniami gąsienic. Schody na końcu pomostu prowadziły w dół, prawie na poziom gruntu. Zbiegliśmy po nich, zeskoczyliśmy na lód, uruchomiliśmy trójkołowiec i pospiesznie ruszyliśmy w stronę platformy. Donośny łoskot poniósł się wzdłuż pociągu: lokomotywa szarpnęła w przód, wybierając luz na złączach między saniami. Dwie pochylnie ładunkowe wlokły się za platformą po lodzie: załadunek trwał do ostatniej chwili, a pociąg miał na dobre ruszyć dopiero za jakieś pół godziny. Wjechaliśmy po jednej z nich na górę, objechaliśmy drumon, który tyłem wciskał się w wąską lukę między dwoma innymi, i odszukaliśmy aport Gnela. Po deskach wprowadziliśmy go na skrzynię ładunkową i schowaliśmy deski pod wozem. Trochę czasu zajęło nam jeszcze ściągnięcie płynów chłodzących ze wszystkich trzech naszych maszyn i przelanie ich do poliplastowych naczyń. Zanim skończyliśmy, pociąg poruszał się już szybciej niż piechur w rakietach śnieżnych, zamiast więc

gonić lokomotywę po śniegu, wróciliśmy do modułu mieszkalnego po chodnikach i pomostach umocowanych na zewnętrznych obrzeżach sań. Cord i Yul odstłonili okna i szykowali wielkie, uroczyste śniadanie. Cieszyłem się, że ruszyliśmy w drogę na biegun północny, ale kiedy przypomniałem sobie fraa Jesry'ego na orbicie, czułem boleśnie, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu.

- A to drań! - powiedziałem. - A to łotr!

Wszyscy na mnie spojrzeli. Właśnie skończyliśmy śniadanie, całkiem obfite i sycące jak na te warunki. Ylassetar posłał Cord takie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Twój koligat... twój problem”.

- Kto? - spytała Cord. - O kim mówisz?

- O Jesrym!

- Niedawno chciałeś go oplakiwać, a teraz ubliżasz mu od łotrów?

- To dla niego typowe.

- To znaczy? - zainteresował się Sammann. - Często lata w kosmos?

- Nie. Trudno to wyjaśnić, ale... z nas wszystkich właśnie jego musieli wybrać.

- Ale kto? - dopytywała się Cord. - To nie ma nic wspólnego z konwoksem.

- Nie ma, to prawda. Podejrzewam, że państwo sekularne zwróciło się do hierarchów w Tredegarhu i zażyczyło sobie „Dajcie nam czterech najlepszych od was”. I tak to się skończyło. - Pokręciłem głową.

- Musisz chyba być dumny, co? Chociaż odrobinę?

Ukryłem twarz w dłoniach. Westchnąłem.

- Jesry leci na spotkanie obcych, a ja jadę złomiarskim pociągiem. - Podniosłem głowę i spojrzałem na Gnela. - Co wiesz

o ludziach Niebiańskiego Strażnika?

Zamrugał i znieruchomiał. Tyle czasu unikałem rozmów o religii - a teraz zastrześliłem go takim pytaniem, prosto z mostu! Jego kuzyn stęknął głośno i odwrócił wzrok, tak jakby się spodziewał, że za chwilę zobaczy wypadek na drodze.

- To heretycy - odparł ostrożnie.

- Dla was prawie wszyscy są heretykami, prawda? Mógłbyś powiedzieć o nich coś więcej?

- Nie rozumiesz. To nie są pierwsi lepsi heretycy, tylko odłam mojej religii. - Gnel spojrział na Yula. - Naszej religii.

Cord szturchnęła Yula pod żebro, żeby na pewno nie przegapił słów kuzyna.

- Serio? - spytałem. - Niebiańska Straż jest odłamek samblitów?

To była dla nas wszystkich nowina.

- Założycielem naszej religii był saunt Bly - powiedział Gnel.

- Przed czy po tym, jak zjedliście jego...

- To stare kłamstwo, wymyślone tylko po to, żeby zrobić z nas dzikusów!

- Przyrządzenie ludzkiej wątroby jest bardzo trudne - wtrącił Yul. - Zawsze robią się krwiaki.

- Chcesz powiedzieć, że saunt Bly stał się deolatrą? Jak Estemard?

Gnel pokręcił głową.

- Szkoda, że nie mogłem dłużej porozmawiać z Estemardem. On wcale nie jest deolatrą w twoim rozumieniu tego słowa. Ani w moim. Saunt Bly też nim nie był. Tym właśnie się różnimy od Niebiańskiej Straży.

- Bo oni uważają, że był?

- Tak. Dla nich jest kimś w rodzaju proroka, który znalazł dowód na istnienie Boga, i dlatego został odrzucony.

- Zabawne. Gdyby naprawdę znalazł taki dowód, powiedzielibyśmy „Świetna robota, fraa Bly” i zaczęlibyśmy wierzyć w Boga.

Gnel spiorunował mnie wzrokiem, dając mi do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

- W każdym razie Niebiański Strażnik nie uznaje tej wersji - powiedział.

Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedzającego apert i zainicjowanej przez suur Tamurę dyskusji o ikonografiach.

- To przykład ikonografii brumazyjskiej - oświadczyłem.

- Co takiego?

- Niebiański Strażnik rozpowszechnia twierdzenie, jakoby w świecie matemowym istniał potajemny spisek.

- Zgadza się - przytaknął Gnel.

- Odkryto fakt o wielkim znaczeniu, w tym wypadku istnienie Boga. Większość deklarantów ma uczciwe zamiary i chciałaby tę nowinę ponieść w świat, ale spiskowcy w okrutny sposób tłumią ich zapędy i nie chcą dopuścić do ujawnienia tajemnicy. Nic ich nie powstrzyma.

Gnel szykował się do jakiejś wyważonej odpowiedzi, ale Yul go uprzedził:

- Trafiłeś w dziesiątkę.

- To zniechęcające - przyznałem. - Ze wszystkich ikonografii najtrudniej jest wykorzenić te oparte na teoriach spiskowych.

- Co ty nie powiesz... - mruknął Sammann, patrząc mi w oczy.

Zawstydzilem się i zaniemówilem.

- Istnienie statku Kuzynów nadal jest utrzymywane w tajemnicy - przypomniała Cord, próbując przełamać lody. - Właściwie nie wiadomo, co Niebiański Strażnik sądzi na jego temat. Chociaż możemy się domyślać: widzi w nim...

- Cud - wtrącił Yul.

- Gości z innego świata - zaryzykowałem. - Lepszego, doskonalszego niż nasz.

- W którym nie ma miejsca na złowieszcze spiski - dodała Cord, - Kuzyni przybyli nam objawić prawdę.

- A co z laserami, którymi oświetlili Nieskalane? - spytał

Sammann. - Jak Strażnik się na nie zapatruje?

- To zależy od tego, czy wie, że w Nieskalanych są składowiska odpadów radioaktywnych - zauważyłem.

- Co takiego?! - wrzasnęli Crade'owie.

- Nawet jeśli wie, to na pewno preferuje jakąś bardziej uduchowioną interpretację - powiedziała Cord.

- Dla Niebiańskiego Strażnika tysięcznicy to porządni ludzie - wtrącił Gnel, nadal wstrząśnięty tym, co usłyszał.

- To oczywiste - zgodziłem się. - Dobrzy milenaryści znają prawdę, ale nie mogą jej nikomu objawić, bo więżą ich podstępni dziesiętnicy i setnicy. Mam rację?

- Owszem. Dlatego Niebiański Strażnik uważa promienie lasera za...

- Błogosławieństwo - powiedziała Cord.

- Pomyślny znak - powiedziałem.

- Zaproszenie - powiedział Yul.

- Rety, ależ się zdziwi! - Sammann był zachwycony.

- Prawdopodobnie. Być może. Tego nie wiemy. Oby tylko Jesry'ego nie spotkała jakaś przykra niespodzianka.

- Łotra Jesry'ego? - spytała Cord.

- Tak. - Parsknąłem śmiechem. - Łotra Jesry'ego.

Miałem dobry humor: wszystko wskazywało na to, że udało nam się zakończyć dyskusję i uniknąć kazania Ganeliala Crade'a. I świat wyglądał pięknie, dopóki Cord się nie odezwała:

- Gnel, kiedy wasze drogi się rozeszły? I czym właściwie różnicie się od Niebiańskiej Straży?

Końcówka tego pytania zabrzmiała trochę niewyraźnie, bo Yul wyciągnął rękę i żartobliwym gestem próbował zatkać Cord usta, przez co musiała jednocześnie mówić i odpychać jego palce.

- Czytamy święte pismo sami, po bazyjsku - zaczął Gnel. - Ludzie często biorą nas przez to za prymitywnych fundamentalistów. Może jest w tym odrobina racji, ale to nie znaczy, że jesteśmy ślepi na zmiany, jakie zaszły w świecie matemowym, starym i nowym, przez ostatnie pięćdziesiąt stuleci. Słowo Boże jest zawsze takie samo, Księga nie podlega redakcjom

ani przekładom, za to świat, widziany przez ludzi poza Księgą, zmienia się nieustannie. Wy, deklaranci, próbujecie zrozumieć Dzieło Boże bez odwoływania się do słów, które Bóg sam nam objawił sześć tysięcy lat temu. Z naszego punktu widzenia zachowujecie się jak ludzie, którzy wylupili sobie oczy i ciężko okaleczeni poszli badać nowy, nieznaną łąd. Mamy jednak świadomość, że wskutek swojego kalectwa mogliście wykształcić jakieś nowe, nieznanie nam zmysły i talenty.

- Powstrzymam się i nie będę nawet próbował prostować wszystkich przekłamań w twoich słowach - powiedziałem po długiej chwili milczenia. - Gdybym jednak miał je streścić, powiedziałbym, że waszym zdaniem nie jesteśmy z gruntu źli i prędzej czy później przyznamy rację wam i Księdze.

- Naturalnie. Nie ma innej możliwości. Uważamy, że w świecie matematycznym nie istnieje żaden spiszek mający na celu ukrywanie prawdy.

- Czyli ich zdaniem jesteście naprawdę zagubieni! - przetłumaczył jego słowa Yul.

Gnel skinął głową.

- Bardzo to z waszej strony uprzejme - mruknąłem.

- Zachowały się notatki saunta Bly'a - powiedział Gnel. - Czytałem je i jestem pewien, że nie był deolatrą.

- Wybacz, że się wtrączę... - odezwał się Sammann. Zawsze tak mówił, kiedy zamierzał kogoś obrazić. - Nie uważasz, że to chore, że banda deolatrów tworzy religię w oparciu o pisma człowieka, o którym wiedzą, że był ateistą?

- Identyfikujemy się z jego walką - odparł nieporuszony Gnel. - Z jego dążeniem do prawdy.

- Myślałem, że wy już znacie prawdę?

- Znamy prawdy zawarte w Księdze. Słuszność innych prawd wyczuwamy, ale ich nie znamy.

- To mi przypomina... - zacząłem, ale ugryzłem się w język.

- Słowa jakiegoś deklaranta? Estemarda? A może Orola?

- Proszę, nie mieszajmy go do tego.

- Jak chcesz. - Gnel wzruszył ramionami. - Orolo był odludkiem. Starał się przestrzegać Dyscypliny. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

W tym momencie musiałem się wycofać. Policzyć do dziesięciu. Wyjąć Grabie. Ci ludzie interesowali się wiecznymi prawdami. Wierzyli, że niektóre z nich - nie wszystkie - są zapisane w książce. Że ich książka ma rację, a inne się mylą. To łączyło ich z większością rodzaju ludzkiego - i ja nie miałem nic przeciwko temu, dopóki się mnie nie czepiali. Tyle że tych cechowała jeszcze ciekawostka: natchnieniem był dla nich pewien deklaranci saunt. Nie musiałem tego na razie rozumieć.

- Wyczuwacie prawdę, ale jej nieznacie...- powtórzyła Cord. - W Sambie słyszeliśmy wasze nabożeństwo. Śpiewaliście. To było wzruszające.

Gnel pokiwał głową.

- To dlatego Estemard przychodzi do arki. Mimo że nie wierzy.

- Wasze argumenty nie przekonują go na płaszczyźnie intelektualnej - przełożyła Cord. - Ale podziela część waszych uczuć.

- Otóż to! - Ganelial Crade był wniebowzięty. Dziwnie mi o tym pisać, ale to prawda: nie posiadał się z radości, jakby właśnie udało mu się kogoś nawrócić.

- Chyba rozumiem, co jest w tym atrakcyjnego - przyznała Cord. - Nawet dla niewierzących.

Spojrzałem na nią z ukosa. Yul zakrył twarz dłońmi, a Cord zaczęła się bronić:

- Nie zamierzam przystępować do ich arki. Chciałam tylko powiedzieć, że to było niesamowite wrażenie: po tylu godzinach jazdy przez pustkowia trafić do miejsca, w którym zebrali się ludzie, i poczuć łączącą ich więź emocjonalną. I mieć świadomość, że to trwa od wieków.

- Nasza arka umiera - powiedział Gnel. - Nasze miasteczka, takie jak Sambie, również. To przez to nasze nabożeństwa są takie poruszające.

Były to jego pierwsze słowa, które nie ociekały natrętną pewnością siebie. Nic więc dziwnego, że kompletnie nas zaskoczyły. Yul odjął ręce od twarzy i rozdziawił usta.

- Umierają z winy Niebiańskiego Strażnika? - domyślił się Sammann.

- Jego credo jest proste. Pozbawione niuansów. Rozprzestrzenia się jak choroba. Ci, którzy je przyjmą, odwracają się od nas i zaczynają traktować jak heretyków. To nas wykańcza - wyjaśnił Gnel, posyłając Yulowi niezbyt przyjazne spojrzenie.

Bardzo to było wszystko ciekawe, ale ja miałem inne sprawy do przemyślenia.

Estemard postradał zmysły. A Orola?

Przypomniałem sobie rozmowę, którą odbyłem z nim krótko przed zamknięciem gwiazdowego kręgu. Tę o pięknie. Tę, która ocaliła mi życie. Z perspektywy czasu mogłem się w niej dopatrzeć pierwszych oznak obłędu Orola: tak jakby on zwariował, a ja oprzytomniał w tym samym momencie.

Otrząsnąłem się z tych myśli. Orola został odrzucony i mógł szukać schronienia tylko w jednym miejscu: na Kopcu Bly'a. Dotarłszy tam, przestrzegał Dyscypliny. Nie śpiewał w arce, a przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjechał.

To znaczy...

Nie, to nie tak. Wcale nie przy pierwszej. Wyruszył na północ zaledwie dwa dni przed nami: po tej nocy, gdy lasery oświetliły Nieskalane Maternity. Dlaczego to wydarzenie kazało mu spakować zawój, sferę i sznur i pospieszyć akurat na Ecbe?

Może za parę dni będę go mógł o to zapytać.

Jestokej: Substancja chemiczna pochodzenia naturalnego, która w odpowiednio wysokim stężeniu w mózgu wywołuje poczucie, że wszystko jest w porządku. Wyodrębniony przez teorów w pierwszym stuleciu p.r. i początkowo dostępny wyłącznie w celach

terapeutycznych, rozpowszechnił się, gdy udało się zmodyfikować sekwencję pospolitego chwastu (nazwanego później błogoniem) w taki sposób, żeby wytwarzał jestokej jako produkt uboczny przemian metabolicznych. Błogon został później zaliczony do Jedenastki.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Podróż trwała około dwóch dni - czy raczej około dwóch cykli snu i czuwania, bo tak mierzyło się czas na północy. Nagle poczułem, że jestem znów gotowy do pracy. Podróż z Sambie do portu kolei lodowej stanowiła dla mnie bezcenny okres wytchnienia od czytania i myślenia, ale widok Jesry'ego wytrącił mnie z tego błogostanu. Ja tu się wysypiam po dwanaście godzin na dobę i oglądam szpile, a moi przyjaciele biorą udział w niebezpiecznych misjach. Na razie jednak niewiele mogłem na to poradzić. Ustawiczne drzenie i zgrzytliwe szarpnięcia lokomotywy praktycznie uniemożliwiały czytanie i pisanie, utrudniały nawet oglądanie szpilów. Wyjście na zewnątrz nie wchodziło w grę. Zaczynałem rozumieć, czemu tyle ludzi na północy nadużywa substancji uzależniających.

Jeszcze przed odjazdem pociągu Sammann wywiedział się o możliwość przekroczenia granicy bez dokumentów. Ludzie migrujący z przyczyn ekonomicznych robili to regularnie, a że niektórzy nawet spisywali swoje doświadczenia, po zapoznaniu się z ich relacjami miałem pewne wyobrażenie o tym, co można, a czego nie można robić. W żadnym wypadku nie należało jechać pociągiem do samego końca. Port kolejowy po drugiej stronie był zarządzany znacznie surowiej niż ten, z którego wyjechaliśmy. Urzędnicy wsiadali do pociągu na stacyjce kilka stopni na północ od portu i w ciągu ostatnich paru godzin podróży przeczesywali cały skład. Można było próbować się przed nimi chować, ale to się nie zawsze udawało. Nielegalni podróżni woleli więc wyskakiwać z pociągu przed stacją i dogadywać się z miejscowymi przewoźnikami, którzy przewozili ich swoimi saniami przez granicę.

Przewoźnicy dzielili się na dwie kategorie. Ci starsi, z większym stażem, mieli duże pociągi sań, którymi pokonywali

góry i zajeżdżali na odległe o kilkaset mil skute lodem wybrzeże. Obok nich pojawili się ostatnio nowi, w mniejszych, zwinniejszych pojazdach śnieżnych, mających krótki zasięg i służących tylko do ominięcia portu kolei. Mieliśmy nadzieję, że uda mi się wynająć jedną z takich właśnie maszyn, ale był z nimi ten kłopot, że nie jeździły przy złej pogodzie. Naturalnie, cały ten proceder przemytniczy można by z łatwością ukrócić, gdyby tylko państwo sekularne poważnie wzięło się do roboty. Wyglądało jednak na to, że jego urzędnicy wolą przymykać oczy - pod warunkiem, że szmuglerzy zachowają pozory i nie będą sami pchać im się w ręce.

Odkąd Kuzyni zakłócili sygnał satelitów nawigacyjnych, nie byliśmy w stanie ustalić szerokości geograficznej, ale mogliśmy szacować przebytą drogę i na tej podstawie wyliczać w przybliżeniu nasze położenie. Kiedy uznaliśmy, że zbliżamy się do stacyjki, włożyłem wszystkie posiadane ciepłe rzeczy i napełniłem pęcherz paliwowy w kombiworze. Plecak, który dostałem przy okazji voco, był za mały, za nowy i zbyt elegancki, ale Yul powiedział, że ma w aporcie inny - większy, na metalowym stelażu. Opatuliliśmy się więc i przeszliśmy pomostami na platformę z tyłu pociągu. Wiatr wiał nam w plecy, ale i tak potykaliśmy się i wymachiwaliśmy rozpaczliwie rękami, kiedy sanie podskakiwały na nierównościach lodu. Odgarnęliśmy z aportu trzystopową warstwę śniegu. Śnieg padał zresztą przez cały czas i chwilami nie nadążaliśmy z uprzątnieniem go, ale w końcu wdarliśmy się do środka pojazdu, przeleźliśmy na tył i wygrzebaliśmy stary wojskowy plecak, który w towarzystwie, w jakim miałem się niebawem obracać, nie powinien wzbudzić podejrzeń. Przełożyłem do niego zawartość mojego małego plecaczka, a wolne miejsca zapełniliśmy batonikami, zapasowym ubraniem i różnymi drobiazgami. Na wszelki wypadek przypiąłem też do niego (od zewnątrz) rakiety śnieżne.

Wróciliśmy do lokomotywy, gdzie Gnel dał mi trochę monet: wystarczająco dużo, żebym mógł opłacić dalszy przejazd, ale nie aż tyle, żeby przylgnęło do mnie piętno bogacza. Sammann

wydrukował mi mapę okolic portu. Cord objęła mnie i cmoknęła w policzek. Wyszedłem na pomost, ściągnąłem mocniej troki obrębitego sztucznym futrem kaptura, który osłaniał mi twarz przed wichurą, i spojrzałem w lewo, gdzie podążały za nami trzy niewielkie zaprzęgi, jak szczeniaki za matką. Zmaterializowały się w ciągu ostatniego kwadransa. Każdy składał się z gąsienicowego ciągnika i kilku przyczepionych do niego sań o różnej konstrukcji i przeznaczeniu. Otwarte platformy służyły do przewozu towarów. Na jednej odbywał się właśnie załadunek: zaprzęg zrównał się z nami na wysokości naszych trzecich sań, z których jacyś ludzie zrzucali pudła i spychali ciężkie worki. Większość sań w zaprzęgach była jednak osłonięta: na platformach rozbito namioty. Dostrzegłem dwóch mężczyzn w pomarańczowych kombiworach, którzy zeskoczyli z naszego pociągu i chowali się właśnie w jednym z namiotów.

Sammann dał mi jedną wskazówkę i kazał zapamiętać dwie reguły. Wskazówka brzmiała: znajdź sanie, na których będzie dużo pasażerów; w liczbie siła. Reguła pierwsza: pod żadnym pozorem nie schodź na lód; sanie odjadą, a ty umrzesz. Do reguły drugiej będzie jeszcze okazja nawiązać.

Przez piętnaście minut chodziliśmy z Gnelem tam i z powrotem po pomostach, wypatrując czegokolwiek mniejszego niż te trzy zaprzęgi. Przy naszym pociągu wydawały się małe, ale znacznie przewyższały rozmiarami przeciętne pojazdy spotykane na południowych drogach. Domyślałem się, że szykują się do przeprawy przez góry. Nigdzie jednak nie widzieliśmy małych, zwinnych maszyn, które miały przemycać towary i pasażerów w pobliżu portu. Nie pojawiła się ani jedna - prawdopodobnie z powodu niesprzyjającej pogody.

W końcu wypatrzył mnie bystrooki kierowca jednego z zaprzęgów. Dodał gazu, aż ciągnik prychnął kłębami czarnego dymu, i podjechał do nas. Miał tylko jedno sanie. Uchylił okno w ciągniku, wystawił owłosioną, ogorzałą twarz i wykrzyknął cenę. Cofnąłem się i obejrzałem jego sanie. Puste. Obniżył cenę, zanim zdążyłem się odezwać.

Skakanie do pierwszych sań, które się napatoczyły, wydawało mi się nierozsądne, więc pokręciłem głową i skierowałem się do miejsca, gdzie jeden z większych zaprzęgów zbierał pasażerów. Sprawiał znacznie bardziej profesjonalne wrażenie, jeśli można tak powiedzieć, ale - niestety - przyszedłem za późno: na saniach rozgościły się już zorganizowane bandy podróżnych, którzy spoglądali na mnie w taki sposób, że nie miałem wątpliwości, że nie będę wśród nich mile widzianym gościem. W dodatku cena była wygórowana. Trzeci zaprzęg, mieszany, złożony z sań towarowych i osobowych, wyglądał bardziej obiecująco; nabrał dostatecznie dużo pasażerów, żebym nie musiał się bać, że zostanę na lodzie.

Widząc, że ja i paru innych samotników wdajemy się w negocjacje z kierowcą, właściciel najmniejszego zaprzęgu spadł na nas jak sęp. Podjechał od przodu, żebym mógł zajrzeć do rozbitego na saniach namiotu, w którym miał już dwóch pasażerów. Uchylił też drzwi ciągnika i mignęła mi deska rozdzielcza, nad którą znajdował się wyświetlacz z przewijającą się przez ekran zygzakowatą linią. Sonar. Reguła druga zakazywała mi wsiadania do zaprzęgu bez sonaru: urządzenia sondującego falami dźwiękowymi grunt przed pojazdem i ostrzegającego przed szczelinami w lodzie. Ciągnik na długich gaśnienicach pokonywał wprawdzie bezpiecznie większość szczelin, ale zdarzały się i takie, które pochłonęłyby go wraz z resztą zaprzęgu.

Zapytałem kierowcę, dokąd jedzie.

- Kola - odpowiedział.

Dłuższy zaprzęg, mieszany, zmierzał do Imnash. Wiedzieliśmy, że następny lodołamacz odpływa z Koli za trzydzieści jeden godzin. Ustaliwszy cenę, zrzuciłem plecak na sanie i stałem się ich trzecim pasażerem. Zgodnie z panującym zwyczajem zapłaciłem połowę stawki z góry, drugą zaś zatrzymałem w kieszeni i miałem przekazać po dowiezieniu mnie na miejsce. Jeszcze przez kwadrans kierowca obskakiwał pociąg to z jednej, to z drugiej flanki; udało mu się zgarnąć kolejnego

pasażera, tym razem z prawej strony. Podesty lokomotywy i olbrzymich sań opustoszały i wszystkie trzy zaprzęgi jak na dany sygnał odskoczyły od pociągu. Domyśliłem się, że zbliżamy się do stacyjki, na której do pociągu wsiadają inspektorzy.

W odległości pięćdziesięciu stóp pociąg lodowy ginał w zadymce, ze stu stóp stawał się w zasadzie niewidoczny, minutę później jazgot wichury przytłumił nawet dudnienie elektrowni zasilającej lokomotywę, a wysoki wizg motoru ciągnika całkowicie je zagłuszył.

Zupełnie inną wizję miałem przed oczami, kiedy dwa tygodnie wcześniej wychodziłem po voco z prezbiterium. Nawet kiedy postanowiłem podążyć za Orolem na drugą stronę bieguna, nie wyobrażałem sobie, że ostatni odcinek pokonam w taki właśnie sposób. Gdyby ktoś w Sambie uprzedził mnie, że czeka mnie taka przejażdżka, wymówiłbym się od niej pod jakimś pretekstem i pojechał prosto do Tredegarha. Nie wiedziałbym tylko jednego: jak bardzo zrutynizowany jest ten proces. Ludzie regularnie podróżowali w ten sposób. Musiałem tylko jakoś zabić najbliższe dwadzieścia cztery godziny, bo tyle czasu potrzebował zaprzęg, żeby dotrzeć do morza.

Siedzieliśmy we czterech na ławkach ustawionych wzdłuż kierunku jazdy, mogących pomieścić osiem osób. W kombiworach byliśmy prawie nie do odróżnienia, chociaż mój wyróżniał się nowością (mimo że nie zdejmowałem go już od tygodnia). Na nic się zdały nasze starania, żeby wyposażyć mnie w bagaż o należycie żalonym wyglądzie: mój plecak i tak błyszczał przy polioplastowych torbach powiązanych sznurkiem i polepionych taśmą, które zabrali ze sobą pierwsi dwaj podróżni. Trzeci miał starą walizkę, obwiązaną równo plecioną siatką z żółtego sznura.

Pierwsi dwaj nazywali się Laro i Dag, trzeci Brajj; extramuros były to całkiem pospolite imiona. Przedstawiłem się jako Vit. Jazgot silnika utrudniał konwersację, zresztą moi współpasażerowie i tak nie sprawiali wrażenia szczególnie rozmownych. Laro i Dag skulili się pod kocem; wyglądali na braci. Brajj, który dosiadł się do nas ostatni, usiadł najbliżej tyłu

sań i wyjścia z namiotu, zostawiając mnóstwo miejsca między swoim ciałem (był niewiele większy ode mnie) i walizką. Nikt jednak nie zamierzał mu tej przestrzeni odbierać, gdyż regularnie zawiewał ją śnieg, podrywany z ziemi pędem jadących sań.

Zostawiłem wszystkie książki Cord. Nikt nie wziął ze sobą szpilu. Na dworze kłębiły się tumany śniegu. Nastawiłem grzałkę katalityczną na najniższy przepływ mocy, przy którym nie groziło mi zamarznięcie, założyłem ręce na piersi, oparłem nogi na plecaku, osunałem się niżej na ławce i starałem się nie myśleć o tym, jak wolno płynie czas.

Miałem wrażenie, że minęły lata, odkąd ostatni raz zażywałem koncentowych wygód. Tymczasem teraz, na saniach, zapadłem w sen na jawie, w którym prawie widziałem otaczających mnie fraa i suur i słyszałem ich głosy. Zacząłem od Arsibalta, Lio i Jesry'ego, przeszedłem od nich do znacznie przyjemniejszego widoku Ali i wyobraziłem ją sobie w Sauncie Tredegarhu, o którym niewiele wiedziałem poza tym, że jest starszy i większy od naszego Saunta Edhara, cieszy się łagodniejszym klimatem, a sady i ogrody są w nim zieleńsze i bardziej pachnące. Musiałem ekstrapolować moją fantazję do czasów, w których przeżyłem tę podróż, znalazłem Orola i dotarłem do Tredegarha, gdzie wpuszczono mnie za bramę, zamiast odrzucić albo skazać na pięć lat samotności w towarzystwie Księgi. Rozprawiwszy się w ten sposób z formalnościami, wyobraziłem sobie wyśmienitą kolację w pięknym wiekowym refektarzu, w którym fraa i suur z całego świata pili za zdrowie moje i Ali (jakiś naprawdę świetny trunk) w uznaniu wagi naszych obserwacji w camera obscura. Sen na jawie przybrał następnie bardziej prywatny obrót, był długi spacer w odludnym ogrodzie... Zrobiłem się senny. Akcja nie rozwijała się zgodnie z moimi oczekiwaniami. Nie wiedziałem, która część

mojego mózgu odpowiada za sny na jawie, ale zamierzała mnie ukoić i uspić, nie zaś rozbudzić namiętność.

Nagły przechył sań otrzeźwił mnie i zorientowałem się, że przysnąłem.

Droga przez biegun wiodła szerokim przesmykiem. Dwie płyty tektoniczne zderzyły się tutaj i wypiętrzyły górski grzbiet, który trudno byłoby pokonać, gdyby nie został pogrzebany pod dwumilową lodową pokrywą. Mniej więcej przez ostatni dzień kontynent pod nami stopniowo się rozszerzał, a my cały czas trzymaliśmy się jego prawej (czyli zachodniej, odkąd jechaliśmy na południe) krawędzi - nie za blisko jednak, ponieważ nad samym brzegiem oceanu ciągnęły się strome góry. Między nimi i morzem znajdował się wąziutki pasek lądu, pokryty spływającymi z gór lodowcami obfitującymi w zdradzieckie szczeliny. Dlatego zaprzęg zachowywał kilkumilowy odstęp od gór, przemierzając płaskowyż obłany litym, stabilnym lodem. Na nim właśnie znajdował się port kolei lodowej. Drogi prowadziły z niego na południe - przez lody, tundrę i tajgę - i łączyły się z siecią dróg sięgającą aż do Morza Mórz. Pierwsza placówka na tej trasie była odległa o setki mil. Kierowcy takich zaprzęgów nie wyżyliby z przewożenia pasażerów na tak długie odległości, dlatego skręcali w prawo, na zachód, wymijali port kolejowy i przez jedną z trzech wciętych w góry przełęczy docierali do portów nad oceanem, do których od południa przyływały lodołamacze.

Cord, Sammann i Crade'owie mieli po prostu wsiąść do aportów i ruszyć z portu kolei lodowej na południe. Gdyby pogoda dopisała i pomniejsi przemytnicy wylegli na lód, mógłbym zapłacić jednemu z nich, żeby przewiózł mnie obok portu i wysadził na drodze kilka mil dalej, gdzie wsiadłbym do aportu Yula. Tymczasem czworo moich przyjaciół miało jechać dwa dni na południe, dotrzeć w rejony, gdzie panuje łagodniejszy klimat, tam odbić na zachód, przeciąć góry i dotrzeć do Mahshtu, portu macierzystego floty lodołamaczy. Ja powinienem przez ten czas opłacić rejs lodołamaczem albo jednym ze statków, który popłynie za nim w konwoju, i w ten sposób też trafić do Mahshtu. Tam

byśmy się spotkali i w kilka dni dojechali nad Morze Mórz. Realizowałem zatem Plan B (Plan A zakładał objechanie portu kolejowego mniejszymi saniami), a prawdę powiedziawszy, nie omawialiśmy go szczegółowo, ponieważ nikt się nie spodziewał, że wejdzie w życie. Dręczyło mnie poczucie, że podjąłem decyzję zbyt pochopnie i pewnie zapomniałem o jakichś istotnych szczegółach, ale w ciągu dwóch pierwszych godzin spędzonych na saniach małego zaprzęgu miałem aż nadto czasu, żeby wszystko przemyśleć i dojść do wniosku, że będzie dobrze.

W każdym, razie kiedy poczułem, że sanie się przechylają, pomyślałem, że zbliżamy się do jednej z trzech przełęczy łączących płaskowyż w głębi łądu z nadmorską równiną. Sammann twierdził, że jedna z nich jest łagodniejsza i wygodniejsza od dwóch pozostałych, ale często schodzą na nią lawiny i kierowcy zaprzęgów nigdy nie potrafią przewidzieć, którędy pojadą następnego dnia. Starają się podejmować decyzję jak najpóźniej, w oparciu o wiadomości radiowe od innych przemytników. Ponieważ nasz kierowca jechał w osobnym pojeździe, zamknięty w wygodnej, ogrzewanej kabinie, nie miałem szans podsłuchać jego rozmów radiowych i zorientować się w sytuacji.

Po kilku godzinach sanie zaczęły zwalniać, aż w końcu zupełnie znieruchomiały. My - pasażerowie - przez dobrą minutę, jeśli nie dłużej, uczyliśmy się na nowo poruszać. Spojrzałem na zegarek i ze zdumieniem skonstatowałem, że jesteśmy w drodze już od szesnastu godzin. Musiałem przespać co najmniej osiem, może nawet dziesięć z nich; nic dziwnego, że cały zdrętwiałem. Brajj odrzucił połę materiału i wewnątrz namiotu zalała powódź szarego światła, oślepiającego, chociaż pozbawionego wyraźnego źródła. Burza ucichła, śnieg przestał padać, tylko pokrywa chmur nadal się utrzymywała. Zatrzymaliśmy się na zboczu góry, ale w tym akurat miejscu podłoże było płaskie i w miarę poziome; domyślałem się, że stoimy chyba na jakiejś drodze dla sań, wspinającej się do wybranej przez kierowcę przełęczy.

Brajj nie zamierzał wysiadać. Kiedy wstałem i zrobiłem

krok, żeby przestąpić nad jego wyciągniętymi nogami, powstrzymał mnie gestem. Chwilę później dobiegła nas seria głuchych łomotów od strony ciągnika, a potem głośny trzask pękającej lodowej skorupy, kiedy kierowca otworzył drzwi i wysiadł. Szczęknęły metalowe stopnie, skrzypnął śnieg pod butami. Brajj opuścił rękę i cofnął nogi: mogłem przejść. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, jak Sammann ostrzegał mnie, żebym nie schodził na lód, bo zostanę porzucony. Brajj, który podróżował tak nie pierwszy raz, dobrze wiedział, że nie należy schodzić z sań, dopóki kierowca nie wysiądzie z ciągnika.

W Osiemdziesiątym Trzecim zainwestowaliśmy w gogle. Ściągnąłem je teraz na oczy, wysiadłem z sań i stanąłem przy ciągniku obok obcego mężczyzny, który sikał na śnieg, pod górkę. Pomyślałem, że pewnie w ciągniku jest koja i kierowcy po prostu na zmianę prowadzą i śpią. I rzeczywiście, w tej właśnie chwili pierwszy kierowca wytknął na dwór rozspaną twarz, naciągnął gogle i wygramolił się ze środka. Zostawili otwarte drzwi, zapewne po to, żeby słyszeć radio, które z rzadka trzeszczało i wydawało dziwacznie modulowane dźwięki. Rozumiałem je na tyle, żeby się zorientować, że słyszę rozmowy innych kierowców o warunkach na przełęczach i o tym, kto gdzie jest, ale niewiele słyszałem konkretów. Kiedy radio rozbrzmiało jakimś wyraźniejszym głosem, obaj kierowcy znieruchomieli i wyteżyli słuch.

Laro i Dag wysiedli z sań na drugą stronę, od dołu zbocza. Usłyszałem ich pokrzykiwania i ożywioną rozmowę, która chyba irytowała kierowców, bo utrudniała śledzenie zniekształconych transmisji.

Obszedłem sanie. Z drugiej strony rozciągał się piękny widok na U-kształtną dolinę. Przed nami rozpościerało się jej ośnieżone północne zbocze, gdzieś tam przetykane czarnymi skalnymi iglicami. Z prawej strony dolina rozszerzała się i spłaszczala, przechodząc w nadmorską równinę, z lewej coraz bardziej stromo wspinała się pomiędzy białe góry. Wyglądało na to, że pokonaliśmy przełęcz w nadmorskim grzbiecie i zjeżdżamy

do skutego lodem portu.

Ale to nie ten widok wywołał entuzjastyczną reakcję Lara i Daga. Obaj wpatrywali się w czarnego węża, długiego na dziesięć mil, otulonego kłębami pary i pełzającego w górę doliny, ku górom: był to konwój ciężkich pojazdów w jednolitym malowaniu, pełzających zderzak w zderzak.

- Wojsko - orzekł Brajji, gramoląc się z sań. Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Jakby się na wojnę szykowali...

- Może ćwiczenia? - podsunął Laro.

- Za dużo ich - mruknął sceptycznie Brajji. - Poza tym to nie jest sprzęt do ćwiczeń.

Mówił z taką mieszaniną pewności siebie i drwiny, że musiał być emerytowanym żołnierzem. Albo dezserterem. Znowu pokręcił głową.

- Z przodu jedzie dywizja górską. - Pokazał na czoło kolumny. Konwój prowadziło kilkadziesiąt białych pojazdów gąsienicowych. - Dalej to już zwykle nizinne chłopki.

Przeciął powietrze kantem dłoni, celując w pierwszy ciemny drumon, i przesunął rękę w dół doliny, obejmując tym gestem resztę kolumny ciągnącej się w stronę morza, widocznego z tej odległości jako biała, pofalowana powierzchnia pokryta chaotycznymi błękitnymi pęknięciami. Żółto-brązowy bryzg oznaczał port, do którego chcieliśmy się dostać. Lodołamacz wyrzył w lodzie czarną smugę odsłoniętej wody, błyskawicznie zarastającej krą.

Nie byłem praksykiem ani itą, ale w dzieciństwie obejrzałem sporo szpilów, a ostatnio nasłuchiwałem się jeszcze Sammanna i miałem pewne pojęcie o działaniu radia. Pojemność pasma była ograniczona - i zazwyczaj w zupełności wystarczająca, nawet w dużych miastach. Kłopot w tym, że wojsko wykorzystywało znaczną jego część, a tę, której nie używało, lubiło zagłuszać. Kierowcy zaprzęgów przyzwyczaili się do praktycznie nieograniczonego dostępu do pasma i z czasem uzależnili się od radia. Na bieżąco wymieniali informacje o pogodzie i warunkach na trasie. I nagle dzisiaj w którymś

momencie coś musiało zaniepokoić naszych kierowców: transmisje z trudem przedzierały się do odbiornika, a na dodatek miały fatalną jakość. Podejrzewali pewnie, że sprzęt szwankuje, dopóki nie przejechali przez przełęcz i nie zobaczyli setek, może nawet tysiące wojskowych pojazdów, które zagarnęły całe pasmo dla siebie.

Widok był tak niezwykły, że moglibyśmy stać i podziwiać go godzinami, gdyby nie Brajj, mający oko na kierowców: wspięli się na ciągnik, ostukali lód z karoserii, sprawdzili gaśienice, poszarпали złączką spinającą ciągnik z saniami, sprawdzili poziom płynu w chłodnicy. Brajj mógł być opanowany i zgryźliwy, ale był również czujny (żeby nie powiedzieć „płochliwy”) i na pewno nie pozwoliłby sobie na zostanie na lodzie, kiedy obaj kierowcy jednocześnie wsiądą do ciągnika. Dlatego najdalej po minucie zaczął się denerwować i wskoczył na sanie. Z przyjemnością poszedłem w jego ślady. Dosłownie chwilę po tym, jak usadowiłem się na swoim miejscu, trzasnęły zamykane drzwi do kabiny ciągnika. Zaczęliśmy wołać Lara i Daga, którzy stali kilkanaście metrów od sań i znieruchomiali z podziwu gapili się na konwój. Udało nam się zwrócić uwagę Daga. Obejrzał się w naszą stronę, ale nadal nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, dopóki silnik ciągnika nie ryknął i nie szczęknęły ogniwa złączki. Grzmotnął Lara pięścią w ramię i ruszył w naszą stronę, łapiąc go po drodze za kołnierz i wlokąc za sobą. Brajj przesunął się na tył sań i wyciągnął rękę, gotowy pomóc im wejść do środka; ja również wstałem i przysunąłem się bliżej. Silnik zagrzmiął głośniej, rozległ się charakterystyczny chrzęst poruszających się gaśienic. Mniej więcej w tym samym momencie Laro i Dag dopadli do sań. Brajj i ja wciągnęliśmy ich na górę, z takim impetem, że polecili aż na sam przód pojazdu. Gaśienice klekotały miarowo.

A my się wcale nie poruszaliśmy.

Wyjrzeliśmy z Brajjem na zewnątrz. Spojrzeliśmy po sobie.

Wyskoczyliśmy i obiegliśmy sanie z przeciwnych stron.

Ciągnik był pięćdziesiąt stóp od nas i nabierał prędkości, wlokąc za sobą złączkę do sań.

Zaczęliśmy za nim biec. Ślady gąsienic wystarczały, żeby utrzymać nasz ciężar, ale co kilka kroków zapadaliśmy się do pół uda w śnieg. Byłem szybszy. Pokonałem jakieś sto stóp, kiedy otworzył się właz w ścianie ciągnika i drugi kierowca wyszedł na listwę nad prawą gąsienicą. Pokazał mi przewieszoną przez plecy długą broń.

- Co wy robicie?! - zawołałem.

Wyciągnął z szoferki jakiś nieporęczny bagaż i zrzucił go na śnieg: karton batonów energetycznych.

- Musimy przejechać przez inną przełęcz! - odrzyknął. - Daleko stąd. Stromo. Nie wystarczyłoby nam paliwa.

- Dlatego nas zostawiacie?!

Pokręcił głową i wyrzucił następny pakunek: puszkę paliwa do kombiworów.

- Spróbujemy wyprosić trochę paliwa od armii - odparł. - Tam, na dole. Potem po was wrócimy.

Schował się do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Logika tego zachowania była oczywista: widok konwoju ich zaskoczył; bez zapasu paliwa nie mogli myśleć o uniknięciu spotkania z żołnierzami, a gdyby zabrali nas ze sobą, wydałoby się, że są przemytnikami, i mieliby kłopoty. Dlatego musieli na chwilę się nas pozbyć. Spodziewali się, że będziemy temu przeciwni, więc postanowili nie pytać nas o zdanie.

Brajj mnie dogonił. Wyciągnął - nie wiem skąd - jakąś niedużą broń, ale obaj wiedzieliśmy, że nie ma sensu strzelać na oślep w tylną ścianę ciągnika. On i dwójka prowadzących go ludzi byli naszą jedyną nadzieją na ratunek.

Kiedy wróciliśmy do namiotu, wlokąc ze sobą paliwo i karton batonów, Laro i Dag klęczeli twarzą w twarz, trzymali się

za ręce i mamrotali coś z taką prędkością, że nie rozumiałem ani słowa. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś się tak zachowywał, i musiałem poobserwować ich przez chwilę, zanim doszedłem do wniosku, że się modlą. Poczulem się zakłopotany. Wycofałem się, na wypadek gdyby Brajż chciał do nich dołączyć, ale on tylko spojrzął na nich z pogardą, przeniósł wzrok na mnie i ruchem głowy wskazał mi wyjście. Wyszliśmy na dwór. Opatuliliśmy się ciepło, naciągnęliśmy kaptury i gogle, na których błyskawicznie zaczął się osadzać szron.

Odkąd zostaliśmy sami, Brajż nieustannie zerkał na zegarek.

- Piętnaście minut - powiedział teraz. - Jeżeli nie wrócą po nas w ciągu dwóch godzin, będziemy musieli ratować się sami.

- Naprawdę myślisz, że zostawiliby nas tutaj na pewną śmierć?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Brajż wyjaśnił:

- Mogą znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Na przykład nie załatwią paliwa. Albo zepsuje im się ciągnik. Albo wojsko im go zarekwiruje. Dlatego musimy mieć jakiś plan.

- Mam rakiety śnieżne...

- Wiem, potrzebujemy jeszcze trzech par. Napełnij sobie zasobnik wodny.

Kombiwory miały z przodu obszerne kieszenie. Napełniało się je śniegiem, który z czasem topił się i zmieniał w wodę do picia. Było do tego potrzebne ciepło, ale ciepłota ciała użytkownika albo energia z wbudowanego w kombiwór zasilacza w zupełności wystarczały, a ponieważ chwilowo mieliśmy zapasy jedzenia i paliwa, o wodę nie musieliśmy się martwić. Napchaliśmy sobie zasobniki do granic możliwości. Napełniliśmy pęcherze w kombiworach paliwem z puszki. Brajż przerwał modlitwę Larowi i Dagowi i dopilnował, żeby uzupełnili zapasy śniegu i paliwa. Kazał nam wszystkim zjeść po dwa batony. Dopiero potem mogliśmy zabrać się do pracy.

Namiot wspierał się na elastycznych metalowych masztach. Złożyliśmy go i wyciągnęliśmy je, przy okazji

zwracając na siebie uwagę Lara i Daga. Skoro ich schronienie przestało istnieć, nie pozostało im nic innego, jak włączyć się do realizacji naszego planu. Brajj miał mały przyborek z piłką, którą zaczął ciąć maszty na krótsze kawałki. Widząc, że jest co robić, Laro i Dag z entuzjazmem wzięli się do pracy. Dag, silniejszy z tej dwójki, wziął od Brajja piłkę i zastąpił go przy cięciu masztów. Brajj kazał Larowi zebrać wszystkie kawałki sznurków i lin, po czym, zapewne chcąc dać dobry przykład, rozplątał żółty sznurek, którym była obwiązana jego walizka; miał dobre trzydzieści stóp długości. Brajj otworzył walizkę i wytrząsnął na śnieg jej zawartość: setki małych fiolek w piankowych osłonkach. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego, domyśliłem się jednak, że są to zapewne lekarstwa.

- Zarabiam na alimenty - wyjaśnił, widząc moją minę.

Walizka była zrobiona ze sztywnego skórzastego materiału, który pocięliśmy na podeszwy rakiet śnieżnych. Pozginaliśmy pocięte maszty w taki sposób, żeby powstały z nich prostokątne ramy, do których przywiązaliśmy sznurkiem odwiniętym z bagaży Lara i Daga kawałki walizki. Zajęło nam to sporo czasu, ponieważ musieliśmy wiązać węzły gołymi rękami, grabiąc błyskawicznie na mrozie. Laro i Dag przewozili głównie stare ubrania, z którymi rozstali się bez żalu, oraz rodzinne pamiątki, z którymi rozstawać się nie zamierzali. Ściągnąłem z sań ławkę, odwróciłem ją do góry nogami i kopniakami odłamałem jej kruche nóżki: świetnie nadawała się na tobogan. Załadowaliśmy na niego jedzenie i paliwo i owinęliśmy go namiotem. Z mojego plecaka już wcześniej wyjęliśmy stelaż i odcięliśmy wszystko, co przypominało sznurek. Dołożyłem na tobogan swoje zapasy i kuchenkę, wyrzuciłem zapasowe ubranie, a zawój, sznur i sferę (maksymalnie pomniejszoną) przełożyłem do zewnętrznych kieszeni plecaka. Przyszło mi do głowy, że mógłbym dorzucić swój sznur do ogólnej puli, ale wyglądało na to, że obejdziemy się bez niego: Laro znalazł pod jedną z ławek pięćdziesięciostopowy zwój linki, a kolejne pięćdziesiąt stóp uzyskaliśmy z powiązania odciągów namiotu i innych

przypadkowych kawałków. Po dodaniu do tego trzydziestu stóp sznura od Brajja, mogliśmy się powiązać w odstępach trzydziesto-, czterdziestostopowych, według Brajja wystarczających, gdyby któryś z nas się pośliznął albo wpadł do szczeliny.

Przygotowania zajęły nam blisko cztery godziny, toteż według rachuby Brajja wyruszyliśmy bardzo późno. Konwój w dolinie wyglądał tak, jakby w ogóle się przez ten czas nie poruszył. Brajji szacował, że znajduje się dwa tysiące stóp poniżej nas. Powiedział też, że „jeśli wszystko szlag trafi”, mamy „wyciągnąć zawleczkę”, zjechać po lodzie na dno doliny i zdać się na łaskę wojskowych. Prawdopodobnie aresztują nas, ale nie dadzą nam umrzeć. Byłaby to jednak ostateczność, ponieważ podczas takiego zjazdu ryzyko wpadnięcia do szczeliny było ogromne.

Brajji prowadził, uzbrojony w długi kawał masztu z namiotu, którym sondował śnieg w poszukiwaniu szczelin. Przy pasie niósł swój „szpikulec” - długi nóż o ciężkim ostrzu. Twierdził, że kiedy któryś z nas runie do szczeliny, on rzuci się na ziemię, wbije szpikulec w lód i w ten sposób wyhamuje upadek. Wręczył mi kawałek stelaża z mojego plecaka, wygięty w kształt litery L i mający służyć temu samemu celowi, i skierował mnie na koniec stawki. Kazał mi nawet poćwiczyć padanie na lód i hamowanie zjazdu krótszym kawałkiem L. Między nami znaleźli się związani sznurkiem Laro i Dag, za mną zaś, na samym końcu, włókł się tobogan.

Początek wędrowki był mozolny i frustrujący, ponieważ improwizowane wiązania prymitywnych rakiet śnieżnych luzowały się i puszczały co kilka kroków. Miałem wrażenie, że nasza eskapada dobiegnie końca, zanim na dobre się zaczęła. W którymś momencie zauważyłem jednak, że udało nam się przejść godzinę bez przerwy. Napilem się (przez rurkę) wody z zasobnika na piersi i zacząłem pogryzać batonik energetyczny. Rozejrzałem się. Panorama zapierała dech w piersi.

Jestokej!

Ta myśl uderzyła mnie jak śnieżna piguła w nos. Minęły

ponad dwa tygodnie, odkąd opuściłem koncent i zacząłem się odżywiać tak samo jak mieszkańcy extramuros. Lio, Arsibalt i reszta dotarli pewnie do Tredegarha w niespełna tydzień - wystarczająco szybko, żeby nie odczuć wpływu jestokeju. Ja jednak byłem dłużej wystawiony na jego działanie i wszechobecna substancja na pewno zadomowiła się już w moim mózgu, w subtelny sposób wpływając na moje pojmowanie świata.

Co powiedzieliby moi fraa i suur o decyzjach, jakie ostatnio podejmowałem? Nic miłego; wystarczy spojrzeć, dokąd mnie zawiodły! A ja co? Wpadłem po uszy, a mimo to spaceruję sobie beztrzesko, podziwiając widoki.

Próbowałem narzucić sobie surowszą dyscyplinę umysłową, wyobrazić sobie coś złego w przyszłości, co zmobilizowałoby mnie do snucia planów. Brajj mógł w sytuacji krytycznej ocalić nas swoim „szpikulcem”, ale równie dobrze mógł odciąć się nim od nas, gdybyśmy wpadli do szczeliny. Co wtedy?

Moje wysiłki spełzły na niczym. Brajj został samozwańczym przywódcą i na razie zachowywał się rozsądnie. Mogłem przeznaczyć dowolną ilość czasu i energii na snucie takich alarmistycznych prorocstw, ale nic by mi z tego nie przyszło. Lepiej skupić się na tu i teraz.

Może właśnie tak objawia się działanie jestokeju?

Przez pierwsze kilka godzin szliśmy po mocno ubitym śladzie gąsienic, ale później ciągnik skręcił w dół cyrku (sierpowatej doliny bocznego lodowca), kierując się na dno doliny. Idąc dalej jego tropem, spotkalibyśmy się w końcu z konwojem, dlatego postanowiliśmy odbić w przeciwną stronę i pierwszy raz weszliśmy na świeży śnieg. Szliśmy powoli, bo najpierw musieliśmy wyjść z cyrku przez jego górną krawędź, i zanim zbocze zdążyło się wyplaszczyć, byłem właściwie gotowy, jak to powiedział Brajj, „wyciągnąć zawleczkę”. Gdybym zdał się na łaskę i niełaskę kierowcy wojskowego drumonu, jaki najgorszy los mógł mnie czekać? Nie złamałem prawa i nie musiałem, w przeciwieństwie do moich trzech towarzyszy, za wszelką cenę

uniknąć spotkania z przedstawicielami władzy. Byłem jednak związany z nimi liną, na dobre i na złe, i nie mogłem się odłączyć bez narażania ich i siebie. Musiałem czekać, aż sami wyciągną zawleczkę.

Wspięliśmy się na boczny grzbiet i zobaczyliśmy wybrzeże. Zdziwiłem się, że jest aż tak blisko: znajdowaliśmy się jeszcze dość wysoko, ale w poziomie odległość wydawała się naprawdę nieznaczna. Rozróżnialiśmy pojedyncze budynki w porcie, mogliśmy policzyć zacumowane do nabrzeży okręty. Wojskowe aeroplany stały w szeregu na skraju ziemnego pasa startowego wklonowanego między ocean i góry. Patrzyliśmy, jak startują i wykręcają na południe.

W porcie kotwiczyły też dwa cywilne statki, nabraliśmy więc nadziei, że jeśli uda się nam tam dotrzeć w jednym kawałku (co powinno nam zająć mniej niż dzień marszu), będziemy mogli opłacić przejazd i odbić od brzegu już za najbliższym lodołamaczem. Postanowiliśmy więc przygotować się do - jak dobrze wiedzieliśmy - długiej i mozolnej końcówki. Wmusiłem w siebie kolejne dwa batoniki. Zaczynało mi się robić niedobrze, ale pomyślałem, że to pewnie dlatego, że za bardzo przejmuję się jestokejem. Splukałem batony wodą, napełniłem zasobnik na śnieg i pęcherz paliwowy. Zapasów mieliśmy pod dostatkiem: kierowcy ciągnika zostawili nam naprawdę sporo, tak jakby przewidywali, że mogą nie wrócić zbyt szybko. A ja cieszyłem się, że postanowiliśmy działać, zamiast kulić się w namiocie, nie wiedząc, czy będziemy żyć, czy umrzemy.

Po godzinnym odpoczynku spakowaliśmy bagaże na tobogan i ruszyliśmy dalej. Zeszliśmy do szerokiego żlebu o zaokrąglonym dnie, który przecinał nam drogę i wykręcał w kierunku portu. Brajj zdecydował, że pójdziemy nim na dół. Ryzykowaliśmy, że jeśli w którymś momencie żleb zrobi się zbyt stromy, będziemy musieli zawrócić i wycofać się po swoich śladach - i przez następne dwie godziny kilkakrotnie obawiałem się, że ta chwila właśnie nadeszła. Zawsze jednak dochodziliśmy w końcu do zakrętu albo wybrzuszenia, skąd widzieliśmy kolejny

milowy odcinek zlebu i mogliśmy się przekonać, że nie ma w nim przeszkód nie do pokonania. Na stromiznach tobogan czasem próbował mnie wyprzedzić i wtedy przez chwilę miałem ręce pełne roboty: musiałem go obrócić przed sobą i dać mu się ciągnąć w dół, zapierając się o lód, żeby nie nabrał rozpędu. W takich momentach moi towarzysze, którzy nie musieli zмагаć się z dodatkowym obciążeniem, zostawiali mnie daleko w tyle. Moja lina napinała się i przypominała mi, że idący na jej drugim końcu Laro się niecierpliwi. Miałem wtedy ochotę przyciągnąć go do siebie i obić mu gębę. Na szczęście Brajj regulował szybkość marszu i nawet na płaskich, bezpiecznych odcinkach posuwał się równym tempem, zatrzymując się co dwa kroki i sondując śnieg masztem.

Nauczyłem się odróżniać ślady Brajja od śladów pozostałej dwójki i od czasu do czasu z irytacją stwierdzałem, że się rozchodzą: Brajj z jakiegoś powodu szedł w jedną stronę, a Dag skręcał w drugą, pociągając za sobą Lara i - siłą rzeczy - mnie. Zmuszał mnie w ten sposób do przejścia po niesprawdzonym terenie.

Obniżyliśmy się o mniej więcej trzy czwarte wysokości dzielącej nas od portu i zanosilo się na to, że dalej będzie już łatwiej. Laro i Dag byli robotnikami: zachowali jeszcze mnóstwo sił i najchętniej wyprzedziliby maszerującego miarowo Brajja, żeby jak najszybciej dotrzeć do miejsca, w którym będą mogli zjeść ciepły posiłek i zrzucić znieawidzone kombiwory.

Znajdowałem się akurat na jednej z tych stromizn, gdzie tobogan mnie wyprzedził, i szarpałem się z dwoma linami jednocześnie, gdy zauważyłem, że tracę równowagę. Lina łącząca mnie z Larem napięła się i coraz silniej ścigała mnie w dół. Zaparłem się lewą nogą, ale trwające od kilku godzin zejście zmieniło mi mięśnie w rozdygotaną galaretę. Przykleknałem na jedno kolano, zawiązana w pasie lina szarpnęła mnie w przód i na ułamek sekundy przed tym, jak zaryłem twarzą w śnieg, dostrzegłem sto stóp przed sobą Brajja: stał ze szpikulcem w ręce i patrzył w moją stronę. Laro zsuwał się po zboczu. Daga - który

znajdował się na linii między nimi dwoma - nie było nigdzie widać.

Ta scena musiała mi wystarczyć przez następne kilka sekund, ponieważ leżałem z twarzą w śniegu, ściągany w dół przez ciężar Lara i toboganu. Oraz, jak sobie nagle uświadomiłem, Daga. Dag wpadł do szczeliny! Ale dlaczego Brajj nie wyhamował jego upadku? Albo łącząca ich lina (postrzępiony trzydziestostopowy sznurek z poliplastu) pękła, albo Brajj ją przeciął. Tylko ja mogłem powstrzymać upadek Daga, Lara i swój; tylko ja mogłem nas ocalić. Musiałem wbić metalowe L w lód; powinienem był trzymać je w ręce, gotowe do użycia, ale mocując się z toboganem, przełożyłem je przez doszytą do plecaka pętlę na sprzęt. Było tam jeszcze? Wierzgnąłem rozpaczliwie nogą i udało mi się obrócić na plecy. Moja głowa rozcinała śnieg jak dziób statku wodę; śnieżne odkosy sypały mi się na twarz. Prychnąłem, żeby oczyścić nos; powstrzymałem się od głębokiego wdechu i sięgnąłem po omacku w bok, aż natrafiłem na coś twardego. Wyszarpnąłem metalowy przyrząd z pętli - taką przynajmniej miałem nadzieję, bo grube rękawice utrudniały mi zorientowanie się w sytuacji. Odsunąłem go jak najdalej w bok, jeszcze raz wierzgnąłem i przeturlałem się na brzuch. Udało mi się zadrzeć głowę i usłyszałem krzyk Lara: domyśliłem się, że właśnie ześliznął się do szczeliny. Wbiłem L w śnieg i napałem na nie całym ciężarem ciała. Zahaczyło się - przynajmniej trochę - i zadziało jak oś: moje ciało obróciło się wokół niego, ściągane w pasie połączonym ciężarem Lara i Daga. L szarpnęło mi się w dłoniach, ale niezbyt mocno. Czekan nie trzymał.

To znaczy, trzymał, ale był wbity w płat śniegu, który w całości oderwał się od zbocza i zsuwał w dół razem z nim i ze mną.

Miałem pecha. Gdybyśmy szli po bardziej zbitym podłożu, czekan wbiłby się w nie i trzymał mocno, ale po wczorajszej burzy na wierzchu zebrała się ledwie związana warstewka lekkiego śniegu.

Następne szarpnięcie w talii świadczyło o tym, że tobogan

wpadł do szczeliny. Podniosłem na chwilę głowę i doznałem zdumiewającego uczucia, że wcale się nie poruszam - spowodowanego oczywiście faktem, że otaczający mnie śnieg poruszał się z taką samą prędkością jak ja. Poczulem pustkę pod stopami. Pod kostkami. Pod kolanami. Pod biodrami. Obciążona dwójką ludzi i toboganem lina pociągnęła mnie prosto w dół, zrobiłem coś w rodzaju salta w tył i wylądowałem w szczelinie. Makabryczny swobodny spadek trwał jednak zaledwie ułamek sekundy, zanim coś strasznego stało się z moimi plecami i przestałem spadać. Lina ściągała mnie w dół, ale jakaś twarda i nieruchoma powierzchnia stanęła mi na drodze. Śnieg nadal sypał się na mnie z góry. Pamiętałem mętłą opowieść Yula o lawinie, ruchach pływaka, kieszeni powietrznej przy twarzy. O pływaniu mogłem najwyżej pomarzyć, ale podniosłem rękę, zgiąłem ją w łokciu i zasłoniłem sobie usta i nos. Ciężar śniegu na moim ciele pomału rósł, napięcie lin zelżało. Główny impet lawiny mnie ominął: rozdzielała się nade mną i spływała bokami, a ja leżałem unieruchomiony.

Nie wiedzieć czemu, usłyszałem w głowie głos Jesry'ego:

- Aha! Czyli zostaniesz pogrzebany żywcem, ale tylko troszeczkę!

Co za drań.

Nagle wszystko się skończyło i słyszałem tylko bicie swojego serca.

Wypchnąłem łokieć do góry. Śnieg trochę się przemieścił i przy moich ustach zrobiła się odrobina luzu. Chwilowo miałem więc czym oddychać, ale przede wszystkim mogłem otworzyć oczy i odeprzeć atak paniki. Sinoszare światło przenikało śnieg.

- W sam raz do czytania - powiedział Arsibalt.

- Gdybyś miał książkę - dodał Lio.

Z jakiegoś powodu nie spadałem głębiej do szczeliny, przynajmniej na razie, i chyba w ogóle niezbyt daleko poleciałem. Coś mnie zatrzymało. Przypuszczałem, że to tobogan zaklinał się w poprzek szczeliny, a ja spadłem na niego. Z impetem. Poruszyłem palcami i zgiąłem na próbę stawy skokowe, żeby się

upewnić, że nie złamałem kręgosłupa. Miło by było po prostu pomacać, na czym leżę, ale jedną rękę miałem uwięzioną przy boku, a drugą - tę, którą zasłoniłem twarz - unieruchomił mi śnieg. Mogłem ją jednak przesunąć w dół, na pierś. Namacałem suwak kieszeni i cał po calu ją rozpiąłem. Cofnąłem dłoń do ust i zębami ściągnąłem rękawicę. Gołą ręką wyjąłem sferę z kieszeni.

Sfery nie mają żadnych, przycisków do sterowania. Reagują na gesty. Przemawiamy do nich rękami. Dłoń miałem trochę odrętwiałą, ale nie na tyle, żebym nie mógł wykonać ruchu naśladowującego odkręcanie słoika, który powodował puchnięcie sfery. Było to trochę przerażające, bo rosnąca sfera wypełniała pustkę przed moją twarzą, napierała mi na pierś i zabierała powietrze. Wydawało mi się jednak, że pokrywająca mnie warstwa śniegu nie jest zbyt gruba, dlatego kazałem sferze dalej się powiększać. I kiedy myślałem, że za chwilę moja własna sfera wycisnie ze mnie ostatek życia, usłyszałem hurgot małej lawiny. Wykonałem odwrotny gest. Sfera się skurczyła. Przygniatający mnie ciężar zniknął i okazało się, że patrzę prosto do góry między dwiema ścianami błękitnego lodu. Widziałem między nimi niebo.

Oraz Brajja, który stał na skraju szczeliny i patrzył na mnie. Spadłem jakieś dwadzieścia stóp w dół.

- Jesteś deklarantem.

Tak brzmiały jego pierwsze słowa.

- Jestem.

- Masz jeszcze jakieś sztuczki w zanadrzu? Bo ja już nie mam ani kawałka liny: całą szlag trafił razem z tymi dwoma gheethami.

Poklepał się po zawiązanym w pasie żółtym sznurze: za węzłem została go może stopa, nie więcej. Został przecięty dokładnie w tym punkcie, w którym dosięgłoby go ostrze szpikulca w chwili paniki. Albo wyrachowania.

- Pomyślałem, że mogłeś przeciąć linę.

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Chyba przemówiła przeze mnie deklarantka potrzeba stwierdzenia faktów.

- Może ją przeciąłem.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Brajj był człowiekiem niezwykle racjonalnym, bardziej niż niektórzy deklaranci. Przypominał Crade'ów, Cord i mistrza Quina: wszyscy byli wystarczająco inteligentni, żeby zostać deklarantami, ale z jakichś powodów wyładowali extramuros. Wyglądało na to, że kiedy znalazł się na pustkowiu w towarzystwie ludzi, z którymi nic go nie łączyło, stał się w najwyższym stopniu wyrachowany i pozbawiony skrupułów.

- Jest ci obojętne, czy przeżyję, czy zginę - mówiłem dalej.
- Twoje decyzje są podyktowane egoizmem. Pomogłeś nam przetrwać, zabrałeś nas ze sobą i związałeś się z nami liną, ponieważ wiedziałeś, że jeśli wpadniesz do szczeliny, pomożemy ci z niej wyjść. Ale kiedy wpadł któryś z nas, natychmiast przeciąłeś linę, żeby się ratować. Do szczeliny zajrzałeś z czystej ciekawości. Zobaczyłeś moją sferę, a więc wiesz, że jestem deklarantem. Co teraz?

Moje wynurzenia wydały mu się lekko zabawne: rzadko słyszał, żeby inteligentni ludzie mówili tak prosto z mostu, i ta nowinka go zainteresowała. Długo przetrwał moje słowa, w pewnym momencie podniósł nawet wzrok i spojrzał w głąb doliny. Znow odwrócił się do mnie.

- Porusz nogami - polecił.

Poruszyłem.

- Teraz rękami.

Poruszyłem.

- Z tymi gheethami i tak były same kłopoty - dodał.

- Czy to pogardliwe określenie ludzi jest przejawem dyskryminacji rasowej?

- Tak, jest przejawem dyskryminacji rasowej - powtórzył Brajj, przedrzeźniając mnie. - Gheethowie nadają się do kopania rowów i wyrywania chwastów. Tutaj są gorzej niż bezużyteczni. Ale ty to co innego: dzięki tobie mogę przeżyć. Jak zamierzasz wyleźć na górę?

Od trzech tysięcy siedmuset lat nasze prawo zakazywało nam posiadania czegoś więcej niż zawój, sfera i sznur. Wiele

półek wypełniono książkami deklarantów, którzy na przestrzeni dziejów popadali w różne tarapaty i byli zmuszeni wymyślać nowe, twórcze zastosowania dla tych trzech rekwizytów. Wiele z ich pomysłów miało swoje nazwy: Zapadka Saunta Ablavana, Gadżet Ramgada, Leniwy Fraa. Nie byłem w tej dziedzinie ekspertem, ale w młodości często przeglądaliśmy z Jesrym takie książki i dla zabawy ćwiczyliśmy niektóre sztuczki.

Sznury i zawoje były wykonane z tego samego materiału, utkanego z włókien, które mogły przyjmować dwie formy: ciasno zwiniętej helisy (stawały się wtedy krótkie, grube i elastyczne) albo prostej nitki (wówczas były długie, cienkie i sztywne). W zimie przemawialiśmy do naszych zawojów w taki sposób, żeby napuszyć ich włókna: zawój wyraźnie się skracał, ale robił się gruby i ciepły dzięki uwiezionemu w tkaninie powietrzu. Latem prostowaliśmy włókienka, a nasze zawoje stawały się cienkie i przewiewne. Tak samo zachowywał się sznur: mógł być krótki i puchaty albo cienki i długi.

Powiększyłem sferę do rozmiarów ludzkiej głowy, owinałem ją zawojem i przywiązałem sznurem. Potem znowu powiększyłem sferę i kazałem zawojowi rosnąć razem z nią. Sfera zaklinowała się w szczelinie. Mogła przesuwac się do góry, ale nie w dół, ponieważ szczelina była najszersza u góry i zwężała się ku dołowi. Popchnąłem sferę do góry, gdzie znów znieruchomiła. Powiększyłem ją i znowu popchnąłem. Powiększyłem i popchnąłem. Po kilka cali na raz. Ściany były wyjątkowo nierówne, więc nie przebiegało to tak sprawnie, jak można by sądzić z mojego opisu, ale pomału uczyłem się i pracowałem coraz szybciej.

- Mam! - zawołał Brajj.

Sfera poszorowała po ścianach i uciekła mi zupełnie. Ogarnęła mnie panika, dopóki nie namacałem sznura. Przepuszczałem go ostrożnie przez dłoń, dopóki Brajj nie wy dobył sfery na górę. Byliśmy połączeni sznurem. Brajj wbił szpikulec w lód i okręcił sznurem jego rękęjęć. Tak mi w każdym razie powiedział.

Nie chciałem rezygnować z toboganu i rozdzielać się z Larem i Dagiem, ale musiałem się od nich odciąć, jeśli myślałem o poprawieniu swojej sytuacji. Przywiązałem swój sznur do pętli, którą byłem owinięty w pasie, a następnie wyplątałem się z niej. Uwolniłem się w ten sposób od kilkuset funtów balastu. Sznur stał się naszym jedynym łącznikiem z toboganem i pozostałą dwójką. Powiedziałem Brajjowi, jak zmniejszyć sferę. Zrobił to i zrzucił mi ją na dół, a ja znów zaklinałem ją w szczelinie i - mając swobodę ruchów - usiadłem na niej okrakiem. Pierwszy raz od chwili wypadku wstałem i spojrzałem w dół, na przedmiot, który wyhamował mój upadek i ocalił mi życie. Rzeczywiście, był to tobogan: utkwił pod kątem między ścianami szczeliny jak patyk wstawiony na sztorc w pysk potwora. Kiedy go odciążyłem, drgnął, przesunął się i spadł niżej, by po kolejnych dziesięciu stopach znowu się zaklinać. Na szczęście pętla ze sznura na wbitym w lód szpikulcu wytrzymała, więc nie straciliśmy toboganu. Powiększając sferę, wydostałem się na niej ze szczeliny; na wszelki wypadek cały czas trzymałem rękę przeplecioną przez sznur. Na górze wbiłem swój prowizoryczny czekan w lód i obwiązaliśmy go dodatkową pętłą ze sznura.

Na krótką metę mogliśmy podciągnąć ładunek, skracając sznur (był to prosty przykład zastosowania Zapadki Saunta Ablavana), dopóki po paru minutach nie wyczerpała się nagromadzona w nim energia. Wystawiony na słońce szybko by się naładował, ale nie mieliśmy tyle czasu, a i sam sznur magazynował w gruncie rzeczy niewiele energii. Nie pozostało nam więc nic innego, jak odwołać się do siły własnych mięśni. Po ciągnięciu toboganu dalej poszło już łatwiej i po chwili głęboko w dolinie błękitnego światła dostrzegliśmy wynurzające się spod śniegu ciało Lara. Ciągąca się za nimi lina miała najwyżej dziesięć stóp długości i kończyła się rozplątany węzeł: trzymał dostatecznie mocno, żeby pociągnąć w dół Lara, tobogan i mnie, ale poluzował się przy szarpnięciu, kiedy tobogan zaklinał się w szczelinie. Dag spadł na dno szczeliny i został pogrzebany pod lawiną. Miałem nadzieję, że samo jego umieranie trwało krócej niż

lot ku śmierci.

Brajj zerkał na mnie z ukosa, jakby pytał *Po co to robimy?* Udawałem, że niczego nie zauważam, dopóki nie wyciągnęliśmy Lara na krawędź szczeliny.

Kiedy przetoczyliśmy go na plecy, zadygotał, sapnął i wykrzyknął imię swojego bóstwa.

Nagle zrozumiałem Brajja: był ode mnie sprytniejszy i myślał znacznie rozsądniej. Cały czas zadawał sobie pytanie *Co zrobimy, jak się okaże, że on żyje?*

Przeleżałem półżywy w śniegu kilka minut. Najwyraźniej uraz głowy, którego doznałem przy upadku, dopiero teraz dał znać o sobie.

Musieliśmy iść dalej. Brajaj był wściekły, że mamy holować rannego: łąził w kółko i popatrywał chciwie w dół zbocza, jakby się zastanawiał, czy powinien zaryzykować zejście w pojedynkę. W końcu jednak postanowił zostać z nami. Na razie.

Laro miał złamane udo i mocno poobijaną głowę, co - w połączeniu z chwilowym pogrzebaniem pod śniegiem - sprawiło, że był półprzytomny.

Na jednej nodze miał jeszcze rakietę śnieżną. Odwiązałem ją teraz i z rurek szkieletu zrobiłem łubki na złamaną nogę. Rozpłaszczyłem sferę na śniegu.

Sfera jest zrobiona z porowatej membrany. Każdy jej por to mikroskopijna pompka, mogąca zasysać albo wydmuchiwać powietrze. Zachowuje się jak samopompujący balon. Stałą sprężystości membrany - jej rozciągliwość - można dowolnie zmieniać. Jeśli bardzo się ją obniży (czyli usztywni membranę) i mocno napompuje, uzyska się twardą piłeczkę. Teraz zrobiłem coś dokładnie odwrotnego: rozciągnąłem sferę maksymalnie i spuściłem z niej większość powietrza. Rozpostarłem na śniegu zawój i wciągnąłem na niego sferę. Razem z Brajjem przetoczyliśmy na nią Lara, który darł się przy tym jak opętany, wzywając na przemian matkę i swoje bóstwo. Sprawiał wrażenie bardziej przytomnego, co uznałem za dobry omen. Zawinałem go w sferę i zawój, tak żeby mógł wystawić głowę, i przewiązałem

sznurem. Lekko nadałem sferę, nakazując zawojowi nie rozciągać się, i w ten sposób stworzyłem poduszkę powietrzną wokół ciała rannego. Zawiniątko miało od dwóch do trzech stóp średnicy i całkiem nieźle ślizgało się po śniegu (wygładziłem zawój, żeby nadać mu jak najlepszy poślizg). Nie zdołałbym pociągnąć go do góry, ale przy zejściu powinniśmy sobie poradzić.

Ja holowałem Lara, a Brajż szedł z toboganem. Związaliśmy się kawałkiem solidnej liny, która przedtem łączyła mnie z Larem, i ruszyliśmy w podobnym szyku jak wcześniej - Brajż szedł pierwszy i sondował śnieg.

Starałem się nie myśleć o tym, że Dag mógł przeżyć upadek.

Starałem się również nie zastanawiać nad tym, ile innych trupów znaleziono by w okolicy, gdyby pewnego dnia stopił się cały śnieg i lód.

Na koniec starałem się nie roztrząsać możliwości, że jest wśród nich Orolo.

Chwilowo musiałem zadbać o to, żebym sam do nich nie dołączył. Starałem się stawiać stopy w ślady Brajżja. Gdyby on wpadł do szczeliny, mógłbym próbować go ocalić - to dlatego mnie wyratował; ale gdyby podobny los spotkał mnie, obaj z Larem bylibyśmy zgubieni. Dlatego szedłem krok w krok za Brajżem.

Po kilku godzinach straciłem poczucie rzeczywistości. Całą energię wkładałem w przestawianie stóp. Nie ma sensu opisywanie ogarniającej mnie nicości, żalości moralnej i fizycznej, której się poddałem. W rzadkich przebłyskach świadomości upominałem siebie, że deklaranci cierpieli znacznie bardziej podczas Trzeciej Łupieży i przy innych okazjach.

Ponieważ nie myślałem zbyt jasno, nie wiem, kiedy Brajż nas zostawił. Dopiero Laro wyrwał mnie z otępienia: krzyczał wniebogłosy, szamocząc się w zawoju i próbując uwolnić. Poprosiłem Brajżja, żeby się zatrzymał, a nie słysząc odpowiedzi, rozejrzałem się i stwierdziłem, że gdzieś zniknął. Łącząca nas lina padła ofiarą jego szpikulca - ale trudno mu było się dziwić:

znajdowaliśmy się na dnie doliny prowadzącej prosto do odległego o kilka mil portu. Podłoże było czarne i gładkie od niezliczonych opon i gąsienic. Wyszliśmy na drogę, którą przejechał konwój. Nie musieliśmy się już martwić szczelinami, więc Brajj się odłączył. Nigdy więcej go nie spotkałem.

Laro rozpaczliwie próbował wydostać się z zawiniątka - i to pewnie już od jakiegoś czasu. Bałem się, że miotając się na wszystkie strony, zrobi sobie krzywdę. Podpompowałem sferę, unieruchamiając go całkowicie, uklęknałem przy nim, spojrzałem mu w oczy i spróbowałem przemówić do rozsądku. Było to niewiarygodnie trudne zadanie. Znałem ludzi, którym przyszłoby to bez wysiłku (przynajmniej z pozoru) - na przykład Tulię. Yul ryknąłby mu prosto w twarz i zmiążdżył go siłą osobowości. Ja tak nie potrafiłem.

Laro dopytywał się o Daga. Powiedziałem mu, że Dag nie żyje, co bynajmniej go nie uspokoiło, ale nie mogłem go okłamać, a byłem zbyt zmęczony, żeby wymyślić jakiś lepszy plan.

W zimnym, nieruchomym powietrzu rozległ się nagle warkot silników: w naszą stronę zmierzała mała kolumna wojskowych aportów. Najwidoczniej odłączyła się od głównego konwoju i zawróciła do portu, gdzie miała coś do załatwienia. Zanim zbliżyła się do nas na tyle, żebym mógł próbować ją zatrzymać, Laro wziął się w garść - jeśli można w ten sposób określić człowieka wstrząsanego żalonymi niekontrolowanymi spazmami szloch. Spuściłem powietrze ze sfery, odwiązałem sznur, wyciągnąłem Lara z zawiniątka i schowałem je do plecaka.

Faceci w wojskowych maszynach byli prawdziwymi fachowcami: natychmiast podjechali i zabrali nas do miasta. Nie zadawali żadnych pytań, w każdym razie ja żadnego nie zapamiętałem. Nie było mi specjalnie do śmiechu, ale akurat ten fakt uznałem za zabawny. W mojej uproszczonej wizji świata sekularnego spodziewałem się, że żołnierze - umundurowani, uzbrojeni i przez to podobni do gliniarzy - zachowają się jak gliniarze i z miejsca nas aresztują. Okazało się jednak, że nadzorowanie przestrzegania prawa kompletnie ich nie interesuje,

co właściwie brzmiało całkiem sensownie, jeśli się człowiek nad tym zastanowił dłużej niż dziesięć sekund. Zabrali Lara do kliniki dobroczynnej prowadzonej przez miejscowy kelx (ta religia miała w tej okolicy spore wpływy), a mnie podrzucili do portu. W jakiejś tawernie kupiłem sobie całkiem znośne jedzenie i zdrzemnąłem się z głową na stole, dopóki mnie nie wyrzucili. Stojąc na dworze, czułem się chudy i wątyły, jakby rozrzedzony; promienie bladego arktycznego słońca przechodziły przeze mnie na wylot i parzyły mi serce. Mogłem jednak iść o własnych i siłach i nadal miałem pieniądze; kierowca zaprzęgu nie odebrał przecież drugiej połowy swojej zapłaty. Opłaciłem rejs do Mahshtu najbliższym statkiem, przy pierwszej okazji wszedłem na pokład, wgramoliłem się na koję i znów zasnąłem w tym wstrętnym kombiworze.

Kelx: (1) Religia sięgająca korzeniami szesnastego lub siedemnastego wieku p.r. Nazwa powstała przez skrócenie orthyjskiego słowa *ganakelux*, oznaczającego „miejsce trójkątów”. W ikonografii kelksu trójkąt jest niezwykle ważnym symbolem. (2) Arka kelksu. **Kewierny:** Wyznawca Kelksu (Trójkąta).- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Mniej więcej w połowie czterodniowego rejsu doszedłem do siebie na tyle, żeby wystarczyło mi sił na małą introspekcję. Dużo czasu spędzałem w mesie: siedziałem sztywno i jadłem. Musiałem siedzieć nieruchomo, ponieważ przy upadku uszkodziłem sobie zębra i plecy i odczuwałem ból przy każdym ruchu, a nawet przy oddychaniu. Jedzenie smakowało lepiej niż batoniki energetyczne. Całkiem możliwe, że pochłaniałem je w ogromnych ilościach także po to, żeby podwyższony poziom jestokeju w mojej krwi przegnał wreszcie dręczące mnie czarne myśli.

Fraa Jaad na pewno nie chciał mnie posłać na śmierć. Co wobec tego zadecydowało o niepowodzeniu jego planu? Moje

głupie decyzje? Proceder przemytniczy w okolicach podbiegunowych trwał nie od dziś; fraa Jaad musiał o nim słyszeć i zdawać sobie sprawę, że dzikus taki jak Orolo będzie musiał właśnie tamtędy udać się na Ecbę. Była to wiekowa, uświęcona tradycją praktyka - i właśnie dlatego zlekceważyliśmy związane z nią niebezpieczeństwo: zakładaliśmy, że jeżeli coś funkcjonuje od tak dawna, musi funkcjonować bezpiecznie. Że działa tak, jakbyśmy to my, deklaranci, byli odpowiedzialni za szmugiel.

Ale nie byliśmy.

A może wszystko szło gładko i bezpiecznie, dopóki konwój wojskowy nie zakłócił ustalonego ładu? Może najzwyczajniej w świecie mieliśmy pecha?

- Kiepsko wyglądasz. Jakby cię coś nieźle przeorało.

Otrząsnąłem się z zadumy i spojrzałem w kierunku, z którego dobiegał głos. Poruszyłem tylko gałkami oczu, nie głową, bo strasznie mnie strzykało w karku. Przyglądał mi się jakiś człowiek, w trzeciej dekadzie. Zwróciłem na niego uwagę już wcześniej, poprzedniego dnia, kiedy też zerkał w moją stronę. A teraz podszedł do mnie i w taki oto sposób próbował zagaic rozmowę.

Przykro mi to pisać, ale wybuchnąłem śmiechem i długo nie mogłem się opanować.

„Przeorywaniem” zajmowaliśmy się co roku wiosną, na naszych kłębach. Na czworakach przeczesywaliśmy grządki, wypatrując chwastów, wykopując je małymi motykami i odrzucając na stos przeznaczony do spalenia. Zostawialiśmy po sobie gołą ziemię, ręcznie wruszoną i rozdrobnioną na proch, żeby systemy korzeniowe roślin mogły swobodnie się w niej rozwijać. Kiedy intruz zasugerował, że wyglądam jak przeorany, w pierwszej chwili pomyślałem, że jestem brudny, jakbym czołgał się w kurzu. Rzeczywiście, byłem. Albo że przypominam stertę zwiedłych chwastów. Istotnie, przypominałem. W końcu uświadomiłem sobie, że jestem extramuros, gdzie stare, pierwotne znaczenie „przeorywania” dawno poszło w zapomnienie.

Nie było sensu tłumaczyć tego wszystkiego przypadkowo

napotkanemu człowiekowi, dlatego po prostu siedziałem przy stole i chichotałem bezradnie (od czego bolały mnie żebra), prosząc w duchu, żeby nie poczuł się urażony i nie rzucił się na mnie z pięściami. Chyba było mu przykro oglądać obcego człowieka w tak żalnym stanie - i całe szczęście, bo był dość postawny i mógł mi boleśnie złoć skórę.

Wpadłem na pomysł, który pomógł mi opanować śmiech.

- Posłuchaj... - odezwał się. - Masz może jakieś zbędne ubranie? Chętnie bym je od ciebie odkupił.

- Faktycznie przydałyby ci się czyste ciuchy - zgodził się.

Znów parsknąłem śmiechem. Od czasu do czasu załatywał mnie mój własny zapaszek. Nie był miły. Ale przecież nie mogłem tak po prostu ubrać się w zawój.

- Mam więcej ubrań, niż potrzebuję - mówił dalej. - Chętnie się nimi podzielę.

Dziwnie mówił. Półpiśmienni sekularowie kupowali w sklepach gotowe liściki, drukowane na grubym tworzywie i zdobione rysunkami, i wysyłali je sobie nawzajem, aby okazać uczucia. Listy były pisane sztywnym językiem, jakiego nikt na co dzień nie używał - poza tym człowiekiem, który stał przede mną i rzucał takimi słowami jak „przeorany”.

- Nie chcę nic w zamian - dodał. - Mam wszakże nadzieję, że kiedy się przebierzesz, dołączysz do mnie na nabożeństwie.

Więc o to chodziło: chciał mnie nawrócić na swoją religię. Przyciągnąć do swojej arki. Obserwował mnie, żalnego nieszczęśnika, i rozpoznał we mnie duszę, która rozpaczliwie potrzebuje zbawienia.

Nie miałem nic lepszego do roboty, a było dla mnie oczywiste, że muszę się trochę podszkolić w sprawach sekularnych. Wyrzuciłem więc cuchnące ubranie i kombiwór, wykapałem się najlepiej jak się dało w umywalce i włożyłem ubranie otrzymane od intruza. Miało dziwny zapach.

Poszedłem do kabiny, w której jego arka odprawiała swoje nabożeństwa. Panował w niej ścisk i upał. Powitało mnie półtora tuzina wiernych i jeden magister - żyłasty mężczyzna imieniem

Sark, który pół życia spędził na statkach, świadcząc posługę duchową żeglarzom i rybakom.

To był kelx, arka Trójkąta. Wyznawców kelksu nazywano kewiernymi. Kult ten nie miał nic wspólnego z religią Ganeliala Crade'a. Przed mniej więcej dwoma tysiącami lat wymyślił ją jakiś sprytny prorok, najprawdopodobniej niezwykle skromny, ponieważ niewiele o nim wiedziano i nikt go nie cenił. Religia Sarka była splekana i porozgałęziana jak lodowce, po których ostatnio sporo chodziłem, ale wszystkie sekty i schizmatycy zgadzali się co do tego, że istnieje inny świat, większy i lepszy (w znaczeniu: prawdziwszy) od naszego. W owym świecie żył bandyta, który napadł pewną rodzinę: ojca zamordował, matkę zgwałcił i zabił, a córkę uprowadził jako zakładniczkę i niedługo potem udusił, kiedy musiał wymknąć się pogoni. W końcu jednak został schwytany i wtrącony do lochu na bardzo długi czas („na pół żywota”), gdzie czekał na rozpatrzenie swojej sprawy. Kiedy w czasie procesu przyznał się do winy, Sędzia zapytał, czy zna jakiś powód, dla którego nie miałby zostać skazany na śmierć. Potępieniec odparł, że owszem, zna taki powód i że przyszedł mu on do głowy podczas długich lat spędzonych w ciemnicy. Kiedy wspominał swoją ohydłą zbrodnię, nie mógł się opędzić od jednej myśli: jego najgorszym czynem było zamordowanie dziewczyny („Bezgrzesznej”, jak ją nazwano), ponieważ, dopóki żyła, skrywała wielki potencjał, mogła zrobić wiele rzeczy, które po jej śmierci na pewno się już nie spełnią. Każda dusza, tłumaczył dalej Potępieniec, potrafi stworzyć cały świat, równie ogromny i zróżnicowany jak ten, w którym żyje Sędzia. Było to prawdą w odniesieniu do Bezgrzesznej, ale było także prawdą w wypadku Potępięcia, i dlatego nie należy go zabijać. Nikogo nie wolno skazywać na śmierć.

Wysłuchawszy jego słów, Sędzia wyraził swoje powątpiewanie odnośnie do zdolności Potępięcia do stworzenia świata. Potępieniec podjął wyzwanie i zaczął opowiadać o swoim wymyślonym świecie, o jego bogach, królach i herosach. Zajęło mu to cały dzień i Sędzia musiał ogłosić przerwę, ostrzegł jednak

Potępieńca, że jego los nadal wisi na włosku, ponieważ jego wymyślony świat tak samo obfituje w wojny, zbrodnie i okrucieństwa, jak ten, w którym obaj żyją. Wyrok został odroczony, ale jeśli na następnym posiedzeniu sądu problemy w wymyślonym świecie nie zostaną rozstrzygnięte w satysfakcjonujący sposób, o zachodzie słońca Potępieńiec zostanie stracony.

Następnego dnia Potępieńiec usiłował spełnić oczekiwania Sędziego i nawet poczynił pewien postęp, ale przy tej okazji spowodował nowe tarapaty i wprowadził nowe postaci, równie dwuznaczne moralnie jak pierwotna obsada. Sędzia nie znalazł dostatecznych podstaw do jego egzekucji i przełożył wykonanie wyroku na następny dzień. A potem na następny. I jeszcze raz.

Świat, w którym żyłem ja, Jesry, Lio, Arsibalt, Orolo, Jaad, Ala, Tulia, Cord i wszyscy inni, był tym właśnie światem, który Potępieńiec z dnia na dzień wymyśla w sali sądowej. Prędzej czy później Sędzia wyda wyrok: jeżeli nasz świat wyda mu się miejscem przyzwoitym, uwolni Potępieńca i wytwór umysłu więźnia przetrwa; jeśli jednak okaże się, że wyobrażony świat odzwierciedla wyłącznie zepsucie i moralną zgniliznę podsądnego, Wysoki Sąd każe go zabić i nasz świat przestanie istnieć. Mogliśmy ocalić Potępieńca, siebie samych i cały świat, postępując w taki sposób, żeby dzięki naszym staraniom świat stawał się z dnia na dzień coraz lepszy.

I dlatego Alwash, bo tak miał na imię barczysty intruz, podarował mi swoje ubranie. Próbował powstrzymać koniec świata.

Określenie „kelx” było skróconą formą orthyjskiego słowa oznaczającego „miejsce trójkątów”. Trójkąty odgrywały ważną rolę w ikonografii tej religii. W przytoczonej przez mnie opowieści występowały trzy główne postaci: Potępieńiec, Sędzia i Bezgrzeszna. Potępieńiec reprezentował niedoskonały czynnik sprawczy, Sędzia dobroć i sprawiedliwy osąd, Bezgrzeszna zaś natchnienie mające odkupicielską moc. Każde z nich z osobna byłoby niepełne, ale we troje stworzyli nas i nasz świat. Spory o

naturę tej triady były przyczyną setek wojen, ale wszyscy kwierni wierzyli z grubsza w tę samą historię - różnili się tylko jej interpretacją. Kelx stracił ostatnio na znaczeniu i jego głos brzmiał wyjątkowo zgorzkniale i apokaliptycznie. Opierał się na założeniu, że prędzej czy później Sędzia podejmie decyzję, dzięki czemu magistry (tak tytułowali się jego kapłani) mogli grać na emocjach trzódki i w razie potrzeby podburzać ją do działania zapewnieniami, że koniec świata jest bliski.

Nabożeństwo, w którym wziąłem udział, miało spełnić taką właśnie rolę. W kelksie ceremonie nie były tak długie i skomplikowane jak u bazyjczyków: ta ograniczyła się do diatryby magistra Sarka, rozmowy z parafianami i drugiej diatryby na zakończenie. Sark chciał się dowiedzieć, co takiego zrobiliśmy w ostatnim czasie, żeby świat był lepszy. Nie byliśmy doskonali (nie mogliśmy być, skoro wymyślił nas gwałciiciel i morderca), ale dzięki czystemu natchnieniu, które w chwili śmierci Bezgrzesznej zstąpiło w duszę Potępieńca, zyskaliśmy moc naprawiania świata w sposób zadowalający wszystko widzącego i wszystko wiedzącego Sędziego.

Brzmiało to wszystko niedorzecznie, ale nie umiałem się oprzeć Sarkowi (byłem osłabiony) i postanowiłem na próbę przyłączyć się do zabawy. Takie zachowanie może dziwić u deklaranta, byliśmy jednak przyzwyczajeni do wydumanych hipotez kosmograficznych i w naszej teoryce regularnie przeprowadzaliśmy takie eksperymenty: dla dobra sporu zakładaliśmy, że hipoteza jest słuszna, i patrzyliśmy, dokąd nas to zaprowadzi.

Historię Potępieńca znałem prawie od urodzenia, ale znalazłszy się w kabinie na statku, dowiedziałem się jeszcze dwóch nowych rzeczy o tej religii (a przynajmniej o tym jej odłamie). Po pierwsze, wydarzenia, które w naszym świecie rozgrywały się równolegle (różni ludzie robili różne rzeczy w tym samym czasie), Potępieńiec rozdzielał i relacjonował Sędziemu po kolei. Nie mógł opowiadać miliardów historii na raz, rozbijał je więc na mniejsze fragmenty i przytaczał jedną po drugiej. I tak na

przykład dzieje mojej podróży przez lodowiec z Brajmem, Lagiem i Dagiem stanowiły jeden taki fragment, po zakończeniu którego Potępieniec cofał się w czasie i relacjonował na przykład dzieje Ali. Jeżeli Ala nie zrobiła akurat wtedy nic szczególnie ciekawego, nie musiała podejmować żadnej ważnej decyzji, Potępieniec mógł ją pominąć i w ten sposób oszczędzić jej zainteresowania ze strony Sędziego. Sędzia z konieczności koncentrował się tylko na jednej takiej opowieści na raz. Kiedy Potępieniec przytaczał czyjąś historię, człowiek ten trafiał w centrum uwagi Sędziego, widzącego wszystkie jego czyny i znającego wszystkie myśli. Wtedy naprawdę należało się starać i dokonywać słusznych wyborów. Każdy, kto dostatecznie często uczęszczał na nabożeństwa kelksu, mógł w końcu wyrobić sobie szósty zmysł, który podpowiadał mu, kiedy Sędzia słucha jego historii: wtedy należało się sprężyć i naprawdę unikać pomyłek.

Po drugie, natchnienie, które w chwili śmierci Bezgrzesznej przepłynęło na Potępieńca, było zaraźliwe. Przeszło na nas wszystkich. Każdy z nas posiadał tę samą moc tworzenia światów. Kewierni wierzyli, że pewnego dnia pojawi się Wybraniec, któremu uda się stworzyć świat doskonały, a wtedy nie tylko on i jego świat, ale także wszystkie inne światy i ich twórcy - włącznie z Potępieńcem - zostaną ocaleni.

Kiedy Sark przeszył mnie wzrokiem i spytał, co zrobiłem, żeby uratować świat, postanowiłem podjąć rękawicę i opowiedzieć skróconą wersję historii o podróży przez lodowiec. Nie wspomniałem o zawoju, sferze i sznurze, zamierzałem także pominąć śmierć Daga (a właściwie porzucenie go przez nas), ale w miarę jak moja opowieść się rozwijała, stwierdziłem, że nie mogę pominąć tej jej części: sama ze mnie wypadła, jak jelito wysuwające się z brzucha ranionego zwierzęcia. Straciłem kontrolę nad swoim opowiadaniem. Zamierzałem dołączyć do nabożeństwa, traktując je jak odmianę gry towarzyskiej, ale emocje wzięły górę i podyktowały mi, co mam mówić. Zdałem sobie sprawę (poniewczasie), że cały ten kelx ma w sobie coś takiego, co ułatwia wyzwalamie emocji. Nie byłem pierwszym

obcym, który na takim spotkaniu ze wszystkiego się wygadał. Oni tego właśnie oczekiwali. Liczyli na to. To dlatego kelx przetrwał dwa tysiące lat.

Skończyłem i spojrzałem na Alwasha, spodziewając się zobaczyć triumfalny wyraz twarzy. Pięknie mnie przecież załatwił. Ale nie, wcale tak nie wyglądał: minę miał poważną, nieco zasmuconą, tak jakby już wcześniej wiedział, co się wydarzy. Nie pierwszy raz to robił. Jemu również to zrobiono.

Cisza, jaka zapadła po mojej opowieści, trwała długo, ale wcale nie wydawała się krępująca. W końcu magister Sark poinformował mnie, że nie jest wcale oczywiste, żebym - biorąc pod uwagę okoliczności - zachował się niewłaściwie. Zrozumiałem to w taki sposób, że kiedy Sędzia usłyszał historię Brajja, „Vita”, Lara i Daga, nie dopatrzył się w niej pretekstu do natychmiastowej egzekucji Potępieńca. Moje zeznanie w najgorszym razie zostało uznane za neutralne.

Ogromnie mi ulżyło, a już sekundę później znienawidziłem się w duchu za to, że tak łatwo daję sobą manipulować pierwszemu lepszemu szamanowi.

Sark dodał, że jeżeli mimo wszystko dręczą mnie wyrzuty sumienia, powinienem się bardziej postarać, kiedy następnym razem Potępieńiec będzie miał relacjonować moje uczynki w niebiańskim sądzie.

Inni zresztą opowiadali gorsze historie; niektóre wydały mi się wręcz niewiarygodne. Nie ja jeden byłem nowy: po porozumiewawczych uśmieszkach niektórych kwiernych poznawałem, że oni również zostali zmuszeni do przyjścia tutaj. Podejrzywałem, że niektórzy koloryzują, chcąc sprawdzić, czy uda im się przestraszyć magistra.

Wyglądało na to, że kiedy już wszyscy powiedzieli, co mieli do powiedzenia, na zakończenie nabożeństwa magister wygłaszał drugie płomienne przemówienie.

- Od dawna powtarzamy, że dzień ostatecznej decyzji Sędziego nadchodzi i jest bliski. Zawsze nadchodził i zawsze był bliski, ale dziś, powiadam wam, ten dzień już nastął. Znaki i

omeny nie pozostawiają cienia wątpliwości! W niebie widziano Sędziego, albo przynajmniej woźnego sądowego. Zwrócił spojrzenie czerwonych oczu na zamkniętych w koncentrach deklarantów i wydał na nich wyrok, a teraz zwraca wzrok ku nam. Tak zwany Niebiański Strażnik poszedł go błagać o zmiłowanie, lecz Sędzia przejrzał go na wylot, poznał, kim naprawdę jest, i zagniewany go odepchnął! Co pomyśli o was, zgromadzonych tu, w tej kajucie? O kim z was opowie Potępieniec w swoim ostatnim dniu przed sądem? O tobie, Vicie, i twoich czynach? Czy, chcąc dowieść, że on i całe jego stworzenie zasługują na to, żeby żyć, wspomni o tobie, Traidzie? A może o tobie, Therasie? Everellu, czy twoja historia przeważy szalę?

To było trudne pytanie. Takie miało być i magister Sark nie zamierzał na nie odpowiadać. Spojrzał wiernym głęboko w oczy.

Wszystkim poza mną, bo ja gapiłem się w ścianę i próbowałem zgłębić sens jego słów. Sędziego widziano w niebie? Niebiański Strażnik został odepchnięty? Czy powinienem rozumieć to dosłownie?

Jeżeli coś złego stało się Strażnikowi, co z Jesrym?

Bardzo chciałem się tego dowiedzieć. Nie odważyłem się zapytać.

Nabożeństwo wyssało ze mnie całą energię, nie miałem siły się ruszyć. Kabina pustoszała, a ja siedziałem oklapły, opierając się plecami o metalową ścianę. Wibracja przenosząca się z silników statku ubijała mi mózg na pianę.

Jeden z parafian (jeśli można ich tak nazwać) rozmawiał z Alwashem. Oczekali, aż prawie wszyscy wyjdą, i podeszli do mnie. Wyprostowałem się i zacząłem zbierać siły do odparcia kolejnej religijnej perory.

Nowy miał na imię Malter.

- Tak mi przyszło do głowy... - zaczął. - Jesteś deklarantem?

Nie poruszyłem się, nie odezwałem. Próbowałem sobie przypomnieć, co kelx ma do powiedzenia na nasz temat.

- Pytam, bo w porcie ludzie mówili, że deklarant w

przebraniu zszedł niedawno lodowcem z gór - ciągnął Malter. - Po drodze miał takie przygody, jak opowiadałeś.

Byłem wzburzony, ale nie trwało to długo: z łatwością mogłem sobie wyobrazić rozgorączkowanego Lara bełkoczącego o tragicznych i niezwykłych przygodach, w których brał udział deklarant imieniem Vit. Najwidoczniej wzbudziłem czyjeś zainteresowanie.

- Zawsze chciałem poznać deklaranta - dodał Malter. - Czułbym się zaszczycony.

- Cóż... Właśnie poznałeś - odparłem.

Klarant: Inaczej: deklarant. Określenie pejoratywne używane extramuros i wiązane z sekularami, którzy hołdują ikonografii przedstawiającym deklarantów w wybitnie niekorzystnym świetle.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Mahsht był cztery razy większy niż miasto przy Sauncie Edharze - co oznaczało, że nie widziałem drugiego tak dużego miasta podczas całej mojej peregrynacji (przez całe życie także nie, nawiasem mówiąc). Ku wielkiemu rozczarowaniu bywalców naszego statku - podróżnych, którzy regularnie pływali po całej Arktyce - nie dostaliśmy zezwolenia na wejście do portu i zacumowanie przy nabrzeżu. Musieliśmy stanąć na redzie. Z mostka rozeszły się plotki, że w Mahshcie panuje zamieszanie wywołane przybyciem konwoju wojskowego i przepisy zmieniają się z godziny na godzinę.

Większość dnia spędziłem na pokładzie: podziwiałem miasto i napawałem się pobyt w miejscu, w którym pogoda nie próbuje mnie zabić. Mimo że Mahsht leżał dalej na północ niż Edhar (na pięćdziesiątym siódmym równoleżniku), miał łagodny klimat, który zawdzięczał ciepłemu prądowi oceanicznemu - nie znaczy to, że było ciepło, ale chłód był znośny i przewidywalny. Wystarczyło włożyć kurtkę i nie zmoknąć, żeby żyło się

przyjemnie - tylko z tym niemoknięciem bywały kłopoty.

Mahsht zbudowano nad fiordem, który w głębi rozwidłał się na trzy odnogi. Nad każdą z nich usadowił się inny sektor lokalnej gospodarki. Jedna należała do wojska i w tej chwili panował w niej spory ruch. Nad drugą kwitł handel. Pod koniec Epoki Praksis zbudowano nad nią kontenerowy port przeładunkowy; od tamtej pory niewiele się zmieniło. W normalnych warunkach nasz statek przybiłby do jednego z nabrzeży w tym właśnie rejonie. Trzecia odnoga, najstarsza, tysiące lat przed Rekonstrukcją została wzmocniona i obudowana nabrzeżami z cegły i kamienia. Działo się to w okresie, kiedy po oceanach pływały statki napędzane wiatrem. Wyglądało na to, że nadal jest zapotrzebowanie na takie usługi, ponieważ w fiordzie roilo się od małych jednostek żaglowych.

Stare miasto i port wybudowano na nadsypanych terenach zalewowych poszatkowanych siecią kanałów - wąskich i krętych w Starym Mahshcie, regularnych i przecinających się pod kątem prostym w sektorach wojskowym i handlowym. Jęzory łądu oddzielające odnogi fiordu były w większości zbyt strome, żeby dało się na nich coś zbudować. Skalne iglice i granie podtrzymywały głównie zabytkowe zamki, luksusowe kasyna i stacje radarowe. Za miastem teren wznosił się jeszcze ostrzej: do przymglonej szaro-zielonej ściany przywarły jakieś niezidentyfikowane konstrukcje, zawieszzone pod dziwacznymi kątami milę nad ziemią. Alwash wyjaśnił mi, że są to miejsca, z których za opłatą można zjechać w dół po ubitym śniegu. Chwilowo nie potrafiłem się ekscytować taką perspektywą.

Następnego dnia holownik przeciągnął nas do nabrzeża w Starym Mahshcie. Stare wygi zgodnie twierdziły, że nigdy wcześniej się to nie zdarzyło: statek zawsze cumował w „nowej” dzielnicy handlowej. Dlatego, mimo że pochłaniało mnie obserwowanie holownika i podziwianie przesuwających mi się przed oczami magazynów, ark i katedr starego miasta, musiałem zacząć myśleć o tym, jak odszukać Cord, Sammanna, Gnela i Yula; albo jak pomóc im odszukać mnie. Może powinienem po

prostu przejść się do portu handlowego i liczyć na to, że tam na mnie czekają? Z drugiej strony, jeśli wiedzieli o zamieszaniu z transportem, mogli mnie szukać od razu w Starym Mahshcie.

Gdy tylko postawiłem nogę na trapie, stwierdziłem, że nie powinienem się nigdzie ruszać. Ponieważ w strefie wojskowej bałagan był niedopuszczalny, a w strefie handlowej szkodliwy, cały miejski chaos został wtłoczony do starego miasta, które stało się królestwem niezrealizowanych planów i wszechobecnej improwizacji. Wszystkie porządne noclegi zagarnęli przybysze z południa zaangażowani w obsługę podążającego na północ konwoju wojskowego, toteż zwyczajni ludzie spali gdzie popadło: w mobach, apartach, na ulicy. Zamykano im przed nosem drzwi, a dla pewności wystawiano strażę, więc naturalną koleją rzeczy gromadzili się na wszelkich otwartych przestrzeniach: na nabrzeżach, niezabudowanych skrawkach równin zalewowych i niechcianych parcelach opróżnionych pod budowę nowych domów, które nigdy nie powstały. Zszedłszy po trapie, wylądowałem w takiej właśnie okolicy. Szurając nogami, schodziłem pomału z rampy załadunkowej, wypatrując moich przyjaciół; im dłużej ich szukałem, tym wolniej szedłem i tym niżej spychał mnie tłum, a ja coraz mniej widziałem, aż w końcu znalazłem się na samym dole, na nabrzeżu, gdzie nie widziałem już nic. Nie miałem żadnego planu, dałem się więc nieść nurtowi masy ludzkiej. Gdy tylko wyczułem jakąś strefę względnego bezruchu, dawałem w nią nura, zatrzymywałem się i rozglądałem. Z mojego dotychczasowego opisu można by wywnioskować, że w Mahshcie panowała jakaś przejmująca bieda, ale im dłużej przyglądałem się okolicy, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że w porcie jest mnóstwo pracy, ludzie się do niej garną, a to, co widzę (i czego stałem się częścią), jest w istocie obrazem względnej zamożności. Młodzi mężczyźni ustawiali się w kolejkach do ważnych jegomościów, którzy, jak się domyślałem, werbowali robotników. Inni sprzedawali towary i usługi tym, którzy już znaleźli pracę: gotowali jedzenie na obwoźnych straganach, sprzedawali poukrywane w kieszeniach płaszczy

tajemnicze towary albo zachowywali się w specyficzny sposób, mający zasygnalizować (co powoli uczyłem się dostrzegać), że byliby skłonni sprzedać swoje ciało. Stare, zdezelowane autokary publiczne przeciskały się przez ciżbę wolniej od piechura, zbierając lub wypływając pasażerów. Wyglądało na to, że jedynym sensownym środkiem transportu są rowery i skutery. Kaznodzieje z różnych ark wystawali na rogach i przez trzeszczące megafony wykrzykiwali swoje ewangelie i prorocтва. Wszędzie walały się śmieci i było pełno odchodów. Cieszyłem się, że nie jest ciepłej.

Łagodny klimat od dawna przyciągał imigrantów z całego świata. Przybywali pojedynczo lub falami, wpływali w głąb fiordów i wspinali się w góry, żeby tam żyć po swojemu. Z biegiem czasu wykształcali własny styl ubierania, a nawet zaczęli się różnić powierzchownością od innych mieszkańców okolicy. Kupiłem na straganie coś do jedzenia (z całą pewnością najlepszą rzecz, jaką jadłem po opuszczeniu Saunta Edhara), stanąłem w spokojnym miejscu i podziwiałem wielobarwny pochód. Długowłosi mieszkańcy gór, zawsze w pojedynkę. Liczna rodzina, poruszająca się w ciasnym szyku: mężczyźni w kapeluszach z szerokimi rondami, kobiety z zasłonami na twarzach. Mieszana, wielorasowa grupa ludzi obojga płci ogolonych na łyso i noszących czerwone T-shirty. Rasa - o ile to właściwe określenie - wysokich ludzi o orlich nosach i przedwcześnie posiwiiałych włosach, sprzedających świeże małże z polioplastowych skrzyń z wodorostami.

Godzinę po zejściu ze statku uświadomiłem sobie, że poszukiwania Cord, Sammanna i Crade'ów prawie na pewno zajmą mi więcej niż jeden dzień, zacząłem się więc zastanawiać, gdzie mógłbym spędzić najbliższą noc; dotarłem przecież w końcu na taką szerokość geograficzną, na której słońce o tej porze roku przynajmniej na kilka godzin znikalo za widnokrekiem. Wiedziałem, że na dalekiej północy nie ma żadnych koncentów, ale w takim starym mieście musiał chyba być chociaż jeden mały matem, może nawet pochodzący jeszcze ze Starej Epoki

Matemowej. Zastanawiałem się, czy powiniennem go poszukać i się do niego wprosić. Szedłem szeroką ulicą prowadzącą z portu do bazyjskiej katedry i przyglądałem się domom, wypatrując przykładów architektury matematycznej albo czegoś, co przypominałoby klauzurę.

Na widok szpilołapu przymocowanego do czarnej żelaznej latarni ulicznej pomyślałem o Sammannie, który umiał z takich urządzeń wyciągać informacje. Może źle się zabrałem do rzeczy; może Sammann szukał mnie przez szpilołapy, ale nie mógł mnie namierzyć, bo cały czas kręciłem się po okolicy. Znalazłem więc miejsce na widoku i postanowiłem trochę tu postać. Chwilę wcześniej napatoczyłem się na Alwasha i Maltera, którzy podali mi adres schroniska misyjnego, w którym w razie czego mógłbym się zatrzymać. Mając w zanadru taki plan awaryjny, uznałem, że warto trochę poczekać. Przystanąłem na placu przed katedrą, na wprost obiektu szpilołapu zainstalowanego na fasadzie miejskiego ratusza.

I właśnie tam padłem ofiarą rabusiów.

Tak przynajmniej pomyślałem w pierwszej chwili. Przyglądałem się akrobacie, który pięćdziesiąt stóp ode mnie popisywał się przed widzami, kiedy za plecami, z prawej strony, usłyszałem:

- Hej, Vit!

Odwrociłem się i zderzyłem z nadlatującą z tego kierunku pięścią.

Upadłem na ziemię. Ktoś podciągnął mi bluzę, odsłaniając brzuch. Przypomni mi się Lio, pobity podczas apertu przez sługów, którzy naciągnęli mu zawój na głowę, i dlatego zamiast chronić twarz, próbowałem obciągnąć bluzę z powrotem. Tym bardziej że ktoś szamotał się z moimi spodniami, próbując wyszarpnąć mi coś zza paska.

Tam trzymałem zawój, sznur i sferę: zrobiłem z nich zgrabną paczuszkę, którą dla bezpieczeństwa schowałem w spodniach i zasłoniłem wypuszczoną na wierzch bluzą.

Z poziomu gruntu niewiele widać, zwłaszcza kiedy

człowiek leży na boku, skulony w pozycji płodowej, i obserwuje świat kątem oka, ale miałem wrażenie, że dwóch mężczyzn wrywa sobie mój pakunek, jakby chcieli go rozszarpać. Sznur się rozplątał. Zawój, który zaplotłem w tak zwaną Ośmiokrotną Kopertę, otworzył się i ze środka wypadła pomniejszona napompowana sfera. Złapałem ją po drugim odbiciu od ziemi.

Czyjaś stopa przygwoździła mi dłoń.

- Chce jej użyć! - zawołał ktoś.

Inny mężczyzna przyklęknął nade mną okrakiem - i w tym momencie odezwał się we mnie odruch. Lio zawsze mi powtarzał, że jak już ktoś na mnie usiądzie, nie mam szans wstać, dlatego kiedy poczułem, że coś takiego się dzieje, przetoczyłem się na brzuch i podciągnąłem kolana do piersi. Zanim napastnik zdołał mnie dosiąść, mógł mi co najwyżej zgnieść tyłek zamiast brzucha, a ja mogłem jeszcze wykorzystać podkulone nogi. Czyjś buciór nadal przyciskał mi rękę, ale między nią i ziemią znajdowała się jeszcze moja sfera. Powiększałem ją stopniowo, i kiedy uzyskała rozmiar ludzkiej głowy, intruz musiał cofnąć nogę i oswobodzić mi dłoń. Przysunąłem rękę do piersi i wypchnąłem się z całej siły, z obu rąk i obu nóg jednocześnie. Siedzący na mnie napastnik chwycił mnie w pól. Złapałem go za mały palec, zacisnąłem na nim pięść i szarpnąłem w tył. Zawył i puścił. Zacząłem biec, nie oglądając się za siebie.

- Rzucił na mnie czar! - darł się ktoś. - Klarant rzucił na mnie czar!

Jakaś częśćka mnie (niezbyt mądra) chciała mu wytłumaczyć, że jest skończonym idiotą, ale inne części uparły się, żeby jak najszybciej oddalić się od tajemniczych napastników. Skąd znali moje przybrane imię? Obejrzałem się przez ramię: tam, gdzie przebiegłem, w tłumie ziała pustka, w którą właśnie wpadła grupa pościgowa. Nigdy wcześniej ich nie widziałem, ale mimo to wyglądali znajomo: należeli do tej samej grupy etnicznej co Laro i Dag. Brajj nazwał ich gheethami.

Nie mogli za mną nadażyć, ja jednak nie mogłem prześcignąć ich głosów:

- Łapać go! Łapać klaranta!

Niewiele im to pomogło, więc zmienili taktykę:

- To morderca! Łapać mordercę! Łapać go!

Ułatwili mi zadanie, bo nikt się nie kwapił do zastąpienia drogi postawnemu i rozpedzonemu *mordercy*. Moi prześladowcy poszli po rozum do głowy:

- Złodziej! Łapać złodzieja! Okradł staruszkę!

Tłum wokół mnie zgęstniał, pierwsi odważni zaczęli mi podstawiać nogi.

Kilka razy udało mi się nad nimi przeskoczyć, ale nie ulegało wątpliwości, że muszę przede wszystkim wymknąć się z zatłoczonego placu. Skręciłem w pierwszą odchodzącą od niego uliczkę, potem w pierwszą jej przecnicę. Była tak wąska, że mogłem dotknąć ścian domów po obu stronach, ale przynajmniej pozbyłem się poczucia, że dławi mnie ogromny wrogi tłum.

Usłyszałem warkot skuterów. Nie odpuścili mi. Miejscowe dzieciaki znały rozkład uliczek lepiej ode mnie i zamierzały odciąć mi drogę.

Próbowałem skręcać w mijane drzwi, ale wszystkie były zamknięte, aż za którymś razem popełniłem błąd i zrobiłem to samo na oczach uzbrojonego strażnika, pilnującego kantoru wymiany pieniędzy kilka domów dalej. Zdjął broń z ramienia i mruknął coś w kołnierz. Cofnąłem się, skręciłem w pierwszą przecnicę, która się napatoczyła, i pobiegłem nią sto jardów do miejsca, w którym przechodziła nad wąskim kanałem. Nie dotarłem do mostu, bo drogę zablokowało mi dwóch chłopaków na skuterach. Spojrzałem w bok i w dół i zobaczyłem muliste dno kanału: był odpływ. Bez namysłu skoczyłem, przeturlałem się po miękkim błocku i wstałem. Coś mnie zabolalo, ale raczej niczego sobie nie złamałem. Kanał z jednej strony prowadził łukiem na główny plac miasta, z drugiej zaś na otwartą przestrzeń nabrzeża. Zacząłem biec w tym kierunku. Gdyby udało mi się dotrzeć na plażę, mógłbym ukraść jakąś łódkę albo ubłagać kogoś, żeby wziął mnie na pokład. Zresztą nawet gdybym musiał płynąć wpław, czułbym się bezpieczniej niż w ścigającym mnie tłumie.

Niestety, w błocie nie mogłem biec zbyt szybko. W dodatku byłem wyczerpany i brakowało mi tchu. Mosty spinały brzegi kanału co kilkaset stóp; na najbliższym widziałem już gromadzących się gapiów, którzy z podnieceniem wytykali mnie palcami. Odwróciłem się: na moście za moimi plecami było ich znacznie więcej i wymachiwali butelkami i kamieniami. Musiałbym być samobójcą, żeby chcieć przebiec pod którymś z mostów. Ściany kanału piętrzyły się pionowo do góry, ale miały swoje lata i nie były idealnie gładkie. Spróbowałem wspiąć się na jedną z nich. Usłyszałem zbliżający się pomruk skuterów i coś wyrznęło mnie w głowę.

Ocknąłem się dobrą po chwilę po lądowaniu w sięgającej kolan wodzie na środku kanału. Wynurzyłem się, zaczerpnąłem rozpaczliwie powietrza - i w dziesięć sekund oberwałem dziesięcioma kamieniami i butelkami.

- Przestańcie! Uspokójcie się. Już nam nie ucieknie. - To mówił jakiś samozwańczy przywódca tłumu, krępy, kudłaty gheeth. - Świadek zaraz tu będzie.

Czekaliśmy zatem na „świadka”. Tłum trochę się posegregował. Większość stanowili przypadkowi ludzie, którzy przybiegli nad kanał z ciekawości albo w przekonaniu, że pomagają złapać złodzieja. Szybko ich jednak ubywało, a ich miejsce zajmowała nowa publika: gheethowie z piszczkami. Dlatego kiedy po minucie świadek przyjechał w napędzanej pedałami rikszy, gheethowie stanowili sto procent gapiów. Wiedzieli, że nie jestem złodziejem. Ciekaw byłem, co jeszcze o mnie wiedzą, ale podejrzewałem, że jest im to zupełnie obojętne.

Świadkiem był Laro, z nogą w wojskowym gipsie.

- To on! Nigdy nie zapomnę tej gęby! Użył klaranckiej magii, żeby się uratować, ale Daga zostawił!

Wytrzeszczyłem oczy, jakbym chciał zapytać *Żartujesz?!*, ale on dalej wykrzykiwał z takim przekonaniem, że zacząłem wątpić w swoje wspomnienia.

- Gliny! - ostrzegł ktoś.

Prawdę mówiąc, takie ostrzegawcze okrzyki słyszałem od

samego początku i nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o tym, żeby gliniarze wreszcie się pojawili - chociaż wątpiłem, czy mógłbym liczyć na lepsze traktowanie z ich strony.

- Załatwmy to szybko! - krzyknął inny gheeth.

Spojrzał na przywódcę, który podszedł do krawędzi kanału. Obok stanął olbrzymi facet, trzymający nad głową brukowiec i wpatrujący się we mnie natarczywie. Przywódca wskazał mnie wyciągniętą ręką.

- To klarant. Laro to potwierdził, a ci dwaj znaleźli dowody, które nosił ukryte pod ubraniem.

Dwaj młodzi gheethowie, którzy wcześniej mnie napadli, zostali wypchnięci na czoło tłumu z takim impetem, że sami omal nie wpadli do kanału. Na dany przez przywódcę znak podnieśli mój zawój, sznur i sferę wysoko, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. Gapie odpowiedzieli takimi oczami i achami, jakby ktoś im pokazał bombę atomową.

- Klarant złamał odwieczne prawo, zakazujące takim jak on mieszać się w nasze sprawy. Przyszedł nas szpiegować. Wszyscy wiemy, co zrobił biednemu Dagowi; możemy sobie wyobrazić, jaki los czekał Lara, który jednak walczył dzielnie i wyrwał się z jego klaranckich łap. Czy puścimy mu to płazem?

- Nie! - odpowiedziała tłuszcza.

- Czy możemy zdać się na gliny, że wymierzą sprawiedliwość?

- Nie!

- Ale sprawiedliwość musi zostać wymierzona?

- Tak!

Przywódca skinął na olbrzyma z brukowcem, a ten cisnął nim we mnie tak nieporadnie, że z łatwością uskokczyłem. Tylko że w ślad za jednym dużym kamulcem pofrunęło dwadzieścia mniejszych i szybszych. Zacząłem biec (zygzakiem, żeby stanowić trudniejszy cel), kiedy w odległości stu stóp dostrzegłem kamienne schody prowadzące z kanału na poziom ulicy. Gdybym do nich dopadł, mógłbym przynajmniej wyleźć na górę, zamiast tkwić w tej beznadziejnej sytuacji, w rowie, poniżej tłumu. Oberwałem

jeszcze paroma pociskami w plecy, ale biegnąc, osłaniałem tył głowy rękami, więc nie stała mi się poważniejsza krzywda.

Bez przeszkód wbiegłem po schodach, ale na górze już na mnie czekali: ledwie się wynurzyłem, ktoś mnie podciął i przewrócił na plecy. Ktoś inny na mnie upadł, może dlatego, że próbował mnie powalić, ale mu nie wyszło. Złapałem go za kłapy i przytrzymałem jako żywą tarczę. Ludzie przepychali się, żeby wymierzyć mi kopniaka, ale widząc jednego ze swoich, powstrzymywali mordercze zapędy. W końcu liczne ręce wyciągnęły się po niego, zwlokły go ze mnie i pomogły mu wstać, a ja zostałem z jego kurtką w garści. Próbowałem się podnieść, ale mi nie pozwolili. Skuliłem się i zakryłem głowę rękami.

Kilka sekund później usłyszałem wrzask.

Bez wątpienia był to wrzask ludzki, nie przypominał jednak niczego, co w życiu słyszałem. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, żeby w pełni opisać jego przeraźliwość, to stwierdzenie, że doskonale wyrażał moje wszystkie ówczesne odczucia. Byłem tak spanikowany i zagubiony, że przez chwilę pomyślałem nawet, że wrzask dobył się z mojego gardła. Na jego dźwięk wszyscy zamarli w bezruchu: przestali mnie atakować, przestali się przepychać... Rozstąpili się i rozglądali w poszukiwaniu źródła i znaczenia wrzasku.

Przetoczyłem się na plecy. Wokół mnie zrobiło się luźniej, a dokładniej: wokół mnie i łysego mężczyzny w czerwonej koszulce.

Podszedł do mnie i wyciągnął z kieszeni coś, co natychmiast się powiększyło: sfera! Błyskawicznie nadał jej średnicę pięciu stóp i narzucił ją na mnie. Była miękka, więc splaszczyla się wokół mnie, osłaniając przed dalszymi ciosami; tylko głowa i stopy wystawały mi poza jej obręb. Wszystko było dobrze, dopóki stał przy mnie i ją trzymał, bo pierwszy mocniejszy podmuch wiatru mógł ją przemieścić. Mój wybawca zadbał jednak i o to: wskoczył na sferę i tam znieruchomiał. Byłaby to pozycja dość ryzykowna nawet gdyby stanął normalnie, na obu nogach, on jednak przykucnął na jednej, a drugą tylko podkuilił. Kiedy byłem

młodszy, bawiliśmy się czasem w ten sposób, że stawaliśmy na sferach i próbowaliśmy na nich balansować; niektórzy dorośli ćwiczyli w ten sposób refleks i zmysł równowagi.

Nieznajomy wybrał sobie dziwne miejsce i czas na takie ćwiczenia.

Jego zachowanie miało jeszcze jeden zbawienny efekt uboczny: zaskoczyło napastników nie mniej od wrzasku. Nie trzeba jednak było długo czekać, żeby jeden z młodszych gheethów wypatrzył moją głowę (cel oczywisty i kuszący), podszedł i zamierzył się do kopniaka. Zamknąłem oczy w oczekiwaniu na cios i usłyszałem przenikliwy bezdźwięczny odgłos. Kiedy rozwarłem powieki, mój niedoszły dręczyciel padał właśnie na wznak, a ja poczułem na twarzy deszcz ciepłych kropelek: bryźnięcie krwi. Jakieś drobne kamyki zagrzechotały o bruk. Zamrugałem, bo krew ściekała mi do oczu, i dopiero wtedy zorientowałem się, że to nie kamyki, tylko zęby.

Na obrzeżach tłumu rozległ się kolejny wrzask, ale zupełnie inny od poprzedniego. Wydał go człowiek doświadczający niewiarygodnego bólu - i to niewiarygodnego w sensie dosłownym, bo krzyk wyrażał przede wszystkim zdumienie w stylu *Nie miałem pojęcia, że coś może boleć tak, jak mnie teraz boli!* Krzyk zwrócił uwagę wszystkich gheethów - poza jednym, który parł w moją stronę z dziwnym, zastygłym uśmiechem na twarzy. Wyjął i otworzył nóż sprężynowy. Tym razem niczego nie przegapiłem. Człowiek przykucnięty na czubku sfery zamarkował kopnięcie. Nożownik dźgnął w miejsce, w którym - jego zdaniem - powinna się znaleźć noga tamtego. Zanim jednak zdążył się zorientować, jak bardzo się pomylił, mój obrońca złapał go za rękę z nożem i wykręcił ją w zupełnie niewłaściwą stronę, przy czym, zamiast po prostu przekręcić mu nadgarstek, zeskoczył ze sfery i wykonał wokół niego salto. Rozległa się seria głuchych trzasków, gdy popękały wszystkie kości i stawy w ręce napastnika. Sfera stoczyła się ze mnie. Nóż upadł na ziemię. Sięgnąłem po niego, ale nie byłem dostatecznie szybki: mój obrońca posłał go kopniakiem na dno kanału.

Zostałem pozbawiony osłony, co jednak nie miało większego znaczenia, ponieważ cały tłum zgodnie przemieścił się w kierunku, z którego dochodził tamten makabryczny, wyrażający najwyższe zdumienie krzyk. Dźwignąłem się na kolana.

Źródłem wrzasku był dorosły gheeth płci męskiej, trzymany w jakimś skomplikowanym chwycie zapaśniczym przez łysą kobietę w czerwonym T-shircie. Podobny do niej mężczyzna, na oko osiemnastoletni, stał za jej plecami i metodycznie powalał na ziemię wszystkich, którzy próbowali się do niej zbliżyć. W chwili, kiedy zobaczyłem całą scenę, tłum zabrał się już do obrzucania ich kamieniami. Mój opiekun porzucił mnie, dołączył do tamtych dwojga i pomógł im oganiać się od pocisków. Zaczęli się wycofywać. Większość napastników ruszyła za nim, ale tłum pomału się rozpraszał. Rzucanie kamieniami w samotnego deklaranta zapowiadało się na fajną rozrywkę, ale z tym, co się teraz działo, woleli nie mieć nic wspólnego.

Obejrzałem się, licząc na to, że uda mi się dyskretnie wymknąć, i spojrzałem prosto w oczy przywódcy gheethów. W ręce trzymał pistolet. Celował we mnie.

- Nie - powiedział. - Nie zapomnieliśmy o tobie. Ruszaj się!

Skinął pistoletem w tym samym kierunku, w którym odpływał tłum, spychając trójkę w czerwonych koszulkach w stronę morza, gdzie nad kanałem, w miejscu przecięcia dwóch ulic, znajdował się mały placyk.

- Odwróć się i idź - polecił mi gheeth.

Odwróciłem się i poszedłem. Większość ludzi zdążyła nas wyprzedzić i znalazłem się na tyłach mniej więcej stuosobowego tłumu, który najpierw truchtem, a potem już biegiem gonił zbiegów. Czerwone koszulki wywlokły tymczasem zakładnika na placyk, uchodząc przed watahą rzucających kamieniami i wymachujących nożami agresorów.

Ja i człowiek z pistoletem również weszliśmy na skrzyżowanie. Po lewej ręce miałem kanał, po prawej rozpościerał się placyk - i stamtąd właśnie dobiegały okrzyki wojenne, czyli

takie same nieziemskie wrzaski, jak ten wydany przez mojego wcześniejszego wybawiciela w czerwonym T-shircie. Z tą różnicą, że teraz usłyszałem ich dziesięć jednocześnie. Ten pierwszy, jak już wspomniałem, wszystkich sparaliżował, ale od tamtej pory nauczyliśmy się go kojarzyć z wybijającymi zęby i łamiącymi kości mistrzami dronu. Po naszej prawej ręce zmaterializował się nagle szereg wojowników w czerwonych koszulkach: czekali, aż zajmimy przewidziane pozycje na placyku. Wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku, wszystkie ciała - w kierunku wprost przeciwnym. Każdy z nich zdążył obić do krwi i powalić jednego lub dwóch gheethów, zanim ci zorientowali się w sytuacji. Szereg gładko wchłonął przybyłą z nami trójkę, która wreszcie uwolniła zakładnika. Tłuszcza - pojawiwszy, że z prawej flanki zachodzi ją nieprzyjaciel, z lewej ciągnie się kanał, a cały plac sprawia wrażenie wrogiego terytorium - zawróciła, licząc na to, że uda jej się wycofać tą samą drogą, którą przybyła. Z tyłu jednak dał się słyszeć kolejny chóralny okrzyk wojenny i kilkunastu ludzi w czerwonych T-shirtach wyskoczyło z kanału. Siedzieli tam przyczajeni, uczepieni chropowatej ściany jak pająki, a my, niczego nieświadomi, po prostu ich minęliśmy. Teraz odcięli tłumowi drogę ucieczki i gheethom pozostały tylko dwa wyjścia: mogli albo próbować się przecisnąć obok pierwszego kontyngentu na placyk, albo od razu skakać do kanału. Kiedy pierwszym udało się czmychnąć przez kanał, nagle wszyscy postanowili pójść w ich ślady. Wybuchła panika. Nikt nie przeszkadzał gheethom w ucieczce i po paru chwilach znakomita ich większość się ulotniła. Ludzie w czerwonych koszulkach połączyli się i utworzyli krąg o średnicy około dwudziestu stóp. Stali zwrócenii twarzami na zewnątrz i nie przestawali się rozglądać. W środku kręgu znalazły się trzy osoby: wymachujący bronią wódz gheethów, ja oraz człowiek w czerwonym, który cały czas ustawiał się w taki sposób, żeby znaleźć się między mną i pistoletem.

- Muszkiet! - zawołała jedna z kobiet w kręgu.

Było to niedorzecznie archaiczne orthyjskie słowo oznaczające długolufową broń palną. Dwaj jej sąsiedzi odwrócili

się do niej plecami i spojrzeli w przeciwnych kierunkach, ale cała reszta zachowała się bardziej naturalnie i podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Na skraju placu stał zaparkowany drumon. Uzbrojony w długą broń gheeth wspiał się na niego i celował w naszą stronę. Kobieta, która przed nim ostrzegła, ruszyła w jego kierunku, zrobiła gwiazdę, wybiła się z obu nóg i przysiadła na pokrywie kontenera na śmieci. Skoczyła w bok, przetoczyła się i wylądowała przy małej fontannie. Zapała się o nią stopą i mocno odepchnęła, zmieniając w ten sposób gwałtownie kierunek ruchu. Rozpęd poniósł ją pod nieduże kostropate drzewo. Zaczepiwszy o nie ręką, zakręciła, prześliznęła się po ławce, zniknęła w grupce przechodniów, wynurzyła się z niej po drugiej stronie i pomknęła biegiem w stronę człowieka z bronią - ale znowu zrobiła zwód i uskoczyła za kiosk. Poruszając się w ten sposób, błyskawicznie skracała dystans dzielący ją od źródła zagrożenia - strzelca na drumonie, który miał sporo kłopotu z wzięciem jej na cel. Na jego miejscu i tak bym nie strzelił, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie: jej akrobacje były wprost fascynujące.

Padł strzał - ale nie strzelił ani człowiek z drumonu, ani zamknięty ze mną w ludzkim kręgu przywódca gheethów. Strzelano skądinąd, trudno jednak było ustalić skąd dokładnie, ponieważ huk odbijał się echem od fasad domów i niósł po całym placu. Nogi się pode mną ugięły.

Pięć stóp ode mnie przywódcę gheethów spotkała przykrość: mężczyzna w T-shircie wykorzystał moment jego nieuwagi, przewrócił go i rozbroił.

Gimnastyczka systematycznie zbliżała się do mężczyzny na drumonie, który rozglądał się w panice, poszukując strzelca.

Rozległ się drugi strzał. Broń wypadła z rąk niedoszedłego snajpera i zaklekotała o bruk, a on złapał się za dłoń i zakwiczał z bólu. Kobieta darowała sobie dalsze popisy gimnastyczne, podbiegła do pojazdu i podniosła broń.

- Muszkiet! - zawołał jeden z jej towarzyszy, wskazując na drugą stronę kanału.

Znowu dwóch jego najbliższych sąsiadów zwróciło się w

przeciwnych kierunkach, a reszta - w tym i ja - potrzebowała dłuższej chwili, żeby wypatrzeć nowe zagrożenie.

Na drugim brzegu kanału stał wózek z jedzeniem, który właściciel całkiem rozsądnie zostawił na pastwę losu. Za nim zaparkował trójkołowiec, wykorzystując wózek, tabliczki z reklamami i powiewające na wietrze proporczyki w charakterze osłony. Jeden człowiek prowadził trójkołowiec: Ganelial Crade. Drugi stał na platformie pasażerskiej: Yulassetar Crade. Yul, uzbrojony w karabin, zawołał do strzelca z drumonu:

- Pierwszy strzał cię sparaliżował. Drugi strzał cię unieszkodliwił. Jeżeli będę musiał strzelić trzeci raz, ty już się o tym nie dowiesz. Pokaż ręce. Pokaż ręce, mówię!

Gheeth podniósł ręce. Jedną dłoń miał zakrwawioną i zdeformowaną.

- Zmiataj! - ryknął Yul i przerzucił karabin przez plecy.

Gheeth spadł z drumonu, przeturlał się po ziemi i wstał w pełnym biegu.

- Ras? Musimy jechać! - zawołał Yul. - Panie i panów w czerwonym, kimkolwiek jesteście, również zapraszam. Pewnie chcecie tak jak my szybko wydostać się z miasta.

Przy placyku znajdował się most. Gnel przejechał po nim na naszą stronę. Ludzie w czerwonych koszulkach rozstąpili się przed nim, a on podjechał, spoglądając na nich nerwowo, i zahamował obok mnie. Nie bardzo mogłem się ruszać. Yul schylił się, złapał mnie z tyłu za pasek i wrzucił na trójkołowiec jak nieprzytomnego turystę, którego woda zmyła z tratwy. Zrobiło się ciasno, bo pojazd był nieduży. Gnel ostrożnie zakręcił i wjechał w odchodzącą od placyku ulicę. Na głowie miał słuchawki podłączone do piszczałki. Domyślałem się, że Sammamn mówi mu, jak jechać.

Ludzie w czerwonych koszulkach truchtali za trójkołowcem i z obu jego boków. Najwyraźniej Yul trafił im do przekonania, doradzając opuszczenie miasta. Kiedy zorientowali się, dokąd zmierzamy, przyspieszyli kroku i Gnel musiał dodać gazu, żeby nie wyprzedzili trójkołowca. W kilka minut

przejechaliśmy milę i znaleźliśmy się w dzielnicy linii kolejowych i magazynów, luźniej zabudowanej niż centrum Starego Mahshtu. Pełnowymiarowe pojazdy mogły się swobodnie mijać na tutejszych ulicach, ale kiedy dwa z nich nagle wyskoczyły znikąd, omal nas nie staranowały. Były to aporty Yula i Gnela, prowadzone - odpowiednio - przez Cord i Sammanna.

Jak później stwierdziliśmy, ekipa w czerwonych T-shirtach liczyła dwadzieścia pięć osób. Jakimś cudem udało nam się zmieścić wszystkich w dwóch aportach i trójkołowcu; nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ludzie tak się upchnęli: jechali nawet na dachu aportu Yula, szczepieni łokciami, żeby nie spaść.

Cord przyjęła to wszystko całkiem spokojnie, biorąc pod uwagę, że do ostatniej chwili nie mogła wiedzieć, że przyjdzie jej przewozić półtora tuzina mistrzów dronu w czerwonych T-shirtach. Jednak kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, zerknęła na mnie z lękiem w oczach.

- Nie bój się - uspokoiłem ją. - To deklaranci. Pewnie też zostali powołani. Nie wiem, z jakiego są matemu, ale z pewnością specjalizują się w dronie... Może to jakiś odłam z Doliny Dzwoneczków...

Za moimi plecami rozbawiony mężczyzna w czerwonej koszulce przełożył moje słowa na orthyjski. Odpowiedziały mu chichoty.

Poczułem się zakłopotany. Bardzo zakłopotany. Błoto znów zlepiło mi włosy.

Oczywiście, że byli z Doliny Dzwoneczków.

Chciałem się do nich odwrócić, ale coś utrudniało mi ruchy. Sięgnąłem ręką i namacałem trzy dłonie, należące do Dzwoneczników siedzących obok mnie lub za moimi plecami i przyciskające nasiąknięte krwią zwitki materiału do mojej twarzy i głowy. Moje rany. Nie zdawałem sobie z nich sprawy. To nie

wciśnięci do aportu obcy tak przerazili Cord. To moja twarz.

Podczas ostatnich wydarzeń cały czas targały mną niewłaściwe emocje. Na początku, kiedy zaatakowało mnie dwóch gheethów, przeraziłem się - i to było w porządku. Uciekłem. Potem wmówiłem sobie, że dam radę. Że ucieknę w labiryncie ulic i kanałów. Że jakoś się wybronię, przemówię Larowi do rozsądku. Przecież tak naprawdę wcale nie chcą mnie zabić, to niemożliwe. Zaraz przybiegną gliny. Kiedy oszołomiony zacząłem się godzić z losem, zjawili się fraa i suur z Doliny Dzwoneczków. Wszystko, co wydarzyło się później, było fascynujące i niesamowite; przeżyłem ten okres w uniesieniu, jakby na jakimś chemicznym haju - w ten sposób moje ciało zareagowało na rany i stres. Jeszcze przed minutą cały zalany krwią wyściskałem Cord, jakby nic się nie stało.

Jednakże po paru minutach jazdy całkiem się rozkleiłem. Wszystkie obrażenia jednocześnie zaczęły się skarżyć mózgowi bólem, jak żołnierze wywoływani na apelu. Dopływ tych sympatycznych substancji, jakie moje gruczoły pompowały mi do krwi, nagle został odcięty. Jakby otworzyła mi się pod nogami zapadnia. Zmieniłem się w rozdygotany, popłakujący kłębek nerwów, skulony i pojękujący z bólu.

Kierowani przez Sammanna, po dwudziestu minutach dotarliśmy na duży plac na lewym brzegu szerokiej rzeki spływającej z gór do fiordu, nad którym rozłożył się Stary Mahsht. W przeszłości była tu pewnie piaszczysta łąka, ale dawno została wybetonowana i posłużyła za fundament licznych kompleksów przemysłowych, które jeden po drugim popadły w ruinę. Na jednym końcu znajdowała się przystań dla łódek rekreacyjnych i plac piknikowy z cuchnącymi latrynami. Kiedy tam zajechaliśmy, przepłoszyliśmy jakichś urlopowiczów. Zostałem wyniesiony z aportu i ułożony na stole piknikowym wyłożonym materacami turystycznymi, żeby było mi miękko, i brezentową płachtą, żeby zabezpieczyć materace przed wszystkim, co by ze mnie wyciekało. Yul wyciągnął apteczkę, złożoną, podobnie jak większość jego ekwipunku, z elementów kupionych i znalezionych przy różnych

okazjach. Dużą, grubą, nieprzemakalną torbę z polioplastu wysypał najpierw od środka białym proszkiem z polioplastowej rury - solą zmieszaną ze środkiem bakteriobójczym. Następnie nalał do niej dwa galony wody z kranu i trochę nią popotrzasał, żeby uzyskać sterylny roztwór soli fizjologicznej. Ścisnąwszy torbę pod pachą, uzyskał całkiem mocny strumień, którym przepłukał mi skaleczenia. Z poważniejszych ran zdierał gazę i płukał je tak długo, aż zacząłem krzyczeć - a potem polewał je jeszcze przez pół minuty. Następny był Gnel, który majstrował przy nich czymś śmierdzącym; kiedy zajął się moim pękniętym łukiem brwiowym, zorientowałem się, że to klej tak śmierdzi, zwykły klej z tubki, taki sam, jakiego użyłbym do przyklejenia odłamanego uszka od filizanki. Rany zbyt rozległe, żeby dało się je zalepić klejem, sklejał taśmą samoprzylepną z włókna szklanego. Jedna z suur z Doliny Dzwoneczków nakłuła mnie igłą do szycia nawleczoną na żyłkę wędkarską z przybornika Gnela. Kiedy już rana została potraktowana klejem, taśmą albo żyłką, ktoś w czerwonym T-shircie smarował ją wazeliną i przykrywał czymś białym. Inny Dzwonecznik, z pewnością masażysta, nie pytając o pozwolenie, obmacał mnie całego, szukając połamanych kości i krwotoków wewnętrznych; jeśli nawet śledzionę miałem całą, nim zaczął mnie badać, z pewnością rozpekła się, zanim przeszedł do wątroby. Werdykt brzmiał: poobijany, trzy pęknięte żebra, spiralne złamanie kości ręki, dwie złamane kostki dłoni. Miałem się też nie dziwić, jeżeli przez jakiś czas będę sikał krwią.

Minęło wystarczająco dużo czasu, żebym zdążył się najeść wstydu, że tak się rozkleiłem podczas jazdy, dlatego teraz ze wszystkich sił starałem się nie krzyczeć więcej niż to absolutnie konieczne. Z niewiadomych powodów myślałem głównie o Lio, który już przed kolektą obdarzał na wpół boską czią wszystko, co związane z Doliną Dzwoneczków. W Sauncie Edharze wytropił wszystkie książki napisane w Dolinie; wszystkie napisane przez ludzi, którzy twierdzili, że ją odwiedzili; a także wszystkie te, których autorzy zostali pobici przez Dzwoneczników. Umarłby ze wstydu, gdyby się dowiedział, że w ich obecności nie okazałem

absolutnej niewrażliwości na ból.

Tuż poza zasięgiem mojego słuchu toczyły się tymczasem rozmowy, w których koniecznie chciałem uczestniczyć. Kiedy posklejali mi głowę, mogłem się wreszcie rozejrzeć i zobaczyłem Sammanna rozmawiającego z jakimś starszym fraa z Doliny oraz suur pocieszającą Cord, która wybuchała płaczem za każdym razem, gdy spjrzała w moją stronę.

Jakiś czas później stwierdzono, że jednak wyżyję i w związku z tym warto ze mną porozmawiać. Fraa Ossa, Pierwszy Wśród Równych w grupie Dzwoneczników, podszedł do mnie. Nie licząc szwaczki, która mozoliła się, łątając poszarpaną ranę na mojej łydce, pozostali moi naprawiacze pozabierali swoje szpargały i się ulotnili. Yul przytulił Cord i prawie zaniósł ją na brzeg rzeki, gdzie mogła się do woli wypłakać.

- Wczoraj zostaliśmy powołani - zagaił fraa Ossa. To jego pierwszego zobaczyłem podczas niedawnego zamieszania: przykrył mnie sferą i stanął na niej na jednej nodze. Wyglądał na cztery dekady z hakiem. - Kazano nam udać się do Tredegarha. Spojrzeliśmy na globus i uznaliśmy, że najrozsądniej będzie się tam dostać przez Mahsht.

Dolina Dzwoneczków leżała około stu mil od Mahshtu. Okrężną drogą, przez ocean, rzeczywiście można było dotrzeć stamtąd do Tredegarha.

- Miejscowi dowieźli nas do Mahshtu. Co tam zastaliśmy, wiesz. Ci z nas, którzy znają fluksyjki, próbowali załatwić wszystkim przejazd na statku. Zaczepił nas twój magister.

- Mój magister?! - powtórzyłem.

Dostrzegłem jednak na twarzy Ossy cień uśmiechu. Żartował.

Ale nie do końca.

- Znamy Sarka - ciągnął. - Bywa u nas na apertach, przedstawia nam swoje idee. - Wzruszył ramionami i poruszył dłońmi w taki sposób, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że starają się uczciwie ważyć słowa Sarka. - Podszedł do nas na ulicy i powiedział, że dziki tłum ściga jakiegoś samotnego deklaranta.

Uznaliśmy, że nadeszła chwila ujawnienia.

W pierwszej chwili pomyślałem, że próbuje przejść na fluksyjki i pomyliły mu się słowa - dopóki nie przypomniałem sobie podstaw dronu, które Lio latami wkładał mi do głowy.

Podczas Rekonstrukcji, dokładnie w roku zerowym, kiedy wytyczano i obmierzano miejsca pod nowe matemy, żeby położyć kamienie węgielne pod tummy i zegary, zespół świeżo zaprzysiężonych deklarantów zapuścił się na bezludną pustynię, by tam podjąć takie właśnie prace. Przy okazji napatoczyli się na nielegalną plantację fikochwastu i trafili do szopy, w której produkowano skoncentrowany wyciąg z tej rośliny, będący zakazanym przez prawo narkotykiem. Tubylcy otoczyli ich i obiegli w szopie. Deklaranci byli nieuzbrojeni, w dodatku pozbierano ich z całego świata i niewiele ich łączyło; większość nawet nie mówiła po orthyjsku. Tak się jednak złożyło, że było wśród nich kilkunastu adeptów starożytnej szkoły sztuk walki, która wtedy miała tylko tyle wspólnego ze światem matemowym, że powstała w zamkniętym środowisku klasztornym. Do tej pory wykorzystywali swoje umiejętności tylko w sali gimnastycznej, teraz jednak znaleźli się w sytuacji, w której musieli jakoś zareagować. Część deklarantów zginęła. Jedni mistrzowie sztuk walki spisali się wyśmienicie, inni stali sparaliżowani i okazali się równie nieprzydatni jak ci, którzy nic nie potrafili. Od tej pory sytuacje tego rodzaju nazywa się ujawnieniem. Ci, którzy przeżyli, założyli matem w Dolinie Dzwoneczków. Lio twierdził, że równie dużo czasu jak na ćwiczenia fizyczne przeznaczają na rozważanie istoty ujawnienia; wychodzili z założenia, że wszelkie umiejętności są bezużyteczne, a nawet gorzej niż bezużyteczne, jeśli człowiek nie wie, kiedy powinien je wykorzystać. A wybór właściwej chwili wcale nie jest taki łatwy: jeżeli zwleka się zbyt długo, w którymś momencie robi się za późno na reakcję; jeśli zaczyna się działać zbyt szybko, można pogorszyć sytuację.

- Dominującą cechą wroga była bezmyślna agresja - dodał fraa Ossa.

Wyciągnął rękę i zacisnął pięść, jakby łapał nadgarstek

wymierzonej w siebie dłoni napastnika. Był to gest wielce wymowny - i musiałem się nim zadowolić, bo fraa Ossa najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w dłuższe rozważania zastosowanej strategii.

- I doszliście do wniosku, że skoro są tacy agresywni, to warto im dać jakiś pretekst do tej agresji - powiedziałem, próbując pociągnąć go za język. Fraa Ossa uśmiechnął się i skinął głową. - Dlatego złapaliście tamtego gościa i zaczęliście go...

Zawiesiłem głos, zamiast powiedzieć prawdę: oni go torturowali! Nie chciałem krytykować ludzi, którzy ryzykowali życie, żeby mnie uratować. Fraa Ossa nadal się uśmiechał i kiwał głową.

- Ta technika polega na uciśnięciu odpowiednich nerwów - wyjaśnił. - Wydaje się bolesna, ale jest zupełnie nieszkodliwa.

To rodziło mnóstwo interesujących pytań. Czy jest różnica między czymś, co tylko wydaje się bolesne, i czymś, co boli naprawdę? I czy wolno torturować człowieka, pod warunkiem, że nie zadaje mu się trwałych obrażeń? Z wielu powodów nie należało jednak teraz się tym interesować.

- Z całą pewnością okazała się skuteczna - przyznałem. - Tłum zwrócił się przeciw wam, wy udaliście, że uciekacie, i wciągnęliście ich w pułapkę... a potem sprowokowaliście wybuch paniki.

Uśmiechy, kiwanie głową. Fraa Ossa nie miał po prostu nastroju na szczegółowe rozważanie tych kwestii.

- Ile mieliście czasu na obmyślenie tego planu? - zapytałem.

- Za mało.

- Słucham?

- Podczas ujawnienia nie ma czasu ani na układanie planów, ani tym bardziej na ich konsultowanie. Powiedziałem swoim ludziom, że powtórzymy manewr kawalerii lorda Frode'a, która na Równinie Trzcinowej wciągnęła w zasadzkę szwadron księcia Terazyna. Z tą tylko różnicą, że skraj kanału zastąpi Wysokie Szuwały, a placyk stanie się Krwawym Uskokiem. Jak

widzisz, wypowiedzenie tych słów nie trwa długo.

Pokiwałem głową, tak jakbym wiedział, o czym mówi. Ale nie wiedziałem. Nie miałem nawet pojęcia, którą wojnę ma na myśli i z którego tysiąclecia.

- Skąd macie te czerwone koszulki? - zapytałem, chociaż zaczynałem się domyślać.

Fraa Ossa uśmiechnął się smutno.

- Dostaliśmy je podczas voco. To dar od miejscowej arki. Nie mogę się doczekać, kiedy dotrzemy do Tredegarha i będę mógł przebrać się w zawój i sznur...

- O właśnie, skoro o tym mowa...

Pokręcił głową.

- Twój zawój, sznur i sfera przepadły. Może nawet mogliśmy je odzyskać, ale wycofaliśmy się w pośpiechu.

- Ależ naturalnie! Nic się nie stało.

Bo w pewnym sensie rzeczywiście nic się nie stało. Zdarzało się, że fraa i suur gubili swoje rzeczy (wtedy koncent po prostu wydawał im nowe), ale ta strata bardzo mnie zabolala. Miałem je od ponad dziesięciu lat, wiązało się z nimi wiele wspomnień i stanowiły mój ostatni fizyczny łącznik ze światem matematycznym. Odkąd je straciłem, niczym już nie różniłem się od przeciętnego sekulara.

Co wcale nie było takie złe: nikt już nie mógł mi ich zabrać, wymachiwać nimi nad głową i namawiać tłumu do zlinczowania mnie. Ale poczułem się osamotniony.

Sammann zagadał coś do Yula, który zerwał się na równe nogi, przyniósł karabin, złapał go za lufę i wziął potężny zamach. Z krótkiego rozbiegu cisnął broń do rzeki: koziołkując, karabin wpadł do wody w połowie szerokości nurtu i przepadł bez śladu. Minutę później na plac piknikowy zajechały dwa wyjące i błyskające światłami moby, z których wysypał się tłum policjantów. Poza fraa Ossą i suur zajęta zszywaniem mnie do kupy, wszyscy Dzwonecznicy siedzieli spokojnie na ziemi, na podkulonych nogach. Konstable głównie się na nich gapili. Zastanawiałem się, ile powstało szpilów przedstawiających

fikcyjne wyczyny Dzwoneczników. Z pewnością tysiące. Gliniarze nie potrafili w nich dostrzec podejrzanych, traktowali ich raczej jak atrakcję turystyczną, jak zwierzęta w ZOO albo gwiazdy filmowe. A Dzwonecznicy doskonale o tym wiedzieli i umieli to wykorzystać. Udawali pogrążonych w medytacji. Gliniarze dali się nabrać. To była praktyczna demonstracja tego, jak wiele znaczy odpowiednia postawa.

Główny gliniarz odbył długą i (z początku) nerwową rozmowę z Yulem i fraa Ossą. Suur z igłą metodycznie przewlekała mi żyłkę przez ciało, na co zgrzytałem zębami z taką siłą, że słyszałem, jak trzeszcza. Wreszcie skończyła, odcięła żyłkę i odeszła bez słowa; nawet na mnie nie spojrzała. Doznałem iluminacji. Ja mogłem myśleć o nich życzliwie, ponieważ mnie uratowali, a także dlatego, że przed kolektą widziałem mnóstwo szpilów z ich udziałem. Prawda jednak była okrutna: nie dlatego zostali powołani, że byli sympatyczni.

Cord stanęła nade mną z rękami w kieszeniach, podziwiając moje bandaż.

- Pomyśl o tym, że w gruncie rzeczy pokrywają całkiem niewielki procent mojej skóry - powiedziałem.

Nie było jej do śmiechu.

- Nasz plan coś nieszczerze wypalił, co? - spytałem.

Odwróciła wzrok i pociągnęła nosem: ostatni objaw emocjonalnego roztrzęsienia po tym długim dniu.

- To nie twoja wina - odparła. - Nie mogliśmy tego przewidzieć.

- Przykro mi, że cię w to wciągnąłem. Nie rozumiem, jak to się stało, że wszystko się tak poknociło.

Spojrzała na mnie bystro, ale zobaczyła chyba tylko moją głupią minę i nic ponadto.

- Nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje, prawda?

- Chyba nie. Wiem tylko, że wojsko ciągnie na bieżącą. - Coś mi się przypomniało. - Pamiętam, że ten magister ze statku mówił coś Niebiańskim Strażnikowi, który został odepchnięty w gniewie. Dziwnie to brzmiało.

Stary, rozklekotany autokar zjechał z drogi i zatrzymał się nieopodal. Prowadził go magister Sark. Był to jeden z tych niesamowitych zbiegów okoliczności, po których ludzie zaczynają wierzyć w duchy i zjawiska nadprzyrodzone. Wytłumaczyłem sobie, że widocznie już wcześniej kątem oka dostrzegłem pojazd i moja podświadomość zareagowała na obecność Sarka, zanim zdałem sobie sprawę z jego obecności.

- Ras? Wszystko w porządku? - spytała Cord.

- Tak... Posłuchaj, co z Jesrym? Nic mu się nie stało?

- Chyba nie. Wszystko ci opowiemy.

Spojrzelśmy na Yula, któremu tymczasem udało się rozśmieszyć kapitana policji. Doszli do porozumienia. Oficjalna część rozmowy dobiegła końca.

Kapitan podszedł do mnie, wyraził mi swoje współczucie, powiedział, że muszę być twardzielem, skoro tak dobrze zniosłem bijatykę, i zapytał, czy chcę wnieść skargę. Skłamałem mu w żywe oczy: odparłem, że nie - i najwidoczniej w ten sposób dopełniłem warunków umowy, jaką zawarł z Yulem. Jej szczegółów nigdy nie poznałem, ale sprowadzała się do tego, że my będziemy wolni, prowodyrzy gheethów również (zostali wystarczająco upokorzeni i poobijani), a policjanci unikną gigantycznej papierkowej roboty, która byłaby dziesięć razy gorsza od tej, z jaką zmagali się na co dzień - wszystko przez to, że w sprawę byli zamieszani deklaranci, a więc osoby o niejasnym statusie prawnym.

Magister Sark nie zasypał tymczasem gruszek w popiele. Autokar - własność kelksu w Mahshcie - był cały pokryty ilustracjami zaczerpniętymi z ikonografii Trójkąta i dostatecznie duży, żeby pomieścić wszystkich Dzwoneczników. Ktoś z kelksu zaofiarował się, że dowiezie ich do leżącego na południu innego miasta, większego i spokojniejszego niż Mahsht, gdzie powinni bez przeszkód znaleźć transport dalej, do Tredegarha. Sark dodał, że kierowca jest już w drodze, ale wskutek panującego w mieście zamieszania będziemy musieli na niego poczekać.

Wyjaśniając nam to wszystko, co rusz zerkał w moją stronę, co z niewiadomych powodów ogromnie mnie drażniło. Nie

chciałem żyć z poczuciem, że coś mu zawdzięczam; nie podobała mi się perspektywa wysłuchiwanie kolejnej reklamy jego religii - ale wyglądało na to, że bardziej go interesuje mój stan zdrowia niż rozmowa ze mną, i gdy tylko przestał ku mnie spoglądać, natychmiast ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że zareagowałem w taki sposób. Czy naprawdę wizja kelksu, w której Potępieniec opowiadał nasze historie Sędziemu, aż tak bardzo różniła się od jednoczącej Dzwoneczników idei ujawnienia? Jedna i druga wymuszały podobne zachowania. Uszedłem z rąk gheethów tylko dlatego, że Sark i Ossa byli zgodni.

Wstałem i pokuśtykałem do niego. Wyciągnąłem rękę i mu podziękowałem. Uścisnął moją dłoń, ale nic nie powiedział.

- Potępieniec miał dziś ciekawą opowieść dla Sędziego - dodałem. Chyba chciałem, żeby się rozchmurzył.

Ale on zmarkotniał jeszcze bardziej.

- Nie mógł jej przytoczyć, nie wspominając o tych, którzy zachowali się źle. Istotnie, w tej sytuacji dobro zwyciężyło i powinniśmy być wdzięczni Bezgrzesznej za natchnienie. Wątpię jednak, by dzisiejsza historia wpłynęła na ogólną ocenę naszego świata przez Sędziego.

Nie pierwszy raz zdumiał mnie talent magistra Sarka do łączenia całkiem mądrych, inteligentnych słów z prehistorycznym bełkotem.

- Ty z pewnością dokonałeś wyboru, który stawia ciebie i twój świat w korzystnym świetle - zauważyłem.

- To Bezgrzeszna mnie do tego zainspirowała - upierał się. - I jej należą się wszelkie podziękowania.

- Ja jednak podziękuję tobie i poproszę cię, abyś moje wyrazy przekazał Bezgrzesznej, kiedy będziesz się z nią widział.

Pokręcił zniechęcony głową, ale w końcu parsknął śmiechem - chociaż przy jego wrodzonym ponuractwie śmiech przypominał raczej skrzyżowanie kaszlu z odgłosami krztuszenia się.

- Nic nie rozumiesz.

- To prawda. Nie nadaję się w tej chwili do prowadzenia

dialogu, ale może kiedyś, przy jakiejś innej okazji, wyjaśnię ci, jak to widzę.

Z jego reakcji niewiele mogłem wyczytać, ale rozumiał przynajmniej tyle, że naszą rozmowę uznałem za zakończoną, i odszedł. Przyniosłem sobie czysty papier z aportu Yula i zacząłem pisać listy do przyjaciół na konwoksie. Sark wdał się w długą konwersację z Yulem i Cord, od czasu do czasu przerywaną przez Ganeliala Crade'a, wyznającego zupełnie inną religię i spacerującego w pewnym oddaleniu, co nie przeszkadzało mu doskakiwać od czasu do czasu i wtrącać uwag na temat szczegółów deologicznych.

Przyjechał mob, który przywiózł kierowcę mającego zabrać Dzwoneczników na południe, i zabrał Sarka. Deklaranci zaczęli się sadzić w autokarze. Fraa Ossa wsiał na końcu. Podałem mu plik listów.

- To dla moich przyjaciół w Tredegarhu - wyjaśniłem. - Jeżeli byłbyś tak miły...

Uklonił się.

- I tak już wiele wam zawdzięczam, więc zrozumieć, jeśli odmówisz - dodałem.

- To ty wyświadczyłeś nam przysługę, prowokując ujawnienie w ujawnieniu, które pozwoliło nam przeciwżyć nasze umiejętności.

Nie odpowiedziałem. Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli, mówiąc o „ujawnieniu w ujawnieniu”, ale doszedłem do wniosku, że musi mu chodzić o Kuzynów. Przejrzał plik kartek, który mu wręczyłem.

- Musisz mieć wielu przyjaciół na konwoksie - zauważył.

Spojrzał na mnie z ukosa, jakby chciał zapytać *Co ty wyrabiasz, u licha?! Udałem, że nie rozumiem.*

- Ten długi jest dla dziewczyny imieniem Ala. Pozostałe są adresowane do moich fraa i suur...

- Ha! - Fraa Ossa podniósł jeden z listów triumfalnym gestem. - Znasz sławnego Jesry'ego!

Wolałem nie myśleć, co to oznacza, że Jesry stał się

sławny, dlatego zignorowałem jego słowa i wskazałem mu ostatni list w stosiku.

- Ten jest dla Lio - powiedziałem. - Fraa Lio jest adeptem drogi dzwoneczków.

- No proszę! - wykrzyknął Ossa.

Tak jakby Lio był kimś wyjątkowym; jakby na świecie nie było milionów adeptów dronu.

- Samoukiem - dodałem. - Dron jest dla niego bardzo ważny. Gdyby ten list doręczył mu choćby najniższy rangą członek matemu z Doliny Dzwoneczków, byłby to dla Lio największy zaszczyt w życiu. Tylko nie mów mu, że tak powiedziałem.

Fraa Ossa znowu się uklonił.

- Wypełnię wszystkie twoje polecenia. - Postawił nogę na pierwszym stopniu schodków autokaru. - A tymczasem żegnaj. Chyba że...?

Spojrzał znacząco najpierw na mnie, potem na autokar.

Bardzo tego chciałem. Wyobraziłem sobie przejazd w towarzystwie deklarantów z Doliny Dzwoneczków, noc albo dwie w jakimś kasynie na południu, podróż - bezpieczną i spokojną - do Tredegarha, spotkanie z przyjaciółmi... Gdyby udało im się jakimś cudem zdobyć aeroplan, wszystko mogło potrwać zaledwie jeden dzień. Wyobraziłem sobie tę podróż bardzo wyraziście, żeby poczuć jej smak i zacząć o niej marzyć.

Wiedziałem jednak, że to tylko sen na jawie. Nie mogłem jechać, a im dłużej zwlekałem z decyzją, tym bardziej utrudniałem sobie jej podjęcie.

- Chcę wsiąść do autokaru i pojechać z wami do Tredegarha nie mniej, niż ta rzeka chce dotrzeć do oceanu - powiedziałem. - Ale przerwać misję w połowie... - (tylko dlatego, że jestem poobijany, przerażony i tęsknię za domem) - tak się nie robi. Fraa Jaad, milenarysta, który mnie wysłał w drogę, nigdy by tego nie zrozumiał.

To ostatnie zdanie poruszyło fraa Ossę jak chyba nic innego w tym dniu.

- Tysięcznik... - powiedział.
- Tak.
- W takim razie lepiej dokończ, co zacząłeś.
- Też tak sobie pomyślałem.

Uklonił mi się po raz trzeci, jeszcze niżej niż poprzednio, po czym odwrócił się do mnie plecami i zajął miejsce w pojeździe.

Poszedłem do latryny, wysikałem krew i wsiadłem do aportu Yula. Sammann już tam siedział. Wyjechaliśmy na główną drogę i skręciliśmy na południe. Zasnąłem.

Podobno spałem tylko pół godziny; mnie się wydawało, że znacznie dłużej. Obudziwszy się, przelazłem na tył aportu, gdzie było trochę ciemniej, i Sammann pokazał mi szpil na piszczku.

Sammann jako jedyny z naszej ekipy nie wypytywał mnie o zdrowie i stan emocjonalny. Można by mu zarzucić, że jest nieczuły, ale - prawdę mówiąc - czułości miałem stanowczo dość jak na jeden dzień.

- Dane, które za chwilę zobaczysz, są pozbawione komentarza - uprzedził, kiedy piszczek buforował szpil. - Wiąże się to ze sposobem, w jaki zostały uzyskane.

Jakość nagrania jak zwykle była tragiczna. Nie od razu zorientowałem się nawet, że szpil został zarejestrowany w kolorze: obraz był albo całkowicie czarny (cień i przestrzeń kosmiczna), albo oślepiająco biały (wszystko, co odbijało promienie słońca). Dotarło do mnie, że rejestracji dokonano ręcznym szpilołapem przez brudną szybę iluminatora.

- Odgazowanie - powiedział Sammann, co mi nic nie mówiło.

Wyjaśnił, że gazowe produkty uboczne odparowały w próżni z materiałów, których użyto do budowy kapsuły kosmicznej, i osadziły się na oknach.

- Nie spodziewałem się, że to może być problem -

przyznałem.

- To przez pośpiech.

Większość kadru wypełnił idealny okrąg wpisany w perfekcyjny trójkąt równoboczny.

- To rufa statku obcych - powiedział Sammann. - Płyta napędowa. Przez cały czas tak ustawiali statek, żeby był zwrócony tyłem do naszej kapsuły. To daje do myślenia.

Spróbowałem pomyśleć.

- Kuzyni... nie wiedzieli, czy nasza kapsuła nie jest uzbrojona w głowicę nuklearną. Dlatego wystawili w jej stronę część statku niewrażliwą na eksplozje atomowe.

- Masz trochę racji. - Sammann uśmiechnął się prowokacyjnie. - Ale to nie wszystko.

- Mogli w każdej chwili wystrzelić jedną ze swoich bomb i zniszczyć kapsułę.

- Otóż to. A w dodatku my nie mogliśmy sobie porządnie obejrzeć ich statku. Nie zdobyliśmy żadnych informacji użytecznych pod względem militarnym.

- Gdzie jest otwór, przez który wylatują bomby? - zainteresowałem się.

- Nie wypatruj sobie oczu, i tak go nie widać. W porównaniu z rozmiarami płyt jest maleńki, a kiedy jest nieużywany, zamyka go przesłona. Dopóki się nie otworzy, nie mamy szans go zobaczyć.

- A otworzy się?

- Może po prostu sobie to obejrzymy.

Sammann nagłośnił dźwięk. Z głośników płynęła głośna kakofonia naturalnych odgłosów tła: świsty, pomruki, szum i buczenie różnej wysokości. Od czasu do czasu dawało się wychwycić jakieś słowo albo zdanie wypowiedziane podniesionym głosem, ale ludzie rzadko w ogóle się odzywali, a jeśli już, to najczęściej używali zwięzłego żargonu wojskowego.

- Niezidentyfikowany obiekt na drugiej - powiedział ktoś.

Obraz się obrócił, ktoś podkreślił powiększenie i trójkąt najpierw wypełnił ekran, a potem jego krawędź podzieliła kadr na

dwie równe części: czarną i białą. Na czarnym tle pojawiła się szara plama: zlepek pikseli minimalnie jaśniejszych niż absolutna czerń rósł z każdą chwilą.

- Zbliża się - potwierdził ktoś inny.

Szum w tle trochę się zmienił: ludzie rozmawiali. Wydawało mi się, że słyszę orthyjską melodię zdań.

- Przygotować się do odskoku! - zakomenderowała stanowczo kolejna osoba.

Szpilołap pierwszy raz odwrócił się od okna i zogniskował na wnętrzu kapsuły. Po ponurym ujęciu płyty napędowej obraz wydał się nagle zaskakująco ostry, wyraźny i kolorowy. W ciasnym wnętrzu znajdowało się kilka osób: niektóre siedziały przy pulpitych przypięte do krzeseł, inne unosiły się w powietrzu, trzymając się uchwytów i przyciskając twarze do okien. Jednym z nich był z całą pewnością Jesry. Na środku kapsuły było widać wysokiego mężczyznę z niezwykłą fryzurą. Kiepsko się prezentował. W nieważkości jego włosy zachowywały się fatalnie. Twarz miał obrzmiałą i zielonkawą; z całą pewnością dręczyły go mdłości. Wydawał się zmęczony i zobojętniały, ale to mógł być wpływ leków na nudności. Imponująca szata gdzieś zniknęła, odsłaniając szczegóły figury, których naprawdę nikt poza jego osobistym lekarzem nie musiał znać. Dwóch ludzi usiłowało go wpasować w dziwny strój złożony z sieci rurek wplecionych w rozciągliwy materiał. Próby musiały już trwać jakiś czas, teraz jednak garderobiani zdwoili wysiłki; nawet jeden z gapiów oderwał się od okna i podfrunął im na pomoc. Niebiański Strażnik (nie miałem pewności, że to naprawdę on, ale pomyłka wydawała mi się mało prawdopodobna) otrząsnął się tymczasem na tyle, żeby dać do zrozumienia, że jest urażony. Pogroził szpilołapowi palcem. Jeden z jego asystentów zasłonił obiektyw.

- Prosimy dać Jego Spokojności odrobinę...

- Spokoju? - zatrzeszczał zza kadru głos Jesry'ego.

Padły cierpkie słowa, ale czyjś autorytatywny głos je uciszył i zamiast zwykłej kłótni usłyszeliśmy techniczny spór związany z właściwościami kombinezonu, którym próbowano

obudować ciało Niebiańskiego Strażnika. Jeden z ludzi przy pulpitych odczytywał na bieżąco dane na temat zbliżającego się obiektu.

- Za chwilę jako pierwszy człowiek będziesz miał okazję porozmawiać z obcymi - powiedział Jesry. - Jaki masz plan?

Strażnik coś mu odpowiedział, krótko i niewyraźnie. Stał dalej od mikrofonu, źle się czuł i zdążył już wystarczająco dobrze poznać Jesry'ego, żeby wiedzieć, że ta rozmowa nie przyniesie nic dobrego.

Znowu pojawił się w kadrze: garderobiani ubrali go już w rurko-skafander i pomału obudowywali kombinezonem kosmicznym.

- Skąd wiesz, że Geometry rozpoznają tę ideę? - zapytał spoza kadru Jesry.

Kolejna przytłumiona, niezobowiązująca odpowiedź Strażnika (choć trzeba mu oddać sprawiedliwość: pomocnicy właśnie przymierzali mu hełm).

- Geometry? - powtórzyłem.

- Wygląda na to, że tak ich nazwano na konwoksie - odparł Sammann.

- Ja na twoim miejscu miałbym cały czas w pamięci listę podstawowych pytań, na które chciałbym poznać odpowiedzi - mówił tymczasem Jesry. - Na przykład: czy zabezpieczają się przed zakażeniem? To, czy się boją naszych zarazków, czy nie, może być znaczące.

Niebiański Strażnik zbył jego wypowiedź zdawkową sugestią, która jego asystentom wydała się zabawna.

- Oglądałeś kiedyś robaki pod lupą? - nie zrażał się Jesry. - Wiedziałbyś, czego się spodziewać. Wyglądają zupełnie inaczej, niż sądziliśmy, do tego stopnia, że w pierwszej chwili ich widok kompletnie człowieka oszałamia. Ale kiedy opanujesz te pierwsze gwałtowne emocje, możesz się dowiedzieć, jak funkcjonują ich organizmy; w jaki sposób na przykład się poruszają. Policz otwory w ciałach, wypatruj symetrii, szukaj powtarzalności. Może uda ci się stwierdzić, jak często oddychają. To by pozwoliło wyciągnąć

pewne wnioski na temat ich metabolizmu.

Jeden z garderobianych przerwał Jesry'emu, upominając go, że pora się pomodlić. Strażnik miał na sobie już kompletny kombinezon, pozostało mu tylko włożyć hełm. Jego głowa - zmieniona nie do poznania w odsuniętych na czoło ciemnych okularach, słuchawkach na uszach i z mikrofonem przy krtani - sterczała z obszernej, sztywnej skorupy. Najlepiej jak umiał uściśnął ręce pomocników; nie było to łatwe w grubych rękawicach. Zamknęli oczy i zaczęli coś mówić unisono, ale przerwał im przytłumiony metaliczny stukot i chrzęst.

- Kontakt! - zawołał ktoś. - Złapali nas manipulatorem.

Szpilolałap prześliznął się po członku załogi patrzącym akurat na zegarek, wycelował za okno i przybliżył obraz niezidentyfikowanego obiektu. Był to szkieletowy pojazd kosmiczny, bezzałogowy i pozbawiony hermetycznych segmentów, w których mógłby lecieć któryś z Kuzynów: zwykła kratownica z półtuzinem zrobotyzowanych wysięgników różnej wielkości, zaopatrzona w silniki, reflektory i sterczące we wszystkich możliwych kierunkach talerze anten. Jedno z jej ramion wyciągnęło się i złapało gniazdo anteny na zewnętrznej powłóce kapsuły.

Wydarzenia przyspieszyły biegu. Niebiański Strażnik miał już hełm na głowie, a członkowie załogi przepędzili jego asystentów i majstrowali przy panelu sterowniczym. Pod bąblem hełmu oczy Strażnika poruszały się niespokojnie, reagując na syczenie i skrzypienie uruchamianego kombinezonu. Poruszył ustami i dał znak wyprostowanym kciukiem: system łączności działał bez zarzutu.

Wypchnęli go przez hermetycznie zamykany właz w jednym końcu kapsuły, zatrzasnęli go za nim i przekręcili koło, żeby uszczelnić złącze. Strażnik znalazł się w śluzie.

- Dlaczego idzie sam? - zdziwiłem się.

- Podobno tak sobie zażyczyli Kuzyni... - odparł Sammann.

- To znaczy, przepraszam, Geometry. Kazali przysłać jedną osobę.

- A my wybraliśmy właśnie jego?! - Nie wierzyłem własnym oczom.

Sammann wzruszył ramionami.

- To przecież część ich strategii, prawda? Gdyby pozwolili nam przysłać całą delegację, moglibyśmy ukryć karty. A tak? Cała planeta wysyła jednego człowieka jako swojego przedstawiciela. Jego wybór jest bardzo znaczący.

- Ja to rozumiem, ale dlaczego...

Przerwał mi jeszcze bardziej przesadnym wzruszeniem ramion.

- Naprawdę spodziewasz się, że wytłumaczę ci przyczyny takich a nie innych decyzji państwa sekularnego?

- W porządku, przepraszam. Zapomnij, że pytałem.

Syk, szcęk i krótkie komunikaty załogi zasygnalizowały otwarcie zewnętrznych wrót śluzy. Zrobotyzowana sonda wyciągnęła nieduże ramię w kierunku kapsuły, poza kadr, a kiedy chwilę później je cofnęła, holowała nim Niebiańskiego Strażnika. Chwytnak manipulatora zacisnął się na metalowej klamrze wystającej z zaokrąglonego barku kombinezону. Geometryzy rozumieli naszą inżynierię i umieli rozpoznać wieszak.

Sonda odłączyła się od kapsuły, wystrzeliła obłoczek gazu i zaczęła się oddalać. Chwilę później uruchomiła mocniejsze silniki i pomknęła w stronę dwudziestościanu. Niebiański Strażnik pomachał do nas.

- Wszystko w porządku - zameldował przez radio.

Zaraz potem jego głos utonął w ostrym, jazgotliwym szumie. Ktoś z załogi ściszył dźwięk.

- Zagłuszają nas - wyjaśnił. - Jego Spokojność jest zdany na siebie.

- Wcale nie - zaproponował jeden z akolitów. - Bóg jest z nim.

Szpilołap przybliżył obraz Strażnika holowanego w kierunku dwudziestościanu. Nawet przy maksymalnym powiększeniu trudno go już było rozpoznać, ale chyba gestykulował, stukał się w hełm i rozkładał bezradnie ręce.

- Wiemy - odezwał się Jesry. - Nie słyszysz nas.
- Martwi mnie jego tętno - powiedział ktoś z załogi. -
Stanowczo za wysokie jak na człowieka w jego wieku.
- Odbieracie telemetrię? - zainteresował się Jesry.
- Ledwie, ledwie. Najpierw zagłuszyli głos, teraz rzucili się
na pozostałe kanały... O, już. Po wszystkim. Do widzenia.
- Geometry to jacyś cholerni militaryści - wtrącił zgłoła
niepotrzebnie Sammann.

Szpil trwał, okraszony rzadkim komentarzem, do momentu, gdy sonda ze Strażnikiem skurczyli się do maleńkiej grudki szarych pikseli. Potem nastąpiło cięcie i ekran poczeriał. Sammann zatrzymał odtwarzanie.

- W oryginale przez następne cztery godziny praktycznie nic się nie dzieje - powiedział. - Siedzą i czekają. Twój przyjaciel, Jesry, wciąga przydupasów Strażnika w dyskusję filozoficzną i rozkłada ich na łopatki. Potem już nikomu nie chce się rozmawiać. Najciekawsze zdarzenie to wyłączenie zakłócania, które następują mniej więcej po godzinie.

- Serio? I co, można wtedy pogadać ze Strażnikiem?

- Tego nie powiedziałem. Sygnał zakłócający zostaje wyłączony, ale kapsuła nie odbiera żadnych danych z kombinezonu Strażnika. Najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, że kombinezon został wyłączony.

- Dlatego, że coś się stało Strażnikowi, czy...

- Przypuszcza się raczej, że Niebiański Strażnik zdjął skafander, ponieważ nie był mu potrzebny. Z tego samego powodu odciął zasilanie.

- To znaczy...

- Że dwudziestościan wypełnia zdatna do oddychania atmosfera. To możliwe. Albo że Strażnik zmarł, zanim do niego dotarł.

- Niebiański Strażnik nie żyje?!

Sammann włączył szpil. Widoczny w rogu ekranu zegar przeskoczył kilka godzin do przodu.

- Nowy sygnał z dwudziestościanu - oznajmił zmęczonym

głosem jeden z członków załogi. - Powtarzające się impulsy. Mikrofale. Wysoka moc. Malują nas radarem.

- Tak jakby nie wiedzieli, gdzie jesteśmy! - zachnął się ktoś inny.

- Dość tego gadania! - rozległ się głos, który przyzwyczałem się interpretować jako należący do kapitana. - Myślicie, że nas namierzają?

- Chodzi o namierzenie celu - przetłumaczył Sammann. - Jak do wystrzelenia rakiety.

- To jest tego rodzaju sygnał, skoncentrowana wiązka... - odparł podwładny kapitana. - Ale sieje równo, nie namierza nas.

- Płyta napędowa, patrzcie! - zawołał nagle Jesry. - Na środku!

Ekran znowu wypełniło olbrzymie koło wpisane w trójkąt. Operator przybliżył obraz i w środku kadru pojawiła się ciemna plamka. Rosła w oczach, aż zmieniła się w okrągły otwór.

- Odskok! - zarządził kapitan.

- Uwaga, przyspieszenie awaryjne... - rozległ się inny głos. - Trzy, dwa, jeden... Teraz!

Na ekranie zapanował chaos. Ludzie i przedmioty latali we wszystkie strony, dało się słyszeć głośny łoskot, jakieś syczenie; wszystkie nieumocowane obiekty wylądowały na ścianie od strony dwudziestościanu, kiedy kapsuła gwałtownie przyspieszyła w przeciwnym kierunku. Kobieta trzymająca szpilołap nakłęła się i nasapała jak wszyscy, ale dość szybko znów wycelowała obiektyw za okno.

- Coś stamtąd wypadło! - obwieścił Jesry.

Operatorka szpilołapu znowu poczęstowała nas długim, rozchwianym zbliżeniem: otwór nie był już ciemny i idealnie okrągły, lecz rozmyty i różowawy. I ta jego różowa część się poruszała. Po chwili oddzieliła się od dwudziestościanu. Została odepchnięta i poszybowała w kosmos. Otwór zamknął się za nią.

- Nie wygląda mi to na atomówkę - zauważył ktoś w kapsule.

- Niedopowiedzenie roku - mruknął Sammann.

- Przybliżmy się.
- Uwaga, przyspieszenie awaryjne. Trzy, dwa, jeden...

Teraz!

Zmiana kierunku lotu wywołała kolejne zamieszanie. Znowu musieliśmy chwilę poczekać, aż niezmordowana operatorka wróci do brudnego iluminatora i wyostrzy obraz.

Słychać było, że zaparło jej dech w piersi.

Mnie też.

- Co to jest? - spytał ktoś w tle.

Nie widzieli tego, co widzieliśmy my z operatorką, ponieważ nie patrzyli przez teleobiektyw.

- To on - odparła kobieta ze szpilolapem. - Niebiański Strażnik. - Pominęła jedną niezwykle istotną okoliczność, taką mianowicie, że był nagusieńki. - Wyrzucili Niebiańskiego Strażnika przez służbę!

Sammann zastopował szpil.

- Chwytny cytat, bardzo modny - powiedział. - Nie można jednak nie zauważyć, że to nie jest śluza, tylko dysza do wypływania bombek atomowych.

Strażnik w dalszym ciągu był malutki i ledwie widoczny, ale zdążył już urosnąć na tyle, że zaczynałem się wewnętrznie przygotowywać na to, co zobaczę.

- Jeśli chcesz, mogę puścić dalej - dodał Sammann bez entuzjazmu. - Ale...

- Nie, dzięki. Dość się naoglądałem krwi jak na jeden dzień. Ale czy ciało nie powinno być rozerwane czy coś w tym guście...

- Trochę było. Kiedy ściągnęli go do kapsuły... Jatka.

- Czyli co? Geometry go zgładzili?

- Tego nie wiemy. Mógł umrzeć z przyczyn naturalnych. Podczas sekcji znaleziono rozsadzony tętniak.

- Pewnie nie tylko tętniak!

- Fuj! - mruknęła Cord z przedniego siedzenia.

- To prawda. Tak czy inaczej, trudno stwierdzić, kiedy pękł: przed czy po wyrzuceniu Strażnika w kosmos.

- Czy Geometry odezwali się jeszcze potem?
- Nie mamy jak tego sprawdzić. Ten szpil wyciekł, ale poza tym państwo sekularne wprowadziło całkiem skuteczną blokadę informacji.
- A ten szpil? Wszyscy go już widzieli? Cały świat o tym wie?
- Najwyżsi odcięli większość Retikulum, więc mało kto zdążył go obejrzyć. Większość ludzi słyszała co najwyżej plotki.
- To niemal gorsze od faktów.
- Opowiedziałem Sammannowi o Sarku.
- Kiedy to się stało? - zapytałem.
- Kiedy przejeżdżaliśmy przez biegun. Dzień później kapsuła wylądowała. Poza Strażnikiem nikomu nic się nie stało. Wojsko ruszyło w stronę biegunów, co zresztą sam widziałeś.
- Widziałem, ale nie rozumiem - przyznałem.
- Podobno dwudziestościan orbituje mniej więcej wzdłuż równika...
- Zgadza się. Można mu się wymknąć, oddalając się dostatecznie daleko od równika na północ lub południe.
- Jak sądzisz, czy wtedy wyjdzie się także z zasięgu jego broni?
- To zależy, jak jest uzbrojony. Mnie jednak zastanawia coś innego. Geometry mogliby w dowolnym momencie zmienić orbitę. Przez pierwsze miesiące okrążali przecież Arbre po orbicie biegunowej, pamiętasz?
- Oczywiście, że pamiętam.
- Potem ją zmienili i...
- I co? - zapytał Sammann po chwili, widząc, że umilkłem na dobre.
- Widziałem... Oboje z Alą widzieliśmy wybuchy bomb, które musieli odpalić, żeby zmienić orbitę. „Zmiana płaszczyzny orbity jest bardzo kosztowna”, powiedział Lio. Gdyby chcieli teraz wrócić na orbitę biegunową, żeby móc szachować nasze wojska, musieliby znów odpalić podobną liczbę ładunków jądrowych. - Spojrzałem na niego. - Zabrakło im paliwa.

- To znaczy... bomb?
- Właśnie. Bomby atomowe napędzają statek, ale pojemność magazynu jest ograniczona. Kiedy zapasy bomb się kończą, trzeba...
- Zdobyć nowe.
- Najechać jakąś zaawansowaną cywilizację i złupić jej zasoby materiałów rozszczepialnych. W naszym wypadku znajdują się one...
- W Edharze, Rambalfie i Tredegarhu.
- To właśnie oznaczały promienie laserów, które zaświeciły w noc mojego powołania.
- To była ta sama noc, kiedy fraa Orolo zszedł z Kopca Bly'a - wtrąciła Cord. - I udał się na Ecbę.

Część 8

ORITHENA

Podróż na południe minęła szybko: zajęła nam cztery dni i trzy noce. Biwakowaliśmy na dziko, Yul gotował nam śniadania i kolacje, a pieniądze oszczędzaliśmy na obiady i paliwo w identycznych restauracjach i na wymarłych stacjach paliw.

Przez pierwszy dzień w krajobrazie dominowały ciągnące się bez końca plantacje drzew paliwowych, przerywane miasteczkami zbudowanymi wokół przetworni, w których z mielonych i gotowanych drzew uzyskiwano płynne paliwo. Następne dwa dni spędziliśmy w najgęściej zaludnionej okolicy, jaką w życiu widziałem, do złudzenia przypominającej kontynent, na którym rozpoczęliśmy naszą podróż: wszędzie były takie same szyldy i sklepy. Miasta leżały tak blisko siebie, że stykały się pseudmieściami. Podczas jazdy nie widzieliśmy ani skrawka niezabudowanego terenu, po prostu prześlizgiwaliśmy się po autostradach z jednego korka w drugi. Minęliśmy kilka koncentów; zwykle znajdowały się z dala od drogi, ponieważ najchętniej budowano je na wierzchołkach wzgórz albo w centrach miast, które obwodnice starały się omijać z daleka. Jednym z nich

- całkiem przypadkowo - okazał się Saunt Rambalf, stojący na wulkanicznym występie o szerokości kilkunastu mil.

Przypomniałem sobie „przeorywanie”. Kiedy na statku Alwash użył tego określenia w stosunku do mnie, wydało mi się zabawne, ale dopiero po tym, co wydarzyło się w Mahshcie, poczułem, co naprawdę znaczy. Czułem się przeorany - nie jak chwast, który został wyrwany z korzeniami i spalony, ale jak ocalała z przeorania młoda, słabiutka roślinka, niepewna, czy przeżyje, ale żywa i samotna: pewna, że nic jej nie zagraża, ale i bezbronna wobec wściekłych podmuchów jutrzejszej wichury.

Pod koniec trzeciego dnia krajobraz rozpostarł się szerzej, a w powietrzu pojawiła się jakaś nowa woń, starsza niż zapach opon i paliwa. Rozbiliśmy obozowisko wśród drzew i schowaliśmy ciepłe ubrania. Następnego dnia na śniadanie złożyły się produkty kupione przez Cord i Yula od okolicznych rolników. Wjechaliśmy na tereny zamieszkane i uprawiane od czasu Cesarstwa Bazyjskiego. Liczebność populacji zmieniała się oczywiście wielokrotnie; w ostatnim czasie znów się zmniejszyła. Najpierw pseudmieścia, a potem także same miasta skurczyły się i wycofały, zostawiając po sobie niezniszczalne (tak przynajmniej sądziłem) twierdze cywilizacji: wille bogaczy, matemy, klasztory, arki, drogie restauracje, suwiny, ośrodki wypoczynkowe, centra medytacyjne, szpitale i instalacje rządowe, porozdzielane pustką i obszarami zdumiewająco prymitywnych upraw. Kępki cherlawych, tandetnie kolorowych budek wyrosły przy skrzyżowaniach, żeby ułatwić życie takim włóczęgom jak my, ale większość budynków była zbudowana z błota i kamieni i kryta dachówką lub łupkiem. Teren coraz bardziej pustynniał i spłaszczal się, drogi się kurczyły, traciły kolejne pasy ruchu, stawały się bezlitośnie wąskie i wyboiste, aż w końcu nie zauważywszy żadnego gwałtownego przejścia, wylądowaliśmy na jednopasmowych bitych drózkach, gdzie co rusz musieliśmy ustępować pierwszeństwa stadom zwierząt domowych, tak chudych i wymizerowanych, że wyglądały jak suszone mięso na nogach.

Pod wieczór wjechaliśmy na małe wzniesienie i w oddali zobaczyliśmy nagi skalisty szczyt. Góry, jakie oglądałem przez całe życie, były pokryte ciemnozielonym futrem i osnute mgłą, ta zaś wyglądała, jakby ktoś polał jej zbocza kwasem, który wypalił wszystko, co żywe. Miała tę samą strukturę grani i przełęczy co inne znane mi góry, była tylko łysa jak głowa deklaranta z Doliny Dzwoneczków. W pomarańczowo-różowych promieniach zachodzącego słońca lśniła jak nagie ciało w blasku świecy. Przykuła mój wzrok do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę nie zwracałem w ogóle uwagi na fakt, że na niej ład się kończy. Za nią majaczyło jeszcze wprawdzie kilka podobnych gór, ale wszystkie wyrastały z płaskiej ciemnoszarej płaszczyzny geometrycznej: z oceanu.

Zanocowaliśmy na plaży nad Morzem Mórz, a następnego dnia rano wjechaliśmy po trapie na prom, który zabrał nas na Ecbę.

Referaty semantyczne: Po Rekonstrukcji - frakcje w obrębie świata matematycznego kontynuujące dzieło Halikaarna. Swoją nazwę zawdzięczają przekonaniu, że symbole mogą nieść rzeczywiste znaczenie, co stanowi rozwinięcie idei Protasa i Hylaei. Patrz także: **Referaty syntaktyczne.- SŁOWNIK,** wydanie czwarte, 3000 p.r.

Światło padające na namiot budziło, szum morza usypiał - a ja niczym kłoda wyrzucona na brzeg i przewalana falami tam i z powrotem, na przemian budziłem się i przysypiałem, śniąc mętny i nieciekawo sen o Geometrach. Jakiś zakamarek mojego umysłu, zafascynowany manipulatorami zdalnie sterowanej sondy przysłanej po Niebiańskiego Strażnika, zużywał niezmierzone ilości mrocznej energii na ożywanie mojej pamięci: przywoływał obrazy, wyostrzał wspomnienia, upiększał je, mieszał z tworemi wyobraźni, łączył teorię ze sztuką w hybrydy wyrażające

najniezwyklejsze idee, lęki i nadzieje. Opędzałem się od jawy, chciałem dalej śnić, leżałem więc półprzytomny i czekałem, aż coś się wydarzy, aż sen rozwinie się i coś mi wyjaśni, ale z biegiem czasu tylko coraz bardziej się niepokoilem, bo nie mogłem przestać myśleć o stawach, kościach, łożyskach i serwowmotorach manipulatorów, które w mej wyobraźni stały się równie skomplikowane jak moje własne ręce i nabrały tak samo łagodnych, organicznych krzywych jak elementy maszynierii zegara, które Cord robiła dla Sammanna. Jediną nowinką w całym śnie była zainstalowana (prawdopodobnie) w sondzie aparatura do przetwarzania obrazu, na którą zwróciłem uwagę pod sam koniec. Im dłużej próbowałem się jej przyjrzeć, tym bardziej przeszkadzały mi otaczające ją reflektory; usiłowałem spojrzeć Geometrom w oczy, a widziałem tylko rozbłyśki oślepiającej bieli przeplatane plamami absolutnej czerni.

Narastająca frustracja dokonała tego, co nie udało się światłu dnia, zapachowi jedzenia i dźwiękom rozmów: obudziła mnie. Nie mogłem popchnąć spraw do przodu w inny sposób niż budząc się i robiąc coś w tym kierunku.

Ecba była piękna - surowa, rozpalona, ale piękna. Cały jeden dzień zszedł nam na budowaniu osłon przed lejącym się z nieba żarem. Znaleźliśmy otwartą na wschód zatoczkę, położoną na północ od skalistego urwiska, które przez większość dnia dawało nam cień. Yul pokazał nam, jak zakotwiczyć głęboko w piasku pale, na których później rozpięliśmy płachty chroniące nas przed popołudniowym upałem, i w efekcie słońce dawało nam się we znaki głównie wczesnym rankiem, kiedy jeszcze temperatura była całkiem znośna. Leżąca pół mili od brzegu wysepka przełamywała pędzące z głębi morza fale; przybój na plaży był więc nieznaczny, chociaż nieprzewidywalny. Płytką zatoczkę o kamienistym dnie mogły bezpiecznie sforsować tylko najłżejsze łodzie, toteż chyba nikt nigdy nie próbował jej sensownie zagospodarować. Cały czas spodziewaliśmy się gości obwieszonych jarmarcznymi insygniami władzy i gotowych nas przepędzić, ale nikt się nie zjawił. Zatoczką najwyraźniej nie

należała ani do osoby prywatnej, ani do żadnej wspólnoty - po prostu była kawałkiem wybrzeża. Jedyna na Ecbie osada z prawdziwego zdarzenia (nie licząc matemu przy Orithenie) rozłożyła się wokół przystani promowej, od której dzieliło nas pięć mil w linii prostej, a piętnaście wzdłuż biegnącej brzegiem drogi. Zasilana energią słoneczną odsalarnia produkowała i sprzedawała słodką wodę; Yul zaraz po przyjeździe nappełnił nią dwa zalatujące pleśnią pęcherze z demobilu. Tej wody i zakupionego na kontynencie jedzenia powinno nam starczyć na tydzień.

Na mocy jednogłośnie, chociaż nie sformułowanej wprost umowy następnego dnia po rozbiciu obozowiska przeznaczaliśmy na odpoczynek. Wygrzebaliśmy z bagażu sfatygowane książki; ktoś chrapał, ktoś inny pływał. Pożyczyłem od Cord wąskie szczypce, wyjąłem sobie szwy, zanurzyłem się w wodzie po szyję i czekałem, aż znieczuli mi rany. Mógłbym więcej napisać o rekonwalescencji, ale tego nie zrobię. Obserwowanie, jak moje ciało zbiera siły i wraca do zdrowia, wydało mi się fascynujące, ale przypuszczam, że to właśnie gojące się obrażenia wywoływały sny o metalicznych kończynach i krystalicznych organach sondy obcych. Kusilo mnie, żeby pofilozofować sobie na temat związku ciała i umysłu, ale mój wewnętrzny loryta tłumaczył mi, że byłaby to strata czasu; lepiej byłoby znaleźć bibliotekę i poczytać, co mieli na ten temat do powiedzenia inni, lepsi ode mnie myśliciele.

Poprzedniego dnia pod wieczór Yul zburzył spokój zatoczki, zapuszczając silnik aportu. Część z nas dla zabicia czasu wybrała się na dwugodzinny objazd wysepki. Położenie wulkanu nie stanowiło naturalnie tajemnicy: niewiele było miejsc, z których nie dałoby się go dostrzec. Był stromy, co oznaczało - jak uczył mnie fraa Haligastreme - że jest niebezpieczny. Niektóre wulkany wytwarzały rzadką lawę, która szybko rozpływała się na boki; miały kształt soczewkowaty i były właściwie niegroźne: wystarczyło iść szybciej, niż poruszała się lejąca się lawa. Inne pluły gęstą lawą, poruszającą się powoli i łatwo się piętzącą - te były niebezpieczne, ponieważ ciśnienie w ich wnętrzu narastało i prędzej czy później musiało dojść do erupcji.

Ecba stanowiła ostatni przystanek na trasie promu, który wypływał z przystani na lądzie w kierunku południowym, z lekkim odchyleniem ku wschodowi. Do wyspy dotarliśmy więc od północy. Miasteczko zbudowano wokół jedyne go naturalnego portu, wyglądającego jak wygryziony kawałek północno-zachodniej ćwiartki w przybliżeniu okrągłej wyspy. My rozbiliśmy obóz na północnym wschodzie, w jednej z zatoczek poroździelanych paluchami zastygłej magmy, która spłynęła z kaldery setki lat przed zasiedleniem Ecby. Dlatego też przez pierwsze dni oglądaliśmy głównie północne zbocza wulkanu; jego regularna sylwetka prezentowała się nader wdzięcznie (nawet jeśli dźwięczące mi w uszach słowa Haligastreme nie pozwalały zapomnieć, że stromizna jest niebezpieczna). Podczas wycieczki objeźdzaliśmy wyspę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i kilka mil od obozu nagle naszym oczom ukazał się południowy stok, który w minus dwa tysiące sześćset dwudziestym pierwszym roku eksplodował, zapadł się, zniszczył świątynię i zasypał port na południowo-wschodnim wybrzeżu, do którego dotarli (na galerach i żaglowcach) pierwsi fizjology, kontynuatorzy dzieła Cnoüsa z całego basenu Morza Mórz. Skutki tamtej erupcji nadal były widoczne: popiół i kawałki lawy zaściewały zbocze schodzące wprost do morza. Ecba nigdy nie doszła do siebie: po osiągnięciu wachlarzowatego jezora popiołu i lawy droga po dziś dzień na odcinku kilkunastu mil zmieniała się w wyboisty bity trakt; nie było widać żadnych drogowskazów, zabudowań, śladów napraw. Tylko w jednym miejscu na południowo-wschodnim łuku wybrzeża, skąd otwierał się widok w głąb rozszonego krateru, od głównej drogi odchodziła pod kątem prostym inna, boczna, przez pewien czas biegnąca prosto do góry, a potem skręcająca w serię serpentyn, pnących się po nagim zboczu, na którym rysował się mroczny mur. Nie potrzebowaliśmy satelitarnych map Sammanna, żeby wiedzieć, że mamy przed sobą założony w roku trzytysięcznym matem.

W pół drogi do niego, na początku serpentyn, nieliczne niskie domki walczyły z nawiewanym przez wiatr popiołem,

usiłując w nim nie zatonać. Kiedy podjechaliśmy bliżej, zastaliśmy tam punkt kontrolny i kramik z pamiątkami, prowadzone przez deklarantów. Nie kryli się z zawojami i sznurami. Nie okłamywaliśmy ich, ale udawaliśmy turystów. Z przyjemnością sprzedali nam parę drobiazgów (mydło z popiołu wulkanicznego), ale stanowczo zapowiedzieli, że dalej nas nie przepuszczą.

Później zajechaliśmy do miasta, żeby uzupełnić zapasy, i tam również zobaczyłem deklarantów obnoszących się z tradycyjnym strojem. Nie wyglądali na hierarchów, więc w ewidentny sposób łamali Dyscyplinę - podobnie zresztą jak sprzedawcy w kramiku z pamiątkami. Co z kolei oznaczało, że stosunki między deklarantami i statystami są tu znacznie swobodniejsze niż na przykład w Mahshcie. Miałem ogromną ochotę podejść do tych deklarantów i zapytać, czy słyszeli o Orolu, ale się powstrzymałem: nie uciekną mi, a ja prześlpię się jeszcze z tym pytaniem. I rzeczywiście przespałem się - ale zamiast odpowiedzi czekał mnie tylko ten frustrujący, wlokący się bez końca sen o manipulatorach.

Po kiepsko przespanej nocy nie odzywałem się przy śniadaniu, dopóki w którymś momencie nie wypaliłem:

- Przecież tam może nie być żadnych prawdziwych, biologicznych Geometrów, materialnych istot, które siedziałyby za sterami dwudziestościanu. Może dawno temu pomarli, zostawiając po sobie zautomatyzowane statki i sondy?

Tym pytaniem odebrałem chęć do rozmowy wszystkim oprócz Sammanna, jemu bowiem mój pomysł wydał się wprost zachwycający.

- Tym lepiej dla nas - powiedział.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, dopóki nie dotarło do mnie, że przez „nas” rozumie itów. Przetrawiłem jego słowa.

- Bo będziecie bardziej użyteczni dla państwa sekularnego - domyśliłem się.

Jego twarz zastygła jak kamień. Uraziłem go.

- Może użyteczność dla państwa nie jest dla nas najważniejsza? - zasugerował. - Nie przyszło ci do głowy, że

itowie mogą mieć jakieś inne aspiracje?

- Przepraszam.

- Pomyśl, jakie to by było wyzwanie: interakcja z takim systemem! - zawołał. Upiekło mi się: był tak zafascynowany tą nową możliwością, że nie zamierzał rozpamiętywać zniewagi. - Na najniższym, najbardziej podstawowym poziomie byłby to stuprocentowo deterministyczny syntakt, wyrażający się tylko w niektórych działaniach: ruchach statku, transmisji danych i tak dalej. Obserwablach.

- My nazywamy je „danymi”. Mów dalej.

- Zrozumienie działania programu syntaktycznego poprzez analizę zmiennych przypominałoby próbę złamania szyfru. My, itowie, musielibyśmy zwołać własny konwoks.

- Moglibyście przy okazji rozstrzygnąć Kwestię Relewancji - zażartowałem.

Sammann przestał wpatrywać się z zachwytem w niebo i wytrzeszczył oczy.

- Studiowałeś KR?

Wzruszyłem ramionami.

- Na pewno mniej niż ty. Uczymy się o niej przy okazji poznawania historii Rozłamu.

- Między zwolennikami saunta Proca i uczniami saunta Halikaarna.

- Właśnie. Chociaż to trochę nieuczciwie nazywać jednych zwolennikami, a drugich uczniami, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć... Ale zasadniczo masz rację: to właśnie nazywamy Rozłamem.

- Proceńczycy bardziej skłaniali się ku syntaktycznemu punktowi widzenia... A może powinienem powiedzieć „faanowie”?

Sammann trochę się pogubił, więc uznałem za stosowne mu przypomnieć:

- Mówiliśmy o Relewancji. Możemy, ty i ja, myśleć o różnych rzeczach. Symbole w naszych mózgach mają swoje znaczenie. Pytanie brzmi: czy urządzenie syntaktyczne potrafi

myśleć, czy tylko przetwarzać cyfry pozbawione Relewancji... znaczenia...?

- Treści semantycznej - odpowiedział Sammann.

- Otóż to. Faan żyła w Koncencie Saunta Mucostera w okresie po Rekonstrukcji. Była tam pewnerą referatu syntaktycznego, czyli zwolenników Proca. Uznała, że Relewancja nie istnieje, że jest tylko iluzją, którą każdy dostatecznie rozwinięty syntakt tworzy na własny użytek. Evenedryk już wtedy nie żył, ale zarówno on, jak i Halikaarn przed nim uważali, że nasze umysły są zdolne do czynności nieosiągalnych dla syntaktów; że Relewancja jest czymś rzeczywistym...

- Że nasze myśli naprawdę mają jakąś treść semantyczną wykraczającą poza i ponad ciąg zer i jedynek.

- Właśnie. Wiąże się to z przekonaniem, że nasz umysł jest zdolny postrzegać formy idealne, istniejące w Hylaejskim Świecie Teorycznym.

- Ejże, może dacie sobie na wstrzymanie? - zagrział Yul.

- Myśmy tu przyjechali na piknik!

- A my właśnie w ten sposób odpoczywamy! - odparował Sammann.

- Bo gdybyśmy pracowali, rozmawialibyśmy o rzeczach nudnych i skomplikowanych - dodałem.

- Jesteście gorsi od kaznodziejów! - poskarżył się Yul.

Gneł nie połknął haczyka, ale jednak się odezwał:

- Wyjaśnię ci to w taki sposób, żebyś zrozumiał, kuzynie. Jeżeli ci obcy są po prostu programem komputerowym, nasz Sammann może ich wyłączyć, przedstawiając jeden bit. Program nawet się nie zorientuje, że ktoś go sabotował.

- Pod warunkiem, że jest pozbawiony Relewancji - zauważyłem. - Jeżeli zrozumie, że symbole, które przetwarza, coś znaczą, pozna się na Sammannie.

- Na pewno ma wbudowane jakieś pierońskie zabezpieczenia - zauważył Yul. - Przy tych wszystkich bombach atomowych i w ogóle...

- Jeżeli jest pozbawiony Relewancji, to jest także

niezwykle podatny na uszkodzenia - odparł Sammann. - I wtedy rzeczywiście powinien być solidnie zabezpieczony. Ale systemy obdarzone prawdziwą Relewancją znacznie trudniej oszukać. Tak się w każdym razie uważa.

- Phi! - Yul spojrzął na Gnela. - Po prostu trzeba je oszukać inaczej. To wszystko.

- Niebiański Strażnik nie był chyba zbyt przekonujący - przypomniał Gnel. - Może jednak prawienie morałów nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

Cord odkaslnęła, zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w miseczkę z jedzeniem.

- Słuchajcie... - odezwała się. - Wasza rozmowa jest fascynująca, ale jakie właściwie mamy plany na dzisiaj?

Zapadła długa cisza.

- Podoba mi się tutaj - ciągnęła Cord. - Tylko że... jakoś tak... ciarki mnie przechodzą. Wy też tak macie?

- Rozmawiasz z facetami - wytknęła jej Yul. - Żaden się nie przyzna.

Cord rzuciła w niego garścią piasku.

- Grzebałem trochę w Retikulum... - powiedział Sammann.

- I powiem wam, że mnie też ciarki chodziły po plecach, kiedy stwierdziłem, że mam tu taki świetny transfer.

- Ale już ci przeszło? - zainteresował się Gnel.

- Chyba tak.

- Czego się dowiedziałeś?

- Cała wyspa jest jedną wielką parcelą i od Starej Epoki Matemowej ma jednego właściciela. Dawniej było nim drobne księstwo, które z epoki na epokę trafiało pod skrzydła różnych imperiów. Kiedy królowie i księżęta wychodzili z mody, wpadało w ręce prywatnych właścicieli albo trustów; kiedy sytuacja się odwracała, dostawało nowego księcia albo barona i żyło sobie dalej. Do czasu, aż dziewięćset lat temu zostało wykupione przez prywatną fundację... To taka instytucja przypominająca naszą fundę. W dodatku ta konkretna fundacja musiała mieć jakieś związki ze światem matemowym...

- Dlatego, że sponsoruje nowy koncert i wykopaliska w Orithenie?

- Coś w tym guście...

- Jeden apert, który trwa dziesięć dni, nie wystarczyłby, żeby zorganizować takie przedsięwzięcie - powiedziałem. - Funda musiała od dawna to planować.

- To nie jest wcale takie trudne - sprzeciwiła się Cord. - Unaryści co roku mają apert. Można z nimi porozmawiać. Niektórzy awansują i zostają dziesiętnikami, z tych z kolei część awansuje na setników... Gdyby zaczęli nad tym pracować w dwa tysiące osiemsetnym, do czasu konwoksu milenijnego w trzytysięcznym mieliby zwolenników wszędzie poza matemami tysięczników.

Scenariusz Cord nie bardzo mi się podobał, ponieważ brzmiał podstępnie, ale z faktami nie mogłem dyskutować. Budził mój sprzeciw chyba głównie z jednego powodu: my, deklaranci, przywykliśmy myśleć o sobie jak o jedynej sile zdolnej snuć plany naprawdę dalekosiężne, rozciągające się na stulecia. Tymczasem Cord dopuszczała istnienie w świecie sekularnym fundy, która robi dokładnie to samo. Sammann chyba myślał podobnie.

- Równie dobrze mogło to zadziałać w drugą stronę - zauważył.

- Jak... - Na chwilę zaniemówiłem. - Chcesz powiedzieć, że to grupa deklarantów stworzyła w świecie sekularnym fundę, żeby ta kupiła im wyspę? To niedorzeczne.

Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że to Sammann zwyciężył w tym sporze: on był odprężony i zadowolony, a ja zły i wytrącony z równowagi - głównie dlatego, że jego wizja idealnie wpasowała się we wszystko, czego w ostatnich tygodniach dowiedziałem się o Dynastii.

Mimo to wszyscy czekali, co jeszcze powiem.

- Jeżeli masz rację, Sammannie, to ci ludzie, kimkolwiek są, i tak wiedzą, że tu jesteśmy. Dlatego uważam, że powinniśmy działać otwarcie. Jedźmy tam. Podejdę do bramy, zastukam i powiem, co mnie sprowadza.

Wszyscy wstali od śniadania i zaczęli się zbierać - poza Gnelem, który chodził za Sammannem krok w krok.

- Na pewno można się dowiedzieć czegoś więcej o tej instytucji, która kupiła wyspę. No nie mów, że nie mam racji! Niewiele jest rzeczy na świecie, które przetrwały dziewięćset lat!

- Przeciwnie, jest ich bardzo dużo - odparł Sammann. - Na przykład arka, do której należysz: jest sporo starsza... - Spojrzał badawczo na Gnela. - Aha, i o to ci właśnie chodzi, prawda? Sugerujesz, że to jakaś instytucja religijna?

Zaskoczony Gnel zaczął się wycofywać rakiem ze swoich słów.

- Sugeruję, że nie ma firm, które by istniały od tak dawna.

- Co innego powiedzieć tak o firmach, a co innego twierdzić, że Ecba zarządza jakąś potajemna arka.

- Kiedy widzę, że deklaranci chodzą swobodnie po ulicach, zaczynam szukać innych wytłumaczeń niż te, do których się przyzwyczailiśmy.

- Widzieliśmy deklarantów w Mahshcie - przypomniał Gnelowi Yul. - Może ci tutaj też zostali powołani albo coś.

Chyba nawet sam Yul w to nie wierzył, ale po tych słowach nastąpił impas.

- Wielu deklarantów, zwłaszcza proceńczyków i faanów, uważa, że wiara w istnienie Hylaejskiego Świata Teoretycznego niczym się nie różni od religii - powiedziałem. - Ja mam zaś powody przypuszczać, że deklaranci z Oritheny to skrajny odłam wyznawców HŚT. Kwestia tego, czy tworzą wspólnotę o charakterze religijnym, czy jednak nie, w znacznej mierze zależy od przyjętej definicji takiej wspólnoty.

Zawahałem się, bo przyszło mi do głowy, że Orolo splantowałyby mnie bezlitośnie, słysząc, jak wygaduję takie sfenickie głupoty. Nawet Sammann spojrział na mnie z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział: chyba wyczuwał, że po prostu próbuję zmobilizować nas do wyjazdu.

- Posłuchaj... - Zwróciłem się do Gnela. - Sammann dopiero zaczyna się interesować tym tematem. Widzieliśmy już w

przeszłości, że czasem dotarcie do źródeł może trwać nawet kilka dni. Bez względu na to, czy deklaranci otworzą dla mnie bramę Oritheny, wy będziecie mieli mnóstwo czasu, żeby dalej pytać i zbierać informacje.

- To prawda - przyznał Gnel. - Tylko że otwarcie lub nieotwarcie bramy zależy od tego, co im powiesz, a to z kolei jest odbiciem stanu twojej wiedzy. Dlatego uważam, że lepiej byłoby ze dwa dni poczekać.

- Wiem więcej, niż mówię - uspokoiłem go. - I chcę tam jechać jeszcze dziś.

Metekoranes: Starożytny teor, wyjątkowo utalentowany w dziedzinie geometrii płaszczyzny, lecz rzadko angażujący się w dialogi. Zginął przysypany popiołem podczas erupcji wulkanu, która zniszczyła Orithenę. Według zwolenników teorii istnienia Starej Dynastii - założyciel (prawdopodobnie mimowolny) tejże.-
SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Dwie godziny później stanąłem przed bramą Oritheny.

Dwudziestostopowy mur zbudowano z bloków drobnoziarnistego, szarobrazowego kamienia. Wszystkie miały taki sam kształt i rozmiary. Kiedy tak stałem, pocąc się na słońcu i czekając, aż ktoś odpowie na moje pukanie, miałem aż nadto czasu, żeby dobrze im się przyjrzeć i dojść do wniosku, że zostały odlane z materiału udającego beton, a uzyskanego z popiołu wulkanicznego. Bloki miały rozmiary sporych tacek; dwóch deklarantów mogłoby je przenosić i układać za pomocą całkiem prostych narzędzi. Jedne wpadały w szarość, inne w brąz, ale przy idealnie równych spoinach cała ściana wyglądała jak ułożona z dziecięcych klocków. Bramę - dostatecznie szeroką, żeby mogły się w niej minąć dwa drumony - zbudowano ze stalowych płyt, które w tym klimacie gwarantowały jej długą żywotność. Po zapukaniu cofnąłem się dobre kilka kroków, żeby nie odczuwać

bijącego od niej żaru. Obejrzałem się na stojący kilkaset stóp ode mnie kram z pamiątkami. Cord, oparta plecami o zacieniony bok aportu Yula, pomachała do mnie. Sammann zarejestrował na piszczku mój fototyp.

Brama była wpasowana między dwie cylindryczne baszty podziurawione małymi zakratowanymi okienkami. W lewej baszcie znajdowały się maleńkie drzwi, także stalowe i zaopatrzone w przeziernik wielkości dłoni. Minęło jeszcze trochę czasu, zanim w końcu podszedłem i w nie zastukałem. Po mniej więcej dziesięciu minutach usłyszałem w środku poruszenie: jakieś drzwi w baszcie otworzyły się, a potem zamknęły z hukiem. Zgrzytnęła zasuwka. Otworzył się przeziernik. Pomieszczenie po drugiej stronie było ciemne i - jak przypuszczałem - cudownie chłodne, ale moje przyzwyczajone do oślepiającego słońca Ecby oczy niczego w środku nie dostrzegły.

- Wiedz, że stykasz się z innym światem niż twój własny, ze światem, którego bram nie będziesz mógł przekroczyć, nie złożysz uroczystej przysięgi, że nigdy go już nie opuścisz - zabrzmiał kobiecy głos.

Kobieta mówiła po fluksyjsku, z lekkim miejscowym akcentem. Zachowywała się w taki sam sposób i mówiła to samo, co wszyscy odźwierni od czasów Cartas.

- Witaj, suur - powiedziałem. - Może przejdziemy na orthyjski? Jestem fraa Erasmus z kapituły edharskiej matemu dziesięcioletniego Koncentu Saunta Edhara.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem wizjer został zamknięty na zasuwkę i znów zapadła cisza. Kiedy przeziernik znowu się otworzył, usłyszałem inny głos - także kobiecy, ale niższy i starszy:

- Jestem Dymma.

- Witaj, suur Dymmo. Fraa Erasmus, do usług.

- Co do tego, czy będziemy dla siebie nawzajem suur i fraa, mam na razie spore wątpliwości. Zwłaszcza kiedy widzę cię w takim stroju.

- Przybywam z daleka. Podczas peregrynacji przez

Saeculum skradziono mi zawój, sznur i sferę.

- Nie zwołyaliśmy konwoksu. Nie spodziewamy się pielgrzymów.

- Cóż za niegościnnosc... Dlaczego Orithena, skąd wyruszyli pierwsi pielgrzymi, nie przyjmuje tych, którzy do niej wracają?

- Przestrzegamy Dyscypliny, nie zasad gościnności. W mieście są hotele; one specjalizują się w przyjmowaniu gości.

Wizjer szcęknał w taki sposób, jakby Dymma zamierzała go zamknąć.

- Który fragment Dyscypliny pozwala deklarantom sprzedawać mydło extramuros? - zapytałem. - Który przepis stwierdza, że fraa w zawojach mogą swobodnie spacerować po miasteczku?

- Twoje słowa przeczą twojemu twierdzeniu, jakobyś był deklarantem. Prawdziwy fraa wiedziałby, że przykazania Dyscypliny brzmią różnie w różnych matemach.

- Wielu deklarantów nie ma o tym pojęcia, ponieważ nigdy nie opuszczają swoich matemów - zauważyłem.

- Otóż to - odparła Dymma.

Wyobraziłem sobie, jak uśmiecha się złośliwie w półmroku, zadowolona, że tak zgrabnie rozegrała tę wymianę zdań. I wygrała: to ja byłem extramuros, gdzie deklaranci nie mieli czego szukać.

- Zgoda, przyznaję, wasze zwyczaje mogą się nieco różnić od przyjętych w całym świecie matemowym... - zacząłem, ale weszła mi w słowo:

- Nie do tego stopnia, żebyśmy wpuścili tu kogoś bez przysięgi.

- Orolo też ją złożył?

Kilka sekund ciszy. Szczęk zamykanego wizjera.

Czekałem. Odwróciłem się do moich towarzyszy, pomachałem im, demonstracyjnie wzruszyłem ramionami. Było mi dziwnie trudno odnowić kontakt z nimi nawet za pomocą tak prostego gestu - po tym, jak prawie zajrzałem za próg matemu.

Pożegnałem się z nimi przed kwadransem w taki sposób, jakbyśmy mieli się spotkać przy obiedzie - ale przecież równie dobrze mogłem za tym murem spędzić resztę życia.

Przeziernik.

- W jakiej sprawie przychodzisz, ty, który mienisz się fraa Erasmem? - zapytał po orthyjsku jakiś mężczyzna.

- Fraa Jaad, milenarysta, który znał sposób myślenia Orola, przysłał mnie tutaj, żebym go odszukał.

- Orola, który został odrzucony?

- Tak.

- Dla tego, komu fraa i suur odśpiewali peanatemę, nie ma powrotu do matemu. Nawiasem mówiąc, fraa, który został powołany i wysłany na konwoks w Tredegarhu, nie powinien się znieacka zjawiać w zupełnie innym matemie, na drugim końcu świata.

Spodziewałem się tego, jeszcze zanim dotarliśmy na Ecbę. Pewne zdobyte po drodze informacje utwierdzały mnie w moim przekonaniu, ale - co dziwne - argumentem, który ostatecznie przeważał szalę, była architektura. Nie rozpoznałem żadnych śladów stylu matemowego.

- Zagadka, którą mi przedłożyłeś, nie jest prosta - przyznałem. - Jednakże po chwili namysłu odpowiedź wydaje się oczywista.

- Tak? Jak zatem brzmi?

- To nie jest matem.

- Jeśli nie matem, to co?

- Klauzura Dynastii, która powstała tysiąc lat przed tym, zanim Cartas sformułowała Dyscyplinę.

- Witaj w Orithenie, fraa Erasmie.

Zadudniły ciężkie sztaby. Drzwi się otworzyły.

Wszedłem na teren Oritheny i wstąpiłem do Dynastii.

W Sauncie Edharze Orolo trochę się zaniedbał; formę pomagała mu utrzymać tylko praca w winnicy i wspinaczki po schodach do gwiazdnego kręgu. Na Kopcu Bly'a stracił na wadze (sądząc po fototypach Estemarda), zapuścił włosy i obowiązkową dla dzikusa brodę. Kiedy jednak dopadłem go za bramą Oritheny i obróciłem pięć razy dookoła, wydał mi się całkiem krzepki, ani za gruby, ani zabiedzony, a gdy wreszcie go puściłem, łzy płynęły mu po opalonych, gładko ogolonych policzkach. Tyle tylko zdążyłem zobaczyć, zanim w oczach zaszklily mi się łzy i musiałem pospacerować chwilę w cieniu muru, żeby dojść do siebie. Dyscyplina w żaden sposób nie przygotowała mnie na taką sytuację: przytulanie nieżyjącego człowieka. Może oznaczało to, że ja również umarłem dla świata matematycznego i przenieśliem się do swoistego życia po śmierci. Cord, Yul, Gnel i Sammann spełnili rolę moich grabarzy.

Musiałem się naprawdę bardzo skupić, żeby sobie przypomnieć, że w dalszym ciągu czekają pod bramą, zachodząc w głowę, co się stało.

W klauzurze znajdowała się niewielka fontanna i Orolo przyniósł mi z niej czerpak pełen wody. Usiedliśmy w cieniu wieży zegarowej. Napilem się. Woda miała siarkowy posmak.

Od czego zacząć?

- Tyle ci chciałem powiedzieć, kiedy zostałeś odrzucony. Nie mogłem. Od tamtej pory też wielokrotnie o tym myślałem, ale...

- Wszystko odplywa.

- Słucham?

- Wszystkie rzeczy odplywają wstecz w czasie i zmieniają się, twój umysł je zmienia, aż w końcu wcale nie musisz o nich rozmawiać. I dobrze. Porozmawiajmy o czymś świeżym i interesującym.

- Jak chcesz. Świetnie wyglądasz.

- A ty nie. Mam nadzieję, że na te blizny zapracowałeś z honorem?

- Niezupełnie. Ale na pewno dużo się przy okazji

nauczyłem.

Wcale nie miałem ochoty opowiadać mu swojej historii. Przez kilka pierwszych minut gadaliśmy o błahostkach, dopóki nie dotarło do nas, jakie to niedorzeczne, i nie poszliśmy się przejść. Jakiś młody fraa (jeśli można tak nazwać kogoś, kto mieszka w matemie niebędącym matemem) przyniósł zawój i sznur, które wręczył mi w zamian za moje sekularne ubranie. Orolo poprowadził mnie szeroką ścieżką ubitą niezliczonymi kórkami taczek i obutymi w sandały stopami na skraj wykopu, w którym zmieściłoby się kilka tumów takich jak ten w Sauncie Edharze. O ile jednak my budowaliśmy nasz gmach od dołu do góry, kładąc kamień na kamieniu, o tyle oni tutaj poszli w odwrotnym kierunku i łopata za łopata wybierali sobie budulec spod nóg. Ściany wykopu były zbyt strome, a ziemia zbyt sypka, żeby bezpiecznie się trzymać, wzmocnili je więc płytami przetopionego popiołu, a na dno schodziła spiralna rampa. Wszedłem na nią, ale Orolo złapał mnie za rękę.

- Spójrz, tam nikogo nie ma. Im głębiej schodzisz, tym goręcej się robi, dlatego kopiemy w nocy. Jeśli jednak upierasz się przy przechadzce, proponuję małą wspinaczkę.

Wskazał zbczce wulkanu.

Z fototypów, które pokazywał mi Sammann, oraz z wczorajszego rekonesansu wiedziałem, że Orithena jest obwiedziona dwoma pierścieniami muru stykającymi się przy głównej bramie. Wyższy, dwudziestostopowy, okalał klauzurę, w której mieszkała większość deklarantów, oraz wydrążoną przez nich dziurę w ziemi. Mur zewnętrzny był znacznie niższy - sięgał najwyżej sześciu stóp i pełnił rolę raczej symboliczną, za to wspinał się tysiące stóp po stoku góry, osłaniając pas ziemi ciągnący się aż po samą kaldereę. Fototypy Sammanna wskazywały, że pod szczytem zainstalowano aparaturę górniczą, zapewne czerpiącą energię z wulkanicznego żaru. Spodziewałem się więc, że na górze będzie gorąco, śmierdząco i niebezpiecznie, ale ziemia rozciągająca się od podnóża do wierzchołka, po której szliśmy z Orolem, wspólnym wysiłkiem członków Dynastii

została przemieniona w oazę. Udało im się gdzieś znaleźć wodę, która zasiłała winnice, pola zbóż i przeróżne drzewa dające owoce i ziarna oleiste, a przy okazji ocieniające wiodącą na górę dróżkę. Z każdym naszym krokiem temperatura spadała, a wiatr zawiewał ciut bardziej orzeźwiająco. Nie marzłem, bo wysiłek związany ze wspinaczką mnie rozgrzewał, ale kiedy osiągnęliśmy wysokość odpowiednią do tego, żeby się zatrzymać, popodziwiając widoki i posilić się zebranymi po drodze owocami, pot wysechł na mnie błyskawicznie w podmuchach zimnej morskiej bryzy i musiałem się ciałniej opatulić zawojem.

Wyszliśmy ponad górną granicę oritheńskich sadów, pokonaliśmy pas karłowatych, zdeformowanych drzew i znaleźliśmy się na pochyłej łące - z daleka wyglądała jak oszroniona, z bliska zaś okazała się pokryta dywanem drobniutkich kwiatków, które jakimś cudem znalazły tu warunki do życia. W powietrzu unosiły się kolorowe owady, ale nie w takiej liczbie, żeby było to uciążliwe. Domyślałem się, że ich populację skutecznie kontrolują ptaki, których śpiew dobiegał z drzew i kęp kolczastych zarośli. Usiedliśmy na odsłoniętym korzeniu drzewa, z pewnością zasadzonego w pierwszym roku po erupcji. Orolo twierdził, że te drzewa - niższe ode mnie i całkiem niepozorne - są najstarszymi żywymi organizmami na Arbre.

Prawie cała nasza rozmowa w tamto popołudnie ograniczała się do takich turystycznych ciekawostek. W pewnym sensie odczuwałem ulgę, dyskutując o ptaszkach, drzewkach, o tym, ile stóp sześciennych ziemi wydobyto z wykopu i ile budynków świątynnych udało się odkryć - zamiast poruszać poważniejsze tematy: kwestię Geometrów, konwoksu, Dynastii.

Zeszliśmy i zjedliśmy kolację w refektarzu razem z setką zamieszkujących dziwny matem fraa i suur. Ich pewner, fraa Landasher (ostatni z trójki odźwiernych, którzy przesłuchiwali mnie przy bramie), oficjalnie mnie przywitał i wznosił toast za moje zdrowie. Wypiłem trochę za dużo ich doskonałego wina (nieskończenie lepszego niż to, które Orolo uzyskiwał ze swojej przemrożonej winnicy w Sauncie Edharze) i odespałem to w

jednoosobowej celi.

Obudziłem się przygnębiony i na kacu. Byłem przekonany, że jest późno i zasnęłam rozpaczliwie - ale pora była wczesna, a z wykopalisk właśnie wracała nocna zmiana kopaczy z kilofami, kielniami, miotełkami i notesami, wyśpiewując przezabawne marszowe piosenki. Wybudowali w klauzurze łaźnię, do której doprowadzili gorącą wodę z wulkanicznych źródeł: pod wodospadami z pionowych rur można było w dziesięć sekund opłukać się do czysta. Wytrzymałem pod jednym z nich tak długo, aż zabrakło mi tchu, wyszedłem i odczekałem, aż wykonany z nowomaterii zawój osuszy mi skórę. Trochę mnie to otrzeźwiło, ale główną przyczyną mojego skwaszenia był wstrząs wywołany powrotem do świata matemowego, z jego zupełnie odmiennym poczuciem czasu niż to, do którego zdążyłem już przywyknąć extramuros. Sprawę pogarszał fakt, że nikt mi na razie nie wyłożył reguł rządzących moim nowym domem - a ten do złudzenia przypominał cartaski matem, z tą różnicą, że nikt nie kazał mi składać przysięgi i miałem poczucie, że mogę w każdej chwili wyjść przez bramę na zewnątrz. Jego mieszkańcy twierdzili, że żyją w matemie, na użytek ludzi, którzy mogliby nie zrozumieć prawdy. Maskowali się, udając deklarantów, i na dobrą sprawę nie było to nawet kłamstwo, ponieważ poświęcali się swojej pracy z takim samym animuszem jak mieszkańcy Saunta Edhara - a może nawet większym, skoro nie godzili się na to, żeby jakiś regulamin czy widzimisię Inkwizycji przeszkadzały im w codziennych obowiązkach.

Fraa Landasher złapał mnie wychodzącego z kąpieli i przedstawił mi suur Spry, która była w przybliżeniu moją rówieśniczką. A właściwie nie tyle przedstawił, ile przypomniał, ponieważ to ona powitała mnie dzień wcześniej przy bramie. W niepokojący sposób przypominała mi Alę. Fraa Landasher nalegał, że jeśli chcę zobaczyć wykopaliska, powinienem się pospieszyć, ponieważ niedługo zrobi się zbyt gorąco. Suur Spry miała być moją przewodniczką; przygotowała już nawet kosz piknikowy z przekąską na drogę. Widziałem po ich minach, że spodziewają się

po mnie wybuchu entuzjazmu - i trudno im się było dziwić. Ja jednak musiałem udawać wdzięczność, ponieważ przede wszystkim chciałem obudzić Orola i przedyskutować z nim palące problemy sekularne.

Nie wiedząc, co się wydarzy przy bramie, umówiłem się z Cord, Yulem, Gnelem i Sammannem, że jeśli deklaranci wpuszczą mnie do środka, oni poczekają jeszcze godzinę, a jeśli przez ten czas nic się nie stanie, wrócą do obozowiska i odczekają trzy dni, zanim znów pojawią się pod matemem. Ja przez ten czas miałem spróbować dać im znać, co mają robić dalej. Miałem świadomość, że czas ucieka, i prawdę mówiąc, nie paliłem się do wycieczek w towarzystwie świeżo poznanych dziewczyn, dlatego w markotnym humorze wszedłem na rampę, niosąc przewieszony przez ramię kosz z jedzeniem.

Kiedy jednak dotarłem na dół, mój nastrój zmienił się diametralnie: wystarczyło, że zrzuciłem sandały i poczułem pod stopami te same kamienie, po których stapał Adrakhones; stanąłem na schodach świątyni, gdzie Diax wymachiwał grabiami; zobaczyłem na własne oczy analemę, przy której pokolenia kapłanów-fizjologików odprawiały certyfik; przeszedłem po Dziesięciokacie, na którym stał pogrążony w zadumie Metekoranes, kiedy wulkaniczny popiół przysypywał Orithenę.

- Znaleźliście go? - zapytałem Spry chwilę później, kiedy zajadaliśmy owoce z kosza i popijaliśmy je wodą.

- Kogo? Metekoranesa?

- Mhm.

- Tak. Jego pierwszego szukaliśmy... To znaczy, szukali. Moi poprzednicy. I znaleźli stojący...

Zawahala się, rozdarta między uniesieniem i odrazą.

- Szkielet?

- Odlew. Kompletny odlew. Możesz go obejrzeć, jeśli chcesz. Oczywiście nie ma dowodów na to, że to faktycznie Metekoranes; mamy tylko domysły, idealnie wpisujące się w legendę. Stał nawet ze spuszczoną głową, jakby rzeczywiście wpatrywał się w mozaikę.

Plac, na którym zasiedliśmy do pikniku (ten sam, na którym został pogrzebany Metekoranes), był teglonem co się zowie: płaski, dziesięciokątny, mierzący w poprzek dobre dwieście stóp, wyłożony gładkimi płytami marmuru. W starożytności był wykafelkowany ceramicznymi płytkami. Płytki pochodziły z siedmiu różnych form i miały siedem różnych kształtów, tak dobranych, że można było z nich stworzyć nieskończoną liczbę deseni - czego nie da się zrobić z kwadratami lub trójkątami, które tworzą powtarzalne układy, nie pozostawiając układającemu wyboru. Z teglonem rzecz wyglądała inaczej: dysponując odpowiednio dużą liczbą płytek, można było tworzyć wciąż nowe wzory. Nawet teraz po placu walały się setki kafelków; w paru miejscach było widać małe mozaiki ułożone przez nowych oritheńczyków. Przykucnąłem nad jedną z nich. Spojrzałem pytająco na Spry.

- Śmiało - powiedziała. - To współczesne kopie. Znaleźliśmy oryginalne formy.

Wziąłem do ręki jedną z płytek, mającą akurat kształt rombu. Jej powierzchnię przecinał rowek łączący łukiem dwie ściany. Zaniósłem ją do najbliższego wierzchołka Dziesięciokąta i położyłem: rozwarły kąt idealnie pasował do narożnika.

- No proszę... Zaczynamy od najtrudniejszego kawałka, co? - zakpiła ze mnie Spry.

Okręciła się na pięcie i poszła prosto do przeciwległego wierzchołka, gdzie również położyła pierwszą płytkę. Ja tymczasem zebrałem więcej kafelków i udało mi się natrafić na próbki wszystkich siedmiu rodzajów. Wybrałem jeden z nich na chybił trafił i przyłożyłem do rombu. On również miał na powierzchni wyrytą krzywą (wszystkie płytki były tak ozdobione), obracałem go więc i przekładałem tak długo, aż udało mi się zrobić z niej przedłużenie łuku z rombu. W kąt między tymi dwiema płytkami wpasowałem trzecią, co otworzyło możliwość dołożenia czwartej, piątej i dalszych.

Teglon mnie wciągnął. Celem zabawy było pokrycie całego Dziesięciokąta mozaiką w taki sposób, żeby zdobiący

kafelki rowek tworzył nieprzerwaną krzywą od początkowego wierzchołka aż do końcowego (naprzeciwległego, w którym suur Spry położyła swoją płytkę) i przechodził przez wszystkie użyte w układance płytki. Początki były łatwe, układanie przychodziło mi naturalnie, ale od pewnego momentu dwa cele układanki - pokrycie całej powierzchni Dziesięciokąta oraz ułożenie nieprzerwanej krzywej - zaczynały się ze sobą kłócić. Ułożywszy całkiem obiecujący ciąg kafelków, musiałem go na chwilę porzucić, kiedy się okazało, że nie da się go z niczym połączyć, i dopiero po dłuższym czasie udało mi się do niego podejść z drugiej strony. Zadowolony z siebie pracowałem dalej, ale wkrótce utknąłem w takim miejscu, że w trzech miejscach jednocześnie miałem oderwane kawałki krzywej i straciłem wszelką nadzieję, że uda mi się je w przyszłości połączyć. Jeden z głównych problemów stanowiło ułożenie kafelków na obwodzie Dziesięciokąta; płytki układane w środku wydawały się znacznie mniej interesujące - ale to było tylko złudzenie, bo przecież ułożenie tej w samym środku determinowało położenie wszystkich kafelków w całym Dziesięciokącie.

Starożytni oritheńscy przypuszczali (choć nie umieli tego udowodnić), że płytki w teglonie są aperiodyczne, czyli że żaden ułożony z nich wzór nie będzie się powtarzał. Rozwiązanie teglonu byłoby łatwe, żeby nie powiedzieć: automatyczne, gdybym dysponował kwadratami, trójkątami lub dowolnym innym okresowym zestawem płytek. W przypadku zestawu aperiodycznego ułożenie mozaiki było niemożliwe, a z pewnością wysoce nieprawdopodobne dla kogoś pozbawionego boskiego daru widzenia całego układu jednocześnie. Metekoranes był przekonany, że taki układ istnieje w Hylaejskim Świecie Teorycznym i dlatego teglon może rozwiązać tylko ktoś, kto potrafi zajrzeć do HST.

Suur Spry chrząknęła znacząco. Spojrzałem na nią, przykucnięty na skraju pięćdziesięciostopowego kawałka mozaiki.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Niektórzy przesuwiają je patykiem. Plecy mniej bołą.

- Pewnie powinniśmy się zbierać, co?

- Niedługo.

Zanim jednak ruszyliśmy w drogę powrotną, Spry oprowadziła mnie po ruinach. Nie zachował się żaden dach, co było zrozumiałe. Część kolumn nadal stała, ocalało również kilka kawałków ścian, chociaż niższych niż dawniej i na wpół pogrzebanych w kamiennych blokach, które osunęły się z góry. Głównie mogliśmy podziwiać fundamenty, posadzki, schody i patia. Te rejony wykopalisk, w których prace trwały, zostały odgródzone sznurkiem; Adrakhones z pewnością doceniłby jego geometryczną elegancję. Od początku wykopalisk kamienie opisywano równiutko malowanymi literami i cyframi. Wiedziałem już, że na górze znajduje się coś w rodzaju muzeum i tam trafia wiele eksponatów z Oritheny, w tym - zapewne - także posąg Metekoranesa. Pomyślałem, że takie muzeum jest pewnie ciemne. Klimatyzowane. Chłodne.

- Dobrze, chodźmy z tego piekarnika - zaproponowałem.

Suur Spry nie protestowała.

I tak zasiedzieliśmy się dłużej, niż zamierzałem - po części dlatego, że Orithena była fascynująca, ale przede wszystkim dlatego, że (co nie najlepiej o mnie świadczy) miałem świadomość, że jest to moja jedyna szansa, żeby przeżyć coś prawie tak samo fajnego jak kosmiczna przygoda Jesry'ego.

Moje ciało na tyle już doszło do siebie, że mogło mi dać trochę luzu, i na początku wspinaczki gadałem o teglonie jak nakręcony, jak ci wszyscy dawni geometrycy, którzy dostawali świra na jego punkcie. Wkrótce jednak obrażenia znów dały znać o sobie i ból zgasił moje podniecenie. Droga powrotna była długa, mozolna i upłynęła w milczeniu. Wziąłem drugą kąpiel i zasnąłem. Obudziłem się pod wieczór. Orolo miał dyżur w kuchni. Pomogłem mu, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać - i w ten sposób straciłem już drugi z trzech dni. Zanim poszedłem spać, uprzedziłem Orolo, że mamy mnóstwo spraw do omówienia. Zaraz po śniadaniu wymknęliśmy się z klauzury na łąkę.

Krakersi: Grupa teorów z Epoki Praksis, skupionych wokół saunty Baritoe. Koncentrowali się na analizie konsekwencji faktu, że nie postrzegamy materialnego kosmosu bezpośrednio, lecz wyłącznie za pośrednictwem zmysłów.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Kiedy wylądowałem na Kopcu Bly'a, czułem się jak ci nieszczęśni kosmografowie, kiedy po Rekonstrukcji okazało się, że już nie mają do dyspozycji zderzaczy atomów - powiedział Orolo.

- Widziałem teleskop - odparłem. - I obrazy dwudziestościanu...

Pokręcił głową.

- Nic przez niego nie widziałem. Musiało mi wystarczyć to, co mogłem obserwować.

Nic z tego nie zrozumiałem.

- No dobrze... - zacząłem ostrożnie. - A co to było?

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

- Ja sam.

Zamurowało mnie - co najlepiej dowodziło, że nadal mam do czynienia z tym samym starym, dobrym Orolem.

- W jaki sposób samoobserwacja miała ci pomóc zrozumieć Geometrów?

Zdażyłem mu już powiedzieć, że tak właśnie najczęściej nazywa się obcych.

- Zacznijmy od krakersów. Pamiętasz mucho-nietoperzodżdżownicę?

Roześmiałem się.

- Niedawno miałem powtórkę: Arsibalt tłumaczył jednemu statyście, dlaczego nie wierzymy w Boga.

- W mucho-nietoperzodżdżownicy nie o to chodzi. Rzecz w tym, że sama czysta myśl nie pozwala nam wyciągać wniosków

odnoszących się do bytów nie-czasoprzestrzennych, takich jak Bóg.

- Zgadza się.

- Spostrzeżenie krakersów musi się odnosić także do umysłów obcych. Bez względu na to, jak bardzo się od nas różnią pod innymi względami, muszą w jakiś sposób budować spójny model otoczenia w oparciu o dane zmysłowe; model oparty na czasoprzestrzennym szkielecie. W ten właśnie sposób doszło do tego, że dzielają nasze idee geometryczne.

- Nie tylko. Wygląda na to, że rozumieją także ideę prawdy i dowodu.

Orolo wzruszył ramionami.

- Rozsądne domniemanie...

- To coś więcej niż domniemanie! - zaperzyłem się. - Wymalowali na burcie statku Twierdzenie Adrakhonesa!

O tym wcześniej nie wiedział.

- Poważnie? Mają tupet...

- Nie widziałeś?

- Przypominam ci, że zostałem odrzucony, zanim mogłem obejrzeć ostatnie obrazy przedstawiające statek obcych.

- Naturalnie. Zakładałem jednak, że zdążyłeś zobaczyć wcześniejsze obrazy... Rejestrowałeś je przecież już od dłuższego czasu...

- Same plamy i smugi! - prychnął Orolo. - Dopiero się uczyłem, jak rejestrować przyzwoity obraz.

- Czyli nie widziałeś dowodu, liter ani czterech planet.

- Nie, nie widziałem.

- To jeszcze nie wszystko, jeżeli interesujesz się Geometrami. Poznaliśmy mnóstwo nowych danych!

- Widzę, że jesteś nimi ogromnie podekscytowany, Erasmasie. Życzę ci powodzenia w analizowaniu ich, obawiam się wszakże, że mnie mogłyby jedynie rozpraszać i odciągać od głównego nurtu rozumowania.

- Głównego nurtu... Nie rozumiem.

- Datonomia evenedrycka - odparł Orolo takim tonem,

jakby i to miało być dla mnie oczywiste.

- Datonomia... - powtórzyłem. - Czyli badanie danych, tak?

- Danych w sensie podstawowych myśli i wrażeń, z którymi pracują nasze umysły. Saunt Evenedryk zainteresował się datonomią u schyłku życia, kiedy odcięto go od zderzacza atomów. Jego bezpośrednim poprzednikiem był, rzecz jasna, saunt Halikaarn. Halikaarn uznał, że myśl krakerska wymaga solidnego odświeżenia, jeśli ma nadażyć za postępami, jakie dokonały się od czasów Baritoe w dziedzinie teoryki i jej cudownych zastosowań w świecie fizycznym.

- I jak sobie z tym poradził?

Orolo skrzywił się.

- Większość archiwów uległa zniszczeniu, ale wygląda na to, że pochłonęła go walka z Procem i opędzanie się od nasyłanych przez niego kundelków. Główny ciężar pracy spadł na Evenedryka.

- Czy to było ważne dla Dynastii?

Orolo posłał mi dziwne spojrzenie.

- Niespecjalnie... To znaczy, tak w ogóle to jak najbardziej. Tylko że trudno powiedzieć, żeby datonomia była szczególnie satysfakcjonująca, przynajmniej dopóki na orbicie twojej ojczystej planety nie pojawią się statki obcych.

- W takim razie... teraz jesteś usatysfakcjonowany?

- Porozmawiamy szczerze. Obawiasz się, że udaję mądrego, a w rzeczywistości tracę czas; że na Kopcu Bly'a zająłem się datonomią nie dlatego, że była warta zachodu, ale dlatego, że brakowało mi danych na temat Geometrów. I uważasz, że skoro wiemy już, że są, albo byli, podobni do nas pod względem fizycznym i umysłowym, dalsze rozważania w tym guście są pozbawione sensu.

- Zgadza się. Tak właśnie uważam.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą, ale nie zapominajmy, co się między nami zmieniło: nie jesteśmy już ojcem i fidem, tylko dwoma fraa. A fraa często się ze sobą nie zgadzają i mimo to nie żywią do siebie urazy.

- Miło mi, że tak mówisz, ale do tej pory nasza rozmowa jako żywo przypominała konwersację ojca z fidem.

- Głównie dlatego, że wiem trochę więcej niż ty.

Puściłem tę błahą uprzejmość mimo uszu.

- Mógłbyś się na chwilę oderwać od datonomii evenedryckiej? Chciałbym pomówić o ważnych sprawach sekularnych.

- Ależ oczywiście.

- Kilkanaścioro naszych deklarantów zostało powołanych na konwoks w Tredegarhu - zacząłem. Orolo nie wyraził nawet cienia ciekawości, jak to się stało, że zawitałem do Oritheny. Nie mieściło mi się to w głowie. - Był wśród nas fraa Jaad, tysięcznik. Pojechałem z nim, Arsibalem i Lio na Kopiec Bly'a...

- I tam zobaczyliście arkusze przypięte do ścian mojej celi.

- On... to znaczy Jaad... szybko cię rozgryzł. Podejrzenie szybko. Domyślił się, że udałeś się na Ecbę. Chyba podejrzewał też, że możesz mieć coś ciekawego do powiedzenia o Geometrach.

- W jego domysłach nie było niczego podejrzanego. Wszystkie te sprawy łączą się ze sobą i wystarczył mu rzut oka na moją celę, żeby to zrozumieć.

- Ale jak? Jak wy się porozumiewacie? Musicie przecież łątać Dyscyplinę!

- Co rozumiesz przez „wy”? Masz chyba jakieś melodramatyczne wyobrażenia na temat Dynastii. Mam rację?

- Rozejrzyj się, Orolo! Co tu się dzieje?!

- Gdybym zainteresował się meteorologią, poświęcałbym dużo czasu na obserwowanie pogody. Miałbym wiele wspólnego z innymi meteorologami, mimo że nigdy ich nie spotkałem; myślelibyśmy w podobny sposób, ponieważ nasze wnioski wpływałyby z analizowania tych samych zjawisk. W ten sposób można wyjaśnić dziewięć z dziesięciu zbiegów okoliczności, które ty przypisujesz potajemnym machinacjom Dynastii.

- A różnica jest tylko taka, że zamiast meteorologii zainteresowałeś się datonomią evenedrycką?

- Mniej więcej.

- Ale ściany twojej celi nie miały nic wspólnego z Evenedrykiem ani datonomią! Były tam tylko materiały nawiązujące do Oritheny i wykres Dynastii.

- To, co nazywasz wykresem Dynastii, to w rzeczywistości specyficzne drzewo genealogiczne obejmujące wszystkich tych, którzy próbowali w przeszłości zrozumieć Hylaejski Świat Teoryczny. Okazuje się, że gdyby prześledzić jego rozwój i odciąć, jeśli można się tak wyrazić, gałęzie obsadzone przez fanatyków, entuzjastów, deolatrów oraz wszystkie ślepe zaułki, zostanie nam coś, co już wcale nie przypomina drzewa, tylko raczej kołek. Zaczyna się od Cnoüsa, przechodzi przez Metekoranesa i Protasa i w połowie długości napotykamy Evenedryka.

- Dlatego fraa Jaad, widząc twoje drzewo przycięte do postaci kołka, od razu się domyślił, że zajmujesz się datonomią evenedrycką.

- Oraz że usiłuję w ten sposób zrozumieć funkcjonowanie umysłów Geometrów.

- A Ecba? Skąd wiedział, że popłyniesz na Ecbę?

- Ten matem założyli ludzie pochodzący z tych samych cel, w których fraa Jaad spędził całe życie. Wiedział, albo przynajmniej się domyślał, że jeśli tu dotrę, wpuszczą mnie za bramę, nakarmią i zapewnią mi dach nad głową, a to więcej, niż miałem na Kopcu Bly'a.

- W porządku. - Kamień spadł mi z serca; kamień, który ciążył mi od dnia wizyty w Sambie. - Nie ma żadnego spisku. Dynastia nie porozumiewa się za pomocą szyfrowanych wiadomości.

- Porozumiewamy się nieustannie - powiedział Orolo. - W opisanym przeze mnie sposób.

- Jak meteorologowie obserwujący tę samą chmurę.

- Takie porównanie na tym etapie rozmowy w zupełności nam wystarczy. Nadal jednak nie zrzuciłeś z barków okrutnego brzemienia tej niezwykle istotnej misji, która przywiodła cię do

bram Oritheny. Jakie zadanie wyznaczył ci fraa Jaad?

- Powiedział „Idź na północ tak długo, aż zrozumiesz”. Tę część chyba wykonałem.

- Czyżby? Miło mi słyszeć, że rozumiesz. Bo ja, niestety, nadal mam mnóstwo pytań.

- Przecież wiesz, co mam na myśli! - burknąłem. - Kazał mi potem jechać do Tredegarha i obiecał, że dopilnuje, żebym nie miał kłopotów. Chyba chciał, żebym cię przywiózł. Na konwoks.

- Na wypadek, gdyby się okazało, że mam jakieś ciekawe i użyteczne pomysły na temat Geometrów - domyślił się Orolo.

- Taka idea przyświeca konwoksom, prawda? Użyteczność. Wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że mam za mało danych do rozważań na temat Geometrów.

- Jestem przekonany, że wszystkie możliwe dane czekają na ciebie w Tredegarhu.

- A ja podejrzewam, że ci, którzy się tam spotkali, gromadzą nieistotne informacje.

- No to jedź tam i powiedz im, co jest istotne! Fraa Jaadowi na pewno przyda się twoja pomoc.

- Dla mnie, fraa Jaada i innych, którzy myślą tak jak my, próby wpłynięcia na tę sekularno-matemową hybrydę, jaką jest konwoks, niepokojąco przypominają politykę. Ja zaś słynę z tego, że polityk ze mnie beznadziejny.

- Mogę pomóc. Opowiedz mi o tym, nad czym tu pracujesz, a ja pojadę na konwoks i znajdę zastosowanie dla twojej wiedzy.

Najuprzejmiejsze określenie spojrzenia, jakim uraczył mnie Orolo, brzmiałoby „czułe, lecz zatroskane”. Czekał, aż mój mózg dogoni mój język.

- No dobrze - przyznałem. - Pewnie sam nie dałbym rady.

Przypomniałem sobie, o czym rozmawialiśmy z Tulią przed kwalifikacją.

- Nie mogę ci doradzać, co powinieneś zrobić na konwoksie - odparł w końcu Orolo, - Chętnie jednak wyjaśnię ci,

czym się zajmuję.

- Niech będzie. To mi wystarczy.

- Ale na konwoksie ci nie pomoże. Ba, może nawet zaszkodzić. Pomyślisz, że zwariowałem.

- Nie sądę. Przyzwyczaiałem się, że przez ten cały HST ludzie biorą nas za wariatów.

Orolo uniósł brwi.

- Wiesz co...? Jak się tak zastanowić, to to, o czym chcę z tobą porozmawiać, wcale nie jest aż takie szalone. Natomiast HST... - Ruchem głowy wskazał wykopaliska. - To łagodna i znajoma forma obłądu. - Zawiesił głos i spojrzał na mnie. - Z kim rozmawiasz?

Dziwaczne pytanie zbiło mnie z pantafelów. W pierwszej chwili pomyślałem wręcz, że musiałem się przesłyszeć.

- Z Orolem.

- Czym jest ten Orolo? Gdyby nagle wylądował tu jakiś Geometra i zaczął z tobą rozmawiać, jak opisałbyś mu Orola?

- Jako człowieka, czyli niezwykle złożoną, dwunogą, rozpaloną i ożywioną istotę, która stoi przede mną.

- Nie wiesz, w jaki sposób Geometra postrzega rzeczywistość. Mógłby ci przecież odpowiedzieć: „Ja tam widzę tylko próżnię z lekka przyprószoną falami prawdopodobieństwa”.

- Określenie „próżnia z lekka przyprószona falami prawdopodobieństwa” może odnosić się do dowolnego miejsca albo zjawiska we wszechświecie - zauważyłem. - Gdyby Geometra nie potrafił precyzyjniej opisywać rzeczywistości, wahałbym się, czy zasługuje na miano istoty rozumnej. Skoro wdał się w konwersację ze mną, musiał dostrzec we mnie coś więcej niż...

- Nie rozpędzaj się. Powiedzmy, że komunikujesz się z nim za pośrednictwem piszczałki albo podobnej aparatury. Jesteś dla niego tylko ciągiem cyfr i za pomocą tych cyfr musisz teraz przekazać rozpoznawalny opis Orola. Albo nawet siebie samego.

- W porządku... Musielibyśmy zacząć od ustalenia zrozumiałego dla obu stron opisywania przestrzeni. Potem powiedziałbym tak: „Rozważmy wycinek przestrzeni znajdujący

się w odległości pięciu stóp ode mnie: sześć stop wysokości, dwie stopy szerokości i dwie stopy długości. Fale prawdopodobieństwa, które nazywamy materia, są w tym wycinku przestrzeni bardziej zagęszczone niż poza jego obrębem”. Jakoś tak by to szło.

- Fale są bardziej zagęszczone, bo w tym wycinku znajduje się całkiem sporo ciała. - Orolo poklepał się po brzuchu. - A na zewnątrz tylko powietrze.

- No właśnie. Każda istota świadoma powinna umieć wykryć granicę między ciałem i powietrzem. Wszystko, co znajduje się po wewnętrznej stronie tej granicy, jest Orolem.

- Zabawny jesteś z tym klarownym wyobrażeniem na temat tego, do czego zdolne są istoty świadome. Ale zobaczmy... - Wziął do ręki rąbek zawoju. - A to? Jakbyś to opisał?

- Skoro udało mi się opisać styk ciała i powietrza, tak samo mogę objaśnić, w jaki sposób materia zawoju różni się od jednego i drugiego, i dodać, że Orolo jest tą materia owinięty.

- Czyniąc po drodze nieuprawnione założenia!

- Jakie?

- Przypuśćmy, że Geometra, z którym rozmawiasz, jest zwolennikiem istniejącego w jego cywilizacji odpowiednika myśli krakerskiej. I odpowie ci tak: „Zaraz, zaraz, tego nie wiesz. Nie możesz wypowiadać się o naturze rzeczy, tylko o tym, jak ją postrzegasz”.

- Istotnie.

- Spróbuj wyrazić to, co przedtem, w kategoriach dostępnych ci danych.

- Dobrze. Zamiast mówić, że Orolo jest owinięty materia zawoju, powiem tak: „Kiedy patrzę na Orola z miejsca, w którym stoję, widzę głównie zawój, z którego wystają tylko kawałki Orola - jego głowa i dłoń”. Nie rozumiem jednak, dlaczego to takie ważne.

- Dlatego, że Geometra nie stoi tu gdzie ty. Znajduje się gdzie indziej i ma inny punkt widzenia.

- Co z tego? Przecież zawój okrywa cię całego!

- Skąd wiesz, że nie mam odsłoniętych pleców?

- Widziałem sporo zawojów i wiem, jak działają.
- Ale gdybyś był Geometrą i widział zawój pierwszy raz w życiu...
- To i tak mógłbym się domyślać, że nie masz nagich pleców, bo widzę, jak zawój się układa.
- A gdybym rzucił zawój i stanął przed tobą nagi?
- Co wtedy?
- Jak opisałbyś mnie Geometrze? Co byś zobaczył?
- Zacząłbym tak: „Z miejsca, w którym stoję, widzę tylko skórę Orola. Z twojego punktu widzenia, o Geometro, prawdopodobnie wygląda to tak samo”.
- Dlaczego prawdopodobnie?
- Bo gdybyś nie miał skóry, krew by ci się wylała, a wnętrzności rozsypały. Nie widząc na ziemi kałuży krwi i bebeczków, domyślam się, że twoja skóra jest na swoim miejscu.
- Tak samo jak domyślasz się, że mój zawój otula mnie całego, co wnioskujeś z ułożenia jego widocznej dla ciebie części.
- Zasada jest ta sama.
- W takim razie wygląda na to, że proces, który nazywasz świadomością, jest nieco bardziej skomplikowany, niż początkowo myślałeś. Istota świadoma musi umieć przyjmować dane z próżni przyprószonej falami prawdopodobieństwa...
- Czyli musi widzieć.
- Otóż to. Musi również umieć przetwarzać te dane w trwałe obiekty, które mogłaby zachować w świadomości. Nie koniec na tym. Postrzegasz tylko jedną stronę mojej osoby, ale pozwala ci to wyciągać wnioski na temat drugiej strony: że mój zawój okrywa mnie całego, że mam skórę... Takie wnioski zdradzają zrozumienie praw teoretycznych; nie udałoby ci się ich wyciągnąć bez przeprowadzania w głowie małych eksperymentów myślowych: „Gdyby zawój nie oblekał Orola od tyłu, inaczej by się układał”; „Gdyby Orola nie miał skóry, wypadłyby mu wnętrzności”. W obu wypadkach wykorzystujesz znajomość praw dynamiki do eksploracji małego wszechświata istniejącego w

twojej głowie, w którym nie używam zawoju albo nie mam skóry. Przewijasz ten wszechświat do przodu w przyspieszonym tempie, jakbyś oglądał szpil, i patrzysz, co się wydarzy.

Orolo napił się wody i mówił dalej:

- Nie jest to zresztą jedyna aktywność twojego umysłu, kiedy opisujesz mnie Geometrom. Cały czas pamiętasz o tym, że znajdujecie się w różnych miejscach, różnie mnie widzicie, odbieracie różne dane. Ty na przykład widzisz pieg na moim lewym policzku, ale jesteś przy tym dostatecznie bystry, żeby zdawać sobie sprawę, że Geometra nie może go zobaczyć. To kolejny przejaw tego, że twój umysł nieustannie konstruuje wszechświaty kontrafaktyczne: „Gdybym stał tam, gdzie Geometra, nie widziałbym tego piega”. Empatia, umiejętność postawienia się w sytuacji innej istoty, nie jest zwyczajnym przejawem uprzejmości, lecz naturalnym, wrodzonym procesem odbywającym się w twojej świadomości.

- Zaraz... Chcesz powiedzieć, że nie jestem w stanie przewidzieć, że Geometra nie zobaczy twojego piega, dopóki nie zbuduję w wyobraźni kopii całego wszechświata?

- To nie jest dokładna kopia, tylko przybliżenie. W tamtym wszechświecie stoisz w innym miejscu.

- Mam wrażenie, że ten sam efekt można by uzyskać w znacznie prostszy sposób. Mogę na przykład pamiętać, jak wyglądasz oglądany z drugiej strony. Wystarczy, że przywołam z pamięci taki obraz i stwierdzę: „Hmm, nie ma piega”.

- Bardzo rozsądne spostrzeżenie. Muszę cię jednak ostrzec, że nie na wiele ci się przyda, jeśli szukasz prostego i zrozumiałego modelu funkcjonowania umysłu.

- Dlaczego? Mówiłem tylko o pamięci.

Orolo parsknął śmiechem, spoważniał i spróbował taktownie mi to wytłumaczyć:

- Do tej pory rozmawialiśmy tylko o przestrzeni w teraźniejszości. Pomijaliśmy czas. A ty znienacka próbujesz włączyć do dyskusji kwestię pamięci. Przywołujesz wspomnienie nosa Orolo widzianego w innym miejscu i innym czasie: „Kiedy

siedziałem z nim na kolacji, z prawej strony, nie widziałem tego piega”.

- To całkiem proste.

- A nie jesteś ciekawy, co dzieje się w twoim mózgu, że możesz robić takie rzeczy?

- Jakie rzeczy?!

- Jeden zestaw danych przyswajasz sobie wieczorem przy kolacji. Drugi zestaw przyjmujesz teraz, przed sekundą, przed minutą, mniejsza z tym; tak czy inaczej, jest to terażniejszość. I twierdzisz, że jeden i drugi opisują tego samego człowieka, Orolo.

- Nie rozumiem, co ci w tym przeszkadza. To zwykle rozpoznanie wzorca. Nawet syntakty to potrafią.

- Czyżby? Daj mi jakiś przykład.

- No dobrze... Coś prostego... - Rozejrzałem się i mój wzrok padł na ślad aeroplanu na niebie nad naszymi głowami. - Radar śledzący aeroplan na ruchliwym niebie.

- Opowiedz mi, jak działa taki radar.

- Ma obrotową antenę, która emituje impulsy i odbiera je, kiedy się od czegoś odbijają. Znając opóźnienie między wysłaniem i odebraniem impulsu, wylicza odległość do przeszkody. Zna również kierunek, w którym znajduje się aeroplan: to dziecinnie proste, wystarczy sprawdzić, gdzie jest skierowana antena, kiedy odbiera echo.

- Antena może patrzeć tylko w jednym kierunku w danym momencie - zauważył Orolo.

- Rzeczywiście, ma bardzo ograniczone pole widzenia. Kompensuje to ruchem obrotowym.

- To trochę podobnie do nas. - Zaczęliśmy zejście z góry, idąc ramię w ramię. Orolo mówił dalej: - Nie patrzę we wszystkie strony jednocześnie, ale od czasu do czasu zerkam w bok i upewniam się, że idziesz obok mnie.

- Rzeczywiście wygląda to trochę podobnie. Tworzysz sobie w głowie model otoczenia, który uwzględnia mnie idącego po twojej prawej stronie. Masz go w pamięci, ale od czasu do czasu musisz dostarczać mu nowych danych, aktualizować go,

synchronizować ze światem rzeczywistym.

- A w jaki sposób radar sobie z tym radzi?

- Podczas jednego obrotu antena zgarnia echa wszystkich znajdujących się na niebie obiektów i zapisuje ich położenie. Znowu się obraca i odbiera drugi zestaw ech, podobny do pierwszego, ale jednak inny, bo wszystkie obiekty się przemieszczają: każdy z inną szybkością i w innym kierunku.

- I rozumiem, że człowiek-obszawator, widząc je na ekranie, wypracowuje sobie w głowie model, który pozwala mu opisywać i przewidywać ruch aeroplanów - wtrącił Orolo. - My w taki sam sposób łączymy w całość poszczególne kadry szpilu, który w naszym umyśle przemienia się w nieprzerwaną historię. Ale jak to robi sterujące radarem urządzenie syntaktyczne? Dysponuje przecież tylko aktualizowanym regularnie ciągiem liczb.

- Przy jednym obiekcie nie byłoby z tym żadnego problemu.

- To prawda.

- Nawet przy kilku, jeśli znajdowałyby się daleko od siebie i poruszały powoli, a ich trajektorie się nie przecinały.

- Z tym również się zgodzę. Co jednak począć z tą trudną sytuacją, kiedy aeroplanów jest dużo, są szybkie i poruszają się po kursach kolizyjnych?

- Człowiek z łatwością by sobie poradził; przypomina to trochę oglądanie szpilu. A syntakt musiałby częściowo naśladować ludzki umysł.

- W czym?

- Człowiek odruchowo różnicuje prawdopodobieństwo wystąpienia różnych sytuacji. Wyobraźmy sobie dwa aeroplany pełne pasażerów, poruszające się z prędkością bliską prędkości dźwięku po takich trajektoriach, które przecinają się pomiędzy jednym i drugim obrotem anteny. Po takim przecięciu kursów maszyna nie będzie umiała ich rozróżnić, a nowe dane można interpretować na kilka sposobów. Pierwszy: obie maszyny równocześnie wykonały ostry zwrot i poleciały w całkiem nowych

kierunkach. Drugi: zderzyły się i odbiły od siebie jak gumowe piłeczki. Trzeci: od początku leciały na różnej wysokości, w ogóle się nie spotkały i dalej lecą każda swoim kursem. To ostatnie wyjaśnienie jest wyjaśnieniem najprostszym i zarazem jedynym zgodnym z prawami dynamiki. Syntakt należałoby więc zaprogramować w taki sposób, żeby umiał ocenić wiarygodność różnych interpretacji danych i wybrać najbardziej prawdopodobną z nich.

- Wpoiliśmy zatem syntaktowi podstawowe zasady działania, a następnie kazaliśmy mu odfiltrowywać interpretacje, w których nasz wszechświat odbiegałby od wiarygodnej trajektorii w przestrzeni Hemna.

- Sądzę przy tym, że syntakt realizuje to w dość toporny sposób. W rzeczywistości wcale nie potrafi stosować tych reguł do przestrzeni Hemna i niewiele z tego rozumie.

- A my?

- Niektórzy z nas tak.

- Teorowie z pewnością. Ale zwykły slog bawiący się piłką wie, jak zachowa się piłka, a także, co ważniejsze, jak się nie zachowa, mimo że nie ma zielonego pojęcia o teoryce.

- Naturalnie. To potrafią nawet zwierzęta. Dokąd prowadzi nas datonomia evendrycka, Orolo? Dostrzegam pewną zbieżność z dialogiem o różowym smoku, który prowadziliśmy parę miesięcy temu w matemie, ale...

Orolo zrobił dziwną minę. Zapomniał.

- Ach tak... O tobie i twoich zmartwieniach.

- Zgadza się.

- No właśnie, i to jest coś, czego zwierzęta nie potrafią: reagują na konkretne zagrożenie, ale nie przejmują się zagrożeniem abstrakcyjnym, czyhającym w odległej o całe lata przyszłości. Do tego trzeba mieć łeb jak Erasmus.

Parsknąłem śmiechem.

- Wcale nie. Ostatnio rzadko się czymś zmartwiam.

- I dobrze! - Orolo szturchnął mnie dobrodusznie w ramię.

- Może to wpływ jestokeju.

- Wcale nie, po prostu nareszcie masz jakieś prawdziwe zmartwienia zamiast wydumanych. Przypomnij mi jednak, z łaski swojej, ten dialog o smoku pierdzącym gazem paraliżującym...

- Opracowaliśmy teorię, że nasz umysł postrzega możliwe wizje przyszłości jako trajektorie w przestrzeni konfiguracyjnej i odrzuca te, które są sprzeczne z realistyczną zasadą działania. Jesry stwierdził, że takie wytłumaczenie to jak strzelanie z armaty do komara. Ja się z nim zgodziłem, Arsibałt nie.

- To było już po powołaniu fraa Paphlagona, prawda?

- Tak.

- Arsibałt czytał jego prace.

- Owszem.

- Powiedz mi, Erasmasie, komu teraz przyznałbyś rację: Jesry'emu czy Arsibałtowi?

- Nadal uważam za lekką przesadę twierdzenie, że w naszych umysłach nieustannie budujemy i burzymy kontrafaktyczne wszechświaty.

- Ja tak się do tego przyzwyczaiłem, że przesadą wydaje mi się pogląd przeciwny. Może jutro znów wybierzemy się na spacer i wrócimy do tej rozmowy?

- Z przyjemnością.

Kiedy dotarł do nas zapach kolacji, przypomniałem sobie, że następnego dnia powinienem odezwać się do moich towarzyszy za bramą. Nie był to jednak najlepszy moment, żeby o tym wspominać. Postanowiłem wrócić do sprawy rano.

Wiedziałem, że poruszając ten problem, wymuszę na Orolu podjęcie jakiejś decyzji, ale gdy tylko wyluszczyłem mu sprawę, poczynił spostrzeżenie, które wydało mi się wręcz zawstydzająco oczywiste: trzydniowy termin, który sobie wyznaczaliśmy, był całkowicie umowny i jedynym sensownym rozwiązaniem było odrzucenie go bez dalszych dywagacji. Spytał o radę fraa

Landashera, a ten zaproponował, żebym zaprosił przyjaciół do matemu; zapewnił mnie, że będą mile widzianymi gośćmi. W pierwszej chwili byłem wstrząśnięty - dopóki nie przypomniałem sobie, że matem na Ecbie jest inny niż wszystkie, a Landasher odpowiada co najwyżej przed fundą, która jest właścicielem wyspy. Byłem przekonany, że moi towarzysze nie będą mieli najmniejszej ochoty zatrzymać się na dłużej w takim miejscu, ale kiedy dwie godziny później zszedłem do kramu z pamiątkami i wyjaśniłem im, jak się sprawy mają, przyjęli propozycję Landashera jednomyślnie i bez zastrzeżeń. Zrobiło mi się trochę nieswojo, więc na wszelki wypadek wróciłem z nimi do zatoczki i pomogłem im zwinąć obozowisko, wykorzystując ten czas na mały wykład z etykiety matemowej. Szczególnie niepokoiła mnie wizja Ganeliala Crade'a wygłaszającego w matemie swoje kazania, ale dość szybko zaczęli się ze mnie nabijać, że tak się tym przejąłem (Yul był pierwszy, inni zaraz poszli w jego ślady), i zrozumiałem, że ich uraziłem. Nie odzywałem się zatem, dopóki nie dotarliśmy do Oritheny. Cord, Yul, Gnel i Sammann przeszli przez bramę i dostali pokoje w domu gościnnym stojącym z dala od klauzury; pozwolono im nawet zatrzymać piszczyki i inne sekularne udogodnienia. Ubrani w swoje zwykłe stroje (choć już bez piszczków) dołączyli do nas przy kolacji, gdzie fraa Landasher oficjalnie ich przywitał i wzniósł toast na ich cześć.

Obudziłem ich wcześniej rano i zaprowadziłem na teren wykopalisk. Gnel wyglądał, jakby doznał jakiegoś deolatoryjskiego objawienia; powinienem jednak uczciwie przyznać w tym miejscu, że kiedy pierwszy raz zszedłem na dół w towarzystwie suur Spry, miałem pewnie podobną minę.

Zapytałem Sammanna, czy dowiedział się czegoś więcej o właścicielach Ecbu. Odparł „Tak” oraz „To nudne”. Po Trzeciej Łupieży jakiś miastowy zapałał entuzjazmem do wszystkiego, co oritheńskie. Ponieważ był bardzo bogaty, kupił sobie Ecbę, a do zarządzania nią powołał specjalną fundację, którą zaopatrzył w przeraźliwie nudny, tysięcznicowy regulamin; fundacja miała trwać wiecznie, więc regulamin musiał przewidzieć i uwzględnić

wszystkie ewentualności. Władzę wykonawczą sprawowała mieszana, sekularno-matemowa rada gubernatorów... Sammann rozkręcał się równie szybko, jak ja się zniechęcałem.

Przez dwa dni byłem zajęty oprowadzaniem moich towarzyszy po Orithenie. Dopiero na trzeci dzień mogliśmy z Orolem wznowić nasze górskie wycieczki.

Dialog: Dyskurs teorii, zwykle sformalizowany. Określenie „być w dialogu” odnosi się do człowieka, który w takim dyskursie improwizuje. Termin ten może również odnosić się do zapisu jednego z dialogów historycznych. Takie dokumenty stanowią fundament matematycznej tradycji literackiej; fidowie uczą się ich na pamięć, studiują je i odtwarzają. W formacie klasycznym dialog ma dwóch głównych uczestników i pewną liczbę słuchaczy, od czasu do czasu wtrącających się do dysputy. Drugim popularnym formatem jest trójkąt, w którym występują mędrzec, zwykły człowiek poszukujący wiedzy oraz imbecyl. Istnieje wiele klasyfikacji dyskursów, takich jak podział na dialog pielgrzymi, perykliński i suwiński.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Zdaję sobie sprawę, że nasza ostatnia rozmowa mogła ci się wydać niesatysfakcjonująca, Erasmasie. I za to przepraszam. Moje pomysły są niekompletne. Dreczy mnie - i zarazem elektryzuje - świadomość, że dosięgam czegoś, co znajduje się na granicy moich zdolności pojmowania. We śnie widzę morze, chodzę po wodzie, wypatruję światła na brzegu, ale grzywacze przesłaniają mi widok. Tylko czasami, przy idealnej pogodzie, udaje mi się wyskoczyć na tyle wysoko, żeby zobaczyć błysk, ale nawet wtedy, zanim w moim umyśle zdąży powstać jakaś konkretna wizja, zapadam się pod własnym ciężarem i kolejna fala bryzga mi w twarz.

- Ja się tak czuję za każdym razem, kiedy próbuję zrozumieć coś nowego. Aż nagle pewnego dnia...

- Po prostu to wiesz.

- No właśnie: idea jest gotowa, w pełni ukształtowana.

- Oczywiście nie my jedni tak to postrzegamy. Osobiście uważam, że ma to związek z procesami zachodzącymi w naszych umysłach, o których mówiliśmy trzy dni temu. Jestem pewien, że mózg działa w oparciu o efekty kwantowe.

- Wiem na ten temat akurat tyle, żeby zdawać sobie sprawę, że taki pogląd uchodził przez lata za bardzo kontrowersyjny.

Orolo nie zareagował. Dopiero kiedy spojrzałem na niego podejrzliwie, wzruszył ramionami. *Jak sobie chcesz.*

- Rozmawiałeś z Sammannem o Machinie Saunta Groda?

- Nie. Co to takiego?

- Urządzenie syntaktyczne zbudowane w oparciu o teorię kwantową. Przed Drugą Łupieżą poprzednicy Sammanna i nasi wspólnie realizowali takie projekty. Machiny Saunta Groda doskonale radziły sobie z problemami, w których trzeba było równocześnie analizować wiele możliwych rozwiązań. Takimi jak na przykład Leniwy Pielgrzym.

- Chodzi o wędrownego fraa, który musi odwiedzić kilkanaście matemów w przypadkowy sposób rozrzuconych po mapie?

- I o znalezienie najkrótszej drogi, która pozwoli mu zrealizować ten cel.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli... Można by wprawdzie wykreślić na tej mapie wszystkie możliwe trasy...

- Ale trwałoby to całe wieki. W Machinie Saunta Groda tworzyło się uproszczony model tej pielgrzymki i konfigurowało ją w taki sposób, żeby jednocześnie badała wszystkie możliwe drogi.

- Taka maszyna nie istnieje w jednym ustalonym, znanym stanie kwantowym, tylko w każdej chwili stanowi superpozycję wielu stanów.

- Otóż to. Tak jak cząstka elementarna, która może mieć jedną z dwóch wartości spinu i istnieje w dwóch stanach

jednocześnie.

- Dopóki nie ma obserwatora - przypomniałem. - Kiedy ktoś ją próbuje obserwować, następuje kolaps funkcji falowej i cząstka przyjmuje jeden z dwóch stanów. Podobnie jest pewnie z tą machiną: pojawia się obserwator...

- I po kolapsie funkcji falowej ustala się jeden stan maszyny, który jest odpowiedzią. Itowie nazwaliby ją „informacją wyjściową”. - Orolo uśmiechnął się lekko, używając nieznanego sobie żargonu.

- Muszę przyznać, że faktycznie, myślenie często tak właśnie wygląda. Mamy w głowie kłębowisko niejasnych idei, aż tu nagle... bum! Wszystko się zapada i krystalizuje się jedna, jedyna odpowiedź, o której wiesz, że jest właściwa. Ale bez przesady, nie można każdego niespodziewanego wydarzenia składać na karb efektów kwantowych.

- Wiem o tym, ale powiedz mi: rozumiesz, do czego zmierzam, kiedy mówię o wszechświatach kontrafaktycznych?

- Prawdę mówiąc, nie rozumiałem tego, dopóki nie odwołałeś się do teorii kwantowej. Zorientowałem się jednak, że pracujesz nad teorią świadomości. Wspominałeś o różnych zjawiskach... Nie będę ich teraz wyliczał, ale zna je każdy człowiek ze skłonnościami do introspekcji. A ty próbowałeś je połączyć. Zunifikować...

- To moja teoria wielkiej unifikacji świadomości - zażartował Orolo.

- Twoim zdaniem wszystkie one biorą się stąd, że nasz umysł nieustannie tworzy modele kontrafaktycznych wszechświatów, przewija je na podglądzie do przodu, szacuje ich wiarygodność... To jakaś kosmiczna bzdura, jeśli zgadzamy się co do tego, że mózg jest tylko zwykłym syntaktem.

- Rzeczywiście. Samo tworzenie tych modeli wymagałoby ogromnej mocy obliczeniowej, a co dopiero mówić o ich przeglądaniu. Natura na pewno znalazłaby jakiś skuteczniejszy sposób.

- Zagranie karty kwantowej diametralnie zmienia sytuację.

Teraz wystarczy mieć w mózgu wpisany na stałe jeden ogólny model kosmosu, taki jak uogólniona mapa wykorzystywana w Machinie Saunta Groda do rozwiązania problemu Leniwego Pielgrzyma. Model ten przyjmuje ogromną liczbę stanów kwantowych, a my możemy zadawać pytania na jego temat.

- Cieszę się, że się rozumiemy - powiedział Orolo. - Mam jeszcze jedną wątpliwość.

- No tak... - westchnąłem. - Jakżeby inaczej.

- Wśród deklarantów tradycje umierają powoli. Przez bardzo długi czas teorię kwantową wykładano fidom w tradycyjny sposób, oparty na odkryciach pierwszych teorów z epoki Zwiastunów. Ciebie również tak uczono, Erasmasie. Nawet gdybym dzisiaj spotkał cię po raz pierwszy w życiu, poznałbym to po słownictwie, jakiego używasz: superpozycja stanów, kolaps funkcji falowej i tak dalej.

- Zgadza się, a ja już wiem, do czego zmierzasz. Od tysięcy lat istnieją zakony teorów posługujące się zupełnie różnymi modelami i różną terminologią.

- Właśnie. Domyślasz się, który model najbardziej przypadł mi do gustu?

- Pewnie im bardziej polikosmiczny, tym lepiej.

- Ależ oczywiście! Kiedy więc słyszę, jak rozprawiając o zjawiskach kwantowych, używasz starej terminologii...

- Tej dla fidów?

- Tak. Muszę sobie tłumaczyć każdą twoją wypowiedź na słownictwo polikosmiczne. Weźmy na przykład prosty przypadek cząstki o dwuwartościowym spinie...

- Powiedziałbyś, że kiedy spin zostaje zaobserwowany, czyli ma wpływ na resztę kosmosu, kosmos ten rozszczepia się na dwa kompletne, odrębne, niezależne przyczynowo kosmosy, które od tej pory podążają swoimi drogami.

- Prawie dobrze. Lepiej byłoby powiedzieć, że te kosmosy istnieją już wcześniej i oddziałują ze sobą (choć w ograniczonym stopniu) do momentu obserwacji. Dopiero po dokonaniu pomiaru spinu na zawsze się rozchodzą.

- I to jest dobry moment, żeby wrócić do kwestii tego, czy inni ludzie uznają to za wariactwo...

Orolo wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko jest to model, do którego prędzej czy później przekonuje się większość teorii. Inne możliwości w ostatecznym rachunku okazują się jeszcze bardziej absurdalne.

- Rozumiem. I chyba wiem, co będzie dalej: chcesz, żebym przeformułował twoją teorię pracy mózgu w sposób zgodny z polikosmiczną interpretacją teorii kwantowej.

- Gdybyś był tak miły... - przytaknął Orolo, udając, że kłania mi się lekko.

- W porządku. Założenie jest takie, że w mózgu istnieje dość precyzyjny model wszechświata, w którym ten mózg funkcjonuje.

- A przynajmniej jego lokalnych okolic - uzupełnił Orolo. - Model nie musi uwzględniać innych galaktyk.

- Istotnie. W terminologii zgodnej ze starą interpretacją, którą wyklada się fidom, należałoby powiedzieć, że stan tego modelu jest superpozycją wielu możliwych obecnych i przyszłych stanów kosmosu... albo przynajmniej jego modelu.

Orolo podniósł dłoń z wyprostowanym palcem.

- Nie jednego kosmosu, tylko...?

- Tylko hipotetycznych kosmosów alternatywnych, nieco się różniących od macierzystego wszechświata mózgu.

- Doskonale. Wróćmy do tego uogólnionego modelu kosmosu, który każdy człowiek nosi w głowie... Wiesz, jak on działa? Albo jak wygląda?

- Nie mam zielonego pojęcia! Kompletnie się nie znam na komórkach nerwowych i tak dalej... Nie wiem, jak należałoby je połączyć, żeby taki model powstał; nie wyobrażam sobie też, jak można go rekonfigurować, żeby odzwierciedlał kolejne hipotetyczne scenariusze.

- Dobrze. - Orolo rozłożył ręce w pojednawczym geście. - Nie mieszajmy do tego komórek nerwowych. Co jest najważniejsze w tym modelu?

- To, że może istnieć w wielu stanach jednocześnie i że kolaps jego funkcji falowej generuje użyteczne wyniki.

- Zgadza się. A jak to wygląda z punktu widzenia interpretacji polikosmicznej?

- Znikają pojęcia superpozycji stanów i kolapsu funkcji falowej. Mamy po prostu mnóstwo moich replik, kopii mojego mózgu, istniejących w osobnych wszechświatach równoległych. Model kosmosu zakodowany w każdym z nich znajduje się w jednym, ściśle określonym stanie kwantowym. Wszystkie modele oddziałują ze sobą.

Orolo czekał, aż przetrawię swoje słowa i sam wyciągnę wnioski. I rzeczywiście, w końcu przyszło olśnienie, o jakim wcześniej rozmawialiśmy: nagle zobaczyłem gotowe rozwiązanie.

- Model staje się zbędny, prawda?

Orolo pokiwał głową, uśmiechnął się i zachęcił mnie gestem, żebym rozwinął tę myśl. W miarę jak mówiłem, całość stawała się coraz bardziej oczywista:

- To o wiele prostsze! Mój mózg nie musi już pamiętać tego szczegółowego, precyzyjnego, modyfikowalnego modelu kosmosu, uwzględniającego superpozycję fal prawdopodobieństwa. Wystarczy, że będzie postrzegał - i odbijał - wszechświat, w którym się znajduje, takim, jaki on naprawdę jest.

- Z mózgu znikają te wszystkie wariacje, te miriady możliwych scenariuszy alternatywnych. - Orolo postukał się knykciami po głowie. - Zostają przeniesione w polikosmos, gdzie i tak naprawdę istnieją. - Otworzył dłoń, jakby uwalniał trzymanego w niej ptaka. - Musisz je tylko dostrzec.

- Tylko że każda z moich kopii musi istnieć w całkowitym oderwaniu od pozostałych. Inaczej to nie zadziała.

Pokiwał głową.

- Interferencja kwantowa, czyli oddziaływanie między podobnymi stanami, spaja różne wersje twojego mózgu w całość.

- To by znaczyło, że moja świadomość rozpościera się na cały polikosmos - zauważyłem. - To bardzo... odważne stwierdzenie.

- Wszystko ma taką właściwość, nie tylko twoja świadomość. To bezpośrednia konsekwencja interpretacji polikosmicznej. Jedynym, co wyróżnia mózg, jest umiejętność wykorzystania tego faktu.

Zejsście zajęło nam piętnaście minut. Nie rozmawialiśmy. Niebo ściemniało do głębokiego fioletu, a ja miałem wrażenie, że się od nas oddala, rozszerza jak nadmuchiwany balon, ucieka od Arbre z prędkością miliona lat świetlnych na godzinę. I dopiero kiedy ze świstem mijano gwiazdy, te stawały się dla nas widoczne.

Jedna gwiazda się poruszała - tak nieznacznie, że musiałem się zatrzymać, stanąć pewnie na nogach i przyjrzeć się uważniej. Nie pomyliłem się. Pradawna, zwierzęca część mojego mózgu, nastrojona na postrzeganie drobnych, podejrzanых ruchów, wychwyciła tę jedną gwiazdę spośród milionów. Znajdowała się na zachodnim niebie, nisko nad horyzontem, i z początku rozplywała się w zmierzchu, ale systematycznie wznosiła się coraz wyżej i jaśniała na czarnym tle, przy okazji zmieniając również kolor i rozmiary. Na samym początku była punkcikiem białego światła, nie do odróżnienia od innych gwiazd, ale w miarę jak wspiwała się w kierunku zenitu, wyraźnie czerwieniła. Potem zmieniła się w pomarańczową plamkę, za chwilę rozbłysła żółcią i wypuściła ogon jak kometa. Do tego momentu wzrok płatał mi figle i nie umiałem ocenić wysokości, odległości ani prędkości plamki; dopiero ten ogon wstrząsnął mną i pomógł uzyskać właściwą perspektywę: obiekt leciał wcale niewysoko, co więcej - właśnie wchodził w atmosferę, wytracając energię w rzadkim, rozpalonym od tarcia powietrzu. Wznosząc się nad naszymi głowami, meteor wyraźnie tracił impet i stało się oczywiste, że zanim nas minie, zwolni niemal do zera. Nie zmienił kursu ani na jotę: celował dokładnie w nas, stawał się jaśniejszy i większy i można było odnieść wrażenie, że zawisa nieruchomo, jak piłka,

która rzucona w górę, zatrzymuje się w którymś momencie i zaczyna spadać. Przez minutę wyglądał jak miniaturowe słońce, tkwiące nieruchomo na firmamencie i dżgające przestrzeń promieniami świetlistego powietrza, a potem nagle się skurczył i ściemniał, przechodząc przez pomarańcz do ciemnej czerwieni. Śledzenie go przychodziło mi z coraz większym trudem.

Uświadomiłem sobie, że zadarłem głowę najwyżej jak się dało i patrzę pionowo do góry. Postanowiłem zaryzykować, że stracę meteor z oczu: opuściłem głowę i rozejrzałem się dookoła.

Orolo pędził na złamanie karku w dół stoku. W tej chwili dzieliło nas już sto stóp.

Przestałem sobie zawracać głowę niezidentyfikowanym obiektem latającym i puściłem się biegiem za Orolem. Zanim go dogoniłem, znaleźliśmy się na skraju wykopu.

- Odczytali moją analemme! - wysapał.

Zatrzymaliśmy się przy sznurku rozpiętym między wbitymi w ziemię kołkami na wysokości talii, żeby jakiś pijany albo rozespany deklarant nie wpadł do dziury. Podniosłem wzrok i wrzasnąłem, widząc coś gigantycznego zawieszzonego nad naszymi głowami jak ciemna chmura - tyle tylko, że miało idealnie okrągły kształt. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to olbrzymi spadochron, którego linki zbiegają się przy wiszącym daleko w dole rozpalonym do czerwoności ładunku.

Linki zwiotczały, czasza zadrżała i zaczęła odpływać w bok, unoszona ledwie wyczuwalnym zefirkiem. Została odcięta. Rozgrzany ładunek spadał jak kamień, ale po chwili wypuścił odnóża z błękitnego płomienia i zaczął przeraźliwie głośno syczeć. Celował w sam środek wykopu.

Przeszliśmy z Orolem wzdłuż sznurka do początku prowadzącej na dno rampy, gdzie pomалу zbierali się fraa i suur, bardziej chyba zafascynowani niż wystraszeni. Orolo zaczął się przeciskać przez tłum, przekrzykując syk płomieni:

- Fraa Landasher?! Każ otworzyć bramę! Yul, weź swojego kuzyna i biegnijcie do wozów. Znajdźcie spadochron i przywieźcie go tutaj. Sammann? Masz piszczyk? Cord! Zbierz rzeczy,

spotkamy się na dole!

I puścił się biegiem w dół rampy, pędząc samotnie, w ciemności, na spotkanie Geometrów.

Pobiegłem za nim. Jak zwykle. Przed chwilą straciłem z oczu sondę... kapsułę... cokolwiek to było, ale teraz znów ją zobaczyłem: wisiała w powietrzu w odległości zaledwie kilkuset stóp ode mnie i miarowo zniżała się ku Orithenie. Jej bliskość, bijący od niej żar i zgiełk oszołomiły mnie do tego stopnia, że odruchowo odskoczyłem, straciłem równowagę i osunąłem się na kolana. Znieruchomiałem w takiej pozycji i patrzyłem, jak ląduje. Zachowywała idealnie równą prędkość i tempo opadania dzięki tysiącom minimalnych ruchów i precyzyjnych prychnięć dysz rakietowych; niezwykle skomplikowany układ sterowania podejmował setki decyzji na sekundę. Obiekt kierował się prosto na Dziesięciokąt przed świątynią. Strugi gazu wyrzucanego z dysz z prędkością naddźwiękową rozpętały na dnie wykopu istną burzę, podrywając z ziemi i druzgocąc ceramiczne płytki. Przegubowe owadzie łapy zamortyzowały lądowanie, a silniki ściemniały i zgasty, chociaż jeszcze przez kilka sekund przedmuchiowano je czyszczącym przewodem gazem, który spowił kapsułę zimnym sinym obłokiem.

W końcu w Orithenie zrobiło się cicho.

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem zbiegać po rampie - najszybciej jak mogłem, trzymając głowę zwróconą w bok, żeby cały czas mieć oko na kapsułę. Jej dolna część, szeroka i spodkowata w kształcie, nadal żarzyła się przyćmioną czerwienią; nie ostygła jeszcze po przejściu przez atmosferę. Powyżej niej obiekt przypominał z kształtu odwrócone wiadro z lekko wypukłym kopulastym denkiem. Z pięciu wąskich otworów w ścianach wynurzały się owadzie wsporniki. Na szczycie kopułki majaczyło mnóstwo niezidentyfikowanego sprzętu: prawdopodobnie mechanizm wystrzeliwania i odcinania spadochronu, może także jakieś anteny i czujniki. Biegąc po spiralnej rampie, obejrzałem sondę Geometrów ze wszystkich stron. Nigdzie nie widziałem okien.

Dogoniłem Orola na skraju Dziesięciokąta. Pociągnął nosem.

- Chyba nie wydziela żadnych toksycznych gazów - powiedział. - Sądząc po kolorze, pluje zapewne mieszaniną tlenu i wodoru. Czyściutkie spalanie.

Landasher zszedł do nas sam; pozostałym prawdopodobnie rozkazał zostać na górze. Miał minę szaleńca i rozbiegane oczy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Orola nie dał mu dojść do słowa.

- Brama otwarta? - zapytał.

Landasher nie wiedział, ale w górze usłyszeliśmy warkot silników. Rozpoznałem go: to były aporty, którymi przejechaliśmy przez biegun. Na szczycie rampy zamajaczyło światło.

- Ktoś ją otworzył - mruknął Orola. - Trzeba ją zamknąć i zasunąć rygle, gdy tylko aporty i spadochron znajdą się na terenie matemu. Musicie być przygotowani na inwazję.

- Myślisz, że Geometry chcą...

- Nie, mam na myśli najazd gryzypiórków. Ich czujniki na pewno wszystko rejestrują. Nie wiemy, jak szybko państwo sekularne zareaguje, ale podejrzewam, że najdalej w ciągu godziny.

- Nie możemy im zabronić wstępu.

- Powstrzymujcie ich najdłużej, jak się da. O nic więcej nie proszę.

Trójkołowiec był coraz bliżej. Rozpoznałem siedzącą za sterami Cord. Sammann stał z tyłu, opierając się na jej ramionach.

- Co chcesz zrobić przez ten czas? - spytał Landasher. Do tej pory zawsze wydawał mi się mądrym i rozważnym przywódcą, ale tego wieczoru działał w wielkim stresie.

- Uczyć się - odparł Orola. - Chcę się dowiedzieć jak najwięcej na temat Geometrów, zanim państwo sekularne odbierze nam tę szansę.

Trójkołowiec zjechał na dno wykopu. Sammann zeskoczył, zdjął zawieszony na ramieniu piszczyk i wycelował jego czujniki w sondę. Cord przegazowała silnik i ustawiła pojazd w taki

sposób, żeby reflektor oświetlił kapsułę, po czym zaczęła wyładowywać sprzęt z przedziału bagażowego nad tylną osią.

- A co z... Skąd wiesz, że to bezpieczne? Może przecież dojdź do infekcji! Orolo? Orolo!

Landasher darł się wniebogłosy, bo od momentu, gdy manewr Cord pozwolił oświetlić sondę, Orolo dryfował w jej stronę jak ćma do światła.

- Gdyby się bali, że czymś się zarażą, nie przylecieliby - odparł. - Jeżeli zaś to nam grozi jakaś infekcja, i tak jesteśmy zdani na ich łaskę.

- Myślisz, że zamknięcie bramy powstrzyma śmigłowce? - spytał Landasher.

- Mam pewien pomysł. Fraa Erasmus się tym zajmie.

Zanim wróciłem na górę, Yul i Gnel przywieźli już złapany nieopodał spadochron. Wspólnie z gromadką odważnych deklarantów upchnęli go na skrzyni aportu Gnela i przywiązali jego własnymi linkami oraz pasami do mocowania ładunku - ale i tak dobry akr materiału i mila linek ciągnęły się po ziemi za pojazdem, kiedy zajechali na skraj wykopu.

Powinniśmy byli w tym momencie wciągnąć białe kombinezony, rękawice i aparaty oddechowe, zapieczętować spadochron w sterylnym poliplastowym pojemniku i przesłać go do laboratorium, gdzie zostałby szczegółowo zbadany. Ja jednak miałem inne rozkazy. Złapałem rąbek spadochronu - taki był mój pierwszy bezpośredni kontakt z obiektem pochodzącym z innego układu gwiazdowego - i zmiąłem go w dłoni. Nie byłem ekspertem, ale w dotyku do złudzenia przypominał materiały, z jakich szyło się spadochrony u nas, na Arbre. Linki również były podobne; nie wyglądały na wykonane z nowomaterii.

Wokół aportu zebrał się już spory tłum, który na razie - posłuszny słowom Landashera - nie odważył się zapuścić do wykopu. Landasher nie mówił jednak nic o spadochronie.

Wdrapałem się na skrzynię aportu i przemówiłem:

- Każdy będzie odpowiedzialny za jedną linkę. Rozciągamy spadochron na ziemi, stajemy dookoła niego i każdy

łapie swoją linkę. Potem rozchodzimy się promieniście, rozplątując linki. Za dziesięć minut chcę widzieć wszystkich mieszkańców Oritheny otaczających rozpostarty spadochron, każdy z linką w garści.

Ten plan, z pozoru prosty, w praktyce okazał się bardziej skomplikowany, ale oritheńczycy byli całkiem niegłupi i im mniej próbowałem ingerować w cały proces, tym chętniej i skuteczniej sami rozwiązywali pojawiające się problemy. My z Yulem przez ten czas oszacowaliśmy długość linki, odmierzając sążnię rozpiętością jego ramion.

Gnel wyprowadził aport spod spadochronu i zjechał na dno wykopu. Zainstalowana na nim bateria oślepiających reflektorów zawsze mnie śmieszyła, ale tego wieczoru w końcu miał je na co skierować. Zajrzałem do wykopu i stwierdziłem, że Orolo i Cord zbliżyli się na dwadzieścia stóp do sondy.

Rozstawienie oritheńczyków wokół spadochronu chwilę trwało. Zanim skończyliśmy, nad głowami przemknął nam naddźwiękowy odrzutowiec. Trochę nas przstraszył.

Pomiary Yula potwierdziły to, co podpowiadała mi intuicja: długość linek mniej więcej półtorakrotnie przewyższała średnicę wykopu. Kiedy wyłuszczyłem oritheńczykom zarysy planu, ruszyli w stronę wykopu. Przy jego skraju rozdzielali się i rozchodzili na boki, napinając linki; spadochron sunął po ziemi, poruszając się nierównymi zrywami; parę osób musiało wejść pod spód, żeby podnosić go i uwalniać, kiedy o coś zaczepił. Wkrótce jednak przednia krawędź płachty zsunęła się przez brzeg wykopu i od tego momentu grawitacja bardzo nam pomagała, ściągając spadochron w dół. Miałem nadzieję, że gdyby ktoś nie mógł utrzymać swojej linki, po prostu ją puści, zamiast dać się pociągnąć na dno. Na szczęście płachta nie była aż tak ciężka: wystarczyło rozstawić się w równych odstępach na obwodzie wykopu, żeby całkiem sprawnie nią manewrować. Pokrywała około połowy powierzchni wykopalisk. Oritheńczycy domyślili się już, że chcemy rozpiąć ją nad placem przed świątynią, i sami zaczęli się odpowiednio ustawiać. Moje wskazówki stały się

zbędne. Kiedy uznałem, że spadochron znalazł się we właściwym położeniu, przebiegłem się po obwodzie kręgu, tłumacząc moim pomocnikom, że powinni maksymalnie napiąć linki i jakoś solidnie zakotwiczyć je w terenie. Mniej więcej jedna trzecia została zahaczona o zewnętrzny mur koncentru; pozostałe przywiązaliśmy do drzew, kolumn klauzury, belek konstrukcyjnych, kamieni i wbitych w ziemię patyków.

Na dźwięk silnika podniosłem wzrok: to Yul z najwyższą ostrożnością zjeżdżał do wykopu swoim domem na kołach. Pewnie po to, żeby móc rano przyrządzić Geometrom śniadanie, pomyślałem. Podbiegłem i wskoczyłem mu do kabiny, co wywołało bunt wśród oritheńczyków, którzy zignorowali wcześniejsze polecenie Landashera i ruszyli za nami na piechotę.

Yul prowadził w milczeniu. Wyraz twarzy miał taki, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć histerycznym śmiechem. Na dnie jamy zaparkował w ruinach świątyni, tuż obok analemmy, i zgasił silnik. Dopiero wtedy spojrzał na mnie i się odezwał:

- Nie wiem, jak to się skończy, ale cieszę się, że przyjechałem tu z tobą.

Zanim zdążyłem mu powiedzieć, że i ja cieszę się z jego towarzystwa, wysiadł i skierował się w stronę Cord.

Ciepło bijące od rozżarzonej podstawy kapsuły nie pozwalało do niej podejść. Yul wrócił do aportu po metalizowane koce ratunkowe. Cord, Orolo i ja owinęliśmy się nimi jak zawojami, a ponieważ kapsuła wznosiła się wysoko ponad naszymi głowami, poprosiliśmy o przyniesienie drabin.

Wcześniej trudno mi było oszacować rozmiary statku, dopiero teraz znalazłem porzucony przez archeologów przymiar i stwierdziłem, że pojazd Geometrów ma około dwudziestu stóp średnicy. Nie miałem nic do pisania, więc korzystając z tego, że Sammann na bieżąco rejestrował wszystko swoim piszczkiem (przełączył go w tryb pracy szpilołapu), podałem mu wymiary.

Nadleciał helikopter; wyraźnie słyszeliśmy go przez płócienny dach. Zatoczył kilka kółek na niskim pułapie, marszcząc płachtę podmuchem powietrza spod wirnika, po czym wycofał się

wyżej i zawisł nieruchomo. Spadochron uniemożliwił mu lądowanie w wykopie, a cały teren intramuros był zabudowany lub uprawiany. Musiałby wylądować na zewnątrz, a jego załodze nie pozostałoby nic innego, jak albo zapukać do bramy, albo wspiąć się na mur.

Na parę minut mieliśmy ich z głowy, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że czasu jest rozpaczliwie mało. Nagle podsunęto nam tuzin drabin jednocześnie: były różnej wielkości, pozbijane z ręcznie obrobionego drewna. Oritheńczycy zaczęli z nich budować rusztowanie po tej stronie sondy, z której, jak nam się wydawało, znajdował się właz. Cord pierwsza wdrapała się na górę i stanęła na poziomo ułożonej drabinie. Byłem z niej dumny. Wszystko to wyglądało przecież oszałamiająco - i może nawet Cord była trochę oszołomiona, ale przecież miała do czynienia z maszyną i mogła ją rozgryźć. Dopóki umiała się na tym skupić, nic innego się nie liczyło.

- Mów do nas! - zawołał do niej Sammann. Wpatrzony w wyświetlacz piszczałka, kadrował ujęcie.

- Mam tu właz ze zdejmowaną pokrywą - zaczęła Cord. - Ma kształt trapezu, rogi lekko zaokrąglone... Dwie stopy szerokości na dole, półtorej u góry. Cztery stopy wysokości. Uformowany zgodnie z krzywizną kadłuba.

Cały czas tańczyła pociesznie na rusztowaniu, które w tym czasie powstawało: stanęła na dwóch szczeblach drabiny, ale potem okazało się, że ta drabina się rusza. Ciało Cord rzucało ruchliwe cienie na kadłub i utrudniało jej oględziny, wyjęła więc z kieszeni latarkę czołową, włączyła ją i oświetliła osmolony kadłub sondy.

- Możemy się umówić, że to są po prostu drzwi? - zapytał Sammann.

- Pewnie. Dokoła jest napis zrobiony od szablonu, alfabetem Geometrów. Znaki mają około cała wysokości.

- Od szablonu? - powtórzył Sammann.

- Tak.

Cord założyła latarkę na głowę. Teraz miała już wolne

ręce.

- Ale jak to: od szablonu?

- Normalnie. Wzięli kawałek papieru, wycięli w nim litery, przyłożyli go do metalu i posmarowali farbą.

Usłyszałem powtarzający się metaliczny stukot: to Cord przykładała magnes w różnych punktach dookoła drzwi.

- Ani grama ferromagnetyku - powiedziała.

Coś zgrzytnęło.

- Nie mogę zarysować powierzchni stalowym nożem - zameldowała Cord. - To może być jakiś hartowany stop nierdzewny.

- To fascynujące! - zawołał Orolo. - Dasz radę to otworzyć?

- Podejrzewam, że ten napis to właśnie instrukcja otwierania. Powtarza się cztery razy dookoła drzwi. Za każdym razem linia od napisu prowadzi do...

- Strzałka? - zainteresował się ktoś.

Inni, stojący w miejscu, skąd było więcej widać, nie mieli takich wątpliwości:

- Tak! To strzałki!

- Nie wyglądają jak nasze strzałki - uprzedziła Cord. - Ale może Geometry inaczej je malują. Prowadzą do takich płytek wielkości dłoni. Płytki są przymocowane do kadłuba śrubami ze stożkowym łbem, po cztery na płytkę. Nie mam dobrego narzędzia, żeby je odkręcić, ale mogę od biedy użyć klucza imbusowego.

- Skąd wiesz, że to śruby? - zapytał ktoś. - Nic nie wiemy ani o tych obcych, ani o ich praksis!

- To oczywiste! Widzę, jak zostały rozjechane, kiedy mechanik, który je przykręcał, użył za dużej siły. Poza tym są radełkowane, żeby taki obcy mógł je wkręcić swoimi obcymi palcami. Pozostaje tylko jedno pytanie: zgodnie z ruchem wskazówek zegara czy przeciwnie?

Cord wsunęła klucz w śrubę, dobiła go nasadą dłoni i naparła nań mocno. Stęknęła z wysiłku.

- Przeciwnie - powiedziała.

Nie wiedzieć czemu, deklaranci odpowiedzieli jej wiewatami.

- Geometry są praworęczni! - zawołał któryś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Cord wykręcała śruby i chowała je do kieszeni, aż w końcu płytką odpadła, przeleciała przez rusztowanie i zaklekotała o kamienną nawierzchnię placu. Ktoś wziął ją do ręki z nabożną czcią, jak stronicę świętej księgi.

- Pod płytką jest zagłębienie z uchwytem - poinformowała nas Cord. - Ale zanim się nim zajmę, zdejmę pozostałe trzy płytki.

- Po co?- zapytał ktoś.

Typowy kłótniwy deklarant, pomyślałem.

Cord zabrała się już do następnej płytki, ale wyjaśniła cierpliwie:

- Kiedy przykręcasz koło do mobu, dociskasz śruby po trochu, kolejno, żeby napięcie równo się rozkładało. Tutaj robię coś podobnego.

- A jeśli jest różnica ciśnień? - zagadnął Orolo.

- To tym bardziej nie powinnam się spieszyć. Nie chcemy chyba, żeby fruujące drzwi rozsmarowały kogoś na papkę. A właśnie, skoro o tym mowa...

Cord spojrzała w dół, na zebrany wokół sondy tłum. Yul pierwszy zrozumiał, o co jej chodzi. Przyłożył stulone dłonie do ust i zawołał:

- COFNAĆ SIĘ! Wszyscy! Odsunąć się od włazu! Sto stóp do tyłu! ALE JUŻ!

Jego głos zabrzmiał zdumiewająco donośnie i władczo. Ludzie posłusznie odsunęli się do miejsca, gdzie stał aport Gnela.

Przez ten czas nad Orithenę nadleciało więcej aeroplanów, i to co najmniej dwóch, jeśli nie trzech różnych typów. Słyszeliśmy, jak lądują za murami. Rozeszła się wieść, że na drodze przy kramie z pamiątkami gromadzą się żołnierze.

- Sammann? - Coś mi przyszło do głowy. - Czy ty to transmitujesz przez Retikulum?

- Uśmiechnij się - odparł. - Miliard ludzi właśnie się z Ciebie śmieje.

Staralem się nie myśleć o żołnierzach i miliardzie ludzi.

Sonda zasyczała. Cord odskoczyła, niewiele brakowało, żeby spadła z rusztowania, ale syk gasł asymptotycznie i po paru sekundach zrobiło się cicho.

- Jednym ze skutków pociągnięcia za uchwyt jest otwarcie zaworu i wyrównanie ciśnienia - poinformowała nas.

- Powietrze zostało wydmuchnięte czy zassane? - spytał Orol.

- Zassane. - Cord odciągnęła trzy pozostałe uchwyty. - Uwaga... Leci!

Drzwi oddzieliły się od kadłuba i odbiły od drabiny, na której stała.

Yul złapał je w locie i położył na ziemi. Wszyscy śledziliśmy je wzrokiem, a potem jak jeden mąż spojrzeliśmy na Cord, która z rękami na biodrach i jedną nogą odstawioną w bok zaglądała do wnętrza kapsuły, przyświecając sobie latarką.

- Co tam jest? - zapytał ktoś w końcu.

- Nieżywa dziewczyna. Z pudełkiem na kolanach.

- Człowiek czy...?

- Prawie. Ale nie z Arbre.

Przykucnęła, szykując się do wejścia, gdy nagle rusztowanie ugięło się, zachybotano sprężycie i wyprostowało: to Yul wskoczył do niej na górę. Nie mógł pozwolić na to, żeby jego dziewczyna wchodziła na pokład statku kosmicznego, dopóki on nie sprawdzi, że nie ma na nim potworów. Rusztowanie, przeznaczone dla jednej osoby, osiągnęło górną granicę wytrzymałości: dopóki większość miejsca na górze zajmował podekscytowany Yulassetar Crade, inni nie mieli po co się tam pchać. Cord, nieco urażona, nie zrobiła mu miejsca obok siebie, Yul musiał więc przykłęknąć i zajrzeć do wnętrza pojazdu na wysokości jej ud. Ich zachowanie wydało mi się pochopne, ryzykowne i absolutnie niewłaściwe w odniesieniu do takiego bezcennego skarbu teorycznego. W innych okolicznościach

deklaranci wspiełoby się na rusztowanie i powstrzymali Yula; nikt by niczego nie dotknął, dopóki kapsuła nie zostałaby pomierzona, obfototypowana, zbadana i przeanalizowana. Jednakże odgłosy krążących nad matemem aeroplanów tudzież inne dobiegające z zewnątrz dźwięki nie wprawiały nas w teoretyczny nastrój.

- Yul! - zawołał Sammann, a kiedy Yul się do niego odwrócił, rzucił mu swój piszczyk.

Yul złapał go instynktownie i wsunął do kapsuły. Piszczyk był czulszy niż ludzkie oko, przez co lepiej było obserwować obraz na jego wyświetlaczu, niż próbować przeniknąć mrok gołym okiem. W ten właśnie sposób Yul zauważył ciemne plamy na ubraniu kobiety.

- Jest ranna - poinformował nas. - Krwawi!

Część deklarantów pomyślała, że mówi o Cord, i w pierwszej chwili zareagowali okrzykami zgrozy, ale szybko wyjaśniono im, że chodzi o znalezionego w kapsule Geometrę płci żeńskiej.

- To znaczy, że ona... albo on... żyje?! - zapytał Sammann.

Yul odwrócił się do nas.

- Nie wiem!

Korzystając z chwili jego nieuwagi, Cord przestąpiła próg kapsuły. Usłyszeliśmy stłumiony okrzyk.

- Cord mówi, że kobieta jest jeszcze ciepła! - przekazał nam Yul.

Przez głowę przebiegały mi (i pewnie nie mnie jednemu) dziesiątki pytań teoretycznych: skąd wiadomo, że to kobieta? Skąd pewność, że obcy mają w ogóle płeć? Dlaczego uważacie, że tak jak my mają krew i że to właśnie krew z niej wypływa?

Ale stres i zamieszanie sprawiały, że wszystkie tego rodzaju wątpliwości obejmowała intelektualna kwarantanna.

- Może ona jeszcze żyje? Musimy jej pomóc! - zarządził Orolo.

Yul nie potrzebował dalszej zachęty. Jedną ręką odrzucił Sammannowi piszczyk, drugą podał Cord nóż.

- Jest solidnie przypięta – wyjaśnił.

Z całej Cord widzieliśmy tylko jedną nogę, którą wykręcała na wszystkie strony, próbując się zahaczyć o rusztowanie. Upłynęła minuta. Czekaliśmy bezradnie; nie mogliśmy ani jej pomóc, ani nic poradzić na metaliczne łoskoty i zgrzyty dobiegające z góry, zza bramy i murów. W końcu Cord zaparła się, szarpnęła z całej siły - i prawie wypadła przez drzwi. Yul sięgnął do środka i też mocno pociągnął: jak flisak na tratwie ratujący tonącego klienta z rzeki, wyciągnął kobietę i padł na wznak na rusztowanie, przywalony jej ciałem. Czerwona ciecz spłynęła mu po żebrach i między szczeblami drabiny zaczęła skapywać na ziemię. Dwadzieścia rąk wyciągnęło się do góry, żeby przejąć od niego ciało Geometry, kiedy sturlał je z siebie na bok. Trzy dłonie (w tym jedna należąca do Orola) spotkały się na głowie kobiety, podtrzymując ją ostrożnie. Mignęła mi jej twarz: z odległości pięćdziesięciu stóp z powodzeniem mogłaby ujść za mieszkankę naszej planety; z bliska nie miałem cienia wątpliwości, że jest, jak to ujęła Cord, „nie z Arbre”. Trudno byłoby wskazać jeden konkretny rys jej twarzy, który wykluczałby ją z grona Arbryjczyków, ale wszystkie razem - kolor i faktura skóry i włosów, struktura kostna, zarys małżowiny usznej, kształt zębów - dostatecznie ją wyróżniały. Nie było mowy, żebyśmy mogli ją złożyć na wypalonym przez silniki rakietowe placu, ciągle jeszcze nagrzanym i zasłanym odłamkami kafelków, zaczęliśmy więc rozglądać się w poszukiwaniu innej płaskiej powierzchni. Najlepsza wydała się nam skrzynia ładunkowa stojącego sto stóp od nas aportu Gnela. Przenieśliśmy obcą na ramionach, drobiąc kroki najszybciej, jak się dało, żeby jej przy tym nie upuścić. Suur Maltha, koncentowa lekarka, wyszła nam na spotkanie i obmacała szyję pacjentki, zanim zdążyliśmy ją położyć. Gnel wykazał się przytomnością umysłu i rozłożył na skrzyni materac turystyczny. Położyliśmy na nim obcą, nogami w kierunku jazdy. Miała na sobie luźny jasnoniebieski skafander, którego plecy przesiąkły krwią (nie mieliśmy już wątpliwości, że to krew). Suur Maltha rozerwała jej skafander na piersi i osłuchiwała ją stetoskopem.

- Nie słyszę pulsu - powiedziała. - Nie mam pewności, gdzie znajduje się serce, ale i tak powinnam słyszeć coś więcej niż słaby szmer, który może być pochodną perystaltyki jelit. Odwróćcie ją.

Położyliśmy obcą na brzuchu. Suur Maltha rozciąła materiał: był nie tylko nasiąknięty krwią, ale także gęsto podziurawiony. Maltha starła nim posokę z pleców kobiety, odsłaniając konstelację sporych okrągłych ran, ciągnącą się od pośladków do połowy pleców, głównie po lewej stronie. Zaniemówiliśmy - wszyscy, Suur Maltha również, a kiedy już otrząsnęła się z szoku i chciała chyba coś powiedzieć, Gnel ją uprzedził:

- Śrutówka - orzekł. - Duży kaliber. Na ludzi. Z niewielkiej odległości. - I dodał, chociaż nie było to konieczne: - Jakiś skurwiel strzelił kobiecie w plecy. Niech Bóg się nad nią zmiłuje.

Jedna z asystentek Malthy zachowała się całkiem rozsądnie i od razu wetknęła termometr w otwór, który wynurzył się spod skafandra w miejscu złączenia nóg.

- Temperatura ciała zbliżona do naszej. Nie żyje dosłownie od paru minut, nie dłużej.

Niebo runęło nam na głowy.

Tak to przynajmniej wyglądało. Na górze ktoś poprzecinał linki spadochronu i czasza spadła na nas. Doświadczenie przerażające, ale zupełnie nieszkodliwe. Rozbiegliśmy się każdy w inną stronę, zajęci szarpaniem, pełzaniem, odpychaniem i zwijaniem. Nie mieliśmy żadnego sensownego planu, ale skończyło się na tym, że spora liczba deklarantów zebrała się na placu przed Oritheną wokół skłębionej płachty spadochronu i zaczęła ją spychać na schody świątyni, gdzie nikomu by nie przeszkadzała. Upewniwszy się, że znalazła się wystarczająca liczba zwijaczy, spojrziałem w stronę kapsuły. Zamierzałem podbiec do niej i powiedzieć tym, którzy przy niej zostali, czego się dowiedzieliśmy, ale na widok uzbrojonych po zęby żołnierzy na rampie pomyślałem, że bieganie mogłoby wzbudzić u nich chęć pościgu.

Orolo i Sammann oglądali znaleziony w kapsule przedmiot: pudełko, które Cord dostrzegła na kolanach zabitej. Było wykonane z jakiejś włóknistej materii i zawierało cztery przezroczyste fiołki z czerwonym płynem. Prawdopodobnie próbki krwi. Każda fiołka była opisana jednym słowem (każda innym) w alfabecie Geometrów i okrągłą ikoną: rysunkiem planety (nie Arbre) widzianej z kosmosu.

Żołnierze wyrwali nam je z rąk. Otoczyli nas. Każdy miał przerzucony na skos przez ramię bandolier obwieszony czymś, co przypominało przerośnięte obroże. Na widok deklaranta ściągał jedną taką obręcz i zapinał ją deklarantowi na szyi. Obroża natychmiast ożywała i zaczynała błyskać światełkami. Z przodu miała nadrukowany ciąg liczb. Wystarczyło zrobić deklarantowi zdjęcie i skojarzyć je z numerem, żeby jednoznacznie go zidentyfikować. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby się domyślić, że obroże mają wbudowany mechanizm naprowadzający. Wszystko to wyglądało złowrogo i niehumanie, ale na razie nie stała nam się żadna krzywda. Żołnierze chyba po prostu chcieli mieć wszystkich na oku.

Fraa Landasher zachował się bardzo ładnie: stanowczo, ale spokojnie dopytywał się, kto jest dowódcą, kto wydał rozkaz wkroczenia na teren koncentu („Jakie przepisy regulują postępowanie ze statkami kosmicznymi obcych?”) i tak dalej. Żołnierze byli jednak poubierani w kombinezony chroniące ich przed bronią chemiczną i biologiczną, co znacząco utrudniało nawiązywanie kontaktu. W dodatku Landasher w gruncie rzeczy słabo się znał na zawilosciach aktualnego prawa: byłby znakomitym adwokatem sześć i pół tysiąca lat temu, ale nie dzisiaj.

Czterej żołnierze wyróżniający się specjalnymi insygniami przyklejonymi polioplastową taśmą do kombinezonów podszli do sondy i zaczęli wypakowywać przyniesiony sprzęt. Dwóch wspięło się na rusztowanie, przegoniło fraa, który zakradł się do wnętrza kapsuły, i zaczęło zbierać próbki i robić fototypy.

W pierwszej kolejności zajęli się sondą. Porozumiewali się

między sobą bez przeszkód dzięki wbudowanym w kombinezony odbiornikom radiowym, nie słyszeli nas jednak i nie bardzo mogli z nami rozmawiać; kiedy już się odzywali, to tylko po to, żeby przegonić nas z miejsca na miejsce, a kiedy słuchali, okazywali nam coś znacznie gorszego od zwykłego sceptycyzmu - nieufność, tak jakby oficerowie ostrzegli ich, że deklaranci będą próbowali rzucać na nich czary. Ci, którzy weszli do sondy, mogli dostrzec ślady czerwonej cieczy, które jednak wcale nie rzucały się w oczy: kapsuła była zagracona, światło słabe, a fotele przeciwprzeciążeniowe obite ciemnym materiałem, na którym plamy stawały się słabo widoczne; przeszklone osłony twarzy nieustannie zaparowywały, grube rękawice uniemożliwiały namacanie lepkiej wilgoci, a filtr powietrza skutecznie usuwał zapachy. Stojąc przy kapsule i oswajając się z obejmującą mi szyję obrożą, zdałem sobie sprawę, że może minąć sporo czasu, zanim żołnierze zorientują się, że statkiem podróżował Geometra, który teraz leży martwy w odległości stu stóp od nich. Miliard ludzi oglądających w Retikulum transmisję Sammanna już o tym wiedziało; żołnierze - odizolowani od świata w swojej własnej retikuli - nie mieli o tym pojęcia. Sammann, Orolo, Cord i ja wymienialiśmy coraz bardziej zdumione i rozbawione spojrzenia.

Yul dostarczył nam wszystkim chwilowej rozrywki. Najpierw pogonił żołnierza, który chciał mu założyć obrożę, a następnie, kiedy go otoczyli i wzięli na cel, wynegocjował, że sam się w nią zakuje. Kiedy jednak to zrobił, a żołnierze dali mu spokój i sobie poszli, natychmiast ściągnął ją z powrotem. Miał gruby kark i wąską czaszkę; obroża otarła mu skórę i naderwała uszy, ale zeszała. Uspokojony i zadowolony z siebie, nałożył ją z powrotem.

Jeden z oficerów zwrócił w końcu uwagę na gromadkę niezaobrożowanych deklarantów otaczających aport Gnela i wysłał do nich paru swoich ludzi. Ponieważ wyglądało na to, że mamy pełną swobodę ruchu, dopóki nie próbujemy uciekać ani przeszkadzać żołnierzom, poszedłem za nimi w pewnej odległości, którą, miałem nadzieję, uznaliby za dostatecznie uprzejmą.

Deklarantów w obrożach spędzano stopniowo na schody świątyni. Żołnierze tyralierą przeczesywali teglon i zgięci wpół zbierali odłamki kafelków i inne śmieci, mogące pofrunąć w powietrze, kiedy na placu zaczną lądować wojskowe maszyny. Duże aeroplany, zdolne do pionowego startu i lądowania, wisiały nam nad głowami, czekając na oczyszczenie lądowiska. Domyślałem się, że zamierzają zabrać nas z Oritheny i wywieźć do jakiegoś miejsca odosobnienia. Doszedłem do wniosku, że im dłużej nie dam się zapędzić na pokład żadnego z nich, tym lepiej.

Dowódca oddziału w ogóle nie zainteresował się tym, co przykuło uwagę pół tuzina deklarantów: kazał im po prostu odsunąć się od aportu i ustawić w szeregu, żeby wygodniej nakładało się im obroże. Zaskoczeni deklaranci posłusznie się podporządkowali. Dopiero kiedy któryś z żołnierzy obszedł aport dookoła w poszukiwaniu maruderów, na widok zwłok zamarł, sięgnął po broń (czym zwrócił uwagę pozostałych członków oddziału), ale po chwili odprężył się i z powrotem odwiesił broń na ramię. Powoli zbliżył się do pojazdu. Jego postawa i sposób poruszania się zdradzały, że naradza się przez radio z dowódcą. Stałem dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, jak dowódca zwraca się do suur Malthy (która musiała być lekarzem, skoro była cała zakrwawiona):

- Macie rannego?

- Tak.

- Potrzebny wam...

- Ona nie żyje. Nie potrzebujemy lekarza - odparła suur Maltha ostro, z nutą sarkazmu w głosie, tak samo jak ja zaskoczona, że żołnierze nic nie wiedzą!

Gdyby nas zapytali, powiedzielibyśmy im; nie potrafilibyśmy utrzymać języka za zębami. Ale nie zapytali. Nie interesowała ich nasza wiedza i nasza opinia, dlatego wszyscy zareagowaliśmy zgodnym *A idźcie wy sobie do diabła!*

Żołnierze zaczęli odpinać kolejne obroże od bandolierów i zakładać je na szyje Malcie i jej pomocnikom, ale w połowie przerwali, przykładając dłonie do hełmów, jakby nasłuchiwali.

Rozejrzałem się po placu: wielu żołnierzy zachowało się w ten sam sposób. Domyśliłem się, że sprawa się wydała: jakiś generał siedzący w swoim gabinecie tysiące mil od Eczy obejrzał cywilną transmisję z wyspy i właśnie darł się do mikrofonu, że na skrzyni aportu leży nieżywy obcy. Spodziewałem się, że za chwilę wszyscy spojrzą w naszą stronę i zbiegną się do pojazdu.

Nic takiego się nie stało. Żołnierze jak jeden mąż spojrzeli do góry.

Coś się stało.

Unoszące się nad nami aeroplany też się zorientowały: silniki weszły na wyższe obroty, reflektory łukiem omiotły okolice, maszyny rozproszyły się i wzbiły wyżej.

Żołnierze przy aportcie zbili się w grupę, ale nadal popatrywali w niebo.

- Ej! - powiedziałem. - Ej, spójrz na mnie! - W końcu udało mi się zmusić dowódcę, żeby się do mnie odwrócił. - Powiedzcie coś! - krzyknąłem. - Nic nie słyszymy! Nie wiemy, co się dzieje!

- ...brbldlmlmmrghm EWAKUACJA! - powiedział.

Ganelialowi Crade'owi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać: wskoczył do szoferki aportu i uruchomił silnik. Suur Maltha i jedna z asystentek zajęły miejsca na skrzyni, obok „rannego”. Postanowiłem na wszelki wypadek cofnąć się jeszcze do kapsuły i sprawdzić, czy i tam do moich przyjaciół dotarła ta sama informacja; zamierzałem także ponaglić Orola, gdyby próbował się ociągać. Żołnierze wymachiwali rękami, zaganiając deklarantów do podnóża rampy. Aport Gnela przemieszczał się w tym samym kierunku wolniej od piechura, od czasu do czasu przystając i zbierając jeszcze wolniejszych deklarantów. Yul w swoim pojeździe postępował podobnie; ulżyło mi, kiedy obok niego na przednim fotelu zobaczyłem Cord. Na rampie roilo się od pieszych, więc pojazdy i tak były zmuszone poruszać się w tempie najwolniejszego z nich.

Czyli wcale nie tak wolno, bo żołnierze próbowali ich zmusić do biegu.

- Ruchy! - pokrzykiwał ktoś. - Pospieszcie się!

Oficer zerwał z głowy hełm - Do diabła z infekcją! - i zaczął krzyczyć przez megafon:

- Kto da radę biec, niech biegnie! Kto nie ma siły, na ciężarówkę!

Zamykałem tyły razem z Sammannem i Orolem. Potruchtaliśmy w stronę rampy. Spojrzałem pytająco na Sammanna.

- Myślisz, że leci tu coś jeszcze?

- Od wystrzelenia sondy minęło dość czasu, żeby statek zdążył okrążyć planetę. Jeżeli Geometry postanowili nam coś podrzucić przy następnej okazji, lada chwila możemy się spodziewać nowej przesyłki.

- Podrzucić coś... - powtórzyłem.

- Widzieliście, co spotkało tę biedaczkę! - wtrącił Orolo. - W dwudziestościanie wybuchło powstanie... może nawet wojna! Ścierają się dwie frakcje: jedna, która chce się wymieniać z nami informacjami, i druga, która jest gotowa zabijać, żeby do tego nie dopuścić.

- Nas też by zabili?

Orolo wzruszył ramionami. Dotarliśmy do początku rampy i utknęliśmy w korku. Patrząc do góry, widziałem deklarantów przemieszanych z żołnierzami, zgodnie biegnących ku powierzchni. Niezbadane prawa dynamiki korków ulicznych sprawiały, że kiedy oni biegli, my na dnie tkwiliśmy nieruchomo i mogliśmy tylko czekać, aż tłum się przerzedzi. Byliśmy ostatnimi deklarantami w kolejce; za nami stłoczyły się jeszcze dwa oddziały żołnierzy, przygiętych pod ciężkimi plecakami i cierpliwie czekających na swoją kolej; taki już odwieczny żołnierski los. Za ich plecami została wyludniona Orithena ze statkiem obcych.

Orolo wepchnął się przede mnie i posłał mi promienny uśmiech,

- Wracając do naszej wcześniejszej rozmowy... - zagaił, jakby zapraszał mnie do dialogu w kuchni przy refektarzu.

- Tak? Chciałbyś coś dodać?

- Do samej treści rozmowy właściwie nie. Zapowiada się jednak, że może wybuchnąć chaos i może się tak zdarzyć, że zostaniemy rozdzieleni.

- Nie zamierzam cię odstępować na...

- Możemy nie mieć wyboru. - Orolo powiódł palcem po obroży. - Ja mam numer nieparzysty, ty parzysty... Możemy trafić do różnych namiotów albo coś w tym rodzaju.

Kolejka przed nami nareszcie drgnęła. Sammann, widząc, że wdaliśmy się w prywatną rozmowę, ruszył przodem. Przepchnęliśmy się na rampę i zaczęliśmy najpierw iść, a chwilę później truchtać pod górę.

Orolo cały czas zerkał w niebo na zachodzie.

- Jeżeli trafisz do Tredegarha, powiedzmy, zaczniesz ludziom opowiadać o tym, co tu przeżyłeś, i zrelacjonujesz im naszą dzisiejszą rozmowę, ich reakcja będzie w znacznej mierze uzależniona od tego, kim są, z jakiego matemu pochodzą...

- Proceńskiego czy halikaarnijskiego? Przyzwyczaiłem się, Orolo.

- To troszeczkę co innego. Większość ludzi, zarówno proceńczyków, jak i halikaarnijczyków, dostrzeże w naszych rozważaniach tylko miałkie dywagacje metateoryczne. Nieszkodliwe, aczkolwiek zabierające niepotrzebnie czas. Jeśli jednak spotkasz się z kimś takim jak fraa Jaad...

Orolo nie dokończył. Pomyślałem, że pewnie się zadyszał, ponieważ bieглиśmy już w niezłym tempie. Aeroplany lądowały za murami koncentu; Orolo musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć jazgot ich silników. Spojrzałem na niego z ukosa i wydało mi się, że na jego twarzy maluje się wahanie - odczucie nijak niekojarzące mi się z ojcem Orole.

- Myślę... - zaczął. - Myślę, że oni już wiedzą.

- Co wiedzą?

- Że to, co ci wcześniej powiedziałem, jest prawdą.

- Aha.

- Wiedzą to co najmniej od tysiąca lat.

- Mhm.

- I... eksperymentują.

- Co takiego?!

Orolo wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Przeprowadzę analogię. Kiedy teorowie stracili zderzacze atomów, zainteresowali się niebem i z kosmografii uczynili swoje laboratorium, jedyne miejsce, w którym mogli sprawdzać obmyślane teorie, przekładać filozofię na teorię. Podobnie rzecz się miała z tymi ludźmi, których znaczną liczbę zamknięto w skalnym gnieździe, gdzie nie mieli nic lepszego do roboty, jak rozmyślać o sprawach, o których wcześniej dyskutowaliśmy... Pewnie właśnie wtedy zaczęli obmyślać eksperymenty, pozwalające im sprawdzić, czy mówią z sensem, czy plotą od rzeczy. I z biegiem czasu metodą prób i błędów dorobili się swoistego rodzaju praksis.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Fraa Jaad wysłał mnie do ciebie, żebym sprawdził, czy wiesz?

- Tak przypuszczam. W innych okolicznościach mogliby po prostu ściągnąć mnie do odpowiedniego matemu, ale teraz... - Znów spojrział w niebo. - No, nareszcie! - wykrzyknął zachwycony, jakbyśmy czekali na pociąg, a on właśnie wypatrzył wjeżdżającą na dworzec lokomotywę.

Biała pręga przecięła niebo na dwoje z zachodu na wschód i nie tracąc szybkości, zakończyła lot w kalderze wulkanu, kilka tysięcy stóp nad naszymi głowami. Zanim doleciał nas odgłos zderzenia, Orolo zdążył jeszcze zauważyć:

- Sprytne. Obawiają się, że mogliby nie trafić prosto w kapsułę, ale znają się na geologii na tyle, żeby...

Przez następne pół godziny nie słyszałem zupełnie nic. Zmysł słuchu nagle wydał mi się gorzej niż bezużyteczny: pożałowałem, że urodziłem się z uszami.

Fraa Haligastreme nauczył mnie trochę terminologii geologicznej, którą zamierzam się teraz posłużyć. Wyobrażam sobie, że Cord pokręciłaby tylko głową z dezaprobatą i objechała mnie równo za używanie suchych fachowych terminów zamiast

przedstawiania prawdziwych emocji. Tyle że prawdziwe emocje oznaczały wtedy czarny chaos strachu i szoku, i jedynym sposobem opisanie sytuacji jest przedstawienie technicznych szczegółów, które już po wszystkim udało nam się odtworzyć.

Geometry rzucili w nas kamieniem. Prawdę mówiąc, była to długa sztaba z jakiegoś bardzo ciężkiego metalu, ale w swojej idei niczym się od kamienia nie różniła. Wbiła się na ćwierć mili w zaskorupiałą lawę na szczycie wulkanu, zanim wyparowała, wytracając w ten sposób energię kinetyczną i wytwarzając ogromną falę uderzeniową, przez nas odebraną jako trzęsienie ziemi. Sprężony gaz buchnął w górę wybitego w pokrywie otworu, poszerzając go i wywołując pęknięcia, które natychmiast wypełniała i rozsadzała płynna lawa. Lawa była przesycona skroploną parą wodną, eksplodującą do postaci gazowej, gdy tylko zniknął zatykający krater korek - tak jak po otwarciu butelki z napojem gazowanym w cieczy nagle pojawiają się bąbelki. Większość rozdętej parą lawy trysnęła pod niebo i zmieniła się w popiół, którego szara warstwa pokryła wszystko, co znalazło się w zasięgu tysiąca mil od Eczy w kierunku zgodnym z kierunkiem wiatru. Część jednak przelała się przez krawędź kaldery i runęła w dół zbrocza jak lawina - doskonale widoczna, bo żarząca się pomarańczowo. Kiedy otrząsnęliśmy się z pierwszego szoku, zerwaliśmy się na nogi (wstrząs wywołany eksplozją powalił nas na ziemię) i, pędząc ile sił w nogach, dotarliśmy w zdesperowanym tłumie na górę, stało się oczywiste, że płonąca chmura pędzi prosto na nas i że kiedy nas dopadnie, jednocześnie zmiążdży nas z siłą kowalskiego młota i upiecze żywcem jak zionięcie miotacza ognia.

Chyba że zdążymy zejść jej z drogi. A tego można było dokonać tylko wsiadając do jednego z aeroplanów, które wylądowały między bramą koncentu i kramem z pamiątkami. Było ich akurat tyle, żeby zabrać z powrotem żołnierzy i ich sprzęt, ale wojskowi zachowali się po rycersku i odrzucili całe wyposażenie osobiste, żeby zrobić miejsce dla dodatkowych pasażerów. Zabrali się nawet do wyrzucania zbędnego sprzętu z pojazdów - na ziemię

polecały gaśnice i apteczki.

Wszystko sprowadzało się do prostych rachunków, które spodobałyby się każdemu teorowi. Piloci znali maksymalny udźwig swoich maszyn i wiedzieli, ile średnio waży człowiek. Dzieląc pierwszą wartość przez drugą, mogli obliczyć dopuszczalną liczbę pasażerów. Chcąc zapewnić przestrzeganie tego limitu, wyjęli broń i ustawili uzbrojonych żołnierzy po obu stronach wejścia. Żołnierze mniej więcej wiedzieli, dokąd biec: wracali do tych samych aeroplanów, które ich przywiozły, natomiast tłum oritheńczyków kłębił się i falował na otwartej przestrzeni pomiędzy aeroplanami, przeskakując lub potykając się o porozrzucany sprzęt. Piloci wskazywali ich kolejno, wciągali na pokład i odliczali. Czasem udawało im się wyrzucić jeszcze jakiś zbędny drobiazg i wziąć dodatkowego pasażera. Trwało to już od jakiegoś czasu, kiedy z Sammannem i Oroleм wybiegłem przez bramę, i większość miejsc przewidzianych dla cywilów została zajęta. Pełne aeroplany startowały, niektóre obwieszone uczepionymi podwoziami desperatami. Nieliczni pechowcy, których nikt jeszcze nie wybrał, biegali od jednej maszyny do drugiej. Ulżyło mi, kiedy zobaczyłem, że dla wielu z nich jeszcze znajduje się miejsce. Dostrzegłem stojące nieopodal pojazdy Yula i Gnela: miały włączone silniki i światła, ale kierowców nie było nigdzie widać. Udało im się uciec! Niestety, w zamieszaniu straciłem z oczu Orola. Przebiegający obok żołnierz złapał mnie za ramię i pchnął w kierunku aeroplanu, który właśnie podkręcił obroty silników. Przewaliłem się przez jego drzwi po omacku, oślepiiony tumanami kurzu. Czyjeś ręce złapały mnie i wciągnęły do środka w tej samej chwili, gdy płozy maszyny oderwały się od ziemi. Żołnierz, który mnie uratował, wskoczył na płożę obok mnie. Spojrzałem w dół. Nigdzie nie widziałem ani Sammanna, ani Orola... Świetnie! Pewnie zabrały ich inne maszyny.

Tylko dwa aeroplany stały jeszcze na ziemi - i jeden z nich właśnie wystartował, zrzucając dwóch oritheńczyków, którzy rozpaczliwie usiłowali się czepiać drzwi, ale ręce ześliznęły im się po metalu. Co najmniej dziesięć osób zostało na dole. Niektórzy

leżeli tam, gdzie upadli, inni, przygnębieni, siedzieli na ziemi, jeszcze inni zaczęli biec w stronę morza; jeden rzucił się w stronę ostatniego aeroplanu, ale był za daleko. Głos w mojej głowie dopytywał się *Dlaczego ich nie zabrali? To przecież tylko parę osób.* Ale odpowiedź była oczywista - wystarczyło popatrzeć i posłuchać, jak zachowywał się aeroplan, którym leciałem: ustawione na pełną moc silniki wyły przeraźliwie, a wzbijaliśmy się w powietrze w tempie człowieka wspinającego się po drabinie, siejąc przy tym na wszystkie strony drobiazgami, które wpadły ludziom w ręce i wydawały się zbędne. Latarka uderzyła mnie z tyłu w głowę i upadła na podłogę. Zgarnąłem ją i wyrzuciłem przez otwarte drzwi.

Mało nie trafiłem zakutanej w zawój postaci, podświetlonej od tyłu ostrym światłem reflektorów aportu Gnela i uginającej się pod jasnyniebieskim ciężarem: zwłokami obcej, które, zapomniane przez wszystkich, zostały na skrzyni aportu. Człowiek zgięty pod tym brzemieniem biegł w stronę ostatniej maszyny, która jeszcze nie oderwała się od ziemi. Z otwartych drzwi wyciągnęły się ku niemu ręce, a on podjął ostatni heroiczny wysiłek: stanął w rozkroku, ugiął lekko nogi i wypchnął trzymane na rękach zwłoki do góry. Dłonie chwyciły je i wciągnęły na pokład. Żołnierz stojący w drzwiach obnażył zęby, krzycząc coś do mikrofonu. Aeroplan dźwignął się w powietrze, zostawiając na ziemi człowieka, który przyniósł zabitą kobietę. Zmusiłem się do tego, żeby mu się przyjrzeć - i zobaczyłem to, czego się spodziewałem i obawiałem: Orolo został sam przed bramą Oritheny.

Wzbiliśmy się już dostatecznie wysoko, żeby móc spojrzeć ponad murem i zabudowaniami koncentu w stronę wulkanu. Widziałem, co się zbliża; wyglądało dokładnie tak, jak opisywał nam to fraa Haligastreme, powołując się na starożytne źródła: ciężkie jak kamień, płynne jak woda, gorące jak kuźnia i - po przebyciu kilku tysięcy stóp w dół stromego stoku - szybkie jak pociąg ekspresowy.

- Nie! - wrzasnąłem. - Wracajmy!

Nikt mnie nie słyszał, ale stojący obok mnie żołnierz

wyczytał coś z mojej twarzy i zobaczył, jak zerkam w stronę kabiny. Spokojnie podniósł broń i przystawił mi lufę do czoła.

Moja następna myśl brzmiała *Czy wystarczy mi odwagi, żeby wyskoczyć? Orolo mógłby zająć moje miejsce.* Wiedziałem jednak, że nie wylądują, żeby go zabrać. Nie było na to czasu.

Orolo rozglądał się z zaciekawieniem. Sprawiał wrażenie niemal znudzonego. Przesunął się w miejsce, z którego przez otwartą bramę widział wulkan i mógł obserwować, co go czeka - i myślę, że właśnie wtedy zdał sobie sprawę, ile czasu mu jeszcze zostało. Podniósł porzuconą saperkę i rękojeścią wyrysował łuk na miękkiej ziemi. Powtórzył to kilkakrotnie, przemieszczając się i łącząc łuki, aż wykreślił zgrabną, nieskończoną krzywiznę analemmy. Potem stanął na niej, odrzucił saperkę i spojrzał przeznaczaniu w oczy.

Budynki koncentu implodowały, zanim pomarańczowa lawina ich dosięgła, powalone popychaną przez nią falą uderzeniową. Zniszczenie w kilka sekund rozlało się po całym kompleksie, fala grzmotnęła od środka w zewnętrzny mur. Ściana wybrzuszyła się, popękała, zrzuciła kilka kamiennych bloków ze szczytu - ale wytrzymała, dopóki żarząca się chmura nie uderzyła w nią z pełnym impetem. Pod jej naporem kawałki muru posypały się jak dziecięce klocki.

- Nie! - krzyknąłem drugi raz.

Orolo zachwiał się, popchnięty falą uderzeniową i upadł, zwiotczały jak kawałek sznurka. Na ułamek sekundy otulił go dym: to zawój zaczął się tlić w skwarze bijącym od rozżarzonej chmury. Nasz aeroplan zakolebał się i ześliznął w bok, wstrząsany wierzgnięciami zagęszczonego powietrza. Ognista chmura przelała się przez bramę, przeskoczyła przez resztki muru i spadła na Orola. Przez ułamek sekundy był jeszcze kwiatem żółtego płomienia w strudze oślepiająco białego blasku, a potem zlał się z nim w jedno. Została z niego smużka pary unosząca się nad wirtem ognia.

Konwoks: Ogromna konwokacja deklarantów z matemów i koncernów z całego świata. W normalnych okolicznościach odbywa się tylko podczas apertu milenijnego albo po Łupieży. W sytuacji wyjątkowej może zostać zwołana na żądanie państwa sekularnego.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Fala mlecznego światła rozlała się po lasach i łąkach i zgęstniała w lepką mgłę. Nastął dzień bez świtu. W oknie aeroplanu pojawiła się siateczka miliona rys, rozbijających światło na wielobarwny pył. Oglądałem je przez wizjer baloniastego skafandra. Obok mnie na siedzeniu leżała pomarańczowa walizka, która oddychała i gulgotała jak ludzki tułów, zabijając wszystko, co ze mnie wychodziło. Deklaranci i gryzpiórki, którzy zjechali się na konwoks z całej Arbre, byli zbyt ważni, żeby ryzykować zakażenie zarazkami obcych, musiałem więc mieszkać w balonie, dopóki nie zapadną nowe decyzje.

Nie miało to żadnego sensu. Po co w ogóle sprowadzali mnie do Tredegarha, skoro obawiali się ryzyka? Żaden dialog rozumnych istot nie mógł doprowadzić do konkluzji, że należy mnie przywieźć na konwoks, ale w balonie. Oroło miał rację: konwoks był tworem politycznym i podejmował decyzje na zasadzie kompromisu, a przecież regularnie się zdarza, że kompromis między dwiema całkiem rozsądnymi możliwościami nie ma nic wspólnego z sensem i logiką.

Dlatego pierwszy raz zobaczyłem Urwisko przez kilka warstw przymglonego, porysowanego i splekanego polioplastu, spowite tumanami jakiegoś oparu, który równie dobrze mógł być dymem, parą albo kurzem. Opisujący je poeci zawsze oglądali je o świetle lub o zmierzchu, w przepiękny, pogodny dzień, i zastanawiali się, co robią zamieszkujący wieżyczki tysięcznicy. Najwidoczniej nie wiedzieli (albo wiedzieli, ale dyskrecja nie pozwalała im o tym wspominać), że granitowa bryła poniżej Urwiska jest gęsto podziurawiona tunelami, w których przechowuje się odpady radioaktywne, i że Tredegarh cieszy się

opinią Nieskalanego nie ze względu na niezwykłą moc murów ani odwagę obrońców, lecz dzięki porozumieniu zawartemu między światem matelowym i państwem sekularnym. Ciekaw byłem, jaki wiersz wyszedłby spod pióra poety, który zobaczyłby Urwisko tak jak ja w tej chwili, i wiedział to, co ja wiedziałem. Kiedy parsknąłem śmiechem, wizjer zupełnie mi się zamazał, ale potem odzyskałem wzrok i ukazał mi się ten sam ponury, mglisty, wyprany z kolorów obraz - i doszedłem do wniosku, że mógłby to być całkiem niezły wiersz. Urwisko wyglądało na tysiąc lat starsze od wszystkiego, co widziałem na Ecbie, a dzięki przeszkodom utrudniającym mi jego oglądanie czułem do niego podobny dystans emocjonalny jak kosmograf obserwujący mgławicę przez teleskop.

Koncent Saunta Tredegarha został zbudowany dalej od miasta niż Muncoster i Baritoe, co w połączeniu z dzikością i niedostępnością Urwiska przydawało mu aury odosobnienia. Oczywiście kiedy miasta otaczające Muncostera i Baritoe upadały i odradzały się kilkanaście razy, podobne fale przemian nie omijały całkowicie Tredegarha, ale mieszkańcy świata matelowego lubili myśleć o nim jak o leśnym azylu. My jednak wyładowaliśmy w ruchliwym aerodromie pół godziny marszu od Bramy Diennej, i kiedy jechaliśmy do matemu, mogłem się przekonać, że większość „lasów” to właściwie arboreta, a to, co z daleka brałem za pastwiska, to w istocie ogromne trawniki należące do sekularów zamieszkujących wielkie i stare domy na skraju lasów.

Brama Dzienna była tak wysoka, że nie zauważyłem, kiedy przez nią przejechaliśmy. Brukowana czerwonym kamieniem droga, na której z powodzeniem mogły się minąć dwa moby, skręcała łukiem w prawo i nurkowała pod olbrzymi matelowy kopiec kamieni, omyłkowo wzięty przeze mnie za tum. W rzeczywistości było to po prostu Kolegium Lekarskie, a czerwona droga miała wskazywać drogę niepiśmiennym pacjentom i odwiedzającym ich bliskim. Jechałem na elektrycznym wózku; kombinezon, w którym zostałem zamknięty, stanowił wyjątkowo

nieporęczny bagaż. Mój kierowca wjechał na czerwoną drogę i szerokim łukiem wyminął stareńkiego pacjenta, wywożonego na wózku inwalidzkim w oplocie kroplówek i aparatury diagnostycznej. Przemknęliśmy pod łukiem wejścia i zjechaliśmy z drogi w korytarz serwisowy. Bucząc cicho, minęliśmy długi rząd zimnych pomieszczeń z metalowymi ladami i złowrogą płataniną rur i zaworów i wyjechaliśmy po pochylni na dziedziniec. Był podobnej wielkości jak klauzura w Edharze, ale wydawał się mniejszy, ponieważ otaczały go wyższe budynki. W kącie stał nowiutki moduł mieszkalny. Rurki i przewody wychodziły z niego przez okna i albo łączyły się z pomrukującą maszyną, albo przez kolejne okno biegły do laboratorium. Kazano mi wejść do środka i zdjąć kombinezon. Drzwi zatrzasnęły się za mną, a ja usłyszałem najpierw szcęk zamka, a potem popierdywanie rolki polioplastowej taśmy, którą ktoś uszczelniał drzwi. Zrzuciłem kombinezon, wyłączyłem walizkę i schowałem obie rzeczy pod łóżko. Moduł mieszkalny składał się z sypialni, łazienki i kącika kuchенно-jadalnego. Okna wzmocniono od zewnątrz metalową siatką (żeby przypadkiem nie wydrapał sobie drogi na zewnątrz, gdyby się okazało, że cierpię na klaustrofobię i miewam ataki paniki) i grubą warstwą przezroczystego polioplastu.

Żadna rewelacja, ale pierwszy raz od paru tygodni znalazłem się zupełnie sam i był to dla mnie luksus nie do przecenienia. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Kręciło mi się w głowie, byłem osłabiony. Nie miałem wcale poczucia przesadnej prywatności, ponieważ przypuszczałem, że jestem obserwowany. Cały czas stawała mi przed oczami moja własna zapłakana twarz, którą niechcący uwieczniłem na płycie w Oku Clesthyry po peanatemie Orola; po jego *pierwszej* śmierci. Instynkt kazał mi się gdzieś zaszyć, poszedłem więc do łazienki, zgasilem światło, włączyłem prysznic i wszedłem pod lejący z góry strumień, a kiedy temperatura wody się ustabilizowała, osunąłem się plecami po ścianie i skuliłem nad odpływem. Kompletnie się rozkleiłem. Razem z wodą spłynęło mnóstwo spraw i emocji.

Przeżyłem wiele przygód, o których miło by się

opowiadało, gdyby Orola nie wyparował na moich oczach. Kilkanaście aeroplanów, w tym mój, poleciało na sąsiednią wyspę (pod wiatr) i wylądowało tam na plaży, płosząc tubylców, którzy wylegli na brzeg morza, żeby, popijając wino, oglądać erupcję Eczy. Niektórym maszynom zabrakło paliwa i musiały wodować. Ponieważ jednak wcześniej wyrzucono z nich tratwy ratunkowe, żeby zrobić więcej miejsca, pasażerowie potopiliby się masowo, gdyby nie deklaranci, którzy ze sfer zrobili boje. Drugi rzut komandosów wyłowił ich i przeniósł na naszą plażę, zarekwirowaną tymczasem przez państwo sekularne i odgradzoną od reszty wyspy. Zrzucono nam z aeroplanów namioty i mogliśmy sobie rozbić obozowisko, „Nową Orithenę”, z płócienną klauzurą i cyfrowym zegarem na patyku, przy którym odprawialiśmy certyfik. Odśpiewaliśmy requiem za Orola i innych, którzy zginęli. Wojskowi rozbili duże namioty, przegonili nas przez nie na golasa, splukali jakimś chemicznymi miksturami i rozdali nam foliowe torby, w które mieliśmy się wypróżniać. Przez kilka dni żywiliśmy się wojskowymi racjami i nosiliśmy papierowe kombinezony - po zabrudzeniu kazano nam je palić. Od czasu do czasu wzywano nas na przesłuchania, robiono nam fototypy i skany biometryczne.

Około południa drugiego dnia na pobliskiej drodze przerobionej na prowizoryczny aerodrom wylądował duży aeroplan - taki zwyczajny, ze skrzydłami. Niedługo potem na plażę zajechała kawalkada pojazdów z cywilami; niektórzy z nich nosili zawoje i sznury. Wywołano mnie po imieniu. Podeszedłem do bramy obozu, gdzie spotkałem się z liczącym dwa tuziny ludzi - i stojącym w bezpiecznej odległości, po drugiej stronie piaszczystego placu - kontyngentem z Tredegarha. Dopóki nie przemówili do mnie po orthyjsku, nie rozpoznałem w nich deklarantów; mieli zupełnie inne zawoje i sznury niż my w Edharze. Pochodzili z różnych koncentów. Rozpoznałem tylko jedną kobietę: była wśród Dzwoneczników, którzy w Mahshcie uratowali mi życie. Spojrzałem jej w oczy i skinąłem lekko głową. Odpowiedziała mi w ten sam sposób.

Pewuer całej grupy powiedział coś na temat Orola - z

szacunkiem i całkiem zgrabnie, po czym poinformował mnie, że mam im pomóc przygotować „dane”, jakie zostaną przekazane na konwoks, a następnego dnia udam się z nimi do Tredegarha. Przez „dane” rozumiał oczywiście zwłoki obcej i pudełko z fiolkami, które, skonfiskowane przez żołnierzy, mroziły się w specjalnie do tego przeznaczonym namiocie.

Sammann odbył w tym czasie podobną rozmowę z jednym ze swoich pobratymców: mała grupka itów przyjechała na plażę osobnym pojazdem.

Później pochłonęła mnie praca, co chyba dobrze mi zrobiło, bo miałem mniej czasu na rozmyślania. Ponieważ Orollo oddał życie w zamian za wiedzę teoryczną zawartą w zwłokach Geometry, przygotowując je do transportu do Tredegarha, okazywałem im taki sam szacunek, jaki okazałbym Orolowi, gdybyśmy mogli urządzać mu porządny pogrzeb. Ta wiedza kosztowała nas dwoje istnień: jedno z Arbree i jedno z innego świata.

W wolnym czasie (którego nie miałem zbyt wiele) rozmawiałem z Cord. Najpierw po prostu mówiłem, co czuję. Później Cord zaczęła mi opowiadać o tym, co zaszło na Ecbie, a ja stwierdziłem, że postrzega wydarzenia przez pryzmat kelksowskich dogmatów: najwyraźniej Sarkowi udało się kogoś nawrócić. W Mahshcie jego słowa nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia, ale to, co przeżyliśmy w Orithenie, musiało je uwiarygodnić w jej umyśle. Nie był to najlepszy moment, żeby ją przekonywać, że się myli. Zdałem sobie sprawę, że w pewnym sensie wróciliśmy do zagadnienia zepsutej kuchenki. Po co miałem wyklądać Cord prawdziwsze wytłumaczenie, skoro zrozumieć je mógł tylko deklarat, który całe życie poświęcił studiowaniu teoryki? Cord, z natury niezależna, nie chciałaby się poddać ideom matematycznym z tych samych powodów, dla jakich nie zamierzała gotować śniadań na kuchence, której nie była w stanie zrozumieć i naprawić.

Wymęczony i roztrzęsiony, ale oczyszczony i silniejszy, wędrowałem po swoim nowym domu.

Połowę przestrzeni w kuchni zajmowała butelkowana woda na ustawionych w wielopiętrowe stosy paletach. Szafki wypełniała dziwaczna mieszanina artykułów spożywczych z extramuros i świeżych jarzyn z kłębów i arboretów Tredegarha. Na stole walały się porzucone książki: trochę staroci fantastycznych (oryginały, drukowane maszynowo na tanim papierze, dawno obróciły się w proch; to były odręczne kopie, sporządzone na porządnym arkuszu) oraz filozoficzno-metateoryczno-kwantowo-neurologiczny miszmasz: były tam zarówno dzieła Protasa, jak i prace nieznanych deklaratów z matemów, o których nigdy nie słyszałem. Domyśliłem się, że jakimś fidowi zlecono zaopatrzenie mnie w lektury, a on przespacerował się po bibliotece, na chybił trafił ściągnając z półek wszystko, co mu wpadło w ręce.

Na łóżku znalazłem nowy zawój, sznur i sferę w postaci tradycyjnego pakunku. Kiedy rozsypywałem węzły, rozkładałem fałdy materii, pozbywałem się resztek ubrania z Ecby i ubierałem na nowo, wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy przez Bramę Dzienną wyszedłem z Saunta Edhara, rozplątało się jak sen, odchodziło w przeszłość równie odległą jak wydarzenia sprzed kolekty.

Zebrałem całe jedzenie pochodzące ze świata sekularnego i pochowałem je po szafkach; produkty matemu zostawiłem na wierzchu, żeby je widzieć i czuć ich zapach, po czym niewiele myśląc, zabrałem się do wyrabiania chleba (wszystkie niezbędne składniki znalazłem na miejscu). Zapach świeżego ciasta przeniknął całe wnętrze, tłumiąc wonie świeżego polioplastu, kleju do wykładzin i lepu na muchy.

Czekając, aż ciasto wyrośnie, sięgnąłem po jedną z książek metateorycznych. Kiedy zacząłem nad nią przysypiać (była absolutnie niestrawna, a w dodatku mój zegar biologiczny

rozjechał się zupełnie z rytmem dnia), mało nie dostałem zawału serca, bo ktoś postanowił obić pięściami ściany modułu. Arsibalta rozpoznałem najpierw po impecie uderzeń, później po krokach, gdy zaczął obchodzić moduł dookoła, wreszcie po metodycznym opukiwaniu każdego dostępnego kawałka ściany, tak jakby za pierwszym razem mógł coś przegapić.

Otworzyłem okno.

- Przyzwyczaiłeś się, że domy są z kamienia?! - zawołałem przez warstwę siatki i polioplastu. - Ten nie jest i nie trzeba w niego aż tak łomotać. Wszystko słychać.

Duch podobny z kształtu do Arsibalta zmaterializował się przed otworem okiennym.

- Fraa Erasmus! Miło mi cię słyszeć i oglądać twój rozmazany kształt.

- Mnie również. Z twoich słów wnioskuję, że nadal jestem traktowany jak fraa?

- Nie pochlebiaj sobie: po prostu wszyscy są tak zapracowani, że nie mają w grafikach miejsca na twoją peanatemę.

Długa cisza.

- Strasznie mi przykro - powiedział Arsibalt.

- Mnie też. - Wydał mi się zasmucony, więc mówiłem dalej: - Powinieneś był mnie zobaczyć godzinę temu! Ależ był ze mnie wrak człowieka... - Westchnąłem. - Nadal jest.

- Byłeś... przy tym?

- Nie dalej niż dwieście stóp.

Arsibalt rozplakał się. Nie mogłem podejść i go przytulić, próbowałem więc wymyślić coś, co mógłbym mu powiedzieć. Zrozumiałem, że jest mu jeszcze trudniej niż mnie. Nie znaczy to, że łatwo było mi patrzeć na śmierć Orola, ale jeśli już musiał umrzeć, lepiej było przy tym być. A potem spędzić dwa dni na plaży wśród przyjaciół.

Po spotkaniu z przybyszami z Tredegarha usiadłem przy ognisku z Cord, Yulem, Gnelem i Sammannem. Nikt nie musiał głośno mówić o tym, że może to być nasze ostatnie spotkanie w tym gronie.

- Nie zabieraliby mnie do Tredegarha tylko po to, żeby tam odprawić peanatemę - myślałem na głos. - Dlatego chyba po prostu wrócę do swojego dawnego życia. - Powiodłem wzrokiem po twarzach przyjaciół, widocznych w ciepłym blasku ognia. - Ale nie będę już tym samym człowiekiem.

- To zrozumiałe - powiedział Yul. - Po takich obrażeniach głowy...

- Ja tu zostaję - obwieścił Ganelial Crade.

To oświadczenie do tego stopnia nas zaskoczyło, że dość długo rozgryzaliśmy jego sens: Gnel zamierzał dołączyć do oritheńczyków.

- Rozmawiałem już z Landasherem - ciągnął, rozbawiony naszą reakcją. - Obiecał dać mi szansę: przyjmą mnie na próbę i jeśli nie będę za bardzo nieznośny, może pozwolą mi zostać.

Yul podszedł do niego, objął go i grzotnął po przyjacielsku w plecy. Wypiliśmy zdrowie Gnela barwioną wodą z cukrem z polioplastowych kubków.

Wszyscy spojrzeli pytająco na Sammanna, który rozłożył ręce i westchnął.

- Tak, przyznaję, wszystko to bardzo poprawiło mi reputację i ułatwiło dostęp do Retikulum.

Przez chwilę obrzucaliśmy go żartobliwymi inwektywami, a on przyjmował je z zadowolonym uśmiechem.

- Polecę na konwoks razem z fraa Erasmsem, chociaż zapewne nie w tej samej kabinie - dodał.

Wzruszyłem się i przytuliłem go serdecznie, póki jeszcze miałem taką możliwość.

Na koniec spojrzenia wszystkich spoczęły na Yulu i Cord, którzy siedzieli przytuleni do siebie na turystycznej lodówce.

- Skoro już jesteśmy czołowymi arbryjskimi ekspertami od techniki Geometrów... - zamyślił się Yul - może powinniśmy

poszukać roboty w zawodzie?

- Poważnie - zawtórowała mu Cord. - Mnóstwo ludzi chciałoby nas o różne rzeczy wypytać. Po zniszczeniu sondy nasze wspomnienia są bezcenne. Może my też trafimy do Tredegarha.

- Razem z wozem Yula - wtrąciłem.

Jak przez mgłę pamiętałem obraz wraku zagarniętego przez falę uderzeniową i przelatującego obok Orola. Yul nie wiedział, co powiedzieć: patrzył tylko na morze i kręcił głową.

- Mój aport jest bezpieczny w Norslofie - przypomniała nam Cord. - Kiedy sytuacja się uspokoi, wrócimy po niego. Myśleliśmy, żeby może wyskoczyć w góry... na taki spóźniony miesiąc miodowy. - Odczekała, aż milczenie po tych słowach stosownie się przeciągnie, zanim dodała: - Nie wiem, czy o tym mówiłam, ale się zaręczyliśmy.

Poprzedniego wieczoru Yul podszedł do mnie z miną spiskowca, wyciągając z kieszeni błyskotkę: metalowy pierścień odcięty z olinowania spadochronu kapsuły. Za pomocą prowizorycznego miecha rozgrzał go na ognisku do białości i zmniejszył tak, żeby lepiej pasował na palec Cord.

- Chciałem ją prosić... no wiesz... Nie w tej chwili, nie! Później, jak coś będzie wiadomo.

Dotarło do mnie, że w pewnym sensie prosi mnie o pozwolenie. Objąłem go i powiedziałem:

- Wiem, że się nią zaopiekujesz.

Mało nie złamał mi kręgosłupa, odpowiadając na mój uścisk. Przyszło mi do głowy, że będę musiał zawołać Dzwoneczników, żeby go ze mnie ściągnęli. W końcu trochę ochłonął i dał mi obejrzeć pierścionek.

- Wiem, jest bez kamienia i w ogóle... ale za to pochodzi z innego świata, nie? To na pewno rzadkość?

- Pewnie - uspokoiłem go. - Drugiego takiego nie ma na świecie.

Obaj odruchowo poszukaliśmy wzrokiem Cord.

W ciągu dnia musiał się jej oświadczyć, a ona się zgodziła. Wybuchła mała orgia ściskania się, pokrzykiwania i biegania w

kółko. Otoczył nas tłum oritheńczyków zwabionych plotką, że ślub odbędzie się lada chwila. Przyciągnął zaciekawionych żołnierzy, a ci z kolei zwrócili uwagę przybyszów z Tredegarha, którzy nie wiedzieli, co się dzieje. Przez chwilę wydawało się, że będziemy musieli ulec presji i urządzić ceremonię bezzwłocznie, na plaży, ale po chwili nastroje trochę się uspokoiły i zaczęła się impreza. Oritheńskie suur powyrywały naręcza kwiatów z przydrożnego rowu i uplotły z nich wieńce. Żołnierze też umieli się znaleźć: nie wiedzieć skąd wyciągnęli zapasy gorzały i gardłowo wiwatowali na cześć Cord i Yula. Mechanik ze śmigłowca dał Cord w prezencie swój ulubiony klucz imbusowy.

Godzinę później siedziałem w aeroplanie wiozącym mnie do Tredegarha.

Arsibalt pomału się uspokajał. Niepewnie, z drzeniem wciągnął powietrze.

- Wygląda na to, że pogodził się z losem.

- Chyba tak.

- Wiesz, dlaczego narysował na ziemi ten symbol?

Analemme? O co mu chodziło?

Nagle mnie olśniło.

- Zaraz! A skąd ty o tym wiesz? Pozwalają wam tu oglądać szpile?

Ucieszył się z pretekstu do małego wykładu, który dobrze mu robi.

- Zapomniałem - zaczął. - Przecież ty nic nie wiesz o konwoksie. Kiedy chcą nam wszystkim coś obwieścić, tak jak kiedy Jesry wrócił z kosmosu, zwołują tak zwane plenum. Odbywa się to w nawie unarystów, jedynym wnętrzu dostatecznie dużym, żeby pomieścić cały konwoks. Regulamin jest luźniejszy niż zazwyczaj, puszczają nam szpile. No, ale zmierzałem do tego, że po Nawiedzeniu Oritheny odbyło się całodzienne plenum. Bardzo

przygnębiające.

- Nawiedzenie Oritheny? Tak to nazwali?

Widziałem, jak Arsibalt skinął głową. Poliplast zacierał szczegóły, ale odżyły we mnie obawy, że mój przyjaciel znów usiłuje zapuścić brodę.

- Spędziłem z Orolem kilka dni, zanim... zanim doszło do tego, co widzieliście na szpilu. No i widziałem oryginalną analemę wykreśloną na posadzce świątyni.

- To musiało być coś! - zachwycił się Arsibalt.

- Nie przeczę. Zwłaszcza z perspektywy czasu, kiedy wiadomo, że tam nie wrócimy. A co do analemy, którą Orolo wyrysował na plaży, to obawiam się, że nie mam żadnego pomysłu, co mogłaby...

- Co się stało? - spytał chwilę później Arsibalt, słysząc, że zawiesiłem głos.

- Coś mi się przypomniało... Coś, co powiedział Orolo, zanim włączyły się silniki kapsuły: „Odczytali moją analemę”.

- Oni? Pewnie Geometry?

- Pewnie tak. Za dużo się wtedy działo, żebym mógł go zapytać, co ma na myśli.

- A potem było za późno.

Nie oswoiliśmy się ze śmiercią Orolo i za każdym razem, gdy wypływała w rozmowie, przez chwilę nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

- Na fototypie, który znaleźliśmy u niego w celi na ścianie, też była analemma - powiedziałem. - Ta starożytna.

- Tak, pamiętam.

- Można by pomyśleć, że traktował ją niemal jak symbol religijny. Tak jak niektóre arki traktują trójkąt.

- Ale to nie tłumaczy, co miał na myśli, mówiąc o jej „odczytaniu” przez Geometrów - zauważył Arsibalt.

Jeszcze przez chwilę łamaliśmy sobie nad tym głowy, ale nie poczyniliśmy żadnych postępów.

- No dobrze - powiedziałem w końcu. - Na tym plenum po powrocie Jesry’ego z kosmosu... widzieliście, co się stało z

Niebiańskim Strażnikiem?

- A ty widziałeś?

Obaj umilkliśmy na dłuższą chwilę, jakby każdy czekał, aż ten drugi powie coś zabawnego i niestosownego. Wyglądało jednak na to, że ten czas jeszcze nie nadszedł.

- Co z resztą?

Arsibałt westchnął.

- Rzadko ich widuję. Zostaliśmy przydzieleni do różnych laboratoriów. W porze peryklinu panuje oczywiście chaos. Wybraliśmy też różne dysputy.

Mogłem co najwyżej zgadywać, co chce przez to powiedzieć.

- Ale chyba wiesz, co u nich słychać?

- Powinieneś wiedzieć, że z Alą i Jesrym jest trochę inaczej.

- To znaczy?

- Zostali powołani wcześniej od nas. W pewnym sensie umarli, tak jak umierają wszyscy powołani, i musieli zacząć nowe życie. Niektórym od razu to podpasowało, inni z czasem się przyzwyczaili. A potem nagle okazało się, że będzie konwoks.

- I musieli urodzić się na nowo.

- No właśnie. Możesz się spodziewać pewnej... niezręczności, kiedy się spotkacie.

- Niezręczność! Ha, od razu czuję się jak w domu.

Zamiast się roześmiać, Arsibałt tylko odchrząknął.

- Niedługo cię wypuszczą - pocieszył mnie Jesry.

Wbrew przewidywaniom Arsibałta odwiedził mnie, zanim chleb zdążył ostygnąć. Przemówił z tak bezgraniczną pewnością siebie, jakby pierdział, a nie mówił.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? - zapytałem.

- Lasery miały niewłaściwy kolor.

Powtórzyłem sobie to zdanie na głos, ale nadal nic z niego nie rozumiałem.

- Te, którymi oświetlili Nieskalane - „wyjaśnił” Jesry. - W noc, kiedy okazało się, że będzie konwoks.

- Świeciły na czerwono - powiedziałem.

Nie była to może najmądrzejsza z wypowiedzianych przeze mnie kwestii, ale próbowałem wybić luźne kawałki informacji z mózgu Jesry’ego, rzucając weń kamieniami.

- W Tredegarhu są tacy, którzy znają się na laserach, i oni od razu się zorientowali, że coś jest nie tak. Czerwony laser można zbudować na bazie pewnych mieszanek gazowych, których liczba jest skończona. Z każdego ośrodka czynnego uzyskuje się inną długość fali. Specjalista potrafi po kolorze światła rozpoznać użyty gaz, ale lasera Geometrów nie rozpoznał nikt.

- Nie rozumiem, co to ma...

- Na szczęście pewien kosmograf z Rambalfa wykazał się przytomnością umysłu i zarejestrował to światło na tabliczce fotomnemonicznej. Dzięki temu znamy dokładną długość fali. Potwierdzono już, że nie odpowiada ona żadnym naturalnie występującym liniom widma.

- Przecież to bez sensu! Długości fal wylicza się z podstawowych praw kwantowych, które rządzą całym wszechświatem!

- A co powiesz o nowomaterii?

- Hmm...

Jeżeli zmieni się skład jądra atomowego, zmieniają się również trajektorie okrążających je elektronów. Światło lasera jest wynikiem przejścia elektronu z orbity o wyższej energii na orbitę o niższej energii. Różnica tych poziomów określa długość fali, czyli kolor światła.

- Lasery wykorzystujące nowomaterię jako ośrodek czynny emitują światło w kolorach niewystępujących w naturze - powiedziałem.

Jesry milczał. Czekał, aż sam zrobię następny krok.

- Geometry mają nowomaterię - ciągnąłem. - I użyli jej do

budowy lasera.

Przestąpił z nogi na nogę, coś się zmieniło w jego pozie (przez poliplast i tak niczego więcej nie widziałem) - i zorientowałem się, że się ze mną nie zgadza. Ale przynajmniej tym razem wiedziałem dlaczego.

- A zarazem wcale jej nie mają - mówiłem dalej. - Nie używają jej. Miałem w rękach ich spadochron, linki, widziałem właz... Nic nadzwyczajnego: wszystko ciężkie i mało wytrzymałe.

Jesry skinął głową.

- Nie wiesz jednego, do niedawna nikt z nas tego nie wiedział, bo wyszło to na jaw dopiero przed paroma godzinami: sonda była wykonana w całości z nowomaterii. Całą kapsułę i wszystko, co zawierała, nazwalibyśmy nowomateria, w tym sensie, że budowa jej jąder atomowych jest sprzeczna z naturą. Przynajmniej w naszym wszechświecie.

- Ale przecież większość kapsuły została zniszczona, a na pewno pogrzebana pod hałdami popiołu!

- Oritheńczycy i twoi przyjaciele zabrali z wyspy trochę szczątków. Mamy jedną z tych płytek, pod którymi znajdowały się uchwyty włazu, mamy śruby, które Cord schowała do kieszeni, są strzepy spadochronu, kawałki linek, pudełko z próbkami krwi... No i dzięki sauntowi Orolowi mamy zwłoki kobiety, której ktoś strzelił w plecy.

Niewiele brakowało, żebym to przegapił. Do tej pory ani słowem nie zająknął się o Orolu i tylko pewne niuanse jego głosu i pozy podpowiadały mi, że jest pogrążony w żałobie - ale wyłącznie dzięki temu, że znałem go całe życie. Wiedziałem, że przez bardzo długi czas będzie opłakiwał Orola na swój zabawny, ukradkowy sposób.

Odkaszlnąłem.

- Dużo ludzi tak o nim mówi?

- Coraz mniej. Kiedy puścili nam szpil, to słowo cisnęło się nam na usta; zachowanie Orola tak bardzo przywodziło na myśl saunta, że nikt się nad tym nie zastanawiał. Ale potem niektórzy sobie to przemyśleli i pomału, jakoś tak od wczoraj, wycofują się.

- A co tu jest do przemyśliwania?

Jesry wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Nie martw się, wiesz, jak jest. Nikt nie chce wychodzić przed szereg, żeby go nie nazwali entuzjastą. Proceńcyzy w swoich dyskusjach pewnie obmyślają nowe, radykalne interpretacje czynów Orola. Ale to naprawdę nieważne. Poświęcił życie, a my z szacunku dla niego powinniśmy dowiedzieć się jak najwięcej od tej nieżywej babeczki. I właśnie ci tłumaczę, że każde jądro atomowe w jej ciele, w śrucinach, które ma w bebechach, także w jej ubraniu, to nowomateria. To samo dotyczy pewnie całego dwudziestościanu.

- Dlatego krążące wokół tych jąder elektrony też zachowują się sprzecznie z naturą - dodałem. - Przez co lasery Geometrów emitują światło niewłaściwej barwy.

- Cała chemia opiera się na zachowaniu elektronów. Właśnie w ten sposób odkryliśmy nowomaterię: nukleosynteza dała nam do zabawy całkiem nowe pierwiastki i całkiem nową chemię.

- Na chemii opiera się funkcjonowanie żywych organizmów.

Jesry był z nas dwóch bystrzejszy i na pewno o tym wiedział, ale prawie nigdy tego nie okazywał. Bez względu na to, ile razy nie pojmowałem w lot jego wywodów, zawsze wierzył niezłomnie, że w końcu zrozumie to, co on zrozumiał. Była to cudowna cecha charakteru - jedyna, jaką miał. Widziałem, że znów zmienił pozę: nachylił się w moją stronę, jakby moje słowa naprawdę go zainteresowały. Dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że jestem na dobrym tropie.

- Nie porozumiemy się z Geometrami na poziomie chemicznym; ich bakterie i wirusy są dla nas niegroźne, ponieważ laser miał niewłaściwy kolor!

- Proste interakcje na pewno są możliwe. Elektron pozostaje elektronem, więc nasze atomy mogą się wiązać z ich atomami. Nie ma jednak mowy o skomplikowanej biochemii, na której opiera się funkcjonowanie drobnoustrojów.

- Geometry mogą wydawać dźwięki, które będą dla nas słyszalne; widzą światło odbite przez nasze ciała; mogą nawet zdzielić nas w nos.

- Albo zesztabować.

Pierwszy raz usłyszałem, żeby ktoś użył tego czasownika, ale domyśliłem się, że Jesry ma na myśli pocisk, który zdruzgotał Ecbę.

- Ale nie zarazić - powiedziałem.

- My im też nie możemy zaszkodzić. Z czasem zarazki na pewno wyewoluują do postaci pozwalającej im oddziaływać z oboma rodzajami materii i nasze ekosystemy się splotą, ale to potrwa. Tak to wygląda. A ty niedługo wyjdiesz z tego pudła.

- Czy Geometry mają wodę? Mają tlen?

- Ich wodór niczym się nie różni od naszego, a tlen jest wystarczająco podobny, żeby tworzyć z nim wodę, ale nie wiemy, czy moglibyśmy nim oddychać. Węgiel wygląda ciut inaczej. Przy metalach i innych cięższych pierwiastkach różnice są coraz wyraźniejsze.

- Co jeszcze wiesz o Geometrach?

- Mniej niż ty. Co Orolu robił w Orithenie?

- Prowadził badania, których do końca nie rozumiem.

- Spójne z polikosmiczną interpretacją ostatnich wydarzeń?

- W stu procentach.

- Opowiedz mi o nich.

- Boję się.

- Dlaczego?

- Boję się, że wyjdzie mi z tego belkot.

Jesry nie odpowiedział. Miałem wrażenie, że przygląda mi się podejrzliwie z drugiej strony polioplastu. Prawdziwy powód mojej niechęci do opowiadania o Orolu był oczywiście inny: obawiałem się, że dalsza dyskusja doprowadzi nas wprost do inkanterów, a byłem prawie pewien, że jesteśmy obserwowani.

- Kiedy indziej - zaproponowałem. - Niech mi się trochę rozjaśni w głowie, pójdziemy na spacer... Pamiętasz, jak prowadziliśmy dialogi teoretyczne w winnicy Orola?

Winnica Orola znajdowała się na południowym zboczu wzgórza, przez co należała do tych nielicznych części Edhara, które były niewidoczne z okien Regulatorki; zawsze tam chodziliśmy, kiedy planowaliśmy jakąś awanturę.

Jesry zrozumiał mnie i pokiwał głową.

- Jak się miewa Ala? - zapytałem.

- Dobrze. Ale nie wiem, kiedy się z tobą spotka, bo po naszym voco nawiązaliśmy romans.

Uszy mi się zapaliły, a na kręgosłupie wyrosły kolce. Tak się przynajmniej czułem, bo kiedy zerknąłem w lustro, wyglądałem zupełnie normalnie, może tylko odrobinę bardziej głupkowato niż zwykle. Wyżej zorganizowana i bardziej nowoczesna część mojego mózgu (czyli taka, która wykształciła się później niż przed pięcioma milionami lat) doszła do wniosku, że dobrze będzie podtrzymać rozmowę.

- Rozumiem - mruknąłem. - Dzięki, że mi powiedziałaś. Co teraz?

- Jak ją znam, będzie musiała podjąć jakąś decyzję. Dopóki tego nie zrobi, nie odezwie się pewnie do żadnego z nas.

Nie odpowiedziałem.

- Poza tym i tak jest zajęta - dodał Jesry.

Odniosłem wrażenie, że konwersacja mu się znudziła i ma mnie dość - ale nawet on wiedział, że nie może bezkarnie rzucić takiej bomby i po prostu sobie pójść. Dla zabicia czasu opowiedział mi więc o strukturze konwoks i organizacji jego prac. Słuchałem go jednym uchem.

Przynajmniej rozumiałem, dlaczego tak szybko przyszedł mnie odwiedzić: chciał mi przekazać tę nowinę, dopóki dzieli nas stalowa siatka. Spryciarz.

Znał mnie na wylot; wiedział, że przemyślę sprawę i zachowam się rozsądnie. No bo niby dlaczego nie mieliby nawiązać romansu? Przecież po powołaniu Ali ja też uznałem, że jestem wolny.

Inna sprawa, że niewiele mi z tego przyszło.

Zjadłem kawałek chleba.

Do mojej przyczepy weszło trzech deklarantów w baniastych kombinezonach: dwóch ukradło mi nową porcję krwi, a trzeci odczekał, aż złodzieje sobie pójdą, ściągnął hełm i rzucił go na podłogę. Włożył do środka rękawice. To była kobieta.

- Duszno - wyjaśniła, widząc, że się jej przyglądam. Przeczesała palcami włosy. - Suur Maroa, centenarystka, piąty odłam krakersów. Pochodzę z małego matemu, o którym nigdy nie słyszałeś. Mogę kawałek chleba?

- Nie boisz się zakażenia?

Spojrzała znacząco najpierw na hełm, potem na mnie.

Wydała mi się całkiem atrakcyjna, ale była ode mnie piętnaście lat starsza, a ja wiedziałem, że chwilowo nie mogę sobie zaufać. Całkiem możliwe, że pociągająca wydałaby mi się każda kobieta, która nie traktowałaby mnie jak nosiciela obcej zarazy.

Poczęstowałem ją chlebem.

- Co za paskudne miejsce! - powiedziała, rozglądając się po wnętrzu modułu. - Tak mieszkają statyści?

- Większość.

- Niedługo powinni cię wypuścić. - Wciągnęła powietrze przez nos, usiłując zanalizować dominujące w module zapachy. Z irytacją pokręciła głową. - Za dużo tych przemysłowych świństw... - mruknęła.

- Co cię sprowadza? Czym zajmują się krakersi z piątki? Przepraszam, chyba powinienem to wiedzieć...

- Dzięki. - Wzięła ode mnie chleb, przypadkiem muskając moją dłoń.

Odgryzła kawałek i zapatrzyła się w dal.

Po Rekonstrukcji wśród zwolenników Dyscypliny Krakerskiej wybuchły spory ideowe, które doprowadziły do podziałów i rozłamów, a te do kolejnych kłótni - tym razem o to, kto ma prawo używać nazwy Krakersi, Krakersi Zreformowani, Nowi Krakersi i tak dalej. Skończyło się na tym, że postanowili numerować kolejne frakcje. Wiedziałem, że doszli już do dwudziestu kilku, więc piąta musiała być dość stara i szanowana.

- Różnice między czwórką, piątką i szóstką nie są chyba w

tej chwili najważniejsze - odezwała się w końcu Maroa, zbywając w ten sposób moje pytanie. Spojrzała na mnie. - Chciałam się dowiedzieć, jak oni pachną.

- Poważnie?

- Poważnie. Miałeś w rękach ten ich spadochron, prawda?

- Tak.

- Gdybyś wziął do ręki wojskowy spadochron z Arbre, mógłbyś go powąchać. I pewnie pachniałby pleśnią, bo długo leżał zwinięty w worku.

- Że też wtedy o tym nie pomyślałem!

- Nic się nie stało. - Suur Maroa była rasowym teorem i przywykła do napotykania trudności. - Miałeś inne sprawy na głowie. Nawiasem mówiąc, dziarsko się spisaliście.

- Dzięki.

- Kiedy ta spokojna dziewczyna...

- Cord.

- No właśnie. Kiedy otworzyła zawór i ciśnienie się wyrównało, powietrze zostało...

- Zassane do kapsuły.

- Czyli zapach ich atmosfery mogliście poczuć dopiero po tym, jak zmieszała się z naszą.

- Zgadza się.

- Szlag by to trafił.

- Może powinniśmy byli poczekać... - zasugerowałem.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Nie radzę ci głośno wygadywać takich rzeczy!

Zamurowało mnie. Suur Maroa zmitygowała się i zniżyła głos:

- Tredegarh to stolica przemądrzalców. Wszyscy wam zazdroszczą, żałują, że nie byli na Ecbie zamiast was i gromady świrów z Dynastii. Uważają, że lepiej by się zachowali.

- Ja ich rozumiem. Ale my musieliśmy się spieszyć, bo wiedzieliśmy, że zaraz przylecą żołnierze i całkiem spieszą sprawę.

- Pewnie masz rację. Wróćmy jeszcze do wrażeń

zapachowych: pamiętasz jakąś szczególną woń? Jakąkolwiek?

- Ależ tak! Nawet o tym rozmawialiśmy!

- Na szpilu nic o tym nie ma.

- Bo Sammanna jeszcze wtedy z nami nie było. Sonda dopiero co wylądowała i Orolo wachał spaliny. Był ciekawy, czy Geometry używają toksycznego paliwa...

- Słusznie - wtrąciła. - Niektóre składniki bywają naprawdę paskudne.

- Nic nie poczuliśmy i uznaliśmy, że to zwykła para wodna. Tlen i wodór.

- To na razie niewiele mi powiedziałeś...

- Później, w kapsule... Tam coś pachniało. Domyśliłem się, że ma to jakiś związek z ciałem, i uznałem, że to jakiś płyn fizjologiczny.

- Domyśliłeś się? - spytała suur Maroa, przemyślawszy sobie moje słowa. - Nie rozpoznałeś zapachu?

- Był dla mnie zupełnie nowy.

- To znaczy, że organiczne cząsteczki nowomaterii Geometrów są jednak w stanie oddziaływać na nasz zmysł węchu. Bardzo ciekawe spostrzeżenie. Teorowie dopytują się, jak to możliwe. Niektóre z tych reakcji mają charakter kwantowy.

- Nasze nosy są detektorami kwantowymi?

- Oczywiście! - Na twarzy Maroi odmalował się taki entuzjazm, że prawie się uśmiechnęła. - Chociaż to mało znany fakt. - Nałożyła hełm. - Bardzo nam pomogłeś. Pobierzemy próbkę ciała i w laboratorium sprawdzimy reakcję tkanki węchowej. - Spojrzała na mnie promiennie. - Dziękuję!

Dopełniając absurdałnego rytuału pożegnania, nałożyła rękawice i spuściła osłonę hełmu. Zrobiło mi się przykro, kiedy jej twarz zniknęła mi z oczu.

- Zaczekaj! - zawołałem. - Jak to w ogóle jest możliwe? Jakim cudem Geometry są do nas tacy podobni, skoro są zbudowani z zupełnie innej materii?

- Musiałbyś zapytać kosmografa. Ja się specjalizuję w łapaniu robactwa i rozbieraniu go na czynniki pierwsze.

- To kim ja w takim razie jestem? - spytałem.

Maroa była tak pochłonięta uszczelnianiem hełmu, że nie załapała żartu. Wyszła do służby, którą wybudowali mi przed domem. Drzwi się zamknęły, zamek szczełnął, rolka taśmy znów zaczęła wydawać nieprzyzwoite odgłosy.

Ściemniło się, a mnie cały czas dręczyła ta sprzeczność: Geometry byli do nas tacy podobni, a zarazem zbudowani z materii tak bardzo odmiennej od naszej, że suur Maroa dopuszczała możliwość, że nie będziemy w stanie nawet poczuć ich zapachu! Niektórzy goście na konwoksie obawiali się obcych zarazków - ale nie ona.

Moje uwięzienie było wynikiem sporów prowadzonych w odległych o kilkaset jardów kredowniach. Powinienem był uważniej słuchać wyjaśnień Jesry'ego na temat funkcjonowania konwoksu.

Lio przyszedł późnym wieczorem. Zza okna dobiegło pohukiwanie nieistniejącego ptaka: sygnał, którym posługiwaliśmy się jeszcze w Edharze, kiedy wymykaliśmy się gdzieś po capstrzyku.

- Nie widzę cię - powiedziałem.

- Nic nie tracisz. Jestem cały posiniaczony.

- Ćwiczysz z Dzwonecznikami?

- To by było bezpieczne. Nie, ćwiczę z ludźmi, którzy są równie nieporadni jak ja. A ci z Doliny Dzwoneczków patrzą i się śmieją.

- Mam nadzieję, że nie zostajesz dłużny tym, którzy cię tak obijają.

- To by było nawet całkiem przyjemne - zgodził się Lio. - Tylko że w ten sposób nie zabłysz przed moimi nauczycielami.

Dziwnie się czułem, rozmawiając z kawałkiem polioplastu, wyłączyłem więc światło i obaj siedzieliśmy w ciemnościach. Długo. Myśleliśmy - ale nie mówiliśmy - o Orolu.

- Dlaczego uczą cię walczyć? - zapytałem. - Myślałem, że nie dzielą się wiedzą z byle kim.

- Zadałeś bardzo interesujące pytanie, Ras - wychrypiał

Lio. Głos mu się zrobił bardzo chrapliwy. - Jeszcze nie znam na nie odpowiedzi, dopiero klarują mi się pewne pomysły.

- Posłuchaj: mój zegar biologiczny zvariował, do rana nie zmrużę oka, książki, które mi zostawili, nie nadają się do czytania, a moja dziewczyna uciekła z Jesrym. Dlatego bardzo chętnie posiedzę tu z tobą i posłucham twoich pomysłów.

- Co to za książki?

- Groch z kapustą.

- Wątpię. Na pewno coś je łączy. A ty powinienes je przejrzeć przed pierwszym messalem.

- Jesry też użył tego słowa. Próbowałem je zdekonstruować, ale...

- Pochodzi od protorthyjskiego zdrobnienia słowa oznaczającego płaską powierzchnię, na której podawano jedzenie...

- Czyli „stolik”?

- Raczej „kolacyjka”. W Tredegarhu to chyba ważny element tradycji. Tu jest inaczej niż w Edharze, Ras. Pamiętasz, jak się u nas jada: wszyscy razem w refektarzu, każdy bierze swoją porcję, siada, gdzie chce... Mają tu na to specjalne określenie i nie jest ono szczególnie pochlebne. W Tredegarhu powiedzieliby, że taki chaos jest przejawem wsteczności i kultywuje się go tylko wśród fidów i w nielicznych zakonach zdziwaczałych ascetów. Bo tutaj wszystko kręci się wokół messali. Największa dopuszczalna liczba uczestników wynosi siedem: uważa się, że jest to sensowne maksimum, przy którym wszyscy wszystkich słyszą i nikt nie wdaje się w dygresje na boku.

- Czy to znaczy, że mają tu gdzieś jadalnię z mnóstwem siedmioosobowych stołów?

- Nie. Panowałby tam zbyt wielki zgielek. Messale odbywają się w małych, dyskretnych pomieszczeniach, tak zwanych messalanach.

- Rozumiem. W refektarzu jest kuchnia, którą otacza pierścień tych... messalanów, tak?

Lio parsknął śmiechem. Śmiał się z mojej naiwności, ale

nie złośliwie: przed paroma tygodniami był przecież takim samym ignorantem jak ja teraz.

- Ras... Nie wyobrażasz sobie, jakie tu panuje bogactwo. Nie mają refektarza, nie mają nawet wspólnej kuchni. Wszędzie tylko fundy i kapitularze.

- Myślałem, że fundy zostały zniesione...

- ...w ramach reform po Trzeciej Łupieży - dokończył Lio.

- Zgadza się. Pamiętasz, jak ZFS wyszykowali sobie Fundę Shufa? No to wyobraź sobie teraz koncent, w którym jest sto takich odnowionych fund, a każda większa i ładniejsza niż ta nasza. O kapitularzach nie wspominam.

- Już czuję się jak prowincjusz.

- Dopiero się poczujesz.

- Czyli każdy messalan ma własną...

Nie, takie szaleństwo nie mieściło mi się w głowie.

- Własną kuchnię, w której gotuje się tylko czternaście porcji naraz.

- Czternaście? Mówiłeś o siedmiu.

- Posługacze też muszą jeść.

- Kto to jest posługacz?

- My jesteśmy posługaczami! - Lio roześmiał się. - Kiedy cię wypuszczą, przydzielą cię do jakiegoś starszego fraa albo starszej suur. To będzie twój don, a ty zostaniesz jego posługaczem. Dwie godziny przed posiłkiem idziesz do fundy albo kapitularza, w którym twój don zamierza jeść, i w towarzystwie innych posługaczy przygotowujesz posiłek. Kiedy wieczorne dzwony wybijają porę kolacji, donowie zajmują miejsca przy stołach, a posługacze podają im jedzenie. W chwilach wolnych od przynoszenia i wynoszenia talerzy stoisz za krzesłem swojego dona, plecami do ściany.

- Wstrząsające. Podejrzewam, że się ze mnie nabijasz.

- Z początku sam nie mogłem w to uwierzyć - przyznał rozchichotany Lio. - Czułem się jak ostatni wsiok. Ale ten system ma swoje zalety: możesz posłuchać rozmów, do których inaczej nie zostałbyś dopuszczony. A z czasem sam zostajesz donem i

dostajesz własnego posługacza.

- A jeśli twój don jest idiotą i co wieczór jesteś skazany na nudne pogaduchy w tym samym beznadziejnym towarzystwie? Nie możesz się przesiąść do innego stolika jak u nas, w Edharze!

- Nie zamieniłbym się z nimi - przyznał Lio. - Ale chwilowo nie ma to wielkiego znaczenia, bo wśród gości zaproszonych na konwoks przeważają interesujący ludzie.

- Kim jest twój don?

- Strażniczką małego matemu na szczycie drapacza chmur w wielkim mieście, które znalazło się w samym środku sekciarskiej świętej wojny.

- Ciekawe. Gdzie jest wasz messalan?

- Co wieczór jemy w innym. To dość niezwykle.

- Ha... Ciekawe, co mnie się trafi.

- Właśnie dlatego powinieneś przejrzeć te książki. Jeśli będziesz nieprzygotowany, narazisz się donowi.

- Nieprzygotowany do czego? Do zawiązania mu serwetki?

- Powinieneś się orientować w sytuacji. Czasem oczekuje się od posługaczy, że będą brali udział w rozmowie.

- Cóż za zaszczyt!

- Owszem, to może być zaszczyt. Wszystko zależy od tego, kim jest twój don. Wyobraź sobie, że byłby nim Orolo.

- Rozumiem. Ale to niemożliwe.

- Jest jeszcze coś - powiedział Lio po chwili zastanowienia.

- W Tredegarhu od prawie tysiąca lat nie odprawiano peanatemy.

- Jak to możliwe? Przecież ich jest tu dwadzieścia razy więcej niż nas w Edharze!

- Ogromna liczba fund i kapitularzy sprawia, że każdy dziwak i odludek znajdzie coś dla siebie. My nie dorastaliśmy w takich luksusach, bracie.

- No to nie traktuj mnie teraz jak dzieciaka.

- Nie zamierzam. Nie po to codziennie boksuję się z Dzwonecznikami.

To mi przypomniało, że narzekał na zmęczenie.

- Czekaj, zanim sobie pójdiesz... jedno pytanie.

- No?

- Dlaczego tu jesteśmy? Przecież w taki konwoks można walić jak w bęben.

- Można.

- No to czemu go nie rozwiążą?

- Ala opracowuje plan awaryjny na taką właśnie ewentualność, ale na razie nic konkretnego się nie dzieje. Może się boją, że wyglądałoby to jak prowokacja.

- Czyli jesteśmy...

- Zakładnikami! - oznajmił wesoło Lio. - Dobranoc, Ras.

- Dobranoc, Lio.

Mimo jego rady nie byłem w stanie przysiąść nad książkami. Miałem mętlik w głowie. Próbowałem kartkować beletrystykę (akcję w powieściach łatwiej śledzić), ale nie pojmowałem, dlaczego ktoś miał mi je wyznaczyć jako lekturę obowiązkową. W trzeciej z nich po mniej więcej dwudziestu stronach główny bohater przeskoczył przez portal do innego wszechświata. Dwie pozostałe również eksploatowały wątek wszechświatów równoległych, doszedłem więc do wniosku, że powinienem się skoncentrować na tym właśnie temacie i że pozostałe pozycje też o nim traktują. Nagle jednak moje ciało uznało, że pora spać, i ledwie zdążyłem doczłapać do łóżka, zanim padłem bez przytomności.

Obudziły mnie dzwony wygrywające dziwne zmiany i Tulia, która nieszczęśliwym głosem wołała mnie po imieniu. Wyobraziłem sobie, że wróciłem do Edhara, ale kiedy otworzyłem jedno oko - tylko odrobinę - zobaczyłem, że nadal znajduję się w module mieszkalnym.

- Mój Boże!

Głos Tulii dobiegał z niepokojąco bliskiej odległości, a kiedy obudziłem się na dobre, zobaczyłem ją stojącą przy łóżku.

Bez kombinezonu. Minę miała taką, jakby znalazła mnie leżącego na wznak w rynsztoku przed burdelem. Pomacałem szybciotko i z zadowoleniem stwierdziłem, że zawój okrywa większość mnie.

- O co chodzi? - wymamrotałem.

- Wstawaj! Natychmiast wstawaj! Dziś twoje przygarnięcie!

Zabrzmiało to poważnie, więc sturlałem się z łóżka i wybiegłem za Tulią na dwór. Ktoś odkleił słuzę od modułu i przebiegliśmy po resztkach plastiku. Tulia przeprowadziła mnie przez dziedziniec, pod łukiem, w stary matematyczny korytarz zamknięty na drugim końcu żelazną kratą - w taki sposób oddzielało się u nas matemy. W kracie była furtka, którą podenerwowany fid otworzył przed nami, a potem zatrzasnął z łoskotem za naszymi plecami. Wybiegliśmy na długą, prostą alejkę poprowadzoną w podwójnym szpalerze ogromnych drzew arkuszowych.

Po tygodniach noszenia butów stopy mi się wydelikaciły i teraz drobiłem nieporadnie po kamieniach i korzeniach. Tulia wysforowała się do przodu. Arkuszowy las kończył się wysokim na ponad trzydzieści stóp murem, w którym przebito łukowate przejście. Tam Tulia przystanęła dla złapania tchu i zaczęła na mnie.

Kiedy się zbliżyłem, odwróciła się do mnie i rozłożyła ręce. Objąłem ją, podniosłem z ziemi i uściskałem z całej siły; oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Zachwyciła mnie: była jedyną znaną mi osobą, która na śmierć Orola zareagowała inaczej niż ogromnym smutkiem. Nie znaczy to, że w ogóle się nie smuciła - ale odniosłem wrażenie, że jest z niego dumna, podekscytowana tym, co zrobił, a także szczęśliwa, że ja przeżyłem i spotkałem dawnych przyjaciół.

Wybiegliśmy na łagodnie pofalowaną łąkę, upstrzoną kępami starych drzew i ciągnącą się całymi milami. Co kilkaset stóp wyrastały na niej kamienne budynki połączone siecią ścieżek - to musiały być fundy i kapitularze, o których wspominał Lio, ale najwięcej wrażenie zrobił na mnie trawnik. W Edharze nie

możliśmy sobie pozwolić na takie marnotrawienie ziemi.

Dźwięk dzwonów minimalnie się przybliżył. Wybiegliśmy z za rogu wyjątkowo dużej budowli (jakiegoś kompleksu klasztorno-bibliotecznego) i naszym oczom wreszcie ukazało się Urwisko. Tulia pociągnęła mnie na prowadzącą prosto w jego kierunku aleję, szeroką i wysadzaną drzewami, skąd dostrzegłem przycupnięty u stóp klifu tum.

Urwisko powstało, kiedy granitowa kopuła o wysokości trzech tysięcy stóp odrzuciła swoją zachodnią połowę. Deklaranci uprzątnęli gruz i pobudowali z niego domy i mury. Wiedząc, że żadna wybudowana przez nich wieża zegarowa nie będzie mogła konkurować z Urwiskiem, zbudowali tum u stóp skalnej ściany, a następnie wgryźli się w nią, wykuli w granicie tunele, galerie i półki, rzeźbiąc Urwisko na kształt zegara (lub odwrotnie). Na przestrzeni tysiącleci dodawali nowe tarcze, coraz większe i coraz wyżej zawieszane. Wszystkie w dalszym ciągu pokazywały czas. I wszystkie zgodnie twierdziły, że jestem spóźniony.

- Przygarnięcie! - wysapałem. - To będzie...

- Twoje oficjalne wprowadzenie na konwoks - wyjaśniła Tulia. - Każdy musi przez to przejść, to formalne zakończenie peregrynacji. Nasze przygarnięcie odbyło się kilka tygodni temu.

- Ale żeby zadawać sobie tyle trudu dla jednego marudera...

Parsknęła śmiechem, który jednak - na skutek długu tlenowego - nie trwał zbyt długo.

- Nie pochlebiaj sobie, Ras! Przygarnięcie odbywa się tu co tydzień. Setka pielgrzymów z ośmiu różnych matemów czeka w tej chwili na ciebie.

Dzwony umilkły. Zły znak! Przyspieszyliśmy i następne kilkaset jardów pokonaliśmy, nie rozmawiając.

- Myślałem, że wszyscy już dawno są na miejscu! - przyznałem po tej przerwie.

- Tylko ci z dużych koncentów. Nie masz pojęcia, skąd ludzie przyjeżdżają. Jest nawet kontyngent matarrhitów!

- Czyli jadę na jednym wózku z deolatrami?

Miałem wrażenie, że budynki znajdujące się najbliżej tumu są zarazem najstarsze: mijaliśmy kolejne kompleksy: klauzura, krużganek, dróżka, dziedziniec; za bramami i krzyczącymi matematycznymi łukami migały mi kapitularze tak małe, skromne i nadzarte zębem czasu, że musiały chyba pochodzić z okresu Rekonstrukcji. Nowe wieże próbowały niebosiężnością i wspaniałością nadrobić dystans dzielący je od spatynowanych sąsiadów: wiekowych, sławnych, pełnych godności.

- Jeszcze jedno - odezwała się Tulia. - Byłabym zapomniała: bezpośrednio po przygarnięciu odbędzie się plenium.

- Arsibalt opowiadał mi o plenach... Zwołali plenium po powrocie Jesry'ego, prawda?

- Tak. Żałuję, że nie możemy dłużej porozmawiać, ale... Pamiętaj: wszystko jest teatrem.

- To brzmi jak ostrzeżenie!

- Kiedy w jednym miejscu zgromadzi się taką masę ludzi, nie ma mowy o prawdziwym dialogu. Rozmowy się nie kleją. Wszyscy uważają na słowa.

- Polityka?

- Naturalnie. Słuchaj... Nie próbuj ich przechytryć w politykowaniu.

- Ponieważ jestem skończonym durniem, jeśli chodzi o...

- Otóż to.

Przebiegliśmy jeszcze kawałek i Tulia przemyślała swoje słowa.

- Pamiętasz naszą rozmowę, Ras? Tę przed kwalifikacją?

- Postanowiłaś zająć się polityką, żebym ja mógł się nauczyć pi na pamięć.

- Mniej więcej - przytaknęła i okrasiała to wybuchem śmiechu, żeby nie psuć mi zabawy.

- Jak ci poszło?

- Po prostu mów prawdę. Nie próbuj nikogo zwieść. Nie masz do tego daru.

Połowę widzialnego wszechświata wypełniał szary granit. Biegliśmy po schodach, których racją bytu było podtrzymywanie

następnych schodów, na których z kolei wspierały się dalsze poziomy, hierarchie i systemy schodów. W końcu jednak teren się wypłaszczył i stanęliśmy na wprost wejścia - tyle że nie tego właściwego. Pielgrzymi powinni wchodzić do koncentu od strony Bramy Diennej, musieliśmy więc obieć ćwiartkę tumu i wpaść do środka przez najwspanialszą z bram, na którą najchętniej gapiłbym się pół godziny, gdyby Tulia nie złapała mnie za sznur jak za smycz i nie pociągnęła za sobą. Przez coś w rodzaju holu przebiegliśmy do nawy, tak ogromnej, że w pierwszej chwili pomyślałem, że znów znaleźliśmy się na dworze. W przejściu między ławkami, w trzech czwartych jego długości, zobaczyłem ogon procesji deklarantów, którzy, szurając nogami, zmierzali w stronę prezbiterium. Tulia zwolniła, dała mi klapsa w tyłek (słyszalnego chyba aż na szczycie Urwiska) i syknęła:

- Idź za tymi w przepaskach biodrowych! Rób to, co oni!

Co najmniej trzydzieści głów zwróciło się w naszą stronę: w ławkach siedziało trochę sekularów.

Dla złapania tchu zwolniłem do zwawego marszu i tak wymierzyłem tempo, żeby dołączyć do „tych w przepaskach biodrowych” w chwili, kiedy dotarli do ekranu na przodzie nawy. Przeszedłem za nimi przez drzwi w ekranie i znalazłem się w olbrzymim półkolistym prezbiterium w towarzystwie hierarchów, chóru, facetów w przepaskach na biodrach i kilku innych grup deklarantów.

Przygarnięcie było typowym przedstawicielem naszych matematycznych rytów: na oficjalny program składały się skodyfikowane gesty, starożytne frazy oraz poruszanie pewnymi symbolicznymi przedmiotami w określony sposób, a wszystko to okraszone przerywnikami muzycznymi i przemowami ubranych na fioletowo hierarchów. Przeciętny sekular w najlepszym razie uznałby to za niedorzeczną błazenadę, w najgorszym zaś, za czarną magię w czystej postaci, ja jednak próbowałem poczuć nastrój chwili i postrzegać ryt jak na deklaranta przystało. Taki przecież był cel przygarnięcia: przyjąć z powrotem na łono koncentu pielgrzymą, który na pewien czas porzucił matematyczne

schematy rozumowania. Z tego też powodu odznaczało się większą pompą i przepychem niż codzienne ryty, takie jak certyfik. A może nie, może po prostu w Tredegarhu wszystko tak wyglądało. Tutejsi hierarchowie naprawdę umieli zrobić przedstawienie. Potrafili przykuć uwagę widzów w taki sam sposób, jak wielcy aktorzy na teatralnej scenie, mieli imponujące szaty i występowali w ogromnej liczbie: Prymasowi towarzyszyli nie tylko jego dwaj strażnicy, ale także zastępy innych hierarchów, i to nie tylko tych niższej rangi, ale także takich, którzy przyprowadzili swoje własne orszaki. Zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą radę złożoną z Prymasów powołanych z różnych konwentów - prawdopodobnie po to, żeby przewodniczyć konwoksowi. A przynajmniej zadbać o jego matelową oprawę. Gdzieś po drugiej stronie ekranu musiał się przecież znajdować gabinet gryzipiórków, zajmujących w świecie sekularnym równie eksponowane stanowiska jak hierarchowie w matelowym.

Czułem się jak sparszywiaty żebrak i cieszyłem się, że los wyznaczył mi miejsce u boku deklarantów, którym do ubrania wystarczały chusteczki do nosa. Kiedy jednak przyjrzałem im się uważniej, stwierdziłem, że „przepaski biodrowe” są w rzeczywistości zawojami, przetartymi i postrzępionymi do tego stopnia, że niewiele z nich zostało. Zwieszające się z nich luźne włókna poplątały się i poskręcały we frędzle, których mężczyźni (nie było wśród nich kobiet) użyli do obwiązania resztek zawojów wokół lędźwi. W Edharze tradycyjnie zostawialiśmy jeden koniec zawoju nieobrębiony, żeby swobodnie się strzępił, ale nawet kiedy grzebaliśmy najstarszych członków naszego zakonu, ich zawoje miały frędzle zaledwie kilkucalowej długości. Najwidoczniej w tym zakonie przechodziły ze starszych na młodszych deklarantów. Niektóre z pewnością liczyły sobie tysiące lat.

Jeden z półmagich fraa miał wydatny brzuszek, pozostali byli chudzi jak szczapy. Należeli do rasy zamieszkującej okolice równika. Mieli rozczochrane włosy i dzikie oczy, którymi wpatrywali się w przestrzeń nad podłogą prezbiterium, niczego nie widząc. Miałem wrażenie, że nie są przyzwyczajeni do

przebywania pod dachem.

Członkowie sześciu pozostałych kontyngentów mieli na sobie pełnowymiarowe zawoje udrapowane według jakichś skomplikowanych reguł. Poza tym nic ich nie łączyło: nosili różne turbany, kapelusze, kaptury, obuwie, bieliznę, okrycia wierzchnie, nawet biżuterię. Wyglądało na to, że my, edharczycy, plasujemy się w deklarancckim spektrum bliżej jego uboższego krańca; chyba tylko Dzwonecznicy i goście w przepaskach byli większymi ascetami od nas.

Przebrnęliśmy przez pierwszą fazę pompatycznej ceremonii i Prymas wystąpił naprzód, żeby wygłosić parę słów wstępu. Słyszałem, jak w nawach za ekranami gapie sadowią się wygodnie i wzdychają. Spuściłem wzrok. Zobaczyłem swoje stopy, bose i brudne, szorstki szarobury zawój zawiązany najtoporniej jak się dało (pod hasłem „przepraszam, właśnie wstałem”), czerwone blizny i żółto-zielone sińce. Modelowy dzikus.

Jedna z grup pielgrzymów - najliczniejsza i najlepiej ubrana - odśpiewała swój numer. Mieli mocne głosy: sześciogłosowa polifonia nie sprawiła im najmniejszego problemu. Piękny gest, pomyślałem. Drugi kontyngent odklepał jednogłosową pieśń obfitującą w tony i harmonie, jakich w życiu nie słyszałem. Następny zespół sięgał właśnie po trzymane za pazuchą karteczki, kiedy doznałem olśnienia i poczułem się tak, jakbym śnił wyjątkowo sadystyczny koszmar: znalazłem się w potrzasku. *Wszyscy* musieli coś zaśpiewać! Każda grupa! A ja byłem sam sobie grupą! I wiedziałem, że się nie wyłgam. Na konwoksie nikt nie uzna moich wygłupów za słodkie i zabawne.

Nie będzie aż tak źle, próbowałem siebie przekonać. Nikt tu nie ma wygórowanych oczekiwań, ja ze śpiewaniem radzę sobie całkiem nieźle... Gdyby ktoś podsunął mi przed oczy jakiś kawałek i kazał śpiewać, dałbym radę. Najtrudniej jednak było zdecydować, co zaśpiewam. Inni - co oczywiste - podjęli decyzje już dawno temu: wybrali pieśni mówiące coś o nich, o ich koncentach, o tradycji muzycznej, którą upamiętniali najcenniejsze

idee. Dziedzictwo muzyczne Saunta Edhara mogło się równać z najlepszymi, pod tym względem nie miałem się czego obawiać. Kłopot w tym, że całkiem spory kontyngent z Edhara miał już swoje przygarnięcie w Tredegarhu. Arsibalt i Tulia wzięli pewnie sprawy w swoje ręce i zorganizowali taki występ, oparty na wprawiającym świat w drżenie burdonie fraa Jaada, że cały konwoks po dziś dzień rozprawiał o tym przy messalu. Co mi pozostało? Harmonia i polifonia odpadały. Nie byłem aż takim mistrzem śpiewu, żeby samą techniką powalić słuchaczy na kolana. Najlepiej wybrać coś prostego, nie przesadzić, nie wyjść na dumnia. Niewielu solistów jest na tyle dobrych, żeby ludzie chcieli słuchać ich samych dłużej niż przez minutę czy dwie. Musiałem po prostu odbębnić swoje, okazać szacunek, a potem zamknąć się i wrócić na miejsce.

Nie chciałem jednak odśpiewywać pierwszego lepszego kawałka (choćby byłoby to łatwe i w zupełności wystarczające), ponieważ - dobrze wiem, jak nedorzecznie to zabrzmiałoby - zależało mi na tym, żeby poruszyć Alę. W jednym Jesry miał rację: nie zobaczę jej, dopóki nie dokona wyboru. Wiedziałem jednak, że jest gdzieś w tumie i że nie będzie miała innego wyjścia, jak wysłuchać tego, co postanowię zaśpiewać. Jakaś stara pieśń, której razem uczyliśmy się w Edharze, mogłaby obudzić w niej nostalgiczne wspomnienia, ale nie byłaby niczym nadzwyczajnym. Jesry polecał w kosmos.

A ja przeżyłem swoje własne przygody, wiele się nauczyłem, nabyłem cech, o których Ala nie miała pojęcia - na razie. Czy mogłem to jakoś wyrazić w muzyce?

Być może. Orithęnczyki wypracowali śpiewany system rachunkowy w ewidentny sposób wyrastający z tradycji edharskiej i przez to rozpoznawalny dla każdego edharczyka. Pozwalał dokonywać obliczeń i manipulować informacją poprzez permutację danego zbioru nut i tworzenie z nich nowych melodii. Permutacji dokonywało się na bieżąco, podczas śpiewu, zgodnie z regułami wyprowadzonymi z formalizmu automatów komórkowych. Muzykę tę wymyślili deklaranci w okresie reform

po Drugiej Łupieży, kiedy to nagle zostali pozbawieni dostępu do komputerów. W niektórych koncentrach tradycja umarła śmiercią naturalną, w innych zmutowała i kompletnie się zmieniła, ale w Edharze zawsze traktowano ją poważnie. Poznawaliśmy ją jako swojego rodzaju dziecięcą zabawę muzyczną.

W Orithenie znaleźli dla niej nowe zastosowanie i za jej pomocą próbowali rozwiązywać problemy - a właściwie jeden problem, którego natury na razie nie rozumiałem. Tak czy inaczej, brzmiała niezłe i wydała mi się bardziej melodyjna niż jej edharska odmiana, sprawdzająca się w przewidzianych dla niej zastosowaniach, ale z czysto muzycznego punktu widzenia bywała trudna do zaakceptowania. Spędziłem wśród oritheńczyków dość czasu, żeby ich posłuchać i oswoić się z ich muzyką, a podczas lotu do Tredegarha i późniejszej kwarantanny jedna melodia wprost nie dawała mi spokoju. Może jeśli zacznę ją śpiewać na głos, uda mi się wyśpiewać całość.

Gdy tylko dokonałem wyboru, od razu wydał mi się oczywisty, kiedy więc przyszła moja kolej, wyszedłem na środek prezbiterium i odśpiewałem swój kawałek swobodnie i bez wysiłku, nie nękany żadnymi wątpliwościami.

Przynajmniej dopóki nie było za późno: nie zdążyłem się dobrze rozpędzić, gdy szmer zaskoczenia przebiegł jak fala przez pierwsze rzędy słuchaczy w jednej z naw. Nie był głośny, ale też nie sposób było go z czymkolwiek pomylić. Odruchowo zerknąłem w kierunku, z którego dochodził, i niewiele brakowało, żebym się pogubił i zapomniał melodię. Szmer dobiegał z nawy tysięczników.

Czując, że pakuję się w kłopoty, zrobiłem to samo, co zrobiłby na moim miejscu każdy wystraszony fid: ukradkiem zerknąłem na hierarchów. Wpatrywali się we mnie. Większość miała szkliste, niewidzące spojrzenie, ale niektórzy pochylali się ku sobie i rozmawiali szeptem. Wśród tych ostatnich rozpoznałem starego znajomego - inkwizytora Varaksa.

W pewnym sensie ulżyło mi, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem całkowicie bezradny: nie wiedziałem, jaki koszt z

robactwem przewróciłem, ale nie mogłem już nic zmienić. Większość zebranych nie zauważyła w moim śpiewie niczego nadzwyczajnego i słuchała z uprzejmym zainteresowaniem, starałem się więc nie fałszować i skoncentrowałem się na końcówce. Kątem oka dostrzegłem jednak, że goście w przepaskach, którzy do tej pory nie zwracali uwagi na przebieg rytu, złamali szyk i ustawili się w taki sposób, żeby bez przeszkód mnie obserwować.

Skończyłem. Spodziewałem się, że zapadnie cisza, bo tak publiczność reagowała na dobrze odśpiewany kawałek, ale tysięcznicy w dalszym ciągu szeptali między sobą. Ba, miałem nawet wrażenie, że któryś z nich zaśpiewał coś w odpowiedzi! W rozległych połaciach ławek za pozostałymi ekranami fraa i suur również rozmawiali, nie dając się uciszyć.

Mężczyźni w przepaskach biodrowych wystąpili z własną pieśnią obliczeniową, w zupełnie obcej nam tonacji, która nadawała jej nadzwyczaj dziwaczne brzmienie. Trudno było uwierzyć, że struny głosowe są zdolne do wydawania takich dźwięków - miałem jednak wrażenie, że jako metoda obliczeniowa do złudzenia przypomina to, co ja zaśpiewałem. Na zakończenie brzuchacz odśpiewał kodę, w której (o ile dobrze zrozumiałem) stwierdzał, że ich pieśń wyraża ostatni etap obliczeń prowadzonych w jego zakonie bez przerwy od trzech tysięcy sześciuset lat.

Ostatni byli matarrhici: jeden z niewielu zakonów matematycznych wierzących w Boga. Stanowili pozostałość po pewnym zakonie centenarystów, który tuż po Rekonstrukcji dostał setki. Narzucali zawoje na głowy, zasłaniając twarze; tylko na wysokości oczu mieli wszyte ażurowe ekrany. Odśpiewali żałobny tren, lament wyrażający żal po oderwaniu od łona macierzystego koncentu i ostrzeżenie (zbędne, moim zdaniem), że nie zamierzają przebywać wśród nas dłużej niż to konieczne. Wykonanie było bez zarzutu, uderzyła mnie jednak płaczliwa i nieuprzejma wymowa pieśni.

Nasze występy były przedostatnim punktem programu.

Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale już wcześniej podczas rytu zostaliśmy oficjalnie wykreśleni z listy pielgrzymów i przyjęci na konwoks. Odnowiliśmy śluby. Do naszych macierzystych matemów posłano śmiesznie wyglądające dokumenty (spisane ręcznie na zwierzęcych skórach), zaświadczające, że dotarliśmy na miejsce. Pieśni stanowiły nasz pierwszy (na razie symboliczny) wkład w prace konwoksu. Teraz musieliśmy jeszcze tylko poczekać, aż wszyscy zebrani - tysiące ukrytych za ekranami uczestników konwoksu - wstaną i odśpiewają kantyk stwierdzający, że przyjmują nasze pieśni i nas samych. Zanim wybrzmiały ostatnie nuty, hierarchowie zaczęli wychodzić do nawy unarystów. My, nowo przyjęci, ruszyliśmy za nimi w takim samym porządku jak poprzednio. Szedłem na końcu. Weszliśmy (symbolicznie) przez Bramę Dzienną i przeznaczoną dla gości nawę jako sekularowie, teraz zaś, znowu jako deklaranci, przechodziliśmy wprost do matemu. Po zniknięciu hierarchów kantyk zaczął się rozłazić, a zanim ja przeszedłem przez próg, zostawiając za sobą puste prezbiterium, melodia rozplynęła się w szuraniu stóp i szmerach rozmów. Konwoks opuszczał tum.

Tredegarh: Jeden z koncentów Wielkiej Trójki, nazwany na cześć lorda Tredegarha, teora żyjącego w drugiej połowie Epoki Praksis, pioniera termodynamiki.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Wróciłem do świata matemowego, byłem oficjalnie odkażony, wolny i gotowy zająć się swoimi sprawami.

Trwało to jakieś dwie sekundy.

- Fraa Erasmusie! - zawołał ktoś takim tonem, jakby zamierzał mnie aresztować.

Zatrzymałem się. Stałem w nawie unarystów, gigantycznej i niewiarygodnie ozdobnej. Razem ze mną znajdowało się w niej ze dwustu deklarantów, a dalsze setki (w towarzystwie garstki sekularów) wlewały się do środka głównym wejściem i

przemieszczały pospiesznie do przodu z zamiarem zajęcia najlepszych miejsc w pierwszych rzędach.

Przeźren między ławkami i ekranem, która powinna być pusta, żeby nic nie przeszkadzało w oglądaniu uroczystości w prezbiterium, była zagracona masą sekularnych sprzętów. Przy ekranie zbudowano rusztowanie z rur wykonanych z nowomaterii. Muskularni fidowie montowali na nim poziome platformy, tworząc scenę na podwyższeniu, dobrze widoczną nawet z ostatnich rzędów. Inni poluzowali liny i więkzość przestrzeni nad sceną wypełnił rozwinięty ekran projekcyjny, na którym na krótko pojawił się obraz kontrolny, zastąpiony po chwili przez nadawany na żywo obraz z wycelowanego w scenę szpilołapu. Włączyły się reflektory; świeciły oślepiającym blaskiem, jakby ostrzegały „pod żadnym pozorem nie patrzeć w tym kierunku”. Były zainstalowane na wysokich kratownicowych wieżach rozstawionych w różnych punktach nawy. Minęła mnie ubrana w zawój suur, mówiąca coś do mikrofonu przy bezprzewodowych słuchawkach.

Człowiek, który zawołał mnie po imieniu, okazał się młodym hierarchą, mający za zadanie doprowadzić mnie do niejakiego fraa Lodoghira: mężczyzny w szóstej lub siódmej dekadzie życia, ubranego w strój, który w drodze ewolucji oddalił się od mojego zawoju nie mniej niż udomowiony drób od prehistorycznych gadów.

- Fraa Ras, mój drogi młodzieńcze! - wykrzyknął fraa Lodoghir na mój widok, zanim młody hierarcha zdążył nas sobie oficjalnie przedstawić. - Nie masz pojęcia, jak wielką przyjemność sprawiłeś mi swoim śpiewem! Skąd znasz tę piosenkę? Usłyszałeś ją, podróżując po świecie?

- Dziękuję - odparłem. - Wpadła mi w ucho w Orithenie i nie dawała spokoju.

- Niesamowite! Powiedz mi, jacy tam są ludzie?

- Podobni do nas. Chociaż z początku wydali mi się zupełnie inni. Ale jak tak patrzę tutaj na deklarantów i widzę, jak bardzo różnią się między sobą...

- Wiem, co masz na myśli! Te dzikusy w przepaskach

biodrowych... Z jakiego oni drzewa spadli?

Doszedłem do wniosku, że przyznanie się do tego, że fraa Lodoghir wydał mi się bardziej obcy niż „dzikusy w przepaskach biodrowych”, daleko mnie nie zaprowadzi. Skinąłem więc tylko głową.

- Wyjaśnił ci już ktoś, że będziesz gościem honorowym najbliższego plenum?

- Słyszałem o tym, ale nikt mi niczego nie wyjaśniał.

Mój sposób wystawiania się zbił go z tropu, ale tylko na chwilę.

- Wprowadzę cię. Będę twoim loktorem...

- Loktorem?

- InterLOKuTOREM! - wyjaśnił fraa Lodoghir, maskując nerwowym chichotem zniecierpliwienie. - Widzę, że w Edharze trzymacie się zasad wymowy. I dobrze, nie można łatwo odpuszczać! Ale powiedz mi... nadal mówicie „sawant” czy uprościliście sobie to do „saunta”, jak my wszyscy?

- Mówimy „saunt” - odparłem. Fraa Lodoghir gadał jak nakręcony. Nie czułem potrzeby wygłaszania dłuższych kwestii.

- Świetnie. Słuchaj, chodzi o to, że konwoks analizuje liczby, bada próbki, przegląda szpile z Nawiedzenia Oritheny, ale naturalnie wszyscy chętnie wysłuchaliby relacji naocznego świadka. Dlatego tu jesteś. Zamiast kłopotać cię przygotowaniem wykładu, zastosujemy format improwizowanego dialogu. Mam tu pytania... - Lodoghir zaszeleścił trzymanym w ręce plikiem kartek.

- Większość zebrałem wśród uczestników konwoksu, ale dorzuciłem też kilka od siebie; chętnie ci je zadam, jeśli tylko wystarczy nam czasu.

Nasz dialog - a właściwie jego monolog - trwał, a plenum powoli nabierało kształtów. Suur w słuchawkach zagoniła nas na schodki, które już wcześniej podjechały na wyznaczone miejsce. Weszliśmy na scenę - ja pierwszy, fraa Lodoghir za mną. Do zawojów przypięto nam mikrofony. Na stoliku w głębi sceny pojawił się dzbanek z wodą i dwa kubki; poza tym scena była pusta. Nie wiedzieć czemu w ogóle nie czułem tremy i nie

musiałem się zastanawiać nad tym, co powiem. Rozmyślałem o tej zabawnej konstrukcji, na którą wspięliśmy się z Lodoghirem: wycinku dwuwymiarowej płaszczyzny uwieczonym w przestrzennej kratownicy; nowoczesnej wersji Płaszczyzny, na której ethrascy teorii prowadzili dialogi.

- Masz jakieś pytania, fraa Erasmasie? - zapytał mój loktor.

- Tak. Kim jesteś?

Posmutniał, ale nie na długo, bo już po chwili jego twarz stężała w wyrazie, który - jak widziałem, zerknąwszy na majaczący nad naszymi głowami olbrzymi ruchomy obraz - imponująco prezentował się na szpilu. Na pewno bardziej imponująco niż mój grymas.

- Pierwszym Wśród Równych kapituły centenarystów zakonu saunta Proca w Mucosterze.

- Wchodźcie na fonię... Już! - powiedział jakiś fraa i pstryknął przełącznikiem na przypiętym do mojego zawoju mikrofonie. To samo zrobił z mikrofonem fraa Lodoghira.

Lodoghir nalał sobie wody i pociągnął długi łyk, obserwując mnie spokojnie sponad krawędzi kubka. Ciekawiła go moja reakcja na fakt, że rozmawiam z najznamienitszym chyba proceńczykiem na świecie. Nie mam pojęcia, co wyczytał z mojej twarzy.

- Otwieram plenum - powiedział głosem, który nagle zabrzmiał oktawę niżej niż dotąd i wzmocniony poniósł się echem po nawie.

Widownia zaczęła się uspokajać. Lodoghir odczekał jeszcze chwilę, aż rozmowy ucichną i wszyscy zajmą miejsca. Nic nie widziałem: reflektory kompletnie mnie oślepiły i dla mnie fraa Lodoghir mógł być jedynym oprócz mnie człowiekiem na Arbre.

- Moim loktorem... - zaczął, ale jeszcze zawiesił głos, czekając na ciszę. - Moim loktorem jest Erasmus z kapituły decenarystów tak zwanego „zakonu edharskiego”, założonego w miejscu, które, o ile moje informacje są prawdziwe, nosi nazwę Koncentu *Sawanta* Edhara.

Niedorzecznie staromodna wymowa wywołała chichot w nawie.

- Chyba jednak nie masz najlepszych informacji... - odezwałem się, ale musiałem mieć źle ustawiony mikrofon, ponieważ mój głos wcale nie został wzmocniony.

Zresztą Lodoghir i tak nie dałby mi dojść do słowa.

- To ponoć wysoko w górach - ciągnął. - Powiedz mi... Nie marzniecie tam? Okrywacie się tylko prostymi zawojami, a klimat górski jest surowy...

- Nie, mamy buty i...

- Tym, którzy nie słyszą mojego loktora, donoszę uprzejmie, że z dumą objaśnił, iż edharczycy mają buty.

W końcu udało mi się wycelować mikrofon w usta.

- Tak - powiedziałem. - Mamy buty. I dobre maniere. - Odpowiedzią był pełny aprobaty pomruk tłumy. - Poza tym nadal jestem członkiem wspomnianego przez ciebie zakonu i kapituły i należy mi się tytuł fraa.

- Och, najmocniej przepraszam! Interesowałem się trochę twoimi przygodami i muszę ci powiedzieć, że dowiedziałem się czegoś wręcz przeciwnego. Podobno już w drugim dniu peregrynacji stałeś się dzikusiem i długo błąkałeś się po świecie, zanim dotarłeś do miejsca zwanego Oritheną, którego mieszkańcy, o ile mi wiadomo, przygarniają prawie każdego.

- Zaznałem tam większej gościnności niż w niektórych innych miejscach.

Analizowałem słowa Lodoghira, szukając sposobu na przełamanie jego argumentacji i splantowanie go, ale on tylko przytoczył fakty. I doskonale o tym wiedział. Chciał mnie wciągnąć w łapanie za słówka, żeby potem zmiażdżyć mnie konkretnymi cytatami, które z pewnością miał w trzymanyh w rękę papierach.

Na Kopcu Bly'a fraa Jaad obiecał mi, że kiedy dotrze do Tredegarha, wszystko załatwi. Miał dopilnować, żebym nie wpadł w tarapaty. Czyżby mu się nie udało?

Nie. Gdyby mu się nie udało, nie dopuściliby mnie nawet

do przygarnięcia. Jaad dotrzymał słowa - tylko że po drodze narobił sobie wrogów. Którzy stali się także moimi wrogami.

- To wszystko prawda - przytaknałem. - A jednak stoję tu przed wami.

Widząc, że pierwszy gambit się nie powiódł, fraa Lodoghir stracił na chwilę rezon, ale jak wytrawny fechtmistrz miał już gotową ripostę.

- To dość niezwykle jak na człowieka, który przechwała się dobrymi manierami. W tej pięknej nawie zgromadziły się tysiące deklarantów; każdy z nich przybył do Tredegarha prosto z ojczystego matemu, gdy tylko został wezwany. Tylko jeden człowiek postanowił po drodze zostać dzikusiem i związać się z obcym towarzystwem, z organizacją niebędącą częścią świata matemowego: z kultem Oritheny. Co popchnęło cię do tak samobójczej decyzji? A może nie co, lecz kto?

W mojej głowie zaszło coś dziwnego. Fraa Lodoghir zaatakował podstępnie. Był mistrzem szermierki słownej i miał gotowe odpowiedzi na każdą linię obrony, jaką mogłem obrać. Moją pierwszą - całkowicie naturalną - reakcją było zdenerwowanie, ale Lodoghir bezwiednie popełnił poważny błąd taktyczny. Nadając tak wielką rangę mojej samowolnej i „samobójczej” pielgrzymce, przypomniał mi Mahsht i podstępny atak, którego tam padłem ofiarą. Po tamtym przerażającym doświadczeniu żadne słowa Lodoghira nie mogły mi się wydać straszniejsze. Ba, jego wysiłki nagle wydały mi się wręcz zabawne. Uspokoilem się i w przeblysku intuicji zrozumiałem, że w swoim ostatnim pytaniu mimowolnie odkrył karty. Chciał, żebym całą winą obarczył fraa Jaada. Wydadź nam tysięcznika, mówił, a wszystko zostanie ci wybaczone.

Nie dalej niż przed godziną Tulia doradzała mi, żebym nie wdawał się w politykę, tylko po prostu mówił prawdę. Teraz jednak wyrachowanie i upór sprawiły, że nie miałem najmniejszej ochoty dać Lodoghirowi tego, na czym mu zależało.

Przypomniałem sobie dramat w Mahshcie i decydującą interwencję Dzwoneczników: obserwowali rozwój sytuacji, aż w

pewnym momencie uznali, że „nadeszła chwila ujawnienia”. Nie przeszedłem takiego szkolenia jak oni, ale umiałem rozpoznać ujawnienie.

- Zrobiłem to z własnej woli - powiedziałem. - I jestem gotowy ponieść konsekwencje swojej decyzji. Spodziewałem się, że jedną z nich może być peanatema, i z tą świadomością trafiłem do Oritheny. Doszedłem do wniosku, że nawet po odrzuceniu jest dla mnie szansa na kontynuację matematycznego życia. To, że przyjęliście mnie w Tredegarhu i dopuściliście do przygarnięcia, zaskoczyło mnie, ale było też wielkim zaszczytem.

Konwoks stał się dla mnie równie niesłyszalny, jak już wcześniej był niewidzialny. Tylko mój loktor i ja unosiliśmy się w przestrzeni na skrawku płaszczyzny.

Fraa Lodoghir darował sobie polowanie na Jaada i postanowił się skoncentrować na celach drugorzędnych.

- Doprawdy, nie rozumiem twojego sposobu myślenia! Twierdzisz, że chciałeś żyć jak w matematyce? Przecież już wcześniej tak żyłeś, prawda? - Odwrócił się do tłumu w nawie. - Może po prostu chciał się przeprowadzić w jakieś cieplejsze okolice!

Żart wywołał śmiechy, ale za reflektorami wyczułem także oburzenie.

- Fraa Lodoghir nie szanuje naszego czasu! - zawołał ktoś. - Mieliśmy dyskutować o Nawiedzeniu!

- Mój loktor prosił mnie, abym tytułował go „fraa”, do czego rzekomo ma prawo - odparł Lodoghir. - Ponieważ tak poważnie traktuje tę sprawę, staram się po prostu ustalić fakty.

- Wobec tego cieszę się, że mogłem ci w tym pomóc - wtrąciłem. - Co chciałbyś wiedzieć o Nawiedzeniu?

- Wszyscy widzieliśmy szpil nagrany przez twojego współpracownika, itę. Dlatego wydaje mi się, że najsensowniej byłoby, gdybyś zrelacjonował nam te wydarzenia, które na szpilu się nie znalazły. Co działo się w tych rzadkich chwilach, kiedy udawało ci się oderwać od twojego serdecznego druha ze szpilołapem?

Podsunał mi tyle wątków, przeciw którym chciałem

zaprotestować, że musiałem dokonać wyboru - i chwilowo odpuściłem sobie prowokację związaną z itą. Mogłem jednak przynajmniej nadać mu imię.

- Sammann przybiegł i zaczął rejestrować obrazy kilka chwil po wylądowaniu sondy - wyjaśniłem. - Widziałem to, co on.

- Nie tak prędko! - powstrzymał mnie fraa Lodoghir protekcyjnym, wyrozumiałym tonem. - Nie zaczyna się od środka.

- W porządku. Jak daleko w przeszłość powinienem się twoim zdaniem cofnąć, żeby to miało sens?

- Fascynują mnie ryty i obyczaje kultu Oritheny, ale moim zdaniem powinniśmy ograniczyć się do samego Nawiedzenia. Zaczniij może od momentu, w którym uświadomiłeś sobie, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

- Z początku kapsuła przypominała meteor, którego upadek byłby zjawiskiem niecodziennym, ale wcale nie nadzwyczajnym. Nie spaliła się od razu w atmosferze, po czym poznałem, że musi być całkiem spora. Nie bardzo potrafiłem określić jej trajektorię, dopóki nie dotarło do mnie, że leci prosto na nas. Nie potrafię powiedzieć, w którym momencie przyszło mi do głowy, że nie jest to obiekt pochodzenia naturalnego. Zaczęliśmy biec w dół zbocza, kiedy otworzył się spadochron.

- Mówiąc „my”, jak liczną grupę masz na myśli?

Nie czekając, aż fraa Lodoghir wyciągnie to ze mnie, odparłem:

- Dwie osoby: Orola i siebie.

- Saunt Orola! Tak, tak, o nim też słyszeliśmy. Dużo go jest na szpilu, jednakże do tej pory nie wiedzieliśmy, skąd się tam wziął. Pierwszy zbiegł na dno dziury, nieprawdaż?

- Jeżeli, mówiąc „dziura”, masz na myśli teren wykopalisk przy Orithenie, to tak.

- Ale ona znajduje się przecież u stóp wulkanu! - wykrzyknął takim tonem, jakby oskarżał mnie o niewyobrażalną wręcz tępotę.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Przed chwilą zaś słyszeliśmy, że zbiegaliście z Orolem z wulkanu, kiedy sonda lądowała w dziurze na spadochronie.

- Zgadza się.

- A co z pozostałymi? Czyżby do tego stopnia pochłaniała ich kontemplacja Hylaejskiego Świata Teorycznego, że nie zauważyli lądującego im w środku obozowiska statku obcych?

- Zostali na górze, na skraju wykopu. Orolo sam zbiegł na dół.

- Sam?!

- To znaczy... ja pobiegłem za nim.

- Co, u licha, robiliście z Orolem po zmroku na szczycie wulkanu? - Fraa Lodoghir jakimś cudem zadał to pytanie w sposób, który wywołał chichot u niektórych widzów.

- Nie byliśmy na samym szczycie. Co powinno być oczywiste dla każdego, kto zastanowi się przez chwilę nad istotą wulkanu.

Moje słowa również spowodowały wybuch śmiechu, ale zupełnie innego rodzaju. Nawet Lodoghir uśmiechnął się półgębkiem.

- Ale byliście całkiem wysoko...?

- Dwa tysiące stóp.

- Ponad chmurami? - zapytał, jakby to miało wielkie znaczenie.

- Nie było chmur.

- Zapytam jeszcze raz: co tam robiliście?

Zawahałem się. Niczego nie pragnąłem równie mocno jak rozpropagowania idei Orola i wiedziałem, że drugiej takiej okazji miał nie będę: w tej chwili słuchał mnie cały konwoks. Sęk w tym, że poznałem tylko część jego wyводу, a nawet tego w pełni nie rozumiałem. Wiedziałem jednak dość, żeby wiedzieć, że taki wywód prędzej czy później zejdzie na inkanterów.

- Poszliśmy porozmawiać - odparłem. - Dialog pochłonął nas do tego stopnia, że nie zauważyliśmy, kiedy się ściemniło.

- Mówiąc o „dialogu”, zdajesz się sugerować, że rozmawialiście o czymś poważniejszym niż wdzięki twojej nowej

oritheńskiej dziewczyny - rzekł oschle fraa Lodoghir.

Do licha, był naprawdę niezły! Doskonale wiedział, jak mnie zirytować.

Na Urwisku zagrały dzwony. Brzmiało to jak wezwanie na certyfik. Ciekawe, jak w Tredegarhu nakręca się zegar?

Przypomniał mi się Lio sprzed paru miesięcy, kiedy przyszedł na certyfik z podbitymi oczami - po tym, jak kazał mi się obić po twarzy. Spróbowałem obudzić w sobie tę samą cnotę, którą on usiłował przywołać w tamtym dniu; postanowiłem robić swoje, jakby nie padły żadne ciosy.

- Masz całkowitą rację: prowadziliśmy poważną dysputę teoryczną.

- Cóż to tak dręczyło Orola, że musiał cię zaciągnąć pod szczyt wulkanu, żeby pozbyć się tego brzemienia?

Z niedowierzaniem pokręciłem głową i przewróciłem oczami.

- Miało to jakiś związek z Geometrami? - naciskał Lodoghir.

- Tak.

- W takim razie nie rozumiem twojej powściągliwości. Wszystko, co wiąże się z Geometrami, stanowi przedmiot zainteresowania konwoks.

- Zachowuję powściągliwość, ponieważ poznałem tylko część jego przemyśleń i obawiam się, że nie będę umiał należycie oddać ich idei.

- Zaprotokołowano! A teraz, kiedy wszyscy poznaliśmy twoje zastrzeżenia, nie ma powodu, żebyś dalej chomikował te informacje.

- Na skutek peanatemy Orola stracił możliwość gromadzenia danych na temat Geometrów. Nie dane mu było nawet zobaczyć jedyne go obrazu ich statku, jaki udało mu się zarejestrować. Dlatego jego rozważania na ich temat musiały się z konieczności opierać na jedyne danych, do których miał stały dostęp...

- Przed chwilą powiedziałeś, że nie miał żadnych danych.

- Żadnych płynących z dwudziestościanu.

- A jakie inne wchodzą w grę?

- Takie same, które ty czy ja gromadzimy przez cały czas dzięki temu, że mamy świadomość, obserwujemy świat i myślimy samodzielnie. Nie potrzebujemy do tego aparatury naukowej.

Fraa Lodoghir zamrugał, udając zdumienie.

- Chcesz powiedzieć, że prowadziliście dialog na temat... świadomości?!

- Tak.

- Świadomości Orola? Do innej, jak rozumiem, nie miał dostępu.

- Świadomości Orola i mojej. Brałem przecież udział w dialogu, a obserwacje Orola na temat jego świadomości pokrywały się z moimi - na temat mojej.

- Może się przesłyszałem, ale... jeszcze niedawno utrzymywałeś, że rozmawialiście o Geometrach?

- Bo tak było.

- Przeczyśz sam sobie. Wasza rozmowa dotyczyła cech wspólnych twojej świadomości i świadomości Orola.

- Oras świadomości Geometrów. Bez wątpienia są przecież istotami świadomymi.

- Aha... - Fraa Lodoghir zapatrzył się w przestrzeń z taką miną, jakby w myślach bezskutecznie zmagął się z jakimś niewyobrażalnym absurdem. - A zatem z faktu, że ty i Orolu jesteście istotami świadomymi oraz że to samo można powiedzieć o Geometrach (z czym dla dobra dyskusji nie będę polemizował), wynika, że jeśli człowiek będzie dostatecznie długo wpatrywał się we własny pępek, zdoła pojąć, jak działa umysł Geometry?

- Mniej więcej.

- Cóż... Jestem przekonany, że loryci mieliby tu używanie. Ja jednak mam wrażenie, że mówisz nam za mało i zbyt wiele jednocześnie! - poskarżył się Lodoghir. - Za mało, ponieważ my, mieszkańcy Arbre, od sześciu tysięcy lat gapimy się w swoje pępki i na razie nie rozumiemy nawet sami siebie. Jaką korzyść miałyby nam przynieść równie głąboka niewiedza na temat Geometrów? A

zbyt wiele, ponieważ posuwasz się stanowczo za daleko, kiedy zakładasz, że Geometry myślą w sposób podobny do naszego.

- W nawiązaniu do twojego ostatniego zdania powiem tylko, że istnieją poważne przesłanki pozwalające twierdzić, że u wszystkich świadomych istot pewne procesy umysłowe muszą przebiegać podobnie.

- Poważne przesłanki, których uczniowie Halikaarna woleliby dokładniej nie analizować - zauważył z przekąsem Lodoghir. Wszyscy proceńczycy na konwoksie parsknęli śmiechem.

- Wracając zaś do twojego pierwszego zarzutu, czyli faktu, że po sześciu tysiącach lat introspekcji nie rozumiemy nawet samych siebie... Zdaniem Orola kontakt z istotami świadomymi z innych układów gwiazdnych mógłby nam pomóc rozstrzygnąć niektóre z naszych odwiecznych wątpliwości.

Zapadła cisza, po czym poznałem, że moje słowa dały słuchaczom do myślenia. Doszliśmy do sedna sprawy. Systemy sfenicki i protyjski zmagaly się od tysięcy lat i konflikt przeniósł się także tutaj, do nawy w Tredegarhu. Zmieniły się nazwy oponentów: dziś proceńczycy spierali się z halikaarnijczykami, a Lodoghir z Erasmsem. Zgadzałi się tylko w kwestii słów, które włożyłem w usta Orola: Geometry mogli nam dać rozstrzygające odpowiedzi - niekoniecznie dlatego, że sami je znali (wśród nich mógł w tych kwestiach panować zamęt nie mniejszy niż u nas), ale dlatego, że dostarczali nam nowych danych. A taki właśnie cel - zdobycie nowych informacji - stawiało przed sobą wielu gości konwoksu. Bez względu na to, jakie zadanie wyznaczyło nam państwo sekularne.

Nawet fraa Lodoghir wiedział, że taką ciszę należy uszanować. Odczekał więc chwilę, zanim powiedział:

- Gdybyśmy mieli do czynienia z rozumnym rojem niezbyt bystrych robaczków, układem pulsujących pól energetycznych albo roślinami porozumiewającymi się chemicznym językiem, czyli tworamii ogromnie się od nas różniącymi, wynurzenia Orola, utrzymane w duchu wymarłej pseudofilozofii evenedryckiej,

mogłyby dostarczyć nam rozrywki. Tymczasem Geometry nie różnią się od nas wyglądem. Orolo nie mógł jednak o tym wiedzieć, dlatego wybaczymy mu to krótkotrwałe złudzenie.

- Ale dlaczego wyglądają tak jak my? - zapytałem.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że zadając pytanie - nawet retoryczne - popełniam taktyczny błąd.

- Pozwól, że ci pomogę.

Lodoghir łaskawie wyciągnął pomocną dłoń do beznadziejnie zagubionego fida. Na ekranie na jego gigantycznej twarzy malowało się dobroduszne rozbawienie.

- Wiemy, że Orolo już dawno temu, kiedy jeszcze nikt z nas nie wiedział o istnieniu Geometrów, realizował jakiś własny plan. Za pomocą przyrządów kosmograficznych w waszym koncencie śledził ruchy dwudziestościanu.

- Dokładnie wiemy, na czym polegał ten plan... - zacząłem.

Fraa Lodoghir nie dał mi dojść do słowa:

- Dokładnie wiemy tylko to, co wam o nim powiedziano.

To nie to samo. Nawet wasi fraa i suur nie wszyscy uwierzyli w tę bajeczkę. Wiemy, że Orolo został odrzucony i że jego współnicy z szemranej organizacji zwanej Dynastią pomogli mu przebyć pół świata. Trafił na Ecbę. Absolutnie zdumiewający zbieg okoliczności sprawił, że właśnie tam Geometry postanowili wylądować, i to przypadkowo dokładnie w tym samym dniu, kiedy ów Orolo przedsięwziął długą i wyczerpującą nocną wyprawę na aktywny wulkan!

- Wcale nie długą, nie wyczerpującą i nie poszliśmy tam nocą... - próbowałem wtrącić, ale wyszło na to, że znów się rozdrabniam i czepiam słówek, a Lodoghir miał czas zaczerpnąć tchu i napić się wody.

- Pomóż nam, fraa Erasmasie - poprosił całkiem racjonalnym tonem. - Pomóż nam rozwiązać dręczącą nas zagadkę.

- Wam? Czyli komu?

- Wszystkim tym uczestnikom konwoks, którzy instynktownie wyczuwają, że z Orolem wiąże się jakaś tajemnica,

której nie dane nam było zobaczyć na szpilu.

- Jaka zagadkę masz na myśli? - spytałem z nieskrywanym znużeniem.

- W jaki sposób Orola dał sygnał Geometrom? Jakiej sztuczki używał do przekazywania im sekretnych wiadomości?

Gdybym w tym momencie coś pił, zakrztusiłbym się i opluł wszystkich dookoła. Pytania fraa Lodoghira wywołały zamieszanie: wezbrane fale szeptów, szoku, złości i drwiącego śmiechu przewalały się po nawie i zderzały z hukiem. Odebrało mi mowę. Stałem na scenie i czekałem, aż mój loktor okaże choćby cień zakłopotania i wycofa swoje oskarżenie. On jednak, zadowolony z siebie, przyglądał mi się z niewinną miną, a ja poczułem, że coś się we mnie gotuje. Jak ja go chciałem splantować!

Dopóki nie przypomniałem sobie słów Orola: „Odczytali moją analemę!”.

Tak jakby naprawdę wysłał im sygnał.

Bo niby z jakiego powodu mieliby lądować akurat w Orithenie - w miejscu, które obrał sobie na azyl? I w jakim innym celu on sam miałby wędrować przez pół świata właśnie do Oritheny?

Wracając do rzeczy: bałem się podjąć regularny dialog z Lodoghirem - nie tutaj, nie przed tą publicznością, nie na ten temat. Splantowałyby mnie tak, że do zeszkobania swoich resztek z podłogi musiałbym użyć agregatu piaskującego. A przy okazji pograżyłby Orola.

Świadcami naszej rozmowy byli także sekularowie. Ważni sekularowie. Gryzipiórki, jak nazwałby ich Orola. Może te prymitywne sztuczki Lodoghira na nich działały?

Co mówiło się o retorach? Że potrafią zmieniać przeszłość i że czynią to przy każdej nadarzającej się okazji.

Nie miałem dość sił na pojedynek z retorem. Mogłem tylko mówić prawdę i liczyć na to, że usłyszą mnie przyjaciele, którym tych sił wystarczy.

- Nowatorska koncepcja - przyznałem. - Nie wiem, jak się

załatwia takie rzeczy u was, proceńczyków, ale my w Sauncie Edharze poszukalibyśmy jakichś dowodów.

- A słynny Bezmian?

- Bezmian faworyzuje prostszą z dwóch hipotez. Niewysyłanie przez Orola żadnych sygnałów do statku gwiazdowego obcych wydaje się prostsze niż to, co sugerujesz.

- O nie, nie, fraa Erasmiasie. - Lodoghir zaśmiał się pobłaźliwie. - Tak łatwo się nie wywiniesz. Nie zapominaj, że słuchają nas inteligentni ludzie. Jeżeli pomysł, że Orol komunikował się ze statkiem obcych, wyjaśnia tajemnicze fakty, to właśnie on jest prostszą hipotezą.

- Tak? A jaką to tajemnicę rozwiewa, twoim zdaniem?

- Nie jedną, lecz trzy, dokładnie rzecz biorąc. Tajemnica pierwsza: fakt, że sonda wylądowała wśród ruin Oritheny, w miejscu bezludnym i nieciekawym, którego jedynym wyróżnikiem jest widoczna z kosmosu analemma.

- Przy odpowiednio dobrej optyce wszystko jest widoczne z kosmosu - zauważyłem. - Ale nie zapominajmy, że Geometry przyozdobili swój statek dowodem Twierdzenia Adrakhonesa. Gdzież w takim razie mieliby wylądować, jeśli nie przed świątynią Adrakhonesa?

- Na pewno wiedzieli, że się tu zebraliśmy. Jeżeli chcieli rozmawiać z teorami, dlaczego nie wylądowali w Tredegarhu?

- A dlaczego strzelają sobie nawzajem w plecy? Nie każ mi tłumaczyć wszystkiego, co robią Geometry.

- Tajemnica druga: samobójstwo Orola.

- To żadna tajemnica. Orol dokonał świadomego wyboru i ocalał bezcenny eksponat.

- Położył swoje życie na jednej szali, a ten eksponat na drugiej... - Lodoghir podniósł ręce, udając wagę. - Tajemnica trzecia: w ostatniej chwili życia wyrysował na ziemi analemmę i stanął na niej, czekając na swój koniec.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dla mnie jego zachowanie również było tajemnicą.

- Orol wziął na siebie odpowiedzialność - dodał Lodoghir.

- Zgubiłem się...

- W jakiś sposób wysłał do Geometrów wiadomość, dawno, na samym początku, kiedy jako jeden z nielicznych mieszkańców Arbre zdawał sobie sprawę z ich obecności. Domyślałem się, że wiadomość ta przybrała formę analemy: w ten sposób dał Geometrom do zrozumienia, że powinni lądować na analemie, która jest, a właściwie była, doskonale widoczna w Orithenie. Po odrzuceniu z koncentu udał się na Ecbę i czekał. I proszę, Geometry właśnie tam postanowili lądować! Chociaż nie w taki sposób, jak w swojej naiwności zapewne przewidywał. Jeden z ich odłamów wysłał na Arbre nielegalną sondę, za co należąca do niego kobieta zapłaciła życiem. W odpowiedzi frakcja dominująca zesztabowała Ecbę, co poskutkowało ofiarami śmiertelnymi w rejonie Oritheny. Orolo rozumiał, że obciążają one jego sumienie. Podanie zwłok obcej do aeroplanu było formą pokuty, którą sam sobie zadał, a narysowanie analemy przyznaniem się do winy.

Prowadząc ten wywód, Lodoghir zmieniał sposób mówienia: najpierw przemawiał jak inkwizytor, później jego głos cichł i łagodniał, tak że pod koniec można było pomyśleć, że jest poruszony. Zasmucony. Słuchałem go jak zaczarowany. Może ten retor rzeczywiście potrafił sięgnąć w głąb mojego mózgu i coś w nim przestawić; może naprawdę umiał zmienić przeszłość. Z pewnością udało mu się mnie przekonać. Byłem prawie pewien, że ma rację.

- Zgrabna historyjka - przyznałem w końcu. - Ale to nadal żaden dowód. Zresztą nawet gdybyś zdobył dowód, który przyznałby ci słuszność, jak by to świadczyło o Orolu? Nie mógł chyba przewidzieć wojny domowej wśród Geometrów? A ten, kto kazał zrzucić sztabę na Ecbę... Czy to nie on jest odpowiedzialny za śmierć ludzi w Orithenie? Nawet gdyby pewne elementy twojej hipotezy udało się potwierdzić, stan umysłu Orolo w chwili, gdy uderzyła w niego płomienista chmura, nadal pozostaje kwestią dyskusyjną. Zgadzam się, że mógł czuć się winny i był gotowy ponieść konsekwencje. Wydaje mi się jednak, że kiedy stanął na

narysowanej przez siebie analemie, chciał powiedzieć coś zupełnie innego niż ci się wydaje. „Mimo wszystko uważam, że postąpiłem słusznie”.

- To odważne, nie uważasz? Nie wydaje ci się, że powinien być zdać się na państwo sekularne? Poczekać, aż jego urzędnicy przeanalizują fakty i podejmą racjonalną decyzję w kwestii kontaktów z Geometrami?

Lodoghir zerknął w bok, jakby chciał mi przypomnieć, że gdzieś tam, niewidoczne zza reflektorów, kryją się ciekawe mojej odpowiedzi gryziówki.

W tym momencie zrobiłem jedyną rzecz w całym dialogu, z której później byłem dumny: powstrzymałem się od wytknięcia Lodoghirowi, że *Niebiański Strażnik tak właśnie zrobił, pamiętasz?*

Nie musiałem tego robić: szmer przeszedł po nawie, zrazu cichy, potem wyraźnie coraz weselszy. Wystarczy, że będę siedział cicho i poczekam, aż cały konwoks doceni niedorzeczność słów mojego latora. Wyczułem, że Lodoghir przewidział tę reakcję.

- Wszystko zależy od tego, jaki będzie koniec tej historii - odparłem.

Uniósł brwi i spojrzał prosto w obiektyw szpiłolapu.

- To właśnie jest przedmiotem zainteresowania całego konwoks - powiedział. - Chyba czas wracać do pracy.

Uczył gest, po którym mikrofony umilkły, a ekran poczerniał. Wszyscy w nawie zaczęli mówić jednocześnie.

Zostałem sam na ciemnej scenie; fraa Lodoghir zbiegł po schodkach - zapewne po to, żebym nie wyrwał mu języka gołymi rękami. Ekipa zaczęła rozmontowywać scenę. Zdjąłem mikrofon, napiłem się do syta wody i powlokłem się do schodków. Czuję się tak, jakby przez ostatnią godzinę Lio używał mnie zamiast worka bokserskiego.

Czekało na mnie kilka osób. W szczególności jedna zwróciła moją uwagę: sekular w ubraniu ważnej osoby. Uparł się, że będzie pierwszym człowiekiem, który ze mną porozmawia,

więc, zamiast czekać, aż zejść ze sceny, podbiegł do mnie, wskoczył na schody i spotkaliśmy się na stopniach w pół drogi.

- Emman Beldo - przedstawił się i natychmiast wyrzucił z siebie nazwę jakiegoś ministerstwa albo innego urzędu państwowego. - Zechciałbyś mi łaskawie powiedzieć, co to miało być?!

Ubranie dodawało mu lat, w rzeczywistości bowiem był niewiele starszy ode mnie.

- Może zapytaj fraa Lodoghira? - zaproponowałem.

Zinterpretował to jako kąśliwy żart.

- Przyszedłem posłuchać o Geometrach...

- A my gadaliśmy o świadomości i analemmach.

- No właśnie. Posłuchaj, nie chcę zostać źle zrozumiany.

Odsłużyłem pięć lat u unarystów...

- Czyli jesteś piśmiennym, bystrym miastowym, dużo czytasz i zarabiasz na chleb głową, ale mimo to nie pojmujesz, co się tu wydarzyło...

- Powinniśmy dyskutować o zagrożeniu! I o tym, co zrobić, żeby mu zapobiec!

Zdekoncentrowałem się na moment. Spojrzałem w dół, gdzie u stóp schodków zebrała się grupka suur i fraa, którzy też chcieli ze mną porozmawiać. Próbowałem ich wysondować, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Obawiałem się, że niektórzy uważają się za członków Dynastii i będą chcieli wymienić porozumiewawczy uścisk dłoni; inni zamierzali zapewne do wieczora tłumaczyć mi, dlaczego Evenedryk się mylił; na pewno trafią się wśród nich zatwardziali halikaarnijczycy, niezadowoleni z tego, że nie udało mi się splantować Lodoghira; spodziewałem się także spotkać ludzi w rodzaju suur Maroi, którzy zechcą mi zadać konkretne pytania na temat Oritheny. Przyszło mi do głowy, że czasem łatwiej jest mieć regularny etat, być takim Emmanem Beldo...

Uratował mnie fraa Lodoghir - w pewnym sensie. Zakończył ożywioną dyskusję ze starszym hierarchą i przepchnął się do schodków.

- No to nas załatwiłeś, fraa Erasmasie! - obwieścił.

- Kogo załatwiłem, fraa Lodoghirze? I jak?

- Zostaliśmy relegowani w mrok i chaos, na absolutne zadupie matelowego świata, przynajmniej z mojego punktu widzenia.

- Czyli do Koncentu Sawanta Edhara?

- Nie, jest jeszcze jedno takie miejsce. Gorsze. Messal Wielości Światów w Fundzie Avrachona. Tam będziemy przyjmować pokarmy, dopóki nie uda mi się przemówić hierarchom do rozsądku.

- Jakich „nas” masz na myśli?

- Coś przegapiłeś, fraa Erasmasie!

- Co takiego?

- Swoje miejsce na konwoksie.

- Co to za miejsce?

- Masz stać za moimi plecami, kiedy jem, i składać moją serwetkę, kiedy wstaję i idę do toalety.

- Że co?!

- Zostałeś moim posługaczem, fraa Erasmasie. A ja twoim donem. Lubię przed kolacją przetrzeć twarz wilgotnym ręcznikiem, ciepłym, nie za gorącym. Dopilnuj tego, jeśli nie chcesz spędzić reszty konwoksu na czytaniu Księgi.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Emman Beldo przyglądał mi się z zainteresowaniem.

Paskudna nowina powinna była mnie zmiążyć, ale w głowie szumiało mi jeszcze po dialogu i widok zirytowanego Lodoghira sprawił mi frajdę.

- No to masz wybór - powiedziałem do Emmana Beldo. - Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś o zagrożeniu ze strony Geometrów, możesz udać się gdziekolwiek, byle nie tam, dokąd ja idę. Jeśli zaś wolisz usłyszeć, dlaczego podczas plenum poruszaliśmy tak dalece nieistotne tematy, dołącz do mnie i fraa Lodoghira na zadupiu matelowego świata.

- Nie omieszka - zapewnił mnie. - Moja dona nie przegapiłaby takiej gratki.

- Kto jest twoją doną?
- My mamy się do niej zwracać „pani sekretarz” - uprzedził mnie. - Ale naprawdę nazywa się Ignetha Foral.

Część 10

MESSAL

Loryta: Członek zakonu założonego przez sauntę Lorę, która uważała, że wszystkie pomysły, jakie człowiek jest w stanie sformułować, zostały już w przeszłości zdefiniowane. Loryci jako historycy idei pomagają innym deklarantom w pracy, uświadamiając im istnienie podobnych idei w przeszłości, dzięki czemu nikt nie musi drugi raz wynajdować koła.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Geometry mają nas na widelcu, jak ciekawy okaz przyrodniczy przyszpilony do stołu - powiedziała Ignetha Foral, kiedy podaliśmy zupę. - Mogą nas do woli kłuć i poszturchiwać i obserwować nasze reakcje. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę z ich obecności na orbicie, domyślaliśmy się, że wkrótce coś się może stać. Potem okazało się, że wydarzenia rozwijają się w otepiająco wolnym tempie. Geometry mogą pobierać potrzebną im wodę z komet, inne substancje czerpać z asteroid... Nie mogą natomiast, jak domniemywamy, zrobić jednej rzeczy: rozpocząć międzygwiazdnej podróży. Nie jest jednak wcale pewne, że im do tego spieszo.

W tym miejscu zrobiła przerwę, żeby zwilżyć gardło. Błysnęła bransoletka na przegubie jej dłoni - droga, nie tandetna. Słowa Tulii sprzed paru miesięcy, z Edhara, potwierdzały się w każdym calu: Ignetha Foral pochodziła z zamożnego klanu miastowych, od wieków związanego ze światem matematycznym. Nie do końca rozumiałem, dlaczego znalazła się w Tredegarhu i nosiła tytuł „pani sekretarz”. Z informacji Tulii wynikało, że Niebiański Strażnik pozbawił ją sekularnej posady - ale to już nie była żadna nowina. Zwłaszcza po tym, jak Niebiański Strażnik kilka tygodni temu wyleciał z dwudziestościanu przez śluzę. Może kiedy ja

siedziałem na odciętej od świata Echie, w państwie sekularnym nastąpiła reorganizacja, ktoś odkurzył Ignethę Foral i znalazł jej nowe zajęcie.

Pani sekretarz napiła się i spojrzała w oczy kolejno wszystkim przy stole.

- Tak przynajmniej odpowiadam moim kolegom, kiedy pytają, po co tracę czas na tym konwoksie - dodała pogodnie.

Fraa Lodoghir roześmiał się tubalnie. Wszyscy poza tym przynajmniej parsknęli śmiechem - poza fraa Jaadem, który wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby to ona była wspomnianym wyżej okazem przyrodniczym. Ona zaś była dostatecznie bystra, żeby to zauważyć.

- Fraa Jaad... - Pochyliła lekko głowę w sugestii ukłonu. - Na pewno oceniasz fakty w długiej perspektywie czasowej i właśnie myślisz sobie, że moi koledzy cierpią na groźny zespół niedostatku koncentracji. Specjalizuję się w badaniu politycznych mechanizmów tworu, który nazywacie państwem sekularnym. Wielu obywateli tego świata postrzega nasz messal jako marnotrawstwo wybitnych umysłów. Najłagodniejsza ocena, z jaką można się spotkać, to, że stanowi on dogodne miejsce zsyłki osób trudnych w obejściu, zbędnych lub niezrozumianych, które w przeciwnym razie zakłócałyby prace konwoksu. Jak wy, siedzący przy tym stole, odparlibyście argumenty ludzi twierdzących, że nasz messal jest zbędny? Suur Asquin?

Suur Asquin - nasza gospodyni - była aktualną Dziedziczką Fundy Avrachona, czyli jej faktyczną właścicielką. Ignetha Foral wywołała ją pierwszą do tablicy, ponieważ Asquin sprawiała wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć - ale, jak przypuszczałem, także dlatego, że tak nakazywała etykieta. Suur Asquin zrobiła na mnie dobre wrażenie: pomagała nam przy obiedzie, pracując ręką w rękę ze swoją posługaczką, Tris. Był to pierwszy Messal Wielości Światów, potrzebowaliśmy więc trochę czasu, żeby odnaleźć się w kuchni, nagrzać piec i tak dalej.

- Mam chyba niezasłużoną przewagę nad innymi, pani sekretarz, wynikającą z faktu, że tu mieszkam. Najlepszą

odpowiedzią na pytania pani kolegów byłoby oprowadzenie ich po Fundzie Avrachona, która, jak widzieliście, jest czymś w rodzaju muzeum...

Stałem za fraa Lodoghirem, trzymając w splecionych za plecami dłoniach koniec sznura, wchodzącego w dziurę w ścianie i ciągnącego się trzydzieści stóp do kuchni. Ktoś właśnie w tej chwili szarpnął za jego drugi koniec, wzywając mnie. Nachyliłem się nad moim donem, sprawdziłem, że nie muszę mu na razie ocierać podbródka, i obszedłem stół, schodząc z drogi innym posługaczom. Suur Asquin próbowała tymczasem sformułować tezę, że już sama demonstracja rozrzuconych po fundzie przyrządów naukowych powinna przekonać nawet najbardziej sceptycznych statystów, że czysta metateoryka jest warta wsparcia ze strony sekularów. Dokonując oczywistej - moim zdaniem - transkwestacji hipotrochijnej, usiłowała sprowadzić messalową dyskusję na tory czystej metateoryki, co kompletnie mi nie odpowiadało, ale nie mogłem się odzywać niepytany. Doszedłem do wniosku, że chwilowo obejdą się beze mnie. Fraa Tavener (znany również jako Barb) stał za plecami fraa Jaada i patrzył na suur Asquin jak ptak na gąsienicę; nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł ją splantować. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo, ale nie zauważył.

Wyszedłem z jadalni (drzwi były miękko obite, żeby wyciszyć rozmowy) i znalazłem się w korytarzu pełniącym rolę służby dźwiękowej, zakończonym drugimi tapicerowanymi drzwiami. Pchnąłem je (były zawieszzone wahadłowo i pozbawione klamki) i wszedłem do kuchni. Znienacka ogarnął mnie żar, zgiełk i światło.

Oraz dym, ponieważ Arsibalt coś podpalił. Zacząłem się przesuwać w stronę kubła z piaskiem, ale nie widząc żadnych płomieni, darowałem sobie ten pomysł. Z głośnika dobiegał głos suur Asquin - państwo sekularne przysłało itów, żeby zainstalowali taki system jednostronnej komunikacji, dzięki któremu my w kuchni (oraz inni gdzieś bardzo daleko) słyszeliśmy każde słowo wypowiedziane w messalanie.

- Co się stało? - spytałem.

- Nic. A, o tym mówisz... Spaliłem kotlet. Ale to nic, jest ich więcej.

- To po co mnie ściągnąłeś?

Arsibalt zerknął pokornie na zawieszoną na ścianie deskę, z której zwisało siedem sznurków; sześć z nich było opisanych imionami posługaczy.

- Bo się tu rozpaczliwie nudzę! - odparł. - Ta rozmowa jest beznadziejnie głupia.

- Dopiero się zaczęła. To był tylko wstęp. Wymiana uprzejmości.

- Ja się nie dziwię, że ludzie chcą znieść tradycję messalu. Jeśli to jest miarodajna próbka...

- W jaki sposób miało ci pomóc pociągnięcie za mój sznurek?

- Taka tutejsza tradycja. Czytałem o tym. Jeżeli dialog jest nudny, posługacze okazują swoją dezaprobatę, głosując nogami: wychodzą do kuchni. Donowie powinni to zauważyć.

- Szansa, że to zadziała akurat na tych ludzi, jest równie nikła jak prawdopodobieństwo, że się po tej kolacji nie rozchorują.

- Od czegoś trzeba zacząć.

Podszedłem do deski, wziąłem do ręki kredę i dopisałem „Emman Beldo” przy jedynym nieopisanym sznurze.

- Tak się nazywa?

- Tak. Rozmawiałem z nim po plenum.

- Dlaczego nie pomógł nam z gotowaniem?

- Do jego obowiązków należy między innymi obwożenie pani sekretarz po koncencie. Przyjechali dosłownie pięć minut temu. Poza tym to statysta, a statystom i tak nie wolno gotować.

- Ras ma rację - poparła mnie suur Tris, wchodząc od strony ogrodu z owiniętym w zawój naręczem drewna na opał. - Nawet wy dwaj sprawiacie wrażenie lekko upośledzonych w tej materii.

Otworzyła drzwiczki pieca i obrzuciła palenisko krytycznym spojrzeniem.

- Wkrótce dowiedzimy, co naprawdę jesteśmy warci - zapewnił ją Arsibalt, sięgając po olbrzymi nóż kuchenny, jak wyzwany na pojedynek barbarzyński wojownik. - Piec, produkty, sposób krojenia mięsa... Wszystko tutaj wydaje się nam nowe i dziwne.

Jak na komendę - tak jakby słowo „dziwne” wywołało u nas to samo skojarzenie - spojrzeliśmy z Arsibaltem na ciężki gar z gulaszem, zepchnięty daleko w głąb płyty w nadziei na to, że buchające zeń opary staną się mniej śmierdzące, jeśli będą dolatywać z większej odległości.

Suur Tris poprzesuwała węgle w palenisku i dorzuciła do pieca z taką precyzją, jakby przeprowadzała operację na otwartym mózgu. Wcześniej się z niej podśmiewaliśmy, dopóki nasze własne wysiłki (nakierowane na podobny cel) nie wywołały skutków, jakie zazwyczaj kojarzą się z użyciem strategicznej broni nuklearnej. Od tamtej pory przyglądaliśmy się jej ze skrucą.

- Pani sekretarz dziwnie zagaiła rozmowę - zauważyłem. - Od stwierdzenia, że ten messal to taki kosz na odpadki.

- Nie zgadzam się z tobą - zaoponowała Tris. - Moim zdaniem świetnie to rozegrała. Chce ich zmobilizować.

Była pulchna i niezbyt urodziwa, ale miała osobowość pięknej dziewczyny, ponieważ wychowała się w matemie.

- Ciekawe, czy ta sztuczka zadziała na mojego dona - ciągnąłem. - Chętnie by się stąd wyniósł, żeby móc jadać z fajnymi ludźmi.

Zadzwoił dzwonek. Spojrzeliśmy w jego kierunku: nad siedmioma sznurami wisiało siedem dzwonek, połączonych długimi tasiemkami (przeciągniętymi pod podłogą) z aksamitnymi uchwytami zainstalowanymi pod blatem stołu w messalanie. Pociągając za uchwyt, każdy don mógł dyskretnie przywołać swojego posługacza.

Dzwonek zadzwieczał raz, znieruchomiał, a potem rozdzwoił się przenikliwie, szarpiąc się raz za razem, coraz gwałtowniej, jakby chciał zeskoczyć ze ściany. Był opisany „Fraa Lodoghir”.

Wróciłem do messalanu, podszedłem od tyłu do Lodoghira i pochyliłem się nad nim.

- Wywal tę edharską breję - szepnął. - Jest absolutnie niezjadliwa.

- Powinieneś zobaczyć, jak gotują matarrhici - mruknąłem w odpowiedzi.

Fraa Lodoghir zerknął ponad stołem na deklaranta lub deklarantkę o twarzy zakrytej zawojem (rano tajemnicza postać razem ze mną wzięła udział w przygarnięciu). Naciągnięty z boków głowy materiał tworzył rodzaj tunelu, który następnie został spuszczoney na twarz, zostawiając tylko u dołu otwór do przyswajania jedzenia (jeżeli można tak nazwać to, co matarrhici wkładali do ust podczas posiłków).

- Zjem nawet to, co tamten cudak - wyszczał Lodoghir. - Byle nie to świństwo!

Spojrzałem znacząco na fraa Jaada, który jadł, aż mu się uszy trzęsły, po czym skonfiskowałem talerz fraa Lodoghira i cofnąłem się od stołu, cały szczęśliwy, że mam pretekst, żeby wrócić do kuchni.

Wyrzuciłem porcję Lodoghira do śmieci.

- Absolutnie niezjadliwa - powtórzyłem.

- Może powinniśmy mu dosypać jestokeju - zasugerował Arsibalt.

- Albo czegoś mocniejszego.

Zanim jednak zdążyliśmy zaangażować się w realizację tego obiecującego planu, otworzyły się tylne drzwi i do kuchni weszła dziewczyna opatulona hektarem ciężkiego, szorstkiego czarnego zawoju i przewiązana dziesięciomilowym sznurem. W rękach trzymała sferę wgniecioną na podobieństwo miski i pełną zieleniny. Na dworze przykrywała głowę, ale teraz odstawiła sałatkę na stół i odrzuciła kaptur, odsłaniając idealnie gładką kopułę czaszki zroszoną kropelkami potu: dzień był ciepły, a ona za grubo ubrana.

W obecności suur Karvall czuliśmy się znacznie mniej swobodnie niż przy Tris, toteż żartobliwe rozmowy umilkły jak

nożem uciął.

- Piękna sałatka - odezwała się Tris. Karvall skrzywiła się i uciszyła ją gestem kościstej, niemal przezroczystej dłoni.

Fraa Lodoghir zaczął mówić. Domyśliłem się, że to dlatego kazał mi zabrać talerz z „breją”.

- Wielość Światów... - Zawiesił głos i czekał, aż przebrzmi echo jego słów. - Brzmi imponująco. Nie mam pojęcia, co te słowa znaczą dla niektórych z was. Sam fakt istnienia Geometrów dowodzi istnienia co najmniej jednego świata innego niż nasz, więc można je rozumieć w całkiem trywialny sposób. Ponieważ jednak wygląda na to, że na tym messalu mam reprezentować proceńczyków, odegram swoją rolę porządnie i powiem tak: z Geometrami nic nas nie łączy. Nie mamy wspólnej kultury ani wspólnych doświadczeń i dopóki to się nie zmieni, nie będziemy mogli się z nimi porozumieć. Dlaczego? Dlatego, że język jest strumieniem symboli, które nie mają żadnego sensu, dopóki nasz umysł ich z czymś nie skojarzy i nie nada im znaczenia. Ten proces nazywa się akulturacją. Przy braku wspólnych doświadczeń nie może być mowy o wspólnocie kultur, a więc także o komunikacji. Ich wysiłki zmierzające do nawiązania kontaktu pozostaną zaś równie niezrozumiałe jak ich dotychczasowe gesty: wypchnięcie Niebiańskiego Strażnika przez służbę, zrzucenie ofiary morderstwa na ośrodek kultu Oritheny, sztabowanie wulkanu.

Ledwie Lodoghir umilkł, z głośników popłynęły pierwsze komentarze. Ludzie mówili jeden przez drugiego.

- Nie zgadzam się, że ich gesty są niezrozumiałe.

- Musieli przecież oglądać nasze szpile!

- Nie rozumiesz idei Wielości Światów.

Suur Asquin przemówiła ostatnia, najdobitniej ze wszystkich:

- Wiele innych messali zajmuje się tematami, które poruszyłeś, fraa Lodoghirze. Wróćmy jednak do otwierającego dyskusję pytania pani sekretarz: po co nam osobny Messal Wielości Światów?

- Najlepiej byłoby o to zapytać hierarchów, którzy powołali

go do istnienia! - odparł nieco pogardliwie Lodoghir. - Jeśli jednak pytasz mnie jako proceńczyka, odpowiedź jest prosta: przybycie Geometrów jest w pewnym sensie eksperymentem laboratoryjnym, idealnie nadającym się do zademonstrowania i analizy poglądów saunta Proca. Według jego filozofii język, komunikacja, a nawet myślenie to manipulacja symbolami, którym znaczenie może przypisać kultura. Tylko kultura. Mam nadzieję, że Geometry nie oglądali zbyt wielu naszych szpilów. Groziłoby to skażeniem ich umysłów i zepsuciem eksperymentu.

- A jaki to ma związek z naszym messalem? - zainteresowała się suur Asquin.

- Dobrze wie - zapewniła nas suur Tris. - Pyta tylko po to, żeby na użytek Ignethy Foral wyłożyć kawę na ławę.

- Wielość światów oznacza także wielość kultur, które do tej pory rozwijały się w całkowitej izolacji, w związku z czym nie są w stanie się porozumieć. Przynajmniej na razie.

- Według proceńczyków! - wtrącił ktoś.

Nie rozpoznawszy dziwnego akcentu, doszedłem do wniosku, że przemówił matarrhita.

- Celem messalu jest wobec tego opracowanie oraz, miejmy nadzieję, implementacja strategii dla państwa sekularnego, które przy wsparciu deklarantów byłoby zdolne tę wielość przełamać, czyli w praktyce opracować wspólny język. Kiedy z Wielości Światów narodzi się Jeden Świat, messal straci rację bytu.

- Lodoghir nie cierpi tego messalu - przetłumaczyłem. - I próbuje namówić Ignethę Foral, żeby zupełnie zmienić zakres jego prac w taki sposób, aby proceńczycy mieli na niego decydujący wpływ.

Suur Karvall złościła się, kiedy w ten sposób przekrzykiwaliśmy donów, ale musiała się z tym pogodzić. Staliśmy wokół kuchennego stołu i rozdzielaliśmy przyniesione przez nią jarzyny pomiędzy sześć talerzy z sałatkami - tylko sześć, ponieważ matarrhici najwyraźniej za sałatką nie przepadali.

Kiedy szykowaliśmy kolację, w naszym posługaczowym

gronie wybuchła zawzięta dyskusja na temat celowości zapraszania matarrhity. Jedna teoria tłumacząca jego obecność przedstawiała się dość prosto: państwo sekularne było z natury religijne i zażyczyło sobie obecności jakiegoś deolatry. Matarrhici mieli odegrać na konwoksie znacznie większą rolę, niżby to wynikało z ich wpływów w świecie matemowym, a to dlatego, że współpraca z nimi najbardziej odpowiadała gryzypiórkom. Druga teoria potwierdzała natomiast przekonanie Ignethy Foral, jakoby nasz messal był po prostu miejscem zsyłki.

Dobiegający z głośników szczęk naczyń świadczył o tym, że posługacze w messalanie zaczęli zbierać miseczki po zupie. Nastąpiła przerwa w dialogu, usłyszeliśmy jednak swobodny głos starszej kobiety:

- Myślę, że uda mi się uśmierzyć twoje obawy, fraa Lodoghirze.

- Moje gratulacje, prasuur Moyra! - odparł Lodoghir, bez powodzenia siłąc się na jowialność. - Nie przypominam sobie jednak, żebym wyrażał tu jakieś obawy.

Moyra była doną Karvall, więc z szacunku dla tej ostatniej na chwilę naprawdę zamknęliśmy jadaczki.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, zatroskał się pan, czy aby Geometry nie skazili swojej kultury nadmierną liczbą obejrzanych szpilów - przypomniała Lodoghirowi Moyra.

- Naturalnie - przytaknął Lodoghir. - Spotkała mnie kara za dyskusje z lorytką.

Drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Barb z siedmioma miskami.

- Chyba nie powinieneś nazywać mnie lorytką - odparła ostrożnie Moyra. - Lepsza byłaby „metalorytką”. Albo, przez wzgląd na tę szczególną okazję, Lorytka Wieloświatowa.

To wywołało lekkie poruszenie, zarówno w messalanie, jak i w kuchni. Suur Karvall znieruchomiała przy głośniku, zasłuchana. Arsibalt, który właśnie coś siekał, zastygł w bezruchu, z nożem wzniesionym nad deską.

- My, lorycy, jesteście z natury namolni, kiedy wytykamy

naszym rozmówcom, że ktoś już dawno temu wpadł na taki czy inny pomysł - ciągnęła Moyra. - Obawiam się, że jestem teraz zmuszona rozszerzyć naszą tradycyjną domenę i powiedzieć tak: „Ogromnie mi przykro, fraa Lodoghirze, ale taki sam pomysł pewien owadziooki potwór z planety Zarzax wyśnił już przed dziesięcioma milionami lat!”.

Śmiech przy stole.

- Kapitalne! - Zachwycony Arsibalt odwrócił się w moją stronę.

- To utajniona halikaarnijka - powiedziałem.

- Otóż to!

Fraa Lodoghir również to zauważył i szykował się do odparcia ataku.

- Nie masz pewności, że tak było, ponieważ nie możesz porozumieć się z owadziookim potworem ani jego potomkami...

I zaczął wyklądać to, co mówił już wcześniej. Podałem sałatkę, licząc na to, że w ten sposób go uciszę. Suur Moyry nie przekonał, a Ignetha Foral spoglądała na niego lodowato.

Tymczasem don Arsibalta, siedzący obok fraa Jaada, nachylił się ku niemu i zaczął coś szeptać. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, wydał mi się dziwnie znajomy, ale dopiero kiedy Arsibalt powiedział mi, jak ma na imię, skojarzyłem, w jakich okolicznościach widziałem go poprzednio: stał samotnie w prezbiterium Saunta Edhara i z zadartą głową patrzył prosto na mnie. To był fraa Paphlagon.

Fraa Jaad skinął głową. Widząc, że Lodoghir pomału traci impet, Paphlagon odchrząknął i wszedł mu w słowo:

- Może przy okazji dowodzenia, że wszystkie dzieła saunta Proca były doskonałe, zajęlibyśmy się jakąś konkretną teorią?!

Po tych słowach nawet Lodoghir się przyknuł i Paphlagon mógł bez przeszkód kontynuować:

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego warto zorganizować messal poświęcony Wielości Światów; powód dla niektórych niemal równie fascynujący jak wywody fraa Lodoghira na tematy syntaktyczne; powód czysto teoretyczny. Chodzi o to, że

Geometry są zbudowani z innej materii niż my. Materii nie pochodzącej z naszego kosmosu. Co więcej, niedawno otrzymaliśmy wyniki z laboratorium, w którym badano próbki płynu, najprawdopodobniej krwi, z czterech fiolek dostarczonych kapsułą na Ecbę. Płyn w każdej z czterech fiolek jest zbudowany z innej materii. Próbki różnią się między sobą w takim samym stopniu, w jakim różnią się od naszej krwi.

- Fraa Paphlagonie, dowiedziałam się o tym dopiero w drodze na messal - powiedziała Ignetha Foral. - Możesz przybliżyć nam tę kwestię? Co to znaczy, że zawartość fiolek różni się między sobą?

- Jądra atomów w tworzących płyn cząsteczkach są niekompatybilne. - Paphlagon powiódł wzrokiem po twarzach współbiesiadników, odchylił się na oparcie krzesła i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rozłożył ręce, ustawiając dłonie pionowo jak dwa równoległe ostrza, jakby mówił „wyobraźcie sobie jądro”. - Jądra atomowe powstają w jądrach gwiazd. Kiedy gwiazda umiera, eksploduje i jądra zostają wyrzucone na zewnątrz jak popiół z paleniska. Mają dodatni ładunek elektryczny, dzięki czemu po ostygnięciu przyciągają elektrony i stają się atomami. Dalsze ochłodzenie sprzyja oddziaływaniu między elektronami, które prowadzi do powstania kompleksów nazywanych cząsteczkami i będących budulcem wszystkiego, co znamy. Faktyczne tworzenie świata zaczyna się jednak w jądrach gwiazd, gdzie jądra atomowe powstają zgodnie z regułami obowiązującymi tylko w bardzo gorących i bardzo ciasnych miejscach. Chemia materii, z której jesteśmy zbudowani, w pewien określony sposób odzwierciedla te reguły. Zanim nauczyliśmy się wytwarzać nowomaterię, wszystkie jądra atomowe w naszym wszechświecie były skonstruowane zgodnie z tymi uniwersalnymi przepisami. Tymczasem Geometry wiedzą o istnieniu czterech innych zestawów takich reguł, niewiele różniących się między sobą, ale zupełnie do siebie nieprzystających. Ba, nie tylko o nich wiedzą, ale są z takich atomów zbudowani!

- Co oznacza, że nauczyli się wytwarzać nowomaterię... -

odezwała się suur Asquin. - Albo...

- Albo pochodzą z różnych kosmosów - dokończył fraa Paphlagon. - Wobec czego Messal Wielości Światów wydaje mi się jak najbardziej na miejscu.

- To niezwykle... - zabrzmiał dźwięczny głos z wyraźnym obcym akcentem. - Niewiarygodne!

Nie widząc, żeby ktoś poruszył ustami, przeprowadziliśmy szybki proces eliminacji i jak jeden mąż spojrzeliśmy na matarrhitę, który na desce w kuchni figurował jako Zh'vaern, bez poprzedzającego imię - i zdradzającego płęć - „fraa” lub „suur”. Poruszył się lekko na krześle (sądząc po głosie, raczej był mężczyzną) i skinął ręką. Jego posługacz, kolumna czarnego materiału, pochylił się nad nim, wypuścił nibynóżkę i zabrał mu sprzed nosa talerz, co sąsiedzi Zh'vaerna przyjęli z wyraźną ulgą.

- Nie wierzę własnym uszom, ale my tu naprawdę całkiem poważnie rozważamy tak niewiarygodną ewentualność jak istnienie innych wszechświatów - ciągnął matarrhita. - I twierdzimy, że to właśnie stamtąd pochodzą Geometrzy!

Miało się wrażenie, że przemawia w imieniu wszystkich siedzących przy stole.

Wszystkich - poza Jaadem.

- Słowa bywają zawodne - powiedział tysięcznik. - Wszechświat z definicji jest tylko jeden. Nie mam na myśli kosmosu, który obserwujemy gołym okiem albo przez teleskop; to tylko jedna z wielu Historii, pojedynczy wątek w przestrzeni Hemna, w której jest ich znacznie więcej. Dla uczestników tych Historii wydają się one odrębnymi kosmosami. Geometrzy pochodzą z innej niż my Historii, ale podróżując, dotarli do naszej i stali się jej częścią.

Rzuciwszy tę bombę, fraa Jaad przeprosił, wstał od stołu i wymknął się do toalety.

- A co to niby miało znaczyć? - zdziwił się fraa Lodoghir. - Gadał jak recenzent literacki!

W jego głosie nie było jednak lekceważenia, lecz szczerą fascynacją.

- Możliwe, że ten messai już przekształcił się w ten twór, którego powstanie zapowiadali jego krytycy - zauważyła Ignetha Foral.

I nie czekając, aż ktoś podejmie jej wyzwanie, spróbowała skierować rozmowę na temat badań, które prowadziła dawno temu, jeszcze jako unarystka.

Paphlagon był mężczyzną w siódmej dekadzie życia, z wyglądu raczej imponującym niż atrakcyjnym, z pewnością przyzwyczajonym do tego, że jest najstarszym i najbardziej szanowanym uczestnikiem wszystkich dyskusji, w których bierze udział. Siedział nieruchomo z dyskretnym krzywym uśmiechem na ustach i wpatrywał się w blat stołu. Nie tracąc pogody ducha, pogodził się z rolą tłumacza fraa Jaada.

- Fraa Jaad wspomniał o przestrzeni Hemna - powiedział. - Chyba dobrze się stało, że ten temat wypłynął tak wcześnie. Idea przestrzeni Hemna, zwanej także przestrzenią konfiguracyjną, odzwierciedla sposób myślenia znakomitej większości teorii. W Epoce Praksis stało się oczywiste, że przestrzeń Hemna będzie dla nas lepszym miejscem do prowadzenia prac teoretycznych, więc gromadnie się do niej przenieśliśmy. Mówienie o wszechświatach równoległych wydaje się fraa Jaadowi równie niedorzeczne jak nam jego słowa.

- Skoro to takie ważne... - zgodziła się Ignetha Foral. - Może zrobiłbyś nam krótkie wprowadzenie?

Paphlagon znów uśmiechnął się po swojemu, kąśliwie, i westchnął.

- Pani sekretarz... Postaram się w taki sposób streścić tę ideę, żeby nasz messal nie przerodził się w roczny suwin teoretyczny.

I z radością rozpoczął wykład wstępny na temat przestrzeni Hemna. Nauczył się zerkać pytająco na suur Moyrę, kiedy miał kłopot z objaśnieniem jakiegoś trudniejszego konceptu, a ona zwykle umiała przyjść mu z pomocą. Już wcześniej udowodniła, że będzie wartościowym słuchaczem, a ogromna wiedza, którą dysponowała jako lorytka, czyniła z niej świetną nauczycielkę:

zawsze umiała odwołać się do jakiejś użytecznej analogii albo klarownej argumentacji, którą jacyś fraa albo suur przedstawili w mniej lub bardziej odległej przeszłości.

W samym środku dyskusji poczułem szarpnięcie za sznurek, a kiedy wróciłem do kuchni, na jego drugim końcu zastałem Emmana Beldo. Posługacz Zh'vaerna stał przy piecu i mieszał w tajemniczym kotle, porozumieliśmy się więc z Emmanem bez słów i przeszliśmy w przeciwny kąt, blisko otwartych drzwi do ogrodu.

- O czym my tu, do diabła ciężkiego, rozmawiamy? - zapytał Emman. - O podróżach w czwartym wymiarze?

- Cieszę się, że o to zapytałeś, ponieważ zupełnie nie masz racji. Przestrzeń Hemna nie ma nic wspólnego z czwartym wymiarem. Pokutują w tobie stare koncepcje, w których osobne trójwymiarowe wszechświaty piętrzyły się jedne na drugich jak stronicze w książce, a człowiek mógł się przemieszczać między nimi...

Emman kiwał głową.

- ...jeśli wymyślił sposób na poruszanie się w czwartym wymiarze - dokończył. - Ta cała przestrzeń Hemna... to jest coś innego?

- W przestrzeni każdy punkt, czyli ciąg N liczb, gdzie N oznacza liczbę wymiarów przestrzeni Hemna, zawiera całą informację niezbędną do opisanego pełnego stanu układu w danym momencie.

- Jakiego układu?

- Opisywanego przez przestrzeń Hemna.

- Rozumiem: możesz sobie stworzyć przestrzeń Hemna...

- Kiedy tylko przyjdzie ci ochota opisywać stany układu, jaki zamierzasz badać. Dla fida, któremu nauczyciel wyznaczył problem do rozwiązania, pierwszym krokiem jest zawsze stworzenie odpowiedniej przestrzeni Hemna dla tego problemu.

- O jakiej przestrzeni Hemna mówił w takim razie fraa Jaad? Co jest tym układem, którego wszystkie stany opisuje?

- Kosmos.

- Aha...

- Który dla fraa Jaada jest jedną z możliwych ścieżek w absurdalnie gigantycznej przestrzeni Hemna. W tej samej przestrzeni Hemna mogą się znajdować punkty, które nie leżą na ścieżce reprezentującej Historię naszego kosmosu.

- Ale mimo to mają pełne prawo tam być?

- Niektóre. Bardzo nieliczne, prawdę mówiąc, ale w tak olbrzymiej przestrzeni „bardzo nieliczne” wystarczą do stworzenia całych wszechświatów.

- A co z innymi punktami? Takimi... niewłaściwymi?

- Opisują sytuacje, które z jakiegoś względu są niemożliwe.

- Blok lodu w jądrze gwiazdy - podsunął Arsibalt.

- Na przykład - zgodziłem się. - Jest w przestrzeni Hemna taki punkt, który opisuje kosmos różniący się od naszego tylko tym, że gdzieś tam, w jądrze jednej z gwiazd, uchował się blok lodu. To sytuacja niemożliwa.

Arsibalt przetłumaczył to tak:

- Nie istnieje przeszłość, która mogłaby do takiego stanu doprowadzić, nie ma więc żadnej potencjalnej trajektorii, która mogłaby zawierać taki punkt.

- Spróbuj jeszcze przez chwilę powściągnąć ciekawość - poprosiłem Emmana. - Zmierzałem do tego, że poprawne punkty w przestrzeni Hemna, pomijane przez trajektorię naszego świata, ale nadal sensowne, można połączyć i utworzyć z nich trajektorie innych światów.

- Ale one nie będą prawdziwe? - upewnił się Emman.

Zaniemówiłem.

- To poważne pytanie metateoryczne - odpowiedział zamiast mnie Arsibalt. - Wszystkie punkty w przestrzeni Hemna są równie prawdziwe, tak jak prawdziwe są wszystkie wartości współrzędnych (x, y, z) , ponieważ nie są niczym więcej, jak tylko zbiorami liczb. Co sprawia, że pewien wybrany ich zbiór, wybrana trajektoria świata, staje się „prawdziwa”?

Suur Tris, która od dobrych paru minut wydawała coraz głośniejsze znaczące chrząknięcia, przeszła właśnie do etapu

rzucania w nas przedmiotami, któremu na dodatek towarzyszyło coraz głośniejsze dźwięczenie dzwonek. Pora na główne danie. Inni posługacze próbowali nam przypomnieć o naszych obowiązkach, musieliśmy więc wziąć się do roboty. Niedługo później cała nasza czternastka znalazła się na swoich miejscach w messalanie - posługacze za plecami donów - czekając, aż suur Asquin weźmie do ręki widelec.

- Wszyscy chyba zgodziliśmy się pójść w ślady fraa Jaada i przenieść z naszymi rozważaniami do przestrzeni Hemna - powiedziała tymczasem Asquin. - Ze słów fraa Paphlagona i suur Moyry wnioskuje, że nie zabraknie tam dla nas miejsca.

Donowie i dony zaśmiali się uprzejmie. Barb prychnął. My z Arsibaltem przewróciliśmy oczami. Barb rwał się do splantowania suur Asquin: wyjaśniłby jej ze wszystkimi zabójczymi dla kolacji szczegółami, jak gigantyczna jest przestrzeń konfiguracyjna całego wszechświata, a przy okazji przytoczył szacunkowe wyliczenie ilości zer niezbędnych do zapisania liczby opisywanych przez nią stanów, przybliżoną długość takiego ciągu liczb, i tak dalej. Arsibalt podniósł rękę, jakby grożąc, że zaraz położy mu dłoń na ramieniu.

Spokojnie.

Suur Asquin zaczęła jeść, inni poszli w jej ślady. Nastąpiło krótkie interludium, w którym część donów (ale nie Lodoghir) wygłosiła spodziewane pochwały posiłku, po czym gospodyni znów zabrała głos:

- Wracając pamięcią do naszej wcześniejszej dyskusji, nie mogę się nadziwić uwadze poczynionej przez fraa Paphlagona, zanim rozmowa zeszała na temat przestrzeni Hemna. Chodziło o różne rodzaje materii. Fraa Paphlagonie, jeśli się nie mylę, przytoczyłeś ten fakt na dowód tezy, że Geometry pochodzą z różnych kosmosów... Czy też, trzymając się terminologii zaproponowanej przez fraa Jaada, z różnych Historii.

- Tradycyjnie mówimy o „trajektoriach światów” - wtrąciła suur Moyra. - Określenie „Historia” nie jest do końca... neutralne.

- Nareszcie ktoś tu przemawia moim językiem! - Fraa

Lodoghir był zachwycony. - Kto oprócz fraa Jaada mówi o Historiach i co przez to rozumie?

- To rzeczywiście rzadkie sformułowanie - przyznała Moyra. - Przez niektórych kojarzone z Dynastią.

Fraa Jaad jakby nie słuchał tej rozmowy.

- Nie kłóćmy się o słowa - wtrąciła ostro suur Asquin. - Interesuje mnie coś innego: nie rozumiem, co łączy różne rodzaje materii z różnymi trajektoriami światów.

- Procesy kosmogoniczne prowadzące do powstania materii, z której się składamy: tworzenie się protonów, łączenie się ich w gwiazdy, następująca w jądrach gwiazd nukleosynteza... - zaczął Paphlagon - są uzależnione od wartości pewnych stałych fizycznych. Najoczywistszym, ale wcale nie jedynym przykładem takiej stałej może być prędkość światła, a ich łączna liczba wynosi około dwudziestu. Dawno temu, kiedy teorie mieli jeszcze dostęp do odpowiedniej aparatury, poświęcali mnóstwo czasu na dokładne ich mierzenie. Gdyby miały inne wartości, kosmos, jaki znamy, w ogóle by nie powstał. W jego miejscu istniałaby nieskończona ciemna chmura zimnego gazu, ogromna czarna dziura albo coś jeszcze innego, prostego i nieciekawego. Wyobraźmy sobie te występujące w naturze stałe jako dźwignie na pulpicie sterowniczym jakiejś maszyny. Należy je wszystkie ustawić we właściwym położeniu, bo inaczej...

Paphlagon zerknął na Moyrę. Miała gotowy ciąg dalszy:

- Suur Demula porównała tę sytuację do próby otwarcia sejfu z zamkiem szyfrowym, w którym szyfr ma około dwudziestu liczb.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem analogię Demuli... - wtrącił Zh'vaern. - Każda z tych dwudziestu liczb szyfru miałaby być wartością jednej takiej stałej fizycznej. Na przykład prędkości światła.

- Zgadza się. Wprowadzenie dwudziestu przypadkowych liczb nie doprowadzi do otwarcia sejfu, który pozostanie martwą bryłą żelaza. Nawet jeżeli podamy dziewiętnaście właściwych liczb, a pomylimy tylko jedną, nadal nic się nie zmieni: cała

dwudziestka musi być poprawna. Wtedy drzwi się otworzą i z sejfów wyleje się całe złożone piękno kosmosu.

- Inną analogię zaproponował saunt Conderline - powiedziała Moyra, przepłukawszy gardło. - Porównał wszystkie zbiory wartości tych dwudziestu stałych do oceanu, którego długość, szerokość i głębokość wynoszą po tysiąc mil. Zbiory takich ich wartości, prowadzących do powstania kosmosów, tworzyłyby na powierzchni tego oceanu warstewkę nie grubszą od arkusza papieru, jak wylana na fale oliwa.

- Analogia Conderline'a bardziej mi się podoba - przyznał Paphlagon. - Różne kosmosy, w których rozwinęło się życie, to małe wycinki tej plamy oliwy. Wynalazcy nowomaterii znaleźli sposób na poruszanie się w jej obrębie, niezbyt daleko, w bliskim sąsiedztwie, do miejsc, gdzie materia ma minimalnie zmienione właściwości. W efekcie większość stworzonej przez nich nowomaterii jest trochę inna, ale niewiele lepsza od materii występującej w naturze. Po wielu latach mozolnej pracy nauczyli się zapuszczać w nieco dalsze rejony plamy, gdzie materia jest wyraźnie lepsza i bardziej użyteczna. Wydaje mi się, że znajdujący się wśród nas fraa Erasmus ma pewne spostrzeżenia na temat materii Geometrów.

Dźwięk mojego imienia tak kompletnie mnie zaskoczył, że jeszcze przez długą chwilę tkwiłem całkowicie nieruchomo na swoim miejscu. Fraa Paphlagon spojrział na mnie i spróbował wytrącić mnie z odrętwienia:

- Twój przyjaciel, fraa Jesry, podzielił się z nami twoimi spostrzeżeniami na temat spadochronu - podpowiedział.

- No tak... - wykrztusiłem i stwierdziłem, że moje gardło rozpaczliwie domaga się ode mnie odchrząknięcia. - Spadochron był zupełnie zwyczajny. W niczym nie przypominał nowomaterii.

- Gdyby Geometry umieli wytwarzać nowomaterię, zrobiliby lepszy spadochron - przełożył moje słowa Paphlagon.

- Albo wymyślili metodę lądowania, która nie byłaby tak żenująco prymitywna! - wyśpiewał Barb, ściągając na siebie gniewny wzrok donów. Nikt nie pytał go o zdanie.

- Fraa Tavener ma całkowitą słuszość - zauważył fraa Jaad, rozładowując napięcie. - Może powie nam coś ciekawego jeszcze później, kiedy go o to poprosimy.

- Sens tych wypowiedzi, jeśli dobrze zrozumiałam, jest taki, że każda z czterech grup Geometrów używa materii właściwej dla kosmosu, z którego pochodzi - podsumowała Ignetha Foral.

- Nadano im tymczasowe nazwy - wtrącił Zh'vaern. - Antarktyczycy, Pangeajczycy, Diaspowie i Quatorzy.

Po raz pierwszy - i chyba ostatni - jego słowa wywołały powszechną wesołość.

- Brzmią dziwnie... geograficznie - przyznała suur Asquin.
- Ale co...

- Na burcie ich statku dostrzeżono namalowane cztery planety - mówił dalej Zh'vaern. - Są dobrze widoczne na fototypie saunta Orola. Znalezione w kapsule fiolki z krwią również są opisane wizerunkami planet. Ich nieoficjalne nazwy są inspirowane cechującymi je ciekawostkami natury geograficznej.

- Niech zgadnę... - odezwała się znowu suur Asquin. - Na Pangei jest jeden duży kontynent?

- Na Diaspie mnóstwo wysp, rzecz jasna - dodał Lodoghir.

- Quator wziął się od słowa „equator”, równik: większość lądów znajduje się tam w okolicach zerowego równoleżnika - ciągnął Zh'vaern. - A cechą charakterystyczną Antarkty jest olbrzymi zlodowaciały ląd na biegunie południowym. - Po czym, zapewne spodziewając się kolejnego wtrętu ze strony Barba, dodał: - To znaczy, na tym biegunie, który znajduje się u dołu ekranu.

Barb prychnął.

Fraa Zh'vaern mógł się wydać podejrzanie dobrze poinformowany jak na członka pustelniczej sekty deolatrów, który niedawno przybył na konwoks, ale wyjaśnienie tego faktu było całkiem zwyczajne: podobnie jak ja wziął udział w spotkaniu, na którym różni fraa i suur przedstawiali dopuszczonym do przygarnięcia przybyszom aktualne informacje na interesujące

konwoks tematy - albo (gdyby przyjąć bardziej cyniczny punkt widzenia) wciskali nam to, co hierarchowie chcieli, żebyśmy wiedzieli. Dopiero teraz zaczynałem się pomału uczyć, w jaki sposób prawdziwe informacje krążą na konwoksie.

Nastąpiła trwająca kilka minut wymiana żarcików. Zaczynałem się już nawet niecierpliwić, dopóki nie zauważyłem, że Moyra i Paphlagon wykorzystują tę okazję, żeby nadrobić zaległości w jedzeniu. Część posługaczy poszła do kuchni przygotować deser. Dopiero kiedy zaczęliśmy uprzątać talerze, żarty się skończyły, suur Asquin wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Ignethą Foral, odchrząknęła w serwetkę i wróciła do tematu:

- Z naszej dotychczasowej wymiany zdań wnoszę, że żadna z czterech ras Geometrów nie wynalazła nowomaterii...

- A jeśli nawet, to nie chcę, żebyśmy o tym wiedzieli - wtrącił Lodoghir.

- Rzeczywiście... Każda z nich pochodzi z takiego kosmosu, Historii czy też trajektorii świata, w których naturalne stałe są minimalnie różne od tych, które znamy.

Nikt nie zaprotestował.

- Moim zdaniem jest to niewiarygodnie doniosłe odkrycie - odezwała się Ignetha Foral. - Doprawdy nie rozumiem, dlaczego tak niewiele o nim wiadomo.

- Dopiero dzisiaj spłynęły ostateczne wyniki z laboratorium - przypomniał jej Zh'vaern.

- Po czym władze konwoksu bezzwłocznie zorganizowały nasz messal - zauważył Lodoghir. - Jeszcze zanim skończyło się przygarnięcie.

- Niektóre dysputy już przed dwoma dniami znały wstępne wyniki - wtrącił Paphlagon.

- Ich członkowie powinni byli natychmiast nas o tym poinformować! - zachnęła się Ignetha Foral.

- Taka już jest natura dyskut, że mniej się o nich mówi niż o wynikach z laboratorium - podkreśliła suur Asquin, gładko wchodząc w rolę łagodzielki sporów i niezręczności. Jaad posłał

jej takie spojrzenie, jakby była progiem spowalniającym, który nagle wyrósł na drodze przed jego mobem.

- Jest jeszcze inny powód - dodała suur Moyra - i może on być dla pani sekretarz bardziej zrozumiały. Do dzisiaj rana ogromną popularnością cieszyła się hipoteza, że to układ napędowy międzygwiazdowego statku Geometrów ma wpływ na materię. Zmienia ją.

- Zmienia materię?

- Tak. Powoduje lokalne zmiany praw natury i stałych fizycznych.

- Czy to możliwe?

- Taki napęd został wymyślony dwa tysiące lat temu, i to tutaj, w Tredegarhu. Po tym, jak w zeszłym tygodniu wspomniałam o nim, przez kilka dni idea ta cieszyła się sporą popularnością... więc w pewnym sensie to także moja wina.

- Nie zyskałaby takiej popularności, gdyby nie fakt, że ludzie nie wiedzieli, co myśleć - odezwał się fraa Jaad. - Wizje innych Historii wydały im się niepokojące. Szukali wyjaśnienia niewymagającego od nich przyswojenia sobie nowych wzorców myślenia i odrzucenia Grabi.

- Cóż za elokwentny wywód, fraa Jaadzie - zadrwił mój don. - Piękny przykład jednego z tych ukrytych nurtów, które jakże często kierują dyskusją udającą rzetelny dyskurs teoretyczny.

Jaad posłał Lodoghirowi spojrzenie, którego nie umiałem zinterpretować, z pewnością jednak nie nazwałbym go życzliwym.

Ktoś pociągnął za mój sznurek; nauczyłem się już rozpoznawać rękę Emmana. I rzeczywiście - czekał na mnie przy wejściu do kuchni.

- Kiedy tylko ruszymy w drogę powrotną do domu, pani sekretarz zacznie rozmowę od tego, że każe mi się wkręcić do odpowiedniej dysputy.

- W takim razie wybrałaś niewłaściwego człowieka. Ja dopiero dziś rano wyszedłem z kwarantanny.

- Co czyni z ciebie idealnego kandydata: będziesz miał wzięcie.

Zdążyłem się zorientować w rozkładzie konwoksowego dnia na tyle, żeby wiedzieć, że poranki (przed certyfikiem) spędza się w laboratorium: udam się w wyznaczone miejsce i będę pracował przy wskazanym projekcie razem z innymi deklarantami, którzy tak jak ja zostali do niego przydzieleni. Część dnia od certyfikatu do messalu nazywano peryklinem: ludzie spotykali się, mieszała i wymieniali informacjami (na przykład na temat wyników z laboratorium), które następnie się sortowało i - podczas messali - puszczano w dalszy obieg. Po messalu spotykały się dysputy, czyli nocne grupy robocze. Panowało powszechne przekonanie, że najbliższa noc zapowiada się wyjątkowo ciekawie, ponieważ przygarnięcie i plenum zabrały mnóstwo dnia roboczego - chociaż, prawdę mówiąc, to właśnie dysputy były głównym miejscem pracy na konwoksie. Wszystkim zależało na tym, żeby robota posuwała się do przodu, ale wielu uważało, że sformalizowane struktury laboratorium, messalu i tym podobne tylko ich ograniczają. A w pracach dysputy mogli się wykazać inicjatywą. Przez pół dnia użerał się człowiek z jakimiś półmózgami, potem hierarchowie przydzielali go do jakiegoś usypiającego messalu - za to przynajmniej na spotkaniu dysputy mógł robić, co mu się żywnie podobało.

- Byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciał mi towarzyszyć w dyskusie - powiedziałem do Emmana. Całkiem szczerze. - Powinieneś jednak zrozumieć, że nie gwarantuję...

Oburzeni Arsibalt i Karvall uciszeli mnie posykiwaniem. Barb spojrzął na mnie i oznajmił:

- Macie być cicho, bo nie słycać, co się dzieje w...

Uciszyłem go. Arsibalt uciszył mnie. Karvall uciszyła Arsibalta.

Rozmowa w messalanie doszła do sedna: co łączy ideę przestrzeni konfiguracyjnej i trajektorii światów z istnieniem różnych rodzajów materii na „Pangei”, „Diaspie”, „Antarkcie”, „Quatorze” i Arbre.

- W okresie Rekonstrukcji panowało powszechne przekonanie, że obowiązujące w naturze stałe nie są konieczne,

lecz warunkowe - mówiła właśnie Moyra. - Mogłyby przyjąć inne wartości, gdyby prehistoria wszechświata potoczyła się inaczej. Nawiasem mówiąc, właśnie badanie tych zagadnień doprowadziło do stworzenia nowomaterii.

- Jeżeli dobrze rozumiem, udało się w ten sposób dowieść prawdziwości twierdzenia o warunkowych wartościach stałych fizycznych - podsumowała Ignetha Foral. - Najlepszym dowodem jest nasza zdolność wytwarzania nowomaterii.

- Tak brzmi tradycyjna interpretacja - przytaknęła Moyra.

- Wspomniałaś o „prehistorii wszechświata” - wtrącił Lodoghir. - Jak daleko wstecz...

- Mówimy o nieskończone krótkim przedziale czasu tuż po Wielkim Wybuchu, kiedy z morza energii zmateriałizowały się pierwsze cząstki elementarne.

- Przypadkowo, jak niektórzy utrzymują, zmateriałizowały się właśnie w takim, a nie innym kształcie - ciągnął Lodoghir. - Chociaż mogły wyglądać nieco inaczej, co doprowadziłoby do powstania kosmosu o innych stałych fizycznych i innej budowie materii.

- W rzeczy samej.

- Umielibyście przełożyć to, co właśnie zostało powiedziane, na język zrozumiały dla fraa Jaada, czyli kod Historii w przestrzeni konfiguracyjnej? - zainteresowała się Ignetha Foral.

- Spróbuję - zaofiarował się Paphlagon. - Gdybyśmy prześledzili trajektorię naszego świata (czyli ciąg punktów w przestrzeni Hemna odwzorowujący przeszłość, teraźniejszość i przyszłość naszego kosmosu) wstecz, pod prąd czasu, obserwowalibyśmy stany coraz jaśniejsze i gorętsze, coraz gęściej upakowane; przypominałoby to puszczone wstecz nagranie eksplozji na tabliczce fotomnemonicznej. Dotarlibyśmy w takie rejony przestrzeni Hemna, które w ogóle nie przypominałyby znanego nam kosmosu: byłyby to chwile tuż po Wielkim Wybuchu. Cofając się, w pewnym momencie osiągnęlibyśmy punkt, w którym te stałe fizyczne, o jakich rozmawialiśmy...

- Te dwadzieścia liczb - odpowiedziała suur Asquin.

- Te same - przytaknął Paphlagon. - Osiągnęlibyśmy miejsce, w którym nie zostały jeszcze nawet zdefiniowane; miejsce tak odmienne od naszego kosmosu, że straciłyby sens; nie byłyby określone, ponieważ na tak wczesnym etapie mogły jeszcze przyjąć dowolne wartości. Aż do tego punktu nie ma wielkich różnic między starym modelem jednokosmosowym i przestrzenią Hemna, w której każdy kosmos podąża własną ścieżką.

- Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę nowomaterię? - zapytał Lodoghir.

- Nawet. Twórcy nowomaterii nauczyli się po prostu budować maszyny pozwalające im wyzwalać ogromne energie, i w laboratoriach zaczęli na własną rękę produkować małe Wielkie Wybuchy. Dzisiejsze wyniki laboratoryjne są dla nas nowe i ciekawe z jednego powodu: gdybyśmy w ten sam sposób prześledzili wstecz trajektorie Antarkty, Pangei, Diaspu i Quatora, znaleźlibyśmy się w bardzo zbliżonym rejonie przestrzeni Hemna.

- Ich Historie zbiegają się do jednego punktu - dodał fraa Jaad.

- Kiedy bada się je wstecz - wtrącił Zh'vaern.

- Nie ma żadnego „wstecz” - odparł Jaad.

Zapadła dłuższa cisza.

- Fraa Jaad nie wierzy w istnienie czasu - skonstatowała Moyra. Miałem wrażenie, że dopiero wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie, że ma rację.

- Ach tak! To ważny szczegół - mruknęła w kuchni suur Tris.

Nikt jej nie uciszał. Przez najbliższe kilka minut mieliśmy stać wokół stołu z zastawą i czekać na właściwy moment do podania deseru.

- Wolalbym nie wdawać się w dygresje na temat istnienia bądź nieistnienia czasu - zastrzegł Paphlagon. Chyba wszystkim ulżyło. - Rzecz w tym, że w modelu, który każe nam postrzegać pięć kosmosów (ten, w którym znajduje się Arbre, oraz cztery kosmosy Geometrów) jako trajektorie w przestrzeni Hemna, w

okolicy Wielkiego Wybuchu trajektorie te bardzo się do siebie zbliżają. Moglibyśmy wręcz zapytać, czy nie były tożsame do pewnego momentu, w którym wydarzyło się coś, co spowodowało ich rozszczepienie. Może to dobre pytanie na kolejny messal; może tylko deolatryzyści uważają się szukać na nie odpowiedzi.

My w kuchni zerknęliśmy ukradkiem na posługacza Zh'vaerna.

- Tak czy inaczej, różnym trajektoriom przypadły różne wartości stałych - ciągnął Paphlagon. - Efekt jest taki, że nawet gdybyśmy znaleźli się w jednym pokoju z Geometrą, który jest do nas podobny, w jądrach jego atomów znaleźlibyśmy ślad, swoisty odcisk palca, dowodzący, że pochodzi z innej Historii.

- W naszych sekwencjach genetycznych zapisane są wszystkie nasze mutacje, historia adaptacji wszystkich naszych przodków, począwszy od pierwszych żywych istot na Arbre - powiedziała suur Moyra. - W podobny sposób w materii Geometrów jest zakodowana, mówiąc językiem fraa Jaada, cała Historia ich kosmosu, od tego punktu w przestrzeni Hemna, który jest wspólny dla nas wszystkich.

- Dalej - odezwał się fraa Jaad.

Tradycyjnie - jak zwykle po stwierdzeniach fraa Jaada - zapadła cisza.

Tym razem przerwał ją wybuch śmiechu Lodoghira.

- Rozumiem! Nareszcie rozumiem! Że też byłem takim głupcem, fraa Jaadzie! Że też wcześniej nie poznałem się na tobie i twojej grze! Widzę teraz, że od początku prowadziłeś nas dyskretnie do z góry założonego celu: do Hylaejskiego Świata Teorycznego!

- Hmm, nie wiem, co mnie bardziej drażni - przyznałem. - Ton głosu Lodoghira czy fakt, że pierwszy na to wpadł.

Kilka godzin wcześniej byłem wstrząśnięty, gdy Lodoghir zaczepił mnie podczas peryklinu i wszczął niezobowiązującą pogaduszkę o naszym spotkaniu na plenum. Jak miał czelność zbliżyć się do mnie bez pancerza bojowego i oddziału inkwizytorów z ogłuszaczami? Jakim cudem nie przewidział, że

resztę życia poświęcę na snucie planów krwawej zemsty? Brak odpowiedzi na te pytania sprawił, że doznałem olśnienia: dla niego to wcale nie była sprawa osobista. Wszystkie sztuczki retoryczne, zafalszowania, oczywiste kłamstwa, odwołania do emocji słuchaczy - wszystko to składało się na jego zawodowy arsenał, tak jak na mój składały się równania i sylogizmy. Do głowy mu nie przyszło, że mogę żywić jakąś urazę, tak jak Jesry nie poczułby się obrażony, gdybym wytknął mu błąd w rozważaniach teoretycznych.

Przyglądałem mu się w milczeniu, mierząc w myślach dystans dzielący jego szczękę i moje knykie. Miałem niejasne wrażenie, że przed wieczornym messalem próbuje mi pokazać, kto tu rządzi. Nie zamierzałem go słuchać. On zaś, widząc mój brak reakcji, po chwili zniechęcił się i poszedł sobie.

- Nie wiem, jak to przeżyję: z jednej strony Lodoghir, z drugiej Inkwizycja - przyznałem.

- To już masz na pieńku z Inkwizycją? - spytał Arsibalt z mieszaniną zdumienia i podziwu w głosie.

- Nie, ale Varax dał mi do zrozumienia, że jestem na cenzurowanym.

- Jak udało mu się tego dokonać?

- Wiesz, że wcześniej odbyłem dosyć... irytujące spotkanie z Lodoghirem?

- No wiem, wszyscy was widzieli.

- Nie, nie to. Później. A wiesz, kto zaczął mnie kilka sekund potem?

- Biorąc pod uwagę kontekst twojej wypowiedzi, podejrzewam Varaksa.

- Otóż to.

- Co powiedział?

- „Podobno doczytałeś do rozdziału piątego? Mam nadzieję, że nie zrujnowało ci to całej jesieni”. Wyjaśniłem mu, że lektura Księgi zajęła mi kilka tygodni, ale nie mam do niego pretensji.

- To wszystko?

- Właściwie tak. Może zamieniliśmy jeszcze ze dwa zdania i tyle.

- Jak interpretujesz słowa Varaksa?

- Powiedział: „Nie próbuj dać swojemu donowi po nosie, młody człowieku. Obserwuję cię”.

- Jesteś idiotą.

- Słucham?!

- Wszystko poplątałeś. To był prezent.

- Prezent?!

- Don może zdyscyplinować posługacza, rzucając w niego Księgą - wyjaśnił Arsibalt. - Rzecz w tym, Ras, że ty jako zatwardziały kryminalista pięć rozdziałów masz już z głowy i Lodoghir musiałby ci wyznaczyć szósty. A to bardzo ciężka kara...

- Od której mógłbym się odwołać - dokończyłem. - Do Inkwizycji.

- Arsibalt ma rację - wtrąciła Tris. Przysłuchiwała się naszej rozmowie i kiedy dowiedziała się, że jestem po piątym rozdziale, spojrzała na mnie zupełnie innym wzrokiem. - Na mój gust ten cały Varax dał ci niedwuznacznie do zrozumienia, że Inkwizycja odrzuci każdy wyrok Lodoghira.

- Nie będą mieli wyjścia - dodał Arsibalt.

Wziąłem talerz z deserem dla Lodoghira i w doskonałym humorze wróciłem do messalanu; reszta posługaczy ruszyła za mną. Powitały mnie zaczerwienione policzki i przygryzione wargi: żywa ilustracja wysilonej niezręczności języka ciała. Lodoghir na wszystkich działał tak samo.

- Już mi się wydawało, że do czegoś dochodzimy! - mówiła akurat Ignetha Foral. - Aż tu nagle okazuje się, że nasz messal stacza się w wyrobione koleiny starego i nudnego sporu proceńczyków z halikaarnijczykami. Metateoryka, też coś! Czasem poważnie się zastanawiam, czy wy w tym waszym matemowym świecie macie pojęcie, o jaką stawkę toczy się gra!

Źle trafiłem, ale było już za późno, żeby się wycofać, zwłaszcza że inni deptali mi po piętach. Podszedłem więc do swojego dona i postawiłem przed nim deser, kiedy postanowił

odpowiedzieć:

- Przyjmuję pani krytykę, pani sekretarz, i zapewniam, że...

- Ja jej nie przyjmuję - przerwał mu fraa Jaad.

- Bardzo słusznie - poparł go Zh'vaern.

- Są to sprawy niezwyklej wagi, bez względu na to, czy zadamy sobie trud ich zrozumienia - ciągnął Jaad.

- Powiedz mi, jak mam odróżnić poważną dyskusję od partyzanckiej wojenki, do złudzenia przypominającej tę, która toczy się w stolicy? - spytała Ignetha Foral. Innych ton fraa Jaada zmroził do szpiku kości, na nią jednak najwyraźniej podziałał mobilizująco.

Fraa Jaad udał, że nie słyszał pytania (rozterki pani sekretarz go nie interesowały), i skoncentrował się na deserze. Fraa Zh'vaern, który zaskoczył nas wszystkich, przejawiając żywe zainteresowanie tematem, postanowił wyręczyć tysięcznika.

- Porównując jakość użytych argumentów - odparł.

- Nie potrafię tego zrobić, kiedy argumenty wywodzą się z czystej teoryki.

- Nie upierałbym się przy twierdzeniu, że istnienie Hylaejskiego Świata Teorycznego wypływa z tak zwanej czystej teoryki - zaoponował Lodoghir. - Uznanie go to taki sam akt wiary jak przekonanie o istnieniu Boga.

- Doceniam zręczność, która pozwoliła ci za jednym zamachem wbić szpilę fraa Jaadowi i Zh'vaernowi - przyznała Ignetha Foral. - Muszę ci jednak przypomnieć, że większość moich współpracowników wierzy w Boga. Radzę uważać: wśród nich taki gambit może się obrócić przeciwko tobie.

- Robi się późno - zauważyła suur Asquin, chociaż biesiadnicy nie wyglądali na zmęczonych. - Proponuję wrócić do tematu Hylaejskiego Świata Teorycznego podczas jutrzejszego messalu.

Fraa Jaad pokiwał głową, trudno byłoby jednak stwierdzić, czy przyjmował wyzwanie Asquin, czy po prostu chwalił pyszne ciasto.

Megazabójca: Broń o niespotykanym stopniu złożoności praktycznej, której domniemane użycie podczas Straszliwych Wypadków przyniosło katastrofalne skutki. Istnieje rozpowszechnione (choć nie poparte dowodami) przekonanie, że to udział teorii w skonstruowaniu megazabójcy doprowadził do ogólnoświatowego porozumienia w kwestii odseparowania ich od społeczeństwa. Ta polityka po wprowadzeniu w życie została nazwana Rekonstrukcją.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Podobały się wam książki? - zapytała suur Moyra.

Sięgnęła po patelnię i zaczęła zeszkrobywać z niej przypaloną zieleninę. Karvall zaniemówiła: Moyra zakradła się do kuchni i zupełnie nas zaskoczyła! Suur Karvall wypuściła z rąk garnek, który szorowała, i podbiegła do swojej dony, żeby wyjąć patelnię z jej delikatnych dłoni. My z Arsibaltem zrobiliśmy niemal równie zwinny zwrot i powiedliśmy za nią wzrokiem: Karvall mogła mieć na sobie tonę czarnego zawoju, ale rzuciło się nam w oczy, że podtrzymujące go zwoje sznura są nadzwyczaj wyrafinowane i wynagradzają dociekliwego obserwatora. Nawet Barb na nią spojrział. Emman Beldo odwoził właśnie Ignethę Foral na nocleg. Trudno było stwierdzić, co sobie myśli Orhan, posługacz Zh'vaerna, z głową i twarzą ukrytą pod zawojem, ale sądząc po układzie fałd na materiale, on również śledził Karvall spojrzeniem. Tris skorzystała z chwilowego zamieszania i zgarnęła najostrzejszą myjkę.

- Ty je wybrałaś? - zapytałem.

- Kazałam Karvall zanieść je do twojej przyczepy - odparła z uśmiechem Moyra.

- Więc stąd się biorą... - mruknęła Tris. - Dziś rano znalazłam w celi stos książek - wyjaśniła.

Sądząc po tym, w jaki sposób inni posługacze patrzyli na Moyrę, ich również spotkało coś podobnego.

- Jedną chwileczkę... - odezwał się Barb. - To

chronologicznie niewykonalne! - A potem odezwał się w nim stary, dobry, dowcipny Barb: - Chyba że naruszyłaś zasadę przyczynowości.

- Od paru dni próbowałam doprowadzić do tego messalu - przyznała Moyra. - Zapytajcie suur Asquin, to wam powie, jak się jej naprzykrzałam. Nie sądzicie chyba, że do zorganizowania takiego spotkania wystarczy, że paru hierarchów wymieni się liścikami przed i podczas przygarnięcia?

- Prasuur Moyro... - wtrącił Arsibalt. - Skoro o zwołaniu messalu nie zadecydowały poranne wyniki z laboratorium, to co było jego przyczyną?

- Gdybyście nie byli tacy zajęci flirtowaniem z uroczymi suur i błaznowaniem w kuchni, może zwrócilibyście uwagę na to, że wcześniej nazwałam się metalorytką.

- Albo Lorytką Wieloświatową - dodałem.

- O, widzę, że jednak słuchaliście!

- Myślałem, że to tylko takie zagajenie.

- Kto był ich Evenedrykiem, fraa Arsibalcie?

- Słucham?

Pytanie wydało się Arsibaltowi fascynujące, ale suur Tris zadbała o to, żeby za bardzo się nim nie przejął, wciskając mu do rąk ogromny tłusty półmisek.

- Fraa Tavenerze, kto był sauntem Hemnem na planecie, którą nazwaliśmy Quatorem? Tris, kto był sauną Baritoe na Antarkcie? Fraa Orhanie, czy mieszkańcy Pangei czczą Boga? A jeśli tak, to czy jest to również Bóg matarrhitów?

- Bez wątplenia, suur Moyro! - wykrzyknął Orhan i wykonał gest, który już wcześniej widziałem. Jakiś deolatrijski przesąd.

- Fraa Erasmasie, kto był odkrywcą Przekątnej Halikaarna na Diaspie?

- Ponieważ oczywiste jest, że znają takie idee, sugerujesz... - zaczął Arsibalt.

- Muszą je znać, skoro zbudowali ten statek! - wszedł mu w słowo Barb.

- Macie znacznie świeższe i bardziej elastyczne umysły niż niektórzy z moich współbiesiadników - powiedziała Moyra. - Pomyślałam, że może powiecie mi coś ciekawego.

Suur Tris odwróciła się od zlewu i zapytała:

- Chcesz powiedzieć, że nasi i ich sauntowie są sobie równoważni? Że odpowiadają sobie jeden do jednego? Tak jakby byli wcieleniem jednego umysłu wspólnego dla wielu światów?

- To ja was o to pytam.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dręczył mnie dobrze znajomy niepokój, który ogarniał mnie ostatnio za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na podobne tory. W ostatnich słowach, wypowiedzianych kilka minut przed śmiercią, Orol ostrzegwał mnie, że tysięcy już o tym wiedzą i na tej podstawie opracowują nową praksis. Krótko mówiąc, twierdził, że legendy o inkanterach opierają się na faktach. Może znowu popadałem w stary nawyk zamartwiania się ponad miarę, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że każda konwersacja, w której uczestniczę, niebezpiecznie ociera się o ten temat.

Wolny od takich trosk Arsibalt postanowił powalczyć. Odstawił umyty półmisek na suszarkę, wytarł ręce w zawój i odparł:

- Źródłem takiej hipotezy powinno być jakieś wytłumaczenie faktu, że różne umysły w różnych trajektoriach światów myślą podobnie. Można naturalnie szukać wyjaśnienia w religii... - zerknął na Orhana - ale poza tym... cóż...

- Nie musisz się kryć ze swoją wiarą w istnienie HŚT. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz; ja już wszystko widziałam.

- Rzeczywiście, prasuur. - Arsibalt skłonił się lekko.

- W jaki sposób wiedza ze wspólnego Świata Teorycznego (nie nazwę go hylaejskim, ponieważ na Quatorze najprawdopodobniej nie było żadnej Hylaei) mogłaby przepływać do umysłów sauntów zamieszkujących różne światy? Czy w tej chwili taki przepływ też ma miejsce? Czy następuje bezpośrednio między światami?

Rzucając kolejne takie bomby, Moyra pomału cofała się w

stronę tylnego wyjścia, i niewiele brakowało, żeby zderzyła się z Emmanem Beldo, który wrócił do nas, odwiózłszy swoją donę do domu.

- Wydaje mi się, że to temat na jutrzejszy messal - zauważyłem.

- Po co czekać? Nie bądźcie tacy bierni! - odparowała Moyra i zniknęła w ciemnościach nocy.

Karvall rzuciła ścierkę i wybiegła za swoją mentorką, naciągając zawój na głowę. Emman uprzejmie zszedł jej z drogi, po czym natychmiast obejrzał się i tak długo śledził ją wzrokiem, aż zupełnie zniknęła. Kiedy odwrócił się do nas, dostał od Tris gąbką w twarz.

- Nie może chyba być tak, że te punkty w przestrzeni Hemna płyną swobodnie... - zaczął Emman.

- Że błakają się tak jak my, po omacku? - podsunąłem. Szukaliśmy odpowiedniej dla nas dysputy.

- No. To by było bez sensu. Mam rację?

- Pytasz o trajektorie światów? O Historie?

- Tak mi się wydaje... A właściwie, o co tu chodzi?

Pytanie było cokolwiek mętne, ale wiedziałem, co mu chodzi po głowie.

- Pytasz o to, dlaczego fraa Jaad upiera się przy „Historiach”?

- Mhm. Trudno będzie to wytłumaczyć...

- Gryzipiórkom?

- Tak nazywacie ludzi w rodzaju mojej dony?

- Niektórzy z nas tak.

- No cóż, bywają uparci. I przyziemni.

- Poczekaj, spróbuję ci dać przykład. Pamiętasz, co mówił Arsibałt? O bloku lodu w jądrze gwiazdy?

- Pamiętam. Jest w przestrzeni Hemna punkt, który

reprezentuje nawet taki kosmos.

- Zakodowana w nim konfiguracja kosmosu zawiera poza gwiazdami, planetami, ptakami, pszczołami, książkami, szpilami i wszystkim innym także taką jedną gwiazdę, która ma w sercu bryłę lodu. Pamiętaj, że ten punkt to nic innego, jak bardo długi ciąg liczb, współrzędnych określających jego położenie w przestrzeni Hemna. Jest tak samo rzeczywisty - albo tak samo nierzeczywisty - jak każdy inny ciąg liczb.

- Czyli jego rzeczywistość, a w tym wypadku nierzeczywistość, musi wynikać z innych uwarunkowań - domyślił się Emman.

- Brawo. W tym wypadku takim uwarunkowaniem jest całkowita absurdalność opisywanej przez niego sytuacji.

- Jak to się mogło stać, tak? - Emman wyraźnie zaczynał coś kojarzyć.

- Stać się: to słowo-klucz. - Żałowałem, że nie umiem mu tego wyłuszczyć z takim przekonaniem jak Orolo. - Co to znaczy, że coś się dzieje? - To akurat zabrzmiało kiepsko. - Nie jest przecież tak, że ta sytuacja, ten odosobniony punkt w przestrzeni konfiguracyjnej nagle pojawia się i równie nagle znika; że jest sobie gdzieś tam w kosmosie całkiem zwyczajna gwiazda, aż tu nagle bum! i na jedno uderzenie kosmicznego zegara w jej jądrze pojawia się lodowy blok. Drugie bum! - i znika bez śladu.

- Ale mogłoby się tak wydarzyć, gdybyśmy mieli teleporter działający w przestrzeni Hemna. Dobrze myślę?

- To by był całkiem ciekawy eksperyment myślowy... Masz na myśli jakiś gadżet z książek Moyry? Czarodziejską budkę, w której wpisujesz współrzędne punktu, ona cię do niego przenosi, a ty skaczesz do następnego?

- No tak, bez oglądania się na prawa teoryki i inne takie. Wtedy moglibyśmy zmaterializować blok lodu w jądrze gwiazdy. Gdzie natychmiast by się roztopił.

- Roztopiłby się, gdybyś pozwolił od tej pory działać prawom naturalnym. Mógłbyś go jednak ocalić, teleportując się do innego punktu w tym samym kosmosie, ułamek sekundy później,

w którym blok lodu nadal by istniał.

- No tak, rozumiem... Ale tak normalnie, to by się roztopił.

- W takim razie, Emmanie, pytanie brzmi: co to znaczy „normalnie”? Albo inaczej: czym różniłby się zbiór punktów w przestrzeni Hemna, jakie musiałbyś pospinać swoim teleporterem, żeby przez okna budki zobaczyć kosmos, w którym w jądrze gwiazdy tkwi nietopiący się blok lodu, od poprawnej trajektorii świata?

- Poprawnej, czyli takiej, na której obowiązują prawa naturalne?

- Tak.

- Nie wiem.

Obaj roześmialiśmy się.

- Zaczynam rozumieć część opowieści Orola o sauncie Evenedryku. Evenedryk studiował datonomię, dziedzinę będącą wytworem filozofii krakerskiej i zajmującą się tym, co jest nam dane; co możemy obserwować. Bo przecież w gruncie rzeczy na tym właśnie musimy się opierać w naszej pracy.

- No dobrze, powiedz mi - zgodził się Emman. - Co możemy obserwować?

- Nie pojedyncze punkty w przestrzeni Hemna, które są spójne, czyli opisują stan kosmosu, gdzie nie ma lodu w jądrach gwiazd, ale całe spójne ciągi takich punktów: trajektorię świata, który mógł się wydarzyć.

- A co to za różnica?

- Chodzi o coś więcej niż kawał lodu w gwieździe: on nie tylko nie może się tam znajdować, ale nie ma sposobu, żeby go tam ulokować i utrzymać. Nie istnieje spójna Historia kosmosu uwzględniająca taką ewentualność. Rzecz nie w tym, co jest możliwe, bo w przestrzeni Hemna wszystko jest możliwe, ale co jest współmożliwe: taki kosmos musiałby spełniać mnóstwo dodatkowych warunków, żeby dopuszczać istnienie lodu w jądrze gwiazdy.

- To by się chyba dało zrobić...

W głowie Emmana zaczęły się obracać praktyczne trybiki.

W taki przecież sposób zarabiał na chleb: został urlopowany z agencji kosmicznej i wyznaczony na doradcę technicznego Ignethy Foral.

- Można by zbudować raketę, pocisk z głowicą z grubego żaroodpornego materiału wypełniony lodem. Gdyby ta rakietka wbiła się z dużą szybkością w gwiazdę, ognioodporna osłona wypaliłaby się, a potem przez ułamek sekundy mielibyśmy blok lodu we wnętrzu gwiazdy.

- Rzeczywiście, to wykonalne, ale ta historyjka sama w sobie jest odpowiedzią na pytanie o dodatkowe warunki, jakie musiałby spełniać kosmos, w którym lód znalazł się we wnętrzu gwiazdy. Gdybyś mógł go zamrozić, zatrzymać czas...

- Umówmy się, że teleporter ma wbudowany interfejs użytkownika ułatwiający to: pozwala się cofać dowolną liczbę razy do tej samej chwili.

- Świetnie. Gdybyś tak zrobił i obejrzał z bliska okolice tej bryły lodu, dostrzegłbyś zmieszane z materią gwiazdą ciężkie jądra atomowe ze spalonej osłony cieplnej. Zobaczyłbyś w próżni ślad rakiety, smugę kondensacyjną, która doprowadziłaby cię do osmalonego stanowiska startowego. Stanowisko musiałoby się znajdować na planecie, na której rozwinęło się życie wystarczająco inteligentne, żeby konstruować rakiety. Kręciliby się wokół niego ludzie, którzy poświęcili całe lata na zaprojektowanie i zbudowanie tamtego pocisku. Ich neurony zarejestrowałyby wspomnienia tej pracy i samego startu rakiety. W retikulach zarchiwizowałyby szpile dokumentujące przedsięwzięcie. Te wspomnienia i nagrania - spójne, zgodne ze sobą - sprowadzają się w ostatecznym rozrachunku do określonego układu atomów w przestrzeni, czyli...

- Czyli same są elementami konfiguracji zakodowanymi we współrzędnych tego punktu w przestrzeni Hemna - stwierdził Emman stanowczo. Teraz naprawdę zrozumiał. - To właśnie masz na myśli, mówiąc o współmożliwości.

- Tak.

- Wiele punktów w przestrzeni Hemna może uwzględniać

lód we wnętrzu gwiazdy, ale tylko nieliczne z nich...

- ...tylko ich mała, maleńka liczba...

- ...zawiera kompletny i spójny zapis procesu, który do tego doprowadził.

- No właśnie. Kiedy wypuszczasz się na szerokie wody praksis i wymyślasz system wystrzeliwania pocisków, w rzeczywistości wymyślasz Historię, która doprowadziłaby do stworzenia warunków - pozostawionych przez twój projekt śladów w kosmosie - współmożliwych z lodem we wnętrzu gwiazdy.

Przeszliśmy kawałek w milczeniu, zanim Emman znów się odezwał:

- Weźmy może mniej wyrafinowany przykład: ubranie suur Karvall. Kiedy się na nią patrzy...

- Człowiek odruchowo zaczyna się zastanawiać, jak wygląda zawiązywanie tych wszystkich węzłów.

- Albo rozwiązywanie.

- Ona jest setniczka - ostrzegłem go. - Konwojs nie będzie trwał wiecznie.

- Wiem, nie powinienem się za bardzo przywiązywać. Mógłbym umówić się z nią na randkę w trzy tysiące siedemsetnym...

- Albo zostać fraa - zasugerowałem.

- Kto wie, czy nie będę musiał... Czekał, czy ty wiesz, dokąd idziesz?

- Oczywiście. Za tobą.

- A ja za tobą.

- To by znaczyło, że zablądziłeś.

Błąkaliśmy się chwilę bez celu, dopóki nie napatoczyliśmy się na dwie prasuur na przechadzce i nie zapytaliśmy o drogę do kapituły edharskiej.

- W skrócie... - zaczął Emman, kiedy wróciliśmy na właściwe tory. - W każdym kosmosie... to znaczy, na każdej trajektorii świata wszystko ma sens. Prawa natury są przestrzegane.

- Zgadza się. To właśnie trajektoria świata: zbiór punktów

w przestrzeni Hemna ułożony w taki sposób, żeby nie naruszały praw naturalnych.

- Spróbuję to sobie przełożyć na język teleportera, bo w ten sposób będę to później tłumaczył innym. Cała idea teleportera polega na tym, że w dowolnym momencie może cię przenieść w dowolne miejsce. Możesz w przypadkowy sposób przeskakiwać pomiędzy kosmosami. Jednakże tylko jeden punkt w przestrzeni opisuje stan, jaki kosmos, w którym się znajdujesz, przyjmie w następnym ułamku sekundy, jeżeli prawa natury mają pozostać nienaruszone. Dobrze mówię?

- Nie najgorzej, ale...

- Widzisz, mnie chodzi o to, że ludzie, z którymi będę o tym rozmawiał, słyszeli o prawach natury, niektórzy pewnie nawet trochę je studiowali, i to im wystarcza. A tu nagle przychodzę ja i zaczynam im opowiadać o przestrzeni Hemna. To dla nich zupełnie nowa idea, więc robię im wykład, wszystko tłumacząc, opowiadam o teleporterze, lodzie, gwiazdach, śladach na stanowisku startowym... Aż tu jeden z nich podnosi rękę i mówi: „Panie Beldo, zabrał nam pan kilka cennych godzin, przedstawiając calcę na temat przestrzeni Hemna... Byłby pan łaskaw streścić to w dwóch słowach?”. Na co ja odpowiadam: „Proszę bardzo: w naszym kosmosie obowiązują prawa natury”. Wtedy usłyszę...

- „To wiedzieliśmy i bez ciebie, durniu. Jesteś zwolniony!”.

- Otóż to! Będę musiał uciekać i wstąpić do matemu, najlepiej tego samego, w którym jest Karvall.

- Pytasz o to...

- Jakie praktyczne korzyści daje nam przyjęcie modelu przestrzeni Hemna? Powiedziałeś już, że łatwiej się w niej uprawia teorię, ale gryzipiórków teoria nie interesuje.

- Zacznijmy od tego, że nie jest prawdą, jakoby w każdej chwili istniał tylko jeden następny punkt trajektorii zgodny z prawami natury.

- Oho, wyczuwam mechanikę kwantową.

- I słusznie. Cząstka elementarna może się rozpaść, co jest zgodne z prawami natury, ale równie dobrze może przetrwać, i to również jest zgodne z prawami natury. Tym niemniej jej rozpad i brak rozpadu prowadzą nas do dwóch różnych punktów w przestrzeni Hemna...

- Trajektorja się rozwidła.

- Trajektorie nieustannie się rozwidlają, zawsze, kiedy dochodzi do redukcji stanów kwantowych. A to się zdarza bardzo często.

- Ale cokolwiek by się działo, trajektorja naszego świata zawsze jest posłuszna prawom natury.

- Obawiam się, że tak.

- No to wróćmy do mojego pytania.

- Co nam daje przestrzeń Hemna? Na przykład ułatwia myślenie o mechanice kwantowej.

- Gryzpiórki nie myślą o mechanice kwantowej!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czułem się jak zwykły zagubiony deklarant.

- Może w ogóle nie powinienem wspominać o przestrzeni Hemna?

- Zapytajmy Jesry'ego - zaproponowałem. - Dobrze się prezentuje.

Dotarliśmy bowiem do klauzury edharczyków i wypatrzyłem Jesry'ego, który rysował coś patykiem na zwirowej ścieżce ku ucieście dwojga przyglądających mu się deklarantów. W świetle księżycy wszyscy troje wyglądali jak naszkicowani w popiele zalegającym w kominku, a jednak wcale nie byli do siebie podobni. Przy suur i fraa z jakichś kosmopolitycznych zakonów, w których preferowano eleganckie, wyrafinowane zawoje, Jesry przypominał młodego proroka z jakiejś prastarej księgi. Ja sam czułem się rano jak ostatni prostak, kiedy podczas przygarnięcia patrzyłem na stroje innych deklarantów - ale to był problem ze mną; gdyby tak samo ubrać Jesry'ego, wszystkim wydałby się twardy, srogі, surowy i, co tu dużo mówić, po prostu męski. Patrząc na niego, zrozumiałem, dlaczego fraa Lodoghir z takim

upodobaniem usiłował mnie splantować. Edharczycy imponowali innym, a Orolo uczynił z nas gwiazdy. Dla Lodoghira plenum było okazją, żeby odegrać się chociaż na jednym z nas.

- Jesry! - zawołałem.

- Cześć, Ras. Nie zaliczam się do ludzi, którzy uważają, że na plenum wypadłeś beznadziejnie.

- Dzięki. Podaj mi przykład jednej korzyści płynącej z używania przestrzeni konfiguracyjnej, której nie da się uzyskać w inny sposób.

- Czas - odparł.

- No tak. Czas.

- A mnie się wydawało, że czas nie istnieje! - burknął sarkastycznie Emman.

Jesry przyglądał mu się przez długą chwilę, zanim znów zwrócił się do mnie:

- Twój przyjaciel rozmawiał z fraa Jaadem?

- To bardzo miło, że przestrzeń Hemna pozwala nam odmierzać czas, ale Emman zaraz powie, że gryzipiórki, z którymi musi rozmawiać, już bez niej wierzą w istnienie czasu...

- Biedni, nieświadomi głupcy! - wykrzyknął Jesry, czym zasłużył sobie na parsknięcie śmiechem ze strony Emmana i podejrzliwe spojrzenia dwojga deklarantów.

- Po co takim ludziom przestrzeń Hemna? - Nie ustępowałem.

- Po nic. Przynajmniej do czasu, aż do ich miasta przybędą obcy z czterech różnych kosmosów jednocześnie. Napijecie się czegoś?

Kolejną drażniącą cechą Jesry'ego było to, że najlepiej pracował, kiedy się napił. Jako posługacze mieliśmy okazję poprobować w kuchni piwa i wina, które jeszcze nie wywietrzały mi dobrze mi z głowy, poprosiłem więc o wodę. Wylądowaliśmy w największej kredowni miejscowej kapituły edharskiej - to znaczy, przypuszczalnie największej. Rozpoznałem na tablicach znajome wyliczenia.

- Zagonili cię do kosmografii? - zdziwiłem się.

Jesry spojrział na tę samą tablicę co ja. Jedna kolumna widniejącej na niej tabeli zawierała długość geograficzną, druga szerokość, a kiedy w tej drugiej dostrzegłem wpisane pięćdziesiąt jeden stopni z groszami, zorientowałem się, że mam przed sobą współrzędne Saunta Edhara.

- To dzisiejsze laboratorium - odparł. - Musieliśmy sprawdzić obliczenia itów z poprzedniej nocy. Wszystkie teleskopy na świecie, włącznie z naszym M&M, jak widzisz, będą dziś wycelowane w statek Geometrów.

- Już są?

- Nie, będą za pół godziny. Coś się wydarzy - obwieścił Jesry swoim tętniącym pewnością siebie barytonem. Zauważyłem, że Emman skrzywił się i cofnął. - Coś, co pozwoli nam zobaczyć statek z innego punktu widzenia niż od dupy strony, gdzie zasłania się płytą napędową. Godzinami się na nią gapilem.

- Skąd o tym wiesz? - zapytałem. Rzucające się w oczy podenerwowanie Emmana zaczynało mnie niepokoić.

- Nie wiem - powiedział Jesry. - Tylko się domyślałem.

Emman ruchem głowy wskazał drzwi. We trzech wyszliśmy do klauzury.

- Powiem wam - zapowiedział, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu całej dysputy. - Za pół godziny sekret i tak się wyda. Ten pomysł narodził się na pewnym bardzo ważnym messalu po Nawiedzeniu Oritheny.

- Byłeś na nim? - spytałem.

- Nie, ale to z jego powodu zostałem tu ściągnięty. Mamy starego ptaszka szpiegowskiego na orbicie geosynchronicznej, ze sporym zapasem paliwa, więc możemy go do woli przesuwac w jedną albo w drugą stronę. Geometry chyba go nie namierzili, a my się z nim nie komunikowaliśmy, więc nie przyszło im do głowy go zagłuszać. Dzisiaj wąską wiązką kierunkową wydaliśmy mu serię rozkazów: odpalił silniki, zmienił orbitę i wszedł na kurs kolizyjny z dwudziestościanem. Spotkają się za pół godziny.

Stopą naszkicował w żwirze statek Geometrów: toporny wielokąt w roli dwudziestościanu i odcisk pięty na jednej z

krawędzi, w miejscu, gdzie znajdowała się płyta napędowa.

- Cały czas jest zwrócony do Arbrea tą stroną - pożalił się, wskazując palcem u nogi płytę. - Przez co nie widzimy reszty... - Obrysował stopą dziobową część statku. - A tam trzymają najfajniejszy sprzęt. To z pewnością celowe posunięcie: tamta połowa statku jest dla nas niewidoczna jak ciemna strona księżyca, więc możemy polegać tylko na fototypie saunta Orola. - Stanął z boku rysunku i nakreślił zamaszysty łuk, mierzący w okolice dziobu statku. - Nasz ptaszek nadlatuje z tej strony. I jest piekielnie radioaktywny.

- Ptaszek?

- Tak. Ma reaktor radiotermiczny. Kiedy Geometry go zauważą, będą musieli wykonać manewr...

- ...który pozwoli im się odgrodzić od intruza płytą napędową - dokończył Jesry. - Ona jest ich tarczą.

- Czyli będą musieli obrócić statek - przetłumaczyłem. - I wydać cały „najfajniejszy sprzęt” na pastwę naziemnych teleskopów.

- Które to teleskopy będą zwarte i gotowe.

- Myślicie, że to w ogóle wykonalne: obrócić taką masę w jakimś rozsądnym czasie? - zapytałem. - Zastanawiam się, jak duże musieliby mieć silniki...

Emman wzruszył ramionami.

- To dobre pytanie. Sama obserwacja manewru dużo nam powie. Jutro będziemy mieli masę obrazów do oglądania.

- Chyba że się wkurzą i zrzucą nam tu bombkę - zauważył Jesry, zanim zdążyłem wymyślić jakieś łagodniejsze sformułowanie tej myśli.

- To również było przedmiotem dyskusji - przyznał Emman.

- No, ja myślę! - mruknąłem.

- Gryzpiórki śpią dziś w jaskiniach i bunkrach.

- To pocieszające - powiedział Jesry.

Emman nie zauważył sarkazmu.

- A matemy z doświadczenia wiedzą, jak sobie radzić w

świecie po katastrofie nuklearnej - dodał.

Obaj z Jesrym spojrzeliśmy w stronę Urwiska: zastanawialiśmy się, jak szybko możemy się dostać do wydrążonych w nim tuneli i jak głęboko zdążymy się w nich schować.

- Taki rozwój wypadków został jednak uznany za mało prawdopodobny - uspokoił nas Emman. - To, co zrobili na Ecbie, należy traktować jak poważną prowokację; można by wręcz powiedzieć: jako wypowiedzenie wojny. Musimy zareagować z całą stanowczością. Niech Geometry wiedzą, że nie będziemy się biernie przyglądać, jak zrzucają na nas kolejne sztaby.

- Czy ptaszek naprawdę ma się zderzyć z dwudziestościanem? - zapytałem.

- Nie, jeśli nie są na tyle głupi, żeby wejść mu w drogę. Ale przeleci dostatecznie blisko, żeby zmusić do reakcji.

- Masz ci los! - odezwał się Jesry, kiedy przetrawiliśmy wszystkie informacje, co zajęło nam dobrą minutę. - To by było tyle, jeśli chodzi o pracę dyskusyjną.

- Na to wygląda - zgodziłem się. - Chyba jednak napiję się tego wina.

Wzięliśmy butelkę i wyszliśmy na trawnik oddzielający klauzurę edharską od jedenastej krakerskiej. Wiedzieliśmy, w który rejon nieba patrzeć, wyciągnęliśmy się więc na wznak na trawie i czekaliśmy na koniec świata.

Zatęskniłem za Alą. Dawno o niej nie myślałem, ale to właśnie przy niej chciałbym się znaleźć, kiedy z nieba spadnie atomowy deszcz.

W przewidzianym momencie dostrzegliśmy mikroskopijny błysk światła w samym środku gwiazdozbioru, na tle którego miał się znajdować dwudziestościan - jakby między statkiem Geometrów i naszym „ptaszkiem” przeskoczyła iskra.

- Rozwalili go - stwierdził Emman.

- Bronią energetyczną - dodał Jesry takim tonem, jakby wiedział, o czym mówi.

- Dokładniej: laserem gamma - zabrzmiał obcy głos.

Usiedliśmy i zobaczyliśmy zmierzającą ku nam krępą postać opatuloną staromodnie udrapowanym zawojem. Ze zmęczenia powłóczyła nogami.

- Ostogłowy! - zawołałem. - Jak się masz?!

- Może czekając na zmasowane uderzenie odwetowe, pójdziemy na spacer?

- Chętnie.

- Ja nie - powiedział Jesry. - Idę spać. - Chyba kłamał. - Nie dla mnie dziś dyskutuj.

Z całą pewnością kłamał.

- To ja też pójdę się położyć - oznajmił Emman Beldo. Umiał wyczuć, kiedy się go splawia. - Jutro czeka nas mnóstwo pracy.

- Jeśli dożyjemy - pożegnał go Jesry.

- Muszę się skontaktować z Alą - powiedziałem Lio po półgodzinnej przechadzce w milczeniu. - Szukałem jej po południu na peryklinie, ale...

- Nie przyszła - wszedł mi w słowo. - Przygotowywała się do tego.

- Masz na myśli wycelowanie teleskopów czy...

- Raczej... militarny aspekt operacji.

- Jak ona się wplątała w coś takiego?!

- Jest dobra. Ktoś ją zauważył. A jak wojsko czegoś chce, to dostaje.

- A skąd ty o tym wiesz? Też masz coś wspólnego z aspektem militarnym?

Lio nie odpowiedział. Znowu kilka minut upłynęło w ciszy.

- Parę dni temu przenieśli mnie do nowego laboratorium - powiedział w końcu. Widziałem, że długo się zbierał, żeby zrzucić to brzemię.

- Tak? Co tam robisz?

- Wygrzebali skądś starą dokumentację. Taką naprawdę starą. Przeglądamy ją, próbujemy odcyfrować, sprawdzamy stare słowa, które wyszły z użycia.

- Co to za dokumentacja?

- Rysunki techniczne, specyfikacje, instrukcje... gryzmoły na kopertach.

- Co przedstawiają?

- Oni nie chcą nam powiedzieć, nikomu nie pozwalają ogarnąć całości, ale jak tak pogadałem z innymi, potem na spotkaniu dyskusy porównaliśmy notatki, uwzględniliśmy datowanie dokumentów... Pochodzą tuż sprzed Straszliwych Wypadków. No i właściwie jesteśmy pewni, że oglądamy oryginalne plany megazabójcy.

Parsknąłem śmiechem - tak zwyczajnie, z przyzwyczajenia. O megazabójcach wspominało się wyłącznie takim samym tonem, jakim czasem mówi się o Bogu albo piekle. Tymczasem zachowanie Lio sugerowało, że nie żartuje i mówi jak najbardziej dosłownie. Zapadła długa cisza. Potrzebowałem czasu, żeby przyswoić sobie nowe fakty.

- Ale to przecież sprzeczne ze wszystkimi fundamentami naszego świata! - powiedziałem w końcu, żeby mu wytknąć, że jednak się myli. Oczywiście miałem na myśli świat po Rekonstrukcji. - Jeżeli są skłonni się do tego posunąć, to nic już nie jest rzeczywiste.

- Wielu ludzi by się z tobą zgodziło, dlatego właśnie... - Lio odetchnął. - Dlatego chcę cię prosić, żebyś dołączył do mojej dyskusy.

- Jaki jest jej cel?

- Niektórzy chcą przejść na stronę Antarktyczników.

- Przejść na stronę... Chcecie połączyć siły z Geometrami?!

- Z Antarktycznikami - poprawił mnie Lio z naciskiem. -

Ustalono, że zabita kobieta w kapsule była Antarktyjką.

- Na podstawie próbek krwi?

Lio skinął głową.

- Pociski w jej ciele pochodziły z kosmosu Pangei - dodał.
- Dlatego pojawiły się domysły, że Antarktyczycy są po naszej stronie...

- I w konflikcie z Pangeańczykami.

- Chcecie zawrzeć sojusz? Deklarantów z Antarktyczykami?

- Otóż to.

- Nieźle... Jak sobie to wyobrażacie? Jak chcecie się z nimi porozumieć, żeby państwo sekularne się o tym nie dowiedziało?

- To proste. Właściwie już załatwione - odparł Lio, ale wiedział, że taka odpowiedź mnie nie zadowoli. - W dużych teleskopach są lasery naprowadzające. Możemy je wycelować w dwudziestościan. Geometry zobaczą światło, a nikt nie będzie mógł go przechwycić. Chyba że stanie na drodze promienia.

Przypomniała mi się nasza rozmowa sprzed kilku miesięcy, kiedy zastanawialiśmy się, czy pomysł, że znajdujemy się pod stałą obserwacją itów, to tylko legenda, czy jednak jest w niej ziarno prawdy. Rozejrzałem się, tak jakbym się spodziewał, że ukryte mikrofony nagle postanowiły się nam ujawnić.

- Czy itowie...

- Niektórzy wiedzą.

- Jaki dokładnie układ chcecie zawrzeć z Antarktyczykami?

- Spory na ten temat zabierają nam dużo czasu. Za dużo. Jest paru czubków, którym się wydaje, że po prostu polecimy sobie do dwudziestościanu, zamieszkamy wśród obcych i będzie tak, jakbyśmy doświadczyli wniebowstąpienia, ale większość jest rozsądna. Nawiążemy niezależną łączność z Geometrami i... zacniemy negocjować na własną rękę.

- To stoi w całkowitej sprzeczności z ideą Rekonstrukcji!

- A czy Rekonstrukcja wspomina coś o obcych? Albo o wielu różnych kosmosach?

Zamknąłem się. Wiedziałem, kiedy mnie plantują.

- Zresztą... - zaczął Lio.

- Zresztą Rekonstrukcja i tak traci sens, skoro postanowili

odkurzyć megazabójców.

- Coraz częściej mówi się o świecie „postmatemowym”. O Drugim Odrodzeniu.

- Kto jest dopuszczony do sprawy?

- Sporo posługaczy. Paru donów.

- Jakie zakony? Które matemy?

- No... Deklaranci z Doliny Dzwoneczków uważają użycie megazabójców za niehonorowe... jeśli coś ci to pomoże.

- Gdzie się spotykacie? Taka dyskuta musi być spora...

- Jest ich kilka. Jak komórki w sieci. Porozumiewamy się.

- A ty, Lio? Czym dokładnie się zajmujesz?

- Stoję pod ścianą, pozuję na twardziela i nasłuchuję.

- Czego?

- Są wśród nas wariaci... Rozumiesz, nie takie zupełne świry, tylko tacy, którzy myślą za bardzo racjonalnie. Wiesz, o co mi chodzi? Nie mają pojęcia o taktyce, lekceważą względy ostrożności...

- I co mówią?

- Że już czas, żeby mądrzy ludzie znowu zaczęli rządzić światem. Że trzeba odebrać władzę takim osobnikom jak Niebiański Strażnik.

- Takie gadanie to prosta droga do Czwartej Łupieży!

- Niektórzy idą jeszcze dalej. Mówią: „Chcecie wojny? Śmiało. Geometry nas obronią”.

- To doprawdy wstrząsająca lekkomyślność.

- Dlatego ich słucham, a potem donoszę o wszystkim mojej dyskucie, która w porównaniu z tamtą wydaje się całkiem rozsądna.

- Po co Geometry mieliby interweniować, żeby powstrzymać Łupież?

- Przykro mi to mówić, ale ci, którzy w to wierzą, to najczęściej zatwardziali zwolennicy HŚT. Odkąd na fototypie Orola zobaczyli dowód Twierdzenia Adrakhonesa, zakładają, że Geometry są naszymi braćmi. Fakt, że na miejsce pierwszego lądowania wybrali Orithenę, jakby to dodatkowo potwierdzał.

- Lio? Mam pytanie...

- Mów.

- Nie udało mi się skontaktować z Alą. Jesry twierdzi, że Ala unika nas obu, bo próbuje zrobić porządek z nawiązanymi romansami, ale to do niej niepodobne. Czy ona coś wie o istnieniu waszej grupy?

- Zapoczątkowała ją.

Sfenicy: Frakcja teorów popularna w antycznym Ethras, którego zamożni mieszkańcy wynajmowali ich w charakterze guwernerów dla swoich dzieci. W wielu klasycznych dialogach przedstawiani jako oponenci Thelenesa, Protasa i innych przedstawicieli ich szkoły. Ich główny protagonista, Uraloabus, został podczas dialogu tak ostro splantowany przez Thelenesa, że na miejscu popełnił samobójstwo. Sfenicy nie zgadzali się z tezami Protasa i - w pewnym uproszczeniu - twierdzili, że cała teoryka odbywa się w ludzkiej głowie i nie ma żadnego związku z rzeczywistością zewnętrzną, taką jak protyjskie czyste formy. Spadkobiercami sfeników są saunt Proc, proceńczycy i referaty syntaktyczne.-
SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Paphlagon wymiół talerz do czysta. Lodoghir nawet nie wziął widelca do ręki, ale głód zwyciężył w końcu tam, gdzie nie nie wskórały znaczące chrząknięcia, spojrzenia, poirytowane westchnienia oraz masowy exodus posługaczy: Lodoghir umilkł, sięgnął po szklanke i przepłukał rozpalone struny głosowe.

Paphlagon był dziwnie, wręcz podejrzanie spokojny. Nawet można by rzec, pogodny.

- Gdyby ktoś przejrzał zapis tej rozmowy, znalazłby w niej długi, szczegółowy, wręcz niesamowity katalog wszystkich sztuczek retorycznych z repertuaru sfeników - zauważył. - Usłyszeliśmy odwołania do sposobu myślenia tłumu: „Nikt już nie wierzy w HST” i „Wszyscy uważają protyzm za wariactwo”; nie

zabrakło powoływania się na autorytety: „W dwudziestym dziewiątym stuleciu rozprawił się z tym sam saunt taki-a-taki”; były próby wygrywania naszych prywatnych wątpliwości: „Jak ktoś przy zdrowych zmysłach może taką koncepcję traktować poważnie?”. Przewinęło się również wiele innych technik, nazwy których zapomniałem, ponieważ od dawna już nie zajmuję się sfeniką. Muszę więc zacząć od wyrażenia podziwu dla retorycznej maestrii mojego przedmówcy, która nam wszystkim pozwoliła rozkoszować się wyśmienitym posiłkiem, a naszym gardłom dała chwilę wytchnienia. Nie mogę jednak nie zauważyć, że fraa Lodoghir nadal nie podał ani jednego argumentu (w pełni zasługującego na takie miano), który zaprzeczałby istnieniu Hylaejskiego Świata Teorycznego, zaludnionego przez byty matematyczne nazywane przez nas cnoönami, z natury nieprzestrzenne i nie-czasowe, oraz w jakiś sposób dostępne dla naszych umysłów.

- Bo to niemożliwe! - wykrzyknął fraa Lodoghir. Jego szczęki poruszały się z niewiarygodną prędkością, przeżuwiąjąc kęs jedzenia. - Wy, protyjczycy, niezawodnie usiłujecie kierować każdą dyskusją w taki sposób, aby uodpornić ją na działanie racjonalnych argumentów. Nie mogę udowodnić, że nie macie racji, tak jak nie jestem w stanie udowodnić, że Bóg nie istnieje!

Paphlagon również miał pewne talenty, których z upodobaniem używał w toczonych przez siebie sporach: teraz na przykład puścił słowa Lodoghira mimo uszu.

- Podczas plenum, jakie odbyło się przed dwoma tygodniami, razem z innymi proceńczykami przedstawiłeś pogląd, zgodny z którym ilustracja Twierdzenia Adrakhonesa na burcie statku Geometrów jest wynikiem fałszerstwa dokonanego na fototypie saunta Orola przez niego samego lub innego deklaranta z Edhara. Czy wycofujesz to oskarżenie?

Obejrzał się przez ramię na zawieszony za jego plecami fototyp wykonany ze zdumiewająco wysoką rozdzielczością, zarejestrowany ubiegłej nocy przez największy teleskop optyczny na Arbre. Przedstawiał dwudziestościan Geometrów. Rysunek był

widoczny jak na dłoni. Cały messalan został wytapetowany reprodukcjami takich fototypów. Dalsze ich kopie zaścielały stół.

- Nie ma nic złego w przedstawianiu podczas dyskusji różnych hipotez - bronił się Lodoghir. - Ta akurat okazała się błędna.

- Chyba powiedział: „Tak, wycofuję oskarżenie” - przetłumaczyła w kuchni Tris.

Oficjalnie przyszedłem do kuchni po to, żeby wrócić do swoich obowiązków, ale prawda była taka, że chciałem przekopać się przez jeszcze jedną górę fototypów. Cały konwoks brodził w nich od rana, ale na razie nikt nie miał dość.

- Tak się cieszę, że nasz gambit się powiódł - powiedział Emman, wpatrując się w ziarniste powiększenie amortyzatora statku.

- Że nas nie zesztabowali? - spytał całkiem poważnie Barb.

- Nie, że udało się nam zarejestrować obrazy. I to dzięki temu, że byliśmy sprytni.

- Cieszysz się ze względów... politycznych, tak? - upewniła się Karvall.

- Ależ tak! - wykrzyknął Emman. - Tak! Konwoks sporo kosztuje, więc Najwyżsi są zadowoleni, gdy przynosi jakieś konkretne korzyści.

- Skąd te koszty? - zdziwiła się Tris. - Przecież jemy to, co sami wyhodujemy.

Emman w końcu oderwał wzrok od fototypów. Spojrzał na Tris, jakby się spodziewał, że żartuje. Z głośnika płynął głos Paphlagona:

- Twierdzenie Adrakhonesa obowiązuje tutaj, u nas. Wygląda na to, że podobnie sprawy się mają w czterech kosmosach, z których pochodzą Geometry. Czy gdyby ich statek zawitał do jeszcze innego kosmosu, takiego jak nasz, ale pozbawionego istot rozumnych, tam też byłoby prawdziwe?

Lodoghir odparł:

- Nie, dopóki Geometry nie przybyliby tam i nie stwierdzili jego prawdziwości.

Zareagowałem, zanim Emman zdążył palnąć coś, za co później musiałyby przeproszać:

- Samo śledzenie prac konwoksu przez takich ludzi jak Emman i Ignetha Foral z pewnością nie jest tanie.

- To prawda - przytaknął Emman. - Poza tym konwoks wymaga ogromnych nakładów pracy matematycznej: tysiące deklaratantów mozolą się dniem i nocą. A sekularowie nie lubią, kiedy czyjś wysiłek się marnuje; zwłaszcza sekularni menadżerowie.

„Menadżerowie” byli słowem fluksyjskim. Kiedy na twarzach w kuchni odmalował się brak zrozumienia, musiałem przetłumaczyć:

- Gryziopiórkom się wydaje, że skoro są w stanie prowadzić stoisko z cheeseburgami, będą też umieli pokierować konwoksem. Tłum ludzi, którzy marnują czas i nie potrafią przedstawić żadnych wyników, budzi ich niepokój.

- Rozumiem... - powiedziała bez przekonania Tris.

- Zabawne! - mruknęła Karvall i wróciła do pracy.

Emman wznosił oczy ku niebu.

- Przyznaję, że nie jestem teorem - mówiła tymczasem w messalanie Ignetha Foral. - I muszę wam powiedzieć, że im dłużej was słucham, tym mniej rozumiem twoje stanowisko, fraa Lodoghirze. Trzy jest liczbą pierwszą: jest nią dzisiaj, było nią wczoraj, było nią przed miliardem lat, kiedy jeszcze nie istniał mózg, który mógłby o niej pomyśleć, i będzie nią jutro, nawet jeśli wcześniej wszystkie mózgi zostaną unicestwione. „Pierwszość” liczby nie ma nic wspólnego z naszymi umysłami.

- Przeciwnie - upierał się Lodoghir. - To my w naszych umysłach definiujemy liczby pierwsze.

- Każdy teor zajmujący się tymi zagadnieniami prędzej czy później dochodzi do konkluzji, że cnoony istnieją niezależnie od tego, co akurat dzieje się lub nie dzieje w głowach ludzi - odezwał się Paphlagon. - Wynika to z zastosowania Bezmianu. Jak najprościej wytłumaczyć fakt, że teorowie pracujący niezależnie od siebie w różnych epokach, specjalizujący się w różnych

dyscyplinach, pochodzący z różnych kosmosów, raz za razem uzyskują te same wyniki? Wyniki, które nie przeczą sobie nawzajem, mimo że zostały osiągnięte na drodze różnych rozumowań; wyniki, które można częstokroć rozwinąć w teorie doskonale opisujące zachowanie fizycznego wszechświata? Najprostsza odpowiedź brzmi: cnoöny istnieją naprawdę i nie pochodzą z naszej dziedziny przyczynowej.

Arsibalt został wezwany dzwoniem do messalanu. Postanowiłem pójść za nim. Na początek zdjęliśmy ze ściany za plecami Paphlagona olbrzymi fototyp dwudziestościanu, potem Tris i Karvall pomogły nam ściągnąć okrywający ścianę materiał i odsłonić mur z ciemnoszarego łupku. Pojawił się także kubełek z kredą. Dialog przerodził się w wykład różnic między protyzmem prostym i złożonym, poproszono więc Arsibalta, żeby narysował na łupku takie same diagramy, jakie kilka tygodni wcześniej fraa Criscan szkicował w piasku na drodze na szczyt Kopca Bly'a, tłumacząc to samo zagadnienie mnie i Lio: Pociąg Towarowy, Pluton Egzekucyjny, Knot i tak dalej. Krążyłem między messalanem i kuchnią. Dla Ignethy Foral wyjaśnienia te nie były niczym nowym, ale dla niektórych innych współbiedników - jak najbardziej. Zwłaszcza Zh'vaern chętnie zadawał pytania. Pierwszy raz Emman rozumiał mniej niż jego dona, więc w trakcie przygotowania przybrania deseru starałem się go obserwować i podsuwać mu użyteczne tropy, gdy zauważyłem, że gubi się w wywodzie.

Kiedy wróciłem pozbierać talerze, Paphlagon wykladał ideę Knota:

- ...uogólniony skierowany graf acykliczny, który nie rozróżnia tak zwanych światów teoretycznych od światów zamieszkałych, czyli Arbre, Quatora i całej reszty. Pierwszy raz mamy do czynienia ze strzałkami odchodzącymi od arbryjskiej dziedziny przyczynowej i prowadzącymi do innych zamieszkałych światów.

Lodoghir nie wierzył własnym uszom.

- Sugerujesz, że Arbre może być Hylaejskim Światem

Teorycznym dla jakiegoś innego świata, w którym żyją ludzie? - zapytał.

- Dla dowolnej liczby takich światów. Które z kolei same mogą być HST dla kolejnych.

- Jak mielibyśmy zweryfikować prawdziwość takiej hipotezy?

- To niemożliwe - odezwał się Jaad, pierwszy raz tego wieczoru. - Dopóki te światy same do nas nie przyjdą.

Lodoghir wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem.

- Przyjmij wyrazy uznania, fraa Jaadzie! Jakże mizernie prezentowałyby się ten messal bez twoich puent! Nie zgadzam się z ani jednym twoim słowem, ale posiłki w twoim towarzystwie to prawdziwa rozkosz. Są takie nieprzewidywalne!

Pierwszą część jego wypowiedzi usłyszałem osobiście, drugą - przez głośnik w kuchni, pod który pospieszyłem z naręczem talerzy. Emman stał przy blacie, na którym rozłożyliśmy fototypy, i wystukiwał kciukiem coś na klawiaturze piszczałki. Na mnie nie zwrócił uwagi, kiedy jednak odezwała się Ignetha Foral, podniósł głowę i zapatrzył się w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni.

- Materiał interesujący, wyjaśnienie rzetelne, ale ja trochę się pogubiłam. Wczoraj usłyszeliśmy jedną wersję historii wielu światów, związaną z przestrzenią Hemna i trajektoriami.

- Którą potem przez cały dzień musiałem tłumaczyć w sali pełnej biurokratów - poskarżył się Emman i demonstracyjnie ziewnął. - A teraz to!

- Dzisiaj zaś przedstawia się nam zupełnie inny wariant, niemający z tym wczorajszym nic wspólnego - ciągnęła Ignetha Foral. - Zastanawiam się, czy jutro i pojutrze czekają nas kolejne mutacje.

Te słowa wywołały niezbyt interesującą wymianę zdań w messalanie. Posługacze doskoczyli i sprzątnęli. Arsibałt przydreptał do kuchni i przyssał się do antałki.

- Muszę się wzmocnić - wyjaśnił, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Do końca messalu jestem skazany na

rysowanie baniek.

- Co to są bańki? - zapytał mnie półgłosem Emman.

- Diagram ilustrujący przepływ informacji, czyli przyczyn i skutków, w czasie i przestrzeni.

- W czasie, który nie istnieje? - Stwierdzenie fraa Jaada zdążyło się przerodzić w dyżurny żarcik.

- Tak. Ale to nic nie szkodzi: przestrzeń też nie istnieje - powiedziałem.

Emman spiorunował mnie wzrokiem i doszedł do wniosku, że się z niego nabijam.

- Co słyhać u twojego przyjaciela Lio? - zagadnął, nawiązując do poprzedniego wieczoru.

Zwróciłem uwagę, że zapamiętał imię Lio, mimo że nie przedstawiłem ich sobie, a rozmawialiśmy przecież tylko przez chwilę. Na konwoksie okazji do spotkań jednak nie brakowało, możliwe więc, że spotkali się jeszcze w innych okolicznościach. I właściwie nie zaprzętałbym sobie tym głowy, gdyby nie treść mojej rozmowy z Lio. Jeszcze wczoraj czułem się przy Emmanie zupełnie swobodnie; dzisiaj się to zmieniło. Ludzie, którzy byli mi bliscy, angażowali się w ruch wywrotowy (którego Ala była główną animatorką!); Lio również próbował mnie w to wciągnąć, kiedy Emman uparł się, że będzie mi towarzyszył w dyskusji. Czyżby państwo sekularne coś zwietrzyło i posłało go na zwiady, a on postanowił użyć mnie jako wtyczki? Źle się czułem, myśląc o nim w ten sposób, ale nie miałem innego wyjścia.

Miałem za sobą nieprzespaną noc: zmiana strefy czasowej i strach przed Czwartą Łupieżą nie dały mi zasnąć. Dobrze się złożyło, że większość dnia zajęło ogromne plenum poświęcone omówieniu manewru z satelitą oraz prezentacji fototypów i szpilów. W tylnych ławkach nawy unarystów było ciemnawo i wystarczająco przestronnie, żebym - wraz z dziesiątkami zmordowanych nocnymi nasiadówkami deklarantów - mógł się wygodnie wyciągnąć i trochę odespać. Kiedy plenum dobiegło końca, ktoś potrząsnął mnie za ramię i obudził. Wstałem, przetarłem oczy, spojrzałem w głąb nawy - i zobaczyłem Alę,

pierwszy raz od czasu, kiedy na swoim woco wyszła przez drzwi w ekranie. Stała sto stóp ode mnie, otoczona wianuszkami wyższych od niej deklarantów - głównie mężczyzn, starszych niż ona, ale prowadzących z nią jakąś poważną dysputę. Byli wśród nich sekularowie w wojskowych mundurach. Doszedłem do wniosku, że nie jest to najlepszy moment, żeby podbiec do niej i się przywitać.

- Ras? Hej, Ras! - zawołał Emman. - Ile pokazuję palców?

Tris i Karvall uznały jego zachowanie za zabawne.

- Co u Lio? - powtórzył.

- Jest bardzo zajęty. Tak jak my wszyscy. Dużo ćwiczy z Dzwonecznikami.

Emman pokręcił głową.

- Dobrze, że dbają o formę. Ciekaw jestem, które dźwignie i techniki ucisku nerwów są skuteczne przeciwko Wypalaczowi Światów.

Przeniosłem wzrok na stos fototypów. Emman zdjął kilka z wierzchu i wyciągnął zbliżenie kapsuły przyczepionej do jednego z amortyzatorów. Była pękata, jajowata w kształcie, szara, pozbawiona wszelkich oznaczeń i ozdobników i opleciona kratownicą strukturalną, na której zamontowano anteny, silniki i kuliste zbiorniki paliwa. Mogła się chyba odłączyć od statku matki i poruszać o własnych siłach. Do amortyzatora została przymocowana za pomocą szczęk, przechodzących przez kratownicę i obejmujących bezpośrednio samo jajo. Fakt ten nie uszedł uwagi konwoksu. Wykonano stosowne obliczenia, żeby oszacować wielkość szczęk, które okazały się podejrzanie duże: ich rozmiary świadczyły o tym, że jajo, które przytrzymują, jest ciężkie. Bardzo ciężkie. Nie była to zwyczajna hermetyczna kapsuła. Może miała niezwykle grube ściany? Kłopot w tym, że wyliczenia nie miały sensu, dopóki braliśmy pod uwagę tylko zwyczajne metale. Jedyna hipoteza tłumacząca to niecodzienne zagęszczenie protonów i neutronów zakładała, że jajo zostało wykonane z metalu znajdującego się tak daleko w układzie okresowym, że jego jądra - w dowolnym kosmosie - musiały być

nietrwale. Musiały się rozpadać.

Nie był to więc zwyczajny czołg, lecz urządzenie termonuklearne, potężniejsze - o kilka rzędów wielkości! - od wszystkiego, co kiedykolwiek zbudowano na Arbre. Paliwa w zbiornikach wystarczyłoby na umieszczenie pojazdu na orbicie w punkcie dokładnie przeciwległym do zajmowanego przez macierzystą jednostkę. Gdyby został zdetonowany, napromieniowałby Arbre z taką mocą, że spaliłby na popiół tę jej połowę, która byłaby akurat zwrócona w jego stronę.

- Nie spodziewam się, żeby Dzwonecznicy szykowali się do abordażu i pokonania Wypalacza w walce na pięści - odparłem.
- Prawdę mówiąc, największe wrażenie robi na mnie ich znajomość taktyki i historii wojskowości.

Emman podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie zrozum mnie źle, po prostu chciałbym w razie czego mieć ich po swojej stronie.

Znów zacząłem się dopatrywać w jego słowach ukrytych znaczeń, ale wtedy zadźwięczał dzwonek. Niczym zwierzęta laboratoryjne, nauczyliśmy się już rozróżniać brzmienie dzwoneków i nie musieliśmy nawet na nie spoglądać, żeby wiedzieć, kto kogo wzywa. Arsibalt opróżnił dzbanek i wybiegł z kuchni.

Z głośnika popłynął głos Moyry:

- Uthentine i Erasmus byli tysięcznikami, toteż ich traktat został skopiowany i rozpowszechniony w świecie matematycznym dopiero po drugim konwoksie milenijnym. - Mówiła o dwójce deklarantów, którzy opracowali założenia protyzmu złożonego. - Ale i wtedy przeszedł bez echa. Sytuacja zmieniła się dopiero w dwudziestym siódmym wieku, kiedy uwagę fraa Clathranda, centenarysty (a pod koniec życia milenarysty) z Saunta Edhara, zwrócił izomorfizm strzałek przyczynowo-skutkowych i przepływu czasu.

- Izomorfizm...? - zapytał Zh'vaern.

- Tożsamość formy - odparł Paphlagon. - Czas płynie w jednym kierunku. Tak nam się przynajmniej wydaje. Wydarzenia z

przeszłości powodują wydarzenia w teraźniejszości, ale nie odwrotnie. Czas nigdy nie zawija się w pętlę. Fraa Clathrand zwrócił uwagę na bardzo ciekawy fakt, taki mianowicie, że informacje na temat cnoönów, czyli dane przepływające wzdłuż strzałek, zachowują się w taki sposób, jakby cnoöny znajdowały się w przeszłości.

Emman znów zagapił się w dal, łącząc punkty w głowie.

- Paphlagon też był setnikiem z Edhara, prawda? - zapytał.

- Tak. I właśnie tam zainteresował się tą sprawą. Pewnie natrafił na walające się gdzieś rękopisy Clathranda.

- Dwudziesty siódmy wiek... Czyli prace Clathranda zostały podane do wiadomości świata matemowego w dwa tysiące siedemsetnym roku?

Skinąłem głową.

- Zaledwie osiem dekad przed... - Emman zawiesił głos i zerknął na mnie niepewnie.

- Przed Trzecią Łupieżą.

W messalanie Lodoghir domagał się wyjaśnień i dopiero Moyrze udało się go uspokoić:

- Główne założenie protyzmu jest takie, że cnoöny zmieniają nas, zmieniają w sensie jak najbardziej dosłownym, fizycznym: pod ich wpływem nasza tkanka nerwowa zaczyna inaczej funkcjonować. Jednakże działa to tylko w jedną stronę: żadne procesy zachodzące w naszej tkance nerwowej nie sprawiają, że cztery stanie się liczbą pierwszą. Clathrand zmierzał do tego, że nasza przeszłość ma wpływ na teraźniejszość, ale cokolwiek zrobimy dzisiaj, nie zmienimy przeszłości. W ten sposób dochodzimy do całkiem trywialnego wytłumaczenia faktu, który wynika z tych diagramów i na pierwszy rzut oka może się wydawać tajemniczy: czystości i niezmienności cnoönów.

Zgodnie z przewidywaniami Arsibalta rozmowa przerodziła się w wykład o bańkach, które od dawna służyły teorom do ilustrowania przepływu wiedzy i związków przyczynowo-skutkowych.

- No dobrze - powiedział w końcu Zh'vaern. - Zgadzam się

z Teoremem Clathranda: wszystkie te SGA: Włóczęga, Knot i tak dalej mogą być izomorficzne z pewnym układem obiektów w czasoprzestrzeni, które oddziałują na siebie nawzajem za pośrednictwem informacji rozchodzącej się z prędkością światła. Ale co w praktyce wynika z Teorematu? Czy on naprawdę twierdzi, że miejsce cnoönów jest w przeszłości, a my tylko o nich pamiętamy i możemy je sobie jakoś przypominać?

- Możemy je postrzegać, nie przypominać sobie - poprawił go Paphlagon. - Kosmograf, który widzi eksplozję gwiazdy, obserwuje ją dzisiaj, chociaż wie, że w rzeczywistości nastąpiła tysiące lat wcześniej, a dane po prostu dopiero teraz dotarły do obiektywu jego teleskopu.

- W porządku. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Zaangażowanie Zh'vaerna w dialog było czymś niezwykle. Spojrzeliśmy z Emmanem po sobie: czyżby matarrhita szykował się do powiedzenia czegoś konkretnego?

- Po apercie w dwa tysiące siedemsetnym teorowie próbowali robić różne z Teoremem Clathranda - podjęła Moyra. - Stosowali rozmaite podejścia, uzależnione od preferowanej koncepcji czasu i stosunku do metateoryki. Na przykład...

- Późno już - przerwała jej Ignetha Foral. - Nie pora na wyliczanie przykładów.

Zmroziła w ten sposób cały messalan, ale kiedy wydawało się już, że wieczorna dyskusja dobiegła końca, Zh'vaern wypalił:

- Czy to ma coś wspólnego z Trzecią Łupieżą?

Cisza, jaka tym razem zapadła, trwała o wiele dłużej. Co innego, kiedy my z Emmanem szeptaliśmy o tym w kuchni, chociaż nawet wtedy czułem się z tym bardzo niezręcznie. Ale poruszając ten temat na messalu(!) z udziałem (i pod obserwacją) sekularów, Zh'vaern dalece przekroczył granice katastrofalnej bezczelności. Sugestia, że deklaranci byli w jakikolwiek sposób odpowiedzialni za Trzecią Łupieżę - to była zwyczajna nieuprzejmość, w sam raz, żeby zepsuć kolację. Ale podsuwanie takich pomysłów wysoko postawionym sekularom było lekkomyślnością graniczącą ze zdradą.

Głęboki śmiech fraa Jaada, który wreszcie zmaćcił ciszę, zabrzmiał tak basowo, że głośnik ledwie był go w stanie przenieść.

- Zh'vaern naruszył tabu! - zauważył Jaad.

- Nie rozumiem, dlaczego ten temat miałby być zakazany - odparł bez odrobiny zakłopotania Zh'vaern.

- Jak się powodziło matarrhitom podczas Trzeciej Łupieży? - zagadnął Jaad.

- Zgodnie z ówczesną ikonografią jako deolatrzy nie mieliśmy nic wspólnego z inkanterami i retorami i zostaliśmy...

- Oczyszczeni z zarzutów, które wam postawiono? - Suur Asquin w tym właśnie momencie postanowiła zarzucić uprzejmość.

- Ewakuowaliśmy się na wyspę na dalekim południu, nieopodal bieguna - ciągnął Zh'vaern. - Żywiliśmy się roślinami i owadami, polowaliśmy na ptaki... Tam narodziła się nasza kuchnia, która wielu z was wydaje się obrzydliwa. Kiedy jemy, każdy kęs przypomina nam o Trzeciej Łupieży.

Z głośnika dobiegło szuranie, pokaskiwanie i szczęk sztucców - pierwszy raz od czasu, gdy matarrhita wyturlał na stół tę wielką cuchnącą bombę. I natychmiast wszystko popsuł, odbijając Jaadowi piłeczkę:

- A wam jak poszło? Edhar był jednym z Nieskalanych, prawda?

Znowu wszyscy się spięli. Clathrand pochodził z Edhara, a Zh'vaern, który teoretyzował, że swoją pracą przysłużył się inkanterom, nagle zwracał uwagę na fakt, że matem Jaada w tajemniczy sposób opierał się Łupieży przez całe siedem dekad.

- Coś fantastycznego! - wykrzyknął Emman. - Może być jeszcze gorzej?

- Cieszę się, że mnie tam nie ma - przyznała Tris.

- Arsibalt pewnie właśnie umiera - dodałem.

Naszą uwagę zwróciło jakieś szuranie w głębi kuchni: Orhan, posługacz Zh'vaerna, stał tam przez cały czas, nie odzywając się ani słowem. Łatwo było o nim zapomnieć, kiedy nie widzieliśmy jego twarzy.

- Dopiero niedawno przybyłeś na konwoks, fraa Zh'vaernie
- powiedziała suur Asquin. - Dlatego wybaczymy ci, że nie wiedziałeś o tym, co w ostatnich tygodniach stało się powszechnie znanym faktem: w Trzech Nieskalanych znajdują się składowiska odpadów radioaktywnych. Najprawdopodobniej zapewniło im to ochronę ze strony państwa sekularnego.

Jeżeli była to dla Zh'vaerna nowina, to chyba nie uznał jej za szczególnie ważną.

- W ten sposób nigdzie nie dojdziemy - wtrąciła Ignetha Foral. - Drepczemy w miejscu. Celem konwoks, a więc także i tego messalu, jest praca; nie chodzi o to, żeby się zaprzyjaźnić czy prowadzić uprzejme pogawędki. Polityka państwa sekularnego, jak je nazywacie, wobec świata matemowego jest ustalona i nie zmieni się na skutek czyjegoś *faux pas* przy deserze. Nie wiem, czy wiecie, ale w tej chwili powszechną uwagę przykuwa Wypalacz Światów, przynajmniej tam, gdzie ja pracuję.

- O czym chciałaby pani jutro porozmawiać, pani sekretarz? - zapytała suur Asquin. Nie musiałem widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, jak bardzo ubodła ją ta riposta.

- Chcę się dowiedzieć, kim lub czym są Geometry. Skąd pochodzą. Jak się tu dostali. Jeżeli dążąc do odpowiedzi na te pytania, będziemy musieli pół nocy dyskutować o metateoryce polikosmicznej, proszę bardzo. Skupmy się jednak na sprawach najistotniejszych.

Odrodzenie: Wydarzenie historyczne oddzielające Starą Epokę Matemową od Epoki Praksis, datowane w przybliżeniu na rok -500. Otworzyły się wówczas bramy matemów i deklaranci rozproszyli się po Saeculum. W Odrodzeniu nastąpił rozkwit kultury, rozwinęła się teoryka i szybko postępowała eksploracja świata.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Pochlebiałem sobie nadzieją, że fraa Jaad zechce ze mną

porozmawiać - było nie było, to przecież właśnie on wysłał mnie z misją, której trzykrotnie omal nie przypłaciłem życiem. W przeciwieństwie do Moyry nie należał jednak do ludzi, którzy przesiadywaliby w kuchni po messalu, gawędząc z posługaczami i myjąc naczynia. Zanim pozmywaliśmy, zniknął w miejscu, w którym konwoks przechowywał wszystkich chwilowo nieużywanych tysięcy.

Był to dla mnie kolejny powód, żeby wytropić Lio. Jadąc z Edhara pod Kopiec Bly'a, fraa Jaad obdarzył nas wielkim zaufaniem (tak przynajmniej myśleliśmy), czyniąc aluzję do swojego nadnaturalnie podeszłego wieku. Jeżeli zamierzałem odszukać Jaada i uczynić następny krok w dialogu (nie wiedząc, dokąd mnie zaprowadzi), Lio powinien przy tym być.

Jedyny problem stanowił orszak, jakiego się dorobiłem, złożony z Emmana, Arsibalta i Barba. Gdybym zaprowadził ich na spotkanie spiskowców, do których należał Lio, Arsibalt zemdlałby i musielibyśmy go zanieść do celi, Barb wygadałby się przed całym konwoksem, a Emman doniósłby o wszystkim gryzipiórkom.

Zmywając podłogę, wpadłem na pomysł, żeby zaprowadzić ich na spotkanie dysputy Jesry'ego. Przy odrobinie szczęścia udałooby mi się ich tam zostawić i mieć spokój.

Szukając Jesry'ego, dowiedzieliśmy się - Emman z piszczka, my trzej z zaszyfrowanych dźwięków karylionu na Urwisku - że spotkania dyskut zostały odwołane. Nie tylko one: normalnie miały się odbywać tylko laboratoria i messale (te ostatnie zresztą tylko dlatego, że przecież musieliśmy coś jeść, żeby móc pracować), wszystkie inne wydarzenia na konwoksie zawieszono do odwołania, a wolny czas kazano nam przeznaczyć na analizowanie statku Geometrów. Sekularowie mieli specjalne systemy syntaktyczne do konstruowania i wyświetlania trójwymiarowych modeli skomplikowanych przedmiotów. Mieliliśmy teraz stworzyć taki właśnie model statku Geometrów (a przynajmniej jego zewnętrznej powłoki, bo nadal niczego więcej nie udało nam się zobaczyć), uwzględniający wszystkie szczegóły,

elementy konstrukcji, włączy, spawy i nity. Emman, który znał się na obsłudze tego systemu, został wezwany do laboratorium, gdzie współpracował z itami; jeśli dobrze rozumiałem, nie zajmował się tam samym modelowaniem, tylko po prostu nadzorował działanie systemu. Ci z nas, którzy mieli przygotowanie teoretyczne, otrzymali przydziały do nowych laboratoriów, gdzie ślęczyliśmy nad fototypami.

Część elementów przysparzała nam sporo problemów - tak jak układ napędowy dwudziestościanu, złożony z silników pomocniczych i płyty napędowej, którego nawet Jesry nie ogarniał w całości. Jemu zresztą przypadło w udziale rozgryzienie sekretów baterii laserów. Ja trafiłem do zespołu analizującego makrodynamikę całego statku. Opieraliśmy się na założeniu, że we wnętrzu dwudziestościanu jakaś jego część została wprowadzona w ruch wirowy, generując sztuczne ciężenie. Mieliśmy więc do czynienia z gigantycznym żyroskopem. Kiedy statek wykonywał jakieś manewry (tak jak w nocy, kiedy go do tego zmusiliśmy), między elementami obracającymi się i nieruchomymi pojawiały się siły żyroskopowe, przenoszone przez jakieś łożyska. Jak duże były to siły? I w ogóle w jaki sposób statek się obrócił? Nie odpalił silników raketowych, nie wypluł żadnej bomby za płytę napędową - a mimo to zwinnie i szybko obrócił się w przestrzeni. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem było założenie, że w jego wnętrzu znajdują się koła zamachowe, czyli bardzo szybko wirujące żyroskopy, mogące gromadzić i - na żądanie - uwalniać moment pędu. Wyobraźmy sobie pierścień torów kolejowych wybudowany na wewnętrznej powierzchni dwudziestościanu i pędzący po nim w kółko pociąg towarowy. Hamując, pociąg przekazywałby część swojego momentu pędu dwudziestościanowi, wprawiając go w ruch obrotowy; zwalniając hamulce i dodając gazu, mógłby wywoływać efekt przeciwny. Po ostatniej nocy stało się oczywiste, że w dwudziestościanie znajduje się pół tuzina takich układów: po dwa (obracające się w przeciwnych kierunkach) na każdej z trzech prostopadłych osi. Jak duże były? Ile energii mogły przekazywać statkowi? Co na tej podstawie

możliśmy powiedzieć o materiale, z którego zostały wykonane? A znając dokładne wyniki pomiarów ruchu obrotowego dwudziestościanu, co mogliśmy powiedzieć o rozmiarach, masie i prędkości kątowej znajdującej się we wnętrzu jego części mieszkalnej?

Arsibalta przydzielili do ekipy, starającej się ustalić - na podstawie pomiarów spektroskopowych i innych informacji - które elementy statku pochodzą z którego kosmosu. A może w całości został wykonany w jednym? Barb miał rozgryźć, czym jest sterząca z burty kratownica o trójkątnym przekroju, jaka ukazała się nam po obrocie statku. I tak dalej.

Spędziłem sześć godzin na analizowaniu problemu, do którego przydzielono mnie razem z piątką innych teorów. Nie miałem jednej wolnej chwili, żeby pomyśleć o czymkolwiek innym, dopóki ktoś z tej piątki nie zwrócił nam wszystkim uwagi, że wschodzi słońce. Dotarła też do nas informacja, że śniadanie możemy zjeść na placu przed tumem, u stóp Urwiska.

Wychodząc z laboratorium, starałem się chociaż na parę minut zapomnieć o żyroskopach i spojrzeć na cały problem z szerszej perspektywy. Przy messalu Ignetha Foral nie kryła rozdrażnienia, a zanim posiłek się skończył, konwoks przeszedł głęboką reorganizację - na modłę sekularną. Upodobniliśmy się do praksyków pracujących nad odpryskami problemu, którego całości mogliśmy nigdy nie poznać. Czy miała to być trwała zmiana? Jak wpłynie na spisek, o którym mówił Lio? Czy był to celowy zabieg strategiczny gryzipiórków, zmierzający do unicestwienia konspiracji? Słowa Lio napawały mnie niepokojem, a jeszcze bardziej obawiałem się tego, co mógłbym usłyszeć, gdybym kiedyś trafił do dysputy Ali. Dlatego z ulgą przyjąłem wiadomość o zawieszeniu dyskut; ubiegłej nocy spisek nie posunął się naprzód. Co nie przeszkadzało mi się martwić jego możliwą reakcją na zepchnięcie głębiej do podziemia.

Śniadanie podano na dworze, przy długich stołach ustawionych przez wojsko na placu. Było to wygodne rozwiązanie, chociaż trochę dziwaczne i natarczywie sekularne - i

zarazem kolejna wskazówka, że matemowi hierarchowie stracili władzę (lub zrzekli się jej) na rzecz gryzipiórków.

Odstałem swoje w kolejce, dostałem kawałek chleba, porcję masła i miodu i zobaczyłem niską kobietę sadowiącą się przy pustym stole. Podszedłem szybko i usiadłem naprzeciwko niej. Dzielił nas stół, obyło się więc bez niezręczności powitania i wątpliwości, czy powinniśmy się objąć, pocałować, czy tylko uścisnąć sobie ręce. Zdawała sobie sprawę z mojej obecności, ale długo siedziała pochylona, wpatrzona w talerz, tak jakby zbierała siły, zanim w końcu podniosła głowę i spojrzała na mnie.

- Wolne? - zapytał fraa w skomplikowanym zawoju, posyłając mi lizusowskie spojrzenie, jakie nauczyłem się kojarzyć z ludźmi, którzy chcieli się przypodobać edharczykom.

- Spadaj - odparłem.

Tak właśnie zrobił.

- Napisałem do ciebie dwa listy - powiedziałem. - Nie wiem, czy doszły.

- Ossa dał mi jeden. Otworzyłam go dopiero po tym, co się przydarzyło Orolowi.

- Dlaczego nie wcześniej? - Miałem nadzieję, że mój głos brzmi łagodnie. - Wiem o Jesrym...

Jej duże oczy zamknęły się w grymasie bólu... nie, nie bólu: irytacji. Pokręciła głową.

- To nie to. Po prostu za dużo się działo i nie chciałam się rozpraszać. - Odchyliła się na oparcie składanego krzesła. Westchnęła ciężko. - Po Nawiedzeniu Oritheny pomyślałam, że jednak powinnam go otworzyć. Chciałam złapać dystans, jak mówią statyści. Przeczytałam twój list i myślę... - Zmarszczyła brwi. - Sama już nie wiem, co myślę. Czuję się tak, jakbym przeżyła trzy różne życia: przed voco, między voco i śmiercią Orola, i po jego śmierci. Ten twój list... nie zrozum mnie źle, ja go naprawdę doceniam, ale... napisałeś go do tej Ali z pierwszego życia.

- Wszyscy mamy dziś chyba podobną historię do opowiedzenia.

Wzruszyła ramionami, pokiwała głową i zaczęła jeść.

- No to może... opowiedz mi coś o swoim obecnym życiu?

- zaproponowałem.

Spojrzała na mnie. To było nieprzyjemnie długie spojrzenie.

- Lio mówił mi, że z tobą rozmawiał.

- To prawda.

Dopiero teraz zerwała kontakt wzrokowy, popatrzyła po innych stołach, przy których powoli przybywało niewyspanych fraa i suur, i dalej, po trawnikach i wieżach Tredegarha.

- Sprowadzili mnie tutaj, żebyś pomogła się ludziom zorganizować, więc to właśnie robię.

- Tylko że nie w taki sposób, jak chcieli.

Gwałtownie pokręciła głową.

- To nie takie proste, Erasmasie. - Słyszac jej głos wypowiadający moje imię, byłem raniony do żywego. - Chyba każda organizacja zaczyna w końcu żyć własnym życiem; kierować się własną logiką. Tak sobie myślę, że gdybym wcześniej miała okazję się tym zajmować, wiedziałabym, czego się spodziewać, i uwzględniłabym to w swoich planach.

- Nie obwiniaj się tak...

- Nie obwiniam się. To ty narzucasz mi emocje jak lalce ubranka.

Wezbrała we mnie stara, znajoma fala uczuć, dziwna mieszanka irytacji i miłości, oraz pragnienie, żeby je odczuwać jeszcze silniej.

- Oni od początku wiedzieli, że konwoks jest narażony na ataki - ciągnęła Ala. - Stałby się oczywistym celem, gdyby pakt wypowiedział nam wojnę.

- Jaki pakt?

- Od PAQD: Pangea-Antarkta-Quator-Diasp. Mniej antropomorficzne niż „Geometry”.

Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć *Ale przecież oni są antropomorficzni!* Ale się powstrzymałem.

- Wiem. - Spojrzała na mnie badawczo. - Oni są

antropomorficzni. Mniejsza z tym: my nazywamy ich paktem.

- Tak się zastanawiałem... Trochę to ryzykowne zebrać wszystkie najświatlejsze umysły na obszarze jednej mili kwadratowej.

- Niby racja, ale powtarzali mi do znudzenia, że zawsze jest jakieś ryzyko. Dlatego pytanie brzmi: jakie korzyści płyną z zaakceptowania jego określonego poziomu?

Przypominało mi to organizacyjne pyerdy wygłaszane przez nadętych statystów, którym nie chciało się nawet porządnie zdefiniować terminologii. Miałem jednak wrażenie, że Ali ogromnie zależy na tym, żebym wysłuchał, zrozumiał i przytaknął. Wzięła mnie nawet za rękę, co pomogło mi zebrać myśli. Udałem, że przetrawiam jej słowa i zgadzam się z nimi.

- W tym wypadku korzyść ma być taka, że konwoks wymyśli coś użytecznego, zanim zostanie zbombardowany? - zapytałem.

Chyba zdałem egzamin, bo Ala mówiła dalej:

- Moje zadanie polega na ograniczaniu ryzyka. To pyerd, który w praktyce oznacza, że jeśli pakt wykona jakiś nieprzyjazny ruch, konwoks ma się rozpierzchnąć jak rój much na widok packi. Z tą różnicą, że zamiast rozbiegać się na wszystkie strony bez ładu i składu, mamy to zrobić w sposób systematyczny, zaplanowany; itowie nazwali to „antyrojem”. Poza tym mamy zachować łączność przez Retikulum, żeby nawet w rozproszeniu kontynuować pracę.

- Od razu się tym zajęłaś? Zaraz po powołaniu i przybyciu tutaj?

- Tak.

- Czyli od początku wiedziałaś, że odbędzie się konwoks.

Pokręciła głową.

- Wiedziałałam, że są takie plany, ale nie mogłam mieć pewności, że zostaną zrealizowane. Nie miałam też pojęcia, kto zostanie zaproszony. Dopiero kiedy plany zaczęły się krystalizować, nabierać głębi, stało się dla mnie oczywiste...

- Co stało się oczywiste?

- Pamiętasz, co fraa Corlandin opowiadał nam o Odrodzeniu?

Wzruszyłem ramionami.

- Byłaś pilniejszą uczennicą niż ja... Koniec Starej Epoki Matematycznej; otwarcie bram matematyków, często nawet nie tyle otwarcie, ile wyłamanie z zawiasów; deklaranci rozproszeni po Saeculum... No tak, zaczynam rozumieć...

- Wtedy tego nie rozumiałam, ale państwo sekularne zażądało ode mnie zaplanowania wydarzeń, które do złudzenia przypominały Odrodzenie. Zrozum, Ras, jeśli wybuchnie wojna z paktem, nie tylko w Tredegarhu dojdzie do exodusu: wszystkie matematyki otworzą się na świat, a deklaranci przemieszczają się ze statystami. Tylko że w dalszym ciągu będą się porozumiewać za pośrednictwem Retikulum, a to oznacza...

- Itów.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się, pełna zapału do wyłaniającej się z jej słów wizji.

- Każda komórka wędrownych deklarantów będzie potrzebowała co najmniej jednego ity. Nie da się dłużej utrzymać segregacji. Antyrój będzie miał swoje zadania do wykonania, i to inne od tych, jakimi na co dzień zajmują się deklaranci, mające bezpośredni wpływ na losy świata sekularnego.

- Druga Epoka Praksis.

- Właśnie! - wykrzyknęła z zachwytem Ala.

Rozumiałem jej entuzjazm, ale starałem się mu nie poddawać, bo przecież ta wizja mogła się ziścić tylko w wypadku wybuchu wojny, i to na dużą skalę. Ona również musiała zdać sobie z tego sprawę, bo zrobiła minę, którą, jak sobie wyobrażałem, wyćwiczyła na spotkaniach z wysokimi rangą dowódcami wojskowymi.

- Zaczęło się... - powiedziała. Domyśliłem się, że ma na myśli ruch, o którym opowiadał mi Lio. - Zaczęło się od spotkań z szefami komórek. Bo musisz wiedzieć, że komórki, czyli grupy, na które się rozpadniemy, jeśli powstanie antyrój, mają swoich szefów. Spotykam się z nimi, przekazuję im plany ewakuacji,

przedstawiam skład komórek...

- To znaczy...

- Tak, skład jest z góry ustalony. Wszyscy uczestnicy konwoksu mają już swój przydział.

- Ale ja nic...

- Nic o tym nie wiesz? Nikt nie wie. Tylko szefowie komórek.

- Nie chcecie ludzi niepokoić, odciągać od pracy... Na razie nie muszą o niczym wiedzieć.

- To się właśnie zmienia.

Ala rozejrzała się, jakby oczekiwała, że ta zmiana nastąpi akurat teraz, przy śniadaniu. Również powiodłem wzrokiem dookoła i zobaczyłem nowe wojskowe drumony zaparkowane przy skraju naszego tymczasowego refektarza. Żołnierze instalowali aparaturę nagłaśniającą.

- Dlatego jemy wszyscy razem - ciągnęła. - Dlatego ja w ogóle coś jem: to mój pierwszy przyzwoity posiłek od trzech dni. Nareszcie mogę się odprężyć i po prostu obserwować.

- Co się ma wydarzyć?

- Każdy dostanie paczkę i instrukcje.

- Na pewno nieprzypadkowo odbywa się to pod gołym niebem, na widoku.

- Myślisz jak Lio - powiedziała z aprobatą Ala, żując kęs chleba. Przełknęła. - To strategia odstrasząca. Pakt zobaczy, co się dzieje i, mamy nadzieję, domyśli się, że szykujemy się do rozproszenia. Jeżeli zorientują się, że potrafimy się przygotować w mgnieniu oka, będą mieli mniejszą motywację, żeby zaatakować Tredegarha.

- To brzmi sensownie. Chociaż pewnie za chwilę będę miał do ciebie masę pytań. Wróćmy jeszcze do twoich spotkań z szefami komórek...

- Wiesz, jak to jest z deklaratami: są nieufni, wszystko muszą rozebrać na czynniki pierwsze, przeanalizować w dialogu. Spotykałam się z nimi w małych grupach, po pięć, sześć osób. Tłumaczyłam im, jakie mają prerogatywy i obowiązki,

odgrywaliśmy różne scenariusze... I zawsze w każdej takiej grupie trafił mi się jeden, czasem dwóch takich, którzy chcieli posunąć się o krok dalej. Odwoływali się do historii, porównywali sytuację z Odrodzeniem i tak dalej. Tak właśnie narodził się ruch, o którym mówił ci Lio. Niektórzy z nich mieli tyle pytań, że nie zdążyłam na wszystkie odpowiedzieć. Dlatego spisałam sobie ich nazwiska i powiedziałam tak: „Zorganizuję dodatkowe spotkanie i na nim omówimy interesujące was problemy. Tylko że musimy to zrobić w formie dyskusji, bo inaczej nie będę miała czasu”. Zbiegło się to w czasie, nie wiem, szczęśliwie czy nieszczęśliwie, z Nawiedzeniem Oritheny.

System nagłośnienia ożył i przerwał nam rozmowę. Jakaś hierarchini poprosiła „następujące osoby” o podejście do ciężarówek, na których żołnierze rozpakowywali palety pełne wypchanych wojskowych plecaków. Pierwszy raz miała w ręce mikrofon, ale szybko się z nim oswoiła i wyczytywanie imion szło jej całkiem sprawnie. Wycytani wstawali z miejsc - z początku niepewnie, później coraz raźniej - i przechodzili między stołami. Rozmowy ucichły, a kiedy znów ożyły, przybrały zupełnie inny ton. Ludzie zaczęli snuć domysły.

- Siedzisz sobie na takim spotkaniu dyskusji... - wróciłem do przerwanej konwersacji - gdzieś w kredowni, w towarzystwie najbardziej dociekliwych i upartych szefów komórek...

- Oni są wspaniali!

- Wyobrażam sobie. I chcę się zagłębiać w te różne tematy. Nagle dowiadujesz się o tej nieszczęsnej Antarktyjce, która oddała życie...

- I o tym, co zrobił dla niej Orolo - dodała Ala i umilkła, zniecała owładnięta żalobą.

Patrzyliśmy, albo przynajmniej udawaliśmy, że patrzymy, jak deklaranci wracają na swoje miejsca z plecakami i zawieszonymi na szyi identyfikatorami.

- No właśnie. - Ala odchrząknęła. - Mówię ci, to była najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Spodziewałam się, że będziemy się spierać do rana i nie dojdziemy do porozumienia,

tymczasem stało się dokładnie odwrotnie. Od razu osiągnęliśmy konsensus; wszyscy po prostu wiedzieli, że musimy nawiązać kontakt z frakcją obcych, która przysłała tę kobietę. I że nawet jeśli sekularowie się na to nie zgodzą, to w antyroju...

- Nie będą nas mogli powstrzymać.

- Otóż to.

- Lio mówił o przesyłaniu sygnałów za pomocą laserów naprowadzających w dużych teleskopach...

- Tak, rozmawiamy o tym; całkiem możliwe, że ktoś nawet tego próbuje.

- Czyj to był pomysł?

Ala spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Źle mnie zrozumiałaś: uważam, że jest znakomity.

- Orola.

- Jak to? Przecież nie rozmawiałaś z nim od...

- Orola już raz to zrobił - odparła z wahaniem Ala, ciekawa mojej reakcji. - W Edharze. W zeszłym roku. Jeden z kumpli Sammanna znalazł dowody w gwiezdny kręgu.

- Dowody? Jakie dowody?

- Orola zaprogramował M&M w taki sposób, żeby laser naprowadzający wykreślił na niebie analemmę.

Przed miesiącem, nawet jeszcze przed tygodniem powiedziałbym, że to absolutnie niemożliwe. Ale od tamtej pory zmieniłem zdanie.

- Czyli Lodoghir miał rację - westchnąłem - kiedy na plenum oskarżał Orola.

- Albo miał rację, albo zmienił przeszłość.

Nie roześmiałem się.

- Powinieneś wiedzieć, że Lodoghir też należy do tej grupy - dodała Ala.

- Fraa Erasmus z Edhara - dobiegło z głośnika.

- Chyba pójde się dowiedzieć, do której komórki mnie wsadziłaś.

Pokręciła głową.

- To tak nie działa. Dowiesz się dopiero, kiedy nadejdzie

czas.

- Jak mamy się zebrać w komórki, jeżeli nie będziemy wiedzieli, do kogo dołączyć?

- Jeżeli zaistnieje taka potrzeba i polecenie zostanie wydane, twój identyfikator włączy się i powie ci, dokąd masz iść. Ludzie, których spotkasz we wskazanym miejscu, będą twoją komórką.

- Brzmi sensownie.

Wzruszyłem ramionami. Ala nagle spoważniała, nie wiedziałem jednak, co się stało. Nagle złapała mnie za rękę.

- Spójrz na mnie - powiedziała. - Spójrz na mnie!

Miała łzy w oczach. Jej twarz przybrała wyraz, jakiego nigdy u niej nie widziałem. Może ja też tak wyglądałem, kiedy wyrząłem przez otwarte drzwi aeroplanu i rozpoznałem Orola. Chciała mi w ten sposób powiedzieć coś, czego nie miała siły ująć w słowa.

- Kiedy wrócisz do stołu, mnie już przy nim nie będzie - dodała. - Jeśli nie spotkamy się przed rozproszeniem... - ciągnęła, a ja widziałem, że uważa to za pewne - musisz wiedzieć, że podjęłam straszną decyzję.

- Każdemu się zdarza. Gdybym ci opowiedział o wszystkich strasznych decyzjach, jakie ja ostatnio podejmowałem...

Zaczęła wstawać od stołu, wpatrując się we mnie w taki sposób, jakby siłą woli chciała mnie zmusić, żebym zrozumiał jej słowa.

- Możesz ją cofnąć? - zapytałem. - Naprawić?

- Nie! Moja decyzja jest straszną w takim samym sensie, jak wybór dokonany przez Orola przed bramą Oritheny.

Nie od razu dotarło do mnie, co mówi.

- Straszna... ale słuszna - wykrztusiłem.

Rozpląkała się tak gwałtownie, że musiała zamknąć oczy i odwrócić się do mnie tyłem. Puściła moją rękę i zaczęła się oddalać, zgarbiona, skulona, jakby ktoś pchnął ją nożem w plecy. Wydawała się najmniejsza na całym konwoksie. Instykt kazał mi

za nią pobiec, objąć jej kościste barki... Wiedziałem jednak, że wtedy połamałaby mi krzesło na głowie.

Podszedłem do drumonu, odebrałem plecak i identyfikator: prostokątną płytkę podobną do małej, czystej tabliczki fotomnemonicznej.

I wróciłem do pracy nad wyliczaniem tensora inercji statku Geometrów.

Przespałem większość popołudnia i obudziłem się w paskudnym humorze. Ledwie moje ciało zdążyło się przyzwyczać do zmiany czasu, wszystko popsułem, zarywając nocę.

Wcześniej niż zwykle poszedłem do Fundy Avrachona. Wieczorny jadłospis przewidywał tym razem sporo obierania i siekania, zabrałem więc deskę do krojenia i nóż na werandę i tam wziętem się do roboty - częściowo po to, by cieszyć się zachodem słońca, a częściowo w nadziei na przechwycenie zmierzającego na messal fraa Jaada. Funda Avrachona była dużym kamiennym budynkiem, mniej przypominającym twierdzę niż niektóre znane mi matematyczne budowle, z balkonami, kopułami i wykuszami, na widok których robiło mi się żal, że do niej nie należę, bo wtedy mógłbym codziennie pracować w tak uroczym i malowniczym otoczeniu. Można by pomyśleć, że jedynym celem architekta było wzbudzenie w sercach deklarantów zazdrości, która każe im spiskować i knuć w taki sposób, żeby dołączyć do fundy. Powinienem się cieszyć, że na skutek niezwykłego zbiegu okoliczności mogłem w ogóle posiedzieć na tej werandzie przez godzinę, obierając warzywa. Rozmowa z Alą uświadomiła mi, że takich okazji nie wolno marnować. Funda Avrachona stała na pagórku. Rozciągał się z niego piękny widok na falujące wśród fund i kapitularzy trawniki i spacerujących po nich deklarantów - milczących lub dyskutujących zapalczywie, przygarbionych, wyczerpanych. Nie wszyscy spacerowali: w wielu miejscach

widziało się fraa i suur leżących na trawie, opatulonych w zawoje, ze sferami pod głowami. Widok tak licznej ich rzeszy, w dodatku tak różnie poubieranych, znowu przypomniał mi o różnorodności świata matemowego, z której przed przybyciem do Tredegarha nie zdawałem sobie sprawy, i rzucił nowe światło na słowa Ali o Drugim Odrodzeniu. Pomysł wyrwania bram z zawiasów brzmiał ekscytująco, ponieważ symbolizował ogromną zmianę, ale czy zmiana ta nie oznaczałaby końca wszystkiego, co deklaranci stworzyli przez trzy tysiące siedemset lat? Czy w przyszłości ludzie będą patrzeć z nabożną czcią na puste tummy i głowić się nad tym, jak mogliśmy je porzucić?

Byłem ciekaw, kto został przydzielony do mojej komórki i jakie zadania wyznaczili nam ludzie odpowiedzialni za stworzenie antyroju. Rozsądek podpowiadał, że dokooptują mi moich obecnych współpracowników z laboratorium, z którymi będę kontynuował dotychczasową pracę; zamieszkamy w pokojach w kasynie w jakimś przypadkowo wybranym mieście, będziemy ślezczyć nad szkicami statku i żywić się sekularnym jedzeniem dostarczonym przez niepiśmiennych służących w mundurach. W grupie tej było dwóch dobrych teorów (jeden pochodził z Baritoe, drugi z koncentu nad Morzem Mórz) i paru całkiem przeciętnych. Myśl o wyruszeniu z nimi na tułaczkę nie napawała mnie szczególnym entuzjazmem.

Gdzieniedzie widziałem też deklarantów z Doliny Dzwoneczków. Serce zaczynało mi bić szybciej, kiedy myślałem o tym, jak pięknie byłoby trafić do jednej komórki z nimi. Czcza fantazja, naturalnie - w takim gronie byłbym gorzej niż bezużyteczny - ale jako sen na jawie całkiem przyjemna. Nie wiedziałem, czym taka komórka mogłaby się zajmować, ale z pewnością czymś ciekawszym niż zgadywanie tensorów inercji. I pewnie znacznie bardziej niebezpiecznym, więc może jednak powinienem się cieszyć, że nie dorastam im do pięt.

Ciekawe - kontynuując rozważania w podobnym duchu - jak wygląda komórka fraa Jaada? I nad czym ma pracować? Z perspektywy czasu coraz lepiej rozumiałem, jak wielkim

przywilejem były dla mnie dwa dni podróży w towarzystwie tysięcznika. Wyglądało na to, że jest jedynym milenarystą na konwoksie.

W gruncie rzeczy wystarczyłaby mi obecność przynajmniej jednego kompana z naszej starej ekipy odpowiedzialnej za nakręcanie zegara w Edharze - nie sądziłem jednak, żebyśmy zostali w ten sposób skojarzeni. Troska Ali w oczywisty sposób wiązała się z koniecznością dzielenia uczestników konwoksu na komórki. Nie wiedziałem, co ją gryzie, ale jej zachowanie powinno być dla mnie ostrzeżeniem, że bym nie spodziewał się wesołego spaceru w gronie przyjaciół. Szacunek (kusi mnie, żeby powiedzieć: cześć), jakim wielu uczestników konwoksu otaczało edharczyków, sprawiał, że połączenie nas kilku w jednej komórce wydawało się wielce nieprawdopodobne; prędzej zostaniemy podzieleni między jak największą liczbę komórek i w roli ich szefów skazani na samotność, która już stała się udziałem Ali.

Od strony Urwiska zbliżał się fraa Jaad. Ciekaw byłem, czy zakwaterowali go gdzieś pod szczytem, w matemie tysięczników - bo jeśli tak, to mnóstwo czasu musiało mu zabierać chodzenie w tę i z powrotem po schodach. Rozpoznał mnie z daleka i skręcił w moją stronę.

- Znalazłem Orola - powiedziałem, mimo że oczywiście już o tym wiedział.

Skinął głową.

- Nieszczęśliwie się złożyło... - powiedział. - Orolu w stosownym czasie pokonałby labirynty, trafił do skalnego gniazda i został moim fraa. Miło byłoby z nim pracować, pić jego wino, dzielić jego myśli.

- Wino robił paskudne.

- W takim razie wystarczyłoby mi dzielenie myśli.

- Dużo rozumiał - dodałem. Korciło mnie, żeby zapytać, jak to robił; może nauczył się odczytywać informacje zakodowane w pieśniach tysięczników? Bałem się jednak wygłupić. - Uważa... To znaczy, uważał, że opracowaliście jakąś nową praksis. Od razu skojarzyło mi się to z twoim podeszłym wiekiem.

- Niszczycielski wpływ promieniowania na żywy organizm sprowadza się do oddziaływania między fotonami lub neutronami i cząsteczkami składającymi się na ten organizm - odparł.

- A to są efekty kwantowe.

- Otóż to. Komórka, która właśnie przeszła mutację, oraz komórka, która jej nie przeszła, należą do dwóch Historii, które w przestrzeni Hemna dzieli tylko jedno rozwidlenie trajektorii.

- Starzenie się jest efektem błędów zapisu w sekwencjach dzielących się komórek... To również są zjawiska kwantowe.

- To prawda. Łatwo zrozumieć, w jaki sposób mogła powstać wiarygodna i wewnętrznie spójna mitologia, w której opiekunowie składowisk odpadów radioaktywnych wynaleźli praksis służącą do leczenia obrażeń radiacyjnych, a następnie rozwinęli ją w stopniu umożliwiającym powstrzymanie skutków starzenia się. I tak dalej.

Jego „i tak dalej” wydało mi się strasznie obszerne, ale wolałem się w to nie zagłębiać.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie skutki może przynieść ta mitologia, jeśli rozpowszechni się w Saeculum? - zapytałem.

Fraa Jaad wzruszył ramionami. Saeculum go nie interesowało.

Co innego konwoks.

- Są tu tacy, którym zależy na tym, żeby podnieść ją do rangi faktu - powiedział. - To by im przyniosło ulgę.

- Zh'vaern zadawał dziwne pytania - przyznałem.

Ruchem głowy wskazałem pochod matarrhitów idących po trawie w pewnej odległości od fundy. Był to z mojej strony gambit, którym zamierzałem nawiązać nić porozumienia z fraa Jaadem, zachęcając go, żeby mi przytaknął, że matarrhici są dziwni i nieznośni. On jednak zrobił unik.

- Od nich możemy się dowiedzieć więcej niż od innych uczestników konwoksu - odparł.

- Naprawdę?

- Ci w płaszczach zasługują na naszą najwyższą uwagę.

Dwóch matarrhitów odłączyło się od pochodu i wzięło kurs

na Fundę Avrachona. Patrzyłem, jak Zh'vaern i Orhan idą w naszą stronę, i zastanawiałem się, co takiego widzi w nich Jaad. Zanim jednak zdążyłem go o to zapytać, wśliznął się za próg fundy.

Przywitali się ze mną (dosyć ozięble) i również weszli do środka.

Arsibalt i Barb szli sto stóp za nimi.

- Są jakieś wyniki? - zapytałem.

- Kawałek statku zniknął! - obwieścił Barb.

- Ta konstrukcja, którą badacie...

- Tam właśnie był przymocowany brakujący element!

- Co to było, twoim zdaniem?

- Napęd międzykosmiczny, cóż by innego? Nie chcieli nam go pokazać, bo jest ściśle tajny, więc zostawili go gdzieś dalej od Arbre.

- A wy coś macie, Arsibalcie?

- Statek jest zlepkiem prefabrykatów pochodzących ze wszystkich czterech kosmosów paktu. Przypomina wykopalisko archeologiczne. Z najstarszego kawałka, z Pangei, niewiele zostało. Z Diaspu są tylko nieliczne kawałki. Większość surowca zebrano w kosmosach Antarkty i Quatora. Jesteśmy prawie pewni, że z tych dwóch Antarkta była pierwsza.

- Świetnie! - przyznałem.

- A co u ciebie, Ras? - zainteresował się Barb. - Jakie wyniki ma twoja grupa?

Zacząłem zbierać rzeczy, żeby móc wejść do środka. Arsibalt mi pomógł.

- Chlupocze - powiedziałem.

- Chlupocze?!

- Kiedy dwudziestościan okręcił się w miejscu, nie poruszał się regularnie: trochę nim zachybotąło. Doszliśmy do wniosku, że element obrotowy zawiera znaczną ilość stojącej wody: kiedy nagle wprowadzi się go w ruch, woda się przelewa. I chlupocze.

Wdałem się w dłuższy wywód o wyższych harmonicznym chlupotania. Barb stracił zainteresowanie rozmową i wszedł do

fundy.

- O czym rozmawiałeś z fraa Jaadem? - zainteresował się Arsibalt.

Nie bardzo miałem ochotę zwierzać mu się z części naszej rozmowy dotyczącej praksis, odparłem więc zgodnie z prawdą:

- O matarrhitach. Powinniśmy ich obserwować i uczyć się od nich.

- Mamy ich szpiegować? - spytał zafascynowany Arsibalt.

Pomyślałem, że z jakiegoś powodu chce szpiegować matarrhitów i chciałby mieć błogosławieństwo Jaada.

- Powiedział, że ci w płaszczach zasługują na naszą najwyższą uwagę.

- Dokładnie tak powiedział?

- Mniej więcej.

- „Ci w płaszczach” zamiast po prostu „matarrhici”?

- Tak.

- Bo to wcale nie są matarrhici! - wyszeptał podniecony Arsibalt.

- Wezmę go, pozwolisz? - W swoim zapale zabrał już moją deskę, nie pozostało mi więc nic innego, jak skonfiskować nóż.

Arsibalt się podłamał.

- Myślisz, że jestem tak poważnie zaburzony, że nie można mi powierzać ostrych przedmiotów.

- Posłuchaj, Arsibalcie: jeśli nie są matarrhitami, to kim są? Gryzipiórkami w przebraniu?

Rozejrzał się podejrzliwie, jakby zamierzał mi zdradzić wielką tajemnicę, ale nagle obok nas pojawiła się suur Tris i nic nie powiedział.

- Rozważę twoją hipotezę - obiecałem mu. - Położę ją na Bezmianie i porównam z drugą możliwością: że matarrhici są matarrhitami.

Referaty syntaktyczne: Po Rekonstrukcji - frakcje w obrębie świata matematycznego kontynuujące dzieło Proca. Swoją nazwę zawdzięczają przekonaniu, że język, teoryka itd. są w istocie rodzajem gry prowadzonej za pomocą symboli pozbawionych ładunku znaczeniowego, co stanowi rozwinięcie idei starożytnych sfeników, którzy na peryklinie często występowali przeciwko Thelenesowi i Protasowi.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- To już nasz trzeci messal - zaczął fraa Lodoghir. - Pierwszy poświęciliśmy trajektoriom światów w przestrzeni Hemna, które miały nam ułatwić zrozumienie fizycznego wszechświata. Nie miałem nic przeciwko temu, dopóki nie okazało się, że pod płaszczykiem tych idei próbuje się przemycić Hylaejski Świat Teoryczny. Drugi messal przypominał wizytę w cyrku, tyle tylko, że zamiast kunsztu kobiety-gumy, żonglerów i prestidigitatorów podziwialiśmy intelektualne salta, połykanie mieczy i dezinformację, do której muszą się uciekać zwolennicy HST, jeśli nie chcą zostać odrzuceni jako wyznawcy kultu religijnego. I to również było w porządku, należało się pozbyć tego świństwa, i muszę w tym miejscu pochwalić edharczyków, że wyłożyli, jeśli tak można powiedzieć, karty na stół. No właśnie. Czas najwyższy chyba, żebyśmy zajęli się sprawą najpilniejszą, którą, gdyby ktoś zapomniał, jest pakt, jego możliwości i zamiary.

- Po pierwsze: dlaczego są do nas podobni? - zapytała suur Asquin. - To pytanie nie daje mi spokoju.

- Dziękuję, suur Asquin! - wykrzyknąłem w kuchni. Posypywałem zapiekankę okruchami chleba. - To wprost nie do wiary, jak niewiele uwagi poświęca się temu szczegółowi.

- Bo ludzie nie wiedzą, co o tym myśleć - odparła suur Tris. - Nie wiedzą nawet, od czego zacząć.

Jakby dla potwierdzenia jej słów w głośniku wezbrała fala przekrzykujących się głosów. Otworzyłem piekarnik i wsunąłem do środka zapiekankę, ustawiając ją na środku ręcznie kutej kraty. Fraa Lodoghir opowiadał tymczasem o ewolucji równoległej i o tym, jak na Arbre podobne pod względem fizycznym, lecz zupełnie niespokrewnione gatunki ewoluowały niezależnie i

zapełniały podobne nisze na różnych kontynentach.

- Celna uwaga, fraa Lodoghirze - pochwalił go Zh'vaern. - Wydaje mi się wszakże, że tutaj podobieństwo jest zbyt bliskie, żeby dało się je wytłumaczyć ewolucją równoległą. Dlaczego Geometry mają po pięć palców, w tym przeciwstawny kciuk? Dlaczego nie siedem palców i dwa kciuki?

- Wiesz o pakcie coś, co przed nami ukryto? - zainteresował się Lodoghir. - Twoje słowa odnoszą się tylko do jednego przedstawiciela jednego gatunku, który widzieliśmy: antarktyjskiej kobiety. Geometry z pozostałych trzech ras mogą przecież mieć po siedem palców.

- Oczywiście, masz rację - zgodził się Zh'vaern. - Tyle że nawet podobieństwo samych Antarktyjczyków i Arbryjczyków jest tak duże, że ewolucja naturalna nie jest żadnym wyjaśnieniem.

Dyskusja trwała przez całe pierwsze danie. My, posługacze, krzątaaliśmy się wokół stołu, klucząc wśród rozrzuconych dookoła plecaków. Zostaliśmy poinformowani, że powinniśmy stale mieć je na oku - dzięki temu nawet gdyby rozkaz rozproszenia zbiegł się w czasie z wyłączeniem prądu albo przypadł na moment, kiedy w powietrzu kłębiłyby się tumany kurzu lub dymu, moglibyśmy znaleźć je po omacku. Ponieważ nie bardzo mogliśmy je nosić w tę i z powrotem korytarzem łączącym kuchnię z jadalnią, nagięliśmy odrobinę zasady i rozłożyliśmy plecaki pod ścianą w korytarzu. Donowie położyli swoje za krzesłami, a identyfikatory odrzucili na plecy, żeby jeść bez przeszkód.

Ignetha Foral ucięła dyskusję o palcach i kciukach znaczącym spojrzeniem na suur Asquin, która uciszyła zebranych kolejnym ze swoich mistrzowskich kaszlnięć.

- Z braku danych stwierdzenie prawdziwości hipotezy o ewolucji równoległej nie jest możliwe.

- Zgadzam się - przytaknął melancholijnie Lodoghir.

- Hipoteza alternatywna zakłada przeciek informacji poprzez Knot, jeśli dobrze rozumiem argumentację fraa Paphlagona?

Paphlagon trochę się zaniepokoił.

- Kiedy mówisz o „przecieku”, brzmi to jak awaria systemu. Tymczasem chodzi tu o całkiem zwyczajny przepływ lub, jeśli wolicie, perkolację informacji wzdłuż SGA.

- Pomówmy chwilę o tym przepływie - zaproponował Lodoghir. - Do tej pory wydawało mi się, że dzięki niemu teorowie postrzegają ponadczasowe prawdy odnoszące się do trójkątów równoramiennych. Nie powinienem być zdziwiony bujnym rozrostem waszych twierdzeń, ale czy nie jest tak, że prosisz nas o to, żebyśmy przyjęli na wiarę istnienie procesu jeszcze bardziej niewiarygodnego? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że próbujesz łączyć przepływ informacji przez Knot z ewolucją biologiczną.

Krępująca cisza.

- Wierzysz chyba w ewolucję? - upewnił się Lodoghir.

- Owszem, chociaż wydałaby się pewnie dziwna Protasowi, który miał prawdziwie pogańskie poglądy na HST i całą resztę. Nie zmienia to faktu, że każda nowoczesna odmiana proteizmu musi dać się pogodzić z uświęconymi tradycją teoriami, nie tylko kosmograficznymi, ale także ewolucyjnymi. Nie zgadzam się jednak z polemiczną częścią twojej wypowiedzi, Lodoghirze: to nie jest wcale twierdzenie większe, ale mniejsze, skromniejsze.

- Och, przepraszam. Pomyślałem po prostu, że kiedy stwierdzasz coś więcej niż dotychczas, mogę nazwać to twierdzenie większym.

- Stwierdzam tylko to, co podpowiada mi rozsądek. A to, jak sam byłeś łaskaw zauważyć podczas spotkania z fraa Erasmem na plenum, zwykle jest twierdzenie najskromniejsze, bo najmniej skomplikowane. Twierdzą mianowicie, że informacja przepływa przez Knot poniekąd analogicznie do przepływania z przeszłości do terażniejszości. Poruszając się w ten sposób, wywołuje - między innymi - mierzalne zmiany w tkance nerwowej...

- Dzięki którym dostrzegamy prawdę o naturze cnoönów - wtrąciła suur Asquin tytułem wyjaśnienia.

- Tak jest - przytaknął Paphlagon. - Skąd już blisko do HST i ulubionego przez fraa Lodoghira protyzmu teoretycznego. Tkanka nerwowa jest jednak tylko tkanką, niczym więcej; materią posłuszną prawom natury. Nie jest magiczna, nie ma żadnej duchowej natury i moja opinia na jej temat nie ma tu nic do rzeczy.

- Ach, jakże mi ulżyło! - wykrzyknął Lodoghir. - Zanim fraa Erasmus poda mi deser, zdążę cię przeciągnąć do obozu proceńskiego.

Paphlagon powstrzymał wybuch śmiechu i po chwili mówił dalej:

- Nie mógłbym wierzyć w to wszystko, co przed chwilą powiedziałem, nie postulując istnienia jakiegoś naturalnego mechanizmu, którego działanie można objaśnić na gruncie teoretycznym i który pozwala światom „bardziej hylaejskim” powodować zmiany w światach „mniej hylaejskich”, położonych „niżej” na Knocie od tych pierwszych. Na pierwszy rzut oka nie widzę powodu, by zakładać, że wszystkie takie interakcje mają coś wspólnego wyłącznie z trójkątami równoramiennymi, a jedyną materią w całym kosmosie, która się pod ich wpływem zmienia, mieści się w mózgach teorii! To by było twierdzenie nie tylko wielce ambitne, ale i cokolwiek dziwaczne.

- Cieszę się, że się w czymś zgadzamy - powiedział Lodoghir.

- O wiele oszczędniejszą hipotezą, z punktu widzenia Bezmianu Gardana, jest twierdzenie, że ten mechanizm, czymkolwiek jest, oddziałuje na wszelką materię, nie oglądając się na to, czy jest ona elementem żywego organizmu, w szczególności elementem teora. Trzeba tylko pamiętać o subiektywizmie obserwatora.

Kilkoro słuchaczy pokiwało głowami.

- Subiektywizmie obserwatora? - powtórzył Zh'vaern.

Suur zwróciła się do niego z wyjaśnieniem:

- Światło gwiazd nieustannie dociera na Arbre, nawet w południe. Gdybyśmy jednak przesypiali całą nocę, nigdy byśmy

się nie dowiedzieli o istnieniu gwiazd.

- To dobry przykład - powiedział Paphlagon. - Tak jak kosmograf ogląda gwiazdy na ciemnym niebie, tak samo my możemy obserwować Przeptyw Hylaejski tylko wówczas, gdy manifestuje się przez percepcję cnoōnów w naszych umysłach. Podobnie jak światło gwiazd w południe, jest stale obecny i stale działa, ale zauważa się go i rozpoznaje wyłącznie w kontekście czystej teorii.

- Pozwól, że coś w tym miejscu wyjaśnię, zwłaszcza że wy, edharczycy, macie taki naturalny dar do przemykania w swoich oracjach stanowczych twierdzeń - wtrącił Lodoghir. - Czy dobrze rozumiem, że utrzymujesz, jakoby Przeptyw Hylaejski był odpowiedzialny za ewolucję równoległą Arbryjczyków i Geometrów?

- Tak. To też uznasz za orację?

- Zwięźle to wyraziłeś, dziękuję. I nadal wierzysz w ewolucję?

- Jak najbardziej.

- Wobec tego twierdzisz, że Przeptyw Hylaejski ma wpływ na przetrwanie organizmów, a przynajmniej na ich zdolność do rozpowszechniania swoich sekwencji. Bo to przecież w taki właśnie sposób i my, i Antarktyjczycy uzyskaliśmy po pięć palców, dwie dziurki w nosie i całą resztę.

- Fraa Lodoghirze... Wyręczasz mnie w pracy!

- Ktoś musi. Fraa Paphlagonie, jaki scenariusz mógłby tłumaczyć ten fakt?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Od Nawiedzenia Oritheny upłynęło zaledwie dziesięć dni, dane wciąż napływają. Jesteś, Lodoghirze, świadkiem narodzin nowej generacji protyzmu.

- Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo mnie to niepokoi. Poważnie. Wolałbym już zjeść to, co je fraa Zh'vaern. Co to jest, nawiasem mówiąc?

- Nareszcie jakieś sensowne pytanie fraa Lodoghira -

skomentował Arsibalt.

Emman pociągnął za nasze sznurki: coś wykipiało. Obaj dobrze wiedzieliśmy, o czym mówi Lodoghir: stało na kuchni, a my od początku messalu obchodziliśmy je szerokim łukiem. *Duszone włosy z kostkami rozgotowanej pianki do pakowania i wiórkami egzoszkieletu.* Mniej więcej. Włosy były chyba warzywem. Najbardziej jednak niepokoił biesiadników donośny trzask tych egzoszkieletów (czy co to tam było) miażdżonych zębami Zh'vaerna. Słyszeliśmy je nawet przez głośnik.

Arsibalt rozejrzał się po kuchni, jakby chciał się upewnić, że jesteśmy w niej tylko we trzech.

- Jako członek zamkniętego ascetycznego zakonu kontemplacyjnego nie powinienem pewnie krytykować nieszczęsnych matarrhitów...

- Mówże, o co chodzi - ponaglił go Emman, bohatersko walcząc o uratowanie rozpekniętej zapiekanki.

- Skoro nalegacie... - Arsibalt owinął dłoń rąbkiem zawoju, chwycił pokrywkę garnka z gulaszem i odsłonił bulgoczącą breję, w której pławiło się stare zielsko i groźnie wyglądające skorupki. - Moim zdaniem to lekka przesada, żeby poświęcić tysiące lat na wyhodowanie jadalnych roślin i zwierząt, które wszystkim niematarrhitom muszą się wydać obrzydliwe.

- Założę się, że to jeden z tych przysmaków, smakujących o wiele lepiej niż wyglądają, pachną i brzmią - powiedziałem, wstrzymując oddech.

- O ile?

- Co o ile?

- O ile się założysz?

- Chcesz tego spróbować?

- Ty powinieneś.

- Dlaczego tylko ja?

- Bo to ty zaproponowałaś zakład. Poza tym jesteś teorem.

- A ty kim?

- Uczonym.

- I co, ja się rozchoruję, a ty opiszesz objawy? A po śmierci

zaprojektujesz dla mnie witraż?

- Pewnie. I wstawię go tam. - Arsibalt wskazał otwór w ścianie, którym uchodził z kuchni nadmiar dymu.

Emman również zbliżył się do gara. Karvall i Tris przyszły z messalanu i trzymając się blisko siebie, obserwowały nas.

Obecność kobiet wszystko zmieniała.

- O co się założymy? - zapytałem. - Znow mam tylko trzy rzeczy.

Jedna z najstarszych reguł świata matematycznego zakazywała stawiania w zakładach zawoju, sznura i sfery.

- Zwycięzca dziś nie zmywa - zaproponował Arsibalt.

- Stoi.

To było proste: żeby wygrać zakład, musiałem po prostu spróbować, powiedzieć, że jest dobre, i nie zwymiotować - przynajmniej nie przy Arsibalcie. A nawet gdybym przegrał, to na razie mogłem czerpać wręcz dziecienną satysfakcję z obserwowania Tris i Karvall, które z najwyższym przerażeniem w oczach patrzyły, jak wyławiam coś z odmetów i wkładam do ust. Trafiła mi się kostka jogurtopodobnej sfermentowanej pianki, zaplątana w przywiędłe zielsko i oblepiona kawałkami czegoś chrupiącego. Zajęty zlizywaniem chrupków, nawet nie zauważyłem, kiedy zielsko ześliznęło mi się w głąb przełyku, wymuszając konwulsyjny odruch przetykania. Wessało przy okazji piankę, tak jak wodorosty pociągają za sobą i topią pływaka. Musiałem trochę podławić się i pokaszleć, żeby cofnąć materię warzywną do ust i tam przeżuć ją jak należy. Dodało to przedstawieniu dramaturgii i uatrakcyjniło je w oczach widzów. Podniosłem rękę w uspokajającym geście i bez pośpiechu przeżułem cały kęs; nie chciałem poharatać sobie bebeczków jakimiś ostrymi odłamkami. Skończyło się na tym, że przysmak spłynął mi do żołądka pod postacią tłustej, włóknistej pulpy. Szanse na to, że nie wróci, oceniałem na sześćdziesiąt do czterdziestu.

- Wiecie co? - odezwałem się. - Zjedzenie tego czegoś wcale nie jest dużo gorsze od stania nad tym garem i przyglądania mu się.

- Jak smakuje? - zainteresowała się Tris.
- Przytknęłaś kiedyś język do elektrod akumulatora?
- Nie. Nawet nie wiem, co to jest akumulator.
- Aha.
- Wracając do naszego zakładu... - zagadnął niepewnie

Arsibalt.

- No właśnie - podchwycilem. - Miłego zmywania. Przyłóż się, a przy okazji przypilnuj zapiekankę, dobrze?

Nim zdążył zaprotestować, zadzwieczał jego dzwonek. Tris i Karvall śmiały się do rozpuku, kiedy wybiegał z kuchni.

Donowie wypytywali wcześniej Zh'vaerna (znacznie delikatniej) o jego jedzenie, ale teraz fraa Paphlagon znów przejął inicjatywę.

- Kosmografowie śpią w ciągu dnia i pracują nocą, ponieważ tylko wtedy widać gwiazdy. My jesteśmy zmuszeni postępować podobnie: harować w laboratorium świadomości, jedynym znanym nam środowisku, w którym można obserwować skutki Przepływu Hylaejskiego. - Mruknął coś na boku do Arsibalta i dodał: - Tyle tylko, że zamiast mówić o jednym HŚT, powinniśmy skupić się na rozważaniu Knota. Przepływ bierze początek w złożonej sieci kosmosów „wcześniejszych” lub „bardziej teoretycznych” od naszego.

Arsibalt wrócił do kuchni.

- Paphlagon nie chce rozmawiać ze mną, tylko z tobą - powiedział.

- Dlaczego ze mną? - zdziwiłem się.

- Nie jestem pewien, ale wczoraj wspomniałem mu o twoich rozmowach z Orolem.

- Pięknie. Dzięki wielkie.

- Wydłub sobie resztki z zębów i leć.

Skończyło się na tym, że przez całe drugie danie relacjonowałem swoje dwa dialogi z Orolem: pierwszy dotyczący świadomości, która - według niego - nieustająco, błyskawicznie i całkowicie płynnie tworzyła w mózgu coraz to nowe światy kontrafaktyczne, i drugi, w którym utrzymywał, że jest to nie tylko

możliwe, nie tylko wiarygodne, ale wręcz łatwe, jeśli pogodzimy się z koncepcją świadomości obejmującą zespół nieco odmiennych wersji mózgu, z których każdy śledzi rozwój nieco odmiennego kosmosu.

Paphlagon podsumował to znacznie zgrabniej:

- Wyobraźmy sobie, że przestrzeń Hemna jest krajobrazem, kosmos punktem geometrycznym w tym krajobrazie, a świadomość plamką światła przesuwaną się nad okolicą jak snop światła ze szperacza: jasno oświetla zbiory punktów, czyli kosmosów, znajdujących się blisko siebie, słabiej te nieco bardziej oddalone; im dalej od centrum plamki, tym szybciej jej jasność zanika. W samym jej środku różne warianty mózgu intensywnie się ze sobą porozumiewają. Te znajdujące się bliżej jej skraju rzadziej biorą udział w tej interakcji, a te położone w cieniu - wcale.

Z ulgą oparłem się plecami o ścianę, szukając jakiegoś cienia, w którym mógłbym się rozpuścić.

- Jestem wdzięczny fraa Erasmasowi, że pozwolił nam spokojnie zjeść - odezwał się fraa Lodoghir. - Zbyt często musimy przerywać konsumpcję wymianą zdań. Może w takim razie powinniśmy zamienić się miejscami z naszymi posługaczami: niech siedzą i jedzą w milczeniu, słuchając wykładów swoich donów.

Barb parsknął głośnym śmiechem. Ostatnio coraz żywiej reagował na żarty Lodoghira, czym budził we mnie niepokojące podejrzenie, że Lodoghir jest po prostu starym Barbem. Po namyśle odrzuciłem jednak tę żalostną myśl.

Lodoghir mówił dalej:

- Muszę przyznać, że spodobała mi się propozycja Paphlagona, żeby użyć świadomości jako laboratorium do prowadzenia obserwacji tak zwanego Przepływu Hylaejskiego. Mam jednak pytanie: na nic lepszego nas nie stać? Przecież to powrót do datonomii evenedryckiej w jej najbardziej prymitywnej postaci!

- Spędziłam dwa lata w Baritoe, pisząc pracę o datonomii

evenedryckiej - wtrąciła Ignetha Foral, bardziej chyba rozbawiona niż zła.

Wyszedłem z messalanu; wydało mi się to bardziej taktowne niż parsknięcie głośnym śmiechem. W kuchni nalałem sobie drinka i oparłem się mocno o blat, żeby ulżyć nogom.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Karvall. Byliśmy w kuchni sami.

- Jestem po prostu zmęczony. To był dla mnie spory wysiłek.

- Nie wiem, czy to ci pomoże, ale moim zdaniem mówiłeś całkiem sensownie.

- Dzięki. To dla mnie bardzo ważne, naprawdę.

- Prasuur Moyra mówi, że posuwamy się naprzód.

- Słucham?

- Jej zdaniem jesteśmy o krok od przedstawienia nowych idei, zamiast obracania starych na wszystkie strony.

- Taka pochwała, i to z ust poważnej lorytki... Proszę, proszę.

- Mówi, że to dzięki paktowi. Gdyby się nie zjawili i nie dostarczyli nam nowych danych, nie mogłoby być mowy o przełomie.

- Mój przyjaciel Jesry będzie zachwycony, kiedy się dowie. Marzył o tym całe życie.

- A ty? O czym marzysz przez całe życie?

- Ja? Nie wiem. Chyba o tym, żeby być takim mądrym jak Jesry.

- Dzisiaj byłeś najmądrzejszy ze wszystkich.

- Dziękuję! Ale nawet jeśli to prawda, zawdzięczam to Orolowi.

- I swojej odwadze.

- Niektórzy powiedzieliby „głupocie”.

Gdyby nie rozmowa z Alą przy śniadaniu, chyba właśnie zacząłbym się podkochiwać w Karvall. Byłem jednak pewny, że Karvall nie podkochuje się we mnie: po prostu przedstawiała suche fakty. Słuchanie komplementów z ust atrakcyjnej młodej

kobiety było całkiem sympatyczne, nie umywało się jednak do elektryzującego wrażenia, jakiego doznawałem nawet podczas najkrótszych spotkań z Alą, porównywalnego chyba tylko z porażeniem prądem.

Powinienem był odpowiedzieć jakimś komplementem, ale chwilowo wcale nie czułem się odważny. Styl lorytów potrafił budzić grozę. Wiedziałem, że przez swoją powierzchowność - ogolone głowy, ubiór, który wymagał wielu godzin pracy nad węzłami - okazywali szacunek wszystkim swoim poprzednikom i codziennie napominali samych siebie, ile pracy wymaga nadążanie za rozwojem ludzkiej myśli, ile wysiłku trzeba, żeby na bieżąco przesiewać pojawiające się idee i wyławiać te naprawdę nowe. Tyle tylko, że znajomość tej symboliki wcale nie ułatwiała mi zbliżenia się do Karvall.

Przerwał nam płynący z głośnika dziwnie akcentowany głos Zh'vaerna:

- Ponieważ my, matarrhici, jesteśmy takimi odludkami, przypuszczam, że nawet suur Moyra mogła nie słyszeć o tym, którego nazywamy sauntem Atamantem.

- Nie znam tego imienia - przyznała Moyra.

- Naszym zdaniem Atamant był najbardziej utalentowanym i precyzyjnym introspekcjonistą w dziejach.

- Introspekcjonistą? - powtórzył Lodoghir. - To jakaś... profesja? - zainteresował się uprzejmie.

- Można tak powiedzieć. Ostatnie trzydzieści lat życia spędził na wpatrywaniu się w miedzianą misę.

- Co w niej było takiego wyjątkowego? - zapytała Ignetha Foral.

- Nic. Atamant napisał, a właściwie podyktował, dziesięć traktatów objaśniających, co się przez ten czas działo w jego głowie. Większość tych prac ma podobną wymowę jak medytacje Orola dotyczące światów kontrafaktycznych: opowiadają o tym, jak snuł domysły na temat wyglądu niewidocznej dla niego dolnej części misy. Z tych myśli Atamant wywiódł metateorykę kontrafaktów i współmożliwości, która, mówiąc pokrótce,

doskonale opisuje nasze rozważania z pierwszego messalu, o przestrzeni Hemna i trajektoriach światów. Twierdził, że wszystkie możliwe światy naprawdę istnieją i są równie rzeczywiste jak nasz. Wielu uznało go po tym za szaleńca.

- Ale to jest przecież sedno interpretacji polikosmicznej - zauważyła suur Asquin.

- Otóż to.

- A nasza druga dyskusja? Czy ją również można podsumować słowami Atamanta?

- Długo się nad tym zastanawiałem. Trzeba wam wiedzieć, że dziewięć jego prac dotyczy przestrzeni, a tylko jedna czasu, ale właśnie ta jedna jest uważana za trudniejszą w lekturze niż tamte dziewięć razem wziętych! Jeśli jednak jego przemyślenia odnoszą się w jakiś sposób do Przepływu Hylaejskiego, to widać to właśnie w Traktacie Dziesiątym, który dziś w nocy sobie odświeżyłem. W ramach jednoosobowej dysputy.

- Co takiego miedziana misa powiedziała Atamantowi o naturze czasu? - zapytał Lodoghir.

- Zaczniemy od tego, że Atamant był wybitnym znawcą teoryki. Wiedział, że prawa teoretyczne są odwracalne w czasie i że jedynym sposobem na stwierdzenie zwrotu strzałki czasu jest pomiar nieuporządkowania w układzie. Kosmos wydawał się obojętny na upływ czasu; to my się nim przejmujemy. To świadomość tworzy czas, składa go z chwilowych wrażeń sensorycznych, które nieustannie przepływają przez nasze narządy zmysłów, a potem znikają w mrokach przeszłości. Czym jest twór, który nazywamy przeszłością? Zbiorem zapisów w naszej tkance nerwowej, tworzących spójną historię.

- Słyszeliśmy już o tych zapisach - powiedziała Ignetha Foral. - Są kluczowym elementem koncepcji przestrzeni Hemna.

- To prawda, pani sekretarz. Chciałbym jednak wrócić do czegoś, co ilustruje eksperyment myślowy z muchami, nietoperzami i dżdżownicami. Nie doceniamy naszej świadomości, która otrzymuje od zmysłów dane niewyraźne, niejednoznaczne, czasem wręcz sprzeczne, sortuje je i stwierdza: „ten zestaw danych

opisuje miedzianą misę, która stoi przede mną teraz i stała przed chwilą”. Świadomość stwierdza przedmiotowość wszystkiego, co postrzegamy. Wiem, że słownictwo religijne może się wam wydać niezręczne, ale ta jej zdolność zakrawa na cud.

- Cud absolutnie niezbędny z ewolucyjnego punktu widzenia - wtrącił Lodoghir.

- Naturalnie, ale to nie umniejsza jego cudowności. Zdolność prawdziwego widzenia, nie takiego jak w szpiłocie, który po prostu przyjmuje i rejestruje dane, ale widzenia i rozpoznawania obiektów: mis, melodii, twarzy, piękna, idei, a następnie udostępniania ich rozumowi... Otóż zdaniem Atamanta ta właśnie zdolność jest podstawą wszelkiej racjonalnej myśli. Skoro zaś świadomość potrafi stwierdzić miedzianomisowatość miedzianej misy, dlaczego miałyby nie móc stwierdzić równoramiennotrójkątności? Albo adrahonesotwierzeniowości?

- To zwykle rozpoznawanie wzorców i przypisywanie im nazw - zauważył Lodoghir.

- Tak powiedzieliby syntaktycy - odparł Zh'vaern. - Co moim zdaniem świadczy o niezrozumieniu istoty rzeczy. Wy, proceńczycy, macie teorię świadomości, jej model, któremu podporządkowujecie wszystko inne. Teoria ta jest podstawą wszelkich twierdzeń, a procesy zachodzące w świadomości są dla was po prostu zjawiskami, które należy wyjaśniać w oparciu o tę teorię. Atamant utrzymuje, że wpadliście w pułapkę zapętlenia. Nie możecie tworzyć modelu świadomości, nie wykorzystując cechującej ją mocy nadawania zmiennym przedmiotowości. Objaśnianie jej działania w oparciu o tak stworzony model jest niespójne, sprzeczne z logiką.

- Rozumiem punkt widzenia Atamanta, ale czy przedstawiając go, nie wyrzucił siebie przypadkiem sam poza ramy racjonalnego dyskursu teoretycznego? - zapytał Lodoghir. - Świadomość nabiera u niego na poły mistycznych cech: nie można jej zbadać, nie można jej podważyć... Ona po prostu jest.

- Wprost przeciwnie, nie ma nic bardziej racjonalnego niż wyjść od danych, które postrzegamy, zadać sobie pytanie, jak to

się dzieje, że je postrzegamy, a następnie rzetelnie i szczegółowo zbadać proces postrzegania.

- Zapytam inaczej: jakie rezultaty uzyskał w ten sposób Atamant?

- Kiedy już wybrał tę drogę analizy, zdarzyło mu się kilka falstartów, parę razy zapuścił się w ślepe zaułki, ale konkluzja jego rozważań jest następująca: świadomość przejawia się w świecie materialnym, w fizycznej aparaturze...

- Jakiej aparaturze? - przerwała mu Ignetha Foral.

- W tkance nerwowej albo sztucznie wytworzonym obiekcie o podobnych cechach. Jedno i drugie itowie nazwaliby aparaturą. Sprzętem. Hardware'em. Atamant twierdzi jednak, że to sama świadomość, nie hardware, jest pierwotną rzeczywistością. Kompletny kosmos składa się z materii oraz świadomości. Zabierz świadomość i zostanie sam pył; dodaj świadomość - i dochodzą przedmioty, idee, czas. Historia poszukiwań Atamanta jest długa i skomplikowana, ale w końcu wybrał obiecujący schemat rozumowania, wyrastający z polikosmicznej interpretacji mechaniki kwantowej, i całkiem rozsądnie zastosował go do swojego ulubionego zagadnienia...

- Miedzianej miski? - domyślił się Lodoghir.

- Kompleksu zjawisk zachodzących w świadomości i odpowiedzialnych za postrzeganie miedzianej miski - poprawił go Zh'vaern. - I wyjaśnił owe zjawiska w oparciu o ten schemat.

I Zh'vaern - wyjątkowo rozmowny tego wieczoru - przedstawił nam całość, w której streścił przemyślenia Atamanta na temat miedzianej miski. Zgodnie z jego wcześniejszą zapowiedzią miała sporo wspólnego z dialogami, które relacjonowałem przed kwadransem, i prowadziła do podobnych wniosków. Prawdę mówiąc, była do tego stopnia wtórna, że zastanawiałem się, po co w ogóle ją przytoczył - chyba że chciał nam pokazać, jakim bystrzakiem był Atamant, i zdobyć punkt dla matarrhitów. Słuchając go, krążyłem między kuchnią i messalanem. W końcu Zh'vaern doszedł do konkluzji, którą znaliśmy już wcześniej: nośniki świadomości mogą wykorzystywać fakt komunikacji

między kosmosami, których trajektorie niedawno się rozdzieliły.

- Muszę was poprosić o dodatkowe wyjaśnienie - powiedział Lodoghir. - Wydawało mi się, że taka komunikacja jest możliwa tylko między kosmosami, które różnią się stanem kwantowym jednej cząstki, ale poza tym są identyczne. Mam rację?

- To można potwierdzić eksperymentalnie - zauważyła Moyra. - Takie sytuacje często bada się w laboratoriach, ponieważ stosunkowo łatwo jest zbudować aparaturę, w której da się zasymulować taki scenariusz: „Czy ta cząstka ma spin dodatni, czy ujemny?”. Albo: „Czy foton przejdzie przez lewą, czy przez prawą szczelinę?”.

- Ulżyło mi! - wykrzyknął Lodoghir. - Bałem się już, że będziecie nam chcieli wmówić, że ta komunikacja i Przepływu Hylaejski to jedno i to samo.

- Ja uważam, że tak właśnie jest - powiedział Zh'vaern. - Inaczej być nie może.

Lodoghir zrobił urażoną minę.

- Suur Moyra wyjaśniła nam przed chwilą, że jedyną potwierdzoną doświadczalnie formą interakcji międzykosmicznej jest komunikacja między kosmosami różniącymi się stanem jednej jedynej cząstki. A wyznawcy Przepływu Hylaejskiego utrzymują, że łączący on kosmosy, które są zupełnie różne!

- Patrząc na świat przez słomkę, zobaczysz tylko jego niewielki wycinek - odezwał się Paphlagon. - Doświadczenia, o których wspomniała Moyra, są całkowicie racjonalne, na swój sposób nawet wspaniałe, ale rzeczywiście opisują tylko układy jednoczątkowe. Gdybyśmy umieli zaprojektować lepsze eksperymenty, prawdopodobnie obserwowalibyśmy inne, nowe zjawiska.

Fraa Jaad rzucił serwetkę na stół.

- Świadomość wzmacnia słabe sygnały, łączące Historie jak rozpięta między drzewami pajęczyna - powiedział. - Wzmacnia je wybiórczo, tworząc pętle sprzężenia zwrotnego.

Zapadła cisza, w której było słyhać tylko zgrzyt kredy

Arsibalta na ścianie. Wśliznąłem się do messalanu.

- Byłbyś łaskaw rozszyfrować to tajemnicze stwierdzenie?
- zasugerowała w końcu suur Asquin i zerknęła do notatek Arsibalta. - Na początek powiedz nam może, co rozumiesz przez „słabe sygnały”?

Fraa Jaad sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, od czego zacząć, i w ogóle nie miał ochoty wdawać się w wyjaśnienia. Wyřęczyła go Moyra:

- „Sygnały” to interakcje między kosmosami tłumaczące efekty kwantowe. Jeżeli komuś nie odpowiada interpretacja polikosmiczna, niech szuka dla nich innego wyjaśnienia. Jeśli jednak się na nią zgodzimy i będziemy chcieli pogodzić to założenie z naszą uprzednią znajomością mechaniki kwantowej, musimy przyjąć do wiadomości, że kosmosy oddziałują na siebie nawzajem tylko wtedy, kiedy ich trajektorie przebiegają w niewielkiej odległości. W jednym, wybranym kosmosie przejaw tej komunikacji można interpretować jako sygnał, który obejmuje tylko kilka cząstek, a zatem siłą rzeczy jest słaby. Dopóki te cząstki znajdują się w jakiejś asteroidzie lecącej w próżni między gwiazdami, nie ma to wielkiego znaczenia. Kiedy jednak komunikacja dotyczy cząstek ulokowanych w kluczowych obszarach mózgu, wówczas może mieć wpływ na zachowanie organizmu, którym ten mózg steruje. Sam ten organizm jest o wiele za duży, żeby jako całość ulegać interferencji kwantowej. Kiedy weźmiemy pod uwagę całe społeczeństwa złożone z takich organizmów, istniejące przez długi okres i - czasami - zdolne stworzyć technologię, która odmienia cały świat, sens słów fraa Jaada o wzmacnianiu przez świadomość słabych sygnałów łączących kosmosy staje się oczywisty. Zh’vaern z zapalem kiwał głową.

- To znajduje potwierdzenie w traktacie Atamanta, który wczoraj czytałem. Świadomość, jak pisał, sama nie ma natury czasoprzestrzennej, ale wchodzi w interakcję ze światem czasoprzestrzennym, kiedy istoty świadome zaczynają reagować na swoje przemyślenia i podejmują próby porozumienia się z

innymi istotami świadomymi. W tym celu muszą wykorzystać swoje czasoprzestrzenne ciała. W ten sposób przechodzimy od świata solipsystycznego, czyli postrzeganego przez jeden podmiot i tylko dla niego prawdziwego, do świata intersubiektywnego, czyli takiego, w którym wiemy, że ty również widzisz miedzianą misę i że przypisujemy jej taką samą przedmiotowość.

- Dziękuję wam, suur Moyro i fraa Zh'vaernie - powiedziała Ignetha Foral. - Skoro fraa Jaad zamierza trwać przy swoich aforyzmach, czy jest ktoś, kto zechciałby nam wytłumaczyć drugą część jego wypowiedzi?

- Uczynię to z prawdziwą przyjemnością, ponieważ fraa Jaad z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej upodabnia się do rasowego proceńczyka! - ucieszył się Lodoghir, zwracając na siebie powszechną uwagę. Chwilę płał w blasku chwały, zanim przeszedł dalej: - Domyślam się, że mówiąc o wybiórczym wzmacnianiu sygnałów, daje nam do zrozumienia, że nie cała komunikacja interkosmiczna ulega wzmocnieniu, lecz tylko jej część. Wrócę tu na chwilę do przykładu podanego przez suur Moyrę: interakcja między cząstkami zagubionej w próżni asteroidy nie powoduje żadnych skutków.

- Żadnych nadzwyczajnych skutków - poprawił go Paphlagon. - Żadnych skutków nieprzewidzianych. Opisuje jednak wszystkie właściwości tej asteroidy: absorpcję i emisję energii, rozpad jąder atomowych i tak dalej.

- Ale to wszystko uśrednia się statystycznie i takie dwie asteroidy są nie do odróżnienia.

- To prawda.

- Zmierzam do tego, że jedyną interakcją międzykosmiczną, która może zostać wzmocniona, jest interakcja mająca wpływ na tkankę nerwową.

- Albo na inny nośnik świadomości - dodał Paphlagon.

- Zatem już na wstępie mamy do czynienia z bardzo ostrym procesem selekcji, takim mianowicie, że z całej interakcji, jaka w dowolnie wybranej chwili zachodzi między naszym kosmosem i wszystkimi innymi kosmosami, które znajdują się na tyle blisko,

żeby taką interakcję umożliwić, znakomita, oszłamiająca wręcz większość sygnałów trafia do przysłowiowych asteroid i innych obiektów nie dość złożonych, aby mogły na nie zareagować w sposób, jaki my uznalibyśmy za interesujący.

- Tak.

- Ograniczmy zatem nasze dalsze rozważania do tego nieskończonego maleńkiego wycinka interakcji, który przypadkowo dotyczy tkanki nerwowej. Jak wspomniałem, to już jest pierwszy etap selekcji. - Lodoghir wskazał ruchem głowy tablicę. - Chcąc nie chcąc, fraa Jaad dopuścił istnienie drugiego potencjalnie aktywnego mechanizmu selekcji. Owszem, nasze mózgi odbierają te „sygnały”, ale nie są przecież tylko pasywnymi odbiornikami, nie są radiatorami kryształkowymi! One przetwarzają. Rozumują. A wyniku tego rozumowania nie da się w łatwy sposób przewidzieć na podstawie samej tylko informacji wejściowej. Tym wynikiem są nasze świadome myśli, podejmowane przez nas decyzje, interakcje społeczne z innymi istotami świadomymi, zachowanie społeczeństw na przestrzeni dziejów.

- Dziękuję, fraa Lodoghirze - powiedziała Ignetha Foral i znów zerknęła na tablicę. - Jest ktoś chętny na „pętle sprzężenia zwrotnego”?

- Już je mamy z głowy - odparł Paphlagon.

- Jak to?

- Są zawarte w modelu, o którym dyskutujemy. Nie musimy nic dodawać. Widzieliśmy już, w jaki sposób słabe sygnały, wzmocnione w specjalnych strukturach tkanki nerwowej i społeczeństw, mogą prowadzić do zmian w konfiguracji kosmosu, mających znacznie szerszy zasięg niż sygnał pierwotny. W reakcji na te słabe sygnały zmieniają się trajektorie światów; obserwując je, można odróżnić kosmos zamieszkały przez istoty świadome od kosmosu, który jest pozbawiony świadomego życia. Nie zapominajmy jednak, że takie sygnały mogą przechodzić tylko między kosmosami znajdującymi się blisko siebie... I oto mamy sprzężenie zwrotne! Interakcja zmienia trajektorie kosmosów będących nośnikami świadomości. A im bardziej zbieżne są

trajektorie, tym intensywniejsza interakcja.

- Sprzężenie zwrotne zbliża trajektorie? - upewniła się Ignetha Foral. - Czy tak brzmi poszukiwane przez nas wytłumaczenie podobieństwa Geometrów do ludzi?

- Nie tylko - odezwała się suur Asquin. - Jeśli dobrze rozumiem, tłumaczy to także cnoöny, HŠT i całą resztę.

- Zachowam się w tym momencie jak typowa lorytka i przypomnę wam, że „sprzężenie zwrotne” jest zwrotem używanym przez laików na określenie bardzo szerokiego spektrum zjawisk - wtrąciła Moyra. - Powstały, i nadal powstają, całe gałęzie teoryki poświęcone badaniu zachowania układów wykazujących to, co laicy nazywają sprzężeniem zwrotnym. Najczęściej spotykanym efektem jest degeneracja sygnału, taka jak wycie w głośnikach systemu nagłaśniającego, albo całkowity chaos. Bardzo niewiele takich układów zachowuje się stabilnie; bardzo niewiele wykazuje zachowanie, o którym można by w ogóle powiedzieć „Spójrzcie, ten układ robi w tej chwili to i to”.

- Znowu chodzi o przedmiotowość! - zawołał Zh'vaern.

- Kiedy jednak spojrzymy na to z drugiej strony, okazuje się, że w burzliwym wszechświecie żaden układ stabilny nie może istnieć bez sprzężenia zwrotnego - ciągnęła Moyra.

Ignetha Foral pokiwała głową.

- Jeśli zatem postulowane przez fraa Jaada sprzężenie zwrotne przybliży trajektorię naszego świata do trajektorii światów paktu, mamy do czynienia nie z byle jakim sprzężeniem zwrotnym, tylko ze sprzężeniem wyjątkowym, precyzyjnie dostrojonym.

- Obiekt, który trwa albo powtarza się w układzie złożonym, nazywamy atraktorem - powiedział Paphlagon.

- Jeżeli więc pakt zna nasze Twierdzenie Adrakhonesa i inne koncepty teoryczne, mogą one być tylko atraktorami w opisywanym tu przez nas sprzężeniu zwrotnym - podsumował Lodoghir.

- Tylko atraktorami? - wtrącił fraa Jaad. - Czy może aż atraktorami?

Przez dobrą minutę echo tych słów dźwięczało w ciszy. Jaad i Lodoghir patrzyli na siebie ponad stołem. Wszyscy przeczuwali, że zaraz wydarzy się coś niezwykłego.

Proceńczyk i halikaarnijczyk dojdą do porozumienia.

Zh'vaern wszystko popsuł. Może nie docenił powagi chwili, a może po prostu HŚT wcale go tak bardzo nie interesował - tak czy inaczej wrócił do tematu miski Atamanta.

- Atamant zmienił misę - obwieścił.

- Że co? - zdziwiła się Ignetha Foral.

- To, co powiedziałem. Przez trzydzieści lat misa miała rysę na dnie; zostało to uwiecznione na fototypach. W ostatnim roku medytacji, na krótko przed śmiercią, Atamant sprawił, że rysa zniknęła.

Zrobiło się bardzo, bardzo cicho.

- Prosimy to przełożyć na język polikosmiczny - odezwała się suur Asquin.

- Odkrył drogę do takiego samego kosmosu jak ten, w którym żył, ale w którym misa nie była zarysowana.

- Ale przecież istniały zapisy... fototypy, na których rysa była widoczna!

- Zgadza się. Musiał się przenieść do kosmosu zawierającego zapisy sprzeczne z faktami. I to był nasz kosmos.

- Jak tego dokonał? - spytała suur Moyra takim tonem, jakby domyślała się odpowiedzi.

- Albo zmienił zapisy, albo znalazł kosmos, którego przyszłość wyglądała inaczej.

- Czyli albo był retorem, albo inkanterem! - wypalił ktoś.

To był młody głos.

Barb. Niezawodny w roli tego, który mówi to, czego nikt inny powiedzieć nie chce.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała Moyra, udając, że go nie słyszała. - Pytałam, jak tego dokonał?

- Nie chciał zdradzić swojej tajemnicy. Może niektórzy z nas mieliby na ten temat coś do powiedzenia? - Zh'vaern popatrzył po współbiedniakach, dłużej zatrzymując wzrok na Jaadzie i

Lodoghirze.

- Nawet jeśli tak, będzie to musiało poczekać do jutra - oznajmiła Ignetha Foral. - Dzisiejszy messal uważam za zakończony.

Spiorunowała wzrokiem Zh'vaerna i wstała od stołu. Emman wparował do messalanu i porwał jej plecak, a ona poprawiła zawieszony na szyi identyfikator, jakby to był jeden z elementów biżuterii, i wyszła. Jej posługacz podążył za nią, uginając się pod ciężarem dwóch plecaków.

Miałem mnóstwo pomysłów na to, jak wykorzystać wygrany od Arsibalta czas wolny - było ich tyle, że nie wiedziałem, od czego zacząć. Wróciłem do swojej celi po notatki, przysiadłem na chwilę na sienniku.

Kiedy otworzyłem oczy, był ranek.

Noc nie poszła jednak całkiem na marne, bo obudziłem się pełen pomysłów i zamiarów, których nie było w mojej głowie, kiedy zasypiałem. Biorąc pod uwagę ostatnie rozmowy podczas messali, z łatwością mogłem sobie wyobrazić, że mój umysł hasał radośnie po okolicznej przestrzeni Hemna, badając alternatywne warianty świata.

Odszukałem Arsibalta, który spał mniej ode mnie, w związku z czym był mrukliwy, dopóki nie podzieliłem się z nim owocami moich przemyśleń (o ile można nazwać przemyśleniami proces zachodzący bez mojej woli, kiedy pozostawałem nieświadomy).

Na śniadanie zjadłem ciężkie ziarniste bułki i trochę suszonych owoców. Potem udałem się do zagajnika za kapitularem pierwszych krakersów. Arsibalt już tam na mnie czekał, ściskając w rękach pożyczony z ogrodowej szopy szpadel. Wykopał w ziemi płytkie zagłębienie wielkości miski śniadaniowej. Wyłożyłem je kawałkiem polioplastu z jednego ze

śmietnisk, które sekularowie wszędzie po sobie zostawiali - ostatnio także na terenie koncentu.

Podkasałem zawój.

- No to teraz zobaczmy.

- Najlepsze są najprostsze doświadczenia - przytaknął Arsibalt.

Analiza danych trwała dosłownie parę minut. Resztę dnia zajęły nam rozliczne przygotowania. Ich historia, próby zwerbowania współników i towarzyszące temu pomniejsze przygody złożyłyby się na kolekcję przezabawnych anegdotek, postanowiłem ich tu jednak nie przytaczać, gdyż w porównaniu z wieczornymi wydarzeniami są błahe i nieistotne. Namówiliśmy do współpracy Emmana, Tris, Barba, Karvall, Lio i Sammanna, i przekonaliśmy suur Asquin, żeby przymknęła oko, kiedy będziemy dokonywać w jej fundzie pewnych niewielkich przeróbek.

Czwarty Messal Wielości Światów rozpoczął się normalnie - od wina i zupy. Barb i Emman wrócili do kuchni. Chwilę później pociągnięciem za sznurek odwołano Orhana, za którym podążyła Tris. Mniej więcej minutę później poczułem serię umówionych szarpnięć za sznurek, oznaczających, że w kuchni wszystko idzie zgodnie z planem: Barb, niezdarą, „przypadkowo” zrzucił z pieca gar z gotowanym przez Orhana gulaszem, a Tris i Emman zaczęli się tłuc garnkami, żeby Orhan nie zorientował się zbyt szybko, że z głośnika nie dochodzą żadne dźwięki.

Skinąłem głową stojącemu po drugiej stronie stołu Arsibaltowi.

- Wybacz, fraa Zh'vaernie... Zapomniałeś pobłogosławić jedzenie - zauważył Arsibalt donośnym, wyraźnym głosem.

Rozmowy zamarły. Już wcześniej w messalanie było ciszej niż zwykle, tak jakby donowie szukali sposobu na wznowienie

dialogu, starając się nie stapać po grząskim gruncie, na który poprzedniego dnia spychał rozmowę Zh'vaern. Jednakże odzywający się bez pytania posługacz wywołałby szok nawet na najbardziej ożywionym messalu - zwłaszcza odzywający się takimi słowami. Korzystając z tego, że wszystkim odebrało mowę, Arsibalt kontynuował:

- Znam wierzenia i praktyki matarrhitów: nigdy nie spożywają posiłków, nie odmówiwszy nad nimi błogosławieństwa zakończonego charakterystycznym gestem. Ty ani się nie pomodliłeś, ani nie wykonałeś tego gestu.

- I co z tego? Po prostu zapomniałem.

- Zawsze zapominasz.

Ignetha Foral spojrzała na Paphlagona takim wzrokiem, jakby się dziwiła, że jeszcze nie rzucił w Arsibalta Księgą. I Paphlagon istotnie rzucił - serwetkę na stół. Zanim jednak zdążył wstać, fraa Jaad złapał go za rękę.

- Zawsze zapominasz - powtórzył Arsibalt. - A jeśli chcesz, mogę wyliczyć znacznie więcej faktów świadczących o tym, że wraz z Orhanem nieudolnie naśladujecie matarrhitów. Czy to dlatego, że naprawdę wcale nie jesteście matarrhitami?

Okryta kapturem głowa Zh'vaerna poruszyła się, kiedy spojrzał w stronę drzwi: nie tych, przez które weszli donowie, lecz tych, przez które wyszedł Orhan.

- Twój nadzorca nas nie słyszy - uspokoilem go. - Zaprzyjaźniony ita przeciął przewód mikrofonu. Głośnik milczy.

Zh'vaern siedział nieruchomy i milczący. Suur Karvall na mój znak ściągnęła okrywający ścianę materiał, odsłaniając lśniąca drucianą plecionkę, którą pokryliśmy cały mur. Podszedłem do stołu i czubkiem buta odwinąłem dywan, spod którego wyjrzała taka sama siatka. Zh'vaern pilnie nas obserwował.

- To drut. Hodowcy zwierząt używają go do grodzenia wybiegów - wyjaśniłem. - Extramuros dostępny w ilościach hurtowych. Przewodzący. Uziemiony.

- Co to ma wszystko znaczyć? - zaniepokoiła się Ignetha Foral.

- Siedzimy w koszu saunta Buckera! - wykrzyknęła Moyra.

W jej życiu starej, szanowanej, na wpół emerytowanej lorytki rzadko się pewnie zdarzały nieprzewidziane wypadki, więc nawet tak zwyczajne odkrycie, że otaczają ją kłęby drutu do grodzenia kurników, zakrawało na przygodę. Jeszcze bardziej ucieszyła ją chyba świadomość, że posługacze wzięli sobie do serca jej wywody i naprawdę zrobili coś, co donom nigdy nie przyszłoby do głowy.

- Uziemiona siatka uniemożliwia przekazywanie sygnałów radiowych do i z messalanu - wyjaśniła. - Jeżeli chodzi o przepływ informacji, jesteście całkowicie odcięci od reszty Arbre.

- W naszym świecie nazywamy to klatką Faradaya - powiedział Zh'vaern.

Wstał, zsunął kaptur z głowy i zrzucił zwój na podłogę. Stojąc za jego plecami, nie widziałem jego twarzy - tylko wyraz zaskoczenia, fascynacji i lęku na twarzach pozostałych: byli pierwszymi Arbryjczykami (poza być może Niebiańskim Strażnikiem), którzy stanęli oko w oko z żywym obcym. Sądząc po wyglądzie jego potylicy, karku i pleców, musiał pochodzić z tej samej rasy co zabita kobieta w kapsule. Pod czymś w rodzaju podkoszulka miał przyklejone (taśmą polioplastową) jakieś niewielkie urządzenie. Sięgnął do niego, odlepił je i cisnął na stół, oplecione kłębkami przewodów.

- Nazywam się Jules Verne Durand i przybywam z Laterre, świata, który wy znacie pod nazwą Antarkty. Orhan pochodzi z Urnuda, który nazwaliście Pangeą. Radziłbym Orhana również ściągnąć do klatki Faradaya, zanim...

- Załatwione - dobiegło od progu i do messalanu wszedł zarumieniony Lio. - Zamknęliśmy go w drugim koszu Buckera, w spiżarni. Sammann znalazł przy nim to.

Pokazał drugi bezprzewodowy transmiter.

- Nieźle to zaplanowaliście - przyznał Jules Verne Durand.
- Ale zyskacie najwyżej kilka minut. Ci, którzy są na nasłuchu, zaniepokoją się utratą kontaktu.

- Zawiadomiliśmy suur Alę - odparł Lio. - Wie, że ma być

gotowa do ewakuacji koncentu.

- To dobrze. Przykro mi to mówić, ale mieszkańcy Urnuda są dla was zagrożeniem.

- Dla was, Laterryjczyków, chyba też - mruknął Arsibalt.

Donów zamurowało i żaden nawet nie próbował włączyć się do rozmowy, więc Arsibalt, który miał przygotowane wystąpienie, starał się podtrzymać konwersację.

- Rzeczywiście - przyznał Jules Verne Durand. - Dodam tylko szybko, że mieszkańcy Urnuda i Tro, czyli po waszemu Diaspu, sprzymierzyli się i są wrogami tych z Fthosa, czyli...

- Quatora - odparł Lodoghir. - Nic innego nie zostało.

Przez ten czas przesunąłem się do miejsca, z którego mogłem spojrzeć Julesowi Verne Durandowi w oczy, i właśnie doświadczałem tego samego zdumienia, które przed chwilą obserwowałem u innych: zdumienia najpierw różnicami, potem podobieństwem, i znowu różnicami między Laterryjczykami i Arbryjczykami. Najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy, to wrodzony defekt, który delikatnie zakłóca naturalną geometrię twarzy, nie deformując jej jednak i nie upośledzając jej funkcji. Natomiast świadomości, że mam przed sobą istotę przybyłą z innego kosmosu, nie da się z niczym porównać.

- A wy, Laterryjczycy?

- Część popiera Fthozyjczyków. Ale nie wszyscy.

- Rozumiem, że ty jesteś lojalny wobec osi Urnud/Tro - ciągnął Lodoghir. - W przeciwnym razie by cię tu nie przysyłano.

- Przysłano mnie, bo najlepiej znam orthyjski. Jestem lingwistą. Lingwistą niższej rangi, dlatego na samym początku, kiedy uważaliśmy orthyjski za mało ważny język mniejszości, kazano mi go studiować. Nie są pewni mojej lojalności i, jak widać, mają ku temu powody. Orhan, jak się słusznie domyśliliście, jest moim strażnikiem. Nadzorcą. - Zh'vaern spojrzął na Arsibalta. - Przejrzeliście mnie. Właściwie nie powinienem się dziwić, ale jestem ciekawy, jak wam się to udało?

Arsibalt spojrzął na mnie.

- Wczoraj spróbowałem twojego jedzenia - odparłem. -

Przeszło przez mój układ trawienny nienaruszone.

- Naturalnie: twoje enzymy nie weszły z nim w reakcję...
Jestem pod wrażeniem.

Ignetha Foral otrząsnęła się w końcu na tyle, żeby włączyć się do rozmowy:

- W imieniu Rady Najwyższej witam cię i przepraszam za niestosowne zachowanie naszych młodych...

- Daruj sobie - przerwał jej Laterryjczyk. - To przecież typowy pyerd. Nie mamy na to czasu. Moja misja, zlecona przez dowództwo wywiadu wojskowego osi Urnud/Tro, miała na celu ustalenie, czy legenda o inkanterach jest oparta na faktach. Oś Urnud/Tro, którą oni sami nazywają Piedestałem, boi się potwierdzenia tych obaw, do tego stopnia, że rozważają uderzenie wyprzedzające. Dlatego w poprzednie dni zadawałem pytania, które mogły się wam wydać nietaktowne.

- Jak się tu dostaliście? - zainteresował się Paphlagon.

- Nasi komandosi opanowali koncent matarrhitów. Potrafimy zrzucić na waszą planetę małe kapsuły, niewykrywalne dla waszych instrumentów. Niewielki oddział wojska w asyście kilku cywilnych specjalistów, do których i ja się zaliczam, zajął koncent. Trzymamy w nim prawdziwych matarrhitów w areszcie domowym. Są cali i zdrowi, ale nie ma z nimi kontaktu.

- To bardzo agresywne posunięcie! - zauważyła Ignetha Foral.

- Z pewnością tak to wygląda z punktu widzenia osoby nieprzyzwyczajonej do kontaktów z innymi wariantami świata, pochodzącymi z różnych kosmosów. Piedestał robi tak od stuleci i z czasem zrobił się beczelny. Kiedy nasi naukowcy natrafili na matarrhitów, ktoś zwrócił uwagę, że ich styl ubierania się umożliwiłby nam podszycie się pod nich i infiltrację konwoksu. Na zgodę dowództwa nie trzeba było długo czekać.

- W jaki sposób podróżujecie między kosmosami? - zapytał Paphlagon.

- Mamy mało czasu, a ja nie jestem teorem. - Jules Verne Durand spojrział na suur Moyrę. - Na pewno słyszałaś o koncepcji

gravitacji, wywodzącej się jeszcze z czasu Zwiastunów. My nazywamy ją ogólną teorią względności, a jej podstawowe założenie jest takie, że masa, równoważna z resztą energii, może zakrzywiać czasoprzestrzeń...

- To geometrodynamika! - powiedziała suur Moyra.

- Jeżeli znajdziemy rozwiązanie równań geometrodynamicznych w szczególnym przypadku wszechświata wprowadzonego w ruch obrotowy, można wykazać, że statek kosmiczny, poruszający się z odpowiednio dużą prędkością i znajdujący się dostatecznie daleko...

- Cofnie się w czasie - dokończył Paphlagon. - My również znamy te wyniki, zawsze jednak traktowaliśmy je co najwyżej jako ciekawostkę.

- Na Laterre uzyskał je niejaki Gödel, będący kimś w rodzaju saunta. Przyjaźnił się z innym sauntem, który wcześniej odkrył geometrodynamikę. Można by o nich powiedzieć, że byli fraa z jednego matemu. Ale rzeczywiście, dla nas również była to tylko ciekawostka, nic więcej. Przede wszystkim nie od razu stało się jasne, że nasz kosmos wiruje...

- A jeśli nie wiruje, wynik jest bezużyteczny - powiedział Paphlagon.

- W tym samym instytucie pracowało jednak więcej sauntów i jeden ich zespół wymyślił statek napędzany bombami atomowymi, wystarczająco szybki, żeby pozwolił zweryfikować tę teorię.

- Rozumiem... Laterre zbudowało statek...

- Nie! Wcale nie!

- Arbre też nie - wtrącił Lio. - Chociaż pomysły przecież mieliśmy takie same.

- Co innego Urnud - ciągnął Jules Verne Durand. - Znali tam geometrodynamikę, znali rozwiązanie równań dla wirującego wszechświata, mieli dowody kosmograficzne na to, że ich kosmos rzeczywiście wiruje, no i znali ideę statku z napędem atomowym. Tyle że, zamiast ograniczać się do samej idei, naprawdę zbudowali trochę takich statków. Posunęli się dalej niż inni, ponieważ między

zebranych w dwóch wrogich blokach krajami wybuchła straszliwa wojna, która wkrótce zakaziła przestrzeń międzyplanetarną. Cały ich układ słoneczny stał się teatrem wojennym. Ostatnia, największa z tych jednostek nosiła nazwę *Daban Urnud*, czyli „Drugi Urnud”. Miała przewieźć kolonistów do sąsiedniego układu gwiazdowego, odległego zaledwie o ćwierć roku świetlnego. Na pokładzie wybuchł jednak bunt, zmieniło się dowództwo i statek znalazł się pod kontrolą ludzi naprawdę rozumiejących teorię, o której ja umiem tylko opowiadać. Postanowili zmienić kurs i udać się w przeszłość Urnuda, żeby tam cofnąć decyzje, które doprowadziły do wybuchu wojny. U celu podróży znaleźli się jednak nie na starym Urnudzie, lecz w zupełnie innym kosmosie, na orbicie przypominającej Urnud planety...

- Tro - domyślił się Arsibalt.

- Tak. W ten sposób wszechświat broni się przed naruszeniem zasady przyczynowości. Każda próba naruszenia reguł przyczynowo-skutkowych, na przykład cofnięcie się w czasie, żeby zabić własnego dziadka...

- Sprawia, że trafiamy do innej, odrębnej dziedziny przyczynowej? - spytał Lodoghir. - To niesamowite!

Laterryjczyk pokiwał głową.

- Trafiamy do nowej Historii. - Spojrzał na fraa Jaada. - W ten sposób w obu Historiach, starej i nowej, zależności przyczynowo-skutkowe pozostają nienaruszone.

- Wygląda na to, że im się spodobało - zauważył Lodoghir.

- Kiedy tak mówisz, można odnieść wrażenie, że przyszło im to łatwo i szybko - odparł Jules Verne Durand po chwili zastanowienia. - Tymczasem Pierwsze Zstąpienie, czyli odkrycie Tro przez Urnudczyków, dzieli od Czwartego, który teraz przeżywamy, szmat czasu. Samo Zstąpienie trwało wtedy półtora stulecia. Tro legło w gruzach.

- To straszne! - zaniepokoił się Lodoghir. - Czy Urnudczycy naprawdę są tacy wredni?

- Nie, ale to był ich pierwszy raz. Ani Urnudczycy, ani Troanie nie rozumieli problematyki polikosmicznej tak dobrze jak

wy, Arbryjczycy. Wszystko było dla nich nowe, zaskakujące, a zatem także przerażające. Urnudzycy zbyt szybko zaangażowali się w troańską politykę i nastąpił ciąg katastrofalnych wydarzeń, niemal bez wyjątku zawinionych przez Troan. Skończyło się na tym, że przebudowali *Daban Urnuda*, znaleźli na nim miejsce dla przedstawicieli obu ras i razem wyruszyli w drugą podróż międzykosmiczną. Na Laterre trafili pięćdziesiąt lat po śmierci Gödela.

- Przepraszam... - wtrąciła się Ignetha Foral. - Po co przebudowywali statek?

- Między innymi dlatego, że był już mocno zużyty, ale przede wszystkim chodziło o jedzenie. Każda rasa musi gromadzić własne zapasy pożywienia; przyczyny takiego stanu rzeczy wyjaśnił w swoim eksperymencie fraa Erasmus. - Powiódł wzrokiem po messalanie. - I tak oto zostałem skazany na głodową śmierć wśród wszelkiej obfitości, chyba że w drodze zabiegów dyplomatycznych uda wam się namówić pasażerów *Daban Urnuda*, żeby przysłali pokarm, który będę mógł strawić.

- Postaramy się ocalić laterryjskie jedzenie, jakie jeszcze jest w kuchni. - Tris, która na początku tej rozmowy przyszła posłuchać, wybiegła z messalanu.

- To będzie kwestia priorytetowa w naszym rozmowach z Piedestalem - zapewniła Ignetha Foral.

- Dziękuję. Dla kogoś takiego jak ja śmierć głodowa byłaby najgorszym, najbardziej upokarzającym końcem.

- Jak wyglądało Drugie Zstąpienie, na Laterre? - zainteresowała się suur Moyra.

- Oszczędzę wam szczegółów. Było lepiej niż na Tro, ale w każdym kosmosie taka wizyta wywołuje zamęt. Zstąpienie trwa od dwudziestu do dwustu lat. Bez względu na to, czy do nas dołączycie, *Daban Urnud* zostanie całkowicie przebudowany. Żadna z waszych instytucji politycznych i religijnych nie przetrwa w obecnej postaci. Wybuchną wojny. Część z was znajdzie się na pokładzie odnowionego *Daban Urnuda*, który w końcu ruszy w drogę na poszukiwanie kolejnej Historii.

- Z tobą też tak było na Laterre - domyślił się Lodoghir.

- Nie, nie ze mną. Z moim pradziadkiem. Moi przodkowie przeżyli podróż na Fthosa i Trzecie Zstąpienie, ja zaś urodziłem się na samym Fthosie. Teraz będzie podobnie.

- Chyba że użyją przeciwko nam Wypalacza Światów - zauważyła Ignetha Foral.

Dopiero zaczynałem się uczyć laterryjskiej mimiki, byłem jednak pewien, że to, co odmalowało się na twarzy Julesa Verne Duranda, było najczystszą zgrozą.

- Ta potworność została wynaleziona na Urnudzie, podczas tej wielkiej wojny... chociaż nie ukrywam, że i my, na Laterre, mieliśmy podobne zamiary.

- My również - przyznała Moyra.

- Powinniście coś wiedzieć: wśród Urnudczyków panuje głęboko zakorzenione przekonanie, że każde kolejne Zstąpienie następuje w świecie bardziej idealnym, bliższym Hylaejskiemu Światu Teorycznemu, jak wy byście to powiedzieli. Nie mam czasu na wdawanie się w szczegóły, ale sam czasem łapałem się na myśli, że Urnud i Tro wydają mi się niedoskonałymi przybliżeniami Laterre. Poza tym my postrzegaliśmy Fthos w podobny sposób, jak Troanie postrzegali Laterre. Teraz przybyliśmy do nowego świata i w Piedestale zapanował lęk, że Arbryjczycy mogą nas dalece przewyższać pod względem posiadanych cech i umiejętności; do tego stopnia, że niektóre z nich będą dla nas całkowicie niezrozumiałe. Członkowie Piedestału są przeczuleni na punkcie wszystkiego, co wydaje się...

- Stąd wysłanie komandosów i wyrafinowany gambit mający wy badać kwestię inkanterów - wszedł mu w słowo Lodoghir.

- Oraz retorów - przypomniał Paphlagon.

- To powrót do polityki z okresu Trzeciej Łupieży! - Moyra parsknęła śmiechem. - Z tą różnicą, że teraz zrobiło się o wiele niebezpieczniej.

- Macie, a właściwie mamy, pewien problem - ciągnął Jules Verne Durand. - Nie wiem, jak ich przekonać, że retorycy i

inkanterzy nie istnieją.

- W skrócie... Atamant i jego miedziana misa? - zapytał Lodoghir.

- To historia luźno oparta na biografii laterryjskiego filozofa, Edmunda Husserla, który trzymał na biurku miedzianą popielniczkę - odparł Jules Verne Durand. Nie wiedziałem, czy dobrze odczytuję wyraz jego twarzy, ale chyba był bardzo zakłopotany. - Musiałem ją trochę ubarwić. Znikająca rysa miała was sprowokować, żebyście powiedzieli wprost, czy mieszkańcy Arbre potrafią robić takie rzeczy.

- I jak uważasz, podstęp się udał? - spytała Ignetha Foral.

- Ci, którzy mnie przysłali, nabrali jeszcze większych podejrzeń. Kazali mi was przycisnąć dziś wieczorem.

- Czyli jeszcze nie podjęli decyzji?

- Teraz już pewnie tak.

Podłoga podskoczyła nam pod nogami, w powietrzu nagle uniosły się tumany kurzu. Zapadła cisza, którą po chwili zmaściła seria około dwudziestu głuchych łoskotów, przetaczających się w powietrzu przez jakieś piętnaście sekund.

- Spokojnie! - odezwał się Lio. - Wszystko idzie zgodnie z planem. Słyszeliście kontrolowane eksplozje ładunków burzących, które wyrwały dziury w zewnętrznym murze. Dzięki nim nie stłoczemy się wszyscy przy Bramie Diennej i będziemy mogli szybko opuścić teren koncentu. To początek ewakuacji. Spójrzcie na identyfikatory.

Wyjąłem swój spod fałdy zawoju: wyświetliła się na nim kolorowa mapa okolicy, jak na ekranie nawigacyjnym mapomatu. Moja droga ewakuacji była zaznaczona na fioletowo. Na mapę nałożony był rysunek plecaka z migającym czerwonym znakiem zapytania.

Donowie zrobili wiekopomny krok: odsunęli się od stołu. Zaczęli oglądać identyfikatory, wymieniać jakieś uwagi - dopóki Lio nie wskoczył na stół i nie tupnął głośno. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Dość gadania.

- Ale... - próbował zaprotestować Lodoghir.

- Nie mów - powiedział Lio. - Działaj!

Wydał ten rozkaz głosem, jakim nigdy nie przemawiał - wydało mi się natomiast, że podobny ton słyszałem na ulicach Mahshtu. Najwyraźniej trenował nie tylko ciało, ale także głos; uczył się od Dzwoneczników używać go jako broni. Usunąłem się z drogi donom, którzy, zarzuciwszy plecaki na ramię, gęsiego wybiegli z messalanu, i wszedłem w korytarz. Tam wziąłem swój plecak, przerzuciłem go przez jedno ramię i spojrzałem na identyfikator: nałożony na mapę rysunek zniknął. Wszedłem do kuchni, gdzie Tris i Lio pomagali Julesowi Verne Durandowi pakować do toreb i koszy resztki jedzenia.

Wyszedłem na tyły Fundy Avrachona. Ewakuacja pradawnego Koncernu Saunta Tredegarha trwała w najlepsze.

Tysiące stóp nad naszymi głowami aeroplany lądowały na czubkach wież tysięczników.

Cały ten pomysł z plecakami i identyfikatorami wydawał mi się nieznośnie toporny - zresztą nie tylko mnie, rozmawiałem z wieloma osobami, które podzielały moją opinię; jego pomysłodawcy potraktowali konwoks jak letni obóz dla pięciolatek. Dopiero podczas piętnastominutowej przebieżki przez ewakuowanego Tredegarha zacząłem go doceniać. Nie ma planów i procedur dostatecznie prostych, żeby nie posypały się (dramatycznie i widowiskowo), kiedy tysiące ludzi jednocześnie złączą je realizować. Ciemności potęgowały chaos dwukrotnie, pośpiech przydawał mu kolejnego rzędu wielkości. Ludzie, którzy zgubili identyfikatory i plecaki, błakali się w panice po terenie koncentu, ale prędzej czy później zbierali się wokół ciężarówek, nawołujących przez głośniki: „Podejdz tutaj, jeżeli nie masz plecaka albo identyfikatora!”. Wojskowi lekarze natychmiast dopadali rannych i poszkodowanych: skręcone kostki,

hiperwentylacja, zawały. Młodzi fidowie nieśli na barana starsze prasuur i wiekowych prafraa, którzy nie byli w stanie nadażyć za tłumem. Wpatrzeni w identyfikatory ludzie biegali po omacku, zgodnie z najlepszymi slapstickowymi tradycjami zderzali się, przewracali, rozbijali sobie nosy, klócili się, kto zawinił. Kilka razy przystanąłem, żeby komuś pomóc, ale zespoły wsparcia były zdumiewająco skuteczne - i dość nieuprzejme, kiedy tłumaczyły mi, że zamiast plątać im się pod nogami, powinienem raczej biec do wyjścia. Dostrzegałem w tym wszystkim rękę Ali. Widząc, że ewakuacja przebiega całkiem sprawnie, przyspieszyłem kroku, przeciąłem rozległą plantację drzew arkuszowych obwieszonych liśćmi, które nigdy nie zostaną zżęte, i skierowałem się do poszarpanego, zawalonego gruzem otworu w murze. Po drugiej stronie, extramuros, snopy światła z latarek cięły kurz, rysując otwór siną bielą. Długie skaczące cienie wyrastały za plecami gramolących się po gruzie deklarantów, którym pomagali żołnierze, oświetlając co bardziej zdradzieckie odcinki przeprawy i pokrzykując na tych, którzy potykali się lub spoglądali na nich lękliwie. Mój identyfikator kazał mi przejść przez tę dziurę, więc tak właśnie zrobiłem, starając się nie myśleć o tysiącletnich kamiennych blokach, po których deptałem, i o deklarantach, którzy je obrabiali i budowali z nich mur.

Ciągnący się za murem łagodnie nachylony odsłonięty teren - miejsce, gdzie chętnie spacerowali okoliczni mieszkańcy - tego wieczoru zmienił się w parking dla wojskowych drumonów: platform na kołach, przykrytych płóciennymi plandekami. W pierwszej chwili zobaczyłem tylko kilka pierwszych, stojących najbliżej dziury w murze i kupy gruzu, ponieważ światło latarek dalej nie sięgało. Identyfikator jednak nalegał, żebym wszedł między nie głębiej, i wtedy dotarło do mnie, że drumony zajmują w tej ciemności powierzchnię chyba mili kwadratowej. Zewsząd dobiegał warkot włączonych silników. Mrok rozpraszała zimna poświata światłopaków, blask sfer w rękach deklarantów i odbijające się w oczach kierowców światełka na deskach rozdzielczych. Same drumony miały pogaszone reflektory.

Coś mnie dogoniło, rozstąpiło się, wyprzedziło mnie z obu stron i pobiegło dalej; bardziej to poczułem, niż usłyszałem - był to oddział Dzwoneczników ubranych w czarne zawoje i bezszelestnie przemierzających noc.

Truchtałem dłuższy czas, klucząc - zgodnie ze wskazaniem identyfikatora - wśród zaparkowanych pojazdów. Po prawej stronie minąłem następny wyłom i towarzyszącą mu górę światła, a chwilę później zza zakrętu muru wyłonił się kolejny. Z obu wylewały się szerokie strumienie deklarantów, nie miałem więc przynajmniej wrażenia, że się spóźniłem. Od czasu do czasu dostrzegałem samotną suur lub fraa, którzy z twarzą podświetloną poświatą identyfikatora zachodzili któryś drumon od tyłu, porównywali jego numer z wyświetlonym na identyfikatorze, a na ich twarzach odmalowywało się narastające przekonanie: *tak, to ten*. Ze środka wysuwały się ręce, wciągały ich na platformę, słyszałem wymieniane powitania. Wszyscy byli dziwnie radosni. Nie wiedzieli tego, co ja; nie mieli pojęcia, w co się pakujemy.

Fioletowa linia zaprowadziła mnie za ostatni z drumonów, gdzie stał już tylko jeden pojazd dostatecznie duży, żeby pomieścić jakąkolwiek większą komórkę: autokar obklejony fototypami zachwyconych hazardzistów, najprawdopodobniej zarekwirowany w jakimś kasynie. Nie mogłem uwierzyć, że to do niego właśnie mam się udać, ale ilekroć próbowałem go wyminąć, fioletowa strzałka w irytujący sposób zmieniała kierunek i kazała mi zawrócić. Podeszedłem więc do drzwi w boku pojazdu i spojrzałem na prowadzące na górę stopnie. Siedział na nich wojskowy kierowca, którego twarz widziałem w poświacie piszczałki.

- Erasmus z Edhara? - zapytał, najwyraźniej odebrawszy sygnał z mojego identyfikatora.

- Tak.

- Witam w komórce numer trzysta siedemnaście. - Ruchem głowy kazał mi wejść. - Sześciu jest, pięciu brak - mruknął, kiedy go wymijałem. - Postaw plecak na siedzeniu obok siebie: szybciej wsiądziesz, szybciej wysiądziesz.

W przejściu i na spodniej powierzchni półek na bagaż były zainstalowane świecące paski, rzucające słabą poświatę na siedzenia i zajmujących je ludzi. W środku było pustawo. Pierwsze dwa rzędy zajmowali żołnierze; rozmawiali przez piszczyki albo oglądali coś na swoich wyświetlaczach. Pewnie oficerowie, pomyślałem. Potem było kilka rzędów pustych, aż w końcu na zajętych fotelach zobaczyłem znajomą twarz: Sammann, jak zwykle wpatrzony w swój superpiszczyk. Podniósł głowę, rozpoznał mnie, ale nie uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju, tylko pospiesznie spuścił wzrok.

W półmroku za jego plecami dostrzegłem kilka foteli z plecakami. Obok każdego z nich widniała pochylona w medytacji łysa głowa.

Zatrzymałem się tak gwałtownie, że mój własny plecak omal mnie nie pociągnął na ziemię. *No, stary durniu, chyba jednak wsiadłeś do niewłaściwego autokaru*, rozległ się głos w mojej głowie, a moje nogi prawie ruszyły do wyjścia, żeby wynieść mnie na dwór, nim kierowca zamknie drzwi i odetnie mi drogę ucieczki.

Przypomniałem sobie wtedy, że kierowca zwrócił się do mnie po imieniu i kazał mi wsiąść. Spojrzałem na Sammanna - zrobił minę cierpiętника, z którą tylko ita mógł wyglądać wiarygodnie, i wzruszył ramionami.

Rzuciłem plecak na pusty fotel i usiadłem obok, rzuciwszy wcześniej okiem na twarze Dzwoneczników. Rozpoznałem fraa Osę, pewuera; suur Vay, która pozszywała mnie do kupy żyłką wędkarską; suur Esmę, która akrobatycznym krokiem przemierzyła plac w Mahshcie, szarżując na snajpera; oraz fraa Gratha, który najpierw osłaniał mnie przed uzbrojonym wodzem gheethów, a potem go rozbroił.

Siedziałem bez ruchu. Nie wiedziałem, jak się przygotować na to, co ma nadejść - ale chciałem, żeby nadeszło jak najszybciej.

Następny do autokaru wsiadł Jesry. Zobaczył to, co ja chwilę wcześniej, i na jego twarzy odbiły się chyba te same emocje, tyle tylko że nieco słabsze: został już przecież wybrany do

lotu w kosmos, więc miał prawo spodziewać się czegoś równie wyjątkowego. Mijając mnie, dał mi kuksańca w bark.

- Cieszę się, że jesteśmy razem, mój fraa - powiedział. - Gdybym miał wyparować, to najchętniej w twoim towarzystwie.

- Masz, czego chciałeś - odparłem, wspomniawszy naszą rozmowę podczas apertu.

Niedługo potem dołączył do nas fraa Jaad. Usiadł sam, zaraz za oficerami. Skinął mi głową, odpowiedziałem mu w ten sam sposób, a kiedy usadowił się wygodnie, Dzwonecznicy zaczęli podchodzić do niego jeden po drugim i składać wyrazy uszanowania.

Do autokaru weszło dwoje itów: młoda kobieta i bardzo stary mężczyzna. Przystanęli nad Sammannem i przez kilka długich minut recytowali sobie nawzajem ciągi liczb. Kiedy zacząłem na serio snuć fantazje o trojgu itach w naszej komórce, dwójka nowo przybyłych wyszła. Więcej ich nie zobaczyliśmy.

Fraa Arsibalt stanął między fotelami z przodu pojazdu, obok kierowcy, i przez pół minuty poważnie się zastanawiał, czy nie lepiej wziąć nogi za pas. W końcu jednak wziął niewiarygodnie głęboki wdech, jakby chciał wyssać całe powietrze z autokaru, stanowczym krokiem wszedł głębiej i usiadł za Jesrym.

- Psiakrew, naprawdę mam nadzieję, że doczekam się za to witraża - mruknął.

- Może wołałbyś, żeby nazwali zakon twoim imieniem? - zaproponowałem. - Albo koncent?

- Może być. Pod warunkiem, że takie rzeczy będą jeszcze istniały na Arbre, kiedy Zstąpienie się zakończy.

- Dajże spokój, dla tamtych jesteśmy Hylaejskim Światem Teorycznym! Jak mieliby nas zniszczyć?

- Zmuszając nas do samozagłady.

- Dość tego - wtrącił się Jesry. - Arsibalcie, oficjalnie mianowałeś siebie specjalistą od morale komórki numer trzysta siedemnaście.

Jesry nie wszystko rozumiał z naszej rozmowy, zaczęliśmy mu więc pokrótce relacjonować przebieg ostatniego messalu,

kiedy do autokaru władował się Jules Verne Durand, obwieszony najróżniejszymi torbami, butelkami i koszami. Jego obecność w naszej komórce musiała być efektem jakiejś pospiesznej improwizacji: niemożliwe, żeby Ala coś dla niego zaplanowała. Na wstępie oblał się chyba zimnym potem, ale później - jeśli dobrze wyczytałem to z jego twarzy - rozpromienił się.

- Mój imiennik pękłby z dumy! - obwieścił. Przeszedł na sam tył autokaru, przedstawiając się wszystkim członkom komórki numer 317 jako Jules. - W takim towarzystwie z przyjemnością umrę z głodu.

- Niezłego musi mieć imiennika - mruknął Jesry, kiedy Jules nas minął.

- Podczas naszych rozlicznych przygód chętnie ci o nim opowiem, przyjacielu - odparł Jules, który najwyraźniej usłyszał jego uwagę. Laterryjczycy musieli mieć niezły słuch.

- Dziesięciu jest, jednego brakuje! - zawołał kierowca do kogoś, kto stał przy drzwiach.

- To komplet - zabrzmiał znajomy głos. - Jedziemy!

I do autokaru wskoczył Lio. Drzwi zamknęły się za nim z sykiem i pojazd ruszył. Lio, podobnie jak przed chwilą Jules, przeszedł przez cały autokar, utrzymując równowagę nawet na największych wybojach. Tych, których jeszcze nie znał, przywitał uściskiem dłoni; starym kompanom spod edharskiego zegara mało nie zmiażdżył żeber w uścisku; Dzwonecznikom po prostu się uklonił - chociaż zauważyłem, że fraa Ossa skłonił mu się głębiej i bardziej oficjalnie niż Lio jemu. To był dla mnie pierwszy sygnał, że Lio jest szefem naszej komórki.

Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się na aerodromie. Wojskowa eskorta bardzo przyspieszyła nasz przejazd, obeszło się też bez zbędnych formalności, sprawdzania biletów, kontroli bezpieczeństwa: wjechaliśmy przez strzeżoną bramę prosto na pas dojazdowy i zatrzymaliśmy się przy wojskowym aeroplanie transportowym, który na tę noc przystosowano do przewozu pasażerów. Oficerowie jadący z nami autokarem mieli stanowić naszą załogę. Wysiedliśmy gęsiego, przeszliśmy dziesięć kroków i

po podstawionych do burty aeroplanu schodkach weszliśmy na pokład.

Nie byłem szczęśliwy, nie byłem smutny, ale przede wszystkim wcale nie byłem zaskoczony. Teraz już doskonale rozumiałem logikę, jaką kierowała się Ala. Kiedy już pogodziła się z tym, że musi podjąć „straszną decyzję”, nie pozostało jej nic innego, jak doprowadzić plan do końca i wrzucić wszystkich, których lubi, do jednej komórki. Wiele ryzykowała: gdybyśmy wszyscy przepadli, do końca życia dręczyłyby ją wyrzuty sumienia. Ale dzięki temu zmniejszyła ryzyko, jakie my ponosiliśmy: byliśmy razem i mogliśmy sobie pomagać, a gdybyśmy zginęli, to w doborowym towarzystwie.

- Mógłbym przesłać wiadomość suur Ali? - zapytałem Sammanna, kiedy zajęliśmy miejsca, a silniki rozkręciły się na tyle, żeby zagłuszyć moje słowa. - Chciałem jej powiedzieć, że dobrze zrobiła.

- Nie ma sprawy - odparł Sammann. - Coś jeszcze? Wiesz, mam otwarty kanał...

Zastanowiłem się. Tyle mogłem jej powiedzieć. Tyle powinienem...

- Prywatny? - zapytałem.

- Bądź rozsądny.

- W takim razie nie. Nic więcej.

Sammann wzruszył ramionami i znowu zapatrzył się w piszczyk. Aeroplan gwałtownie ruszył. Zapadłem się w fotelu, namacałem w ciemności zimne części sprzączki i zapiąłem pas.

Część 11

ZSTĄPIENIE

Teglon: Niezwykle złożone zagadnienie geometryczne, które od pokoleń zaprzęta umysły teorów - najpierw w Orithenie, potem na całej Arbre. Chodzi o pokrycie dziesięciokąta foremnego płytkami o siedmiu różnych kształtach, zgodnie z pewnymi dodatkowymi obwarowaniami.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Czerwone światło obudziło mnie - a właściwie w ogóle nie dało mi zasnąć. Nie była to czysta, krwawa czerwień sygnałów alarmowych, tylko ciepła, rozmyta, różowopomarańczowa poświata. Wpadała przez małe i nieliczne okna aeroplanu. Rozpiąłem pas, podszedłem do najbliższego (na sztywnych nogach, bo jakoś źle się ułożyłem i wszystkie kończyny miałem teraz odrętwiałe i mrowiące) i mrużąc oczy, zacząłem podziwiać przepiękny wschód słońca nad tym samym lodowym krajobrazem, który niedawno przemierzałem saniami.

Trochę kręciło mi się w głowie i przez minutę żywiłem zwariowaną nadzieję, że z jakiegoś powodu wracamy na Ecbę. Nie umiałem jednak dopasować widzianych w dole gór i lodowców do obrazów, jakie zapamiętałem z podróży. Z przyzwyczajenia poszukałem wzrokiem Sammanna, który pewnie mógłby mi pokazać jakąś mapę, ale siedział obok Julesa Verne Duranda. Obaj mieli słuchawki. Sammann tylko słuchał, Jules na przemian słuchał i mówił - znacznie częściej mówił; czasem rysował coś na pieszku Sammanna, a ten wysyłał obraz gdzieś dalej.

Zirytował mnie ten widok. Obecność Laterryjczyka w komórce numer 317 była jak medal, który ktoś przypiął nam do piersi. Dzięki niemu wiedzieliśmy i mogliśmy zrobić więcej niż inne komórki. Nie przewidziałem jednak, że przy okazji dostaniemy też bezprzewodowe łącze do Retikulum, które wyda Julesa na pastwę wszystkich gryzipiórków, którzy akurat będą mieli ochotę go o coś zapytać; zamierzali wyciągnąć z niego ile się da, zanim padnie z głodu. Hałas w aeroplanie zagłuszał słowa, ale zorientowałem się, że przesłuchanie trwa już dłuższy czas i Jules jest zmęczony: miotał się w poszukiwaniu słów, przerywał w pół zdania, cofał się, poprawiał frazeologię. Orth jest piekielnie trudnym językiem i fakt, że Jules mówił nim tak dobrze, zakrawał na cud. Zwłaszcza że uczył się go najdalej od dwóch lat, bo od tak dawna, według naszych wyliczeń, Geometry mogli odbierać sygnały z Arbre. Albo Laterryjczycy byli bystrzejsi od nas, albo sam Jules miał nieprzeciętny talent.

Arсібalt też wstał i spacerował między fotelami. Dołączył

do mnie przy oknie i zaczęliśmy pokrzykiwać do siebie. Połączywszy swoją wiedzę geograficzną, przekonaliśmy siebie samych, że oddalamy się od bieguna po jakimś bardziej wschodnim południku niż ten przechodzący przez Ecbę. Nasze podejrzenia się potwierdziły, gdy najpierw skończył się lód, potem tundra, i znaleźliśmy się nad obszarami łąd, gdzie klimat był bardziej umiarkowany: zobaczyliśmy spore połacie lasów i bardzo niewiele miast.

Nie dziwiłem się ludziom, że nie chce im się wstawać: przeskoczyliśmy ponad pół tuzina stref czasowych. Ja wprawdzie wmówiłem sobie, że przespałem całą noc, ale w rzeczywistości chyba nie zmrużyłem oka.

Pamiętałem, że Lio siedział sam z przodu i próbował się zaprzyjaźnić z wojskowym piszczkiem. Widząc, że go odłożył, przysiadłem się do niego.

- Zakłócają - poinformował mnie.

Obejrzałem się na Sammanna i Julesa: właśnie zdejmowali słuchawki. Widząc, że na nich patrzę, Sammann rozłożył ręce i zniesmaczony pokręcił głową. Julesowi chyba ulżyło, że został odcięty od Retu: osunął się ciężko w fotelu, zamknął oczy, przetarł twarz i zaczął sobie masować skórę głowy.

- To chyba było do przewidzenia - powiedziałem do Lio.

On jednak wpadł w jeden z tych swoich Lio-transów, w których nie reagował na słowa. Chwyciłem piszczek, wyrzuciłem go nim w ramię, rozłożyłem ręce, wyrzuciłem zabawkę. Lio przyglądał mi się z zainteresowaniem, a na koniec się uśmiechnął.

- Itowie potrafią podpiąć się do Retikulum przez łącza naziemne - powiedział. - Kiedy się zatrzymamy, znowu nas podłączą.

- Jakie masz rozkazy? - zapytałem.

- Przyciąć się, co właśnie robimy. Podobnie jak wszystkie inne komórki.

- Co potem?

- W miejscu, do którego się udajemy, będzie na nas czekał sprzęt. Mamy na nim ćwiczyć.

- Jaki sprzęt?

- Nie wiem, ale dam ci pewną wskazówkę: Jesry ma prowadzić szkolenie.

Spojrzałem na Jesry'ego, który zajął cały rząd foteli, usiadł na środkowym i obudował się amfiteatrem z papierów. Dawno się nauczyłem, że kiedy koncentruje się na czymś tak jak w tej chwili, nie należy mu przeszkadzać.

- Polecimy w kosmos - domyśliłem się.

- No właśnie... W tym kłopot.

Postanowiłem wykorzystać wszechobecny hałas i fakt, że straciliśmy łączność.

- Jakież wieści na temat megazabójców? - zagadnąłem.

Lio zrobił taką minę, jakby miał pierwsze objawy choroby lokomocyjnej.

- Mógłbym ci chyba powiedzieć, jak działały.

- No to słucham.

Udał, że uderza mnie pięścią w twarz, ale powstrzymał cios w ostatniej chwili, tak że jego knykcie tylko musnęły mój policzek.

- Przemoc sprowadza się najczęściej do przekazania energii. Pięści, pałki, miecze, kule, promienie śmierci... Wszystkie mają jeden cel: zwalić na ciało ofiary ładunek energetyczny.

- A trucizna?

- Powiedziałem „najczęściej”, więc nie baw się w Kefedokhlesa. Jakie najpotężniejsze źródło skoncentrowanej energii było znane na Arbre w okresie Straszliwych Wypadków?

- Rozszczepienie jąder atomowych.

Lio skinął głową.

- Którego najgłupszym sposobem wykorzystania było rozszczepienie mnóstwa jąder nad miastem i wypalenie wszystkiego do gołej ziemi. Skuteczne, ale niechlujne, i w dodatku niszczy mnóstwo rzeczy, których wcale nie trzeba niszczyć. Lepiej pozbyć się samych ludzi.

- Jak to zrobić?

- Ilość materiału rozszczepialnego niezbędna do zabicia

człowieka jest mikroskopijna, więc problem sprowadza się do dostarczenia go właściwym ludziom.

- Coś w rodzaju brudnej bomby?

- Tak, ale projektanci megazabójców załatwili to o wiele bardziej elegancko. Zbudowali reaktor wielkości łebka od szpilki: maleńki mechanizm z ruchomymi częściami i kilkoma rodzajami materiału nuklearnego. Dopóki nie zostanie włączony, jest w zasadzie nieszkodliwy: mógłbyś jeść takie łyżkami i nie pochorowałbyś się bardziej niż po zbożowych ciasteczkach suur Efemuli. Za to po uaktywnieniu siebie neutronami na wszystkie strony i zabija... no, wszystko, co żywe, w promieniu do pół mili. Dokładny zasięg zależy od czasu napromieniowania.

- To wyjaśnia nazwę. Jaki jest mechanizm dostarczania megazabójców?

- Jaki sobie tylko wymarzysz.

- A co je aktywuje?

Lio wzruszył ramionami.

- Ciepłota ciała. Oddychanie. Dźwięk głosu. Zegar. Określona sekwencja genetyczna. Transmisja radiowa. Brak transmisji radiowej. Mam wymieniać dalej?

- Nie. Jakie sposoby dostarczenia i aktywatory rozważa w tej chwili państwo sekularne?

Lio zapatrzył się w dal.

- Nie zapominaj, że wystrzelenie większej masy w kosmos jest kosztowne. Zamiast jednego człowieka można by posłać na orbitę tysiące megazabójców, którzy na dodatek są tak mali, że nie widać ich na radarze. A gdyby choć niewielka ich część dotarła w pobliże *Daban Urnuda*...

- Rozumiem tę strategię, ale prowadzi ona do obrzydliwej konkluzji...

- Czy to właśnie my zostaniemy poproszeni o ich przewiezienie? Nie sądzę. Będziemy co najwyżej robić dywersję.

- Czyli odwracać ich uwagę - przetłumaczyłem sobie. - A megazabójcy zostaną dostarczeni na miejsce w inny sposób.

Lio skinął głową.

- Pociuszające - powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

- Mogę się mylić - zauważył.

Miałem ochotę wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza, ale ograniczyłem się do paru rundek tam i z powrotem w przejściu między fotelami. Jules Verne Durand zasnął, siedzący obok niego Sammann pochylił się nad piszczeniem...

Zaraz, przecież ktoś zagłuszał sygnał, prawda? Zająrzałem mu przez ramię i stwierdziłem, że po prostu coś liczy.

Kiedy zająrzałem przez ramię Jesry'emu, okazało się, że faktycznie czyta instrukcję obsługi skafandra kosmicznego. Dla pewności spojrzełem jeszcze raz: nie, nie pomyliłem się. Siedząca po sąsiedzku suur Vay przeglądała podobne dokumenty, od czasu do czasu wymieniając się nimi z Jesrym. Inni Dzwonecznicy spali. Fraa Jaad nie spał i śpiewał, chociaż trudno było odróżnić jego burdon od miarowego buczenia silników. Wróciłem do wyglądania przez okno.

Przecieliśmy na skos pasmo starych, zerodowanych gór i znaleźliśmy się nad rozpościerającą się po horyzont płaszczyzną: zbrązowiałym w letnim słońcu trawiastym stepem. Aeroplan zniżał lot. Błysnęła rzeka i wlecieliśmy nad przemysłowe obrzeża średniej wielkości miasta. Wylądowaliśmy w ciągnącej się bez końca bazie wojskowej: płaskich terenów nie brakowało i nie było potrzeby ograniczać się w ich wykorzystywaniu.

Przyjechał po nas wojskowy drumon z plandeką. Nie mieliśmy okien, nie mogliśmy też wyjrzeć do przodu, więc tylko przez otwarty tył wozu oglądaliśmy ulice stareńkiego, niezbyt zamożnego miasta, rozgałęziające się na boki w tumanach wzbijanego przez nas kurzu. Na ulicach częściej niż gdzie indziej widywało się zwierzęta (juczne i pociągowe) i więcej ludzi przenoszących ładunki, które w innych miejscach powierzono by pojazdom. W pewnym momencie zabudowa zagęściła się i postarzała, żółte cegły pokrył deseń wielobarwnych płytek ceramicznych i ciężki cień przesunął się nam nad głowami, jak w czasie bombardowania - nie był to jednak aeroplan, tylko brama w

grubym murze. Kolejne bramy zatrzaśkiwały się za nami i zamykały na sztaby, aż w końcu nasz pojazd zatrzymał się na wyłożonym kafelkami placu. Wygramoliliśmy się z drumonu na dziedziniec wiekowego czterokondygnacyjnego budynku: kamień, cegła i kute żelazo, łagodzone kaskadami kwitnącej winorośli, o pniach grubych jak moja talia. Szemrząca pośrodku placyku fontanna dostarczała wody winorośli i karłowatym drzewkom owocowym rosnącym w donicach i rzucającym miłe plamy cienia na plac, który bez nich byłby nieprzyjemnym przystankiem.

- Witam w karawanseraju Elkhazg - zabrzmiał głos.

Spojrzeliśmy w kierunku, z którego dobiegał, i zobaczyliśmy stojącego w cieniu drzewka starego mężczyznę. Nie pasował do tego miejsca: należał do grupy etnicznej, którą kojarzyliśmy raczej z innymi rejonami Arbre. Doskonale mówił po orthyjsku.

- Jestem Sukcesorem - ciągnął. - Nazywam się Magnath Foral i z przyjemnością będę waszym gospodarzem.

Po oficjalnej prezentacji Magnath Foral opowiedział nam pokrótce historię Elkhazgu. Nawet nie starałem się go słuchać: wystarczyło mi kilka słów kluczowych, żebym odtworzył to, czego jako fid uczyłem się o tym miejscu. Był to jeden z najstarszych cartaskich matemów, założony przez fraa i suur oglądających na własne oczy upadek Bazu i osobiście znających Matkę Cartas. Przemierzyli lasy i góry, żeby założyć ten matem na pustkowiu, nad zakolem starorzecza, kilka mil od nowego koryta rzeki. Nieopodal rzekę przecinał stary trakt handlowy: był na tyle blisko, żeby w razie potrzeby można było z kimś zahandlować, a zarazem dostatecznie daleko, żeby nie przeszkadzał i nie zagrażał matemowi. Setki lat później surowa zima i następująca po niej burzliwa wiosna przełamały kilka wiekowych lodowych zapór, zmieniły bieg rzeki i starorzecze znowu stało się jej korytem. Szlak handlowy dostosował się i uznał Elkhazg za najdogodniejsze miejsce do jej przekraczania - także dlatego, że przez ten czas wokół matemu wyrosła stabilna i całkiem zamożna osada sekularna.

Niektórzy deklaranci porzuciliby taki matem i udali się na poszukiwanie bardziej odludnego miejsca (zapewne gdzieś w głębi gór), ale mieszkańcy Elkhazgu byli inni. Zwrócili uwagę, że towary przenoszone przez rzekę na grzbietach jucznych zwierząt nie ograniczają się do tkanin, futer i przypraw, lecz zawierają także księgi i zwoje. Poszli na kompromis, na wieść o którym Matka Cartas zważyła kopniakiem pokrywę swojego chalcedonowego sarkofagu i rzuciła się na nich z obtłuczoną butelką: otworzyli przy matemie dobrze prosperujący karawanseraj i zorganizowali przeprawę promową przez rzekę. Za korzystanie z nich pobierali myto w jednej tylko postaci: ich fraa i suur mieli prawo skopiować każdą przewożoną tędy księgę i każdy zwój, nawet takie, których treści nie rozumieli. Z czasem zaczęli nieco szerzej interpretować zapisy umowy i zabrali się do kopiowania wzorów geometrycznych na materiałach, naczyniach i innych towarach - mieszkańcy Elkhazgu w sposób szczególnie interesowali się bowiem geometrią płaszczyzny i tesselacją. Zamiast wdawać się w tym miejscu w szczegóły, dość będzie stwierdzić, że w powszechnej opinii teorów Elkhazg zaczął się na stałe kojarzyć z zagadnieniami z dziedziny parkietażu. Ważnym kształtom kafelków i twierdzeniom opisującym ich właściwości nadawano nazwy upamiętniające nie tylko mieszkańców Elkhazgu, ale nawet niektóre jego ściany i posadzki.

Elkhazg nie był już matemem. W okresie Odrodzenia jego biblioteka została rozproszona po całym świecie, a sam gmach trafił w prywatne ręce, i podczas Rekonstrukcji nie odtworzono tu matemu. Został przejęty (Magnath Foral nie powiedział tego wprost, ale nietrudno było się domyślić) przez starą instytucję finansową, podobną (jeśli nie tożsamą) do tej, która zarządzała Ecbą.

Fraa Jaad darował sobie wstępy i zniknął na sąsiednim dziedzińcu. Elkhazg był dawniej zamożny i jego podwórka ciągnęły się bez końca. Teraz pewnie stał się rozległą czarną dziurą na mapie ilustrującej gęstość zaludnienia w mieście, ponieważ mieszkali w nim tylko Magnath Foral z drugim

mężczyzną, z którym wiązał go romans; przyjezdni deklaranci (wczoraj ich odesłano); oraz opiekujący się karawanserajem zespół dozorców-kustoszków. Kłopot z tego rodzaju sztuką, z jakiej słynął Elkhazg - mozaikami na ścianach - polegał bowiem na tym, że jej arcydzieł nie dało się przetransportować do muzeum.

Mój mózg powinien się pomału wyłączać, ponieważ od czasu eksperymentu ze szpadłem nie miałem ani chwili wytchnienia, a diabelnie dużo się przez ten czas wydarzyło. Wnętrza Elkhazgu wyglądały wprost oszalamiająco (nie tylko dlatego, że wiedziałem, iż każda mozaika, każde skomplikowane, hipnotyzujące dzieło sztuki wyraża ważne twierdzenie teoryczne); zdawało się, że krzyczą do mnie w języku, którego ze zmęczenia - albo z głupoty - nie rozumiałem. Działy jak zastrzyk z fikochwastu: przyspieszały moje popadnięcie w obłąd, ale przez najbliższą godzinę mogłem jeszcze w miarę normalnie funkcjonować. Kiedy zamykałem oczy, żeby chociaż na chwilę odetchnąć od tej przytłaczającej wspaniałości, z ciemności wypełzały pytania. Fakt, że nasz gospodarz nosił to samo nazwisko co pani sekretarz, był bez wątpienia intrygujący. Czy to przypadek, że komórka numer 317 wylądowała akurat w Elkhazgu? Na pewno nie. Co to oznacza? Trudno powiedzieć. Czy w ogóle jest sens się teraz tym zajmować? Nie. Równie dobrze mógłbym próbować pojąć znaczenie parkietaży pokrywających wszystkie otaczające mnie powierzchnie, zakradających mi się pod powieki i napierających na mózg.

Jeden z dziedzińców przedstawiał - jakżeby inaczej - Dziesięciokąt. Fraa Jaad już go znalazł. Ktoś - może dawny mistrz geometrii, a może jakiś syntakt - rozwiązał na nim teglon. Nikt z nas nie widział wcześniej pełnego rozwiązania, więc przez chwilę gapiliśmy się na nie z rozdziawionymi ustami. Na obwodzie dziedzińca stały kosze z zapasowymi kafelkami do teglonu, w różnych kolorach. Fraa Jaad szturchnął jedną taką płytkę nogą. Przyszło mi do głowy, że nigdy nie widziałem, żeby spał; może tysiącniczy odpoczywali w inny sposób?

Zostawiliśmy go sam na sam z teglonem. Magnath Foral

zaprowadził nas do Starej Klauzury, nie przebudowywanej od pięciu tysięcy lat - czyli w szczególności pozbawionej prądu i kanalizacji. Każdy dostał osobną celę: ja w swojej zastałem łóżko i całą masę kafelków. Zamknąłem niewiarygodnie stare i sfatygowane okiennice, żeby nie widzieć kafelków i nie musieć o nich myśleć, i na klęczkach, po omacku trafiłem do łóżka.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - zagadnął mnie Arsibalt, kiedy obaj się obudziliśmy. - U nas czegoś takiego nie ma.

- U nas, to znaczy...

- W nowoczesnym świecie matematycznym, po Rekonstrukcji.

- A czego nie ma?

Arsibalt rozłożył ręce i rozejrzał się znacząco, jakby mówił *Co ty, ślepy jesteś?!*

Staliśmy przy stole ustawionym we wnęce na parterze karawanseraju. Przed nami rozpościerała się klauzura pokryta tysiącami identycznych rogatych, dziewięciokątnych kafelków, ułożonych z maszynową precyzją w nieokresową podwójną spiralę. Od samego patrzenia na nią dostawałem choroby lokomocyjnej. Odwróciłem się więc do niej plecami i spojrzałem na leżący na stole bochenek chleba - tak świeży, że z miejsca po odkrojonej piętce (którą zaopiekował się już Arsibalt, sławny złodziej piątek) buchała aromatyczna para. Chleb składał się z kilku warkoczy ciasta, przeplecionych w nietrywialny sposób i tworzących wzór, który, obawiałem się, miał głęboką wymowę teoryczną i nosił imię jakiegoś Elkhazgijskiego saunta.

- Nie mamy nic, co byłoby takie stare - wyjaśnił Arsibalt z ustami pełnymi chrupiącej skórki. - Takie... fantastyczne.

- Maternity miały różne sposoby na Nieskałanie. - Odlamałem sobie kawałek chleba i usiadłem przy stole, oczywiście starym i intarsjowanym precyzyjnie przyciętymi

kawałkami egzotycznego drewna. - Niektóre po prostu przestały być matkami.

- I w ten sposób uniknęły Łupieży.

- Otóż to.

- Ale jakiego rodzaju twór może coś mieć na własność przez cztery tysiące lat?

- To samo pytanie zadawałem sobie na Ecbie.

- Czyli mnie wyprzedzasz, fraa Erasmasie.

- Chyba można by to tak ująć.

- Do jakich wniosków doszedłeś?

Dla zyskania na czasie żułem spokojnie chleb - który, nawiasem mówiąc, był chyba najsmaczniejszym chlebem, jaki w życiu jadłem.

- Że nic mnie to nie obchodzi - odparłem w końcu. - Nie interesują mnie reguły, drzewo genealogiczne, dokumenty finansowe i nudna historia Dynastii.

Arsibalt spojrział na mnie ze zgrozą.

- Jak możesz nie odczuwać fascynacji...

- Odczuwam. Na tym polega problem. Cierpię na przesył fascynacją. Wypaliłem się i teraz ze wszystkich fascynujących spraw mogę wybrać jedną, najwyżej dwie.

- No to chyba mam kandydatkę - odezwał się Sammann.

Wszedł do klauzury z sąsiedniego dziedzińca, skąd, jak się domyśliłem, mógł się łączyć z Retikulum. Usiadł obok mnie i położył piszczyk na stole. Ekran wypełniały obliczenia, nad którymi ślęczał w aeroplanie.

- Chronologia - wyjaśnił. - Jules twierdzi, że od czasu, gdy *Daban Urnud* wyruszył w pierwszą podróż międzykosmiczną, upłynęło osiemset osiemdziesiąt pięć i pół roku.

- Według czyjej rachuby? - zainteresował się Jesry.

Zwabiony zapachem chleba, zbiegł po schodach, rzucił się na bochenek jak zapaśnik na przeciwnika i wyszarpnął solidny kawał.

- Oto jest pytanie. - Sammann wyszczerzył w uśmiechu zęby. Arsibalt wypatrzył stojący na kredensie dzbanek z wodą i

zaczął ją nalewać do glinianych kubków ozdobionych geometrycznymi deseniami.

- Jeżeli rok na Urnudzcie jest podobny do naszego, to jest to szmat czasu - powiedziałem. - Dzięki, Arsibaltcie.

- Urnudzcy, najpierw sami, a potem z Troanami, długo wędrowali między kolejnymi Zstąpieniami. Zdaniem Julesa może to tłumaczyć ich nerwowość.

- Gdybyśmy znali przelicznik... - wtrącił Jesry tonem, który dawał do zrozumienia *Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę wam na dygresje!*

- Właśnie nad tym pracuję. - Sammann skinieniem głowy podziękował Arsibaltowi i pociągnął łyk wody. Klimat Elkhazgu wysysał z człowieka całą wilgoć. - Kłopot w tym, że Jules jest lingwistą i niezbyt się tym interesował. Zna chronologię wydarzeń według urnudzkiej rachuby, bo traktują ją jako standard, ale nie ma pojęcia o konwersji na lata arbryjskie. Udało mi się na podstawie pewnych tropów...

- Jakich tropów? - spytał Jesry.

- Kiedy my byliśmy zajęci ewakuacją Tredegarha, oddział Dzwoneczników zrobił rewizję w kwaterach rzekomych matarrhitów. Zdobyli sporo dokumentów i syntaktów, których ci z Urnuda i Tro nie zdążyli zniszczyć. Moi rodacy jeszcze nie zwirtualizowali syntaktów... Nieważne. Część dokumentów jest datowana na modłę urnudzką. Niektóre można odnieść do znanych nam niedawnych wydarzeń i porównać kalendarze.

- Zaraz, zaraz... - odezwał się Arsibalt. - Jakim cudem możemy w ogóle odczytać urnudzkie dokumenty?

- Nie możemy, ale kryptograf od razu zorientuje się, że wiele z nich ma taki sam format, włącznie z ciągiem znaków, który należy interpretować jako znacznik czasu. A do transkrypcji nazw własnych Urnudzcy stosują specjalny alfabet fonetyczny: wyciągają go z lamusa na każdej nowej planecie. Rozszyfrowanie go jest banalnie proste. Jeśli więc znajdujemy dokument z występującym w nim imieniem Jesry'ego oraz jego loktora z plenum...

- Możemy się domyślać, że jest to sprawozdanie z plenum, w którym wziąłem udział po powrocie z kosmosu - dokończył Jesry. - A ponieważ znamy arbryjską datę tego wydarzenia... Rzeczywiście, taki zestaw danych pozwoliłby w przybliżeniu oszacować wartość przelicznika z kalendarza arbryjskiego na urnudzki.

- No właśnie - przytaknął Sammann. - Uwzględniając margines błędu, powiedziałbym, że Urnudczycy rozpoczęli podróż międzykosmiczną dziewięćset dziesięć arbryjskich lat temu. Plus minus dwadzieścia lat.

- Czyli między osiemset dziewięćdziesiąt a dziewięćset trzydzieści lat temu - powiedziałem po ludzku.

Na tym wyczerpał się mój poranny talent arytmetyczny. Sammann wpatrywał się we mnie natargiwie, jakby chciał mnie zmusić do przebudzenia i zrobienia następnego kroku, ale rachunki nigdy nie były moją mocną stroną. Zwłaszcza publiczne.

- Czyli między dwa tysiące siedemset sześćdziesiątym i dwa tysiące osiemsetnym p.r. - zabrzmiał nowy głos.

To Lio szedł przez klauzurę w towarzystwie Julesa Verne Duranda. Nie wyglądali na dopiero co ściągniętych z łóżka: Lio musiał już od jakiegoś czasu zasypywać Julesa pytaniami.

- No właśnie! - wykrzyknął Sammann. - Trzecia Łupież!

Jeden z ludzi Magnatha Forala przyniósł nam olbrzymią misę obranych i pokrojonych owoców. Nakładał je do misek, które podawaliśmy sobie w kółku.

Jules odłamał kawałek chleba i zaczął jeść, czym w pierwszej chwili mnie zaskoczył: nie mógł przecież czerpać z niego żadnych wartości odżywczych. Pomyślałem jednak, że zapełnienie żołądka pomoże mu znieść głód.

- Nie, no, chwileczkę... - odezwał się Jesry. - Dopatrujesz się tam związku przyczynowo-skutkowego? Sugerujesz, że Urnudczycy wyruszyli w drogę z powodu wydarzeń na Arbre?!

- Twierdzą tylko, że jest to zbieg okoliczności, z którym warto zapoznać się bliżej.

Mysleliśmy, jedząc. Ponieważ zacząłem jeść wcześniej niż

inni, streściłem Jesry'emu, Lio oraz innym nieorientowanym (w tym trojgu Dzwonecznikom) dyskusję z Messalu Wielości Świątów o Knocie i o tym, że dla innych świątów, na przykład dla Urnuda, Arbre może być HŚT. Potem spóźnialscy musieli jeszcze nadrobić braki w bieżącej konwersacji, więc rozmowa przez pierwsze minuty rozłączyła się, zapętała i dreptała w miejscu.

- Zgodnie z tym scenariuszem informacja rzeczywiście mogłaby przepłynąć z Arbre do Urnuda - podsumował Jesry na tyle głośno, że wszyscy ucichli i zaczęli go słuchać. - Dlaczego jednak Trzecia Łupież miałaby spowodować akurat taką reakcję urnudzkiego kapitana?

- Pamiętaj, fraa Jesry, że Sammann zastrzegł sobie pewien margines błędu - przypomniał Arsibalt. - Impuls do działania mogło im dać dowolne zdarzenie, do jakiego doszło na Arbre w ciągu czterech dekad poprzedzających rok dwa tysiące osiemsetny, włącznie z...

- Włącznie z tymi, które doprowadziły do Trzeciej Łupieży - wypaliłem.

Cisza. Zakłopotanie. Spuszczony wzrok. Tylko Jules Verne Durand wpatrywał się we mnie i kiwał głową. Przypomniałem sobie, jak drażył niewygodne tematy podczas messali, i postanowiłem się tym podeprzeć.

- Mam dość tego owijania w bawełnę - ciągnąłem. - Fakty mówią same za siebie. Fraa Clathrand z Edhara był wierzchołkiem góry lodowej. W tamtych czasach deklaranci masowo, całymi tysiącami, proceńczycy i halikaarnijczycy, zaangażowali się w opracowanie jakiejś nowej praksis. Trudno dziś stwierdzić, do czego była zdolna, ale historia dinozaura z parkingu pokazuje, co się mogło stać, kiedy ktoś popełnił błąd. Wiemy, co na jej temat myśleli sekularowicze; wiemy, jak zareagowali. Zapiski zostały zniszczone, twórcy praksis zmasakrowani, ocalały tylko Trzy Nieskalane. Nie wiemy, co od tamtej pory knują ludzie w rodzaju fraa Jaada, ale założę się, że hołubią tamte stare idee...

- Podtrzymują ogień! - zawołał Lio.

- No właśnie. Coś, co zrobili około roku dwa tysiące

siedemset sześćdziesiątego, u szczytu rozwoju praksis, wysłało przez Knot sygnał, który w jakiś sposób został rozpoznany przez teorii na Urnudzie.

- I ściągnął ich tutaj, tak? - upewnił się Lio. - Jak dzwonek wzywający na obiad.

- Jak zapach tego chleba.

- Może nie sam zapach nas tu sprowadził, fraa Erasmasie - odezwał się Arsibalt. - Może niektórych zwabiły odgłosy rozmowy: niedosłyszane słowa, niezrozumiałe z większej odległości, ale wystarczające, żeby wzbudzić zainteresowanie każdej świadomej istoty w zasięgu słuchu.

- Myślisz, że tak samo było z urnudzkimi teorami na statku? - powiedziałem. - Że w taki właśnie sposób odebrali... nie wiem, jak to nazwać... emanacje? Wibracje? Sygnały? Przenikające po Knocie z Arbre?

- Właśnie.

Wszyscy spojrzeliśmy na Julesa. Wyjął on ze swojej torby trochę laterryjskiego jedzenia i, nasyciwszy głód zapychaczem, którego nie mógł strawić, pojadał teraz po odrobinie pokarm, z którego jego ciało mogło czerpać energię. Widząc, że patrzymy na niego pytająco, wzruszył ramionami i przełknął.

- Na waszym miejscu nie spodziewałbym się odpowiedzi ze strony Piedestału. Dziewięćset lat temu na statku wśród Urnudczyków z pewnością dominowali racjonalnie rozumujący teorie, ale podczas długiej i mrocznej wędrówki coraz bardziej upodobniali się do kapłanów kultu religijnego. Im bliżej boga się znajdują, tym bardziej się go boją.

- Może udałoby się ich uspokoić, pokazując im, że wcale nie są tak blisko, jak im się wydaje? - zaproponował Jesry.

- To znaczy? - zapytał Jules.

- Fraa Jaad potrafi być bardzo interesujący i w ogóle, ale na boga nie wygląda. Nawet na proroka. Cokolwiek robi, kiedy przez całą noc śpiewa albo gra w teglon, nie ma to chyba nic wspólnego z boskością. Wydaje mi się, że po prostu odbiera sygnały spływające na Arbre z jakiegoś miejsca położonego wyżej na

Knocie.

Poza fraa Jaadem wszyscy już zeszli na dół i zjedli. Znaleźliśmy go siedzącego na środku Dziesięciokąta i zjadającego podane przez personel karawanseraju śniadanie. Dziesięciokąt się zmienił. Kiedy przechodziliśmy po nim wczoraj, był wyłożony ciemnobrązowymi płytkami wielkości dłoni, w których był wyrzeźbiony rowek - taki sam jak w płytkach, którymi bawiłem się w Orithenie, tyle że w Elkhazgu kafelki były znacznie mniejsze. Rowek biegł nieprzerwanie od jednego wierzchołka do drugiego, przeciwległego; nie sprawdziłem tego dokładnie, ale zakładałem, że mam przed oczami poprawne rozwiązanie. Dla tych, którzy chcieliby spróbować swoich sił, na obrzeżu Dziesięciokąta ustawiono kosze z płytkami pokrytymi białą glazurą, z czarnymi liniami zamiast rowków. Teraz zaś kosze były puste, a fraa Jaad pałaszował śniadanie, siedząc na środku idealnie białej płaszczyzny ozdobionej krętą czarną linią. Przez noc wykafelkował cały dziedziniec.

Kiedy to do nas dotarło, zaczęły się oklaski i wiwaty; Arsibalt i Jesry pokrzykiwali jak na meczu piłkarskim; Dzwonecznicy stanęli przed fraa Jaadem i bardzo nisko mu się uklonili.

Wiedziony ciekawością, cofnąłem się na skraj Dziesięciokąta i zszedłem z niego na leżący kilka cali niżej chodnik dookoła dziedzińca. Przykucnąłem, podniosłem jedną z płytek położonych przez fraa Jaada i odsłoniłem kawałek brązowego parkietu pod spodem. Tak jak przypuszczałem, fraa Jaad znalazł zupełnie nowe rozwiązanie teglonu: układ starych brązowych kafelków różnił się od układu nowych, białych.

- To już czwarty - usłyszałem cichy głos.

Podniosłem głowę. Magnath Foral patrzył na mnie i skinieniem głowy wskazał trzymany przeze mnie kafelek. Obejrzałem dokładniej krawędź Dziesięciokąta: pod warstwą brązowych kafelków znajdowały się zielone, a pod nimi rudobrązowe.

- Chyba będziecie musieli wypalić nowy komplet -

powiedziałem.

Foral skinął głową.

- Nie ma pośpiechu - odparł beznamiętnie.

Odłożyłem biały kafelek na miejsce, wstałem i wszedłem na Dziesięciokąt. Zadarłem głowę i spojrzałem w niebo.

- Myślisz, że zauważyli? - zapytałem.

Magnath Foral zamyślił się. Nie odpowiedział.

Komórka numer 317 zebrała się na dziedzińcu, którego dzień wcześniej nie oglądałem: był okrągły i osłonięty od góry liśćmi, jak żywa altana. Mieszkańcy Elkhazgu wyhodowali pół tuzina olbrzymich krzewów winnych w taki sposób, że spotkały się i splotły pięćdziesiąt stóp nad powierzchnią gruntu, tworząc mocną kopułę ze splątanych ulistnionych gałązek. Wpadające przez nie snopy światła rozjaśniały chłodną przestrzeń w dole, z góry zaś kopuła wyglądała jak lite zielone sklepienie upstrzone plamkami innych kolorów. Dookoła podwórka stały palety z tajemniczym, ale - na oko - kosztownym wyposażeniem. Resztę poranka zajęło nam ich rozpakowanie, wyrzucenie opakowań i sporządzenie spisu: bezmyślna robota, której rozpaczliwie potrzebowaliśmy.

Sprzęt jednoznacznie sugerował, że czeka nas lot w przestrzeń kosmiczną. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ciężaru stanowiły opakowania: z pięknych dwudziestofuntowych skrzynek wyjmowaliśmy gadzety ważące tyle, co suszone kwiaty. Były wśród nich prawie nieważkie grafitowe skafandry.

- To dobry pomysł - uspokajał mnie Jesry. - W nieważkości zawój nie opadałby pod własnym ciężarem, co nie wyglądałoby najlepiej, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Mów za siebie. Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

- Jeżeli dostaniesz mdłości, a na pewno dostaniesz, będziesz rzygał przez trzy dni. Potem albo ci się polepszy, albo się przyzwyczaisz, nie jestem pewien.

- Myślisz, że będziemy mieli aż trzy dni?

- Gdyby chcieli wysłać kogoś tylko dla odwrócenia uwagi tamtych...

- Czyli do odstrzału, tak?
- No tak... Toby posłali proceńczyków.

Do naszej rozmowy włączali się inni członkowie komórki, w tym także Dzwonecznicy, którzy nie rozumieli żartów Jesry'ego. Jesry odchrząknął i zawołał do Lio:

- Co robimy, mój fraa?!

Lio wskoczył na przykrytą płachtą paletę. Rozmowy ucichły.

- Na razie nie wiemy, na czym ma polegać nasza misja. Nie znamy jej celu. Po prostu musimy się tam dostać i już.

- Tam? - powtórzył Jules. - To znaczy gdzie?

- Na tego *Daban Urnuda*.

Zamieniliśmy się w słuch. Wszyscy się rozpromienili, nawet Jules.

- Jedzenie... Przybywam!

- Jak mamy się dostać na pokład ciężko uzbrojonego... - zaczął Arsibalt.

- Na razie nam tego nie powiedziano - wszedł mu w słowo Lio. - I dobrze, bo już sam start będzie wystarczająco trudny. Nie możemy korzystać ze znanych platform startowych: należy oczekiwać, że Piedestał je zesztabuje, gdy tylko zauważy jakieś przygotowania. To oznacza również, że nie możemy użyć standardowych rakiet, ponieważ są one przystosowane do wystrzeliwania z tych właśnie platform. Z tego wynika, że nie możemy polecieć żadnym standardowym statkiem kosmicznym, chociażby takim, jakim podróżowałaś ty, Jesry, ponieważ standardowe statki mogą być wynoszone w kosmos wyłącznie za pomocą wyżej wspomnianych rakiet. Jest jednak inne rozwiązanie. Podczas ostatniej wielkiej wojny skonstruowano rodzinę pocisków balistycznych, które wykorzystują łatwe w przechowywaniu paliwo i startują z ruchomych wyrzutni na gąsienicach.

- To na nic. - Jesry pokręcił głową. - Pocisk balistyczny nie wynosi ładunku na orbitę, tylko po prostu przerzuca głowicę bojową na drugą stronę globu.

- Przypuścimy jednak, że wymontujemy tę głowicę i

zastąpimy ją czymś takim.

Lio zeskoczył z palety, chwycił rąbek płachty, napiął mięśnie i zerwał ją jednym silnym ruchem ramion i bioder. Odsłonił w ten sposób przyrząd niewiele większy niż duży sprzęt używany w gospodarstwie domowym. Yul, gdyby był wśród nas, mógłby go opisać jako „pawilon nasadzony na agregat spawalniczy”, tylko że ten „pawilon” był wyjątkowo mały - chociaż, jak zademonstrował Lio, mieścił jedną dorosłą osobę, skuloną w pozycji płodowej. Soczewkowaty dach z warstw sprasowanej blachy był powleczone jakimś twardym pokryciem ochronnym i wspierał się na czterech łapach: chudych kratownicowych podporach, trójkątnych w przekroju i trochę przypominających miniaturowe maszty radiowe.

Pawilon miał zatem dach i podpory, brakowało mu natomiast podłogi: z pierścienia, na którym wspierały się nogi, wyrastały do środka trzy wsporniki, w tej chwili przykryte sklejką, na której ułożył się skulony Lio. Kiedy wyturlał się ze środka i zdjął sklejkę, odsłonił znajdujące się pod nią wsporniki i system hydrauliczny: dwa duże zbiorniki (kula i otaczający ją torus) i kilkanaście mniejszych, kulistych. Wszystko to oplatała sieć rur, przewodów i linek. Na samym dole niczym żądło owada sterczała rozpaczliwie mała dysza silnika raketowego.

- Prawdziwa kapsuła będzie miała przyspawany fartuch ochronny - wyjaśnił Lio. - Większy niż cały stopień...

- Jaki stopień?! - zdziwił się Sammann.

- Przepraszam, że nie umiałem jaśniej tego wyrazić. To jest najwyższy stopień rakiety. Każdy z nas dostanie własny.

Lio złapał jedną ręką za wspornik i dźwignął całą kapsułę, odsłaniając nam jej spodnią część i dyszę.

- Ty chyba żartujesz! - wykrzyknąłem.

Odepchnąłem go na bok i sam chwyciłem wspornik. Lio puścił kapsułę, a ja stwierdziłem, że konstrukcja waży znacznie mniej ode mnie. Potem już każdy chciał to sprawdzić osobiście.

- Gdzie reszta tego... stopnia? - zapytał Jesry.

Zapadła krępująca cisza.

- To jest całość - odparł Jules Verne Durand, który w lot pojął ideę. - Po prostu manifik!

- Skoro tak świetnie znasz się na manifikach, to może objaśnisz nam, z łaski swojej, w jaki sposób cztery nóżki i dach mają utrzymać zdatną do oddychania atmosferę?! - dopytywał się Jesry.

- To wcale nie jest żaden manifik - zaprotestował słabo Lio. - To... Nieważne.

Jesry spojrział na niego pytająco.

- Będziemy mieli tylko skafandry kosmiczne, tak?

Lio skinął głową.

- Jules już to rozumiał. Skafandry musimy mieć tak czy inaczej, z układem podtrzymywania życia, odprowadzania nieczystości i tak dalej. Nie ma sensu wysłać w kosmos hermetycznej kapsuły dublującej te układy.

Spodziewałem się dalszych protestów ze strony Jesry'ego, on jednak w tej jednej chwili nawrócił się i uciszył nas, podnosząc rękę.

- Ja już tam byłem - przypomniał. - I powiem wam, że nie tęsknię za doświadczeniem wspólnego lotu w kapsule. Nie wiecie, co to jest prawdziwa ohyda, dopóki nie zaatakuje was zniecka unosząca się w powietrzu gruda czyichś wymiocin; o tym, co w takiej kapsule uchodzi za toaletę, nie będę w ogóle wspominał. Przez mikroskopijne okienka nic nie widać. Dlatego uważam, że to doskonały pomysł: każdy z nas zostanie zamknięty w osobnym statku kosmicznym, we własnym smrodzie, z widokiem na wszystkie strony.

- Ile można przeżyć w skafandrze? - spytałem.

- O, to się wam spodoba! - zapowiedział Jesry.

Spojrział pytająco na Lio. Ten skinął głową i Jesry przeszedł do miejsca, w którym przez ostatnią godzinę kompletowali z fraa Grathem skafandry kosmiczne. Wybrał jeden, wyglądający na gotowy do użytku, i postukał w zielony metalowy pojemnik przypięty do plecaka.

- Ciekły tlen! - wyjaśnił. - Zapas na cztery godziny.

- Pod warunkiem, że będziesz go używał z umiarem - wtrąciła suur Vay.

- Ciekły?! - upewnił się Sammann. - Jak w kriogenice?

- Oczywiście.

- Jak długo pozostanie ciekły?

- W kosmosie? To nie problem: będzie zimny, dopóki baterii wystarczy paliwa. - Jesry poklepał drugi pojemnik, czerwony. - Ciekły wodór. Łatwo przyjąć, łatwo odpiąć.

Odkręcił pojemnik, pokazał nam jakiś skomplikowany mechanizm mocująco-uszczelniający i założył pojemnik z powrotem.

- Czyli będziemy konkurować z baterią o dostęp do tlenu, tak? - zapytał Arsibalt.

- Pomyśl o tym jak o współpracy, nie rywalizacji.

- Co z produktami przemiany materii? - spytał ktoś.

- Dwutlenek węgla zbiera się tutaj. - Jesry odczepił od plecaka biały kanister i pomachał nim w powietrzu. - Po zużyciu filtra przypinamy nowy, a stary przenosimy do zasobnika.

Podszedł do osobnego urządzenia, które wyglądało jak przedstawiciel tego samego rodzaju (ale innego gatunku) co skafandry kosmiczne. Miało mnóstwo oznaczonych kolorami gniazdek na pojemniki i kanistry. Jesry wpiął filtr w jedno z nich.

- Po wygrzaniu całego CO₂ z filtra ten pasek zmienia kolor... - Pokazał wskaźnik z boku kanistra. - I można go użyć ponownie.

- Czy to urządzenie zawiera zapas paliwa i powietrza? - zapytała suur Vay, widząc gniazda na kanistry z tlenem i wodorem.

- Dopóki jednego i drugiego nie zabraknie, stąd właśnie będziecie je czerpać. Aparat zostanie podłączony do zbiornika z wodą i źródła zasilania, którym zwykle są baterie słoneczne, a w naszym wypadku małej reaktor jądrowy. Rozbija wodę na tlen i wodór, skrapla je i napełnia zbiorniki. Nadmiar ciepła, jak wspomniałem, idzie na wygrzanie filtrów CO₂. Napełnione worki na odchody, o czym jeszcze później porozmawiamy, wiesz się

tutaj...

- To znaczy... mamy defekować do skafandrów? - zapytał Arsibałt.

- No i proszę, mamy ochotnika, który zademonstruje nam działanie tego niezwykłego wytworu praksis! Lio, Ras... Możecie zapewnić odrobinę prywatności waszemu fraa?

Wzięliśmy z Lio zawój Arsibałta i rozciągnęliśmy go między sobą, żeby zasłonić Arsibałta, kiedy będzie się rozbierał. Jesry przyciągnął inny kombinezon, ogromny, obszerny, zawieszony na zaopatrzonym w kółka wieszaku, który nazwał „rusztowaniem ubraniowym”. Kombinezon składał się ze sztywnego Modułu Głowowo-Tułowiowego (skrótowiec tej nazwy do MGT było nieuniknione), którego górna część otwierała się od tyłu jak drzwi lodówki, oraz rękawów i nogawek zbudowanych ze sztywnych, pękatych segmentów, połączonych jak nawleczone na nitkę koraliki. Wyglądał zupełnie inaczej niż kombinezony, jakie widziałem na szpilach i na Niebiańskim Strażniku: był większy, bardziej wyoblony, solidniejszy, budzący zaufanie. Był także (różnica może kosmetyczna, ale z pewnością rzucająca się w oczy) czarny i matowy, podobnie jak wszystkie inne kombinezony kompletowane przez Jesry’ego.

Arsibałt podszedł do rusztowania ubraniowego, chwycił strategicznie umieszczony drażek, podciągnął się na nim i stanął na stopniu umieszczonym przy tylnych drzwiach skafandra. Zaskoczył mnie jego zapał; może przypominał sobie szpile sprzed kolekty, a może po prostu nie lubił biegać na golasa. Z pomocą Jesry’ego wsunął najpierw jedną nogę, a potem drugą w otwory u podstawy MGT i opuścił się w głąb modułu. W miarę jak jego stopy sięgały coraz głębiej, kuliste segmenty nogawek dostosowywały się do nich i obracały wokół pionowych osi; musiały być połączone za pośrednictwem uszczelnionych łożysk i mogły się poruszać niezależnie, dzięki czemu mieszkaniec kombinezonu mógł normalnie zginać kolana (i łokcie) bez potrzeby stosowania skomplikowanych stawów. Arsibałt bardziej niż zwykle upodobił się do pulchnego pączuszka. Zgiął jedną

nogę, drugą, a my obserwowaliśmy, jak segmenty ślizgają się po sobie nawzajem.

- Zwróć uwagę na worki wokół ud i talii - powiedział Jesry, wskazując sflaczałe gumy przyczipione od wewnątrz do ścianek MGT. - Za parę minut je docenisz.

- Przyjąłem do wiadomości.

Arsibalt wepchnął kolejno ręce w rękawy zakończone tępyimi półkulami, jak kikuty po odcięciu dłoni. Widzieliśmy już tylko jego plecy i tyłek. Jesry wyświadczył nam wielką przysługę, kiedy zatrzaskał drzwiczki kombinezonu.

Skoro Arsibalt prezentował się już przyzwoicie, mogliśmy z Lio opuścić zawój i zająć naszego fraa od przodu. Ledwie słyszeliśmy, co mówi, taki miał przytłumiony głos - dopóki Jesry nie wpiął mu kabla w pierś i nie podłączył go do wzmacniacza.

- Moje ręce będą się musiały sporo nauczyć - usłyszeliśmy Arsibalta przez głośnik. - Szkoda, że nie widzę, co robię.

- Zajmiemy się tym - obiecał mu z roztargnieniem Jesry.

Sprawdził wskazania przyrządów na piersi kombinezonu, żeby mieć pewność, że Arsibalt nie udusi się w środku. Zwróciłem uwagę, że inni przyglądają się Arsibaltowi z rozbawieniem, ustawiłem się więc na wprost niego i dopiero wtedy zauważyłem wbudowany w panel piersiowy mały ekran, na którym wyświetlał się transmitowany na żywo obraz twarzy Arsibalta, przekazywany ze szpilołapu we wnętrzu kombinezonu. Był mocno zniekształcony, ponieważ rejestrowało go rybie oko z bardzo małej odległości, ale przynajmniej mieliśmy na czym zaczepić wzroku, zamiast wpatrywać się w matową, jakby przydymioną osłonę części twarzowej.

- Bądź tak miły i powiedz mi, co to za dysze mam przed nosem - poprosił Arsibalt.

- Lewa: woda. Prawa: jedzenie, a w razie potrzeby także lekarstwa. Środkowa, duża: ściek.

- Słucham?

- Tam masz rzygać. Nie spudłuj.

- Aha.

Oczy Arsibalta wyjrzały daleko poza kadr w poszukiwaniu dłoni. Podniósł jeden kikut, w którym nagle otworzyła się klapka. Wszyscy odskoczyliśmy, kiedy ze środka wystrzelił metalowy pajak, wierząc odnóżami na wszystkie strony. Oglądany z bliska i na spokojnie pajak okazał się szkieletową dłonią: miał kości, stawy i ścięgna naśladujące naturalną strukturę ludzkiej dłoni, tyle tylko że wykonane z anodowanego na czarno metalu i pozbawione skóry, jeśli nie liczyć czarnych gumowych podkładek na czubkach palców. Wyrastająca z przegubu na końcu kikuta dłoń z początku kurczyła się i miotła spazmatycznie, ale w miarę jak Arsibalt brał we władanie kolejne stawy, jej ruchy stawały się coraz bardziej zwyczajne i naturalne. Podniósł drugą rękę, znów otworzyła się klapka i wynurzyła druga dłoń - mniej ludzka z wyglądu, bo zaopatrzona we wbudowane narzędzia.

- Powiedz, co robisz z rękami - poprosiłem.

- Te końcówki rękawów są bardzo obszerne. Jest tam taka jakby rękawica. Wsuwam w nią dłoń i jest mechanicznie połączona z tą szkieletową łapą, którą widzicie.

- Mechanicznie? - powtórzył Sammann. - Bez serwomotorów?

- Bez - potwierdził Jesry. - Zresztą sam zobacz.

Podeszliśmy bliżej. Manipulatorem poruszały metalowe taśmy i tloki prowadzące w głąb kikuta, gdzie, jak należało się domyślać, łączyły się bezpośrednio z rękawicą na palcach Arsibalta.

- Jakie to proste - orzekł fraa Ossa. - A zarazem takie skomplikowane.

- To prawda. Nie licząc uszczelnień, kombinezon mógłby wyjść spod ręki średniowiecznego rzemieślnika cierpiącego na nadmiar wolnego czasu. Na szczęście w świecie matelowym nie brakuje średniowiecznych rzemieślników. Możecie mi wierzyć albo nie, ale łatwiej zbudować taki kombinezon niż hermetyczną rękawicę, która w gruncie rzeczy do niczego się nie nadaje.

- Na końcu kikuta są jeszcze jakieś przyciski - zameldował Arsibalt. - Wyciągnę dłoń z rękawicy... - Pajak drgnął i zwiotczał.

Wycofał się do schowka na końcu ramienia i klapka się za nim zamknęła. - Obmacuję właśnie wewnętrzną powierzchnię kikuta. Mnóstwo tu guzików i przełączników.

- Ostrożnie - poradził mu Jesry. - Kombinezon jest sterowany głównie głosem, ale można przejść na ręczne sterowanie. Co odradzam.

- Jak mamy rozróżnić te wszystkie guziki, jeśli ich nie widać? - spytał Arsibalt.

Przewracał bezradnie oczami, poruszając po omacku palcami.

- Większość z nich stanowi klawiatura alfanumeryczna: opuszkami palców możesz wprowadzać dane. Sammann nie będzie miał z nią żadnych problemów, reszta musi się nauczyć.

- I co powiesz, tak ogólnie? - spytał Arsibalt. - Jak to się nosi?

- Zaskakująco wygodnie.

- Jak pewnie zauważyłeś, kombinezon styka się z ciałem w bardzo niewielu punktach - powiedział Jesry. - Dzięki temu jest wygodny, a dla utrzymania odpowiedniej temperatury w środku wystarcza prosty system klimatyzacji. Rurkowaty skafander, jaki miał na sobie Niebiański Strażnik, staje się zbędny. Za to wszędzie tam, gdzie cię dotyka, ściska bardzo mocno. Powiedz „Rozpoczęcie cyklu eliminacji sanitarnej”.

- Rozpoczęcie cyklu eliminacji sanitarnej - powtórzył Arsibalt.

Słyszeliśmy, jak z każdym kolejnym słowem tej niezgrabnej frazy coraz bardziej się denerwuje. Pod ruchomym obrazem jego twarzy wyświetliły się słowa CYKL ELIMINACJI SANITARNEJ. Arsibalt wybałuszył oczy.

- Boże! - wykrzyknął.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Zechciałbyś nam powiedzieć, co się dzieje? - zasugerował Jesry.

- Te worki, o których wcześniej mówiłeś... one się nadęły. Wokół talii i ud.

- Twoja miednica z przyległościami została całkowicie odizolowana od reszty kombinezonu.

- Z pewnością!

- Możesz teraz załatwić co trzeba.

- Tę część pokazu możemy chyba sobie darować, fraa Jesry.

- Jak chcesz. Powiedz „Zakończenie cyklu eliminacji sanitarnej”.

Arsibalt powiedział, a my wszyscy znowu uśmieśliśmy się serdecznie, widząc - i słysząc - jego reakcję.

- Zostałem spryskany ciepłą wodą, od dziobu i od rufy.

- Zgadza się. Panie i panowie zostają obsłużeni w taki sam sposób, czy im się to podoba, czy nie - wyjaśnił Jesry. Przyciągnął gruby wąż podłączony do rusztowania ubraniowego i wetknął go w nader nieprzystojną część kombinezonu. - Nie mamy tu do dyspozycji nieskończonej próżni kosmosu, więc musimy ją symulować.

Pstryknął przełącznikiem. Zawył odkurzacz. Na ekranie rozegrał się kolejny akt komedii i Arsibalt poinformował nas, że został gruntownie osuszony.

- Koniec - dodał. - Worki się opróżniły.

- Wiemy o tym - odparł Sammann, odczytując informację z panelu piersiowego.

- Za każdym razem będziecie w ten sposób tracić część powietrza, więc tej funkcji radzę używać z rozwagą - mówił tymczasem Jesry. - Najważniejsze, że...

- Dopóki zasobnik działa, można w takim kombinezonie żyć dość długo - powiedziałem.

- No właśnie.

- Niebiański Strażnik miał zupełnie inny kombinezon - zauważył fraa Ossa. - Mniej wyrafinowany.

- Ten jest świetnie wykonany - dodałem.

Żałowałem, że nie ma z nami Cord. Doceniłaby łożysko okalające talię Arsibalta poniżej progu drzwiczek i pozwalające mu skręcać biodra niezależnie od barków.

- To po prostu niewiarygodne - oznajmił Arsibalt. - Dosłownie. Bardzo sobie cenię naszych fraa i suur z konwoксу, ale w głowie mi się nie mieści, że w tak krótkim czasie zaprojektowali coś tak skomplikowanego!

- To nie oni - odparł Jesry. - Szczegółowy projekt kombinezonu powstał dwadzieścia sześć stuleci temu.

- Z okazji Wielkiej Grudy? - domyślił się Sammann.

- Otóż to. Tamten konwoks miał na jego opracowanie kilkanaście lat. Plany trafiły do archiwum w Sauncie Rabie, a w czasie Trzeciej Łupieży zostały ocalone przez fraa i suur, noszących do końca życia swoje księgi na plecach. Kiedy w zeszłym roku Geometry weszli na orbitę wokół Arbre, odprawiono rozliczne voco, o których w Edharze nawet nie słyszeliśmy: wszystko po to, żeby największe talenty zaprząć do pracy przy wznowieniu projektu. Wydano niewyobrażalną górę pieniędzy, żeby zbudować to... - Jesry poklepał Arsibalta po ramieniu. - I to. - Wskazał manifik. - Zwróćcie uwagę na zaczepy. - Odwrócił Arsibalta plecami do nas i pokazał trzy gniazdko ułożone w takiej samej konfiguracji jak wsporniki podłogi kapsuły. - Wczepiamy je we wsporniki i otrzymujemy świetnie zintegrowany komplet. Nie potrzebujemy sprzętów, w szczególności foteli przeciwprzeciążeniowych: poduszki powietrzne w kombinezonach napełnią się i zamortyzują wstrząs przy starcie.

- Imponujące - przyznał Sammann. - Jak się do tego zapakujemy, tylko jednego nie będziemy w stanie robić: skradać się.

Spojrzeliśmy na niego, nie rozumiejąc, a on z uśmiechem wskazał panel piersiowy kombinezonu Arsibalta: ekran szpilowy, wyświetlacze alfanumeryczne, lampki, wskaźniki.

- Nie ma mowy o dyskrecji.

Gratho podszedł bliżej, chwycił ledwie widoczny występ sterczący z MGT na wysokości obojczyków i pociągnął. W ten sposób rozwinął czarną składaną osłonę, która sama zahaczyła o zaczep umieszczony powyżej talii. Wyświetlacze zniknęły,

światelka pogasły i cały Arsibalt stał się jednolicie czarny i matowy, jak wyrzeźbiony z wilgotnego węgla.

- I tak jestem pełen podziwu - zauważył fraa Ossa. - Kiedy wy z Niebiańskim Strażnikiem lecieliście na orbicie, tych kombinezonów jeszcze nie było.

Jesry pokiwał głową.

- A teraz jest ich szesnaście.

- Ale nas jest tylko jedenaścioro! - zawołał z głośnika Arsibalt.

Zdążyliśmy o nim zapomnieć. Pajęczą łapą namacał zatrask osłony, zwolnił ją i odsłonił ekranik. Zobaczyliśmy komicznie powiększoną znajomą twarz z wytrzeszczonymi oczami.

- W rzeczy samej - przytaknął Jesry.

- Pomyślałem, że to będzie oczywiste, ale widzę, że muszę to powiedzieć wprost - odezwał się Lio. - Nie wolno nam tego spięprzyć. Z kombinezonami rzecz ma się podobnie jak z wyrzutniami: tajemnica wojskowa. Wydaje się niemożliwe, żeby Piedestał, który prawie całą wiedzę na temat Arbre czerpie z uciekających w kosmos przekazów popkulturowych, wiedział o istnieniu wyrzutni, zwłaszcza że są słabo widoczne z góry. Kiedy jednak wystrzelimy pierwszy pocisk, instrumenty Geometrów natychmiast namierzą jego ślad cieplny i tajemnica przestanie być tajemnicą. Dlatego albo wystrzelimy je wszystkie naraz, albo nie wystrzelimy ich wcale. Pocisków jest dwieście; wszystkie zostaną wystrzelone w dziesięciominutowym oknie startowym, które otworzy się za trzy dni. W jedenastu z nich będą zainstalowane manifiki wiozące członków tej komórki. Niektóre zabiorą niezbędne zapasy i sprzęt.

- A reszta? - zapytał Sammann.

Lio nic nie powiedział, ale zerknął w moją stronę. Obaj pomyśleliśmy o megazabójcach.

- Wabiki i zasłona antyradarowa - odparł w końcu.

- Co mamy zrobić, jak już będziemy na górze? - spytał Arsibalt.

- Z elementów dostarczonych w innych kapsułach zbudować platformę odrzutową, bo pojazdem to bym jej nie nazwał, która ma nas wynieść na nową orbitę i na kurs zbieżny z *Daban Urnudem*.

- Tego się domyślaliśmy - powiedział Jesry. - Fraa Arsibalt pyta...

Fraa Ossa wystąpił naprzód, zerkając na Lio w taki sposób, jakby pytał: *Mogę?* Rzadko zabierał głos, więc teraz wszyscy ustawiliśmy się w taki sposób, żeby go widzieć i słyszeć.

- Największą trudność sprawi wam nie wykonanie wyznaczonych zadań, lecz niepewność i upokorzenie wynikające z nieznamości całości planu. Te emocje mogą wam przeszkadzać, dlatego musicie już teraz zdecydować, czy angażujecie się w tę sprawę ze świadomością, że całego planu możecie nigdy nie poznać (i że kiedy go poznacie, może się okazać niedoskonały), czy wycofujecie się i oddajecie przeznaczony dla was kombinezon komuś innemu.

Fraa Ossa wrócił na swoje miejsce w szeregu, a my przez minutę próbowaliśmy zdecydować - jeśli można w ten sposób określić to, co działo się w naszych głowach. Nie czułem żadnych emocji związanych zazwyczaj z dokonywaniem wyborów; przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym się odłączyć od ekipy. Nie było mowy o żadnym decydowaniu i fraa Ossa, który przez całe życie przygotowywał się do takich sytuacji, z pewnością o tym wiedział. Nie prosił nas wcale o podjęcie decyzji, tylko dawał - w miarę dyplomatycznie - do zrozumienia, że powinniśmy przestać paplać i skoncentrować się na tym, co naprawdę ważne.

I tym się właśnie zajmowaliśmy po osiemnaście godzin dziennie, dopóki nie przyjechała ciężarówka i nie zabrała nas na lotnisko. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że tylko połowę tego czasu przeznaczaliśmy na pracę, a drugą połowę zajmowały nam gry wideo. Trzy przylegające do dziedzińca cele zostały wyposażone w syntakty podłączone do ogromnych, rozpiętych na wszystkich czterech ścianach ekranów. Na środku każdej celi stało krzesło z przyczepionymi rękawami od

kombinezonu. Na zmianę siadaliśmy na krzesłach, wsuwaliśmy ręce w głąb rękawów i uczyliśmy się rozpoznawać przyciski i przełączniki. Na ekranach wyświetlały się widoki, jakich mogliśmy się spodziewać na niskiej orbicie Arbre, włącznie ze wskazaniami przyrządów, które, jak nas zapewniano, wbudowany w kombinezon syntakt miał automatycznie nakładać na obraz. Część przełączników w kikutach służyła do sterowania silnikami manifika, mającymi nam umożliwić poruszanie się i wykonywanie przewidzianych planem zadań. Pod lewą dłonią znajdowała się niewielka kulka, obracająca się swobodnie w małej kołysce; pod prawą grzybkowaty drążek poruszający się w cztery strony świata, a także w górę i w dół. Kulka pozwalała kierować obrotami kombinezonu, co było dosyć proste. Drążek sterował translacją, czyli przemieszczaniem się w przestrzeni (w odróżnieniu od obracania się w miejscu), i to już nie było takie łatwe. Przedmioty na orbicie zachowywały się inaczej, niż byliśmy do tego przyzwyczajeni. Dam tu prosty przykład: kiedy chciałem dogonić jakiś przedmiot znajdujący się na tej samej orbicie, instynkt kazał mi włączyć silniki i przyspieszyć, ale w ten sposób przenosiłem się na wyższą orbitę i mój przedmiot pożądanego, zamiast przede mną, lądował pode mną. Nasze nawyki i wiedza na orbicie stawały się całkowicie bezużyteczne. Nawet ci z nas, którzy pod okiem Orola zgłębiali tajniki mechaniki planetarnej, byli bezradni i nie mieli innego wyjścia, jak po prostu nauczyć się grać w tę grę.

- To zwodnicze - powiedział Jules.

Siedzieliśmy razem w jednej z cel. Znając teoretyczne podstawy gry, dosyć szybko zacząłem osiągać niezłe wyniki i przypadło mi w udziale nauczanie innych.

- Wydaje się, że lewa ręka ma ogromny wpływ na nasze położenie - mówił dalej Jules. Pokręcił kulką. Zamknąłem oczy i przełknąłem ślinę, kiedy obraz na ekranie (Arbre i wszystko inne na „orbicie” wokół nas) zawirował i przeskoczył gwałtownie. - Tymczasem sześć elementów wcale się nie zmienia.

Miał na myśli rząd sześciu liczb u dołu ekranu: tych samych sześciu liczb, o których zrobiłem kiedyś Barbowi wykład

w kuchni obok refektarza.

- Oczywiście - przytaknąłem. - Możesz się kręcić, ile chcesz, ale nie zmienisz w ten sposób swoich elementów orbitalnych. A one są najważniejsze.

Sześciokierunkowy wskaźnik w lewym dolnym rogu zaczął pulsować: to Jules prawą ręką (którą nazywał dexterem) poruszył grzybkowatym drążkiem (który nazywał joystickiem). Sześć elementów zaczęło fluktuować, jeden zmienił kolor z zielonego na żółty.

- Oho! - powiedziałem. - Zepsuleś inklinację. Wypadłeś z płaszczyzny.

- Na dłuższą metę to chyba poważny błąd, ale na razie nie widać wielkiej różnicy.

- Rzeczywiście. Poczekaj, przewinę do przodu. Sam zobaczysz, co się stanie.

Trzymałem w rękach sterownik instruktorski, za pomocą którego przyspieszyłem teraz bieg czasu w symulacji i następnie pół godziny skompresowałem do mniej więcej dziesięciu sekund. Inne satelity oddaliły się od nas tak bardzo, że straciliśmy je z oczu.

- Kiedy znajdziesz się tak daleko, że przestaniesz widzieć swoich partnerów albo odróżniać ich od wabików...

- Będę perdi - powiedział Jules beznamyślnie. - Możesz cofnąć?

- Naturalnie.

Cofnąłem do momentu, w którym przesadził z nachyleniem.

- Co by tu teraz...? Może tak spróbujemy? - mruknął i poruszył joystickiem. Inklinacja nieznacznie się pogorszyła, za to mimośród poleciał na łeb, na szyję, przez żółć do czerwieni. - Merd... Teraz już dwa z sześciu mam spaprane.

- Spróbuj odwrotnie - poradziłem.

Odpalił przeciwny silnik: mimośród się poprawił, półos większa się zepsuła.

- Wyrafinowana układanka - powiedział. - Dlaczego

uparłem się studiować lingwistykę zamiast mechaniki nieba? Przez lingwistykę wpakowałem się w takie kłopoty, że teraz tylko fizyka może mnie uratować.

- Jak tam jest na górze? - zapytałem. Widząc, że narasta w nim frustracja, pomyślałem, że przerwa dobrze mu zrobi.

- Na pewno widziałeś model. Jest dość dokładny, biorąc pod uwagę, co widać przez wasze teleskopy. Oczywiście mało kto z Czterdziestu Tysięcy widział statek od zewnątrz; znają tylko wnętrze kuli, w której spędzają całe życie.

Mówił o sercu *Daban Urnuda*: szesnastu wydrążonych sferach o średnicy niespełna mili, skupionych wokół centralnie umieszczonej osi i obracających się wraz z nią w celu wytworzenia pseudograwitacji.

- O to właśnie pytam - odparłem. - Jak wygląda wasze dziesięcioletnie laterryjskie społeczeństwo?

- W tej chwili jest podzielone między Opokę i Piedestał.

Opoka była opozycyjnym ruchem fthozyjskim.

- Ale w normalnych warunkach...

- Dopóki tu nie przybyliśmy i Piedestał z Opoką nie okopały się na swoich pozycjach, przypominało sympatyczne prowincjonalne miasteczko, w którym znajduje się uniwersytet albo inny ośrodek naukowy. Każda kula jest w połowie napełniona wodą. Na wodzie unoszą się łodzie mieszkalne. Na ich dachach uprawiamy nasze jedzenie... Ach, jak ja je dobrze pamiętam!

- Rozumiem, że każda rasa dysponuje czterema kulami?

- Teoretycznie tak, ale przemieszania nie da się całkowicie uniknąć. Kiedy statek nie przyspiesza, można otworzyć przejścia do sąsiednich kul i swobodnie się między nimi przemieszczać. W jednej z naszych laterryjskich kul mamy szkołę.

- Czyli macie też dzieci?

- Oczywiście, że mamy dzieci. I bardzo dbamy o ich porządne wychowanie. Edukacja jest dla nas wszystkim.

- Nam też by się przydała - mruknąłem. - Extramuros, znaczy.

Jules zamyślił się i wzruszył ramionami.

- Nie zrozum mnie źle, to nie jest jakaś utopijna idylla. Kształcimy młodzież nie z zamiłowania do szlacheckich idei, tylko po to, żeby przetrwać; żeby rejs *Daban Urnuda* mógł trwać. Dzieciaki z Urnuda, Tro, Laterre i Fthosa rywalizują o stanowiska w Dowództwie.

- Czy ta rywalizacja rozciąga się także na lingwistykę?

- Ależ naturalnie! Jestem aktywem strategicznym! Przenoszenie nas do nowych kosmosów i przeprowadzanie nowych Zstąpień jest rezon detr Dowództwa! A podczas Zstąpienia mało kto jest bardziej przydatny niż lingwista.

- Oczywiście. Wasze dziesięcioletnie miasteczko jest dostatecznie duże, żebyście mogli się pobierać, czy co tam robicie...

- Pobieramy się. Wystarczająco duża część z nas zawiera związki małżeńskie i płodzi dzieci, żeby populacja utrzymywała się na stałym poziomie.

- A ty? Jesteś żonaty?

- Byłem.

A zatem znali także rozwody.

- Dzieci?

- Nie. Jeszcze nie. A teraz to już nigdy.

- Odwieziemy cię do domu - zapewniłem Julesa. - Może poznasz nową dziewczynę.

- Nie taką jak ona. - Skrzywił się i wzruszył ramionami. - Kiedy byliśmy z Lise razem, zawsze mówiłem jej takie rzeczy, czułe błahostki: „Nie ma drugiej takiej jak ty, najdroższa”. - Pociągnął nosem i spuścił wzrok. - Oczywiście nieszczerze.

- Oczywiście.

- Ale jej śmierć uświadomiła mi z absolutną jasnością, jaka jest prawda: nie ma drugiej takiej jak ona. W społeczeństwie liczącym dziesięć tysięcy ludzi, na zawsze odciętych od macierzystego kosmosu... Ras, ja je wszystkie znam, wszystkie kobiety w moim wieku. I nie mam cienia wątpliwości, że w tym kosmosie nie ma drugiej takiej kobiety jak moja Lise.

Łzy strumieniami spływały mu po policzkach.

- Strasznie mi przykro... Czuję się jak idiota. Nie wiedziałem, że twoja żona nie żyje.

- Nie żyje. Widziałem jej ciało... jej twarz... Cały konwoks je widział.

- Na boga! - Nie miałem zwyczaju zaklinać się na bóstwa, ale nic innego równie mocnego nie przyszło mi do głowy. - Ta kobieta w ładowniku w Orithenie...

- To była moja Lise - powiedział Jules Verne Durand. - Moja żona. Sammannowi już powiedziałem.

I kompletnie się rozkleił.

Siedzieliśmy w zaciemnionej celi, rozjaśnianej symulowanym światłem słońca, odbitym od symulowanej Arbre i symulowanego księżyca. Symulowane postaci w kombinezonach szybowały bezgłośnie wokół nas. Jules skulił się i szlochał.

Przypomniałem sobie nasze rozmowy z messalanu - o tym, że możemy wchodzić w proste fizyczne interakcje z Geometrami, nawet jeśli oddziaływanie na poziomie biologicznym nie wchodzi w grę. Podszedłem do Laterryjczyka, objąłem go i przytulałem, dopóki nie przestał płakać.

- Powiedział mi - poinformowałem później Sammanna.

Od razu się zorientował, o kim i o czym mówię. Spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Co z nim?

- Już lepiej... Powiedział coś dobrego.

- To znaczy?

- Ja dotknąłem Orola. Orola dotknął Lise, oddał za nią życie. Kiedy z kolei dotknąłem Julesa, to tak jakby...

- Zamknąłeś krąg.

- No właśnie. Opowiedziałem mu, jak przygotowaliśmy ciało do pogrzebu, jak wyraziliśmy jej swój szacunek. Chyba chciał to usłyszeć.

- Powiedział mi w aeroplanie. Prosił, żebym nikomu nie mówił.

- Masz kogoś takiego, Sammann? - zapytałem. Spędziliśmy ze sobą mnóstwo czasu, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- Kogoś takiego? Nie. Nie takiego. Miałem parę dziewczyn, poza tym mam rodzinę. Dla itów rodzina... no... jest ważna... - Niezręcznie zawiesił głos. Kontrast z deklarantami był oczywisty.

- Skoro już zeszlśmy na takie tematy... pomógłbyś mi domknąć jeszcze jeden krąg?

Wzruszył ramionami.

- Chętnie spróbuję. Czego potrzebujesz?

- Prosiłem cię niedawno, żebyś przekazał Ali wiadomość. Zanim wystartowaliśmy, pamiętasz? Trochę się czułem onieśmielony...

- Martwił cię brak prywatności. Ja to rozumiem.

- Wysłałbyś jej coś jeszcze?

- Pewnie. Ale z tym brakiem prywatności nic się nie zmieniło.

Roześmiałem się - tak jakby.

- Domyślam się. Ale w tej sytuacji jakoś to przeżyję.

- W porządku. Co mam jej napisać?

- Że jeśli dostanę czwarte życie, chcę je spędzić z nią.

- No, no... - Oczy mu się zaszklily, jakbym go spoliczkował. - Wpiszę to szybko, zanim się rozmyślisz.

- Odtąd możemy już tylko posuwać się naprzód. Nie będzie żadnego rozmyślenia się.

Sztabowanie: Określenie zaczerpnięte z żargonu wojskowego, oznaczające zbombardowanie z orbity obiektu znajdującego się zazwyczaj na powierzchni planety sztabą wykonaną z jakiegoś

ciężkiego materiału. Sztaba nie ma żadnych ruchomych części, nie przenosi również ładunku wybuchowego, a jej niszczycielski potencjał wynika z ogromnej prędkości, z jaką uderza w cel.-
SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Przez całą drogę na orbitę byłem przekonany, że rakieta nawaliła i że tak właśnie wygląda umieranie. Projektanci nie mieli czasu ani pieniędzy na wyposażenie manifika w takie luksusy jak okna czy choćby ekran szpilowy. Była tylko owiewka: cienka powłoka zewnętrzna mająca trojaki cel: osłonięcie manifika przed podmuchami wiatru; odcięcie nas od światła, żebyśmy odbyli całą podróż w absolutnej ciemności i niewiedzy; oraz wibrowanie. Sprzężenie dwóch ostatnich funkcji skutecznie wzmagало odczuwaną przeze mnie zgrozę. Pomyśl, co byś czuł, płynąc przez wodospad w becze. A teraz wyobraź sobie, że jesteś przybity od wewnątrz do rozklekotanej skrzyni i ktoś zrzuca cię z wiaduktu na ośmiopasmową autostradę w godzinach szczytu. Jedziemy dalej: wkładasz miękko watowany kostium i zarabiasz na życie jako manekin treningowy w Dolinie Dzwoneczków. I dodatek specjalny, na zakończenie: masz przyklejone do czaszki dwie gigantyczne kolumny, z których twoje uszy atakuje czysty biały szum, dwa razy głośniejszy niż próg całkowitej utraty słuchu. Złóż te wrażenia do kupy i wyobraź sobie, że trwają pełne dziesięć minut.

Jedyną dobrą rzeczą w tym locie była świadomość, że i tak jest lepiej niż przez całą godzinę przed startem, kiedy to leżałem na wznak w ciemnościach - skulony, wciśnięty w manifik, przypięty pasami - i czekałem na śmierć. W porównaniu z tym sama śmierć okazała się kaszką z mleczkiem. Najbardziej nieprzyjemne (a z perspektywy czasu także najbardziej zawstydzające) były filozoficzne rozważania, którymi zajmowałem się dla zabicia czasu: myślałem o tym, że śmierć Orola i Lise pomogły mi się pogodzić z moją własną; że dobrze zrobiłem, wysyłając wiadomość Ali; że nawet jeśli zginę w tym kosmosie, w innym mogę nadal żyć.

Pasażer na gapę wyrznął mnie metalową rurą w plecy. A

nie, chwileczkę, to tylko silnik eksplodował. Nie, to też nie to: po prostu ładunki wybuchowe odstrzeliły owiewkę. Szczeliny pocięły ciemność na ćwiartki, a potem rozszerzyły się i całkiem ją pożarły. Cztery płatki owiewki opadły, odsłaniając przede mną panoramę Arbre. Niektóre składniki targających mną wstrząsów (turbulencje) osłabły, inne (nierówne spalanie) nasiliły się. W porównaniu z nimi przyspieszenie do tej pory niezbyt dawało mi się we znaki, teraz jednak wyraźnie się wzmogło i taki stan utrzymał się przez pół minuty: dopalała się resztką paliwa, co ogromnie utrudniało mi podziwianie widoków. Następnym trzask w kręgosłupie zasygnalizował mi odpadnięcie silnika startowego. I bardzo dobrze: zostaliśmy tylko ja i manifik. Przez chwilę unosiłem się bezwładnie, ale nieważkość nie trwała długo, bo zaraz włączyły się silniki manewrowe, żeby nadać manifikowi właściwą orientację. Uczyniły to z determinacją, która wydała mi się uspokajająca - nawet jeśli za jej sprawą niektóre moje organy wewnętrzne pozamieniały się miejscami. A potem zacząłem odczuwać narastające ciśnienie: to włączył się główny silnik manifika, który miał teraz pracować przez dłuższy czas. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wyleciałem poza atmosferę (niebo było czarne) i dach pawilonu tylko niepotrzebnie zasłania mi widok w przód. Ale kiedy manifik zaczął się rozpędzać do prędkości orbitalnej, plazmowe noże wyrosły ze skrajów daszku i zaczęły się mienić wokół moich stóp i ramion - w sam raz na tyle blisko, żebym nie mógł narzekać na nudę. Manifik rozpychał się w górnych warstwach atmosfery z taką gwałtownością, że wyrwał elektrony z atomów.

Na stanowisku startowym najpierw kazano mi połączyć Pigułę (termometr z nadajnikiem), potem ubrano mnie w kombinezon, a na koniec deklaranci wcieleni do służby w personelu naziemnym zawinęli mnie w folię spożywczą jak mumię w bandażu, zapierając się o moje barki i podeszwy stóp, wcisnęli do pawilonu i obkleili taśmą do pakowania. Pomierzyli mnie metrówkami dostępnymi za darmo w miejscowym domu towarowym i obklejali dalej, dopóki nie zrobili ze mnie paczuszki

pasującej do rysunków w pospiesznie drukowanej i obfitującej w ręczne dopiski dokumentacji. Następnie sięgnęli po puszkę samoutwardzalnej pianki izolacyjnej i zapiankowali mnie na amen: wcisnęli mi piankę między kolana i pierś, pięty i tyłek, nadgarstki i twarz, a kiedy stwardniała, ktoś zerwał mi folię z hełmu, żebym cokolwiek widział, następnie poklepał mnie po głowie i wcisnął mi w stalową dłoń nożyk do kartonu. To, jak ważne były precyzyjne pomiary, doceniłem dopiero teraz, gdy po włączeniu się drugiego stopnia rakiety jęzory rozpalonego do białości powietrza zaczęły mi prawie lizać stopy. Na szczęście, im wyżej się wznosiłem, tym szybciej bledły. W końcu atmosfera się skończyła i daszek na nóżkach odskoczył (dosłownie odskoczył: był napędzany sprężyną) od platformy, na której leżałem; poczułem się jak ozdoba na masce silnika aorty. Okropnie mnie kusilo, żeby zacząć się wyplątywać z opakowania, ale znałem trajektorię na pamięć i wiedziałem, że daleko mi jeszcze do osiągnięcia prędkości orbitalnej. Najbardziej miałem się rozpędzać pod koniec cyklu spalania, kiedy manifik zużyje trzy czwarte lub więcej zapasu paliwa i stanie się wyraźnie lżejszy. Przy niezmiennym ciągu pomniejszona masa uzyska przyspieszenie, które Lio radośnie określał jako „prawie śmiertelne”.

- Ale nie macie się czym przejmować - dodał uspokajająco.

- I tak stracie przytomność, zanim stanie się wam coś złego.

Próbowałem się rozejrzeć. Przez poprzednie trzy dni wyobrażałem sobie, że widoki będą wprost fantastyczne. Podnoszące na duchu. Miałem widzieć inne rakiety: dwieście sztuk wznoszących się ku wschodowi po równoległych kursach. Okazało się jednak, że w kombinezonie jest więcej poduszek powietrznych, niż mówił Jesry, i wszystkie zostały maksymalnie napełnione (przez co czułem się jak na kamiennym posłaniu), unieruchamiając moją głowę i korpus w pozycji, w której prawdopodobieństwo śmierci, paraliżu lub uszkodzenia organów wewnętrznych było najmniejsze. Moja śledzona mogła spać spokojnie. A moje oczy widziały tylko morze gwiazd i - w prawym dolnym rogu pola widzenia - skrawek błękitnej atmosfery

Arbre. Obraz zresztą i tak zamglili się, kiedy oczy zaczęły mi łzawić, a potem gałki oczne odkształciły się pod wpływem własnego ciężaru jak balon z wodą pod ciężarem Arsibalta...

Spadałem. Miałem kaca. Żyłem. Kombinezon coś do mnie mówił - i to już od dłuższej chwili.

- Podaj komendę *Odpowietrz blokadę*, aby wyłączyć układ unieruchamiający i rozpocząć następny etap operacji - powtarzała po orthyjsku jakaś suur z dobrą dykcją, której kazano zarejestrować przewidziane w systemie komunikaty. Miałem ochotę poznać ją osobiście.

- Odprzszzz blszsz - powiedziałem, mając nadzieję, że w ten sposób jej zaimponuję.

Kombinezon wziął wdech i odparł:

- Podaj komendę *Odpowietrz blokadę*, aby...

- Odszpatsz bloff! - uparłem się. Zaczynała mi działać na nerwy. Już nie byłem taki pewny, że chcę ją poznać.

- Podaj komendę *Odpowietrz...*

- Ot. Po. Wiec. Blok. Jadę.

Poduszki powietrzne sflaczały.

- Witamy na niskiej orbicie okołoarbyjskiej! - Głos niby był ten sam, ale zabrzmiał zupełnie inaczej.

Mogłem swobodnie poruszać głową i tułowiem, lecz ręce i nogi nadal miałem unieruchomione. Najwyższy czas użyć tego nożyka do kartonu. Z początku szło mi opornie, ale wkrótce z manifika poleciały bryły pianki i serpentyny taśmy klejącej. Nie oddalały się zbyt, lecz unosiły się w pobliżu. Ze względu na niską masę i znaczne opory musiały w końcu wejść w atmosferę i tam spłonąć, ale do tego czasu miały skutecznie zaśmiecać ekrany radarów.

Skoro już o śmieciach mowa... wszędzie dookoła widziałem punkciki światła. Występowały w dwóch rodzajach:

miliony migotliwych iskierek (paski folii antyradarowej wystrzelone w innych pociskach) oraz dziesiątki sporych, jasnych plam światła, czasem na tyle dużych, że moje oczy (które pomalą wracały do swojego dawnego kształtu) rozeznawały ich okrągły kształt. Przypominały małe księżycy i w zależności od położenia względem mnie i słońca wyglądały jak księżycy w pełni, w nowiu lub gdzieś pośrodku.

Po prawej stronie rósł mi w oczach półksiężyc, ku któremu nieuchronnie prowadziła mnie moja orbita. Był to metalizowany balon z poliplastu, wystrzelony w tej samej salwie co ja. Porównując jego pozorny rozmiar z podziałką na wewnętrznej stronie osłony twarzy, stwierdziłem, że dzieli mnie od niego dwie mile. Najwyraźniej był to właśnie ten balon, do którego zgodnie z planem miałem się zbliżyć.

Wyciągnąłem palce i namacałem kulkę pod lewą dłonią i drążek pod prawą. Pozostawały bezużyteczne, dopóki nie wydałem następnego polecenia głosem i nie potwierdziłem go pstryknięciem przełącznika. Uruchomiłem je i przejąłem kontrolę nad silnikami manifika. Do tej pory sterował nimi wbudowany system naprowadzający i - jeżeli najbliższy balon rzeczywiście był tym, do którego miałem się kierować - radził sobie doskonale, nie miał jednak oczu ani mózgu, które umożliwiłyby mu precyzyjne podejście. Dopóki Geometry zagłuszali nasze satelity nawigacyjne, był bezradny. Ale od tego momentu to moje oczy musiały stać się czujnikami, a mózg układem naprowadzania. Delikatnie poruszyłem kulką, żeby sprawdzić działanie systemu: silniki plunęły błękitnym ogniem, a ja obróciłem się wokół wybranej osi. Zorientowałem się w przestrzeni, wyrównałem nad widoczną w dole Arbre, znalazłem kierunek południowo-wschodni (w tę właśnie stronę przemieszczałem się po orbicie), dokonałem paru obliczeń w pamięci, na wszelki wypadek przemyślałem wszystko jeszcze raz i popchnąłem joystick w przód i w bok. Manifik wymierzył mi dwa szybkie ciosy. Nic złego się nie wydarzyło, a ponieważ balon układał się w moim polu widzenia zgodnie z planem, kusilo mnie, żeby powtórzyć manewr, ale sobie

odpuściłem. W naszej grze często właśnie w taki sposób pakowaliśmy się w kłopoty: łatwo było przedobrzyć.

Miałem na wyposażeniu radio dalekiego zasięgu, którego należało używać wyłącznie w sytuacjach awaryjnych. Na razie wołałem go nie włączać. Odczekałem więc, aż balon znajdzie się w zasięgu drugiego, słabszego nadajnika, i poleciłem:

- Skanuj retikule.
- Połączenie z siecią - zameldował po chwili kombinezon.
- Jak się podobała przejażdżka? - zagłuszył go głos

Sammanna.

- Żądam zwrotu pieniędzy! - odparłem, z trudem powstrzymując dziką radość z usłyszenia jego głosu. Czyjegokolwiek głosu!

Spojrzałem na ekran poniżej osłony twarzy (którego wcale tam nie było, bo wyświetlał się bezpośrednio na moich siatkówkach i tylko stwarzał złudzenie, że znajduje się u dołu hełmu) i zobaczyłem na nim ikony symbolizujące mnie, Sammanna i fraa Gratha. Prawie od razu dołączyły do nich twarze Esmy i Julesa. Obejrzałem się i ujrzałem ich manifiki lecące w niewiarygodnie ciasnej formacji: Esma holowała Julesa.

- Złapałam go - wyjaśniła. - Dryfował.

Zdążyłem się już przyzwyczaić do oszczędnego sposobu wysławiania się Dzwoneczników: ja sam dopiero teraz dotarłem na miejsce spotkania, a Esma zdążyła przez ten czas namierzyć Julesa, podejść do niego, złapać go i przyholować.

- Jules, co się stało? Wszystko w porządku? - dopytywał się Sammann. - A może na Laterre lubicie sobie w ten sposób pożartować?

- Odciełam go od sieci - dodała Esma. - Gadał od rzeczy.

- Kontakt wzrokowy za dwadzieścia minut - zabrzmiał nagrany głos, ostrzegając nas, że po upływie tego czasu staniemy się widoczni dla *Daban Urnuda*.

Balon zajmował już pokaźny kawał mojego pola widzenia. Manifik Sammanna przesuwał się pod osłonę jego powłoki; Gratho podążał za nim w odstępnie pięćdziesięciu stóp. Oba

pojazdy miały jaskrawe barwy (czym przypominały zabawki dla dzieci) i lekko rozmyte kontury: zarówno manifiki, jak i kapsuły z pozostałym ładunkiem były otoczone chmurami włóknistej siatki, która na czas startu została ciasno zwinięta w hermetycznych pojemnikach, a na orbicie uwolniła się i dziesięciokrotnie powiększyła objętość. Wyglądaliśmy jak unoszące się w próżni czerwone pompony.

- Sprawdziliście gwiazdy? - spytałem.

- Tak - odparł Gratho. - Zapraszamy do weryfikacji naszych wniosków.

Poruszyłem kulką i obróciłem się w taki sposób, żeby mieć przed oczami w przybliżeniu kolistą konstelację Tarczy Hoplity; porównałem jej położenie z położeniem Arbre i balonu. W ten sposób najłatwiej było sprawdzić, czy kiedy znajdziemy się w miejscu, w którym będziemy widoczni dla teleskopów *Daban Urnuda*, balon nas przed nimi zasłoni.

Geometry na pewno już się zorientowali, że kroi się jakaś grubsza afera. Wybraliśmy taki moment na przeprowadzenie całej operacji, że dwieście rakiet wystartowało z przeciwnej, niewidocznej dla nich strony Arbre, ale niedługo mieli nas zobaczyć. Poruszaliśmy się po orbicie niemal idealnie kolistej (jej mimośród, czyli miara nie-kolistości, wynosił zaledwie jedną tysięczną), tuż powyżej górnej granicy atmosfery, sto mil nad powierzchnią planety. Jedno okrążenie Arbre zajmowało nam półtorej godziny. Orbita *Daban Urnuda* była bardziej wydłużona, eliptyczna, odległość dzieląca go od Arbre zmieniała się w zakresie od czternastu do dwudziestu pięciu tysięcy mil, a jeden obieg trwał dziesięciokrotnie dłużej niż nasz, czyli około piętnastu godzin. Wyobraźmy sobie dwóch biegaczy truchtających dookoła okrągłego stawu: jeden z nich trzyma się tak blisko brzegu, że tapla się w wodzie, drugi zaś zachowuje od niego półmilowy dystans. Gdyby poruszali się z tą samą prędkością, bliższy dublowałby dalszego dziesięciokrotnie na każdym jego okrążeniu. Przy każdym dublowaniu *Daban Urnuda* będziemy dla Geometrów widoczni na tle Arbre, aby niedługo potem ześliznąć

się za krawędź planety i zniknąć im z oczu na kolejne trzy, cztery kwadransy. Zostaliśmy wystrzeleni podczas jednego z tych zapewniających odrobinę prywatności interludów, którego połowa właśnie upływała.

Dlaczego nie weszliśmy na wyższą orbitę? Dlatego że nasz toporny układ napędowy nie był w stanie nadać ładunkowi dostatecznie dużej prędkości.

Kiedy za kilkanaście minut przed *Daban Urnudem* odsłoni się chmura śmiecia wyrzuconego na orbitę przez dwieście pocisków jednocześnie, Geometry zobaczą kilkadziesiąt balonów rozsianych w antyradarowej mgławicy pasków metalizowanego polioplastu, rozciągającej się na setki mil i powiększającej z każdą chwilą (orbity kosmicznego śmiecia stawały się coraz bardziej rozbieżne). Zaslona antyradarowa unieszkodliwi urządzenia pracujące na falach długich (radary) i Geometrom pozostanie tylko obserwacja na falach znacznie krótszych (w świetle widzialnym), wiążąca się z przesiewaniem stosów fototypów i wypatrywaniem na nich wszystkiego, co nie jest balonem ani paskiem folii. Gdyby jednak wszystko poszło zgodnie z planem, to nawet zebranie całego tego materiału i jego szybka analiza niczego im nie dadzą, ponieważ my i cały nasz sprzęt schowamy się za jednym z balonów.

Żeby jednak tak się stało, przez najbliższe dwadzieścia minut musiało się dużo wydarzyć. Tak się w tym wszystkim pogubiłem, że omal nie zapomniałem najważniejszego przykazania Jesry'ego: celować do ścieku. Pierwsze spazmy w gardle szybko mnie otrzeźwiły, tak że zdążyłem się pochylić i wgryźć w gumową obejmę odpływu. Śniadanie wyleciało ze mnie i zostało zamrożone w torbie na odpadki, a ja mogłem wrócić do swoich zajęć. Na szczęście Piguła nie wróciła, co nawet mnie trochę zaskoczyło: tkwiła bezpiecznie w moich bebeczach, przesyłając informacje o temperaturze i inne dane biomedyczne do procesorów kombinezonu.

Poczułem się znacznie lepiej. Nie rzygałem przez całe następne dziesięć sekund.

Sammann, który pierwszy dotarł do balonu, stał się samozwańczym konglomerem, co oznaczało, że ma tkwić pod balonem i sklejać docierające do niego ładunki w jedną wielką masę. Ładunkiem numer jeden był Jules Verne Durand: Esmą podholowała go na miejsce i dała po hamulcach. Jej manifik zatrzymał się, a manifik Julesa leciał dalej jak naczepa ciągnika sunąca po oblodzonej drodze. Esmą musiała jeszcze raz strzelić silnikami, kiedy pojazd Laterryjczyka usiłował pociągnąć ją za sobą. Kiedy Gratho szybował w pobliżu, rozważając w duchu, czy ma do czynienia z ujawnieniem, Sammann podleciał bliżej i obrócił się w miejscu. Z jego manifika wystrzeliła długa, cienka sonda, która w mgnieniu oka pokonała dwudziestostopową przestrzeń i wgryzła się w miękką masę czerwonej siatki wokół pojazdu Julesa.

- Mam! - zameldował. Teraz oboje z Esmą trzymali Julesa na uwięzi. - Możesz odłączać.

- Odłączam - powiedziała Esmą. - Poszukam innych ładunków.

Jej silniki plunęły ogniem. Sonda łącząca ją z pomponem Julesa odpadła.

W ten sposób Sammann rozpoczął karierę konglomera. My wszyscy pełniliśmy rolę dostawców: mieliśmy latać po okolicy, używając silników w manifikach, wyłapywać przelatujące w pobliżu ładunki i odstawiać je do konglomera.

Obróciłem się w miejscu i zacząłem rozglądać. Ludzi (których pompony miały kolor czerwony) miało być łącznie jedenaścioro. Zasobnik i jego mały reaktor jądrowy też były oznaczone na czerwono. Pięćdziesięciu manifikom z innym ładunkiem nadano kolor niebieski. Były takie same: każdy zawierał trochę wody, trochę jedzenia, trochę paliwa i trochę sprzętu - oczywiście dlatego, że nie spodziewaliśmy się wszystkich znaleźć.

W całkiem bliskim sąsiedztwie zobaczyłem takie mrowie czerwonych i niebieskich pomponów, że mój mózg nie pozostawiał mi złudzeń: nie uda nam się zgarnąć wszystkich. Nie

mieliśmy szans. Nie pozostało mi nic innego, jak podlecieć do najbliższej czerwonej kuli i sprawdzić, czy znajdujący się w niej człowiek żyje i jest przytomny. Zacząłem się szykować do manewru podejścia, kiedy pompon sam odpalił silniki i na wyświetlaczu pojawiła się ikona przedstawiająca Jesry'ego.

- Nic mi nie jest - zapewnił mnie zniecierpliwionym tonem.
- Szukaj kogoś, kto sam nie daje sobie rady.

Zza jego pleców nadlatywał niebieski ładunek. Poruszał się we właściwej płaszczyźnie, miał jednak nieco zbyt wysoki mimośród, przez co tracił wysokość: za kilka minut wpadnie w objęcia atmosfery i spali się na popiół. Obróciłem się „do przodu”, czyli twarzą w kierunku ruchu (mojego i wszystkich innych pomponów) wokół Arbre, i ustawiłem „pionowo” - czyli w taki sposób, że podeszwami celowałem w powierzchnię planety, a horyzont przebiegał równoległe do określonej linii na wyświetlaczu. Ładunek powoli „spadał” w moim polu widzenia. Poruszyłem joystickiem; silnik odpalił i spowolnił mój lot. Ładunek przestał „spadać”, co oznaczało, że wylądowałem na takiej samej niewydarzonej orbicie jak on. Jeszcze parę manewrów i znalazłem się dwadzieścia stóp od niego.

Widok w tle na chwilę mnie zdekoncentrował: czerwony pompon przeciął moje pole widzenia od lewej do prawej i zderzył się z innym, niebieskim. Śledziłem je wzrokiem, a widząc, że się skleiły, doszedłem do wniosku, że to jakiś inny dostawca, który robi dokładnie to samo, co ja - tyle tylko, że zamiast użyć kotwiczki, po prostu chwycił siatkę manipulatorem. Tak to przynajmniej wyglądało. Czerwony i niebieski pompon stworzyły wirujący powoli układ gwiazdy podwójnej. Nie widziałem, żeby czerwony uruchomił silniki; nic nie wskazywało nawet na to, żeby jego lokator był przytomny.

- Chyba ktoś ma kłopoty - zameldowałem. - Zderzenie.
- Widzę - odezwał się Arsibalt. - Podejdę bliżej i sprawdzę.
- Ja już jestem bliżej. - Obróciłem się i zobaczyłem nadlatującego Arsibalta. - Mógłbym...
- Nie. Wracaj po swój ładunek.

No to do roboty. Zanim jednak podjąłem przerwane zajęcie, obejrzałem się w stronę balonu. Bardzo się od niego oddaliłem, ale widok zbierających się pod nim czerwonych i niebieskich kul podniósł mnie na duchu. Suur Vay i fraa Ossa skleili pół tuzina ładunków w dużą, leniwie wirującą molekułę i holowali ją wspólnie, szykując się do połączenia jej z rozrastającą się w cieniu balonu grudą.

- Zbliżam się do fraa Jaada - zameldował Arsibalt. - Zaplątał się w niebieski ładunek. Chyba jest nieprzytomny.

- Jakie ma elementy orbitalne? - zapytał Lio.

- Niebezpiecznie wysoki mimośród. Za chwilę zanurkuje.

- Uważaj, żebyś sam się nie zaplątał.

- Włącz tylną kamerę - poleciłem.

Widok na wyświetlaczu został przesłonięty wirtualnym obrazem w laserowych, krystalicznie czystych barwach: zielona siatka z czerwonym krzyżem celownika pośrodku. Obraz był przekazywany ze szpilołapu na rufie mojego manifika. Sprawdziłem wartość nachylenia i za pomocą kulki zwiększyłem je o sto osiemdziesiąt stopni. Zobaczyłem ładunek: znajdował się dokładnie za moimi plecami.

- Wystrzel kotwiczkę numer jeden - rozkazałem.

Poczułem lekkie kopnięcie w plecy: to otworzył się cylinder ze sprężonym gazem. Rolę wysięgnika kotwiczki pełniła długa, miękka, skórzasta rura, która w spoczynku zapadała się i składała jak luźna pończocha, a po napełnieniu gazem wystrzeliwała w przód i zmieniała się w podłużny, sztywny balon. Na jej końcu znajdowała się głowica bojowa, gładko zaokrąglona na czubku, żeby przebić się przez siatkę oplatającą drugi manifik, ale zaopatrzona w sprężynowe łapy, które rozkładały się na boki, gdy głowica zderzyła się z czymś lub rękaw wyciągnął się maksymalnie.

Przekaz z rufowego szpilołapu pozostawiał sporo do życzenia, ale wyglądało na to, że wszystko poszło jak należy. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

- Włącz tylną kamerę - powiedziałem.

Uruchomiłem silniki, żeby pchnęły mnie do przodu. Moje serce na dwie sekundy przestało bić - dopóki szarpnięcie nie poinformowało mnie, że kotwiczka wczepiła się w sieć. Pozwoliłem sobie na mały okrzyk radości i rozejrzałem się za balonem.

- Jaad przyspawał się do ładunku - powiedział Arsibalt. - Nie dam rady ich rozdzielić.

- Jak to się przyspawało? - zdziwił się Lio.

- Kiedy pompony się zderzyły, niebieski opłot ładunku zetknął się z gorącą dyszą silnika Jaada, stopił i przykleił na amen. Postaram się złapać je razem.

- Wystarczy ci paliwa, żeby je przyholować?

- Zaraz policzę.

- Lecę do ciebie. Pamiętaj: nie zużyj całego paliwa. Nie wiemy nawet, czy Jaad żyje.

- Kontakt wzrokowy za siedemnaście minut.

Mnóstwo czasu. Obróciłem się tak samo jak przed chwilą, żeby ciągnąć ładunek za sobą, i przyspieszyłem, korygując niedawne zepsucie orbity. Zużyłem na to więcej paliwa niż poprzednio (silnik musiał działać dłużej), bo miałem podwojoną masę. Zrobiło się trochę nerwowo, ponieważ długi strzał silnikiem mógł oznaczać duży błąd, gdybym coś spałał. Nie spuszczałem wskaźników z oka: mimośród oscylował wokół pięciu tysięcznych, ja zaś musiałem go ograniczyć do jednej tysięcznej, jeśli chciałem marzyć o jako takiej synchronizacji z resztą.

Przez radio słyszałem, jak inni na bieżąco dokonują podobnych kalkulacji. Arsibalt złapał Jaada i ładunek, do którego się przykleił, i próbował tego samego manewru, co ja; głośno odczytywał wskazania przyrządów na użytek asekurującego go Lio. Jesry monitorował ruch, obliczał potrzebne ilości paliwa, podsuwał sugestie, które - z biegiem czasu i rozwojem sytuacji - coraz bardziej upodabniały się do rozkazów. Rozpraszało mnie to, więc z żalem wyłączyłem radio i skoncentrowałem się na własnych problemach.

Dopiero kiedy sprowadziłem mimośród poniżej jednej

tysięcznej, pozwoliłem sobie puścić stery i poszukać balonu. W pierwszej chwili spanikowałem, nie widząc go nigdzie w pobliżu, ale potem znalazłem go „u góry”, nieco z prawej, w odległości tysiąca stóp. Powoli się do niego zbliżałem. „Pod” balonem rósł zlepek niebieskich pomponów. Skoro już byłem niedaleko, postanowiłem się rozejrzeć, czy jeszcze coś ciekawego nie wpadnie mi w oko.

- Kontakt wzrokowy za piętnaście minut.

Straciłem łączność z Lio i Arsibaltem, ale kiedy wróciłem w zasięg retikuli, na wyświetlaczu i tak pojawiło się sporo ikonek. Włączyłem radio - choć nie bez lęku, bo nie mogłem mieć pewności, jakie nowiny usłyszę.

Moje uszy wypełnił krzyk; przesterowana elektronika zawyla boleśnie, a ja próbowałem sobie przypomnieć, jak ściszyć dźwięk. Nie był to wrzask rodem z horroru, prędzej z zawodów sportowych, w których triumfator w ostatnim ułamku sekundy przechyla szalę zwycięstwa na swoją korzyść.

Wyświetliła się ikona Lio.

- Spokojnie! Spokojnie! - wołał, wstrząśnięty tym brakiem dyscypliny.

Następna była ikonka Arsibalta.

- Sammann? Przygotuj się do przejścia fraa Jaada, bardzo cię proszę. Nie reaguje.

Mówił z nienaturalnym spokojem, ale wyczuwałem, że jego biomonitory wskazywały w tej chwili podniecenie grożące atakiem serca.

Balon powiększał się w szybkim tempie, ja jednak znajdowałem się na razie za wysoko (za daleko od Arbree). Skoczyłem w kierunku północno-zachodnim, zwolniłem i zniżyłem lot. Piszę „skoczyłem”, jakby to było takie proste, ale z ładunkiem zahaczonym na końcu dwudziestostopowego przewodu takie manewry stały się nagle bardzo skomplikowane: najpierw musiałem go zająć z drugiej strony, a dopiero potem nadać sobie - i jemu - odpowiednie przyspieszenie. Spowalniało to mój lot do balonu.

- Mam go - odezwał się Sammann. - Żyje, ale odczyty ma fatalne. Wszyscy patrzyli, jak Arsibalt ściąga fraa Jaada, ale nagle w moich słuchawkach eksplodowały krzyki:

- Uważaj! Uwaga!

- Psiakrew!

- Blisko było...

- Niedobrze, czerwony.

Obróciłem głowę i zobaczyłem, co wywołało te reakcje: czerwony ładunek przeleciał dosłownie parę jardów od balonu, poruszając się z całkiem sporą prędkością względną - dostatecznie dużą, żeby narobić paskudnych szkód, gdyby tylko znalazł się odrobinę „wyżej”. Nadleciał tak niespodziewanie, że nikt nie zdążył zareagować, złapać go i przyciągnąć. Kiedy przelatował między mną i balonem, mogłem mu się dobrze przyjrzeć.

- To reaktor - powiedziałem. - Odłącz kotwiczkę - poleciłem.

- Odłączona - odpowiedział kombinezon.

Strzeliłem silnikiem, żeby uwolnić się od ładunku.

- Lecę za nim - poinformowałem. - Niech ktoś przejmie ładunek.

Reaktor poruszał się tak szybko, że musiałem zawierzyć instynktom wyostrzonym podczas gier w Elkhazgu. Odpaliłem boczny silnik. Nie rozwiązało to problemu, ale dystans między mną i reaktorem przestał się tak szybko zwiększać. W miarę jak oddalałem się poza zasięg radia, gasły kolejne ikony na wyświetlaczu, a dźwięk odbierałem tylko w postaci przypadkowych sporadycznych pakietów. Wydawało mi się, że Arsibalt powiedział coś o „złej płaszczyźnie”, co zgadzało się z moimi spostrzeżeniami: na skutek jakiegoś drobnego błędu, w zamieszaniu przy starcie reaktor wszedł na orbitę nachyloną pod niewielkim kątem do naszej.

Ale jeden głos usłyszałem głośno i wyraźnie:

- Kontakt wzrokowy za trzynaście minut.

Spróbowałem innego manewru, ale spieprzyłem go koncertowo i, balansując na skraju paniki, patrzyłem, jak reaktor

przecina moje pole widzenia. Chwilę później Arbre przemknęła mi przed oczami i uświadomiłem sobie, że obracam się szybko wokół własnej osi: musiałem musnąć lewą ręką kulkę. Ustabilizowałem się i tym razem obróciłem pomału, żeby nie tracić reaktora z oczu. Obejrzałem się na balon, który przez ten czas dramatycznie się oddalił.

Straciłem reaktor z oczu: przepadł gdzieś na tle błyszczącego oślepiająco Morza Równikowego. Dopiero kiedy strzeliłem silnikami wstecz i zniżyłem lot, udało mi się odnaleźć czerwony pompon, zawieszony nisko nad horyzontem.

W pobliżu nie było nikogo. Usłyszeli, jak mówię, że lecę za reaktorem, i uznali, że dam sobie radę.

- Spokojnie - powiedziałem sam do siebie.

Jeżeli przy następnej próbie zrobię wszystko powoli i dokładnie, szybciej wrócę do przyjaciół, niż gdybym wykonał trzy pospieszne, ale nieprecyzyjne manewry. Wyrównałem lot, tak żeby mieć reaktor dokładnie przed sobą, u dołu pola widzenia, i przez trzydzieści sekund nie robiłem absolutnie nic. Skoncentrowałem się na wyłapywaniu różnic między moją i jego orbitą.

Tak, zdecydowanie poruszał się w niewłaściwej płaszczyźnie. Musiałem odpalić silniki, żeby skorygować ten błąd. Tak też zrobiłem, ale przy okazji zepsułem sobie półoś większą i dwa inne elementy orbitalne - w taki sposób, że za dziesięć minut już bym nie żył. Na korektę potrzebowałem dalszych sześćdziesięciu sekund.

Zmiana płaszczyzny orbity jest bardzo kosztowna.

Zabroniłem sobie szukać balonu - po części dlatego, że bałem się tego, co zobaczę (moi przyjaciele i schronienie mogli w tej chwili znajdować się niewyobrażalnie daleko), ale także dlatego, że na razie nie miało to żadnego znaczenia. Bez reaktora, z którego mieliśmy czerpać energię do rozbijania wody na tlen i wodór, podusilibyśmy się w ciągu dwóch godzin. Gdybym spanikował i bez niego wrócił do balonu, wydałbym wyrok śmierci na całą komórkę.

Zbliżyłem się do reaktora, ale w ostatniej chwili obróciło mnie w bok. Skorygowałem. Zatrzymałem się (co znaczyło tylko tyle, że nie poruszałem się względem reaktora).

- Kontakt wzrokowy za trzy minuty - zabrzmiał głos. Najdelikatniej jak mogłem poruszyłem sterami i z zadowoleniem stwierdziłem, że się zbliżam. Pozostało mi czekać. I nie oddychać zbyt szybko.

Zamiast zahaczyć reaktor kotwiczką, spróbowałem podejść bliżej, żeby po prostu złapać go manipulatorem. Kiedy mi się udało, odwróciłem się i zacząłem się rozglądać za balonem. Nie zobaczyłem nic. A właściwie zobaczyłem zbyt wiele. Strategia wystrzelenia wabików zemściła się na mnie: z oddalenia nie miałem szans odróżnić prawdziwego balonu od makiety, a w podobnej odległości ode mnie (wynoszącej co najmniej dziesięć mil) znajdowały się aż trzy balony. Nawet gdybym odgadł, który jest właściwy, nie miałem szans dolecieć do niego w trzy minuty. A gdybym się pomylił, zużyłbym za dużo paliwa i drugiej szansy bym nie dostał.

Z drugiej strony... orbita, na której w tej chwili znajdowaliśmy się razem z reaktorem, była stabilna. Jeszcze raz sprawdziłem jej parametry; od mojej oceny sytuacji zależało życie nas wszystkich. Kształt i promień orbity gwarantowały, że nie wpadnę w atmosferę, w każdym razie nie przez najbliższy dzień albo dwa.

Może po prostu powinienem na niej zostać? Tlenu zostało mi na jakieś dwie godziny; gdybym się uspokoił, mógłbym na nich przeżyć trochę dłużej. Głównym problemem była inklinacja, czyli nachylenie orbity do płaszczyzny równika: poruszałem się po trajektorii ciut bardziej stromej, niż wszyscy moi towarzysze, przez co nasze orbity przecinały się tylko w dwóch punktach, w czterdziestopięciominutowych odstępach, po przeciwnych stronach planety. Przypomniało mi się powiedzenie o zepsutym zegarze, który, odkąd się zatrzymał, dwa razy na dobę wskazuje właściwą godzinę. Ostatnio pokazał ją przed kwadransem, kiedy reaktor omal się z nami nie zderzył, a ja ruszyłem za nim w pościg.

Od tamtej pory cały czas oddalałem się od przyjaciół, ale za kolejne pięć minut miałem zacząć się do nich zbliżać, a za pół godziny powinniśmy się cieszyć następnym prawie-zderzeniem.

- Kontakt wzrokowy za jedną minutę.

Sprawa najważniejsza: co teraz myślą moi przyjaciele? O czym rozmawiają? Słyszałem, jak Arsibałt powiedział, że reaktor krąży w niewłaściwej płaszczyźnie. Na pewno widzieli, coraz bardziej podenerwowani, jak się oddalam; na pewno dyskutowali o wysłaniu ekipy ratunkowej.

Ale jej nie wysłali. Lio nie wydał takiego rozkazu. Co więcej, oparli się pokusie włączenia nadajników dalekiego zasięgu.

Gdybym miał do czynienia z innymi ludźmi, nie umiałbym im czytać w myślach - tak jak oni nie potrafiliby czytać w moich. Ale to byli moi fraa, wychowani i wyszkoleni przez Orola. Policzyli sobie (i to pewnie prędzej ode mnie), że za czterdzieści pięć minut reaktor znów się do nich zbliży, po drugiej stronie Arbre. Co ważniejsze, zaufali mi, ryzykując życie, że będę w stanie wyciągnąć te same wnioski i odpowiednio się zachować.

Co to znaczyło „odpowiednio się zachować”? Nie panikować i trzymać się orbity. Jeżeli nic nie będę robił, moja pozycja będzie całkowicie przewidywalna; jeśli zacznę kombinować, nie będą mieli pojęcia, gdzie mnie szukać.

Nie miałem żadnego specjalnego wyposażenia. Do piersi przyklejono mi złożoną płachtę metalizowanego polioplastu (podobną do tej, którą Orola dostał po peanatemie): w razie konieczności miała osłonić mnie przed słońcem i nie dopuścić do przegrzewania się czarnego skafandra (wówczas klimatyzacja musiałaby działać wydajniej i zużywałaby więcej tlenu). Oderwałem ją i rozłożyłem (nie było to łatwe, kiedy miałem do dyspozycji tylko parę kościstych metalowych łap), okryłem nią możliwie największą powierzchnię reaktora i sam się pod nią wśliznąłem.

- Kontakt wzrokowy nawiązany.

Jeśli w tej chwili ktoś na *Daban Urnudzie* patrzył przez

teleskop, mógł mnie zobaczyć, ale byłem tylko jednym z tysięcy farfocli wyrzuconych w kosmos przez dwieście startujących jednocześnie rakiet. Małym śmieciem.

Warto tu sobie uświadomić skalę sytuacji: *Daban Urnud* znajdował się w odległości czternastu tysięcy mil ode mnie. Kiedy był najbliższej planety, jej pozorna wielkość (postrzegana przez pasażerów) była porównywalna z tortem trzymany w wyprostowanej ręce, a kiedy najbardziej się oddalał, ze spodeczkiem. Szukanie mojej rozpostartej płachty przypominało wypatrywanie papierka po cukierku z odległości stu mil. Co gorsza (a dla mnie to było lepsze), papierka należało szukać na trawniku usłanym śmieciami i wybrać jeden z tysiąca.

Lio (który zabrał ze sobą w kosmos *Broń egzoatmosferyczną w Epoce Praksis*) ostrzegał nas jednak, żebyśmy nie szarżowali, a Jules go poparł, mówiąc, że Urnudzycy, dawni mistrzowie wojen kosmicznych, połączyli znakomite teleskopy bezpośrednio z syntaktami, które automatycznie przetwarzają ogromne ilości obrazów i wychwytyują wszystkie podejrzane obiekty. Wabiki i makiety na przykład były łatwe do odróżnienia, ponieważ ze swoimi okazałymi rozmiarami i znikomą masą znacznie silniej niż rzeczywiste ładunki odczuwały opory ruchu w rozrzedzonej śladowej atmosferze.

Dlatego wabiki zachowywały się na orbicie nieco inaczej od prawdziwych ładunków. W dodatku kiedy Urnudzycy sporządzą spis wszystkich wystrzelonych w kosmos śmieci, z łatwością zauważą, kiedy któryś zniknie albo zmieni orbitę. A coś takiego mógł zrobić tylko śmieć wyposażony w silniki i układ sterowania.

A zatem w pewnym sensie już spapraliśmy sprawę i nie pozostało nam nic innego, jak liczyć na naszą przewagę liczebną: miałem nadzieję, że zniknięcie mojej płachty w morzu farfocli nie zwróci niczyjej uwagi - w każdym razie nie tak szybko, żeby Piedestał zdążył jakoś zareagować.

Zorientowałem się jednak, że uprzedzam fakty. Jeżeli moja płachta miała zniknąć z teleskopów, najpierw musiałem dołączyć

do reszty komórki.

Zapas tlenu ogromnie mi to ułatwi. Zamknąłem oczy, usiłując się odprężyć i nie myśleć o Piedestale, jego wysmienionych teleskopach i przebiegłych syntaktach. Znalazłem się w jednej z tych niezwykłych sytuacji, w których nadmierne zamartwianie się naprawdę mogło mnie zabić.

Odczekałem, aż puls wróci mi do normy, namacałem klawiaturę pod palcami i wystukałem wiadomości do Cord i Ali - na wypadek, gdybym zginął, a mój kombinezon udało się odzyskać i odczytać zapis w jego pamięci.

Syntakt w kombinezonie miał wbudowany teoretyczny kalkulator orbitalny, którego wcześniej nie miałem czasu użyć, bo za dużo się działo. Teraz włączyłem go, żeby sprawdzić swoje intuicyjne pomysły na to, co powinienem zrobić, kiedy zbliżę się do balonu. Za nic jednak nie mogłem się skupić; mój mózg zachowywał się jak gąbka, która wessała więcej wody, niż była w stanie zatrzymać.

W nieważkości moje nagie ciało prawie nie stykało się z kombinezonem, owiewane ze wszystkich stron powietrzem o przyjemnej temperaturze. Czułem się tak, jakbym brał kąpiel powietrzną. Za moimi plecami mała fabryka chemiczna pracowała pełną parą, ale o jej obecności świadczył wyłącznie delikatny biały szum. Oprócz niego słyszałem jeszcze tylko bicie swojego serca. Na dobrą sprawę powinienem być niezwykle podekscytowany: wystarczyło otworzyć oczy, wyrzeć przez osłonę w hełmie i stwierdzić *Jestem w kosmosie!* W tej chwili widziałem jednak tylko spodnią stronę pomiętej płachty z polioplastu i czułem się trochę jak indyk w piekarniku. Nic dziwnego, że zrobiłem się senny. Moje ciało i umysł nigdy dotąd nie miały tylu powodów, żeby domagać się wytchnienia. Zmiana strefy czasowej i intensywny trening w Elkhazgu nie sprzyjały wysypianiu się, przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny w ogóle nie zmrużyłem oka, a pół godziny spędzone na orbicie było wręcz niedorzecznie stresujące. Po takim doświadczeniu każdy zdrowy na umyśle człowiek miałby ochotę zwinąć się w kłębek w ciepłym łóżku,

przykryć kocem, popłakać sobie i zasnąć.

Strach przed sennością nie pozwolił mi zamknąć powiek. Podczas naszego szkolenia objawy zatrucia dwutlenkiem węgla opanowałem lepiej niż alfabet. Nudności: są. Zawroty głowy: są. Wymioty: są. Ból głowy: jest. Tylko że kto by nie miał takich objawów po wystrzeleniu w manifiku sto mil w górę? Ciekawe, co będzie dalej... No tak, byłbym zapomniał: senność i dezorientacja.

Sprawdziłem odczyty czujników. Sprawdziłem jeszcze raz. Zamrugałem. Zamknąłem oczy, odczekałem chwilę, sprawdziłem po raz trzeci. Wszystko w porządku. Poziom tlenu w zbiorniku był zaznaczony na żółto, ale to było do przewidzenia po tym, jak się nadyszałem. Zawartość tlenu w powietrzu: w normie, poziom CO₂: zero. Filtr spisywał się bez zarzutu.

Ale skoro byłem senny i zdezorientowany, to może źle odczytywałem wskazania?

Na przemian przysypiałem i budziłem się co kilka minut. Miałem aż nadto czasu, żeby przeanalizować wszystko, co wydarzyło się po wejściu na orbitę. Byłem tak skoncentrowany na tym, co robię, że kiedy zobaczyłem, jak Jaad zderza się z niebieskim ładunkiem, nie zainteresowałem się tym. To był błąd: powinienem był podejść bliżej i sprawdzić, co się stało. Wyręczył mnie Arsibalt i - jeśli miałbym coś wnioskować z triumfalnych wrzasków Jesry'ego, który przywitał Arsibalta po powrocie - niewiele brakowało, żeby obaj z Jaadem przyplacili to życiem.

To nie był dobry plan. Kto go wymyślił?

Do logiki takiego rozumowania nie miałem zastrzeżeń. Arbre miała dwieście pocisków i ani jednego więcej. Każdy z nich z trudem wynosił niewielki ładunek na niebezpiecznie niską, niestabilną orbitę. Nie mogliśmy z nich nic więcej wycisnąć: zapoznaliśmy się z planem w Elkhazgu, pogodziliśmy się z nim, pokiwaliliśmy głowami.

Ale co innego zaakceptować go tam, na dole, a co innego znaleźć się w kosmosie wśród zderzających się i płaczących ładunków i chować się pod polioplastową płachtą. Tutaj sprawy mogły się komplikować na dziesiątki sposobów.

Cały czas. Teraz także.

Co by się stało, gdybym się bardziej pospieszył, wcześniej dogonił reaktor i próbował go odholować do balonu? Wszyscy byśmy zginęli.

Znów zaczynałem się martwić - i to w sposób jeszcze bardziej bezsensowny niż zwykle: zamiast rozmyślać o przyszłości (na którą jeszcze miałem wpływ), zastanawiałem się, co zepsułem wcześniej (na co już nic nie mogłem poradzić).

Powinienem zostawić takie sprawy - odpowiednio - inkanterom i retorom.

Ciekawe, gdzie się teraz podzieli wszyscy tysięcznicy. Może zebrali się na jakimś stadionie i urządzają chóralne śpiewy?

- Ras!

Otworzyłem oczy. Była to jedna z tych chwil, kiedy kompletnie nie wiedziałem, co się dzieje i gdzie jestem; nie byłem nawet pewien, czy ten lot w kosmos mi się nie przyśnił.

- Ras!

Na wyświetlaczu pojawiła się ikona: fraa Jesry.

- Jestem - powiedziałem.

- Cieszę się, że cię słyszę! - odpowiedział z ogromną ulgą w głosie.

- Naprawdę jestem wzruszony, Jesry...

- Zamknij się. Lecę po ciebie. Ściągnij płachtę i zacznij się rozglądać.

- Na pewno mogę? Nie widać nas już?

- Nie.

- Bo mnie się wydaje, że jednak tak.

- Poprzednio byliśmy na widoku, teraz już nie.

- Poprzednio?

- Kiedy pierwszy raz przelatywałeś, przegapiliśmy cię. Nasze orbity się przecięły, ale szedłeś za wysoko. I nie odpowiadałeś na wywołanie przez radio.

- Zaraz... To znaczy, że teraz próbujesz drugi raz?!

Spojrzałem na chronometr: Jesry miał rację. Minęło dziewięćdziesiąt minut, a nie, jak sądziłem, czterdzieści pięć.

Wskaźnik tlenu zszedł na poziom czerwony. Przespałem pierwsze spotkanie!

Odrzuciłem płachtę i zobaczyłem balon: znajdował się miłą ode mnie i szybko się zbliżał. Pod nim krył się niezgrabny zlepek dziesiątków pomponów połączonych kotwiczkami na naprzężonych wysięgnikach. Kilka postaci w kombinezonach i manifikach, zwróconych wyczekująco w moim kierunku, unosiło się obok nich w przestrzeni. Dołączyłem do retikuli i na wyświetlaczu wyskakiwały kolejne ikonki, ale mówił tylko Jesry. Tylko on wyszedł mi na spotkanie.

- Jeżeli mi się nie uda, nie panikuj i czekaj - odezwał się. - Mamy w zanadru dwa warianty awaryjne.

- Na początek wysłali najlepszego, co?

Delikatnie odsunąłem się od reaktora i zahaczyłem go kotwiczka.

- Dziękuję. Ale po tym, co zrobiłeś, to ty jesteś najlepszy, Ras.

Jesry zbliżył się do reaktora, obrócił w miejscu, skoncentrował i też wystrzelił kotwiczka.

- Będziemy się przechwalać na starość. Co mam robić?

- Orientacja radialna dodatnia.

Zamiast ustawiać się twarzą w kierunku lotu, jak do tej pory, miałem odwrócić się o dziewięćdziesiąt stopni, żeby mieć Arbre za plecami. Zrobiłem to i leciutko zderzyliśmy się z Jesrym.

- Obrót w dół, czterdzieści pięć stopni - polecił mi. - Silniki: piętnaście sekund ciągu.

Piętnaście sekund to bardzo dużo. Jeżeli rachuby zawiodą, polecimy piekielnie daleko i nie wystarczy nam paliwa na powrót.

Posłuchałem. Do głowy by mi nie przyszło, żeby zakwestionować polecenie. To był Jesry. Odprowadził mnie spokojnie wzrokiem, kiedy polecałem po reaktor; odrobił teorię w pamięci i trzy razy sprawdził obliczenia na syntakcie.

Obróciłem się i włączyłem silniki.

- Lecicie do nas jak po sznurku - zapewnił mnie Sammann.

Treść jego słów nie była ważna; ton głosu w zupełności mi

wystarczył.

- Nic nie róbcie - ostrzegł nas Lio. - Przechodźcie tuż pod nami... Schodzimy po was...

Chwilę później podwójne szarpnięcie i głośne wiwaty dały mi do zrozumienia, że zostaliśmy przechwyceni. Cofnąłem ręce od sterów; tak mi się trzęsły, że bałem się, że przez przypadek mógłbym włączyć silniki. Lio i Ossa doholowali nas pod balon.

- Ras, jesteś bezpieczny - poinformował mnie Lio. - Sammann, namiar proszę?

- Nadal jesteśmy pod osłoną balonu - zameldował Sammann.

- Świetnie. Na pewno wszyscy chcecie pogratulować fraa Erasmusowi, ale nie róbcie tego. Oszczędzajcie tlen. Na gratulacje przyjdzie czas później. Arsibalcie, wiesz, co masz robić. Daj znać, gdybyś musiał od kogoś pożyczyć tlen.

Wszyscy powkładali już białe skafandry wierzchnie z twardej tkaniny, chroniące przed mikrometeorami i odbijające ciepło słoneczne. Dzięki nim wyglądali jak prawdziwi astronauty. Ja również taki dostałem i włożyłem, po czym idąc za przykładem pozostałych, przypiąłem się do bezkształtnej masy siatek, ładunków i kotwiczek i spróbowałem się zdrzemnąć. Lio z Arsibalem zajęli się uruchamianiem zasobnika. Musieli w tym celu podłączyć go do reaktora. Do zasobnika przypięty był elastyczny pęcherz na wodę. Pod moją nieobecność inni członkowie komórki zbierali pojemniki z wodą z niebieskich pomponów i przelewali ją do pęcherza, który puchł w oczach, aż przybrał rozmiary wanny.

Arsibalt przypiął się do pulpitu sterowniczego reaktora, przy którym następnie spędził sporo czasu zupełnie nieruchomo: domyślałem się, że odczytuje instrukcje z wirtualnego wyświetlacza w hełmie i sprawdza kolejność działań. W końcu wziął się do roboty i zaczął wtykać w reaktor długie tyczki, czym upodobnił go do kolczastego zwierzęcia. Przy końcach kolców rozkwiły metalowe kwiaty, zasłaniając nam widok na same ich czubki. Arsibalt cofnął się do pulpitu, pomanipulował przy nim i

powiedział:

- Uruchomiłem reaktor. Uważajcie na końcówki tyczek, są gorące.

- Radioaktywne? - spytał Jesry.

- Po prostu gorące. Parzą. Reaktor wypromieniowuje przez nie nadmiar ciepła. - Arsibalt zawiesił głos i po chwili dodał: - Radioaktywne też.

Nikt się nie odezwał, ale założyłbym się, że nie ja jeden sprawdziłem w tym momencie swój zapas tlenu. Agregat zaczął rozbijać wodę na tlen i wodór; niedługo będziemy mogli uzupełnić zasoby powietrza i pożywienia i wymienić zużyte filtry dwutlenku węgla, ale do tego czasu musieliśmy siedzieć cicho, nie denerwować się i dzielić tym, co mamy, z bardziej potrzebującymi. Na przykład Esmá, która dyrygowała przelewaniem wody do pęcherza, zużyła bardzo dużo tlenu.

- Wszyscy poza Sammannem i Grathem niech coś zjedzą, napiją się i prześpią - polecił Lio. - Kto nie będzie mógł zasnąć, niech powtarza w głowie plan działań. Sammannie, Gratho... Połączcie nas.

Sammann i Gratho wyplątali się z manifików i zaczęli się gramolić po zlepku ładunków. Znaleźli w nim jakąś magiczną skrzynkę, wyplątali ją z siatki i przywiązali w takiej pozycji, żeby nic nie zasłaniało jej Arbre. Po paru minutach Sammann zameldował, że mamy połączenie z Retikulum - czego i tak się domyśliłem, kiedy na obrzeżach pola widzenia zaczęły mi rozkwitać nowe lampki i wyświetlacze.

- Halo, fraa Erasmus, komórka numer trzysta siedemnaście - usłyszałem w słuchawkach. - Jak mnie słyszysz?

- Cześć, Tulia. Słyszę cię doskonale. Dzień dobry albo dobry wieczór, nie wiem, co tam teraz macie.

- Wieczór. Siedzimy w szopie na narzędzia na farmie, tyśiąc mil na południowy zachód od Tredegarha. Czemu to tyle trwało?

- Podziwialiśmy widoki i trochę imprezowaliśmy. A co u was? Co komórka numer osiemdziesiąt siedem robi w szopie na

narzędzia?

- Wszystko, żeby ułatwić ci życie.

- Tulio, nie znałem cię od tej strony: taka jesteś pomocna, taka zgodna...

- Nie powinienes przypadkiem oddać moczu? Co cię powstrzymuje?

- Zaraz się tym zajmę.

- A twój puls? Co się stało, że tak przyspieszył?

- Jejku, naprawdę nie wiem. Poczekaj, niech pomyślę...

- Daruj sobie. Podeślę ci obraz tego bagna, w którym tkwicie po uszy. Rzuć okiem, jak będziesz sikał.

I nagle na moim wyświetlaczu pojawił się trójwymiarowy obraz olbrzymiej srebrnej sfery z mnóstwem pomponów, rozperek i kolorowych pojemników przyczepionych z jednej strony.

- Tu jesteś. - Moje imię zaświeciło się na żółto. - A tu powinienes być. - Po przeciwnej stronie zleпка zaczął błyskać jeden z pojemników. - Opracowaliśmy ci najbardziej efektywną trasę. - Linia na ekranie połączyła moje imię z pojemnikiem.

- Nie wygląda najefektywniej... - zaprotestowałem.

- Bo jeszcze nie wszystko wiesz - przerwała mi Tulia. - Każdy z was ma inną drogą dostać się do innego ładunku. To zminimalizuje interferencje.

- Rozumiem.

W połowie mojej planowanej drogi migał czerwony kwadracik.

- A to co? - zapytałem.

Tulia wymieniła dwa zdania z kimś w szopie.

- Jeden z ładunków ma sterczący ostry kant - odparła. - Będziesz musiał uważać. Ale nic się nie bój, poprowadzimy cię.

- Wielkie dzięki...

Usłyszałem szelest papierów.

- Powiem ci teraz, jak odczepić się od modułu S2-35B.

- My je tu nazywamy manifikami.

- Jak chcesz. Prawą ręką złap sprzączkę nad lewym obojczykiem...

Opiszę to, co zrobiliśmy później, zwyczajnie, tak jakbyśmy po prostu to zrobili i już. Rzeczywistość wyglądała jednak jak w tym starym dowcipie: godzina roboty z trudem wciśnięta w dwadzieścia cztery godziny dnia.

Ale i tak zamiast dwudziestu czterech godzin zajęłoby nam to dwadzieścia cztery dni, gdyby nie pomoc komórek wsparcia, które zostały na Arbre, na bieżąco monitorowały nasze poczynania i nieustannie podpowiadały nam, jak ułatwić sobie życie. Podczas odpoczynków (narzucanych nam bezlitośnie przez naszych osobistych medyków) dowiedziałem się, że komórka wspomagająca Arsibalta ulokowała się na dnie wyschniętego basenu w szkole parafialnej pod egidą Kelksu, a komórka Lio w nieoznakowanym drumonie zaparkowanym przy dużej stacji serwisowej. Z wolna stawało się oczywiste, że one z kolei mogą liczyć na pomoc ze strony jeszcze innych komórek antyroju.

Zaczęliśmy od rozpakowania i posortowania sprzętu zgromadzonego w czasie tych pierwszych gorączkowych dwudziestu minut. Suur Vay zaopiekowała się Julesem Verne Durandem i fraa Jaadem. Obaj byli cali i zdrowi. Laterryjczyk - osłabiony na skutek niedożywienia - gorzej zniósł wyniesienie na orbitę i dłużej dochodził do siebie. Nie było do końca jasne, co się przydarzyło fraa Jaadowi. Przez jakiś czas nie reagował na bodźce, mimo że oczy miał otwarte, a odczyty biomonitorów pozostawały w normie. Kiedy przemówił, poprosił suur Vay, żeby przestała mu się naprzykrzać, a następnie na godzinę odłączył się od retikuli i nic nie robił. W końcu zaczął nam pomagać przy rozpakowywaniu sprzętu, a ja się zastanawiałem, kogo ma w komórce wsparcia.

Pościgaliśmy siatki z ładunków i zwiniliśmy je w takim miejscu, żeby nie przeszkadzały. Same ładunki powiązaliśmy polioplastowymi taśmami, żeby się nie rozłaziły i nie zdradziły naszej pozycji. Podłączyliśmy cały zlepek do jednego manifika i za

pomocą jego silników korygowaliśmy położenie grudy. Niewielka masa i spory opór stawiany przez balon resztkom atmosfery i tak groziły nam odsłonięciem, więc od czasu do czasu musieliśmy odpalać silniki i spowalniać swój lot. Gdybyśmy to robili przez następne dwa, trzy dni, wpadlibyśmy razem z balonem w atmosferę i moglibyśmy zacząć się zakładać, co zabije nas szybciej: miażdżące przeciążenie hamowania czy wysoka temperatura. Nie zamierzaliśmy jednak tyle czekać.

Wspólnie z Ossą i Arsibaltem poskładałem z elementów wabik. Reszta komórki zajęła się zmontowaniem Zimnego Czarnego Zwierciadła.

Wabik zamontowaliśmy na podstawie złożonej z siedmiu manifików ułożonych w kształt sześciokąta foremego. Zebraliśmy całe paliwo dostępne w niebieskich ładunkach (tak jak wcześniej suur Esma zebrała wodę) i przelaliśmy je do zbiorników wabika.

Kwestię napędu mieliśmy zatem z głowy. Na platformie zainstalowaliśmy coś, co wyglądało jak ogromny niesforny zwój materiału, przybyło w osobnej paczce i było nadmuchiwaną konstrukcją. Rozsunęliśmy wszyty z boku suwak i wepchnęliśmy do środka wszystko, co nie było nam potrzebne: siatki, kawałki opakowań, zbędne części manifików. Wrzuciliśmy też cztery manekiny w skafandrach. Zamknęliśmy suwak, żeby całe to śmiecie się nie wysypało, i otwieraliśmy tylko od czasu do czasu, kiedy członkowie innych zespołów przynosili nam własne zbędne drobiazgi. Na razie nie nadmuchiwaliliśmy całego pojemnika, ponieważ miejsca pod balonem nie było zbyt wiele i ubywało go z każdą chwilą, w miarę jak Zimne Czarne Zwierciadło nabierało kształtów.

Piszę o Zwierciadle w taki sposób, że może się wydawać ciężkie i masywne, ale podobnie jak większość sprzętu, który wywieźliśmy na orbitę, było w zasadzie nieważkie: składało się z nadmuchiwanych wsporników, drutu pamięciowego, membran i aerozelu. Miało kształt kwadratu o boku pięćdziesięciu stóp. Jego górna powierzchnia (membrana rozpięta między ostrymi jak noże

krawędziami) była idealnie płaska, doskonale refleksyjna i wykonana z materiału odbijającego nie tylko światło widzialne, ale także mikrofałe, których Geometry używali w swoich radarach. Po wynurzeniu się zza balonu zamierzaliśmy oddzielić się nim od *Daban Urnuda* i pochylić je w taki sposób, żeby wiązka radaru odbijała się od niego w jakimś innym, nieprzewidzianym kierunku. Inaczej mówiąc, mieliśmy dawać ogromne, wyraźne echo, które jednak nie powinno trafić w pobliże *Daban Urnuda* i na ekrany radarów.

Odpowiednio kierując nachyleniem zwierciadła, powinniśmy być całkowicie niewidzialni na tle pustki, ponieważ odbijałby się w nim jakiś inny fragment przestrzeni kosmicznej, a przestrzeń ta wszędzie wyglądała z grubsza tak samo: była czarna. Gdyby ktoś wycelował w nas teleskop i podkreślił powiększenie, może zwróciłby uwagę, że jedna czy dwie gwiazdy nie są na swoich miejscach, ale to było mało prawdopodobne.

Zgoła inaczej miało to wyglądać podczas naszego przechodzenia na tle świecącej powierzchni *Arbre*, ale liczyliśmy na to, że pięćdziesięciostopowa plamka czerni pozostanie niezauważona na tle dysku o średnicy ośmiu tysięcy mil - tak jak pojedyncza bakteria na talerzu.

Gdyby zwierciadło się nagrzało, zaczęłoby emitować promieniowanie podczerwone, które Geometry mogli namierzyć, dlatego też największy wysiłek jego projektantów był nakierowany na zapobieżenie takiej sytuacji. Powierzchnia lustra została pokryta zasilanym z reaktora półprzewodnikowym tworzywem chłodzącym. Reaktor, jak wspomniał *Jesry*, sam generował sporo ciepła i w podczerwieni świeciłby jak kasyno, gdybyśmy byli na tyle głupi, żeby wycelować go w *Daban Urnuda*; dopóki jednak jego radiatory nie wystawały spod *Zimnego Czarnego Zwierciadła* i były wycelowane w *Arbre*, pozostawał dla Geometrów niewidoczny.

Za napęd początkowo miały nam posłużyć trzy manifiki z odzysku, a w późniejszej fazie operacji rolka sznurka. Kombinezon miał pełnić rolę mieszkania, łóżka, toalety,

refektarza, apteki i centrum rozrywki.

Ale już nie klauzury.

Podróż kosmiczna miała wiele zalet, ale spokojny, kontemplacyjny nastrój nie był jedną z nich. Podczas apertu, a także później, kiedy zostaliśmy powołani, najgorszym elementem wstrząsu kulturowego były piszczki. Nawet w przybliżeniu nie umiałbym powiedzieć, ile razy powtarzałem sobie w duchu *Cartas niech będą dzięki, że nie jestem do takiego draństwa na stałe przywiązany!* Teraz jednak czułem się tak, jakbym zamieszkał we wnętrzu piszczka: super-mega-ultra piszczka, którego ekran wypełniał mi całe pole widzenia, głośniki tkwiły w moich uszach, a mikrofon przenosił każde słowo, oddech i westchnienie do czujnych słuchaczy na drugim końcu łącza. Część aparatury - Piguła, czyli termometr i nadajnik w jednym - siedziała przecież nawet we mnie.

Mogliśmy pracować tylko po dwie godziny, później następował obowiązkowy odpoczynek. Zgodnie z moimi przewidywaniami już druga, najdalej trzecia taka przerwa była przeznaczona nie tyle dla naszych ciał, ile raczej dla dusz udręczonych oszałamiającym, wszechogarniającym, irytującym zalewem informacji, jakie nieustannie atakowały nasze oczy i uszy.

O dziwo, gdy tylko miałem chwilę spokoju, natychmiast nachodziła mnie ochota, żeby z kimś porozmawiać.

- Tulia? Jesteś tam?

- Jestem, ale wstrząśnięta, że nie śpisz! - zakpiła. - Masz się natychmiast zrelaksować!

Nie roześmiałem się.

- Przepraszam - zmitygowała się. - Co się stało?

- Nic. Tak sobie tylko myślę...

- Aha.

- Czy ze wszystkich mieszkańców Arbre na pewno właśnie my powinniśmy tu być i to robić?

- Przecież wiesz, że to pytanie zostało już dawno zadane i odpowiedź brzmi: tak.

- Ale jak doszło do podjęcia tej decyzji? Nie, nie mów, już wiem: Ala przepchnęła to przez odpowiednią komisję.

- Z tym przepychaniem trochę przesadziłeś - odparła Tulia, a ja uśmiechnąłem się, słysząc niesmak w jej głosie. - Ale poza tym masz rację: Ala maczała w tym palce.

- Rozumiem. Bez przepychania. Założę się jednak, że nie poprzestała na przymilnej perswazji i racjonalnym dialogu. Z tymi ludźmi to by nie przeszło.

- Zdziwiłbyś się, jak skuteczny jest racjonalny dialog z armią w czasie wojny.

- Armia na pewno się upierała, że to robota dla nich, dla komandosów, a nie dla bandy deklaratów, ity-renegata i zagłodzonego obcego.

- Dlatego powstała druga ekipa - przyznała Tulia. - Dublerzy. Chyba sami żołnierze. Przeszli dokładnie to samo szkolenie, co wy.

- No to jakim cudem to właśnie my dostaliśmy kombinezony, manifiki...

- Nie zapominaj o kwestii językowej. Jules Verne Durand to bezcenny nabytek, ale mówi tylko po orthyjsku, a o fluksyjskim nie ma pojęcia. Wobec tego przynajmniej część zespołu musiałaby znać orthyjski. A z grupą dwujęzyczną byłaby masa kłopotów.

- W takim razie podejrzewam, że to my byliśmy dublerami, dopóki Jules nie spadł nam z nieba.

- To nie on spadł z nieba, tylko wy polecieście... - przypomniała mi Tulia.

- Mniejsza z tym. Nadal nie mieści mi się w głowie, że gryziپیórki były w ogóle skłonne rozważyć taki pomysł, mając przecież do dyspozycji żołnierzy i astronautów, którzy znają się na rzeczy jak nikt inny.

- Za to wy, Ras, szybko się uczycie i mogliście sobie łatwo przyswoić „znajomość rzeczy”, jeśli tak chcesz nazywać manewrowanie modulem S2-35B i montaż Zimnego Czarnego Zwierciadła. Całe życie, od czasu koletki, uczycie się, jak się uczyć.

- Może i masz rację...

Przypomniałem sobie niewyobrażalny wcześniej widok Arsibalta obsługującego reaktor atomowy.

- Pomyśl, Ras, jak Ala mogła argumentować w tej sprawie. Rzecz w tym, że ta wasza podróż, ta misja, w którą was wysłano, nie ogranicza się do latania S2-35B i zmontowania Zwierciadła. Nie wiadomo, co was czeka, kiedy dotrzecie na miejsce. Będziecie musieli wykorzystać wszystkie swoje talenty, wszystkie umiejętności nabyte od czasu, kiedy byliście fidami.

- Kiedy byłem fidem... To było dawno, dawno temu.

- To prawda. Też o tym ostatnio myślałam. O tym, jak znalazłam drogę przez labirynt, jak wyszłam na słońce. Prasuur Tamura wzięła mnie za rękę, dała mi miskę zupy. I pamiętam twoją kolektę.

- Oprowadzałaś mnie po matemie w taki sposób, jakbyś mieszkała w nim od stu lat. Myślałem, że jesteś tysięczniczką.

Usłyszałem w słuchawkach pociągnięcie nosem. Na minutę zamknąłem oczy. Kombinezon radził sobie chyba z każdą funkcją wydzielniczą organizmu - poza płaczem.

Jak mogłem kiedykolwiek być takim durniem, żeby poważnie myśleć o romansie z Tulią? To by dopiero był dramat.

- Rozmawiałaś z Alą? Macie w ogóle jakiś kontakt?

- Chybabym mogła, gdybym chciała... Nie wiem, nie próbowałam.

- Miałaś dużo zajęć.

- Sporo. A kiedy wasza komórka poleciała w kosmos, Ala zrobiła się bardzo ważna. I bardzo zajęta.

- Mam nadzieję, że teraz pracuje nad tym, co mamy zrobić po dotarciu na miejsce.

- Na pewno. Nie masz pojęcia, jak bardzo się przejmuje swoją odpowiedzialnością za to, co zro... co się stało.

- Powiem ci, że mam pojęcie. Wiem, że się boi, że wszyscy tu zginiemy, ale gdyby widziała, jak wszyscy w komórce współpracują, podniosłoby ją to na duchu.

Znowu schowaliśmy się za Arbre. Straciłem już rachubę, ile razy pojawialiśmy się i znikaliśmy z teleskopów *Daban Urnuda*. Moi towarzysze wpinali się w konstrukcję napędową Zimnego Czarnego Zwierciadła, ja zaś tkwiłem pod wabikiem i sprawdzałem ostatnie siedemnaście pozycji na liczącej dwieście punktów liście.

- Pociągam ciągle napełniania gazem - powiedziałem i tak właśnie zrobiłem. - Gotowe.

W próżni nie usłyszałem syku rozprężającego się gazu, ale poczułem zmianę pod dłonią zaciśniętą na stelażu wabika.

- W porządku - odezwał się Lio.

- Proces napełniania w toku - mechanicznie odczytałem następną linijkę technicznego pyerdu.

Bezwładna masa pomalowanej tkaniny, której przez cały dzień używaliśmy jako worka na śmieci, drgnęła i zaczęła udawać kręgowca, kiedy jej wewnętrzne wsporniki nadeły się i powoli sztywniały. Z początku przestraszyłem się, że coś się nie uda - okaże się, że jest za mało gazu czy coś w tym guście, ale w końcu po kilku sekundach otworzyła się na oścież.

- Status? - zapytał stanowczym tonem Lio, który nic nie widział spod zwierciadła.

- Jest taki śliczny, że chętnie wlaźbym do środka i się nim przeleciał.

- W porządku.

- Rozpocynam przegląd - zameldowałem.

Oblazłem ustrojstwo dookoła, podziwiając „silniki manewrowe” rodem z origami, lekkie jak piórka „anteny” z drutu pamięciowego i folii polioplastowej, ręcznie malowane „osmalenia” i inne cuda techniki scenicznej wypracowane w konwoksowych laboratoriach. Znalazłem „silnik”, który nie rozłożył się jak należy, i pomogłem mu pstryknięciem palca. Postukałem też w zmięty wspornik, aż nadał się jak należy. Odrzuciłem czepiający się

wabika kawałek folii.

- Wygląda dobrze - powiedziałem.

- W porządku.

Na liście pozostało już głównie otwarcie zaworów i sprawdzenie ciśnienia w silnikach. Zdawałem sobie sprawę, że nieszczelna instalacja może mnie zabić, ale nie miałem wyboru.

- Kontakt wzrokowy za dziesięć minut.

Pozostało mi jeszcze nastawić zegar na pięć minut i włączyć odliczanie. Ostatnie „W porządku” Lio dźwięczało mi jeszcze w uszach, kiedy poczułem silne szarpnięcie za linkę ubezpieczającą. Ossa zaczął mnie ściągać. Parę sekund później znalazłem się pod osłoną Zwierciadła i wszyscy rzucili się, by mnie przypinać pasami jak złapanego po długim pościgu psychopatycznego mordercę. Cała łączność ograniczała się teraz do potwierdzania wykonanych zadań i zwięzłych ogłoszeń.

- Kontakt wzrokowy za osiem minut.

Nadęły się poduszki powietrzne w moim kombinezonie. Błysnęło, włączyły się silniki Zwierciadła, poczułem na plecach uderzenie akceleracji. Jak zwykle byliśmy zwrócenii twarzami w niewłaściwym kierunku i nie widzieliśmy, dokąd lecimy, ale tym razem na wyświetlaczach mogliśmy śledzić obraz ze szpilołapu, na którym balon i wabik oddalały się i kurczyły w oczach. Zanim upłynęło pięć minut, wabik stał się całkowicie niewidoczny. Kiedy odpalił silniki, dostrześliśmy tylko maciupeńki punkcik niebieskiego światła.

Po kilku minutach Geometrizy także musieli go zobaczyć, ponieważ *Daban Urnud* znowu wyłonił się zza Arbre.

Nasze silniki wykonały zadanie - przeniosły nas wyżej, bliżej statku Geometrów, po czym wyłączyły się (więcej mieliśmy ich nie używać) i znów zapanowała nieważkość. Poduszki powietrzne zwiotczały.

Poluzowałem kilka pasków, obróciłem się lekko i odszukałem wzrokiem wabik. Jego silniki pracowały jeszcze przez jakąś minutę, tak jakby usilnie starał się wspiąć na wyższą orbitę i wejść na kurs zbieżny z *Daban Urnudem*.

A potem wabik eksplodował.

Zgodnie z planem.

Zamiast czekać, aż Piedestał zareaguje (w sposób, którego nie mogliśmy przewidzieć, a który mógł mieć dla nas nieobliczalne skutki) na jego pojawienie się, inżynierowie zaprojektowali wabik w taki sposób, żeby w którymś momencie w silniku otworzył się niewłaściwy zawór. Cała konstrukcja rozpadła się na kawałki. Ognia nie było wiele, huku - rzecz jasna - nie usłyszeliśmy. Wabik przestał istnieć, zmienił się w gwałtownie rozszerzającą się chmurę odłamków, a my już po paru minutach zobaczyliśmy ogniste smugi w powietrzu pod nami: to pierwsze odpryski zaczynały wchodzić w atmosferę. Liczyliśmy na to, że Piedestał uzna naszą żalostną próbę za nieudaną z powodu awarii silnika raketowego (całkiem wiarygodny powód) i skoncentruje się na obserwowaniu odłamków, wysysając z nich wszelkie ślady informacji, zanim spalą się w atmosferze. Dzięki temu nie zobaczą Zimnego Czarnego Zwierciadła.

Następny etap podróży trwał kilka dni i wyglądał zupełnie inaczej od pierwszych dwudziestu czterech godzin. Nie mieliśmy już szerokopasmowego łącza z Arbre, nie mieliśmy również wiele do roboty. Czas płynął spokojnie.

Impuls silników, który wypchnął nas spod osłony balonu, postawił nas również na drodze *Daban Urmuda*, upodabniając nas do ptaka na kursie kolizyjnym z aeroplanem. Wiadomo było, że dotrzemy do statku, ale nie chcąc skończyć jako zmrożony rozbrzygz mięsa na jego chropowatej powierzchni, musieliśmy jeszcze wyhamować.

Inni astronauta użyliby do tego celu silnika raketowego, który w ostatniej chwili plunąłby ogniem, oraz silniczków manewrowych korygujących tor podejścia. My jednak chcieliśmy podkraść się niespostrzeżenie, więc takie sposoby nie wchodziły w

grę. Musieliśmy wygenerować przyspieszenie w sposób, który by się nie kojarzył ze świetlistą ejakulacją rozpalonych do białości gazów spalinowych.

Konwoks rozwiązał nasz dylemat za pomocą smyczy elektrodynamicznej: linki z obciążnikiem, przez którą w jednym kierunku płynął prąd. Miała około pięciu mil długości; była długa, ale bardzo mocna, czym trochę przypominała nasze sznury. Musieliśmy ją obciążyć, żeby była stale napięta, toteż na jednym końcu przywiązaliśmy ciężar: zużyte i niepotrzebne nam już manifiki, ukryte pod mniejszą i prostszą wersją Zimnego Czarnego Zwierciadła. Dlatego naszym pierwszym zadaniem po wynurzeniu się spod ochronnego balonu było połączenie manifików w niewielki pakiet, zamontowanie na nich drugiego lustra i przyczepienie ich do końca smyczy. Poczekaliśmy, aż Arbre zasłoni nas przed oczami Geometrów, zanim rozpoczęliśmy najdelikatniejszą - graniczącą z szaleństwem - część operacji: musieliśmy wprowadzić się w ruch obrotowy i wykorzystać siłę odśrodkową do rozwinięcia linki. Z początku nas to przerażało, dopóki obciążnik trochę się od nas nie oddalił: dopiero wtedy prędkość, z jaką my i on obracaliśmy się dookoła wspólnego środka masy, zmniejszyła się trochę i Arbre przestała nam migać w oczach z przyprawiającą o mdłości częstotliwością. Kiedy linka rozwinęła się na całą długość, szybkość obrotów stała się tak znikoma, że przestaliśmy na nią zwracać uwagę: od tej pory wykonywaliśmy jeden obrót na każde okrążenie Arbre, co oznaczało, że obciążnik cały czas znajdował się „pod” nami, linka była napięta, a Zimne Czarne Zwierciadło osłaniało nas - zgodnie z planem - „od góry”. Powolne obroty generowały namiastkę ciężenia w wysokości mniej więcej jednej setnej tego, co odczuwaliśmy na powierzchni Arbre, przez co systematycznie „spadaliśmy” do góry, oddalając się od planety, dopóki coś nas nie zatrzymało. Tym czymś był nadmuchiwany szkielet Zwierciadła: oparliśmy się o niego i pozostaliśmy do niego przytuleni, jakby przyciskał nas niewyczuwalny wiaterek.

Niedługo po zakończeniu tego manewru znaleźliśmy się

nad ciemną stroną Arbre i mieliśmy doskonały widok na rozciągnięte na równiku instalacje startowe, które Piedestał poddał intensywnemu sztabowaniu. Sama planeta była w większości czarna, żyłki i plamki światła rozpościerały się tylko w rejonach umiarkowanych, wszędzie tam, gdzie mieszkali ludzie. Na tym tle zrzucone z orbity sztaby kreśliły świetliste smugi, tak jakby uwiecznione pod powierzchnią Arbre bóstwa chthoniczne próbowały wydostać się na wolność, wycinając sobie drogę spawarkami. Kiedy sztaba uderzała w ziemię, jej poświata na chwilę gasła, by zaraz odrodzić się w postaci półkuli ciepłego czerwonego światła - przypominało to trochę eksplozję nuklearną, tylko bez radioaktywności. Przelatując nad lądowiskiem, z którego Jesry wyruszył w swoją pierwszą podróż kosmiczną, mogliśmy sobie dokładnie obejrzyć wymierzoną w nas czerwoną pięść. Jesry przerwał na chwilę pracę przy zasobniku i patrzył razem z nami.

Usłyszałem cichy, tępy szcęk. Spuściłem wzrok i stwierdziłem, że Arsibalt wpiął mi przewód w gniazdko na piersi kombinezonu. Od tej pory mieliśmy się porozumiewać wyłącznie w taki sposób. Uznaliśmy, że nawet krótkozasięgowa łączność radiowa byłaby zbyt ryzykowna, i po prostu połączyliśmy wszystkie kombinezony bezpośrednimi przewodami. Jak wspomniałem, nie mieliśmy już także stałej szerokopasmowej łączności z Arbre, ale Sammann zmontował łącze, które miało wysyłać i odbierać komunikaty pakietami, za pomocą skupionej, precyzyjnie wymierzonej wiązki, niemożliwej do wykrycia przez Geometrów. Od tej pory, gdyby komórka numer 87 chciała mi coś powiedzieć, informacja pojawiałaby się w postaci wiadomości tekstowej na moim wirtualnym wyświetlaczu od wewnątrz osłony hełmu - ale nie od razu: należało się spodziewać nawet dwugodzinnych opóźnień. Gdybyśmy nie wpięli się na stałe do retikuli, w ogóle nie moglibyśmy nadawać ani odbierać żadnych sygnałów.

- Jesteśmy jak linoskokczkowie - powiedział Arsibalt.

Z przyzwyczajenia spojrzałem na osłonę jego hełmu, ale zobaczyłem na niej tylko zdeformowane odbicie grzybokszałtnej

chmury. Przeniosłem wzrok na ekranik na piersi i ujrzałem twarz Arsibalta: patrzył w dół, na Arbre, a potem podniósł głowę, na chwilę nawiązując namiastkę kontaktu wzrokowego.

Zebrałem myśli. Była to moja pierwsza prawdziwa - czyli prywatna - rozmowa od kilku dni. Odkąd przełknąłem Pigułę i wlałem do kombinezonu, każdy wydany przeze mnie dźwięk, każde uderzenie serca, każdy łyk wody były rejestrowane i na bieżąco przekazywane gdzieś dalej. Przyzwyczailem się, że każde moje słowo trafia do gryziopiórków, którzy obradują nad nim w komisjach i zachowują je w archiwach na wieki. Trudno w takich warunkach prowadzić interesujące i szczerze rozmowy. Szybko jednak przyzwyczailem się do tego, że nie słyszę w słuchawkach głosów z komórki numer 87, a w tej chwili mogliśmy z Arsibaltem porozmawiać sam na sam. Nikt więcej się do nas nie podłączył. Zostaliśmy sami, jak podczas przechadzki po gaju arkuszowym w Edharze.

Jego wzmianka o linoskoczkach była naturalnie nawiązaniem do smyczy, którą przed chwilą rozwinęliśmy - ale wiedziałem, że chodzi mu także o coś więcej.

- Kiedy rozpakowywaliśmy jeden ładunek po drugim, cały czas rozglądałem się za...

Ugryzłem się w język, zanim przeszedłem na żargon astronautyczny. Zamierzałem powiedzieć „układem umożliwiającym wejście w atmosferę i decelerację”, ale te słowa zabrzmiałyby w tej chwili tak samo niestosownie jak w gaju arkuszowym.

- Za czymś, co umożliwiłoby nam powrót - wyręczył mnie Arsibalt.

- No właśnie. Rozpakowaliśmy cały sprzęt, większość wyrzuciliśmy, zostały same najważniejsze rzeczy i jest oczywiste, że nie mamy jak wrócić na Arbre. Nie przewidziano naszego powrotu.

Rozmyślałem o tym, obserwując następny ognisty grzyb przemykający nam pod nogami. W górnych warstwach atmosfery szybko się rozpywał i tracił kolory.

Arsibalt podjął porzucony przeze mnie wątek:

- I pomyślałeś, że później przyślą po nas jakiś pojazd. I że wystrzelą go na przykład stąd. - Wskazał grzyb, który właśnie mineliśmy. - Albo stamtąd. - W oddali, tysiące mil na wschód od niego, wyrastał już następny. - Albo z miejsca, w które celuje ta sztaba.

Miał na myśli kolejną płomienną krechę w atmosferze. Nie wiem, w co trafiła, może w fabrykę rakiet.

Krótko mówiąc, zmierzał do tego, że już jesteśmy martwi; naszą jedyną nadzieją na ocalenie było dotarcie do *Daban Urnuda*. Byłem trochę zły na niego, że szybciej niż ja poskładał elementy tej układanki. Pomyślałem też *Znowu się zaczynał*, bo niepokoiła mnie perspektywa spędzenia następnych dziesięciu godzin w stałej łączności z Arsibaltem: będę musiał odwieść go od skrajów hysterii i namówić do przyjęcia środków uspokajających z apteczki, która - miałem nadzieję - została wbudowana w kombinezon.

Pomyliłem się. Arsibalt trzeźwo ocenił sytuację, na pewno bardziej rzeczowo ode mnie, i wcale nie wpadł w przygnębienie. Był raczej... zamyślony.

- Kiedy zostaliśmy powołani, powiedziałeś, że chodzą słuchy, jakobyśmy mieli trafić prosto do komory gazowej - przypomniałem mu.

- To prawda. Ale wyobrażałem sobie jakąś prostszą śmierć. Szybszą. Tańszą.

To był żart tego rodzaju, że zepsułbym go, gdybym wybuchnął śmiechem. Trochę żałowałem, że Jesry i Lio nie mogli go usłyszeć. Tak czy inaczej, rozmowa się nie kleiła, aż w końcu Arsibalt odłączył się ode mnie i zaczął podłączać do innych, tak jakby przysiadł się do kolejnych stolików w refektarzu.

Miał akurat łączność z Jesrym, kiedy ten włączył smycz, czyli puścił przez nią prąd elektryczny. Oczywiście do tego, żeby obwód został zamknięty, potrzebny był jakiś sposób na to, żeby elektrony mogły wrócić do reaktora; w zwykłym sznurze do lampy od tego właśnie jest drugi przewód. Takie rozwiązanie było dla nas nie do przyjęcia, ale - na szczęście - znajdowaliśmy się w

jonosferze, która rozciąga się w najwyższych partiach atmosfery: jest permanentnie zjonizowana przez promieniowanie słoneczne i dzięki temu przewodzi prąd elektryczny. Nasze elektrony miały więc otwartą drogę powrotną. Prąd płynął w smyczy w jednym kierunku, dzięki czemu w interakcji z polem magnetycznym Arbre generował ciąg - słabiutki, nieporównywalny z ciągiem silnika raketowego, za to dający się podtrzymywać całymi dniami i umożliwiający nam wejście po spirali na pożądaną orbitę. Minęło tyle czasu, a to w dalszym ciągu była ta sama orbita, na którą wchodził *Daban Urnud*, kiedy z Alą śledziliśmy w praesidium jego ruch, zaznaczając na arkuszu położenie kolejnych iskierok.

Połączony z Jesrym Arsibałt pełnił rolę łącznika dla nas wszystkich. Najpierw zwrócił na siebie powszechną uwagę, wymachując rękami, a potem na migi dał nam do zrozumienia, że powinniśmy się czegoś chwycić, i zaczął odliczać na palcach. Kiedy zszedł z „pięciu” do „czterech”, jeden z palców jego szkieletowej dłoni stał się zbędny, zahaczył nim więc o uchwyt na pulpicie sterowniczym reaktora. Przy „jednym” złapał się uchwytu drugą ręką. Jesry przerzucił przełącznik.

Skutek nie był dramatyczny, ale ewidentny: smycz wygięła się w lekki łuk jak naciągnięty na wietrze sznurek. Zimne Czarne Zwierciadło odchyliło się delikatnie i ustawiło pod nowym kątem, minimalnie różnym od poprzedniego. I to wszystko. Mieliśmy napęd, równie pewny i stabilny, jak gdyby Jesry włączył silnik raketowy. Ciąg był jednak tak słaby, że w ogóle go nie odczuwaliśmy, i musiało minąć kilka dni, żebyśmy zauważyli jakieś mierzalne efekty.

Miałem teraz parę chwil na przemyślenie słów Arsibałta. Nawet biorąc pod uwagę obrażenia Julesa i Jaada oraz moją eskapadę w pogoni za reaktorem, musiałem przyznać, że start misji, zmontowanie Zimnego Czarneho Zwierciadła, wystrzelenie wabika oraz rozwinięcie smyczy powiodło nam się znacznie lepiej i sprawniej, niż mieliśmy prawo tego oczekiwać. Nikt nie umarł, nikt nie zaginął w tajemniczych okolicznościach, nie odpłynął bezradnie w siną dal; w ogóle obeszło się bez poważniejszych

wypadków i zdołaliśmy zebrać wystarczającą ilość ładunku. A ponieważ to właśnie początek misji zapowiadał się najbardziej niebezpiecznie, takie rozmyślania wprawiły mnie w doskonały nastrój - dopóki dziesięć sekund trzeźwej refleksji nie uświadomiło mi, że w gruncie rzeczy podjęliśmy misję samobójczą.

Dziedzina przyczynowa: Zbiór rzeczy lub faktów połączonych siecią zależności przyczynowo-skutkowych.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Odbywały się normalne spotkania towarzyskie. Z początku obawiałem się, że kiedy dwoje czy troje z nas połączy się przewodami, żeby porozmawiać na osobności, będzie to źle widziane - ale nie przeszkadzało mi, że Lio porozumiewa się na boku z Ossą czy Sammann z Julesem Verne Durandem, i wkrótce stało się oczywiste, że wszyscy chętnie respektują prawo innych do odrobiny prywatności. Sammann przeciągnął sieć przewodów, do której mogliśmy się wpiąć, kiedy zachodziła potrzeba ogólnej narady. Umówiliśmy się, że będziemy się w ten sposób spotykać co osiem godzin, a między tymi konferencjami mieliśmy czas wolny. Co trzecią taką przerwę staraliśmy się przeznaczać na sen, ale nie zawsze nam to wychodziło. Myślałem, że tylko ja mam takie problemy, dopóki podczas któregoś odpoczynku Arsibalt nie podpłynął bliżej i nie podłączył się do mnie.

- Spisz, Ras?
- Już nie.
- A spałeś?
- Niespecjalnie. A ty?

Takie same rozmowy, słowo w słowo, odbywaliśmy po nocach jako młodzi fidowie, leżąc w celach. Dalej jednak wymiana zdań wyglądała inaczej.

- Trudno powiedzieć - odparł Arsibalt. - Odkąd tu

jesteśmy, nie funkcjonuję w normalnym rytmie. Prawdę mówiąc, chwilami mam kłopoty z odróżnieniem snu od jawy.

- A o czym śnisz?

- O wszystkim, co mogło się nie udać...

- Ale się udało?

- Tak, Ras. Udało się.

- Nie opowiedziałeś mi jeszcze, jak uratowałeś Jaada.

- Nie wiem, czy będę umiał sensownie o tym opowiedzieć.

- Westchnął ciężko. - Mam w pamięci chaotyczny zlepek chwil, w których różne rzeczy robiłem i o różnych myślałem; w każdej z nich, Ras, coś mogło nie wyjść. I każde takie „niewyjście” miałyby fatalne skutki, tego jestem pewien. Ciągłe sobie to przypominam, obracam w głowie na wszystkie strony i dochodzę do wniosku, że za każdym razem udawało mi się podjąć właściwą decyzję.

- To klasyczny przykład działania zasady antropicznej, nie uważasz? Gdyby cokolwiek potoczyło się inaczej, byłbyś martwy, a zatem nie istniałby mózg, który mógłby to wspominać.

Arsibałt długo milczał, zanim w końcu westchnął i odparł:

- Niezbyt satysfakcjonujący argument, jak to zwykle z zasadą antropiczną bywa. Dlatego wolę alternatywne wyjaśnienie.

- Jakie?

- Że nie tylko jestem genialny, ale w dodatku działając pod presją, zachowuję zimną krew.

Postanowiłem nie ciągnąć tego wątku.

- Ja też miewam sny - przyznałem. - Sny, w których wszystko wygląda tak samo, tylko ciebie i Jaada nie ma, bo wykitowaliście.

- W niektórych snach nie udaje mi się uratować Jaada i patrzę, jak spala się w atmosferze. W innych to ty masz pecha, Ras: odzyskujemy reaktor, ale ty znikasz bez śladu.

- A potem się budzisz...

- Budzę się i widzę was obu: ciebie i Jaada. Tylko że granica między snem i jawą jest tu, na górze, tak niewyraźna, że czasem nie wiem, czy właśnie się obudziłem, czy zasnąłem.

- Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Ja mógłbym nie żyć. Ty mógłbyś nie żyć. Fraa Jaad też mógłby nie żyć...

- Staliśmy się wędrownym matmem dziesięcioletników fraa Orola - obwieścił Arsibalt. - Dziedzina przyczynową odcięta od reszty kosmosu.

- Ha!

- Orola nie przestrzegł nas jednak przed pewnym efektem ubocznym: my dryfujemy. Nie istniejemy w żadnym określonym stanie. Wszystko jest możliwe, wszystko może się wydarzyć, dopóki nie otworzą się bramy i nie zaczniesz się apert.

- Albo jest tak, jak mówisz, albo jesteśmy po prostu zaspani i za bardzo się wszystkim przejmujemy.

- To tylko jedna z wielu możliwości.

Kiedy nie drzemaliśmy (jak sądziła większość z nas) albo nie dryfowaliśmy między odrębnymi, choć równie prawdziwymi trajektoriami światów (jak uważał Arsibalt), obserwowaliśmy *Daban Urnuda*. Złożony z paru akapitów opis statku obcych, sporządzony przez Julesa Verne Duranda i rozpowszechniony w Retikulum, dostarczył antyrojowi dość informacji, żeby udało się zbudować jego trójwymiarowy model, który zdaniem Laterryjczyka okazał się nadspodziewanie precyzyjny.

Nadmuchajcie stalowy balon o średnicy mili i wypełnijcie go w połowie wodą. Potwórzcie to jeszcze trzy razy. Umieście kule w narożnikach kwadratu, blisko, ale tak, żeby się nie dotykały.

Zróbcie to samo z czterema kolejnymi kulami i ułóżcie je na czterech pierwszych, ale najpierw obróćcie nowy kwadrat o czterdzieści pięć stopni. Górne kule powinny osiąść w lukach między dolnymi jak owoce układane na wystawie sklepu spożywczego.

Dołóżcie jeszcze dwa takie zbudowane z kul kwadraty, za

każdym razem powtarzając obrót. Uzyskacie w ten sposób stosik złożony z szesnastu kul, o wysokości i szerokości nieco przekraczających dwie mile. W środku jest pusta przestrzeń, komin o średnicy około pół mili, który należy naładować do pełna różnymi fajnymi rzeczami: całą tą skomplikowaną, drogą, przemyślnie zaprojektowaną praksis, jaka od dawna kojarzy się z podróżami kosmicznymi. Większość miejsca zajmie stalowa kratownica mająca unieruchomić i stabilizować kule, kiedy cała konstrukcja będzie wirować w tempie jednego obrotu na minutę (wytwarzając w ten sposób sztuczne ciężenie), manewrować, robić uniki, balansować przelewającą się wodą, rozpędzać się - lub robić to wszystko jednocześnie.

Kiedy już macie pewność, że wasze dzieło się nie rozpadnie, możecie dorzucić pozostałe klocki: magazyn na dziesiątki tysięcy jądrowych ładunków napędowych; reaktory zasilające statek, kiedy znajdzie się daleko od gwiazd; niewiarygodnie skomplikowane okablowanie i instalację hydrauliczną; hermetyczne korytarze, którymi Urnudzcy, Troanie, Laterryjczycy i Fthozyjczycy będą przechodzić z kuli do kuli; grube światłowody przekazujące wychwycone na zewnątrz dwudziestościanu światło w głąb kul, żeby tam zasiląo umieszczone na dachach poletka.

Same kule mają stosunkowo prostą konstrukcję. Woda przelewa się w nich swobodnie. Po wprawieniu konstrukcji w ruch wirowy ucieka ku zewnętrznym ścianom kul, a jej powierzchnia odkształca się i tworzy krzywą, na której „przyciąganie” jest takie samo jak na macierzystej planecie. Kiedy statek przyspiesza, woda spływa w tylną część kuli i tam się poziomuje. Pasażerowie mieszkają w łodziach mieszkalnych, połączonych pajęczyną elastycznych lin i pooddzielanych twardymi pęcherzami powietrznymi; kiedy powierzchnia wody zmienia kształt, wszystkie łodzie przepychają się i przesuwiają, ale - jak na porządne stateczki przystało - są na to przygotowane: szafki mają zasuwki na drzwiach, meble są przymocowane do podłogi i tak dalej. Ludzie żyją tak, jak żyli ich przodkowie na macierzystej

planecie, i przez całe dnie czy tygodnie potrafią nie myśleć o tym, że są zamknięci w metalowym balonie zawieszonym w przestrzeni kosmicznej i popychanym przez bomby atomowe - tak jak rodziny na Urnuzie, Tro, Laterre i Fthosie nie myślą o tym, że żyją na latających w próżni mokrych kamiennych kulach.

Cała konstrukcja - zwana Kulostosem - jest bardzo zgrabna, ale wrażliwa na promieniowanie kosmiczne, zabłąkane meteory, światło słońca i broń obcych. Dlatego należy ją otoczyć zwirowymi ścianami zamocowanymi na potężnych amortyzatorach. Kulostos jest podwieszony od środka do tej konstrukcji. Wszystko, co wiąże się z obserwacją i eksploracją kosmosu - radary, teleskopy, uzbrojenie, jednostki zwiadowcze - znajduje się na zewnątrz, uczezione trzydziestu amortyzatorów lub dwunastu wierzchołków, w których amortyzatory się spotykają. Trzy z tych wierzchołków (te otaczające płytę napędową) to proste mechanizmy, za to dziewięć pozostałych to skomplikowane samodzielne statki kosmiczne. Niektóre, hermetycznie zamknięte, służą za miejsca spotkań dla członków dowództwa; w innych są wydrążone tunele, przez które niewielkie pojazdy i ludzie w kombinezonach mogą wydostawać się z dwudziestościanu na zewnątrz, w kosmos, w którym akurat się znaleźli; w jednym znajduje się obserwatorium astronomiczne, lepsze od wszystkich na powierzchni Arbre, bo działające w próżni.

Taki właśnie model, mniej lub bardziej szczegółowy, powstał w antyroju w tym samym czasie, kiedy moją komórkę zajmowały gry wideo i montowanie kombinezonów w Elkhazgu. Model został przeniesiony do syntaktów w naszych kombinezonach i mogliśmy się po nim poruszać, używając tych samych przyrządów sterowniczych (kulki i dźwigny), które wcześniej pozwalały nam kierować manifikami. Z daleka wydawał się imponująco kompletny i nacechowany jakąś naturalną, organiczną złożonością. Kiedy jednak zbliżyłem się, żeby zbadać rdzeń Kulostosu, zobaczyłem zawieszone w powietrzu półprzezroczyste zawiadomienie, wypisane w doskonałym orthyjskim przez sceptycznych deklarantów, informujących mnie z

załem, że wszystko, co od tej pory zobacze, opiera się wyłącznie na domysłach.

Spełniło się marzenie fraa Jaada: dostaliśmy sekstans. Sprytnie urządzenie było wyposażone w szerokokątny obiektyw, taki jak w Oku Clesthyry, i umiało rozpoznawać niektóre konstelacje, mogło więc określić nasze położenie w odniesieniu do tak zwanych nieruchomych gwiazd. Znajomość pozycji słońca, księżyca i Arbre, wbudowany precyzyjny zegar oraz efemeryda pozwalały mu wyliczyć elementy orbitalne. Fraa Jaad zagarnął przyrząd dla siebie, gdy tylko się o nim dowiedział, i całymi godzinami zgłębiał tajniki jego funkcjonowania.

Odkąd nasza przygoda w oczywisty sposób przerodziła się w misję samobójczą, Jules przestał oszczędzać żywność i jadł bez skrupowania, dzięki czemu odzyskał dawny wigor i dobry humor. Kiedy tylko nie spał, zawsze kilkoro z nas tkwiło podłączonych do jego kombinezonu i wypytywało go o szczegóły statku, które nie zostały uwzględnione w modelu: jak wyglądają drzwi, jak się je otwiera i zamyka, jak odróżnić Fthozyjczyka od Troana. Dowiedziałem się, że Geometry panicznie boją się pożaru w bezgrawitacyjnych sektorach dwudziestościanu, dzięki czemu co sto stóp rozmieścili schowki z aparatami oddechowymi, ognioodpornymi skafandrami i gaśnicami.

Nadal jednak mieliśmy mnóstwo wolnego czasu. Drugiego dnia połączyłem się z Jesrym i powiedziałem mu, co wiem o megazabójcach. Słuchał mnie uważnie, jakbyśmy byli w kredowni; niewiele mówił. Po wyrazie jego twarzy (widocznej na ekranie piersiowym) poznawałem, że intensywnie myśli o moich słowach i przyznaje mi rację. Zdawał sobie sprawę, że nie wszystko nam powiedziano. Do tej pory nasza misja wydawała się pozbawiona sensu, a teraz miał się nad czym zastanawiać, i dopóki nie dojdzie do jakichś wniosków, które nie byłyby oczywiste, nic mi nie powie.

Wiadomości tekstowe przesyłane z komórki numer 87 sływały do nas cienką strużką i pojawiały się na wyświetlaczu we wnętrzu mojego hełmu. Z początku były całkiem zwyczajne, a

potem zrobiło się dziwnie.

Tulia: *Chcemy tu rozsądzić taki mały spór... Jaka jest aktualna liczebność komórki?*

Wstukalem odpowiedź: *Przepraszam bardzo, ale czy pytasz o to, ilu z nas przeżyło?*

Wysłałem ją i dopiero po dłuższym namyśle zorientowałem się, że wcale nie odpowiedziałem na pytanie. Przez ten czas zdążyliśmy jednak stracić kontakt.

Zwołałem naradę. Wszyscy połączyliśmy się przewodami.

- Moja komórka wsparcia nie wie, ilu z nas przeżyło - oznajmiłem.

- Moja też nie - zawtórował mi Jesry. - Twierdzą, że kilka godzin temu wysłałem wiadomość, z której wynikało, że dwoje z nas zginęło.

- A wysłałeś?

- Nie.

- Moja przez dłuższy czas w ogóle się do mnie nie odzywała - przyznała suur Esmā. - Myśleli, że nie przeżyłam startu.

- Zaczynam się niepokoić - powiedziałem. - Może coś się stało z antyrojem? Komórki powinny przecież mieć łączność przez Retikulum, prawda? Porozumiewać się, porównywać informacje...

Spojrzeliśmy na Sammanna. Musieliśmy sobie wypracować nowy język ciała: ponieważ nasze twarze pozostawały niewidoczne, nauczyliśmy się odwracać w stronę rozmówcy, żeby wiedział, że z uwagą go słuchamy. Tak oto dziewięć kombinezonów zwróciło się w kierunku Sammanna; tylko dziewięć, bo fraa Jaad nie był zainteresowany spotkaniem: wypiął się z sieci i odsunął na bok. Ponieważ jednak od startu i tak prawie się nie odzywał, nikt się nim teraz nie przejął. Zaczynałem się zastanawiać, czy nie doznał przypadkiem urazu mózgu.

- Coś rzeczywiście musiało się zepsuć - przyznał Sammann.

- Geometry zakłócają Retikulum? - zainteresował się Ossa.

- Nie, Ret działa bez zarzutu. Przynajmniej w warstwie fizycznej. Wystąpił niskopoziomowy błąd w dynamice przestrzeni reputacyjnej.

- Kiedy wy, itowie, używacie określenia „niskopoziomowy”, sprawa jest poważna, prawda? - spytałem.

- Tak.

- Możesz wyjaśnić, co to dla nas oznacza? - poprosił Lio.

- W początkach istnienia Retikulum, tysiące lat temu, był taki okres, że stało się w zasadzie bezużyteczne, ponieważ roilo się w nim od błędnych, przestarzałych i nieprecyzyjnych informacji.

- Szajs - przypomniałem sobie. - Tak to kiedyś nazwałeś.

- Zgadza się, to termin techniczny. Filtrowanie szajsu stało się sprawą niezwyklej wagi. Powstawały firmy, które się w tym specjalizowały. Niektóre z nich wpadły na sprytny sposób zarabiania pieniędzy: zatrwały studnię, czyli zaczęły celowo wrzucać szajs do Retikulum, żeby zmusić ludzi do kupowania ich produktów, które go następnie odfiltrowywały. Stworzyły syntakty, których jedynym celem było zalewanie Retikulum szajsem. Tyle że to musiał być dobry szajs.

- A co to jest dobry szajs? - spytał Arsibalt z uprzejmym niedowierzaniem w głosie.

- Zacznijmy od tego, że zły szajs to niesformatowany plik złożony z przypadkowych znaków. Dobry szajs to pięknie wyglądający i dobrze napisany dokument, zawierający setkę prawdziwych, weryfikowalnych stwierdzeń i jedno w nieoczywisty sposób fałszywe. Trudno jest wygenerować dobry szajs. Z początku najmowano do tego ludzi, którzy wykorzystywali gotowe, poprawne dokumenty i wstawiali do nich błędy. Na przykład zamieniali jakieś nazwiska. Cała ta sprawa miała jednak znaczenie marginalne, dopóki nie zainteresowało się nią wojsko.

- Dobry szajs mógł być sposobem na dezinformowanie retikuli wroga - powiedział Ossa. - Tak, słyszałem o tym. Mówisz o Sztucznych Idiotyzmach z połowy pierwszego tysiąclecia p.r.

- Otóż to. Zaczęto budować bardzo skomplikowane i

potężne systemy Sztucznych Idiocy, mające służyć celom, o których wspomniał fraa Ossa. Praksis błyskawicznie przeniknęła do sektora komercyjnego i rozprzestrzeniła się po Wędrownych Ekologiach Botów Sierocych... Mniejsza z tym. W Retikulum nastąpiły Mroczne Wiek, którym dopiero itowie położyli kres.

- Czy te systemy Sztucznych Idiocy nadal są aktywne w Wędrownych Ekologiach Botów Sierocych? - spytał zafascynowany Arsibalt.

- W początkach drugiego tysiąclecia WEBS ewoluowały w zupełnie innym kierunku - zbył go Sammann.

- W jakim? - zainteresował się Jesry.

- Nie mamy pewności. Możemy co najwyżej wyciągać wnioski z sytuacji, w których ich obecność przejawia się w świecie materialnym. Na szczęście nie następuje to zbyt często. Ale odbiegamy od tematu: funkcjonalność Sztucznych Idiocy nadal istnieje. Itowie, którzy wyciągnęli Retikulum z Mrocznych Wieków, chcąc pokonać SI, musieli je przeciągnąć na swoją stronę, jeśli można tak powiedzieć. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził, ale prawda jest taka, że na każdy rzetelny dokument umieszczony w Retikulum przypadają setki, jeśli nie tysiące jego fałszywych wersji. Podróbek.

- Chcąc zagwarantować sprawność systemów obronnych, należy poddawać je nieustannym atakom - powiedział Ossa. Każdy dureń mógł się domyślić, że cytuje jakiś stary aforyzm z Doliny Dzwoneczków.

- Zgadza się. Ten mechanizm działa tak dobrze, że przeciętny użytkownik Retikulum nie ma pojęcia o jego obecności. Tak jak my nie zdajemy sobie sprawy z milionów zarazków stale i bezskutecznie atakujących nasz organizm. Wygląda jednak na to, że ostatnie wydarzenia i dodatkowe obciążenie wywołane powstaniem antyroju doprowadziły do wystąpienia niskopoziomowego błędu, o którym wspomniałem.

- Którego praktyczne konsekwencje są... jakie właściwie? - zapytał Lio.

- Nasze komórki na Arbre mogą mieć kłopoty z

odróżnieniem prawdziwych komunikatów od podróbek. Niektóre wiadomości pojawiające się na naszych wyświetlaczach również mogą być podróbkami.

- Wszystko przez to, że gdzieś tam, w jakimś syntakcie, porzestawiało się parę bitów - powiedział Jesry.

- To nieco bardziej skomplikowane - odciął się Sammann.

- Jesry'emu chodzi o to, że zamieszanie jest spowodowane tym, że pewna liczba bramek logicznych lub komórek pamięci znajduje się w stanie błędnym lub co najmniej nieokreślonym - wtrąciłem.

- Można tak powiedzieć - zgodził się Sammann. Nie musiałem widzieć tego gestu, żeby się domyślić, że wzruszył przy tym ramionami. - Ale na pewno wszystko się niedługo wyklaruje i przestaniemy odbierać nieprawdziwe komunikaty.

- Z pewnością - odezwał się fraa Gratho.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Lio.

- Spójrzcie. - Fraa Gratho wyciągnął rękę.

Spoglądając we wskazanym kierunku, zobaczyliśmy fraa Jaada pochylonego nad nadajnikiem radiowym, stanowiącym nasz jedyny środek łączności z planetą. Dźgał go raz po raz śrubokrętem. Kiedy jakiś odłamek wypryskiwał w przestrzeń, fraa Jaad pieczołowicie chwycił go w szkieletową dłoń, żeby nie wy dostał się spod Zimnego Ciemnego Zwierciadła i nie pojawił na radarze.

Kiedy skończył, wrócił do nas i wpiął się w sieć. Lio spokojnie czekał na wyjaśnienia.

- Przeciek wymuszał dokonywanie wyborów, które w żaden sposób nie poprawiały sytuacji - powiedział Jaad.

No jasne. Zostaliśmy zamknięci w jednym pokoju z obłąkanym czarownikiem. To sporo wyjaśniało.

Długo nikt się nie odzywał. Nie było sensu domagać się wyjaśnień: fraa Jaad wyraził się najprecyzyjniej jak potrafił. Widziałem, jak Jesry na mnie spojrział.

Tak załatwiają to inkanterzy. On to robi w tej chwili.

- Niesamowite... - odezwał się w końcu Sammann. - Też

chciałem to zrobić, ale zabrakło mi odwagi.

- To znaczy co? - zdziwił się Lio. - Zniszczyć nadajnik?

- Tak. Nawet już mi się śniło, że go zniszczyłem. I dobrze się z tym czułem. Kiedy się obudziłem, zdziwiłem się, że nadal działa.

- Dlaczego miałbyś chcieć go zniszczyć? - zapytał Arsibalt.

- Obserwuję go od dłuższego czasu. Przy każdym okrążeniu planety namierza w pewnym momencie stację naziemną, nawiązuje z nią łączność i opróżnia bufor. Czyści kolejkę.

Sammann przełożył następnie terminologię itów na orthyjski. Kolejka przypominała ułożone w stosik arkusze z wiadomościami, które przy każdej okazji nadajnik wysyłał na Arbre. Wypuszczał je w tym samym porządku, w jakim były ułożone, jak klienci stojący w kolejce w sklepie.

- Czyli w takiej kolejce znajdują się na przykład komunikaty tekstowe, które wysyłałem do mojej komórki wsparcia, tak? - upewniłem się.

- Ile ich napisałeś?

- Z pięć...?

- Lio?

- Około dziesięciu.

- Ossa?

Sammann przepytął wszystkich: nikt nie napisał więcej niż kilku wiadomości.

- W tej chwili w kolejce znajduje się ponad tysiąc czterysta obiektów - powiedział.

- Co to za obiekty? - spytał Arsibalt. - Możesz je odczytać?

- Nie. Są zaszyfrowane, a nikt nie uznał za stosowne użyć mi klucza. Większość z nich jest niewielka: wiadomości tekstowe, pakiety danych biomedycznych i związane z nimi podróbki. Niektóre jednak są tysiące razy większe. Ponieważ jestem w tym gronie jedynym fachowcem w tej dziedzinie, powiem wam coś, co dla ity byłoby oczywiste: te duże obiekty to najprawdopodobniej nagrania audio i wideo.

Przyszło mi do głowy mnóstwo możliwych wytłumaczeń, ale Arsibalt od razu wybrał to najbardziej dramatyczne i - to mu trzeba przyznać - prawdopodobnie właściwe:

- Podłuch!

Sammann nie zaoponował.

- W wolnych chwilach, których mi nie brakuje, śledziłem postępowanie kolejki. Te duże pliki zachowują się w bardzo specyficzny sposób. Po pierwsze, mają wyższy priorytet niż małe i natychmiast po zarejestrowaniu system przesuwają je na początek kolejki. Po drugie, ich powstawanie zbiega się w czasie z początkami i końcami naszych rozmów. Dam wam przykład: niedawno, między dziesiątą piętnaście i dziesiątą trzydzieści, Erasmus i Jesry ucięli sobie pogawędkę. Kiedy Jesry podłączył się następnie do retikuli, co nastąpiło przed kwadransem, w kolejce od razu pojawił się duży plik, który natychmiast trafił na jej początek. Czas utworzenia: dziesiąta siedemnaście. Czas ostatniej modyfikacji: dziesiąta trzydzieści.

- Czy to się powtarza przy wszystkich rozmowach? - zapytał Lio.

Z tonu jego głosu wnosiłem (tak jakbym mógł w to wątpić), że wszystko, co słyszy, jest dla niego taką samą nowiną jak dla mnie.

- Nie, tylko przy niektórych.

- Proponuję przeprowadzić eksperyment - powiedział Jesry. - Sammannie, czy system nadal działa?

- Jak najbardziej. Fraa Jaad unieszkodliwił nadajnik, ale sam syntakt pracuje, jakby nic się nie zmieniło.

- Masz podgląd kolejki?

- Naturalnie.

Jesry odłączył się od reszty i dał mi na migi do zrozumienia, żebym zrobił to samo. Połączyliśmy się tylko we dwójkę i wdaliśmy w stary, wyświechtany dialog, którego kiedyś, jako młodzi fidowie, musieliśmy się nauczyć na pamięć: dowód twierdzenia, że pierwiastek kwadratowy z dwóch jest liczbą niewymierną. Staralem się jak najlepiej odegrać swoją rolę. Po

zakończeniu dialogu podłączyliśmy się do retikuli i odczekaliśmy chwilę.

- Nic - poinformował nas Sammann.

Znowu odczepiliśmy się od retikuli i połączyliśmy w parę.

- Pamiętasz, jak czasem w Edharze po kolacji siadywaliście sobie z innymi inkanterami i z kukurydzy i sznurówek robiliście megazabójców? - zapytałem.

- Pewnie! To byli świetni megazabójcy, można nimi było mordować tych obrzydliwych gryzipiórków na pęczki.

- Przydadzą się, kiedy zdradzimy Arbrea dla Piedestału.

Rozmawialiśmy w tym tonie jeszcze przez parę minut, zanim ponownie wpięliśmy się do retikuli.

- Nowy plik! - zameldował Sammann. - Na samym początku kolejki.

- W porządku - odezwałem się. - Gryzipiórków bardzo interesuje to, czy poruszamy tu pewne tematy. Takie jak megazabójcy.

- Tu cię mam! - wykrzyknął Sammann. - Właśnie został utworzony nowy plik. I rośnie, cały czas rośnie... kiedy... ja... coś... mówię.

Nie rozmawialiśmy jeszcze ze wszystkimi o megazabójcach, więc teraz posypały się pytania, na które Lio starał się odpowiadać. Ja z Jesrym kontynuowaliśmy tymczasem nasz eksperyment: przez następne pół godziny kilkadziesiąt razy nawiązywaliśmy i przerywaliśmy kontakt z retikulą. Za każdym razem wypróbowywaliśmy nowe wyrazy, żeby sprawdzić, które z nich powodują włączenie się automatycznego systemu rejestrującego. Działaliśmy trochę na oślep, ale udało nam się ustalić jeszcze kilka słów-kluczy: atak, neutron, masowe morderstwo, obłąd, hańba, bezwzględny, odmowa, bunt.

Przy każdym połączeniu z retikulą reszta komórki podsuwała nam nowe pomysły do sprawdzenia, ponieważ konwersacja w naturalny sposób rozwijała się w takim kierunku, że pojawiały się w niej słowa wymienione powyżej, a także wiele innych. Atmosfera robiła się coraz bardziej nerwowa i cieszyłem

się, że możemy od czasu do czasu wyłączyć się i potraktować całą dyskusję jako obiekt badań teoretycznych. Po pewnym czasie sytuacja stała się jednak tak napięta, że postanowiliśmy wyłączyć się w retikulę i już nie oddalać.

Arsibalt zadał właśnie Dzwonecznikom bardzo istotne pytanie: wobec kogo tak naprawdę są lojalni?

- Z moimi fraa i suur z Doliny Dzwoneczków łączy mnie więź, której nie da się precyzyjnie opisać, ponieważ do złudzenia przypomina więzy rodzinne - odpowiedział mu fraa Ossa. - Nie zamierzam zaś marnować tlenu na dyskusję o krzyżujących się i zazębiających grupach, do których należę i którym powinienem być wierny: komórka numer trzysta siedemnaście, świat matematyki, konwoks, mieszkańcy Arbre oraz społeczność rozciągająca się poza granice naszego kosmosu, a obejmująca takie osoby jak na przykład Jules Verne Durand.

- Se żust - przytaknął Laterryjczyk. Przyzwyczailiśmy się, że w ten sposób wyraża czasem aprobatę.

- Rozróżnienie wszystkich zobowiązań bywa niemożliwe w chwili ujawnienia. Nie pozostaje wtedy nic innego, jak zaufać prostym, wyćwiczonym odruchom.

Jules nie słyszał wcześniej o koncepcji ujawnienia, więc Ossa zrobił mu krótki wykład oparty na przykładzie fechtmistrza i drzewa decyzyjnego, które fechtmistrz musi przemierzyć, żeby podczas pojedynku wykonać właściwy ruch. Było rzeczą oczywistą, że w szybkiej wymianie pchnięć i zasłon nie może być mowy o racjonalnej analizie tak skomplikowanego zagadnienia, należało się zatem domyślać, że szermierz, który uszedł z życiem z więcej niż jednego czy dwóch takich spotkań, zrobił Coś Innego. Deklaranci z Doliny Dzwoneczków specjalizowali się w badaniu i kultuwalności tego Czegoś Innego.

Jules Verne Durand w lot pojął, o co chodzi.

- Można przeprowadzić analogię ze skomplikowanymi gramiami planszowymi - zauważył. - Znamy ich trochę na Laterre i są do waszych pod jednym względem bardzo podobne: drzewo możliwych posunięć i kontrposunięć rozrasta się w tak

błyskawicznym tempie, że mózg nie ma szans przeanalizować wszystkich możliwości. Maszyny, które wy nazwalibyście urządzeniami syntaktycznymi, potrafią grać w taki sposób, ale ludzcy mistrzowie stosują zupełnie inne strategie, oparte na postrzeganiu całej planszy, wykrywaniu na niej pewnych wzorców i stosowaniu pewnych ogólnych zasad.

- Teglón - wtrącił fraa Jaad.

Nie musiał nic więcej dodawać. Wszyscy widzieliśmy, czego dokonał w Elkhazgu; nikt nie miał wątpliwości, że nie doszedł do rozwiązania ani metodą prób i błędów, ani na drodze improwizacji. Od początku musiał mieć w głowie całą mozaikę.

- To niebezpieczne - zauważył beznamiętnie Jesry. - Prowadzi do konkluzji, że możemy odrzucić Grabie i zachowywać się jak banda entuzjastów, a wszystko będzie dobrze, ponieważ osiągnęliśmy holistyczną jedność z polikosmosem.

- Rzeczywiście, to jest pewien problem - zgodził się z nim Jules. - Nikt jednak nie odważyłby się stwierdzić, że można wygrać pojedynek albo ułożyć teglón, folgując sobie do tego stopnia.

- Jesry posłużył się sofizmatem - przestrzegł nas Arsibalt. - Przedstawił potencjalną przyszłą przeszkodę. Jeżeli przyjmujemy jego argumentację i w pewnym momencie dojdziemy w naszej dyskusji do punktu, w którym będzie trzeba podjąć trudną decyzję, nie będziemy mogli jej sensownie ocenić, bo już na dzień dobry odrzucamy wszelką możliwość racjonalnej analizy.

- Umiejętność podejmowania właściwych decyzji w trudnych chwilach trzeba ćwiczyć latami, stosując wewnętrzną dyscyplinę, ćwiczenia i medytację - powiedział fraa Ossa. - Nikt nie twierdzi, że nowicjusz zdoła rozwiązać teglón, opierając się na intuicji. Fraa Jaad potrzebował na to wielu dekad.

- Wielu wieków - poprawił go.

Nie widziałem powodu, dla którego miałbym to dłużej ukrywać. Usłyszałem w retikuli kilka okrzyków zdumienia, ale nikt otwarcie nie zaprotestował.

Fraa Jaad też nie. Powiedział natomiast coś takiego:

- Ci, którzy w sposób zdyscyplinowany analizują możliwe rozstrzygnięcia, tworzą połączenia z innymi kosmosami, w których te rozstrzygnięcia są czymś więcej niż tylko potencjalnymi ewentualnościami. Taka świadoma analiza jest mierzalnie, ilościowo różna od rozumowania kogoś, kto nie podejmuje takiego wysiłku. Pozwala dokonywać właściwych wyborów w chwili ujawnienia, kiedy umysł niewyćwiczony jest bezradny.

- Pięknie - skwitował to Jesry. - Ale co nam to daje? Co teraz robimy?

- Moim zdaniem już coś zyskaliśmy - wtrącił. - Kiedy przed chwilą ty i ja włączyliśmy się do tej rozmowy, wszyscy byli rozsierdzeni i próbowali podjąć decyzję osadzoną w kontekście sojuszów i lojalności. Fraa Ossa wykazał, że jest to skazane na niepowodzenie, ponieważ wszyscy zaliczamy się do różnych grup, których interesy mogą być sprzeczne. Ta wypowiedź stonowała emocje. Doszliśmy też do wniosku, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich możliwości. Ty jednak również masz rację, kiedy mówisz, że oparcie się na naiwnych emocjach to prosta droga do klęski.

- Musimy więc osiągnąć zdolność decyzyjną podobną do tej, która fraa Jaadowi pomogła ułożyć teglon - powiedział Jesry. - To jednak wymaga czasu i wiedzy. Czasu nie mamy w ogóle, wiedzy nie za dużo.

- Zostały nam jeszcze dwa dni - przypomniał Lio.

- A naszą wiedzę możemy poszerzyć w drodze wnioskowania - dodał Arsibalt.

- Na przykład? - spytał sceptycznie Jesry.

- Domyślamy się, że w naszym sprzęcie mogli zostać przemyceni megazabójcy i że celem misji może być dostarczenie ich na *Daban Urnuda*.

- Większość sprzętu nie dotrze na *Daban Urnuda* - zauważył Lio i dodał wypranym z emocji tonem: - Ci z was, którzy otrzymali Plan Ostatniego Spotkania, już o tym wiedzą.

- Będziemy tylko my i nasze kombinezony - przytaknął Jesry. - Nic więcej nie trafi na statek. Ci, którzy zaplanowali misję,

nie wiedzą, co się stanie z kombinezonami, jeśli na przykład wpadniemy w ręce Piedestału. Może zostaną wyrzucone w kosmos? A może rozłożone na części?

- Widzimy już, do czego zmierzasz - przyznał fraa Ossa. - Ale powinieneś to powiedzieć wprost.

- Dobrze. My sami jesteśmy bronią. Megazabójcy zostali umieszczeni w naszych ciałach. Wszyscy wiemy, w jaki sposób.

- Piguły... - mruknął Jules.

- Zgadza się: termometry z nadajnikami, które połknęliśmy przed startem. Ktoś już swój wydalil?

- A wiesz, że nie? - zdziwil się Arsibalt. - Zadomowil mi się w brzuchu.

- No włascie. Można je pewnie usunąć operacyjnie, ale do tego czasu wszyscy jesteśmy żywymi bombami atomowymi.

- Wszyscy poza fraa Jaadem i Julesem Verne Durandem - wtrącila suur Vay, a kiedy wyrazilismy nasze zdumienie, dodala: - Podejrzewam, że ich Piguły walają się gdzieś luzem we wnętrzu kombinezonów.

- Ja swoją wyrzygałem - przyznał Jules.

- A ja swojej nie połknąłem - wyjaśnił Jaad.

- Suur Vay jako lekarz naszej komórki wie o tym, ponieważ wskazania tych dwóch termometrów są zupełnie niedorzeczne? - domyślił się Lio.

- Otóż to. Niewłaściwe odczyty spowodowały niewłaściwą reakcję kombinezonów. To dlatego potrzebowali po starcie interwencji lekarza.

- Dlaczego nie połknąłeś swojej Piguły, fraa Jaadzie? - zapytał Arsibalt. - Wiedziałeś, co jest w środku?

- Uznałem, że tak będzie rozsądniej - brzmiała odpowiedź, jakiej raczył udzielić fraa Jaad.

- To wyjaśnienie... - zaczął. - Ten pomysł z przekształceniem nas wszystkich w bomby jądrowe jest niesamowity. Ja jednak nie wierzę, żeby Ala się na coś takiego zgodziła.

- Mogła nie wiedzieć - zauważył Lio. - Ten element planu

dorzucili bez jej wiedzy.

- Na miejscu głównego stratega armii poszedłbym do Ali i powiedział tak: „Proszę zebrać ekipę, która pani zdaniem będzie miała największe szanse dostać się na *Daban Urnuda*” - odezwał się fraa Ossa. - Na co ona odpowiedziała: „Proponuję nawiązać kontakt z tymi spośród Geometrów, którzy są w opozycji do Piedestału. Przyjmą naszych ludzi na pokład i udzielą im pomocy”.

- Potworność! - wyrwało mi się.

- Potworność... - powtórzył Jesry. - Pewnie następne słowo-klucz.

Miałem ochotę go dzielić. Ale miał rację.

Dwa dni później zdjęliśmy białe skafandry, obciągnęliśmy osłony pulpitów piersiowych i znów staliśmy się jednolicie czarni i matowi. Niczym wspinacze w górach powiązaliśmy się liną, która pełniła dwójką funkcję: liny zabezpieczającej i kabla łącznościowego. Jaad, Jesry i ja większość ostatniej wachty spędziliśmy, siedząc nad sekstansem i robiąc obliczenia, których zwieńczeniem był fraa Jaad zawieszony od spodu reaktora z nożem w ręce i spoglądający wzdłuż smyczy na wirujące na jej końcu konstelacje. W momencie, gdy określona gwiazda znalazła się dokładnie na przedłużeniu smyczy, ciął linkę. Smycz z obciążnikiem odpadła i poleciała w przestrzeń - podobnie jak my: ta ostatnia korekta pędu miała ostatecznie zsynchronizować naszą orbitę z orbitą *Daban Urnuda*.

Pół godziny później wszyscy zaparliśmy się stopami o dolną powierzchnię Zwierciadła i na dany przez Lio sygnał odepchnęliśmy ją w dół (albo podskoczyliśmy do góry - wszystko zależy od przyjętego układu odniesienia). Zwierciadło odsunęło się i odsłoniło nam - pierwszy raz - widok bezpośrednio na *Daban Urnuda*. Znajdował się tak blisko, że bardzo niewiele

zobaczyliśmy: jedna trójkątna ściana dwudziestościanu wypełniała nam większość pola widzenia.

Praktycznie wszystkie przyrządy i czujniki Geometrów zostały zaprojektowane w taki sposób, żeby umożliwiać obserwację obiektów znajdujących się tysiące mil od statku. Podczas pierwszego lotu w kosmos w towarzystwie Niebiańskiego Strażnika Jesry i inni astronauta przekonali się, że Geometry mają również radary krótkiego zasięgu, ale nie mieli powodu ich uruchamiać, dopóki nie spodziewali się gości - a my pod osłoną Zimnego Czarnego Zwierciadła zbliżyliśmy się na tak niewielką odległość, że nawet te radary stały się bezużyteczne. Trzeba przyznać, że mieliśmy trochę szczęścia: gdyby nasza trajektoria podejścia była odrobinę mniej precyzyjna, musielibyśmy wcześniej odrzucić Zwierciadło i wystawić się na ich fale. Jednakże fraa Jaad idealnie wyczuł moment przecięcia smyczy. Choćby przez cały czas trwania misji nie zrobił nic więcej, tą jedną akcją udowodnił swoją przydatność.

Dlatego, żeby nas teraz zobaczyć, musieliby nas dosłownie zobaczyć. Ktoś musiałby wyrzeć przez okno albo (co bardziej prawdopodobne) zerknąć na monitor wyświetlający obraz ze szpilołapu i przypadkowo dostrzec jednaście matowoczarnych człekokształtnych postaci szybujących na czarnym tle kosmosu.

Powierzchnia dwudziestościanu przypominała łupkową plażę: była płaska i ułożona z niezliczonych kawałków asteroid pozbieranych w czterech różnych kosmosach. Pomiędzy nimi coś połyskiwało - fragmenty spajającej je drucianej siatki. Zanosilo się na to, że zderzymy się z amortyzatorem, który przecinał przestrzeń przed nami jak linia horyzontu, wyminęliśmy go jednak o parę jardów i znaleźliśmy się „ponad” inną ścianą statku, chwilowo zacienioną. Każde z nas miało broń sprężynową i na znak Lio wystrzeliliśmy w stronę wysypanej odłamkami ściany kotwiczki na linach. Mniej więcej co druga zaplątała się w metalowej siatce, linki jedna po drugiej naprężyły się i ciągnęły tych, którzy je wystrzelili. Na skutek tego łącząca nas lina również zaczęła się napinać w sposób skomplikowany i zgoła nieprzewidywalny, i

przez chwilę zderzaliśmy się w locie i płataliśmy coraz bardziej, dopóki wszyscy członkowie komórki nie wylądowali na końcu zagmatwanej sieci sznurków. Siła rozędu próbowała nas pchnąć prosto na ścianę, co było trochę przerażające. Na szczęście czworo Dzwoneczników miało przygotowane dysze odrzutowe na zimny sprężony gaz. Odpalili je teraz, kierując w tę stronę, w którą nie chcieliśmy lecieć. Wywołali w ten sposób kolejną serię wręcz nedorzecznnych zderzeń i zaplątań, ale zdołali spowolnić nasz ruch. Zbliżając się do ściany, wyciągaliśmy przed siebie ręce i/lub nogi, żeby pełniły rolę amortyzatorów. Udało mi się zaprzeć prawą stopą o większy głaz, ale rozęd okręcił mnie w miejscu. Tęnym zakończeniem ramienia kombinezonu wyróżnałem w inny kamień sprzed czterech i pół miliarda lat, dzięki czemu udało mi się uniknąć uderzenia weń twarzą. Liczne sznurki zaczęły mnie ciągnąć w różnych kierunkach i z różną siłą, chwilami wlokły mnie nawet po kamieniach, ale w końcu wszyscy przestaliśmy się tarzać i obijać i wczepiliśmy się w siatkę metalowymi palcami. Komórka numer 317 zameldowała się na *Daban Urnudzie*.

Requiem: Ryt odprowiany po śmierci deklaranta.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Ciemność była prawie absolutna. Arbre znajdowała się po przeciwnej stronie statku i tylko księżyc w nowiu, wschodzący właśnie nad nieregularnym horyzontem najbliższego amortyzatora, słał słabutką poświatę, przy której udało nam się wyplatać z lin i doprowadzić do porządku. Buty na magnetycznej podszwie lekko trzymały się niklowo-żelaznej powierzchni dwudziestościanu. Sammann obszedł wszystkich, poruszając się takim krokiem, jakby szedł po lepkiej powierzchni, i sprawdził połączenia.

- Ta ściana będzie zaciemniona jeszcze przez dwadzieścia minut - poinformował nas Jesry. - Potem musimy się przenieść na tamtą.

Nie widziałem go, ale domyślałem się, że wskazuje jeden z trzech amortyzatorów tworzących nasz lokalny widnokrąg. Kiedy *Daban Urnud* okrążał Arbre, linia terminatora, oddzielająca połówkę oświetloną od zaciętej, przesuwiała się po jego powierzchni. Na każdej ścianie wschody (i zachody) słońca następowały z niezwykłą gwałtownością. Nie chcieliśmy czekać na taki świt, gdyż z cytadelowatych konstrukcji na wierzchołkach dwudziestościanu roztaczał się doskonały widok na zbiegające się przy nich ściany.

- Radar krótkiego zasięgu nas nie namierzył - obwieścił fraa Gratho. - Tak wskazują moje przyrządy.

- Jest wyłączony - powiedział Lio. - Jednak prędzej czy później zauważą odcięte przez fraa Jaada manifiki albo Zimne Czarne Zwierciadło i ogłoszą stan podwyższonej gotowości. W którą stronę do Wypalacza Światów?

- Za mną - powiedział fraa Ossa i zaczął iść.

O ile można w ten sposób nazwać ten niezgrabny styl przemieszczania się. Chciałbym móc powiedzieć, że zataczaliśmy się jak pijani, ale uraziłbym w ten sposób wszystkich wstawionych fraa, którym zdarzało się po nocy wracać do cel. Większość dwudziestominutowego okresu ciemności zużyliśmy na pokonanie pierwszych dwustu stóp. Dopiero wtedy nauczyliśmy się może nie tyle jak się poruszać, ile raczej jak się nie poruszać. Do najbliższej linii widnokręgu dotarliśmy z kilkuminutowym zapasem.

Amortyzator przywodził na myśl rurociąg, do połowy zagrzebany w gruzie i wzmocniony pletwiastymi podporami, żeby pod obciążeniem nie giął się jak słomka. Na obu końcach, odległych od nas o mniej więcej milę, pęczniał jak główka kości i tworzył masywny stalowy guz. Pięć takich guzów, z pięciu schodzących się z różnych stron amortyzatorów, tworzyło wierzchołek dwudziestościanu i podstawę budowanych na nim konstrukcji. Każdy wierzchołek wyglądał inaczej, ale wszystkie składały się z mnóstwa kopuł, cylindrów, kratownic i anten. Zainstalowane na czubku ekstrawaganckie bukiety srebrnych parabolicznych tub czekały na chwilę, kiedy będą mogły spojrzeć

w słońce i skraćć mu trochę blasku.

Trójkątne gruzowisko, które przemierzyliśmy, nie dochodziło do samego amortyzatora. W układzie musiało zostać trochę luzu; amortyzator na stałe przyspawany do sztywnej trójkątnej płyty nie spełniałby swojej funkcji. Dlatego pole gruzu kończyło się dziesięć stóp od obejmującej amortyzator sieci wsporników i było z nią połączone za pomocą układu lin przewleczonych przez bloczki. Na pierwszy rzut oka wydawało się to okropnie skomplikowane i budziło skojarzenia raczej z żaglowcem niż statkiem kosmicznym, ale ponieważ Urnudzycy budowali takie pojazdy od tysiąca lat, zakładałem, że znają się na rzeczy.

Z dołu, spod skraju ściany, biło światło. Zwolniliśmy, schyliliśmy się i zajrzeliśmy w głąb dwudziestościanu: w przestrzeń o objętości około dwudziestu trzech mil sześciennych, delikatnie rozświetloną blaskiem wpadającym przez inne szczeliny przy amortyzatorach i rozpraszanym na wewnętrznych powierzchniach ścian i szesnastu kulach. Widok dokładnie odpowiadał modelowi, który znaleźliśmy na pamięć - ale ujście tego wszystkiego na własne oczy było, rzecz jasna, zupełnie innym przeżyciem. Najbliższa z kul przesuwała się przed nami w tempie sekundnika zegara. Była oznaczona wielgachną urnudzką cyfrą, ja zaś na tyle poznałem ten system zapisu, żeby wiedzieć, że mam przed sobą „piątkę”. W kuli numer 5 mieszkali najwyżsi rangą Troanie.

Instykt podpowiadał mi, że powinienem bać się skoku nad przepaścią, bo jeśli w nią „wpadnę”, przelecę kawał drogi w próżni, a na koniec rozplaszczę się na jednej z wirujących kul. Tylko że tu nie było mowy o grawitacji, wpadaniu i rozplaszczaniu się.

Ossa skoczył pierwszy: przesadził dziurę jednym susem i wczepił się we wsporniki amortyzatora. Vay była ostatnia na linii. Kiedy wszyscy znaleźliśmy się po drugiej stronie, zaczęliśmy się poruszać na samych rękach; obawialiśmy się, że stukot magnetycznych podeszew o amortyzator okaże się za głośny.

Nastąpiła chwila zamieszania, gdy ustalone w naszych głowach pojęcia „góry” i „dołu” uległy zakłóceniu przez pojawienie się nowej ściany statku, określającej nowy „poziom” i nowy horyzont. Szybko się jednak przyzwyczailiśmy i następną szczelinę pokonaliśmy w taki sam sposób. Być może zachowywaliśmy przesadną ostrożność (chodziło przecież tylko o dziesięć stóp!), ale gdybyśmy skoczyli wszyscy naraz i za mocno się wybili, moglibyśmy odplłynąć w przestrzeń.

Słońce załśniło na wspornikach, z których przed chwilą zesliśmy, my zaś wylądowaliśmy na następnej ścianie dwudziestościanu, gdzie ciemność miała nas chronić przez najbliższe kilka godzin, czyli dłużej niż tego potrzebowaliśmy - i prawdę mówiąc dłużej niż mogliśmy sobie pozwolić: został nam godzinny zapas tlenu, a zasobnika już się pozbyliśmy.

Dwie mile od nas, dokładnie po drugiej stronie gruzowiska, znajdowała się bomba wodorowa wielkości pięciopiętrowego biurowca. Miała w przybliżeniu jajowaty kształt i przypominała oplatanego pajęczyną żuka, ponieważ jej czyste linie psuła płatanina dźwigarów i przewodów łączących ją z wybudowaną w wierzchołku dwudziestościanu cytadelą. Wydawało się, że, cały wierzchołek ma tylko jeden praktyczny cel: służy jako podpora dla Wypalacza Światów. Zresztą nawet gdyby Wypalacz nie był tak ogromny, i tak byłoby trudno go nie zauważyć, ponieważ był rześście oświetlony.

Na użytek setki ludzi w kombinezonach, którzy tłumnie go obleźli.

- Myślicie, że szykują go do wystrzelenia? - zapytał Arsibalt.

- Nie sądzę, żeby przyszli go tylko odmalować - odparł zgryźliwie Jesry.

- W porządku - powiedział Lio.

Nie wiedziałem, do kogo mówi ani na co wyraża zgodę, ale pstryknięcie, które usłyszałem, dowodziło, że ktoś się odłączył.

Widok na Wypalacz Światów przesłoniły nam cztery sylwetki w czarnych kombinezonach, które przed chwilą odłączyły

się od naszej retikuli. W ciemnościach i z zasłoniętymi pulpitemi piersiowymi były nie do odróżnienia, ale coś w ich sposobie poruszania się zdradzało, że pochodzą z Doliny Dzwoneczków. Szli w szeregu; jeden - zapewne fraa Ossa - wysforował się odrobinę naprzód. Z każdym krokiem rozchodzili się coraz bardziej na boki.

- Lio? - odezwałem się. - Co się dzieje?

- To ujawnienie.

Kiedy ustawili się w dwudziestostopowych odstępach, fraa Ossa wysunął szkieletowe dłonie i - niczym stepowy jeździec podczas pojedynku - z olster na biodrach wyciągnął dwa podobne do pistoletów przedmioty: dysze na sprężony gaz. Pozostała trójka zrobiła to samo. A potem fraa Ossa się przewrócił. Tak to w każdym razie wyglądało: zestawiał razem stopy i czekał, aż siła bezwładności poderwie magnetyczne podeszwy butów do góry. Gdy tylko stracił kontakt z dwudziestościanem, wierzgnął lekko, wyrównał, ułożył ciało dokładnie poziomo i zaczął sunąć (głową naprzód) w kierunku Wypalacza Światów. Ręce trzymał przy bokach, dysze wycelował w stronę stóp i szybował nad gruzowiskiem jak nisko latający superbohater. Vay, Esmā i Gratho zrobili to samo. Za ich plecami obraz lekko drżał i marszczył się jak oglądany w gorącym powietrzu: to gaz z dysz rozpływał się w próżni. Z początku przemieszczali się powoli, z mozolem, ale wkrótce zaczęli się rozpedzać i korygując kierunek lotu delikatnymi ruchami nadgarstków, zmierzali w różne rejony Wypalacza Światów. Było w ich ruchu jakieś ciche, złowrogie piękno, kiedy sunęli nad połyskliwym fioletowo-błękitnym gruzowiskiem. Widzieliśmy ich sylwetki na tle powodzi światła - ale tylko w pierwszych chwilach lotu, bo potem stali się dla nas tak samo niewidoczni jak dla Geometrów pracujących przy bombie.

- Mamy najwyżej kilka minut na to, żeby dostać się do wnętrza i znaleźć zdatne do oddychania powietrze - powiedział Lio. - Potem wszystkie drzwi na *Daban Urnudzie* zostaną przed nami zamknięte.

- Co z Dzwonecznikami? - zapytał Arsibalt.

- Najrozsądniej będzie chyba założyć, że zarówno oni, jak i wszyscy robotnicy zatrudnieni do obsługi Wypalacza Światów są martwi - odparł Lio po krótkim zastanowieniu.

- Chcą go zaatakować? - spytałem. - Teraz?!

- Polecieli dokonać abordażu - wyjaśnił Lio.

A właściwie nie tyle wyjaśnił, ile przypomniał, bo już wcześniej rozważaliśmy tę możliwość.

Co zrobimy, kiedy zobaczymy Wypalacz Światów z bliska i okaże się, że Geometry szykują się do wystrzelenia go?

No tak, to by wszystko zmieniło. Musielibyśmy natychmiast rozpocząć realizację planu awaryjnego.

Wiedziałem, że o tym rozmawialiśmy, ale skategoryzowałem ten scenariusz w głowie pod hasłem „rzeczy niezwykle mało prawdopodobne, o których można bezpiecznie zapomnieć”.

Lio nie zapomniał.

- Jeżeli Dzwonecznikom uda się dyskretnie wejść na pokład Wypalacza Światów, ukryją się i poczekają z dalszymi działaniami do chwili, kiedy zapas powietrza będzie na wyczerpaniu. Dzięki temu my zyskamy więcej czasu na wejście do statku. Jeśli jednak Wypalacz zostanie wystrzelony albo ktoś ich tam zobaczy i podniesie alarm... wtedy...

- Wtedy będzie źle - odpowiedział Jesry.

- Czyli może mamy trochę czasu, a może nie - zauważyłem.

- Co oznacza, że musimy działać tak, jakbyśmy nie mieli go w ogóle - podsumował Lio. - Jules? - Spojrzał na milczącego Laterryjczyka. - Słuchasz?

- Przepraszam... Zdumiewa mnie zamieszanie, jakiego źródłem staną się Dzwonecznicy. To dla Piedestału niewyobrażalny koszmar, najgorsza kompromitacja od tysiąca lat. Muszę przyznać, że czuję się rozdarty.

- Rozumiem konflikt w twojej duszy... - powiedziałem - ale chyba nie masz nic przeciwko zniszczeniu Wypalacza Światów?

- Nie - przyznał Jules cicho, ale wyraźnie. - W tym względzie moje uczucia są klarowne. Przykro mi, że niektórzy z robotników zgina, ale sama praca przy tak potwornym urzędzeniu...

Nie skończył zdania, a ja domyśliłem się, że pod kombinezonem wzruszył ramionami.

- Po prostu nie chcesz wprowadzić megazabójców na pokład *Daban Urnuda* - dodałem.

- To na pewno.

- Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale... - wtrącił Lio - zaprowadź nas do waszego przywódcy.

- Słucham?

- Wskaż nas Urnudeczykom i twoja misja się skończy. Będiesz mógł wrócić do domu i porządnie się najść.

- Na co my nie możemy liczyć - mruknął Arsibalt.

- Rzeczywiście... - przyznał Jules. - Co za ironia losu: tutaj nie ma dla was nic do jedzenia.

- Jak brzmi twoja decyzja? - zapytał Lio.

Wszyscy trochę się niecierpliwiliśmy, chociażby z powodu kurczących się zapasów tlenu. Chciałbym móc się pochwalić, że cały czas myślałem racjonalnie i oddzielałem Grabiami ziarno od plew w kłębiących mi się w głowie myślach, ale prawda wyglądała inaczej: byłem oszołomiony, skonfundowany i - chociaż brzmi to trochę bezsensownie - urażony nieoczekiwanym odłączeniem się Ossy, Vay, Esmy i Gratha. Zdawałem sobie sprawę z istnienia różnych planów awaryjnych i nigdy się nie łudziłem, że znam je wszystkie, ale przez cały czas wmawiałem sobie, że Dzwonecznicy do końca zostaną z nami. Kiedy zobaczyłem ich w autokarze w Tredegarhu, przeraziłem się, że wyruszam na misję, podczas której potrzebne będą osoby z ich umiejętnościami. Z czasem jednak przyzwyczailem się do ich obecności i nawet zacząłem odczuwać dumę z faktu, że mogę im towarzyszyć. A teraz w decydującym momencie Dzwonecznicy po prostu nas zostawili bez słowa wyjaśnienia, bez „do widzenia” czy „powodzenia”. Sensowność ich decyzji nie uległa wątpliwości:

unieszkodliwienie Wypalacza Światów było najważniejsze. Ale co z nami?

- Czy to możliwe, że jesteśmy zużytym mechanizmem nośnym? - usłyszałem swój głos. - Jak te silniki pomocnicze, które wystrzeliły nas w kosmos, a potem spadały do morza?

- Niewykluczone - przytaknął bez wahania Jesry. - Odrobiliśmy pracę domową, zrobiliśmy parę cwanych sztuczek, żeby dostarczyć Dzwoneczników na miejsce... Zadanie wykonane, a my zostaliśmy bez jedzenia, tlenu, łączności i możliwości powrotu do domu.

- Przeceniacie znaczenie Wypalacza Światów - odezwał się fraa Jaad. - To blef. Jego istnienie wymusza na naszej armii określone działania, których w innej sytuacji by nie podjęła. Jego zniszczenie zwróci Arbre odrobinę wolności, ale nie wiemy, w jaki sposób państwo sekularne zechce ją wykorzystać. Dlatego wszystko, co zrobimy, może jeszcze mieć znaczenie. Musimy działać dalej.

- Jules? - zapytał Lio. - Co ty na to?

- Kusi was, żeby wskoczyć do tej dziury? - odpowiedział pytaniem Jules.

Instynktownie odwróciliśmy się plecami do Wypalacza Światów, tak jakby mogło nas to ochronić przed wybuchem przemocy w jego pobliżu, i znów spojrzeliśmy w głąb szczeliny - na przesuwające się kule numer 6 i 7 i na widoczny między nimi rdzeń.

- W tym świetle będziemy dobrze widoczni - ciągnął Jules. - A Kulostos wiruje z tak dużą prędkością, że nie uda nam się go dogonić. Dlatego musimy wejść do środka przez rdzeń. Żeby zaś znaleźć się we wnętrzu rdzenia, musimy się do niego dostać przez wierzchołek. - Obrócił się, drobiąc w miejscu, i ustawił przodem do wierzchołka, który (patrząc na amortyzator) mieliśmy po lewej stronie. - Tam jest obserwatorium. Widzieliście je na fototypach. - Obrócił się w prawo. - A to jest wojskowe centrum dowodzenia.

- Czy w obserwatorium są śluzy? - zainteresował się Arsibalt.

Wszyscy rzecz jasna zwróciliśmy się w lewo. Nikt nie zamierzał atakować placówki wojskowej - zwłaszcza po tym, jak opuścili nas Dzwonecznicy.

- Ależ naturalnie, właśnie na nią patrzysz - odparł Jules i ruszył przed siebie.

Dogoniliśmy go.

- Naprawdę?

- Kopuła z teleskopem cała jest jedną wielką śluzą.

- To brzmi sensownie... - przyznał Jesry. - Podczas pracy nad teleskopem napełnili kopułę powietrzem, a potem, kiedy chcieli rozpocząć obserwacje, otworzyli ją i opróżnili.

W innej sytuacji drażniłby mnie tym objaśnianiem rzeczy oczywistych, ale teraz było mi to obojętne. Oszłomiła mnie myśl, której przez ostatni tydzień nie odważyłem się dać przystępu do mojej głowy: będę mógł zdjąć kombinezon. Dotknąć swojej twarzy.

Arsibalt pomyślał o tym samym.

- Kiedy na starość będę wspominał tę eskapadę, własny smród wyda mi się pewnie zabawny.

- Coś w tym jest... - zgodził się z nim Lio. - Jeżeli zapachy przenoszą się między kosmosami, wszystko, co znajduje się na Knocie niżej od nas, wyginie.

- Dzięki za zapowiedź - mruknął Jesry.

- Nie uprzedzajmy faktów - zaproponowałem.

- Czy ktoś pełni dyżur w obserwatorium? - zapytał Sammann.

- Raczej nie w sensie dosłownym - odparł Jules. - Teleskopami można sterować zdalnie przez nasz odpowiednik Retikulum. Ale główny teleskop z pewnością jest w tej chwili używany: bada wasz piękny kosmos, który dla nas jest zupełnie nowy.

Konstrukcja wierzchołka wznosiła się coraz wyżej nad naszymi głowami i stary instynkt podszeptował mi, że czeka nas wyczerpująca wspinaczka - ale oczywiście o żadnej wspinaczce mowy być nie mogło, bo nic nie ważyliśmy. Bez dalszej dyskusji

ruszyliśmy prosto w stronę „najwyższej” i największej z kopuł, zgodnie z zapowiedzią Julesa - otwartej. Miała kształt sfery podzielonej na dwie ruchome połowki, które zostały rozchylone i odsłoniły wielosegmentowe zwierciadło o średnicy około trzydziestu stóp. Wśliznęliśmy się do środka przez przestrzeń między półsferami (dostatecznie szeroką, żeby zmieścił się w niej czteropokojowy dom) i zsunęliśmy się na rękach jak najniżej, na poziom dźwigarów i przegubów zwierciadła; wydaje mi się, że kierował nami wiekowy odruch nakazujący się schronić, schować, uciec od przerażającej pustki, w której musieliśmy przeżyć ostatnie kilka dni. Jules pokazał nam właz, przez który mogliśmy dostać się do hermetycznie zamkniętego wnętrza statku, kiedy kopuła zostanie już zamknięta i wypełniona powietrzem. Znaleźliśmy nawet piękny czerwony guzik - naciśnięcie go miało uszczelnić kopułę i zassać do niej powietrze w trybie awaryjnym, ale Jules stanowczo nam to odradził, ponieważ alarmy rozdzwoniłyby się wtedy na całym *Daban Urnudzie*. Zamiast tego podciągnął się na wspornik obiektywu umieszczonego w ognisku zwierciadła, zerwał refleksyjną osłonę panelu piersiowego, zatkał nią obiektyw i wrócił do nas „na dół”. My w tym czasie staraliśmy się nie denerwować i nie dyszeć. Arsibalt, który zużył najwięcej tlenu z nas wszystkich, miał jeszcze dziesięciominutowy zapas; dostał trochę od Sammanna, któremu zostało powietrza na dwadzieścia pięć minut. Ja miałem osiemnaście. Lio zaproponował, żebyśmy najedli się na zapas, bo jeśli rozstaniemy się z kombinezonami, zostaną nam tylko batoniki energetyczne, które zabierzemy do kieszeni. Zassałem więc porcję brei z rurki i podjąłem długi, żmudny wysiłek powstrzymywania odruchu wymiotnego.

- Halo! - zawołał Jules.

Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że zareagował na pojawienie się twarzy w przeszklonym przezierniku włazu: jakaś kosmografka przyszła sprawdzić, co się stało, że główny teleskop osłepł. Pomny objaśnień Julesa, z kształtu nosa i koloru oczu domyśliłem się, że mamy przed sobą Fthozyjkę, i nawet nie

umiejąc odczytywać uczuć z fthozyjskiej mimiki, mogłem śmiało stwierdzić, że obserwuję właśnie dwa z nich: zdziwienie płynnie przeszło w osłupienie, gdy kobieta zobaczyła czarny kombinezon próżniowy nieznanej konstrukcji. Jules złapał uchwyty po obu stronach włazu i przytknął osłonę twarzy do szybki przeziernika - a potem musieliśmy wszyscy ściszyć głośniki w kombinezonach, kiedy zaczął coś wykrzykiwać - jak się domyślaliśmy, po fthozyjsku. Kosmografka zrozumiała jego zamiysł i przyłożyła ucho do szkła. W próżni dźwięk się nie rozchodził, ale głośne wrzaski Julesa wzbudzały wibracje w szkłe, które mogły przenieść się w powietrze po drugiej stronie i do ucha kobiety.

Jules powtórzył swoją wiadomość; jakimś cudem w jego głosie było słyhać więcej entuzjazmu niż desperacji, tak jakby był w szampańskim humorze. Usta kobiety się poruszyły. Coś mu odkrzyknęła.

Kopułę zalało światło. Pomyślałem, że to Fthozyjka włączyła oświetlenie, żeby lepiej widzieć, co się dzieje, ale po chwili stwierdziłem, że światło wlewa się do środka przez szparę między połówkami kopuły. Czyżby weszło słońce? Ostrzegano nas, że wschody słońca są tu bardzo nagłe, ale ta iluminacja wydała mi się gwałtowna na kilka różnych sposobów. Światło rozbłysło osłepiająco, przygasło, znowu się wzmoęło; pulsowało, gotowało się i bulgotało. Stelaż dwudziestościanu zadygotał od bezgłośnego wstrząsu. Lio podskoczył do góry z takim zapalem, że omal nie wyfrunął w kosmos przez otwór między półsferami, ale udało mu się naprężyć przewód łączący go z retikulą, jak wahadło przeleciał w poprzek nad zwierciadłem i zatrzymał się na samej krawędzi otworu. Dogasające światło odbiło się w osłonie jego twarzy.

- To Wypalacz Światów - powiedział. - Chyba wysadzili zbiorniki paliwa.

A potem krzyknął coś niewyraźnie, odepchnął się i zleciał do nas „na dół”. Połówki kopuły drgnęły i zaczęły się zamykać. Szczelina między nimi błyskawicznie się zwięzała. I tym razem naprawdę zapaliły się światła.

Szczelina zamknęła się z wyraźnie wyczuwalnym - choć kompletnie niesłyszalnym - szczękiem. Zostaliśmy uwięzieni w statku na dobre i na złe. Cały czas zerkałem na czerwony guzik awaryjny. Zostało mi osiem minut.

Jedno ze wskazań na moim wyświetlaczu zaczęło się zmieniać: zewnętrzne ciśnienie, które od startu pozostawało na czerwonym, zerowym poziomie, pomału wspinało się do strefy żółtej. Jules też to zauważył, bo podpłynął do zakratowanego otworu obok wjazdu i przyłożył do niego rękę. Podmuch powietrza odepchnął mu ją na bok.

- Cartas niech będą dzięki - mruknął Arsibalt. - Nie obchodzi mnie, z którego kosmosu pochodzi to powietrze. Chcę nim pooddychać.

- Skoro i tak musimy chwilę poczekać, odświeżcie sobie procedurę zdejmowania kombinezonów - polecił nam Lio. - Pokażcie się.

Odślonił wyświetlacz na piersi. Wszyscy poszliśmy w jego ślady i pierwszy raz od paru godzin mogliśmy obejrzeć twarze swoich towarzyszy i sprawdzić wskazania ich biomonitorów. Nie widziałem wszystkich, bo stłoczyliśmy się w ciasnej przestrzeni „pod” zwierciadłem, ale zobaczyłem Jesry’ego, któremu zostały dwie minuty. Ja miałem w zapasie jeszcze pięć. Wymieniliśmy się pojemnikami. Napelnianie kapsuły powietrzem trwało bardzo długo.

W końcu wskazania manometrów z żółtych zrobiły się zielone, co oznaczało, że ciśnienie jest wystarczające do oddychania. W tej samej chwili wskaźnik mojego zbiornika z tlenem z czerwonego („zagrożenie dla życia”) stał się czarny („nie żyjesz”). Resztki arbryjskiego powietrza zużyłem na wydanie komendy, która rozszczelniła mi skafander. Pyknęło mi w uszach. Zakłuło mnie w nosie i poczułem dziwny zapach - woń czegoś innego niż moje ciało. Lio, który z troską śledził wskazania moich instrumentów (z osób, które widziałem, miałem najmniej tlenu), podszedł do mnie od tyłu i zdjął mi osłonę pleców. Wyciągnąłem rękę, zaparłem się o krawędź MGT, podciągnąłem się i wylazłem

nagusieńki z tego cholerstwa. Wciągnąłem do płuc obce powietrze. Moi towarzysze obserwowali mnie w napięciu. Jedynym Arbryjczykiem, oprócz mnie oddychającym tym powietrzem, był Niebiański Strażnik, który wytrzymał kilka minut.

Dotknąłem twarzy. Rozmasowałem ją, podrapałem się po nosie, przetarłem niewyspane od tygodnia oczy, przeczesalem palcami włosy. Miałem jeszcze inne, cenniejsze dla obserwatorów pomysły, co mógłbym zrobić, ale na razie kierował mną imperatyw biologiczny.

Lio namacał przełącznik na piersi swojego kombinezonu. Pstryknął.

- Słyszysz mnie? - zapytał.

- Tak, słyszę cię.

Wszyscy sięgnęli do pstryczków.

- Co prawda, mój fraa, i tak wszyscy musimy wyskoczyć z kombinezonów, ale... jak tam jest?

- Serce wali mi jak młotem - odparłem i zawiesiłem głos. Wypowiedzenie tego zdania zmęczyło mnie. - Najpierw myślałem, że to z podniecenia, ale może jednak to powietrze nam nie służy. - Cały czas mówiłem z przerwami, którymi rozdzielałem spazmatyczne wdechy. Ciało kazało mi oddychać szybciej. - Teraz rozumiem, dlaczego Niebiańskiemu Strażnikowi rozsadziło tętniak.

- Ras?

Oddychaj. Oddychaj.

- Tak?

Oddychaj. Oddychaj. Oddychaj.

- Pomóżcie mi wyjść - powiedział Lio.

Jesry złapał go, obrócił i szarpnięciem otworzył drzwiczki na plecach. Lio wyskoczył z kombinezonu, jakby w środku się paliło, i podpłynął do mnie z obłąkanym wyrazem twarzy. Nabyte w koncencie nawyki kazały mi się od niego odsunąć, kiedy był w takim nastroju, ale zwyczajnie zabrakło mi siły. Te same ramiona, które wielokrotnie mnie sponiewierały, zamknęły się teraz wokół mnie w niedźwiedzim uścisku. Lio przytulił ucho do mojej piersi.

Na głowie miał szorstką szczecinę. Jak oset. Czulem, jak klatka piersiowa zaczyna mu się gwałtownie rozszerzać i kurczyć. Jesry, Arsibalt i Jules również wygramolili się z kombinezonów. Jules podpłynął prosto do włazu, przestawił dźwignię i go otworzył. I wszystko rozplynęło mi się przed oczami, ale zamiast czerni ujrzałem żółtawą szarość, jakby nadmiar blasku prześwietlił czerń.

Unosiliśmy się z fraa Jaadem w powietrzu w białym korytarzu. Ja byłem nagi, Jaad włożył cienki szary skafander, jaki każdy z nas miał na wyposażeniu. Sądząc po tym, co zobaczyłem, musiał przed chwilą grzebać we wbudowanej w ścianę stalowej szafce. Obok niego szybowwały dwie grudy srebrzystej materii. Kiedy otworzył jedną z nich, okazało się, że ma rękawy i nogawki. Czasem zerkał w moją stronę i kiedy zauważył, że mu się przyglądam, rzucił mi szarawy pakunek w polioplastowej torebce: zwinięty skafander.

- Włóż go - polecił. - Na wierzch naciągnij ten drugi, srebrny.

- Będziemy gasić pożar?

- W pewnym sensie.

Otworzenie torby kosztowało tyle wysiłku, że krew zatętniła mi w uszach; wciągnięcie skafandra wpędziło mnie w dług tlenowy. Kiedy doszedłem do siebie na tyle, żeby móc coś powiedzieć, zapytałem:

- Gdzie reszta?

- Jest taka Historia, całkiem podobna do tej, którą postrzegamy my dwaj, w której poszli rozejrzeć się po statku. Kiedy ktoś ich znajdzie, chcą się poddać. Nie będą stawiali oporu.

- Jest jakiś powód, dla którego nas zostawili?

- Wyjście z kombinezonu po tak długim czasie. Zamknięcie w ograniczonej przestrzeni po tym, jak przyzwyczailiśmy się do bezkresnej przestrzeni. Oddychanie

powietrzem z innego kosmosu. Skutki długotrwałej nieważkości. Ogólny stres i podniecenie. Wszystko to wywołuje specyficzny zespół objawów, utrzymujących się przez kilka minut; jest to rodzaj wstrząsu, który może powodować dezorientację, a nawet utratę przytomności, ale u zdrowego człowieka szybko mija. Podejrzewam jednak, że dla Niebiańskiego Strażnika było to zbyt wiele.

- No dobrze. Zrzuciliśmy kombinezony i przez kilka minut byliśmy zdezorientowani lub nieprzytomni. Czyli, mówiąc twoim językiem, straciliśmy kontakt z naszą Historią. Przestaliśmy śledzić trajektorię naszego świata. Ta część naszej świadomości, która pozwala nam na bieżąco robić sztuczkę z muchą, nietoperzem i dżdżownicą, chwilowo się wyłączyła.

- Zgadza się. Tamci odzyskali świadomość w takiej trajektorii świata, w jakiej my dwaj jesteśmy martwi.

- Martwi.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Nic dziwnego, że nas zostawili. Tak naprawdę wcale nas nie zostawili, bo w ogóle nie dotarliśmy na statek.

- No właśnie. Włóż to. - Jaad podał mi obejmującą całą twarz maskę tlenową.

- A ta fthozyjska astronomka? Dlaczego nie wezwała policji czy coś w tym rodzaju?

- Jules z nią rozmawia. Facet ma dar przekonywania.

- A Lio, Arsibalt, Jesry i Sammann po prostu chodzą sobie po statku jakby nigdy nic i szukają kogoś, komu mogliby się poddać, tak?

- Istnieje taka trajektoria.

- To naprawdę dziwne.

- Bynajmniej. W wojennej zawierusze często się tak zdarza.

- A co z naszą trajektorią? Co tamci czterej robią w Historii, w której w tej chwili jesteśmy?

- Ja jestem w kilku naraz - poprawił mnie fraa Jaad. - Utrzymanie tego stanu rzeczy sprawia mi trochę kłopotu, a twoje

pytania wcale mi tego nie ułatwiają. Dlatego udzielię ci prostej odpowiedzi: wszyscy pozostali zginęli.

- Nie chcę tkwić w Historii, w której moi przyjaciele nie żyją. Zabierz mnie z powrotem do tamtej.

- Nie ma żadnego „z powrotem”. Nie mogę cię nigdzie zabrać. Możemy tylko posuwać się naprzód.

- Nie chcę być w Historii, w której moi przyjaciele nie żyją - upierałem się.

- W takim razie masz wybór: możesz albo od razu wyskoczyć przez śluzę, albo pójść ze mną.

Fraa Jaad naciągnął maskę tlenową na twarz i w ten sposób zakończył rozmowę. Wręczył mi gaśnicę, sam wziął drugą, odepchnął się od ściany i popłynął w głąb korytarza.

Mój umysł zachował się w tym momencie zupełnie nedorzecznie, bo skupił się na wszystkich śrubach i mutrach użytych do budowy statku, zamiast zająć się czymś naprawdę istotnym. Miałem wrażenie, że jakaś Barbopodobna cząstka mnie wysforowała się do przodu, stłamsiła moją duszę i kazała mi skoncentrować się na rzeczach, które Barbowi wydałyby się interesujące - takich jak na przykład zamki w drzwiach. Podukłady odpowiedzialne za takie drobiazgi jak oplakiwanie przyjaciół, strach przed śmiercią, niemożność zrozumienia trajektorii światów oraz chęć uduszenia fraa Jaada zostały pozbawione środków do życia.

Drzwi było mnóstwo, wszystkie zatrzaśnięte, ale nie zamknięte na zamek; Jules twierdził, że na *Daban Urnudzie* to normalny stan rzeczy. Zewnętrzne rubieże statku były podzielone na odrębne, niezależnie hermetyzowane przedziały, żeby uszkodzenie przez meteor jednego z nich nie zagrażało sąsiednim. Z tego powodu poświęciliśmy masę czasu na otwieranie i zamykanie drzwi, czy raczej lekko wypukłych włazów

trzystopowej średnicy z ciężkimi zamknięciami jak w skarbcach. Chcąc je otworzyć, należało złapać dwa symetrycznie umieszczone uchwyty i przekręcić je w przeciwnie strony - co przydawało się w zerowym ciężeniu, kiedy próby zaparcia się stopami i wykorzystania masy ciała nie znajdowały oparcia w prawach teoretycznych. Zawsze po takim siłowaniu się z włazem dyszałem ciężko, płynąc w powietrzu za fraa Jaadem.

Jedno z pytań, którymi wcześniej chciałem go rozdrażnić, brzmiało: *Dlaczego właśnie ja? Nie mógłbyś sam zrobić tego, co masz do zrobienia, a mnie zostawić w Historii, w której moi przyjaciele żyją?*

Kto wie, może właśnie poznałem na nie odpowiedź. Może trafiłem tutaj z tego samego powodu, dla którego hierarchowie w Edharze wytypowali mnie do nakręcania zegara: byłem osiłkiem. Mogłem otwierać ciężkie drzwi. Wolałem to od nicnierobienia, więc wyprzedzałem fraa Jaada i przykładałem się do swojej roboty najlepiej jak umiałem. Za każdym razem spodziewałem się spojrzeć wprost w wylot lufy urnudzkiego komandosa kosmicznego, ale w obserwatorium było mało ludzi, i kiedy wreszcie natknęliśmy się na jakąś kobietę, po prostu zaniemówiła i zesłała nam z drogi. Przebranie strażaków było tak proste, tak oczywiste, że wątpiłem, czy w ogóle zadziała - ale skoro zadziałało doskonale w przypadku pierwszej napotkanej osoby, można się było spodziewać, że zwiedzie także sto następnych.

Korytarz doprowadził nas do kulistej komory, pełniące chyba rolę przedsionka całego wierzchołka. Musieliśmy przez nią przejść, żeby dostać się do innych części *Daban Urnuda*. Metodą prób i błędów odkryliśmy, że jedno z wyjść łączy się z długim rurowatym szybem.

- To musi być ściętno - powiedziałem.

Fraa Jaad pokiwał głową i wleciał do środka.

Do tej pory moje wrażenia z *Daban Urnuda* ograniczały się prawie wyłącznie do widoków niewiarygodnego dwudziestościanu i imponujących cytadel na wierzchołkach. Wobec ich rozmiarów i niezwykłości łatwo zapominałem o tym,

że prawdziwe cuda konstrukcji i wszyscy mieszkańcy statku znajdują się gdzie indziej: w obracającym się Kulostocie. Do tej pory przypominaliśmy z Jaadem dwójkę barbarzyńców, którzy wyważają kopniakami drzwi w porzuconej strażnicy na obrzeżach cesarstwa. Teraz weszliśmy na trakt prowadzący do stolicy.

W sumie było dwanaście ścięgien: po sześć odchodziło od dwóch potężnych łożysk na krańcach Kulostosu. Sam Kulostos przypominał małą w skrzynce, zapierającą się wszystkimi czterema łapami o ściany: czasem musi łapę ugiąć, żeby zamortyzować wstrząs, czasem wyprostować. Łapa jest żywa; składa się z kości (wytrzymałość), mięśni (reakcja), naczyń krwionośnych (transport surowców), nerwów (łączość) oraz skóry (ochrona całości). Ściągno na statku musiało spełniać te same funkcje, toteż miało podobnie skomplikowaną konstrukcję. My z fraa Jaadem widzieliśmy tylko wewnętrzną powierzchnię szybu dziesięciostopowej szerokości, ale z rozmów z Julesem wiedzieliśmy, że całe ścięgno ma ponad sto stóp średnicy i jest po brzegi wypakowane elementami konstrukcyjnymi i funkcjonalnymi, których istnienia mogliśmy się domyślać po mijanych włazach, zaworach, pulpitach, ekranach i tabliczkach. Nowicjusze - tacy jak my - nie potrafili ustawić się precyzyjnie w środku rury, tylko ślizgali się od ściany do ściany. Za każdym razem, gdy zbliżaliśmy się do dogodnego chwytu, korzystaliśmy z okazji, odbijaliśmy się od niego, żeby nabrać szybkości, i głęboko oddychając, lecieliśmy na spotkanie następnego. Mniej więcej w połowie drogi natknęliśmy się na grupę Geometrów, którzy na nasz widok uczepili się ścian i skulili, robiąc nam miejsce. Kiedy ich mijaliśmy, coś wykrzykiwali pod naszym adresem; domyślałem się, że były to jakieś pytania, które z konieczności musieliśmy puścić mimo uszu.

Właz na końcu ścięgna wychodził na sklepioną komorę o średnicy stu stóp - zdecydowanie największą otwartą przestrzeń, jaką do tej napotkaliśmy. Domyślałem się, że jest to hala przedniego łożyska. Moje domysły potwierdzał fakt, że w podłodze pomieszczenia znajdował się dwudziestostopowej

średnicy otwór, a po jego drugiej stronie wszystko się obracało. Dotarliśmy do przedniego krańca rdzenia i znaleźliśmy się we wnętrzu olbrzymiego - i niewidocznego dla nas - łożyska, łączącego wirujący Kulostos z nieruchomym kompleksem dwudziestościanu i ścięgien.

Pół tuzina szybów łączyło się z komnatą przez wbudowane w półkulisty „sufit” portale. Fraa Jaad i ja przed chwilą wyłoniliśmy się z jednego z nich. Przy wylocie sąsiedniego panował wściekły ruch; przypominało to te sale w wielkich miastach, gdzie handluje się akcjami. Było to oczywiście ściętno prowadzące do Wypalacza Światów, a właściwie do tego, co z niego zostało po ataku Dzwoneczników. Ludzie wlatywali i wylatywali w tempie około dwóch na sekundę; czułem się, jakbym obserwował gniazdo szerszeni w środku lata. Wlatujący najczęściej zabierali ze sobą broń i narzędzia; niektórzy z wylatujących byli ranni. Dwa przeciwbieżne strumienie zderzały się w hali łożyska, gdzie jeszcze inni ludzie próbowali zaprowadzić ład, tłumaczyć im, dokąd mają się udać i co robić, ale bez żadnego widocznego efektu - może poza tym, że wszyscy kłócili się ze wszystkimi. Cieszyłem się, że nie rozumiem, co mówią. W tym zamieszaniu dyskretne poruszanie się było dziecinnie proste - do tego stopnia, że moim największym zmartwieniem było odróżnienie fraa Jaada od innych postaci w strażackim rynsztunku. W pewnym momencie przestraszyłem się nawet, że go zgubiłem, ale po chwili dostrzegłem podejrzanego strażaka - gapił się na mnie i pokazywał na płaską powierzchnię z otworem w środku, którą w myślach zacząłem już nazywać „podłogą”.

Otwór się zmniejszał.

Jules tłumaczył nam, że kiedy konstruktorzy *Daban Urnuda* chcieli połączyć dwie duże części rdzenia, używali do tego zaworu kulowego, czyli kuli przewierconej na wylot i uwięzionej w sferycznym łożu spinającym wspomniane dwa obszary. Kula nie miała szans wywinąć się z tej pułapki, mogła natomiast swobodnie się obracać i w zależności od położenia

wydrążonego w niej kanału albo umożliwić przejście z jednego segmentu do drugiego, albo stanowić nieprzebytą zaporę. Taki właśnie zawór został wbudowany w „podłogę” hali łożyska. Był tak ogromny, że w pierwszej chwili nie zorientowałem się, co mam przed sobą. Dopiero teraz, kiedy został wprawiony w ruch, jego natura i funkcja stały się dla mnie oczywiste. Poruszał się powoli, ociężale, ale zanim fraa Jaad zwrócił nań moją uwagę, otwór w kuli zdążył się w połowie zamknąć jak zapadające w sen oko.

Jaad odbił się nogą od tyłka jakiegoś żołnierza, dzięki czemu żołnierz pofrunął pod sufit, a Jaad w stronę zaworu. Ja odepchnąłem się od znajdującej się nieopodal drabinki albo pomostu i poleciałem za nim. Nim znaleźliśmy się przy zaworze, otwór skurczył się do mniej więcej trzech stóp - nadal więc swobodnie moglibyśmy się przez niego przecisnąć. Kłopot w tym, że zużyliśmy całą naszą energię na dotarcie do niego, a nie wycelowaliśmy najlepiej, dlatego dostanie się do wnętrza zaworu wymagało od nas paru chwil rozpaczliwej szarpaniny i młócenia kończynami. Już ze środka patrzyliśmy, jak ślepię się zamyka. Nie znaleźliśmy żadnych uchwytów, od których moglibyśmy się odepchnąć, żeby przyspieszyć nasz ruch, a wiedzieliśmy, że jeżeli nie wylecimy natychmiast z drugiej strony, zostaniemy uwięzieni we wnętrzu zaworu do chwili jego ponownego otwarcia.

Ale ja i tak byłem całkiem bez tchu i nie zdobyłbym się na żaden większy wysiłek. Odwróciłem gaśnicę w kierunku, z którego przylecieliśmy, i wyszarpnąłem zawleczkę. Siła odrzutu pchnęła mnie w przeciwną stronę; przyjąłem ją na barki i zacząłem koziółkować wstecz. Najważniejsze, że się poruszałem. Uderzyłem w ścianę zamykającą tunel, namacałem krawędź otworu i podciągnąłem się na zewnątrz. Sekundę po mnie z dziury wyprysnął fraa Jaad na śnieżnobiałej kolumnie środka gaśniczego. Złapałem go za kostkę i trochę wyhamowałem. Koziółkowaliśmy powoli w powietrzu u wlotu dwumilowego szybu o średnicy stu stóp, biegnącego przez całą długość Kulostosu. Dotarliśmy do rdzenia.

Jeżeli nawet wzbudziliśmy jakieś podejrzenia u obserwatorów w hali łożyska, nikt nie był na tyle sprytny, żeby podążyć za nami przez zawór. W oddzielającej nas teraz powierzchni znajdowały się jeszcze mniejsze włazy, prowadzące do jednoosobowych śluz powietrznych, przez które przechodziło się, kiedy zawór był zamknięty. Zerkąłem nerwowo w ich stronę, spodziewając się, że lada chwila wyskoczy z którejś kosmogliniarz, żeby nas aresztować, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nic podobnego się nie wydarzy. Przypomniałem sobie niedawne słowa Julesa. To, co zrobili Dzwonecznicy... to znaczy to, co my wszyscy zrobiliśmy, było dla Piedestału największą kompromitacją militarną od tysiąca lat. Bomba nadal płonęła, katastrofa dopiero się rozpoczynała, Dzwonecznicy mogli jeszcze żyć i stawiać opór. Nikt nie zamierzał się przejmować parą strażaków-dziwaków.

Nasza paniczna ucieczka przez zawór nadała nam takiego rozpędu, że poleciliśmy w stronę ściany rdzenia, obracającej się z prędkością sekundnika na zegarze - czyli kiedy się z nią zderzyliśmy, przesuwiała się koło nas w tempie żwawego piechura. Ponieważ w tej części rdzenia była pokryta kratownicą z wygodnymi otworami, w sam raz na rozmiar dłoni, złapanie się jej przyszło nam całkiem naturalnie. Nastąpiło łagodne, acz nieuniknione przyspieszenie, które zmusiło nas do poszukania na kratownicy oparcia dla stóp, i po chwili wirowaliśmy razem ze wszystkim, co nas otaczało. Nasze ciała ważyły mniej niż ciała noworodków, ale dawno już nie odczuwaliśmy takiego „ciążenia” i chwilę musieliśmy się do niego przyzwyczajać.

Przez kilka minut po prostu wisielśmy na kratownicy, dysząc ciężko i walcząc o zachowanie świadomości - dopóki fraa Jaad, który nigdy nie omawiał swoich planów i zamiarów z towarzyszami podróży, nie odepchnął się od ściany i nie poszybował wzdłuż niej w stronę pierwszego z czterech ogromnych węzłów, rozmieszczonych w regularnych odstępach na całej długości rdzenia. Podróżowanie w mikrogravitacji było nawet łatwiejsze niż przy zupełnym braku ciężenia, ponieważ

automatycznie „spadaliśmy” z niewielką prędkością na ściany rdzenia, od których mogliśmy się odepchnąć i tym sposobem rozpedzić. Zainstalowano tu również system szybkiego transportu: krzyżówkę pasa transmisyjnego z drabiną, która po jednej stronie rdzenia przesuwiała się do góry, po przeciwnej zaś sunęła w dół. Szczelki były elastyczne, żeby szarpnięcie drabiny nie wyrwało człowiekowi ręki z barku. Większość mijanych przez nas ludzi (było ich około setki, w której zdecydowaną przewagę liczebną mieli żołnierze i strażacy) korzystała z tego mechanizmu. Byłem zmęczony i kusiło mnie, żeby też go wypróbować, bałem się jednak wystawić na pośmiewisko, a fraa Jaad nie wykazywał nim zainteresowania. Poruszyliśmy się wolniej od tych, którzy jechali na drabince - co działało na naszą korzyść: niektórzy usiłowali zadawać nam jakieś pytania, ale nikt nie był na tyle dociekliwy, żeby zeskoczyć za nami i spróbować nas wciągnąć w rozmowę.

Po kilku minutach dotarliśmy do węzła łączącego cztery kule wysunięte najdalej do przodu: pierwszą, piątą, dziewiątą i trzynastą. Każda z nich stanowiła zwieńczenie jednego stosu. Kule od pierwszej do czwartej zajmowali Urnudczycy, od piątej do ósmej Troanie, od dziewiątej do dwunastej Laterryjczycy, a pozostałe Fthozycy. Przyjęło się, że w każdym stosie kulę oznaczoną najniższym numerem (czyli tę, która znajdowała się w najwyższym, pierwszym węźle) zamieszkiwali najwyżsi rangą przedstawiciele każdej z ras. Węzeł, do którego trafiliśmy, był więc najdogodniejszym miejscem spotkań dla VIP-ów. Z miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, wyglądał niepozornie: znajdowały się w nim cztery ogromne dziury w ścianach - wyloty prostopadłych do rdzenia szybów, prowadzących na zewnątrz, do poszczególnych kul. Jules twierdził jednak, że widziany z zewnątrz przypominał zlepek biur, sal konferencyjnych i korytarza w kształcie torusa, przy którym mieściły się gabinety dowódców. Ich obecność zdradzało kilkanaście włazów w ścianach. Konflikt między Piedestałem i Opoką doprowadził jednak do podzielenia torusa na nierówne części. Włazy zostały pozamykane, torus zaspawano przegrodami, wystawiono strażę, poprzecinano kable.

Wszystko to nie dotyczyło nas i nie obchodziło, ponieważ przestrzeń, w której wylądowaliśmy, służyła tylko jako korytarz serwisowy lub szyb windy i rzadko bywała przedmiotem zainteresowania dowództwa. Znacznie ciekawsze były cztery olbrzymie otwory w ścianie rdzenia. Wlatując do węzła, mogliśmy w nie zajrzeć: miały po dwadzieścia stóp szerokości i przez ćwierć mili prowadziły prosto „w dół”, a na ich „dnie” znajdowały się następne ogromne zawory kulowe, w tej chwili zamknięte. Za zaworami rozpościerały się milowej średnicy zamieszkane kule.

Zidentyfikowanie szybu prowadzącego do kuli numer jeden nie było specjalnie trudne, ponieważ obok jego wlotu na ścianie wymalowana została wielka jedynka - cyfra była urnudzka, ale każda istota świadoma, z dowolnego kosmosu, rozpoznałaby w tym znaku 1, symbol jedności, oznaczenie jednego egzemplarza czegokolwiek. Nie miałem wiele czasu na kontemplowanie głębi jego znaczeń, gdyż fraa Jaad odszukał już drabinkę na ścianie szybu i zaczął po niej schodzić.

Ruszyłem za nim. Ciężenie powoli narastało. Trudno opisać, jak fatalnie się czułem; przed zemdleniem powstrzymywała mnie tylko świadomość, że spadnę z drabinki fraa Jaadowi na głowę. Ale kiedy nadeszły naprawdę trudne chwile, czyjś głos przebił się do mojej świadomości i zaczął mi szumieć w głowie: to fraa Jaad zaintonował jakąś pieśń tysięczników, podobną do tej, która obudziła mnie w bazyjskim klasztorze w noc po powołaniu. Moja świadomość nagle odkryła, że ma się czego ucześcić, tak jak moje ciało - za pośrednictwem dłoni - czepiało się stalowych szczebli, jedyne łącznika z wirującą wokół mnie olbrzymią konstrukcją. I tak jak szczeble nie dawały mi spaść, tak dźwięk głosu Jaada pod czaszką powstrzymywał mój umysł przed odpłynięciem w te rejony, w których znalazłem się między utratą przytomności w obserwatorium i przebudzeniem w niewłaściwej Historii.

Schodziłem dalej.

Kucnąłem na szczycie dużej stalowej półkuli, schowałem głowę między kolana i starałem się nie zemdleć.

Fraa Jaad wklepywał jakieś cyfry na wbudowanej w ścianę klawiaturze.

Półkula zaczęła się obracać pode mną.

- Skąd znałeś kod? - zapytałem.

- Wpisałem przypadkowe cyfry - odparł.

Klawiatura zapiszczała cztery razy: czterocyfrowa liczba. Tylko dziesięć tysięcy możliwości. W dziesięciu tysiącach różnych odgałęzień trajektorii żyło dziesięć tysięcy Jaadów... i ja miałem to szczęście, że towarzyszył mi ten właściwy...

Przez otwór w zaworze świeciło słońce. Położyłem się na kuli i z wysokości pół mili gapilem się na wodę, rośliny i domy.

Tym razem dziura w zaworze była zaopatrzona w drabinę. Zaczęliśmy po niej schodzić, nie czekając, aż zawór otworzy się do końca, i wyszliśmy na pomost w kształcie pierścienia, podwieszony pod sufitem kuli i okalający otwór w sklepieniu: świetlik na szczycie olbrzymiej kopuły, odrobinę nieba nad maciupęnkim światem. Po prowadzących na pomost schodach wbiegali ludzie z bronią, którzy koniecznie chcieli nas powitać. Na ich widok fraa Jaad zerwał z twarzy maskę. Nie było sensu dłużej się ukrywać.

Zrobiłem to samo.

Dwaj żołnierze wbiegli na pomost, mierząc do nas z karabinów. Kiedy jeden z nich doskoczył do fraa Jaada, instynktownie zastąpiłem mu drogę, podnosząc rękę. Zauważyłem w rękach Jaada jakiś mały srebrzysty przedmiot, do złudzenia przypominający piszczyk. Drugi żołnierz odwrócił się do mnie, zamachnął się bronią i uderzył mnie kolbą w szczękę. Zatoczyłem się na barierkę, przeleciałem przez nią i poczułem, jak stara dobra znajoma - nieważkość - znów bierze mnie w ramiona, gdy rozpocząłem swobodny spadek w kierunku środka kuli.

Coś złego stało się z moim brzuchem. Chwilę później usłyszałem huk karabinowego wystrzału. Trafili mnie? Niemożliwe... Nie w tej sytuacji. Przed oczami zrobiło mi się całkiem białe. Moje wnętrzości zapłonęły ogniem i zaczęły się topić.

Żołnierze strzelili do fraa Jaada. Megazabójcy zostali uruchomieni. Stałem się żywą bombą atomową, ciemnym słońcem rażącym zabójczym promieniowaniem domy i tarasowe pola urnudzkiej społeczności.

Wypełniliśmy nasze zadanie.

Zwiastun: Jeden z trzech kataklizmów, które w ostatnich dekadach Epoki Praksis przetoczyły się przez większą część Arbre, a z biegiem czasu zostały zinterpretowane jako ostrzeżenie przed Straszliwymi Wypadkami. Dokładny charakter zwiastunów trudno określić po tym, jak wszystkie zapiski na ich temat uległy zniszczeniu (wiele z nich przechowywano w urządzeniach syntaktycznych, które później przestały działać), ale według powszechnie akceptowanej teorii pierwszym zwiastunem był wybuch licznych rewolucji na całym świecie, drugim - wojna światowa, trzecim zaś - ludobójstwo.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

- Przybyliśmy - powiedział człowiek w długiej szacie. -
Odpowiedzieliśmy na wasze wezwanie.

Mówił po orthyjsku - nie tak biegle jak Jules Verne Durand, ale wystarczająco dobrze, żebym zaczął podejrzewać, że uczył się go równie długo. Dopóki nie zasypimy go skomplikowanymi czasami i nie stłamsimy nazbyt złożoną strukturą zdań, powinien dać sobie radę.

Piszę „my”, ale wcale nie zamierzałem dużo mówić.

- Po co tu jestem? - zapytałem fraa Jaada, kiedy podchodziliśmy do drzwi budowli unoszącej się na środku kuli numer 1.

- Masz być koncypientem - odparł Jaad.

- Ludzie, którzy budują samowystarczalne statki międzykosmiczne, nie mają rejestratorów?

- Koncypient to coś więcej niż rejestrator, to nośnik

świadomości. Jego obserwacje w macierzystym kosmosie mają wpływ na inne kosmosy. Rozmawialiśmy o tym w Fundzie Avrachona.

- Ty też jesteś nośnikiem świadomości, w dodatku znacznie lepiej ode mnie grasz w te polikosmiczne szachy. Nie jestem przypadkiem zbędny?

- W ostatnich tygodniach nastąpiły liczne okrojenia. Jestem nieobecny w wielu wersjach kosmosu, w których ty jesteś obecny.

- To znaczy... ty jesteś martwy, a ja żywy.

- Obecność i nieobecność lepiej to opisują, ale jeśli chcesz się upierać przy swoich określeniach, nie będę się kłócił.

- Fraa Jaadzie?

- Tak, fraa Erasmasie?

- Co się z nami dzieje po śmierci?

- Wiesz na ten temat tyle samo, co ja.

Mniej więcej na tym urwała się nasza rozmowa, kiedy zostaliśmy zaproszeni do pokoju, w którym czekał na nas mężczyzna w powłóczystej szacie. Nie znając urnudzkiej kultury, miałem niewielkie szanse zgadnąć, kim jest. Sam pokój niespecjalnie mi pomagał: sfera z płaską podłogą przypominała małe planetarium. Domyślałem się, że znajduje się blisko środka kuli. Wewnętrzna powierzchnia była matowa i delikatnie lśniła w padającym z zewnątrz świetle słońca. Na środku okrągłej podłogi stało krzesło otoczone ławą w kształcie pierścienia, a na ławce stało kilka pojemników z jakimiś parującymi płynami. W pokoju nie było poza tym żadnych sprzętów ani ozdób. Czułem się w nim jak w domu.

Odpowiedzieliśmy na wasze wezwanie.

Co na to fraa Jaad? Do głowy przyszły mi dwie możliwe odpowiedzi: *Czemu tak długo to trwało? oraz: O czym ty mówisz, człowieku?!* Ale fraa Jaad odpowiedział sprytnie i niezobowiązująco:

- W takim razie ja przybyłem was powitać.

Mężczyzna odwrócił się do nas bokiem i wskazał okrągłą ławkę. Jego szata rozwinęła się i zwisła z ramienia jak sztandar.

Była w większości biała, chociaż obficie zdobiona - powiedziałbym chętnie, że haftowana lub brokatowa, ale żyjąc wśród odzianych w zawoje ascetów, nie wykształciłem zbyt bogatego słownictwa w dziedzinie ornamentyki, ograniczę się więc do stwierdzenia, że była ozdobna.

- Proszę - powiedział. - Herbata czeka. To tylko symboliczny gest, ponieważ wasze ciała i tak jej nie...

- Z przyjemnością napijemy się waszej herbaty - przerwał mu fraa Jaad.

Zajęliśmy miejsca na ławie: fraa Jaad i nasz gospodarz usiedli blisko, zwrócenii twarzami do siebie, ja się trochę odsunąłem. Gospodarz wziął do ręki filiżankę i wykonał nią - jak się domyślałem - ceremonialny uprzejmy gest. Obaj z Jaadem powtórzyliśmy go najlepiej jak umieliśmy i pociągnąłem pierwszy łyk. Przypominała konwoksową strawę „Zh’vaerna”: nie była od niej ani lepsza, ani gorsza. Nie kusiło mnie, żeby kupić jej sobie na zapas.

Mężczyzna wyjął z kieszeni jakieś notatki i zerkając w nie od czasu do czasu, rozpoczął następującą przemowę:

- Jestem gan Odru. W dziejach *Daban Urnuda* jestem czterdziestą trzecią osobą noszącą tytuł gana. Odru to moje imię. Orthyjskim odpowiednikiem gana byłby „admiral”, ale to tylko przybliżenie. W naszej hierarchii wojskowej jedna klasa oficerów była odpowiedzialna za drzewa, a druga za las.

- Czyli odpowiednio za taktykę i strategię - powiedział fraa Jaad.

- W rzeczy samej. Gan to najwyższy stopniem oficer strategiczny, kierujący całą flotą i odpowiedzialny przed władzą cywilną, jeśli takowa istnieje. Dowodzenie poszczególnymi jednostkami floty zlecał gan oficerom taktycznym w randze praaga, której u was odpowiadałby kapitan. Przepraszam, jeśli was nudzę, ale w ten sposób łatwiej będzie mi wytłumaczyć zachowanie *Daban Urnuda* w stosunku do Arbre.

- Wcale nas nie nudzisz - zapewnił go fraa Jaad i zerknął na mnie, żeby sprawdzić, czy robię, co do mnie należy. A jeśli

dobrze go zrozumiałem, miałem przede wszystkim być przytomny.

- Pierwszemu ganowi *Daban Urnuda* powierzono misję założenia kolonii w innym układzie gwiazdowym - mówił dalej Odru. - W miarę oddalania się od Urnuda więzy łączące statek z planetą słabły, a odpowiedzialność gana rosła, aż w końcu objął władzę najwyższą. Absolutną. Znalazł się jednak w dosyć niezwyklej jak na gana sytuacji, ponieważ cała jego flota składała się z jednego statku, w związku z czym był zwierzchnikiem tylko jednego praaga. Ponieważ zaś praag nie miał żadnych obowiązków taktycznych (wojnę zostawili daleko za sobą), związek między nim i jego przełożonym stał się niestabilny, zaczął ewoluować i doprowadził do nowego podziału ról: ganowie w pewnym sensie upodobnili się do waszych deklarantów, a praagowie do państwa sekularnego. Przemiana ta dokonała się w ciągu zaledwie jednego pokolenia, ale nowy układ okazał się niezwykle stabilny i od tamtej pory się nie zmienił. Strój, który mam na sobie, niewiele różni się od galowego munduru urnudzkich ganów, tysiące lat temu dowodzących oceanicznymi flotami. Chociaż nikt oczywiście nie nosił takiego ubrania na statku: kiepsko się w nim pływa.

Zupełnie nie spodziewałem się żartu w tej sytuacji, przez co zaskoczenie wzięło górę nad wesołością i roześmiałem się zbyt cicho i zbyt późno.

- Drugiego gana zmogła choroba, wytrwał na stanowisku zaledwie sześć lat. Trzecim był młody protegowany pierwszego. Rządził długo, a dzięki sile osobowości i nieprzeciętnej inteligencji odzyskał część władzy, którą jego urząd musiał wcześniej scedować na praagów. U schyłku kariery dowiedział się o waszym wezwaniu i podjął decyzję o zmianie kursu *Daban Urnuda* i skierowaniu go, jak sobie wyobrażał, w przeszłość. Sygnały, jakie do niego dotarły, zinterpretował jako głosy przodków wzywające go do naprawienia Urnuda, do odtworzenia go takim, jakim powinien był się stać, ale z winy rządzących nim przywódców nigdy się nie stał. Na pewno słyszeliście już o tym, co się później działo; wiecie o Zstąpieniach na Tro, Ziemię i

Fthosa, znacie ich skutki. Zamiast cofać się w przeszłość, wolałbym zrelacjonować wam wydarzenia, które rozegrały się tutaj, w układzie Arbre.

- Chętnie byśmy się dowiedzieli, co się przytrafiło Niebiańskiemu Strażnikowi - powiedział fraa Jaad.

- Przez długi czas między ganami i praagami nie układało się najlepiej - zaczął Odru, redukując bieg: teraz nie mógł już podierać się notatkami. - Praagowie utrzymywali, że trzeci gan zwyczajnie się pomylił, a cała podróż *Daban Urnuda* jest tylko pozbawioną sensu i trwającą w nieskończoność konsekwencją dawno popełnionego błędu. W tej sytuacji za swój cel nadrzędny uznali przetrwanie. Ludzie, którzy zaczynają myśleć w ten sposób, chcą jak najprędzej gdzieś się osiedlić i spokojnie żyć. I podczas każdego Zstąpienia niektórzy rzeczywiście tak robią: zostawiliśmy Urnudczyków na Tro, Troan na Ziemi i tak dalej. Jakoś udaje im się tam żyć, mimo że osiedlają się w obcych kosmosach. W ten sposób frakcja cyników, uważających, że nasz rejs to bezsensowna pomyłka, słabnie podczas każdego Zstąpienia, dołączają zaś do nas mieszkańcy nowego kosmosu, którzy wierzą w sens misji. Statek zostaje przebudowany i wyrusza do nowego wszechświata. Z początku ganowie rządzą, a praagowie są im posłuszni. Podróż jednak trwa długo, mijają pokolenia, cel misji idzie w zapomnienie; praagowie zyskują wpływy, ganowie je tracą. Grupy zwolenników tych sprzecznych tendencji od dawna nazywamy Piedestałem i Opoką. Koniec jest taki, że zastajecie mnie samego w tym świętym miejscu. Odprawiam ceremonię, tak jak to czynili moi przodkowie, ale nie cieszę się już szacunkiem bliźnich i nie mam żadnej władzy. Aż przybyliśmy na Arbre. Praaga Eshwar i jej zwolennicy widzieli w was po prostu kolejną cywilizację, którą należy złupić, żeby pozyskać niezbędne surowce, przebudować statek i ruszyć dalej. Eshwar jest jednak inteligentną kobietą, zna nasze dzieje i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że podczas Zstąpienia Piedestał i praagowie tracą wpływy na rzecz Opoki i ganów. Dlatego z dużym wyprzedzeniem zaczęła snuć plany, które miały temu zapobiec. Kiedy odwiedził nas Niebiański Strażnik,

było dla nas oczywiste, że mamy do czynienia z oszustem. Szarlatanem. „Naturalnie, wiedzieliśmy to wcześniej, bo już od jakiegoś czasu badaliśmy waszą kulturę. Byłem głupcem, że nie przewidziałem zamiarów Eshwar: chciała mnie w pewnym sensie zrównać z tym Niebiańskim Strażnikiem, żeby jego fałszywość i głupota zaczęły się kojarzyć także ze mną. Strażnik dotarł do nas w skafandrze, który bardzo chciał zdjąć. Odradzaliśmy mu to, ale kiedy przyjęliśmy go tutaj, w tej sali, uznał, że znalazł się w miejscu świętym, i postawił na swoim. Powiedział, że jest gotowy zaryzykować; że jego bóg ochroni go i nie da mu zrobić krzywdy. Pomogliśmy mu zdjąć skafander. Od razu zaczął mieć kłopoty z oddychaniem. Nasi lekarze próbowali z powrotem opatulić go skafandrem, ale nie mogli nic zrobić, bo już pękła mu któraś z głównych arterii. Chcieli go jeszcze przenieść do komory hiperbarycznej, to zawsze pomaga: rozebrali go i przygotowali do przeniesienia, ale nie zdążyli. Zmarł. Rozpętała się dyskusja, co powinniśmy zrobić z ciałem. I kiedy część z nas debatowała, nadgorliwi naukowcy pobrali próbki krwi i tkanek i rozpoczęli sekcję zwłok. Można więc powiedzieć, że ciało zostało zbezczeszczone. Praaga Eshwar uznała, że wszelkie próby usprawiedliwiania się przed wami zostaną nam poczytane za przejaw słabości, a na ewentualnej wymianie informacji skorzysta tylko Arbre. Poza tym z powodów politycznych chciała okazać brak szacunku, jeśli nie wręcz pogardę, dla zwłok, które miały przecież symbolizować mnie. Dlatego zwróciliśmy go wam w taki, a nie inny sposób.

- Ale ta taktyka się zemściła, prawda? - spytałem.

- Rzeczywiście. Przedstawiciele Opoki, zawstydzeni i zakłopotani, postanowili wymienić krew za krew: my pobraliśmy krew z ciała Niebiańskiego Strażnika, wy mieliście dostać próbki naszej. Odebraliśmy sygnał z powierzchni planety, nadany, jak się później okazało, przez fraa Orola. Jules Verne Durand, nasz główny specjalista od orthyjskiego i kultury deklarantów, po cichu sympatyzował z Opoką. Doszedł do wniosku, że analemma prowadzi nas na Ecbę, i stwierdził, że dostarczenie próbek w to

właśnie miejsce miałyby ogromne znaczenie symboliczne. Zgłosił się nawet na ochotnika, że poleci ładownikiem, ale mniej więcej w tym samym czasie został przydzielony do oddziału atakującego koncent matarrhitów i musiała go zastąpić Lise, która naturalnie nie dysponowała jego wiedzą, chociaż wiedziała co nieco o deklarantach i знаła kilka orthyjskich słów. Nasz plan nie do końca się powiódł: jak wiecie, Lisa została postrzelona przy wejściu na pokład ładownika.

Kilka następnych chwil upłynęło spokojnie, nie niepokojonych słowami.

- Potem wydarzenia nabrały tempa. Można powiedzieć, że Eshwar zachowała się jak typowy praag, czyli...

- Zareagowała w skali taktycznej - wtrącił Jaad. - Nie myśląc o strategii.

- Otóż to. I teraz sytuacja jest taka, że wasi fraa i suur zabili trzydziestu jeden naszych ludzi... Dzwonecznicy, jak mniemam?

Fraa Jaad nie odpowiedział, a kiedy gan Odru spojrział na mnie, skinąłem głową.

- Wzięli osiemdziesięciu siedmiu zakładników - ciągnął. - Zaspawali ich w jednej dużej sali.

- Źle to interpretujecie - odezwał się fraa Jaad. - Oni nie biorą zakładników. Zamknęli te osiemdziesiąt siedem osób w jednym miejscu, żeby nie stała im się krzywda.

- Praaga Eshwar uznała, być może błędnie, że wzięli zakładników, i przygotowuje stosowną odpowiedź. Odezwała się jednak także do mnie i poprosiła, żebym z wami porozmawiał. Jest wstrząśnięta, czego trochę nie rozumiem. Tę olbrzymią bombę, którą zniszczyliście, zawsze traktowaliśmy jak ostateczność. Nikt na serio nie rozważał użycia jej.

- Wybacz, ganie Odru, ale Piedestał właśnie szykował się do jej zrzucenia - wypaliłem.

- To miała być groźba: chcieliśmy zawiesić ją wam nad głowami i w ten sposób wyrzucić na was presję. Nie rozumiem, dlaczego jej strata tak bardzo poruszyła praagę Eshwar.

- Wcale jej nie poruszyła - odezwał się fraa Jaad. - Praaga

Eshwar wyczuła wielkie niebezpieczeństwo.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał uprzejmie gan Odru.

Fraa Jaad udał, że go nie słyszy.

- Mogła to tłumaczyć koszmarem sennym, olśnieniem doznanym w kąpielu, przecuciem, które kazało jej obrać bezpieczniejszy kurs...

- To wasza sprawa?! - wykrzyknął gan Odru bardziej twierdzącym niż pytającym tonem.

Rozmowa z fraa Jaadem nie szła mu najlepiej, spojrzął więc na mnie. Nie wiem, co wyczytał z mojej twarzy, zapewne zdeprymowanie i szok: właśnie mignęła mi przed oczami alternatywna Historia, w której przynieśliśmy jednej z kul ognistą zagładę.

- Czy mogliśmy wysłać sygnał do praagi Eshwar...? Aż tak trudno ci w to uwierzyć, ganie Odru, spadkobierco tysiącletniej tradycji opartej na przeświadczeniu, że wezwali cię tutaj moi przodkowie?

- Chyba nie. Minęło jednak tyle czasu, że łatwo jest wątpić. Łatwo jest traktować tę tradycję jak religię, której bóg umarł.

- W wątpliwościach nie ma nic złego - powiedział fraa Jaad. - Błąd Niebiańskiego Strażnika polegał na tym, że przestał wątpić. Trzeba jednak starannie wybierać przedmiot wątpliwości. Wasz trzeci gan wykrył przepływ informacji z innego kosmosu i uznał go za zaszyfrowaną wiadomość od przodków. Wasi praagowie powątpiewają w obie części tej historii. Wy, ganowie, wątpicie tylko w jedną: w tę, jakoby sygnał nadali wasi antenaci. Wierzycie jednak w istnienie samego sygnału i uważacie, że trzeci gan źle zinterpretował jego źródło. Zapewniam cię, że informacja może przenikać z jednego kosmosu do drugiego. Nazywamy to Przepływem Hylaejskim.

- Za pozwoleniem... Nauczyciście się modulować ten sygnał, żeby w ten sposób przesyłać wiadomości?

Zastrzygłem uszami, ale fraa Jaad milczał. Gan Odru odczekał jeszcze chwilę, zanim sam sobie odpowiedział:

- Tak, to już chyba ustaliliśmy, prawda? Jakoś udało się

wam dostać do głowy praagi Eshwar.

- Jaki sygnał odebrał trzeci gan dziewięćset lat temu? - zainteresowałem się.

- Proroctwo okrutnego zniszczenia: pomordowani kapłani, zburzone kościoły, spalone książki.

- Dlaczego pomyślał, że to wizja przeszłości?

- Kościoły były olbrzymie. W księgach napisanych nieznanym alfabetem znajdowały się nieznane nam dowody geometryczne, których prawdziwość potwierdzili później nasi teorowie. Mamy na Urnudzie legendy o zapomnianym mitycznym Złotym Wieku. Gan uznał, że dane mu było go zobaczyć.

- Tymczasem w rzeczywistości oglądał Trzecią Łupież - powiedziałem.

- Na to wygląda. Moje pytanie brzmi: zesłaliście nam te wizje czy to się stało samo?

Przybyliśmy... Odpowiedzieliśmy na wasze wezwanie...
Czyżby był ostatnim kapłanem fałszywej religii? Czyżby nie różnił się od Niebiańskiego Strażnika?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie - powiedział fraa Jaad. Odwrócił się do mnie. - Sam będziesz musiał jej poszukać.

- A co z tobą?

- Dla mnie to koniec.

Część 12

REQUIEM

Coś gniotło mnie w plecy. Popychało do przodu. Niedobrze. Nie, to tylko grawitacja (albo jakaś jej rozsądna namiastka) przyciskała mnie do twardej i płaskiej powierzchni. Było mi makabrycznie zimno. Zacząłem się trząść.

- Tętno i oddech wracają do normy - powiedział ktoś po orthyjsku. - Natlenienie krwi rośnie. - Jules tłumaczył na jakiś obcy język. - Temperatura ciała wzrasta do poziomu umożliwiającego odzyskanie świadomości.

To chyba o mojej świadomości mówili. Otworzyłem oczy.

Oślepiające światło przygasło. Znajdowałem się w małym, ale całkiem sympatycznym pokoju. Jules Verne Durand siedział na skraju mojego łóżka, czyściutki i elegancki. Jego wygląd bardziej niż wszystko inne uświadomił mi, że musiało minąć sporo czasu. Byłem podłączony do mnóstwa przyrządów. Pod nosem miałem przypiętą rurkę, z której dmuchało czymś zimnym, suchym i pachnącym. Lekarz - Arbryjczyk! - spoglądał to na mnie, to na piszczek. Kobieta w białym kitlu (Laterryjka) przyglądała się nam, obsługując aparaturę, która pompowała ciepłą wodę do... No dobrze, nawet gdybym wam powiedział, najpierw byście mi nie uwierzyli, a potem pożałowali, że nie zachowałem szczegółów dla siebie.

- Masz wiele pytań, przyjacielu - powiedział Jules. - Radziłbym ci jednak poczekać, aż...

- Wylize się - oznajmił Arbryjczyk. Był ubrany w zawój i sznur i też miał rurę przymocowaną pod nosem. Spojrzał na mnie badawczo. - Wszystko jest z tobą w porządku, ja przynajmniej niczego niepokojącego nie widzę. Jak się czujesz?

- Potwornie marzną.

- To się zmieni. Pamiętasz, jak się nazywałeś?

- Fraa Erasmus z Edhara.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- Domyślałam się, że w jednej z kul na *Daban Urnudzie*. Ale nie wszystko jest dla mnie jasne.

- Ja jestem fraa Sildanic z Rambalfa. Muszę się teraz zająć twoimi towarzyszami. Julesa potrzebuję jako tłumacza. Zabieram też doktor Guo, by nadzorowała proces ogrzewania ciała. A właśnie... To też będzie nam potrzebne.

Doktor Guo podkreśliła wagę jego słów w najbardziej dramatyczny sposób, jaki można sobie wyobrazić: stojąc w nogach łóżka, sięgnęła pod mój koc i wyciągnęła nagrzewacz. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów wyrwało mi się z ust religijne przekleństwo.

- Przykro mi - powiedział fraa Sildanic.

- Przeżyję.

- Twoje pytania na razie pozostaną bez odpowiedzi, ale jest tu ktoś, kto chyba z chęcią wszystko ci wytłumaczy.

Wyszli we troje. W drzwiach mignął mi przyjemny widok: jakiś akwen, mnóstwo zieleni... Przesłoniła go czyjaś drobna sylwetka, która biegiem wpadła do pokoju.

Ala rzuciła się na łóżko i przywarła do mnie z płaczem.

Ona szlochała, a ja się trząsałem. Pierwsze pół godziny mieliśmy wypełnione rozgrzewaniem mnie i uspokajaniem jej. Stworzyliśmy zgrany duet: Ala znakomicie mnie rozgrzewała, a jej z kolei pomagało wykorzystanie mnie w charakterze materaca. Podczas dreszczy, od których trzeszczały mi kości (szczytowy moment drżączki przypadł mniej więcej po kwadransie), wczepiła się we mnie jak w kolejkę górską w lunaparku; tylko dzięki niej nie zsunąłem się, wibrując, z łóżka. W końcu dreszcze ustąpiły i doświadczyłem zgoła innego medycznego fenomenu, którego jednak nie mogę w tym miejscu opisać, gdyż drastycznie zmieniłbym charakter mojej opowieści.

- Świetnie - powiedziała Ala. - Będę mogła zameldować fraa Sildanicowi, że krew dociera już normalnie do wszystkich zakamarków twojego ciała.

Tak brzmiało pierwsze wypowiedziane przez nią pełne zdanie. Była przy mnie od półtorej godziny. Parsknąłem śmiechem.

- Myślałem, że jestem w niebie, ale w niebie nie mielibyście czegoś takiego. - Delikatnie postukałem w rurkę pod jej nosem. Prychnęła i odtrąciła moją rękę. - To tlen z Arbre?

- Oczywiście.

- Skąd się tu wziął? I skąd ty się tu wzięłaś?

Westchnęła, widząc moją determinację w zadawaniu nudnych pytań. Dźwignęła się na rękach i usiadła na mnie okrakiem. Sięgnęła po poduszkę, oparła się na niej wygodnie, poprawiła rurkę pod nosem, a kiedy na mnie spojrzała, hipoteza *Jednak jestem w niebie!* znów wydała mi się niezwykle atrakcyjna. Ale to niemożliwe. Na niebo trzeba sobie zasłużyć.

- Po tym, jak was wystrzeliliśmy, Piedestał zesztabował

wszystkie instalacje startowe.

- Wiem o tym.

- A, rzeczywiście. Zapomniałam... Mielicie dobry widok. Wywnioskowaliśmy z tego, że wystrzelenie dwustu raket naraz bardzo ich rozzłościło, ale dali się nabrać na ten nadmuchiwany wabik, który odpaliliście z orbity. Przysłali nam szczegółowe fototypy jego szczątków. Ależ wtedy triumfowali!

- Może tylko udawali, że dali się nabrać?

- Przyszło nam to do głowy, ale nie zapominaj, że parę dni później udało wam się wejść na *Daban Urnuda* jakby nigdy nic.

- No, aż takie proste to nie było! - Chciałem się roześmiać, ale nie było to łatwe, kiedy Ala siedziała mi na brzuchu.

- Oczywiście, zmierzałam do tego...

- Że Piedestał nie powziął żadnych nadzwyczajnych środków ostrożności. Dali się zaskoczyć.

- No właśnie. Wyobraź to sobie: najpierw upajają się swoim zwycięstwem, a chwilę później okazuje się, że ktoś im popsuł Wypalacz Światów, pozabijał ludzi... Arbrjyscy komandosi zajęli jeden z dwunastu wierzchołków dwudziestościanu.

- Jejku... To Dzwonecznicy tak się spisali?

- Zakradli się do Wypalacza i podłożyli w nim trzy z czterech profilowanych ładunków wybuchowych, po czym skierowali się do pewnego okna...

- Jak to okna?

- Ten wierzchołek pełni rolę ośrodka dowodzenia Wypalaczem Światów i magazynu wszystkiego, co się z nim wiąże. Mają tam salę konferencyjną, której okna wychodzą prosto na bombę. Wygląda na to, że Ossa i pozostali wybrali ją sobie na punkt zborny, ale po drodze zostali zauważeni i napadnięci przez mechaników zajętych konserwacją Wypalacza. Mechanicy mieli skafandry próżniowe, ale byli nieuzbrojeni.

- To tak jak Dzwonecznicy.

Ala spojrzała na mnie pobłaźliwie. Może z odrobiną czułości.

- No dobrze, wiem: Dzwonecznicy nie potrzebują broni -

przyznałem.

- Skafandry używane przez Geometrów są miękkie. A nasze twarde. Resztę sam sobie dośpiewaj.

- Rozumiem. Chyba wołałbym nie dośpiewywać. Ale wyobrażam sobie, jak to się skończyło.

- Suur Vay zginęła. Wzięła na siebie pięciu przeciwników, z których jeden, jak się okazało, miał przy sobie przecinak plazmowy. Paskudna sprawa... Zginęła, zabrała ze sobą do grobu całą piątkę, a dzięki jej interwencji reszta Dzwoneczników dotarła do tego okna.

Uczciliśmy śmierć suur Vay chwilą ciszy.

- Pomyśl tylko, jak to musiało wyglądać z punktu widzenia tych wszystkich szych w sali konferencyjnej - podjęła Ala. - Widzą całą masę płonących ciał i nic nie mogą na to poradzić, a tymczasem fraa Ossa podlatuje do okna i przykleja profilowany ładunek wybuchowy bezpośrednio do szyby. Nie wiedzą, co to jest. Fraa Ossa wykonuje jakiś gest i Wypalacz Światów eksploduje w trzech miejscach jednocześnie. Zostaje wysadzony główny detonator, bezwładnościowy system naprowadzania i zbiorniki paliwa. Zwłaszcza zbiorniki wybuchają z ogromnym impetem.

- Zauważyliśmy.

- Odłamek zabija fraa Gratha.

- Do licha! - Oczy mnie zapiekły. - Własnym ciałem osłaniał mnie przed pociskami...

- Wiem - powiedziała półgłosem Ala.

Znowu na moment umilkliśmy.

- Szychy już wiedzą, co Ossa przylepił im do szyby. Otwierają służę i do środka wchodzi Esma. Ossa nie rusza się z miejsca; jest pistoletem, który mają przystawiony do głowy. Esma nie zdejmuje kombinezonu. Zgarnia wszystkich napotkanych Geometrów do konferencyjnej, zamyka drzwi, a następnie spawa je na trwałe proszkiem saunta Loya. Dopiero teraz Ossa do niej dołącza. Ma ze sobą ładunek wybuchowy. Podobnie, za pomocą proszku, odcinają cały wierzchołek od reszty statku. Detonują

ładunek w taki sposób, że większość powietrza ulatuje w przestrzeń kosmiczną. Nikt nie może się do nich zbliżyć bez skafandra. Zaszywają się we dwójkę w jednym z nielicznych hermetyzowanych pomieszczeń, z których powietrze się nie ulotniło. Zapas tlenu w zbiornikach kombinezonów kończy się, zdejmują je więc i mają takie same objawy jak wy wszyscy.

- No właśnie... Z czego to się bierze?

Ala wzruszyła ramionami.

- Hemoglobina to nie jest pierwsza lepsza molekula, tylko precyzyjny mechanizm, idealnie dostosowany do swoich zadań: przenoszenia tlenu z płuc do wszystkich komórek ciała. Jeżeli dasz jej tlen, który się różni odrobinkę od tego normalnego, hemoglobina nie wyłączy się zupełnie, ale będzie działać słabiej. Przypomina to trochę chorobę wysokościową: zadyszka, senność, ośpienie.

- Halucynacje?

- Niewykluczone. Czemu pytasz? Miałaś jakieś zwidy?

- Nieważne. Jak to możliwe, że Jules może normalnie oddychać arbryjskim powietrzem?

- Człowiek się przyzwyczaja. Aklimatyzuje. Organizm zaczyna produkować więcej czerwonych krwinek i po tygodniu, dwóch można normalnie funkcjonować. Niektórzy pasażerowie *Daban Urnuda* rzadko opuszczają macierzyste kule i źle się czują nawet w obszarach wspólnych, gdzie atmosfera jest przemieszana. Ale inni znoszą to doskonale.

- Tak jak ta Fthozyjka, która wpuściła nas do środka przez obserwatorium.

- Na przykład. Kiedy zobaczyła, że się dławicie i zaczynacie tracić przytomność, zorientowała się, co jest grane, i wyszczała alarm.

- Naprawdę?

Znowu posłała mi to pobłażliwie czułe spojrzenie.

- A co, myślałaś, że niepostrzeżenie zakradliście się na pokład?

- No... właściwie, to tak.

Wzięła mnie za rękę i pocałowała ją.

- Twoje ego powinno być w pełni usatysfakcjonowane tym, co naprawdę osiągnęliście. Ludzie długo jeszcze będą was za to fetować.

- Rozumiem. - Pomyślałem, że najwyższy czas zmienić temat i nie skupiać się zbyt na moim ego. - Fthozjka włączyła alarm.

- Zgadza się. Po tym, co zrobili Dzwonecznicy, alarmy rozdzwoniły się dosłownie wszędzie. Ratownicy zajrzeli także do obserwatorium, gdzie zastali was żywych, chociaż nieprzytomnych. Mielście szczęście, że tutejsi lekarze wiedzą, jak sobie z tym radzić: podali wam tlen. Pomogło, ale nie mieli pewności, co się z wami dzieje. Nigdy przedtem nie leczyli Arbryjczyków i obawiali się, że może u was dojść do trwałych uszkodzeń mózgu. A ponieważ przezorny zawsze ubezpieczony... położyli was na łód i wstawili do komory hiperbarycznej.

- Na łód?

- Dosłownie. Schłodzili was, żeby ograniczyć uszkodzenia mózgu, i starali się natlenić wam krew laterryjskim powietrzem. Byłeś nieprzytomny przez tydzień.

- Co się stało z Ossą i Esmą zamkniętymi w wierzchołku?

Ala odczekała długą chwilę, zanim odparła:

- No cóż, Ras... zginęli. Urnudczycy ustalili, gdzie się schowali. Wyszadzi kawał ściany. Powietrze uleciało.

Przez minutę leżałem bez ruchu, milcząc.

- Przynajmniej zginęli jak prawdziwi Dzwonecznicy.

- To prawda.

Zaśmiałem się, choć wcale nie wesoło.

- A ja, jak prawdziwy nie-Dzwonecznik, przeżyłem.

- Ja się z tego cieszę.

I Ala znów się rozpląkała - nie ze smutku po śmierci Dzwoneczników i nie z radości, że reszta z nas przeżyła, ale ze wstydu i bólu, że to ona skazała nas na los, który mógł nam przynieść zagładę. Odpowiedzialność, jaką ją obarczono, i bezlitosna logika sytuacji nie pozostawiły jej innego wyjścia niż podjęcie Strasznej Decyzji. Do końca życia - które, miałem

nadzieję, będzie naszym wspólnym życiem - miała się z tego powodu budzić w środku nocy zlaną zimnym potem. W walce z tym bólem była skazana na samotność; mało kto z tych, którym mogła o nim opowiedzieć, zechciałby jej współczuć.

Posłałaś swoich przyjaciół na śmierć, tak? A sama siedziałaś sobie bezpiecznie na dole?!

To musiało zostać między nami. Na zawsze.

Wyśliznąłem się spod niej i przytuliłem ją. Kiedy uznałem, że możemy wrócić do przerwanej opowieści, zagadnąłem:

- Jak długo wytrzymali Ossa i Esmá zamknięci w tamtym pokoju, zanim... zanim to się stało?

- Dwa dni.

- Dwa dni?!

- Ludzie z Piedestału podejrzewali, że mogli zaminować okolicę i że Dzwoneczników może być więcej. Coś jednak musieli zrobić, bo zakładnikom zaczynało brakować powietrza. Mogli albo zacząć działać, albo patrzeć, jak ich rodacy umierają.

- Byli śmiertelnie przerażeni.

- Tak myślę. Chociaż... może nie tyle przerażeni, ile wstrząśnięci. Najpierw myśleli, że jesteśmy na amen zamknięci w Tredegarhu, do którego udało im się przeniknąć. Potem, kiedy zdemaskowaliście Julesa Verne Duranda, stracili swoje oczy i uszy na Arbre, a konwoks nagle się rozproszył. Inne duże koncerty też poszły w rozsypkę i powstał antyrój.

- To był doskonały pomysł! Kto na niego wpadł?

Zarumieniała się i z trudem powstrzymała uśmiech, ale nie była zachwycona tym, że rozmowa schodzi na jej temat i mówiła dalej:

- Pomysł: największy lęk budzą w nich milenaryści. Inkanterzy. Z pewnością zauważyli, że wszystkie matemy tysiącletnie opustoszały. Gdzie w takim razie podziali się tysięcznicy? Co knują? I nagle bum! Dwieście pocisków. Coś okropnego. Mnóstwo danych do obrobienia, miriady odłamków, które trzeba obserwować. Kiedy wydaje im się, że namierzili statek, on nagle eksploduje. Wtedy myślą, że cudem uniknęły

najazdu. Po czym parę dni później dochodzi do przerażającego, niszczycielskiego ataku na ich największy atut strategiczny. Przez kolejne dwa dni nie są w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o zakładnikach. Tymczasem jacyś inni faceci w czarnych kombinezonach pakują im się na statek i udaje się ich złapać tylko dlatego, że nie są w stanie oddychać tutejszym powietrzem...

- Nas też wzięli za Dzwoneczników?

- A co ty byś pomyślał na ich miejscu? Najgorsza była chyba świadomość, że nie mają pojęcia, ilu was tam jeszcze może być. Może setka, w dodatku uzbrojona po zęby? Efekt był taki, że...

- Zdecydowali się negocjować.

- Właśnie. Zaproponowali rozmowy czwórstronne: Piedestał, Opoka i oba magisteria.

- Przepraszam, co takiego?

- Magisteria.

- Czyli...?

- Tak, to się już stało po waszym odlocie. Jednym magisterium jest państwo sekularne, drugim świat matemowy. Antyrój. Wspólnie... jak by to...

- Rządzą światem?

- Można tak powiedzieć. - Ala wzruszyła ramionami. - Przynajmniej dopóki nie wymyślimy czegoś lepszego.

- Czy ty przez przypadek też należysz do grona tych, którzy dzisiaj rządzą światem?

- Przyleciałam tutaj, prawda?

- Wchodzisz w skład delegacji?

- Jestem pomagierem. Adiutantem. Załapałam się tylko dlatego, że armia mnie lubi. Uważają, że jestem w porządku.

Miałem ochotę zasugerować inne, znacznie lepsze wytłumaczenie - takie mianowicie, że to dzięki niej misja komórki numer 317 zakończyła się powodzeniem - ale wyczytała to z mojej twarzy i spuściła wzrok. Nie chciała o tym słuchać.

- Jest nas czterdzieścioro ośmioro - dodała pospiesznie. - Przywieźliśmy lekarzy. I tlen.

- A jedzenie?
- No pewnie!
- Jak się tu dostaliście?
- Geometry nas przywieźli. A kiedy trafiliśmy na *Daban*

Urnuda, przyszedł prosto tutaj.

- Hmm... Nie powinienem był wspominać o jedzeniu.
- Głodny jesteś? - spytała takim tonem, jakby ją to dziwiło.
- Oczywiście!
- No to czemu nic nie mówisz...? Przywieźliśmy wam pięć

koszy najlepszego jedzenia!

- Dlaczego pięć?

- Po jednym dla każdego. Poza Julesem rzecz jasna, bo on i tak opycha się bez naszej pomocy.

- Aha... Posłuchaj, mogłabyś wymienić imiona tej piątki? Chciałbym się upewnić, że z moim mózgiem wszystko w porządku...

- Ty, Lio, Jesry, Arsibalt i Sammann.

- No tak... A co z Jaadem?

Ala zrobiła tak przerażoną minę, że mój instynkt społeczny wziął górę nad zdrowym rozsądkiem i czym prędzej zacząłem się wycofywać:

- Wybacz, Alu, ja naprawdę wiele przeszedłem i nie wszystko dobrze pamiętam...

- Nie, to ty mi wybacz. To rzeczywiście może być skutek traumy. Zadrżała, zaczęła się krzywić, ale zapanowała nad mimiką. Rozpogodziła się.

- Jak to? O jakiej traumie mówisz?

- Patrzyłeś, jak się oddała. Wiedziałeś, co się z nim stało.

- Kiedy patrzyłem, jak się oddała?

- Po starcie nie odzyskał przytomności - odparła półgłosem. - Widzieliście, jak zderzył się z ładunkiem. Szczepił się z nim. Chciałeś do niego podlecieć, pomóc mu, ale to nie było takie proste. Kotwiczka chybiła. Mielście coraz mniej czasu. Arsibalt przyszedł ci z pomocą, ale w tym samym momencie omal nie zderzyłeś się z reaktorem. Jaad odleciał. Wpadł w atmosferę i

splonął nad Arbre.

- No tak - przytaknąłem. - Jak mogłem o tym zapomnieć?

Moje słowa ociekały sarkazmem rzecz jasna, ale cały czas obserwowałem twarz Ali. Ostatnie wydarzenia w moim życiu sprawiły, że byłem wyczulony na niuanse jej mimiki jak na nic innego w Pięciu Znanych Kosmosach.

Wierzyła... Więcej: wiedziała, że to, co mi powiedziała, jest prawdą.

A na Arbre na pewno znajdują się zapisy potwierdzające jej słowa.

Retor: Postać legendarna, w folklorze łączona z zakonami proceńskimi, potrafiąca zmieniać przeszłość poprzez manipulację wspomnieniami i archiwami.- SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Myślałem tylko o jedzeniu, ale zanim mogłem się do niego dostać, musiałem przestać być całkiem goły. Ala wymknęła się z pokoju, tak jakby nie miała nic przeciwko oglądaniu mnie nago, ale podglądanie mnie podczas ubierania było nieprzyzwoite. Arbryjska delegacja przywiozła nam zawoje, sznury i sfery. Geometry wszystkich czterech ras nie ukrywali fascynacji deklaratantami i mogliby się poczuć urażeni, gdybyśmy próbowali ukryć naszą prawdziwą tożsamość.

Kiedy już zakutałem się jak należy, personel szpitala pomógł mi założyć plecak z zapasem arbryjskiego tlenu, podłączony do rurki pod nosem. Kierując się piktogramami, dotarłem na taras na dachu, gdzie zastałem Lio i Jesry'ego, jedzących, aż im się uszy trzęsły. Towarzyszył im fraa Sildanic, który ze zrezygnowaną miną ostrzegł mnie, żebym nie jadł za szybko, bo się rozchoruję. Zignorowałem go równie sumiennie jak moi fraa, a po paru minutach udało mi się nawet podnieść wzrok znad jedzenia i rozejrzeć po otaczającym mnie sztucznym świecie.

Cztery kule tworzące jeden stos znajdowały się tak blisko, że niemal się stykały, i były połączone przejściami trochę podobnymi do tych, jakie spinają wagony w pociągu osobowym. Kiedy *Daban Urnud* manewrował albo przyspieszał, przejścia musiały być zamknięte, ale dzisiaj były otwarte na oścież.

Laterryjczycy zamieszkiwali kule o numerach od dziewiątego do dwunastego. Szpital mieścił się w dziesiątce, nieopodal portalu prowadzącego do jedenastki. Taras na jego dachu - podobnie jak większość powierzchni pod gołym niebem - podlegał intensywnej uprawie. Znalazło się na nim miejsce dla paru stolików i ławek, ale ich blaty i siedziska były ze szkła i nawet pod spodem rosły posiane w kuwetach warzywa. Ażurowe konstrukcje zwieszały się nam nad głowami, uginając się pod ciężarem owocującej winorośli. Dopóki nie wybiegałem wzrokiem za daleko, mogłem sobie wyobrazić, że siedzę w jakimś arbryjskim ogródku.

W dalszej perspektywie wyglądało to inaczej. Szpital składał się z sześciu powiązanych ze sobą łodzi mieszkalnych. Każda miała trzy kondygnacje podwodne i trzy nawodne. Za pośrednictwem elastycznych trapów łączyły się ze sobą nawzajem i z innymi łodziami, które pokrywały cały akwen niczym okrągła mata. Ponieważ jednak tutejsze „ciążenie” wynikało z ruchu obrotowego Kulostosu, powierzchnia wody - przez nasze ucho środkowe postrzegana jako pozioma - była lekko wklęsła i wklęsłość ta przenosiła się także na powierzchnię maty. Dlatego kiedy patrzyło się w dal, na odległy o niespełna milę drugi skraj maty, powstawało niepokojące złudzenie, że woda wznosi się powyżej poziomu, na którym się znajdujemy. Gdyby jednak ktoś zawiązał mi oczy, pomyślałbym, że chodzę po płaskim gruncie; wychodząc z zagłębienia, wcale nie czułem, żebym poruszał się do góry.

Jedna połowa wewnętrznej powierzchni kuli znajdowała się pod wodą, druga zaś stanowiła „niebo” - niebieskie i zaopatrzone w słońce. Błękit był namalowany, ale dawało się o tym zapomnieć, dopóki w polu widzenia nie znalazły się portale

prowadzące do dziewiątki i jedenastki, zawieszane na firmamencie niczym jakieś dziwaczne ciała niebieskie i połączone wyciągami krzeselkowymi z zaścielającymi wodę łodziami. Słońce było w istocie pękiem światłowodów emanujących przefiltrowane i przetworzone światło, zagarnięte z przestrzeni kosmicznej przez umieszczone na zewnątrz statku paraboliczne tuby. Światłowody były na stałe wbudowane w kopułę, ale kiedy w ciągu dnia kierowano światło kolejno do różnych włókien, powstawało złudzenie słońca przemieszczającego się po niebie. W nocy „słońce” gasło, chociaż, jak opowiadał nam Jules, jego światło stale dochodziło do plantacji na podwodnych kondygnacjach wielu łodzi, gdzie rośliny mogły się nim cieszyć przez całą dobę. System był tak wydajny, że Geometry byli samowystarczalni i bez trudu utrzymywali w kulach gęstość zaludnienia na poziomie średniej wielkości miasteczek.

Właściwie to nawet dobrze się stało, że widok z tarasu dostarczał tyle niezwykłego materiału do przemyśleń i rozmów, bo w przeciwnym razie konwersacja wypadłaby paraliżująco niezręcznie. Twarze Lio i Jesry'ego były jak wykute z kamienia. Oczywiście obaj uśmiechnęli się szeroko na mój widok, ja też ogromnie się ucieszyłem - ale tymi uczuciami podzieliliśmy się natychmiast i nie potrzebowaliśmy do tego słów. Zaraz potem ich twarze zacisnęły się jak pięści, jakby chcieli mi zakazać głośnego odzywania się.

Zresztą i tak jedliśmy z takim zapamiętaniem, że o rozmowie nie mogło być mowy. Fraa Sildanic i jeszcze jeden arbryjski lekarz na przemian to pojawiali się przy nas, to znikali pod pokładem. Nie chciałem źle myśleć o naszych laterryjskich gospodarzach, ale nie miałem pewności, że na tarasie nie zainstalowali podsłuchu. Połowa Laterryjczyków sprzyjała Piedestałowi, a nawet zwolennikom Opoki mogła się nie spodobać nasza rola w napaści na *Daban Urnuda*. Może Dzwonecznicy zabili komuś krewnych albo znajomych? Chłapięcie w przypadkowej rozmowie, że tysięcznik wybił dziurę w kadłubie i zniknął, było najgorszą rzeczą, jaką mogłem zrobić. Kiedy

zaspokoilem pierwszy glód, zacząłem się tym niepokoić nie na żarty.

Arsibalt dołączył do nas i dopadł do swojego koszyka z impetem buldożera. Odczekałem, aż napełni sobie usta, ująłem kieliszek i wzniosłem toast:

- Za fraa Jaada. Wspominając czworo zabitych Dzwoneczników, nie zapominajmy o tym, który oddał życie w ciągu pierwszych dziesięciu minut naszej misji, zanim na dobre wydostaliśmy się poza atmosferę Arbre.

- Za nieodżałowanego fraa Jaada - odpowiedział Jesry tak pospiesznie i z takim naciskiem, że nie mógł nie podzielać moich wątpliwości.

- Nigdy nie zdołałem wymazać z pamięci jego ognistego upadku w atmosferę - dodał Lio z powagą tak nieszczerą, że omal nie parsnąłem winem przez nos.

Cały czas zerkałem na Arsibalta, który nagle przestał żuć i gapił się na nas wytrzeszczonymi oczami, usiłując zrozumieć nasze przerażająco ponure i wyrafinowane poczucie humoru. Podniosłem znacząco wzrok. To był nasz stary edharski sygnał: zerkaliśmy do góry na okna Regulatorki, jakbyśmy chcieli powiedzieć: *Milcz i udawaj, że nic się nie stało*. Skinął głową na znak, że zrozumiał, ale wyraz jego twarzy w dalszym ciągu zdradzał kompletne zagubienie. Wzruszyłem ramionami, dając mu do zrozumienia, że ze swoimi wątpliwościami znalazł się w doborowym towarzystwie.

Przyszedł Sammann, w tradycyjnym stroju itów. Okazał nadzwyczajną powściągliwość, podchodząc do nas po kolei, podając nam rękę i poklepując nas po ramieniu, zanim rzucił się na swój koszyk wypełniony jedzeniem nieskończenie smaczniejszym i lepiej doprawionym od naszego. Daliśmy mu spokojnie podjeść, a on zabrał się do rzeczy w swoim zwykłym spokojnym, kontemplacyjnym stylu, do którego przyzwyczailem się, kiedy spożywał drugie śniadania na szczycie Pinakla. Na jego twarzy nie odmalował się nawet cień zaciekawienia, dlatego jest pięć koszy i pięciu ludzi zamiast jakiejś innej liczby. Prawdę mówiąc,

zachowywał wobec nas daleko posuniętą rezerwę, co w połączeniu z jego oficjalnym itowskim ubiorem budziło we mnie pamięć rozlicznych starych nawyków i konwenansów, które dawno zatonęły na dnie mojej świadomości.

- Spełniliśmy przed chwilą toast za fraa Jaada i innych poległych - poinformowałem go, kiedy na chwilę przestał jeść i sięgnął po kieliszek.

Skinął krótko głową, wznosił kieliszek i odparł:

- Rozumiem: za poległych.

Tak, ja też wiem.

- Czy tylko ja mam takie śmieszne powikłania neurologiczne? - zapytał Arsibalt.

- Masz na myśli uraz mózgu? - spytał z troską Jesry.

- To zależy, czy miałyby być równie trwałe jak ten, który trapi ciebie - odparował Arsibalt.

- Mam dziury w pamięci - przyznał Lio.

Sammann odchrząknął i spiorunował go wzrokiem.

- Na szczęście, im dłużej jestem przytomny, tym bardziej klaruje mi się w głowie - dodał Lio.

Sammann z powrotem skoncentrował się na jedzeniu. Jules Verne Durand wszedł na górę, ogarnął spojrzeniem sielankę i cały się rozpromienił.

- No proszę! - wykrzyknął. - Kiedy zobaczyłem was w obserwatorium, bez kombinezonów, dyszących jak wyrzucone na brzeg ryby, przestraszyłem się, że takiej sceny jak ta nie będzie mi już dane zobaczyć.

Wypiliśmy jego zdrowie i poprosiliśmy, żeby się do nas przysiadł.

- Co z resztą? - zapytał Jesry. - To znaczy, co się stało z czterema ciałami?

Spojrzenie pięciu par arbryjskich oczu spoczęło na twarzy Laterryjczyka, który - nawet jeśli zauważył, że liczba się nie zgadza - nie dał nic po sobie poznać.

- Trwają negocjacje - odparł. - Ciała Dzwoneczników zostały zamrożone. Jak się z pewnością domyślicie, niektórzy z

Piedestału chętnie by ich potraktowali jak okazy biologiczne i pokroili na kawałki.

Spochmurniał i umilkł. Zorientowaliśmy się, że myśli o Lise, którą na konwoksie potraktowaliśmy właśnie jak okaz biologiczny. Po chwili otrząsnął się z zadumy i mówił dalej:

- Arbryjscy dyplomaci stwierdzili stanowczo, że to nie wchodzi w grę. Ich szczątki mają być traktowane jak relikwie i przekazane nietknięte delegacji, której część teraz stanowicie. Do przekazania dojdzie podczas ceremonii, która ma się odbyć w kuli numer cztery za mniej więcej dwie godziny.

Piedestał jeszcze nie wie o megazabójcach w waszych ciałach. Nie puściłem farby, ale zaczynam się denerwować.

Czy delegacja przywiozła kolejnych megazabójców? Czy w tej chwili na *Daban Urnudzie* znajdują się ich setki, jeśli nie tysiące? Czy ktoś z członków delegacji jest władny je uruchomić? „Przypomniałem sobie” (jeśli to właściwe określenie faktu, który wydarzył się w innym kosmosie) srebrne pudełeczko w rękach fraa Jaada. Detonator. Kto z czterech tuzinów delegatów ma takie urządzenie przy sobie? I druga sprawa, ważniejsza: kto naciśnie spust? Niektórzy mogliby uznać taką wymianę za opłacalną: za cenę czterech tuzinów arbryjskich istnień *Daban Urnud* zostanie wyjałowiony, a już na pewno okaleczony do tego stopnia, że tym, którzy na nim ocaleją, pozostanie już tylko bezwarunkowa kapitulacja. To znacznie tańsze niż regularna wojna.

Nagle przestałem być głodny. Z kilku powodów jednocześnie.

Wszyscy snuli podobne myśli, toteż rozmowa nie rozwijała się jakoś olśniewająco. Prawdę mówiąc, w ogóle nie rozmawialiśmy. Cisza powoli stawała się podejrzana. Zastanawiałem się, co by powiedział niewidomy gość, który w tej chwili pojawiłby się na tarasie. Kule cechowała niezwykła akustyka. W ich wnętrzu trudno było mówić o wietrze z prawdziwego zdarzenia. Ponieważ każda kula była ogrzewana i schładzana w innym cyklu, rozszerzające się i kurczące powietrze przelewało się czasem przez portale, budząc leciutkie zefirki, które

jednak nie były w stanie nie tylko wzburzyć wody, ale nawet zdmuchnąć arkusza ze stołu. Dźwięk niósł się jednak bez przeszkód i w dziwny sposób rykoszetował od sklepienia. Ktoś ćwiczył trudny pasaż na jakimś instrumencie smyczkowym, dzieci się kłóciły, kobiety się śmiały, pracowało jakieś pneumatyczne urządzenie. Powietrze wydawało się gęste, wewnątrz duszne, dławiące, przytłaczające. A może nie, może po prostu zaczynałem odczuwać pierwsze skutki przejedzenia...

- Czwórka należy do Urnudczyków - odezwał się w końcu Lio, budząc nas z odrętwienia.

- To prawda - przytaknął z ciężkim westchnieniem Jules. - Wszyscy macie się tam udać.

To nie jest sprawa osobista, ale nie chcę mieć chodzących bomb u siebie w kuli.

- Z urnudzkich kul czwórka to najwyższy numer - dodał Arsibalt. - Jeśli dobrze rozumiem konwencję, znajduje się najbliżej rufy, jest najgęściej zamieszkała i... no...

- Stoi najniżej w hierarchii, zgadza się - powiedział Jules. - Cały najważniejszy sprzęt i cała wierchuszka są w jedyńce.

To ją chcecie rozwalić.

- Jedynekę też odwiedzimy? - zainteresował się Lio.

A będziemy mieli okazję?

- Zdziwiłbym się, gdyby tak się stało. Jej mieszkańcy są bardzo dziwni. Prawie z niej nie wychodzą.

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Tak, to prawda - mówił dalej Jules. - Przypominają trochę waszych tysięcy.

- Nic dziwnego - powiedział Arsibalt. - Lecą tak już tysiąc lat.

- Tym większa szkoda, że fraa Jaad nie przeżył startu - zauważyłem. - Od razu popędziłby do jedyńki. Oczywiście w takiej Historii, w której dostałby się na statek w towarzystwie kogoś takiego jak ja, kto mógłby przed nim otwierać drzwi.

- Jak sądzisz, co by zrobił, gdyby do niej dotarł? - zapytał szczerze zaciekawiony Jesry.

- To zależy od tego, jak zostalibyśmy przywitani. Gdyby sprawy poszły źle, zginęlibyśmy, a nasze świadomości przestałyby śledzić bieg tej trajektorii świata.

Sammann uciął dalszą dyskusję kolejnym głośnym chrząknięciem.

- Ile czasu będziemy potrzebowali na dotarcie stąd do kuli numer cztery? - spytał Jesry, chyba jedyny, który nie zapomniał języka w gębie; Lio i Arsibalta zamurowało.

- Powinniśmy wyruszyć przy pierwszej sposobności - odparł Jules. - Część delegacji już czeka na miejscu.

Megazabójcy są w czwórce. Nic nie można na to poradzić.

Zaczęliśmy zbierać niedojedzone potrawy i pakować je do koszy.

- Ilu macie tłumaczy znających orthyjski? - zapytał Arsibalt.

Możemy się ciebie trzymać?

- Nie ma nikogo, kto znałby język tak dobrze jak ja.

Będę bardzo zajęty. Nie uda nam się już porozmawiać.

- Jaki jest skład arbryjskiej delegacji? - spytał Lio.

Kto trzyma palec na spuście?

- O, to ciekawa mieszanina, muszę przyznać... Przywódcy Ark. Artyści estradowi. Tuzy handlu. Filantropi w rodzaju Magnatha Forala. Deklaranci. Itowie. Obywatele... - Jules spojrział na mnie. - W tym pewna dobrze znana ci para.

- Żartujesz. - Złowrogi podtekst naszej rozmowy z miejsca poszedł w zapomnienie. - Cord i Yul?

Pokiwał głową.

- Ze względu na rolę, jaką odegrali podczas Nawiedzenia Oritheny, które tłumy widziały na zarejestrowanym przez Sammanna szpilu, uznano, że powinni tu przybyć jako przedstawiciele ludu.

Politycy kupczą nimi w mediach.

- To zrozumiałe - powiedział Lio. - Ale wśród tych wszystkich gwiazdek popu i szamanów muszą być przecież jacyś prawdziwi reprezentanci państwa sekularnego...

- Jest czterech wojskowych. Bardzo honorowe typy. - *Nie odpalą emzetów.* - I dziesięć osób z rządu, w tym nasza stara znajoma, pani sekretarz.

- Ci Foralowie to się umieją wkreślić... - wypaliłem.

Sammann uniósł pytająco brwi, a Jules sygnął listą nazwisk i tytułów członków kontyngentu sekularnego, starając się ze wszystkich sił wskazać tych spośród nich, którzy pełnili tylko rolę asystentów.

- ...oraz nasz drugi stary znajomy, Emman Beldo, który, jak mi się wydaje, jeszcze niejednym nas zaskoczy.

To on.

Nie wiedzieliśmy, jakiego wytworu praksis chcą użyć do uruchomienia emzetów, ale musiało to być wyrafinowane urządzenie; prawdopodobnie prototyp, i to udający niewinną zabawkę. Do jego obsługi potrzebowali kogoś takiego jak Emman, kto będzie słuchał rozkazów najwyższego rangą gryzipiórka. Ignetha Foral nie wchodziła w grę: ją sprowadzały tu sprawy Dynastii, co do tego nie miałem cienia wątpliwości. Bez względu na oficjalny tytuł i stanowisko w państwie sekularnym, ona i jej kuzyn (czy kim tam dla niej był) Magnath nie po to przebyli taki szmat drogi, żeby wysługiwać się temu z gryzipiórków, który chwilowo uzyskał przewagę w tej wiecznej wojnie błaznów, jaką była polityka sekularna.

Czy Foralowie wiedzieli o fraa Jaadzie? Czy z nim współpracowali? Czy podczas naszego pobytu w Elkhazgu razem ułożyli ten plan?

Tyle myśli kłębiło mi się w głowie, że mój umysł kompletnie się wyłączył i przez następne pół godziny mogłem tylko chłonać nowe doznania. Zmieniłem się w szpilolap mistrza Fleca: same oczy, zero mózgu. Wyposażony w megamatrycę, redukcję drgań i dynazoom, obserwowałem i rejestrowałem nasze wypisanie ze szpitala. Wyglądało na to, że biurokracja jest jednym z protyjskich atraktorów, które pozostają niezmiennie we wszystkich kosmosach. Przekazano nas pod opiekę pięciu Troan z rurkami pod nosem, w takich samych kostiumach jak zbiry, które

zaatakowały mnie i Jaada w moim śnie, halucynacji albo innej inkarnacji polikosmicznej. Lio obrzucił wzrokiem ich broń, ograniczającą się do pałek, gazu w sprayu i paralizatorów elektrycznych; najwidoczniej w hermetycznie zamykanych wnętrzach krzywo patrzono na karabiny wystrzeliwujące rozpędzone pociski. Oni też skrupulatnie nas obejrzeni, szczególną uwagę zwracając na Lio. Z pewnością robili już wywiad, kto jest kim, a do Lio przyłgnęła część legendy Dzwoneczników.

Dwóch żołnierzy z Julesem ruszyło przodem, trzech szło za nami. Po trapie weszliśmy do czyjś ogrodu. Zajrzałem przez okno do łodzi i na wyciągnięcie ręki ujrzałem Laterryjczyka zmywającego naczynia. Udał, że mnie nie widzi. Przeszliśmy na szkolne boisko. Dzieci na chwilę przestały się bawić i odprowadziły nas wzrokiem. Niektóre wołały „Cześć!”; uśmiechaliśmy się wtedy, kłanialiśmy i odwzajemnialiśmy pozdrowienie. To było miłe spotkanie. Na następnej łodzi natknęliśmy się na dwie kobiety zajęte przesadzaniem warzyw.

I tak dalej. W kuli nikt nie tracił przestrzeni na wytyczanie ulic: układ komunikacyjny stanowiła sieć ścieżek z powszechnym prawem przechodu, rozpostarta na dachach i tarasach łodzi mieszkalnych. Każdy mógł chodzić, gdzie chciał; społeczna umowa nakazywała po prostu ignorować się nawzajem. Cięższe przedmioty przewożono gondolami o dużym zanurzeniu, mogącymi manewrować na wąskich kanałach, których istnienie było dla mnie tym bardziej zaskakujące, że od góry osłaniały je zielone pnącza na treliach. Z tarasu wyglądały jak ciemnozielone arterie rozgałęziające się po całym mieście.

Dotarliśmy do łodzi będącej dolną stacją wyciągu i wjechaliśmy do nieba dwójkami: każdemu Arbryjczykowi towarzyszył jeden Troan. Spotkaliśmy się przy portalu łączącym dziesiątkę z jedenastką. Wiatr wiejący w tym miejscu wyciskał nam łzy z oczu i tarosił ubrania.

Czekając, aż wszyscy się zbierzemy, stanąłem w przejściu i przyjrzałem się teatralnej maszynierii i wiązkom światłowodów ukrytym pod niebieskim płótnem nieba. Słońce było jasne, ale

zimne, ze światła odfiltrowano całą podczerwień. Samo niebo było źródłem ciepła, emanując je delikatnie jak nastawiony na niską temperaturę opiekacz. Tutaj, przy portalu, odczuwaliśmy je znacznie silniej i cieszyliśmy się z podmuchów wiatru.

Zjazd taką samą kolejką na ułożoną z łodzi mieszkalnych matę w jedenastce, krótki spacer i wjazd do portalu prowadzącego do dwunastki. Była to ostatnia laterryjska kula w stosie, położona najbliżej rufy i - w związku z tym - pozbawiona dalszych wyciągów. Dotarliśmy do ostatniego wagonu pociągu.

Po niebie pięła się spiralnie rurowata krzyżówka drabinki i chodnika, która poprowadziła nas dookoła wewnętrznej powierzchni kuli „do góry”, do znajdującego się w zenicie otworu. Ciężenie wyraźnie się zmniejszyło, gdyż znaleźliśmy się bliżej rdzenia. Zatrzymaliśmy się na chwilę na okrągłym podeście pod otworem: wyglądał dokładnie tak samo jak ten w kuli numer 1, na którym fraa Jaad został postrzelony z karabinu. Rozglądając się, dostrzegłem więcej „zapamiętanych” szczegółów, na chwilę nawet usiadłem na poręczy, żeby sprawdzić, jak „pamiętam” moment upadku.

Przy zaopatrzonym w ekran terminalu Jules musiał się przedstawić i podać cel wizyty; domyślałem się, że mówi po urnudzku. Dowódca towarzyszących nam żołnierzy wtrącił coś chrapliwym głosem. Musieliśmy kolejno ustawić się przed maszyną, która zeskanowała nasze twarze. Czekając na swoją kolej, zbadaliśmy bliżej zawór kulowy umieszczony nad naszymi głowami, wbudowany w powierzchnię „nieba”. Niczym mnie nie zaskoczył. Rozpoznałem ten sam masywny, praktyczny styl konstrukcyjny (nazwałbym go stylem Ciężkich Międzykosmicznych Bunkrów Urnudzkich), który cechował *Daban Urnuda*, zarówno widzianego z zewnątrz, jak i od strony rdzenia, ale na szczęście nie zdołał się przedostać w głąb kul mieszkalnych. Wielkie stalowe oko nie zamierzało się dziś dla nas otworzyć. Musieliśmy skorzystać z włazu, w którym na wcisk mieścił się Arsibalt albo troański szeregowiec w obwieszonym sprzętem uprząży. Właz został zdalnie otwarty, a my ustawiliśmy

się w kolejce do przejścia.

- Zagrożenie - prychnął Jesry, wskazując ruchem głowy gigantyczny zawór. Był zniesmaczony, że tak długo musiał się nad tym zastanawiać. Chyba zrobiłem głupią minę. - No, sam pomyśl. Po co jakiś praksyk miałby projektować akurat takie przejście? Dlaczego wybrał właśnie zawór kulowy?

- Bo będzie działał nawet przy dużej różnicy ciśnień - odparłem. - Dowództwo mogłoby spuścić powietrze z rdzenia, a potem otworzyć ten zawór i jednym ruchem wybić całą populację kuli. O tym myślisz?

Jesry skinął głową.

- Fraa Jesry, twoje wyjaśnienie jest chyba przesadnie cyniczne - powiedział przysłuchujący się nam Arsibalt.

- Z pewnością były inne powody - odparł Jesry. - Ale nie zmienia to faktu, że zawór stanowi zagrożenie.

Pojedynczo wspięliśmy się po drabince do wjazdu, pokonaliśmy krótką pionową rurę, przeszliśmy przez drugi wjazd (w parze z pierwszym tworzył śluzę powietrzną) i wylądowaliśmy na kolejnym okrągłym pomoście. „Nad” nami zaczynał się mierzący tysiąc dwieście stóp szyb prowadzący do rdzenia. Odszukałem wzrokiem klawiaturę: była na swoim miejscu, tam, gdzie zapamiętałem.

Lio, który pierwszy przeszedł przez wjazdy, zakładał właśnie na oczy miękką opaskę. Jules rozdawał takie same opaski wszystkim nam po kolei.

- Po co to? - spytałem ostrym tonem.

- Żebyście się nie porzygali. A na wszelki wypadek... - Podał mi torebkę. - Wiesz co? Weź dwie. Sporo zjadłeś.

Ostatni raz przed założeniem opaski spojrzałem do góry: za chwilę mieliśmy się wspiąć po oszałamiająco wysokiej drabinie, wiedziałem jednak, że „grawitacja” będzie systematycznie słabła, więc się zbytnio nie zmęczymy. Należało się za to spodziewać silnej dezorientacji i kłopotów z błędnikiem w stanie nieważkości. Nic dziwnego, że groziła nam choroba lokomocyjna.

Chwyliłem pierwszy szczebel.

- Powoli - ostrzegł nas Jules. - Złapcie mocno szczebel albo postawcie pewnie stopę, zanim ruszycie wyżej.

Dzięki temu, że całą drabinę poprowadzono we wnętrzu rurowatej klatki, niebezpieczeństwo upadku było niewielkie. Zgodnie z zaleceniem wspinałem się powoli, wsłuchując się w ruchy idącego nade mną Lio. Jednak od pewnego momentu szczeble zaczęły mieć znaczenie czysto symboliczne: wystarczył szybszy ruch nadgarstka, a później nawet jednego palca, żeby przenieść się wyżej. Idący przodem Troan utrzymywał stałe, niezmiennie tempo: nauczył się na własnej skórze, że ci, którzy wspinają się za szybko, chętnie sięgają po torebki.

Wróciłem myślami do klawiatury. Co by się stało, gdyby fraa Jaad wstukał jeden z dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu niewłaściwych kodów? I to więcej niż raz? Gdzieś w jakimś bunkrze zapaliłaby się w końcu czerwona lampka, ktoś włączyłby szpilolap i zobaczył dwóch strażaków majstrujących przy wejściu. Przysłałby kogoś, żeby nas pogonił, ale raczej nie dałby mu do ręki karabinu, tylko jakąś mniej śmiertcionośną broń. Taką jak ta na wyposażeniu naszej eskorty.

Przypomniało mi się, co powiedział Jesry: *Zagrożenie*. Miał rację. Otwarcie zaworu w pewnym sensie równało się przystawieniu pistoletu do skroni całej kuli jednocześnie. Nic dziwnego, że żołnierze po prostu nas rozstrzelali! W kosmosie, w którym fraa Jaad znał - albo zgadł - kod otwarcia zaworu, musieliśmy zginąć. Śmierć musiała być dla mnie wyzwoleniem, bo dzięki niej wylądowałem w innym wszechświecie.

Co by się wydarzyło w tych o wiele liczniejszych kosmosach, w których fraa Jaad wpisał na klawiaturze niewłaściwą liczbę? Zostalibyśmy schwytani żywcem.

A potem?

Trochę by nas przetrzymali, a potem zabrali na spotkanie i negocjacje z ganem Odru.

Uszy podpowiadały mi, że wynurzyłem się z szybu; wyciągnięta ręka nie namacała kolejnego szczebla, została za to

pochwycona przez Troana, który wyciągnął mnie z szybu, pociągnął w przeciwnym kierunku, żeby wyhamować nadany mi szarpnięciem impet, i doprowadził mnie do jakiegoś uchwytu. Zsunąłem opaskę z oczu i stwierdziłem, że znajduję się w rdzeniu. Zawór oddzielający nas od rufowej hali łożyska miałem za plecami, nie dalej niż o rzut kamieniem. W przeciwnym kierunku długość rdzenia trudno byłoby mi oszacować, wiedziałem jednak, że wynosi dwie i ćwierć mili. Wyglądał dokładnie tak, jak go „zapamiętałem”: wbudowane w wewnętrzną powierzchnię przewody emitowały światło, a na przeciwległych ścianach poruszał się nieskończony pas transmisyjny, pomrukując jak dobrze nasmarowany mechanizm.

W pobliżu do rdzenia dochodziły jeszcze trzy inne szyby. Ten znajdujący się dokładnie naprzeciwko, czyli „nad” nami, prowadził do kuli numer 4 i wyglądał jak proste przedłużenie tunelu, z którego przed chwilą się wynurzyłem. Do wszystkich szybów można się było dostać po drabinie biegnącej przy ścianie rdzenia. Ci, którzy mieli więcej wprawy, mogli po prostu przeskoczyć z jednego wylotu do drugiego.

Musieliśmy chwilę zaczekać - z dwóch powodów: jeszcze nie wszyscy idący za nami pokonali drabinę, a w dodatku w szybie prowadzącym do czwórki właśnie zrobił się zator. Wymogi bezpieczeństwa określały maksymalną liczbę jednoczesnych użytkowników drabinki, a ich przestrzegania pilnował żołnierz stojący na najwyższym szczeblu. Jakaś inna delegacja właśnie schodziła do kuli (z naszego punktu widzenia wspinała się po drabinie do góry nogami) i trzeba było poczekać, aż dotrze na dno szybu.

Zaczęliśmy więc z Lio błaznować. Najpierw postanowiliśmy sprawdzić, czy uda nam się zawisnąć nieruchomo w samym środku rdzenia. Chodziło o to, żeby ulokować się na osi gigantycznego tunelu rdzenia i wyhamować ruch obrotowy; wtedy cały statek wirowałby wokół nas. Można to było osiągnąć, odbijając się od ściany i dokonując korekt podczas lotu. Pierwsze pięć minut w naszym wykonaniu należałoby uczciwie opisać jako

rozpaczliwie nieporadne. Następnie przeszliśmy do fazy groźnej niekompetencji, kiedy to, młócąc wszystkim kończynami w powietrzu, kopnąłem Lio w twarz i rozkwaśłem mu nos. Troańscy żołnierze przyglądali się nam z narastającym rozbawieniem. Nie rozumieli ani słowa z tego, co mówimy, ale doskonale wiedzieli, co próbujemy osiągnąć. Kiedy kopnąłem Lio, zrobiło się im nas żal; albo może przestraszyli się, że zrobimy sobie krzywdę, a im przyjdzie za to odpowiadać. Jeden z nich przywołał mnie gestem. Jedną ręką złapał mój sznur, drugą zawój przy karku i pchnął mnie delikatnie, wprawiając jednocześnie w lekki obrót. Kiedy znieruchomiałem na środku rdzenia, musiałem przyznać, że podczas samodzielnych prób nie udało mi się osiągnąć tak dobrego rezultatu.

Usłyszałem, że ktoś mówi po fluksyjsku, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem zmierzający nam na spotkanie kontyngent liczący ponad dwadzieścia osób. Większość z nich frunęła przez środek rdzenia zamiast użyć pasa transmisyjnego, więc nawet gdybym nie rozpoznał języka, domyśliłbym się, że to turyści. Jedna z postaci wysforowała się naprzód i natychmiast została skarcona przez żołnierza.

Cord odbiła się od ściany i skoczyła na mnie z odległości stu stóp. Trochę obawiałem się nieuniknionego zderzenia, ale opór powietrza spowolnił jej lot i kiedy doszło do kolizji, wpadła na mnie z impetem nie większym niż przechodzień, który na chwilę się zagapił. Objęliśmy się w nieważkości. Za nią leciał już następny Arbryjczyk, młody sekular; nie rozpoznałem go, chociaż miałem przemożne wrażenie, że powinienem. Zbliżając się do nas, wirował powoli we wszystkich trzech płaszczyznach, wymachując rękami i nogami, jakby miało mu to pomóc. Miał bardzo elegancki strój i utrefione włosy. Żołnierz z naszej eskorty wyciągnął rękę i popchnął go, dotknąwszy kolana. Mężczyzna przestał koziołkować i zwolnił, dzięki czemu już nie przypominał pędzącego w próżni meteoru, a kiedy zbliżył się do nas, znieruchomiał. Obserwując go ponad prawym uchem Cord (tak mocno przyciśniętym do mojego policzka, że kolczyki musiały mnie chyba haratać do krwi),

zobaczyłem, że podnosi szpilołap i bierze nas na cel.

- W lodowatym sercu statku kosmicznego obcych doszło do ponownego spotkania brata i siostry - zaintonował pięknie modulowanym barytonem. - Aż serce się raduje. Cord, sekularna półowka heroicznej pary, z głęboką ulgą...

Sam już zacząłem odczuwać pewne głębokie, choć wcale nieradujące serca uczucia, kiedy człowieka ze szpilołapem w jakiś cudowny, niemal magiczny sposób zastąpił Yulassetar Crade. Z tym cudem wiązało się kilka efektów dźwiękowych: mięsiste *plask!* i krótki okrzyk, a raczej skomlenie, które wydarło się z piersi operatora szpilołapu. Yul skoczył na niego z pewnej odległości, zderzył się z nim w pełnej szybkości i znieruchomiał w powietrzu, przekazawszy mu całą energię kinetyczną.

- Zasada zachowania pędu - obwieścił. - To nie tylko dobry pomysł, to prawo natury!

Z oddali dobiegł głuchy łomot i kwiknięcie, kiedy ufryzowany młodzian wyrznął w ścianę. Oba te odgłosy utonęły jednak w chichocie naszych żołnierzy i ich (pełnych aprobaty, jak mi się wydało) komentarzach. Z początku byłem zaskoczony włączeniem Yulassetara Crade'a w skład misji dyplomatycznej(!), ale teraz nagle doceniłem geniusz tej decyzji.

Cord uspokoiła się w końcu na tyle, żeby mnie puścić, podpłynąłem więc do Yula, zderzyłem się z nim (łagodniej niż z nią) i go wyściskałem. Sammann, który również wyszedł już z szybu dwunastki, przywitał oboje z nieskrywaną radością. Miałem im mnóstwo do opowiedzenia, ale widząc, że operator szpilołapu znów podkraść się bliżej (choć zachowywał pełen szacunku dystans) i nas namierza, ugryzłem się w język.

- Pogadamy później - powiedziałem.

Yul skinął głową. Cord wystarczyło chyba na razie, że może na mnie patrzeć, chociaż na jej twarzy malowały się dziesiątki pytań. Ciekaw byłem, co widzi: musiałem być błydy i wymizerowany. Postarała się wystroić na tę wyjątkową okazję: ostrzygła się, założyła całą swoją tytanową biżuterię i obrabowała sklep z damską odzieżą, ale miała dość oleju w głowie, żeby nie

przesadzać z wizerunkiem girlaski, dzięki czemu nadal wyglądała jak Cord. Była boso; parę eleganckich pantofli przypięła sobie do paska.

Przybywali następni: dwie nieznane mi postaci niewiarygodnej urody; kilku starszych mężczyzn; Foralowie szybujący w powietrzu ramię w ramię, tak jakby członkowie ich rodu od pokoleń wyprawiali się na spacer w nieważkości; troje deklarantów...

Jednym z nich był fraa Lodoghir.

Skierowałem się prosto w jego stronę. Widząc, jak nadlatuje, przeprosił, odsunął się od towarzyszącej mu dwójki i czekał na mnie, trzymając się uchwyty w ścianie.

Nie traciliśmy czasu na uprzejmości.

- Słyszałeś, co się przydarzyło fraa Jaadowi? - zapytałem.

Jego twarz zdradzała o wiele więcej, niż mógłby wyrazić głos - co samo w sobie było znaczące. Wiedział. Wiedział! Znał fałszywą wersję oficjalną, ale poza tym wiedział wszystko to, co ja (a w praktyce najprawdopodobniej znacznie więcej), i bał się, żebym czegoś nie chlapnął. Ja jednak umilkłem i znaczącym spojrzeniem dałem mu do zrozumienia, że zachowam dyskrecję.

- Owszem - odparł. - Jaką naukę mogą z tego wyciągnąć deklaranci, którzy nie mają takiej mocy jak on? Co los fraa Jaada oznacza dla nas wszystkich? Czego możemy się z niego nauczyć? Jak powinniśmy zmienić swoje postępowanie?

- Tak, ojczyźnie Lodoghirze - przytaknąłem posłusznie. - Przybyłem do ciebie w poszukiwaniu odpowiedzi na takie właśnie pytania.

Modliłem się w duchu, żeby wychwycił sarkazm w moim głosie. Nie dał nic po sobie poznać.

- Można powiedzieć, że taki człowiek jak fraa Jaad przez całe życie przygotowuje się do takiej chwili, nieprawdaż? Wszystkie głębokie myśli przepływające przez jego świadomość, wszystkie talenty i umiejętności prowadzą go do punktu kulminacyjnego. My jednak dostrzegamy tę kulminację dopiero po fakcie, z perspektywy czasu.

- Pięknie powiedziane... Porozmawiajmy jednak o przyszłości. Co nas czeka? W jaki sposób przeznaczenie fraa Jaada kształtuje naszą przyszłość? A może powinniśmy udać, że nic się nie stało, i żyć jak przedtem?

- Dla mnie główną konsekwencją ostatnich wydarzeń jest podtrzymanie i coraz bardziej efektywne związki dwóch tradycji, których przedstawiciele pospolicie nazywa się retorami i inkanterami. Jak wiesz, proceńcycy i halikaarnijcycy nawiązali w ostatnim okresie współpracę, której efekty przerosły najśmielsze oczekiwania tych, którzy je poznali.

Mówiąc to, fraa Lodoghir patrzył mi prosto w oczy, a ja wiedziałem, że mówi o zmianach trajektorii światów, które pozwoliły Jaadowi znaleźć się na *Daban Urnudzie* w tym samym czasie, kiedy szpilołapy na orbicie Arbre zarejestrowały jego śmierć.

- Masz na myśli zdemaskowanie Zh'vaerna jako szpiega - podsunałem, żeby zmylić ewentualnych podsłuchiвачy.

- Na przykład - przytaknął i jednocześnie lekko pokręcił głową. - To znak, że powinniśmy... że musimy kontynuować taką współpracę.

- Czy zechciałbyś mi łaskawie powiedzieć, co miałoby być jej celem?

- Międzykosmiczny pokój i jedność - powiedział Lodoghir tak pobożnym tonem, że miałem ochotę parsknąć śmiechem. Nie dałem mu jednak tej satysfakcji.

- Na jakich warunkach?

- To ciekawe, że o to pytasz... Kiedy wy tu byliście nieprzytomni, niektórzy z nas dyskutowali na taki właśnie temat.

Niecierpliwym ruchem głowy wskazał mi wylot szybu kuli numer 4, gdzie wszyscy już na nas czekali.

- Jak sądzisz, czy to, co stało się z fraa Jaadem, miało wpływ na wasze negocjacje?

- Ależ naturalnie. Jego wpływ trudno wprost przecenić.

Nie podobało mi się, że zwracamy na siebie uwagę. Widząc, że więcej z Lodoghira nie wyciągnę, odwróciłem się i

razem zbliżyliśmy się do szybu.

- Widzę, że przysłali ważnych proceńczyków. - Jesry skinieniem głowy wskazał Lodoghira i dwójkę jego towarzyszy.

- Na to wygląda - przytaknąłem i nagle doznałem olśnienia.

Kompani Lodoghira byli tysięcznikami.

- Są w swoim żywiole - mówił dalej Jesry.

- Polityka i dyplomacja? Z pewnością.

- No i mogą się przydać, kiedy będzie trzeba zmienić przeszłość.

- Bardziej niż już ją zmienili? - odparowałem. Powinno nam to ujsć na sucho, bo po prostu normalnie dokopywaliśmy proceńczykom. Nic nadzwyczajnego. - A tak na poważnie: fraa Lodoghir z uwagą prześledził historię fraa Jaada i ma ciekawe spostrzeżenia na temat jej znaczenia.

- Nie mogę się doczekać, żeby je usłyszeć - odparł beznamiętnie Jesry. - Czy oprócz spostrzeżeń ma również jakieś praktyczne zalecenia?

- O tym nie rozmawialiśmy.

- Aha. Czy to znaczy, że my mamy się tym zająć?

- Tego się właśnie obawiam.

Ze względu na wymogi bezpieczeństwa zejście do czwórki trwało dość długo.

- Wcześniej wydałoby mi się to niemożliwe - odezwał się Arsibalt gdzieś po drugiej stronie mojej opaski na oczy. - Ale to wszystko jest takie banalne!

- Niby co? Twoja pięta w moim oku?

Arsibalt cały czas próbował przyspieszyć. Bałem się, że w końcu nadepnie mi na rękę.

- Nasze spotkania z Geometrami.

Następne kilka szczebli pokonałem w milczeniu, przetrawiając jego słowa. Zamiast się z nim spierać, układałem sobie w głowie listę rzeczy widzianych na *Daban Urnudzie*, które uderzyły mnie swoją, jak to ujął, banalnością. Czerwony guzik awaryjny przy włączaniu w obserwatorium. Aparatura do rozgrzewania przemarzniętego ciała. Szpitalna biurokracja.

Laterryjczyk zmywający naczynia. Ubrudzone smarem szczeble drabiny.

- Coś w tym jest... - przyznałem. - Gdyby nie to, że nie możemy tu normalnie jeść, pomyślałbym, że jesteśmy po prostu na jakiejś zagranicznej wycieczce.

- Gorzej! - zachnął się Arsibalt. - Arbryjska zagranica byłaby pod pewnymi względami pre-praksyczna: dziwna religia, niezwykle miejscowe zwyczaje... A tutaj...

- Tutaj nic takiego nie ma. To technokracja.

- Otóż to! I im bardziej technokratyczna się staje, tym wyraźniej upodabnia się do naszego świata.

- Racja.

- Kiedy zacznie się coś dziać?

- Co ci chodzi po głowie, Arsibalcie? Marzą ci się jakieś bajeranckie sceny ze szpilu fantastycznego?

- Nie pogardziłbym...

Znowu pokonaliśmy kilka szczebli bez słów.

- Widzisz, chodzi o to... - odezwał się znowu Arsibalt, już spokojniejszym tonem. - Mam ochotę powiedzieć „Dobra, rozumiem. Przepływ Hylaejski powoduje podobny rozwój układów zawierających nośniki świadomości. Ich trajektorie światów są zbieżne”. Ale co z tego wynika? Na pewno musi być coś więcej niż wielgachny statek kosmiczny, który włóczy się po kosmosach, zbiera próbki populacji i je balsamuje w stalowych kulach.

- Może oni też tak myślą? Pomyśl, lecą tak już od tysiąca lat; mieli znacznie więcej czasu, żeby im się to zdażyło znudzić. A ty przecież dopiero co się obudziłeś!

- Celna uwaga, tylko że... Ras, ja się boję, że im się to wcale nie znudziło. Dla nich to coś w rodzaju poszukiwań religijnych. Mają całkowicie nierealistyczne oczekiwania.

- Cicho! - wrzasnął na nas Jesry, który znajdował się tuż przede mną. I darł się dalej; jego głos musieli chyba słyszeć mieszkańcy wszystkich szesnastu kul. - Jak będziesz tak dalej kłapał dziobem, Arsibalcie, fraa Lodoghir będzie nam musiał

wszystkim wymazać wspomnienia!

- Jakie wspomnienia? - wtrącił Lio. - Ja nic nie pamiętam.

- Nie powinieneś mieć o to pretensji do retorów i ich czarów! - odkrzyknął fraa Lodoghir. - Po prostu kiepskie żarty szybko wylatują nam z pamięci.

- O czym rozmawiacie? - zapytał Yul po fluksyjsku. - Straszycie nasze supergwiazdy.

- Zastanawiamy się, co to wszystko znaczy - wyjaśniłem. - Dlaczego oni są tacy sami jak my.

- Może wcale nie są? Może są bardziej dziwacznici, niż się wam wydaje?

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie wpuszczą nas do jedyńki.

- No to chodźmy tam.

- On już tam był! - zaskrzeczał Jesry.

Doszliśmy do końca szybu, zeszliśmy razem z resztą przez służę i spojrzeliśmy z góry na łodziomątę w kuli numer 4. W samym jej środku znajdował się otwarty owalny akwen: odrobina luksusu, jakiego nie widzieliśmy w żadnej z laterryjskich kul. Może Urnudczycy mieli jeszcze wydajniejsze rolnictwo i mogli sobie pozwolić na poświęcenie skrawka powierzchni dla celów dekoracyjnych. Dookoła stawu rozciągał się plac, w tej chwili prawie w całości zastawiony stolikami.

- To tradycyjne miejsce spotkań - wyjaśnił Jules.

Natychmiast przypomniał mi się postawiony przez Arsibalta zarzut banalności: *obcy mają centra konferencyjne!*

Przyspawali sobie schody do nieba i pomalowali je na niebiesko. Zeszliśmy po nich z metalicznym tupotem; z każdym krokiem przybieraliśmy na wadze. Architektura tutejszych łodzi mieszkalnych nie różniła się znacząco od tego, co wcześniej widzieliśmy w laterryjskich kulach: liczba odmian pływających konstrukcji z płaskim dachem jest ograniczona. Większość ozdób, które mogłyby odróżniać style architektoniczne, ginęła pod kataraktami owocującej winorośli i w gęstych koronach drzew owocowych. Ścieżka, którą podążaliśmy przez ten nawodny

kompleks, była wąskim, ale prostym i ewidentnym bulwarem prowadzącym wprost do owalnego stawu. Nie musieliśmy przechodzić z łodzi na łódź i z tarasu na taras. Zdarzało nam się spotykać urnudzkich przechodniów. Oglądając z bliska ich twarze, z trudem opierałem się pokusie, żeby widzieć w nich tylko szkice doskonalszych istot, zamieszkujących wyższe rejony Knota. Kiedy się mijaliśmy, spuszczaali wzrok, schodzili nam z drogi i w służalczych (moim zdaniem) pozach czekali cierpliwie, aż przejdziemy.

- Co z tego, co widzimy, jest przejawem pierwotnej kultury urnudzkiej? - rozmyślałem głośno na użytek idącego obok mnie Lio. - A ile w tym skutków życia na wojskowym statku kosmicznym od tysiąca lat?

- Różnica nie musi być taka duża - odparł Lio. - Tylko Urnudzczycy w ogóle budowali takie statki.

Bulwar dochodził do placu nad stawem i był - co widzieliśmy już z góry - podzielony na cztery równej wielkości ćwiartki. Staw został zamknięty w pierścieniu czterech pawilonów o szklanych ścianach, które zakrzywiały się wokół niego jak zmarszczone brwi.

- Zobaczcie te uszczelki w drzwiach. - Yul ruchem głowy wskazał wejście do pawilonu. - To są akwaria!

I rzeczywiście, za szklaną ścianą zobaczyliśmy Fthozyczyków bez rurek pod nosem, maszerujących szybkim krokiem z dokumentami pod pachą lub rozmawiających przez ichniejszą odmianę piszczków.

- Przy drzwiach sprawdzają im aparaty oddechowe - zauważyła Cord. Tuż za uszczelnionymi drzwiami znajdował się stojak obwieszony dziesiątkami plecako-zbiorników. Jesry dał mi kuksańca.

- Tłumacze - powiedział, wskazując przeszkloną antresolę nad głównym pokładem „akwarium”.

Kilkoro Fthozyczyków w słuchawkach z mikrofonami siedziało przy pulpitych z widokiem na staw. Jakby dla potwierdzenia spostrzeżenia Jesry’ego, urnudzczy stewardzi zaczęli

w tym momencie rozdawać nam słuchopaki: czerwone orthyjskie i niebieskie fluksyjskie. Włożyłem do ucha czerwony i usłyszałem znajomy głos Julesa Verne Duranda. Wypatrzyłem go na stanowisku tłumaczy nad laterryjskim pawilonem.

- Dowództwo wita delegację z Arbre i prosi wszystkich o zgromadzenie się nad wodą, gdzie odbędzie się ceremonia powitalna - powiedział. Słuchając go, miałem wrażenie, że powtarzał tę kwestię już ze sto razy.

Dołączyliśmy do arbryjskiego kontyngentu, który dotarł wcześniej, żeby wszystko ustalić, zanim przybycie dziennikarzy, gwiazd i komandosów skomplikuje sprawy. Ala należała do niego. Gryzypiórki z asystentami też zjawily się wcześniej i czekały już nad wodą w nadmuchiwanym polioplastowym bąblu wielkości modułu mieszkalnego, na lewo od wylotu bulwaru. Za bąblem piętrzyła się aparatura pomocnicza wraz ze zbiornikami sprężonego powietrza, dostarczonego statkiem z Arbre. Miał to więc być prowizoryczny pawilon, symbolicznie zrównujący naszych gryzypiórków z dygnitarzami Geometrów. Wykonano go z takiego samego mlecznego polioplastu jak ten, którym obito okna mojej przyczepy, kiedy w Tredegarhu zostałem poddany kwarantannie. Siedzące w środku przy stole niewyraźne postaci kojarzyły mi się z donami, a kręcący się wokół nich i usłużnie podsuwający dokumenty asystenci do złudzenia przypominali posługaczy.

Przez chwilę patrzyłem, jak Ala to wbiega do pawilonu, to z niego wybiega; czasem spoglądała w niebo, mówiąc coś do mikrofonu, kiedy indziej ściągała słuchawki, żeby z kimś porozmawiać twarzą w twarz. Owładnęło mną przemożne wspomnienie naszego porannego spotkania; nie mogłem myśleć o niczym innym. Czuję się jak kuternoga, który nauczył się tak dobrze radzić sobie w życiu z jedną nogą krótszą, że stracił świadomość swojej ułomności. Ilekroć jednak wyruszał w podróż, zawsze wracał do punktu wyjścia, bo przez tę krótszą nogę chodził w kółko. Gdyby znalazł partnera, który miał słabszą drugą nogę, i razem ruszyliby w drogę...

Cord szturchnęła mnie znieuważona. Mało nie wpadłem do wody; musiała mnie złapać za zawój.

- Śliczna dziewczyna - powiedziała, zanim zdążyłem się wkurzyć.

- To prawda. Dzięki. I jest mi przeznaczona.

- Mówiłeś jej o tym?

- Pewnie. Samo powiedzenie jej to nie problem. Naprawdę, możesz być spokojna.

- To dobrze.

- Znacznie gorsze są te wszystkie dodatkowe okoliczności.

- Całkiem ciekawe okoliczności, powiedziałabym!

- Przykro mi, że zostaliście w to wplątani. Nie tego chciałem.

- Twoje chcenie od początku nie było najważniejsze. Posłuchaj, kuzynie, nawet jeśli kipnę, to moim zdaniem warto było.

- Jak możesz tak mówić, Cord?! A co z...

Pokręciła głową i położyła mi palec na ustach.

- Nie. Daj spokój. Nie będziemy o tym rozmawiać.

Wzięłem jej dłoń w swoje.

- Jak chcesz - powiedziałem. - To twoje życie. Nie będę się wtrącał.

- Nie chodzi o to, żebyś się nie wtrącał, tylko żebyś uwierzył, kuzynie.

- Halo! - rozległ się chrapliwy głos. - Co ty sobie wyobrażasz? Co to za trzymanie się za rączkę z moją dziewczyną?

- Cześć, Yul. Co porabialiście po Ebbie?

- Czas szybko płynął. - Yul podszedł do nas i stanął za plecami Cord, która oparła się o niego swobodnie. - Najpierw dużo lataliśmy aeroplanami, za friko. Zobaczyliśmy kawał świata. Odpowiadaliśmy na pytania. Po trzech dniach miałem dość i zapowiedziałem, że nie będę po raz dziesiąty produkował się na ten sam temat. To im się nie spodobało, bo musieli się wziąć w garść, ale wszyscy dobrze na tym wyszli. Ulokowali nas w hotelu w stolicy.

- W prawdziwym hotelu - podkreśliła Cord. - Nie w kasynie.

- Czasem całymi dniami się nudziliśmy - przejął pałeczkę Yul. - Chodziliśmy wtedy po muzeach. A potem nagle ktoś tam się podniecał, wzywali nas i przez parę godzin musieliśmy sobie przypominać, czy przyciski na pulpicie były kwadratowe, czy okrągłe.

- Czasem nas nawet hipnotyzowali - wtrąciła Cord.

- Aż w końcu ktoś nas sprzedał mediom - dodał smętnie Yul i rozejrzał się w poszukiwaniu człowieka ze szpilołapem. - Im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej.

- Wtedy na dwa dni przenieśli nas niedaleko Tredegarha - powiedziała Cord.

- Tuż przed tym, jak wysadzili mur w powietrze. Dołączyliśmy do antyroju i wylądowaliśmy w starej bazie rakietowej na pustyni. Podobało mi się tam. Żadnych mediów, dużo miejsca do spacerów. - Westchnął. - A teraz jesteśmy tutaj. Tu sobie nie pospaceruję.

- Dali wam coś do połknięcia przed wejściem na statek?

- Dużą pastylkę? - upewnił się Yul. - Taką?

Pokazał mi leżącego na dłoni megazabójcę. Natychmiast wyciągnąłem rękę i uściśnąłem mu dłoń. Yul trochę się zdziwił, a ja postarałem się, żeby megazabójca przeszedł do mojej ręki.

- Moją też chcesz? - spytała Cord. - Powiedzieli nam, że to nadajnik, dla bezpieczeństwa. Ale ja nie chciałam, żeby mnie namierzali, więc... no wiesz...

- Gdyby zależało wam na bezpieczeństwie, nie byłoby was tutaj - powiedziałem.

- No właśnie. - Podała mi Pigułę, nieco mniej dyskretnie niż przed chwilą Yul.

- Co to naprawdę jest? - zainteresował się Yul.

Próbowałem wymyślić jakieś kłamstwo, ale kiedy spojrzałem na niego, zrozumiałem, że nie uda mi się go oszukać. Poruszyłem bezgłośnie wargami: „Broń”.

Skinął głową i odwrócił wzrok. Cord zrobiła taką minę,

jakby zbierało się jej na wymioty. Schowałem Piguły w fałdach zawoju i zostawiłem ich samych. Emman Beldo wychodził właśnie z nadmuchiwanego pawilonu w towarzystwie człowieka, który stał - sądząc po mowie ciała - niżej od niego w hierarchii. Wyciągnąłem i odrzuciłem słuchopąk. Na mój widok Emman kazał swojemu asystentowi spadać. Spotkaliśmy się przy stawie.

- Chwileczkę - powiedział na wstępie.

Na szyi miał zawieszoną na smyczy jakieś małe elektroniczne urządzenie. Włączył je, a ono zaczęło mówić. Wypowiadało przypadkowe sylaby i kawałki orthyjskich słów, a brzmiało tak, jakby ktoś nagrał głos Emmana i jeszcze ze dwóch osób i przepuścił je przez mikser.

- Co to jest? - spytałem.

Moje słowa jeszcze nie zdążyły wybrzmieć, kiedy mój głos również dołączył do miksera. Sam udzieliłem sobie odpowiedzi:

- Zagłusza podsluch. Możemy swobodnie rozmawiać.

Emman nie dał mi w żaden sposób do zrozumienia, czy mam rację. Przyglądał mi się z zainteresowaniem.

- Zmieniłeś się - zauważył, starannie artykułując, żeby nie zagłuszył go emmanowo-erasmasowy bełkot pudełeczka.

Odchyliłem połą zawoju i pokazałem mu, co dostałem od Yula i Cord.

- W jakich okolicznościach zamierzasz je uruchomić?

- Kiedy dostanę taki rozkaz - odparł, zerkając w stronę pawilonu.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Z całą pewnością jest to ostateczność. Na wypadek, gdyby dyplomacja zawiodła, a my mielibyśmy zginąć lub trafić do niewoli.

- Zastanawiam się, czy gryziپیórki mają odpowiednie kwalifikacje do wydawania takich sądów.

- Wiem, że nie śledzicie polityki sekularnej, ale trochę się w niej poprawiło od czasu, gdy nasi sympatyczni gospodarze wyrzucili Niebiańskiego Strażnika przez służbę. Zwłaszcza po tym, jak antyrój zaczął się szarogęścić.

- Skąd miałbym o tym wiedzieć? Przez ostatnie dwa tygodnie pochłaniały mnie inne sprawy.

- Co ty nie powiesz! - prychnął Emman. - Dobra robota, nawiasem mówiąc.

- Dzięki. Kiedyś ci opowiem. A na razie... co masz na myśli, mówiąc, że antyrój się szarogęsi?

- Nie musieli nic mówić. To było oczywiste.

- Ale co?

Emman wziął głęboki wdech i westchnął ciężko.

- Posłuchaj. Trzy tysiące siedemset lat temu deklarantów zamknięto w matemach, bo wszyscy bali się ich umiejętności zmieniania świata za pomocą praksis. - Skinieniem głowy wskazał ukrytych pod moim zawojem megazabójców. - Chodziło pewnie o takie właśnie zabawki. Rozwój praksis zamarł, a przynajmniej wyhamował w takim stopniu, że tempo zmian można było zrozumieć, ogarnąć, kontrolować. I wszystko było w porządku, dopóki oni się nie pojawili. - Rozejrzał się znacząco. - Nagle się okazało, że przez cały ten czas po prostu przegrywaliśmy wyścig zbrojeń z kosmosami, które nie nakładały na swoich deklarantów takich ograniczeń. I wiesz, co się stało? Kto zadał cios, kiedy Arbre postanowiła kontratakować? Armia? Państwo sekularne? Nie. To byliście wy, faceci w zawojach. Antyrój zyskał ogromne wpływy, bo mało mówił, a dużo robił. Stąd pomysł dwóch magisteriów, czyli...

- Wiem, słyszałem.

Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu na przeciwległy brzeg eliptycznego stawu, gdzie urnudzy i troańscy dostojnicy wychodzili z pawilonów i zbliżali się do wody. Tylko bełkotka na szyi Emmana nie umiała milczeć.

- Czyli tak wygląda teraz nasza wspólna Historia? - zapytałem.

Emman posłał mi podejrzliwe spojrzenie.

- Można chyba tak powiedzieć...

- No dobrze. Ale powiedzmy, że całe to spotkanie okaże się niewypałem i jakiś gryziپیórek każe ci aktywować emzety.

Kiepsko by było, gdyby się okazało, że on i ty po prostu źle zrozumieliście naszą Historię, nie uważasz?

- O co ci chodzi? - spytał ostro.

- Trzy tysiące siedemset lat temu zamykają nas w koncentrach, to się zgadza. Nikt nam jednak nie zabrania bawić się nowomaterią, czego konsekwencją jest Pierwsza Łupież. Koniec nowomaterii, chociaż coś tam się przemyśliło: uchowały się przecież fabryki, w których nadal się ją produkuje, a pracują w nich byli deklaranci, powoływani w razie potrzeby. Czas mija. Nadal wolno nam manipulować sekwencjami. Robi się trochę straszno - i mamy Drugą Łupież. Koniec zabawy z sekwencjami, koniec z syntaktami w koncentrach, chociaż znowu coś niecoś udaje się przemyślić: są itowie, zegary, drzewa arkuszwowe, winorośl biblioteczna, pewnie także jakieś laboratoria w Saeculum, obsadzone przez powołanych deklarantów i przeszkolonych w koncencie praksyków, takich jak ty. Znowu robi się pięknie, no i tym razem wszystko jest pod kontrolą, prawda? Deklaranci, którym nic nie zostało, niewiele chyba mogą zrobić, nie uważasz? Nie mamy syntaktów, z narzędzi zostały nam tylko grabie i szpadle, w dodatku Inkwizycja czuwa. Państwo sekularne naprawdę ma nas w garści. Mija dwa i pół tysiąca lat i nagle się okazuje, że kiedy zamknąć odpowiednio bystrych ludzi w skalnych gniazdach, gdzie nie mają absolutnie nic do roboty i mogą tylko siedzieć i dumać, to oni wymyślą takie rodzaje praksis, do których nie potrzeba żadnych narzędzi. To jest dopiero przerażające, co? No to bach! Trzecia Łupież. Najgorsza ze wszystkich, najbardziej barbarzyńska. Mija siedemdziesiąt lat, świat matematyczny zostaje odtworzony z gruzów, ale pewne pytanie samo się ciśnie na usta...

- Co tym razem udało się przemyślić? - domyślił się Emman. - Jakie są wyjątki?

Tylko bełkot zagłuszcza mącił ciszę, która zapadła po tych słowach. Każdy z nas czekał, aż ten drugi odpowie. Miałem nadzieję, że Emman zna odpowiedź i że łaskawie zechce się nią ze mną podzielić. Kiedy jednak popatrzyłem na jego twarz,

zorientowałem się, że tak się nie stanie.

Musiałem sam sobie radzić. Miałem szczęście, bo Ignetha i Magnath Foralowie wybrali ten właśnie moment, żeby zejść na brzeg stawu; nie ulegało bowiem wątpliwości, że za chwilę coś się wydarzy. Spojrzałem na nich. Emman Beldo również.

- Tacy jak oni - powiedział.

- Tacy jak oni - przytaknąłem.

- Dynastia?

- Niezupełnie Dynastia, bo ta sięga wstecz do czasów Metekoranesa, ale jej współczesna sekularna inkarnacja: funda założona w okresie Trzeciej Łupieży, na mnóstwo sposobów połączona ze światem matemowym, właścicielka Ecby, Elkhazgu i pewnie jeszcze paru innych miejsc.

- Może z twojego punktu widzenia tak to właśnie wygląda, ale mogę cię zapewnić, że większość ludzi, których nazywacie gryziپیórkami, nigdy w życiu o niej nie słyszała. Dla nich ta funda nic nie znaczy; nie ma żadnych wpływów. Magnath Foral - dla tych, którym w ogóle to nazwisko obięło się o uszy - jest pomarszczonym ze starości arystokratą i kolekcjonerem sztuki.

- Ale przecież to musiało tak właśnie wyglądać. Założyli ją po Trzeciej Łupieży. Wtedy miała swoje pięć minut, była sławna i wpływowa, a potem wybuchła jakaś wojna, jedna, druga, ktoś zrobił rewolucję, zapanowały Mroczne Wiekі i funda poszła w zapomnienie. Stała się tym, czym jest dzisiaj.

- To znaczy czym?

- Jeszcze tego nie rozgryzłem. Ale zmierzam do tego, że...

- Że sekularów ta sytuacja po prostu przerasta? Możesz tak sobie myśleć; nie przeszkadza mi to.

- Konsekwencje też ci nie przeszkadzają?

Wzrok Emmana prześliznął się po łałdach zawoju, w których schowałem megazabójców.

- Sugerujesz, że kiedy dostanę rozkaz, być może powinienem go zignorować, ponieważ został wydany przez sekulara, który o niczym nie ma pojęcia, bo obserwuje sytuację z niewłaściwej Historii?

- Właśnie!

W zamyśleniu potarł piszczyk kciukiem. Odkąd widzieliśmy się w Tredegarhu, sprawił sobie nowy, o dość niecodziennym wyglądzie. Obracając się w towarzystwie Cord, przyswoiłem sobie trochę terminologii: obudowa piszczyka została wyfrezowana z litego kęsa metalu, a nie odlana z polioplastu czy wytłoczona z blachy. To nie była masowa produkcja. Musiał sporo kosztować.

- Ładny, prawda? - spytał Emman, widząc, jak mu się przyglądam,

- Już taki widziałem.

- Gdzie? - zapytał ostrym tonem.

- U Jaada.

- Skąd wiedziałeś, że go ma? Dostał go tuż przed startem i spłonął żywcem, zanim zdążyliście z nim porozmawiać.

Patrzyłem na niego, nic nie mówiąc. Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

- Czy to jedna z tych spraw, które mnie przerastają? - zapytał.

- W pewnym sensie. Powiedz mi, ile jeszcze jest takich piszczyków?

- Tutaj? Co najmniej jeden.

Emman spojrział w stronę nadmuchiwanego pawilonu, skąd przez otwartą śluzę wychodzili elegancko ubrani mężczyźni i kobiety. Co chwila dotykali swoich głów: nie przyzwyczaili się jeszcze do rurek z tlenem.

- Trzeci z kolei... - powiedział Emman. - Ten łysy... ma taki sam.

Moja prawa ręka przerwała rozmowę i zaczęła się od nas oddalać, pochwycona przez Alę. Reszta mnie zorientowała się w sytuacji w samą porę, żeby zapobiec wywichnięciu barku.

- Dlaczego nie nosisz słuchopąka? - zbesztala mnie. - Wiedziałbyś przynajmniej, że zaczyna się ryt!

Wcisnęła mi słuchopąk w dłoń, a ja wkręciłem go sobie do ucha. Orkiestra po drugiej stronie stawu zaczęła grać. Podniosłem

wzrok i zobaczyłem pięć podłużnych skrzyń (trumien), które mieszany kontyngent urnudzkich, troańskich, laterryjskich i fthozyjskich żołnierzy niósł w stronę stawu.

Ala zaprowadziła mnie na tyły naszego pawilonu, gdzie czekali już Arsibalt, Jesry i Lio, stojący wokół jeszcze jednej trumny.

- No, chociaż raz nie jestem ostatni! - ucieszył się Lio.

- Byłeś naszym przywódcą - odparłem. - To cię zmieniło.

Stałem przy pustym narożniku i razem dźwignęliśmy trumnę. Domyślałem się, że zawiera szczątki Lise.

Widok trumien sprawił mnie w zupełnie inny nastrój od tego, który towarzyszył mi do tej pory. Wynieśliśmy Lise zza pawilonu, ustawiliśmy się na środku drogi prowadzącej do wody i postawiliśmy trumnę na ziemi, czekając na zakończenie procesji po drugiej stronie stawu. Muzyka brzmiała dla nas dziwnie, co było do przewidzenia - ale w gruncie rzeczy niewiele dziwniej niż niektóre rzeczy, które można usłyszeć na Arbre. Wyglądało na to, że w muzyce Przepływ Hylaejski manifestuje się szczególnie wyraźnie: kompozytorzy w różnych kosmosach słyszeli w głowie te same dźwięki. Orkiestra grała marsza pogrzebowego. Trudno było stwierdzić, czy jego powolny rytm i ponura melodia odzwierciedlały po prostu urnudzką kulturę, czy raczej miały przypominać, że czworo zabitych zgładziło wielu Geometrów i powinniśmy o tym pamiętać, nim zaczniemy czcić ich pamięć.

Prawie im się udało: zacząłem odczuwać wyrzuty sumienia, że pomogłem Dzwonecznikom dostać się na *Daban Urnuda*. Kiedy jednak przypadkiem spuściłem wzrok i przypominałem sobie o trumnie Lise, zacząłem się zastanawiać, kto strzelił jej w plecy? Kto wydał rozkaz sztabowania Ecby? Kto odpowiadał za śmierć Orola? Czy stał w tej chwili nad stawem? Nie takie myśli powinny mi krążyć po głowie podczas konferencji pokojowej - ale też żadna konferencja nie byłaby potrzebna, gdybyśmy się nawzajem nie pozabijali.

Żołnierze nieśli trumny Ossy, Esmy, Vay i Gratha bardzo wolno, po każdym kroku nieruchomieli na kilka taktów. Mój

umysł błąkał się bez celu, jak zwykle podczas przeciągających się rytów. Złapałem się na wspomnianiu mojego pierwszego spotkania z Dzwonecznikami w Mahshcie, kiedy zapędzony w kozi róg, nie wiedziałem jeszcze, kim naprawdę są. Tamte sceny przesuwały mi się przed oczami jak na szpilu: Ossa stojący na jednej nodze na osłaniającej mnie sferze i kopniakami opędzający się od napastników; Esmā w akrobatyczny sposób pokonująca dystans dzielący ją od strzelca; Gratho osłaniający mnie własnym ciałem; i Vay zszywająca mnie, kiedy było po wszystkim - tak skutecznie i tak beznamiętnie, że łzy pociekły mi z oczu, a katar z nosa.

Tak jak teraz. Płakałem. Myślałem o tym, jak zginęli - zwłaszcza Vay, która w pojedynkę stawiała czoło kilkunastu ludziom z przecinakami. Sama w ciemnościach, tysiące mil od Arbre, ze świadomością, że nigdy już nie odetchnie jej powietrzem i nie usłyszy tysiąca ruczajów Doliny Dzwoneczków.

- Ras?

To był głos Ali. Złapała mnie (tym razem delikatniej) za łokieć. Wytarłem twarz rąbkiem zawoju i zanim wzrok znów mi się zamglił, spojrzałem na drugą stronę wody. Żołnierze straży honorowej postawili trumny Dzwoneczników na ziemi i stanęli obok nich wyczekująco.

- Już czas - dodała Ala.

Lio, Jesry i Arsibalt patrzyli na mnie pytająco. Oni też płakali. Ugięliśmy kolana, chwyciliśmy trumnę, podnieśliśmy ją.

- Zaśpiewajcie coś - zasugerowała Ala.

Spojrzelśmy na nią bezradnie i musiała podsunąć nam tytuł pieśni, którą w Edharze śpiewaliśmy z okazji requiem. Arsibalt zaczął, czystym tenorem podał nam ton, a my dołączyliśmy ze swoimi partiami. Musieliśmy trochę improwizować, ale mało kto się zorientował, a zupełnie nikt się nie przejął. Kiedy zobaczyliśmy pawilon Laterryjczyków, głos Julesa Verne Duranda w słuchopąku umilkł. Przez okna stanowisk tłumaczy widziałem, jak jego rodacy podchodzą spieszenie do niego i kładą mu ręce na ramionach. Nasza pieśń zabrzmiała

głośniej.

- To tyle, jeśli chodzi o tłumaczenie na orthyjski - mruknął Jesry, kiedy nad wodą postawiliśmy trumnę na ziemi. Powiedział to jednak tak zwyczajnym, nawet żalonym tonem, że wcale nie miałem ochoty zrobić mu krzywdy.

- Nie szkodzi - powiedział Lio. - To jest właśnie dobre w rytach: słowa nie są najważniejsze.

Oparł dłoń na wieku trumny.

Żołnierze wstawili trumny Dzwoneczników do płytkiej barki. Mogli je nam po prostu przynieść, ale mieliśmy wrażenie, że przekraczanie przeszkody wodnej ma w tym wypadku jakieś znaczenie symboliczne.

- Wiem - powiedział w pewnym momencie Arsibalt. - Woda reprezentuje kosmos. Dzielącą nas otchłań.

Cztery kobiety w powłóczystych szatach, stanowiące załogę barki, zaczęły wiosłować w naszym kierunku. Orkiestra grała dalej, ale melodia stała się teraz znacznie miłsza dla ucha: rozbrzmiały delikatniejsze instrumenty, a stojąca nad wodą Laterryjka zaśpiewała partię solową głosem, od którego wibrowała cała kula. Pomyślałem, że to piękny kawałek pożegnalny. Barka znajdowała się w połowie drogi, kiedy znów odezwał się Jesry:

- Nie spieszy im się, co?

- Też o tym myślałem - przyznał Lio. - Rekordu nie pobiją. Gdyby to nam dali taką barkę... ale byśmy im pokazali!

Nie było to wcale takie zabawne, ale nasze ciała miały na ten temat inne zdanie i przez następne kilka minut musieliśmy się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem i nie doprowadzić do incydentu dyplomatycznego. W końcu barka przybiła do brzegu, znieśliśmy trumny na ląd i przenieśliśmy trumnę Lise na pokład. Przy akompaniamencie muzyki wioślarki poprowadziły barkę długim łukiem na laterryjski brzeg, gdzie trumną zaopiekowało się sześcioro cywilnych żałobników (domyślałem się, że są znajomymi Julesa i Lise); Jules, podtrzymywany przez dwoje przyjaciół, stał obok i patrzył. Po kolei przenieśliśmy Dzwoneczników na tyły naszego dmuchanego bąbla. Lise

tymczasem trafiła do pawilonu laterryjskiego, gdzie Jules mógł z nią przez chwilę pobyc sam. Tratwa wróciła do urnudzkiego sektora. Stojący na przeciwnych brzegach stawu fraa Lodoghir i gan Odru wygłosili zwięzłe przemowy, wspominając poległych w krótkiej wojnie, której nasze obecne spotkanie miało położyć kres: tych zabitych w sztabowaniu Arbre i tych, którzy na orbicie zginęli z rąk Dzwoneczników.

Uczciliśmy ich pamięć chwilą ciszy i rozeszliśmy się na krótką przerwę. Stewardzi podali przekąski i napoje; najwidoczniej potrzeba zaspokojenia głodu po pogrzebie była równie uniwersalna jak Twierdzenie Adrakhonesa. Wioślarki ustawiły na tratwie stół, nakryły go niebieskim płótnem i wyłożyły na blat stopy dokumentów.

- Ras?

Próbowałem akurat przepchnąć się do bufetu, ale odwróciłem się na dźwięk swojego imienia i zobaczyłem stojącego nieopodal Emmana, który w tej samej chwili coś mi rzucił. Instynktownie złapałem prezent: przenośny zagłuszacz.

- Ukradłem go pewnemu proceńczykowi - wyjaśnił.

- Nie będzie mu potrzebny? - zapytałem z ewidentnie (jak sądziłem) nieszczerą troską.

- Ma drugi.

Zagłuszacz wzbudził powszechne zainteresowanie moich przyjaciół, którzy od razu zaczęli się nim bawić i podśmiewywać z wydawanych przezeń dźwięków. Yul poklął trochę na niego, czym zmusił go do wypowiedzania losowych zbitek wulgaryzmów.

Minęło jeszcze parę minut, zanim w słuchopąkach usłyszeliśmy Julesa (głos miał całkiem spokojny, lekko zachrypnięty) zapraszającego nas na drugą część rytu. Zebraliśmy się nad wodą i wysłuchaliśmy przemówień czworga przywódców, którzy mieli wkrótce podpisywać porozumienia: gana Odru; praagi Eshwar, krępej kobiety w mundurze, z wyglądu bardziej babciowatej, niż się spodziewałem, arbryjskiego ministra spraw zagranicznych i jednego z tysięczników towarzyszących fraa Lodoghirowi. Po skończonej mowie każdy kolejno wchodził na

pokład barki. Kiedy nasz tysięcznik dołączył do pozostałej trójki, wioślarki wyprowadziły barkę na środek stawu. Cała czwórka sięgnęła po pióra i zaczęła składać podpisy. Z początku przyglądaliśmy się im w milczeniu, ale podpisywanie przeciągało się i wkrótce ludzie zaczęli szeptać, potem rozmawiać, wreszcie kręcić się niespokojnie i rozchodzić.

Może się to wydać dziwne, ale poszedłem na tyły pawilonu i policzyłem trumny. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

- Liczysz?

To fraa Lodoghir przyszedł za mną. Włączyłem zagłuszacz, który głosem Yula bluznął najgorszymi obelgami, i odparłem:

- Tylko w ten sposób mogę sprawdzić, kto w dalszym ciągu nie żyje.

- Możesz być spokojny. To koniec. Liczba już się nie zmieni.

- Umiecie przywracać ludzi do życia, tak samo jak sprawiacie, żeby zniknęli bez śladu?

- Wtedy tego by nie było. - Lodoghir wskazał skinieniem głowy barkę, na której podpisywano traktat pokojowy.

- Rozumiem.

- Chciałbyś odzyskać fraa Orola? - spytał półgłosem.

- Tak.

Lodoghir nic nie powiedział, a ja myślałem dalej na głos:

- Gdyby Orola przeżył, Lise zostałaby pogrzebana na Ecbie. Nie dowiedzielibyśmy się tego, co udało się nam wynioskować z jej szczątków. Wszystko by się zmieniło. Pokój jest możliwy tylko po śmierci Lise i Orola. Nic tego nie zmieni.

- Przykro mi. Są pewne trajektorie światów, pewne stany rzeczy, które wymagają... nieobecności pewnych ludzi.

- Fraa Jaad też tak mówił. Zanim sam stał się nieobecny.

Lodoghir chyba spodziewał się po mnie jakiegoś szczeniackiego wybuchu.

- No właśnie, co z fraa Jaadem? - zapytałem. - Jest jakaś szansa na to, żeby znów stał się obecny?

- Jego tragiczna śmierć została szeroko udokumentowana, ja jednak nie odważyłbym się stanowczo twierdzić, co może tysięcznik, a czego nie.

Spojrzał ponad kłębiącym się tłumem i wypatrzył, jak się domyślałem, Magnatha Forala. Chociaż przez chwilę nie towarzyszyła mu pani sekretarz, chwilowo zajęta wypełnianiem oficjalnych obowiązków. Podeszedłem do niego.

- Wezwaliście ich? - zapytałem. - My wszyscy... wezwaliśmy do nas Urnudczyków? Czy po prostu któryś z nich tysiąc lat temu wyśnił dowód geometryczny i zrobił z niego religię? Uznał, że został powołany do innego, doskonalszego świata?

Magnath Foral wysłuchał mnie, po czym spojrzał na staw i barcę, na której podpisywano traktat pokojowy.

- Spójrz. Na tej barce zasiadło obok siebie dwóch odpowiadających sobie rangą Arbryjczyków: deklarant i sekular. Czegoś takiego nie widziano, odkąd zakończył się Złoty Wiek Ethras. Mury Tredegarha runęły. Deklaranci uciekli z więzień. Itowie dołączyli do nich i teraz razem pracują. Gdyby - zgodnie z tym, co sugerujesz - wszystkie te wydarzenia były następstwem wezwania Urnudczyków, czyż nie byłoby to piękne dzieło Dynastii? Bardzo chciałbym móc przypisać sobie tę zasługę; moi poprzednicy długo wyczekiwali takiej chwili. Jakież zaszczyty spływałyby na Dynastię, gdyby to była prawda! Nie, fraa Erasmasie. Sprawy nie przebiegały tak prosto. Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie i nie zna jej nikt w naszym kosmosie. Chcąc ją poznać, musielibyśmy wsiąść na statek taki jak ten i udać się do innego wszechświata.

Część 13

REKONSTRUKCJA

Iluminacja: Nagłe, zwykle niespodziewane olśnienie.-
SŁOWNIK, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Zapotrzebowanie na paliki było ogromne. Nasi ochotnicy wyrabiali je ze wszystkiego, co im wpadło w ręce: prętów zbrojeniowych wydartych z rozsmarowanych po okolicy ruin, powykręcanych kątowników odpiłowanych z przewróconych bram, szczap z rozerwanych eksplozjami drzew. Powiązane w pęczki piętrzyły się przed moim namiotem, grożąc, że pewnego dnia na dobre odetną mi drogę wyjścia.

- Muszę je dostarczyć ekipie pomiarowej na krawędzi - powiedziałem. - Przejdiesz się ze mną?

Mistrz Quin przesiedział sześć dni w jednym aporcie z Barbem, więc moja propozycja mu się spodobała. Odchyliliśmy zapleśniałą płócienną połę namiotu i wyszliśmy na zewnątrz, w białe światło pochmurnego poranka. Wzięliśmy tyle palików, ile daliśmy radę unieść, i zaczęliśmy mozolny marsz do góry. Pierwsze wydeptane przez nas ścieżki na krawędź zerodowały do postaci małych żlebów; nowi mieli się zająć uformowaniem zbocza w tarasy i poprowadzeniem ścieżki jak należy, zakosami. To będzie ciężka praca, która pozwoli odsiać zwykłych urlopowiczów od ludzi, którzy naprawdę chcą zostać i żyć w Orolu.

- Najpierw będzie prowizorka: drewno i ziemia - powiedziałem, kiedy mijaliśmy grupę deklarantów i sekularów zajętych wbijaniem palików w ziemię. - Zanim umrę, powinna się wyklarować jakaś zgrubna wizja całości i późniejsze pokolenia będą mogły wszystko przebudować w kamieniu.

Quin zrobił przerażoną minę, ale odprężył się, kiedy zrozumiał, że mam na myśli śmierć ze starości.

- Skąd wezmą kamień? - spytał. - Ja tu widzę tylko błoto.

Odwróciłem się i spojrzałem w głąb krateru. Gdy tylko się schłodził, wypełniła go woda, więc z wysokości, na jaką zdążyliśmy się już wspiąć, z łatwością mogliśmy podziwiać jego kształt. Był elipsą wydłużoną z północnego zachodu na południowy wschód (z takiego kierunku spadła sztaba). Znajdowaliśmy się na jej południowo-wschodnim skraju. Główną ciekawostką była usypana z gruzu wyspa, stercząca z

wulkanicznego jeziora kilkaset jardów od brzegu, ja jednak zwróciłem uwagę Quina na ledwie widoczne wyszczerbienie linii brzegowej, wiele mil od nas.

- W tamtym miejscu rzeka, która napęliła krater, uchodzi do jeziora. Stąd ledwie ją widać. Kiedy jednak przejdzie się dwie mile w górę tej rzeki, dochodzi się do miejsca, gdzie impet uderzenia spowodował osunięcie się zbocza i odsłonił wapienną skałę. Jest jej dość, żeby nasi potomni mogli z niej wybudować wszystko, co tylko im się zamarzy.

Quin pokiwał głową i ruszyliśmy dalej. Jeszcze przez chwilę milczał, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

- A będziecie mieli potomnych?

Parsknąłem śmiechem.

- Już mamy! Pierwsze kobiety zaszły w ciążę jeszcze w antyroju. Zaczęliśmy jeść normalne jedzenie, mężczyźni odzyskali płodność, pierwsze deklaranckie dziecko urodziło się w zeszłym tygodniu. Dowiedziałem się z Retikulum. A właśnie, zdarzają się tu kłopoty z dostępem. Z początku Sammann, nasz jedyny eks-ita, sam musiał ze wszystkim sobie radzić, ale teraz codziennie przybywają nowi. Łącznie jest już kilkudziesięciu...

To go nie interesowało, bo wszedł mi w słowo:

- To znaczy, że Barb pewnego dnia mógłby zostać ojcem.

- Tak, mógłby - przytaknąłem. Implikacje tego faktu dotarły do mnie z opóźnieniem, ale, jak to mówią, lepiej późno niż wcale. - A ty dziadkiem.

Quin przyspieszył, jakby chciał, żeby Saunt Orolo był gotowy już teraz, zaraz, natychmiast. Sapiąc ciężko, dodałem:

- Oczywiście znów pojawia się stary problem z rozpadem gatunku na dwie odrębne rasy, ale znamy się na rzeczy wystarczająco, żeby temu zapobiec. Między innymi dlatego staramy się, żeby takie miejsca jak to wydały się atrakcyjne także tym, których nazywaliśmy statystami.

- A jak teraz będziecie ich nazywać? To znaczy, nas...

- Nie mam pojęcia. Najważniejsze, że w ramach Drugiej Rekonstrukcji zostały utworzone dwa równoprawne magisteria.

Nazwy wymyśli się później.

Dotarliśmy do miejsca, w którym dawniej brzytwiasta krawędź krateru wygładziła się i zaokrągliła pod wpływem wiatru i deszczu. Upstrzyły ją już pierwsze oportunistyczne chwasty i porzecinały kolorowe sznurki porozpinane między palikami.

- To my wytyczymy nowe granice - powiedziałem. - Oto jedna z nich.

Szarpnąłem czerwony sznurek.

Quina замуrowało.

- Jak możecie?! Tak po prostu przyjsć i ogrodzić teren...

Prawnicy pewnie rwą włosy z głowy.

- Służy nam mała armia proceńczyków. Prawnicy nie mają szans.

- Wszystko po tej stronie sznurka należy do was?

- Tak. Mur poprowadzimy równoległe do niego, od wewnątrz, tuż poniżej krawędzi.

- Aha, więc mury nadal będą?

- Tak, ale z otwartymi portalami zamiast zamykanych bram.

- No to po co w ogóle mur?

- To symbol. Mówi „Uważaj, przechodzisz do innego magisterium. Są rzeczy, których nie możesz zabrać ze sobą”.

Nie byłem z nim do końca szczery. Pół mili dalej widziałem kilku ludzi w zawojach, którzy spoglądali w lunety instrumentów i wbijali paliki: to Lio z gromadką eks-Dzwoneczników, z którymi teraz najchętniej się prowadzał. Wiedziałem, o czym dyskutują: kiedy wybuchnie wojna między magisteriami i zatkamy dziurę w murze bramą, dobrze byłoby móc ją wziąć w krzyżowy ogień z sąsiadujących z nią bastionów...

Zagwizdałem na palcach. Tamci spojrzeli w naszą stronę, a ja wskazałem pęczki palików, które z Quinem rzuciliśmy na ziemię. Dwóch Dzwoneczników puściło się biegiem w ich stronę, a my zawróciliśmy i zaczęliśmy schodzić. Powstrzymał nas gwizd. Tylko Lio tak gwizdał. Spojrzałem w jego kierunku, a on wskazał mi coś na zewnętrznym zboczu wulkanu. Niewiele było tam do

oglądania: długi skotłowany stok górski, wzburzona ziemia, nadpalone drewno, strzępy izolacji termicznej, pył i popiół. Nieco dalej znajdował się kawałek płaskiej przestrzeni, na którym pielgrzymi - tacy jak Quin - parkowali swoje pojazdy. W końcu jednak dostrzegłem to, na co Lio chciał zwrócić moją uwagę: pnący się w górę zbocza jezior żółtego gwiazdokwiatu.

- Co to? - zainteresował się Quin.

- Inwazja barbarzyńców - odparłem. - To długa historia.

Pomachałem Lio i ruszyliśmy z powrotem. Mieliśmy dość czasu, żeby nadłożyć drogi i odwiedzić pewien taras, który razem z moimi edharskimi fraa i suur zbudowaliśmy niedługo po przybyciu w to miejsce. W przeciwieństwie do innych tarasów, pomału zarastających pierwszym zielskiem, żeby z czasem przeobrazić się w kłęby, tutaj postawiliśmy treliaże z kawałków złomu, na których w przyszłości miała się wspierać winorośl biblioteczna. Kilka miesięcy temu odwiedził nas fraa Haligastreme z Edhara i przywiózł zaszczepkę ze starej winnicy Orola. Posadziliśmy ją w ziemi pod treliażami i odwiedzaliśmy regularnie, żeby sprawdzić, czy nie próbuje przypadkiem ze złości popełnić samobójstwa. Ona jednak wołała po prostu wypuścić nowe pędy. Znajdowaliśmy się niedaleko równika i na dużej wysokości, pogoda więc była słoneczna, ale powietrze chłodne. Kto by pomyślał, że rakiety i winorośl lubią podobne otoczenie?

Dochodziliśmy do skraju jeziora, kiedy Quin, który od dłuższej chwili milczał, odkaszlnął i odezwał się:

- Powiedziałeś, że wchodząc do tego nowego magisterium, należy odrzucić niektóre rzeczy. Czy jedną z nich jest religia?

Fakt, że jego słowa ani trochę mnie nie zaniepokoiły, był jednym z wielu świadectw przemian, jakie się dokonały.

- Cieszę się, że o to zapytałeś. Widziałem, że jest z tobą mistrz Flec.

- Przechodzi teraz trudny okres. Żona się z nim rozwiódła, interes idzie słabo, cała ta sprawa z Niebiańskim Strażnikiem okrutnie go pognębiła... Koniecznie chciał wyjechać z miasta. Tylko że potem Barb przez całą drogę...

- Plantował go?

- No tak. Ale zmierzałem do tego, że jeśli jego obecność miałaby przeszkadzać...

- Kierujemy się taką zasadą, że deolatry są mile widziani, dopóki nie są przekonani, że na pewno mają rację. Jeżeli ktoś się uprze, że on jeden się nie myli i koniec, nic tu po nim.

- Flec nie jest teraz niczego pewien - zapewnił mnie Quin. Przez następną minutę nic nie mówił, a potem zapytał: - Ale jak można założyć Arkę, jeśli się nie ma pewności? Przecież to będzie zwykły klub towarzyski.

Zwolniłem i pokazałem Quinowi skalny ostaniec sterczący ze ściany krateru. Na szczycie, przed rozbitym tam namiotem, paliło się ognisko, z którego wznosiła się smuga dymu. Mój fraa przypalał sobie śniadanie.

- Flec powinien się przejść do Fundy Arsibalta - poradziłem. - To będzie ośrodek tego typu prac.

Quin uśmiechnął się ironicznie.

- Nie sądzę, żeby Flec miał ochotę nad tym pracować.

- Wolałby, żeby ktoś po prostu mu powiedział, co ma robić?

- Tak. Do tego jest przyzwyczajony. Wtedy czuje się bezpiecznie.

- Zaprzyjaźniłem się z paroma Laterryjczykami - powiedziałem. - Jeden z nich opowiadał mi niedawno o filozofie nazwiskiem Emerson, który dokonał pewnych użytecznych porównań między poetą i mistykiem. Wydaje mi się, że jego przemyślenia stosują się tak samo dobrze do naszego kosmosu, jak do tamtego.

- Brzmi ciekawie. Na czym polega różnica?

- Mistrz przygwaźdża symbol jednym znaczeniem, które przez krótki czas jest prawdziwe, lecz wkrótce staje się fałszywe. Poeta widzi samą prawdę, ale rozumie, że symbole są płynne, a ich sens ulotny.

- Na pewno ktoś od nas też już kiedyś coś takiego powiedział.

- Rzeczywiście. Nastaly dobre czasy dla lorytów. Mamy ich tu spory kontyngent. Marzy im się wiekopomne dokonanie: chcą wchłonąć wiedzę z czterech pozostałych kosmosów. - Spojrzałem w stronę namiotowej klauzury, w której obozowały Karvall, Moyra, ich fraa i suur, ale nikt z nich na razie się nie pokazał. Pewnie nie zdążyli jeszcze pozawiazywać sobie zawojów. - Chodziło mi o to, że tacy ludzie jak Flec mają pewien czuły punkt, słabość graniczącą z uzależnieniem: posługują się rozumem na sposób mistyków, a nie poetów. Optymista, który we mnie mieszka, twierdzi, że człowiek może wyjść z takiego uzależnienia, nauczyć się poetyckiego sposobu myślenia i pogodzić się z płynnością symboli i ich znaczeń.

- A co na to pesymista?

- Pesymista twierdzi, że myślenie poetyckie jest cechą mózgu, konkretnym talentem, jaki albo się ma, albo nie. I że ci, którzy są nim obdarzeni, są skazani na wieczną wojnę z tymi, którym go brakuje.

- Coś mi się widzi, że będziesz często przesiadywał na tej skale z Arsibaltem.

- Ktoś musi biedaka odwiedzać.

- Co macie do zaproponowania takim ludziom jak ja i Flec? Poza wbijaniem kołków w błoto.

- Będziemy budować normalne budynki - przyznałem. - Głównie na wyspie. Nowe magisterium potrzebuje ośrodka władzy. Stolicy. Przybyłeś w samą porę, żeby być świadkiem położenia kamienia węgielnego.

- Kiedy to ma się odbyć?

Przystanąłem i sprawdziłem położenie jasnej plamy na niebie: słońce prawie, prawie się przez nią przepaliło.

- W samo południe.

- Macie zegar?

- Pracujemy nad tym.

- Dlaczego akurat dzisiaj? To jakiś szczególny dzień w waszym kalendarzu?

- Od jutra tak: dzień zerowy roku zerowego.

Szczęśliwym zrządzeniem losu połowa grobli na wyspę była gotowa już wcześniej: obalona wieża startowa, która runęła na ziemię jak zwalone wicherą drzewo. Była popękana, powykręcana i nadtopiona, ale z powodzeniem znosiła ciężar ludzi i taczek. W połowie drogi z lądu na wyspę schodziła skośnie pod wodę. Od tego miejsca przedłużyliśmy ją piankowymi pontonami, cumując je (grubymi linami z odzysku) do jej podwodnej części, a ostatnie kilkaset jardów należało pokonać łodzią - chociaż Yul lubił tam pływać wplaw.

- Chcielibyśmy zbudować prostą kolejkę linową - tłumaczyłem Quinowi, kiedy wiosłowaliśmy na ostatnim odcinku.
- Jednak osadzenie wieży w luźnym gruncie wyspy to poważny problem praktyczny. Wydaje mi się, że byłoby to dobre pole współpracy dla ojca i syna.

Płynęliśmy we trzech, z Barbem. Barb nie zabrał się z nami dla towarzystwa: po prostu wiatr się zmienił i niósł z wyspy zapach jedzenia. Usadowił się na dziobie i z daleka wypatrzył ogniska i inne atrakcje, które zamierzał zaliczyć w pierwszej kolejności.

- Macie piec! - wykrzyknął, wskazując dymiącą kopułę z cegieł, przełamującą linię horyzontu.

- To nasza pierwsza trwała budowla: zaczął ją Arsibalt, dokończyła Tris. Wokół pieca powstanie kuchnia i refektarz.

- A messalany? - zapytał Barb.

- Może się jakiś znajdzie. Specjalnie dla tych, którzy nie mogą się obejść bez posługaczy.

- Czyli budujecie Koncent Saunta Orola? - spytał Quin. Zawahałem się. Schowałem wiosła, żeby nie uderzyć Yula, który, brodząc w wodzie, wyszedł nam na spotkanie i zaczął holować łódkę do brzegu.

- Na pewno będzie to coś Saunta Orola - odparłem. - Samo

słowo „koncent” nie bardzo nam odpowiada. Szukamy czegoś nowego. Barb! - zawołałem.

Barb zamierzał wyskoczyć z łodzi i w bród udać się na poszukiwanie jedzenia. Nie usłyszał mnie, ale Yul, który zdążył przez ten czas zacisnąć wielką jak bochen łapę na burcie, stuknął go w ramię i pokazał na mnie. Barb się odwrócił.

- Nie utopię się - zapewnił mnie takim tonem, jakby uspokajał przestraszone dziecko. - Moje ubranie nie chłonie wody.

- Na razie nie będziesz jadł. Jedzenie jest na później.

- Ile później?

- Musisz wysiedzieć na dwóch rytach. Pierwszy odbędzie się w południe, drugi zaraz po nim. Potem do wieczora będziemy już tylko jeść.

- Która godzina?

- Zapytajmy Jesry'ego.

Zegar Jesry'ego nabierał kształtów w najwyższym punkcie wyspy. Był to kolejny projekt, którego ukończenia nie należało się spodziewać za naszego życia - ale przynajmniej zegar już chodził! Pomysły Jesry'ego na budowę „prawdziwego” zegara były tak skomplikowane, że połowy z nich w ogóle nie rozumiałem, ale uparliśmy się, żeby na dziś przygotował coś prostszego, ale działającego. Mozolili się z Cord przez dwa miesiące, budując i niszcząc kolejne prototypy. Dopiero po tym, jak Cord zdobyła więcej narzędzi, prace nabrały tempa.

Kiedy we trzech wdrapaliśmy się na szczyt, nie zastaliśmy Cord. Musiała wziąć udział w innych przygotowaniach i Jesry został sam ze swoimi maszynami niczym na wpół szalony święty pustelnik; przez ciemne okulary wpatrywał się w plamkę światła pełznącą po płycie syntetycznego kamienia. Światło pochodziło z parabolicznego zwierciadła, które wszyscy pomagaliśmy szlifować.

- Mamy szczęście, że słońce się pokazało - powiedział zamiast powitania.

- O tej porze to normalne - zauważyłem.

- Gotowy?

- Tak. Arsibalt zaraz tu będzie, a Tulia i Karvall już się naradzają, więc...

- Mówię o tej drugiej sprawie. Też jesteś gotowy?

- A, o to ci chodzi...

- Tak, o to.

- Pewnie. Bardziej niż kiedykolwiek.

- Kłamczuch z ciebie, mój fraa.

- Ile mamy czasu? - zapytałem, dochodząc do wniosku, że należałoby zmienić temat.

Znowu opuścił okulary na oczy, oceniając odległość między poruszającą się plamką światła i przecinającym jej drogę drutem.

- Kwadrans - oznajmił. - Do zobaczenia na miejscu.

- Na razie, Jesry.

- Ras? Są tam jacyś deolatrzy?

- Pewnie tak. A co?

- Poproś ich, niech się modlą, żeby to ustrojstwo się nie rozpadło przez najbliższe piętnaście minut.

- Zrobi się.

Na miejsce rytu zeszliśmy wzdłuż linki pociągniętej od zegara w dół. Wyspa była bardzo uboga w płaskie powierzchnie, ale kawałek terenu wystarczający do odprawienia ceremonii wyrównaliśmy za pomocą ręcznych narzędzi i solidnie udeptaliśmy. Z zezłomowanych kawałków stali Yul zespawał trójnóg i zawiesiliśmy na nim kamień węgielny - był nim odłamek zrzuconej przez Geometrów sztaby, ociosany przez deklaranckich kamieniarzy (mieliśmy ich już kilkunastu) do kształtu sześcianu. Na jednej ścianie wykuli napis... SAWANTA OROLA, zostawiając z przodu miejsce na odpowiednie słowo, które mieliśmy wymyślić i wstawić później. Na drugiej wryli ROK 0 DRUGIEJ REKONSTRUKCJI. Na trzeciej, w gotowej budowlu mającej pozostać niewidoczną, wydrapaliśmy swoje imiona. Zaproponowałem Quinowi i Barbowi, żeby dopisali swoje.

Barba tak wciągnęło drapanie, że nie słyszał chyba ani jednego słowa rytu i ani jednej nuty muzyki, którą przygotowali

dla nas Arsibalt, Tulia i Karvall. Ja miałem co innego na głowie, a przede wszystkim zdumiewałem się gośćmi, jacy przybyli na uroczystość. Ganelial Crade. Ferman Beller z dwoma bazyjskimi mnichami. Troje rodzeństwa Jesry'ego. Estemard z żoną. Kontyngent Oritheńczyków. Fraa Paphlagon. Emman Beldo. Geometry ze wszystkich czterech ras, z nieodłącznymi rurkami pod nosem.

Do południa zostało już niewiele czasu, kiedy zaczęliśmy śpiewać peanatemę hylaejską, którą Arsibalt wybrał ze względu na jej, jak to określił, „elastyczność temporalną”: chodziło mu o to, że gdyby zegar nawalił, ona pozwoli nam to zamaskować. W pewnym momencie - nie wiem nawet jak blisko południa - zobaczyłem, jak Jesry wypada ze swojej szopy zegarowej, odrzuca okulary i zaczyna biec w naszym kierunku. Po jego ruchach poznałem, że ma dla nas dobre nowiny. Linka wyraźnie się napinała. Zerknąłem na stojącego przy trójnogu Yula i przejechałem sobie kciukiem po gardle. Yul zmiażdżył Barba w niedźwiedzim uścisku, odciągnął go na bok i uratował mu życie. Chwilę później mechanizm zadziałał i kamień węgielny wylądował na przeznaczonym dla niego miejscu, z łomotem, który wszyscy odczuliśmy w kostkach. Rozległy się oklaski i wiwaty, ja jednak nie mogłem naprawdę się nimi cieszyć, ponieważ Arsibalt (który stał przy pulpicie i prowadził peanatemę) zaczął mi dawać znaki, żebym pędził do stojącego nieopodal namiotu.

- Już idę - poruszyłem bezgłośnie ustami i zrobiłem, co mi kazał.

Yul wpadł do namiotu tuż za mną. Pomógł mi się przebrać w ozdobny zawój w tredegharskim stylu, ja zaś pomogłem mu włożyć oficjalne ubranie, w jakim mógłby się pokazać w arce. Obaj wykazaliśmy się taką niekompetencją, że nasze przygotowania trwały dłużej niż ryt, wywołały słyszalne poruszenie i sprowokowały nieuprzejme komentarze w tłumie zebranych po drugiej stronie płóciennych ścian. Emman Beldo musiał przestać się naprzykrzać suur Karvall, wejść do namiotu i wesprzeć Yula w jego wysiłkach. Moje fałdy i sploty ułożył w

końcu nie kto inny, jak fraa Lodoghir. Podejrzewałem, że zamierza dopilnować, żeby w Sauncie Orolu znalazło się miejsce dla wpływowego referatu proceńskiego.

Potem Yul i ja długo nie mogliśmy się zdecydować, kto ma kogo przepuścić w progę. Wymienialiśmy się „ty-pierwszymi”, dopóki nasz problem nie zniknął razem z progiem, gdy Lio z Dzwonecznikami przecięli odciągi i ściągnęli nam namiot z głów jak płótno z odłanianych posągów.

Zresztą zachowaliśmy się chyba jak posągi, kiedy zobaczyliśmy Alę i Cord, którym ubieranie się poszło o niebo lepiej. Spodziewałem się ujrzeć moją narzeczoną przyozdobioną gwiazdokwiatem i innymi agresywnymi gatunkami, ale teraz dotarło do mnie, że w aporcie Quina dotarły do Ecby kwiaty z prawdziwego zdarzenia, wyhodowane w odległych szklarniach i na egzotycznych rabatach.

Ryt był o tyle skomplikowany, że biorąc w nim udział, musiałem jednocześnie przyprować pannę młodą Yulowi. Cord i Yula połączył węzeł małżeński magister Sark, który spisał się naprawdę niezle jak na kogoś, kto do trzeciej nad ranem prowadził z Arsibalem dialog na temat wina. Korzystając z okazji, odkorkował teraz jedno ze swoich niewiarygodnie impertynenckich kazań, pełne mądrości, iluminacji i ludzkich prawd uwięzionych w kosmograficznym schemacie, nieodwołalnie skompromitowanym cztery tysiące lat temu.

Kiedy Sark skończył, ja (z Jesrym jako świadkiem) i Ala (wspierana przez Tulię) stanęliśmy przed fraa Paphlagonem i - przy akompaniamencie radosnej pieśni i odległego łoskotu wydawanego przez Matkę Cartas, przewracającą się w chalcedonowym sarkofagu - zwiąaliśmy się romansem perelithyjskim.

Tradycja nakazywała, żeby prowadzący ryt fraa lub suur wygłosili krótką mowę - i w ten sposób dotarliśmy do momentu, w którym wszystkie spojrzenia spoczęły na fraa Paphlagonie. Musiało to wypaść trochę niezręcznie, ponieważ goście siłą rzeczy postrzegali jego słowa nie jako samodzielne wystąpienie, lecz jako

odpowiedź na - i przeciwwagę do - słów Sarka. Ucieszyłem się, kiedy się okazało, że Paphlagon wcale nie zamierza się z tym kryć.

- Ponieważ lubimy się chełpić naszymi dialogami, chciałbym potraktować magistra Sarka jak godnego najwyższego szacunku interlokutora. Widzę w jego słowach wyraźny ślad zdarzenia sprzed tysięcy lat, kiedy jeden z jego poprzedników doznał olśnienia i wpadł na taki pomysł opisanie swojej iluminacji, który w owym czasie był jak najbardziej słuszny. Przypomina to sytuację, kiedy elementy zegara ustawiają się w odpowiednim położeniu, trzpień trafia w otwór i coś się dzieje: skrzydła bramy się rozchylają i przez szczelinę między nimi można zajrzeć do innego kosmosu. A właściwie do jednego z innych kosmosów, bo tak chyba w świetle niedawnych wydarzeń powinienem powiedzieć. - W tym momencie fraa Paphlagon spojrzął po stojących wśród nas Urnudczykach, Troanach, Laterryjczykach i Fthozyjczykach. - Ci, którzy byli obecni przy otwarciu bramy i rozpoznali iluminację, spisali z niej relację i włączyli ją do swojej religii... Inaczej mówiąc, zrobili wszystko, co mogli, żeby informacja o niej dotarła do tych, których kochają. Może kiedyś, przy innej okazji, porozmawiamy o tym, czy im się udało. Z przykrością muszą stwierdzić, że w moim przypadku ich wysiłki spełzły na niczym.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Ganeliala Crade'a; byłem ciekaw, jak przyjmie słowa Paphlagona. Nie zobaczyłem na jego twarzy ani śladu znajomego oburzenia i urazy, jakimi zawsze reagował na okazywany przez nas (jego zdaniem) brak szacunku dla jego wiary. Zmienił się w Orithenie.

- Zebraliśmy się w miejscu nazwanym na cześć fraa Orola, który przez krótki czas był moim fidem - mówił dalej Paphlagon. Spojrzął na mnie, na Alę, Jesry'ego, Tulię i innych przybyszów z Edhara i konwoksu. - Był niewiele starszy niż niektórzy z was, kiedy pewnego razu przyszedł mi wytłumaczyć, jak to się stało, że po kwalifiku trafił do naszego zakonu. Mógł przecież, jak mówił, podczas matemu porzucić świat matemowy i ułożyć sobie życie w Saeculum. Albo, jeśli już postanowił zostać fraa, mógł również

dobrze pójść do Nowego Kręgu. Powiedział mi wtedy, że im więcej uczy się o złożoności ludzkiego umysłu i kosmosu, z którym jest w tajemniczy i nierozzerwalny sposób związany, tym bardziej skłania się ku temu, by widzieć w tym coś na kształt cudu, chociaż niezupełnie w takim sensie, jak rozumieją to deolatryzyści. Dla niego było to zjawisko całkowicie naturalne. Chodziło mu raczej o to, że ewolucja naszych umysłów ze skrawków materii nieożywionej jest czymś piękniejszym i bardziej niesamowitym niż wszelkie cuda, jakie na przestrzeni tysiącleci zostały skatalogowane w świętych księgach wszystkich naszych religii. Dlatego z instynktownym sceptycyzmem traktował wszystkie systemy pojęciowe, zarówno religijne, jak i teoretyczne, które udawały, że tłumaczą ten cud i w ten sposób próbują go ograniczyć. I dlatego wybrał taką ścieżkę. Przybycie naszych przyjaciół z Urnuda, Tro, Ziemi i Fthosa potwierdziło pewne nasze spekulacje na temat funkcjonowania polikosmosu. W świetle tego odkrycia musimy zrewidować wszystko, co wiemy i w co wierzymy. I na tym właśnie będzie polegać praca, którą dziś tutaj inicjujemy. To wielki początek, który zawiera mnóstwo mniejszych, choć wcale nie mniej pięknych początków - takich jak związek Ali i Erasmasa.

Niewiele brakowało, żebym przegapił tę wskazówkę. Na szczęście poczułem, że Ala odwraca się w moim kierunku. Spotkaliśmy się tam, na gruzowisku. Odnaleźliśmy się. Może ci się wydać dziwne, że taka historia kończy się pocałunkiem jak jakiś popularny szpil albo komedia na teatralnej scenie. Tamta chwila dała jednak początek wielu nowym rzeczom i zakończyła wiele starych, które stanowiły przedmiot mojej opowieści, dlatego w tym właśnie miejscu kreślę na arkuszu poziomą linię i stwierdzam, że to koniec.

Dodatki

Glosariusz

Analemma: Figura przypominająca kształtem wydłużoną, niesymetryczną ósemkę, obserwowana przez astronomów, którzy śledzą pozorny ruch słońca na niebie w ciągu roku.

Antybaz: Religia wyrosła w oparciu o te same pisma i uznająca tych samych proroków co ortodoksja bazyjska, ale odrzucająca wprost niektóre jej nauki i władzę zwierzchników ortodoksji.

Apert: Ryt, w którym matem na dziesięć dni otwiera swoje bramy. W tym okresie deklaranci mogą swobodnie wychodzić extramuros, a sekularowie odwiedzać matem, zwiedzać go i rozmawiać z deklarantami. W zależności od matemu apert obchodzi się w odstępach rocznych, dziesięcio-, stu - lub tysiącletnich.

Aport: Pojazd kołowy używany extramuros, najczęściej przez rzemieślników, do przewozu lekkich ładunków, narzędzi itp. Większy i mniej wygodny od mobu.

Arbotekt: Inżynier genetyk specjalizujący się w tworzeniu nowych gatunków drzew.

Arbre: Nazwa planety, na której rozgrywa się akcja *Peanatemy*.

Arka: Odpowiednik ziemskiego kościoła, świątyni, synagogi itp.

Atlański - patrz: **Związek Atlański**.

Baritoe, saunta: (1) Kobieta szlchetnego rodu żyjąca w Epoce Praksis, opiekunka i przywódczyni krakersów. (2) Koncent nazwany jej imieniem, jeden z Wielkiej Trójki.

Baz: Starożytne miasto-państwo, które w późniejszym okresie stworzyło cesarstwo obejmujące cały znany świat.

Bezmian Gardana: Reguła, zgodnie z którą przy rozważaniu dwóch hipotez pierwszeństwo należy się prostszej z nich. Znana również jako „Bezmian saunta Gardana” albo po prostu „Bezmian”.

Bly, saunt: Teor z koncentu Saunt Edhar, który został

odrzucony i dożył swoich dni jako dzikus na szczycie wzgórza nazwanego później Kopcem Bly'a. Legenda mówi, że miejscowi slogowie oddawali mu boską cześć, aż w końcu zabili go i zjedli jego wątrobę.

Błogoń: Chwast, który po modyfikacji genetycznej służy do produkcji substancji znanej jako jestokej. Zakazany dla deklarantów.

Calca: Objasnienie, definicja lub lekcja niezbędna dla przedstawienia jakiegoś obszerniejszego zagadnienia, która została wydzielona z dialogu i przedstawiona w formie przypisu lub apendyksu.

Cartas, saunta: Wykształcona arystokratka bazyjska. Po upadku Bazu założyła pierwszy matem i stworzyła Dyscyplinę, która przetrwała Starą Epokę Matemową, a po pewnych udoskonaleniach kwitnie nadal w świecie po Rekonstrukcji.

Cartaska, Dyscyplina: Kodeks praw spisany przez saunte Cartas, której przypisuje się stworzenie świata matemów po upadku Bazu. Człowiek, który przysięga przestrzegać Dyscypliny, nazywany jest deklarantem.

Centenarysta: Deklarant, który przysiągł nie opuszczać matemu i unikać kontaktów ze światem zewnętrznym aż do następnego apertu stuletniego. Potocznie: „setnik”.

Certyfik: Najczęściej odprawiany ryt w świecie matemowym, w większości matemów odbywający się codziennie w południe i połączony z nakręcaniem zegara.

Chronotchłań: W architekturze matemowej przestrzeń we wnętrzu wieży zegarowej, mieszcząca cały mechanizm zegara, w tym także tarcze, kuranty itp.

Cnoöny: W metateoryce protyjskiej - czyste, wieczne, niezienne byty, takie jak figury geometryczne, twierdzenia, liczby itp. należące do innego wymiaru egzystencji (Hylaejskiego Świata Teorycznego) i przez teorów jedynie postrzegane lub odkrywane, nie zaś tworzone.

Cnoüs: Pradawna postać historyczna. Cnoüs twierdził, że doświadczył wizji, w której dane mu było oglądać inny, wyższy

świat. Hylaea i Deät, jego córki, zinterpretowały tę wizję na dwa różne, sprzeczne sposoby.

Datonomia: Pogląd filozoficzny wyprowadzony z prac krakersów i oparty na ścisłym badaniu danych, gdzie przez „dane” rozumie się informację dostarczaną umysłowi przez aparat zmysłowy.

Deät: Jedna z dwóch córek Cnoüsa (drugą jest Hylaea). Według jej interpretacji wizja ojca przedstawiała niebieskie królestwo duchowe, zamieszkane przez anielskie istoty i rządzone przez najwyższego stwórcę.

Decenarysta: Deklarant, który przysiągł nie opuszczać matemu i unikać kontaktów ze światem zewnętrznym aż do następnego apertu dziesięcioletniego. Potocznie: „dziesiątnik”.

Deklarant: Człowiek wierny Dyscyplinie Cartaskiej i, co za tym idzie, żyjący w świecie matematycznym (a nie sekularnym).

Deolatra: Zwolennik wizji Cnoüsa w interpretacji Deät. W konsekwencji - wyznawca Nieba i Boga. Patrz także: **Fizjologik**.

Dialog perykliński: Dialog, którego uczestnicy konkurują ze sobą i podważają nawzajem swoje stanowiska (patrz: **Plantowanie**).

Dialog pielgrzymi (Peregrynacja): Dialog, którego uczestnicy (o zbliżonej wiedzy i inteligencji) omawiają wybraną ideę, najczęściej podczas przechadzki.

Dialog suwiński: Dialog, w którym mentor naucza fida, zwykle zadając mu pytania, zamiast snuć dygresyjne opowieści.

Dialog: Dyskurs teorii, zwykle sformalizowany. Określenie „być w dialogu” odnosi się do człowieka, który w takim dyskursie improwizuje. Termin ten może również odnosić się do zapisu jednego z dialogów historycznych. Takie dokumenty stanowią fundament matematycznej tradycji literackiej; fido uczy się ich na pamięć, studiuje je i odtwarzają. W formacie klasycznym dialog ma dwóch głównych uczestników i pewną liczbę słuchaczy, którzy od czasu do czasu wtrącają się do dysputy. Drugim popularnym formatem jest trójkąt, w którym występują mędrcy, zwykły człowiek poszukujący wiedzy, oraz

imbecyl. Istnieje wiele klasyfikacji dyskursów, takich jak podział na dialog pielgrzymi, perykliński i suwiński.

Diax: Dawny fizjologik z Oritheny. Przypisuje mu się wypędzenie entuzjastów ze świątyni i stworzenie rygorystycznych intelektualnych podwalin teoryki.

Dolina Dzwoneczków: Dolina górską, od której pochodzi nazwa matemu założonego w niej w roku 17 p.r. i specjalizującego się w badaniu i doskonaleniu sztuk walki i pokrewnych zagadnień. Patrz także: **Droga dzwoneczków.**

Don: W koncentrach przestrzegających tradycji messalu - starszy deklarant siedzący przy stole i obsługiwany przez deklarantów niższej rangi.

Droga dzwoneczków: Sztuka walki wywodząca się z Doliny Dzwoneczków (zob.).

Dron: Potoczny skrót nazwy „droga dzwoneczków” (zob.).

Drumon: duży pojazd kołowy używany extramuros do przewozu ciężkich ładunków.

Dynastia: Chronologiczny ciąg deklarantów, którzy przed reformami Trzeciej Łupieży nabyli i zatrzymali własność wykraczającą poza zawój, sznur i sferę i przed śmiercią przekazywali je wybranemu dziedzicowi. W tym rozumieniu często łączona z fundami. Czasem także skrótowe określenie **Starej Dynastii** (zob.).

Dyscyplina - patrz: **Cartaska, Dyscyplina.**

Dyskuta: Nieformalna grupa robocza na konwoksie, której członkowie z własnej inicjatywy spotykają się wieczorami i do późna w nocy rozprawiają na interesujące ich tematy.

Dziedzina przyczynowa: Zbiór rzeczy lub faktów połączonych siecią zależności przyczynowo-skutkowych.

Dziesiąta Noc: Tradycyjne zakończenie apertu, odbywające się w dziesiąty - ostatni - wieczór. Matem wyprawia wówczas ucztę dla wszystkich chętnych gości z extramuros. Uczta jest okazją do załatwienia spraw wymagających udziału państwa sekularnego - takich jak przeniesienie nowych kolektantów z jurysdykcji sekularnej pod władzę matemową.

Dziesiątnik: Potocznie **decenarysta** (zob.).

Dzikus: Człowiek piśmienny i obdarzony umiejętnością teoretycznego rozumowania, ale zamieszkały w Saeculum i odcięty od świata matematycznego. Termin ten odnosi się najczęściej do eksdeklarantów, którzy zostali zwolnieni ze ślubów albo odrzuceni, ale można go również stosować w odniesieniu do samouków, którzy nigdy nie byli deklarantami.

Dzwonecznik: Deklarant z Doliny Dzwoneczków, który całe życie poświęcił zgłębianiu tajemnic sztuk walki.

Ecba: Wyspa wulkaniczna na Morzu Mórz, siedziba Oritheny do roku -2621, kiedy to świątynię zniszczyła katastrofalna w skutkach erupcja wulkanu.

Edhar: Saunt z zakonu evenedryckiego, który w roku 267 powołał nowy zakon, a później założył koncent, w którym dożył kresu swoich dni. Zarówno zakon, jak i koncent noszą jego imię. Pełna nazwa brzmi „Zakon Saunta Edhara”, na co dzień skraca się ją jednak do „Saunt Edhar” lub wręcz samego „Edhar”.

Entuzjaści: Pogardliwe określenie tych spośród dawnych fizjologików, których Diax przepędził z Oritheny, zarzucając im niezdolność lub niechęć do zdyscyplinowanego rozumowania.

Epoka Praksis: Okres historii Arbre rozpoczęty w stuleciu po Odrodzeniu (około roku -500) i zakończony Straszliwymi Wypadkami i Rekonstrukcją (rok 0). Nazwę zawdzięcza mieszkańcom dawnych matematów, którzy po Odrodzeniu rozproszyli się po Saeculum i w oparciu o teorię zainicjowali eksplorację świata i rozwój techniki.

Erasmus: Fraa z Saunty Baritoe z czternastego wieku p.r., który wspólnie z Uthentine stworzył gałąź metateoryki nazwaną protyzmem złożonym. Jego imiennik, fraa z Saunta Edhara, żyje w trzydziestym siódmym stuleciu p.r. i jest narratorem *Peanatemy*.

Ethras: Dość zamożne i wpływowe starożytne miastopństwo, które w Złotym Wieku (od ok. -2600 do -2300) wydało wielu znamienitych teorów, między innymi Thelenesa i Protasa. Miejsce akcji wielu dialogów badanych i odtwarzanych przez fidów.

Etrevaneński - patrz: **Romans etrevaneński**.

Evenedrycy: Wcześniej powstały odłam halikaarnijczyków.

Evenedryk: Uczeń Halikaarna, który kontynuował dzieło mistrza w okresie Rekonstrukcji i przyczynił się do założenia referatów semantycznych.

Ewokacja: Powołanie deklaranta w rycie voco.

Extramuros: Świat za murami matemu; świat sekularny.

Faanowie: Wczesny odłam proceńczyków.

Fid (fida): Młody deklarant (deklarantka), który nie przystąpił jeszcze do żadnego zakonu. Patrz także: **Kwalifik**.

Fikochwast: Pospolite zielsko. Po przeżuciu ma działanie pobudzające, w większych dawkach psychoaktywne. Należy do Jedenastki.

Fizjologik: W epoce między Cnoüsem i Diaksem - myśliciel, zwolennik Drogi Hylaejskiej, czyli przedstawionej przez Hylaeę interpretacji wizji ojca. Poprzednicy teorów i założycieli Oriitheny. Patrz także: **Deolatra**.

Fluks: Główny język świata sekularnego, pochodzący od starego języka „barbarzyńców” (nie orthyjskiego). Słownictwo fluksyjskie pokrywa się z orthyjskim w zakresie pojęć abstrakcyjnych, terminów technicznych, medycznych i prawnych. Mieszkańcy extramuros najczęściej umieją czytać, choć czynią to rzadko; kiedy zaś chcą utrwalić tekst w formie pisanej, posługują się improwizowanymi systemami pisma, takimi jak kinagramy i logotyp. Język fluksyjski można jednak zapisać także w tym samym alfabecie, którego używa orth.

Fraa: Deklarant płci męskiej.

Funda: W najogólniejszym sensie - wszelki majątek zgromadzony i posiadany przez dynastię w świecie matemowym. Poza nielicznymi wyjątkami określenie używane w odniesieniu do budynków i ich zawartości.

Gheeth: Potoczne, lekko pejoratywne określenie jednej z grup etnicznych w świecie sekularnym.

Grabie Diaksa: Związły termin użyty przez Diaksa na

schodach Oritheny, skąd ogrodniczymi grabiami przepędził wróżbitów. Jego znaczenie można streścić następująco: nie należy wierzyć w coś tylko dlatego, że pragniemy, aby to było prawdą. Po tamtym wydarzeniu większość fizjologików przyjęła ideę Grabi i stała się teorami (to również nazwa ukuta przez Diaksa). Ci, którzy się z nim nie zgodzili, zwani są od tamtej pory entuzjastami.

Gryzipiórek: Termin pejoratywny używany przez fraa Orola na określenie wysokiego rangą urzędnika państwa sekularnego.

Gwiezdny krąg: odpowiednik ziemskiego obserwatorium astronomicznego, zwłaszcza wyposażonego w liczne teleskopy.

Halikaarn: Saunt żyjący u schyłku Epoki Praksis, zajadły przeciwnik Proca. Znany również jako saunt Halikaarn Wielki. Jest uważany za przywódcę szkoły teoryki zapoczątkowanej przed tysiącami lat przez Protasa i Thelenesa. Jego dzieło kontynuował jego uczeń Evenedryk i referaty semantyczne.

Halikaarnijczyk: Człowiek lub instytucja związani z sauntem Halikaarnem lub którymś z zakonów kontynuujących tradycje referatów semantycznych. Często postrzegani jako naturalni przeciwnicy proceńczyków i faanów.

Hierarcha: Członek wyspecjalizowanej kasty deklarantów, do której obowiązków należy zarządzanie matemami i koncentami, kontakty ze światem sekularnym i hierarchiami z innych matemów, obrona matemu przed sekularami, pilnowanie porządku i nadzorowanie przestrzegania Dyscypliny.

HŚT - patrz: **Hylaejski Świat Teoryczny**.

Hylaea: Jedna z dwóch córek Cnoüsa (drugą jest Deät). Według jej interpretacji wizja ojca przedstawiała wyższy, doskonalszy świat (Hylaejski Świat Teoryczny, HŚT), zamieszkały przez czyste formy geometryczne, które geometryze ze świata materialnego mogą co najwyżej nieudolnie kopiować.

Hylaejski Świat Teoryczny: Nazwa używana przez większość zwolenników protyzmu na określenie wyższego wymiaru egzystencji, zamieszkanego przez doskonałe formy geometryczne, twierdzenia i inne czyste idee (cnoöny).

Ikonografia: Uproszczony i pod wieloma względami wysoce niedokładny schemat pojęciowy, za pomocą którego mieszkańcy Saeculum opisują świat matematyczny; często przyjmuje formę teorii spiskowej lub aluzji do postaci i wydarzeń rozpowszechnionych w kulturze popularnej.

Ikosaedr: Bryła geometryczna podobna do kuli, mająca dwadzieścia identycznych ścian o kształcie trójkątów równobocznych.

Illuminacja: Nagłe, zwykle niespodziewane oświecenie.

Inkanter: Postać legendarna, w folklorze łączona z zakonami halikaarnijskimi, potrafiąca przekształcać świat materialny za pomocą zaszyfrowanych słów i fraz.

Inkwizycja: Ciało kontrolne o zasięgu ogólnoswiatowym, odpowiedzialne za utrzymanie jednorodnego standardu Dyscypliny we wszystkich matematach i koncentach. Działa najczęściej za pośrednictwem Regulatora.

Itowie: Kasta w świecie matematycznym całkowicie odseparowana od deklarantów, odpowiedzialna za obsługę urządzeń syntaktycznych i retikulum.

Jedenastka: Lista roślin zakazanych intramuros, zwykle ze względu na niepożądane właściwości farmakologiczne. Dyscyplina stanowi, że każdy okaz któregoś z przedstawicieli Jedenastki znaleziony w obrębie matematu należy bezzwłocznie wyrwać z korzeniami i spalić, a fakt ten odnotować w kronice.

Jednorazowiec: Potocznie **unarysta** (zob.).

Jestokej: Substancja chemiczna pochodzenia naturalnego, która w odpowiednio wysokim stężeniu w mózgu wywołuje poczucie, że wszystko jest w porządku. Poziom jestokej u można regulować w sposób sztuczny, na przykład poprzez przyjmowanie błogonia.

Kapituła: Lokalna jednostka organizacyjna zakonu deklarantów. Struktura zakonu rozciąga się zwykle na cały świat matematyczny; w konkretnych matematach i koncentach reprezentują ją kapituły. Często zdarza się, że matemat składa się z dwóch lub więcej odrębnych kapituł należących do różnych zakonów. Tak

jest na przykład w Edharze.

Kefedokhles: Zarozumiała i pedantyczny rozmówca.

Kelx: (1) Religia sięgająca korzeniami szesnastego lub siedemnastego wieku p.r. Nazwa powstała przez skrócenie orthyjskiego słowa *ganakelux*, oznaczającego „miejsce trójkątów”. W ikonografii kelksu trójkąt jest niezwykle ważnym symbolem. (2) Arka kelksu.

Kewierny: Wyznawca Kelksu (Trójkąta).

Kinagramy: Zestaw prostych ideogramów, używany przez sekularów w charakterze pisma.

Klarant: Inaczej: deklarant. Określenie pejoratywne używane extramuros i wiązane z sekularami, którzy hołdują ikonografiom przedstawiającym deklarantów w wybitnie niekorzystnym świetle.

Kłab: Poletko o kształcie zbliżonym do sześciokąta, na którym uprawia się rośliny różnych gatunków (w mniejszym lub większym stopniu zmodyfikowane genetycznie), zapewniające pełne wyżywienie jednemu deklarantowi. Sieć zależności symbiotycznych wzmacnia rośliny i zwiększa plony, hamując zarazem ubożenie gleby. W koncentach stosujących system kłębów każdy deklarant jest odpowiedzialny za jedno takie poletko, ale plony zbierane są łącznie i gromadzone we wspólnej puli, z której żywi się cały koncent. Ponieważ matem nie mógłby przestrzegać Dyscypliny, będąc uzależnionym od dostaw żywności z Saeculum, system kłębów jest mechanizmem kluczowym dla powodzenia Rekonstrukcji.

Knot: Pojęcie z zakresu protyzmu złożonego: uogólniony skierowany graf acykliczny, w którym znaczna (nawet nieskończona) liczba kosmosów jest połączona mniej lub bardziej złożoną siecią zależności przyczynowo-skutkowych. Informacja może przepływać tylko w jednym kierunku: z wszechświatów położonych „wyżej” na Knocie do leżących „niżej”.

Kolekta: Przyjęcie do matemu nowicjusza z extramuros. Kolekta odbywa się podczas apertu, a nowicjusz (nazywany kolektantem) ma zwykle mniej niż dziesięć lat.

Koncent: Większa społeczność deklarantów, w której współlistnieją co najmniej dwa matemy. Koncerny tworzą najczęściej centenaryści i milenaryści, którym ze względów praktycznych trudno jest funkcjonować w pojedynczym matemie.

Konwoks: Ogromna konwokacja deklarantów z matemów i koncernów z całego świata. W normalnych okolicznościach odbywa się tylko podczas apertu milenijnego albo po Łupieży. W sytuacji wyjątkowej może zostać zwołana na żądanie państwa sekularnego.

Kosmograf: Odpowiednik ziemskiego astronoma/astrofizyka/kosmologa.

Krakersi: Grupa teorii z Epoki Praksis, skupionych wokół saunty Baritoe. Koncentrowali się na analizie konsekwencji faktu, że nie postrzegamy materialnego kosmosu bezpośrednio, lecz wyłącznie za pośrednictwem zmysłów.

Kronika: Zapis wszystkich wydarzeń, mniej lub bardziej doniosłych, w życiu matemu lub koncentu. Prowadzona i archiwizowana przez pracowitych hierarchów.

Księga: Książka o niespójnej treści, której studiowanie jest formą kary dla nieposłusznych deklarantów. Poziom trudności kolejnych rozdziałów rośnie w porządku wykładniczym.

Kwalifik: Ryt, w którym fid wybiera w obrębie matemu kapitułę, do której chce przynależeć (i jest przez nią wybierany), przez co przestaje być fidem. Uroczystość ta jest zwykle obchodzona, zanim fid osiągnie wiek dwudziestu lat.

Laboratorium: Dzienna sesja robocza podczas konwoku, zwykle odbywająca się rano. Hierarchowie dzielą uczestników na grupy i przydzielają im cele do realizacji.

Lespera, układ współrzędnych: Odpowiednik ziemskiego kartezjańskiego układu współrzędnych. Nazywany także układem współrzędnych saunta Lespera.

Logotyp: Uproszczony system pisma stosowany w świecie sekularnym. W okresie, w którym toczy się akcja *Peanatemy*, wypierany przez kinagramy.

Loktor: Potoczna skrócona forma słowa Interlokutor,

oznaczającego partnera w dialogu.

Loryta: Członek zakonu założonego przez sauntę Lore, która uważała, że wszystkie pomysły, jakie człowiek jest w stanie wyrazić, zostały już w przeszłości sformułowane. Loryci jako historycy idei pomagają innym deklarantom w pracy, uświadamiając im istnienie podobnych idei w przeszłości, dzięki czemu nikt nie musi drugi raz wynajdować koła.

Łupież: Naruszenie warunków Rekonstrukcji, na skutek którego matem lub koncent zostaje zbezczeszczone i złupiony przez sekularnych intruzów. Określenie używane najczęściej w kontekście Łupieży Powszechnej, kiedy to w jednym okresie złupione zostają wszystkie (lub większość) matemów i koncentów.

Magister: Tytuł duchownych kelksu.

Mapomat: Przenośne urządzenie służące do wyświetlania map i wyszukiwania dróg. Na Ziemi jego odpowiednikiem byłby odbiornik GPS.

Matarrhita: Członek zakonu założonego w matemie stuletnim w koncencie saunta Byadina w okresie pomiędzy drugim i trzecim apertem stuletnim. Jest to jeden z niewielu czysto religijnych zakonów deklarantów, hermetyczny nawet jak na standardy obowiązujące w świecie matemowym. Podczas Trzeciej Łupieży deklaranci przenieśli się na wyspę leżącą w południowych rejonach podbiegunowych, gdzie w odosobnieniu rozwinęło się wiele niespotykanych gdzie indziej tradycji kulturalnych - takich jak zawoje okrywające całe ciało oraz skąpa, surowa kuchnia, bazująca na ograniczonych zasobach naturalnych.

Matem: Stosunkowo niewielka społeczność deklarantów (zwykle licząca mniej niż setkę ludzi, czasem zaledwie jednoosobowa). Zazwyczaj wszyscy członkowie jednego matemu obchodzą apert w tym samym rytmie - czyli wszyscy są unarystami, decenarystami, centenarystami lub milenarystami. Patrz także: **Koncent**.

Matka: Nieoficjalne określenie starszej, szanowanej suur.

Megazabójca: Broń o niespotykanym stopniu złożoności praktycznej, której domniemane użycie podczas Straszliwych

Wypadków przyniosło katastrofalne skutki. Istnieje rozpowszechnione (choć nie poparte dowodami) przekonanie, że to udział teorii w skonstruowaniu megazabójcy doprowadził do ogólnoświatowego porozumienia w kwestii odseparowania ich od społeczeństwa. Ta polityka po wprowadzeniu w życie została nazwana Rekonstrukcją.

Messal: W niektórych (zwłaszcza starszych i większych) koncentrach tradycyjny posiłek wieczorny, podczas którego nie więcej niż siedmiu starszych deklarantów (donów) jest obsługiwanych przez taką samą liczbę młodszych deklarantów (posługaczy).

Metateoryka: Odpowiednik ziemskiej metafizyki. Część dorobku intelektualnego ludzkości odpowiadająca na tak fundamentalne pytania, że bez ich rozstrzygnięcia niemożliwa jest sensowna praca teoretyczna.

Metekoranes: Starożytny teor, zginął przysypany popiołem podczas erupcji wulkanu, która zniszczyła Orithenę. Według niektórych tradycji założyciel (prawdopodobnie mimowolny) **Starej Dynastii** (zob.)

Milenarysta: Deklarant, który przysiągł nie opuszczać matemu i unikać kontaktów ze światem zewnętrznym aż do następnego apertu milenijnego. Potocznie: „tysięcznik”.

Mistagog: Miłośnik tajemniczych rozmyślań i mętnego żargonu. W Starej Epoce Matemowej, w stuleciach poprzedzających Odrodzenie, mistagodzy tworzyli wielce wpływową organizację. Od tamtej pory określenie to ma charakter pejoratywny.

Mob: Kołowy pojazd pasażerski używany extramuros.

Morze Mórz: Stosunkowo niewielki słony akwen o skomplikowanej linii brzegowej, w trzech punktach połączony poprzez cieśniny z wielkimi oceanami Arbre, uważany za kolebkę współczesnej cywilizacji.

Muncoster, saunt: (1) Teor żyjący u schyłku Epoki Praksis, któremu Arbre zawdzięcza znaczne postępy w dziedzinie zwanej na Ziemi ogólną teorią względności. (2) Jeden z

koncentów Wielkiej Trójki.

Niebiański Strażnik: Popularny przywódca religijny z okresu tuż przed rozpoczęciem akcji *Peanatemy*, który objął władzę w Saeculum, twierdząc, że ucieleśnia całą mądrość świata matematycznego.

Nieskalany: Jeden z trzech matematyków tysiącletnich, które nie zostały zdobyte i złupione podczas trwającej siedemdziesięcioleci Trzeciej Łupieży. Znajdowały się w koncentrach saunta Edhara, saunta Rambalfa i saunta Tredegarha.

Nowa materia: Postać materii, której jądra atomowe zostały sztucznie zsyntetyzowane, dzięki czemu wykazuje właściwości niespotykane u naturalnie występujących pierwiastków i związków chemicznych.

Odrodzenie: Wydarzenie historyczne oddzielające Starą Epokę Matematyczną od Epoki Praksis, datowane w przybliżeniu na rok -500. Otworzyły się wówczas bramy matematyków i deklaranci rozproszyli się po Saeculum. W Odrodzeniu nastąpił rozkwit kultury, rozwinęła się teoryka i szybko postępowała eksploracja świata.

Odrzucenie: Potoczne określenie peanatemy.

Odrzucony: Eks-deklarant po peanatemie.

Ojciec: Nieoficjalne określenie starszego, szanowanego fraa.

Orithena: Starożytna świątynia założona przez Adrakhonesa na Echie, w późniejszym czasie siedziba licznych fizjologów, którzy przybywali do niej z całego świata antycznego. Zniszczona podczas wybuchu wulkanu w roku -2621. W roku 3000 pewien deklarant założył na jej terenie nowy matematyk i rozpoczął wykopaliska.

Orth, orthyjski: Klasyczny język Cesarstwa Bazyjskiego, w Starej Epoce Matematycznej używany intramuros w matematykach kartaskich i klasztorach ortodoksji bazyjskiej. Język nauki i uczonego dyskursu Epoki Praksis. W odnowionej, zmodernizowanej formie język powszechnie używany przez deklarantów, również w życiu codziennym. Także: alfabet, w

którym się go zapisuje.

Ortodoksja bazyjska: Religia państwowa Cesarstwa Bazyjskiego, która przetrwała upadek Bazu, w następnej erze stworzyła system matematyczny równoległy i niezależny od systemu Cartas i przetrwała jako jedna z najstarszych religii na Arbre.

p.r.: po Rekonstrukcji. Według obowiązującej na Arbre rachuby czasu rok zerowy to rok, w którym doszło do Rekonstrukcji. Lata wcześniejsze numerowane są liczbami ujemnymi. Rok wyrażony liczbą dodatnią (lub opatrzone oznaczeniem p.r.) nastąpił po roku zerowym.

Państwo sekularne: Dowolny byt rządzący światem niematemowym.

Peanatema (1) W protorthyjskim: poetycka lub muzyczna inwokacja do Naszej Matki Hylaei, wygłaszana podczas certyfiku. (2) Ryt, w którym niereformowalny fraa lub niereformowalna suur zostają wyrzuceni z matemu.

Perelithyjski romans - patrz: **Romans perelithyjski**.

Peryklin: Otwarty plac w starożytnym mieście Ethras, mieszczący targ, na którym w Złotym Wieku teorowie spotykali się i prowadzili dialogi.

Pielgrzym: (1) Teor, który przeżył zagładę Oritheny i udał się na tułaczkę po świecie antycznym, sam lub w towarzystwie podobnych sobie osób. (2) W nowoczesnym użyciu: deklarant, który pod pewnymi warunkami w drodze wyjątku opuszcza mury matemu i wędruje po Saeculum, starając się przestrzegać ducha, choć nie zawsze litery, Dyscypliny.

Pielgrzymka (Peregrynacja): (1) Dawniej: epoka zapoczątkowana zniszczeniem Oritheny (-2621) i zakończona po kilkudziesięciu latach rozkwitem i Złotym Wiekiem Ethras. (2) Forma dialogu wywodząca się najprawdopodobniej z tego okresu. Wiele takich dialogów zostało następnie spisanych i włączonych do tradycji literackiej świata matematycznego.

Piszczek: Podręczne urządzenie elektroniczne szeroko rozpowszechnione w Saeculum, łączące funkcje telefonu komórkowego, aparatu fotograficznego, przeglądarki sieciowej itp.

W świecie matemowym zakazane.

Plantowanie: W dialogu: podważenie poglądów przeciwnika i całkowite unicestwienie zajmowanego przezeń stanowiska.

Plenum: Wydarzenie na konwoksie, podczas którego wszyscy uczestnicy spotykają się w jakimś celu w tym samym miejscu i tym samym czasie.

Pokuta: Zmudna lub nieprzyjemna praca, którą Regulator wyznacza deklarantowi jako karę za naruszenie Dyscypliny.

Polikosmos: Dwa wszechświaty, lub większa ich liczba, zwłaszcza rozpatrywane jako układ uwzględniający możliwość oddziaływań między nimi.

Posługacz: W koncencach przestrzegających tradycji messalu - młodszy deklarant przydzielony do obsługi donowi.

Pozał: Ryt, w którym starszy deklarant odchodzi z aktywnej służby.

Praesidium: W architekturze matemowej najwyższy budynek w koncencie. Zazwyczaj jest nim wieża zegarowa.

Prafraa: Nieoficjalne miano, jakim deklarant może tytułować starszego, szanowanego fraa, zwłaszcza (choć nie wyłącznie) takiego, który przystąpił do pożalu.

Praksis: Technika.

Praksyk: Specjalista nauk technicznych; inżynier.

Prasuur: Nieoficjalne miano, jakim deklarant może tytułować starszą, szanowaną suur, zwłaszcza (choć nie wyłącznie) taką, która przystąpiła do pożalu.

Proc: Metateoryk żyjący u schyłku Epoki Praksis, protagonista teorów kontynuujących tradycje sfeników i ojciec duchowy wszystkich zakonów wywodzących się z referatów syntaktycznych (w odróżnieniu od semantycznych) wczesnych matemów postrekonstrukcyjnych. Patrz także: **Halikaarn.**

Proceński: Odnoszący się do saunta Proca lub któregoś z zakonów wywodzących się z referatów syntaktycznych. Proceńczycy są często postrzegani jako naturalni przeciwnicy halikaarnijczyków.

Promocja: Procedura, w której unarysta, decenarysta lub centenarysta może awansować do (odpowiednio) matemu decenaryjnego, centenaryjnego lub milenaryjnego. Najczęściej wiąże się to z pokonaniem labiryntu łączącego dwa matemy.

Protas: W Złotym Wieku Ethras uczeń Thelenesa, później najsłynniejszy teor w historii Arbre. W oparciu o fundamentalną wizję Hylaei, rozwiniętą następnie przez teorów z Oritheny, postulował, że przedmioty i idee postrzegane przez ludzi są tylko niedoskonałymi manifestacjami czystych form idealnych istniejących w innym wymiarze egzystencji.

Protektor: Hierarcha, do którego należy obrona matemu lub koncentu przed intruzami z Saeculum za pomocą wszelkich dostępnych środków, nie wyłączając przemocy fizycznej. Zwykle podlegają mu młodszy hierarchowie, przeszkoleni do wykonywania takich obowiązków.

Protyjski: Odnoszący się do Protasa, starożytnego filozofa z Ethras.

Protyzm prosty: Określenie ukute przez Uthentine i Erasmasa dla skonstruowania tradycyjnego protyzmu, w którym Hylaejski Świat Teoretyczny jest połączony z kosmosem Arbre w sposób przypadkowy, z opracowanym przez nich nowym schematem pojęciowym, który nazwali protyzmem złożonym. Patrz także: **Protyzm złożony**.

Protyzm złożony: Stosunkowo nowa (czternasty wiek p.r.) interpretacja protyzmu klasycznego (zwanego również „prostym”), postulująca istnienie więcej niż dwóch (i niewykluczająca nieskończonej ich liczby) dziedzin przyczynowych połączonych w skierowany graf acykliczny (SGA) nazywany Knotem. Zgodnie z założeniami protyzmu złożonego informacje o cnoönach przepływają po grafie od kosmosów „mniej hylaejskich” do „bardziej hylaejskich”.

Protyzm: Filozofia Protasa, w myśl której teorowie postrzegają czyste idee istniejące w innym wymiarze egzystencji (Hylaejskim Świecie Teoretycznym).

Prymat: Najwyższy rangą hierarcha w matemie lub

koncencie.

Przestrzeń Hemna: Na Ziemi nazywana przestrzenią konfiguracyjną, fazową lub przestrzenią stanów.

Przygarnięcie: Rzadko odprawiany ryt, w którym Pielgrzym wracający z wędrówki po Saeculum zostaje przyjęty z powrotem do świata matemowego.

Pyerd: Przemówienie (najczęściej, choć nie zawsze, o charakterze handlowym lub politycznym) obfitujące w eufemizmy, wygodne niedopowiedzenia, otępiające powtórzenia i inne fortele retoryczne mające na celu wytworzenie wrażenia, że coś naprawdę zostało powiedziane.

Rambalf: Koncent, jeden z Trzech Nieskalanych.

Referaty semantyczne: Po Rekonstrukcji - frakcje w obrębie świata matemowego kontynuujące dzieło Halikaarna. Swoją nazwę zawdzięczają przekonaniu, że symbole mogą nieść rzeczywiste znaczenie, co stanowi rozwinięcie idei Protasa i Hylaei. Patrz także: **Referaty syntaktyczne.**

Referaty syntaktyczne: Po Rekonstrukcji - frakcje w obrębie świata matemowego kontynuujące dzieło Proca. Swoją nazwę zawdzięczają przekonaniu, że język, teoryka itd. są w istocie rodzajem gry rozgrywanej za pomocą symboli pozbawionych ładunku znaczeniowego, co stanowi rozwinięcie idei starożytnych sfeników, którzy na peryklinie często występowali przeciwko Thelenesowi i Protasowi.

Regulator: Hierarcha nadzorujący przestrzeganie Dyscypliny intramuros, z prawem do prowadzenia śledztw i zadawania pokut. Teoretycznie podlega prymatowi, ale ostatecznie odpowiada przed Inkwizycją. W pewnych wyjątkowych sytuacjach ma prawo usunąć prymata z urzędu.

Rekonstrukcja: Stan rzeczy, jaki wykształcił się po Straszliwych Wypadkach, kiedy to prawie wszyscy uczeni i osoby piśmienne trafiły do matemów i koncernów.

Requiem: Ryt odprawiany po śmierci deklaranta.

Ret - patrz: **Retikulum.**

Retikula: Sieć; dwa lub więcej połączonych urządzeń

syntaktycznych, które mogą się ze sobą komunikować.

Retikulum (wielką literą): największe retikulum, łączące w całość wszystkie retikule na świecie.

Retor: Postać legendarna, w folklorze łączona z zakonami proceńskimi, potrafiąca zmieniać przeszłość poprzez manipulację wspomnieniami i archiwami.

Romans atlański: Rzadki związek łączący dziesiętnika z partnerem żyjącym extramuros, który ze względu na swoją specyfikę może być konsumowany raz na dziesięć lat.

Romans etrevaneński: Odpowiednik „chodzenia ze sobą” w świecie sekularnym.

Romans perelithyjski: Sekularny odpowiednik małżeństwa.

Romans: W świecie matemowym związek o charakterze erotycznym lub przynajmniej romantycznym.

Ryt: Rytuał w świecie matemowym. Do najważniejszych i najczęściej odprawianych rytów należą certyfik, kwalifik, pozał i requiem. Rzadziej odprawia się peanatemę, voco i przygarnięcie.

Saeculum: Świat sekularny.

Samblici: Sekta religijna wywodząca się od saunta Bly’a, z siedzibą na Kopcu Bly’a, nieopodal koncentu saunta Edhara.

Sarthowie: Starożytni konni łucznicy, pogromcy i łupieżcy Bazu. Upadek Bazu zakończył erę Cesarstwa Bazyjskiego i zapoczątkował Starą Epokę Matemową.

Saunt (saunta): Tytuł nadawany wielkim myślicielom.

Sekularny: Odnoszący się do świata nie-matemowego.

Sekwencja: Kod genetyczny żywego organizmu. W zależności od kontekstu odpowiednik ziemskich określeń „gen”, „genom” lub „DNA”.

Setka (w zwrocie „dostać setki”): Postradać zmysły, stać się niespełna rozumu, nieodwracalnie zbłądzić ze ścieżki teoryki.

Setnik: Potocznie **centenarysta (zob.).**

Sfenicy: Frakcja teorów popularna w antycznym Ethras, którego zamożni mieszkańcy wynajmowali ich w charakterze guwernerów dla swoich dzieci. W wielu klasycznych dialogach

przedstawiani jako oponenti Thelenesa, Protasa i innych przedstawicieli ich szkoły. Ich główny protagonista, Uraloabus, został podczas dialogu tak ostro splantowany przez Thelenesa, że na miejscu popełnił samobójstwo. Sfenicy nie zgadzali się z tezami Protasa i - w pewnym uproszczeniu - twierdzili, że cała teoryka odbywa się w ludzkiej głowie i nie ma żadnego związku z rzeczywistością zewnętrzną, taką jak protyjskie czyste formy. Spadkobiercami sfeników są saunt Proc, proceńczycy i referaty syntaktyczne.

SGA - patrz: **Skierowany graf acykliczny**.

Skierowany graf acykliczny: Zbiór węzłów połączonych jednokierunkowymi łączami (można je przedstawić jako prostokąty ze strzałkami), ułożonych w taki sposób, że podążając we wskazanym przez łącza kierunku, nie da się wrócić do punktu wyjścia.

Slog: Mieszkaniec extramuros pozbawiony wykształcenia, umiejętności, aspiracji i nadziei na zdobycie tychże, domyślnie traktowany jako przedstawiciel najniższej warstwy społecznej.

Stara Dynastia: W niektórych tradycjach - linia mentorów i fidów rozpoczynająca się od Metekoranesa i sięgająca aż do czasów, w których osadzona jest akcja *Peanatemy*. Stanowi społeczność teorii starszą niż tradycja matematyczna założona przez sauntę Cartas i zupełnie od niej odrębna.

Statysta: Lekceważące określenie sekulara, używane przez deklarantów.

Sto Sześćdziesiąt Cztery: Spis roślin, których uprawianie jest dozwolone w obrębie matematów, zgodnie z Dyscypliną obowiązującą w okresie, kiedy toczy się akcja *Peanatemy*. Rozszerzony w stosunku do poprzednich wersji spisu, obowiązujących we wcześniejszych postaciach Dyscypliny od czasów saunty Cartas. Uważa się, że rośliny znajdujące się na tej liście zaspokajają wszystkie potrzeby żywieniowe deklarantów, a także dają użyteczny cień, pozwalają pozyskiwać lekarstwa, ograniczają erozję gleby itp. Patrz także: **Jedenastka**.

Straszliwe Wypadki: Słabo udokumentowana katastrofa o

zasięgu ogólnoswiatowym, której początek przypadł najprawdopodobniej na rok -5. Czymkolwiek była, zakończyła Epokę Praksis i doprowadziła do Rekonstrukcji.

Suur: Deklarant płci żeńskiej.

Suwin: Szkoła.

Syntakt: Skrót od „urządzenie syntaktyczne”, komputer.

Sztabowanie: Określenie zaczerpnięte z żargonu wojskowego, oznaczające zbombardowanie z orbity obiektu znajdującego się zazwyczaj na powierzchni planety sztabą wykonaną z jakiegoś ciężkiego materiału. Sztaba nie ma żadnych ruchomych części, nie przenosi również ładunku wybuchowego, a jej niszczycielski potencjał wynika z ogromnej prędkości, z jaką uderza w cel.

Teglon: Niezwykle złożone zagadnienie geometryczne, które od pokoleń zaprzęta umysły teorów - najpierw w Orithenie, potem na całej Arbre. Chodzi o pokrycie dziesięciokąta foremnego płytkami o siedmiu różnych kształtach, zgodnie z pewnymi dodatkowymi obwarowaniami.

Teor: Adept teoryki (zob.).

Teoryk: Termin pokrewny teorowi, ale stosowany w nieco innym kontekście. Teorykami nazywa się najczęściej specjalistów wąskich, szczegółowo zdefiniowanych dziedzin, na przykład fachowców od skomplikowanych obliczeń.

Teoryka: Nauka łącząca matematykę, logikę, nauki ścisłe i filozofię. Określenie to odnosi się również do wszelkiej aktywności intelektualnej ujętej w karby dyscypliny. Termin ukuty przez Diaksa dla odróżnienia zwolenników Grabi od ludzi przedkładających pobożne życzenia i myślenie magiczne ponad racjonalizm.

Thelenes: Znamienity teor żyjący w Złotym Wieku Ethras, protagonista wielu dialogów, mentor Protasa. Skazany na śmierć i zgładzony za antyreligijne (a z pewnością bluźniercze) nauki.

Transkwestacja hipotrochijna: Jeden z wielu retorycznych manewrów taktycznych, których uczą się fidowie, zwłaszcza ci pobierający nauki u proceńczyków. Oznacza zmianę

tematu w dyskusji w taki sposób, aby zasugerować, że kwestia sporna została już w taki czy inny sposób rozstrzygnięta.

Tredegarh: Jeden z koncentów Wielkiej Trójki, nazwany na cześć lorda Tredegarha, teora żyjącego w drugiej połowie Epoki Praksis, pioniera termodynamiki.

Trójkątna arka: Inne określenie kelksu lub jednej z jego ark.

Tum: W wielu koncentach duży, centralnie ulokowany budynek, mieszczący zegar i wykorzystywany podczas rytów i innych zgromadzeń mieszkańców koncentu.

Twierdzenie Adrakhonesa: Stare twierdzenie w geometrii płaskiej, przypisywane Adrakhonesowi, założycielowi Oritheny, i postulujące, że w trójkącie prostokątnym kwadrat długości przeciwprostokątnej jest równy sumie kwadratów długości przyprostokątnych. Na Ziemi jego odpowiednikiem jest twierdzenie Pitagorasa.

Tysięcznik: Potocznie **milenarysta (zob.).**

Unarysta: Deklarant, który przysiągł nie opuszczać matemu i unikać kontaktów ze światem zewnętrznym aż do następnego apertu rocznego. Potocznie: „jednorazowiec”.

Uraloabus: Najsłynniejszy sfenik Złotego Wieku Ethras, który - jeśli wierzyć relacji Protasa - popełnił samobójstwo po splantowaniu przez Thelenesa.

Urządzenie syntaktyczne: Odpowiednik ziemskiego komputera.

Uthentine: Suur z Saunty Baritoe z czternastego wieku p.r., która wspólnie z Erasmem stworzyła gałąź metateoryki nazwaną protyzmem złożonym.

Voco: Rzadko odprawiany ryt, w którym państwo sekularne powołuje (wzywa z matemu) deklaranta, którego talenty są niezbędne w Saeculum. Tylko w wyjątkowych wypadkach zdarza się, żeby powołany deklarant wrócił do świata matemowego.

Wielka Trójka: Trzy koncenty - Saunt Muncoster, Saunt Tredegarh i Saunta Baritoe; stare, zamożne, wybitne i połączone

bliskimi związkami.

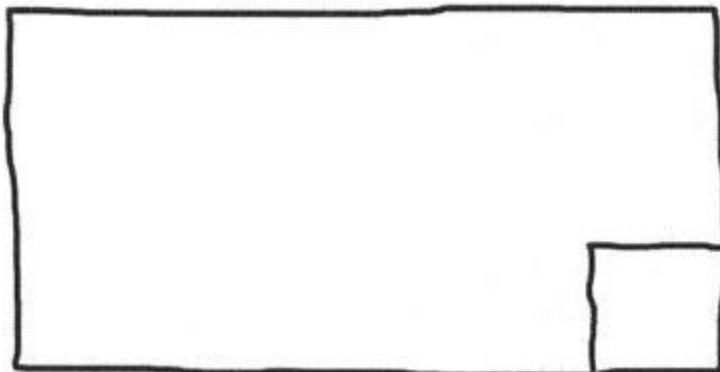
Zwiastun: Jeden z trzech kataklizmów, które w ostatnich dekadach Epoki Praksis przetoczyły się przez większą część Arbre, a z biegiem czasu zostały zinterpretowane jako ostrzeżenie przed Straszliwymi Wypadkami. Dokładny charakter zwiastunów trudno określić po tym, jak wszystkie zapiski na ich temat uległy zniszczeniu (wiele z nich przechowywano w urządzeniach syntaktycznych, które później przestały działać), ale według powszechnie akceptowanej teorii pierwszym zwiastunem był wybuch licznych rewolucji na całym świecie, drugim - wojna światowa, trzecim zaś - ludobójstwo.

Calca 1
ciasta

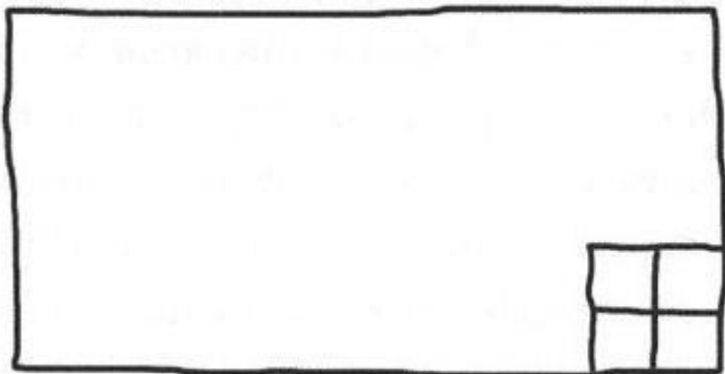
Krojenie

- Przypuśćmy, że każda porcja ma mieć kształt kwadratu i szerokość łopatkę do ciasta - powiedziałem. - Wykrój, proszę, cztery takie kawałki w narożniku blachy.

Dath naciął ciasto w taki sposób:



a następnie pokroił je na cztery części, tak jak prosiłem:



- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robisz - mruknął Arsibalt.

- Skoro Thelenesowi się udało... - odmruknąłem. - Siedź cicho. - Odwróciłem się do Datha, który czekał na dalsze instrukcje. - Ile porcji mamy?

- Cztery - odparł, trochę zdeprimowany moim niedorzecznie łatwym pytaniem.

- A co by się stało, gdybyś wykroił taką samą figurę, tylko z dwa razy dłuższą krawędzią? Tak żeby zamiast dwóch jednostek, czyli dwóch szerokości łopatki, długość boku kwadratu liczyła...?

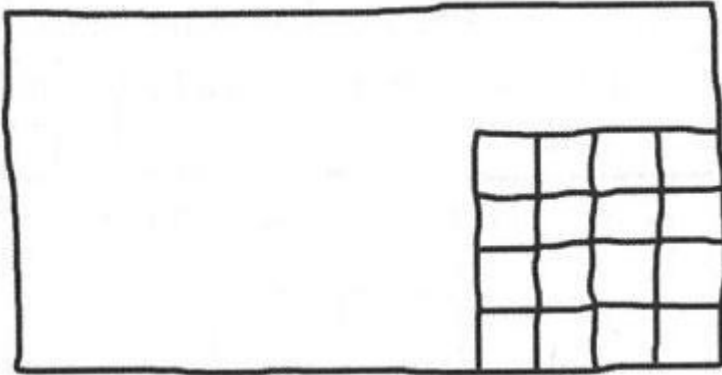
- Cztery?

- No właśnie. W tej chwili mamy cztery kawałki. Jeżeli wydłużysz bok kwadratu dwukrotnie, ile porcji dostaniesz?

- To proste: dwa razy cztery równa się osiem.

- Tu się zgadzam: dwa razy cztery równa się osiem. Krój.

Dath pokroił ciasto jak następuje:



Już w połowie krojenia zorientował się, że popełnił błąd. Skrzywił się, ale przekonałem go, żeby doprowadził sprawę do końca.

- Szesnaście - powiedział. - Dostaliśmy szesnaście porcji, nie osiem.

- Podsumujmy. Kiedy wykrawamy kwadrat o boku dwóch jednostek, ile porcji dostajemy?

- Cztery.

- Przed chwilą powiedziałeś mi, że z kwadratu o boku czterech jednostek dostaniemy szesnaście, tak? A co musielibyśmy zrobić, żeby uzyskać tylko osiem porcji? Jaką kratkę musiałbyś narysować?

- Trzy na trzy? - zapytał ostrożnie Dath. Spojrzał na ciasto, policzył. - Nie, to by było dziewięć.

- Ale jesteśmy blisko. Poza tym nastąpiła pewna istotna zmiana: wiesz, że nie wiesz.

Dath uniósł brwi.

- To ważne?

- Dla nas, tutaj, nawet bardzo.

Nie pamiętałem, jaki był następny ruch Thelenesa, kiedy sześć tysięcy lat temu przedstawiał to ćwiczenie małemu niewolnikowi na Płasczyźnie. Musiałem zapytać Orola.

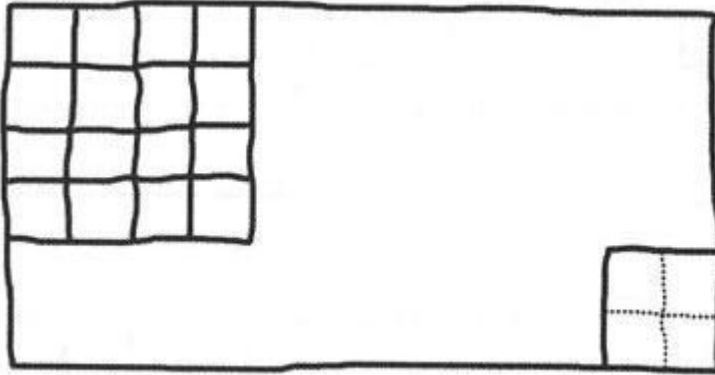
Odwrociłem blachę, podsuwając Dathowi świeży narożnik.

- Wytnij kwadrat, który wystarczyłby na cztery kawałki - poleciłem. - Nie musisz go dzielić na porcje.

- A mogę zaznaczyć linie na lukrze?

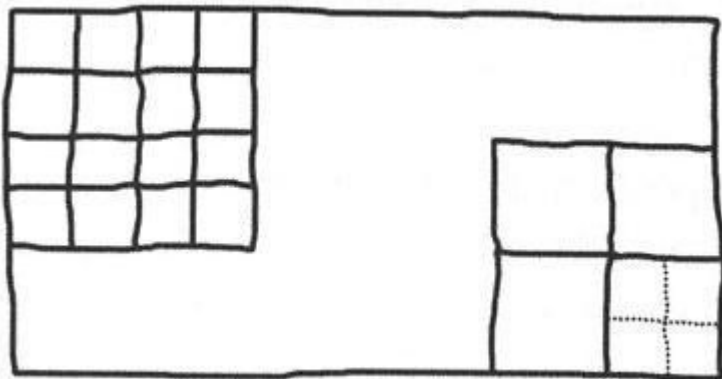
- Jeśli ci to pomoże...

Z pomocą Cord Dath zrobił coś takiego:

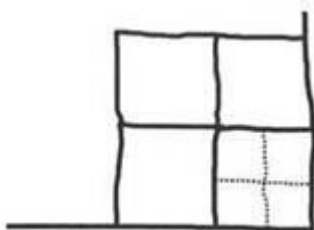


- Bardzo dobrze - pochwaliłem. - Dołóż teraz jeszcze trzy takie kwadraty.

Dath przedłużył niektóre cięcia, dodał nowe i uzyskał następujący rezultat:



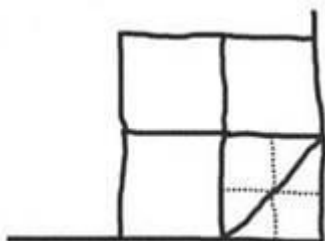
- Bądź tak miły i przypomnij mi, ile porcji możemy uzyskać z takiego kawałka?
- Szesnaście.
- Zgadza się. Skupmy się na chwilę na tym mniejszym kwadracie, w samym rogu.



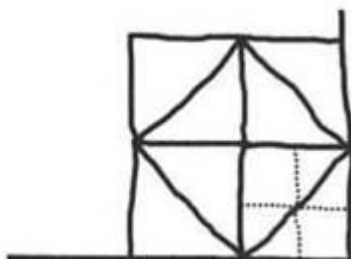
- Umiąłbyś go podzielić jednym cięciem dokładnie na pół? Dath przyłożył łopatkę do jednej z zaznaczonych na lukrze linii. Pokręciłem głową.
- Arsibalt, który tu koło mnie siedzi, bardzo lubi ciasto i nie chciałby, żeby ktoś dostał większy kawałek od niego - powiedziałem.
- Dzięki ci, o przemądry Thelenesie - wtrącił Arsibalt. Udałem, że go nie słyszę.
- Umiesz tak pokroić ten kawałek jednym cięciem, żeby

zadowolić Arsibalta? Porcje nie muszą być kwadratowe, inne kształty też są do przyjęcia. Na przykład trójkąty.

Po tej wskazówce Dath przekroił ciasto tak:



- Pokrój też trzy pozostałe - poprosiłem. Wyszło tak:



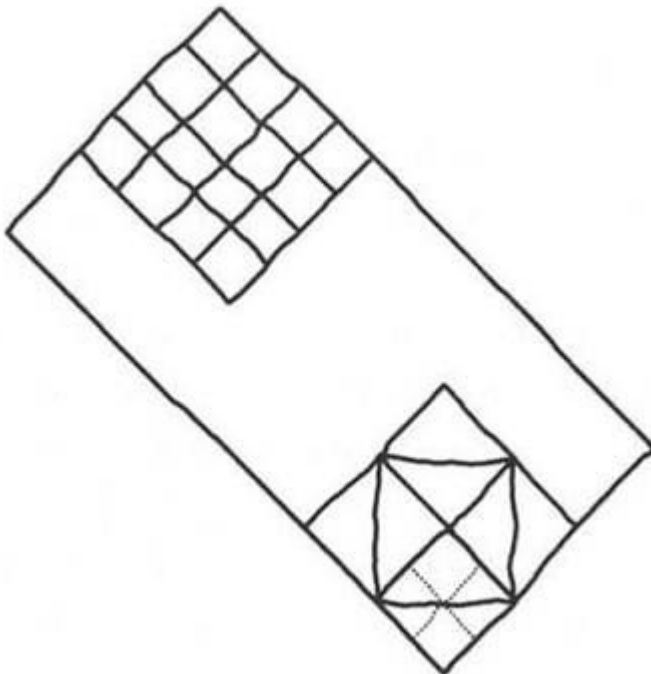
- Kiedy przekroiłeś kwadrat po przekątnej, przeciąłeś go dokładnie na pół, prawda?

- Tak.

- Czy to samo można powiedzieć o pozostałych trzech kwadratach i trzech cięciach na skos?

- Oczywiście.

- Dobrze. Pozwól, że obrócę teraz blachę.



- Jaki kształt widzisz w środku tego dużego kwadratu, u dołu blachy?

- Też kwadrat.

- Ile porcji zawiera?

- Nie wiem.

- Pomalutku. Składa się z czterech trójkątów, tak?

- Tak.

- Każdy z tych trójkątów jest połówką małego kwadratu, tak?

- Tak.

- Ile porcji zawiera mały kwadrat?

- Cztery.

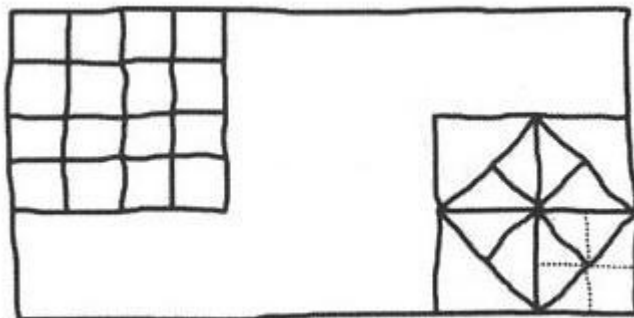
- Czyli w każdym trójkącie jest ciasta na ile porcji?

- Na dwie.

- Zatem kwadrat złożony z czterech takich trójkątów zawiera ciasta na...

- Osiem porcji. - Dath doznał olśnienia. - I to jest rozwiązanie, którego przed chwilą szukaliśmy!

- I do którego cały czas dążyliśmy. Możesz nam ukroić osiem porcji?



- Bardzo ładnie - pochwaliłem.

- Możemy już jeść?

- Tak. Rozumiesz, co się stało?

- No... ukroiłem osiem porcji ciasta.

- Kiedy tak mówisz, brzmi to prosto... ale wcale takie proste nie było. Przypomnij sobie: parę minut temu wiedziałeś, jak ukroić cztery porcje; to było łatwe. Wiedziałeś również, jak ukroić szesnaście. Dziewięć też. Nie umiałeś ukroić ośmiu takich porcji; wydawało się to niemożliwe. A jednak wystarczyło chwilę się zastanowić, żeby uzyskać odpowiedź, i to nie przybliżoną, tylko najzupełniej dokładną.

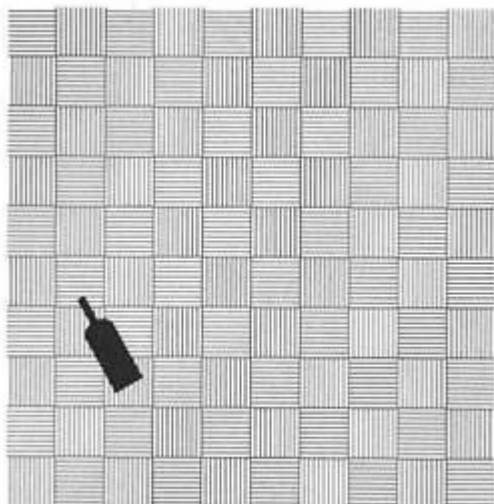
Calca 2

Przestrzeń

Hemna

(przestrzeń konfiguracyjna)

Tak się złożyło, że kręcąc się po kuchni, przewróciliśmy stojącą na podłodze butelkę po winie:



Podłoga była wykładana drewnianymi płytkami ułożonymi w kwadratowy wzór, który przywodził na myśl płaszczyznę z układem współrzędnych.

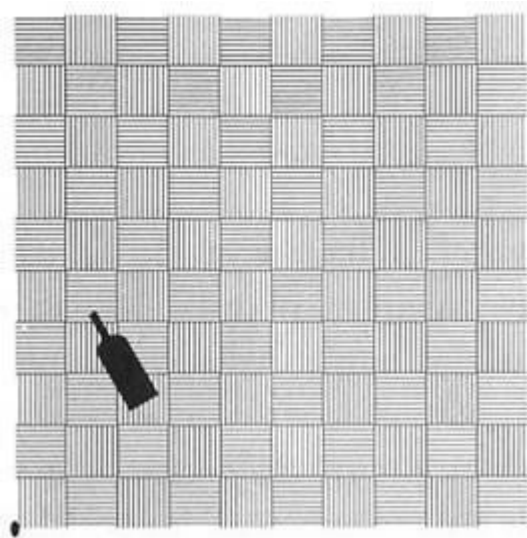
- Przyniesź tabliczkę i kawałek kredy - powiedziałem do Barba.

Miałem lekkie wyrzuty sumienia, że tak mu rozkazuję, ale byłem na niego trochę zły, że nie pomógł mi przy przetykaniu odpływu. Zresztą nie miał chyba nic przeciwko temu, a spełnienie mojej prośby nie kosztowało go wiele wysiłku, bo tabliczki i kreda wałały się po całej kuchni: używaliśmy ich do notowania przepisów i spisywania składników potraw.

- Bądź tak miły i zapisz współrzędne tej butelki.

- Współrzędne?

- Tak. Wyobraź sobie, że ten wzór na podłodze to układ współrzędnych saunta Lespera: każdy kwadrat to jedna jednostka. Położę ziemniak na przecięciu linii, to będzie początek układu.



- W takim razie współrzędne butelki to w przybliżeniu (2,3) - stwierdził Barb.

Wziął do ręki kredę, coś nagryzmołił na tabliczce i pokazał mi ją.

x	y
2	3

- Proszę bardzo: oto przestrzeń konfiguracyjna, chyba najprostsza, jaką można sobie wyobrazić - powiedziałem. - Położenie butelki, (2,3), jest punktem w tej przestrzeni.

- Niczym się nie różni od zwykłej przestrzeni dwuwymiarowej - poskarżył się Barb. - Nie mogłeś tak od razu powiedzieć?

- Możesz dopisać jeszcze jedną kolumnę?

- Pewnie.

x	y	
2	3	

- Zauważ, że butelka nie leży prosto: jest obrócona mniej więcej o dziesiątą część pi, albo w jednostkach, do których jesteście przyzwyczajeni extramuros, o jakieś dwadzieścia stopni. Wielkość obrotu będzie trzecią współrzędną w naszej przestrzeni konfiguracyjnej. Po to właśnie jest ta trzecia kolumna.

Barb pochylił się nad tabliczką i wyprodukował, co następuje:

x	y	z
2	3	20

- No tak... - przyznał. - Teraz wygląda już trochę inaczej niż stara, dobra przestrzeń dwuwymiarowa, prawda? Ma trzy wymiary, w dodatku ten trzeci jest trochę uduchowiony. Kiedyś w suwinie uczyłem się o czymś podobnym...

- O współrzędnych biegunowych? - zapytałem z podziwem.

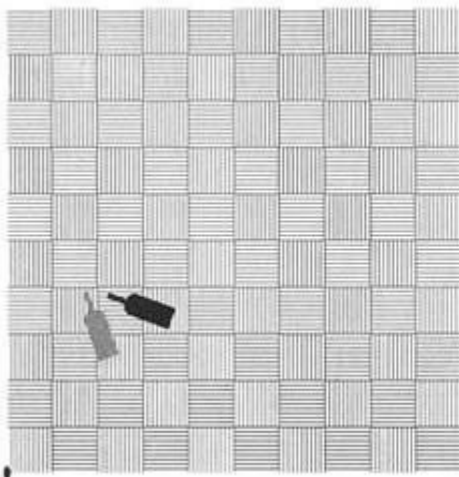
Quin musiał nieźle się wykosztować, bo posłał syna do naprawę porządnego suwinu.

- Tak! Tam też był kąt zamiast długości.

- No dobrze. Sprawdźmy teraz, jak się ta przestrzeń zachowuje. Będę przesuwiał butelkę, a kiedy powiem „teraz”, będziesz zaznaczał jej kolejne pozycje.

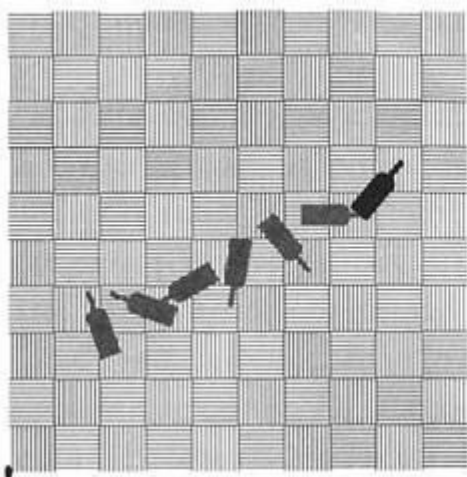
Przesunąłem butelkę i trochę ją obróciłem.

- Teraz.



x	y	
2	3	
3	3,5	

- Teraz. Teraz. Teraz...



x	y	
2	3	
3	3,5	
4	4	
5	4,5	
6	5	
7	5,5	
8	6	

- Taki zbiór punktów w przestrzeni konfiguracyjnej uzyskałbym po przypadkowym kopnięciu butelki, która obracając się, ślizgałaby się na podłodze. Zgodzisz się ze mną?

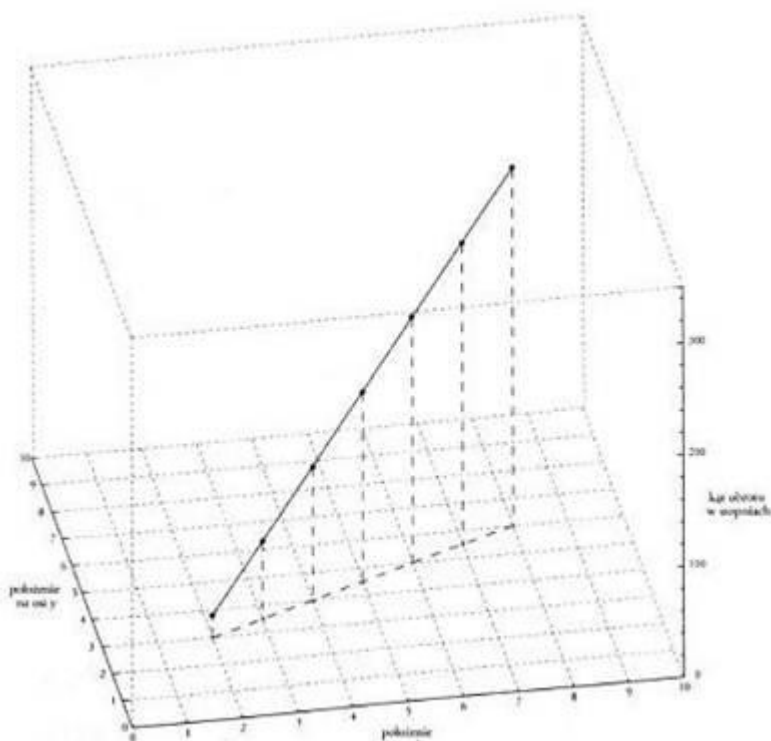
- No jasne, sam o czymś takim pomyślałem.

- Poruszałem nią w zwolnionym tempie, żebyś nadażył z rejestracją danych.

Barb nie bardzo wiedział, jak zareagować na tę słabiotką namiastkę żartu, więc po chwili niezręcznego milczenia mówiłem dalej:

- Mógłbyś zrobić wykres tych punktów? Trójwymiarowy?

- Oczywiście - przytaknął bez przekonania Barb. - Ale będzie trochę dziwny...



- Linia przerywana na dole ilustruje zmiany położenia butelki w płaszczyźnie (x,y) - wyjaśnił. - Jej ślad na podłodze.

- Rozumiem. Dobrze, że to zaznaczyłeś; w przeciwnym

razie dla osoby nieobeznanej z przestrzenią konfiguracyjną mogłoby to być trochę niejasne. Ta część, trajektoria butelki w płaszczyźnie podłogi, zaznaczona linią przerywaną, to nic nowego: znamy takie rysunki ze zwykłej przestrzeni adrahkonejskiej. Za to nasz trzeci wymiar, kąt, to zupełnie inna historia. Nie pokazuje odległości w przestrzeni, tylko przemieszczenie kątowe butelki, inaczej mówiąc: jej obrót. Kiedy już to zrozumiesz, możesz tę informację odczytać z wykresu i powiedzieć: „No tak, zaczęła od dwudziestu stopni i ślizgając się po podłodze, doszła z obrotem do ponad trzystu”. Jednak dopóki nie znasz tego szyfru, wykres jest dla ciebie bezużyteczny.

- A do czego może być użyteczny?

- Wyobraź sobie, że zagadnienie jest bardziej skomplikowane niż butelka na podłodze. Powiedzmy, że dołączy do niej ziemniak. Wtedy do opisanego stanu układu ziemniak-butelka będziesz potrzebował dziesięciowymiarowej przestrzeni konfiguracyjnej.

- Dziesięciowymiarowej?!

- Pięć dla butelki, pięć dla ziemniaka.

- Ale dlaczego pięć? Do opisu butelki wystarczyły nam trzy!

- Tylko dlatego, że trochę oszukujemy. Pomijamy dwa rotacyjne stopnie swobody.

- To znaczy...?

Przykucnąłem i wziąłem butelkę do ręki. Leżała zwrócona etykietą do ziemi. Odwróciłem ją.

- Widzisz? Obracam ją wokół osi, żeby odczytać etykietkę. Taki obrót jest całkowicie niezależny od obrotów wywołanych kopnięciem. Dlatego potrzebujemy dodatkowego wymiaru, żeby go zapisać. Przybija nam jedna kolumna na tabliczce. - Chwyciłem butelkę za szyjkę i przyciskając denko do podłogi, podniosłem ją skośnie, jak miniaturową armatę. - A to kolejny przykład niezależnego obrotu.

- Czyli samą butelkę opisujemy pięcioma liczbami - podsumował Barb.

- Właściwie dla pełnego uogólnienia przydałoby się sześć, żeby zachować informację o jej przesunięciu w pionie. - Podniosłem butelkę. - Jak widzisz, potrzebne nam jest sześć wymiarów przestrzeni konfiguracyjnej, żeby przedstawić położenie i orientację butelki. - Odłożyłem butelkę na podłogę. - Ale jeśli nie będziemy jej podnosić, wystarczy pięć.

- Rozumiem - powiedział Barb. Mówił tak tylko wtedy, kiedy naprawdę wszystko było dla niego jasne.

- Cieszę się, że tak uważasz. Rozumowanie w sześciu wymiarach nie jest proste.

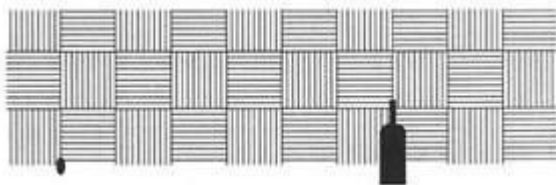
- Będę miał po prostu sześć kolumn liczb na tabliczce zamiast trzech. Nie rozumiem tylko, dlaczego do opisania ziemniaka potrzebujemy sześciu nowych wymiarów. Nie moglibyśmy po prostu wykorzystać tych od butelki?

- W pewnym sensie tak właśnie robimy, tylko zapisujemy wartości w osobnych kolumnach. Dzięki temu jeden wiersz tabeli w pełni opisuje układ ziemniak-butelka w danym momencie; każdy taki wiersz, czyli ciąg dwunastu liczb - x , y i z butelki, kąt obrotu po kopnięciu, kąt obrotu do odczytania etykiety oraz kąt podniesienia nad podłogę - to jeden punkt w dwunastowym wymiarowej przestrzeni konfiguracyjnej. Jej przydatność dla teorii staje się oczywista, kiedy łączymy takie punkty, tworząc w niej trajektorie.

- Trajektorja kojarzy mi się z czymś, co lata w powietrzu - wtrącił Barb. - Nie bardzo rozumiem, czym miałyby być trajektorie w tej dwunastowym wymiarowej przestrzeni, która wcale przestrzeni nie przypomina.

- Uprośćmy sprawę maksymalnie - zaproponowałem. - Ograniczmy ruch do osi x i darujmy sobie obroty.

Ułożyłem ziemniak i butelkę w taki sposób:

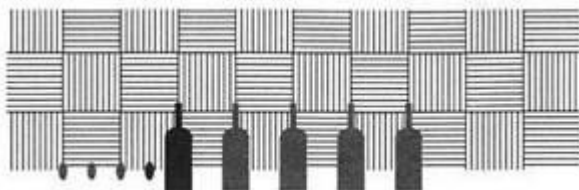


- Możesz zapisać na tabliczce ich pozycje? - poprosiłem.
- Się robi - odparł Barb i po chwili pokazał mi coś takiego:

x butelki	x ziemniaka
7	1

- Zrobimy teraz małe zderzenie - zapowiedziałem. - W zwolnionym tempie, rzecz jasna. Zapisuj położenie, z łaski swojej.

Podobnie jak chwilę wcześniej, zacząłem po kawałku przesuwać butelkę i ziemniak, krzykując „Teraz!” za każdym razem, kiedy chciałem, żeby Barb dodał nowy wiersz w tabeli.



- Butelka przemieszcza się szybciej - zauważył Barb.
 - To prawda. Dwa razy szybciej.
- Zatrzymałem ziemniak na butelce w pozycji 3.

x butelki	x ziemniaka
7	1
6	1,5
5	2
4	2,5
3	3

- Zderzyły się - powiedziałem. - Teraz się odbijają, ale będą się poruszać wolniej, ponieważ ziemniak się rozpląszczył i część energii została stracona.

Z moją małą pomocą Barb wypełnił tabelkę w taki oto sposób:

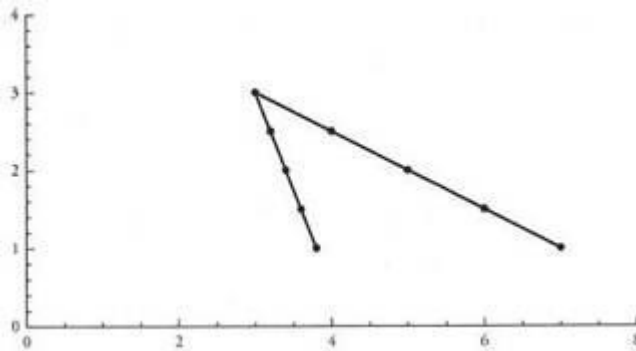
x butelki	x ziemniaka
7	1
6	1,5
5	2
4	2,5
3	3
3,2	2,5
3,4	2
3,6	1,5
3,8	1

- Proszę bardzo. - Odłożyłem oba pociski i wstałem. - Całe to zderzenie odbyło się na linii prostej. Gdyby cofnąć się do współrzędnych saunta Lespera, można by powiedzieć, że mamy sytuację jednowymiarową. Natomiast saunt Hemn proponuje w tym miejscu wolte, która może ci się wydać dziwna: dla niego każdy wiersz *tej* tabeli określa punkt w dwuwymiarowej przestrzeni konfiguracyjnej.

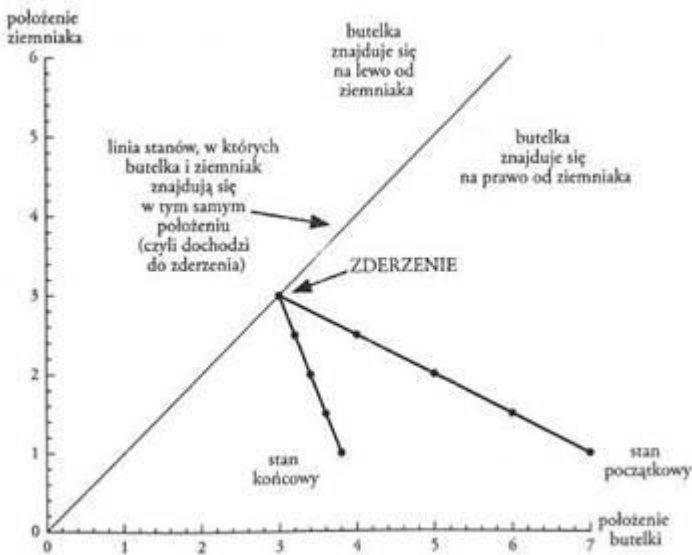
- Każdą parę liczb traktuje jak punkt - przełożył to sobie Barb. - Zaczynając od (7,1).

- Zgadza się. Możesz to narysować?

- Pewnie. To banalnie proste.



- Jakie to dziwne! - wykrzyknął Barb. - Tak jakby saun Hemn wyrócił całą tę sytuację na nice!
 - Daj krede. Dorobię opis, który pomoże ci to zrozumieć.
 Chwilę później patrzyliśmy na coś takiego:



- Linia zderzeń jest zbiorem stanów, w których butelka i ziemniak znajdują się w tym samym miejscu, czyli mają takie same współrzędne - tłumaczyłem. - Każdy teor, który zobaczyłby

ten wykres, stwierdziłby, że jest to linia szczególna, nawet gdyby nie miał pojęcia o całym układzie, którym się zajmujemy: butelce, ziemiaku i podłodze. Stan układu zmienia się w sposób uporządkowany i przewidywalny do momentu zetknięcia z tą linią, kiedy to dzieje się coś niezwykłego. Trajektoria gwałtownie zakręca. Tworzące ją punkty zagęszczają się, co oznacza, że obiekty poruszają się wolniej, a to z kolei świadczy o tym, że wytraciły część energii. Nie jest to pewnie szczególnie zaskakujące wnioskowanie, ale może teraz zrozumiesz, dlaczego teorii, rozważając układy fizyczne, chętnie umieszczają je w przestrzeniach konfiguracyjnych.

- Ale to chyba nie koniec? Mogliśmy narysować to wszystko jakoś prościej, nie?

- To już jest prościej - odparłem. - Bliżej prawdy.

- Mówisz o Hylaeskim Świecie Teorycznym? - spytał Barb konspiracyjnym szeptem, jakby dyskusja o HST była największym bezceństwem, jakiego fraa może się dopuścić.

- Jestem edharczykiem. Bez względu na to, co o tym myślą różni ludzie... jestem edharczykiem i koniec. To dla nas naturalne, że staramy się wyrazić nasze myśli w sposób możliwie najprostszy i najelegantszy. W wielu sytuacjach... Nie, inaczej: w większości sytuacji, które teom wydają się interesujące, przestrzeń konfiguracyjna saunta Hemna nadaje się do tego lepiej niż przestrzeń saunta Lespera z trzema współrzędnymi x , y i z , w której do tej pory zmuszony byłeś się poruszać.

Barb doznał małego olśnienia.

- Butelkę i ziemiak opisywało sześć liczb... Sześć współrzędnych w przestrzeni Hemna.

- Zgadza się. Przedstawienie położenia obiektu zwykle wymaga sześciu liczb.

- Tak samo jak satelity na orbicie!

- Owszem: jest sześć elementów orbitalnych. Opis satelity zawsze wymaga sześciowymiarowej przestrzeni Hemna, bez względu na użyty układ współrzędnych. Jeśli posłużysz się współrzędnymi saunta Lespera, napotkasz problemy, na które

niedawno się skarżyłeś...

- Że te wszystkie ikсы, igreki i zety tak naprawdę nic mi nie mówią!

- No właśnie. Wystarczy jednak przenieść satelitę do innej przestrzeni sześciowymiarowej, z innym układem sześciu współrzędnych, żeby opis nagle stał się klarowny. Tak jak zagadnienie butelki i ziemniaka uprościło się, kiedy wybraliśmy dla niego odpowiednią przestrzeń. W wypadku satelity te sześć liczb to mimośród, inklinacja, argument szerokości perycentrum... i trzy inne; też mają skomplikowane nazwy i nie ma potrzeby teraz ich tu przytaczać. W każdym razie mimośród pozwala od razu stwierdzić, czy orbita jest stabilna; inklinacja informuje cię, czy jest orbitą biegunową, czy równikową. I tak dalej.

Calca

3

Protyzm

prosty i złożony

- Oto diagram z dwoma prostokątami, który wszyscy dobrze znamy - zaczął Criscan i narysował na ziemi taki rysunek:



- Strzałka oznacza, że byty z Hylaejskiego Świata Teorycznego mogą wywoływać skutki w Arbryjskiej Dziedzinie Przyczynowej, ale niemożliwa jest sytuacja odwrotna. Jeśli zadamy sobie trud, żeby zrozumieć, co naprawdę twierdzą ludzie, rysując taki diagram, okaże się, że wszystko sprowadza się do poglądu, który nazywamy protyzmem. Wiem, że wy dwaj jesteście tego w pełni świadomi, ale pozwolę sobie przypomnieć jego

podstawowe założenia, żeby było jasne, na czym stoimy.

- Prosimy bardzo - powiedziałem.

- Nie krępuj się - dodał Lio.

- Doskonale. Pierwsze założenie brzmi: byty stanowiące przedmiot zainteresowania teoryki istnieją niezależnie od naszej percepcji, przyjętych przez nas definicji i konstrukcji myślowych. Teorowie ich nie tworzą; teorowie je tylko odkrywają. Drugie założenie jest takie, że umysł ludzki ma zdolność postrzegania tych bytów, i to właśnie robią teorowie, kiedy je odkrywają.

- Na razie nadążamy - zapewniłem Criscana.

- Cieszę się. Jeżeli nie chcemy ograniczać się do wyliczenia tych założeń, to aby uczynić następny krok, musimy wytłumaczyć, jak to się dzieje, że ludzki umysł może osiąść wiedzę o bytach teoretycznych, które, zgodnie z pierwszym założeniem, są nie-czasoprzestrzenne i nie są połączone więzami przyczynowymi z bytami tworzącymi nasz kosmos. Na przestrzeni dziejów metateorocy przytaczali najróżniejsze argumenty, próbując wyjaśnić ten fenomen. I tak na przykład Halikaarn mocno naraził się proceńcykom, twierdząc, że w naszym mózgu istnieje specjalny organ odpowiedzialny za to postrzeganie.

- Organ? - powtórzył Lio. - Jak jakiś gruczoł czy coś w tym rodzaju?

- Niektórzy tak właśnie zinterpretowali jego słowa, co chyba wyjaśnia, dlaczego spotkała go miazdząca krytyka. Najprawdopodobniej był to jednak błąd przekładu. Halikaarn żył przed Rekonstrukcją i w swoich pismach nie używał orthyjskiego, lecz języka którejś ze współczesnych mu mniejszości. Tłumacz, który przełożył jego prace na fluksyjski, wybrał niewłaściwe słowo, czym wyrządził mu niedźwiedzią przysługę. Halikaarnowi nie chodziło o gruczoł, lecz o pewną wrodzoną zdolność mózgu, nie ulokowaną w żadnym konkretnym fragmencie tkanki.

- Rzeczywiście, coś takiego łatwiej potraktować poważnie - przyznałem. - Rozumiem - dodałem, widząc, że Criscan szykuje się do długiej i nudnej mowy obrończej. - Jak ta zdolność ma się do faktów, które ilustruje nasz diagram?

- Istnieje jeszcze inny rodzaj danych niż te odbierane przez nas wzrokiem, słuchem i innymi zmysłami. W jakiś sposób dane te docierają z HŚT do Arbryjskiej Dziedziny Przyczynowej, gdzie postrzega je Organ Halikaarna.

- Takie twierdzenie przynosi chyba więcej pytań niż odpowiedzi - zauważył Lio.

- Nie daje żadnych odpowiedzi - zgodził się Criscan. - Bo też nie jest próbą odpowiadania na pytania, lecz wstępem do rozgrywki: na razie rozstawiamy figury na planszy, uzgadniamy terminologię i tak dalej. Były teoretyczne z HŚT: trójkąty, twierdzenia i inne czyste idee nazywamy cnoönami.

- Cnoöny... - powiedział Lio. - Odhaczone.

- Nasz świat łączy z HŚT pewna relacja, której szczegóły mogłyby być przedmiotem odrębnej dyskusji. Halikaarn nie nadał jej żadnej nazwy, więc symbolizującą ją strzałkę nazwano po prostu Strzałką Halikaarna.

- Strzałka Halikaarna... Odhaczona.

- Strzałka Halikaarna oznacza jednokierunkowy przepływ danych na temat cnoönów. Dane te docierają do Arbryjskiej Dziedziny Przyczynowej w drodze słabo poznanego procesu, nazwanego Przepływem Hylaejskim, i tam oddziałują na Organ Halikaarna. Dzięki temu dowiadujemy się o ich istnieniu.

- Przepływ Hylaejski... Odhaczony.

Criscan nie przepadał za Lio, ale było widać, że usilnie stara się go tolerować. Postanowiłem wejść w rolę interlokutora. Szturchnąłem Lio pod żebro, na co zareagował cokolwiek teatralnie: zatoczył się na pobocze drogi, jakby potracił go rozpedzony aport. Udałem, że nic nie widzę.

- Terminologię mamy załatwioną - zwróciłem się do Criscana. - Co z nią zrobimy?

- Na początek przeskoczmy półtora tysiąclecia w przód - odparł. - I porozmawiamy o tym, czego dokonali Erasmus i Uthentine, kiedy postanowili sprawdzić, co się stanie, jeżeli potraktują diagram jako szczególnie, mocno uproszczony przypadek skierowanego grafu acyklicznego, w skrócie SGA.

„Skierowany” oznacza w tym wypadku jednokierunkowość strzałek; „acykliczny” - że strzałki nie mogą się zapętlać, to znaczy, że jeżeli mamy strzałkę od A do B, nie możemy jednocześnie mieć strzałki od B do A.

- Tak się zastanawiam... po co nam ten postulat?

- Acykliczność jest niezbędna do zachowania podstawowej zasady protyzmu, czyli niezmienności cnoönów. Gdyby strzałki mogły się zapętlić w kółko, oznaczałoby to, że wydarzenia w naszym wszechświecie mogą mieć wpływ na Hylaejski Świat Teoryczny.

- Ależ naturalnie, wybacz. Teraz, kiedy to powiedziałeś, wydaje mi się to oczywiste.

Criscan wskazał swój rysunek.

- Metateoryk powiedziałby, że ten diagram jest niepoprawny.

- Dlaczego? Jak możesz w ogóle twierdzić coś takiego?

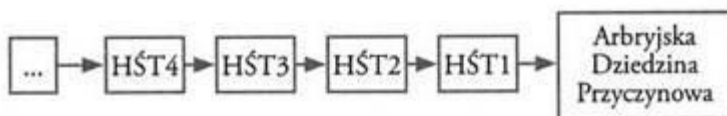
- To normalny manewr metateoryczny; musimy cały czas zadawać sobie pytanie: „Dlaczego coś wygląda właśnie tak, a nie inaczej?”. Jeżeli poddasz ten diagram takiemu testowi, natychmiast pojawia się problem: występują w nim dokładnie dwa światy. Nie jeden, nie wiele, ale dwa. Można by narysować prostszy diagram, zawierający tylko jeden świat (Arbryjską Dziedzinę Przyczynową) i ani jednej strzałki; taki rysunek wzbudziłby mniejsze opory wśród metateoryków, przynajmniej tych nienatrzętnie protyjskich. Można by również stwierdzić, że „światów jest bardzo dużo” i przedstawić argumenty na poparcie takiej tezy. Jednakże powiedzenie „są dwa światy - i ani jednego więcej” wydaje się równie słabo umotywowane, jak stwierdzenie „istnieją dokładnie sto siedemdziesiąt trzy światy i wszyscy, którzy twierdzą, że jest ich sto siedemdziesiąt dwa, to wariaci”.

- No dobrze, jeśli tak stawiasz sprawę, to rzeczywiście brzmi to słabo. Tak jak kiedy deolatrzy upierają się, że ich święte pisma zawierają dokładnie trzydzieści siedem ksiąg, a każdy, kto uważa inaczej, musi umrzeć.

- Dobry przykład. Częściowo tłumaczy, dlaczego protyzm

nie wszędzie budzi entuzjazm. Postulat Erasmasa/Uthentine brzmi więc tak: „Jeżeli coś jest prawdziwe w odniesieniu do jednego SGA, powinno być prawdziwe w odniesieniu do innego”. Nie pozostaje nam nic innego, jak rozważyć SGA zawierające inną liczbę światów.

Criscan wziął do ręki patyk i wyrysował taki diagram:



- Taki SGA nazwali Pociągiem Towarowym - wyjaśnił. - W topologii Pociągu Towarowego istnieje wiele (być może nieskończenie wiele) Hylaejskich Światów Teoretycznych, ułożonych w porządku hierarchicznym: każdy jest „bardziej protyjski” od poprzedniego i „mniej protyjski” od następnego. Wprowadza się w ten sposób pojęcie protyzmu analogowego; w protyzmie prostym protyjskość jest własnością binarną, cyfrową.

- Świat albo jest protyjski, albo nie - przetłumaczyłem.

- Otóż to. W tym modelu możliwa jest natomiast gradacja protyjskości.

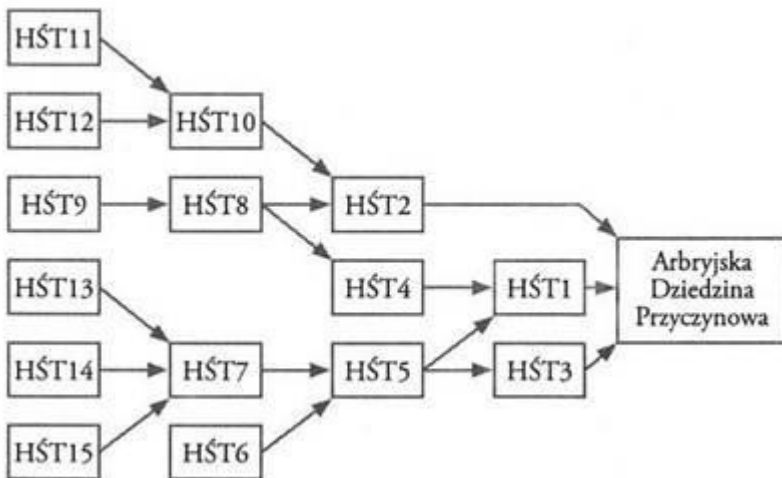
- Nie tylko możliwa, ale wręcz konieczna.

- To prawda - przytaknął Criscan z roztargnieniem, ponieważ rysował już następny diagram:



- To jest Pluton Egzekucyjny. W tej topologii pewna liczba Hylaejskich Światów Teorycznych łączy się bezpośrednio z Arbryjską Dziedziną Przyczynową. Wprowadzamy tu ideę odrębnych domen protyjskich, niemających ze sobą nawzajem nic wspólnego. W protyzmie prostym wszystkie możliwe byty teoryczne pakujemy do jednego pudełka z nalepką „Hylaejski Świat Teoryczny”, co może sugerować, że w obrębie tego pudełka mogą one pozostawać w związkach przyczynowo-skutkowych. Ale przecież wcale tak nie musi być i wtedy należałoby każdy taki byt wyodrębnić jako osobny HŚT.

Narysowanie następnego diagramu zajęło Criscanowi więcej czasu:

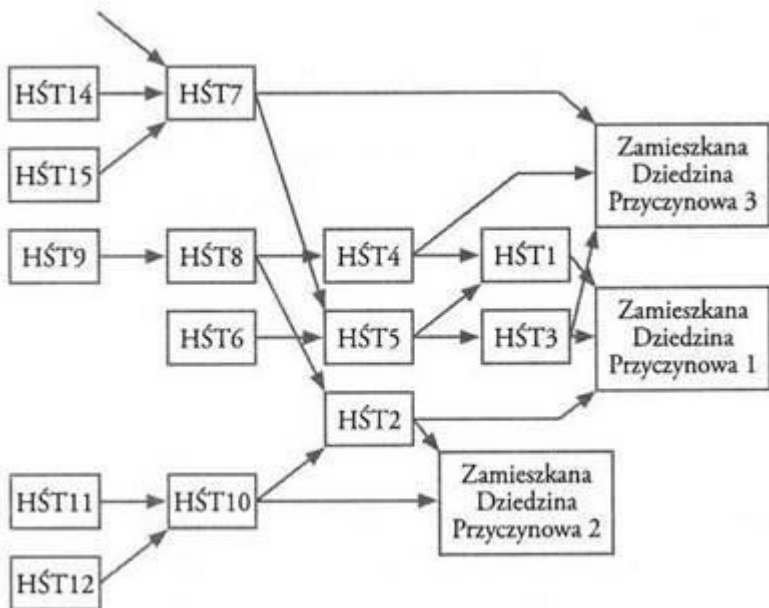


- Odwrócona Delta. Topologia rzecznej delty, ale strzałki bieżą pod prąd, stąd nazwa. Odwróconą Deltę najłatwiej scharakteryzować twierdzeniem, że łączy właściwości Pociągu Towarowego i Plutonu Egzekucyjnego.

- Rozumiem - przyznałem po chwili namysłu; wyczuwałem instynktownie, że Criscan mnie sprawdza. - Widzę protyżm analogowy: gradację protyjskości; widzę również zaczerpniętą z Plutonu zasadę niezależności cnoönów, które mogą pochodzić z odrębnych Hylaejskich Światów Teorycznych.

Criscan nie odpowiedział, zajęty rysowaniem.

- Włączęga - obwieścił.



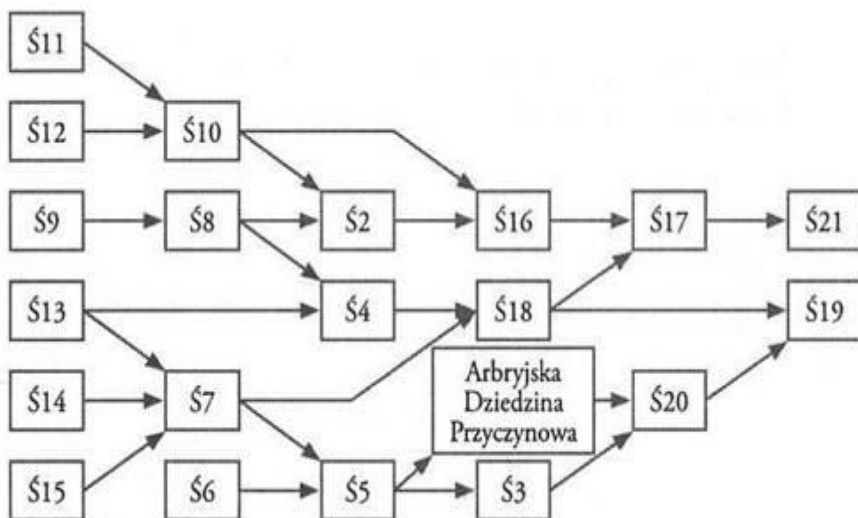
- Włóczęga? - powtórzyłem. - Jak niby ma się włóczyć?

- Nazwę zawdzięcza podobieństwu do tropikalnego drzewa, które wczepia się w ziemię zwielokrotnionymi korzeniami. Jak widzisz, przypomina Odwroconą Deltę, ale różni się od niej tym, że zawiera więcej niż jeden zamieszkaną kosmos. Zmieniłem odpowiednio nazwę.

- Tak, widzę: do tej pory na końcu strzałek zawsze znajdowała się Arbryjska Dziedzina Przyczynowa. Za tym diagramem kryje się założenie polikosmiczne: istnienie wielu zamieszkaną, przyczynowo rozłącznych kosmosów.

- Zgadza się. Są przyczynowo rozłączne, ale, co ważne, są także nie-przyczynowo skorelowane. Łączy je wiedza o tych samych cnoćnach. Mieszkańcy tych innych kosmosów są odbiorcami Przepływu Hylaejskiego, którego źródła są takie same jak w naszym przypadku. Przykładowym efektem jest istnienie u nich Twierdzenia Adrakhonesa z takich samych przyczyn jak u nas.

- I w ten sposób dochodzimy do Knota.



- Knot jest w pełni uogólnionym SGA - powiedział Criscan. - Przepływ Hylaejski odbywa się od lewej strony do prawej, od światów bardziej protyjskich do mniej protyjskich. Mamy tu logiczną kulminację protyzmu analogowego, w tym sensie, że nie rozróżniamy typów światów.

- Nasz widzę - powiedziałem, wskazując „Arbryjską Dziedzina Przyczynową”.

- Wyróżniłem go tylko po to, żeby był łatwo rozpoznawalny, ale w istocie niczym się nie różni od innych kosmosów na tym diagramie: wszystkie są podobne i wszystkie potencjalnie nadają się do zamieszkania.

- W ten sposób całkowicie odrzucasz ideę specjalnego, wyróżnionego HST, zamieszkanego przez czyste idee.

Criscan wzruszył ramionami.

- Może coś takiego nawet istnieje, gdzieś tam daleko z lewej strony, ale nie jest wykluczone, że w gruncie rzeczy masz rację. Diagram przedstawia sieć kosmosów takich jak nasz i

jednym szczegółem różni się od wszystkich poprzednich topologii. Mianowicie...

- Chyba wiem. - Palcem u nogi postukałem w „Arbryjską Dziedzinę Przyczynową”. - W Knocie nasz świat jest przedstawiony jako źródło Przepływu Hylaejskiego dla innych światów.

- Otóż to. Według Knota nasz kosmos może być HŚT dla jakiegoś innego kosmosu.

- Dokładniej: może być w ten sposób postrzegany, dopóki w tamtym kosmosie ktoś nie opracuje podwalin protyzmu złożonego - dodał Lio.

- Rzeczywiście - przytaknął Criscan, trochę zaskoczony tak celną uwagą ze strony kogoś, kogo spisał na straty jako męczącego błazna.

- Ciekawe, jak to się ma do Kuzynów - powiedziałem.

Przypomniałem sobie niedorzeczny pomysł Arsibalta z ubiegłego wieczoru: że Kuzyni mogli przybyć nie z innego układu słonecznego, ale z innego kosmosu.

- To prawda - zgodził się ze mną Criscan. - Bardzo ciekawe.

* Patrz Calca 1.

* Patrz Calca 2.

* Patrz Calca 3.